



Dwanaście krzeseł + Złote cielę + Zegary i ludzie

Ilja Ilf, Eugeniusz Pietrow

Spis treści

Dwanaście krzeseł.....	6
Część pierwsza Stargorodzki lew.....	6
Rozdział I Bezenczuk i „Nimfy”.....	6
Rozdział II Zgon madame Pietuchowej.....	12
Rozdział III Zwierciadłogrzeszniaka.....	18
Rozdział IV Muza dalekich podróży.....	22
Rozdział V Wielki kombinator.....	24
Rozdział VI Brylantoweopary.....	30
Rozdział VII Ślady „Titanica”.....	34
Rozdział VIII Niebiański złodziejasek.....	37
Rozdział IX Gdzie wasze kędziory?.....	45
Rozdział X Ślusarz, papuga i wróżka.....	50
Rozdział XI Alfabet - zwierciadło życia.....	58
Rozdział XII Płomienna kobieta - marzenie poety.....	66
Rozdział XIII Proszę głębiej oddychać: jesteście wzruszeni.....	74
Rozdział XIV „Związek miecza i pług”.....	84
Część druga W Moskwie.....	95
Rozdział XV Ocean krzeseł.....	95
Rozdział XVI Dom akademicki im. zakonnika Bertolda Szwarca.....	96
Rozdział XVII Obywatele, szanujcie materace!.....	101
Rozdział XVIII Muzeum mebli.....	105
Rozdział XIX Wybory na wzór europejski.....	112
Rozdział XX Od Sewilli do Grenady.....	119
Rozdział XXI Licytacja.....	127
Rozdział XXII Dzikuska Helutka.....	135
Rozdział XXIII Absalon Władimirowicz Iznurenkow.....	141
Rozdział XXIV Klub automobilistów.....	148
Rozdział XXV Rozmowa z nagim inżynierem.....	154
Rozdział XXVI Dwie wizyty.....	158
Rozdział XXVII Niezwykły sakwojaż.....	162
Rozdział XXVIII Kokoszka i kogutek.....	168
Rozdział XXIX Autor „Gawriliady”.....	174
Rozdział XXX W teatrze Kolumba.....	179
Część trzecia Skarby madame Pietuchowej.....	189
Rozdział XXXI Czarodziejska noc na Wóldze.....	189
Rozdział XXXII Podejrzana para.....	194
Rozdział XXXIII Wygnanie z raju.....	199
Rozdział XXXIV Międzyplanetarny turniej szachowy.....	203
Rozdział XXXVI Widok na malachitowe bajoro.....	217
Rozdział XXXVII Zielony Przylądek.....	223
Rozdział XXXVIII Pod chmurami.....	229
Rozdział XXXIX Trzęsienie ziemi.....	234
Złote ciele.....	250
Od autorów.....	251
Część pierwsza Załoga „Antylopy”.....	252
Rozdział I O tym, jak Panikowski naruszył konwencję.....	252
Rozdział II Trzydziestu synów lejtnanta Szmidta.....	264

Rozdział III Twoja benzyna - nasze pomysły.....	276
Rozdział IV Zwykła walizeczka.....	288
Rozdział V Podziemnekrólestwo.....	297
Rozdział VI „Antylopa-Gnu”.....	305
Rozdział VII Rozkoszny ciężar sławy.....	316
Rozdział VIII Kryzys genre'u.....	328
Rozdział IX Nowy kryzys genre u.....	341
Rozdział X Depesza od braci Karamazow.....	352
Rozdział XI „Herkules”.....	356
Rozdział XII Homer, Milton i Panikowski.....	364
Rozdział XIII Wasisualij Łochankin i jego rola w rewolucji rosyjskiej.....	375
Rozdział XIV Pierwsze spotkanie.....	391
Rozdział XV Rogi i kopyta.....	402
Rozdział XVI „Jahrbuch für Psychoanalitik”.....	414
Rozdział XVII Powrót syna marnotrawnego.....	426
Rozdział XVIII Na łądzie i na morzu.....	435
Rozdział XIX Uniwersalnapieczętka.....	449
Rozdział XX Komandor tańczy tango.....	456
Rozdział XXI Koniec „Wroniego gniazda”.....	466
Rozdział XXII A defiladę to już ja sam poprowadzę!.....	473
Rozdział XXIII Serce szofera.....	481
Rozdział XXIV Pogoda sprzyjała miłości.....	492
Rozdział XXV Trzy drogi.....	504
Rozdział XXVI Pasażer pociągu specjalnego.....	514
Rozdział XXVII „Czy przyjmiecie do swego grona pachółka kapitalizmu?”.....	525
Rozdział XXVIII Siódme poty natchnienia.....	535
Rozdział XXIX Szumiący Zdrój.....	545
Rozdział XXX Aleksander Ibn-Iwanowicz.....	556
Rozdział XXXII Wrota nieograniczonych możliwości.....	571
Rozdział XXXIII Gość z Indii.....	578
Rozdział XXXIV Sojusz z młodzieżą.....	584
Rozdział XXXV Technik dentystryczny, którego kochały panie, kucharki, wdowy, a nawet jedna kobieta.....	595
Rozdział XXXVI Kawaler Orderu Złotego Runa.....	605
Zegary i ludzie.....	612
Felietony.....	613
Zalecona kokarda.....	613
Jędra na miotle.....	620
Lekceważący stosunek do żołądka.....	625
Palone - a nie spalone.....	629
Dla pełni szczęścia.....	635
Człowiek z gęsią.....	640
Rozbawiona jednostka.....	644
Obojętność.....	651
Bez duszny pień.....	659
Poczucie miary.....	665
Starcy.....	672
Zegary i ludzie.....	677
Pod samowarem.....	684
Na froncie koperwasu.....	688
Hotel dzienny.....	695

Ucziwe serce kibica.....	700
Miłośnicy piłki nożnej.....	705
W złotej oprawie.....	709
Pod skrzydłem literatury pięknej.....	711
Jak powstawał Robinson.....	711
Gdy odchodzą kapitanowie.....	715
Wieki kancelaryjny gościniec.....	721
Oddajcie mu kursywę.....	727
Ich bin od stóp do głów.....	731
Blade dziecię wieku.....	736
W zasadzie nie jestem pisarzem.....	738
Drepczą po mieście staruszki.....	742
Czara szczęścia.....	746
Dzieci trzeba kochać.....	750
Sawonaryło.....	755
Głową do nieba sięgać.....	759
Miłość powinna być wzajemna.....	763
Bujne życie.....	770
Sztuka dla resortu sztuki.....	775
Wielki obóz dramaturgów.....	775
Półpietuchowszczyzna.....	778
Ta k się utarło.....	780
Facet w futbolówkach.....	784
Zachciało im się gadania.....	788
Sekret produkcji.....	791
Piąty problem.....	795
Narodziny anioła.....	798
Opowiadania.....	802
Rozmowy przy stole.....	802
Szeroki gest.....	806
Leń.....	810
Kolumb przybija do brzegu.....	814
Zagwarantowane miejsce.....	822
Tu ładuje się okręt.....	825
Kuracja Trikartowa.....	830
Zwyczajny iks.....	833
Poprzeczka nad literą „T”.....	835
Na włos od śmierci.....	837

Przełożyli: J. Brzechwa i T. Żeromski

Iskry Warszawa 1957

Илья Ильф, Евгений Петров. ДВЕНАДЦАТЬ СТУЛЬЕВ

Okładkę i ilustracje projektował IGNACY WITZ

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1957 r. Nakład 20 000+205. Arkuszy wyd. 20,8 druk. 24.25 Papier druk. mat. V kl., 61X86 z fabryki w Skolwinie. Oddano do skład, we wrześniu 1956 r. Druk ukończono w styczniu

1957 Zakł. Graf. Dom Słowa Polskiego w Warszawie. Zam. 5564/A B-24



Dwanaście krzeseł

Część pierwsza
Stargorodzki lew

Rozdział I *Bezenczuk i „Nimfy”*

W powiatowym miasteczku N. była tak wielka ilość zakładów fryzjerskich i przedsiębiorstw pogrzebowych, iż mogło się wydawać, że mieszkańcy miasteczka rodzą się jedynie po to, aby się ogolić, ostrzyć, skropić włosy węzetałem i natychmiast umrzeć.

Tymczasem w powiatowym miasteczku N. ludzie dość rzadko przychodzili na świat, golili się i umierali. Życie miasteczka N. płynęło najspokojniej w świecie. Wiosenne wieczory były upajające, w blasku księżyca błoto lśniło jak antracyt, a cała miejscowa młodzież kochała się na zabój w sekretarce rady zakładowej Wydziału Gospodarki Komunalnej, który to stan rzeczy przeszkadzał jej w egzekwowaniu składek członkowskich.

Hipolit Matwiejewicz Worobianinow nie przejmował się zbyt zbytnio zagadnieniami miłości i śmierci, mimo iż z urzędu zajmował się nimi codziennie od dziewiątej rano do piątej po południu z półgodzienną przerwą na drugie śniadanie.

Co rano Hipolit Matwiejewicz wypijał kubek gorącego mleka, które mu podawała Kławdia Iwanowna, i wychodził z mrocznego domku na przestronną, zalaną osobliwym wiosennym światłem ulicę imienia towarzysza Gubernialnego.

Była to jedna z tych przemiłych ulic, jakie spotyka się w powiatowych miastach. Po lewej stronie za zielonkawymi, z nierównego szkła szybami srebrzyły się trumny zakładu pogrzebowego „Nimfa”. A na prawo za maleńkimi szybkami, z których poodpadał kit, ponuro spoczywały zakurzone i śmiertelnie smutne dębowe trumny mistrza cechu trumniarzy Bezenczuka. Dalej „mistrz cechu fryzjerów Pierre i Constantin” polecał swoim klientom „pielęgnację rąk” oraz „andulację po domach”. Nieco dalej mieścił się hotel z zakładem fryzjerskim, a za nim, na dużym, pustym placu stało żółte ciele i czule oblizywało opartą o samotnie sterczącą bramę zardzewiałą tabliczkę z napisem:

Zakład Pogrzebowy

„BYWAJCIE”

Mimo takiej obfitości zakładów pogrzebowych klientela ich nie była liczna. „Bywajcie” splajtowało na trzy lata przed osiedleniem się Hipolita Matwiejewicza w N., a mistrz Bezenczuk rozpił się i nawet pewnego razu usiłował zastawić w lombardzie swoją najlepszą wystawową trumnę.

Ludzie w miasteczku N. umierali rzadko, o czym Hipolit Matwiejewicz wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, ponieważ pracował w Urzędzie Stanu Cywilnego, gdzie prowadził dział rejestracji zgonów i ślubów.

Biurko, przy którym pracował Hipolit Matwiejewicz, przypominało starą grobową płytę. Lewy jego róg był całkowicie obgryziony przez szczury. Wątle nożyny biurka uginały się pod ciężarem teczek tabaczkowego koloru, wypchanych aktami, z których można było zaczerpnąć gruntowną wiedzę o rodowodach obywateli miasteczka N. tudzież o drzewach genealogicznych wyrosłych na ubogiej glebie powiatu.

W piątek 15 kwietnia 1927 roku, Hipolit Matwiejewicz obudził się jak zwykle o wpół do ósmej i od razu wetknął na nos staromodne o złotym uchwycie binokle. Okularów nie nosił. Pewnego dnia doszedł do wniosku, że noszenie binokli jest niehigieniczne i udał się do optyka, gdzie kupił okulary bez oprawy, jedynie z pozłacanymi drutami do zakładania za uszy. Okulary początkowo bardzo mu się podobały, ale żona uważała (było to na krótko przed jej śmiercią), że jest w nich kubek w kubek podobny do Milukowa², wobec czego podarował je stróżowi, który aczkolwiek wcale nie był krótkowidzem, przyzwyczał się do okularów i nosił je z wielką satysfakcją.

Paweł Milukow – przywódca liberalno-burżuazyjnej partii kadetów w Rosji carskiej. W r. 1917 – minister spraw zagranicznych w reakcyjnym Rządzie Tymczasowym.

- Bonjour! - zanucił wstając Hipolit Matwiejewicz. „Bonjour” świadczyło, że obudził się w dobrym usposobieniu. Jeśli natomiast po przebudzeniu się mówił „gut morgen”,

znaczyło to niezmiennie, że dokucza mu wątroba, że pięćdziesiąt dwa lata - to nie żarty oraz, że pogoda jest wilgotna.

Hipolit Matwiejewicz wciągnął na chude nogi przedwojenne sztuczkowe spodnie, przewiązał je w kostkach tasiemkami i wsunął stopy w krótkie, miękkie buty o wąskich kwadratowych nosach. Po upływie pięciu minut paradował już w księżycowej kamizelce, usianej drobnymi srebrnymi gwiazdkami, i w połyskliwej alpagowej marynareczce. Strzepnąwszy ze swej siwizny pozostałe po myciu kropelki wody, Hipolit Matwiejewicz groźnie poruszył wąsami, niezdecydowanie obmacał szorstki podbródek, przejechał szczotką po krótko ostrzyżonych aluminiowych włosach i układnym uśmiechem powitał wchodzącą właśnie do pokoju teściową - Kławdię Iwanownę.

- Ippo-liit - zagrzmiała teściowa - miałam dziś niedobry sen.

Wyraz „sen” został wymówiony z francuska.

Hipolit Matwiejewicz spojrzał z góry na teściową. Miał sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, co było okolicznością sprzyjającą i ułatwiającą mu traktowanie teściowej z pewną wyższością.

- Widziałam nieboszczkę Marię z rozpuszczonymi włosami, w złotej opasce - ciągnęła Kławdia Iwanowna.

Armatnie dźwięki głosu Kławdii Iwanowny wprawiły w drżenie żelazną lampę wraz z kulą pełną śrutu i zakurzonymi szklanymi wisiorami.

- Jestem bardzo niespokojna. Obawiam się, żeby się coś nie stało.

Ostatnie słowa wypowiedziane były tak głośno, że czworobok włosów na głowie Hipolita

Matwiejewicza zakołysał się tam i z powrotem. Hipolit Matwiejewicz skrzywił się i dobitnie powiedział:

- Nic się nie stanie, maman. Czy rachunek za wodę zapłacony?

Wyszło na jaw, że rachunek nie jest zapłacony, a także kalosze nie umyte.

Hipolit Matwiejewicz nie lubił swojej teściowej. Kławdia Iwanowna była głupia, a podeszły jej wiek nie rokował nadziei, że kiedykolwiek zmądrzeje. Była też nieprawdopodobnie skąpa i tylko niezamożność

Hipolita Matwiejewicza nie pozwalała rozwinąć się w pełni tej rozkosznej skłonności. Głos miała tak potężny i gruby, że mogłaby wzbudzić zazdrość Ryszarda Lwie-Serce, na którego krzyk konie przysiadają na zadach. A poza tym - i to było najgorsze - miewała sny. Miewała je nieustannie. Śniły się jej dziewice w opaskach, konie w dragońskich mundurach z żółtymi wypustkami, stróże grający na harfach, archaniołowie w stróżowskich kozuchach spacerujący nocą z kołatkami w dłoniach oraz druty do robótek, które samoistnie płaśły po pokoju, wydając żałośliwe dźwięki. Kławdia Iwanowna była staruchą bezdennie głupią. A na domiar wszystkiego pod nosem wyrosły jej wąsy jak dwa pędzle do golenia. Hipolit Matwiejewicz wyszedł z domu lekko zdenerwowany. Na progu swego podupadłego przedsiębiorstwa, oparty o framugę drzwi, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, stał mistrz cechu trumniarzy Bezenczuk. Nieustanne bankructwa jego przedsiębiorstwa handlowego i systematyczne zażywanie napojów rozgrzewających sprawiły, że oczy mistrza stały się jaskrawożółte jak u kota i gorzały nieustannym ogniem.

- Uszanowanie drogiemu klientowi! - zaterkotał szybko na widok Hipolita Matwiejewicza. - Dobry dzionek!

Hipolit Matwiejewicz grzecznie uchylił poplamionego filcowego kapelusza.

- Jak tam zdroweczko szanownej teściowej, jeśli wolno zapytać?

- Mr-mr-mr... - niewyraźnie odpowiedział Hipolit Matwiejewicz, wzruszył kanciastymi ramionami i oddalił się.

- Ano, daj jej Boże zdrowko - z goryczą powiedział Bezenczuk - wciąż tylko same straty, pieska ich niebieska!

Skrzyżował ręce na piersiach i znów oparł się o drzwi. U wrót zakładu pogrzebowego „Nimfa” Hipolit Matwiejewicz znowu został zatrzymany.

Właściciele „Nimfy” było aż trzech. Wszyscy trzej równocześnie ukłonili się Hipolitowi

Matwiejewiczowi i chórem zapytali o zdrowie teściowej.

- Zdrowa, zdrowa - odpowiedział Hipolit Matwiejewicz - a co ma jej być? Dzisiaj przyśniło jej się dziewczę złotowłose, rozwiane. Takie miała senne widzenie.

Trzy „Nimfy” spojrzały na siebie i głośno westchnęły. Wszystkie te rozmowy zatrzymały Hipolita

Matwiejewicza w drodze i dlatego, wbrew zwyczajowi, zjawił się w biurze w chwili, kiedy zegar wiszący powyżej tabliczki z napisem: „Załatw sprawę i żegnaj” wskazywał pięć po dziewiątej.

Z powodu wspaniałego wzrostu, a zwłaszcza z powodu wąsów, Hipolita Matwiejewicza przezwano w biurze Macistem³ aczkolwiek prawdziwy Maciste wcale wąsów nie nosił.

Hipolit Matwiejewicz wyjął z szuflady biurka granatową wołokową podkładkę, położył ją na krześle, nadał wąsom prawidłowy kierunek (równoległy do biurka) i usiadł na podkładce, górując nieco nad trojgiem swoich współpracowników. Hipolit Matwiejewicz posługiwał się granatowym wołokiem nie z obawy przed hemoroidami, tylko ze strachu, żeby nie przetrzeć spodni.

Wszystkie te czynności radzieckiego urzędnika nieśmiało obserwowało dwoje młodych ludzi: mężczyzna i dziewczę. Mężczyzna w sukiennej wutowanej kurtce był wyraźnie przytłoczony urzędową atmosferą, zapachem alizarynowego atramentu, zegarem, który sapał szybko i ciężko, a zwłaszcza surowym wezwaniem: „Załatw sprawę i żegnaj”. Mężczyzna miał wyraźnie ochotę pożegnać urząd, aczkolwiek sprawy swojej jeszcze nawet nie rozpoczął. Sprawa, z którą przyszedł, wydała mu się tak mało ważna, że po prostu wstyd byłoby zwracać nią głowę tak dostojnemu siwemu obywatelowi, jak

Hipolit Matwiejewicz. Hipolit Matwiejewicz ze swej strony także domyślał się, że sprawa przybyłego jest błaha, że nie pali się, toteż otworzył skoroszyt nr 2 i zagłębił się w papierach.

Dziewczę w długim żakiecie obszytym czarną błyszczącą tasiemką poszeptowało z mężczyzną i płonąć z zawstydzenia zaczęło powoli przysuwać się do Hipolita Matwiejewicza.

- Towarzyszu - powiedziała - gdzie tu można...

Mężczyzna w kurtce odetchnął z ulgą i niespodziewanie dla samego siebie wykrzyknął:

- Spisać akt!

Hipolit Matwiejewicz uważnie spoglądał na barierkę, za którą stała para młodych ludzi.

- Urodzenia czy śmierci? - zapytał.
- ślubu - odparł mężczyzna i bezradnie rozejrzał się dokoła.

Maciste - słynny atleta włoski, który występował w wielu filmach awanturniczokryminalnych.

Dziewczyna parsknęła śmiechem. Dalej poszło już jak po maśle. Hipolit Matwiejewicz ze zręcznością sztukmistrza zabrał się do dzieła. Starczym piórem wpisał nazwiska nowożeńców do grubej księgi, surowo przesłuchiwał świadków, po których narzeczona skoczyła na podwórko, długo i pieczołowicie chuchał na kwadratowe pieczęcie, po czym uniósł się lekko z krzesła i przyłożył pieczęcie na postrzępionych paszportach; zainkasował od nowożeńców dwa ruble i wystawił pokwitowanie, mówiąc z uśmiechem: „To za dopełnienie sakramentu” - i wyprostował się na całą długość swego wspaniałego wzrostu, z przyzwyczajenia wypinając pierś (w swoim czasie nosił gorset). Szerokie, żółte promienie słońca złociły mu się na ramionach jak epolety. Wygląd miał nieco śmieszny, ale niezwykle uroczysty. Wklęsłe szkła binokli jarzyły się białym światłem niczym reflektory. Nowożeńcy stali jak baranki.

- Młodzi małżonkowie - oświadczył Hipolit Matwiejewicz napuszczonym stylem - pozwolicie, że złożę wam życzenia z okazji, jak to się dawniej mówiło, zawarcia świętego związku małżeńskiego. Wielka, wie-elka to radość widzieć parę takich młodych jak wy ludzi, którzy, trzymając się za ręce, dążą do osiągnięcia odwiecznych ideałów. Wielka, wie-elka to radość!

Po wygłoszeniu tej tyrady Hipolit Matwiejewicz uściśnął dłonie nowożeńcom, usiadł i wielce z siebie zadowolony kontynuował odczytywanie aktów zawartych w skoroszycie nr 2.

Urzednicy przy sąsiednim stole parsknęli w kałamarze... Urzędowy dzień potoczył się zwykłym trybem. Nikt nie zakłócał spokoju biura rejestracji zgonów i ślubów. Przez okno można było zobaczyć, jak obywatele miasteczka, kuląc się na wiosennym przejmującym chłodzie, rozchodzą się do domów.

Punktualnie o dwunastej w południe zapiał kogut w spółdzielni „Pług i Młot”; Nikogo to nie zdziwiło.

Następnie rozległ się metaliczny terkot i klekot motoru. Z ulicy im. tow. Gubernialnego buchnął potężny kłęb fioletowego dymu. Terkot wzmacniał się. Wkrótce z kłębów dymu wyłoniły się kontury, należące do Powkomwyku4 automobilu Państwowej Fabryki nr 1, z miniaturową chłodnicą i z potężną karoserią. Samochód, grzęznąc w błocie, przeciął plac Staropański i kołyszając się zniknął w kłębach trującego dymu. Urzednicy długo jeszcze stali przy oknie komentując to wydarzenie i dopatrując się w związku z nim możliwości kompresji etatów.

W jakiś czas potem po drewnianym mostku nad rynsztokiem ostrożnie przeszedł mistrz Bezenczuk.

Po całych dniach obijał się po mieście, węsząc czy ktoś nie umarł.

Dzień urzędowania zbliżał się ku końcowi. Na pobliskiej biało-żółtej dzwonnicy z całej siły uderzono w dzwon. Aż szyby zadrżały. Z dzwonnicy poderwało się stado wron,

które odbywały nad placem wiec i odleciały. Wieczne niebo stygło nad opustoszałym placem.

Hipolit Matwiejewicz zbierał się do wyjścia. Wszyscy, którzy mieli się urodzić tego dnia, urodzili się i zostali wpisani do grubych ksiąg. Wszyscy, którzy pragnęli zawrzeć związek małżeński, zawarli go i także zostali wpisani do grubych ksiąg. I tylko, ku oczywistej ruinie trumniarzy, nie było ani jednego wypadku śmierci.

Hipolit Matwiejewicz złożył akta, schował do szuflady podkładkę z wołoku, rozczesał grzebykiem wąsy i marząc o talerzu gorącej zupy, już miał zamiar wyjść, gdy drzwi kancelarii otwały się i w progu stanął mistrz cechu trumniarzy Bezenczuk.

- Witam szanownego klienta! - uśmiechnął się Hipolit Matwiejewicz. - Co słychać?

Mimo że zakazana gęba mistrza promieniowała wprost w zapadającym mroku, nie mógł jakoś wydobyć z siebie słowa.

Powkomwyk – Powiatowy Komitet Wykonawczy

- A więc?... - spytał Hipolit Matwiejewicz nieco ostrzej.

- A czyż to „Nimfa”, pieska jej niebieska, może dawać przyzwoity towar? - mętnie mówił mistrz trumniarski. - Czy może zadowolić klienta? Ile to samego drzewa na taką trumnę wychodzi?

- Co takiego? - spytał Hipolit Matwiejewicz.

- Ano, niby „Nimfa”... Przecież tam trzy rodziny żyją z jednego sklepiku. Takim prawem materiał muszą dawać gorszy i wykończenie tandetne, i frędzle mizerne, pieska ich niebieska. A moja firma stara. W 1907 roku założona. Moja trumna - cukiereczek, doborowa, na amatora...

- Zwariowałaś? - spytał Hipolit Matwiejewicz dobrotliwie i skierował się do wyjścia. - Fijoła dostaniesz między tymi trumnami.

Bezenczuk z nadskakującą grzecznością szarpnął drzwi, przepuścił przodem Hipolita Matwiejewicza, a sam szedł krok w krok za nim drżąc jak gdyby z niecierpliwości.

- Ostatecznie, póki jeszcze egzystowało „Bywajcie”, to trudno! żadna firma, nawet w samym Twerze, nie mogła z nią konkurować, taki dawali brokat, pieska ich niebieska. Ale teraz śmiało mogę powiedzieć, że nie ma lepszego towaru niż mój. Szkoda nawet szukać!

Hipolit Matwiejewicz obejrzał się zirytowany, przez chwilę z gniewem spoglądał na Bezenczuka i ruszył nieco szybciej w dalszą drogę. Pomimo że w biurze nie spotkała go żadna przykrość, poczuł się dość niewyraźnie.

Trzej współwłaściciele „Nimfy” stali na progu swego przedsiębiorstwa dokładnie w tych samym pozach, w jakich Hipolit Matwiejewicz zostawił ich dziś rano. Można by przypuszczać, że od rana nie zamienili między sobą ani słowa, ale uderzająca zmiana w wyrazie ich twarzy, ukryta radość podejrzanie wyczynająca z ich oczu, wskazywała na to, że doszły ich jakieś ważne wieści.

Na widok swoich handlowych konkurentów Bezenczuk desperacko machnął ręką, przystanął i rzucił szeptem za oddalającym się Worobianinowem:

- Oddam za trzydzieści dwa rubelki.

Hipolit Matwiejewicz skrzywił się i przyśpieszył kroku.

- Może być na kredyt - dorzucił Bezenczuk.

Jeśli chodzi o właścicieli „Nimfy”, to ci nic nie mówili. W milczeniu szli za Worobianinowem, nieustannie zdejmując czapki i kłaniając się uprzejmie.

Rozgniewany idiotyczną natarczywością trumniarzy, Hipolit Matwiejewicz szybciej niż zwykle wbiegł na ganek, nerwowo wytarł o stopień schodów buty z błota i czując gwałtowny przypływ apetytu, otworzył drzwi do sieni. W tej samej chwili z pokoju naprzeciwko wyszedł rozgorączkowany pop z cerkwi Froła i Ławra, ojciec Fiodor. Prawą ręką przytrzymywał fałdy riasy i nie zwracając uwagi na

Hipolita Matwiejewicza, pobiegł do wyjścia.

Dopiero teraz Hipolit Matwiejewicz zauważył, że pokój jest sprzątnięty niezwykle starannie, spozregł jakąś nową, uderzającą zmianę w rozstawieniu nielicznych mebli i poczuł łaskotanie w nosie wywołane silnym zapachem lekarstw.

Riasa – szata duchownego cerkwi prawosławnej.

W pierwszym pokoju Hipolit Matwiejewicz zastał sąsiadkę, żonę agronoma Kuzniecowa, która zamachała rękami i powiedziała szeptem:

- Stan jest gorszy, właśnie przed chwilą wypowiadała się. Proszę nie stukać butami.
- Ja nie stukam - z pokorą powiedział Hipolit Matwiejewicz. - Ale co się tu stało?

Pani Kuzniecowa ściągnęła wargi i ręką wskazała drzwi prowadzące do drugiego pokoju.

- Ciężki atak serca.

Po czym, najwyraźniej powtarzając czyjeś słowa, których powaga bardzo jej imponowała, dorzuciła:

- Nie jest wykluczona możliwość zejścia śmiertelnego. Cały dzień jestem dziś na nogach. Przychodzę rano po maszynkę do mięsa, patrzę - drzwi otwarte, w kuchni nie ma nikogo, w tym pokoju też pusto, ale myślałam, że Kławdia Iwanowna poszła po mąkę na ciasto wielkanocne. Już wczoraj się wybierała.

A teraz z mąką, sam pan przecież wie, że jak nie kupić zawczasu...

Pani Kuzniecowa długo jeszcze opowiadałaby o mące, o drożyznie, o tym, jak znalazła Kławdię

Iwanownę kompletnie nieżywą, leżącą pod kaflowym piecem. Ale jęk, który dobiegł z sąsiedniego pokoju, boleśnie przeszył uszy Hipolita Matwiejewicza. Szybko przeżegnał się lekko zmartwiałą ręką wszedł do pokoju teściowej.

Rozdział II Zgon madame Pietuchowej

Kławdia Iwanowna leżała na wznak z jedną ręką podłożoną pod głowę. Na głowie miała czepek koloru ciemnomorelowego, który był modny, w którymś tam roku, kiedy panie stroiły się w chantedclair'y i dopiero zaczynały tańczyć argentyński taniec „tango”

Oblicze Kławdii Iwanowny było uroczyste, ale absolutnie nic nie mówiące. Oczy miała utkwione w sufit.

- Kławdio Iwanowna! - zawołał Worobianinow.

Teściowa zaczęła szybko poruszać wargami, ale zamiast tubalnych dźwięków, do których przywykło ucho Hipolita Matwiejewicza, rozległ się jęk cichy, cienki i tak żałosny, że serce Hipolita

Matwiejewicza ścisnęło się boleśnie. Błyszcząca łza niespodziewanie wymknęła się spod jej powieki i niby kuleczka rtęci szybko stoczyła się po policzku.

- Kławdio Iwanowna - powtórzył Worobianinow - co się pani stało?

Ale i teraz nie otrzymał odpowiedzi. Chora zamknęła oczy i obróciła się nieco na bok. Do pokoju cicho weszła agronomowa i wyprowadziła Hipolita Matwiejewicza za rękę, jak małego chłopca, którego prowadzą do mycia.

- Zasnęła. Doktor zalecił absolutny spokój. A pan, mój drogi, pójdzie teraz do apteki. Tu jest kwit na lekarstwo i proszę też zapytać, ile kosztuje pęcherz do lodu.

Hipolit Matwiejewicz całkowicie podporządkował się pani Kuzniecowa, czując jej niezaprzeczalną wyższość w tego rodzaju sprawach.

Do apteki był spory kawałek drogi. Hipolit Matwiejewicz po sztubacku zacisnął w dłoni receptę i pośpiesznie wyszedł na ulicę.

Było już prawie ciemno. Na tle dogasającej zorzy, oparta o jodłową furtkę, widniała wąła postać mistrza cechu trumniarzy Bezenczuka, który posilał się chlebem z cebulą. Tuż obok siedziały w kucki trzy „Nimfy” i oblizując łyżki, wyjadały z żelaznego saganka gryczaną kaszę. Na widok Hipolita

Matwiejewicza trumniarze stanęli na baczność jak żołnierze. Bezenczuk pogardliwie wzruszył ramionami i wskazując ręką na konkurentów mruknął: - Plączą się tu pod nogami, pieska ich niebieska.

Na środku placu Staropańskiego pod popiersiem poety Żukowskiego z wyrytym na cokole napisem:

„Poezja to Bóg w świętych marzeniach ziemi”, toczyły się ożywione rozmowy wywołane wieścią o ciężkiej chorobie Kławdii Iwanowny. Ogólna opinia zebranych tu mieszkańców miasteczka sprowadzała się do tego, że „wszyscy tam pójdziemy” i że „Bóg daje, Bóg bierze”.

Fryzjer „Pierre i Constantin”, równie ochoczo skądinąd reagujący na imię Andriej Iwanowicz, i w tym wypadku nie pominął okazji popisania się swoimi wiadomościami w dziedzinie medycyny, których źródłem było moskiewskie czasopismo „Ogoniok”.

- Nauka współczesna - mówił Andriej Iwanowicz - przekracza granice wszelkiej możliwości.

Wyobraźcie sobie, dajmy na to, klientowi wyskoczył pryszcz na brodzie. Dawniej kończyło się zakażeniem krwi. A obecnie, powiadają - nie wiem, czy to prawda - że w Moskwie dla każdego klienta mają osobny sterylizowany pędzel.

Obywatele westchnęli z powątpiewaniem.

- Coś ty tu, Andrieju, żdziebko bujasz...

- Kto to słyszał, żeby dla każdego był osobny pędzel? Coś podobnego!

Był inteligent pracujący, a obecnie straganiarz Prusis zdenerwował się:

- Za pozwoleniem, Andrieju Iwanowiczu, według ostatniego spisu Moskwa ma przeszło dwa miliony mieszkańców. Znaczą, że trzeba przeszło dwa miliony pędzli? To dość oryginalne.

Rozmowa zaczęła przybierać coraz ostrzejszą formę i diabli wiedzą do czego by doszło, gdyby nie to, że na końcu ulicy Osypnej ukazał się biegnący stępa Hipolit Matwiejewicz.

- Znów pognął do apteki. Widać sprawa źle się przedstawia.

- Umrze stara. Bezenczuk nie po próżnicy po mieście lata jak nieprzytomny.

- A co mówi doktor?

- Jaki tam doktor? Alboż to w Ubezpieczalni są doktorzy? Nawet zdrowego do grobu wpędzą!

„Pierre i Constantin”, którego już dawno ponosiło, żeby utrać komunikat na temat medycyny, powiedział rozglądając się lękliwie:

- Teraz grunt to hemoglobina.

Co powiedziawszy „Pierre i Constantin” zamilkł.

Zamilkli też obywatele i każdy na swój sposób zastanawiał się nad tajemniczą potęgą hemoglobiny.

Kiedy wypłynął księżyc i jego miętowe światło opromieniło miniaturowe popiersie żukowskiego, na miedzianych plecach poety wyraźnie dawało się odczytać napisane kredą nieprzyzwoite słówko.

Po raz pierwszy tego rodzaju napis zjawił się na popiersiu 15 czerwca 1897 roku w nocy, która nastąpiła bezpośrednio po odsłonięciu pomnika. I pomimo usilnych zabiegów funkcjonariuszy policji, a następnie milicji, profanujący napis zjawiał się każdego dnia z niezmienną regularnością.

W drewnianych domkach z okiennicami śpiewały już samowary. Zbliżała się pora kolacji. Aby nie tracić czasu na próżno, obywatele rozeszli się. Zerwał się wiatr.

W tym samym czasie Kłaudia Iwanowna konała. Prosiła pić, to znów mówiła, że musi wstać i pójść odebrać odświętne sztyblety Hipolita Matwiejewicza, które dała do naprawy, po chwili uskarżała się na kurz, od którego, jak mówiła, można się udusić; to znów prosiła, żeby zapalić wszystkie lampy.

Hipolit Matwiejewicz, którego męczyło już takie napięcie nerwowe, spacerował po pokoju. W głowie jego kłębiły się nieprzyjemne myśli o sprawach praktycznych. Myślał o tym, że będzie musiał wziąć zaliczkę w kasie samopomocy, sprowadzić popa, odpowiadać na kondolencyjne listy krewnych, żeby się trochę rozerwać, wyszedł na ganek. W seledynowej poświacie księżyca stał mistrz cechu trumniarzy Bezenczuk.

- Więc co pan rozkaże, panie Worobianinow? - spytał mistrz przyciskając czapkę do piersi.

- Ano trudno, szukuj - ponuro odparł Hipolit Matwiejewicz.

- A czyż to „Nimfa”, pieska jej niebieska, daje przyzwoity towar? - ożywił się Bezenczuk.

- A idźże do diabła! Nudziarz!

- Ależ nie. Ja tylko w sprawie chwastów i brokateli. Jak mam szukować, pieska jej niebieska? Pierwszy gatunek, prima? Czy jak?

- Żadnych chwastów ani brokatów. Zwykła drewniana trumna. Sosnowa. Rozumiesz?

Bezenczuk położył palec na ustach dając w ten sposób znak, że wszystko rozumie, odwrócił się i zataczając się mimo balansowania czapką, ruszył do domu. Dopiero teraz Hipolit Matwiejewicz zauważył, że mistrz trumniarski jest pijany jak bela.

Hipolit Matwiejewicz znowu poczuł się bardzo niewyraźnie. Nie mógł sobie wyobrazić, jak będzie wracał do pustego, zaśmieconego mieszkania. Wydawało mu się, że z chwilą śmierci teściowej będzie musiał wyrzec się nawet tych skromnych wygód, z takim trudem zdobytych po rewolucji, która ograbiła go z wielkich wygód i zmusiła do zrezygnowania z pańskich nawyków. „Może ożenić się? - pomyślał Hipolit Matwiejewicz. - Ale z kim? Z siostrzenicą komendanta milicji, Warwarą Stiepanowną czy z siostrą Prusisa. A może wziąć pracownicę domową? Wykluczone! Zacznie się ciągnięcie po sądach. I koszt duży”

Hipolit Matwiejewicz ujrzał nagle życie w czarnych kolorach. Pełen żalu i zniechęcenia do całego świata wrócił znów do domu.

Tymczasem Kławdia Iwanowna odzyskała świadomość. Leżąc wysoko na poduszkach, patrzyła na

Hipolita Matwiejewicza całkiem przytomnie i jak mu się zdawało, niemal surowo.

- Hipolicie - wyszeptała z naciskiem - usiądź przy mnie. Muszę ci coś powiedzieć...

Hipolit Matwiejewicz dość niechętnie usiadł, wpatrując się w wychudłą, wąsatą twarz teściowej.

Usiłował uśmiechnąć się i powiedzieć coś pocieszającego. Ale uśmiech wypadł dość dziwnie, a słów otuchy także nie mógł jakoś znaleźć. Z gardła Hipolita Matwiejewicza wyrwał się tylko niedorzeczny pisk.

- Hipolicie - powtórzyła teściowa - czy przypominasz sobie nasz komplet z salonu?

- Jaki? - spytał Hipolit Matwiejewicz z uprzedzającą grzecznością, możliwą tylko w stosunku do ludzi ciężko chorych.

- Ten... Obity angielskim kretonem...

- Aha, ten w moim domu?

- Tak, w Stargorodzie...

- Pamiętam, doskonale pamiętam... Kanapa, tuzin krzeseł i okrągły stolik na sześciu nóżkach. To były doskonałe meble, od Gambsa6... A dlaczego mamana o tym wspomina?

Ale Kławdia Iwanowna nie mogła odpowiedzieć. Twarz jej pomału zaczęła szarzeć. Hipolitowi

Matwiejewiczowi także, ni z tego, ni z owego, zaparło dech. Wyraźnie przypomniał sobie salon w swoim pałacyku: symetrycznie rozstawione orzechowe meble na giętych nóżkach, lśniąca wywoskowana posadzka, stary mahoniowy fortepian, a na ścianach, w owalnych czarnych ramach, dagerotypy wysoko postawionych krewnych.

Nagle Kławdia Iwanowna drewnianym, obojętnym głosem powiedziała:

- W siedzeniu krzesła zaszyłam moje brylanty.

Hipolit Matwiejewicz zerknął na teściową.

- Jakie brylanty? - spytał machinalnie, ale od razu oprzytomniał. - To nie zabrali ich wtedy podczas rewizji?

- Zaszyłam brylanty w krześle - z uporem powtórzyła stara.

Hipolit Matwiejewicz zerwał się, popatrzył na spokojne oblicze Kławdii Iwanowny oświetlone naftową lampą i zrozumiał, że to nie maligna.

- Brylanty mamam! - zawołał i przestraszył się siły własnego głosu. - W krześle! Kto podsunął mamam taki pomysł? Dlaczego mamam mnie ich nie dała?

- Jakże mogłam ci je dać, skoro przepuściłaś cały majątek mojej córki? - ze spokojną złościwością powiedziała Kławdia Iwanowna.

Hipolit Matwiejewicz usiadł, ale natychmiast znowu wstał. Fale krwi z szumem przepływały przez całe jego ciało. Zaczęło mu huczeć w głowie.

- Ale chyba mamam wyjęła je stamtąd?

Stara zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie zdążyłam. Przypomnij sobie, jak nagle i niespodziewanie musieliśmy uciekać. Zostały w krześle, które stało pomiędzy lampą z terrakoty a kominkiem.

- Przecież to szaleństwo! Wykapana córeczka! - krzyknął Hipolit Matwiejewicz na cały głos.

Gambs Henryk – znakomity stolarz petersburski na początku XIX w.

I nie licząc się wcale z tym, że znajduje się przy łożu konającej, z trzaskiem odsunął krzesło i zaczął chodzić po pokoju. Stara obojętnie śledziła jego ruchy.

- A czy mamam przynajmniej domyśla się, gdzie te krzesła mogą być? A może wyobraża sobie, że stoją spokojniutko w moim salonie i czekają, aż mamam przyjdzie zabrać swoje precjoza?

Stara nic na to nie odrzekła.

Kierownikowi Urzędu Stanu Cywilnego z wściekłości spadły z nosa binokle, błysnęły złotem w okolicy kolan i trzasnęły o podłogę.

- Niesłychane! Wpakować w krzesło brylanty wartości siedemdziesięciu tysięcy! W krzesło, na którym nie wiadomo kto siada!...

Ale w tej chwili Kławdia Iwanowna wyprężyła się i całym ciałem przesunęła się na brzeg łóżka. Ręka jej zatoczyła łuk, próbując uczepić się Hipolita Matwiejewicza, ale natychmiast opadła na pikowaną fioletową kołdrę.

Hipolit Matwiejewicz, skomląc z przerażenia, pobiegł do sąsiadki.

- Zdaje się, że umiera!

Sąsiadka rzeczowo przeżegnała się i nie kryjąc ciekawości, wraz z mężem, brodatym agronomem, pobiegła do mieszkania Hipolita Matwiejewicza. Natomiast oszołomiony Worobianinow znalazł się w parku miejskim.

Podczas gdy agronomowa przy pomocy męża i służącej porządkowała pokój zmarłej, Hipolit

Matwiejewicz błądził po parku potykając się o ławki i wpadając na zziębnięte, oddające się wczesnej wiosennej miłości parki, które brał za krzaki.

W głowie Hipolita Matwiejewicza działo się dużo wie co. Dźwięczały tam cygańskie chóry, piersiasta damska orkiestra bez przerwy grała tango „Amapa”, marzyła mu się Moskwa w zimie i długi, czarny kłusak z pogardą parszczący na pieszych przechodniów.

Wyobrażał sobie mnóstwo rzeczy: pomarańczowe, zawrotnie drogie kalesony, kłaniających się w pas lokajów i ewentualny wyjazd do Cannes.

Hipolit Matwiejewicz zwolnił kroku i nagle potknął się o ciało mistrza cechu trumniarzy Bezenczuka.

Mistrz, otulony w kożuszek, spał leżąc w poprzek ścieżki. Potrącony obudził się, kichnął i zerwał się ochoczo.

- Niech pan będzie zupełnie spokojny, panie Worobianinow - powiedział z ożywieniem, jakby prowadził dalszy ciąg rozmowy. - Trumny na kolanie się nie robi.

- Kławdia Iwanowna umarła - oświadczył klient.

- Ano to świeć Panie nad jej duszą - zgodził się Bezenczuk. - A więc staruszka przeniosła się do wieczności... Staruszki zawsze przenoszą się do wieczności... Albo oddają duszę Bogu - to zależy od staruszki. Pańska teściowa, na przykład, mała a zażywna - znaczy - „przeniosła się do wieczności”. A która tam wysoka a chuda - to uważa się, że „Bogu oddała duszę...”

- Co to znaczy, uważa się? Gdzie się tak uważa?

- U nas tak się uważa. U majstrów. Pan, na przykład, mężczyzna postawny, słusznego wzrostu, chociaż chudy. O panu, jakby pan, nie daj Boże, umarł, powie się, że pan „trzasnął”. A jak znów chodzi o człowieka handlowego, z byłej branży kupieckiej, to o takim mówią, że „przejechał się”. A jak znów jakiś niższy urzędem, stróż, na przykład, albo chłop, to się o nim mówi: „odwalił kite” lub „wyciągnął kopyta”. A jak umiera ktoś naprawdę znaczny, konduktor kolejowy albo jakaś inna władza, to nazywa się, że szlag go trafił”. Akuratnie tak się o nich mówi: „Słyszałeś, że naszego starego szlag trafił”.

Wstrząśnięty tą nieco dziwną klasyfikacją ludzkich śmierci, Hipolit Matwiejewicz spytał:

- A jak ty umrzesz, to jak o tobie majstrowie powiedzą?

- Ja jestem człowiek skromny. „A to się Bezenczuk zawinął”, powiedzą. I wystarczy.

I poważnie dodał:

- Ja bym nie mógł trzasnąć ani szlag by mnie nie mógł trafić - jestem na to za mało ważny... A co będzie z trumną, panie Worobianinow? Wystawi pan tak bez brokatu i bez frędzli?

Ale Hipolit Matwiejewicz znów utonął w olśniewających marzeniach i nie odpowiadając na pytanie, ruszył przed siebie. Bezenczuk szedł za nim obliczając coś na palcach i jak zwykle mrucząc pod nosem.

Księżyc dawno już zaszedł. Było mroźno jak w zimie. Kałuże na nowo pokryły się kruchym jak wafel lodem. Na ulicy imienia towarzysza Gubernialnego, na której znaleźli się nasi wędrownicy, wiatr wojował z szyldami. Od strony placu Staropańskiego z hałasem podobnym do opuszczanej żaluzji nadjechał wóz strażacki zaprzężony w chude szkapki.

Strażacy zwiesili z wozu drelichowe nogi i kiwając w takt głowami w kaskach, śpiewali umyślnie fałszywymi głosami:

Niech żyje nasz komendant,

Nasz kochany towarzysz Nasosow, niech ży-y-je!

- Hulali na weselu Kolki, syna komendanta - obojętnie zauważył Bezenczuk i pod kożuchem podrapał się w pierś. - Więc mam szykować bez brokateli i bez niczego?

W tej właśnie chwili Hipolit Matwiejewicz powziął ostateczne postanowienie. „Pojadę - zdecydował - odnajdę. A potem zobaczymy”. I w brylantowych marzeniach nawet nieboszka teściowa wydała mu się o wiele sympatyczniejsza, niż była w rzeczywistości. Odwrócił się do Bezenczuka i powiedział:

- Pal diabli! Szykuj! Z brokatelą! Z chwastami!

Rozdział III Zwierciadłogrzeszніка

Po wypowiedzianiu konającej Kłaudii Iwanowny, ojciec Fiodor Wostrikow, pop w cerkwi Froła i Ławra, opuścił mieszkanie Worobianinowa niesłychanie podekscytowany. W drodze powrotnej do domuz roztargnieniem rozglądał się na wszystkie strony i uśmiechał się niepewnie. Pod koniec drogi oztargnienie jego osiągnęło taki stopień, że o mały włos nie dostał się pod koła samochodu

Państwowej Fabryki nr 1, należącej do Powkomwyku. Gdy ojciec Fiodor wygramolił się z fioletowych oparów wypuszczanych przez piekielną maszynę, wpadł w stan takiego rozprężenia, że, nie bacząc na swój szacowny stan oraz dojrzały wiek, resztę drogi przebiegł frywolnym półgalopem.

Małżonka jego Katarzyna Aleksandrowna nakrywała do kolacji. W dni wolne od nocnych nabożeństw ojciec Fiodor lubił wieczerać wcześniej. Tym razem jednak zdjął kapelusz oraz ciepłą riasę na watolinie i szybko pobiegł do sypialni, zamknął się na klucz i ku wielkiemu zdumieniu małżonki zduszonym głosem zaczął wyśpiewywać: „Chwała niebiosom”.

Małżonka przysiadła na brzegu krzesła i z lękiem wyszeptała:

- Znowu jakiś interes obmyślił...

Duch inicjatywy nie opuszczał ojca Fiodora. Nie opuszczał go zresztą nigdy. Ani wtedy, kiedy jako mały Fiedia chodził do szkoły duchownej, ani wtedy, gdy jako wąsaty Fiodor Iwanowicz uczęszczał do seminarium. Z seminarium Wostrikow przeniósł się na uniwersytet, gdzie trzy lata studiował prawo, a w roku 1915, w obawie przed mobilizacją, znów wstąpił na drogę duchowną. Początkowo spełniał obowiązki diakona, potem przyjął święcenia kapłańskie i został skierowany do powiatowego miasta

N. Ale na wszystkich etapach swojej kariery, zarówno świeckiej jak i duchownej, ojciec Fiodor pozostał zawsze człowiekiem łasym na pieniądze.

Ojciec Wostrikow marzył o własnej fabryce świec. Targany wizjami ogromnych fabrycznych szpul z nawiniętymi grubymi woskowymi knotami, ojciec Fiodor wpadał na najrozmaitsze pomysły, których realizacja miała mu dostarczyć zarówno zakładowych, jak i obrotowych kapitałów do nabycia dawno upatrzonej w Samarze fabryczki.

Pomysły objawiały mu się nagle i niespodziewanie, po czym natychmiast brał się do dzieła. Tak więc zaczął wyrabiać mydło do prania. Nagotował kilka pudów, ale chociaż zawierało ono pokaźny procent tłuszczu, nie chciało się mydlić, a na dodatek było trzykrotnie droższe niż mydło ze spółdzielni „Pług i

Młot”. Potem mydło długo rozmiękało i rozkładało się w sieni; a Katarzyna Aleksandrowna, przechodząc obok niego, zalewała się łzami. W rezultacie wyrzucono je na śmietnik.

Innym razem ojciec Fiodor przeczytał w jakimś czasopiśmie dla hodowców, że mięso królików jest tak samo delikatne jak mięso kurcząt, że króliki rozmnażają się masowo oraz że hodowla ich może dać zapobiegliwemu hodowcy niemałe zyski. Ojciec Fiodor niezwłocznie zaopatrzył się w pół tuzina reproduktorów, a już w dwa miesiące później pies Nero, przerażony niesamowitą ilością uszastych stworzonek, których pełno było na podwórku i w domu, zbiegł w niewiadomym kierunku.

Niewdzięczni mieszkańcy miasteczka N. okazali się nad wyraz konserwatywni i z rzadko spotykaną solidarnością nie nabyli od Wostrikowa ani jednego królika. Wtedy ojciec Fiodor naradził się z żoną i wspólnie postanowili wzbogacić swój jadłospis mięsem królików, które są smaczniejsze niż kurczęta.

Przyrządzano z królików pieczeń, zrazy, mielone kotleciki; gotowano rosół z królików, podawano je do kolacji na zimno oraz zapiekane w cieście. Ale na nic się to nie zdało. Ojciec Fiodor obliczył, że gdyby nawet jadali wyłącznie króliki, to cała rodzina może skonsumować w ciągu miesiąca najwyżej czterdzieści sztuk, podczas gdy przyrost ich wynosi dziewięćdziesiąt sztuk na miesiąc, przy czym cyfra ta z każdym miesiącem będzie wzrastała w postępie geometrycznym.

W tym stanie rzeczy Wostrikowowie postanowili wydawać domowe obiady. Ojciec Fiodor przez cały wieczór wypisywał chemicznym ołówkiem na starannie przyciętych arkusikach kratkowanego papieru ogłoszenia o smacznych obiadach domowych na świeżym maśle. Ogłoszenie zaczynało się od słów:

„Tanio i smacznie”. Katarzyna Aleksandrowna rozrobiła w miseczce mąkę na klajster i późnym wieczorem ojciec Fiodor porozlepił ogłoszenia na wszystkich słupach telegraficznych oraz w pobliżu biur i urzędów.

Nowa impreza miała wielkie powodzenie. Już pierwszego dnia zjawiło się siedem osób, w tej liczbie szef kancelarii Komendantury Wojskowej Bendin oraz kierownik jednej z sekcji Wydziału Gospodarki

Komunalnej Kozłów, dzięki któremu rozebrano niedawno jedyną w mieście budowlę zabytkową, mianowicie łuk triumfalny z czasów carowej Elżbiety, ponieważ, zdaniem Kozłowa, tamował ruch liczny. Obiad bardzo wszystkim smakował. Nazajutrz zjawiło się czternaście osób. Nie można było nadążyć z obdzieraniem królików ze skóry. Przez cały tydzień interes prosperował znakomicie i ojciec

Fiodor zaczął już zastanawiać się nad założeniem skromnego przedsiębiorstwa garbarskiego, kiedy zdarzył się zupełnie nieprzewidziany wypadek.

Spółdzielnia „Pług i Młot”, która już od trzech tygodni była zamknięta z powodu remanentu, została otwarta i pracownicy handlu społecznego, sapiąc z wysiłku, wytoczyli na wspólnie z ojcem

Fiodorem użytkowane podwórko beczkę zgniłej kapusty, którą wyrzucili na śmietnik. Zwabione pikantnym zapachem króliki zbiegły się do śmietnika i już na drugi dzień wśród tych delikatnych gryzoni zaczął się pomór. W ciągu trzech godzin padło dwieście czterdzieści dorosłych królików i cały nie dający się ująć w ewidencję przychówek.

Oszołomiony ojciec Fiodor przygał na dobre dwa miesiące i odżył na duchu dopiero teraz, po powrocie z domu Worobianinowa, kiedy to, ku zdumieniu małżonki, zamknął się w sypialni. Wszystko wskazywało na to, że ojcu Fiodorowi zaświtał nowy pomysł, który zawładnął nim bez reszty.

Katarzyna Aleksandrowna knykciem zgiętego palca zastukała w drzwi sypialni. Nikt nie odpowiedział, tylko śpiew przybrał na sile. Po chwili drzwi się uchyliły i w szparze ukazało się oblicze ojca Fiodora okraszone dziewczęcym rumieńcem.

- Daj no mi tu prędko nożyczki - z niecierpliwością powiedział ojciec Fiodor.
- A co będzie z kolacją?
- Dobrze, dobrze. Zjem później.

Ojciec Fiodor chwycił nożyczki, znowu się zamknął i podszedł do wiszącego na ścianie lustra w obdrapanej czarnej ramie.

Obok lustra wisiał stary ludowy obrazek: „Zwierciadło grzesznika”. Był to sztych bogato ręcznie podmalowany. Niemalą pociechę znalazł ojciec Fiodor w „Zwierciadle grzesznika” po pechowej historii z królikami. Bohomaz ów wyraźnie uwidaczniał znikomość spraw ziemskich. Górna jego część zawierała cztery rysunki z wymownymi i krzepiącymi na duchu sentencjami wypisanymi cerkiewno- słowiańskimi literami: „Sem modły zanosi, Cham pszenicę kosi, Jafet władzę sprawuje, śmierć wszystkim zawiaduje”, śmierć trzymała kosę i klepsydre ze skrzydłami, przy czym robiła wrażenie, jakby składała się z protez oraz innych części ortopedycznych. Szeroko rozkraczona, stała na gołej, usianej pagórkami ziemi. Wygląd jej wyraźnie dawał do zrozumienia, że strata królików to sprawa błaha.

W obecnej chwili ojcu Fiodorowi najbardziej odpowiadał obrazek: „Jafet władzę sprawuje”. Otyły, zamożny jegomość z brodą siedział na tronie w małej salce.

Ojciec Fiodor uśmiechnął się i uważnie patrząc w lustro zaczął przystrizygać swoją dostojną brodę.

Nożyczki zgrzytały, włosy osypywały się na podłogę, a po upływie pięciu minut ojciec Fiodor doszedł o przekonania, że absolutnie nie potrafi strzyć brody. Broda była nieprzyzwoicie i wręcz podejrzanie wystrzyżona z jednego boku. Ojciec Fiodor pogapił się jeszcze trochę w lustro, po czym rozzłościł się, zawołał żonę i wręczając jej nożyczki powiedział z rozdrażnieniem:

- Mogłabyś mi trochę pomóc. W żaden sposób nie mogę się uporać z tymi włosiskami.

Połowica ze zdumienia rozłożyła ręce.

- Coś ty z siebie zrobił? - przemówiła wreszcie.
- Nic nie zrobiłem. Strzygę się. Pomóż mi, moja droga. Zdaje się, że w tym miejscu ździebko zajechałem.
- Boże! - zawołała Katarzyna Aleksandrowna dotykając loków ojca Fiodora. - Czyżbyś ty, Fiedieńka, do odnowieńców? chciał przystać?

Ojciec Fiodor ogromnie się ucieszył z takiego obrotu rozmowy.

- A czemu to, moja droga, nie miałbym przystać do odnowieńców? Czy odnowieńcy to nie ludzie?

- Ludzie, a juści ludzie - przytaknęła popadła złośliwie. - A jakże: do iluzjonów chodzą, alimenta płacą...
- No to i ja będę po iluzjonach latał.
- A lataj, proszę bardzo.
- Właśnie że będę latał.

- I dolatasz się, Przejrzyj się tylko w lustrze.

Istotnie, z lustra patrzyła na ojca Fiodora ruchliwa, czarnooka fizjonomia z niedużą wariacką bródką i nedorzecznie długimi wąsami.

Wspólnymi siłami zabrali się do podcinania wąsów, aby je doprowadzić do proporcjonalnych rozmiarów.

To, co działo się potem, jeszcze bardziej zaskoczyło Katarzynę Aleksandrownę. Ojciec Fiodor oznajmił, że dziś wieczór musi wyjechać w pewnej sprawie i zażądał, aby połowica skoczyła do swego brata piekarza i pożyczyla od niego na tydzień palto z barankowym kołnierzem oraz brązową czapkę z daszkiem.

- Nigdzie nie pójde - oświadczyła popadła i rozpłakała się.

Przez pół godziny ojciec Fiodor spacerował po pokoju strasząc małżonkę swoją zmienioną twarzą i plótł trzy po trzy. Połowica tyle tylko rozumiała, że ojciec Fiodor ni z tego, ni z owego ostrzygł się, że chce dokądś jechać w błazeńskiej czapce, a ją opuszcza.

- Ależ nie opuszczam cię - zapewniał ojciec Fiodor - nie opuszczam, za tydzień będę z powrotem.

Przecież człowiek może mieć od czasu do czasu interesy. Może, czy nie może?

- Nie może - odpowiedziała połowica.

Ojciec Fiodor, człowiek łagodny w obejściu z bliźnimi, zmuszony był wałnąć pięścią w stół. I chociaż wałnął ostrożnie i nieumiejętnie, jako że nigdy tego nie robił, popadła ogromnie się przestraszyła, narzuciła na siebie chustkę i pobiegła do brata po świeckie szaty.

Po jej wyjściu ojciec Fiodor zamyślił się na chwilę, powiedział: „Kobiety też mają ciężkie życie”, po czym wyciągnął spod łóżka okutą blachą kuferek. Takie kuferki widuje się przeważnie u żołnierzy

Armii Czerwonej. Wewnętrzna strona wieczka wyklejona jest tapetą w paseczki, na której widnieje, portret towarzysza Budiennego albo wierzch pudełka od papierosów „Plaża” z trzema pięknosciami wylegującymi się na piaszczystym wybrzeżu batumskim. Kuferek Wostrikowów, ku niezadowoleniu jca Fiodora, również zdobiły obrazki, ale nie było między nimi ani Budiennego, ani batumskich

Odnowieńcy – zwolennicy tak zwanej „odnowionej” cerkwi, która powstała po Rewolucji Październikowej, jako odłam cerkwi prawosławnej. piękności. Katarzyna Aleksandrowna całe wnętrze kufereka wykleiła fotografiami, które powycinała z pisma „Kronika wojenna roku 1914”. Było tu „Zdobycie Przemyśla” i „Rozdawanie ciepłej odzieży żołnierzom w okopach”, i... diabli wiedzą co jeszcze.

Ojciec Fiodor naprzód wyłożył na podłogę książki: komplet pisma „Pielgrzym rosyjski” z roku 1903; potwornej grubości „Historię schizmy” oraz broszurę „Rosjanin w Italii” z wizerunkiem dymiącego

Wezuwiusza na okładce, wreszcie zapuścił rękę na samo dno kufereka i wyciągnął stamtąd stary, wyszarzały kapturek żony. Skrzywił się od zapachu naftaliny, który nagle buchnął z kufereka, po czym, rozdzierając koronki i wstawki, wypruł z kaptura ciężką, płócienną kielbaskę. Kielbaska zawierała wadzieńca sztuk złotych dziesięciorublowek - wszystko co pozostało z handlowych imprez ojca

Fiodora. Wprawnym ruchem odwinął połę riasy i wsunął kielbasę do kieszeni pasiastych spodni.

Następnie podszedł do komody i z pudełka od cukierków wyjął pięćdziesiąt rubli trzy i pięciorublowymi banknotami. W pudełku zostało jeszcze dwadzieścia rubli.

- Na gospodarstwo starczy - zawyrokował.

Rozdział IV Muza dalekich podróży

Na godzinę przed odejściem wieczornego pocztowego pociągu ojciec Fiodor w kusym, ledwie za kolana sięgającym palce, z plecionym koszykiem w ręku, stał w kolejce do kasy biletowej i niespokojnie spoglądał na drzwi wejściowe. Obawiał się, że Katarzyna Aleksandrowna wbrew jego zakazowi przybiegnie na dworzec i wtedy straganiarz Prusis, który w bufecie stawiał piwo kontrolerowi Urzędu Skarbowego, natychmiast go pozna. Ojciec Fiodor ze zdziwieniem i zażenowaniem zerkał na swoje pasiaste spodnie, wydane na łup spojrzeń wszystkich parafian.

Przy wsiadaniu do pociągu bez miejscówek panował jak zwykle karygodny bałagan. Pasażerowie, uginając się pod ciężarem przeogromnych worów, biegali od głowy pociągu do ogona i od ogona do głowy. Ojciec Fiodor, nieprzytomny, biegł wraz z innymi. Podobnie jak inni rozmawiał przymilnie z konduktorami, tak samo jak inni miał stracha, że kasjer wydał mu „nieważny” bilet i dopiero kiedy dostał się do pociągu, odzyskał nie tylko zwykły spokój, ale nawet dobry humor.

Parowóz ryknął na cały głos i pociąg ruszył uwożąc ojca Fiodora w nieznane dale w zagadkowym, ale widocznie obiecującym dużym zysku, interesie.

Ciekawa to rzecz - taka „strefa wyodrębniona”. Najzwyklejszy obywatel, skoro się w niej znajdzie, odczuwa najpierw pewne zakłopotanie, a potem szybko przedziera się bądź to w pasażera, bądź w odbiorcę ładunku, bądź też w zwyczajnego włóczykija „na gapę”, zakałę życia i działalności służbowej brygad konduktorskich oraz kontrolerów peronowych.

Z chwilą gdy obywatel wstępuje w strefę wyodrębnioną, którą po dyletancku nazywa dworcem lub stacją kolejową, w życiu jego następuje zasadnicza zmiana. Natychmiast obskakują go siłacze w białych fartuchach z niklowanymi blachami na piersiach i usłużnie chwytają bagaże. Od tej chwili obywatel nie jest już panem własnej woli. Staje się pasażerem i zaczyna spełniać wszystkie obowiązki pasażera. Są one nader skomplikowane, ale bardzo przyjemne.

Pasażer ogromnie dużo je. Zwykły śmiertelnik w nocy nie jada, a pasażer jada również w nocy. A więc je piezzonego kurczaka, który jest za drogi na jego kieszeń, jajka na twardo szkodliwe na żołądek oraz oliwki. Kiedy pociąg przejeżdża przez zwrotnice, na półkach zaczynają pobrzękiwać liczne czajniki i podskakują zawinięte w gazetę kurczęta, którym pasażerowie powyrzucali udka z korzeniami.

Ale pasażerowie nic nie widzą. Pasażerowie zajęci są opowiadaniem anegdot. Regularnie co trzy minuty cały wagon rechocze ze śmiechu. Potem następuje chwila ciszy i aksamitny głos referuje anegdotkę tej treści:

- Stary Żyd jest umierający. Przy łóżku stoi żona, dzieci. „Czy jest tu Moniek?” - pyta Żyd słabym głosem. - „Jest!” - „A ciocia Bronia?” - „Też jest!” - „A gdzie babunia? Nie widzę babuni!” - „Przecież tu stoi!” - „A Izaak?” - „Izaak też tu jest!” - „A dzieci?” - „Wszystkie są tu!” - „No to kto został w sklepie?”

W tej chwili czajniki zaczynają pobrzękiwać i kurczęta, wytrącone z równowagi wybuchami śmiechu, podskakują na półkach. Ale pasażerowie nie zwracają na to uwagi. Każdemu z nich leży na sercu ulubiona anegdotka, która z drżeniem oczekuje na swoją kolejkę. Nowy wykonawca trącąc łokciem sąsiada krzyczy błagalnie: „A teraz ja!” I z trudem zapanowując nad uwagą słuchaczy zaczyna:

- Pewien Żyd wraca do domu i kładzie się do łóżka obok żony. Nagle słyszy, że pod łóżkiem ktoś się rusza, Żyd wsuwa rękę pod łóżko i pyta: „Czy to ty, Azorek?” Azorek zaś, liżąc mu rękę, odpowiada:

„Tak, to ja, proszę pana”.

Pasażerowie pokładają się ze śmiechu, mrok nocy okrywa pola, z komina parowozu sypią się roztańczone iskry i smukłe semafony w błyszczących zielonych okularach uciekają boczkami, dyskretnie przenosząc wzrok nad pociągami.

Ciekawa rzecz - taka strefa wyodrębniona! Do wszystkich zakątków kraju pędzą długie, ciężkie pociągi dalekobieżne. Droga wszędzie otwarta. Wszędzie palą się zielone światła - tor wolny. Ekspres polarny pnie się w stronę Murmańska. Z dworca kurskiego, wyginając się i garbiąc na zwrotnicy, wypada lokomotywa „Pierwsza - K”, biorąc kierunek na Tyflis. Dalekowschodni pociąg kurierski okrąża Bajkał i całym pędem zbliża się do Oceanu Spokojnego.

Muza dalekich podróży wabi ludzi. Już wyrwała z cichego powiatowego zakątka ojca Fiodora i rzuciła go hen do jakiejś guberni. Już były marszałek szlachty, a obecnie kierownik Urzędu Stanu Cywilnego

Hipolit Matwiejewicz Worobianinow, jest poruszony do głębi i diabli wiedzą, jakie ma zamiary.

Nosi ludzi po kraju! Jeden, w odległości dziesięciu tysięcy kilometrów od miejsca pracy, znajduje sobie zachwycającą dziewczynę. Drugi, w pogoni za skarbem, rzuca urząd pocztowo-telegraficzny i jak sztabak podąża na Ałdan. A trzeci po prostu siedzi sobie w domu, czule głaszcze dojrzewającą rapturę i czyta utwory hrabiego Saliasa⁸, kupione za pięć kopiejek zamiast za rubla.

Nazajutrz po pogrzebie, którym łaskawie zajął się mistrz Bezenczuk, Hipolit Matwiejewicz udał się do biura i spełniając swój obowiązek, własnoręcznie zarejestrował zgon Kławdii Iwanowny Pietuchowej, lat pięćdziesięciu dziewięciu, gospodyni domowej, bezpartyjnej, mieszkanki powiatowego miasta N., urodzonej w rodzinie szlacheckiej w guberni stargorodzkiej. Następnie Hipolit Matwiejewicz poprosił o dwutygodniowy, przewidziany dekretem urlop, zainkasował 41 rubli „urlopowego”, pożegnał się ze współpracownikami i ruszył do domu. Po drodze wstąpił do apteki.

Prowizor Leopold Grigoriewicz, popularnie zwany - Lipa, stał za polakierowanym na czerwono kontuarem w otoczeniu mlecznych słoików z truciznami i wyraźnie zniecierpliwiony usiłował sprzedać szwagierce komendanta Straży „wybielający krem Angôt przeciw opaleniznie i piegom”. Tymczasem

Eugeniusz Salias (1840-1908) - rosyjski pisarz. szwagierka komendanta Straży pragnęła nabyć „puder Rachel w kolorze złocistym, nadający skórze naturalną i niedoścignioną smagłość”. Ale apteka miała na składzie tylko krem Angôt przeciw opaleniznie i walka pomiędzy tymi dwoma tak krańcowo różnymi wyrobami przemysłu perfumeryjnego trwała już pół godziny. Ostatecznie Lipa odniósł zwycięstwo, sprzedając

szwagierce komendanta pomadkę do ust oraz pluskwowar - przyrząd skonstruowany na zasadzie samowara, ale noszący wszystkie zewnętrzne cechy lejka.

- Czym mogę służyć?
- Poproszę o środek na włosy.
- Na porost, na usunięcie czy do farbowania?
- Jaki tam porost! - powiedział Hipolit Matwiejewicz. - Do farbowania.

- Do farbowania mamy znakomity środek „Titanic”. Otrzymaliśmy go z komory celnej. Towar z przemytu. Nie schodzi ani od zimnej wody, ani od gorącej, ani od mydła, ani od nafty. Radykalnie czarny kolor. Jeden flakon wystarczy na pół roku. Cena - trzy ruble, dwanaście kopiejek. Polecam po znajomości.

Hipolit Matwiejewicz obrócił kilka razy w dłoniach kwadratowy flakon „Titanica”, z westchnieniem spojrzał na etykietkę i położył należność na kontuarze.

Po powrocie do domu Hipolit Matwiejewicz z niesmakiem zabrał się do farbowania włosów i wąsów za pomocą „Titanica”. Po całym mieszkaniu rozszedł się obrzydliwy smród.

Po obiedzie smród częściowo się ulotnił, wąsy wyschły i zlepiły się tak, że z wielkim trudem dały się rozczesać. Radykalnie czarny kolor miał odcień lekko zielonkawy, ale na powtórzenie zabiegu nie było już czasu.

Hipolit Matwiejewicz wyjął ze szkatułki znaleziony tam poprzedniego dnia spis kosztowności teściowej, przeliczył posiadaną gotówkę, zamknął mieszkanie, klucze schował do tylnej kieszeni spodni, wsiadł do przyśpieszonego pociągu nr 7 i wyjechał do Stargrodu.

Rozdział V Wielki kombinator

Z północo-zachodu, od strony wsi Czarowki, o godzinie wpół do dwunastej wszedł do Stargrodu młody człowiek w wieku lat dwudziestu ośmiu. Za nim biegł mały włóczęga.

- Wujku! - wołał wesoło włóczęga. - Daj mi dziesięć kopiejek!

Młody człowiek wyjął z kieszeni ciepłe jabłko i podał je wyrostkowi, ale ten nadal nie dawał mu spokoju. Wtedy piechur zatrzymał się, ironicznie spojrzał na chłopca i cicho powiedział:

- A może dać ci jeszcze klucz od mieszkania, gdzie leżą pieniądze?

Włóczęga w mig zrozumiał, że posunął się zbyt daleko, zrezygnował ze swych bezpodstawnych pretensji i odczepił się.

Młody człowiek skłamał. Nie miał ani pieniędzy, ani mieszkania, gdzie te pieniądze mogłyby leżeć, ani klucza, którym można by to mieszkanie otworzyć. Nie miał nawet płaszcza. Młody człowiek przyszedł do miasta w zielonym, wciętym ubraniu. Potężny jego kark był kilkakrotnie owinięty starym wełnianym szalem, na nogach miał lakierowane sztyblety z zamszowymi cholewkami w kolorze pomarańczowym. Za to nie miał wcale skarpetek. W rękach trzymał astrolabie.

- O, bajadero, ti-r irim, ti-ri-ram! - zanucił zbliżając się do placu targowego.

Tutaj młody człowiek poczuł się w swoim żywiole. Natychmiast wcisnął się pomiędzy stojących szeregiem sprzedawców, u stóp których rozłożone były towary, wyciągnął przed siebie astrolabię i poważnym głosem zaczął wołać:

- Komu, komu astrolabię? Tanio sprzedam astrolabię. Dla wycieczek i organizacji kobiecych zniżka.

Oryginalna ta oferta długo nie znajdowała oddźwięku. Wycieczki gospodyń domowych okazywały większe zainteresowanie dla artykułów deficytowych i tłoczyły się przy straganach bławatnych. Obok sprzedawcy astrolabii już dwa razy przeszedł agent urzędu śledczego, ale ponieważ przyrząd ten w najmniejszym stopniu nie przypominał skradzionej w dniu wczorajszym z kancelarii Masłocentru maszyny do pisania, agent przestał hipnotyzować wzrokiem młodego człowieka i oddalił się.

W porze obiadowej astrolabia została sprzedana ślusarzowi za trzy ruble.

- Sama mierzy - powiedział młody człowiek przekazując astrolabię nabywcy. - Żeby tylko było co mierzyć.

Uwolniony od zmyślnego przyrządu wesóły młody człowiek zjadł obiad w jadłodajni „Kącik Smaku” i udał się na zwiedzanie miasta. Minął ulicę Radziecką, wyszedł na ulicę Armii Czerwonej (dawna

Wielka Puszkina), przeciął ulicę Spółdzielczą i znowu znalazł się na Radzieckiej. Ale to nie była ta sama Radziecka, którą minął poprzednio. W mieście były aż dwie ulice Radzieckie. Zdziwiony nieco tą gorliwością, młody człowiek znalazł się na ulicy „Lenskich Wydarzeń” (dawna Denisowska). Obok ładnej piętrowej willi, opatrzonej numerem 28 oraz szylde:

ZSRR, RSFRR

ZAKŁAD OPIEKI SPOŁECZNEJ nr 2

STARGORUB młody człowiek zatrzymał się, żeby przypalić papierosa od dozorca, siedzącego na kamiennej ławeczce przy bramie.

- Jak tam, ojczulku - zapytał młody człowiek zaciągając się dymem - można tu u was w mieście znaleźć jaką narzeczoną?

Staruszek nie okazał najmniejszego zdziwienia.

- Niejednemu to nawet kobyła za narzeczoną starczy - odpowiedział, ochotczo wdając się w rozmowę.

- Więcej pytań nie mam - szybko odparł młody człowiek.

I natychmiast zadał nowe pytanie:

- Czy to możliwe, żeby w takim zakładzie nie znalazła się jakaś narzeczona?

- Naszych tu narzeczonych - odparł stróż - dawno już ichni kawalerowie po tamtym świecie z latarkami szukają. Tu jest państwowy przytułek - staruszki tu mieszkają z wiktem i opierunkiem.

Astrolabia - używany dawniej przyrząd geodezyjny.

- Rozumiem. To jeszcze te, co urodziły się w dobie poprzedzającej materializm historyczny?

- A juści, racja. Kiedy się urodziły, to się urodziły.

- A co było w tym domu przed materializmem historycznym?
- Co proszę? Kiedy?
- Dawniej, za starego reżimu.
- A, za starego reżimu, to mój pan tu mieszkał.
- Burżuj?
- Sam jesteś burżuj! Przecież mówię ci wyraźnie - marszałek szlachty.
- A, więc proletariusz.
- Sam jesteś proletariusz! Przecież mówię wyraźnie - marszałek.

Rozmowa z roztroprnym dozorcą, kiepsko orientującym się w klasowej strukturze społeczeństwa, trwałaby jeszcze Bóg wie jak długo, gdyby młody człowiek nie pokierował sprawą w sposób zdecydowany.

- Wiecie co, dziadku - zaproponował - warto by się winka napić.
- Ano, to postaw.

Zniknęli obaj na godzinkę, a kiedy wrócili, dozorca był już najbardziej oddanym przyjacielem młodego człowieka.

- W takim razie przenocuję u ciebie - mówił nowy przyjaciel.
- Dla mnie możesz tu mieszkać nawet całe życie, jako że porządny z ciebie chłop.

Osiągnąwszy tak szybko zamierzony cel, gość zwinnie zbiegł do stróżówki, zdjął pomarańczowe sztyblety i wyciągnął się na ławie, żeby obmyśleć plan działania na dzień jutrzejszy.

Młody człowiek zwał się Ostap Bender. Z życiorysu swego podawał zazwyczaj tylko jeden szczegół:

„Mój tato - mówił - był obywatelem tureckim”. Syn tureckiego obywatela na przestrzeni swego życia chwycił się różnych zawodów, żywość usposobienia, która utrudniała mu poświęcenie się jakiemuś określönemu zajęciu, gnała go z miejsca na miejsce i teraz też sprowadziła go do Stargorodu bez skarpetek, bez kluczy, bez mieszkania i bez pieniędzy.

Leżąc w ciepłej aż do zaduchu stróżówce, Ostap Bender obrabiał w myślach dwa ewentualne warianty swojej kariery.

Mógł zostać poligamistą i spokojnie jeździć z miasta do miasta uwożąc z sobą za każdym razem walizkę co cenniejszych rzeczy zabranych dyżurnej żonie.

Ale była też druga możliwość: pójść jutro do Stargorodzkiego Komitetu Opieki nad dziećmi i zaproponować do masowej reprodukcji wprawdzie jeszcze nie namalowany, ale genialnie pomyślany obraz pod tytułem: „Bolszewicy piszą list do Chamberlain'a”, który byłby wykonany według popularnego obrazu Riepina: „Zaporożcy piszą list do sułtana”. W razie powodzenia impreza a mogłaby dać koło czterystu rubli dochodu.

Obydwa warianty zrodziły się w głowie Ostapa w czasie ostatniego pobytu w Moskwie. Wariant dotyczący wielożeństwa zrodził się pod wrażeniem przeczytanego w wieczornej gazecie sprawozdania z rozprawy sądowej, gdzie było wyraźnie podane, że pewien poligamista został skazany zaledwie na dwa lata, i to bez ścisłej izolacji. Wariant nr 2 powstał w głowie Bendera podczas zwiedzania za bezpłatnym biletem wystawy prac członków Stowarzyszenia Artystów Malarzy

Rewolucyjnej Rosji.

Jednakże obydwie te projekty miały pewne mankamenty. Niepodobieństwem było rozpocząć karierę poligamisty bez eleganckiego, szarego w cętki, garnituru. Prócz tego trzeba było mieć przynajmniej dziesięć rubli na reprezentację i uwodzenie. Oczywiście, mógłby się ożenić bez trudu nawet w podróży w zielonym garniturze, gdyż męskość i urodę Bendera stanowiły nieodpartą siłę dla prowincjonalnych Małgorzat na wydaniu, ale byłaby to, według określenia Ostapa: „w złym stylu, brudna robota”.

Z obrazem też nie wszystko przedstawiało się różowo. Mogły zaistnieć czysto techniczne trudności.

Czy wypada namalować tow. Kalinina w papasze i białej burce, a znów tow. Cziczierina gołego aż do pasa? W ostateczności można namalować wszystkich w normalnych garniturach, ale to już nie będzie to samo.

- Nie będzie miało tego efektu! - powiedział na głos Ostap.

Dopiero teraz zauważył, że dozorca już od pewnego czasu coś z zapałem opowiada. Dozorca oddawał się właśnie wspomnieniom poświęconym osobie byłego właściciela tego domu.

- Nawet policmajster mu salutował... Idę do niego, damy na to, żeby nie skłamał, z noworocznymi życzeniami, a on - trzy ruble daje... Na Wielkanoc, damy na to, żeby nie skłamać - znowu trzy ruble. A jeszcze, damy na to, w dzień jego patrona, też życzenia się składało... I tak samych tylko

„życzeniowych” piętnaście rubli w ciągu roku wpadło... Obiecał też do medala mnie przedstawić.

„Chcę, powiada, żeby mój stróż miał medal”. I tak mówi: „Ty, Tichon, czuj się tak, jakbyś już miał medal...”

- No i co, dostaliście?

- Poczekaj.... „Nie chcę, powiada, stróża bez medalu”. Pojechał po medal do Sankt-Petersburga. Ale za pierwszym razem, żeby nie skłamać, nie udało się. Panom urzędnikom nie chciało się tegozałatwić. „Car, powiadają, do zagranicy pojechał, teraz to jest niemożliwe”. Kazał mi pan czekać. „Ty, powiada, Tichon, czekaj cierpliwie, a medal cię nie minie”.

- A co się z twoim panem stało? Trzepnęli go? - zniecierpliwiona zagadnęła Ostap Bender.

- Nikt go nie trzepał. Sam wyjechał. Po co miałby tu siedzieć z żołnierską hołotą... A czy teraz za stróżowską służbę dają medale?

- Dają. Mogę się dla ciebie wystarać.

Dozorca z szacunkiem spojrzął na Bendera.

- Bez medalu jakoś tak nijako. Taka to już służba.

- A dokąd twój pan wyjechał?

- A kto go tam wie! Ludzie mówili, że do Paryża wyjechał.

- A, białej akacji, kwiat emigracji... Więc to emigrant?

- Sam jesteś emigrant... Do Paryża, mówili ludzie, wyjechał. A dom dla staruszek zabrali... I choćbyś im życzenia co dzień składał - dziesięciu kopiejek nie dadzą zarobić!... Ech, to był pan!...

W tej chwili nad drzwiami zaterkotał zardzewiały dzwonek. Stróż ze stękaniem poczłapał do drzwi, otworzył je i nagle cofnął się w najwyższym zmieszaniu. Na pierwszym stopniu schodów stał czarnowłosy i czarnowąsy Hipolit Matwiejewicz Worobianinow. Oczy jego przez szkła binokli lśnwały przedwojennym blaskiem.

- Mój pan! - ryknął Tichon z uwielbieniem. - Z Paryża!

Na widok obcego mężczyzny, którego gołe fioletowe pięty sterczały spod stołu, Hipolit Matwiejewicz zmieszał się i już miał zamiar wyjść, ale Ostap Bender zerwał się i rzekł składając przed Hipolitem

Matwiejewiczem głęboki ukłon:

- Wprowadźcie daleko nam do Paryża, ale prosimy bardzo w nasze progi.

- Jak się masz, Tichonie - powiedział Hipolit Matwiejewicz przyparty do muru. - Wcale nie wracam z

Paryża. Co ci strzeliło do głowy?

Ale Ostap Bender, którego cienki, rasowy nos najwyraźniej zwęszył zdobycz, nie dopuścił dozorcę do słowa.

- Doskonale - powiedział mrużąc jedno oko - pan bynajmniej nie z Paryża. Przyjechał pan po prostu z

Kołogrzywu w odwiedziny do swojej nieboszczki babki.

Tak przemawiając, Ostap Bender czule objął oszołomionego dozorcę i wypchnął go za drzwi, zanim ten zdążył się połapać, a kiedy już oprzytomniał, to też wiedział tylko tyle, że jego pan wrócił z Paryża, że on, Tichon, został wyrzucony ze stróżówki oraz że w lewej zaciśniętej pięści trzyma papierowego rubla.

Widok tego papierka tak wzruszył dozorcę, że udał się do piwiarni, gdzie zamówił sobie dwa kufle piwa.

Ostap Bender starannie zamknął drzwi za dozorcą i zwrócił się do stojącego wciąż na środku izby

Worobianinowa:

- Spokojnie, wszystko w porządeczku. Nazywam się Bender. Może pan słyszał?

- Nie słyszałem - odparł zdenerwowany Hipolit Matwiejewicz.

- No oczywiście, skądże w Paryżu mógłby kto słyszeć o Ostapie Benderze? A jaka tam teraz pogoda?

Ciepło? Ładne miasto. Mam tam zameżną siostrę cioteczną. Niedawno nawet przysłała mi poleconym listem jedwabną chustkę...

- Cóż to za brednie! - wykrzyknął Hipolit Matwiejewicz. - Co za chustki? Przecież nie z Paryża przyjechałem, tylko z...

- Świetnie, znakomicie! Przyjechał pan z Morszańska.

Hipolit Matwiejewicz nigdy jeszcze nie miał do czynienia z młodym człowiekiem tak pełnym temperamentu jak Bender, toteż poczuł się trochę nieswojo.

- To ja już jednak pójdę - powiedział.

- Dokąd pan pójdzie? Nie ma gdzie się śpieszyć. GPU samo do pana przyjdzie.

Nie znajdując odpowiedzi Hipolit Matwiejewicz rozpiął palto z wytartym aksamitnym kołnierzem i usiadł na ławce nieprzyjaźnie spoglądając na Bendera.

- Nie wiem, o co panu chodzi? - powiedział złamanym głosem.
- Nic nie szkodzi. Zaraz pan zrozumie. Chwileczkę.

Ostap włożył na nogi pomarańczowe sztyblety, przeszedł się po pokoju i powiedział:

- Pan przez jaką granicę? Polską? Fińską? Rumuńską? To pewnie kosztowna przyjemność. Jeden z moich znajomych też niedawno przechodził przez granicę. Mieszka w Sławucie po naszej stronie, a rodzice jego żony - po tamtej. Pokłócił się z żoną, jak to w małżeństwie, a ponieważ ona jest z obraźliwej rodziny, więc plunęła mu w gębę i drapnęła przez granicę do rodziców, ów mój znajomy poczekał trzy dni, ale widzi, że niedobrze: obiadu nie ma, w mieszkaniu bałagan... Postanowił pogodzić się z żoną. Wybrał się nocą przez granicę do teściów. Ale przyłapała go straż graniczna, łupnęła mu sprawę i wsadzili na sześć miesięcy, a potem wyrzucili ze związku. Teraz podobno żona, idiotka, przyleciała z powrotem, a tu mąż w pace siedzi. Wałówki mu nosi... A pan też przez polską granicę przechodził?

- Słowo honoru - powiedział Hipolit Matwiejewicz czując, że niespodziewanie stał się zależny od gadatliwego młodego człowieka, który stanął mu na drodze do brylantów - słowo honoru, że jestem obywatelem RSFRR. Ostatecznie mogę panu pokazać paszport.

- Przy dzisiejszym rozwoju techniki drukarskiej na Zachodzie, wydrukowanie radzieckiego paszportu jest taką drobnostką, że wprost śmieszne o tym mówić... Jeden z moich znajomych doszedł do takiej wprawy, że drukował nawet dolary. A pan chyba zdaje sobie sprawę, jak trudno podrabiać amerykańskie dolary! One są drukowane, uważa pan, na papierze w takie różnokolorowe żyłeczki.

Potrzebna jest ogromna znajomość techniki. Dolary te z powodzeniem spławiał na moskiewskiej czarnej giełdzie; potem okazało się, że jego dziadek, znany waluciarz, skupował je w Kijowie i to go doszczętnie zrujnowało, jako że dolary były, bądź co bądź, fałszywe. I pan też może wpaść z tym swoim paszportem.

Hipolit Matwiejewicz mimo wściekłości, że zamiast energicznie poszukiwać brylantów, siedzi w śmierdzącej stróżówce i słucha paplaniny młodego zuchwalca o ciemnych sprawkach jego znajomych, nie mógł jednak zdobyć się na to, by wyjść. Czuł potężny lęk na myśl o tym, że nieznany młody człowiek roztrąbi po mieście wiadomość o przyjeździe byłego marszałka. Wtedy - koniec, nie mówiąc już o tym, że Hipolita Matwiejewicza mogą przymknąć.

- W każdym razie proszę nikomu nie Wspominać, że pan mnie widział - powiedział Hipolit

Matwiejewicz tonem prośby - mogą doprawdy pomyśleć, że jestem emigrantem.

- Oho! To kongenialne! Przede wszystkim aktywa: mamy emigranta, który wrócił do rodzinnego miasta. Pasywa: emigrant obawia się, żeby go nie zabrali do GPU.

- Przecież po raz setny powtarzam panu, że nie jestem emigrantem.
- A kto pan jesteś? Po coś pan przyjechał?
- Przyjechałem z miasta N. w pewnej sprawie.
- W jakiej sprawie?
- Osobistej.

- I po tym wszystkim jeszcze pan twierdzi, że nie jest pan emigrantem? Jeden mój znajomy teżprzyjechał...

Ale w tym miejscu Hipolit Matwiejewicz, doprowadzony do rozpaczypowieściami o znajomych

Bendera, a przy tym widząc, że młody człowiek nie da się zbić z tropu - skapitulował.

- Dobrze - powiedział - wszystko panu wyjaśnię.

„Ostatecznie trudno będzie obejść się bez pomocnika - pomyślał Hipolit Matwiejewicz - a ten, zdaje się, to kawał łotryka. Może mi się przydać”

Rozdział VI Brylantoweopary

Hipolit Matwiejewicz zdjął z głowy poplamiony filcowy kapelusz, rozczesał wąsy, z których przy zetknięciu z grzebieniem wyfrunęło zgrane stadko elektrycznych iskier, odkaslnął zdecydowanie i opowiedział Ostapowi Benderowi, przypadkowo napotkanemu osobnikowi, wszystko, co ze słów umierającej teściowej wiedział o brylantach.

W miarę opowiadania Ostap kilkakrotnie zrywał się i zwrócony w stronę żelaznego piecyka z entuzjazmem wykazykiwał:

- Lody ruszyły, panowie przysięgli! Lody ruszyły!

A już w godzinę potem obaj siedzieli przy kiwającym się stoliku i, głowa przy głowie, odczytywali długi spis kosztowności, które niegdyś zdołały palce, szyję, uszy, gors i włosy teściowej.

Hipolit Matwiejewicz co chwila poprawiał chwiejące się na nosie binokle i z naciskiem ogłaszał:

- Trzy sznurki pereł... Pamiętam doskonale. Dwa po czterdzieści perełek i jeden dłuższy - sto dziesięć.

Wisiołek z brylantami... Kławdia Iwanowna mówiła, że wart jest cztery tysiące, stara robota...

Następnie szły pierścionki: ale nie te zwykłe, ordynarne i tanie, tylko cienkie, delikatne, z brylantami czyściutkiej wody; ciężkie, olśniewające kolczyki, rzucające różnokolorowe ognie na małe kobiece uszko; bransolety w kształcie węzów ze szmaragdową łuską; kolia, która pochłonęła zbiór z pięciuset dziesięcin; naszyjnik z pereł, na który mogłaby pozwolić sobie tylko znakomita primadonna operetki; uwieńczeniem tego wszystkiego był diadem wartości czterdziestu tysięcy.

Hipolit Matwiejewicz obejrzał się. Ze wszystkich ciemnych kątów zatęchłej stróżówki wypełzało drżące, szmaragdowe, wiosenne światło. Brylantowy opar unosił się pod sufitem. Pereł toczyły się po stole i skakały po podłodze. Miraż cennych klejnotów wstrząsnął w posadach suterena.

Przejęty Hipolit Matwiejewicz ocknął się dopiero na dźwięk głosu Ostapa.

- Nielichy komplecik. Kamyczki, jak widać, dobierane ze zjawstwem. Jaką wartość przedstawiał cały ten klops?

- Jakies siedemdziesiąt do siedemdziesięciu pięciu tysięcy.

- Hm... W takim razie obecna wartość wynosi sto pięćdziesiąt tysięcy.

- Czyżby aż tyle? - ucieszył się Worobianinow.

- Co najmniej. Tylko niech pan, drogi towarzysz z Paryża, plunie na to wszystko.

- Jak to plunąć?

- Zwyczajnie, śliną - odpowiedział Ostap - tak jak się pluło w dobie poprzedzającej materializm historyczny. Nic z tego nie będzie.

- Jak to?

- A tak to. Ile było tych krzesel?

- Tuzin. Komplet salonowy.

- Pański komplet salonowy pewnie już dawno poszedł na opał.

Worobianinow tak się przeraził, że wstał z miejsca.

- Spokojnie, spokojnie. Teraz ja się biorę do roboty. Sesja trwa. W związku z tym musimy zawrzeć małą umowę.

Kiedy wzburzony Hipolit Matwiejewicz skinieniem głowy wyraził zgodę, Ostap Bender przystąpił do omawiania warunków.

- W wypadku realizacji skarbu ja, jako bezpośredni uczestnik koncesji i kierownik techniczny przedsięwzięcia, otrzymuję sześćdziesiąt procent, a do Ubezpieczalni może mnie pan nie meldować.

Nie zależy mi na tym.

Hipolit Matwiejewicz poszarzał.

- Przecież to rozbój w biały dzień.

- A ile pan miał zamiar mi zaproponować?

- N-n-no, pięć procent, ostatecznie - dziesięć. Niech pan zrozumie, przecież to wynosi piętnaście tysięcy rubli!

- A żadnych innych życzeń pan nie ma?

- N-nie.

- A może chciałby pan, żebym pracował za darmo i może jeszcze mam panu dać klucz od mieszkania, gdzie leżą pieniądze?

- W takim razie przepraszam - powiedział Worobianinow przez nos. - Mam wszelkie dane sądzić, że sam poradzę sobie z moją sprawą.

- Aha! W takim razie przepraszam - majestatycznie powiedział Ostap. - Mam niemięjsze dane przypuszczać, że jak mawiał Endi Tacker, ja także sam dam sobie radę z pańską sprawą.

- Oszust! - wykrzyknął Hipolit Matwiejewicz trzęsąc się z oburzenia.

Ostap był lodowato spokojny.

- Proszę posłuchać, panie paryżanin, czy pan wie o tym, że właściwie te brylanty są już w mojej kieszeni? A pańska osoba interesuje mnie tylko z tego względu, że pragnąłbym zabezpieczyć panu starość.

Dopiero teraz Hipolit Matwiejewicz zrozumiał, jakie to żelazne łapy chwyciły go za gardło.

- Dwadzieścia procent - powiedział ponuro.

- Z utrzymaniem? - drwiąco zapytał Ostap.

- Dwadzieścia pięć.

- I klucz od mieszkania?

- Przecież to wynosi trzydzieści siedem i pół tysiąca!

- Po cóż taka skrupulatność? No, niech już będzie pięćdziesiąt procent. Połowa dla pana - połowa dla mnie.

Targi trwały. Ostap poszedł na dalsze ustępstwa. Przez szacunek dla osoby Worobianinowa zgodził się pracować za czterdzieści procent.

- Sześćdziesiąt tysięcy! - krzyknął Worobianinow.

- Cóż za przyziemny z pana człowiek - odpowiedział Bender - lubi pan pieniądze bardziej, niż na to zasługują.

- A pan nie lubi pieniędzy? - załkał Hipolit Matwiejewicz niczym flet.

- Nie lubię.

- To po co panu sześćdziesiąt tysięcy?

- Dla zasady.

Hipolit Matwiejewicz był bliski apopleksji.

- No, co, lody ruszyły? - ciągnął bezlitośnie Ostap.

Worobianinow zaczerpnął tchu i potulnie odpowiedział:

- Ruszyły.

- No to zgoda, powiatowy marszałku Komanczów. Lody ruszyły! Lody ruszyły, panowie przysięgli!

Hipolit Matwiejewicz obraził się za nazwanie go marszałkiem Komanczów i zażądał przeproszenia.

Ostap w przeprosinowym przemówieniu nazwał go feldmarszałkiem, po czym przystąpili do opracowania planu działania.

O północy stróż Tichon, trzymając się wszystkich napotkanych płotów i czule przytulając się do słupów, zmierzał w stronę swojej sutereny. Na nieszczęście księżyc był w nowiu.

- A, inteligent pracujący! Urzędnik miotły! - wykrzyknął Ostap na widok zgiętego w kabłąk stróża.

Stróż wydał z siebie głos głęboki i namiętny, jakim niekiedy wśród nocnej ciszy, z pasją i zaciętością przemówi nagle muszla klozetowa.

- To kongenialne - oświadczył Ostap zwracając się do Hipolita Matwiejewicza - a ten pański stróż to kawał ordynusa. Czy można tak się schlać za rubla?

- M-można - niespodziewanie ozwał się stróż.

- Słuchaj no, Tichon - zaczął Hipolit Matwiejewicz - nie wiesz ty, przyjacielu, co się stało z moimi meblami?

Ostap ostrożnie podtrzymywał Tichona, ażeby mowa mogła swobodnie płynąć z jego szeroko otwartych ust. Hipolit Matwiejewicz czekał w napięciu. Tymczasem z ust stróża wydarł się ogłuszający ryk:

- By-y-y-wały do-o-bre czasy...

W stróżówce grzmiało i huczało. Stróż niestrudzenie i zapamiętałe wykonywał pieśń, nie opuszczając ani jednego słowa. Rycząc zataczał się po izbie, od czasu do czasu bezprzymtomnie dawał nura pod stół, uderzał głową w mosiężne ciężarki wiszącego zegara, to znów przyklękał na jedno kolano. Było mu szalenie wesoło.

Hipolit Matwiejewicz całkiem stracił głowę.

- Przesłuchanie świadków trzeba będzie odłożyć do jutra - powiedział Ostap. - Chodźmy spać.

Wspólnymi siłami przenieśli na ławkę uspiętego, ciężkiego jak kłoda stróża, a sami zdecydowali się leć po społu w jego łóżku.

Ostap miał pod marynarką tylko koszulę typu „cowboy” w czerwono-czarną kratkę. Natomiast Hipolit

Matwiejewicz, pod znaną już czytelnikowi księżycową kamizelką, miał jeszcze drugą - włóczkową w kolorze jaskrawoblękitnym.

- Kamizelka w sam raz na handel - z zazdrością powiedział Bender - akurat na mnie. Niech pan mi ją sprzeda.

Hipolitowi Matwiejewiczowi nie wypadało odmówić swemu nowemu wspólnikowi i bezpośredniemu uczestnikowi koncesji.

Z kwaśną miną wyraził zgodę na sprzedaż kamizelki w cenie kosztu, czyli za osiem rubli.

- Płatne po realizacji naszego skarbu - oświadczył Bender biorąc z rąk Hipolita Matwiejewicza ciepłą jeszcze kamizelkę.

- Nie, tak nie mogę - powiedział Hipolit Matwiejewicz; z wypiekami na twarzy. - Poproszę o zwrot kamizelki.

Wrażliwa natura Ostapa zbuntowała się.

- To jest zachowanie godne sklepikarza! - wykrzyknął. - Przystępując do interesu wartości stu pięćdziesięciu tysięcy, sprzeczać się z powodu ośmiu rubli! Niech pan uczy się żyć na szerokiej stopie!

Hipolit Matwiejewicz zaczerwienił się jeszcze bardziej, wyjął mały notesik i wykaligrafował:

25/IV 1927

Wydano ob. Benderowi rubli - 8

Ostap zajrzał do notesika.

- Oho! Skoro już pan otwiera mi konto, to należy je przynajmniej prowadzić uczciwie. Wpisał pan dług, to trzeba wpisać także należność. Proszę nie zapomnieć wnieść na moje dobro sześćdziesiąt tysięcy rubli, które jest mi pan winien, a kamizelkę można wpisać na debet. Saldo na moją korzyść wynosi pięćdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dwa ruble. Można żyć.

W chwilę potem Ostap spał już cichym snem dziecka, a Hipolit Matwiejewicz zdjął wełniane pulsetki oraz arystokratyczne obuwie i w pocerowanej jegierowskiej bieliźnie, sapiąc, wsunął się pod kołdrę.

Było mu bardzo niewygodnie. Ze strony zewnętrznej, gdzie kołdra nie dochodziła, było zimno, a z przeciwnej strony parzyło go młode, pełne niespokojnych pomysłów ciało wielkiego kombinatora.

Wszystkim trzem coś się śniło.

Worobianinowi śniły się rzeczy przykre: mikroby, urząd śledczy, welwetowe bluzy oraz mistrz cechu trumniarzy Bezenczuk w smokingu, ale za to nie ogolony.

Ostapowi przyśnił się wulkan Fudzi-Jama, kierownik Masłotrustu, tudzież Taras Bulba10 sprzedający pocztówki z widokami Dnieprostroju.

A stróżowi śniło się, że uciekł koń ze stajni. Szukał go we śnie aż do rana, a ponieważ nie znalazł, przeto obudził się złamany i ponury. Długo, ze zdziwieniem przyglądał się śpiącemu w jego łóżku gościom. Ponieważ nic nie mógł zrozumieć, wziął miotłę i wyszedł na ulicę spełniać swój codzienny obowiązek: zbierać końskie kupki i pokrzykiwać na mieszkanki przytułku.

Rozdział VII Ślady „Titanica”

Hipolit Matwiejewicz obudził się jak zwykle o wpół do ósmej, wymamrotał „gut morgen” i skierował się do zlewu. Mył się z rozkoszą: pluł nieustannie, pomrukiwał, potrząsał głową, aby uwolnić się od wody, której mu naleciało do uszu. Wycierał się z wielką satysfakcją, ale kiedy odjął ręcznik od twarzy, spostrzegł, że jest on ubrudzony owym radykalnie czarnym kolorem, którym przedwczoraj ufarbował swoje poziomo sterzące wąsy. Radość w sercu Hipolita Matwiejewicza zgasła. Pobiegł po lusterko, które miał w walizce. W lusterku odbił się duży nos i zielony jak młoda trawka lewy wąs.

Hipolit Matwiejewicz szybko przesunął lusterko na prawo. Prawy wąs był tegoż samego ohydneho koloru. Nieszczęśnik nachylił głowę w taki sposób, jakby miał zamiar ubość lusterko, i wtedy zobaczył, że radykalnie czarny kolor trzyma się jeszcze na czubku głowy, ale włosy naokoło mają niestety trawiastą barwę.

Z głębi jestestwa Hipolita Matwiejewicza wydarł się jęk tak głośny, że Ostap Bender otworzył oczy.

- Czy pan zwariował? - krzyknął i natychmiast zamknął z powrotem senne powieki.
- Towarzyszu Bender - błagalnie jęknęła ofiara „Titanica”.

Bender ocknął się dopiero po długotrwałych prośbach i poszturchiwaniach. Uważnie spojrzał na

Hipolita Matwiejewicza i roześmiał się serdecznie. Następnie kierownik robót i dyrektor techniczny odwrócił się plecami do dyrektora-założyciela koncesji i zaczął podrygiwać, chwytając się za krawędź łóżka, wykrzykując: „nie wytrzymam” i dalej wił się w konwulsjach śmiechu.

- To nieładnie z pana strony, towarzyszu Bender - powiedział Hipolit Matwiejewicz, febrycznie poruszając zielonymi wąsami.

To dodało nowych sił wyczerpanemu już Ostapowi. Szczery i serdeczny jego śmiech trwał jeszcze około dziesięciu minut. Kiedy już się naśmiał do syta, Ostap od razu spoważniał.

- No i co pan patrzy na mnie z taką złością jak żołnierz na wesz? Niech pan lepiej spojrzysz na siebie!

Taras Bulba – bohater poematu T. Szewczenki o tym samym tytula.

- Przecież aptekarz powiedział, że to będzie radykalnie czarny kolor, że nie zmywa się zimną wodą, ani gorącą, ani mydłem, ani naftą... Towar z przemytu.

- Z przemytu? Wszystkie towary z przemytu są wyrabiane w Odessie na ulicy Małej Arnauteskiej. Niech pan pokaże butelkę. Zaraz pan zobaczy. Czytał pan to?

- Czytałem.

- A to - małutkimi literkami? Tutaj jest wyraźnie powiedziane, że po myciu zimną lub gorącą wodą, mydłem czy naftą, włosów nie należy w żadnym wypadku wycierać; tylko suszyć na słońcu albo nad prymusem... Dlaczego pan ich nie suszył? Gdzie pan teraz pójdzie z tą zieloną „lipą”?

Hipolit Matwiejewicz był całkowicie złamany. Wszedł Tichon. Na widok pana z zielonymi wąsami przeżegnał się i poprosił na piwo na otrzeźwienie.

- Daj pan rubla przodownikowi pracy - zaproponował Ostap - tylko niech pan, z łaski swojej, nie zapisuje tego na mój rachunek. To pańska prywatna sprawa z byłym pracownikiem... Poczekaj, ojczulku, nie uciekaj, mam do ciebie interes.

Ostap nawiązał z dozorcą rozmowę o meblach i już po upływie pięciu minut wspólnicy mieli dokładne informacje. W roku 1919 wszystkie meble zostały wywiezione do Urzędu Mieszkaniowego, z wyjątkiem jednego krzesła z salonu, które początkowo znajdowało się w posiadaniu Tichona, a potem zostało zabrane przez administratora Zakładu Opieki Społecznej nr 2.

- A więc ono jest w tym domu?

- Ano jest.

- A powiedz mi, przyjacielu - zapytał Worobianinow drżąc z niepokoju - czy wtedy, kiedy krzesło było u ciebie, tyś go przypadkiem... nie naprawiał?

- A po cóż miałbym naprawiać? Dawniejsza robota była solidna. Takie krzesło jeszcze trzydzieści lat wytrzyma.

- No, idź Tichonie, masz tu jeszcze rubla, tylko, uważasz, nie rozpowiadaj, że przyjechałem.

- Grób, mogiła, obywatelu Worobianinow.

Ostap Bender wyprowadził stróża, krzyknął: „Lody ruszyły” i znowu wrócił do wąsów Hipolita

Matwiejewicza.

- Trzeba będzie farbować na nowo. Dawaj pan forszę, skoczę do apteki. Diabła wart ten pański

„Titanic”, tylko psy nim farbować. Dawniej, to były farby!... Jeden profesor od wyścigów opowiedział mi wstrząsającą historię. A pan interesował się kiedy wyścigami? Nie? Szkoda. Wstrząsająca rzecz.

Otóż... Był taki znakomity kombinator hrabia Drucki. Przegrał na wyścigach pięćset tysięcy. Król od przegrywania! Otóż, kiedy nie pozostało mu już nic prócz długów i hrabia zastanawiał się nad samobójstwem, pewien cwaniak dał mu -za pięćdziesiąt rubli wyśmienitą radę. Hrabia wyjechał i po roku zjawił się z orłowskim kłusakiem-trzylatkiem. W krótkim czasie nie tylko odbił swoje pieniądze, ale jeszcze wygrał trzysta tysięcy. Jego orłowiec „Makler”, posiadający znakomite świadectwa, zawsze pierwszy

przychodził do mety. Na derbach o całą długość wziął „Mac-Mahona”. Piorun nie koń! Aż tu nagle Kuroczkin (słyszał pan może?) widzi, że wszystkie orłowskie kłusaki zaczynają zmieniać maść, jeden tylko „Makler”, jak gdyby nigdy nic, nie zmienia koloru. Zrobił się nieprawdopodobny skandal.

Hrabiego skazano na trzy lata. Wyszło na jaw, że „Makler” to wcale nie orłowski kłusak, tylko przefarbowany metys, a metysy są daleko szybsze od orłowskich kłusaków, przy tym na wiorstę¹¹ nie wolno dopuszczać jednych do drugich. No i co? To przynajmniej była farba! Nie to, co pańskie wąsy.

- A świadectwa? Przecież miał znakomite świadectwa!

- Tak samo sfałszowane jak etykieta na pańskim „Titanicu”. Dawaj pan forszę na farbę.

Ostap wrócił z nowym preparatem.

- „Najada”. Może będzie lepsza od pańskiego „Titanica”. Zdejmuj pan marynarkę.

Zaczął się obrzęd farbowania. Ale „zdumiewająco kasztanowaty kolor, nadający włosom miękkość i puszystość”, pomieszany z zielenią „Titanica”, niespodziewanie ubarwił włosy i wąsy Hipolita

Matwiejewicza na wszystkie kolory tęczy.

Worobianinow, który od rana nic jeszcze nie jadł, ze złością przeklinał wszystkie wytwórnie artykułów perfumeryjnych, zarówno państwowe, jak i nielegalne, znajdujące się w Odessie na ulicy Małej

Arnautskiej.

- Takimi wąsami nie mógłby się poszczycić nawet Arystydes Briand¹² - pocieszająco nadmienił Ostap - ale pokazywanie się z takim ultrafioletowym uwłosieniem w Radzieckiej Rosji nie jest wskazane.

Trzeba będzie zgolić.

- Nie mogę - żałośnie odpowiedział Hipolit Matwiejewicz - to niemożliwe.

- A co, czy pańskie wąsy stanowią cenną pamiątkę?

- Nie mogę - powtórzył Worobianinow i zwiesił głowę.

- W takim razie siedź pan do końca życia w stróżówce, a ja pójdę szukać krzesła. A propos, jedno z krzesła znajduje się nad pańską głową.

- Gol pan!

Bender znalazł nożyczki i błyskawicznie chlasnął nimi wąsy, które bezszelestnie upadły na podłogę.

Uporawszy się ze strzyżeniem, dyrektor techniczny wyjął z kieszeni zniszczony aparat do golenia

„Gillette”, a z pugilaesu zapasowe ostrze i zaczął golić bliskiego płaczu Hipolita Matwiejewicza.

- Poświęcam dla pana ostatni nożyk. Niech pan nie zapomni wpisać na moje dobro dwóch rubli za golenie i strzyżenie.

Aczkolwiek ciężko strapiony, Hipolit Matwiejewicz nie omieszkiał zapytać:

- Dlaczego tak drogo? Wszędzie kosztuje czterdzieści kopiejek.

- Za konspirację, towarzyszu feldmarszałku - bystro odpowiedział Bender.

Cierpienia człowieka, któremu golą głowę żyletką, nie dadzą się opisać. Hipolit Matwiejewicz doświadczył tego na sobie od pierwszej chwili operacji.

Ale koniec, który wieńczy dzieło, wreszcie nastąpił.

Ok. 1 km. (zorg)

Arystydes Briand (1862-1932) - znany polityk francuski, jedenastokrotny premier Francji.

- Gotowe! Sesja trwa! Nerwowych uprasza się nie patrzeć. „Teraz jest pan podobny do znanego autora kupletów, Boborykina¹³.

Hipolit Matwiejewicz otrząsnął z siebie zniechęcone kłaki, które jeszcze tak niedawno stanowiły prześliczną siwiznę, umył się i czując na całej głowie dotkliwe pieczenie, po raz setny tego dnia przejrzał się w lusterku. To, co zobaczył, było dla niego miłą niespodzianką. Z lusterka patrzyła na niego napiętnowana cierpieniem, ale dość młoda twarz aktora bez posady.

- A więc - naprzód wiara, trąbka gra! - krzyknął Ostap. - Ja udam się po śladach do Urzędu

Mieszkaniowego albo ściśle mówiąc do domu, w którym mieścił się niegdyś Urząd, a pan - do staruszek!

- Nie mogę - powiedział Hipolit Matwiejewicz - byłoby mi zbyt ciężko wejść do własnego domu.

- Ach, tak!... Wzruszające! Baron-wygnaniec! Dobrze. Niech pan idzie do Urzędu Mieszkaniowego, a ja zakrzętnę się tutaj. Punkt zborny - stróżówka. Naprzód - marsz!

Rozdział VIII Niebiański złodziejasek

Kierownik Zakładu Opieki Społecznej nr 2 był złodziejem wstydlivym. Cała jego natura buntowała się przeciwko kradzieży, ale nie kraść było ponad jego siły. Wstydził się - i kradł. Kradł nieustannie, nieustannie się wstydził i z tego też powodu jego gładko wygolone policzki stale płonęły rumieńcem wstydu, zawstyżenia, wstydlivosti i sromoty. Kierownika nazywano Aleksandrem Jakowlewiczem, a jego małżonkę - Aleksandrą Jakowlewną. Żona nazywała go - Alchen, a on ją - Saszchen. Jak świat światem nie było takiego niebiańskiego złodziejaska jak Aleksander Jakowlewicz.

Spełniał on nie tylko obowiązki kierownika: był również zarządzającym. Poprzedni kierownik został usunięty za złe obchodzenie się z pensjonariuszkami i przeniesiony na stanowisko kapelmistrza orkiestry symfonicznej. Alchen niczym nie przypominał swego źle wychowanego poprzednika. W trybie pełnego wykorzystania dnia pracy przyjął na siebie obowiązek administrowania Zakładem, pensjonariuszki traktował nader grzecznie, a przy tym wprowadzał w Zakładzie doniosłe reformy oraz innowacje.

Ostap Bender pociągnął ciężkie, dębowe drzwi willi Worobianinowa i znalazł się w hallu. Rozchodził się tu zapach przypalanej kaszy. Z górnych pomieszczeń dobiegał gwar głosów podobny do oddalonego, seryjnie następującego „hura”

W hallu nie było nikogo i nikt też nie nadchodził. Na górę prowadziły dębowe, rozchodzące się na dwie strony schody z woskowanymi niegdyś stopniami. Teraz sterczały w nich tylko gałki, natomiast nie było ani śladu mosiężnych prętów przytrzymujących niegdyś dywan.

- Marszałek Komanczów żył sobie jednak w całkiem przyziemnym komforcie - myślał Ostap wchodząc na górę.

W pierwszym z brzegu, widnym i obszernym pokoju, siedziało w kółeczko piętnaście siwiuteńkich staruszek w sukniach z najtańszego drelichu w kolorze mysim. Staruszki siedziały z wyciągniętymi szyjami i wpatrzono z napięciem w stojącego pośrodku rumianego mężczyznę śpiewały:

Piotr Boborykin (1836-1921) – pisarz rosyjski, autor wielu powieści o rosyjskiej burżuazji XIX w.

Trójka koni parska w biegu,
Srebrny dźwięk dzwoneczków brzmi,
A w oddali całun śniegu
Roziskrzoną bielą lśni.

Dyrygent chóru w bluzie z tego samego szarego drelichu tudzież w drelichowych spodniach oburącz wybijał takt i obracając się w kółko pokrzykiwał:

- Dyszkanty, wolniej! Kokuszkina, ciszej!

Dyrygent zauważył Ostapę, ale nie mogąc zapanować nad ruchami rąk, obrzucił go tylko nieprzychylnym spojrzeniem i w dalszym ciągu dyrygował. Mimo wysiłku wykonawczyń śpiew zabrzmiał jak spod pierzyny:

Ta-ta-ta, ta-ta-ta, ta-ta-ta,
To-ro-rom, tu-ru-rum, tu-ru-ram...

- Przepraszam, gdzie tu można znaleźć towarzysza kierownika? - spytał Ostap korzystając z pierwszej pauzy.

- A o co chodzi, towarzyszu?

Ostap podał dyrygentowi rękę i życzliwie powiedział:

- Pieśni ludowe? Bardzo ciekawe. Jestem inspektorem Ochrony Przeciwpozarowej.

Kierownik zmieszał się.

- Tak, tak - powiedział zakłopotany - zjawiacie się w samą porę. Właśnie miałem zamiar pisać raport:

- Zbyteczny trud - wspaniałomyślnie oznajmił Ostap. - Sam napiszę. Proszę mi pokazać pomieszczenie.

Alchen skinieniem ręki odprawił chór i staruszki oddaliły się drobniutkimi, radosnymi kroczkami.

- Proszę za mną - rzekł kierownik.

Przed udaniem się na dalsze oględziny Ostap przyjrzał się przede wszystkim meblom w pierwszym pokoju, na które składał się stół, dwie ławki ogrodowe na żelaznych

nózkach (na poręczy jednej z nich było wyróżnione imię „Kola”) oraz mahoniowa fisharmonia.

- Czy w tym pokoju nie pali się prymusów, piecyków przenośnych i tym podobnych?

- Nie, nie. Tutaj tylko zbierają się kółka: śpiewacze, dramatyczne, sztuk plastycznych, kółko muzyczne...

Przy słowie „muzyczne” Aleksander Jakowlewicz zaczerwienił się. Rumieniec oblał mu naprzód szyję, potem czoło, wreszcie policzki. Aleksander Jakowlewicz ogromnie się wstydził. Dawno już sprzedał wszystkie instrumenty dętej orkiestry. Słabe płuca staruszek i tak przecież mogły z nich wydymać tylko szczenięce piski. Aż śmiech brał patrzeć na tę kupę metalu w stanie takiej bezużyteczności.

Alchen zmuszony był ukraść instrumenty. I teraz ogromnie się wstydził.

Na ścianie między oknami wisiał kawałek drelichu w kolorze mysim, a na nim widniało hasło wypisane białymi literami:

„Przez orkiestrę dętą - do kolektywnej pracy twórczej!”

- Doskonale - oświadczył Ostap - siedziba kół nie grozi niebezpieczeństwem pożaru. Chodźmy dalej.

Ostap w szybkim tempie zwiedził frontowe pokoje pałacyku Worobianinowa, ale nigdzie nie zauważył orzechowego krzesła na giętych nóżkach, obitego barwnym angielskim kretonem w kwiatki. Na gładkich marmurowych ścianach były porozklejane zarządzenia dotyczące Zakładu Opieki Społecznej nr 2. Ostap czytał je i od czasu do czasu rzucał energiczne pytania: „Kominy czyści się regularnie?

Piece w porządku?” Po otrzymaniu zadowolających odpowiedzi ruszał dalej.

Inspektor Ochrony Przeciwpozarowej gorliwie szukał w domu jakiegoś zakamarka, który by groził niebezpieczeństwem pożaru, ale pod tym względem wszystko było w porządku. Natomiast poszukiwania krzesła” dotychczas nie dały rezultatu. Ostap zaglądał także do pokoi sypialnych. Na jego widok staruszki wstawały i nisko się kłaniały. Stały tu pryce okryte włóchatymi, jakby z psiej sierści, kocami. Koce te miały z jednej strony fabrycznie tkany napis: „Nogi” Z inicjatywy Aleksandra

Jakowlewicza, który był zwolennikiem wojskowego rygoru, kuferki wystawały spod łóżek na jedną trzecią swej długości.

Wszystko w Zakładzie nr 2 uderzało nadzwyczajną skromnością: a więc umeblowanie złożone przeważnie z ogrodowych ławek zwiezionych tu z bulwaru Aleksandrowskiego, obecnie imienia

Proletariackich Subotników¹⁴; a więc tandetne naftowe lampki; wreszcie kocy z przerażającym apisem „Nogi”. I tylko jedna jedyna rzecz w tym domu była wykonana solidnie i wspaniale, mianowicie: automaty do zamykania drzwi.

Zamki do drzwi stanowiły pasję Aleksandra Jakowlewicza. Nie szczędząc trudu zaopatrzył wszystkie bez wyjątku drzwi w automatyczną zatrzaski najróżnorodniejszych systemów i kształtów. Były tu najprostsze urządzenia w formie żelaznych sztab; były zatrzaski pneumatyczne z mosiężnymi pompami powietrznymi w kształcie cylindrów; były urządzenia na blokach z opuszczającymi się ciężkimi woreczkami śrutu. Poza tym spotykało się tu zatrzaski o tak skomplikowanej konstrukcji, że zakładowy ślusarz tylko ze zdziwieniem kiwał nad nimi głową. Wszystkie te cylindry, sprężyny i przeciwwagi

dysponowały potężną siłą. Drzwi zatrzaskiwały się tak gwałtownie jak pułapki na myszy.

Praca tych mechanizmów wprawiała w drżenie cały dom. Staruszki z żalonym piskiem uciekały przedatakującymi je drzwiami, co zresztą nie zawsze im się udawało. Drzwi dopadały uciekinierkę potraçały je w plecy, a równocześnie z góry, ze złowieszczym zgrzytaniem spuszczały się przeciwwagii przelatwały koło skroni jak kule karabinowe.

Podczas gdy Bender z kierownikiem robili przegląd domu, drzwi oddawały im honory straszliwym rzaskaniem.

Ale za wszystkimi tymi wspaniałymi urządzeniami, godnymi fortocy, nic się nie kryło - krzesła ani śladu. W poszukiwaniu niebezpieczeństwa pożaru, inspektor Ochrony Przeciwożarowej trafił do kuchni. W ogromnym kotle do bielizny gotowała się kasza, której zapach wielki kombinator poczuł już przedtem w hallu. Ostap zmarszczył nos i powiedział:

- Cóż to, na oleju maszynowym?

- Jak Bożę kocham, na czystym śmietankowym maśle! - odparł Alchen, czerwieniąc aż po białka oczu; Sprowadzamy wprost ze wsi.

Alchen ogromnie się wstydział.

Subotnik - forma dobrowolnej pracy poza godzinami zainicjowana przez robotników kolei moskiewsko- kazańskiej w r. 1919 stała się wkrótce ruchem masowym (nazwa pochodzi od ros. subbota - sobota).

- Zresztą, to nie grozi niebezpieczeństwem pożaru - zauważył Ostap.

W kuchni także krzesła nie było. Stał tam tylko taboret, na którym siedział kucharz w fartuchu i w drelichowym czepku.

- Dlaczego tu u was wszystko jest takie szare? Nawet zasłonka w oknie wygląda jak ścierka.

Nieśmiały Alchen spuścił oczy.

- Kredyty przyznają w niedostatecznej wysokości. Czuł wstręt do samego siebie.

Ostap spojrział na niego z powątpiewaniem i powiedział:

- To nie ma nic wspólnego z Ochroną Przeciwożarową, którą tu w tej chwili reprezentuję.

Alchen przeraził się.

- Co się tyczy ochrony przeciwożarowej - oświadczył - to stosujemy się do wszystkich zarządzeń.

Mamy nawet gaśnicę pianową „Ekler”.

Inspektor, zaglądając po drodze we wszystkie zakamarki, niechętnie zmierzał w stronę gaśnicy.

Aczkolwiek czerwony blaszany stożek zdawał się być jedynym w tym domu przedmiotem mającym związek z ochroną przeciwożarową, wywołał on w inspektorze osobliwe rozdrażnienie.

- Kupione na tandecie?

Nie mogąc doczekać się odpowiedzi od Aleksandra Jakowlewicza, który stał jak gromem rażony,

Ostap zdjął „Ekler” z zardzewiałego haka, bez uprzedzenia zerwał kapsel i szybko skierował stożek wylotem do góry. Ale zamiast spodziewanej strugi piany, stożek wypuścił z siebie cieniutki syk przypominający bardzo starą melodię:

Niech się sławi Pan nasz w Syjonie.

- - Oczywiście, że na tandecie - potwierdził Ostap swoje poprzednie przypuszczenie i zawiesił syczącą gaśnicę na poprzednim miejscu.

Odprowadzani syczeniem poszli dalej.

„Gdzie ono może być? - myślał Ostap. - To mi się zaczyna nie podobać”. I postanowił, że nie opuści drelichowej warowni, dopóki nie wyjaśni sprawy krzesła.

W czasie kiedy inspektor z kierownikiem łazili po strychach zagłębiając się w szczegóły ochrony przeciwpożarowej i badając rozmieszczenie kominów, życie Zakładu Opieki Społecznej nr 2 płynęło zwykłym trybem.

Obiad właśnie był gotowy. Woń przypalonej kaszy znacznie się wzmogła i zagłuszyła wszystkie pozostałe stęchłe zapachy panujące w tym domu. Na korytarzach zrobił się ruch. Staruszki ostrożnie wychodziły z kuchni, oburącz trzymając przed sobą blaszane miseczki z kaszą i siadały przy ogólnym stole, unikając widoku rozwieszonych w jadalni hasał w osobistym układzie Aleksandra Jakowlewicza artystycznym wykonaniu Aleksandry Jakowlewny. Hasła te brzmiały następująco:

„POŻYWIENIE - TO ŹRÓDŁO ZDROWIA”

„JEDNO JAJKO ZAWIERA TYLEŻ TŁUSZCZU CO 1½ FUNTA MIĘSA”

„DBAJ O UZĘBIENIE”

„STARANNIE PRZEŻUWAJĄC POKARM - POMAGASZ SPOŁECZEŃSTWU” oraz

„MIĘSO JEST SZKODLIWE”

Wszystkie te święte prawdy przypominały staruszkom o straconym jeszcze przed rewolucją uzębieniu, o jajkach, których nie jadły od tamtej pory, o mięsie, które pod względem zawartości tłuszczu ustępuje jajkom, a może nawet o społeczeństwie, któremu nie miały możliwości pomagać przez staranne przeżuwanie pokarmów.

Oprócz staruszek przy stole siedzieli: Izidor Jakowlewicz, Afanasij Jakowlewicz, Kirył Jakowlewicz oraz

Pasza Emiliewicz. Zarówno wiek jak i płeć tych młodzieńców stały w wyraźnej sprzeczności z warunkami uprawniającymi do korzystania z Zakładu Opieki Społecznej nr 2, ale usprawiedliwiał ich fakt, że trzej Jakowlewicze byli młodszymi braćmi Alchena, natomiast Pasza Emiliewicz - stryjczym siostrzeńcem Aleksandry Jakowlewny. Ci młodzi ludzie, z których najstarszym był trzydziestodwuletni

Pasza Emilewicz, nie uważali swego pobytu w przytułku Opieki Społecznej za coś nienormalnego.

Mieszkali tu na tych samych prawach co staruszki, sypiali na pryczach, przykrywali się kocami z napisem „Nogi”, tak samo jak staruszki odziani byli w drelichy koloru mysiego, ale dzięki młodości i sile odżywiali się lepiej niż pensjonariuszki. Kradli w domu wszystko, czego nie zdążył ukraść Alchen.

Pasza Emiliowicz potrafił spałaszować za jednym zamachem dwa kilogramy rybek, co też pewnego razu uczynił, zostawiając w ten sposób cały Zakład bez obiadu.

Staruszki nie zdążyły jeszcze na dobre rozsmakować się w kaszy, kiedy Jakowlewiczowie tudzież

Emiliowicz połknęli swoje porcje, wstali od stołu i głośno czkając udali się do kuchni na poszukiwanie czegoś konkretniejszego.

Obiad trwał nadal. Staruszki zaczęły mówić jedna przez drugą:

- Teraz się nażrą i zaczną ryczeć piosenki!

- A Pasza Emiliowicz sprzedał dziś rano krzesło ze świetlicy. Kuchennym wyjściem wyniósł je handlarzowi.

- Przekonacie się, że dziś wróci pijany.

W tej chwili rozmowę staruszek przerwało głośne charczenie, które zagłuszyło nawet nieustanne syczenie gaśnicy, i rozległ się głos przypominający ryk krowy:

- ...nalazek...

Staruszki pochyliły głowy i nie patrząc na stojący w rogu pokoju na wyszorowanej podłodze głośnik jadły dalej w nadziei, że ominie je ten kielich goryczy. Ale głośnik dziarsko kontynuował:

- Donokrrrachchch wiadom... cenny wynalazek. Starszy dróżnik Kolei Murmańskiej towarzysz Sokucki

- Samara, Orzeł, Kleopatra, Ustinia, Carycyn, Klemens, Ifigenia - Sokucki...

Tuba chrapliwie wciągnęła powietrze i zakatarzonym głosem wznowiła transmisję:

...wynalazł sygnalizację świetlną do pługów śnieżnych. Wynalazek został zaaprobowany przez

Usprawdrog - Ustinia, Samara, Piotr...

Staruszki niby szare kaczki podreptały do swoich sypialni. Głośnik wprawiony w drżenie siłą własnego głosu ryczał w dalszym ciągu w pustym pokoju:

- ...A teraz posłuchajcie nowgorodzkich czastuszek...

Gdzieś daleko, jakby w głębi ziemi, ktoś trącił struny bałabajki i małorolny Batistini15 zaśpiewał:

Ledwo słońce weszło wnet

Pluskwy się ocknęły,

A gdy egzekutor wszedł –

To się nań wypięły.

W głębi ziemi czastuszki te wywołały żywy oddźwięk. W tubie rozległ się straszliwy rumor. Trudno było dociec, czy to huczne oklaski, czy wybuchy podziemnych wulkanów.

Tymczasem posępny inspektor ochrony przeciwpożarowej zszedł po drabinie ze strychu i znowu znalazł się w kuchni. Ujrzał tam pięciu obywateli, którzy rękami wygarniali z beczki kwaszoną kapustę i pałaszowali ją ze smakiem. Zajadali w milczeniu. Jeden tylko Pasza Emiliowicz z miną smakosza kręcił głową i zdejmując z wąsów kapuściane makarony mówił:

- Aż grzech jeść taką kapustę bez wódki.
- Cóż to, nowa partia staruszek? - spytał Ostap.
- To sieroty - odparł Alchen ramieniem wypychając inspektora z kuchni i ukradkiem wygrażając sierotom pięścią.

- Dzieci z Powołża?

Alchen stracił kontenans.

- Smutna spuścizna carskiego stroju?

Alchen rozłożył ręce na znak, że na taką spuściznę nic nie poradzi.

- A może koedukacja obu płci, czyli metoda wspólnego wychowania?

W tej chwili nieśmiały Aleksander Jakowlewicz nie zwlekając zaprosił inspektora na skromne „co

Bozia da”

A tego dnia Bozia dała Aleksandrowi Jakowlewiczowi na obiad butelkę żubrówki, grzybki domowej roboty, zapiekanekę ze śledzikiem, barszcz ukraiński na mięsie pierwszego gatunku, potrawkę z kury z ryżem tudzież kompot z suszonych jabłek.

- Saszchen - powiedział Aleksander Jakowlewicz - pozwól, że ci zaprezentuję towarzysza z Gubpożaru.

Ostap złożył pani domu wyszukany ukłon i obdarzył ją komplementem tak długim i dwuznacznym, że sam nie wiedział, jak z niego wybrnąć.

Saszchen, rośla jejmość, której wdzięki były nieco zeszpecone bokobrodami à la Mikołaj II, zachichotała i łyknęła z mężczyznami szklaneczkę wódki.

- Pije za wasze komunalne gospodarstwo! - wykrzyknął Ostap.

Obiad minął w wesołym nastroju i dopiero przy kompocie Ostap przypomniał sobie o celu wizyty.

- Dlaczego - spytał - w waszym kefirowym zakładzie macie taki mizerny inwentarz?

- Jak to - oburzył się Alchen - a fisharmonia?

M. Batistini (1856-1928) – słynny włoski śpiewak operowy.

- Wiem, wiem, vox humanum. Ale posiedzieć wygodnie to absolutnie nie ma na czym. Same tylko ogrodowe skrzynki.

- W świetlicy stoi krzesło - zaprotestował urażony Alchen - angielskie krzesło. Podobno pozostałość z dawnego umeblowania.

- A ja przecież jeszcze nie oglądałem waszej świetlicy. Jak przedstawia się tam sprawa ochrony przeciwpożarowej? Nie robi nam kawału? Trzeba będzie zobaczyć.

- Bardzo prosimy.

Ostap podziękował gospodyni za obiad i udał się do świetlicy.

W świetlicy nie palono prymusów ani przenośnych piecyków, kominy były w należytym porządku i regularnie przeczyszczane, ale ku niepomniemu zdziwieniu Alchena krzesła także nie było. Zaczęto go szukać. Zaglądano pod łóżka i pod ławki, nie

wiadomo po co odsunięto fisharmonię, wypytywano staruszki, które bojaźliwie spoglądały na Paszę Emiliewicza, ale krzesła nie znaleziono. Pasza

Emiliewicz wykazywał w tych poszukiwaniach ogromną gorliwość. Wszyscy już dali spokój, a on wciąż jeszcze chodził po pokojach, zaglądał pod karafki, podnosił blaszane kubki do herbaty i mrużał:

- Gdzie ono może być? Przecież dziś jeszcze widziałem je na własne oczy! A to heca!
- To smutne, moje panienki - lodowatym głosem powiedział Ostap.
- To ci heca! - beczelnie powtarzał Pasza Emiliewicz.

Ale w tej właśnie chwili nieustannie sycząca gaśnica pianowa „Ekler” wzięła najwyższe „fa”, robiąc tym konkurencję zasłużonej artystce republiki Niezdanowej, następnie gaśnica na chwilę przycichła, po czym z hałasem wypuściła pierwszy strumień piany, który zalał sufit i zdarł z głowy kucharza drelichowy czepiec. Po chwili gaśnica pianowa wypuściła następny strumień w kolorze drelichowym, który zbił z nóg małego Izydora Jakowlewicza. Potem już „Ekler” działał nieprzerwanie.

Na miejsce wypadku przybiegli: Pasza Emiliewicz, Alchen oraz wszyscy nieposzkodowani

Jakowlewicze.

- Lepsza robota! - powiedział Ostap. - Idiotyczny pomysł.

Staruszki pozostawione same same z Ostapem natychmiast zaczęły wnosić zażalenia:

- Braciszków do domu sprowadził. Obżerają się tu.
- Prosiaki mlekiem karmią, a w nas kaszę pchają.
- Wszystko z domu powynosił.
- Spokojnie, moje panienki - powiedział Ostap cofając się - w tej sprawie przyjdą do was z inspekcji pracy. Mnie senat nie upoważnił.

Staruszki nie chciały o tym słyszeć.

- A Pasza Mielientiewicz krzesło dziś wyniósł i sprzedał. Sama widziałam.
- Komu? - ryknął Ostap.
- Sprzedał i kwita. Mój koc też chciał sprzedać.

Tymczasem w korytarzu toczyła się zacięta walka z gaśnicą.

Wreszcie geniusz ludzki zwyciężył i gaśnica pianowa, zdeptana żelazną stopą Paszy Emiliewicza, wypuła ostatni wąty strumień i uspokoiła się na wieczne czasy.

Staruszkom kazano myć podłogę. Inspektor Ochrony Przeciwpozarowej pochylił głowę i lekko kołyszając się w biodrach podszedł do Paszy Emiliewicza.

- Pewien mój znajomy - powiedział Ostap znacząco - też sprzedawał meble państwowe. Teraz pokutę odprawia - w ciupie siedzi.
- Dziwią mnie wasze bezpodstawne zarzuty - odparł Pasza Emiliewicz, od którego bił silny zapach ogniobójczej piany.
- Komu sprzedałeś krzesło? - spytał Ostap świszczącym szeptem.

W tym momencie Pasza Emiliewicz obdarzony nadprzyrodzoną intuicją pojął, że może być natychmiast nie tylko zbity, ale nawet skopany.

- Handlarzowi - odparł.
- Adres?
- Widziałem go pierwszy raz w życiu.
- Pierwszy raz w życiu?
- Jak Bożę kocham.

- Och, jak bym ci dał w mordę! - marzycielsko oznajmił Ostap. - Tylko Zaratuśra16 mi nie pozwala.

Wynoś mi się do stu diabłów!

Pasza Emiliewicz uśmiechnął się przymilnie i rozpoczął odwrót.

- Ej, ty, ofiaro losu! - wyniośle powiedział Ostap. - Nie bój się, poczekaj. Jak wyglądał ten handlarz?

Blondyn czy brunet?

Pasza Emiliewicz zaczął udzielać dokładnych informacji. Ostap wysłuchał go uważnie i zakończył wywiad słowami:

- To nie ma absolutnie nic wspólnego z ochroną przeciwpożarową.

W korytarzu do wychodzącego Bendera podszedł nieśmiały Alchen i wręczał mu czerwona.

- To podpada pod artykuł 114 Kodeksu Karnego - powiedział Ostap. - Dawanie łapówki osobie urzędowej w czasie pełnienia obowiązków służbowych.

Ale pieniądze schował i nie żegnając się z Aleksandrem Jakowlewiczem skierował się do wyjścia.

Drzwi wyposażone w potężne urządzenie z trudem dały się otworzyć, po czym grzmotnęły Ostapą w kark z siłą półtorej tony.

- Cios nastąpił - powiedział Ostap rozcierając stłuczone miejsce - sesja trwa!

Zaratuśra - mityczny twórca religii w starożytnej Persji, Azerbajdżanie i Środkowej Azji.

Rozdział IX Gdzie wasze kędziory?

Podczas gdy Ostap zwiedzał Zakład Opieki Społecznej nr 2, Hipolit Matwiejewicz opuścił stróżówkę i ruszył przez ulice rodzinnego miasta czując dotkliwe zimno w ogolonej głowie.

Środkiem ulicy toczyły się czyste wiosenne wody. Słuchać było nieustanny plusk brylantowych kropel spadających z dachów. Wróble polowały na nawóz. Słońce okupowało wszystkie dachy. Złote perszerony z całym rozmysłem głośno waliły kopytami w obnażone kamienie jezdni i spuściwszy łby z zadowoleniem wsłuchiwały się w stuk własnych kopyt. Na wilgotnych słupach telegraficznych wisały pomarszczone mokre ogłoszenia z rozpływającymi się literami:

„WYUCZAM GRY NA GITARZE SYSTEMEM LICZBOWYM” ORAZ „UDZIELAM LEKCJI SOCJOLOGII

KANDYDATOM DO KONSERWATORIUM”

Pluton czerwonoarmistów w zimowych czapkach brnął przez kałużę, ciągnącą się od sklepu Stargiko17 aż do gmachu Gubplanu, którego fronton ozdobiony był gipsowymi tygrysami, emblematami zwycięstwa tudzież kobrai.

Hipolit Matwiejewicz szedł i z zaciekawieniem przyglądał się przechodniom. On, który spędził w Rosji całe swoje życie oraz rewolucję i był świadkiem, jak przeobrażała się rzeczywistość, przywykł już do tego wszystkiego. Ale okazało się, że przywykł tylko w jednym punkcie kuli ziemskiej - w powiatowym miasteczku N. Po przyjeździe do rodzinnego miasta doszedł do wniosku, że nic nie rozumie. Czuł się głupio i nieswojo, jakby naprawdę był emigrantem i dopiero co wrócił z Paryża. Dawniej, kiedy przejeżdżał przez miasto w powozie, spotykał znajomych lub też ludzi znanych mu z widzenia. Teraz minął już cztery przecznice ulicy Lenskich Wydarzeń i nie spotkał nikogo znajomego. Znajomi zniknęli, a może tak się zestarzel, że nie można ich poznać, może stali się nie do poznania wskutek tego, żebyli inaczej ubrani, nosili inne kapelusze? Może zmienili chód? W każdym razie nie było ich.

Hipolit Matwiejewicz szedł blady, sztywny, przybity. Zupełnie zapomniał, że ma odnaleźć Urząd

Mieszkaniowy. Bez potrzeby przechodził z jednej strony ulicy na drugą, skręcał w boczne ulice, gdzie ożpuszczone perszerony z całą premedytacją waliły kopytami. W zaułkach resztki zimy były bardziej widoczne, gdzieś spotykało się jeszcze rozmiękły lód. Całe miasto zmieniło koloryt. Niebieskie domy przybrały barwę zieloną, żółte - popielatą; z wieży strażackiej zniknęły kule i nie widać już było na niej patrolującego strażaka, a na ulicach panował o wiele większy ruch niż za czasów Hipolita

Matwiejewicza.

Na Wielkiej Puszkiniowskiej Hipolita Matwiejewicza uderzyła rzecz nigdy dotychczas nie widziana w

Stargorodzie - mianowicie szyny tramwajowe i słupy z przewodami. Hipolit Matwiejewicz nie czytał gazet i nie wiedział, że w dniu 1 Maja w Stargorodzie ma nastąpić otwarcie dwóch linii tramwajowych: Dworcowej i Rynkowej. Chwilami zdawało się Hipolitowi Matwiejewiczowi, że nigdy nie opuszczał Stargorodu, to znów Stargorod wydawał mu się miejscem zupełnie nieznanym.

Pogrążony w takich myślach dotarł do ulicy Marksa i Engelsa. W tym miejscu owładnęło nim dziecinne uczucie, że teraz właśnie spoza piętrowego domu z długim balkonem musi ukazać się ktoś znajomy. Hipolit Matwiejewicz zatrzymał się nawet w oczekiwaniu. Ale nikt znajomy nie wyszedł.

Naprzód zza węgła wysunął się szklarz ze skrzynką szkła i puszką napełnioną kitem w kolorze miedzi;

Stargiko (Starogorodzkij kooperatiw) – starogrodzka spółdzielnia. potem elegant w zamszowej krymce z żółtym skórzanym daszkiem; za nim wybiegły dzieci, uczniowie szkoły podstawowej, niosąc książki związane rzemykiem.

Nagle Hipolit Matwiejewicz poczuł żar w dłoniach i zimno w żołądku. Na wprost niego szedł jakiś obywatel o pocziwym wyrazie twarzy niosąc przed sobą, jak wiolonczelę, krzesło. Hipolit

Matwiejewicz, którego nagle chwyciła czkawka, przyjrzał się i natychmiast rozpoznał swoje krzesło.

Tak! To było gamsowskie krzesło obite ściemniałym w ogniu rewolucji angielskim kretonem w kwiatki, to było orzechowe krzesło na giętych nóżkach. Hipolit Matwiejewicz poczuł się tak, jakby mu ktoś wypalił nad uchem.

- Noże ostrzyć, nożyczki, brzytwy! - krzyknął w pobliżu głęboki bas.

I natychmiast odpowiedziało mu cienkie echo:

- Lutować, reperować!...

- Moskiewska gazeta „Wiadomości”, „Śmieszek”, „Czerwona Niwa”!...

Gdzieś w górze ktoś z brzękiem stłukł szybę. Ulicą przejechała ciężarówka Mielstroju wstrząsając miastem w posadach. Rozległ się gwizdek milicjanta. Życie kipiało i przelewało się przez brzegi. Nie było chwili do stracenia.

Hipolit Matwiejewicz lamparcim skokiem dopadł bezczelnego nieznajomego i bez słowa szarpnął krzesło do siebie. Nieznajomy szarpnął z powrotem. Wtedy Hipolit Matwiejewicz, lewą ręką trzymając krzesło za nóżkę, zaczął ze wszystkich sił odrywać tłuste palce nieznajomego od krzesła.

- Rabują! - krzyknął nieznajomy szeptem, jeszcze mocniej ściskając krzesło.

- Za pozwoleniem, za pozwoleniem - bełkotał Hipolit Matwiejewicz w dalszym ciągu odrywając palce nieznajomego.

Tymczasem zaczął gromadzić się tłum. Już co najmniej trzy osoby stały w pobliżu, z żywym zainteresowaniem śledząc przebieg konfliktu.

Wtedy obaj obejrzeli się lękliwie i nie patrząc na siebie, ale też nie wypuszczając krzesła z pożądliwych rąk, szybko, jak gdyby nigdy nic, ruszyli naprzód.

„Co to ma znaczyć?” - rozpaczliwie myślał Hipolit Matwiejewicz.

Trudno zgadnąć, co myślał sobie nieznajomy, w każdym razie krok jego był jak najbardziej zdecydowany.

Szli coraz szybciej i kiedy w jakimś zaułku ujrzeli pusty placik zawałony żwirem i materiałami budowlanymi, skręcili tam jak na komendę. Tu siły Hipolita Matwiejewicza wzrosły czterokrotnie.

- Za pozwoleniem! - zawołał na cały głos.

- Mi-li-cja! - ledwie dosłyszalnie krzyknął nieznajomy.

Ze względu na to, że obaj mieli ręce zajęte krzesłem, zaczęli się kopać. Nieznajomy miał podkute buty, przeto z Hipolitem Matwiejewiczem początkowo było krucho. Szybko jednak przystosował się do sytuacji i skacząc to w prawo, to w lewo, jakby tańczył krakowiaka, zręcznie unikał rąk przeciwnika, usiłując równocześnie zadać mu cios w brzuch. W brzuch jednak nie mógł trafić, gdyż na przeszkodzie stało krzesło, natomiast udało mu się kopnąć przeciwnika w kolano i unieszkodliwić jego prawą nogę.

- O Boże! - jęknął nieznajomy.

W tej chwili Hipolit Matwiejewicz poznał, że ów nieznajomy, który w sposób najbezczelniejszy w świecie porwał jego krzesło, to pop z cerkwi Froła i Ławra, ojciec Fiodor Wostrikov we własnej osobie.

Hipolit Matwiejewicz zbaraniał.

- Batiuszka! - wykrzyknął i ze zdumienia puścił krzesło.

Ojciec Wostrikow zrobił się fiołkowy i także rozluźnił palce. Wypuszczone z rąk krzesło upadło na ceglany gruz.

- A gdzie to pańskie wąsy, szanowny Hipolicie Matwiejewiczu? - z najdalej posuniętą zjadliwością spytała duchowna osoba.

- A gdzie wasze kędziory, ojczulku? Przecież mieliście kędziory?

W głosie Hipolita Matwiejewicza brzmiała najwyższa pogarda. Obrzucił ojca Fiodora spojrzeniem pełnym godności, wziął krzesło pod pachę i zamierzał odejść. Ale ojciec Fiodor, który zdążył się opanować, nie dopuścił do tak łatwego zwycięstwa Worobianinowa. Z okrzykiem: „Hola, mój panie!” znowu złapał za krzesło. W ten sposób wrócili do poprzedniej pozycji. Przeciwnicy stali naprzeciw siebie jak koty lub bokserzy, kurczowo ściskając nóżki krzesła; mierzyli się nawzajem spojrzeniami i kroczyli tam i z powrotem. Ta pełna napięcia pauza trwała dobrą chwilę.

- A więc to pan, wielbny ojcie - zgrzytnął Hipolit Matwiejewicz - dybie na moje mienie?

Z tymi słowy Hipolit Matwiejewicz kopnął wielbego ojca w biodro.

Ojciec Fiodor przycał się i kopnął marszałka w pachwinę tak, że ten aż przysiadł.

- To nie pańskie mienie.

- A czyje?

- Nie pańskie.

- A czyje?

- Nie pańskie, nie pańskie.

- A czyje, czyje?

- Nie pańskie.

Sycząc tak, kopali się zapamiętale.

- A czyje to mienie? - zawył marszałek topiąc nogę w brzuchu wielbego ojca.

Przewyciężając ból ojciec wielbny twardo oznajmił:

- To jest mienie upaństwowione.

- Upaństwowione?

- Ta-a-k, ta-a-k, upaństwowione.

Mówili z tak nieprawdopodobną szybkością, że trudno było rozróżnić słowa.

- A któż to je upaństwowił?

- Władza radziecka! Władza radziecka!

- Jaka władza?

- Władza ludu pracującego!

- A-a-a!... - powiedział Hipolit Matwiejewicz lodowatym tonem. - Władza robotników i chłopów?

- Tak jessst!

- Hm-m-m!... Ta może ojczulek jest partyjny?

- M-może!

Tu Hipolit Matwiejewicz nie wytrzymał i z okrzykiem „może!” soczyście plunął w dobrotliwe oblicze ojca Fiodora. Ojciec Fiodor nie omieszkając plunął w twarz Hipolita Matwiejewicza i też trafił. Nie mogli się obetrzeć, ponieważ ręce mieli zajęte krzesłem. Hipolit Matwiejewicz wydał z siebie dźwięk przypominający odgłos otwieranych drzwi i z całej siły pchnął przeciwnika krzesłem. Wróg upadł pociągając za sobą zdyszanego Worobianinowa. Walka toczyła się teraz w rejonach parterowych.

Nagle rozległ się trzask. To ułamały się równocześnie obie przednie nóżki krzesła. Przeciwnicy zapomnieli o sobie i zaczęli rozszarpywać orzechowy skarbiec. Angielski kreton w kwiatki wydawał przy rozdzieraniu dźwięk przypominający żałosny krzyk mewy. Na skutek potężnego szarpnięcia odleciało oparcie. Poszukiwacze skarbu zdzierali pokrycie wraz z miedzianymi gwoździakami i kalecząc się o sprężyny zanurzyli dłonie w wyściełanym siedzeniu krzesła. Wprawione w ruch sprężyny brzęczały. Po upływie pięciu minut krzesło było doszczętnie obskubane. Zostało z niego tylko wspomnienie. Sprężyny toczyły się na wszystkie strony. Wiatr rozwiewał po placu strzępy zbutwiałej waty. Gięte nóżki spoczywały w rowie. Brylantów nie było.

- No co, znalazł ojczulek? - spytał Hipolit Matwiejewicz ciężko dysząc.

Ojciec Fiodor, cały pokryty kłakami waty, sapał i milczał.

Jesteś zwyczajnym aferzystą, ojczulku! - krzyknął Hipolit Matwiejewicz. - Spiorę cię po pysku, ojcie

Fiodorze!

- Za krótkie ręce! - odparł ojczulek.

- Jak ojciec się teraz ludziom na oczy pokaże w tych pierzach?

- A co panu do tego?

- Wstyd, ojczulku! Jesteś zwyczajnym złodziejem!

- Nic panu nie ukradłem!

- Skąd ojciec się o tym dowiedział? Wykorzystał ojciec we własnym interesie tajemnicę spowiedzi? A o ładnie! A to pięknie!

Hipolit Matwiejewicz z pełnym oburzenia „tfu!” opuścił plac i otrzepując po drodze rękawy palta skierował się w stronę domu. Na rogu ulicy Lenskich Wydarzeń i Jerofiejewskiego Zaułka

Worobianinow ujrzawszy swojego współnika. Dyrektor techniczny i główny kierownik koncesji stał na wpół odwrócony, z lewą nogą zadartą do góry - właśnie czyszczono mu kanarkową pastą zamszowe cholewki sztybletów. Hipolit Matwiejewicz podbiegł do niego. Dyrektor beztrząsco nucił sobie

„shimmy”

Dawniej to robili dromadery,

Teraz robią, damy z wyższej sfery,

I już tańczy shimmy ca-a-ły świat...

- No, jak tam z Urzędem Mieszkaniowym? - spytał rzeczowo i natychmiast dodał: - Zresztą, niech pan teraz nic nie mówi, jest pan nieco zdenerwowany, poczekamy.

Ostap wręczył pucybutowi siedem kopiejek, wziął Worobianinowa pod rękę i pociągnął go za sobą.

Bender bardzo uważnie wysłuchał sprawozdania zdenerwowanego Hipolita Matwiejewicza.

- Aha! Nieduża czarna bródka? Zgadza się! Palto z barankowym kołnierzem? Rozumiem. To było krzesło z przytułku. Kupione dziś rano za trzy ruble.

- Chwileczkę, to jeszcze nie wszystko...

I Hipolit Matwiejewicz opowiedział głównemu koncesjonariuszowi o całej podłości ojca Fiodora.

Ostap spochmurniał.

- Kiepska sprawa - oświadczył. - Jaskinia Leichtweisa. Tajemniczy rywal. Trzeba go ubiec, a mordę zawsze zdążymy mu nabić.

W czasie gdy przyjaciele posilali się w piwiarni „Stieńka Riazin”, gdzie Ostap zasięgał informacji, w którym domu był dawniej Urząd Mieszkaniowy i jaka instytucja mieści się tam obecnie, dzień chylił się ku końcowi.

Złote perszerony znów stały się brązowe. Brylantowe krople stygły w locie i z pluskiem padały na ziemię. W piwiarniach oraz w restauracji „Feniks” piwo podniosło się w cenie - nieomylny znak, że nadszedł wieczór. Na Wielkiej Puszkinińskiej zapłonęły elektryczne latarnie. Z tupotem przemaszerował oddział pionierów powracający z pierwszej wiosennej wyprawy.

Tygrysy i kobry na gmachu Gubplanu tajemniczo błyszcząły w poświacie wschodzącego nad miastem księżyca.

Wracając do domu w towarzystwie milczącego Ostapa, Hipolit Matwiejewicz rzucił okiem na tygrysy i kobry. Za jego czasów mieścił się tu Gubernialny Urząd Ziemski, a obywatele chlubili się owymi kobrai, uważając je za stargorodzką osobliwość.

„Znajdę!” - pomyślał Hipolit Matwiejewicz wpatrując się w gipsowy symbol zwycięstwa.

Tygrysy łagodnie machały ogonami, kobry wesoło zwijały się w kłębek i serce Hipolita Matwiejewicza ogarnęła pewność zwycięstwa.

Rozdział X Ślusarz, papuga i wróżka

Dom nr 7 w Przeleszyńskim Zaułku nie należał do najpiękniejszych budowli w Stargorodzie. Dwa jego piętra, zbudowane w stylu Drugiego Cesarstwa, były ozdobione obtłuczonymi lwimi pyskami, niezwykle przypominającymi oblicze znanego w swoim czasie pisarza Arcybaszewa¹⁸. Tych wizerunków Arcybaszewa było osiem, dokładnie tyle, ile okien wychodzących na ulicę. Te lwie Harpie mieściły się w łukach okiennych.

Na budynku widniały jeszcze dwie inne ozdoby, ale już o charakterze czysto handlowym. Z jednej strony wisiał lazurowy szyld:

ODESKA SPÓŁDZIELNIA PIEKARZY

OBARZANKI MOSKIEWSKIE

Na szyldzie wymalowany był młodzieniec w krawacie i krótkich obcisłych spodniach. W jednej wyciągniętej dłoni trzymał bajeczny róg obfitości: sypały się z niego jak lawina moskiewskie obarzanki w kolorze ochry, mogące z równym powodzeniem uchodzić za odeskie publiczki. Młodzieniec uśmiechał się obleśnie. - Z drugiej strony

pakownia „Szybkopak” zawiadamiała szanownych obywateli klientów o swym istnieniu za pomocą okrągłych złotych liter na czarnym tle.

Mimo tak namacalnej różnicy w sztyldach, a także w wysokości kapitału obrotowego, obydwie te tak różne przedsiębiorstwa uprawiały ten sam proceder: spekulowały wszelkiego rodzaju wyrobami tekstylnymi: sukniem, wełną, bawełną, a jeśli trafił się jedwab o ładnym kolorze lub desenie, nie gardziły także jedwabiem.

Po przejściu tunelu bramy zatopionej w ciemnościach i wodzie wychodziło się na podwórze z cembrowaną studnią. W podwórzu na prawo widniało dwoje drzwi, które nie posiadały ganków, lecz wychodziły wprost na kocie łby podwórza. Drzwi po prawej stronie były opatrzone zaśnieżoną miedzianą tabliczką z wygrawerowanym nazwiskiem:

W. M. POLESOW

Na drzwiach z lewej strony biała blaska:

UBIORY I KAPELUSZE

Ale to także były tylko pozory.

W pracowni ubiorów i kapeluszy nie było ani śladu kroju lub szycia, nie było bezgłowych manekinów o bohaterskiej piersi, ani drewnianych foremek do upinania wytwornych damskich kapelusików.

Zamiast całego tego sztychu, w trypokojowym lokalu mieszkała nieskazitelnie biała papuga w czerwonych gatkach. Papugę zadreżdżały pchły, ale nie mogła się nikomu poskarżyć, ponieważ nie znała ludzkiej mowy. Po całych dniach papuga gryzła pestki, a łupiny wypływała na dywan przez pręty swojej klatki w kształcie wieży. Brakowało jej tylko harmonii i nowych skrzypiących kaloszy, aby mogła uchodzić za podpitego chałupnika z prywatnej inicjatywy. W pokoju przeważały barwy ciemnobrązowe. Okna zasłonięte były ciemnobrązowymi kotarami z frędzlą. Nad pianinem wisiała za szkłem reprodukcja obrazu Böcklina „Wyspa umarłych” w fantazyjnej ramie z ciemnozielonego politurowanego dębu. Jeden róg szkła dawno już wypadł i obnażona część obrazu była tak upstrzona

M.P. Arcybaszew (1878-1927) – rosyjski pisarz. Autor powieści „Sanin”. Po rewolucji 1917 r. emigrował z Rosji. przez muchy, że całkowicie zlewała się z ramą. W tym stanie rzeczy było zupełną niemożliwością rozeznaczyć, co działo się w tej części wyspy umarłych.

W sypialni na łóżku siedziała właścicielka tego lokalu. Oparła łokcie na ośmiokątnym stoliku przykrytym brudną serwetką „richelieu” i stawiała właśnie kabałę. Naprzeciw niej siedziała wdowa

Gricacujewa w wełnianym szalu.

- Z góry uprzedzam, panienko, że za seans biorę najmniej pięćdziesiąt kopiejek - oświadczyła gospodyni.

Wdowa, która nie znała przeszkód, gdy chodziło o powtórne zamążpójście, zgodziła się na wyznaczoną cenę.

- Tylko niech już kochana pani uwzględni również przyszłość - poprosiła wdowa żałośnie.

- Panią trzeba obierać w damie treflowej.

Wdowa zaprotestowała:

- Zawsze obierałam się w damie czerwiennej.

Gospodyni obojętnie zgodziła się i zaczęła rozkładać karty.

Już po upływie kilku minut los wdowy był znany w grubszych zarysach. Czekwały ją mniejsze i większe przykrości, a na jej sercu leżał król treflowy, którym interesowała się karowa dama.

Dalszy ciąg wróżby odbywał się z ręki. Linie rąk wdowy Gricacujewej były wyraźne, mocne i nie budziły żadnych wątpliwości. Linia życia sięgała tak daleko, że zachodziła aż na puls i jeśli linia ta nie kłamała, wdowa powinna by dożyć dnia Sądu Ostatecznego. Linia rozumu i talentu pozwalała przypuszczać, że wdowa porzuci handel artykułami spożywczymi i obdarzy ludzkość niezrównanymi arcydziełami w dowolnej dziedzinie sztuki, nauki lub socjologii. Wzgórki Wenery u wdowy przypominały sopki Mandżurii i zdradzały cudowne pokłady miłości i czułości.

Wszystko to wróżka wyjaśniała wdowie za pomocą słów i terminów używanych w sferach grafologów, chiromantów tudzież handlarzy koni.

- Dziękuję kochanej pani - powiedziała wdowa - teraz już wiem, kto to jest ten król treflowy. A karową damę też znam. A czy ten król oznacza małżeństwo?

- Małżeństwo, panienko.

Wdowa jak na skrzydłach pobiegła do domu. A wróżka wrzuciła karty do szuflady, ziewnęła odślaniając uzębienie pięćdziesięcioletniej kobiety i poszła do kuchni. Tam zajęła się obiadem, który gotował się na prymusie „Grec”, typowym ruchem kucharki wytarła ręce o fartuch, wzięła obite emaliowane wiadro i wyszła na podwórko po wodę.

Szła przez podwórze, posuwając się ociężale na płaskich stopach. Jej sfatygowany biust trząsł się pod farbowaną bluzką. Głowę wieńczyła strzecha siwych włosów. Była stara, niechlujna, na wszystkich patrzyła podejrzliwie i lubiła łakocie. Gdyby ją teraz Hipolit Matwiejewicz zobaczył, nie poznałby

Heleny Bour, swojej dawnej kochanki, o której sekretarz sądu wyraził się niegdyś wierszem: „Do pocałunków kusi, każdy ją wielbić musi”

Przy studni panią Bour powitał sąsiad Wiktor Michajłowicz Polesow, ślusarz-inteligent, który właśnie czerpał wodę bańką od benzyny. Polesow miał twarz operowego diabła, którego przed wypuszczeniem na scenę dokładnie wysmarowano sadzą.

Po wymianie powitań sąsiedzi rozpoczęli rozmowę na temat, który absorbował cały Stargorod.

- Doczekaliśmy się ładnych czasów - ironicznie powiedział Polesow. - Wczoraj całe miasto obleciałami nigdzie nie dostałem gwintownika trzy ósme cala. Gdzie tam! Szkoda gadać! A tramwaj zachciało im ię puszczać!

Helena Stanisławowna miała o gwintownikach trzy ósme cala akurat takie wyobrażenie, jakie o gospodarstwie rolnym ma słuchaczka kursów choreograficznych imienia Leonarda da Vinci, która wyobraża sobie, że ser otrzymuje się z naleśników. Mimo to powiedziała ze współczuciem:

- A czyż to są teraz sklepy? Teraz są tylko kolejki, a nie sklepy. A nazwy tych sklepów to wprost coś okropnego. Stargiko!

- Eh, to jeszcze nic, Heleno Stanisławowna! Zostały im cztery wozy „Powszechnej Spółki Elektrycznej”

Te to jeszcze jako tako ruszą, chociaż karoseria - zupełny szmelc!... Okna nie mają gumowych uszczeltek. Sam widziałem. Wszystko będzie brzęczeć... Czarna rozpacz! A reszta wozów - wyrób charkowski. Od początku do końca Gospromcwietmiet19. Wiorsty nie ujadą. Oglądałem je...

Zdenerwowany ślusarz zamilkł. Czarna jego twarz błyszczała w słońcu. Białka oczu były lekko żółtawe.

Pośród właścicieli warsztatów mechanicznych, w które obfitował Stargorod, Wiktor Michajłowicz

Polesow był najbardziej nieudolny i miał największego pecha. Winę ponosiło w tym wypadku jego nadzwyczaj żywe usposobienie. Był to wyjątkowy wałkoń. A przy tym nieustannie się irytował. W jego własnym warsztacie, który mieścił się w drugim podwórzu domu nr 7 na Przeleszyńskim Zaułku, nigdy nie można go było zastać. Na środku murowanej szopy stał wygasły przenośny piecyk, po kątach piętrzyły się stosy dziurawych dętek, zużytych opon „Trieugolnik”, zardzewiałe zamki takich rozmiarów, że mogłyby służyć do zamykania bram miasta, zbiorniki do paliwa z napisami „Indian” i

„Wanderer”, dziecinny wózek na resorach, zamilkłe na wieki wieków dynamo, przegniłe pasy z niegarbowanej skóry, nasiąknięte oliwą pakuły, doszczętnie zużyty glasspapier, austriacki bagnet oraz mnóstwo pogiętego, połamanego i potłuczonego szmelcu. Klienci nigdy nie mogli go zastać, ponieważ Wiktor Michajłowicz zawsze gdzieś kimś komenderował. Nie miał głowy do pracy. Nie mógł spokojnie patrzeć na wjeżdżającą w jego lub cudze podwórko platformę z towarem. Polesow natychmiast wychodził na dwór, zakładał ręce w tył i z przekąsem obserwował wysiłki woźnicy.

Wreszcie wybuchał:

- Jak ty zajeżdżasz? - krzyczał z przerażeniem. - Zawracaj!

Wystraszony woźnica zawracał.

- Jak zawracasz, psubrace? - biadał Wiktor Michajłowicz zastępując koniowi drogę. - Dawniej dostałbyś po gębie i od razu wiedziałbyś, jak się zawraca.

Polesow pokomenderował tak z pół godziny i już miał wracać do warsztatu, gdzie czekała nań nie naprawiona pompka do roweru, ale w tym momencie spokojne życie miasta znów było zakłócone jakimś wypadkiem. A to na ulicy dwa wozy szepiły się osiami i Wiktor Michajłowicz udzielał skazówek, w jaki sposób najlepiej i najszybciej można je rozłączyć: to znów zmieniali słup telegraficzny i Polesow sprawdzał jego pion za pomocą własnej, specjalnie w tym celu przyniesionej z warsztatu poziomnicy: albo wreszcie przejeżdżała straż pożarna i Polesow wytrącony z równowagi dźwiękami trąbki, pożerany ogniem niepokoju, biegł za wozami straży.

Gospromcwietmiet (Gosudarstwiennaja Promyszlennost' Cwietnoj Metałurgii) - Państwowy Przemysł Metali

Kolorowych.

Czasami jednak Wiktora Michajłowicza ogarniał szal pracowitości. Wtedy na kilka dni zamykał się w warsztacie i w skupieniu pracował. Dzieci mogły wtedy bez przeszkody biegać po podwórku i hałasować dowoli, platformy zawracały jak chciały i zataczały łuki, jakie im się tylko podobało, wozy w ogóle przestały się szepiać, a straż pożarna samotnie pędziła na miejsce wypadku. Wiktor

Michajłowicz pracował.

Po jednym z takich paroksyzmów, Polesow wyciągnął na podwórko, jak barana za rogi, motocykl skonstruowany z resztek różnych samochodów, gaśnic, rowerów oraz maszyn do pisania. Motor o sile półtora HP pochodził od „Wanderera”, koła od „Dawidsona”, a pozostałe, istotne bądź co bądź części, dawno już straciły firmę. Przy siodełku wisiała na sznurku tekturowa tabliczka z napisem „Próba”.

Zrobiło się zbiegowisko. Nie zwracając na nikogo uwagi Wiktor Michajłowicz zakręcił ręką pedał.

Przez blisko dziesięć minut nie mógł zapuścić motoru. Potem rozległo się metaliczne mlaskanie, mechanizm zadrżał i otoczył się kłębam brudnego dymu. Wiktor Michajłowicz wskoczył na siodełko i motocykl rozwinąwszy szaleńczą szybkość wyniósł go przez tunel bramy na środek ulicy, gdzie zatrzymał się gwałtownie, jak gdyby ugodzony kulą. Wiktor Michajłowicz już zamierzał zejść i zbadać swoją zagadkową maszynę, gdy ta nagle zaczęła się cofać, przeniosła swego twórcę przez tenże sam tunel bramy, zatrzymała się w miejscu startu, szcęknęła, jęknęła i eksplodowała. Wiktor

Michajłowicz cudem ocalał, a ze szczątków motocykla skonstruował w okresie następnego paroksyzmu pracowitości silnik, który był łudząco podobny do prawdziwego, tyle tylko, że nie funkcjonował.

Ukoronowaniem naukowej działalności ślusarza-inteligenta była epopeja związana z bramą sąsiedniego domu nr 5. Zzieszenie lokatorów tego domu zawarło z Wiktorem Michajłowiczem umowę, na mocy której Polesow zobowiązał się doprowadzić do porządku żelazną bramę tego domu i pomalować ją na jakiś praktyczny kolor według własnego uznania. Zzieszenie lokatorów ze swej strony zobowiązało się wypłacić W. M. Polesowowi, po zatwierdzeniu roboty przez specjalną komisję, dwadzieścia jeden rubli, siedemdziesiąt pięć kopiejek.

Opłaty stemplowe obciążały wykonawcę.

Wiktor Michajłowicz, niczym Samson, wziął bramę na plecy, przyniósł do warsztatu i z entuzjazmem zabrał się do pracy. Dwa dni stracił na rozmontowanie bramy. Została rozłożona na części składowe, żelazne zawijasy leżały w dzieciennym wózku; sztaby i pręty zostały złożone pod warsztatem ślusarskim. Parę dni zeszło na oglądaniu uszkodzeń. A potem w mieście zdarzył się przykry wypadek: na Drewnianej pękła główna rura wodociągowa i Wiktor Michajłowicz spędził resztę tygodnia na miejscu katastrofy. Z ironicznym uśmiechem na ustach pokrzykiwał na robotników i co chwila zaglądał do kanału.

Kiedy zapał organizacyjny nieco osłabł, Wiktor Michajłowicz znowu wrócił do rozłożonej na części bramy, ale było już za późno. Dzieciarnia z podwórka bawiła się w najlepsze żelaznymi zawijaszami i prętami bramy domu nr 5. Na widok rozgniewanego ślusarza dzieciaki rzuciły zabawki i w popłochu uciekły. Połowy zawijasów nie udało się odnaleźć. Od tej chwili Wiktor Michajłowicz zupełnie zubożył w stosunku do bramy.

A tymczasem w stojącym otworze domu nr 5 działy się straszliwe rzeczy. Ze strychów ginęła mokra bielizna, a nawet pewnego dnia wieczorem ktoś porwał z podwórka kipiący samowar. Wiktor

Michajłowicz osobiście brał udział w pogoni za złodziejem. Złodziej, aczkolwiek trzymał przed sobą kipiący samowar, z rury którego buchały płomienie, umykał nadzwyczaj chyżo i odwracając głowę lżył plugawymi słowami biegnącego na czele pogoni Wiktora Michajłowicza. Ale najgorzej ze wszystkich poszkodowany był dozorca domu nr 5, stracił bowiem conocny zarobek: z powodu braku bramy nie miał co otwierać, a spóźnieni lokatorzy nie mieli za co mu płacić. Z początku dozorca przychodził

dowiadując się, czy brama **prędka będzie gotowa**, potem zaklinał na wszystkie świętości, wreszcie zaczął rzucać **mgliste pogroźki**. Zreszezenie lokatorów przysyłało do Wiktora Michajłowicza upomnienia **na piśmie**. Sprawa pachniała sądem. Sytuacja stawała się coraz bardziej naprężona.

Ślusarz-inteligent i wróżka kontynuowali rozmowę przy studni.

- Wobec braku **impregnowanych podkładek** - **krzyczał** Wiktor Michajłowicz na całe podwórko - to będzie skandal, **a nie tramwaj!**

- Kiedyż się to **wszystko skończy!** - **westchnęła** Helena Stanisławowna. - żyjemy jak dzikusy.

- Końca nie widać... Tak! **A wie pani**, kogo dziś spotkałem? Worobianinowa.

Helena Stanisławowna **ze zdumienia oparła się** o studnię i stała tak, trzymając w powietrzu **napełnione wiadro**.

- **Przychodzę do Zarządu Miejskiego**, żeby przedłużyć umowę na dzierżawę warsztatu, idę korytarzem, **nagle podchodzi do mnie** jakichś dwóch. Patrzę - jeden coś mi znajomy. Jak gdyby twarz

Worobianinowa. I pytają: „Przepraszamy, obywatelu, jaki urząd mieścił się dawniej w tym gmachu?”

Powiadam, że dawniej **było tu żeńskie gimnazjum**, a potem Urząd Mieszkaniowy. „A o co chodzi?” - pytam. A on powiada „**dziękuję**” i poszedł dalej. Wtedy uświadomiłem sobie, że to Worobianinow, tylko bez wąsów. Skąd on się tu wziął? A ten drugi, co był z nim - piękny mężczyzna. Na pewno były oficer. **Od razu** sobie pomyślałem...

W tej chwili Wiktor Michajłowicz **zobaczył coś** nieprzyjemnego. Przerwał rozmowę, chwycił bańkę i błyskawicznie **schował się** za śmietnik. Na podwórko wszedł wolnym krokiem dozorca domu nr 5, zatrzymał się przy studni i zaczął rozglądać się po zabudowaniach podwórzowych. Nie widząc nigdzie

Wiktora Michajłowicza **dozorca zmarkotniał**.

- Ślusarza znowu nie ma? - **spytał** Heleny Stanisławowny.

- Ach, ja nic nie wiem - **powiedziała wróżka** - **nic nie wiem**.

I niesłychanie podniecona szybko pobiegła do domu, wychlapując po drodze wodę z wiadra.

Dozorca przesunął dłoń **po cementowym** bloku studni i skierował się w stronę warsztatu. W odległości **dwóch kroków** od szyldu

WEJŚCIE DO WARSZTATU ŚLUSARSKIEGOwidniała wywieszka:

WARSZTAT ŚLUSARSKI I NAPRAWA PRYMUSÓW pod nią wisiła ciężka kłódka. Dozorca kopnął nogą kłódkę i **z nienawiścią powiedział**:

- A to gangrena!

Dozorca jeszcze ze trzy minuty stał pod drzwiami warsztatu podsycając w sobie wrogie uczucia, następnie z **hałasem zerwał szyld**, zaniósł na środek podwórza koło studni i depcząc go nogami zaczął **wykrzykiwać**:

- **Złodzieje w domu nr 7 mieszkają!** - **pienił się** dozorca. - Łobuzeria! Dranie z piekła rodem! **średnie wykształcenie ma!**... **Gwiżdżę na średnie wykształcenie!**... Gangrena przekłeta!...

A tymczasem drań z piekła rodem ze średnim wykształceniem siedział za śmietnikiem na bańce od benzyny i nudził się.

Okna otwierały się z traskiem i wyglądali z nich ubawieni lokatorzy. Z ulicy zaczęli powoli schodzić się na podwórko gapię. Widok audytorium jeszcze bardziej podniecił dozorcę.

- Ślusarz-mechanik! - wykrzykiwał dozorca. - Świński arystokrata!

Te parlamentarne wyrażenia dozorca bogato przeplatał niecenzuralnymi słowami, którym dawał zdecydowaną przewagę.

Wrażliwa żeńska płeć, która gęsto oblepiała parapety, była bardzo zgorszona zachowaniem dozorca, ale od okien nie odchodziła.

- Mordę rozkwaszę! - pieniał się dozorca. - Wykształcony!

Kiedy awantura osiągnęła szczytowy punkt, zjawił się milicjant i bez słowa zaczął ciągnąć awanturника do komisariatu. Milicjantowi pomagali młodzieńcy z „Szybkopaku”.

Dozorca ze skrucą objął milicjanta za szyję i rozpłakał się.

- Niebezpieczeństwo minęło.

Wtedy zza śmietnika wyszedł zelżony Wiktor Michajłowicz. Audytorium zawrzało.

- Cham! - krzyknął Wiktor Michajłowicz w stronę oddalającego się pochodu. - Cham! Ja ci pokażę!

Łajdak!

Szlochający dozorca nie słyszał tych obelg. Niesiono go na rękach do komisariatu. Zabrano tam również jako dowód rzeczowy szyld: „Warsztat ślusarski i naprawa prymusów”.

Wiktor Michajłowicz długo jeszcze się srożył.

- Hołota - mówił do gapiących się. - W głowie im się poprzewracało! Chamy!

- Dość już, Wiktorze Michajłowiczu! - krzyknęła z okna Helena Stanisławowna. - Niech pan wstąpi do mnie na chwilkę.

Helena Stanisławowna postawiła przez Wiktoorem Michajłowiczem spodeczek kompotu i chodząc po pokoju zaczęła wypytwać.

- Przecież mówię pani, że to on, bez wąsów, ale on - ryczał jak zwykle Wiktor Michajłowicz - znam go przecież doskonale! Worobianinow, ani chybi!

- Ciszej, na miłość boską! Jak pan myśli, po co on tu przyjechał?

Na czarnym obliczu Wiktora Michajłowicza ukazał się ironiczny uśmiešek.

- A więc, co pan przypuszcza?

Uśmiechnął się z jeszcze większą ironią.

- W każdym razie nie po to, żeby układy z bolszewikami podpisywać.

- Sądzi pan, że grozi mu niebezpieczeństwo?

Zasoby ironii nagromadzone przez Wiktora Michajłowicza w ciągu dziesięciu lat rewolucji były niewyczerpane. Na obliczu jego rozlała się cała gama sceptycznych uśmiezków.

- A kto w Rosji Radzieckiej nie jest narażony na niebezpieczeństwo? Cóż dopiero człowiek w takiej sytuacji jak Worobianinow. Wąsów, Heleno Stanisławowna, nie goli się bez powodu.

- Czy przysłano go z zagranicy? - spytała Helena Stanisławowna prawie bez tchu.

- Niewątpliwie - odpowiedział genialny ślusarz.

- Ale w jakim celu tu przyjechał?

- Niech pani nie będzie dzieckiem.

- Zresztą mniejsza z tym. Muszę się z nim zobaczyć.

- A czy pani zdaje sobie sprawę, na co się pani naraża?

- Ach, wszystko mi jedno! Po dziesięciu latach rozłąki muszę zobaczyć się z Hipolitem

Matwiejewiczem.

Helena Stanisławowna była święcie przekonana, że los rozdzielił ich w chwili, kiedy łączyła ich wzajemna miłość.

- Błagam pana, niech go pan odszuka! Proszę się dowiedzieć, gdzie on jest. Pan wszędzie bywa! Panu nie sprawi to trudności! Proszę go zawiadomić, że chcę się z nim widzieć. Słyszysz pan?

Papuga w czerwonych gatkach, która dzwemała na drążku, wystraszona głośną rozmową, przekreśliła się głową w dół i zastygła w tej pozycji.

- Heleno Stanisławowna - powiedział ślusarz-mechanik wstając i krzyżując ręce na piersiach - znajdę go i nawiążę kontakt.

- Może jeszcze trochę kompotu? - spytała wzruszona wróżka.

Wiktor Michajłowicz zjadł kompot, gniewnym tonem wygłosił wykład na temat niewłaściwej budowy papuziej klatki i pożegnał Helenę Stanisławowną, zalecając jej zachowanie najściślejszej tajemnicy.

Rozdział XI Alfabet - zwierciadło życia

Na drugi dzień wspólnicy doszli do przekonania, że dłużej w stróżówce mieszkać nie można. Tichon, który z początku widział swego pana z czarnymi wąsami, potem z zielonymi, a wreszcie bez wąsów, całkiem stracił głowę i burczał pod nosem. Nie było na czym spać. W stróżówce śmierdziało awozem, który Tichon przynosił na swoich nowych walonkach. Stare walonki stały w kącie i też nie rozsiewały zapachu perfum.

- Wieczór wspomnień uważam za skończony - powiedział Ostap - trzeba przenieść się do hotelu.

Hipolit Matwiejewicz drgnął.

- Tego nie należy robić.

- Dlaczego?

- Bo tam trzeba będzie się zameldować.

- A co, paszport nie w porządku?

- E, nie, paszport w porządku, tylko tu dobrze znają moje nazwisko. Będą plotki.

Wspólnicy umilkli zadumani.

- A co by pan powiedział na nazwisko Michelson? - znieśnacka zagadnął Ostap.
- Jaki Michelson? Senator?
- Nie. Członek Związku Pracowników Handlu Uspołecznionego.
- Nie rozumiem pana.
- To z braku wyrobienia technicznego. Nie bądź pan ciemną.

Bender wyjął z kieszeni zielonej marynarki legitymację związkową i wręczył ją Hipolitowi

Matwiejewiczowi.

- Konrad Karłowicz Michelson, lat czterdzieści osiem, bezpartyjny, kawaler, członek związku od 1921 roku, jednostka na wysokim poziomie moralnym, mój dobry znajomy, zdaje się, przyjaciel dzieci... Ale może pan sobie to darować. Milicja nie będzie od pana tego wymagała.

Hipolit Matwiejewicz zarumienił się.

- Ale czy to tak można?
- W porównaniu z naszą koncesją postęp ten, aczkolwiek przewidziany w kodeksie karnym, jest zaledwie dziecinną igraszką.

Pomimo to Worobianinow nie mógł się zdecydować.

- Jest pan idealistą, Konradzie Karłowiczu. Ma pan wyjątkowe szczęście, bo równie dobrze mogłoby panu przypaść w udziale nazwisko, dajmy na to: Papa-Christozonulo albo jakiś Żłowunow.

Nastąpiła szybka akceptacja i wspólnicy opuścili stróżówkę nie żegnając się z Tichonem.

Zatrzymali się w umeblowanych pokojach „Sorbona”. Ostap postawił na nogi cały niewielki personel hotelowy. Z początku oglądał pokoje po siedem rubli, ale nie odpowiadało mu ich umeblowanie.

Urządzenie pokoiów po pięć rubli bardziej mu się podobało, ale dywany były jakieś wyliniałe i panował tu wstrętny fetor. W pokojach po trzy ruble wszystko było w porządku z wyjątkiem obrazów.

- Nie mogę mieszkać w pokoju razem z pejzażami - oświadczył Ostap.

Nie pozostawało nic innego, jak zamieszkać w pokoju za rubel, osiemdziesiąt kopiejek. Nie było tam ani pejzaży, ani dywanów, a tylko ściśle niezbędne umeblowanie: dwa łóżka i nocny stolik.

- Styl z epoki kamienia łupanego - oświadczył Ostap z aprobatą. - A czy tu w materacach nie mieszkają jakieś przedhistoryczne stworzenia?

- Jak kiedy - odpowiedział rezolutny numerowy. - Jeżeli na przykład odbywa się jakiś zjazd, to naturalnie wtedy ich nie ma, bo gości przyjeżdża dużo i przedtem robi się generalne porządki. A w spokojne dni to poniekąd owszem - zdarza się, że przyłazą. Z innych pokoiów.

Jeszcze tego samego dnia wspólnicy odwiedzili Zarząd

Miejski, gdzie otrzymali wszystkie niezbędne informacje. Okazało się, że Urząd Mieszkaniowy został zlikwidowany w 1921 roku, a jego pokaźne archiwum połączono z archiwum Zarządu Miejskiego.

Wielki kombinator zaczął działać. Pod wieczór wspólnicy znali już prywatny adres kierownika archiwum Warfołomia Korobiejnikowa, byłego urzędnika kancelarii burmistrza miasta, obecnie inteligenta pracującego.

Ostap przyodziął się we włóczkową kamizelkę, wytarzał marynarkę o poręcz łóżka, zażądał od

Hipolita Matwiejewicza rubel dwadzieścia kopiejek na reprezentację i udał się z wizytą do archiwariusza. Hipolit Matwiejewicz został w „Sorbonie” i wielce zdenerwowany zaczął spacerować, po wąskiej przestrzeni pomiędzy łózkami. W ten zielony, chłodny wieczór ważyły się losy całego przedsięwzięcia. Gdyby udało się wydostać kopie nakazów, według których rozdzielono meble zabrane z willi Worobianinowa, sprawę można by uważać za wygraną w pięćdziesięciu procentach.

Oczywista, że dalej mogą zdarzyć się nieprzewidziane trudności, ale główne nici mieliby już w ręku.

- Żeby tylko dostać te nakazy - szepnął Hipolit Matwiejewicz rzucając się na łóżko - żeby tylko je dostać...

Sprężyny mocno sfatygowanego materaca wpijały mu się w ciało niczym pluskwy, ale Hipolit

Matwiejewicz nie czuł tego. Jeszcze nie wiedział, co nastąpi po zdobyciu nakazów, ale był pewien, że wtedy wszystko pójdzie jak po maśle. „A masłem kaszy zepsuć nie można” - płało mu się po głowie.

A kasza ta w rzeczy samej zapowiadała się znakomicie. Hipolit Matwiejewicz owiany różowymi marzeniami przewracał się niespokojnie na łóżku, aż grały pod nim sprężyny.

Ostap musiał przejść całe miasto, żeby dostać się na Gusiszcze, przedmieście Stargorodu, gdzie mieszkał Korobiejnikow.

Mieszkali tam przeważnie kolejarze. Od czasu do czasu, nad domami, po nasypie ogrodzonym cienkim betonowym parkanem, tyłem przejeżdżał sapiący parowóz. Buzujący ogień parowozowego paleniska oświetlał na chwilę dachy domów. Czasami toczyły się po szynach puste wagony, czasami wybuchały petardy. Pomiedzy chałupami i tymczasowymi barakami ciągnęły się długie ceglane szkielety jeszcze nie wykończonych domów spółdzielczych.

Ostap minął oświetloną wyspę - Klub Kolejarza, sprawdził adres zapisany na kartce i zatrzymał się przed domem archiwariusza. Zakręcił dzwonkiem z wypukłymi literami: „Proszę kręcić”.

Po długich wypytywaniach „do kogo i po co” drzwi otworzyły się i Ostap znalazł się w ciemnym, zastawionym szafami przedpokoju. W ciemności słychać było czyjś oddech.

- Chciałbym się widzieć z obywatelem Korobiejnikowem - powiedział Bender.

Ów oddychający człowiek wziął Ostapę za rękę i wprowadził do jadalni oświetlonej wiszącą naftową lampą. Ostap zobaczył przed sobą małego schludnego staruszka o niezwykle giętkim kręgosłupie. Nie było najmniejszej wątpliwości, że ów staruszek to właśnie obywatel Korobiejnikow. Ostap nie czekając na zaproszenie przysunął sobie krzesło i usiadł.

Staruszek bez cienia obawy patrzył na bezceremonialnego gościa i milczał. Ostap pierwszy rozpoczął z nim grzeczną rozmowę.

- Przychodzę tu w pewnej sprawie. Pan pracuje w archiwum Zarządu Miejskiego?

Plecy staruszka poruszyły się i wygięły twierdząco.

- A przedtem pracował pan w Urzędzie Mieszkaniowym?

- Wszędzie się pracowało - powiedział staruszek wesoło.

- Nawet w kancelarii pana burmistrza?

Tu Ostap uśmiechnął się z wdziękiem. Plecy staruszka długo nie mogły się wyprostować, aż wreszcie zatrzymały się w pozycji, która oznaczała, że praca w kancelarii pana burmistrza to sprawa dawna i że niepodobieństwem jest wszystko pamiętać.

- A czy pozwoli pan zapytać, co pana sprowadza? - zagadnął gospodarz z zainteresowaniem przyglądając się gościowi.

- Pozwolę - odparł gość. - Jestem synem Worobianinowa.

- A którego to? Marszałka?

- Tak jest.

- A co się z nim dzieje, żyje?

- Umarł, obywatelu Korobiejnikow. Niestety, umarł.

- Tak - bez wielkiego żalu stwierdził staruszek - przykry wypadek. Ale zdaje mi się, że on nie miał dzieci?

- Nie miał - grzecznie potwierdził Ostap.

- Więc, jakże to?...

- Ano tak. Pochodzę z morganatycznego związku.

- To może pan jest synem Heleny Stanisławowny?

- Tak. W rzeczy samej.

- A jakże się ona miewa?

- Mamusia już dawno w grobie.

- Tak, tak, to bardzo smutne!

I staruszek długo jeszcze spoglądał na Ostapę ze łzami współczucia w oczach, chociaż nie dalej jak właśnie dziś widział na bazarze Helenę Stanisławownę kupującą mięso.

- Wszyscy umierają - powiedział staruszek - ot, moja babina też... przejechała się. Chciałbym jednakże dowiedzieć się, w jakiej sprawie pan szanowny, przepraszam, nie znam imienia...

- Waldemar - szybko oświadczył Ostap.

- Władimir Hipolitowicz? Doskonale. A więc, słucham pana, Władimirze Hipolitowiczu.

Staruszek usiadł przy stole nakrytym deseniową ceratą i spojrzał Ostapowi w oczy.

Ostap w wyszukanych słowach wyraził swój żal po stracie rodziców. Bardzo mu przykro, że o tak późnej porze wtargnął do domu wielce szanownego archiwariusza i

sprawił mu kłopot swoją wizytą, ale ma nadzieję, że wielce szanowny archiwariusz nie weźmie mu tego za złe, skoro zważy uczucia, jakie nim kierowały.

- Pragnąłbym, z niewysłowioną synowską miłością zakończył Ostap, odnaleźć coś niecoś z mebli ojczulka, aby zachować je na pamiątkę. Nie wiadomo panu przypadkiem, komu zostały przydzielone meble z domu mego ojca?

- Skomplikowana sprawa - odpowiedział staruszek po chwili zastanowienia - na to może sobie pozwolić tylko człowiek dobrze sytuowany... A pan, przepraszam, czym się zajmuje?

- Wolny zawód. Posiadam w Samarze własne przedsiębiorstwo rzeźniczo-chłodnicze na zasadach spółdzielczych.

Staruszek z powątpiewaniem spojrzał na zielony przydzwiek młodego Worobianinowa, ale nie protestował.

„Rzutki młodzieniec” - pomyślał.

Ostap, który w tym samym czasie zakończył swoje obserwacje nad osobą Korobiejnikowa, zdecydował, że „stary - to skończony łajdak”

- A więc, tak - powiedział Ostap.

- Ano, tak - rzekł archiwariusz - trudno będzie, ale można...

- Pewnie wymaga kosztów? - podsunął właściciel przedsiębiorstwa mięsnego.

- Niewielka suma...

- A więc, wróćmy do naszych bananów, jak mawiał Maupassant. Informacje będą wynagrodzone.

- A zatem, da pan siedemdziesiąt rubli.

- Dlaczego tak dużo? Czyżby owies podrożał?

Staruszek zadrżał lekko i zamerdał kręgosłupem.

- Pan, zdaje się, żartuje...

- A zatem, zgoda. Pieniądze w zamian za nakazy. Kiedy mam po nie przyjść?

- Ma pan pieniądze przy sobie?

Ostap z gotowością poklepał się po kieszeni.

- W takim razie proszę, choćby zaraz - uroczyście oznajmił Korobiejnikow.

Zapałił świecę i zaprowadził Ostapę do sąsiedniego pokoju. Oprócz łóżka, na którym najwidoczniej sypiał gospodarz, stało tu jeszcze biurko zavalone książkami buchalteryjnymi oraz długa kancelaryjna szafa bez drzwi. Do poszczególnych przegródek były przyklejone drukowane litery alfabetu, od A do Z.

Na półkach leżały paczki nakazów starannie przewiązane szpagatem.

- Ho, ho! - powiedział z zachwytem Ostap. - Całe archiwum w domu!

- Caluteńkie - skromnie odparł archiwariusz. - Ja, uważa pan, tak na wszelki wypadek... Zarządowi ono nie potrzebne, a mnie na stare lata może się przydać... żyjemy, uważa pan, jak na wulkanie...

Wszystko może się zdarzyć... Wtedy ludziska rzucają się szukać swoich mebli. A gdzież one są, te meble? Ano, gdzie! Tu są! W tej szafie. A kto je ocalił, kto uratował? Korobiejnikow! Wtedy panowie podziękują staruszkowi, wesprą go na stare lata... A

mnie dużo nie potrzeba - po dziesiątce za nakazik dadzą, i wystarczy... A jak nie, to niech próbują! Szukaj wiatru w polu! Beze mnie nie znajdą!

Ostap z podziwem patrzył na starego.

- Cudo - kancelaria - powiedział. - Szczytowa mechanizacja! Jest pan prawdziwym przodownikiem pracy!

Mile połączany archiwariusz zaczął wtajemniczać gościa w szczegóły swojego ukochanego dzieła.

Otworzył grube księgi ewidencji i przydziałów.

- Tu jest wszystko - wyjaśnił - cały Stargorod! Wszystkie meble! Co komu kiedy zabrano i co komu kiedy przydzielono. A oto skorowidz alfabetyczny - zwierciadło życia! O czyje meble chodzi? Kupca pierwszej gildii Angełowa? Pro-oszę bardzo. Zajrzyjmy pod literę A. Litera A, Ak, Am, An, Angełow...

Numer? Jest 82 742. Teraz bierzemy książkę ewidencyjną. Stronica 142. Gdzież ten Angełow? Jest.

Angełowowi zabrano 18 grudnia 1918 roku: fortepian Beckera nr 97 012, wyściełany taboret, dwa biurka, cztery szafy do ubrań (w tym dwie mahoniowe), jedna toaletka i tak dalej... A teraz komu wydano?... Weźmy książkę przydziałów. Ten sam numer 82 742... Wydano. Toaletka poszła do [REDAKTOWANO]

Komendantury Wojskowej, trzy szafy - do internatu dla dzieci „Skowronek”, jeszcze jedna szafa do osobistej dyspozycji sekretarza Urzędu Aproprowizacji. A gdzie poszedł fortepian? Fortepian poszedł do przytułku nr 2. I dotychczas tam stoi...

„Nie widziałem tam jakoś żadnego fortepianu” - pomyślał Ostap, przypominając sobie niewinne oblicze Alchena.

- Albo weźmy na przykład szefa kancelarii burmistrza - Murina... Trzeba wobec tego szukać na literę

M. Wszystko tu jest. Całe miasto. Fortepiany, kozetki wszelkiego rodzaju, lustra, fotele, kanapki, pufiki, kandelabry... Nawet serwisy....

- No, no - rzekł Ostap - należy się panu pomnik „nie trudem rąk ciosany”, jak powiedział Puszkina. Ale wróćmy do naszych baranów. Na przykład litera W.

- Owszem, jest także litera W - usłużył oświadczył Korobiejkow. - Zaraz. Wm, Wn, Woricki, nr

48 238 Worobianinow, Hipolit Matwiejewicz, ojczulek pański, świeć Panie nad jego duszą, był to człowiek wielkich zalet... Fortepian Beckera nr 5 480 009, wazy chińskie, znakowane - cztery, francuskiej fabryki Sèvres, dywanów Aubussonów 20 osiem sztuk - różnych rozmiarów, gobelin

„Pasterka”, gobelin „Pasterz”, dywanów tekińskich - dwa, dywanów chorosańskich - jeden, wypchany niedźwiedź z tacą - jeden, garnitur sypialny - dwanaście sztuk, garnitur stołowy - szesnaście sztuk, roboty mistrza Gambsa, orzechowy...

- A komu przydzielono? - niecierpliwie przerwał Ostap.

- Zaraz, zaraz, chwileczkę. Wypchany niedźwiedź z tacą - na 2 posterunek milicji. Gobelin „Pasterz” - do Zbiorów Dzieł Sztuki. Gobelin „Pasterka” - do Klubu Wioślarzy. Dywany francuskie, tekińskie i chorosańskie - do Ludowego Komisariatu Handlu Zagranicznego. Garnitur sypialny - do Związku

Łowieckiego. Garnitur stołowy - do stargorodzkiego Oddziału Handlu Herbatą. Garnitur salonowy, orzechowy podzielono. Stół okrągły i jedno krzesło - do Zakładu Opieki Społecznej nr 2, kanapa odkompletu - do dyspozycji Urzędu Mieszkaniowego (dotychczas stoi w przedpokoju, całe obicie uszmelcowali, łajdaki), jedno krzesło przydzielono towarzyszowi Gricacujewowi jako inwalidzie wojny imperialistycznej, na jego prośbę i zgodnie z decyzją kierownika Urzędu, tow. Burkina. Dziesięć krzeseł wysłano do Moskwy do Muzeum Mebli, zgodnie z okólnikiem Narodowego Komisariatu

Oświaty... Wazy chińskie, znakowane...

20

Aubusson (fr.) - miasto we Francji słynne z wyrobu dywanów.

- Jestem pełen podziwu - rzekł Ostap triumfując w duchu - to kongenialne! Warto by teraz rzucić okiem na nakazy.

- Zaraz, zaraz, pomaleńku dojdziemy do nakazów. Za numerem 48 238, litera W.

Archiwariusz podszedł do szafy, wspiął się na palce i wy dostał odpowiednią paczkę nakazów.

- Proszę. Tu są wszystkie meble pańskiego ojczulka. Czy reflektuje pan na wszystkie nakazy?

- Po co mi wszystkie... Tak... Wspomnienia dzieciństwa - garnitur z salonu... Pamiętam, jak bawiłem się w salonie na chorozańskim dywanie, patrząc na gobelin „Pasterka”... Dobre to były czasy, beztroskie dzieciństwo!... Ograniczmy się zatem do garnituru z salonu.

Archiwariusz z czułością zaczął rozwiązywać paczkę zielonych kwitariuszy i zabrał się do wyszukiwania potrzebnych nakazów. Wyjął pięć sztuk. Jeden nakaz na dziesięć krzeseł, dwa nakazy po jednym krześle, jeden - na okrągły stół i jeden - na gobelin „Pasterka”.

- Proszę sprawdzić. Wszystko w porządku. Wiadomo gdzie co stoi. Na pokwitowaniach wypisane są adresy i własnoręczny podpis odbiorcy. W razie czego nikt nie może się wyprzeć. A może reflektuje pan na garnitur generałowej Popowej? Bardzo ładny. Także robota Gambsa.

Ale Ostap powodowany tylko i wyłącznie miłością do rodziców chwycił nakazy, wsunął je na samo dno bocznej kieszeni, a z garnituru generałowej zrezygnował.

- Można już napisać pokwitowanko? - dopytywał się archiwariusz rezolutnie wyginając grzbiet.

- Owszem - odparł uprzejmie Bender - pisz pan, bojowniku idei.

- Już się robi!

- Krop pan!

- Wrócili do pierwszego pokoju. Korobiejnikow starannie wykaligrafował pokwitowanie i z uśmiechem wręczył je gościowi. Główny akcjonariusz z niezwykłą kurtuazją ujął kwitek w dwa palce prawej ręki i wsunął go do tej samej kieszeni, gdzie już spoczywały cenne nakazy.

- No, to serwus - powiedział mrużąc powieki - zdaje się, że sprawiłem panu dużo kłopotu. Nie śmiem dłużej narzucać się swoją osobą, ściskam dłoń, szefie kancelarii.

Oszołomiony archiwariusz bezwładnie uściśnął podaną mu rękę.

- Serwus - powtórzył Ostap i skierował się do wyjścia.

Korobiejnikow nic nie rozumiał. Rzucił okiem na stół, czy przypadkiem tam gość nie zostawił pieniędzy, ale na stole pieniędzy też nie było. Wtedy archiwariusz bardzo cicho zapytał:

- A pieniądze?

- Jakie pieniądze? - powiedział Ostap otwierając drzwi. - Zdaje się, że pan pytał o jakieś pieniądze?

- No, jakże! Za meble! Za nakazy!

- Rybeńko - powiedział słodko Ostap - jak Boga kocham, przysięgam na pamięć nieboszczyka ojczulka, że rad bym z duszy, ale nie mam, zapomniałem podjąć z konta...

Stary zadrżał i wyciągnął wątłą rączkę, aby zatrzymać nocnego gościa.

- Spokojnie, durniu - rzekł groźnie Ostap - przecież mówię wyraźnie, po ludzku: jutro - to jutro! No, serwus! Pisz na Berdyczów!...

Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Korobiejnikow otworzył je i wybiegł przed dom, ale Bendera już nie było. Ostap szybko mijał most. Przejeżdżający po wiadukcie parowóz oświetlił go na chwilę swymi latarniami i spowił kłębam dymu.

- Lody ruszyły! - krzyknął Ostap do maszynisty. - Lody ruszyły, panowie przysięgli!

Maszynista nie dosłyszał, machnął ręką, stalowe korbowody mocniej szarpnęły koła i parowóz zniknął w mrokach nocy.

Korobiejnikow dłuższą chwilę stał na lodowatym wietrze klnąc najgorszymi słowami, po czym wrócił do domu. Ogarnęło go szalone rozgoryczenie. Stanął na środku pokoju i z wściekłością zaczął kopać stół, aż podskakiwała popielniczka w kształcie kalosza z czerwonym napisem „Trieugolnik”, a szklanka dzwoniła o karafkę.

Jeszcze nigdy Warfołomiej Korobiejnikow nie został tak nikczemnie oszukany. Dotychczas on wszystkich oszukiwał, a teraz sam został wystrychnięty na dudka, i to w sposób tak genialnie prosty!

Długo jeszcze stał kopiąc w grube nogi stołu.

Na Gusiszczu Korobiejnikowa nazywano Warfołomieiczem. Zwracano się do niego tylko w ostatecznych wypadkach. Warfołomieicz pożyczał pieniądze pod zastaw i brał zabójcze procenty.

Już od paru lat uprawiał ten proceder i nigdy dotąd nie został nabrany. A teraz wpadł jak głupiec, i tona najlepszym handlowym przedsięwzięciu, po którym spodziewał się wielkich zysków zabezpieczenia na starość.

- Dość tych żartów! - wykrzyknął na wspomnienie straconych nakazów. - Teraz pieniądze tylko z góry.

Jak mogłem dać się tak nabrać! Dobrowolnie oddałem salonowy orzechowy komplet! A taki gobelin

„Pasterka”, to przecież bezcenna rzecz! Ręczna robota!...

Tymczasem dzwonek „Proszę kręcić” już od dawna obracała czyjaś niepewna ręka i zanim

Warfołomicz zdążył przypomnieć sobie, że drzwi wejściowe stoją otworem, w przedpokoju rozległ się rumor i dał się słyszeć głos człowieka zagubionego w labiryncie szaf:

- Którędy tu się wchodzi?

Warfołomicz wyszedł do przedpokoju, pociągnął tego kogoś za palto (na dotyk - sukno) i wprowadził do jadalni ojca Fiodora.

- Najmocniej przepraszam - powiedział ojciec Fiodor. Po dziesięciu minutach wzajemnego kluczenia i niedomówień okazało się, że Korobiejnikow istotnie posiada pewne informacje dotyczące mebli

Worobianinowa, a ojciec Fiodor nie uchyla się od zapłacenia za te informacje. Ponadto, ku wielkiej radości archiwariusza, przybyły okazał się rodzonym bratem byłego marszałka i gorąco pragnął mieć po nim pamiątkę w postaci orzechowego kompletu z salonu. Brat Worobianinowa wiązał z tym właśnie kompletem najcieplejsze wspomnienia lat młodzieńczych.

Warfołomicz zażądał stu rubli. Przybyły znacznie niżej cenił pamięć brata, mianowicie, na sumę około trzydziestu rubli. Ostatecznie zgodzili się na pięćdziesiąt.

- Pieniądze poproszę z góry - oświadczył archiwariusz - to moja zasada.

- A nie szkodzi, że zapłacę złotymi dziesięciurublowkami? - pokwapił się ojciec Fiodor, odpruwając podszewkę marynarki.

- Przyjmę według kursu. Po dziewięć i pół. Dzisiejszy kurs.

Wostrikow wytrząsnął z kielbaski pięć krążków, dorzucił jeszcze dwa i pół rubla srebrem i całą tę kupkę podsunął archiwariuszowi. Warfołomicz dwa razy przeliczył pieniądze, zgarnął je na dłoń, przeprosił gościa na chwilę i poszedł po nakazy. W swojej tajnej kancelarii Warfołomicz, nie tracąc czasu na zastanawianie się, otworzył skorowidz alfabetyczny - zwierciadło życia na literze P, szybko odnalazł potrzebny numer i zdjął z półki paczkę nakazów na meble generałowej Popowej. Rozerwał paczkę i wyjął z niej nakaz na dwanaście krzeseł z fabryki Gambsa, wydany tow. Brunsowi zamieszkałemu przy ulicy Winogronowej 34. Podziwiając własny spryt i szybką orientację, archiwariusz z uśmiechem wyniósł nabywcy nakaz.

- Wszystkie w jednym miejscu? - wykrzyknął ojciec Fiodor.

- Co do jednego. Wszystkie tam stoją. Wspaniały komplet. Paluszki lizać. Zresztą, co będę panu tłumaczył! Sam pan wie!

Zachwycony ojciec Fiodor długo potrząsał ręką archiwariusza i objając się niezliczoną ilość razy o szafy w przedpokoju wybiegł w ciemność nocy.

Warfołomicz długo jeszcze śmiał się z okpionego nabywcy. Ułożył rzędem na stole złote monety i do późnej nocy sennym wzrokiem przypatrywał się błyszczącym krążkom.

„Dlaczego oni wszyscy mają taki pociąg do mebli Worobianinowa? - pomyślał. - Powariowali!”

Rozebrał się, niedbale zmówił pacierz, położył się na wąskim dziewiczym łóżeczku i zasnął pełen troski.

Rozdział XII Płomienna kobieta - marzenie poety

W ciągu nocy zima szczyła bez śladu. Zrobiło się tak ciepło, że wczesnym przechodniom pęczniały nogi. Wróble plotły coś trzy po trzy. Nawet kura, która wybiegła z kuchni na hotelowe podwórko, poczuła nagły przypływ animuszu i usiłowała frunąć. Niebo usiane było drobnymi klusieczkami obłoków, a z śmietnika dolatywał zapach fiołków i zupy paysanne. Wiatr mdlał pod okapem dachu.

Rozwalone na dachu koty szparkami oczu pobłażliwie patrzyły na podwórko, przez które biegł właśnie numerowy Aleksander z tłumakiem brudnej bielizny.

W „Sorbonie” zrobił się ruch. Na otwarciu linii tramwajowej zjechali się delegaci z całego powiatu. Z hotelowej linijki z napisem „Sorbona” zsiadła ich cała gromada.

Słońce grzało na cały regulator, śmigały w górę żelazne karbowane żaluzje sklepowe. Ludzie pracy, którzy śpieszyli do biur i fabryk w zimowych okryciach, szli zadyszani, porozpinani i przytłoczeni ciężarem wiosny.

Na ulicy Spółdzielczej pękł resor w przeładowanej ciężarówce Mielstroja. Przybyły na miejsce wypadku Wiktor Michajłowicz Polesow jak zwykle udzielał rad.

W pokoju hotelowym urządzonego z prymitywnym komfortem (dwa łóżka i nocny stolik) rozlegało się iście końskie rżenie i parskanie. To wesolutki Hipolit Matwiejewicz mył się i prychał. Wielki kombinator leżał w łóżku i oglądał uszkodzenia w kanarkowych sztybletach.

- Ale, ale - powiedział - proszę uregulować dług.

Hipolit Matwiejewicz wysunął głowę zza ręcznika i spojrzał na Ostapę wypukłymi oczami bez binokli.

- I cóż pan tak się gapi, jak sroka w gnat? Co pana dziwi? Dług? Należą mi się od pana pieniądze.

Zapomniałem panu powiedzieć, że zgodnie z pańskim pełnomocnictwem zapłaciłem wczoraj za nakazy siedemdziesiąt rubli. W tej sprawie załączam pokwitowanie. Proszę mi zwrócić trzydzieści pięć rubli. Spodziewam się, że udziałowcy uczestniczą w kosztach po połowie.

Hipolit Matwiejewicz włożył binokle, odczytał kwit i niechętnie wręczył Ostapowi pieniądze. Ale nawet to nie mogło zgasić jego radości. Miał w rękach fortunę. Trzydziestorublowy pyłek zniknął w blaskach brylantowej góry.

Hipolit Matwiejewicz uśmiechnął się promiennie, wyszedł na korytarz i zaczął się przechadzać.

Radością napawały go plany nowego życia zbudowanego na brylantowych fundamentach. „A świątobliwy ojczulek? - drwił w myślach. - Głupiec zawsze zostanie głupcem. Tak zobaczy krzesła, jak własne uszy”.

Hipolit Matwiejewicz doszedł do końca korytarza i zawrócił. W tym momencie białe obdrapane drzwi pokoju nr 13 otworzyły się i wyszedł z nich ojciec Fiodor w niebieskiej koszuli, przepasany czarnym wytartym sznurem z imponującymi chwastami. Dobrotliwe jego oblicze tryskało zadowoleniem.

Ojciec Fiodor wyszedł z pokoju także z zamiarem spacerowania się po korytarzu. Rywale spotykali się kilkakrotnie, mierzyli się zwycięskimi spojrzeniami i szli dalej. Kiedy

dochodzili do dwóch przeciwnych końców korytarza, obaj równocześnie zawracali i znów szli naprzeciw siebie... Piers

Hipolita Matwiejewicza przepełniało szczęście. To samo uczucie rozpierało ojca Fiodora. W obydwóch wzbierało uczucie politowania dla pokonanego przeciwnika. Wreszcie w czasie piątego z kolei rejsu,

Hipolit Matwiejewicz nie wytrzymał:

- Dzień dobry, ojczulku - odezwał się z niewysłowioną słodyczą.

Ojciec Fiodor zebrał w sobie cały sarkazm, jakim go Bóg obdarzył, i odparł:

- Dzień dobry, Hipolicie Matwiejewiczu.

Wrogowie rozeszli się w dwa przeciwne kierunki korytarza. Kiedy drogi ich znów się zeszły,

Worobianinow wycedził:

- Czy nie skrzywdziłem ojczulka podczas naszego ostatniego spotkania?

- Nie, skądże znowu, bardzo mi było miło spotkać pana - odparł tryumfujący w duchu ojciec Fiodor.

Znowu się rozeszli. Fizjonomia ojca Fiodora zaczęła drażnić Hipolita Matwiejewicza.

- Cóż to, mszy się już nie odprawia? - spytał przy następnym spotkaniu.

- A niby po co? Parafianie uganiają się po świecie - szukają skarbu.

- Swojego skarbu, jeśli łaska! Swojego!

- Nie wiem czyjego, natomiast wiem, że go szukają.

Hipolit Matwiejewicz miał ochotę powiedzieć coś złośliwego i nawet już otworzył usta, ale nic odpowiedniego nie przyszło mu do głowy, przeto wściekły wrócił do swojego pokoju. Po chwili wyszedł stamtąd w błękitnej kamizelce syn tureckiego obywatela - Ostap Bender i przydeptując sznurowadła własnych butów, ruszył w stronę Wostrikowa. Róże na półkach ojca Fiodora zwiędły i zamieniły się w popiół.

- Kupuje pan starzyznę? - spytał Ostap groźnie. - Krzesła? Bebechy? Pudełka od szuwaksu?

- Czego pan sobie życzy? - wyszeptał ojciec Fiodor.

- Życzę sobie sprzedać panu stare portki.

Pop zdrętwiał i cofnął się.

- Cóż pan tak milczy jak archijerej na audiencji?

Ojciec Fiodor wolno wycofywał się w stronę swoich drzwi.

- Stare rzeczy się kupuje, a nowe kradnie! - krzyknął za nim Ostap.

Wostrikow wtulił głowę w ramiona i zatrzymał się pod drzwiami swego pokoju. Ostap drwił dalej:

- Jakże będzie z tymi portkami, czcigodny sługo boży? Kupuje pan? Mam jeszcze rękawy od kamizelki, dziurkę od obaranka i ośle uszy. Hurtem będzie taniej. I w krzesłach nie potrzeba szperać! No?

Drzwi za sługą bożym zamknęły się.

Zadowolony z siebie Ostap zawrócił, wlokąc sznurowadła po chodniku. Kiedy jego masywna postać znalazła się w dostatecznej odległości, ojciec Fiodor szybko wytknął głowę na korytarz i z długo tłumioną wściekłością pisnął:

- Sam jesteś osioł!

- Co takiego? - krzyknął Ostap rzucając się z powrotem. Ale drzwi były już zamknięte i słychać było tylko zgrzyt klucza.

Ostap nachylił się do dziurki, przytknął do ust dłoń zwiniętą w trąbkę i dobitnie spytał:

- Po czemu opium dla mas?

Za drzwiami panowało milczenie.

- Jesteś nędzną kreaturą, ojczulku! - wykrzyknął Ostap.

W tej samej chwili z dziurki od klucza wysunął się zatemperowany ołówek, którego ostrzem ojciec

Fiodor usiłował dźgnąć wroga.

Dyrektor techniczny w samą porę odskoczył i złapał za ołówek. Rozdzieleni drzwiami, wrogowie w milczeniu ciągnęli ołówek każdy w swoją stronę. W rezultacie zwyciężyła młodość i ołówek opierając się jak zadra, pomału wyłazi z dziurki. Z tą zdobyczą Ostap wrócił do pokoju. Wspólnicy wpadli w jeszcze lepszy humor.

- A wróg ucieka, ucieka, ucieka! - zanucił Ostap. Na trzonku ołówka wyciął scyzorykiem obraźliwe słowo, wybiegł na korytarz, wsunął ołówek z powrotem w dziurkę od klucza i natychmiast wrócił do pokoju.

Przyjaciele wyciągnęli na światło dzienne zielone nakazy i zaczęli je dokładnie badać.

- Nakaz na gobelin „Pasterka” - powiedział Hipolit Matwiejewicz. - Kupiłem ten gobelin od petersburskiego antykwariusza.

- Pal diabli „Pasterkę!” - krzyknął Ostap i podarł nakaz na kawałki.

- Stół okrągły... Pewnie od kompletu...

- Dawaj pan tu ten stolik. Do diabła z tym stolikiem!

Zostały dwa nakazy: jeden - na dziesięć krzeseł wystawiony na Muzeum Mebli w Moskwie, drugi na jedno krzesło wydane tow. Gricacujewowi w Stargorodzie, ulica Plechanowa 15.

- Szykuj pan forszę - powiedział Ostap - możliwe, że trzeba będzie jechać do Moskwy.

- Ale przecież jedno krzesło jest tutaj!

- Jedna szansa na dziesięć. Czysta matematyka. A i to tylko w tym wypadku, jeśli obywatel Gricacujew nie napalił tym krzesłem w piecu.

- Niech pan tak nie żartuje.

- Spokojnie, spokojnie, lieber Vater Konrad Karłowicz Michelson, znajdziemy! Murowana sprawa.

Jeszcze jedwabne onuce będziemy nosili i krem Margot jadali.

- A mnie się wydaje - powiedział Hipolit Matwiejewicz - że biżuteria powinna być właśnie w tym krześle.

- Ach! Tak się panu wydaje? A co jeszcze się panu wydaje? Nic więcej? No, dobrze. Będziemy pracowali metodą marksistowską. Niebo zostawimy ptakom, a sami zajmujemy się krzesłami. Nie mogę się wprost doczekać spotkania z inwalidą wojny imperialistycznej, obywatelem Gricacujewem, ulica Plechanowa nr 15. Niech pan nie zostaje w tyle, Konradzie Karłowiczu. Plan ułożymy po drodze.

Przechodząc koło drzwi ojca Fiodora, mściwy syn tureckiego obywatela kopnął w nie nogą. Z pokoju hotelowego dobiegł słaby ryk prześladowanego konkurenta.

- żeby on przypadkiem za nami nie poszedł! - przeraził się Hipolit Matwiejewicz.

- Po dzisiejszym spotkaniu ministrów na jachcie, nie ma mowy o jakimkolwiek zbliżeniu. On się mnie boi.

Przyjaciele wrócili dopiero pod wieczór. Hipolit Matwiejewicz był zakłopotany. Ostap promieniał.

Obuty był w nowe, malinowego koloru kamasze, których obcasy podbite były okrągłymi gumkami.

Nosił skarpetki w czarno-zieloną szachownicę; prócz tego miał kremową czapkę i półjedwabny szal o wzorze rumuńskim.

- Krzesło jest, bo jest - powiedział Hipolit Matwiejewicz wspominając wizytę u wdowy Gricacujewej - ale jak je dostać do rąk? Kupić?

- Co znowu - odparł Ostap - pomijając już całkiem niepotrzebny wydatek, mogłoby to wywołać plotki.

Dlaczego tylko krzesło? Dlaczego właśnie to krzesło?...

- Więc co robić?

Ostap z lubością oglądał pięty nowych kamaszy.

- Szyk moderne - powiedział. - Co robić? Niech się pan nie denerwuje, panie prezesie, biorę na siebie tę operację. Nie ma takiego krzesła, które by oparło się tym kamaszkom.

- A wie pan co? - ożywił się Hipolit Matwiejewicz. - Kiedy pan rozmawiał z panią Gricacujewą o powodzi, usiadłem na naszym krześle i słowo daję, poczułem coś twardego. One tam są, jak Boga kocham, one tam są... Jak Boga kocham, ja to czuję.

- Proszę się nie podniecać, panie Michelson.

- Trzeba je w nocy wykraść! Jak mi Bóg miły, wykraść!

- Jak na marszałka szlachty, to nie ma pan zbyt wielkiej fantazji. A zna się pan na technice takich spraw? Może wozi pan w walizce podręczny neseser z kompletem wytrychów? Proszę sobie to wybić z głowy! Okradanie biednej wdowy to zwykłe łajdactwo.

Hipolit Matwiejewicz opamiętał się.

- Chciałbym przecież jak najprędzej - powiedział błagalnie.

- Prędko to tylko kocięta się rodzą - zauważył Ostap pouczająco. - Ożenię się z nią.

- Z kim?

- Z madame Gricacujewą.
- Po co?
- Żeby spokojnie pogrzebać w krześle.
- Ale przecież pan się wiąże na całe życie!
- Czego się nie robi dla dobra spółki!
- Na całe życie! - wyszeptał Hipolit Matwiejewicz.

W najwyższym zdumieniu zamachał rękami, jego księżowskie wygolone oblicze wykrzywiło się.

Ukazały się niebieskawe zęby nie myte od czasu wyjazdu z miasta N.

- Na całe życie - wyszeptał Hipolit Matwiejewicz. - To wielka ofiara.
- Życie! - rzekł Ostap - ofiara! Cóż pan wie o życiu i o ofiarach? Panu się zdaje, że jak pana wysiedlili z willi, to już pan zna życie? A jak panu zarekwirowali fałszywą chińską wagę, to poniósł pan ofiarę?

Życie, panowie przysięgli, to rzecz bardzo skomplikowana, ale, panowie przysięgli, ta skomplikowana rzecz otwiera się w sposób całkiem prosty, jak szuflada. Trzeba tylko umieć ją otworzyć. Kto nie potrafi jej otworzyć, ten zginie. Słyszał pan o huzarze-pustelniku?

Hipolit Matwiejewicz nie słyszał.

- Bułanow! Nie słyszał pan? Bohater arystokratycznych sfer Petersburga. Zaraz pan usłyszysz.

I Ostap Bender opowiedział Hipolitowi Matwiejewiczowi historię, której przedziwny początek zbulwersował niegdyś sfery towarzyskie Petersburga, a jeszcze bardziej dziwne zakończenie przeminęło w latach ostatnich całkiem bez echa.

* * *

OPOWIEŚĆ O HUZARZE-PUSTELNIKU

Wspaniały huzar, hrabia Aleksiej Bułanow, jak słusznie powiedział Bender, istotnie był bohaterem arystokratycznych kół Petersburga. Imię tego świetnego kawalerzysty i hulaki nie schodziło z ust nadętych mieszkańców pałaców Wybrzeża Angielskiego oraz z łamów kroniki towarzyskiej. Nader często na stronicach pism ilustrowanych ukazywał się portret urodziwego huzara: mundur z szamerunkiem, lamowany karkułem, włosy gładko przyлизane na skroniach, krótki nos zdobywcy.

Krążyły słuchy, że brał udział w wielu potajemnych pojedynkach o fatalnym wyniku, mówiono o jego jawnych romansach z najpiękniejszymi i najbardziej niedostępnymi damami wielkiego świata; o szaleńczych wybrykach, skierowanych przeciwko szacownym osobom z towarzystwa tudzież o nieobliczalnych hulankach, które z reguły kończyły się pogromem dandysów.

Hrabia był piękny, młody, bogaty, miał szczęście do kobiet, do kart i do dziedziczenia majątków.

Krewni jego umierali szybko, a każdy taki spadek powiększał i tak już dostatecznie duży majątek huzara,

Przy tym hrabia był zadzierzysty i odważny. Pomagał abisyńskiemu negusowi Menelikowi w wojnie z

Włochami. Pod wielkimi abisyńskimi gwiazdami, otulony w biały burnus, oglądał trzywiorstową mapę miejscowości, światło pochodni rzucało chybotliwe cienie na przybliżane skronie hrabiego. U nóg jego siedział nowy przyjaciel, abisyński chłopak Waśka.

Po rozgromieniu wojsk króla włoskiego, hrabia wrócił do Petersburga wraz z Abisyńczykiem Waśką.

Petersburg powitał bohatera kwiatami i szampanem. Hrabia Aleksiej znów pogrążył się w wirze światowych uciech. W dalszym ciągu mówiono o nim, tylko z jeszcze większym zachwytem, kobiety truły się przez niego, mężczyźni zazdrościli mu. Na tylnym stopniu karety hrabiego mknęła ulicą.

Milionową zawsze stał Abisyńczyk, wzbudzając podziw przechodniów swoją czarną twarzą i smukłą figurą.

I nagle wszystko to się skończyło. Hrabia Aleksiej Bułanow zniknął z horyzontu. Księżna białorusko-bałtycka, ostatnia pasja hrabiego, była niepokieszona. Zniknięcie hrabiego narobiło dużo szumu.

Gazety pełne były domysłów. Detektywi padali z wyczerpania. Wszystko na próżno. Hrabia zniknął jak kamfora.

Kiedy szum już przycichł, nagle z klasztoru awerkijewskiego nadszedł list, który wszystko wyjaśnił, świetny hrabia, bohater arystokratycznych sfer Petersburga, Baltazar XIX wieku, wstąpił do klasztoru.

Podawano wstrząsające szczegóły. Opowiadano, że hrabia-mnich dźwiga na sobie łańcuchy o wadze kilku pudów, że on, przywykły do wykuintnej francuskiej kuchni, żywi się wyłącznie obierkami od ziemniaków. Zerwała się burza domysłów. Mówiono, że hrabiemu ukazał się duch zmarłej matki.

Kobiety zalewały się łzami. Przed pałacem księżny białorusko-bałtyckiej stały sznury karet. Księżna z mężem przyjmowała wyrazy współczucia. Rodziły się coraz to nowe plotki. Spodziewano się powrotu hrabiego. Mówiono, że był to chwilowy obłęd na tle religijnym. Niektórzy twierdzili, że hrabia uciekł przed wierzycielami. Inni dodawali, że wszystkim winien nieszczęśliwy romans.

A tymczasem hrabia poszedł do klasztoru, żeby zgłębić sens życia. I wcale nie wrócił. Powoli zapomniano o nim. Księżna bałtycka poznała pewnego włoskiego śpiewaka; Abisyńczyk Waśka wrócił do ojczyzny.

Hrabia Aleksiej Bułanow przybrał w klasztorze imię Jewpła i umartwiał się na wszelkie sposoby.

Rzeczywiście nosił łańcuchy, ale wydawało mu się, że to jest niewystarczające dla poznania życia.

Wtedy wymyślił sobie specjalny strój: habit, który krępował ruchy, i spadający na twarz kaptur.

Otrzymał błogosławieństwo przeora i zaczął nosić ten strój. Ale to mu też nie wystarczało. Opętany pychą przeniósł się do ziemianki w lesie i zamieszkał w dębowej trumnie.

Ten czyn anachorety Jewpła wzbudził podziw całego klasztoru. Żywił się wyłącznie sucharami, których mu dostarczano raz na trzy miesiące.

Tak minęło dwadzieścia lat. Jewpł uważał, że tylko takie życie jest mądre, słuszne i całkowicie prawdziwe. Było mu lekko na duchu, a myśli stały się kryształowo czyste. Zgłębił sens życia i zrozumiał, że inaczej żyć nie należy.

Ale pewnego dnia spostrzegł ze zdziwieniem, że w miejscu, gdzie od dwudziestu lat zwykł był znajdować suchary, tym razem nic nie było. Nie jadł przez cztery dni. Piątego dnia zjawił się jakiś nieznany starzec w łapciach i powiedział mu, że bolszewicy wysiedlili mnichów z klasztoru i założyli tam sowchoz. Starzec zostawił trochę sucharów i odszedł płacząc. Anachoreta nie rozumiał, o czym mówił starzec. Cichy i promienny leżał w trumnie i cieszył się z poznania życia. Stary chłop w dalszym ciągu nosił mu suchary.

W ten sposób upłynęło jeszcze kilka niczym nie zmaconych lat.

Pewnego dnia drzwi ziemianki otworzyły się i weszło do niej, schylając głowy, kilku mężczyzn. Zbliżyli się do trumny i w milczeniu zaczęli przyglądać się starcowi. Byli to rośli mężczyźni w butach z ostrogami, w bufiastych bryczesach, z mauzerami w drewnianych politurowanych kaburach. Starzec leżał w trumnie z wyciągniętymi wzdłuż ciała rękami i patrzył na przybyszów promiennym wzrokiem.

Długa, puszysta siwa broda zakrywała połowę trumny. Nieznajomi zadzwonili ostrogami, wzruszyli ramionami i odeszli starannie zamykając za sobą drzwi.

Czas mijał, życie otworzyło się przed pustelnikiem w całej swej pełni i krasie. Pewnej nocy, która nastąpiła po dniu, kiedy to pustelnik ostatecznie zrozumiał, że życie nie ma dla niego tajemnic, starzec obudził się niespodziewanie. To go zdziwiło, albowiem nigdy nie budził się w nocy.

Rozmyślając nad przyczyną tego faktu zasnął ponownie, ale natychmiast znów się ocknął. Czuł dotkliwe swędzenie pleców. Zgłębiając przyczynę tego swędzenia usiłował zasnąć, ale nie mógł. Coś mu przeszkadzało. Nie zmrużył oka do rana. Następnej nocy znów go coś zbudziło. Wiercił się w trumnie do świtu pojękując z cicha i bezwiednie drapiąc się po rękach. Rano przypadkiem zajrzał do trumny. Wtedy wszystko zrozumiał. W rogach jego ponurego łóża szybko biegały brunatne pluskwy.

Pustelnikowi zrobiło się mdło.

Tego samego dnia zjawił się starzec z sucharami. I oto asceta, który milczał przez dwadzieścia pięć lat, przemówił. Poprosił o trochę nafty. Na dźwięk głosu milczącego dotąd mnicha chłop zbaraniał. Mimo to, wstydząc się i chowając buteleczkę, dostarczył naftę. Natychmiast po odejściu starca pustelnik drżącymi rękoma wysmarował naftą wszystkie spojenia i zawiasy trumny. Po raz pierwszy od trzech dni Jewpł zasnął spokojnie. Nic go nie obudziło. Przez następne dni także smarował trumnę naftą. Ale po dwóch miesiącach zrozumiał, że nafta nie działa na pluskwy. Po nocach wiercił się niemiłosiernie i głośno się modlił, ale modlitwy były jeszcze mniej skuteczne niż nafta.

Minęło pół roku w niewysłowionych mękach, aż wreszcie pustelnik znowu przemówił do starca.

Druga prośba jeszcze bardziej zdumiała staruszkę. Pustelnik prosił, żeby przywieźć mu z miasta proszek „Aragac” przeciwko pluskwom. Niestety „Aragac” też nie pomógł. Pluskwy rozmnażały się z nieprawdopodobną szybkością. Potężne zdrowie pustelnika, którego nie mógł złamać dwudziestopięcioletni post, zaczęło wyraźnie szwankować. Rozpoczęło się ponure, rozpaczliwe życie.

Trumna budziła w nim wstręt i obrzydzenie. W nocy, za poradą chłopca, przypiekał pluskwy łuczywem.

Zdychały, lecz nie poddawały się.

Został wypróbowany ostatni środek: wyrób braci Glück - różowy płyn o zapachu zgniłej brzoskwini pod nazwą „Pluskwini”. Ale to także nie pomogło. Sytuacja stawiała się coraz gorsza. Po dwóch latach od chwili podjęcia wielkiej walki pustelnik spostrzegł nagle, że całkiem przestał zastanawiać się nad sensem życia, albowiem dwadzieścia cztery godziny na dobę był zajęty tępieniem pluskwii.

Wtedy pojął, że się omylił, życie, tak samo jak dwadzieścia pięć lat temu, było zawile i zagadkowe. Nie udało się uciec od ziemskich trosk, żyć ciałem na ziemi, a duszą w niebiosach okazało się rzeczą niemożliwą.

Zatem starzec wstał i żwawo opuścił ziemiankę. Znalazł się wśród ciemnego, zielonego lasu. Była to wczesna sucha jesień. Tuż przy ziemiance wyłoniła się spod ziemi rodzina borowików. Jakiś nieznany ptaszek siedział na gałęzi i wywodził trele. Z dala dobiegł odgłos przejeżdżającego pociągu. Ziemia zadrżała. Życie było piękne. Starzec, nie oglądając się, ruszył przed siebie.

Obecnie pracuje jako woźnica w przedsiębiorstwie przewozowym Moskiewskiego Zarządu

Miejskiego.

Po opowiedzeniu Hipolitowi Matwiejewiczowi tej w najwyższym stopniu pouczającej historii, Ostap wyglansował rękawem swoje malinowe kamasze, odegrał na wargach tusz i wyszedł.

Nad ranem wrócił do hotelu, zdjął malinowe obuwie, postawił je na nocnym stoliku i głaszcząc błyszczącą skórę przemawiał z czułą namiętnością.

- Moi mali przyjaciele.
- Gdzie pan był? - spytał Hipolit Matwiejewicz wyrwany ze snu.
- U wdowy - głuchym głosem odparł Ostap.
- No i co?

Hipolit Matwiejewicz wsparł się na łokciu.

- Żeni się pan z nią?

Oczy Ostapa zamigotały.

- Teraz, jako człowiek honoru, muszę się z nią ożenić.

Hipolit Matwiejewicz chrząknął wstydliwie.

- Płomienna kobieta - powiedział Ostap - marzenie poety. Prowincjonalna bezpośredniość. W dużych miastach takiego podzwrotnikowego temperamentu już dawno się nie spotyka, ale na peryferiach, w terenie jeszcze można czasem znaleźć.

- Kiedy ślub?
- Pojutrze. Jutro nie da rady. Pierwszy Maj. Wszystko pozamykane.
- A co będzie z naszym interesem? Pan się żeni... A tu może trzeba będzie jechać do Moskwy...
- Czego się pan martwi? Sesja trwa.
- A żona?

- Żona? Brylantowa wdówka? To najmniejsze zmartwienie. Nagły wyjazd. Wezwanie do stolicy.

Niewielki referacik w Małym Sownarkomie. Scena pożegnalna i pieczony kurczak na drogę. Będziemy jechali z komfortem. Niech pan śpi. Jutro mamy wolny dzień.

Rozdział XIII Proszę głębiej oddychać: jesteście wzruszeni...

Pierwszego Maja rano Wiktor Michajłowicz Polesow gnany właściwą mu żądzą aktywności wypadł z domu i pomknął do śródmieścia. Początkowo jego różnorodne uzdolnienia nie mogły znaleźć właściwego zastosowania, bo ludzi na ulicach było jeszcze mało, a odświętne trybuny strzeżone przez konnych milicjantów świeciły pustkami. Ale koło dziewiątej, w licznych punktach miasta zaczęły warczeć, sapać i prychać orkiestry. Gospodynie domowe wylęgały przed bramy.

Kolumna pracowników muzycznych w miękkich wykładanych kołnierzykach wpakowała się jakimś cudem w sam środek pochodu kolejarzy, płacząc się pod nogami i mieszając szyki.

Ciężarówka, na której jechał zrobiony z dykty zielony parowóz serii „Szcz”, nieustannie wpadała z tyłu na mistrzów od oboju i fletu. W dodatku z brzucha parowozu rozlegały się pod ich adresem okrzyki:

- Gdzie wasz kierownik? Czy wasza trasa prowadzi przez ulicę Czerwonej Armii? Wtrynili się tutaj i robią korek!

Na nieszczęście pracowników muzycznych wtrącił się w to wszystko Wiktor Michajłowicz.

- Musicie skręcić tutaj, w ślepą uliczkę! Nawet pochodu nie potrafią zorganizować! - wrzeszczał

Polesow. - Tędy! Tędy! Cholerny bałagan!

Ciężarówki Zarządu Miejskiego i Mielstroju rozwoziły dzieci. Najmniejsze stały po bokach ciężarówek, większe w środku. Nieletnia armia powiewała chorągiewkami i śmiała się do rozpuku.

Warczały bębny pionierów. Przedpoborowi wypinali pierś i usiłowali maszerować w nogę. Było tłoczno, gwarnie i gorąco. Co chwila tworzyły się korki. Ludzie wyczekujący na zlikwidowanie zatorów, dla zabicia czasu podzucali do góry starców i aktywistów. Staruszkowie piskliwie lamentowali.

Aktywiści fruwali w milczeniu i z powagą na obliczach. W pewnej rozbawionej kolumnie wzięto

Wiktora Michajłowicza za kierownika grupy i zaczęto podzucać go do góry. Polesow fikał nogami jak pajac.

Ukazała się kukła przedstawiająca angielskiego ministra Chamberlaina, którego grzmocił tekturowym młotem w cylinder robotnik, obdarzony klasyczną muskulaturą. Przejechał samochód, w którym siedziało trzech komsomolców we frakach i białych rękawiczkach, z zażenowaniem spoglądających na tłum.

- Waśka! - krzyknął ktoś z chodnika. - Burżu! Oddaj szelki!

Dziewczęta śpiewały. W grupie pracowników Opieki Społecznej maszerował Alchen z dużą czerwoną wstęgą na piersi i mruczał melancholijnie:

Naszej Czerwonej Armii potęga
Od tajgi do mórz brytyjskich sięga
Sportowcy skandowali na komendę coś zupełnie niezrozumiałego.

Wszyscy szli, jechali i maszerowali w kierunku nowej remizy tramwajowej, z której punktualnie o godzinie pierwszej miał wyruszyć pierwszy w Stargorodzie elektryczny wóz tramwajowy.

Nikt nie wiedział dokładnie, kiedy w Stargorodzie zaczęto budować linię tramwajową.

W dwudziestym roku, kiedy wprowadzono subotniki, pracownicy warsztatów kolejowych i zakładów powroźniczych po maszerowali pewnego dnia z orkiestrą na Guszczu i do wieczora kopali doły.

Wykopali mnóstwo dużych i głębokich dołów.

Wśród kopaczy uwijał się towarzysz w inżynierskiej czapce. Za nim szli brygadziści z kolorowymi tykami. W następnym subotnik robota posuwała się dalej. Trzeba było zasypać ziemią dwa doły, wykopane w nieodpowiednim miejscu. Towarzysz w inżynierskiej czapce wymyślał brygadziście i żądał od nich wyjaśnień. Następne doły były jeszcze głębsze i szersze niż poprzednie.

Potem zwieziono cegły, przybyli wykwalifikowani robotnicy budowlani i zaczęli kłaść fundamenty. A potem wszystko się urwało. Towarzysz w inżynierskiej czapce przychodził jeszcze od czasu do czasu na opustoszały teren robót i długo spacerował w głębi obmurowanego cegłami dołu mrużąc:

- Rozrachunek gospodarczy.

Ostukiwiał łaską fundamenty i zmiatał do domu, do miasta, rozcierając zmarznięte uszy.

Inżynier nazywał się Trieuchow.

Remizę tramwajową, której budowa utknęła na fundamentach, Trieuchow zaprojektował już w 1912 roku, ale ówczesny zarząd miejski odrzucił projekt. Po upływie dwóch lat Trieuchow przypuścił ponowny szturm do zarządu miejskiego, ale w parady weszła mu wojna. Po wojnie weszła w parady rewolucja. A teraz wszedł w parady nep, rozrachunek gospodarczy i samoopłacalność. Fundamenty latem porastały kwiatami, a zimą służyły dzieciakom za ślizgawkę.

Trieuchow marzył o wielkim przedsięwzięciu. Nudziła go praca w Wydziale Instalacji Zarządu

Miejskiego, polegająca na konserwacji chodników i opracowywaniu kosztorysów nowych słupów reklamowych. Ale wielkie przedsięwzięcia jakoś się nie nadarzały. Zgłoszony ponownie do rozpatrzenia projekt sieci tramwajowej błąkał się po wyższych instancjach gubernialnych, był akceptowany, to znów odrzucany, wędrował do rozpatrzenia do stolicy, ale niezależnie od zatwierdzenia czy odrzucenia porastał warstwą kurzu, gdyż ani w jednym, ani w drugim wypadku nie przyznawano funduszy na budowę.

- Ostry! - krzyczał Trieuchow do żony. - Nie ma funduszy? Ale na płacenie woźnikom horrendalnych sum za przewóz towarów na dworzec to mają?! Stargorodczycy woźnicy żywcem obdzierają ludzi ze skóry! Nic dziwnego. Mają monopol. Bo niech kto

spróbuje drałować z bagażem pięć wiorst na dworzec!... Tramwaj zamortyzuje się w ciągu sześciu lat!

Wypłowiatale jego wąsy jeżyły się gniewnie. Twarz ozdobiona perkatym nosem marszczyła się i wykrzywiała. Wyciągał z szuflady światłodruki swoich projektów i po raz tysięczny pokazywał je z irytacją żonie. Były to plany siłowni, remizy i dwunastu linii tramwajowych.

- Pal diabli dwanaście linii. Mogą poczekać. Ale przynajmniej trzy, trzy! Stargorod udusi się bez nich.

Trieuchow parsknął z furją i szedł do kuchni rąbać drwa.

Inżynier sam wykonywał w domu wszystkie prace związane z gospodarstwem. Zaprojektował i skonstruował kołyskę dla dziecka oraz pralkę mechaniczną. Początkowo sam prał w niej bieliznę, instruując żonę, w jaki sposób obchodzić się z pralką. Trieuchow wydawał co najmniej piątą część swojej pensji na zagraniczną literaturę techniczną. Aby móc związać koniec z końcem, przestał palić papierosy.

Pewnego dnia udał się ze swoim projektem do nowego przewodniczącego Zarządu Miejskiego

Gawrilina, którego przeniesiono do Stargorodu z Samarkandy. Ogorzały na turkiestańskim słońcu nowy przewodniczący długo, ale niezbyt uważnie słuchał Trieuchowa, przejrzał pobieżnie plany i powiedział:

- A-w Samarkandzie obywają się bez tramwaju. Wszyscy jeżdżą na osłach. Osioł kosztuje trzy ruble.

Taniocha! A udźwignie dziesięć pudów!... Aż trudno uwierzyć! Takie maleństwo!

- To jest właśnie Azja! - odparł z gniewem Trieuchow. - Osioł kosztuje trzy ruble, a jego wyżywienie trzydzieści rubli rocznie.

- A ile się można najeździć waszym tramwajem za trzydzieści rubli? Trzysta razy. Gdyby jeździć tylko raz na dzień, to nawet na rok nie wystarczy.

- No to sprowadźcie sobie osły! - zawołał Trieuchow i wybiegł z gabinetu trzaskając drzwiami.

Od tego czasu, ilekroć nowy przewodniczący spotkał Trieuchowa, zadawał mu drwiące pytanie: - No, jak tam? Sprowadzamy osły, czy budujemy tramwaj?

Twarz Gawrilina przypominała gładko ostruganą brukiew. Oczki jego błyszczały sprytem.

Po upływie dwóch miesięcy Gawrilin wezwał do siebie inżyniera i oświadczył mu poważnie:

- Przyszedł mi do głowy pewien projekcik. Jasne jest, że pieniędzy nie ma, a tramwaj to nie osioł i nie można go kupić za trzy ruble. Trzeba stworzyć bazę finansową. Jak to praktycznie rozwiązać? Przez zorganizowanie spółki akcyjnej. Na zasadach pożyczki oprocentowanej. W ciągu ilu lat tramwaj się zamortyzuje?

- W ciągu sześciu lat od dnia oddania do eksploatacji pierwszych trzech linii.

- Powiedzmy w ciągu dziesięciu lat. A teraz spółka akcyjna. Kto do niej wejdzie? Spółdzielnia

Spożyców, Centrala Mleczarska. Czy powroźnikom potrzebny jest tramwaj? Potrzebny. Będziemy puszczali na dworzec wagony towarowe. A więc - powroźnicy! Może NKPS21 da coś niecoś. No i

Gubispołkom22! Ten da na pewno. A jak zaczniemy budowę, Bank Narodowy i Bank Komunalny udzieli pożyczki. Tak wygląda mój planik. Będzie omawiany w piątek, na posiedzeniu prezydium

Gubispołkomu. Jeżeli przejdzie, realizacja należy do was.

Trieuchow do późnej nocy prał w ferworze bieliznę i objaśniał żonie przewagę transportu tramwajowego nad konnym.

W piątek zapadła pozytywna decyzja. I zaczęły się męczarnie. Zorganizowanie spółki akcyjnej kosztowało wiele trudu. NKPS zapisywał się, to znów wycofywał z listy akcjonariuszy. Spółdzielnia

Spożyców usiłowała zamiast 15% akcji wziąć tylko dziesięć. W końcu wszystkie akcje zostały ulokowane, choć nie obeszło się bez starć. Gawrilin za wywieranie nacisku został wezwany do

Gubernialnej Komisji Kontroli. Skończyło się zresztą pomyślnie. Pozostała już tylko realizacja.

- No, towarzyszu Trieuchow - rzekł Gawrilin - do roboty! Czujesz się na siłach? Bo to trudniej niż kupić osła.

Trieuchow utonął w robocie. Wybiła godzina realizacji wielkiego dzieła, o jakim marzył od wielu lat.

Opracowywano kosztorysy i plany budowy, robiono zamówienia. Trudności występowały tam, gdzie się ich najmniej spodziewano. Okazało się, że w mieście nie ma betoniarzy i że trzeba ich sprowadzić z

Leningradu. Gawrilin przynaglał, ale fabryki obiecywały dostarczyć dopiero za półtora roku maszyny niezbędne najdalej za rok. Poskutkowało w końcu groźba zamówienia maszyn za granicą. Potem zjawili się mniejsze przeszkody. A to nie można było znaleźć profilowego żelaza odpowiednich rozmiarów, a to zamiast podkładów smołowanych proponowano niesmołowane. Wreszcie przyznano właściwe, ale Trieuchow, który pojechał osobiście do odnośnego przedsiębiorstwa, odrzucił 60% podkładów. Części metalowe były złej jakości, drzewo wilgotne. Szyny były wprawdzie dobre, ale dostarczano je z miesięcznym opóźnieniem. Gawrilin często przyjeżdżał starym dychawicznym Fiatem na budowę siłowni. Przy tej okazji dochodziło do starć między nim i Trieuchowem.

NKPS (Narodnyj Komissariat Putiej Soobszczenija) – Ludowy Komisariat Komunikacji.

Gubispołkom (Gubiernskij Ispołnitelnyj Komitet) – Wojewódzki Komitet Wykonawczy.

W czasie, kiedy budowano i montowano siłownię tudzież zajezdnię tramwajową, mieszkańcy

Stargrodu ograniczali się do puszczania w obieg dowcipów na temat tej budowy.

W „Stargorodzkiej Prawdzie” problemem tramwajowym zajął się znany w całym mieście felietonista

„Książę Duński”, pisujący obecnie pod pseudonimem „Tryb”. Co najmniej trzy razy na tydzień „Tryb” rozpisywał się szeroko o postępach budowy. Trzecia kolumna gazety, która rola się dawniej od notatek pod sceptycznymi tytułami: „I to ma być klub?”, „Wytykamy słabe punkty”, „Pokazy są potrzebne, ale na co ta pompa i te treny?”, „Dobrze i źle”, „Co nas cieszy, a co smuci”, „Dać nauczkę szkodnikom oświatowym” lub „Czas już skończyć z zalewem pisaniny” - teraz zaczęła obdarzać czytelników optymistycznymi i buńczucznymi reportażami „Tryba”: „Jak budujemy, a jak mieszkamy”,

„Gigant wkrótce ruszy”, „Skromny budowniczy” i tak dalej.

Trieuchow z niepokojem rozkładał gazetę i przewyjączając wstręt do dziennikarzy czytał entuzjastyczne reportaże o sobie:

...Wdrapuję się na rusztowanie. Wiatr gwiżdże mi koło uszu.

Na szczycie rusztowania stoi - On, nasz skromny budowniczy potężnej siłowni tramwajowej, niepozorny mężczyzna o perkatym nosie, w wyszarzałej czapce z dwoma młoteczkami na krzyż.

Przypominają mi się słowa: „Na brzegu, nad pustkowiem fal, stał ON i z wielką patrzył w dal za dumą”

Podchodzę do niego. Wiatr uciął. Rusztowanie przestało się chwiać.

Zapytuję:

- Jak przebiegają prace?

Brzydka twarz Inżyniera Trieuchowa ożywia się...

Podaje mi rękę. Mówi:

- Siedemdziesiąt procent robót mamy już za sobą.

Artykuł kończył się w sposób następujący:

Ściska mi dłoń na pożegnanie... Za moimi plecami trzeszcza wiązania rusztowań.

Robotnicy biegają tam i z powrotem.

Nigdy nie zapomnę porywającego tempa robót budowlanych i niepozornej postaci naszego budowniczego.

TRYB

Całe szczęście, że Trieuchow nie miał czasu na czytanie gazet i że udawało mu się niekiedy uniknąć zapoznania się z któryms z utworów tow. Tryba.

Jednakże pewnego razu Trieuchow nie wytrzymał i napisał starannie przemyślane i złośliwe sprostowanie:

„Można, oczywiście - pisał - trzpień śrubowy nazwać transmisją, czynią to jednak ludzie nie mający zielonego pojęcia o budownictwie. Ponadto pragnąłbym poinformować tow. Tryba, że wiązania rusztowań trzeszcza tylko wtedy, kiedy rusztowanie ma się lada chwila zawalić. Wyrażanie się w ten sposób o wiązaniach jest równoznaczne z twierdzeniem, że wiolonczela to skrzypce w ciąży. Proszę przyjąć itd.”

Po tym sprostowaniu niesforne Książę przestał odwiedzać teren budowy, ale na trzeciej kolumnie nadal ukazywały się aktualne reportaże, odbijające barwnością od

monotonnego tła notatek podtytułami: „15 000 rubli rdzewieje na deszczu”, „Kłopoty mieszkaniowe”, „Materiał płacze” oraz

„Curiosum i łyż”

Budowa dobiegała końca. Termicznie spawane szyny ciągnęły się bez przerwy od dworca do rzeźni od placu targowego do cmentarza.

Początkowo zamierzano dokonać otwarcia linii tramwajowej w dziewiątą rocznicę Rewolucji

Październikowej, ale fabryka wagonów tramwajowych, powołując się na trudności z „armaturą”, nie dostarczyła wozów w terminie. Trzeba było odłożyć otwarcie linii do Pierwszego Maja. Na ten dzień wszystko było już całkowicie gotowe.

Akcjonariusze doszli spacerkiem na Gusziszczę jednocześnie z pochodem. Zebrał się tam cały

Stargorod. Na nowym budynku zajezdni kołysały się zielone girlandy, łopotały chorągwie i powiewały transparenty. Konny milicjant ścigał galopem pierwszego lodzianina, który jakimś cudem przedostał się na pustą, otoczony kordonem tramwajarzy plac. Między dwiema bramami zajezdni wznosiła się ażurowa i pusta jeszcze trybuna z mikrofonem i głośnikiem. Delegacje zbliżały się do trybuny.

Połączone orkiestry pracowników miejskich i powroźników robiły próbę swych płuc. Bęben spoczywał na ziemi.

Po widnej hali zajezdni, w której stało dziesięć jasnozielonych wagonów oznaczonych numerami od

701 do 710, płatał się korespondent moskiewskiej prasy we włochoatej czapce. Na piersi miał zawieszony aparat fotograficzny-lustrzanekę, na który często troskliwie spoglądał. Korespondent szukał naczelnego inżyniera, żeby zadać mu kilka pytań na tematy tramwajowe. Chociaż w głowie korespondenta reportaż z otwarcia linii tramwajowej wraz z konspektem nie wygłoszonych jeszcze przemówień był już gotowy, nadal jednak z zawodową sumiennością rozglądał się po zajezdni, stwierdzając w niej, jako jedyne niedociągnięcie, brak bufetu.

W oczekiwaniu na wyruszenie pierwszego tramwaju, zebrani śpiewali, wznosili okrzyki i gryźli pestki.

Prezydium Gubispołkomu zajęło miejsca na trybunie. Zemocjonowany „Książę Duński” zamieniał grzecznościowe frazesy z kolegą po piórze. Czekano na przybycie moskiewskiej kroniki filmowej.

- Towarzysze! - przemówił Gawrilin. - Otwieram uroczyste zebranie z okazji uruchomienia stargorodzkiej linii tramwajowej.

Mosiężne trąby poruszyły się, westchnęły i trzy razy z rzędu odegrały „Międzynarodówkę”.

- A teraz towarzysz Gawrilin wygłosi przemówienie! - zawołał Gawrilin.

Książę Duński-Tryb i gość z Moskwy, nie umawiając się, zapisali w notesach.

„Uroczystość zaczęła się od przemówienia przewodniczącego Zarządu Miejskiego, tow. Gawrilina.

Zebrani zamienili się w słuch”.

Obaj korespondenci różnili się pod każdym względem. Przybysz z Moskwy był młody i nieżonaty.

Natomiast obarczony liczną rodziną Książę Tryb dawno już przekroczył czterdziestkę. Pierwszy mieszkał stale w Moskwie, drugi nigdy Moskwy na oczy nie widział. Moskwicz przepadał za piwem, a

Tryb-Duński pijał wyłącznie wódkę. Ale mimo tak znacznej różnicy usposobień, wieku, zwyczajów i wychowania, wrażenia obu korespondentów przybierały kształt tych samych wyświechtanych, zużytych, porośniętych pleśnią frazesów. Ołówki ich zaczęły się poruszać i w notesach zakwitło nowe zdanie. „W dniu święta odnosiło się wrażenie, że ulice Stargrodu poszerzyły się...”

Gawrilin zaczął swoje przemówienie prosto i trafnie:

- Wybudowanie linii tramwajowej jest o wiele trudniejsze niż kupienie osła - oświadczył.

W tłumie niespodziewanie rozległ się wybuch śmiechu. To Ostap Bender właściwie ocenił dowcip zawarty w powyższym zdaniu. Mile połączony tą reakcją, Gawrilin zaczął ni stąd, ni z owąd mówić o sytuacji międzynarodowej. Kilkakrotnie usiłował przestawić się na tory tramwajowe, ale za każdym razem stwierdzał z przerażeniem że nie potrafi tego dokonać.

Wbrew woli mówcy, z ust jego sypały się wyłącznie międzynarodowe słowa. Po Chamberlainie, któremu Gawrilin poświęcił pół godziny, na międzynarodową arenę wkroczył senator amerykański

Baruch. Tłum oklapnął. Korespondenci zanotowali jednocześnie: „Mówca w barwnych słowach scharakteryzował sytuację Związku Radzieckiego na terenie międzynarodowym...” W krasomówczym erworze Gawrilin przejechał się po rumuńskich bojarach i zabrał się do Mussoliniego. Dopiero pod koniec przemówienia przewyciężył swoją międzynarodową drugą naturę i zaczął mówić prosto i konkretnie:

- A teraz zastanówmy się, towarzysze, komu zawdzięczamy ten tramwaj, który za chwilę wyruszy z zajezdni? Zawdzięczamy go, towarzysze, wam, robotnikom, którzyście pracowali przy budowie nie z musu, ale ze szczerego serca. Zawdzięczamy go także dzielnemu radzieckiemu specjalście, naczelnemu inżynierowi Trieuchowowi. Jemu także należy się dziś podziękowanie!...

Zaczęto szukać Trieuchowa, ale go nie znaleziono. Przedstawiciel Centrali Mleczarskiej, którego już od dawna korciło, przecisnął się do trybuny, dał znak ręką i zaczął przemówienie o sytuacji międzynarodowej. Po zakończeniu jego oracji obaj korespondenci, wsłuchani w anemiczne oklaski, śpiesznie zanotowali: „Nastąpiły huczne brawa przechodzące w owacje...” Potem przyszło im na myśl, że „przechodzące w owacje” to może zbytnia przesada. Przedstawiciel prasy stołecznej szybko się zdecydował i wykreślił „owacje”, „Tryb” westchnął i nic nie zmienił.

Słońce szybko posuwało się po niebie. Na trybunie wciąż wygłaszano przemówienia. Orkiestra co chwila grała tusz. Zaczął zapadać zmierzch, a uroczystość trwała nadal. Zarówno mówcy, jak słuchacze od dawna już czuli, że coś jest nie w porządku, że część oficjalna nieco się przeciąga, że trzeba jak najprędzej puścić wreszcie tramwaj na miasto. Ale wszyscy tak byli przyzwyczajeni do gadaniny, że nie mogli się opanować.

W końcu znaleziono Trieuchowa. Był tak umorusany, że przed wejściem na trybunę musiał długo w kantorze szorować ręce i twarz.

- Udzielam głosu naczelnemu inżynierowi, towarzyszowi Trieuchowowi! - obwieścił radośnie Gawrilin.

- No, mów, bo ja tu poruszałem całkiem inne tematy - dorzucił szeptem.

Trieuchow miał bardzo dużo do powiedzenia: o subotnikach, o ciężkiej pracy, o wszystkim, co zostało zrobione i co jeszcze będzie można zrobić. A dużo przecież było jeszcze do zrobienia. Można by uwolnić miasto od rozsiewającego zarazę targowiska i wybudować kryte, oszklone hale, można wybudować stały, solidny most i zastąpić nim dotychczasowy most prowizoryczny, znoszony co rok przez wiosenną powódź, można by wreszcie zrealizować projekt budowy wielkiej chłodni mięsnej.

Trieuchow otworzył usta i jękając się powiedział:

- Towarzysze! Sytuacja międzynarodowa naszego kraju...

I z ust jego popłynęły komunały tak wytarte, że tłum, skazany na wysłuchanie szóstej z kolei mowy na tematy międzynarodowe, zmartwiał. Dopiero po zakończeniu przemówienia Trieuchow uświadomił sobie, że nie powiedział ani słowa o tramwaju. „Wstyd! - pomyślał - absolutnie nie umiemy przemawiać. Absolutnie!”

I przypomniało mu się przemówienie francuskiego komunisty, które słyszał na jakimś wiecu w

Moskwie. Francuz mówił o burżuazyjnej prasie. „Ci akrobaci pióra - wykrzykiwał - ci mistrzowie farsy, te hieny maszyn rotacyjnych...” Pierwszą część przemówienia Francuz wygłosił w tonie „la”, drugą w tonie „do”, a ostatnią, patetyczną w tonie „mi”. Gesty jego były powściągliwe i piękne.

„A my tylko lejemy mętną wodę - doszedł do przekonania Trieuchow - lepiej wcale nie przemawiać”

Było już zupełnie ciemno, kiedy przewodniczący Gubispołkomu przeciął nożyczkami czerwoną wstęgę, zamykającą wylot zajezdni. Robotnicy i przedstawiciele organizacji społecznych zaczęli gwarnie sadzić się w wagonach. Zadzźwięczały delikatne dzwonki i pierwszy wagon tramwajowy, który prowadził sam Trieuchow, przy ogłuszających okrzykach tłumu i postękiwaniu orkiestry, wytoczył się z zajezdni. Oświetlone wagony wyglądały jeszcze efektowniej niż za dnia. Wszystkie sznurem popłynęły przez Gusiszczę: przejechały pod wiaduktem kolejowym, gładko potoczyły się ku śródmieściu i skręciły w Wielką Puszkiniowską. W drugim wagonie jechała orkiestra, która wysunęła przez okna trąby i grała marsza Budiennego.

Gawrilin w mundurze konduktora skakał z przewieszoną przez ramię torbą z wagonu do wagonu, uśmiechał się serdecznie, dawał na chybił-trafił sygnały dzwonkiem i wręczał pasażerom zaproszenia na:

maja o godzinie

wieczorem

UROCZYSTY WIECZÓR w klubie pracowników komunalnych z następującym programem:

1.2.3.Referat tow. Mosina.

Wręczenie dyplomów Związkowi Pracowników Miejskich.

Część artystyczna; wielki koncert, wspólna kolacja, bufet.

Na pomoście ostatniego wagonu stał Wiktor Michajłowicz, który nie wiadomo jak znalazł się wśród honorowych gości. Początkowo nieufnie obserwował silnik. Ku jego wielkiemu zdziwieniu silnik miał solidny wygląd i pracował bez zarzutu. Szyby nie dzwoniły. Po dokładnym obejrzeniu ich Wiktor

Michajłowicz stwierdził, że mają gumowe uszczelki. Ponieważ zdążył już udzielić kilku pouczeń motorniczemu, pasażerowie uznali go za specja od zachodnio-europejskiej komunikacji tramwajowej.

- Hamulec pneumatyczny pracuje nieszczególnie - stwierdził Polesow, spoglądając z wyższością na pasażerów - nie zasysa.

- A co ci do tego? - odpowiedział motorniczy. - Jak będzie chciał, to będzie ssał!

Wagony odbyły honorową rundę po mieście i wróciły do zajezdni, gdzie oczekiwał na nie tłum ludzi.

Trieuchowa podrzucano do góry już w pełnym świetle elektrycznych latarni. Zaczęto też podzucać

Gawrilina, ponieważ jednak ważył sześć pudów i fruwał niezbyt wysoko, dano mu spokój. Następnie podrzucano tow. Mosina, techników i robotników, a także już po raz drugi tego dnia podrzucano

Wiktor Michajłowicza. Tym razem nie fikał już nogami, lecz poważnie i surowo wlatywał w górę, wpatrzony w rozgwieżdżone niebo i szybował w mrokach nocy. Kiedy Polesow wylądował po raz ostatni, ujrzał nagle byłego marszałka szlachty Hipolita Matwiejewicza Worobianinowa, który trzymał go za nogę i cynicznie rechotał. Polesow łagodnie wysunął się z tłumy, odszedł nieco na bok, ale nie spuszczał z oka byłego marszałka. A kiedy spostrzegł, że Hipolit Matwiejewicz oddala się w towarzystwie młodego mężczyzny o postawie byłego oficera, chyłkiem puścił się za nimi.

Kiedy wszystko się już skończyło i Gawrilin w swoim błękitnym Fiacie czekał na wydającego ostatnie zarządzenia Trieuchowa, żeby wraz z nim pojechać do klubu, przed bramę zajezdni zajeżdżał półciężarowy Ford z operatorami kroniki filmowej.

Najpierw z samochodu wyskoczył zreźnie mężczyzna w dwunastokątnych rogowych okularach i w eleganckim skórzanym serdaku. Długa spiczasta broda wyrastała mu wprost z grdyki. Drugi mężczyzna wysiadł z samochodu z aparatem filmowym, potykając się o własny długi szalik w gatunku, który Ostap Bender zwykł nazywać „Szyk-modern”. Następnie z półciężarówki wyłonił się asystenci, jupitery i dziewczęta.

Cała ta grupa z wrzaskiem wpadła do zajezdni.

- Uwaga! - zawołał brodaty posiadacz serdaka. - Kola! Ustawiaj jupitery!

Trieuchow zaczerwienił się i wyszedł na spotkanie nocnych gości.

- Jesteście z filmu? - zapytał. - Czemu nie przyjechaliście w dzień?

- A kiedy ma nastąpić otwarcie linii tramwajowej?

- Już nastąpiło.

- Tak, tak, spóźniliśmy się trochę. Nawinał nam się piękny pejzaż. Kupa roboty! Zachód słońca! Zresztą jakoś sobie poradzimy. Kola! Dawaj światło. Koło tramwajowe w ruchu! Zbliżenie! Nogi maszerującego tłumy - zbliżenie. Ludka! Miłoczka! Maszerujcie! Kola, zaczynamy! Zaczynamy! Jazda!

Maszerujcie, maszerujcie, maszerujcie... Dosyć. Dziękuję. Teraz nakręcimy budowniczego. Towarzysz

Trieuchow? Prosimy bardzo, towarzyszu Trieuchow. Nie, nie tak. Trochę bokiem... O tak będzie oryginalniej, na tle tramwaju... Kola! Zaczynamy! Proszę nam coś powiedzieć!...

- Ale kiedy... to tak jakoś...

- Znakomicie!... Doskonale!... Proszę mówić dalej!... Teraz będziecie rozmawiali z pierwszą pasażerką waszego tramwaju.. Luda! Wejź na plan. Tak. Proszę głęboko oddychać: jesteście wzruszeni!... Kola!

Nogi - zbliżenie... Zaczynamy!... Tak, tak... Dziękuję... Stop!

Gawrilin ociężale wygramolił się z dygocącego od dawna Fiata i wrócił do zajezdni po przyjaciela.

Reżyser z owłosionym jabłkiem Adama ożywił się.

- Kola! Chodź tu! Wspaniały typ. Robotnik! Pasażer tramwajowy! Proszę głęboko oddychać. Jesteście wzruszeni. Nigdy w życiu nie jechaliście jeszcze tramwajem. Zaczynamy. Proszę oddychać! Gawrilin zaczął sapać z wściekłości.

- Znakomicie!... Miłoczek!... Chodź no tutaj! Powinszowania od Komsomołu! Proszę głęboko oddychać. Jesteście wzruszeni... Tak... ślicznie. Kola, skończone.

- A tramwaju nie będziecie filmowali? - zapytał skromnie Trieuchow.

- Właśnie - mruknął skórzany reżyser nie mamy odpowiednich warunków świetlnych. Ale tramwaj dorobi się w Moskwie. Dziękujemy!

Kronika filmowa zniknęła z błyskawiczną szybkością.

- No, chodź, przyjacielu, pojedziemy odpocząć - rzekł Gawrilin. - A to co? Palisz papierosa?

- Palę - przyznał się ze skrucą Trieuchow. - Nie wytrzymałem.

Przy kolacji, głodny i przepalony papierosami, Trieuchow wypił trzy kieliszki wódki i zupełnie się ululał. Całował się ze wszystkimi i wszyscy z nim się całowali. Chciał powiedzieć coś miłego swojej żonie, ale tylko się roześmiał. Potem długo ścisnął dłoń Gawrilina i mówił:

- Dziwak jesteś! Powinieneś nauczyć się projektować mosty kolejowe. To bardzo ciekawa nauka! A co najważniejsze - ogromnie łatwa. Most przez Hudson...

Po upływie pół godziny rozebrało go do tego stopnia, że wygłosił filipikę wymierzoną przeciw prasieburżazyjnej:

- Ci akrobaci farsy! - wykrzykiwał. - Te hieny pióra! Ci mistrzowie maszyn rotacyjnych!

Żona odwiozła go dorożką do domu.

- Chcę jechać tramwajem - mówił do żony - Czy nie możesz tego zrozumieć? Skoro mamy tramwaje, o trzeba jeździć tramwajami!... Dlaczego? Po pierwsze, bo taniej...

Polesow szedł trop w trop za współnikami, długo zbierał na odwagę, aż doczekał chwili, kiedy nikogo nie było w pobliżu i podszedł do Worobianinowa.

- Dobry wieczór panu, Hipolicie Matwiejewiczu! - odezwał się z uszanowaniem.

Worobianinow speszył się.

- Nie mam przyjemności... - mruknął.

Ostap uniósł nieco prawe ramię i podszedł do ślusarza-inteligenta.

- No-o? - powiedział. - Co pan ma do powiedzenia mojemu przyjacielowi?

- Proszę się niczego nie obawiać - szepnął Polesow, rozglądając się na wszystkie strony. Przysła mnie

Helena Stanisławowna.

- Jak to? Więc ona jest tutaj?

- Jest. I bardzo chciałaby się z panem zobaczyć.

- A po co? - zapytał Ostap. - Coś pan za jeden?

- Ja... Może pan być całkiem spokojny, Hipolicie Matwiejewiczu. Pan mnie nie zna, ale ja pana doskonale pamiętam.

- Chętnie bym zajrzał do Heleny Stanisławowny - powiedział niezdecydowanie Worobianinow.

- Bardzo prosiła, żeby pan przyszedł.

- Ale skąd się dowiedziała?...

- Spotkałem pana w Zarządzie Miejskim. Uderzyła mnie znajoma twarz. A potem sobie pana przypomniałem. Tylko proszę się nie denerwować, Hipolicie Matwiejewiczu. Wszystko zostanie w tajemnicy.

- Znajoma kobietka? - zapytał rzeczowo Ostap.

- T-tak. Stara znajoma...

- To może wpadniemy na kolacyjkę do starej znajomej? Przyznam się, że jestem głodny jak wilk, a tu wszystko pozamykane.

- Czemu nie?

- No, to idziemy. Niech pan prowadzi, panie tajemniczy nieznajomy.

I Wiktor Michajłowicz, oglądając się co chwila, zaprowadził współników bocznymi drogami na

Przeleszyński Zaułek do mieszkania wróżki.

Rozdział XIV „Związek miecza i pług”

Kiedy kobieta się starzeje, mogą ją spotkać liczne przykrości: mogą jej powypadać zęby, mogą jej osiwieć i przerzedzić się włosy, może dostać zadyszki, może się roztyć lub wychudnąć jak szczapa, ale głos jej nie ulega zmianie. Głos będzie zawsze brzmiał tak, jak wtedy, kiedy była pensjonarką, panną na wydaniu lub kochanką młodego lekkoducha.

Dlatego też, kiedy Polesow zapukał do drzwi i Helena Stanisławowna zapytała „Kto tam?” -

Worobianinow drgnął. Głos jego kochanki brzmiał tak samo, jak w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, przed otwarciem wystawy paryskiej. Ale kiedy Hipolit Matwiejewicz mrużąc oczy przed światłem wszedł do pokoju, przekonał się, że z dawnej urody kochanki nie zostało ani śladu.

- Jak pani się zmienia! - wykrzyknął mimo woli.

Stara rzuciła mu się na szyję.

- Dziękuję - powiedziała - wiem, na co pan się naraża odwiedzając mnie. Jest pan zawsze jednakoworycerski. Nie pytam, po co przyjechał pan z Paryża. Widzi pan, że nie jestem ciekawa.

- Wcale nie przyjechałem z Paryża - bąknął z roztargnieniem Worobianinow.

- Przyjechaliśmy z kolegą z Berlina - poprawił sytuację Ostap, trącając Hipolita Matwiejewicza w łokieć

- ale nie trzeba tego rozgłaszać.

- Ach, jak się cieszę, że pana widzę! - jęknęła wróżka. - Proszę, wejdźmy tutaj, do pokoju... A pan,

Wiktorze Michajłowiczu... Niech pan wpadnie do mnie za jakieś pół godziny.

- O! - rzekł Ostap. - Pierwsze spotkanie po latach! Ciężka chwila! Pozwoli pani, że ja też się usunę.

Pójdę z panem, przemiły Wiktorze Michajłowiczu, jeśli można.

Ślusarz zadrżał z radości. Udali się więc obaj do mieszkania Polesowa, gdzie Ostap, siedząc na awałku bramy domu nr 5 z Przeleszyńskiego Zaułka, zaczął rozwijać przed osłupiałym majstrem-chałupnikiem fantastyczne pomysły, mające zbawić ojczyznę.

Po upływie godziny wrócili i zastali starych zupełnie rozanielonych.

- A pamięta pani, Heleno Stanisławowna? - mówił Hipolit Matwiejewicz.

- A pamięta pan, Hipolicie Matwiejewiczu? - mówiła Helena Stanisławowna.

„Zdaje się, że nadszedł psychologiczny moment do spożycia kolacji” - pomyślał Ostap. I przerywając

Hipolitowi Matwiejewiczowi, który wspominał akurat dawne wybory do Zarządu Miejskiego, rzekł:

- W Berlinie panuje bardzo dziwny zwyczaj: jadają tam o tak późnej porze, że trudno się zorientować, czy to wczesna kolacja czy późny obiad.

Helena Stanisławowna oderwała swoje królicze oczy od Worobianinowa i pobiegła do kuchni.

- A teraz działać, działać i jeszcze raz działać! - rzekł Ostap, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu.

Ujął Polesowa za rękę.

- Stara nie wsypie? Można jej zaufać? Polesow złożył ręce jak do modlitwy.

- Pańskie polityczne credo?

- Zawsze jednakowe! - odpowiedział uroczyście Polesow.

- Mam nadzieję, że jest pan zwolennikiem Cyryla?

- Tak jest.

Polesow wyprężył się jak struna.

- Rosja o panu nie zapomni! - wykrzyknął Ostap.

Hipolit Matwiejewicz, trzymając w ręku ciastko, ze zdumieniem słuchał słów Ostapa, którego już nie można było powściągnąć. Ponościło go. Wielki kombinator był w

natchnieniu, czyli w stanie upojenia przed puszczeniem się na grubszy szantaż. Przechadzał się po pokoju jak lampart.

W stanie takiego podniecenia zastała go Helena Stanisławowna, z trudem dźwigająca z kuchni samowar. Ostap podskoczył usłużnie, chwycił samowar i postawił go na stole. Samowar gwizdnął.

Ostap postanowił działać.

- Madame - rzekł - miło nam widzieć w pani osobie...

Ponieważ jednak nie wiedział, co właściwie miło im widzieć w jej osobie, musiał zacząć od początku.

Ze wszystkich efektownych zwrotów używanych za carskich czasów płaćto mu się po głowie tylko jakieś: „miłościwie zezwolić raczył”. Ale w obecnej chwili było to zupełnie nie na miejscu. Postanowił więc mówić rzeczowo:

- Absolutny sekret! Tajemnica państwowa!

Ostap wskazał ręką Worobianinowa:

- Kim jest, pani zdaniem, ten wspaniały starzec? Niech pani nie odpowiada, bo nie może pani tego wiedzieć. To jest gigant myśli, ojciec rosyjskiej demokracji i osoba stojąca blisko cara.

Wysoki, okazały Hipolit Matwiejewicz wstał i niespokojnie rozejrzał się dokoła. Nic nie rozumiał, ale wiedząc z doświadczenia, że Ostap Bender nigdy nie mówi na wiatr, milczał. Polesow drżał z podniecenia jak w febrze. Stał z zadartą w górę głową, w pozie człowieka przygotowującego się do paradnego marszu. Helena Stanisławowna usiadła na krześle i z lękiem patrzyła na Ostapę.

- Czy dużo jest w mieście naszych ludzi? - zapytał Ostap bez ogródek. - Jakie panują nastroje?

- Wobec braku... - zaczął Wiktor Michajłowicz i przystąpił do chaotycznego wyliczania wszystkich swoich utrapień. Był wśród nich pyszałkowaty cham, stróż domu pod numerem piątym, i gwintowniki

3/8 cala, i tramwaj, i tym podobne.

- Dobrze! - huknął Ostap. - Heleno Stanisławowna! Chcemy przy pani pomocy nawiązać kontakt z najbardziej wartościowymi ludźmi w mieście, których okrutny los zmusił do zejścia w podziemie.

Kogo należy tutaj zaprosić?

- Kogo? Chyba Maksyma Pietrowicza z żoną.

- Bez żony - wprowadził poprawkę Ostap - bez żony! Pani będzie jedynym uroczym wyjątkiem. Kogo jeszcze?

W toku narady, do której włączył się aktywnie Wiktor Michajłowicz, ustalono, że należy zaprosić wyżej wymienionego Maksyma Pietrowicza Czarusznikowa, byłego radnego miejskiego, który jakimś cudem zdołał się przedzierzgnąć w radzieckiego aktywistę; następnie właściciela „Szybkopaku”

Diadiewa, przewodniczącego odeskiej spółdzielni piekarskiej „Obarzanki moskiewskie” - Kislarskiego oraz dwóch, wprawdzie bez znaczenia, lecz wielce obiecujących młodych ludzi.

- Wobec tego, proszę ich zaraz zwołać na krótką naradę. Obowiązuje ścisła tajemnica.

Polesow odezwał się na to:

- Ja sprowadzę Maksyma Pietrowicza, Nikieszę i Wołodię, a pani, Heleno Stanisławowna, pofatyguje się do „Szybkopaku” i po Kisłarskiego.

Polesow wybiegł. Wróżka rzuciła Hipolitowi Matwiejewiczowi spojrzenie pełne uwielbienia i także wyszła.

- Co to wszystko znaczy? - zapytał Hipolit Matwiejewicz.

- To znaczy - odpowiedział Ostap - że jest pan człowiekiem mało rozgarniętym.

- Bo co?

- Bo pstro! Proszę darować niedyskretne pytanie: ile pan ma pieniędzy?

- Jakich?

- Wszelakich. Ze srebrem i miedziakami łącznie.

- Trzydzieści pięć rubli.

- I tymi pieniędzmi zamierza pan pokryć wszystkie wydatki naszego przedsięwzięcia?

Hipolit Matwiejewicz milczał.

- Otóż tak, drogi patronie. Sądzę, że pan mnie rozumie. Będzie pan musiał przez godzinkę być gigantem myśli i osobistością stojącą blisko cara.

- Dlaczego?

- Dlatego, że musimy zdobyć kapitał obrotowy. Jutro biorę ślub. Nie jestem byle chłystkiem. W tym tak uroczystym dniu pragnę wyprawić huczne weselisko.

- A co ja mam robić? - jęknął Hipolit Matwiejewicz.

- Milczeć. I od czasu do czasu dostojnie wydymać policzki.

- Ale to przecież... oszustwo.

- I ktoś to mówi? Hrabia Tolstoj? A może Darwin? Nie. To mówi człowiek, który nie dalej jak wczoraj miał zamiar włamać się nocą do mieszkania Gricacujewej i ukraść biednej wdowie krzesło. Nie ma czasu na rozważania. Niech pan milczy. I niech pan nie zapomni o wydymaniu policzków.

- Po co pakować się w tak niebezpieczną historię? Mogą nas przecież zadenuncjować.

- Niech pana o to głowa nie boli. Z zasady nie stawiam na niepewną kartę. Sprawa zostanie przeprowadzona tak, że nikt się w niczym nie połapie. Siadajmy do kolacji.

W czasie kiedy wspólnicy jedli i pili, a papuga pożywiała się ziarenkami słonecznika, zaczęli schodzić się goście.

Nikiesza i Wołodia przyszli z Polesowem. Wiktor Michajłowicz nie ośmielił się przedstawić młodych ludzi gigantowi myśli. Usiedli w kącie i obserwowali, jak ojciec rosyjskiej demokracji pałaszuje cielęcinę na zimno. Nikiesza i Wołodia okazali się całkiem już dojrzałymi bęcwałami. Każdy z nich miał już pod trzydziestkę. Widać było, że zaproszenie na niniejsze zebranie bardzo im pochlebiało.

Były radny miejski Czarusznikow, otyły staruszek, długo ścisnął dłoń Hipolita Matwiejewicza i zaglądał mu w oczy. Pod czujnym wzrokiem Ostapa dwaj starzy

obywatele miasta zaczęli dzielić się wspomnieniami. Ostap pozwolił im się nagadać, a następnie zwrócił do Czarusznikowa:

- W jakim pułku pan służył?

Czarusznikow zaczął sapać.

- Ja., ja, prawdę mówiąc, nigdy w wojsku nie służyłem, gdyż obdarzony zaufaniem społeczeństwa piastowałem zaszczytne urzędy.

- Jest pan szlachcicem?

- Tak. Byłem.

- Mam nadzieję, że jest pan nim nadal. Wytrwałości! Potrzebujemy pańskiej pomocy. Czy Polesow już panu mówił? Zagranica nam pomoże. Opinia publiczna jest z nami. Całkowita konspiracja. Bacność i czujność!

Ostap odsunął Polesowa od Nikieszy i Wołodii i zwrócił się do nich z surową powagą:

- W jakim służyliście pułku? Czekają was znowu służba dla ojczyzny. Jesteście szlachcicami? Bardzo dobrze. Europa nam pomoże. Trzymajcie się! Absolutna tajemnica wkładów... to jest... organizacji.

Bacność i czujność!

Ostap był w transie. Sprawa szła jak po maśle. Przedstawiony przez Helenę Stanisławównę właścicielowi „Szybkopaku”, Ostap odprowadził go na bok, zalecił mu wytrwałość, zapytał, w jakim pułku Diadiew służył, zagwarantował pomoc zagranicy i absolutną tajność organizacji. Pierwszym odruchem właściciela - „Szybkopaku” była chęć natychmiastowej ucieczki z konspiracyjnego lokalu.

Uważał, że jest zbyt solidną firmą, aby angażować się w tego rodzaju ryzykowną aferę. Ale widząc barczystą postać Ostapę, zaczął się wahać i pomyślał: „A nuż?! Zresztą wszystko zależy do tego, w jakim sosie będzie to podane”.

Przy herbatce zebrani nawiązali ożywioną towarzyską pogawędkę. Wtajemniczeni ściśle przestrzegali konspiracji i ograniczali się do lokalnych plotek.

Ostatni zjawił się obywatel Kislarski. Ponieważ nie był szlachcicem i nigdy nie służył w żadnym gwardyjskim pułku, od razu, po krótkiej zaledwie rozmowie z Ostapem, zorientował się o co chodzi.

- Wytrwałości! - powiedział mu uroczyście Ostap. Kislarski obiecał, że wytrwa.

- Pan, jako przedstawiciel prywatnego kapitału, nie może pozostać głuchy na jęki narodu.

Kislarski zrobił minę pełną współczucia.

- A wie pan, kto to jest? - zapytał Ostap, wskazując na Hipolita Matwiejewicza.

- Naturalnie - odpowiedział Kislarski - pan Worobianinow.

- To jest - rzekł Ostap - gigant myśli, ojciec rosyjskiej demokracji, osoba stojąca blisko cara.

„W najlepszym wypadku - dwa lata ścisłej izolacji - pomyślał Kislarski i zaczął dygotać ze strachu. - Po o jaką tu przylazłem?”

- Tajny związek miecza i pługa! - szepnął złowieszczo Ostap.

„Dziesięć lat” - przemknęło przez głowę Kisłarskiego.

- Oczywiście, może się pan wycofać, ale uprzedzam, że mamy długie ręce!

„Już ja ci pokażę, łajdaku - pomyślał Ostap. - Poniżej stu rubli mi się nie wymigasz.”

Kisłarski zdrętwiał. Niedawno jeszcze siedział spokojnie przy obiedzie, z apetytem zjadał kurze udka, popijając bulionem z ptysiowym groszkiem i nawet mu się nie śniło o straszliwym „związku miecza i pług”. Został. „Długie ręce” zrobiły na nim niemiłe wrażenie.

- Obywatele! - powiedział Ostap, otwierając posiedzenie - życie dyktuje swoje prawa, swoje nieubłagane prawa. Nie będę mówił o celu naszego zebrania, gdyż jest wam wiadomy. To cel święty.

Zewsząd dobiegają do naszych uszu jęki. Z wszystkich stron naszego rozległego kraju słyszymy wołania o pomoc. A więc musimy wyciągnąć pomocną dłoń. I wyciągniemy ją. Jedni spośród tu obecnych siedzą na posadach i jadają chleb z masłem, inni spekulują i jadają butki z kawiozem.

Zarówno jedni jak drudzy śpią we własnych łóżkach, pod ciepłymi kołdrami. A małe dzieci, bezdomne dzieci, tułają się bez dachu nad głową. Te kwiaty ulicy, czy, jakby powiedział inteligent pracujący, kwiaty na asfalcie - godne są lepszego losu. My, panowie przysięgli, musimy im pomóc. I my, panowie przysięgli, pomożemy im.

Przemówienie wielkiego kombinatora wywołało w sercach słuchaczy dość różnorodne uczucia.

Polesow nie zrozumiał, co miał na myśli jego nowy przyjaciel-oficer gwardii.

„Jakie dzieci? - pomyślał, - Skąd tu dzieci?”

Hipolit Matwiejewicz nawet nie próbował zrozumieć, Od dawna machnął na wszystko ręką i siedział w milczeniu wydymając policzki.

Helena Stanisławowna zasępiła się.

Nikiesza i Wołodia z oddaniem przypatrywali się błękitnej kamizelce Ostapa.

Właściciel „Szybkopaku” był zachwycony.

„Znakomicie pomyślane - orzekł w duchu. - Na taki sos można nawet dać pieniądze. Jeśli się uda - wielki honor! Jeśli nic z tego nie wyjdzie - umyвам ręczki. Udzieliłem wsparcia dzieciom - i to wszystko.”

Czarusznikow wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Diadiewem i w uznaniu dla konspiracyjnej przebiegłości mówcy, kręcił na stole kulki z chleba.

Kisłarski był w siódmym niebie.

„Główka nie od parady” - myślał. Czuł, że nigdy w życiu nie kochał jeszcze bezdomnych dzieci tak gorąco, jak w tej chwili.

- Towarzysze! - mówił dalej Ostap. - Konieczna jest pomoc natychmiastowa. Musimy wyrwać dzieci z błota ulicy i wyrwiemy je. Dopomożemy dzieciom, pomni na to, że dzieci to kwiaty życia. Wzywam was do natychmiastowych wpłat na pomoc dla dzieci, tylko dla dzieci i dla nikogo więcej.

Rozumiecie?

Ostap wyjął z kieszeni kwitariusz.

- Proszę dokonywać wpłat. Hipolit Matwiejewicz potwierdzi moje pełnomocnictwa.

Hipolit Matwiejewicz wydał policzki i skinął głową. W tym momencie nawet niezbyt rożgarnięci młodzieńcy, Nikiesza i Wołodia, a także pojętny ślusarz zrozumieli ukryty sens słów Ostapa.

- Według starszeństwa, panowie - rzekł Ostap - zaczniemy od czcigodnego Maksyma Pietrowicza.

Maksym Pietrowicz niespokojnie poruszył się na krześle i wysupłał trzydzieści rubli.

- W lepszych czasach dałbym więcej! - oświadczył.

- Już wkrótce nadejdą lepsze czasy - rzekł Ostap. - Zresztą to nie ma nic wspólnego z bezdomnymi dziećmi, które mam zaszczyt w tej chwili reprezentować.

Nikiesza i Wołodia dali wspólnie osiem rubli.

- Mało, młodzi ludzie, mało!

Młodzi ludzie spłonęli rumieńcem.

Polesow pobiegł do domu i przyniósł pięćdziesiąt rubli.

- Brawo, rycerzu! - rzekł Ostap. - Jak na rycerza-chałupnika na początek wystarczy. A co powie nasze kupiectwo?

Diadiew i Kislarski długo się targowali, narzekając na domiary. Ostap był nieubłagany.

- Prowadzenie tego rodzaju rozmów w obecności Hipolita Matwiejewicza uważam za wysoce nieestosowne.

Hipolit Matwiejewicz skłonił głowę. Kupcy złożyli na rzecz dzieci po dwieście rubli.

- W sumie zebraliśmy - ogłosił Ostap - czterysta osiemdziesiąt osiem rubli. Do równego rachunku brak dwunastu rubli.

Helena Stanisławowna po długiej wewnętrznej walce wyszła do sypialni i przyniosła owe brakujące dwanaście rubli.

Dalszy ciąg posiedzenia był chaotyczny i nosił mniej uroczysty charakter. Ostap zaczął swawolić.

Helena Stanisławowna do reszty się rozkrochmała. Goście rozchodzili się powoli, z szacunkiem żegnając organizatorów.

- O terminie następnego posiedzenia zostaną rozesłane specjalne zawiadomienia - mówił na pożegnanie Ostap. - Absolutna dyskrecja. Akcja pomocy dla dzieci musi być zachowana w najgłębszej tajemnicy. Leży to zresztą również w interesie panów.

Na te słowa Kislarski gotów był dać jeszcze pięćdziesiąt rubli, byle nie przychodzić już na żadne zebrania. Z trudem powściągnął ten odruch.

- No - rzekł Ostap - trzeba się zbierać. Pan, Hipolicie Matwiejewiczu, skorzysta zapewne z gościnności

Heleny Stanisławowny i przenocuje u niej. Zresztą dla dobra konspiracji powinniśmy się na jakiś czas rozłączyć. Idę.

Hipolit Matwiejewicz dawał Ostapowi rozpaczliwe znaki, ale Ostap udał, że tego nie widzi, i wyszedł.

Kiedy uszedł kawałek drogi, przypomniał sobie, że ma w kieszeni pięćset rzetelnie zapracowanych rubli.

- Dorożka! - zawołał. - Do „Feniksa”!

- Dobra! - rzekł dorożkarz.

I zawiózł Ostapa do zamkniętej już restauracji.

- Jak to? Zamknięte?

- Z okazji Pierwszego Maja.

- A, do diabła!... Pieniędzy jak lodu i nie ma się gdzie zabawić! W takim razie jedź na ulicę

Plechanowa. Wiesz gdzie to jest?

Ostap postanowił złożyć wizytę narzeczonej.

- A jak się ta ulica dawniej nazywała?

- Nie wiem.

- To ja też nie wiem, gdzie jechać.

Mimo to Ostap kazał mu jechać i szukać.

Przez półtorej godziny błąkali się po opustoszałym mieście wypytując nocnych stróżów i milicjantów.

Jeden z milicjantów po długich wzdraganiach oznajmił, że ulica Plechanowa to niechybnie dawna

Gubernatorska.

- Ba, Gubernatorska! Gubernatorska to co innego. Już dwadzieścia pięć lat wożę ludzi na

Gubernatorską.

- No, to jazda!

Przyjechali na Gubernatorską, ale okazało się, że to wcale nie jest ulica Plechanowa, tylko Karola

Marksa.

Rozwścieczony Ostap nie dał za wygraną, jednakże w rezultacie zagubionej ulicy Plechanowa nie odnalazł.

Blady świt zastał nieszczęsnego posiadacza fortuny w bezowocnej pogoni za rozrywką.

- Zawieź mnie do „Sorbonny”! zawołał. - Ładny mi dorożkarz! Plechanowa nie zna!

*

Apartament wdowy Gricacujewej jarzył się światłami. Na honorowym miejscu przy biesiadnym stole siedział pan młody - syn tureckiego obywatela. Był wytworny i pijany. Goście hałasowali.

Panna młoda była już niemłoda. Miała co najmniej trzydzieści pięć lat. Natura wyposażyla ją obficie.

Miała wszystkiego wbród: piersi jak arbuzy, nos jak pięść, pulchne policzki i potężny kark. Ubóstwiała swego nowego męża i bardzo się go bała. Z tego też powodu nie nazywała go po imieniu. Mówiła doń oprost: towarzysz Bender.

Hipolit Matwiejewicz znowu siedział na upragnionym krześle. Przez cały czas weselnej kolacji wiercił się na nim, w nadziei, że wyczuje coś twardego. Niekiedy nawet mu się to udawało. W takiej chwili czuł nagły przypływ sympatii do wszystkich biesiadników i wrzeszczał jak opętany: „Kwaśne wino!

Kwaśne wino!”

Ostap nieustannie wygłaszał przemówienia i wznosił toasty. Piło się pod upowszechnienie oświaty i pod nawodnienie Uzbekistanu. Po czym goście zaczęli się rozchodzić. Hipolit Matwiejewicz zatrzymał się w przedpokoju i szepnął Benderowi:

- Nie ma na co czekać. One tam są!

- Coś pan taki prędko! - odparł pijany Ostap. - Niech pan czeka na mnie w hotelu. Proszę nigdzie nie wychodzić. Mogę się zjawić w każdej chwili. Niech pan zapłaci rachunek hotelowy, żeby wszystko było gotowe. Bądź zdrow, wodzu! Proszę mi złożyć życzenia dobrej nocy.

Hipolit Matwiejewicz złożył mu życzeniami zdenerwowany udał się do „Sorbonny”

O godzinie piątej rano zjawił się Ostap z krzesłem. Hipolit Matwiejewicz zaniemówił z wrażenia. Ostap postawił krzesło na środku pokoju i usiadł.

- Jak pan to zrobił? - wykrztusił w końcu Worobianinow.

- Całkiem prosto, po małżeńsku, Wdówka śpi i roi sny. Nie miałem serca jej budzić. „Nie budź, nie budź jej o świcie!” Zmuszony byłem zostawić ukochanej karteczkę: „Wyjeżdżam służbowo do

Nowochoperska. Nie czekaj z obiadem. Twój Susełek”. A krzeselko zabrałem, żeby odpoczywać na nim w drodze, gdyż o tak wczesnej porze tramwaje jeszcze nie kursują.

Hipolit Matwiejewicz z pomrukiem skoczył w stronę krzesła.

- Spokojnie - rzekł Ostap - trzeba działać bez hałasu. Wyjął z kieszeni obcęgi i zawrzała praca.

- Zamknął pan drzwi? - zapytał Ostap.

Odpychając niecierpliwego Worobianinowa, Ostap starannie, żeby nie uszkodzić angielskiego kretonu w kwiatki, oderwał pokrycie.

- Takiego materiału teraz już nie ma. Trzeba go szanować. Trudna rada. Cierpimy na brak towarów.

Wszystko to niesłuchanie drażniło Hipolita Matwiejewicza.

- Gotowe - odezwał się cicho Ostap.

Zdjął obicie i zaczął oburącz grzebać we włosiu, żyły wystąpiły mu na czoło.

- No? - powtarzał na przeróżne tony Hipolit Matwiejewicz. -No? No?

- No i no - odpowiedział mu z rozdrażnieniem Ostap - mamy jedną szansę na jedenaście. I szansa ta...

Jeszcze raz dokładnie zbadał wnętrze krzesła i dokończył;

- I szansa ta zawiodła.

Wyprostował się i zaczął otrzepywać spodnie. Hipolit Matwiejewicz rzucił się do krzesła.

Brylantów nie było. Hipolit Matwiejewicz był zdruzgotany. Ale Ostap nie upadał na duchu.

- Za to teraz szanse nasze wzrosły. Przeszedł się po pokoju.

- Trudno! Wdowę krzesło to kosztowało więcej niż nas. I wyjął z kieszeni złotą broszkę z diamentami, bransoletkę z dętego złota, pół tuzina pozłacanych łyżeczek oraz sitko do herbaty.

Zrozpaczony Hipolit Matwiejewicz wcale nie zdawał sobie sprawy, że stał się współnikiem pospolitej kradzieży.

- Paskudna historia - rzekł Ostap - ale przyzna pan, że nie mogłem opuścić ukochanej kobiety, nie biorąc sobie nic na pamiątkę. Ale nie tracmy czasu. To dopiero początek. Finał w Moskwie. Muzeum

Mebli to nie wdowa: będzie nieco trudniej!

Wspólnicy wepchnęli szczątki krzesła pod łóżko, przeliczyli pieniądze (było ich łącznie z ofiarami na rzecz dzieci pięćset trzydzieści pięć rubli) i ruszyli na dworzec do pociągu moskiewskiego.

Trzeba było jechać dorożką przez całe miasto.

Na ulicy Spółdzielczej ujrzeli Polesowa, który biegł niczym spłoszona sarna. Za nim pędził stróż domunr 5 z Przeleszyńskiego Zaułka. Skręcając za róg, wspólnicy zdążyli jeszcze spoznać, że stróż dopadł

Wiktora Michajłowicza i zaczął go okładać. Polesow wrzeszczał: „Milicja!” i „Ty chamie!”

W obawie przed spotkaniem z ukochaną kobietą, czas pozostały do odejścia pociągu wspólnicy pędzili w ubikacji.

Ale oto pociąg ruszył uwożąc przyjaciół do gwarnej stolicy. Stanęli w oknie.

Przejeżdżali właśnie nad Gusiszczem.

Nagle Ostap wydał okrzyk i złapał Worobianinowa za ramię.

- Patrz pan! Patrz pan! - zawołał. - Prędkiej! To ten łotr Alchen!

Hipolit Matwiejewicz spojrzał w dół. Tuż pod nasypem kolejowym ujrzął rosnącego wąsatego draba pchającego taczki, na których stała mahoniowa fisharmonia i pięć ram okiennych.

Słońce przedarło się przez chmury. Krzyże cerkiewne zaśniły w złotych promieniach.

Ostap wychylił się przez okno i chichocząc krzyknął drwiąco:

- Paszka! Jedziesz na tandetę?

Pasza Emiliowicz zadął głowę, ale ujrzawszy tylko bufory ostatniego wagonu i jeszcze raźniej zaczął przebierać nogami.

- Widział pan? - zapytał radośnie Ostap. - Coś pięknego! Ludzie robią, co mogą!

Ostap poklepał zmartwiałego Worobianinowa po plecach.

- Niech pan nie upada na duchu, ojczulku! Sesja trwa. Jutro wieczorem będziemy w Moskwie!

Część W Moskwie

druga

Rozdział XV Ocean krzesel

Statystyka wie wszystko. Obliczono, ile jest w ZSRR ziemi ornej, z podziałem na czarnoziem, glebę gliniastą i less. Wszyscy obywatele obojga płci wpisani są do grubych, starannie prowadzonych, ksiąg, tak dobrze znanych Hipolitowi Matwiejewiczowi Worobianinowowi - ksiąg stanu cywilnego.

Wiadomo jest, ile i jakiej kaszy zjada rocznie przeciętny obywatel republiki. Wiadomo, ile ten przeciętny obywatel wypija średnio wódki i czym ją zagryza. Wiadomo, ile jest w kraju myśliwych, baletnic, strzelnic, psów rozmaitych ras, rowerów, pomników, dziewcząt, latarni morskich i maszyn do szycia.

Cóż za wspaniały obraz życia, pełnego werwy, namiętności i myśli, ukazują nam tablice statystyczne!

Któż to jest ten zażywny jegomość, siedzący przy stoliku z serwetką pod brodą i z apetytem pałaszujący dymiącą strawę. Dokoła niego rozsiane są stada miniaturowych wołów. W rogu tablicy skupiły się tłuste wieprze. W specjalnym statystycznym basenie pluszczą się niezliczone ilości jesiotrów, miętusów tudzież innych ryb. Na ramionach, rękach i głowie jegomościa siedzą kury. W pierzastych obłokach fruują tuczone gęsi, kaczki i indyczki. Pod stolikiem siedzą dwa króliki.

Na horyzoncie wznoszą się piramidy i obeliski pieczywa. U stóp niewielkiej twierdzy z konfitur przepływa mleczna rzeka. Na horyzoncie tkwi ogórek wielkości wieży w Pizie. Za obronnymi wałami z soli i pieprzu maszerują kompanie win, wódek i nalewek. W ogonie smętną gromadką wloką się napoje bezalkoholowe: ciurowate narzany, limoniady i syfony w drucianych koszulkach.

Któż to jest ten zażywny jegomość, ten obżartuch, pijaczyna i łasuch? Czy to Gargantua²³, król opojów? Czy Siłaf Foss? Czy legendarny żołnierz Jaszka - Czerwona Rubaszka? A może Lukullus²⁴?

Nie, to nie żaden Lukullus. To po prostu Iwan Iwanowicz Sidorow lub Sidor Sidorowicz Iwanow, przeciętny obywatel zjadający średnio w ciągu swojego żywota cały zaprezentowany na tablicy zapas żywności. Jest to normalny spożywca kalorii i witamin, stateczny czterdziestoletni kawaler, pracujący w państwowym sklepie galanterijno-trykotażowym.

Przed statystyką nie ma ucieczki. Posiada ona dokładne dane nie tylko co do ilości dentystów, wędliniarni, strzykawek, stróżów, reżyserów filmowych, prostytutek, słomianych strzech, wdów, dorożkarzy i dzwonów, ale nawet co do ilości samych statystyków.

Jednego tylko statystyka nie wie.

Nie wie, ile jest w ZSRR krzesel.

A krzesel jest, bądź co bądź, sporo.

Ostatni spis ustalił, że stan ludności w republikach radzieckich wynosi sto czterdzieści trzy miliony mieszkańców. Jeśli odliczymy dziewięćdziesiąt milionów chłopów, którzy zamiast krzesel wolą używać

Gargantua - bohater powieści pt. „Gargantua et Pantagruel” pisarza francuskiego Fr. Rabelais (1500-1553).

Lukullus Lucius Licinius (106-56 p.n.e.) – Konsul rzymski. Znany z bogactwa i wydawanych wspaniałych uczt.

Stąd nazwa „uczta lukullusowa”. Ław, stołków tudzież przyzb, a na Wschodzie - starych dywanów, to mimo wszystko zostanie jeszcze pięćdziesiąt trzy miliony ludzi, dla których krzesła stanowią artykuł pierwszej potrzeby. Jeśli weźmiemy pod uwagę wszelkie możliwe omyłki w rachunkach oraz zwyczaj niektórych obywateli

Związku Radzieckiego siedzenia na dwóch stołkach, to, dzieląc na wszelki wypadek ogólną liczbę przez dwa, stwierdzamy, że w naszym kraju powinno być przynajmniej dwadzieścia sześć i pół miliona krzesel. Dla pewności odliczmy jeszcze sześć i pół miliona. Pozostałe dwadzieścia milionów stanowi niezbędne minimum.

W tym morzu krzesel orzechowych, dębowych, jesionowych, palisandrowych, z brzozy karelskiej tudzież jodłowych i sosnowych, bohaterowie naszej powieści chcą znaleźć orzechowe krzesło na giętych nóżkach roboty Gambsa, kryjące w swym obitym angielskim kretonem łonie skarby madame

Pietuchowej.

Wspólnicy spali jeszcze w najlepsze na górnych półkach, kiedy pociąg ostrożnie przejechał most na

Oce i, przyspieszając biegu, zaczął zbliżać się do Moskwy.

Rozdział XVI Dom akademicki im. zakonnika Bertolda Szwarca

Hipolit Matwiejewicz i Ostap stali ramię w ramię w otwartym oknie wagonu i z uwagą śledzili schodzące powoli z nasypu krowy, przydrożne sosny i drewniane werandy podmiejskich osiedli.

Wszystkie kolejowe anegdoty zostały już opowiedziane. Wtorkowa „Stargorodzka Prawda” została przeczytana od deski do deski i dokładnie wytłuszczona. Wszystkie kurczęta, jajka i oliwki były zjedzone.

Pozostał jeszcze do przebycia najuciążliwszy odcinek drogi - ostatnia godzina jazdy do Moskwy.

Z rzadziutkich lasków i zagajników wyłaniały się wesołe domy letniskowe. Były wśród nich drewniane pałace, połyskujące szybami werand i świeżo pomalowanymi blaszanymi dachami; były też zwykłe drewniane chałupki o malutkich kwadratowych okienkach, istne potrzaski dla letników.

Podczas gdy pasażerowie z minami bywalców rozglądali się po okolicy i przekręcając zachowane w pamięci szczegóły o bitwie nad Kałką opowiadali sobie o dawnej i dzisiejszej Moskwie, Hipolit

Matwiejewicz usiłował wyobrazić sobie, jak wygląda Muzeum Mebli. Muzeum to zarysowywało się w jego wyobraźni jako wielowiorstowy korytarz, pod którego ścianami ciągną się szpalery krzesel.

Worobianinow widział już siebie szybko maszerującego między tymi szpalerami.

- Kto wie, jak to będzie z tym Muzeum Mebli? Czy nam się uda? - mówił z niepokojem.

- Powinien pan, panie marszałku, przejść kurację wstrząsami elektrycznymi. Nie wolno popadać zawczasu w histerię. Skoro już pan musi się tak przejmować, niech pan przynajmniej robi to dyskretniej.

Pociąg podskakiwał na zwrotnicach. Na jego widok semafony rozdziawiały gęby. Przybywało coraz więcej torów. Czuło się bliskość wielkiego węzła kolejowego. Zniknęła trawa. Zastąpił ją czarny żużel.

Gwizdały manewrujące lokomotywy. Trąbili zwrotniczy. Nagle turkot przybrał na sile. Pociąg wjechał w wąwóz między dwoma pustymi pociągami i, dudniąc jak turniket, zaczął odliczać wagony.

Tory zaczęły się rozwidlać. Pociąg wypadł z wąwozu. Ukazało się słońce. Latarnie zwrotnic sterczały jak wbite w ziemię strażackie toporki. Kłębił się dym. Zasapany parowóz wypuścił śnieżnobiałe bokobrody. Na obrotnicy wszczęło się zamieszanie. To pracownicy warsztatów kolejowych wprowadzali lokomotywę do parowozowni.

Maszynista zahamował tak raptownie, że wszystkie stawy pociągu zatrzęszczały. Nagle rozległ się przeraźliwy zgrzyt. Hipolit Matwiejewicz miał wrażenie, iż znalazł się w królestwie bólu zębów. Pociąg przybił do asfaltowego peronu.

Moskwa. Najnowszy i najokazalszy ze wszystkich moskiewskich dworców - dworzec Riazański.

Żaden z ośmiu pozostałych dworców moskiewskich nie posiada tak obszernych i przestronnych pomieszczeń jak dworzec Riazański. Cały dworzec Jarosławski wraz ze swymi pseudo-rosyjskimi wieżyczkami i heraldycznymi ozdóbkami z łatwością mógłby się zmieścić w ogromnej sali restauracyjnej dworca Riazańskiego.

Dworce moskiewskie to bramy miasta. Wjeżdża przez nie i wyjeżdża trzydzieści tysięcy pasażerów dziennie. Na dworzec Aleksandrowski przybywa do Moskwy cudzoziemiec w obuwii na kauczukowych podszewach i w stroju do golfa (wyrzucane spodnie i grube, wełniane, wywijane pończochy). Na dworzec Kurski przyjeżdża do Moskwy mieszkaniec Kaukazu w brązowej barankowej czapce z wentylacyjnymi dziurkami i barczysty nadwoźnianin z kudłatą brodą. Na dworcu

Październikowym wyskakuje z pociągu półodpowiedzialny urzędnik z teczką z pięknej świńskiej skóry.

Przyjechał z Leningradu w sprawie uzgodnienia, ustalenia i ostatecznego uzyskania zgody.

Przedstawiciele Kijowa i Odessy docierają do stolicy przez dworzec Briański. Już na stacji

Tichonowskie Pustkowie kijowianie zaczynają się pogardliwie uśmiechać. Wiedzą przecież doskonale, że najpiękniejszą ulicą na świecie jest Kreszczatik. Mieszkańcy Odessy wiozą kosze i płaskie pudełka z wędzonymi skumbriami. Oni także wiedzą, jaka jest najpiękniejsza ulica na świecie. Nie jest to bynajmniej Kreszczatik, tylko ulica Lasalle'a, dawniej Deribasowska. Z Saratowa, Atkarska, Tambowa,

Rtiszczewa i Kozłowa przyjeżdża się do Moskwy na dworzec Pawelecki. Najmniejsza liczba pasażerów przybywa na dworzec Sawełowski. Są to kamasznicy z Tałdomu, mieszkańcy Dmitrowa, robotnicy z Jachromskiej fabryki włókienniczej lub nieszczęśni letnicy, mieszkający latem i zimą w miejscowości

Chlebnikowo. Nie są to podróże zbyt dalekie, gdyż cała ta linia kolejowa liczy sto trzydzieści wiorst.

Na dworzec Jarosławski przyjeżdżają podróżni z Władywostoku, Chabarowska, Czity, z miast wielkich i odległych.

Jednakże najosobliwsi pasażerowie wysiadają na dworcu Riazańskim. Są to Uzbegy w białych muślinowych turbanach i kwiecistych chałatach, rudobrodzi Tadżykowie, Turkmenii mieszkańcy

Chiwy i Buchary - republik, gdzie wiecznie świeci słońce.

Wspólnicy z trudem precyzyjnie się do wyjścia i znaleźli się na placu Kałanczewskim. Z prawej strony widniały heraldyczne ozdóbki dworca Jarosławskiego. Naprzeciw wznosił się dwukolorowy, pomalowany na olejno dworzec Październikowy. Zegar na tym dworcu wskazywał pięć po dziesiątej.

Na zegarze dworca Jarosławskiego była punkt dziesiąta. Podróżni spojrzeli na ciemnoniebieską, ozdobioną znakami zodiaku tarczę zegara na dworcu Riazańskim i stwierdzili, że na zegarze tym jest za pięć dziesiąta.

- To bardzo wygodne przy wszelkiego rodzaju randkach - rzekł Ostap. - Człowiek ma zawsze te dziesięć minut luzu.

Dorożkarz wydał wargami dźwięk podobny do pocałunku. Przejechali pod wiaduktem i przed podróżnymi rozpostarła się imponująca panorama stolicy.

- Dokąd my właściwie jedziemy? - zapytał Hipolit Matwiejewicz.

- Do zacnych ludzi - odpowiedział Ostap. - Jest ich w Moskwie mnóstwo. I wszyscy są moimi znajomymi.

- Czy zamieszkamy u nich?

- To jest dom akademicki. Jak nie u jednego, to u drugiego znajdzie się dla nas jakiś kąt.

Na targowisku „Ochotnyj Riad” panował popłoch. Nie rejestrowani sprzedawcy uliczni pierchali na wszystkie strony z pudłami towaru na głowach, ścigał ich ospale milicjant. Bezdomni siedzieli przy kadzi z asfaltem i z rozkoszą wdychali zapach wrzącej smoły.

Dorożka wjechała na plac Arbatski, przejechała przez bulwar Preczisteński, skręciła na prawo i zatrzymała się na Siwcowym Wrażku.

- Co to za dom? - zapytał Hipolit Matwiejewicz.

Ostap spojrział na różowy domek z facjatką i odpowiedział:

- Dom akademicki studentów wydziału chemii imienia zakonnika Bertolda Szwarca.

- Zakonnika?

- Żartuję, żartuję. Imienia Siemaszki.

W domu studentów chemii, podobnie jak w większości domów akademickich w Moskwie, od dawna już mieszkali ludzie nie mający nic wspólnego z chemią. Studentów tam w ogóle nie było. Część dawno już ukończyła studia i wyjechała na posady, część za brak postępów w nauce została usunięta z uczelni. Ta właśnie wzrastająca z roku na rok część tworzyła w różowym domku coś pośredniego między zrzeszeniem użytkowników a feudalnym osiedlem. Na próżno kadry nowych studentów dobijały się do wrót „akademika”. Ex-chemicy byli ogromnie przebiegli i odpierali wszelkie ataki. W końcu

machnięto ręką na ów domek. Uznano go za bezpieczny i wykreślono ze wszystkich planów

Urzędu Kwaterunkowego. Jakby przestał istnieć. A jednak istniał i był zamieszkały.

Wspólnicy weszli po schodach na pierwsze piętro i skręcili w całkowicie ciemny korytarz.

- Przestrzeń i światło! - rzekł Ostap.

Nagle w ciemnościach, na wysokości łokcia Hipolita Matwiejewicza, coś zasapało.

- Niech się pan nie obawia - odezwał się Ostap - to nie na korytarzu, to za ścianą. Dykta, jak wiadomo z fizyki, jest idealnym przewodnikiem dźwięków. Uwaga! Niech się pan mnie trzyma! Tu gdzieś stoi kasa ogniotrwała.

Krzyk, jaki w tej samej chwili wydał z siebie Worobianinow, który właśnie natknął się na jakiś ostry żelazny kant, wskazywał na to, że kasa istotnie stoi na swoim miejscu.

- Boli? - zapytał Ostap. - To jeszcze nic. To tylko fizyczne cierpienie. A ile się tu przeżyło cierpień moralnych! Lepiej nie wspominać. Tu obok kasy stał szkielet, własność studenta Iwanopulo. Kupił go na Sucharewce, ale bał się trzymać w pokoju. Goście rozbijali się najpierw o kasę, a potem przewracali się na nich szkielet. Kobiety w ciąży bardzo się na to uskarżały.

Po krętych schodach wspólnicy wdrapali się na poddasze. Cała obszerna przestrzeń poddasza była podzielona ściankami z dykty na długie pasy szerokości dwóch arszynów. Izdebki te podobne były do piórników, z tą tylko różnicą, że oprócz piór i ołówków mieścili się w nich ludzie i prymusy.

Ostap zatrzymał się przy środkowych drzwiach i zapytał cicho:

- Kola! Jesteś?

W odpowiedzi na to pytanie, we wszystkich pięciu piórnikach coś się poruszyło i odezwało.

- Jestem! - padła odpowiedź zza drzwi.

- Znowu do tego osła zwalili się goście o świecie! - szepnęła kobiecie głos w ostatnim piórniku z lewej strony.

- Nie dadzą się człowiekowi wypaść! - burknął piórnik nr 2.

W trzecim piórniku zabrzmiał radosny szepc:

- Do Kolki przyszła milicja. To o tę wczorajszą szybę.

W piątym piórniku nikt się nie odezwał. Słyszeć było tylko buzowanie prymusa i odgłosy pocałunków.

Ostap pchnął nogą drzwi. Całe dyktowe przepierzenie zatrzęśło się i wspólnicy weszli do zajmowanego przez Kolkę wąwozu. Obraz, jaki roztoczył się przed oczami Ostapa, przy całej swej pozornej niewinności, był przerażający. Jedynym meblem w pokoiku był materac w czerwone paski, spoczywający na czterech cegłach. Ale nie to zaniepokoiło Ostapę! Znał od dawna umeblowanie pokoju Kolki. Nie zdziwił go też widok Kolki przykucniętego na materacu. Ale obok niego siedziało niebiańskie stworzenie, którego widok bardzo zaniepokoił Ostapę. Dziewczyna miała zbyt błękitne oczy i zbyt czystą szyję, żeby ją można było uznać za przygodną znajomą. Wyglądała na kochankę lub żonę, i to żonę uwielbianą. Istotnie, Kola nazywał to stworzenie Lizą, mówił do niej „ty” i przekomarzał się z nią.

Hipolit Matwiejewicz zdjął swój filcowy kapelusz. Ostap wywołał Kolę na korytarz i długo z nim szeptał.

- Prześliczny dziś ranek, łaskawa pani - odezwał się Hipolit Matwiejewicz. Błękitnooka łaskawa pani roześmiała się i bez jakiegokolwiek widocznego związku z uwagą Hipolita Matwiejewicza zaczęła mówić o tym, jacy to głupcy mieszkają w sąsiednim piórniku.

- Umyślnie zapalają prymus, żeby nie było słychać, jak się całują. Przecież to nie ma za grosz sensu.

My i tak wszystko słyszymy. To tylko oni nic nie słyszą przez ten swój prymus. Zaraz pan się przekona.

Niech pan posłucha!

I żona Koli, która zgłębiła wszystkie tajniki prymusa, powiedziała głośno:

- Zwieriewowie to osły dardanelskie!

Zza ściany dolatywał piekielny szum prymusa i odgłosy pocałunków.

- A widzi pan? Nic nie słyszą! Osły dardanelskie, bałwany, idioci! Widzi pan?...

- Rzeczywiście - powiedział Hipolit Matwiejewicz.

- A my nie mamy prymusa. Bo po co? Chodzimy na jarskie obiady, chociaż ja nie znoszę wegetariańskiej kuchni. Ale kiedyśmy się mieli pobrać, Kola marzył, że będziemy chodzili razem na jarskie obiady. No więc chodzimy. Ja bardzo lubię mięso. A tam dają kotlety z makaronu. Tylko niech pan nie wspomina o tym Koli...

Kola i Ostap wrócili do pokoiku.

- Cóż robić? Skoro u ciebie w żaden sposób nie można się zatrzymać, pójdziemy do Panteleja.

- Słusznie, chłopcy! - zawołał Kola. - Idźcie do Iwanopulo. To swój chłopak.

- Proszę nas odwiedzać - odezwała się żona Koli. - Oboje z mężem będziemy bardzo radzi.

- Znowu zapraszają gości! - zdenerwował się ktoś w ostatnim piórniku. - Jeszcze im mało!

- Nie wasz interes, osły, bałwany, półgłówki! - powiedziała żona Koli nie podnosząc głosu.

- Iwanie Andriejewiczu, słyszysz? - odezwał się oburzony głos w ostatnim piórniku.
- Obrażają twoją żonę, a ty nic!

Do dialogu przyłączyli się komentatorzy z innych piórników. Pyskówka przybierała coraz poważniejsze rozmiary. Wspólnicy zeszli na dół do Iwanopulo.

Nie zastali studenta w domu. Hipolit Matwiejewicz zapalił zapałkę. Na drzwiach wisiała karteczka:

„Wróć o dziewiętej. Pantelej”

- Nic nie szkodzi - rzekł Ostap - wiem, gdzie jest klucz. Wsunął rękę pod ogniotrwałą kasę, wyciągnął klucz i otworzył drzwi.

Pokój studenta Iwanopulo miał te same rozmiary, co pokój Koli, ale był narożny. Jedna z jego ścian była murowana, co stanowiło przedmiot dumy lokatora. Hipolit Matwiejewicz zauważył z przykrością, że student nie posiadał nawet materaca.

- Urządzimy się tu doskonale - rzekł Ostap. - Jak na Moskwę, kubatura całkiem przyzwoita. Jeśli położymy się wszyscy trzej na podłodze, to jeszcze zostanie trochę wolnego miejsca. Ale ciekaw jestem, co ten łotr Pantelej zrobił z materacem.

Okno wychodziło na zaułek. Spacerował tam milicjant. W willi po przeciwnej stronie zaułka, zbudowanej w stylu gotyckiej wieży, mieściło się poselstwo jakiegoś małego państewka. Za drucianą siatką grano w tenisa. Fruwała biała piłeczka. Słychać było krótkie okrzyki.

- Aut! - odezwał się Ostap. - Klasa gry dość mizerna. No, kładźmy się na spoczynek.

Wspólnicy rozłożyli na podłodze gazety. Hipolit Matwiejewicz wydobył nadymaną poduszkę, z którą nie rozstawał się w podróży.

Ostap wyciągnął się na ostatnich wiadomościach i zasnął. Hipolit Matwiejewicz także już chrapał.

Rozdział XVII Obywatele, szanujcie materace!

- Lizo, chodź na obiad!

- Nie chce mi się. Wczoraj byłam na obiedzie.

- Nie rozumiem.

- Nie mam ochoty na fałszywego zająca.

- Nie pleć głupstw!

- Dosyć mam już jaskich parówek!

- To zjesz dzisiaj szarlotkę.

- Kiedy mi się nie chce.

- Mów ciszej. Wszystko słychać.

I młodzi małżonkowie zaczęli rozmawiać dramatycznym szeptem.

Po upływie dwóch minut Kola uświadomił sobie, po raz pierwszy po trzech miesiącach małżeńskiego pożycia, że jego ukochana ma niestety znacznie mniejsze niż on upodobanie do parówek z marchwi, kartofli i grochu.

- Więc wolisz ścierwo od potraw dietetycznych? - wrzasnął Kola zapominając w podnieceniu o podsłuchujących sąsiadach.

- Mów ciszej! - zawołała głośno Liza. - A po drugie jak ty mnie traktujesz? Tak! Lubię mięso! Od czasu do czasu. I coś w tym złego?

Kola zaniemówił ze zdumienia. Był to nader niespodziewany zwrot w jego życiu. Mięso zrobiłoby w budżecie Koli wielką, nie do zatkania lukę. Spacerując obok materaca, na którym siedziała czerwona, zwinięta w kłębek Liza, młody małżonek przeprowadzał desperackie obliczenia.

Kopiowanie przez kalkę w biurze kreślarskim „Technosiła” nawet w najlepszych miesiącach nie dawało Koli Kałaczowowi więcej niż czterdzieści rubli. Za mieszkanie uprawdzie nie płacił. Bezpańskie osiedle nie miało administratora i komorne było tam

pojęciem abstrakcyjnym. Dziesięć rubli miesięcznie kosztował kurs kroju i szycia na prawach technikum budowlanego, na który uczęszczała

Liza. Jeden obiad dziennie na dwoje (pierwsze danie - postny barszcz: drugie danie - fałszywy zając lub prawdziwy makaron), dzielony rzetelnie na pół w jarskiej stołówce „Nie kradnij”, uszczuplał budżet małżonków o trzysta rubli na miesiąc. Reszta pieniędzy rozłaziła się nie wiadomo na co. I to właśnie najbardziej gnębiło Kolę. „Gdzie się te pieniądze podziewają?” - zastanawiał się, kreśląc grafionem długą, cienką linię na niebieskiej kalce. Przejście w takiej sytuacji na mięsną kuchnię groziło katastrofą. I dlatego Kola powiedział z zapalem:

- Zastanów się, jak można jeść trupy pomordowanych zwierząt?! To ludożerstwo pod pozorami kultury! Mięso jest źródłem wszystkich chorób!

- Oczywiście - odezwała się Liza z nieśmiałą ironią - na przykład anginy.

- A tak, a tak, anginy również! A co ty myślisz! Organizm, osłabiony ciągłym spożywaniem mięsa, nie ma siły, aby oprzeć się infekcji.

- Głupstwa pleciesz!

- To nie są głupstwa. Głupi jest ten, kto myśli tylko o napchaniu żołądka, nie troszcząc się o witaminy.

Kola nagle zamilkł. Przed oczami jego wyobraźni ukazał się niespodzianie ogromny kotlet wieprzowy, przesłaniając sobą góry jałowego, rozgotowanego makaronu, kaszy i tłuczonych kartofli. Kotlet ten najwidoczniej przed chwilą zeskoczył z patelni, bo syczał jeszcze, pryskał tłuszczem i wydawał apetyczną woń. Z boku sterczała kostka niby lufa pistoletu.

- Zrozum wreszcie - krzyknął Kola - że każdy kotlet wieprzowy skraca życie ludzkie o tydzień.

- To niech skraca! - odpowiedziała Liza. - Fałszywy zając skraca życie o pół roku. Wczoraj, kiedy jedliśmy pieczeń z marchewki, czułam, że umieram. Tylko nie chciałam się do tego przyznać.

- Dlaczego nie chciałaś się przyznać?

- Nie miałam siły. Bałam się, że zacznę płakać.

- A teraz się nie boisz?

- Teraz jest mi wszystko jedno.

Liza załkała.

- Lew Tołstoj - odezwał się drżącym głosem Kola - także nie jadał mięsa.

- Ta-a-ak - odpowiedziała Liza połykając łzy - ale był hrabią i jadał szparagi.

- Szparagi to nie mięso.

- Ale kiedy pisał „Wojnę i pokój”, to na pewno jadł mięso! Jadł, jadł, jadł! A kiedy pisał „Annę

Kareninę” to żarł, żarł, żarł mięso!

- Cicho bądź!

- Żarł! Żarł! Żarł!

- A jak pisał „Sonatę Kreutzerowską” to też żarł? - spytał zjadliwie Kola.

- „Sonata Kreutzerowska” jest króciutka. Ale niechby spróbował napisać „Wojnę i pokój” żywiąc się jarskimi parówkami!

- Cemu się przyczepiłaś do mnie z tym swoim Tołstojem?

- Ja się do ciebie przyczepiłam z Tołstojem? Ja? Ja się do pana przyczepiłam z Tołstojem?

Kola także przeszedł na „pani”. Mieszkańcy piórników szaleli z uciechy. Liza z pośpiechem wciągała na głowę niebieską włóczkową czapeczkę.

- Dokąd idziesz?

- Daj mi spokój. Wychodzę w swoich sprawach.

I wybiegła.

.....

„Dokąd ona mogła pójść?” - pomyślał Kola i zaczął nasłuchiwać.

- Władza Radziecka dała kobietom za dużo swobody - rozległ się głos z ostatniego piórника z lewej strony.

- Poszła się utopić! - zawyrokowano w trzecim piórniku.

Piąty piórnik zapalił prymus i wrócił do przerwanych pocałunków.

Zdenerwowana Liza biegła ulicami.

Była to owa przedobiednia niedzielna pora, kiedy szczęściarze wiozą przez Arbat zakupione na rynku materace.

Głównymi nabywcami sprężynowych materaców są nowożeńcy i radzieccy średniacy. Wiozą je w pozycji stojącej, obejmując obiema rękami. Bo jakże nie obejmować tej niebieskiej w kwiatki podwaliny swego szczęścia?!

Obywatele! Szanujcie sprężynowy materac w niebieskie kwiatki! To wasze ognisko domowe, alfa i omega umeblowania, gwarancja ciepła domowego, podstawa miłości, ojciec prymusa! Jak rozkosznie spać przy demokratycznych dźwiękach jego sprężyn! Jakie czarowne sny roi człowiek na jego niebieskim parcianym pokryciu! Jakim szacunkiem cieszy się każdy posiadacz materaca!

Człowiek nie posiadający materaca jest zerem. Nie liczy się. Nie płaci podatków, nie ma żony, znajomi nie pożyczają mu pieniędzy „do jutra”, kierowcy taksówek częstują go obraźliwymi epitetami, dziewczęta kpią sobie z niego, bo nie lubią idealistów.

Człowiek, nie posiadający materaca, najczęściej zajmuje się pisaniem wierszy:

Pod szum zegara przyciszony

W fotelu człek odpocząć może.

Lecą marzenia jak gawrony

I pada sobie śnieg na dworze.

Tworzy zazwyczaj owe strofy przy wysokich pulpitych w urzędzie telegraficznym, zajmując miejsce dzielnym posiadaczom materaców, którzy pragną nadać depeszę.

Ale materac może także złamać człowiekowi życie. W jego pokryciu i sprężynach kryje się jakaś przyciągająca, dotychczas jeszcze nie zbadana siła. Na zew jego sprężyn zbiegają się ludzie i przedmioty. Przychodzi urzędnik skarbowy i dziewczęta. Kieruje nimi chęć obcowania z właścicielami materaców. Urzędnik skarbowy przychodzi w celach

fiskalnych, mając na uwadze dobro państwa; dziewczęta zaś przychodzą bezinteresownie, ulegając naturalnemu popędowi.

Zaczyna się okres kwitnienia. Urzędnik skarbowy, wzorując się na pszczołce zbierającej wiosenne daniny, inkasuje podatek i z radosnym brzęczeniem odlatuje do swego skarbowego ula. A miejsce przelotnych dziewcząt zajmuje żona i prymus „Juwel nr 1”.

Materac jest nienasycony. Łaknie ofiar. Wydaje nocą dźwięki przypominające skaczącą piłkę. Domagasię etażerki, żąda stolika na jednej nóżce. Zgrzytając sprężynami, upomina się o firanki, portiery naczynia kuchenne. Trąca człowieka i mówi mu:

- Idź kupić magiel ręczny i wałek do ciasta!
- Wstyd mi za ciebie, że nie masz do tej pory dywanu!
- Pracuj! Wkrótce obdarzę cię dziećmi! Musisz mieć pieniądze na pieluszki i wózek.

Materac o wszystkim pamięta i robi to, co chce.

Nawet poecie nie uda się uniknąć losu zwykłego człowieka. Oto wiezie z rynku materac, ze zgrozą tuląc się do jego miękkiego brzucha.

- Złamię twój upór, poeto! - mówi materac. - Już nie będziesz musiał biegać do urzędu telegraficznego, żeby pisać wiersze. Zresztą czy w ogóle warto je pisać? Weź lepiej posadę! Saldo wypadnie na twoją korzyść. Pomyśl o żonie i dzieciach.

- Nie mam żony! - krzyczy poeta odsuwając się od sprężynowego mentora.
- Ale będziesz miał. I nie jestem wcale pewien, czy będzie nią najurodziwsza dziewczyna na świecie.

Nie wiem nawet, czy będzie dobra. Przygotuj się na najgorsze. Będziesz miał dzieci.

- Nie lubię dzieci!
- Polubisz je.
- Przerażasz mnie, obywatelu materacu!
- Cicho bądź, durniu! To jeszcze nie wszystko! Weźmiesz w Centrali Przemysłu Drzewnego meble na raty.
- Zamorduję cię, materacu!

- Głuptasie! Gdybyś ośmielił się to uczynić, sąsiedzi oskarżą cię przed komitetem blokowym.

W ten sposób co niedziela jeżdżą po Moskwie szczęściarze, przy akompaniamencie materacowych sprężyn.

Ale nie jest to jedyna charakterystyczna cecha moskiewskiej niedzieli. Niedziela jest dniem zwiedzania muzeów.

Istnieje w Moskwie pewna szczególna kategoria ludzi. Ludzie ci nie mają pojęcia o malarstwie; nie interesują się architekturą i nie lubią zabytków. Chodzą do muzeów tylko dlatego, że mieszczą się one w pięknych gmachach. Wałęsają się po wspaniałych salach, przyglądają się z zawiścią malowanym plafonom, dotykają wszystkiego, czego nie wolno dotykać, i mruczą nieustannie:

- Ależ sobie ludziska żyli!

Nie obchodzi ich bynajmniej, że freski są dziełem pędzla Puvis de Chavannes'a²⁵. Interesuje ich natomiast, ile zapłacił za to ówczesny właściciel pałacu. Wchodzą po schodach ozdobionych marmurowymi rzeźbami i usiłują wyobrazić sobie, ile stało tu niegdyś lokai, a także, jaką każdy z nich miał pensję i ile z napiwków. Na kominku stoi porcelana, ale oni, nie zwracając na nią uwagi, stwierdzają, że kominek to niepraktyczne urządzenie, gdyż pochłania dużo drzewa. W jadalni, ozdobionej dębowymi boazeriami, nie patrzą na piękne ornamenty. Nurtuje ich jedno tylko zagadnienie: co jadał kupiec, do którego to niegdyś należało, oraz: ile by kosztowało przy dzisiejszej drożyznie?

W każdym muzeum można spotkać takich ludzi. W tym samym czasie, kiedy wycieczki sprawnie przechodzą od jednego arcydzieła do drugiego, ludzie ci stoją na środku sali i nie patrząc na nic wzdychają melancholijnie:

- Ależ sobie ludziska żyli!

Liza biegła przez ulicę połykając łzy. Poganiały ją myśli. Rozmyślała o swoim szczęśliwym acz ubogim życiu.

„Gdybyśmy mieli jeszcze stół i dwa krzesła, byłoby już całkiem dobrze. Prymus też trzeba będzie w końcu kupić. Musimy się przecież jakoś zagospodarować”

Zwolniła kroku, gdyż przypomniawszy sobie sprzeczkę z Kolą. Poza tym była straszliwie głodna. Ogarnęła ją nagle nienawiść do męża.

- To po prostu skandal! - powiedziała głośno.

Głód dokuczał jej coraz bardziej.

- Poczekaj, poczekaj! Już wiem, co zrobić.

Puvis de Chavannes (1824-1899) - słynny francuski malarz obrazów i fresków znanych z harmonijnej kompozycji.

I Liza, rumieniąc się, kupiła od ulicznej przekupki bułkę z kiełbasą. Mimo głodu uważała, że nie wypada jeść na ulicy. Była, bądź co bądź, posiadaczką materaca i orientowała się w subtelnościach życia. Rozejrzała się i weszła do bramy piętrowego pałacyku, gdzie z wielkim apetytem zabrała się do bułki. Kiełbasa była wyśmienita. Do bramy weszło grono wycieczkowiczów. Przechodząc obok stojącej pod ścianą Lizy, wycieczkowicze uważnie jej się przyglądali.

„A niech się gapią!” - pomyślała rozzłoszczona Liza.

Rozdział XVIII Muzeum mebli

Liza wytarła usta chusteczką i strzepnęła z bluzki okruchy.

Odzyskała humor. Stała przed tabliczką z napisem:

MUZEUM SZTUKI MEBLARSKIEJ

Nie na rękę jej było wrócić do domu. Nie miała kogo odwiedzić.

W kieszonce spoczywało dwadzieścia kopiejek. Liza postanowiła zacząć samodzielne życie od zwiedzenia muzeum. Weszła do przedsionka. Na samym wstępie natknęła się na mężczyznę ze zmierzwioną brodą, który wbił ponury wzrok w malachitową kolumnę i cedził przez wąsy:

- Nieźle sobie ludzie żyli!

Liza z szacunkiem spojrzała na kolumnę i weszła na górę.

Przez dziesięć minut spacerowała po małych kwadratowych pokoikach o tak niskich sufitach, że każdy, kto tu wszedł, wydawał się olbrzymem.

Były to sale zastawione empirowymi meblami z czasów cara Pawła, meblami surowymi, dziwaczными i buńczucznymi z mahoni i karelskiej brzozy. Na wprost biurka stały dwie kwadratowe szafy, na ich oszklonych drzwiach widniały skrzyżowane kopie. Biurko miało wymiary gigantyczne. Usiąść przy nim znaczyło mniej więcej to samo, co usiąść przy placu Teatralnym, a Teatr Wielki wraz z kolumnadą i czwórką koni z brązu, wiozących Apolla na premierę „Czerwonego maku”, uważać za kałamarz. Tak przynajmniej roіło się Lizie, karmionej jak królik marchewką. W kątach stały fotele z wysokimi oparciami, których wierzchołki były zawinięte jak baranie rogi. Słońce padało na brzoskwiniowe obicia foteli.

Miało się wielką ochotę usiąść na jednym z tych foteli, ale siadanie na nich było wzbronione.

Liza usiłowała wyobrazić sobie, jak wyglądałby bezcenny fotel w stylu empire'u z epoki Pawła obok jej materaca w czerwone paski. Zdawało jej się, że nienajgorzej. Przeczytała na ściennej tabliczce naukowe tudzież ideologiczne wyjaśnienie, dotyczące empire'u z epoki Pawła. Rozżalona, że jej i Koli nie przydzielono pokoju w tym właśnie pałacu, wyszła z sali i znalazła się na dziwnym korytarzu.

Z lewej strony przy samej podłodze ciągnął się szereg małych półokrągłych okienek. Liza ujrzała przez nie w dole u swoich stóp wielką, białą salę kolumnową. W sali tej także stały meble i snuli się po niej ludzie. Liza przystanęła. Nigdy jeszcze nie widziała sali u swoich stóp.

Długo, w osłupieniu i podziwie spoglądała na dół. Nagle spostrzegła na sali dwóch poznanych dzisiaj mężczyzn - Bendera oraz jego towarzysza, okazałego starszego pana z ogoloną głową.

- Doskonale! - powiedziała. - Nie będzie mi tak nudno.

Ogromnie ucieszona zbiegła na dół i od razu zabłądziła.

Trafiła do jakiegoś czerwonego salonu, w którym stało około czterdziestu sztuk mebli orzechowych na giętych nóżkach. Z salonu nie było wyjścia. Musiała wracać przez okrągły pokój z górnym oświetleniem, umeblowany, jak jej się wydało, samymi kwiaciastymi poduszkami.

Szła dalej, mijając obite brokatem fotele z epoki włoskiego Odrodzenia, holenderskie szafy i wielkie, gotyckie łóż z baldachimem wspartym na czterech kręconych kolumnach. Na takim łóżku człowiek wyglądałby jak orzeszek.

Wreszcie Liza usłyszała gwar wycieczkowiczów, puszczających mimo uszu wyjaśnienia przewodnika, który demaskował przed nimi imperialistyczne zapędy Katarzyny II, o czym miało świadczyć upodobanie nieboszczki carycy do mebli w stylu Ludwika XVI.

Liza znalazła się w wielkiej sali kolumnowej, gdzie znajomy jej towarzysz Bender prowadził ożywioną rozmowę ze swoim ogolonym towarzyszem.

Zbliżając się usłyszała wypowiedziane dźwięcznym głosem słowa:

- Mebelki szyk-modern. Ale to jeszcze nie to, czego szukamy.
- Na pewno muszą tu być jeszcze inne sale. Trzeba wszystko systematycznie obejrzeć.

- Dzień dobry - odezwała się Liza.

Wspólnicy odwrócili się równocześnie i zmarszczyli czoła.

- Jak się macie, towarzyszu Bender. Cieszę się, że was spotkałam. Samej mi nudno. Będziemy zwiedzali razem.

Wspólnicy zamienili porozumiewawcze spojrzenia. Hipolit Matwiejewicz mimo niezadowolenia, że

Liza będzie im przeszkadzała w poszukiwaniach faszerowanego brylantami krzesła, przybrał postawę pełną dostojnej uprzejmości.

- Jesteśmy typowymi przybyszami z prowincji – odezwał się niecierpliwie Bender - ale co pani, stała mieszkanka Moskwy, robi tutaj?

- Znalazłam się tu przypadkiem. Pokłóciłam się z Kolą.

- Ach, tak?! - bąknął Hipolit Matwiejewicz.

- No, wyjdźmy już z tej sali - rzekł Ostap.

- Nie zdążyłam jej jeszcze obejrzeć. A taka jest śliczna.

- Zaczyna się - szepnął Ostap do Hipolita Matwiejewicza. I zwracając się do Lizy, dodał: - Nie ma tu absolutnie nic do oglądania. Styl schyłkowy. Epoka Kiereńskiego.

- Słyszałem, że są tu gdzieś meble z pracowni Gamsa - rzekł Hipolit Matwiejewicz.
- Może pójdziemy je obejrzeć?

Liza zgodziła się, wzięła pod rękę Worobianinowa, którego uznała za wyjątkowo sympatycznego przedstawiciela świata nauki, i skierowała się ku drzwiom. Mimo iż sytuacja była poważna i zbliżał się rozstrzygający moment w poszukiwaniach skarbu, Bender nie mógł się powstrzymać od drwiącegośmiechu. Bawił go marszałek Komanczów w roli lowelasa.

Liza bardzo przeszkadzała wspólnikom. Wystarczał im bowiem jeden rzut oka na salę, by stwierdzić, że nie ma w niej poszukiwanych mebli, i już mogli nie tracąc czasu przejść do następnej sali, Liza natomiast wszędzie miała coś ciekawego do obejrzenia. Odczytywała na głos wszystkie umieszczone na ścianach krytyczne uwagi o meblach, wygłaszała złośliwe spostrzeżenia na temat innych zwiedzających i długo przyglądała się każdemu eksponatowi. Dopasowywała podświadomie każdy muzealny mebel do swego pokoiku i do swoich potrzeb. Gotyckie łóżce zupełnie nie przypadło jej do gustu. Było za duże. Gdyby nawet Koli udało się jakimś cudem zdobyć pokój mający aż trzy sążnie kwadratowej powierzchni, średniowieczne łóżce i tak by się w nim nie zmieściło. Mimo to Liza długo obchodziła łóżce ze wszystkich stron i wymierzała je krokami. Była w doskonałym humorze. Nie zwracała uwagi na kwaśne miny swych przygodnych towarzyszy, którym wrodzona kurtuazja nie pozwalała biec na złamanie karku do sali mistrza Gamsa. - Musimy się uzbroić w cierpliwość - szepnął Ostap - meble nie uciekną. Tylko niechże pan tak nie uwodzi tej dziewczyny, bo jestem zazdrosny.

Worobianinow uśmiechnął się z zarożniętą miną.

Przechodzili powoli z jednej sali do drugiej. A sal tych było mnóstwo. Liczne garnitury mebli reprezentowały epokę aleksandrowską. Stosunkowo niewielkie rozmiary tych mebli wprawiły Lizę w zachwyt.

- Niech pan spojrzy, niech pan spojrzy! - wołała chwytając Worobianinowa za rękaw. - Widzi pan to biurko? Prawda, że doskonale pasowałoby do naszego pokoju?

- Prześliczny mebel - powiedział ze złością Ostap. - Ale schyłkowy.

- A tutaj już byłam - rzekła Liza wchodząc do czerwonego salonu. - Moim zdaniem nie ma tu nic godnego uwagi.

Ku jej wielkiemu zdumieniu, towarzysze jej, obojętnie dotychczas przechodzący obok mebli, znieruchomieli w drzwiach jak żołnierze na warcie.

- Czemuście się panowie zatrzymali? Chodźmy. Jestem zmęczona.

- Zaraz - odpowiedział Hipolit Matwiejewicz uwalniając się od jej ręki - chwileczkę.

Duża sala była zapchana meblami. Pod ścianą i dokoła stołu stały gąbsowskie krzesła. Kanapaw rogu była także obstawiona krzesłami. Ich gięte nóżki i wygodne oparcia były dla Hipolita

Matwiejewicza wzruszająco znajome. Ostap wpatrywał się w niego badawczo. Hipolit Matwiejewicz tanął w pąsach.

- Skoro pani jest zmęczona - rzekł do Lizy - niech pani sobie tutaj usiądzie i odpocznie, a my trochę pochodzimy. To jest, zdaje się, interesująca sala.

Usadowili Lizę i podeszli do okna.

- To te? - zapytał Ostap.

- Chyba te. Ale trzeba im się dokładniej przyjrzeć.

- Czy są tu aby wszystkie?

- Zaraz przeliczę. Cierpliwości, cierpliwości...

Worobianinow zaczął wodzić oczyma po krzesłach.

- Do licha - odezwał się w końcu - dwadzieścia. To przecież niemożliwe. Powinno być najwyżej dziesięć.

- Niech im się pan dobrze przyjrzy. Może to nie te?

Zaczęli przyglądać się krzesłom z bliska.

- No? - niecierpliwił się Ostap.

- Oparcia jakby trochę inne niż u moich.

- A więc to nie te?

- Nie te.

- Psiakrew! Zdaje się, że niepotrzebnie wplątałem się w tę sprawę.

Hipolit Matwiejewicz był doszczętnie zdruzgotany.

- Trudno - rzekł Ostap - sesja trwa. Krzesło nie szpilka. Znajdzie się. Niech mi pan da kwity. Będę musiał nawiązać niezbyt miły kontakt z administracją muzeum. Niech pan siada obok dziewczyny i czeka. Zaraz wrócę.

- Czemu pan taki smutny? - pytała Liza. - Zmęczył się pan?

Hipolit Matwiejewicz nie odpowiadał.

- Głowa pana boli?

- Tak. Trochę. Kłopoty. Brak kobiecego ciepła daje się we znaki.

Liza z początku zdziwiła się, ale kiedy przyjrzała się lepiej swemu ogolonemu towarzyszowi, zrobiło jej się go żal. W oczach Worobianinowa malowała się udręka.

Nawet binokle nie były w stanie ukryć wydatnych worków pod oczami. Nagły przeskok - od spokojnej egzystencji kancelisty w powiatowym urzędzie stanu cywilnego do pełnego niewygód i emocji życia poszukiwacza brylantów i awanturnika - wycisnął swoje piętno. Hipolit Matwiejewicz wychudł i zaczęła mu doskwierać wątroba. Pod surowym nadzorem Bendera szybko zatracił własne oblicze i ulegał wpływowi wybitnej indywidualności synatureckiego obywatela. Ale teraz, kiedy na chwilę został sam na sam z czarującą obywatelką

Kałączową, zapragnął gorąco zwierzyć się jej ze wszystkich swoich trosk i przeżyć, ale zabrakło mu dwagi.

- Tak - odezwał się spoglądając tklwie na swoją towarzyszkę - takie buty... No i cóż, Elżbieto...

- Pietrowna. A jak panu na imię?

- Hipolit Matwiejewicz.

„Niespełniony sen o miłości” - pomyślał Hipolit Matwiejewicz wpatrując się w szczerą twarz Lizy. I nagle tak gorąco, tak nieprzeparcie zapragnął miłości kobiecej, której brak ciążył dotkliwie na jego życiu, że ujął łapkę Lizy w swoje pomarszczone dłonie i zaczął z zapałem opowiadać o Paryżu. Jakże pragnął być w tej chwili bogatym, rozrutnym i czarującym. Jakże pragnął wzbudzać zachwyt i przy akompaniamencie muzyki, w zacisznym gabinecie pić Roederera²⁶ w towarzystwie ślicznej kobietki z damskiej orkiestry! Ale czyż można mówić o tych rzeczach z dziewczyną nie mającą zielonego

Roederer – marka szampana. pojęcia o Roedererze i damskiej orkiestrze, nie zdolną ocenić wszystkich uroków tego rodzaju życia?

A tak bardzo pragnął być pociągający! Chciał więc olśnić Lizę przynajmniej opowiadaniem o Paryżu.

- Czy pan jest naukowcem? - zapytała Liza.

- Tak, do pewnego stopnia - odpowiedział Hipolit Matwiejewicz czując, że od czasu zawarcia znajomości z Benderem odżyła w nim uśpiona w ostatnich latach beczelność.

- A ile - przepraszam za niedyskretne pytanie - liczy pan sobie lat?

- To nie ma żadnego związku z nauką, którą w danej chwili reprezentuję.

Ta szybka i dowcipna odpowiedź bardzo się Lizie spodobała.

- Ale mniej więcej? Trzydzieści? Czterdzieści? Pięćdziesiąt?

- Coś koło tego. Trzydzieści osiem.

- Oho! Wygląda pan znacznie młodziej.

Hipolit Matwiejewicz był wniebowzięty.

- Kiedy będę miał szczęście spotkać panią znowu? - zapytał namiętnie.

Liza poczuła się bardzo zażenowana. Zaczęła niespokojnie kręcić się na krześle.

- Gdzież się ten towarzysz Bender zawieruszył? - odezwała się niepewnym głosem.

- A więc kiedy? - zapytał natarczywie Worobianinow. - Kiedy i gdzie się spotkamy?

- Nie wiem. Kiedy pan chce.

- Może dzisiaj?
- Dzisiaj?
- Błagam panią.
- No, dobrze. Niech będzie dzisiaj. Proszę nas odwiedzić.

- Nie, spotkajmy się na **świeżym powietrzu**. Teraz takie wspaniałe pogody. Zna pani ten wiersz:

„Ach, to maj swawolnik - ach, to maj **czarownik**, świeżym tchnieniem dokoła powiewa...”

- Czy to wiersz Żarowa?
- Hm... Chyba tak. Więc dzisiaj? Ale gdzie?
- Jaki pan dziwny. Gdzie pan chce. Może... przy kasie ogniotrwałej? Dobrze? Jak się ściemni...

Ledwo Hipolit Matwiejewicz zdążył **ucałować** rączkę Lizy, co uczynił ceremonialnie, na trzy tempa, kiedy wrócił **Ostap**. Ostap był bardzo zaaferowany.

- Proszę nam wybaczyć, mademoiselle - powiedział szybko - ale ani ja, ani mój przyjaciel nie możemy pani dłużej towarzyszyć. Mamy do załatwienia pewną drobną, ale bardzo ważną sprawę. **Musimy iść natychmiast.**

Hipolitowi Matwiejewiczowi zaparło oddech.

- Do widzenia, Elżbieto Pietrowna - rzekł **z pośpiechem** - przepraszam, przepraszam, przepraszam, ale bardzo nam się spieszy.

I wspólnicy wybiegli, **pozostawiając** zaskoczoną Lizę w sali gęsto zastawionej gamsowskimi meblami.

- Gdyby nie ja - rzekł **Ostap**, kiedy zbiegali **po schodach** - wszystko by diabli wzięli. Niech pan dziękuje

Bogu, że pan mnie spotkał. Niech pan słucha. Pańskie meble nie posiadają wartości muzealnej. Ich miejsce jest **nie w muzeum, lecz w koszarach** karnego batalionu. Czy jest pan zadowolony z tej sytuacji?

- Cóż to za kpiny?! - zawołał Worobianinow, który już zaczął wyzwać się spod jarzma potężnej indywidualności syna tureckiego obywatela.

- Spokój! - odpowiedział **oschle Ostap**. - Nic pan nie wie, co się dzieje. Jeśli nie uda nam się **natychmiast zdobyć** naszych mebli, wszystko przepadło! Nie zobaczymy ich już nigdy. Miałem przed chwilą ciężką przeprawę z zarządzającym tego historycznego śmietnika.

- No i co? - zawołał **Hipolit Matwiejewicz**. - Cóż panu zarządzający powiedział?

- Wszystko, co mi **było potrzebne**. Niech się pan nie denerwuje. „Proszę mi powiedzieć - pytam go - czym się to tłumaczy, że w muzeum nie ma mebli, przysłanych tu za tym oto kwitem ze Stargrodu?”

Oczywiście pytałem **bardzo uprzejmie**, w tonie przyjacielskim. „A cóż to za meble? - pyta. - W naszym muzeum **nic takiego nie może się zdarzyć?**” Podsunąłem mu pod nos kwity. Poszedł szukać w książkach. Szukał pół godziny. Wreszcie wraca. I jak pan myśli? Gdzie są te meble?

- Zginęły? - jęknął Worobianinow.

- Otóż nie. Niech pan sobie wyobrazi, że nie zginęły w tym całym bałaganie. Jak już panu powiedziałem, nie posiadają one wartości muzealnej. Stały więc w magazynie i dopiero wczoraj, zwracam panu na to uwagę, że dopiero wczoraj, po upływie siedmiu lat (bo aż siedem lat stały w magazynie), zostały odesłane do sali licytacyjnej na sprzedaż. I jeśli wczoraj albo dziś rano nie zostały sprzedane - będą nasze! Czy jest pan zadowolony?

- Prędszej! - zawołał Hipolit Matwiejewicz.

- Dorożka! - ryknął Ostap.

Wsiedli nie targując się z dorożkarzem o zapłatę.

- Niech się pan modli, marszałku dworu, i niech pan dziękuje Bogu, że mnie panu zesłał. Wino, kobiety i karty będą do naszej dyspozycji. Policzymy się także za tę błękitną kamizelkę.

Wspólnicy wbiegli dziarsko jak ogiery do bazaru na Pietrowce, gdzie mieściła się sala licytacyjna.

Od razu w pierwszej sali ujrzeli to, czego tak długo szukali. Wszystkie krzesła Hipolita Matwiejewicza - dziesięć sztuk! - stały na swoich giętych nóżkach pod ścianą. Nawet obicie nie wypłowiło, nie przybrudziło się ani nie uległo uszkodzeniu. Krzesła były czyściutkie, świeżutkie, jakby dopiero co wyszły spod pieczołowitej opieki Kławdii Iwanowny.

- Te? - zapytał Ostap.

- O Boże, Boże! - wyszeptał Hipolit Matwiejewicz - te, te! Te samiuteńkie. Tym razem nie ma żadnych wątpliwości.

- Sprawdźmy na wszelki wypadek - rzekł Ostap usiłując zachować spokój.

Zbliżył się do sprzedawcy:

- Przepraszam. Te krzesła pochodzą, zdaje się, z muzeum mebli.

- Te? Tak.

- Czy są do nabycia?

- Do nabycia.

- A jaka jest cena?

- Chwilowo nie mają ceny. Będą sprzedane z licytacji.

- Aha! Dzisiaj?

- Nie. Jutro od piątej. Dziś transakcje nie będą już dokonywane.

- A może dałoby się kupić je zaraz?

- Nie. Jutro od piątej.

Trudno było jednak tak od razu oderwać się od krzeseł.

- Czy można je przynajmniej obejrzeć? - zapytał szeptem Hipolit Matwiejewicz.

Wspólnicy długo oglądali krzesła, siadali na nich; dla przyzwoitości oglądali również inne rzeczy.

Worobianinow sapał i nieustannie trącał Ostapę łokciem.

- Niech się pan modli! - szeptał Ostap. - Niech się pan modli za mnie, marszałku.

Hipolit Matwiejewicz był gotów nie tylko modlić się za Ostapa, ale nawet całować zelówki jego malinowych kamaszy.

- Jutro - powtarzał - jutro, jutro, jutro!

Chciało mu się śpiewać.

Rozdział XIX Wybory na wzór europejski

W czasie kiedy dwaj przyjaciele prowadzili kulturalno-oświatowy tryb życia, zwiedzali muzea i zalecali się do dziewcząt, w Stargorodzie przy ulicy Plechanowa dwukrotna wdowa Gricacujewa, kobieta otyła i słabowita, naradzała się i wiodła konszachty ze swymi sąsiadkami. Kolektywnie studiowały pozostawioną przez Bendera karteczkę, a nawet oglądały ją pod światło. Ale nie było na niej żadnych znaków wodnych, a gdyby nawet były, nie przyczyniłyby się z pewnością do wyjaśnienia sensu tajemniczych gryzmołów znakomitego Ostapa.

Upłynęły trzy dni. Na horyzoncie nic się nie zmieniło. Nie było ani Bendera, ani sitka do herbaty, ani bransoletki z dętego złota, ani krzesła. Wszystkie te żywe i martwe przedmioty zniknęły w sposób absolutnie zagadkowy.

Wówczas wdowa postanowiła działać energicznie. Udała się do administracji „Stargorodzkiej

Prawdy”, gdzie sklecono jej szybko następujące ogłoszenie:

ZAKLINAM osoby znające miejsce pobytu.

Wyszedł z domu tow. Bender, lat 25-30. Ubrany w zielony garnitur, żółte kamasze i błękitną kamizelkę.

Brunet.

Wszelkie inf. należy kier. za godziwą nagr. ul. Plechanowa 15, Gricacujewa.

- Czy to syn? - zapytano ze współczuciem w administracji.

- To mój mąż! - odpowiedziała nieszczęsna, podnosząc chusteczkę do oczu.

- A, mąż!

- ślubny. Bo co?

- Bo nic. Ale radzimy zwrócić się do milicji.

Wdowa przestraszyła się. Milicji bała się jak ognia. Wyszła odprowadzana znaczącymi spojrzzeniami.

Na łamach „Stargorodzkiej Prawdy” trzykrotnie ukazało się ogłoszenie. Ale rozległy kraj odpowiedział milczeniem. Nie znalazł się nikt, kto by znał miejsce pobytu bruneta w żółtych kamaszach. Nikt nie zgłosił się po godziwą nagrodę. Sąsiadki plotkowały.

Wdowa pochmurniała z dnia na dzień. Najdziwniejsze było to, że choć mąż przemknął przez jej życie jak meteor i zniknął w mrokach nocy wraz z ładnym krzeselkiem i pamiątkowym sitkiem do herbaty, wdowa kochała go nadal. Któż zdoła zrozumieć serce kobiety, a zwłaszcza wdowy?

Mieszkańcy Stargorodu przyzwyczaili się już do tramwaju i wsiadali do niego bez obawy. Konduktorzy dźwięcznymi głosami wołali: „Nie ma miejsc!” i wszystko odbywało się tak, jakby tramwaje założone zostały w mieście już za czasów Włodzimierza

Słońce27. Inwalidzi wszystkich kategorii, kobiety z dziećmi i Wiktor Michajłowicz Polesow wsiadali do tramwaju przednim pomostem. Na wezwanie:

„Proszę za bilety!”, Polesow odpowiadał z godnością: „Roczny” i pozostawał u boku motorniczego.

Oczywiście rocznego biletu nie miał, bo nie mógł go mieć.

Wizyta Worobianinowa oraz wielkiego kombinatora pozostawiła w mieście niezatarte ślady.

Spiskowcy dochowywali święcie powierzonej im tajemnicy. Milczał nawet Wiktor Michajłowicz, aczkolwiek koczyło go, żeby podzielić się nurtującym go sekretem z pierwszym lepszym znajomym.

Przypominał sobie jednak ponure spojrzenie i potężne bary Ostapa i... trzymał się dzielnie, folgował sobie tylko w rozmowach z wróżką.

- Jak pani sądzi - mówił - czym należy tłumaczyć zniknięcie naszych przywódców?

Helena Stanisławowna też była bardzo ciekawa, ale nie mogła udzielić na ten temat żadnych informacji.

- Czy nie przypuszcza pani - ciągnął dalej niezmordowany ślusarz - że spełniają oni teraz jakąś misję szczególnej wagi?

Wróżka była przekonana, że tak. Tego samego zdania była najwidoczniej papuga w czerwonych gatkach. Spoglądała na Polesowa swym okrągłym, rozumnym okiem, jakby chciała powiedzieć: „Daj

Włodzimierz Wielki – książę ruski, żył X-XI w. garstkę ziarenek słonecznika, a wszystko ci powiem. Będiesz gubernatorem. Wszyscy ślusarze będą pod twoimi rozkazami. A stróż domu nr 5 na wieki wieków zostanie stróżem i zarozumiałym chamem”

- Czy nie uważa pani, że powinniśmy nadal działać? Nie wypada tak siedzieć z założonymi rękami.

Wróżka przyznała mu rację i dodała:

- A jednak ten Hipolit Matwiejewicz to bohater!

- Wiadomo. Bohater, Heleno Stanisławowna! A ten jego przyboczny dziarski oficer to człowiek z głową na karku. Niech pani mówi, co chce, ale nie możemy tej sprawy tak zostawić. Nie możemy.

I Polesow zaczął działać. Składał regularne wizyty wszystkim członkom tajnego związku „Miecza i pług”, dając się szczególnie we znaki ostrożnemu właścicielowi odeskiej spółdzielni piekarskiej

„Moskiewskie obarzanki”, obywatelowi Kisłarskiemu. Na widok Polesowa Kisłarski zieleniał. A słowa o konieczności działania doprowadzały bojaźliwego obarzankarza do obłędu.

W końcu tygodnia zebrali się wszyscy u Heleny Stanisławowny w pokoju z papugą. Polesow był w transie.

- Tylko ty, Wiktorku, tak się nie ciskaj - perswadował mu rozważny Diadiew. - Dlaczego po całych dniach uganasz po mieście?

- Trzeba działać! - krzyczał Polesow.

- Działać trzeba, ale nie trzeba krzyczeć. Zaraz panom wyłożę, jak sobie tę całą sprawę wyobrażam.

Na tym, co powiedział Hipolit Matwiejewicz, niewątpliwie można polegać. I można mieć nadzieję, że niedługo już przyjdzie nam czekać. Jak się to wszystko odbędzie, to nie nasza rzecz, od tego są wojskowi. Ale my jesteśmy bądź co bądź reprezentantami społeczeństwa, przedstawicielami miejscowej inteligencji i kupiectwa. Jakie jest nasze zadanie? żebyśmy byli gotowi. A czy jesteśmy gotowi? Czy mamy zorganizowany ośrodek dyspozycyjny? Nie. Kto obejmie władzę w mieście? Nie wiadomo. A to jest, proszę panów, najważniejsze. Anglicy, proszę panów, nie będą już dłużej robić bolszewikami ceregieli. A to jest pierwsza jaskółka. Zmiany, proszę panów, nastąpią bardzo szybko.

Zapewniam was.

- Nie mamy co do tego żadnych wątpliwości - rzekł butnie Czarusznikow.

- To doskonale, że nie macie panowie wątpliwości. A co pan o tym sądzi, panie Kislarski? I wy, młodzi udzie?

Nikiesza i Wołodia całą swoją postawą wyrazili głębokie przeświadczenie o bliskości wielkich zmian. A

Kislarski, który ze słów szefa firmy „Szybkopak” wywnioskował, że nie grozi mu bezpośredni udział w starciach zbrojnych, ochoczo skinął głową.

- A więc, co mamy teraz robić? - zapytał porywczo Wiktor Michajłowicz.

- Cierpliwości! - rzekł Diadiew. - Niech pan bierze przykład z towarzysza pana Worobianinowa. Co zazębność! I jaka ostrożność! Czy zauważył pan, jak mądrze przeprowadził sprawę pomocy dla ezdomnych dzieci? Należy postępować w ten sam sposób. Zajmujemy się jedynie wspomaganie dzieci. A teraz, panowie, wysuwajmy kandydatury!

- Zgłaszamy kandydaturę Hipolita Matwiejewicza Worobianinowa na stanowisko marszałka szlachty! - zawołali Nikiesza i Wołodia.

Czarusznikow odchrząknął pobłażliwie.

- Panowie! On będzie co najmniej ministrem! A kto wie, czy nie dyktatorem!

- Ależ panowie - odezwał się Diadiew - marszałek to sprawa dalsza. Musimy najpierw pomyśleć o gubernatorze, a nie o marszałku. Zaczniemy od gubernatora. Ja sądzę...

- Pana Diadiewa! - wrzasnął entuzjastycznie Polesow. - Któż lepiej potrafi rządzić całą gubernią?

- Wielce pochlebia mi zaufanie... - zaczął Diadiew. Ale przerwał mu nagle zaczerwieniony

Czarusznikow.

- Tę kwestię panowie - odezwał się z naciskiem - należałoby jeszcze przewentylować.

Czarusznikow unikał wzroku Diadiewa.

Właściciel „Szybkopaku” przyglądał się dumnie swoim butom oblepionym wiórami.

- Nie mam nic przeciwko temu - wycedził, głosowanie. Głosujemy jawnie czy tajnie?

- Nie będziemy chyba głosowali systemem radzieckim -I odezwał się z urazą w głosie Czarusznikow. -

Głosujmy uczciwie, po europejsku, tajnie.

Głosowano na karteczkach. Cztery głosy padły na Diadiewa. Na Czarusznikowa - dwa. Jedna osoba wstrzymała się od głosu. Po wyrazie twarzy Kisłarskiego można było poznać, że to on. Nie chciał sobie psuć stosunków z przyszłym gubernatorem bez względu na to, kto nim będzie.

Kiedy wzruszony Polesow ogłosił wyniki uczciwego europejskiego głosowania, w pokoju zapanowało kłopotliwe milczenie. Nikt nie patrzył w stronę Czarusznikowa, Niefortunny kandydat na gubernatora siedział jak na rozżarzonych węglach.

Helenie Stanisławownie było go bardzo żal. To ona oddała na niego głos.

Drugi głos oddał sam na siebie Czarusznikow,- jako człowiek mający doświadczenie w sprawach wyborczych. Zaczyna Helena Stanisławowna natychmiast wystąpiła z wnioskiem:

- Ale na prezydenta miasta to jednak proponuję wybrać pana Czarusznikowa.

- Dlaczego „to jednak”? - odezwał się wspaniałomyślnie gubernator. - Nie „to jednak”, ale właśnie jego i tylko jego. Społeczna działalność pana Czarusznikowa jest nam doskonale znana.

- Prosimy, prosimy! - zawołali wszyscy zebrani.

- Czy można uznać wybór za zatwierdzony?

Skompromitowany Czarusznikow odżył, a nawet wystąpił z protestem:

- Nie, nie, panowie, proszę przeprowadzić głosowanie. Jeśli głosowaliśmy na gubernatora, to na prezydenta tym bardziej musimy głosować. Chciecie mnie panowie obdarzyć zaufaniem, proszę bardzo, ale przez głosowanie.

Wzruciono karteczki do opróżnionej cukiernicy.

- Sześć głosów „za” - obwieścił Polesow - jedna osoba wstrzymała się.

- Winszuję panu, panie prezydencie! - rzekł Kisłarski, którego twarz zdradzała, że tym razem również wstrzymał się od głosowania. - Winszuję!

Czarusznikow promieniał.

- Warto by się trochę pokrzepić, ekscelencjo - powiedział do Diadiewa. - Polesow, skocz no do

„Października”. Masz pieniądze?

Polesow wykonał ręką jakiś tajemniczy gest i wybiegł. Wybory zostały chwilowo przerwane. Podjęto je na nowo - dopiero przy kolacji.

Na stanowisko kuratora okręgu szkolnego wysunięto kandydaturę Raspopowa, byłego dyrektora elitarnego gimnazjum. Obecnie handlował starymi książkami. Wyrażano się o nim bardzo pochlebnie.

Tylko Wołodia, który gołnął sobie trzy kieliszki wódki, wystąpił z nagłym protestem:

- Nie wybierajmy go. Wlepił mi na egzaminie maturalnym dwóję z logiki.

Wołodię zakrzyczano.

- W takiej epokowej chwili - zaczęto wołać - nie wolno się kierować egoistycznymi pobudkami. Niech pan pomyśli o ojczyźnie.

Wołodię tak skutecznie zaagitowano, że w rezultacie sam oddał głos na swego prześladowcę. I Raspopow został wybrany jednogłośnie, jeśli nie liczyć jednej osoby, która się wstrzymała.

Kislarskiemu zaproponowano stanowisko prezesa giełdy. Nie odmówił, ale na wszelki wypadek wstrzymał się przy głosowaniu.

Różnymi znajomymi i krewnymi obsadzono następujące stanowiska: policmajstra, dyrektora probierni, naczelnika akcyzy, inspektora podatkowego i fabrycznego, a także stanowiska prokuratora okręgowego, przewodniczącego, sekretarza i członków sądu; wytypowano przewodniczących urzędu ziemskiego, izby handlowej, towarzystwa opieki nad dziećmi i samorządu miejskiego. Helena Stanisławowna została opiekunką stowarzyszeń „Kropla mleka” i „Biały kwiatek”. Nikieszę i Wołodię, ze względu na ich młody wiek, mianowano urzędnikami do szczególnych poruczeń przy gubernatorze.

- Za pozwoleniem! - zawołał nagle Czarusznikow. - Gubernator ma aż dwóch urzędników! A ja?

- Magistrat - wyjaśnił łagodnie gubernator - nie posiada etatów dla urzędników do szczególnych poruczeń.

- To przydzielcie mi przynajmniej sekretarza.

Diadiew wyraził zgodę. Helena Stanisławowna ożywiła się.

- To może by... - odezwała się nieśmiało. - Mam tutaj pewnego młodego człowieka, bardzo sympatycznego i dobrze ułożonego chłopca. Syn madame Czerkiesowej... Bardzo, bardzo sympatyczny i nadzwyczaj zdolny... Jest chwilowo bezrobotny... Zgłosił się do urzędu zatrudnienia...

Ma na to dowód... Obiecali dać mu w najbliższych dniach pracę... Czy nie mógłby pan wziąć go do siebie? Jego matka będzie panu ogromnie wdzięczna.

- Cemu nie? Proszę bardzo - powiedział łaskawie Czarusznikow. - Jak się panowie na to zapatrujecie?

W porządku. Przypuszczam, że się nada.

- No, tak - rzekł Diadiew. - A więc załatwiliśmy już w ogólnych zarysach wszystko. Prawda?

- A ja? - zabrzmiał nagle cienki, żaloszny głos.

Zebrani odwrócili się. W kącie, koło papugi, stał zupełnie roztrzęsiony Polesow. Na czarnych powiekach Wiktora Michajłowicza drżały łzy. Wszystkim zrobiło się bardzo nieprzyjemnie.

Uświadomili sobie nagle, że piją wódkę Polesowa i że jest on bądź co bądź jednym z głównych organizatorów stargorodzkiego oddziału „Miecza i pług”.

Helena Stanisławowna chwyciła się za głowę i wydała okrzyk zgrozy.

- Wiktorze Michajłowiczu! - zaczęli wołać jeden przez drugiego. - Kochanku! Duszko! Jak panu nie wstyd?! Cemu pan stał w kącie? Niechże pan tu podejdzie bliżej!

Polesow zbliżył się. Był zdruzgotany. Nie spodziewał się po towarzyszach od miecza i pługą takiego braku serca.

Helena Stanisławowna nie wytrzymała.

- Panowie! - powiedziała. - To straszne! Jak mogliście zapomnieć o naszym nieocenionym Wiktorze

Michajłowiczu?

Wstała i ucałowała ślusarza-arystokratę w umorusane czoło.

- A czy Wiktor Michajłowicz nie byłby, proszę panów, doskonałym kuratorem okręgu szkolnego albo policmajstrem?

- No, Wiktorze Michajłowiczu? - zapytał gubernator. - Chce pan być kuratorem?

- Ależ, oczywiście! Polesow będzie wybornym, arcyłudzkim kuratorem - poparł kandydaturę prezydent miasta, połykając z bolesnym skrzywieniem grzybek w occie.

- A Raspopow? - zapytał urażony Wiktor Michajłowicz. - Przecież mianowaliście już Raspopowa.

- To prawda. Co teraz zrobić z Raspopowem?

- Przeniesiemy go na stanowisko komendanta straży pożarnej...

- Komendanta straży pożarnej?! - zawołał z przejęciem Wiktor Michajłowicz.

Ujrzał nagle w wyobraźni pędzące wozy straży ogniowej, blask płomieni, usłyszał dźwięki trąbek i warkot bębnow. Błysnęły przed nim toporki, zakołysały się pochodnie, zadudniła ziemia i para potężnych jak smoki karych ogierów ruszyła z kopyta, wioząc go pod stojący w ogniu teatr miejski.

- Komendant straży pożarnej? Ja chcę być komendantem straży pożarnej!

- No to doskonale! Gratuluję. Jest pan komendantem straży pożarnej.

- Za pomyślność i rozkwit straży pożarnej! - odezwał się ironicznie prezes giełdy.

Zebrani rzucili się na Kisłarskiego:

- Pan zawsze był lewicowcem! My pana znamy!

- Panowie! Jaki tam ze mnie lewicowiec?

- Już my pana znamy!

- Lewy!

- Wszyscy Żydzi są lewi!

- Panowie, na miłość boską, co znaczą te żarty?

- Lewicowiec! Lewicowiec! Niech się pan przyzna!

- Co noc śni mu się Milukow!

- Kadet! Kadet!

- Kadeci sprzedali Finlandię! - zawołał nagle Czarusznikow. - Brali łapówki od Japończyków!

Protegowali Ormian!

Kisłarski nie mógł znieść powodzi nieuzasadnionych oskarżeń. Błady prezes giełdy chwycił się mrugając oczami za oparcie krzesła i oświadczył grzmiącym głosem:

- Zawsze byłem oktiabrystą²⁸ i nadal nim pozostanę!

Zacząto zastanawiać się nad tym, kto jest zwolennikiem jakiej partii.

- Grunt, proszę panów, to demokracja - rzekł Czarusznikow. - Nasz zarząd miejski winien być demokratyczny. Ale bez kadetów. Dosyć już zaleli nam sadła za skórę w siedemnastym roku!

- Mam nadzieję - odezwał się zjadliwie gubernator - że nie ma wśród nas tak zwanych socjaldemokratów?

Okazało się, że wśród zebranych nie ma nikogo, kto by był bardziej lewicowy od reprezentowanych na zebraniu przez Kisłarskiego oktiabrystów. Czarusznikow oświadczył, że reprezentuje „Centrum”

Komendant straży ogniowej reprezentował skrajną prawicę. Był tak prawicowy, że nie wiedział nawet do jakiej partii należy.

Zacząto mówić o wojnie.

- Nie dziś, to jutro - rzekł Diadiew.

- Wojna wisi w powietrzu.

- Radziłbym zrobić zapasy, póki czas.

- Tak pan sądzi? - zaniepokoił się Kisłarski.

- A jak pan uważa? Myśli pan, że w czasie wojny można będzie cokolwiek dostać? Już teraz mąka znika z rynku. Srebro zapadnie się pod ziemię, a w obiegu zostaną tylko papierki, kartki, świstki, znaczki pocztowe i tym podobne śmieci.

- Wojna jest nieunikniona.

- Róbcie panowie jak chcecie - powiedział Diadiew - ale ja całą gotówkę przeznaczam na zakup artykułów pierwszej potrzeby.

- A pańskie interesy manufakturowe ?

- Manufaktura swoją drogą, a mąka i cukier swoją drogą. Panom radziłbym to samo. Radziłbym stanowczo.

Polesow uśmiechnął się ironicznie.

- Ale jak ci bolszewicy będą wojowali? Czym? Z czym wyruszą na wojnę? Z przestarzałymi karabinami?

A gdzie flota powietrzna? Jeden z czołowych komunistów przyznał mi się... Zgadnijcie, panowie, ile bolszewicy mają samolotów?

Oktiabryst - członek kontrrewolucyjnej partii powstałej w Rosji w r. 1905, grupującej wielką burżuazję oraz obszarników.

- Dwieście!

- Dwieście? Nie dwieście, tylko trzydzieści dwa! A Francja ma osiemdziesiąt tysięcy samolotów bojowych.

Rozeszli się po północy.

- Tak... Będą mieli za swoje ci bolszewicy...

Gubernator postanowił odprowadzić prezydenta miasta.

Kroczyli bardzo dostojnie.

- Gubernator! - odezwał się Czarusznikow. - Co z ciebie za gubernator, skoro nie jesteś generałem?

- Będę generałem cywilnym. Co, zazdrościsz? Jak będę chciał, to zamknę cię w więzieniu. Posiedzisz sobie.

- Mnie nie wolno zamknąć. Jestem mężem zaufania, wybranym w wolnych wyborach.

- Za jednego wybranego dają dwóch niewybranych.

- Tylko proszę sobie ze mnie nie stroić żartów! - wrzasnął nagle Czarusznikow na całą ulicę.

- I czego, durniu, tak krzyczysz? - zapytał gubernator. - Chcesz nocować w komisariacie?

- Nie mogę nocować w komisariacie - odpowiedział prezydent miasta - jestem radzieckim urzędnikiem...

Świeciły gwiazdy. Była prześliczna noc. Na Drugiej Radzieckiej spór między gubernatorem a prezydentem miasta toczył się nadal.

Rozdział XX Od Sewilli do Grenady

Za pozwoleniem! A gdzie się podział ojciec Fiodor? Co się stało z ostrzyżonym kapłanem z cerkwi

Froła i Ławra? Wybierał się, bodajże, na ulicę Winogronową 34 do obywatela Brunsza? Gdzież przebywa ten uduchowiony poszukiwacz skarbów i śmiertelny wróg Hipolita Matwiejewicza

Worobianinowa, który teraz właśnie czatuje w ciemnym korytarzu przy ogniotrwałej kasie.

Ojciec Fiodor przepadł bez wieści. Diabli go gdzieś ponieśli. Widziano go jakoby na stacji Popasnaja na donieckiej linii kolejowej. Biegł po peronie z imbrykiem wrątku....

Ojciec Fiodor oszalał. Zachciało mu się bogactwa. Zaczęło go nosić po Rosji w poszukiwaniu kompletu mebli generałowej Popowej, w którym, oczywiście, nie było żadnych skarbów.

Podróżuje ojczulek po Rosji. I tylko listy do żony pisze.

List ojca Fiodora pisany na dworcu w Charkowie do żony zamieszkałej w powiatowym mieście N.

Pieszczoszko moja, Katarzyno Aleksandrownia!

Ciężko wobec ciebie zawiniłem. Opuściłem cię, nieboraczko, i zostawiłem na pastwę losu w tych ciężkich czasach.

Muszę ci wszystko wyznać. Zrozumiesz mnie, a może nawet przyznasz mi rację.

Nie wstąpiłem bynajmniej ani nie zamierzam wstąpić do żadnego klasztoru i niech mnie Pan

Bóg przed czymś podobnym broni.

A teraz czytaj uważnie. Wkrótce wszystko w naszym życiu zmieni się na lepsze. Pamiętasz, jak rozmawiałem z tobą o fabryczce świec? Będziemy ją mieli, a może nawet coś więcej. Już nie będziesz musiała sama gotować obiadów i brać stołowników. Przeniesiemy się do Samary i zgodzimy służącą.

Mianowicie... ale zachowaj to w absolutnej tajemnicy i nie wygadaj się nikomu, nawet Marii Iwanownie... Poszukuję skarbu. Przypominasz sobie nieboszczką Kławdię Iwanowną Pietuchową, teściową Worobianinowa? Otóż Kławdia Iwanowna wyznała mi przed śmiercią, że w domu jej, w Stargorodzie, w jednym z salonowych krzeseł (a jest ich całego kramu dwanaście) ukryte są brylanty.

Ale nie posądzaj mnie, Katieńko, o to, że jestem jakimś złodziejaszkiem. Kławdia Iwanowna zostawiła mi te brylanty w spadku i poleciła mi strzec ich przed jej wieloletnim dręczycielem,

Hipolitem Matwiejewiczem.

Już teraz wiesz, dlaczego cię tak niespodziewanie porzuciłem.

I już nie miej o to do mnie pretensji.

Pojechałem do Stargrodu. Wyobraź sobie, że ten stary lowelas też się tam znalazł. Musiał się w jakiś sposób dowiedzieć. Wziął widać starą przed śmiercią na spytki. Straszny człowiek!

Towarzyszy mu jakiś kryminalista. Widocznie wynajął sobie tego bandytę. Z miejsca się na mnie rzucili; chcieli mnie po prostu zgładzić. Ale to nie ze mną! Nie dam sobie dmuchać w kaszę!

Początkowo trafiłem na fałszywy trop. W domu Worobianinowa, gdzie mieści się obecnie instytucja dobroczynna, znalazłem tylko jedno krzesło; niosę je do swego pokoju w hotelu

„Sorbona”, aż tu nagle zza rogu wypada, rycząc jak lew, jakiś osobnik, rzuca się na mnie i łapie za krzesło. Omal nie doszło do bójki. Chciał mnie znieważyć. Przyglądam mu się.

Worobianinow! Wyobraź sobie, że zgolił wąsy i włosy na głowie. Aferzysta! Na stare lata stacza się na dno!

Połamaliśmy krzesło. Nic w nim nie było. Dopiero potem zorientowałem się, że jestem na fałszywym tropie. Ale wtedy ogromnie się zmartwiłem.

Zrobiło mi się tak przykro, że wygarnąłem temu rozpustnikowi wszystko, co o nim myślę.

„Cóż za wstyd, powiadam, na stare lata! Cóż za dzikie obyczaje, powiadam, zapanowały teraz w Rosji! Żeby marszałek szlachty rzucał się jak lew na sługę bożego i wymawiał mu bezpartyjność! Pan jest, powiadam, podłym człowiekiem. Zamęczył pan Kławdię Iwanowną na śmierć, a teraz poluje pan na cudze dobro, które jest już własnością państwa!”

Zawstydził się i poszedł sobie. Pewnie do domu publicznego.

A ja wróciłem do hotelu „Sorbona” i zacząłem układać dalsze plany. I wymyśliłem coś, co temu ogolonemu durniowi nigdy by nie przyszło do głowy. Postanowiłem odszukać człowieka, który zajmował się przydzielaniem zarekwirowanych mebli. Co za szczęście,

Katieńko, że swego czasu uczęszczałem na wydział prawny. Przydało mi się teraz.

Odszukałem tego człowieka. Odszukałem go już następnego dnia. Ten Warfołomicz to bardzo zacny starowina. Mieszka sobie ze swoją babiną i w pocie czoła pracuje na kawałek chleba. Wydał mi wszystkie potrzebne dokumenty. Musiałem go, oczywiście, wynagrodzić za tę usługę. Zostałem bez grosza (ale o tym potem). Okazało się, że wszystkie dwanaście salonowych krzeseł z domu Worobianinowa przydzielono inżynierowi Brunsowi, zamieszkałemu na ulicy Winogronowej pod numerem 34. Zwracam ci uwagę, że wszystkie krzesła znalazły się w rękach jednego człowieka, co przeszło wszelkie moje oczekiwania (obaśniałem się, że krzesła zostały rozparcelowane). Bardzo mnie to ucieszyło. Wyobraź sobie, że w „Sorbonie” spotkałem się znowu z tym łajdakiem Worobianinowem. Palnąłem mu odpowiednie kazanie, a na jego przyjacielu, bandycie, też nie zostawiłem suchej nitki.

Ponieważ obawiałem się, żeby nie wywęszyli mojej tajemnicy, ukrywałem się w hotelu aż do ich wyjazdu.

Okazało się, że Bruns już w 1923 roku został przeniesiony służbowo do Charkowa.

Dowiedziałem się od stróża, że zabrał ze sobą całe umeblowanie, o które bardzo dba. Jest to podobno bardzo solidny jegomość.

Siedzę teraz na dworcu w Charkowie i piszę do ciebie z następujących powodów. Po pierwsze dlatego, że cię bardzo kocham i tęsknię, a po drugie dlatego, że Bruns tu już nie ma. Ale nie upadaj na duchu. Dowiedziałem się, że Bruns pracuje obecnie w „Noworoscemencie” w

Rostowie. Mam bardzo mało pieniędzy na drogę. Wyjeżdżam za godzinę pasażersko-towarowym pociągami. A ciebie, moja droga, proszę, żebyś wpadła do naszego zięcia, wzięła od niego pięćdziesiąt rubli (które ode mnie pożyczył i obiecał oddać) i wysłała mi je do Rostowa: poczta główna, poste restante, Fiodor Iwanowicz Wostrikow. Przekazem pocztowym, bo to będzie taniej. Opłata wyniesie trzydzieści kopiejek. Co słychać w mieście?

Czy jest coś nowego?

Czy Kondratiewna była u ciebie? Powiedz ojcu Cyrylowi, że niedługo wrócę. Możesz mu wytłumaczyć, że pojechałem do umierającej ciotki, do Woroneża. Oszczędzaj każdy grosz. Czy Jewstigniejew jada jeszcze u ciebie obiady? Kłaniaj mu się ode mnie. Powiedz mu, że pojechałem do ciotki.

Jaką tam macie pogodę? Tu, w Charkowie, lato. Bardzo ruchliwe miasto - stolica Ukraińskiej Republiki. Po przyjeździe z prowincji ma się wrażenie, że jest się za granicą.

Załatw następujące sprawy:

1) oddaj do pralni moją letnią sutannę (lepiej zapłacić 3 ruble za czyszczenie, niż rujnować się na nową), 2) dbaj o zdrowie, 3) jak będziesz pisała do Guli, wspomnij mimochodem, że pojechałem do ciotki do Woroneża.

Pozdrów wszystkich ode mnie. Mów, że niedługo wrócę.

Całuję cię, ściskam serdecznie i błogosławię

Twój mąż Fiedia

PS. Ciekaw jestem, gdzie się teraz obija Worobianinow.

Miłość jest to uczucie, które nurtuje i trawi. Byk ryczy z pożądania. Kogut nie może sobie znaleźć miejsca. Marszałek szlachty traci apetyt.

Hipolit Matwiejewicz zostawił Ostapa oraz studenta Iwanopulo w restauracji, a sam udał się do różowego domku i stanął na posterunku przy ogniotrwałej kasie. Słyszał szum pociągów odjeżdżających do Kastylji i plusk odpływających statków.

Zorza gasnąc, Alpuhary

Złoty szczyt opromieniała.

Serce tłukło mu się w piersi jak wahadło. Słyszał w uszach jego tykanie.

Na wezwanie mej gitary

Zjaw się, zjaw się, moja miła

Na korytarzu panował niepokój. Ale nic nie było w stanie roztopić lodowatego chłodu ogniotrwałej kasy.

Od Sewilli do Grenady,

Gdy się cicha noc rozpostrze...

W piórnikach grały gramofony. Prymusy brzęczały jak pszczoły w ulu.

Słysząc dźwięki serenady,

Dzwoni miecza twarde ostrze...

Słowem - Hipolit Matwiejewicz był bez pamięci rozkochany w Lizie Kałaczowej.

Mnóstwo osób przechodziło obok Hipolita Matwiejewicza, ale była od nich woń tytoniu, wódki, lekarstw lub postnego kapuśniaku. W ciemnościach korytarza można było rozpoznawać ludzi po zapachu albo po chodzie. Liza dotychczas nie przechodziła przez korytarz. Tego Hipolit Matwiejewicz był najzupełniej pewien. Bo Liza nie paliła, nie piła wódki i nie nosiła podkutego obuwia. Nie mogło też od niej zalać jodyną ani głowizną. Mogła tylko pachnieć delikatnym ryżowym kleikiem lub apetycznie przyprawionym sianem, którym pani Nordman-Siewierowa tak długo karmiła znakomitego malarza Ilję Repina.

Ale oto dały się słyszeć lekkie, niepewne kroki. Ktoś szedł przez korytarz objając się o jego wiotkie ściany i mrucząc coś pod nosem.

- Czy to pani, Elżbieto Pietrowna? - zapytał Hipolit Matwiejewicz szeptem lekkim jak tchnienie.

W odpowiedzi ozwał się głęboki bas:

- Proszę mi powiedzieć, gdzie tu mieszkają Pfeferkornowie? W tych ciemnościach zupełnie nie można się połapać.

Przestraszony Hipolit Matwiejewicz nic się nie odezwał. Zdumiony poszukiwacz Pfeferkornów chwilę czekał na odpowiedź i nie doczekawszy się ruszył dalej.

Liza zjawiła się dopiero o dziewiątej. Wyszli na ulicę i znaleźli się pod karmelkowo-seledynowym wieczornym niebem.

- Dokąd pójdziemy na spacer? - zapytała Liza.

Hipolit Matwiejewicz spojrzał na jej białą, promienną twarz i zamiast powiedzieć po prostu. „Ja tu, moja Inez, stoję pod balkonem”, zaczął jej rozwlekle i nudno opowiadać o tym, że dawno już nie był w Moskwie i że Paryż jest bez porównania piękniejszy od Białokamiennej, która jest i pozostanie chaotycznie rozbudowaną wielką wsią.

- Przypominam sobie, Elżbieto Pietrowna, inną Moskwę. Bo teraz na każdym kroku odczuwa się sknerstwo. A myśmy w swoim czasie nie żałowali pieniędzy „Wszak żyjem tylko raz” - jak mówi piosenka.

Przeszli przez cały bulwar Preczisteński i wyszli na wybrzeże koło świątyni Chrystusa-Zbawiciela.

Za Moskworieckim mostem snuły się czarnobure lisie kity. Elektrownie dymiły jak eskadra. Przez most przejeżdżały tramwaje. Po rzece płynęły łodzie. Rozbrzmiewały rzewne dźwięki harmonii.

Liza ujęła Hipolita Matwiejewicza za rękę i opowiedziała mu o wszystkich swoich tarapatkach. O sprzeczce z mężem, o dokuczliwym życiu wśród podsłuchujących sąsiadów - byłych chemików - i o monotonii jarskiej kuchni.

Hipolit Matwiejewicz słuchał i rozmyślał. Budziły się w nim demony. Marzyła mu się wystawna kolacja. W końcu doszedł do wniosku, że taką dziewczynę należy czymś olśnić.

- Chodźmy do teatru - zaproponował.

- Lepiej do kina - powiedziała Liza - kino tańsze.

- Pieniądze nie mają żadnego znaczenia! W taką noc nie wolno myśleć o pieniądzach.

Całkowicie rozbudzone demony wsadziły czułą parkę do dorożki i zawiozły ją do kina „Ars”. Hipolit

Matwiejewicz był hojny. Kupił najdroższe bilety. Nie dosiedzieli zresztą do końca seansu. Liza była przyzwyczajona do najtańszych, najbliższych miejsc i kiepsko widziała z kosztownego, trzydziestego czwartego rzędu.

Hipolit Matwiejewicz miał w kieszeni połowę kwoty, otrzymanej od stargorodzkich spiskowców. Dla odwykłego od zbytku Worobianinowa był to gruby grosz. Podniecony perspektywą łatwego miłosnego podboju, Hipolit Matwiejewicz zamierzał olśnić Lizę szerokim gestem. Uważał, że posiada po temu wszelkie dane. Przypomniawszy sobie z dumą, jak łatwo podbił niegdyś serce prześlizanej Heleny

Bour. Umiał lekko i efektownie puszczać pieniądze. Znany był niegdyś w Stargorodzie z dobrego ułożenia i z umiejętności prowadzenia interesujących rozmów z kobietami. Wydało mu się jednak śmieszne puszczenie w ruch całego arsenału wypróbowanych w dawnych carskich czasach środków dla zdobycia skromnej radzieckiej dziewczyny, która nic jeszcze w życiu nie widziała i o niczym nie miała pojęcia.

Po krótkich naleganiach Hipolit Matwiejewicz zawiózł Lizę do „Pragi”, wzorowej jadłodajni, która zdaniem Bendera była najlepszym lokalem w Moskwie.

„Praga” olśniła Lizę obfitością luster, świec i wazoników z kwiatami. Nie można jej się dziwić, gdyż nigdy jeszcze nie była w żadnym wielkim wzorcowo-reprezentacyjnym zakładzie gastronomicznym.

Ale lustrzana sala całkiem niespodziewanie olśniła także Hipolita Matwiejewicza. Odzwyczaiał się w ostatnich latach od restauracyjnego trybu życia i wstydził się teraz swoich jaśniepańskich kamasy o kwadratowych noskach, przedwojennych sztuczkowych spodni i księżycowej kamizelki usianej srebrnymi gwiazdkami.

Oboje więc spieszyli się i stanęli jak wryci pod obstrzałem spojrzeń nader mieszanej publiczności.

- Chodźmy może tam, w ką - zaproponował Worobianinow, chociaż przy samej estradzie, na której orkiestra prac owicie odbębniała potpourri z „Bajadery”, było kilka wolnych stolików.

Liza, czując na sobie ciekawe spojrzenia, skwapliwie się na to zgodziła. Lew salonowy i pogromca kobiet Worobianinow szedł za nią z bardzo niepewną miną. Wytarte spodnie salonowego lwa zwiślały smętnie pod chudymi pośladkami. Pożeracz serc niewieścich przygarbił się i aby pokryć onieśmielenie, zaczął przecierać binokle.

Nikt nie podchodził do stolika. Hipolit Matwiejewicz był tym wytrącony z równowagi. I zamiast zabawić swoją damę wykwintną rozmową, milczał, męczył się, nieśmiało stukał popielniczką w stół nieustannie pochrząkiwał. Liza z zaciekawieniem rozglądała się na wszystkie strony. Milczenie tawało się coraz bardziej uciążliwe. Ale Hipolit Matwiejewicz nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa.

Zapomniał, co zwykł był mawiać w podobnych wypadkach.

- Czy mógłbym prosić!.. - zwracał się do przebiegających koło stolika funkcjonariuszy zbiorowego żywienia.

- Chwileczkę! - odpowiadali w biegu kelnerzy.

W końcu przyniesiono im kartę. Hipolit Matwiejewicz z ulgą zajął się studiowaniem cen.

- Coś podobnego - mrucał - kotlet cielęcy - dwa dwadzieścia pięć, filet - dwa dwadzieścia pięć, wódka

- pięć rubli.

- Pięć rubli duża karafka - poinformował go kelner, rozglądając się z niecierpliwością.

„Co się ze mną dzieje? - zaniepokoił się Hipolit Matwiejewicz. - Ośmieszam się”

- O, proszę bardzo - zwrócił się ze spóźnioną kurtuazją do Lizy - może pani zechce coś wybrać? Co pani zje?

Lizie było wstyd. Widziała, że kelner spogląda i góry na jej towarzysza, który widocznie zachowywał się jakoś niestosownie.

- Wcale mi się nie chce jeść - powiedziała niepewnym głosem. - Albo może... Może macie coś jarskiego, towarzyszu?

Kelner zaczął przestępować z nogi na nogę jak koń.

- Nie prowadzimy jarskiej kuchni. Może być omlet z szynką?

- A zatem - zdecydował wreszcie Hipolit Matwiejewicz - proszę nam dać parówki. Zje pani parówki,

Elżbieto Pietrowna?

- Owszem.

- Doskonale. Parówki. O, te, po rublu dwadzieścia pięć. I butelkę wódki.

- Sprzedajemy tylko na karafki.

- To niech już będzie duża karafka.

Pracownik zbiorowego żywienia spojrział szklanym wzrokiem na bezbronną Lizę.

- A co na zakąskę? Mamy świeży kawior, łososia, paszteciki...

W Hipolicie Matwiejewiczu odezwał się długoletni pracownik urzędu stanu cywilnego.

- Nie trzeba - powiedział gburowato. - Po czemu kiszone ogórki? Proszę podać dwa!

Kelner oddalił się i przy stoliku znowu zaległa cisza. Przerwała ją Liza:

- Nigdy tu nie byłam. Bardzo tu przyjemnie.

- Tak - mruknął Hipolit Matwiejewicz obliczając w myśli, ile wyniesie rachunek.

„Trudno - myślał - jak się napiję wódki, to się rozkrochmalę. Bo na razie czuję się jakoś nie w sosie”.

Ale kiedy napił się wódki i zakąsił ogórkiem, nie tylko się nie rozkrochmalił, lecz jeszcze bardziej osowiał. Liza nie piła. Atmosfera była nadal sztywna. Na dobytek do stołu podszedł jakiś osobnik i, spoglądając przypochlebnie na Lizę, zaproponował kupno kwiatów.

Hipolit Matwiejewicz udawał, że nie widzi wąsatego kwiaciara, ale natręt nie odchodził. Nie podobna było w jego obecności prawić Lizie czułe słówka.

Na pewien czas wybawiła ich z kłopotu część koncertowa. Na estradę wszedł pulchny mężczyzna w wizytowym ubraniu i lakierkach.

- A więc spotkaliśmy się znowu - zwrócił się nonszalancko do publiczności. - W pierwszym numerze naszego programu artystycznego wystąpi światowej sławy wykonawczyni rosyjskich pieśni ludowych, doskonale znana w podmoskiewskich kabaretach Barbara Iwanowna Godlewska. Proszę bardzo,

Barbaro Iwanowna!

Hipolit Matwiejewicz pił wódkę i milczał. Ponieważ Liza nie piła i co chwila wybierała się do domu, trzeba się było spieszyć z opróżnieniem karafki.

Kiedy po znanej w podmoskiewskich kabaretach śpiewaczce wszedł na estradę kuplecista w aksamitnej kurtce i zaśpiewał:

Chodzisz jak najęty,

Aż cię bolą pięty,

I myślisz, że jelita

Nakarmisz tym do syta,

Chodzisz jak najęty,

Ta-ra-ra-ra...

Hipolit Matwiejewicz, dobrze już podpity, zaczął wraz ze wszystkimi stałymi bywalcami wzorcowej jadłodajni, których jeszcze pół godziny temu uważał za chamów i niegodziwych radzieckich bandytów, klaskać rytmicznie w dłonie i podśpiewywać:

Chodzisz jak najęty

Ta-ra-ra-ra...

Od czasu do czasu zrywał się z miejsca i nie przepaszając swej towarzyszki oddalał się do toalety.

Goście przy sąsiednich stolikach nazywali go już wujaszkiem i zapraszali na kufelek piwa. Nie przyjmował tych zaprosin. Stał się nagle wyniosły i nieufny. Liza energicznie wstała od stolika:

- Idę. Niech pan tu zostanie. Sama trafię do domu.

- Ale skądże znowu? Jako szlachcic nie mogę się na to zgodzić. Panie starszy! Rachunek! Chamy!...

Hipolit Matwiejewicz długo studiował rachunek, kiwając się na krześle.

- Dziewięć rubli dwadzieścia kopiejek? - mamrotał - może jeszcze dać wam klucz od mieszkania, gdzie leżą pieniądze?

Skończyło się na tym, że Hipolita Matwiejewicza sprowadzono na dół, trzymając go troskliwie pod rękę. Liza nie mogła uciec, bo lew salonowy miał w kieszeni numerek od szatni.

W pierwszej ciemnej uliczce Hipolit Matwiejewicz próbował objąć i pocałować Lizę. Liza w milczeniu odpierała jego ataki.

- Jedźmy do hotelu! - nalegał Worobianinow.

Liza wyrwała się z jego ramion, machnęła na oślep piąstką i zdzieliła pogromcę kobiet w nos.

Hipolitowi Matwiejewiczowi spadły z nosa binokle w złotej oprawie i przydeptane kwadratowym czubkiem jaśniepańskich kamaszy zgmiotły się na miazgę.

Powiew zefiru z niebieskich sfer...

Liza, dławiąc się łzami, pobiegła przez Srebrny Zaulek w stronę domu.

Bystrego wiru

Gwadalkwiwiru

Przynosi szmer.

Pozbawiony binokli, krótkowzroczny Hipolit Matwiejewicz podreptał w przeciwną stronę, krzycząc:

- Łapać złodzieja!

Potem długo płakał i ze łzami w oczach kupił od starej handlarki wszystkie obaranki wraz z koszykiem. Następnie udał się na Smoleński Rynek, gdzie długo spacerował wzdłuż i wszerz i gestem siewcy rozrzucał obaranki. Podśpiewywał przy tym, fałszując niemiłosiernie:

Chodzisz jak najęty,

Aż cię bolą pięty

Ta-rd-ra-ra...

Potem Hipolit Matwiejewicz zaprzyjaźnił się z jakimś dorożkarzem, obnażył przed nim serce i zawile opowiadał o brylantach.

- Wesoły z pana pasażer! - zawołał dorożkarz.

Hipolit Matwiejewicz istotnie był bardzo wesoły. Ale wesołość jego musiała widocznie przebrać miarę, gdyż obudził się koło jedenastej przed południem w komisariacie milicji. Z dwustu rubli, z którymi rozpoczął tak sromotnie zakończoną noc szaleństw i rozkoszy, pozostało mu tylko dwanaście.

Wydawało mu się, że umiera. Łupało go w krzyżu, doskwierała mu wątroba i miał wrażenie, że wtłoczono mu na głowę ołowiany garnek. Ale najgorsze ze wszystkiego było to, że ani rusz nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i w jaki sposób przepuścił tyle

pieniędzy. W drodze powrotnej do domu zmuszony był wstąpić do optyka i sprawić sobie nowe szkła do binokli.

Ostap długo, ze zdumieniem przyglądał się wymiętej postaci Hipolita Matwiejewicza, ale nie odezwał się ani słowem. Był opanowany i pełen gotowości bojowej.

Rozdział XXI Licytacja

Licytacja zaczynała się o godzinie piątej. O czwartej wpuszczano do sali obywateli pragnących obejrzeć wystawione na licytację przedmioty. Przyjaciele przybyli na miejsce o trzeciej i przez całą godzinę zwiedzali mieszczącą się w sąsiedztwie wystawę budowy maszyn.

- Wygląda na to - rzekł Ostap - że już jutro, jeśli nam przyjdzie ochota, będziemy mogli kupić sobie ten parowozik. Szkoda, że nie ma na nim ceny. Przyjemnie jest, bądź co bądź, mieć własny parowóz.

Hipolit Matwiejewicz był w fatalnym nastroju. Tylko krzesła mogły go pocieszyć.

Oderwał się od nich dopiero w chwili, kiedy na podium wszedł taksator w spodniach „pepita”, z brodą opadającą na gabardinową kurtkę.

Wspólnicy zajęli miejsca w czwartym rzędzie z prawej strony. Hipolit Matwiejewicz zaczął się ogromnie denerwować. Myślał, że krzesła pójda na pierwszy ogień. Tymczasem miały one czterdziesty trzeci numer, a przetarg zaczął się od typowych dla każdej licytacji rupieci, jak zdekompletowane herbowe serwisy, sosjerka, srebrna taca, pejzaż pędzla Pietunina, torebka damska z dżetów, zupełnie nowy palnik do prymusa, popiersie Napoleona, płócienne biustonosze, gobelin „Myśliwy polujący na dzikie kaczki” i tym podobny groch z kapustą.

Należało uzbroić się w cierpliwość i czekać. A czekać było niełatwo. Cel był zbyt bliski. Krzesła stały tuż pod nosem,

„Wyobrażam sobie, co by się tutaj działo - pomyślał Ostap, spoglądając na licytacyjną publiczność - gdyby ci ludzie dowiedzieli się, jaki to kasek będzie wystawiony na sprzedaż pod postacią tych krzeseł.

- Figurka wyobrażająca sprawiedliwość! - odezwał się licytator. - Z brązu. W dobrym stanie. Pięć rubli.

Kto da więcej? Z prawej strony - sześć i pół. Na końcu sali - siedem. Osiem rubli w pierwszym rzędzie pośrodku. Po raz drugi - osiem rubli pośrodku. Po raz trzeci - w pierwszym rzędzie pośrodku.

Do obywatela w pierwszym rzędzie podbiegła natychmiast panienka z kwitariuszem, żeby zainkasować pieniądze.

Młotek licytatora postukiwał. Sprzedawano pałacową popielniczkę, kryształowy Baccarat, porcelanową puderniczkę.

Czas dłużył się niemiłosiernie.

- Popiersie Aleksandra III z brązu. Może służyć jako przycisk na biurko. Do niczego innego raczej się już nie nadaje. Kto kupi po nominalnej cenie popiersie Aleksandra III?

Na sali rozległ się śmiech.

- A może pan, panie marszałku? - zapytał złośliwie Ostap. - Lubi pan przecież te rzeczy.

Hipolit Matwiejewicz nie spuszczał oczu z krzeseł i milczał.

- Nie ma amatorów. Trudno. Wycofujemy brązowe popiersie Aleksandra III. Figurka wyobrażająca sprawiedliwość. Prawdopodobnie stanowi ona parę do figurki sprzedanej przed chwilą. Wasilij, proszę pokazać „Sprawiedliwość” publiczności. Pięć rubli. Kto da więcej?

W pierwszym rzędzie pośrodku rozległo się sapanie. Siedzący tam obywatel zapragnął widocznie pościć cały komplet sprawiedliwości.

- Sprawiedliwość z brązu - pięć rubli!

- Sześć! - powiedział dobitnie obywatel.

- Sześć rubli pośrodku. Siedem. Dziewięć rubli na końcu sali z prawej strony.

- Dziewięć i pół - odezwał się cicho amator „Sprawiedliwości” podnosząc rękę.

- Pośrodku - dziewięć i pół. Po raz drugi - dziewięć i pół pośrodku. Po raz trzeci - dziewięć i pół.

Rozległ się stuk młotka. Panienska znowu dopadła obywatela z pierwszego rzędu.

Obywatel zapłacił i udał się do sąsiedniego pokoju po odbiór swoich brązów.

- Dziesięć krzeseł pałacowych! - powiedział nagle licytator.

- Dlaczego pałacowych? - jęknął cicho Hipolit Matwiejewicz.

Ostap rozszłościł się.

- A niech pana diabli wezmą. Siedź pan cicho i nie wygłupiaj się pan!

- Dziesięć krzeseł pałacowych. Orzech. Epoka Aleksandra II. W doskonałym stanie. Robota majstra meblarskiego Gambsa. Wasilij, postaw jedno krzesło pod reflektor.

Wasilij tak brutalnie szarpnął krzesło, że Hipolit Matwiejewicz zerwał się.

- Siedź pan, idioto przeklęty! Skaranie boskie z tym człowiekiem! - syknął Ostap. - Siadaj pan, mówię!

Hipolitowi Matwiejewiczowi zadygotała dolna szczęka. Ostap podał się do przodu. Oczy mu pały.

- Dziesięć orzechowych krzeseł. Osiemdziesiąt rubli.

Sala ożywiła się. Sprzedawano coś przydatnego w gospodarstwie. Ręce podnosiły się jedna za drugą.

Ostap był spokojny.

- Czemu pan nie wysuwa ceny? - rzucił się na niego Worobianinow.

- Idź pan do cholery! - odpowiedział Ostap przez zęby.

- Sto dwadzieścia rubli, z tyłu. Sto trzydzieści pięć. Sto czterdzieści.

Ostap spokojnie odwrócił się plecami do pulpitu i z uśmiechem zaczął przyglądać się swoim rywalom.

Licytacja osiągnęła kulminacyjny punkt. Na sali nie było ani jednego wolnego miejsca. Jakaś młoda kobieta, siedząca tuż za Ostapem, po porozumieniu się z mężem

połakomiła się na krzesła („śliczne foteliki! świetna robota! Sania! Pałacowe!”) i podniosła rękę.

- Sto czterdzieści pięć, w piątym rzędzie z prawej strony. Po raz pierwszy.

Sala przygasła. Za drogo.

- Sto czterdzieści pięć. Po raz drugi.

Ostap obojętnie przyglądał się sztukateriom. Hipolit Matwiejewicz siedział z opuszczoną głową i drżały

- Sto czterdzieści pięć. Po raz trzeci.

Ale zanim czarny, lakierowany młotek uderzył w dyktowy pulpit, Ostap odwrócił się, podniósł rękę i powiedział półgłosem:

- Dwieście.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę współników. Czapki, kaszkiety i kapelusze poruszyły się.

Licytator podniósł znudzone oblicze i spojrzał na Ostapę.

- Dwieście po raz pierwszy - powiedział - dwieście w czwartym rzędzie z prawej strony, po raz drugi.

Czy nie ma więcej chętnych? Dwieście rubli, pałacowy komplet orzechowy składający się z dziesięciu sztuk. Dwieście rubli - po raz trzeci w czwartym rzędzie z prawej strony.

Ręka z młotkiem zawisała nad pulpitem.

- O mamó! - powiedział głośno Hipolit Matwiejewicz.

Spokojny i różowy Ostap uśmiechał się. Młotek stuknął wydając niebiański dźwięk.

- Sprzedane! - rzekł licytator. - Panienko, tam, w czwartym rzędzie z prawej strony.

- A co, marszałku? Efekt był? - zapytał Ostap. - Ciekaw jestem, jakby pan sobie poradził bez kierownika technicznego?

Hipolit Matwiejewicz odetchnął radośnie. Zbliżała się do nich truchcikiem młoda urzędniczka.

- Czy to obywatela kupili te krzesła?

- My! - wrzasnął powstrzymujący się od dłuższego czasu Hipolit Matwiejewicz. - My, my! Kiedy je można zabrać?

- Kiedy obywatele sobie życzą. Choćby w tej chwili.

Melodia „chodzisz jak najęty...” zaszumiła Hipolitowi Matwiejewiczowi w głowie. „Krzesła są nasze, nasze, nasze, nasze!” - krzyczało całe jego jestestwo. „Nasze!” - krzyczała wątroba. „Nasze!” - przyświadczała ślepa kiszka.

Był tak uradowany, że puls bił mu w zupełnie niespodziewanych miejscach. Wszystko w nim wibrowało, huśtało się i trzeszczało pod naporem niesłychanego szczęścia. Ujrzał pociąg zbliżający się do St. Gothard. Na pomoście ostatniego wagonu stał Hipolit Matwiejewicz Worobianinow w białych spodniach i palił cygaro. Na jego głowę, ozdobioną znowu połyskliwą, aluminiową siwizną, sypały się łagodnie szarotki. Był w siódmym niebie.

- A dlaczego dwieście trzydzieści, a nie dwieście? - usłyszał Hipolit Matwiejewicz.

To mówił Ostap obracając w rękach kwit.

- Doliczamy piętnaście procent komisowego - odpowiedziała panienka.

- No, cóż robić? Trudno! - Ostap wyciągnął portfel, odliczył dwieście rubli i zwrócił się do naczelnego dyrektora przedsiębiorstwa:

- Bul pan trzydzieści rubli, kochanećku. Tylko już! Nie widzi pan, że kobieta czeka?

Hipolit Matwiejewicz nie wykonał najmniejszego gestu w stronę kieszeni.

- No, cóż pan się na mnie gapi jak żołnierz na wesz? Ogłupiał pan ze szczęścia?

- Nie mam pieniędzy - wyjąkał w końcu Hipolit Matwiejewicz.

- Czego pan nie ma? - zapytał bardzo cicho Ostap.

- Pieniądzy.

- A dwieście rubli?

- Ja je... hm... zgubiłem.

Ostap popatrzył na Worobianinowa i szybko otaksował jego wymiętą twarz, zielone policzki i torby pod oczami.

- Dawaj pan pieniądze! - szepnął z nienawiścią. - Stary łajdaku!

- Czy obywatele płacą? - zapytała panienka.

- Chwileczkę! - rzekł Ostap uśmiechając się czarująco. - Drobne trudności.

Pozostał jeszcze cień nadziei. Można było spróbować uzyskać zwłokę w uiszczeniu należności.

Ale w tym momencie, niestety, wtrącił się do rozmowy wyrwany z odrętwienia i pryskający śliną

Hipolit Matwiejewicz.

- Za pozwoleniem! - krzyknął. - Co to za komisowe? Nikt nam o żadnym komisowym nie mówił. O tych rzeczach trzeba uprzedzać! Odmawiam zapłacenia tych trzydziestu rubli.

- W porządku - powiedziała oschle panienka. - Zaraz to załatwię.

Podeszła z kwitem do licytatora i szepnęła mu kilka słów.

Licytator wstał. Broda jego lśniła w blasku potężnych reflektorów.

- Zgodnie z przepisami licytacyjnymi - oświadczył głośno - osoby, odmawiające zapłacenia pełnejkwoty za nabyty przedmiot, obowiązane są opuścić salę. Przetarg na krzesła zostanie wznowiony.

Zdumieni przyjaciele siedzieli jak sparaliżowani.

- Obywatele będą łaskawi! - rzekł licytator.

Efekt był niebywały. Wśród publiczności rozległ się ironiczny śmiech. Ostap nie ruszał się z miejsca.

Dawno już nie dostał tak po nosie.

- Oby-y-watele b-ę-dą łaskawi!

Licytator przemawiał tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Śmiech na sali rozległ się głośniejszy.

Wspólnicy wyszli. Rzadko się zdarza, żeby ktoś opuszczał salę licytacyjną z uczuciem takiego zawodu.

Worobianinow szedł pierwszy. Pochylił proste, kościste ramiona i stąpał w swojej kusej marynarce i śmiesznych jaśniepańskich sztybletach jak żuraw, czując na plecach ciepłe, przyjazne spojrzenie ielkiego kombinatora.

Zatrzymali się w pokoju przylegającym do sali licytacyjnej. Mogli teraz obserwować przetarg jedynie przez szybę oszklonych drzwi. Dostęp do sali był już dla nich zamknięty. Ostap milczał.

- Niestłuchane porządki - mruknął lękliwie Hipolit Matwiejewicz - istny skandal! Trzeba złożyć na nichskargę w milicji.

Ostap milczał.

- Diabli wiedzą, co to ma znaczyć! - żalił się dalej Worobianinow. - Zdzierają skórę z człowieka pracy!

Jak Boga kocham! Dwieście trzydzieści rubli za dziesięć używanych krzeseł. To szaleństwo...

- Tak - powiedział zimno Ostap.

- Prawda? - rzekł Worobianinow. - Można zwariować.

- Można.

Ostap podszedł blisko do Worobianinowa, rozejrzał się wokoło i niepostrzeżenie zaczął zadawać arszatkowi krótkie, mocne ciosy w bok.

- Masz milicję! Masz krzesła za drogie dla ludzi pracy wszystkich krajów! Masz nocne wyprawy na dziewczynki! Masz w siwą brodę! Masz sójkę w bok!

W ciągu całej tej egzekucji Hipolit Matwiejewicz nie wydał z siebie dźwięku.

Patrząc z boku można by odnieść wrażenie, że to pełen należnego szacunku syn prowadzi rozmowę z ojcem, któremu tylko jakoś dziwnie trzęsie się głowa.

- A teraz jazda na zbity pysk!

Ostap odwrócił się plecami do dyrektora przedsiębiorstwa i zaczął się przyglądać sali licytacyjnej. Po jakimś czasie obejrzał się.

Hipolit Matwiejewicz nadal stał za nim w pozycji na baczność.

- Ach, jeszcze tutaj, bawidamku? Zjeżdżaj stąd! Już!

- Towarzyszu Bender! - zawołał błagalnie Worobianinow. - Towarzyszu Bender!

- Wynoś się! Jazda! I nie pokazuj się u Iwanopulo, bo przepędzę!

- Towarzyszu Bender!

Ostap już się nie odwracał. W sali zaszło coś tak interesującego, że uchylił drzwi i zaczął nasłuchiwać.

- Wszystko przepadło! - szepnął.

- Co przepadło? zapytał pojednawczo Worobianinow.

- Sprzedają krzesła pojedynczo. Może pan zechce nabyć któreś z nich? Proszę bardzo. Ja pana nie trzymam. Wątpię tylko, czy pana wpuszczą na salę. I z gotówką u pana, mam wrażenie, kruch.

Tymczasem licytator, który zorientował się, że nikt z reflektantów nie wyłoży jednorazowo dwustu rubli (była to suma zbyt poważna dla pozostałych na sali płotek), postanowił uzyskać tę kwotę po kawałku. Krzesła ponownie stały się przedmiotem przetargu, ale tym razem każde z osobna.

- Krzesła pałacowe. Orzechowe. Wyściełane. Roboty Gambsa. Po trzydzieści rubli. Kto da więcej.

Ostap odzyskał nagle całą energię i zimną krew.

- Ej, ty, ulubieńcze kobiet! Zostań tu i nie ruszaj się z miejsca. Wrócę za chwilę. A niech pan uważa - kto i co? Żeby mi ani jedno krzesło nie przypadło bez wieści.

W umyśle Bendera dojrzał natychmiast jedyny możliwy do przeprowadzenia w tej ciężkiej sytuacji plan.

Wybiegł na Pietrowkę, podszedł do najbliższego kotła z asfaltem i wdał się w pertraktację z ulicznikami.

Tak jak zapowiedział Hipolitowi Matwiejewiczowi, wrócił po upływie pięciu minut. Ulicznicy stali w pogotowiu u wyjścia z sali licytacyjnej.

- Sprzedają, sprzedają - szepnął Hipolit Matwiejewicz. - Sprzedali już cztery i dwa.

- To pańska zasługa - rzekł Ostap. - Niech się pan cieszy. A mieliśmy ten cały interes w garści. W garści! Czy pan to potrafi zrozumieć!

Na sali rozległ się skrzypiący głos, jakim natura obdarza tylko licytatorów, krupierów i szklarzy:

- Po raz trzeci, z lewej strony. Jeszcze jedno krzesło pałacowe. Orzechowe. W dobrym stanie... i pół, na wprost. Po raz pierwszy... i pół... pośrodku.

Trzy krzesła zostały sprzedane pojedynczo. Licytator ogłosił przetarg na ostatnie krzesło. Ostapa krew zalewała. Znowu zaczął sztorcować Worobianinowa. Jego obraźliwe docinki były nasycone żółcią. Kto wie, jak daleko posunąłby się w swych satyrycznych zapędach, gdyby nie przerwał mu dziwny jegomość w brązowym garniturze, który zbliżał się szybko, wymachując pulchnymi rękami, wyginając się, skacząc w przód i w tył, jakby grał w tenisa.

- Przepraszam - zwrócił się do Ostapa - czy tu rzeczywiście odbywa się licytacja? Rzeczywiście?

Licytacja? I naprawdę można tu nabyć rozmaite rzeczy? Nadzwyczajne!

Nieznajomy odskoczył, a twarz jego rozpromieniła się serią radosnych uśmiechów.

- Więc tu rzeczywiście sprzedają różne rzeczy? I naprawdę można je kupić za bezcen? Pierwsza klasa!

Ach, to nadzwyczajne... Nadzwyczajne!

Nieznajomy, kołyszając otłutymi biodrami, przebiegł między oszołomionymi współnikami do sali i tak szybko kupił ostatnie krzesło, że Worobianinow nie zdążył nawet jęknąć. Z kwitem w ręku nieznajomy zgłosił się do lady, gdzie wydawano zakupione przedmioty.

- Czy rzeczywiście można krzesło zaraz zabrać? Niebywałe! No! No!...

Nie przestając piąć z zachwytu, niezwykle ruchliwy nieznajomy załadował krzesło do dorożki i odjechał. Za nim pobiegł jeden z włóczęgów.

Stopniowo rozchodzili się i rozjeżdżali wszyscy nowonabywcy krzeseł, ścigali ich młodociani agenci

Ostapa. Ostap także opuścił salę licytacyjną. Hipolit Matwiejewicz podążał nieśmiało za nim.

Dzisiejszy dzień sprawiał na nim wrażenie snu. Wszystko odbywało się w nim szybciej i inaczej, niż było przewidziane.

Na Siwcowym Wrażku fortepiany, mandoliny i harmonie grały hymny na cześć wiosny. Okna były pootwierane. Na parapetach stały doniczki z kwiatami. W jednym z okien tęgi mężczyzna w szelkach i rozchełstanej na włochatej piersi koszuli namiętnie wyśpiewywał. Pod ścianą skradał się powoli kot.

W kioskach spożywczych płonęły naftowe lampki.

Przed różowym domkiem spacerował Kola. Na widok Ostapa, który szedł przodem, skłonił się uprzejmie i podszedł do Worobianinowa. Hipolit Matwiejewicz pozdrowił go serdecznie. Ale Kola nie chciał tracić czasu.

- Dobry wieczór - powiedział twardo i, nie mogąc nad sobą zapanować, wymierzył Hipolitowi

Matwiejewiczowi policzek. Wygłosił przy tym dość bezsensowne, w przekonaniu Ostapa, zdanie:

„Spotka to każdego, kto się pokusi...”

Kola nie wyjaśnił, o jakie pokuszenie mu chodzi, wspiął się na palce, zamknął oczy i uderzył

Worobianinowa w twarz.

Hipolit Matwiejewicz zasłonił twarz łokciem, ale nawet nie pisnął.

- Przepisowo - odezwał się Ostap. - A teraz w kark! Dwa razy. Tak. Trudno. Kiedy kura się zagalopuje, jajko musi jej niekiedy udzielić nauki... Jeszcze go raz! Tak. Nie krępuj się. Ale po głowie lepiej go więcej nie bić, bo to jego najślabszy punkt.

Gdyby stargorodzczy spiskowcy ujrzeli giganta myśli i ojca rosyjskiej demokracji w tej krytycznej dla niego chwili, prawdopodobnie tajny związek „Miecza i pług” przestałby istnieć.

- No, chyba dosyć - rzekł Kola chowając ręce do kieszeni.

- Przyłoż mu jeszcze raz - poprosił Ostap.

- Pal go diabli! I tak popamięta!

Kola oddalił się. Ostap wszedł na górę do pokoju Iwanopulo i wyjrzał przez okno. Hipolit

Matwiejewicz stał naprzeciwko domu wsparty o ogrodzenie poselstwa.

- Obywatelu Michelson! - zawołał Ostap - Konradzie Karłowiczu! Może pan wejść do mieszkania!

Pozwalam!

Hipolit Matwiejewicz wszedł do pokoju nieco podniesiony na duchu.

- Niesłychana bezczelności - powiedział oburzony. - Ledwo się powstrzymałem, żeby mu nie oddać.

- No, no, no! - rzekł współczująco Ostap. - Dzisiejsza młodzież jest straszna! Uwodzi cudze żony...

Trwoni cudze pieniądze... Całkowite bagno moralne... Ale niech mi pan powie, czy jak się dostaje po łbie, to rzeczywiście boli?

- Wyzwę go na pojedynek!

- Doskonale! Mogę panu polecić pewnego znajomego, który zna cały kodeks honorowy na pamięć i posiada dwie różgi, znakomicie nadające się do walki nie tylko na życie, ale nawet na śmierć. Na sekundantów można wziąć Iwanopulo i sąsiada z prawej strony. Jest to były honorowy obywatel miasta Kołogrzywu i do dziś chełpi się tą zaszczytną godnością. Można też zorganizować pojedynek na maszynki do mielenia mięsa. To dużo szykowniej. Każda rana w takim pojedynku jest śmiertelna. A pokonany zostaje automatycznie przerobiony na kotlety. Czy to panu odpowiada, panie marszałku?

W tym momencie rozległ się gwizd na ulicy. Ostap zszedł na dół, aby odebrać raporty od uliczników.

Chłopcy doskonale wywiązali się z powierzonego im zadania. Cztery krzesła zawędrowały do teatru

Kolumba. Wyrostek opowiedział szczegółowo, jak owe krzesła przewieziono na taczkach, jak je wyładowano i wniesiono do teatru tylnym wejściem. Ostap wiedział doskonale, gdzie mieści się ów teatr.

Drugi młodociany zwiadowca zameldował, że dwa krzesła zawiozła dorożką do domu „szykowna lafirynda”. Malec jednak nie odznaczał się wielkimi zdolnościami. Pamiętał nazwę uliczki - Zaułek

Warsonofiewski, a nawet siedemnasty numer mieszkania, ale w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć numeru domu.

- Biegłem tak szybko - powiedział - że numer wyleciał mi z głowy.

- To nie dostaniesz pieniędzy - oświadczył mu zleceniodawca.

- Wu-u-ju! Mogę cię zaprowadzić i pokazać.

- Dobrze! Zaczekaj. Pójdziemy tam razem.

Okazało się, że gadatliwy jegomość mieszkał na Sadowej-Spasskiej. Ostap zapisał w notesie jego okładny adres.

Ósme krzesło pojechało do Domu Narodów. Chłopiec, który zajmował się jego losami, był spryciarzem. Przewyciężył przeszkody w postaci strażników i licznych woźnych, wśliznął się do domu i stwierdził, że krzesło zostało nabyte przez kierownika administracyjnego redakcji „Tokarki”.

Brakowało jeszcze dwóch chłopców. Przybiegli niemal równocześnie zadyszani i zmęczeni.

- Zaułek Koszarowy, koło Czystych Stawów.

- Numer?

- Dziewięć. Mieszkania też dziewięć. Tam blisko mieszkają Tatarzy. W podwórzu. Sam mu to krzesło zaniósłem. Szliśmy na piechotę.

Ostatni goniec przyniósł hiobowe wieści. Najpierw wszystko szło jak z płatka, a potem niestety fatalnie. Nabywca wszedł z krzesłem na dziedziniec ekspedycji towarowej dworca Październikowego.

Nie można było wejść tam za nim, bo w bramie stali wartownicy straży kolejowej.

- Pewnie wyjechał - zakończył swój raport mały włóczęga.

Ostap bardzo się zaniepokoił. Wynagrodził chłopców po królewsku - po rublu na głowę - z wyjątkiem malca z Zaułka Warsonofiewskiego, który nie pamiętał numeru domu i otrzymał polecenie stawienia się nazajutrz rano. Następnie dyrektor techniczny wrócił na górę i, nie odpowiadając na pytania kompromitowanego prezesa zarządu, zaczął intensywnie myśleć:

„Nic nie jest jeszcze stracone. Adresy są. A w celu zdobycia krzesła można zastosować wiele starych i wypróbowanych sposobów, jak: 1) zwykła znajomość, 2) intryga miłosna, 3) znajomość z włamaniem,

4) zamiana oraz 5) pieniądze. To ostatnie najpewniejsze. Ale z pieniędzmi krucho”

Tu spojrzął ironicznie na Hipolita Matwiejewicza. Wielki kombinator odzyskał już właściwą mu lotność umysłu i równowagę ducha. Pieniądze można przecież zdobyć. Pozostawał jeszcze w rezerwie obraz

„Bolszewicy piszą list do Chamberlaina”, sitko do herbaty i ewentualna kariera wielożeńca.

Niepokojąca była jedynie sprawa dziesiątego krzesła. Nie zniknęło ono wprawdzie bez śladu, ale ślad ten był niewyraźny i zwodniczy.

- No cóż - odezwał się głośno Ostap - z taką szansą gra jest warta świeczki. Mamy dziewięć szans przeciw jednej. Sesja trwa! Słyszysz pan, panie przysięgli!

Rozdział XXII Dzikuska Helutka

Według obliczeń badaczy słownik, jakim posługiwał się William Szekspir, liczy 12 000 słów. Słownik

Murzyna z plemienia ludożerów Mumbo-Jumbo składa się z 300 słów.

Helutce Szczukinej w zupełności wystarczało trzydzieści.

Oto słowa, powiedzonka i wykrzykniki, pieczołowicie wybrane przez nią z całego bogatego, barwnego i pięknego języka rosyjskiego.

1. Nie wygłupiaj się.

2. Fiu-fiu! (wyraża, zależnie od okoliczności: ironię, zdziwienie, zachwyt, nienawiść, radość, pogardę i zadowolenie).

3. Pycha!

4. Ponury (w zastosowaniu do wszystkiego; na przykład: „przyszedeł ponury Pietia”, „ponura pogoda”, „ponury wypadek”, „ponury kot” i.t.d.).

5. Czarna rozpacz.

6. Koszmar (koszmarny. Na przykład spotkanie z dobrą znajomą: „koszarne spotkanie”).

7. Chłoptaś (w stosunku do wszystkich znajomych mężczyzn bez względu na wiek i stanowisko).

8. Nie będziesz mnie uczył rozumu.

9. Jak dzieciaka („Obębniłam go jak dzieciaka” - przy grze w karty. „Zwymyślałam go jak dzieciaka” - oczywiście w rozmowie z głównym współlokatorem).

10. Cóżś pięknego!

11. Tłusciutki i śliczny. (Stosuje się przy charakterystyce różnych martwych i żywych obiektów).

12. Weźmy dorożkę (do męża).

13. Weźmy taksówkę (do znajomych płci męskiej).

14. Masz ubielone plecy. (żart).

15. Nie wiesz czasem.

16. Ula. (Pieszczotliwa końcówka. Na przykład: Miszula, Zinula).

17. No, no, no! (Ironia, zdziwienie, zachwyt, nienawiść, radość, pogarda i zadowolenie).

Pozostałe bardzo zresztą nieliczne słowa służyły Helutce do porozumiewania się z ekspedientami w domach towarowych.

Gdybyśmy przyjrzeni się fotografiom Helutki Szczukiny, wiszącym nad łóżkiem jej męża, inżyniera

Ernesta Pawłowicza Szczukina (jedna - en face, druga - z profilu), zauważylibyśmy bez trudu ładne, wysokie i w miarę wypukłe czoło, duże wilgotne oczy, najsympatyczniejszy w całej moskiewskiej guberni nosek i bródkę z maleńką, namalowaną tuszem muszką.

Wzrost Helutki pochlebiał mężczyznom. Helutka była drobna i nawet najbardziej niepozorni mężczyźni robili przy niej wrażenie roślących i okazałych samców.

Helutka nie odznaczała się żadnymi szczególnymi cechami, ale nie były jej one potrzebne. Była ładna.

Dwieście rubli, które jej mąż zarabiał miesięcznie w fabryce „Elektroświecznik”, były dla Helutki zniewagą. Kwota ta nie odgrywała żadnej istotnej roli w heroicznej walce, jaką Helutka toczyła od czterech lat, to jest od chwili, kiedy ustabilizowała się społecznie w charakterze gospodyni domowej tudzież małżonki inżyniera Szczukina. Walka ta szła na całego. I pochłaniała wszystkie zasoby. Ernest

Pawłowicz brał do domu dodatkową pracę, zrezygnował ze służącej, rozpałał prymus, wynosił śmiecie, a nawet smażył kotlety.

Ale wszystko to było bezowocne. Groźny przeciwnik z roku na rok pogarszał sytuację gospodarczą

Szczukinów. Cztery lata temu Helutka stwierdziła, że ma za oceanem rywalkę. Niestety to spadło na Helutkę w ów radosny wieczór, kiedy przymierzała śliczną, krepdeszynową bluzkę. Wyglądała w niej jak bóstwo.

- Fiu-fiu! - zawołała zamykając w tym pierwotnym okrzyku całą gamę uczuć, jakie ją w tej chwili przepełniały.

Z pewnym uproszczeniem można by owe uczucia wyrazić następującymi słowami: „Kiedy mężczyźni ujrzą mnie w tej bluzce, zadrżą z zachwytu. Pójdą za mną na koniec świata, nieprzytomni z miłości.

Ale ja będę zimna. Bo któryż z nich jest mnie godzien? Jestem najpiękniejsza. I nikt na świecie nie ma takiej wytwornej bluzki”.

Ale Helutka miała do dyspozycji tylko trzydzieści słów i wybrała z nich owo najbardziej wymowne –

„fiu-fiu”

W tej epokowej chwili przyszła do niej z wizytą Fimka Sobak przynosząc falę mroźnego, styczniowego powietrza i francuski żurnal. Helutka zatrzymała się na pierwszej stronie, gdzie widniała błyszcząca fotografia córki amerykańskiego miliardera Vanderbilt'a w wieczorowym stroju. Były tam futra ł pióra, jedwab i perły, niezwykle wykwintny krój i fascynująca fryzura. No, i stało się.

- No, no! - powiedziała do siebie Helutka.

Znaczyło to: „Albo ja, albo ona”.

Nazajutrz rano Helutka udała się do zakładu fryzjerskiego. Zostawiła tam prześliczny czarny warkocz i przefarbowała włosy na rudo. Następnie udało się jej wznieść o jeszcze jeden szczebel wyżej na drabinie, zbliżającej ją do raj, gdzie spacerują córki milionerów niegodne zmywać garnków u gospodyni domowej, Helutki Szczukiny. Za pożyczkę, zaciągniętą przez męża, Helutka kupiła psią skórę imitującą bobry. Skóra ta posłużyła jako przybranie wieczorowej toalety.

Mister Szczukin, żyjący od dawna marzeniem o nowej rysownicy, nieco posmutniał.

Suknia lamowana psem zadała bezczelnej Vanderbiltównie pierwszy dotkliwy cios. Potem na butną

Amerykankę spadły trzy kolejne ciosy. Helutka kupiła od nadwornego kuśnierza Fimki Sobak etolę z szynszyli (rosyjski zając upolowany w tulskiej guberni), sprawiła sobie błękitny kapelusz z argentyńskiego filcu i przerobiła nową marynarkę męża na modny damski żakiecik. Miliarderówna zachwiała się w posadach. Ale musiał jej widać pośpieszyć z odsieczą czuły papa Vanderbilt, gdyż następny numer żurnala przyniósł cztery portrety przekłętej rywalki w następujących kreacjach: 1) w srebrnych lisach, 2) w brylantowym diademie, 3) w kostiumie pilota (wysokie buciki, lekka zielona kurtka i rękawiczki, których mankiety inkrustowane były średniej wielkości szmaragdami) oraz 4) w toalecie balowej (kaskady klejnotów i odrobina jedwabiu).

Helutka przeprowadziła mobilizację. Papa Szczukin wziął pożyczkę w kasie samopomocy. Ale przyznano mu tylko trzydzieści rubli. Nowy wysiłek finansowy podciął korzenie gospodarstwa domowego. Trzeba było toczyć walkę na wszystkich frontach życia. Niedawno nadeszły zdjęcia miss

Vanderbilt w jej nowym pałacu na Florydzie. Wobec tego Helutka musiała odświeżyć umeblowanie.

Kupiła na licytacji dwa wyściełane krzesła. (Nadzwyczajna okazja! Nie można jej było przepuścić!) Bez porozumienia z mężem wydała pieniądze przeznaczone na utrzymanie. Do piętnastego zostało dziesięć dni tudzież cztery ruble.

Helutka z szykiem zajechała dorożką na Warsonofiewski Zaulek. Męża nie było w domu. Wkrótce nadszedł, dźwigając swoją teczkę-kufer.

- Przyszedł ponury mąż - dobitnie powiedziała Helutka. Wszystkie wymawiane przez nią słowa były dobitne i wypryskiwały z jej ust jak ziarnka grochu.

- Jak się masz, Helutka. A to co znowu? Skąd te krzesła?

- Fiu-fiu!
 - Pytam na serio.
 - Cóżś pięknego!
 - Owszem. Ładne.
 - Pycha!
 - Dostałaś je w prezencie?
 - No, no! no!
 - Kupiłaś? Za co? Chyba nie za pieniądze na gospodarstwo? Przecież już tysiąc razy mówiłem...
 - Ernestula! Nie wygłupiaj się!
 - Jak mogłaś zrobić coś podobnego! Przecież nie będziemy mieli co jeść!
 - Nie wiesz czasem!
 - To jest oburzające! żyjesz ponad stan!
 - Wolne żarty.
 - Tak, tak. żyje pani nad stan!
 - Nie będzie mnie pan uczył rozumu.
 - Mówmy poważnie. Zarabiam dwieście rubli...
 - Czarna rozpacz!
 - Łapówek nie biorę, pieniędzy nie kradnę ani nie umiem podrabiać...
 - Koszmar!
- Ernest Pawłowicz umilkł.
- Wiesz co? - odezwał się po chwili - w ten sposób dalej żyć nie można.
 - Fiu-fiu! - powiedziała Helutka siadając na nowym krześle.
 - Musimy się rozejść.
 - Nie wiesz czasem!
 - Mamy niezgodne charaktery. Ja...
 - Ty jesteś tłusciutki i śliczny chłoptaś.
 - Tyle razy prosiłem cię, żebyś mnie nie nazywała chłoptasiem!
 - Wolne żarty!
 - Skąd ci przyszedł do głowy ten idiotyczny żargon?
 - Nie będziesz mnie uczył rozumu!
 - Do diabła! - zawołał inżynier.
 - Nie wygłupiaj się, Ernestula!
 - Rozstańmy się po przyjacielsku.
 - No, no!
 - Nie przekonasz mnie. Cały ten spór...

- Spiorę cię jak dzieciaka.

- Nie, to jest nie do zniesienia, żadne twoje argumenty nie powstrzymają mnie od stanowczego kroku. Zaraz sprowadzę platformę.

- Wolne żarty!

- Podzielimy się meblami.

- Koszmar!

- Dam ci sto rubli miesięcznie. Nawet sto dwadzieścia. Zostawiam ci ten pokój. Żyj sobie, jak ci siępodoba, ale ja już tego dłużej...

- Cóżś pięknego! - rzuciła pogardliwie Helutka.

- Przeprowadzę się do Iwana Aleksiejewicza.

- Fiu-fiu!

- Wyjechał na letnisko i zostawił mi na lato mieszkanie do dyspozycji. Mam klucz... Tylko nie ma tam ebli.

- Pycha!

Po upływie pięciu minut Ernest Pawłowicz wrócił z dozorcą.

- Szafy nie zabiorę, przyda ci się bardziej niż mnie. Ale pozwól mi zabrać biurko... I weźcie, obywatelu zorco, jedno krzesło. Zabieram jedno z tych nowych krzesel. Sądzę, że mam do tego prawo?

Ernest Pawłowicz związał swoje osobiste rzeczy w spory tobołek, zapakował obuwie w gazetę i skierował się ku drzwiom.

- Masz ubielone plecy - powiedziała gramofonowym głosem Helutka.

- Bądź zdrowa, Heleno.

Miał nadzieję, że przynajmniej w takiej chwili żona powstrzyma się od swoich metalicznych powiedzonek. Helutka także zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji. Wytężyła umysł, żeby znaleźć jakieś odpowiednie w chwili rozstania słowa. Znalazła je szybko:

- Weźmiesz taksówkę? Pycha!

Inżynier stoczył się po schodach jak lawina. Helutka spędziła wieczór w towarzystwie Fimki Sobak.

Omawiały niezwykle doniosłe wydarzenie, które mogło wstrząsnąć całą światową gospodarką.

- Zdaje się, że będzie się nosiło długie i szerokie - mówiła Fima wtulając głowę w ramiona jak kura.

- Czarna rozpacz!

I Helutka spojrzała z szacunkiem na Fimę Sobak. Mademoiselle Sobak uchodziła za inteligentną pannę: słownik jej liczył około stu osiemdziesięciu słów. Na dodatek знаła jedno takie słowo, o którym Helutce nawet się nie śniło. To efektowne słowo brzmiało: homoseksualizm. Jak widać, Fima

Sobak była niewątpliwie osobą inteligentną. Ożywiona rozmowa przeciągnęła się do późnej nocy. O godzinie dziesiątej rano wielki kombinator wszedł na Warsonofiewski Zaułek. Przed nim biegł mały włóczęga. Wskazał mu dom.

- Nie bujasz?

- Nie bujam... To tutaj, od frontu.

Bender wypłacił chłopcu **rzetelnie** zarobionego rubla.

- Dołoż coś - powiedział chłopiec targując się jak dorożkarz.

- A ucho! Ucho zdechłego osła. Dostaniesz je od Puszkina. Serwus, ofiaro losu.

Ostap zapukał do drzwi, nie zastanawiając się wcale nad tym, jakiego użyje pretekstu. Uważał, że w rozmowach z kobietkami należy kierować się natchnieniem.

- No? No? - zapytano przez drzwi.

- W pewnej sprawie - odpowiedział Ostap.

Drzwi się otworzyły. Ostap wszedł do pokoju, który mógł być urządzony tylko przez istotę o wyobraźni dzieciątka. Na ścianach wisiały fotosy filmowe, laleczki i tambowskie gobeliny. Na tym pstrym tle, od którego ćmiło się w oczach, nie łatwo było dostrzec drobnutką mieszkankę pokoju.

Miała na sobie szlafroczek **przerobiony** z bonżurki Ernesta Pawłowicza i oblamowany tajemniczym futerkiem.

Ostap od razu zrozumiał, jak się ma zachować. Przymknął oczy i zrobił krok w tył.

- Co za piękne futro! - **zawołał.**

- Wolne żarty - powiedziała tkliwie Helutka. - To meksykańskie skoczki.

- Wykluczone. Oszukali panią. Sprzedali pani futro znacznie cenniejsze. To są szanghajskie rysie.

Oczywiście! Rysie! Poznaję je **po odcieniu.** Niech pani spojrzy, jak to futro mieni się w słońcu!... Istny szmaragd!

Helutka sama farbowała meksykańskiego skoczka zieloną akwarelą, toteż pochwala porannego gościa sprawiła jej **szczególną przyjemność.**

Nie dając jej ochłonać z pierwszego wrażenia, wielki kombinator wyrecytował jednym tchem wszystko, co **kiedykolwiek słyszał o futrach.** Potem zaczęli rozmawiać o jedwabiach i Ostap obiecał podarować czarującej pani domu kilkaset kokonów, które jakoby przywiózł mu w prezencie przewodniczący C.K. Uzbekistanu.

- Bardzo miły z pana chłopca - **orzekła Helutka** po kilku minutach znajomości.

- Zapewne musiała panią nieco zaskoczyć tak wczesna wizyta nieznajomego mężczyzny?

- Fiu-fiu!

- Ale ja do pani w pewnej **bardzo delikatnej sprawie.**

- Wolne żarty.

- Była pani wczoraj na licytacji i wywarła pani na mnie piorunujące wrażenie.

- Niech się pan nie wygłupia!

- Litości! Jak taka czarująca istota może mi nie wierzyć!

- Koszmar!

Rozmowa toczyła się **nadal w tym samym tonie,** przynoszącym w niektórych wypadkach **nadspodziewane rezultaty.** Ale komplementy Ostapa stawały się coraz

bardziej zdawkowe. Ostap zauważył brak drugiego krzesła w pokoju i usiłował wytropić jego ślad. Przeplatając śledztwo kwiecistymi wschodnimi pochlebstwami, Ostap dowiedział się o wydarzeniach, jakie zaszły ubiegłego dnia w życiu Helutki.

„Coś nowego - pomyślał - krzesła rozłaza się jak karaluchy”

- Uroczą pani - odezwał się nagle - proszę mi odstąpić to krzesło. Bardzo mi się ono podoba. Jedynie pani z właściwym sobie kobiecym smakiem mogła wyszukać tak artystyczny mebel. Dam pani siedem rubli.

- Wygłupiasz się, chłopczasiu! - odpowiedziała przebiegle Helutka.

- Fiu, fiu! - rzekł Ostap.

„Z nią trzeba inaczej - pomyślał. - Zaproponuję jej zamianę”

- A wie pani, że ostatnio w Europie i w wytwornych domach Filadelfii wskrzeszono dawny zwyczaj nalewania herbaty przez sitko? To jest nadzwyczaj efektowne i w dobrym tonie.

Helutka nadstawiła uszu.

- Właśnie przyjechał do mnie pewien dyplomata z Wiednia i przywiózł mi w prezencie takie sitko.

Bardzo zabawny drobiazg.

- O, to pewno pycha! - zainteresowała się Helutka.

- No, no, no! Fiu, fiu, fiu! Zamieńmy się! Pani da mi krzesło, a ja pani - sitko. Zgoda?

I Ostap wyjął z kieszeni małe, pozłacane siteczko.

Słońce turlało się w nim jak jajko. Po suficie pełgały złociste błyski. Rozjaśnił się nagle ciemny kąt pokoju. Siteczko wywarło na Helutce takie wrażenie, jakie na ludożercy z plemienia Mumbo-Jumbo wywiera stara puszka od konserw. Dzikus wrzeszczy w takim wypadku wniebogłosy, a Helutka jęknęła tylko:

- Fiu, fiu!

Nie pozwalając jej ochłonąć z zachwyty, Ostap położył siteczko na stole, wziął krzesło, dowiedział się o adres męża czarującej kobietki i pożegnał się z galanterią.

Rozdział XXIII Absalon Władimirowicz Iznurenkow

Dla współników zaczęły się dni pełne napięcia. Ostap twierdził, że należy kuć krzesła, póki gorące.

Hipolit Matwiejewicz wrócił do łask, ale od czasu do czasu Ostap zadawał mu następujące pytania:

- Po kiego diabła zawarłem z panem spółkę? Do czego pan mi właściwie potrzebny? Czy nie lepiej, żeby pan wrócił do domu, do swojego urzędu stanu cywilnego? Czekają tam na pana nieboszczyki i noworodki. Nie męcz pan dzieci. Jedź pan!

Ale w gruncie rzeczy wielki kombinator przywiązał się do wykolejonego marszałka szlachty. „Bez niego życie nie byłoby takie zabawne” - myślał. I z uśmiechem spoglądał na Worobianinowa, którego głowa porastała już srebrzystą trawką.

Harmonogram prac przewidywał szerokie pole dla inicjatywy Hipolita Matwiejewicza. Ilekroć potulny

Iwanopulo opuszczał mieszkanie, Ostap zaczynał wbijać w głowę swego kompana najprostsze sposoby odzyskania skarbu.

- Działać odważnie. Nikogo o nic nie pytać. Jak najwięcej cynizmu. Ludziom się to podoba. Nie uciekać się do pomocy osób trzecich. Nie ma już na świecie frajerów. Nikt nie będzie wyciągał dla pana brylantów z cudzej kieszeni. No i bez kantów! Trzeba szanować kodeks karny.

Jednakże poszukiwania nie dawały żadnych wyników. Na przeszkodzie stał kodeks karny i mnóstwo burżuazyjnych przesądów zakorzenionych wśród mieszkańców stolicy. A więc nie lubili na przykład nocnych wizyt przez lufcik. Trzeba było ograniczać się do działalności legalnej. Tego dnia, kiedy Ostap złożył wizytę Helutce Szczukinie, w pokoju studenta Iwanopulo zjawiał się nowy mebel. Było to krzesło zdobyte za cenę sitka do herbaty - trzecie z poszukiwanego kompletu. Dawno już minęły te czasy, kiedy polowanie na brylanty budziło we współnikach wybuchy emocji, kiedy rozszarpywali krzesła pazurami i wgryzali się w sprężyny.

- Nawet jeśli w krzesłach nic nie ma, na każdym z nich zarabiamy co najmniej dziesięć tysięcy - twierdza Ostap. - Każde rozprute krzesło zwiększa nasze szanse. I cóż z tego, że w krzesle naszej damulki nic nie ma? Nie trzeba go z tego powodu niszczyć. Niech Iwanopulo umebluje się trochę.

Nam też będzie przyjemniej.

Tego samego dnia współnicy wyfrunęli z różowego domku i rozeszli się w różne strony. Hipolit

Matwiejewicz otrzymał rozkaz załatwienia sprawy z gadatliwym jegomościem z Sadowej-Spasskiej, dostał dwadzieścia pięć rubli na wydatki, przy czym miał zakaz wstępowania do knajp i wracania do domu bez krzesła. Wielki kombinator wziął na siebie męża Helutki.

Hipolit Matwiejewicz wszedł do autobusu nr 6. Trzęsąc się na obitym skórą siedzeniu i podskakując aż pod lakierowany dach autobusu, zastanawiał się nad tym, jak dowiedzieć się o nazwisko gadatliwego jegomości, pod jakim pretekstem wejść do jego mieszkania, od czego zacząć rozmowę i jak przystąpić do rzeczy.

Hipolit Matwiejewicz wysiadł przy Czerwonej Bramie, na podstawie zapisanego przez Ostapę adresu odnalazł właściwy dom i zaczął krążyć dokoła niego. Nie mógł się zdecydować na wejście do środka.

Był to stary, brudny moskiewski hotel, zamieniony na dom mieszkalny i wnosząc z opłakanego wyglądu fasady zajęty przez niewypłacalnych lokatorów.

Hipolit Matwiejewicz długo stał przed domem, podchodził do niego, nauczył się na pamięć treści ręcznie wypisanego obwieszczenia zawierającego liczne groźby pod adresem opieszłych lokatorów, nic mądrego nie wymyślił i wszedł po schodach na pierwsze piętro. Wszystkie pokoje wychodziły na wspólny korytarz. Hipolit Matwiejewicz bardzo powoli, jakby podchodził do szkolnej tablicy, żeby rozwiązać nie przygotowane w domu zadanie, zbliżył się do drzwi pokoju nr 41. Wisiał tam na jednej pluskiewce, przekreślony do góry nogami bilet wizytowy:

IZNURENKOW

Absalon Władimirowicz

W jakimś zaćmieniu umysłowym Hipolit Matwiejewicz zapomniał zapukać do drzwi, otworzył je, zrobił trzy lunatyczne kroki i znalazł się na środku pokoju.

- Przepraszam - odezwał się zduszonym głosem. - Czy zastałem towarzysza Iznurenkova?

Absalon Władimirowicz nie odpowiedział na to pytanie. Worobianinow podniósł głowę i dopiero teraz spostrzegł, że w pokoju nie ma nikogo.

Na podstawie wyglądu pokoju nie można się było zorientować w upodobaniach jego właściciela.

Oczywiste było tylko to, że jest kawalerem i nie posiada służącej. Na oknie leżały w papierku skórki od kiełbasy. Sofa pod ścianą była zavalona stertami gazet. Na małej półeczce stało kilka zakurzonych książek. Ze ścian spoglądały barwne fotografie kotów, kotek i kociąt. Na środku pokoju, obok zabłoconych butów, stało orzechowe krzesło. Na wszystkich sprzętach, między innymi na krześle ze stargorodzkiej willi, wisiały malinowe, lakowe pieczęcie. Ale Hipolit Matwiejewicz nie zwrócił na to uwagi. Zapomniał też natychmiast o kodeksie karnym, o instrukcjach Ostapa i jednym susem znalazł ię przy krześle.

Nagle gazety na sofie zaszeleściły. Hipolit Matwiejewicz zmartwił. Gazety obsunęły się i spadły na podłogę. Wygramolą się spod nich mały kotek.. Spojrzał obojętnie na Hipolita Matwiejewicza i zajął się swoją toaletą, myjąc łapką uszy, pyszczek i wąsy.

- Psik! - powiedział Hipolit Matwiejewicz.

I ruszył z krzesłem ku drzwiom. Drzwi otworzyły się same. Na progu stanął właściciel pokoju. Był w palcie, spod którego wyglądały fioletowe kalessony. W ręku trzymał spodnie.

Można powiedzieć, że takiego drugiego jak Absalon Władimirowicz Iznurenkow nie było w całej republice. Republika oceniała go według jego zasług. Przynosił jej wielkie korzyści. A mimo to nie cieszył się sławą, choć w swojej dziedzinie był takim samym mistrzem jak Szalapin w śpiewie, Gorki w twórczości literackiej, Capablanca w grze szachowej, Mielników w jeździe na łyżwach, a najbardziej nosaty i najbardziej brązowy Asyryjczyk, który zajmował najlepsze stanowisko na rogu Twerskiej i

Kamerherskiego - w czyszczeniu butów żółtą pastą.

Szalapin śpiewał. Gorki pisał świetną powieść. Capablanca przygotowywał się do spotkania z

Alechinem. Mielników bił rekordy. Asyryjczyk nadawał butom obywateli słoneczny połysk. Absalon

Iznurenkow - fabrykował dowcipy.

Ale nie robił tego bezcelowo, na wiatr. Fabrykował dowcipy na zamówienie pism humorystycznych.

Spełniał wielce odpowiedzialne zadania, gdyż większości moskiewskich tygodników satyrycznych dostarczał tematów do rysunków i felietonów.

Wielcy ludzie zdobywają się na dowcip dwa razy w życiu. Te dowcipy zwiększają ich popularność i przechodzą do historii. Iznurenkow tworzył co najmniej sześćdziesiąt pierwszorzędnych dowcipów i miesięcznie. Ludzie z uśmiechem powtarzali je sobie, a mimo to Iznurenkow pozostawał nadal w cieniu. Jeśli dowcip Iznurenkova był umieszczony pod rysunkiem, cała sława przypadała w udziale rysownikowi, bowiem pod rysunkiem było jego nazwisko. Nazwiska Iznurenkova w ogóle nie wymieniano.

- To straszne! - krzyzał. - Nie mam pod czym umieszczać swego nazwiska. Pod czym się tu podpisywać? Pod dwoma wierszami tekstu?

I dalej prowadził zażartą walkę z wrogami społeczeństwa, z lekkomyślnymi spółdzielcami, z defraudantami, z Chamberlainem, z biurokratami. Raził dowcipem lizusów, administrację domów, prywatną inicjatywę, dyrektorów, chuliganów, obywateli, którzy nie chcieli obniżyć cen, tudzież urzędników łamiących zasady oszczędnościowej gospodarki.

Dowcipy te, po ukazaniu się na łamach pism humorystycznych, wędrowały na areny cyrkowe, były przedrukowywane w wieczornych dziennikach, bez podania źródła, i śpiewane na estradach przez

„autorów-kuplecistów”.

Iznurenkow wyspecjalizował się w tematach, które na pozór wykluczały możliwość dowcipu. Z jałowej pustyni, jaką są nadmierne narzuty do kosztów własnych, Iznurenkow zdołał wycisnąć około stu perełek humoru. Heinemu opadłyby ręce, gdyby mu zaproponowano, żeby powiedział coś śmiesznego a równocześnie społecznie-wychowawczego na temat błędnej taryfy towarowej na małych odległościach. Mark Twain uciekałby od tego tematu, gdzie pieprz rośnie. Ale Iznurenkow trwał na swoim posterunku.

Biegał po pokojach redakcyjnych wpadając na urny przeznaczone na niedopałki i pobekując. A po dziesięciu minutach temat był opracowany, rysunek obmyślony i tytuł gotowy.

Na widok człowieka, który wynosił z jego pokoju opieczętowane krzesło, Absalon Władimirowicz machnął dopiero co odprasowanymi przez krawca spodniami, podskoczył i zawołał:

- Czyście powariowali? Zakładam protest! Nie macie prawa! Istnieją przecież, u diabła, jakieś przepisy! Chociaż głupców żadne przepisy nie obowiązują, powinniście przynajmniej ze słyszenia iedzieć, że meble mogą tu jeszcze stać dwa tygodnie! Poskarżę się prokuratorowi!... A zresztą zapłacę!...

Hipolit Matwiejewicz stał bez ruchu, a Iznurenkow zdjął palto i nie odstępując od drzwi, wciągnął spodnie na swoje grube nogi. Iznurenkow był dość otyły, chociaż twarz miał szczupłą.

Worobianinow był przekonany, że za chwilę zostanie obezwładniony i zaprowadzony na milicję. To też wpadł w osłupienie, kiedy właściciel pokoju po uporaniu się ze swoją toaletą uspokoił się nagle.

- Proszę zrozumieć - odezwał się pojednawczo - że nie mogę się na to zgodzić.

Ostatecznie Hipolit Matwiejewicz na miejscu Iznurenkowa także nie mógłby się zgodzić, żeby mu w biały dzień kradziono krzesła. Ale ponieważ nie wiedział, co powiedzieć, więc milczał.

- Ja tu nie jestem nic winien. Winna jest Centrala Instrumentów Muzycznych. Przyznaję, że od ośmiu miesięcy nie płacę rat za pianino, ale nie sprzedałem go przecież, chociaż mogłem to zrobić.

Postępuję uczciwie, a oni po łobuzersku. Odebrali mi instrument, a w dodatku zaskarżyli mnie do sądu i położyli areszt na meble. Nie wolno mi nic zabierać! Meble są moimi narzędziami pracy. I to krzesło jest także narzędziem pracy.

Hipolit Matwiejewicz zaczął się powoli orientować w sytuacji.

- Zostaw to krzesło w spokoju! - zapiszczał nagle Absalon Władimirowicz. - Słyszysz? Słyszysz?

Wstrętny biurokrato!

Hipolit Matwiejewicz pokornie wypuścił z rąk krzesło i wyszeptał.

- Przepraszam. Nieporozumienie. Służba nie drużba.

Iznurenkow nagle odzyskał humor. Zaczął biegać po pokoju i podśpiewywać: „Nazajutrz zaś wychodzi uśmiechnięta”.. Nie wiedział, co robić ze swymi rozlatanymi rękami. Zaczął wiązać krawat, nie skończył, przerwał. Chwycił gazetę, nic z niej nie wyczytał i rzucił na podłogę.

- Więc nie zabieracie dzisiaj mebli?... Doskonale! Doskonale!

Hipolit Matwiejewicz korzystając ze sprzyjających okoliczności ruszył ku drzwiom.

- Chwileczkę! - zawołał nagle Iznurenkow. - Czy widzieliście kiedy w życiu takiego kota? Przyznacie, obywatelu, że jest nieprawdopodobnie puszysty!

Kotek znalazł się w drżących rękach Hipolita Matwiejewicza.

- Najwyższa klasa! - bełkotał Absalon Władimirowicz nie wiedząc, co począć z nadmiarem energii. -

Hej, hej!

Podbiegł do okna, zaklaskał w dłonie i zaczął kłaniać się raz po raz dwóm paniom, wyglądającym z okna domu naprzeciwko. Przeszł z nogi na nogę, czule wzdychał:

- Dziewczęta z przedmieścia! Wspaniała rasa! Najwyższa klasa! Hej!... „Nazajutrz zaś wychodzi uśmiechnięta”..

- To ja już sobie pójdę, obywatelu - odezwał się nieporadnie dyrektor spółki akcyjnej.

- Zaraz, zaraz! - zawołał nagle niespokojnie Iznurenkow. - Chwileczkę!... Hej!... A kotek? Prawda, że niesłychanie puszysty? Proszę zaczekać!... Ja zaraz!...

Przeszukał nerwowo wszystkie kieszenie, wybiegł, wrócił, westchnął, wyjrzał przez okno, znowu wybiegł i znowu wrócił.

- Bardzo przepraszam, serdecznie - powiedział do Worobianinowa, który przez cały ten czas stał w żołnierskiej postawie.

I wetknął marszałkowi w łapę pół rubla.

- Nie, nie, proszę mi nie odmawiać. Każda praca musi być wynagrodzona.

- Stokrotne dzięki - rzekł Hipolit Matwiejewicz, zachwycony własną przytomnością umysłu.

- To ja dziękuję, serdecznie, to ja dziękuję!

Idącego korytarzem Hipolita Matwiejewicza dobiegały jeszcze z pokoju Iznurenkova pomruki, piski, śpiew i namiętne okrzyki.

Na ulicy przypomniał mu się Ostap. Hipolit Matwiejewicz zaczął się trząść ze strachu.

Ernest Pawłowicz Szczukin przechadzał się po pustym mieszkaniu, odstąpionym mu przez przyjaciela w drodze uprzejmości na lato, i zastanawiał się, czy nie warto by się wykąpać.

Trzypokojowe mieszkanie mieściło się pod samym dachem ośmiopiętrowej kamienicy. Oprócz biurka i orzechowego krzesła było w nim tylko tremo. Słońce odbijało się w lustrze i raziło w oczy. Inżynier położył się na biurku, ale natychmiast się zerwał. Wszystko było rozprażone.

„Wykąpię się” - postanowił.

Rozebrał się, ochłonał, przejrzał się w lustrze i poszedł do łazienki. Ogarnął go miły chłód. Wszedł do wanny, oblał się wodą z niebieskiego emaliowanego dzbanka i obficie się namydlił. Był pokryty białą pianą i przypominał świętego Mikołaja.

- Wspaniale! - powiedział.

Istotnie było wspaniale. Odczuwał miły chłód. Nie miał na karku żony. Czekala go bezgraniczna swoboda. Inżynier przykucnął i odkręcił kran, żeby się opłukać. Kran zachłysnął się i zaczął powoli przemawiać jakimś niezrozumiałym językiem. Ale woda nie płynęła. Ernest Pawłowicz wetknął śliski palec w otwór kranu. Z kranu wysączył się cieniutki strumyczek i na tym się skończyło. Ernest

Pawłowicz zmarszczył się, wylał z wanny i wysoko podnosząc nogi poszedł do kuchennego kranu. Ale i tu nie udało się nic wydoić.

Ernest Pawłowicz poczłapał do pokoju i zatrzymał się przed lustrem. Piana szczypała w oczy i łaskotała w plecy. Podłoga była zachłapana mydlinami. Ernest Pawłowicz zaczął nasłuchiwać, czy w łazience nie odezwie się szum płynącej wody, wreszcie postanowił zawołać dozorcę.

„Niech mi przyniesie trochę wody - pomyślał wycierając oczy i wpadając w coraz większe ozdrażnienie. - Diabli wiedzą, co robić”.

Wychylił się przez okno. Na samym dnie podwórzowego szybu bawiły się dzieci.

- Dozorca! - zawołał - Dozorca!

Nikt nie odpowiedział.

Wtedy Ernest Pawłowicz przypomniał sobie, że dozorca mieszka od frontu, pod schodami. Wyszedł więc na schody i przytrzymując ręką drzwi wychylił się za poręcz. Na ósmym piętrze było tylko to jedno mieszkanie i Ernest Pawłowicz mógł się nie obawiać, że go ktoś zobaczy w tym dziwnymmydlanym stroju.

- Dozorca! - zawołał w dół.

Okrzyk zabrzmiał i potoczył się po stopniach.

- Hu-hu! - odpowiedziały schody.

- Dozorca! Dozorca!

- Hum-hum! Hum-hum!

Nagle inżynier przebijający niecierpliwie bosymi nogami pośliznął się i, chcąc utrzymać równowagę, uścił drzwi. Szczeknął mosiężny języczek amerykańskiego zamka i drzwi zatrasnęły się ściana zadrżała. Ernest Pawłowicz, który nie zdawał sobie na razie sprawy z nieodwracalności tego zdarzenia, szarpnął za klamkę. Drzwi nie ustąpiły.

Inżynier jeszcze kilkakrotnie nerwowo szarpnął za klamkę i z bijącym sercem zaczął nasłuchiwać.

Wokół panowała posępna, cerkiewna cisza, światło z trudem przebijało się przez kolorowe szyby bardzo wysokiego okna.

„Ładna sytuacja!” - pomyślał Ernest Pawłowicz.

- Ty ścierwo! - powiedział do drzwi.

Na dole zaczęły wybuchać jak petardy ludzkie głosy. Potem jak głośnik zaszczekał jakiś piesek.

Ktoś windował po schodach dziecięcy wózek.

Ernest Pawłowicz zaczął niespokojnie dreptać pod drzwiami.

- Oszaleć można!

Wydawało mu się, że to wszystko jest zbyt idiotyczne, żeby było prawdziwe. Znowu podszedł do drzwi i zaczął nasłuchiwać. Pochwycił jakieś nowe dźwięki. Początkowo wydało mu się, że ktoś chodzi po mieszkaniu.

„Może ktoś wszedł kuchennymi drzwiami” - pomyślał, chociaż wiedział, że drzwi kuchenne są zamknięte i nikt nie mógł wejść do mieszkania.

Ale monotony szum słyhać było nadal. Inżynierowi zaparło dech w piersi. Uświadomił sobie, że ten szum - to plusk wody. Oczywiście, lała się ze wszystkich kranów w mieszkaniu. Ernest Pawłowicz omal się nie rozpłakał.

Sytuacja była okropna. W Moskwie, w centrum miasta, na ósmym piętrze stał na schodach dorosły mężczyzna z wyższym wykształceniem, golutki i pokryty pieniącymi się jeszcze mydlinami. Nie mógł się stąd ruszyć. Wolałby znaleźć się w więzieniu, niż pokazać się ludziom w takim stanie. Pozostawało mu tylko jedno - zginać marnie. Pęcherzyki piany pękały i piekły skórę. Piana na rękach i twarzy obeschła już. Wyglądała jak liszaj i ściągała skórę niczym ałun.

Minęło pół godziny. Inżynier ocierał się o ściany, jęczał i kilkakrotnie bezskutecznie próbował wyłamać drzwi. Był brudny i odrażający.

Wreszcie zdecydował się za wszelką cenę zejść na dół do dozorczy.

„Innego wyjścia nie ma. Jedyne moje schronienie może być stróżówka!”

Sapiąc i zasłaniając ręką wstydlive miejsce, jak to robią mężczyźni wchodząc do wody, Ernest

Pawłowicz zaczął powoli skradać się po schodach na dół. Znalazł się między ósmym a siódmym piętrem.

Ciało jego zabarwiło się różnokolorowymi rombami i kwadratami szybek. Wyglądał jak Arlekin, podsłuchujący rozmowę Kolombiny z Pierrotem. Zaczął schodzić niżej, kiedy nagle rozległ się szczęk zamka na siódmym piętrze i na schodach ukazała się młoda kobieta z walizką. Jeszcze nie zdołała uczynić kroku, kiedy Ernest Pawłowicz znalazł się z powrotem na ósmym piętrze. Gwałtowne bicie serca przyprawiało go niemal o głuchotę.

Dopiero po upływie pół godziny inżynier ochłonął o tyle, że mógł pomyśleć o nowym wypadzie. Tym razem postanowił nieodwołalnie biec na złamanie karku, nie zważając na nic, aż do upragnionej stróżówki.

Tak też uczynił. Bezszelestnie, skacząc po cztery stopnie i pojękując z cicha, członek zarządu sekcji inżynierów i techników popędził na dół. Na piątym piętrze zatrzymał się na ułamek sekundy. To go zgubiło. Ktoś szedł po schodach na górę.

- Nieznośne chłopaczysko! - rozległ się kobiecy głos uwielokrotniony przez rezonator schodów. - Już tyle razy go upominałam!

Ernest Pawłowicz, kierując się nie tyle rozsądkiem ile instynktem, zawrócił na ósme piętro jak kot ścigany przez psy.

Znalazłszy się na poznaczonych mokrymi śladami schodach ósmego piętra, inżynier załkał bezgłośnie, wyrywając sobie włosy i miotając się jak w konwulsjach. Piekące łzy wgrzyzały się w mydlaną skorupę i żłobiły w niej dwa kręte koryta.

- O Boże! - jęczał. - O Boże!

To już był koniec. A przecież uszu jego dobiegł odgłos przejeżdżającej ulicą ciężarówki. Więc dla innych życie toczyło się dalej!

Kilkakrotnie jeszcze mobilizował się do zejścia na dół, ale nie mógł się już na to zdobyć. Załamał się nerwowo. Wpadł w apatię.

- Ależ naświnili na schodach! - rozległ się na niższym piętrze jakiś starczy głos.

Inżynier podbiegł do ściany i kilkakrotnie wyrzwał w nią głową. Najrozsądniej byłoby oczywiście krzyczeć dopóty, dopóki by ktoś nie przyszedł, i oddać mu się w niewolę. Ale Ernest Pawłowicz stracił już zdolność rozumowania i kręcił się nieprzytomnie na podeście ósmego piętra.

Sytuacja była bez wyjścia.

Rozdział XXIV Klub automobilistów

W redakcji dużego dziennika „Tokarka”, mieszczącej się na pierwszym piętrze Domu Narodów, śpiesznie pitraszono materiał, który miał iść do druku.

Wyciągano z rezerw (materiał przyjęty, ale nie wykorzystany w poprzednim numerze) notatki i artykuły, obliczano ilość potrzebnych wierszy i zaczynało się codzienne użeranie o miejsce.

Wszystkie cztery strony (kolumny) dziennika zawierały ogółem 4400 wierszy. Musiało się tam zmieścić wszystko: depesze, artykuły, kronika, listy korespondentów, ogłoszenia, jeden felieton wierszem i dwa prozą, karykatury, fotografie; działy specjalne, jak teatr, sport, szachy; artykuł wstępny, komunikaty rządowych, partyjnych i związkowych organizacji, powieść w odcinku, artystyczne impresje z życia stolicy, drobiazgi pod tytułem „Okruchy”, artykuły popularno-naukowe, program radiowy i różne materiały okolicznościowe. Materiał zebrany przez wszystkie działy redakcji zająłby dziesięć tysięcy wierszy. Dlatego też podziałowi miejsca na łamach zawsze towarzyszyły dramatyczne sceny.

Pierwszy przybiegł do sekretarza redakcji kierownik działu szachowego, maestro Sudiejkin. Zadał on uprzejme, ale zaprawione gorąco pytanie:

- Jak to? Nie będzie dzisiaj kąśnika szachowego?

- Nie mieści się - odpowiedział sekretarz - odcinek jest wyjątkowo duży. Trzysta wierszy.

- Ale przecież dziś jest sobota. Czytelnik liczy na niedzielny kąśnik szachowy. Mam rozwiązania zadań, mam śliczne studium Nieunywako, mam wreszcie...

- Dobrze. Ile chcecie?

- Co najmniej sto pięćdziesiąt.

- Dobrze. Skoro są rozwiązania zadań, damy sześćdziesiąt wierszy.

Mæstro usiłował wyżebrać jeszcze trzydzieści wierszy, przynajmniej na studium Nieunywako

(niezwykła indyjska partia Tartakower - Bogolubow leżała u niego już przeszło miesiąc), ale został odesłany z kwitkiem.

Przyszedł reporter Persicki.

- Czy dajemy sprawozdania z plenum? - zapytał bardzo cicho.

- Oczywiście! - zawołał sekretarz. - Przecież mówiliśmy o tym przedwczoraj.

- Mam sprawozdanie z plenum - powiedział Persicki jeszcze ciszej - i dwa artykułiki, ale nie dają mi na nie miejsca.

- Jak to: nie dają? Z kim rozmawialiście? Czy oni powariowali?

Sekretarz pobiegł zrobić awanturę. Za nim, podjudzając go w drodze, biegł Persicki, a za obydwojma galopował pracownik działu ogłoszeń.

- A płyn na pluskwy? - wołał żałośnie.

Za nim podążał kierownik gospodarczy, dźwigając zakupione dla redaktora na licytacji wyściełane krzesło.

- Płyn we wtorek. Dzisiaj zamieszczamy materiał własny.

- Dużo zarobicie na waszych bezpłatnych ogłoszeniach. A za ten płyn zainkasowaliśmy już pieniądze.

- Dobrze, wyjaśnimy to w nocnej redakcji. Niech pan da Paszy to ogłoszenie. Jedzie właśnie do nocnej redakcji.

Sekretarz zabrał się do czytania artykułu wstępnego. Ale natychmiast oderwano go od tej pasjonującej lektury. Przyszedł grafik.

- Aha! - powiedział sekretarz - bardzo dobrze. Mamy temat do karykatury w związku z ostatnimi depeşami z Niemiec.

- Wyobrażam to sobie w ten sposób - odezwał się grafik. - Mapa Niemiec i Stahlhelm29...

- Doskonale. Niech pan to naszkicuje i pokaże mi.

Rysownik udał się do swojego działu, wziął kawałek brystolu i naszkicował ołówkiem chudego psa! Na głowie psa umieścił pikelhaubę. Potem zabrał się do napisów. Na tułowiu psa wypisał drukowanymi literami słowo: „Niemcy”, na długim ogonie - „korytarz Gdański”, na pysku - „marzenia odwetowe”, na obroży - „Plan Dawesa”30, a na wysuniętym ozorze - „Streseman”31. Naprzeciwno psa umieścił

Poincarégo32, trzymającego w ręku kawałek mięsa. Rysownik zamierzał ha nim także ulokować napis, ale kawałek mięsa był za mały i napis się nie mieścił. Człowiek mniej pomysłowy niż redakcyjny karykaturzysta znalazłby się w kropce, ale nasz rysownik bez namysłu dorysował do mięsa coś na podobieństwo recepty przyklepionej do butelki i na owej receptce drobnymi literkami wypisał:

„Francuska propozycja paktu nieagresji”. W obawie, aby Poincarégo nie pomyłono z jakimś innym mężem stanu, rysownik napisał mu na brzuchu: „Poincaré”. Szkic był gotowy.

Stahlhelm – Stalowy Hełm – prawicowa organizacja byłych wojskowych, powstała w Niemczech po pierwszej wojnie światowej, z czasem złąła się z bojówkami hitlerowskimi.

30

Plan Dawesa – opracowany przez Charlesa Dawesa dogodny dla Niemców plan uregulowania odszkodowań, łaconych przez nich po pierwszej wojnie światowej na rzecz zwycięskich aliantów.

Stresemann Gustaw (1878-1929) - niemiecki polityk burżuazyjny, kanclerz Rzeszy z czasów republiki weimarskiej

Poincaré Raymond (1860-1934) – wybitny francuski mąż stanu. Prezydent republiki podczas pierwszej wojny światowej.

Na stołach i biurkach działu graficznego leżały pisma zagraniczne, duże nożyce, buteleczki z tuszem i z bielą. Podłoga usiana była skrawkami fotografii: czyjeś ramię, czyjeś nogi, fragmenty krajobrazu...

Pięciu pracowników działu artystycznego skrobało fotografie nożykami do golenia „Gillete”; nadawali oni zdjęciom ostrość, podmalowując je tuszem i bielą, a na odwrocie umieszczali napisy i rozmiary: 3 i

3/4 kwadratu, dwie kolumnienki itp. wskazówki dla cynkografii.

W pokoju redaktora siedziała delegacja zagraniczna. Redakcyjny tłumacz wpatrywał się w twarz mówiącego cudzoziemca, a następnie zwracał się do redaktora:

- Towarzysz Arno chciałby wiedzieć...

Rozmowa toczyła się na temat organizacji radzieckiej prasy. W czasie, kiedy tłumacz wyjaśniał redaktorowi, co chciałby wiedzieć towarzysz Arno, sam Arno w welwetowych wyrzucanych spodniach tudzież pozostali cudzoziemcy przyglądali się z zaciekawieniem czerwonej obsadce ze stalówką nr 86, która stała w kącie pokoju. Pióro sięgało niemal do sufitu, a obsadka w najgrubszym miejscu była rozmiarów przeciętnego mężczyzny. Piórem tym można by pisać, gdyż miało prawdziwą stalówkę, czokolwiek rozmiarami przypominała dużego szczupaka.

- Oho-ho! - śmieli się cudzoziemcy. - Kolossal!

Pióro to zostało ofiarowane redakcji przez uczestników zjazdu korespondentów robotniczych.

Redaktor siedząc na krześle Worobianinowa uśmiechał się, przenosił wzrok z pióra na cudzoziemców i udzielał im wyjaśnień.

Zamieszanie w sekretariacie trwało nadal. Persicki przyniósł artykuł Siemaszki i sekretarz skwapliwie wykreślał z makiety trzeciej kolumny kącik szachowy. Meastro Sudiejkin nie walczył już o prześliczne studium Nieunywako. Starał się tylko ocalić rozwiązania zadań. W wyniku walki bardziej zażartej niż ta, którą stoczył w czasie spotkania z Laskerem na turnieju szachowym w San-Sebastian, maestro wywojował kawałek miejsca kosztem „Sądu i życia”

Siemaszko został odesłany do składania. Sekretarz znowu zagłębił się w lekturze wstępniaka.

Postanowił przeczytać go za wszelką cenę od deski do deski, traktując to jako wyczyn sportowy.

Kiedy doczytał do miejsca: „... Jednakże podstawy ostatniego paktu są takie, że jeśli Liga Narodów ten pakt uzna, trzeba będzie stwierdzić, iż...”, podszedł do niego „Sąd i życie” w postaci kudłatego mężczyzny. Sekretarz czytał dalej, udając że nie widzi „Sądu i życia” i robiąc we wstępniku zbyteczne poprawki.

„Sąd i życie” podszedł z drugiej strony i odezwał się urażonym tonem:

- Nie rozumiem, co to ma znaczyć.

- No, no? - mruknął sekretarz, chcąc zyskać na czasie. - O co chodzi?

- Chodzi o to, że w środę „Sądu i życia” nie było, w piątek „Sądu i życia” nie było, w czwartek zamieszczono jak z łaski tylko sprawę o alimenty, a w sobotę wycofuje się proces, o którym dawno piszą we wszystkich dziennikach, tylko my...

- Gdzie piszą - krzyknął sekretarz. - Nigdzie nie czytałem.

- Jutro ukaże się we wszystkich pismach, a my się znowu spóźnimy.

- A jak powierzyliśmy wam sprawę czubarowską, to coście napisali? Jednego wiersza nie można było z was wycisnąć. Wiem dlaczego. Pisaliście o czubarowcach do wieczorówki.

- Skąd wiecie?

- Wiem. Mówili mi.

- W takim razie wiem, kto mówił. Mówił Persicki, ten sam Persicki, który na oczach całej Moskwy posługuje się naszym aparatem redakcyjnym, żeby dostarczać materiału Leningradowi.

- Pasza! - odezwał się cicho sekretarz. - Proszę wezwać Persickiego.

„Sąd i życie” siedział nonszalancko na parapecie okna, przez które widać było ogród, gdzie roiło się od ptaków i spacerowiczów. Spór toczył się bardzo długo. Sekretarz przeciął go zręcznym posunięciem: wyrzucił kącik szachowy i wstawił na jego miejsce „Sąd i życie”. Persicki otrzymał upomnienie.

Była godzina piąta - okres najgorętszej pracy redakcyjnej.

Nad szalejącymi maszynami do pisania unosiły się chmurki dymu. Redaktorzy dyktowali ochrypłymi z pośpiechu głosami. Starsza maszynistka wymyślała hultajom, którzy cichcem podsuwali swoje materiały poza kolejką.

Po korytarzu spacerował redakcyjny poeta. Zalecał się do maszynistki, której smukłe biodra podniecały jego wyobraźnię twórczą. Zaciągnął ją na koniec korytarza i szeptał jej pod oknem czułość, na które odpowiadała:

- Mam dzisiaj nadliczówki, jestem bardzo zajęta.

Co znaczyło, że kocha innego.

Poeta plątał się pod nogami i zwracał się do wszystkich znajomych z jedną i tą samą, powtarzaną do nudzenia prośbą:

- Pożycz dziesięć kopiejek na tramwaj!

W pogoni za tą kwotą znalazł się w dziale korespondentów robotniczych. Pokręcił się między biurkami, przy których pracowali „czytacze”, pogrzebał w stosach korespondencji i podjął swoje zabiegi pożyczkowe. Czytacze, najbardziej nieczuli w

redakcji ludzie (nieczułość zawdzięczali obowiązkowi czytania dzień w dzień po setce listów, nagryzmołonych przez ludzi władających o wiele wprawniej siekierą, pędzlem lub taczkami niż piórem), milczeli.

Poeta płatał się jakiś czas po ekspedycji, wreszcie wylądował w biurze administracji. Tam nie tylko nie dostał dziesięciu kopiejek, ale w dodatku komsomolec Awdotiew zaproponował mu wstąpienie do kółka automobilistów. Natchnioną duszę poety owionęły opary benzyny. Poeta cofnął się, włączył trzeci bieg i zniknął z oczu.

Awdotiew nie poczuł się w najmniejszym stopniu zniechęcony. Wierzył w ostateczny triumf automobilizmu. W sekretariacie postanowił działać podstępem. Przeszkodziło to sekretarzowi przeczytać wstępniak do końca.

- Słuchaj, Aleksandrze Josifowiczu. Mam do ciebie ważny interes - rzekł Awdotiew siadając na biurku sekretarza. - Zorganizowaliśmy klub automobilistów. Czy nie można by dostać od redakcji pięćset rubli pożyczki na osiem miesięcy?

- Szkoda marzyć.

- Co? Myślisz, że się nie uda?

- Nie myślę, ale jestem pewien. Ilu członków liczy wasz klub?

- Bardzo wielu.

Na razie klub składał się z samego organizatora i dlatego Awdotiew wołał się nie rozwodzić nad tą kwestią.

- Za pięćset rubli kupimy na „cementarzu samochodowym” maszynę. Jegorow upatrzył już odpowiedni obiekt. Powiada, że remont nie będzie kosztował więcej niż drugie pięćset. Razem tysiąc. Zamierzam zebrać dwudziestu amatorów. Każdy da po pięćdziesiąt rubli. To może być wspaniałe. Nauczymy się szoferki. Jegorow będzie naszym instruktorem. A za trzy miesiące - w sierpniu - wszyscy umiemy prowadzić, mamy samochód i każdy po kolei jedzie, gdzie mu się podoba.

- A pięćset rubli na zakup?

- Dostaniemy z kasy samopomocy na procent. Spłacimy. Więc jak? Można cię zapisać?

Ale sekretarz był już mężczyzną łysawym, przeciążonym pracą, był niewolnikiem rodziny i domu, lubił po obiedzie uciąć sobie drzemkę na kanapie i przed zaśnięciem przeczytać „Prawdę”. Zastanowił się chwilę i odmówił.

- Zdziadziłeś! - powiedział Awdotiew.

Awdotiew przechodził od biurka do biurka i powtarzał swoje agitacyjne przemówienie. Na starcach, o których Awdotiew zaliczał wszystkich pracowników redakcji mających powyżej dwudziestu lat, słowa jego nie wywierały zbyt wielkiego wrażenia. Wykręcali się powołując się na to, należą już do

Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i płacą regularnie po dwadzieścia kopiejek rocznie na akcję pomocy dla biednych dzieciątek. Ostatecznie zgodziliby się wstąpić do klubu, ale...

- „Ale”? Jakie „ale”? - krzyczał Awdotiew. - Chcielibyście, żeby samochód był już dzisiaj? Co? żeby wam postawić na biurku nowego, niebieskiego, sześciocylindrowego Packarda za piętnaście kopiejek rocznie i żeby wam przydzielić benzynę i smary na koszt państwa?!

- Daj pokój! - odpowiadali starcy. - Musimy za chwilę oddać materiał. Przeszkadzasz nam w pracy.

Idea samochodowa gasła i zaczynała wydzielać swąd. Ale w ostatniej chwili przedsięwzięcie zyskało nowego pioniera. Persicki z trzaskiem rzucił słuchawkę telefoniczną, wysłuchał Awdotiewa i rzekł:

- Źle podchodzisz do sprawy. Daj mi listę. Zaczniemy jeszcze raz od początku.

I Persicki zaczął na nowo wędrówkę po działach w towarzystwie Awdotiewa.

- Słuchaj, stary materacu - zwrócił się do błękitnookiego młodzieńca - na ten cel nie trzeba wcale pieniędzy. Czy masz obligacje pożyczki z dwudziestego siódmego roku? Na ile? Na pięćdziesiąt?

Doskonale. Oddajesz te obligacje do naszego klubu. Z obligacji tworzy się kapitał. W sierpniu będziemy mogli zrealizować wszystkie obligacje i kupić samochód.

- A jeśli na moją obligację padnie wygrana? - bronił się młodzieniec.

- A ileż masz chęć wygrać?

- Pięćdziesiąt tysięcy.

- Za te pięćdziesiąt tysięcy zakupimy samochody. Jeśli ja wygram - zrobimy tak samo. I tak samo - jeśli wygra Awdotiew. Słowem, bez względu na to na czyją obligację padnie wygrana, pieniądze pójdą na zakup samochodów. Rozumiesz wreszcie? Ach, ty, frajerze! Pojedziesz na wycieczkę Wojenną Drogą

Gruzińską. Góry, ośle! A za tobą zasuwać własnymi samochodami: „Sąd i życie”, kronika, wypadki i kradzieże, no i ta niewiasta, uważasz, co to pisze o filmach... No?...No?... Będiesz miał używanie...

Żaden z posiadaczy obligacji nie wierzy w głębi ducha w możliwość wygranej. Ale każdy z nich ma zawistny stosunek do obligacji będących w posiadaniu kolegów i znajomych. Jak ognia boi się tego, że ktoś inny może wygra, a on, wieczny pechowiec, znowu zostanie na lodzie. To też nadzieje na wygraną kolegi redakcyjnego skłaniały niechybnie posiadaczy obligacji do wstępowania w poczet członków nowego klubu. Niepokoiła ich jedynie obawa, że żadna obligacja nie wygra. Ale to, nie wiedzieć czemu, wydawało się wręcz, niemożliwe. Zresztą klub automobilowy nic na tym nie tracił, gdyż jeden samochód z „cmentarza” był zagwarantowany dzięki uzyskanemu z obligacji kapitałowi.

W ciągu pięciu minut zwerbowano dwudziestu członków. Kiedy sprawa była już załatwiona, nadszedł sekretarz redakcji, którego zainteresowały ponętne perspektywy klubu automobilistów.

- Jak myślicie, chłopcy - powiedział - a może i ja bym się zapisał?

- Owszem, zapisz się, staruszkule! Czemu nie? - odpowiedział mu Awdotiew - ale nie do nas. My, niestety, mamy już komplet.

Przyjmowanie nowych członków zawieszono na rok. Tysiąc dziewięćset dwudziestego ziewniętego. Zapisz się lepiej do Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Taniej i bezpieczniej. Płaci się dwadzieścia kopiejek rocznie i nigdzie nie trzeba jeździć.

Sekretarz zawahał się, uświadomił sobie, że istotnie jest już niemłody, westchnął i poszedł dalej czytać fascynujący artykuł wstępny.

- Przepraszam, towarzyszu - zaczepił go na korytarzu przystojny młody mężczyzna o czerkieskiej twarzy - gdzie tu się mieści redakcja dziennika „Tokarka”?

Był to wielki kombinator.

Rozdział XXV Rozmowa z nagim inżynierem

Wizytę Ostapa Bendera w redakcji poprzedził szereg doniosłych wydarzeń. Bender nie zastał w domu

Ernesta Pawłowicza (mieszkanie było zamknięte, a lokator znajdował się prawdopodobnie w biurze); postanowił zatem przyjść jeszcze raz nieco później, tymczasem obijał się po mieście. Gnany wrodzoną u żądzą aktywności, łąził po ulicach, zatrzymywał się na placach, porozumiewawczo mrugał do milicjanta, pomagał kobietom przy wsiadaniu do autobusów i w ogóle zachowywał się tak, jakby cała

Moskwa łącznie z pomnikami, tramwajami, cerkwiami, dworcami i słupami reklamowymi zebrała się u niego na raucie. Spacerował między gośćmi, uprzejmie z nimi gawędził i dla każdego umiał znaleźć jakieś miłe słówko. Zabawianie tak liczного grona gości znużyło nieco wielkiego kombinatora. Zresztą dochodziła już szósta i trzeba było udać się ponownie do inżyniera Szczukina.

Ale los zrządził, że przed spotkaniem z Ernestem Pawłowiczem Ostap zmuszony był stracić dwie godziny na spisanie drobnego protokółiku. Na placu Teatralnym wielki kombinator upadł pod konia.

Ni stąd, ni zowąd wyrosło przed nim potulne siwe zwierzę i przygniotło go chudą pierśią. Bender upadł oblewając się potem. Było bardzo gorąco. Siwy koń głośno prosił o przebaczenie. Ostap błyskawicznie zerwał się na nogi. Krzepkie jego ciało nie doznało żadnych obrażeń. Była to okoliczność sprzyjająca, aby zrobić awanturę.

Nikt w tej chwili nie poznałby w Ostapie owego gościnnego i uprzejmego gospodarza Moskwy. Lekko kołyszając się w biodrach, Ostap podszedł do przerażonego starowiny dorożkarza i zdzielił go pięścią w watomane plecy. Staruszek przyjął tę karę z pokorą. Nadbiegł milicjant. - żądam spisania protokołu! - zawołał patetycznie Ostap. W głosie jego zabrzmiał ból człowieka dotkniętego w swoich najświętszych uczuciach. Pod ścianą Teatru Małego, w tym miejscu, gdzie obecnie wmurowana jest tablica ku czci wielkiego rosyjskiego dramaturga Ostrowskiego, Ostap podpisał protokół i udzielił treściwego wywiadu Persickiemu, który przybiegł na miejsce wypadku. Persicki nie gardził czarną robotą dziennikarską. Starannie zapisał w notesie imię i nazwisko ofiary wypadku i pobiegł dalej

Ostap dumnie ruszył w dalszą drogę. Był wstrząśnięty zderzeniem z siwym koniem i nie mógł sobie darować, że nie nakładł dorożkarzowi porządnie po karku. W tym stanie ducha, Ostap skacząc po dwa stopnie, znalazł się na szóstym piętrze kamienicy, gdzie mieszkał Szczukin. Nagle na głowę spadła mu ciężka kropla. Ostap zadarł głowę do góry. W tej samej chwili oczy zalał mu strumyk brudnej wody.

- „Czuję, że za te żarciki ktoś dostanie po mordzie!” - pomyślał i szybko wbiegł na ósme piętro.

Pod drzwiami mieszkania Szczukina Bender ujrzał nagie plecy mężczyzny pokryte białymi liszajami,

ów nagi mężczyzna siedział na kamiennej posadzce, rękami obejmował głowę i kiwał się monotonnie.

Dokoła nagusa stała woda wydobywająca się spod drzwi mieszkania.

- O-o-o! - jęczał nagus! - O-o-o!...

- Co pan tu wyprawia z tą wodą? - spytał Ostap z rozdrażnieniem. - Czy klatka schodowa to odpowiednie miejsce do kąpeli? Czyś pan zwariował?

Nagus spojrział na Ostapę i załkał.

- Słuchajcie, obywatelu! Czy nie lepiej pójść do łaźni zamiast płakać? Do czego to podobne? Wygląda pan jak jakiś pikador!

- Klucz - załkał inżynier.

- Jaki klucz? - spytał Ostap.

- Od mie-esz-kania!

- Gdzie leżą pieniądze?

Nagi mężczyzna łkał spazmatycznie.

Ostap był niewzruszony. Coś zaczęło mu świtać w głowie. A kiedy wreszcie zrozumiał o co chodzi, popadł w tak szaloną wesołość, że ze śmiechu omal nie spadł ze schodów.

- Więc nie może się pan dostać do mieszkania? A to przecież takie proste!

Starannie unikając zetknięcia z mokrym gołosem Ostap podszedł do drzwi, w otwór amerykańskiego zatrzasku wsunął długi, żółty paznokieć dużego palca i ostrożnie zaczął nim obracać w prawo, w lewo, w górę i w dół.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie i nagus z radosnym wyciem wbiegł do zalanego wodą mieszkania.

Krany szumiały. W jadalni woda kłębiła się i wirowała. W sypialni natomiast tworzyła nieruchomą sadzawkę, po której majestatycznie jak łabędzie pływały ranne pantofle. Niedopałki zbiły się w kącie jak stado sennych rybek.

Krzesło Worobianinowa stało w jadalni, w samym środku rwącego nurtu. Dokoła jego czterech nóg piętrzyły się spienione fale. Krzesło lekko drżało, jakby zamierzało odpłynąć lada chwila sprzed oczu swego prześladowcy. Ostap usiadł na nim i podkurczył nogi. Ernest Pawłowicz, który już odzyskał przytomność, biegał po mieszkaniu z okrzykami: „Pardon, pardon!” i zakręcał krany. Następnie obmył się i stanął przed Benderem w mokrych, podkasanych do kolan spodniach.

- Uratował mi pan życie! - zawołał gorąco. - Przepraszam, że nie podaję panu ręki, ale jestem cały mokry. Niewiele brakowało, a byłbym dostał bzika.

- Tak, widziałem, że się na to zanosì.

- Znalazłem się w tragicznej sytuacji!

I Ernest Pawłowicz, przeżywając po raz wtóry straszną przygodę, robiąc tragiczne miny, to znów wybuchając nerwowym śmiechem, opowiedział wielkiemu kombinatorowi wszystkie szczegóły katastrofy.

- Gdyby nie pan, byłbym zgubiony - zakończył.

- Tak - rzekł Ostap - ja też przeżyłem podobny wypadek. Może nawet gorszy.

Inżyniera interesowało teraz wszystko, co przypominało jego przygodę, to też odstawił na bok wiadro, którym zbierał wodę, i z zaciekawieniem wysłuchał opowieści Bendera.

- Przydarzyło mi się coś bardzo podobnego - zaczął Ostap - tylko że było to w zimie i nie w Moskwie, lecz w Mirgorodzie, w roku dziewiętnastym, w jednym z weselszych okresów bezkrólewia między rządami Machny i Tiutiunika. Mieszkałem u pewnej rodziny. Wstrętna hołota! Typowi kapitalistyczni ciułacze: parterowy domek, a gratów i łachów co niemiara. A trzeba panu wiedzieć, że w zakresie kanalizacji i tym podobnych urządzeń Mirgorod posiada jedynie doły asenizacyjne. Otóż pewnej nocy wybiegłem z domu na śnieg w samej tylko bieliźnie. O przeziębieniu nie było mowy, bo to sprawa krótka... Wybiegłem i niechcący zatrzasałem za sobą drzwi. Mróz - dwadzieścia stopni. Pukam - nie otwierają. Stać w miejscu nie można, bo śmierć. Biegam więc i pukam, pukam i biegam - nie otwierają. A nikt z tych drani nie spał! Koszmarna noc. Psy wyją. Słychać jakieś strzały. A ja skacę po śniegu w krótkich kałesonach. Dobijałem się przeszło godzinę. Mało mnie szlag nie trafił. Jak pan myśli: dlaczego mi nie otwierali? Bo chowali swoje skarby, zaszywali kierunki³³ w poduszki. Myśleli, że to rewizja. Byłbym ich pozabijał!

Inżynier słuchał z całym zrozumieniem.

- Tak - zakończył Ostap. - Więc to pan jest inżynier Szczukin?!

- Ale niech pan nikomu nie opowiada o tej przygodzie. Bardzo proszę. Bo to przecież hańba.

- O, może pan być całkiem spokojny. Entre nous. Tête à tête. Czyli w cztery oczy, jak mówią Francuzi.

Przychodzę do pana w pewnej sprawie, towarzyszu Szczukin.

- Będzie mi bardzo miło, jeśli się na coś przydam.

- Grand merci. Chodzi o drobiazg. Pańska małżonka prosiła mnie, żebym wpadł do pana i przyniósł jej to krzesło. Powiedziała, że jest jej potrzebne do pary. A na to miejsce przyśle panu fotel.

- Bardzo proszę! - zawołał Ernest Pawłowicz. - Służę. Ale dlaczego pan ma się fatygować? Sam mogę jej przecież odnieść krzesło. Choćby zaraz.

- Ależ co znowu! Dla mnie to drobiazg. Mieszkam obok i nie sprawi mi to najmniejszego kłopotu.

Kierenki – banknoty będące w obiegu za rządów Kiereńskiego.

Inżynier odprowadził wielkiego kombinatora do drzwi, ale nie miał odwagi przekroczyć progu, mimo że klucz od mieszkania miał w kieszeni mokrych spodni.

Eks-student Iwanopulo dostał w prezencie od Ostapa jeszcze jedno krzesło. Mimo uszkodzonego pokrycia było to bardzo ładne krzesło i przedziwnym zbiegiem okoliczności, doskonale dobrane do poprzedniego.

Brak skarbu w czwartym z kolei krześle nie zraził Ostapa. Bender wiedział, że los lubi płatać figle.

Jedyną ciemną plamą na horyzoncie jego optymizmu było krzesło, które zniknęło w czeluściach ekspedycji towarowej dworca Październikowego. Sprawa tego krzesła była nieprzyjemna i nastroczała poważne wątpliwości.

Wielki kombinator był w sytuacji gracza w ruletkę, który stawia tylko na numery, czyli chce wygrać za jednym zamachem trzydziestosześcioletnią stawkę. W tym wypadku położenie było o tyle gorsze, że nasi współpracownicy grali na ruletce, gdzie jedenaście razy na dwanaście wychodziło zero. A na dobitkę, ów dwunasty numer zniknął z pola widzenia i diabli wiedzą, gdzie się obracał, być może z ukrytym w sobie skarbem.

Gorzkie rozmyślenia Ostapa przerwało przybycie naczelnego dyrektora. Już sam jego wygląd obudził w Ostapie najgorsze przeczucia.

- Oho! - rzekł kierownik techniczny. - Widzę, że robi pan postępy. Tylko bez takich żartów. Dlaczego zostawił pan krzesło za drzwiami? Chce się pan ze mną trochę podroczyć?

- Towarzyszu Bender! - bąknął marszałek.

- Po co mi pan gra na nerwach! Dawaj pan krzesło! Widzi pan chyba, że krzesło, na którym w tej chwili siedzę, wielokrotnie zwiększa szanse pańskiego dzisiejszego łupu. Ostap przechylił głowę na bok i przymrużył oczy.

- Nie męcz pan dziecka! - ozwał się basem. - Gdzie krzesło? Dlaczego pan go nie przyniósł?

Chaotyczne sprawozdanie Hipolita Matwiejewicza było wielokrotnie przerywane okrzykami, ironicznymi oklaskami i drwiącymi pytaniami. Zakończenie sprawozdania zostało przyjęte szatańskim śmiechem audytorium.

- A moje instrukcje? - spytał Ostap groźnie. - Tyle razy tłumaczyłem panu, że kradzież to grzech! Już wtedy, w Stargorodzie, kiedy pan zamierzał okraść moją żonę, madame Gricacujew, już wtedy zorientowałem się, że ma pan naturę kieszonkowego złodziejzaka. Sześć miesięcy w ogólnej celi, to szczyty, do których mogą pana doprowadzić pańskie wrodzone zdolności. Jak na giganta myśli i ojca rosyjskiej demokracji skala możliwości dość uboga. A oto rezultaty. Krzesło, które pan już trzymał w garści, uciekło panu sprzed nosa. Co gorsza, zaprzepaścił pan łatwą stosunkowo sprawę. Niech pan teraz spróbuje powtórzyć swoją wizytę. Ten Absalon urwie panu łeb. Gdyby nie głupi zbieg okoliczności, który przyszedł panu z pomocą, siedziałby pan teraz za kratkami i bezskutecznie wyglądał ode mnie wałówek. Ja panu wałówek, nosić nie będę, niech pan na to nie liczy. Co mi tam

Hekuba? Ani pan mi brat, ani swat.

Hipolit Matwiejewicz stał ze spuszczoną głową w pełnym poczuciu swojej niższości.

- Tak, tak, kochasiu! Widzę całą bezcelowość naszej współpracy, a w każdym razie współpraca z tak mało inteligentnym współnikiem za czterdzieści procent absolutnie nie leży w moim interesie. Volens nie volens, muszę postawić nowe warunki.

Hipolit Matwiejewicz, który dotychczas wstrzymywał oddech, teraz zaczął głośno sapać.

- Tak, stary przyjacielu, cierpi pan na niedowład organizacyjny tudzież na impotencję umysłową. W związku z tym pański udział w przedsiębiorstwie musi ulec ograniczeniu. A zatem uczciwie: godzi się pan na dwadzieścia procent?

Hipolit Matwiejewicz energicznie potrząsnął głową.

- Dlaczego pan się nie chce zgodzić? Za mało dla pana?

- Z-za m-mało!

- Przecież to wyniesie trzydzieści tysięcy rubli! Więc ile pan w końcu chce?

- Zgadzam się na czterdzieści!

- Rozbój na równej drodze! - rzekł Ostap naśladowując głos marszałka podczas historycznych układów w stróżówce. - Mało panu trzydzieści tysięcy? A może chce pan jeszcze klucz od mieszkania?

- To panu potrzebny klucz od mieszkania - bąknął Hipolit Matwiejewicz.

- Bierz pan dwadzieścia procent pókim dobry, bo mogę się rozmyślić. Niech pan korzysta z tego, że jestem w humorze.

Worobianinow dawno już stracił tę pewną siebie minę, z jaką wyruszał na poszukiwanie brylantów.

Owe lody, które ruszyły już w stróżówce, owe huczące, trzaskające i walące o granitowe brzegi lody, dawno już pokruszyły się i roztajały. Te lody już przestały istnieć. Zostały tylko szerokie fale wody, które unosiły Hipolita Matwiejewicza to w tę, to w drugą stronę; fale te przybliżały go do upragnionych krzeseł, to znów go od nich oddalały. Hipolit Matwiejewicz czuł niewysłowiony lęk.

Wszystko przejmowało go strachem. Fala owa niosła równocześnie wszelkiego rodzaju śmieci, odpadki, pomyje, połamane kurniki, zdechłe ryby, czyjś okropny kapelusz... Może to kapelusz ojca

Fiodora, który zerwał mu z głowy wiatr w Rostowie? Kto wie? Brzegu nie widać, a były marszałek szlachty nie miał już siły ani ochoty płynąć pod prąd.

Fala sama niosła go na pełne morze przygód.

Rozdział XXVI Dwie wizyty

Podobnie jak wyjęte z pieluszek niemowlę, które bez przerwy zaciska i rozwiera woskowe piąstki, macha nóżkami, kręci główką wielkości dużej antonówki ubranej w czepeczek i puszcza buzią banieczki śliny, Absalon Iznurenkow był w nieustannym ruchu, przebierał pulchnymi nóżkami, kręcił wygoloną brodą, wydawał okrzyki i nieustannie wykonywał owłosionymi rękami takie ruchy, jakby

ćwiczył na hantlach.

Absalon Iznurenkow prowadził niezwykle aktywne życie, wszędzie go było pełno i ciągle występował z jakimiś propozycjami, biegał po ulicach jak wystraszona kura i gadał do siebie tak głośno i szybko, jakby oceniał dla celów ubezpieczeniowych najbliższą kamienicę krytą blachą. Zasadniczą cechą jego życia i działalności stanowiło to, że organicznie nie był zdolny do zajmowania się żadną sprawą lub myślą dłużej niż minutę.

Jeśli dowcip nie chwycił i nie wywoływał natychmiast wybuchu śmiechu, nie usiłował, jak inni, przekonywać redaktora, że dowcip jest mimo wszystko dobry, tylko trzeba się nad nim trochę zastanowić, ale natychmiast proponował drugi. - Jak zły, to zły - mówił - i basta! W sklepach Absalon

Władimirowicz robił tyle zamieszania, tak szybko wyrastał i znikał sprzed oczu oszołomionych sprzedawców, z takim rozmachem kupował pudełko czekoladek, że kasjerka spodziewała się zainkasować od niego co najmniej trzydzieści rubli. A tymczasem Iznurenkow tańcząc koło kasy i łapiąc się za krawat, jakby go ktoś dusił, rzucał na szklaną podstawkę zmiętą trzyrubłówkę i bełkocząc podziękowania znikał jak kamfora.

Gdyby człowiek ten potrafił zatrzymać się przy czymś choćby na dwie godziny, kto wie, co by z tego mogło wyniknąć? Może Iznurenkow napisałby znakomitą powieść;

może zrehabilitowałby podanie do kasy samopomocy o przyznanie mu bezzwrotnej pożyczki; może zaproponowałby nowy punkt do przepisów o gospodarowaniu przestrzenią mieszkalną lub stworzył podręcznik „Sztuka dobrego ubierania się tudzież właściwego zachowania w towarzystwie”.

Ale Iznurenkow nie nadawał się do tego. Rozbiegane nogi zmuszały go do ciągłego przenoszenia się z miejsca na miejsce, ołówek wylatywał jak strzała z jego ruchliwych rąk, a myśli były w ustawicznych podskokach.

Iznurenkow biegał po pokoju, aż pieczęcie na meblach kołysały się jak kolczyki w uszach tańczącej cyganki. Na krześle siedziała filuterna dziewczyna z przedmieścia.

- Ach! Ach! - wykrzykiwał Absalon Władimirowicz. - Boska!

„Królowej krasa najcenniejszą uczty tej ozdobą” Ach! Ach! Co za klasa!... Istna królowa Margôt.

Królowa z przedmieścia, która nic z tego nie rozumiała, chichotała z należnym respektem.

- Proszę się poczęstować czekoladą! Bardzo proszę!... Ach! Ach!... Uroczą!

Obsypywał rączki królowej pocałunkami, zachwycił się jej skromną toaletą, kładł jej na kolana kota i wypytywał gorączkowo:

- Prawda, jaki podobny do papugi? Lew! Lew! Istny lew! Trzeba przyznać, że jest fenomenalnie puszysty! A ogon! Ogon! Czy to nie wspaniały ogon?

Potem rzucił kota w kąt, przycisnął ręce do swojej pulchnej, kobiecej piersi i zaczął kłaniać się komuś przez okno. Nagle w jego szalonej głowie przeskoczyła jakaś klapka, zaczął robić dwuznaczne żarty na temat fizycznych i duchowych zalet swojego gościa:

- Czy ta broszka jest naprawdę ze szkła? Ach! Ach! Co za ogień!... Słowo honoru, jestem zupełnie oślepiiony!... A czy Paryż to naprawdę takie duże miasto? I rzeczywiście jest tam wieża Eiffla?... Ach!

Ach!... Co za rączki! Co za nosek! Ach!

Nawet nie próbował objąć dziewczyny. Wystarczało mu prawienie komplementów. Usta mu się nie zamykały. Potok jego słów przerwało dopiero niespodziewane zjawienie się Ostapa.

Wielki kombinator obracał w palcach jakąś karteczkę i pytał surowo:

- Czy tu mieszka obywatel Iznurenkow? Czy to wy, obywatelu?

Absalon Władimirowicz wpatrywał się z niepokojem w kamienną twarz przybysza. Z wyrazu jego oczu chciał odgadnąć, jakie sprowadziły go pretensje: czy będzie to kara za wybitą w tramwaju szybę, czy pozew sądowy w związku z zaległym komornym, czy propozycja zaabonowania czasopisma dla niewidomych.

- Co to za porządki, towarzyszu - powiedział szorstko Ostap. - Jakim prawem wyrzuciliście za drzwi osobę urzędową?

- Jaką urzędową osobę?

- Dobrze wiecie jaką. Natychmiast zabieram meble. Obywatelko, proszę opróżnić to krzesło! - zażądał groźnie Ostap.

Obywatelka, której przed chwilą recytowano najbardziej nastrojowe wiersze najznakomitszych poetów, wstała z krzesła.

- Nie! Proszę nie opróżniać! - krzyknął Iznurenkow zasłaniając krzesło własną piersią. - To bezprawie!

- Co do praw, to nie radziłbym obywatelowi zabierać głosu. Trzeba mieć trochę uświadomienia!

Proszę opróżnić krzesło. Przepisy to rzecz święta!

Mówiąc to, Ostap złapał krzesło i potrząsnął nim w powietrzu.

- Zabieram ten mebel! - oświadczył kategorycznie.

- Nie! Nie zabierzecie go!

- Jak to nie zabiorę - powiedział z drwiącym uśmiechem Ostap wychodząc na korytarz - kiedy już zabrałem?

Absalon ucałował rączki królowej i z pochyloną głową pobiegł za swoim upartym prześladowcą. Ostap był już na schodach.

- Powtarzam, że to bezprawie. Zgodnie z przepisami meble mogą stać u mnie jeszcze dwa tygodnie, a stoją dopiero trzy dni! Kto wie, może zapłacić?!

Iznurenkow krążył dokoła Ostapa jak pszczoła. W ten sposób znaleźli się na ulicy. Absalon

Władimirowicz ścigał krzesło aż do rogu. Ale tu ujrzął stadko wróbli, uwijające się koło kupki końskiego nawozu. Spojrzał na wróble rozjaśnionym wzrokiem, mruknął coś do siebie, klasnął w dłonie i zawołał z głośnym, perlistym śmiechem:

- Pierwszorządne! Ach! Ach!... Cóż za temat!

Pochłonięty rozwijaniem tematu, Iznurenkow zawrócił w podskokach do domu. O krześle przypominał sobie dopiero wtedy, kiedy ujrzął dziewczynę z przedmieścia stojącą na środku pokoju.

Ostap zawiózł krzesło dorożką do domu.

- Niech się pan uczy - powiedział do Hipolita Matwiejewicza. - Zdobyłem to krzesło gołymi rękami. Za darmo. Rozumie pan?

Po rozpruciu krzesła Hipolit Matwiejewicz stracił na minie.

- Nasze szanse ciągle rosną - rzekł Ostap - ale nie mamy już ani grosza. Czy przypadkiem nieboszczka teściowa pańska nie lubiła robić ludziom kawałów?

- A bo co?

- Bo może żadnych brylantów w ogóle nie ma?

Hipolit Matwiejewicz zaczął tak energicznie wymachiwać rękami, że marynarka podjechała mu dogóry.

- Jeśli tak, to w porządku. Miejmy nadzieję, że umeblowanie Iwanopulo powiększy się jeszcze o jedno tylko krzesło.

- A o was, towarzyszu Bender, pisali dziś w gazetach - powiedział przymilnie Hipolit Matwiejewicz.

Ostap skrzywił się.

Nie lubił, żeby prasa zajmowała się jego osobą.

- Co pan plecie? W jakich gazetach?

Hipolit Matwiejewicz z triumfem rozłożył numer „Tokarki”

- O, tutaj, w rubryce „Dzisiejsze wypadki”.

Ostap uspokoił się nieco, bo obawiał się wzmianek o sobie jedynie w rubrykach: „Nasze ciernie” i „Za nadużycia - pod sąd!”

Rzeczywiście w rubryce „Dzisiejsze wypadki” wydrukowane było nonparelem:

WPADŁ POD DOROŻKĘ

Wczoraj na placu Swierdłowa wypadł pod dorożkę nr 8974 ob. O. Bender.

Szczęśliwie skończyło się na przestrichu.

- Na przestrichu! To dorożkarz się przestraszył, nie ja - warknął O. Bender. - Idioci! Sami nie wiedzą, co piszą! Ach! To „Tokarka”! Co za miła niespodzianka! Czy pan wie, panie Worobianinow, że ten, kto pisał tę wzmiankę, siedział być może na naszym krześle? Zabawne!

Wielki kombinator zamyślił się.

Znalazł się pretekst do wizyty w redakcji.

Ostap dowiedział się od sekretarza, że wszystkie pokoje po obu stronach długiego korytarza należą do redakcji, przybrał minę chłopka-jołopka i przystąpił do zwiedzania pomieszczeń redakcyjnych, aby wybadać, w którym pokoju stoi krzesło.

Najpierw zajrzał do pokoju związków zawodowych, gdzie właśnie odbywało się zebranie młodych automobilistów; stwierdził, że nie ma tam poszukiwanego krzesła i przeszedł do sąsiedniego pokoju.

W pokoju administracji udawał, że czeka na jakąś decyzję; w wydziale korespondentów informował się, gdzie można nabywać makulaturę; w sekretariacie dowiadywał się o warunki prenumeraty; a w pokoju felietonistów pytał, gdzie przyjmują ogłoszenia o zagubieniu dokumentów.

W ten sposób dotarł do gabinetu redaktora, który siedział właśnie na cennym krześle i ryczał w słuchawkę telefoniczną.

Ostap potrzebował nieco czasu na zapoznanie się z terenem.

- Towarzyszu redaktorze, w waszej gazecie rzucono na mnie jawne oszczerstwo - rzekł Bender.

- Jakie oszczerstwo? - zapytał redaktor.

Ostap długo wertował numer „Tokarki”. Krótki rzut oka na drzwi wystarczył mu do stwierdzenia, że są one zaopatrzone w amerykański zamek. Ale wystarczy wyciąć kawałek szyby w oszklonych drzwiach i sunąć rękę przez otwór, aby otworzyć zamek od wewnątrz.

Redaktor przeczytał wskazaną przez Ostapę wzmiankę.

- A gdzie tu widzicie oszczerstwo?

- Jak to: gdzie? Proszę! „Szczęśliwie skończyło się na przestrichu”.

- Nie rozumiem.

Ostap spojrzał łagodnie na redaktora i na krzesło.

- Czy wyglądam na takiego, co się złęknie byle dorożki? Zostałem skompromitowany wobec całego świata. Domagam się sprostowania.

- Szanowny obywatelu - rzekł redaktor - nie ma w tym żadnej kompromitacji, a sprostowań w tak błahych sprawach nie umieszczamy.

- Ja jednak nie puszczę tego płazem - rzekł Ostap wychodząc z gabinetu.

Wiedział już wszystko, co chciał wiedzieć.

Rozdział XXVII Niezwykły sakwojaż

Członkowie stargorodzkiego efemerycznego „Miecza i pług” tudzież zuchy z „Szybkopaku” ustawili się w długą kolejkę przed składem mąki „Chleboprodukt”.

Przechodnie zatrzymywali się i pytali:

- Do czego ta kolejka?

W każdej beznadziejnie nudnej kolejce znajdzie się człowiek, którego gadatliwość jest tym większa, im dalej stoi, a Polesow zajmował właśnie jedno z ostatnich miejsc.

- Ładne czasy - mówił naczelnik straży ogniowej. - Niedługo będziemy jedli otręby. Toć przecież w dziewiętnastym roku było lepiej. Zapas mąki w mieście nie starczy nawet na cztery dni.

Mieszkańcy miasta z niedowierzaniem podkręcali wąsy, dyskutowali z Polesowem i powoływali się na

„Stargorodzką Prawdę”.

Po udowodnieniu Polesowowi, że mąki w mieście jest pod dostatkiem oraz że nie ma żadnego powodu do paniki, mieszkańcy miasta biegli do domu, brali do kieszeni cały zapas gotówki i stawali w ogonku po mąkę.

Spryciarze z „Szybkopaku” wykupili wszystką mąkę ze składu i uformowali nową kolejkę w sklepie spożywczym po cukier i herbatę.

Po upływie trzech dni nastąpił w Stargorodzie kryzys aprowizacyjny i towarowy. Przedstawiciele spółdzielczości i handlu uspołecznionego wystąpili z wnioskiem, żeby do czasu nadejścia nowych dostaw ograniczyć sprzedaż detaliczną do jednego funta cukru i pięciu funtów mąki na osobę.

Już następnego dnia znalazła się na to skuteczna odtrutka.

Pierwszy w kolejce po cukier stał Alchen. Za nim jego żona Saszchen, Pasza Emiliewicz, cztery

Jakowlewicze i piętnaście staruszek z przytułku w sukniach z drelichu. Po wyłuskaniu w ten sposób z głównej spółdzielni spóżywców pół puda cukru, Alchen powiódł swoją kolejkę do następnej spółdzielni, besztając po drodze Paszę Emiliewiczą, który zdążył już skosztować przypadający na niego funt kryształu. Pasza wysypywał cukier z torby na dłoń i ekspediował go stamtąd w czeluść swojej szerokiej paszczy. Alchen uwijał się w ten sposób przez cały dzień. Dla uniknięcia nadmiernego rozkurzu wycofał Paszę Emiliewiczą z ogonków i powierzył mu transport zakupionej żywności na rynek. Tam Alchen ze wstydem oferował właścicielom prywatnych sklepików kupione w sklepach państwowych i spółdzielczych: cukier, mąkę, herbatę i markizetę.

Polesow wystawał w kolejkach przeważnie dla zasady. Nie miał pieniędzy, nie mógł więc robić żadnych zakupów. Przenosił się z jednego ogonka do drugiego, przysłuchiwał się rozmowom, wtrącał złośliwe uwagi, unosił znacząco brwi i wypowiadał mętne

proroctwa. W wyniku tych aluzji i niedomówień rozeszły się po mieście pogłoski o przybyciu do Stargorodu jakiejś podziemnej organizacji z Mieczi i Kaługi.

Gubernator Diadiew zarobił w ciągu jednego dnia dziesięć tysięcy. Ile zarobił prezes giełdy, nie dowiedziała się nawet jego rodzona żona.

Myśl o przynależności do tajnego stowarzyszenia nie dawała Kisłarskiemu spokoju. Krążące po mieście pogłoski napędziły mu stracha. Po bezsennej nocy prezes giełdy doszedł do przekonania, że tylko szczere przyznanie się do winy może przyczynić się do złagodzenia wyroku.

- Henrieto! - powiedział do żony. - Trzeba przenieść manufakturę do szwagra.

- Boisz się, że przyjdą? - zapytała Henrieta Kisłarska.

- Mogą przyjść. Ponieważ w naszym kraju nie ma wolnego handlu, prędzej czy później będę musiał posiedzieć.

- Czy mam ci przygotować zmianę bielizny? O, nieszczęsna moja doło! Przez całe życie nosić wałówki!

Dlaczego nie weźmiesz państwowej posady? Szwagier jest członkiem związku zawodowego i wszystko w porządku. A ty uparłeś się być czerwonym kupcem!

Henrieta nie wiedziała, że los wysunął jej męża na stanowisko prezesa giełdy. Dlatego też była spokojna.

- Gdybym nie wrócił dziś na noc - powiedział Kisłarski - przyjdź jutro z paczką. Tylko, na miłość boską, nie przynoś mi pierogów. Co to za przyjemność jeść zimne pierogi?

- A może weźmiesz ze sobą prymus?

- Myślisz, że mi pozwolą trzymać prymus w celi? Daj mi mój sakwojaż.

Kisłarski miał niezwykle sakwojaż wykonany na obstalunek. Sakwojaż ten był wręcz uniwersalny.

Rozłożony, służył jako łóżko; częściowo złożony stanowił stół; ponadto zastępował szafę, miał óleczki, wieszaki i szufladki, żona zapakowała do uniwersalnego sakwojaża zimną kolację tudzież zmianę bielizny.

- Możesz mnie nie odprowadzać - powiedział doświadczony mąż. - Jeżeli Rubens przyjdzie po pieniądze, powiedz mu, że pieniędzy nie ma. Dowidzenia! Rubens może zaczekać.

I Kisłarski z godnością wyszedł na ulicę, niosąc swój sakwojaż.

- A dokąd to, obywatelu Kisłarski? - zawołał do niego Polesow.

Polesow stał przy słupie telegraficznym i okrzykami dodawał ducha pracownikowi służby łączności, który, czepiając się słupa żelaznymi pazurami, piął się do izolatorów.

- Idę się przyznać - odpowiedział Kisłarski.

- Do czego?

- Do „Mieczi i pług”

Wiktor Michajłowicz zapomniał języka w gębie. A Kisłarski wypiął jajowaty brzusek opasany szerokim, zgrzebnym pasem z kieszonką do zegarka, i z godnością ruszył w kierunku prokuratury.

Wiktor Michajłowicz zatrzepotał skrzydłami i poleciał do Diadiewa.

- Kislarski jest prowokatorem! - zawołał naczelnik straży ogniowej. - Właśnie poszedł nas zadenuncjować. Jeszcze go widać!

- Jak to? Z walizką? - przeraził się gubernator Stargrodu.

- Z walizką.

Diadiew uściskał żonę, krzyknął, żeby nie dawała Rubensowi pieniędzy i na łeb na szyję wybiegł z domu. Wiktor Michajłowicz zatrzepotał się, zagdakał jak kura po zniesieniu jajka i pognął do Wołodi i

Nikieszy.

Tymczasem obywatel Kislarski spacerowym krokiem zbliżał się do prokuratury. Po drodze spotkał

Rubensa i odbył z nim długą rozmowę.

- A co z pieniędzmi? - zapytał Rubens.

- Niech się pan zgłosi po pieniądze do mojej żony.

- A po co ta walizka? - indagował podejrzliwie Rubens.

- Idę do łaźni.

- W takim razie życzę dobrej łaźni!

Kislarski wstąpił jeszcze do uspołecznionej cukierni noszącej dawniej nazwę „Bonbons de Varsovie”, wypił szklankę kawy i zjadł francuskie ciastko. W końcu trzeba było pójść pokajać się. Prezes giełdy wszedł do poczekalni prokuratury. Nie zastał w niej nikogo, podszedł więc do drzwi, na których było napisane: „Prokurator gubernialny” i dyskretnie zapukał.

- Proszę! - odpowiedział dobrze znany Kislarskiemu głos.

Kislarski wszedł i osłupiał ze zdumienia. Jego jajowaty brzusek zapadł się i skurczył jak daktyl. To, co zobaczył, było dla niego zupełną niespodzianką.

Dokoła biurka prokuratora stali ramię w ramię członkowie potężnej organizacji „Miecz i pług”.

Wnosząc z ich gestów i płaczliwych głosów, przyznawali się do winy.

- To on! - zawołał Diadiew. - Przywódca oktiabrystów!

- Po pierwsze - rzekł Kislarski stawiając sakwojaż na podłodze i podchodząc do biurka - po pierwsze nie jestem oktiabrystą, po drugie byłem zawsze zwolennikiem władzy radzieckiej, a po trzecie nie ja jestem przywódcą, tylko towarzysz Czarusznikow, zamieszkały...

- Przy ulicy Czerwonej Armii! - zawołał Diadiew.

- Pod numerem trzecim! - wykrzyknęli chórem Wołodia i Nikiesza.

- W podwórzu na lewo - dodał Wiktor Michajłowicz. - Mogę zaprowadzić.

Po upływie dwudziestu minut przywieziono Czarusznikowa, który na wstępie oświadczył, że nikogo z obecnych w gabinecie nigdy na oczy nie widział. A następnie zadenuncjował Helenę Stanisławownę.

Dopiero w celi, leżąc w czystej białźnie na uniwersalnym sakwojażu jak na łóżku, prezes zarządu giełdy poczuł się lekki i spokojny.

Madame Gricacujew-Benderowa w okresie kryzysu zgromadziła w swoim sklepiu zapas artykułów spożywczych i łokciowych co najmniej na cztery miesiące. A kiedy już zabezpieczyła sobie w ten sposób przyszłość, zaczęła znowu tęsknić za swoim młodym małżonkiem, urzędującym nadal na posiedzeniach Małego Sownarkomu. Wizyta u wróżki nie przyniosła jej pocieszenia.

Helena Stanisławowna, zaniepokojona zniknięciem całego stargorodzkiego areopagu, kładła karty z karygodnym niedbalstwem. Raz karty zapowiadały koniec świata, raz podwyżkę płac, to znów spotkanie z małżonkiem w jakimś urzędzie w obecności nieżyczliwej osoby - króla pikowego.

Zresztą kabała skończyła się w sposób dość niezwykły. Przyszli agenci - króle pik - i zabrali asnowidzącą do urzędu, do prokuratora.

Wdowa została sam na sam z papugą i właśnie zbierała się do wyjścia, kiedy papuga nagle uderzyła dziobem w pręty klatki i po raz pierwszy w życiu przemówiła ludzkim głosem.

- Ładne czasy! - powiedziała sardonicznie, schowała głowę pod skrzydło i wyrwała sobie piórko spod pachy.

Przerażona madame Gricacujew-Bender rzuciła się ku drzwiom.

W ślad za nią popłynął potok beładnych, w zapale wykrzykiwanych słów. Długowieczny ptak był tak wstrząśnięty wizytą agentów i uprowadzeniem wróżki, że zaczął wykrzykiwać wszystkie zasłyszane słowa. Najwięcej miejsca w jego repertuarze zajmowały powiedzenia Wiktora Michajłowicza

Polesowa.

- Wobec braku... - krzyknęła z rozdrażnieniem papuga.

Zawisła na pręcie głową na dół i mrugnęła w kierunku skamieniałej przy drzwiach wdowy, jakby chciała powiedzieć:

„Jak ci się to wszystko, moja wdówko, podoba?”

- O matko! - jęknęła Gricacujewa.

- W jakim służyliście pułku? - zapytała papuga głosem Bendera. - Kr-r-r-rach!... Europa przyjdzie nam z pomocą.

Po ucieczce wdowy papuga poprawiła na sobie półkoszulek i wypowiedziała słowa, których przez trzydzieści lat usiłowano ją nauczyć bezskutecznie:

- Głupia papuga!

Wdowa lamentując pędziła do domu. A w domu czekał na nią ruchliwy staruszek.

Był to Warfołomieicz.

- Ja... w sprawie ogłoszenia - rzekł Warfołomieicz. - Czekam już dwie godziny.

Ciężkie kopyto złego przecucia wierzgnęło Gricacujewą w serce.

- Och! - jęknęła. - Doloż moja, dolo!

- Czy to pani dała ogłoszenie? Zginął pani obywatel Bender?

Wdowa osunęła się na worki z mąką.

- Ma pani słabe nerwy - powiedział ze współczuciem Warfołomieicz. - Chciałbym się przede wszystkim zorientować co do wysokości nagrody...

. - Och!... Niech pan bierze wszystko! Na niczym mi już nie zależy! - zawodziła uczuciowa wdowa.

- Otóż znam miejsce pobytu pani pociechy, obywatela O. Bendera. Jaka będzie nagroda?

- Niech pan bierze wszystko! - powtórzyła wdowa.

- Dwadzieścia rubli - powiedział oschle Warfołomiejcz. Wdowa wstała z worków. Była unurzana w ące. Mrugała gwałtownie ubielonymi rzęsami.

- Ile? - zapytała.

- Piętnaście rubli - obniżył cenę Warfołomiejcz. Wyczuł, że z nieszczęsnej wdowy trudno będzie wyciągnąć nawet trzy ruble.

Odpychając nogami worki, wdowa natarła na starca, wezwała na świadków wszystkich świętych i z ich pomocą dobiła targu.

- Trudno, Bóg z panią, niech już będzie pięć rubli. Ale pieniądze poproszę z góry. To moja zasada.

Warfołomiejcz wyjął z notesu dwa wycinki z gazet i nie wypuszczając ich z rąk, zaczął referować:

- Obejrzyjmy po kolei nasze materiały. Ogłosiła pani: „Zaklinam... Wyszedł z domu towarzysz

Bender... zielony garnitur, żółte kamasze, błękitna kamizelka... Zgadza się? To było w „Stargorodzkiej

Prawdzie”. A oto co piszą o pani synku w dziennikach stołecznych... O... Wpadł pod dorożkę...”

Ale proszę nie rozpaczać, madame, niech pani słucha dalej... „Wpadł pod dorożkę...” Tak, żyje, żyje!

Zaręczam pani, że żyje... Nie brałbym przecież pieniędzy za nieboszczyka. A więc: „Wpadł pod dorożkę. Wczoraj na placu Swierdłowa wpadł pod dorożkę nr 8974 obywatel O. Bender. Szczęśliwie skończyło się na przestrawie...” Otóż oddam pani te dokumenci, ale naprzód pieniążki. To moja zasada.

Wdowa z płaczem wypłaciła pieniądze. Mąż, jej ukochany mąż w żółtych kamaszach leżał gdzieś hen na moskiewskim bruku, a parskający ogniem dorożkarski koń bił kopytami w jego błękitną, trykotową pierś.

Wrażliwe serce Warfołomiejcza zadowolilo się godziwym zarobkiem. Odszedł wyjaśniając wdowie na pożegnanie, że bliższe szczegóły znajdzie z pewnością w -redakcji dziennika „Tokarka”, gdzie niewątpliwie wiedzą o wszystkim, co się dzieje na świecie.

List ojca Fiodora pisany w Rostowie, w herbaciarni „Mleczna droga” do żony zamieszkałej w powiatowym mieście N.

Kochana moja Katiu! Spotkał mnie nowy zawód, ale o tym potem. Pieniądze otrzymałem na czas i bardzo ci za nie dziękuję. Po przyjeździe do Rostowa udałem się od razu pod wiadomy adres. „Noworoscement” to duże przedsiębiorstwo, tylko że nikt o inżynierze Brunsie nie słyszał. Byłem już w rozpacz, ale poradzano mi, żebym się udał do biura ewidencji.

Poszedłem. „Owszem - powiedziano mi - pracował tu taki, był na odpowiedzialnym stanowisku, ale w ubiegłym roku opuścił nas. Przeniósł się do Baku, do «Aznafty», na odcinek bezpieczeństwa pracy”.

A więc moja podróż nie będzie trwała tak krótko, jak się nam, kochanie ty moje, wydawało.

Piszesz, że pieniądze ci się kończą. Trudno, Katarzyno Aleksandrowna. Kres naszych martwień jest już bliski. Uzbrój się w cierpliwość, módl się do Boga i sprzedaj mój studencki mundur w jodelkę. Wydatki nasze na tym się jeszcze nie skończą. Bądź przygotowana na najgorsze.

W Rostowie straszna drożyzna. Za pokój w hotelu zapłaciłem 2 r. 25 k. Na podróż do Baku pieniędzy mi starczy. Jeśli mi się tam powiedzie, zadesperuję.

Panują tu upały. Palto noszę na rękę. Boję się zostawiać je w hotelu, bo aniby się obejrzał jakby je ukradli. Ludzie tutejsi są nader obrotni.

Rostów nie podoba mi się jako miasto. Pod względem zaludnienia i położenia geograficznego jeszcze gorsze niż Charków. Ale nie martw się, kochanie. Jak Bóg da, to wkrótce razem wybierzemy się do Moskwy. Przekonasz się, że to zupełnie zachodnio-europejskie miasto. A potem zamieszkamy w Samarze przy naszej fabryczce.

Czy Worobianinow jeszcze nie wrócił? Ciekawe gdzie on teraz grasuje? Czy Jewstigniejew nadal stołuje się u ciebie? Jak wygląda moja sutanna po praniu? Utrzymuj nadal wszystkich w przeświadczeniu, że czuвам, przy łożu chorej ciotki. Guleńce napisz to samo.

Ale! Byłbym całkiem zapomniiał opowiedzieć ci o strasznym wypadku, jaki mi się dzisiaj zdarzył.

Stałem na moście i zachwyciałem się cichym Donem, marząc o naszym przyszłym dobrobycie.

Nagle powiał wiatr i porwał mi do rzeki czapkę twego brata piekarza. Tylem ją widział.

Musiałem się wykosztować: za 2 r. 50 k. kupiłem angielską czapkę. Nie wspominaj o tym twemu bratu piekarzowi. Powiedz mu, że jestem w Woroneżu.

Mam nieco kłopotu z bielizną. Piorę ją wieczorem, a jeśli do rana nie wyschnie, wkładam wilgotną. Przy obecnych upałach jest to całkiem przyjemne.

Całuję cię i ściskam

Twój oddany mąż Fiedia

Rozdział XXVIII Kokoszka i kogutek

Reporter Persicki przygotowywał się energicznie do uczczenia dwóchsetnej rocznicy wielkiego matematyka Izaaka Newtona.

W momencie największego nasilenia pracy wszedł Stiopa od „Wiedzy i życia”. Za nim wtoczyła się otyła jejmość.

- Kolego Persicki - rzekł Stiopa - obywatelka ma do was jakiś interes. Proszę bliżej, obywatelko.

Towarzysz udzieli wszelkich potrzebnych wyjaśnień.

I Stiopa drapnął śmiejąc się w kułak.

- Czy mogę służyć? - zapytał Persicki.

Madame Gricacujewa (bo to była ona) spojrzała na reportera rzewnym wzrokiem i bez słowa podała mu wycinek z gazety.

- Tak - powiedział Persicki - ... wpadł pod dorożkę... skończyło się na lekkim przestraszu... O co chodzi?

- O adres - odezwała się błagalnie wdowa. - Czy mogłabym otrzymać adres?

- Czyj adres?

- O. Bendera.

- A skąd mam znać jego adres?

- Ten drugi towarzysz powiedział, że pan zna.

- Nie znam. Proszę się zwrócić do biura adresowego.

- A może towarzysz sobie przypomni? W żółtych kamaszach...

- Ja także chodzę w żółtych kamaszach. A prócz mnie dwieście tysięcy ludzi w Moskwie nosi żółte kamasze. Może mam znać adresy tych wszystkich ludzi? Proszę bardzo. Odłożę moją dotychczasową pracę na bok i zajmę się tą sprawą. Za pół roku będę miał pełny komplet informacji. Jestem zajęty, obywatelko.

Ale wdowa, która poczuła dla Persickiego wielki szacunek, szła za nim przez korytarz i szumiąc nakrochmaloną halką, ponawiała swoje prośby.

„A to hultaj z tego Stiopy! - pomyślał Persicki. - Ale to nic. Jak napuszczę na niego wynalazcę perpetuum mobile, będzie miał za swoje”

- Cóż ja pani mogę pomóc? - zapytał ze zdenerwowaniem, zatrzymując się przed wdową. - Skąd mam znać adres obywatela O. Bendera? Nie jestem koniem, który na niego wpadł. Ani dorożkarzem, którego on w mojej obecności rąbnął w kark.

Wdowa odpowiadała niewyraźnym bełkotem, w którym powtarzały się słowa: „towarzyszu” i „bardzo was”.

Godziny urzędowania w Domu Narodów już się skończyły. Kancelaria i korytarze opustoszały. Tylko gdzieś jakaś maszyna do pisania dostukiwała zaczęłą stronę.

- Pardon, madame, ale widzi pani, że jestem zajęty!

Z tymi słowy Persicki zniknął w ubikacji. Posiedział tam dziesięć minut i wyszedł zadowolony z fortelu.

Gricacujewa niezmordowanie szeleściła spódnicami u zbiegu dwóch korytarzy. Na widok Persickiego znowu zaczęła go molestować.

Persickiego diabli brali.

- A więc dobrze - rzekł - powiem ci, moja paniusiu, gdzie jest twój O. Bender. Proszę iść prosto tym korytarzem do końca, potem skręcić na prawo i znowu iść prosto, aż do samych drzwi. Proszę tam zapytać o Czerepiennikowa. On będzie wiedział.

I Persicki, zadowolony z konceptu, zniknął tak szybko, że wykrochmalona wdówka nie zdążyła zażądać bliższych informacji.

Madame Gricacujewa wygładziła spódnice i ruszyła przed siebie.

Korytarze w Domu Narodów były tak długie i wąskie, że przechodzień mimo woli przyspieszał kroku.

Po chodzie można było poznać, ile kto uszedł. Jeżeli szedł krokiem lekko przyspieszonym, był to dopiero początek wędrówki. Tacy, którzy mieli za sobą dwa do trzech korytarzy, biegli kłusem. Od czasu do czasu spotykało się ludzi pędzących galopem: ci byli prawdopodobnie w stadium piątego korytarza. A obywatel, który przebył osiem korytarzy, mógł śmiało stawiać w zawody z ptakiem, koniem wyścigowym lub z Nurmim - mistrzem świata w biegach długodystansowych.

Za pierwszym zakrętem madame Gricacujewa puściła się biegiem. Podłoga trzeszczała pod jej stopami.

Z przeciwnej strony zbliżał się szybkim krokiem młody brunet w błękitnej kamizelce i malinowych kamaszach. Z wyrazu twarzy Ostapa można było wyczytać, że jego wizytę w Domu Narodów o tak późnej porze spowodowały jakieś bardzo poważne względy. Spotkanie z ukochaną z pewnością nie było w planie kierownika technicznego.

Na widok wdówki Bender zawrócił na pięcie i nie oglądając się za siebie, szybkim krokiem ruszył w przeciwnym kierunku.

- Towarzyszu Bender! - zawołała uszczęśliwiona wdowa. - Proszę zaczekać!

Wielki kombinator przyspieszył kroku. Ale wdowa także dodała gazu.

- Proszę zaczekać. Mam towarzyszowi coś do powiedzenia - wołała błagalnie.

Ale słowa Jej nie docierały do Ostapa. W uszach jego furczało i gwizdało. Przebiegał już czwarty z kolei korytarz, mijając w pędzie wyloty wewnętrznych schodów. Pozostało za nim jedynie echo, które długo powtarzało ukochanej odgłosy jego kroków.

- Ładna historia! - mrucał Ostap siedząc na piątym piętrze. - Też znalazła sobie porę na randkę! Kto tu nasłał tę gorącą kobietkę? Czas już zlikwidować moskiewski oddział naszego przedsiębiorstwa, bo jak tak dalej pójdzie, gotów mnie tu jeszcze odwiedzić rycerz-chałupnik.

W tym samym momencie madame Gricacujewa, oddzielona od Ostapa trzema piętrami, tysiącem drzwi i tuzinem korytarzy, otarła krajem halki spocone czoło i ruszyła dalej na poszukiwania.

Początkowo pragnęła jak najprędzej znaleźć męża, aby się z nim rozmówić. Na korytarzach zapaliły się słabe lampy. Wszystkie lampy, wszystkie korytarze i wszystkie drzwi były jednakowe. Wdowę garnął lęk. Zapagnęła wydostać się na ulicę.

Powolna korytarzowej progresji, biegła z wciąż rosnącą szybkością. Po upływie pół godziny nie była już w stanie zahamować. Po obu stronach jej rozpedzonej masywnej postaci przelatywały ze świstem rzwi prezydiów, sekretariatów, rad zakładowych, komitetów partyjnych i redakcyj. Sztywne jej spódnice przewracały w locie urny na niedopałki. Urny toczyły się za nią, brzęcząc niby rondle. Na zakrętach korytarzy tworzyły się wiry i trąby powietrzne. Trzaskały otwierające się lufciki.

Wymalowane na ścianach strzałki kierunkowe przeszywały na wylot ciało nieszczęsnej wędrowniczki.

W końcu Gricacujewa znalazła się na wewnętrznych schodach. Panowały tam ciemności, ale wdowa przewyciężyła strach, zbiegła na dół i szarpnęła za klamkę oszklonych drzwi. Drzwi były zamknięte.

Wdowa ruszyła z powrotem. Ale drzwi, które przed chwilą przekroczyła, zdążyła już zamknąć czyjaś przezorna ręka.

.....

W Moskwie lubią zamykać drzwi.

Tysiące frontowych wejść zabite jest od wewnętrznej strony deskami i setki tysięcy obywateli wchodzi do mieszkań kuchennymi schodami. Dawno już skończył się rok osiemnasty, dawno już pojęcie „nalot na mieszkanie” wyszło z obiegu, dawno już zlikwidowano warty domowe, sprawowane przez lokatorów w celach bezpieczeństwa, rozwiązuje się zagadnienie ruchu ulicznego, buduje się olbrzymie elektrownie, dokonuje się wielkich odkryć naukowych, ale nie ma nikogo, kto poświęciłby się rozwiązaniu zagadnienia zamkniętych drzwi.

Gdzież jest człowiek, który rozwiąże zagadkę kin, teatrów i cyrków?

W ciągu dziesięciu minut trzy tysiące ludzi ma wejść do cyrku przez jedne jedyne i to tylko do połowy otwarte drzwi. Pozostałe dziesięcioro drzwi, specjalnie przystosowanych do przepuszczania dużej ilości ludzi, jest zamknięte. Kto wie dlaczego te drzwi są zamknięte? Może dlatego, że dwadzieścia lat temu ukradziono z cyrkowej stajni tresowanego osiołka i od tego czasu dyrekcja cyrku zamurowuje ze strachu wszystkie wygodne wejścia i wyjścia? A może kiedyś słynnemu akrobacie - królowi przestworzy dał się we znaki przeciąg i zwyczaj zamykania drzwi jest tylko konsekwencją urzędzonej wówczas przez jego królewską mość awantury?

Z teatrów i kin wypuszcza się publiczność małymi partiami, rzekomo celem uniknięcia ścisku. A przecież jest na to taki łatwy sposób: wystarczy otworzyć liczne drzwi wyjściowe. Tymczasem administracje teatrów i kin wolą zamiast tego prostego środka stosować siłę. Portierzy, chwytając się za ręce, tworzą żywą barierę i w ten sposób trzymają w niewoli publiczność co najmniej pół godziny.

A drzwi, tajemnicze drzwi, zamknięte za panowania Pawła I, są zamknięte po dziś dzień.

Piętnaście tysięcy amatorów piłki nożnej, podnieconych porywającą grą reprezentacji Moskwy, musi się przeciskać do tramwaju przez szczelinę tak ciasną, że jeden lekko uzbrojony wojownik mógłby bez trudu zatrzymać w niej pochód złożony z czterdziestu tysięcy barbarzyńskich najeźdźców, dysponujących dwiema wieżami oblężniczymi.

Stadion sportowy nie ma wprawdzie dachu, ale za to kilka bram. Mimo to otwarta jest tylko jedna mała furtka. Jedyнным sposobem wydostania się ze stadionu jest wyłamanie bram. To też po każdych atrakcyjniejszych zawodach publiczność wyłamuje bramy. Ale zarząd stadionu, w trosce o ciągłość tradycji, za każdym razem wstawia je na nowo i szczelnie zamyka.

Tam, gdzie nie można umieścić bram lub drzwi, bo nie ma ich do czego przyczepić, instalowane są przeszkody zastępcze w najrozmaitszych postaciach, a więc:

1.

2.

3.

4.

5.

Barierki

Sztachetki

Przewrócone ławki

Wzbraniające napisy

Sznury

Barierki spotykamy najczęściej w instytucjach tudzież w urzędach.

Mają one na celu utrudnienie klientowi dostępu do odnośnego funkcjonariusza.

Interesant jak tygrys krąży tam i z powrotem koło barierek, usiłując gestami i minami zwrócić na siebie uwagę. Nie zawsze mu się to udaje. A może ów interesant przyniósł jakiś cenny wynalazek!

Może przyszedł tylko uiścić podatek dochodowy?! Ale barierki stanęły mu na drodze i wynalazek nie został przedłożony, a podatek nie został zapłacony.

Sztachetki stosuje się na ulicach.

Ustawia się je wiosną na ruchliwej arterii rzekomo dla zabezpieczenia odcinka, na którym naprawia się chodnik. Ruchliwa ulica natychmiast zamienia się w odludzie. Przechodnie zdążają ku miejscom przeznaczenia okrężnymi drogami. Każdy z nich nakłada co dzień przynajmniej kilometr drogi, ale uskrzydla ich błoga nadzieja, że chodnik zostanie wreszcie naprawiony. Mija w ten sposób lato. Liście zaczynają opadać. A sztachetki jak stały, tak stoją. Naprawa nie została ukończona. Ulica zamieniła się w pustkowie.

Poprzewracanymi ławkami ogrodowymi uniemożliwia się dostęp do miejskich skwerów, gdyż przez karygodne niedopatrzenie projektantów nie zostały one ogrodzone i zaopatrzone w bramy.

O wzbraniających napisach można by napisać całą książkę, co na razie nie leży w zamierzeniach autorów.

Napisy te dzielą się na bezpośrednie i pośrednie.

WSTĘP WZBRONIONY

OSOBOM OBCYM WSTĘP SUROWO WZBRONIONY

NIE WCHODZIĆ!

Tego rodzaju napisy umieszczane są najczęściej na drzwiach instytucji, przez które z natury rzeczy przewija się mnóstwo „osób obcych”

Napisy pośrednie są jeszcze dokuczliwsze. Nie wzbraniają wprawdzie wstępu, ale trzeba być nieładą śmiałkiem, żeby się im sprzeciwić. Sromotne te napisy głoszą:

NIE WCHODZIĆ BEZ MELDOWANIA!

INTERESANTÓW NIE PRZYJMUJE SIĘ!

NIE PRZESZKADZAJ LUDZIOM W PRACY!

Tam, gdzie nie można ustawić barierek lub zapór, gdzie nie można przewrócić do góry nogami ławek lub wywiesić wzbraniającego napisu, przeciąga się sznury. Przeciąga się je pod wpływem impulsu w miejscach najmniej spodziewanych. Jeżeli sznury te przeciągnięte są na wysokości ludzkiej piersi, kończy się na lekkim przestachu i nieco nerwowym śmiechu. Sznur przeciągnięty na wysokości kostek może przyprawić człowieka o kalectwo.

Precz z drzwiami! Precz z tłokiem u wejścia do teatrów i kin! Pozwólcie ludziom wchodzić bez meldowania! Błagamy o usunięcie zatory ustawionej przez niedołężną administrację domu w poprzek uszkodzonego chodnika! Precz z poprzewracanymi

ławkami! Ustawcie je na nogach i w miejscu dla nich przeznaczonym! Na skwerach najprzyjemniej siedzieć właśnie w nocy. Powietrze jest wtedy czyste i daleko lepiej się myśli.

Madame Gricacujewa siedziała na schodach pod zamkniętymi oszklonymi drzwiami w samym centrum Domu Narodów i rozmyślała o swojej wdowiej doli. Od czasu do czasu uciniała drzemkę i czekała na zbawczy ranek.

Przez szyby w drzwiach sączyło się na wdowę żółte światło elektryczne z korytarza. A przez okna klatki schodowej wdzierał się już szary świt.

Była to owa cicha godzina, w której ranek jest jeszcze młody i nieskażony. O tej właśnie godzinie

Gricacujewa usłyszała na korytarzu jakieś kroki. Zerwała się i przyłgnęła twarzą do szyby. Na końcu korytarza ukazała się błękitna kamizelka. Malinowe kamasze były przyprószone tynkiem. Płochy syn obywatela tureckiego zbliżał się do oszklonych drzwi, otrzepując kurz z marynarki.

- Susełku! - zawołała wdowa. - Su-seł-ku!

Chuchała na szybę z niewysłowioną tkliwością. Szyba spotniała i pokryła się tęgowymi plamami.

Poprzez mgły i tęże majaczyły błękitne i tęgowe zjawy.

Ostap nie słyszał gdakania wdowy. Drapał się w kark i z zakłopotaniem kręcił głową. Jeszcze chwila - a zniknąłby za zakrętem.

Nieszczęsna połowica z jękiem: „Towarzyszu Bender!” zabębniła palcami w szybę. Wielki kombinator odwrócił się.

- A! - odezwał się widząc, że dzieli go od wdowy zamknięte drzwi. - Pani też tutaj?

- Tutaj, tutaj! - potwierdziła radośnie wdowa.

- Więc uściśnij mnie, szczęście ty moje! Nie widzieliśmy się tak dawno - rzekł dyrektor techniczny.

Wdowa zaczęła się wiercić jak fryga i podskakiwać za drzwiami jak czyżyk w klatce. Zaszeleściły drzemiące dotąd nakrochmalone spódnice. Ostap rozwarł ramiona.

- Pójdź, kokoszko, w moje ramiona. Twój kogutek jest ogromnie znużony posiedzeniami Małego

Sownarkomu.

Ale wdowa nie знаła się na dowcipach.

- Susełku! - powtórzyła po raz piąty. - Towarzyszu Bender, proszę otworzyć mi drzwi.

- Spokojnie, dziecinko! Największą ozdobą kobiety jest skromność. Po co się tak niecierpliwić?

Wdowa wpadła w rozpacz.

- Dlaczego pani się denerwuje? - pytał Ostap. - Kto panią skrzywdził?

- Opuścił mnie i jeszcze się pyta!

I wdowa uderzyła w płacz.

- Proszę otrzeć oczęta, obywatelko. Każda pani łezka to molekuła w kosmosie.

- A ja tak czekałam, tak czekałam. Nawet sklepik zamknęłam. I przyjechałam tu za tobą, towarzyszu

Bender...

- I jakże się pani mieszka na tych schodach? Nie wieje przypadkiem?

Wdowa zaczęła powoli wrzeć jak wielki klasztorny samowar.

- Zdrajca! - wycedziła trzęsąc się cała.

Ostap miał jeszcze trochę wolnego czasu. Zaczął więc strzelać palcami i kręcąc się w takt, cichutko zanucił:

Jest coś z diablika w nas,

Co kusi w nocny czas.

I wnet kobietki czar ożnieca w piersi żar.

- A bodaj-ś pękł! - zawołała wdowa, kiedy Ostap skończył swój taniec. - Ukradł mi bransoletkę od męża! A po co zabrałeś krzesło?

- Zdaje się, że zaczyna się pani bawić w osobiste wycieczki - zauważył chłodno Ostap.

- Ukradłeś, ukradłeś! - powtarzała wdowa.

- Zakonotuj sobie, moje dziecko, na nosie, że Ostap Bender nigdy nikomu nic nie ukradł.

- A kto zabrał siteczko?

- Ach! Siteczko! Z pani wartościowych ruchomości! Więc pani to uważa za kradzież? Widzę, że zasadniczo różnimy się w poglądach na życie.

- Ukradłeś! - gdakała wdowa.

- Więc pani uważa, że młody, zdrowy mężczyzna, który pożyczył sobie od prowincjonalnej kumoszki zupełnie jej niepotrzebne ze względu na zły stan zdrowia naczynie kuchenne, jest złodziejem? Czy tak mam panią rozumieć?

- Złodziej! Złodziej!

- W takim razie będziemy zmuszeni się rozejść. Zgadzam się Ina rozwód.

Wdowa rzuciła się do drzwi. Zabrzęczały szyby.

Ostap zorientował się, że powinien się ulotnić.

- Nie ma czasu na pieszczoty - powiedział - żegnaj, ukochana! Nasze drogi się rozchodzą jak okręty na morzu!

- Milicja! - wrzasnęła wdowa.

Ale Ostap już był na końcu korytarza. Wszedł na parapet okna, zeskoczył ciężko na wilgotną po nocnym deszczu ziemię i zniknął w pobliskim parku kultury.

Na wrzaski wdowy zjawił się wyrwany ze snu dozorca, który wypuścił uwięzioną na ulicę, grożąc jej mandatem karnym.

Rozdział XXIX Autor „Gawriliady”

W chwili, kiedy madame Gricacujewa opuszczała niegościnne progi urzędowej warowni, do Domu

Narodów schodzili się już pracownicy co pomniejszych kategorii: woźni, dziewczęta na posyłki, telefonistki oraz młodzi pomocnicy księgowych.

Między innymi przybył także Nikifor Lapis, bardzo młody człowiek o bezczelnym spojrzaniu i włosach kręconych jak u barana.

Naiwniacy, uparciuchy tudzież interesanci, którzy byli tu po raz pierwszy w życiu wchodzili do Domu

Narodów drzwiami frontowymi. Nikifor Lapis wszedł do budynku przez ambulatorium. Czuł się tu jak u siebie w domu i znał najkrótsze drogi, wiodące do oaz, gdzie w szerokolistnym cieniu czasopism specjalistycznych biją niczym nie zmaczone źródła honorariów.

Przede wszystkim Nikifor Lapis odwiedził bufet. Niklowana kasa odegrała maczicę 34 i wyrzuciła trzy czek. Nikifor zdjął tekturowe wieczko ze szklanki, zjadł jogurt oraz przypominające niewielki klomb ciastko z kremem i popił to wszystko herbatą, po czym rozpoczął powolny obchód swoich włości.

Na początek złożył wizytę w redakcji miesięcznika myśliwskiego „Gerasim i Mumu” 35. Towarzysza

Napiernikowa jeszcze nie było, przeto Nikifor Lapis udał się do redakcji „Higroskopijnych wiadomości”, tygodnika, za pośrednictwem którego farmaceuci utrzymują kontakt ze światem zewnętrznym.

- Dzień dobry! - powiedział Nikifor. - Napisałem piękny wiersz.

- O czym? - zapytał redaktor kolumny literackiej. - Na jaki temat? Przecież wiecie, drogi towarzyszu

Trubecki, że nasze pismo...

Redaktor chcąc dokładniej określić charakter „Higroskopijnych wiadomości” poruszył palcami.

Trubecki-Lapis popatrzył na swoje spodnie z białej rogóżki, przechylił się w tył i oświadczył śpiewnym głosem:

- „Ballada o gangrenie”!

- O, to interesujące! - orzekła higroskopijna persona. - Już od dawna należało popularyzować w lekkiej formie idee profilaktyki.

Lapis natychmiast zadeklamował:

Gawriła cierpiał na gangrenę,

Gangreny jad Gawriłę zmógł.

I dziarskim czterostopowym jambem snuł dalej opowieść o Gawrile, który z braku uświadczenia w dziedzinie higieny nie udał się we właściwym czasie do apteki, nie zajodnował skaleczenia i z tego powodu postradał życie.

Maczicza – modny w początkach bieżącego stulecia taniec.

Gerasim i jego pies Mumu są bohaterami noweli Turgieniewa p.t. „Mumu”

- Robicie postępy, towarzyszu Trubecki - pochwalił redaktor - ale przydałoby się coś bardziej...

Rozumiecie? - znowu wymownie poruszył palcami, ale okropną balladę zaakceptował i obiecał wypłacić honorarium we wtorek.

W czasopiśmie „Dzień powszedni telegrafisty” Lapis doznał życzliwego przyjęcia.

- Dobrze, żeście przyszli, kolego Trubecki. Potrzebne są nam wiersze. Ale realistyczne, realistyczne, realistyczne! O żadnej liryce nie może być mowy. Rozumiecie? Coś z życia pracowników poczty i telegrafu, a jednocześnie... no... rozumiecie...

- Właśnie wczoraj zastanawiałem się nad życiem pracowników poczty i telegrafu. I wyrwał mi się spod serca następujący poemat. Tytuł: „Ostatni list” O, proszę..;

Gawriła był za listonosza,

Gawriła listy nosił wciąż...

Poemat o Gawrile zamykał się w siedemdziesięciu dwóch wierszach. Na końcu utworu listonosz

Gawriła, przeszyty faszystowską kulą, dostarcza mimo to list do rąk adresata.

- A gdzie się to wszystko dzieje? - zapytano Lapisa.

Pytanie było uzasadnione. W ZSRR nie ma faszystów, a za granicą nikt nie znajdzie członka związku pracowników poczty i telegrafu, noszącego imię Gawriła.

- O co chodzi? - rzekł Lapis. - Dzieje się to, oczywiście, u nas, a faszysta jest przebrany.

- Wiecie co, towarzyszu Trubecki, napiszcie lepiej coś o radiostacji.

- A dlaczego nie chcecie listonosza?

- Zresztą, niech zostanie. Weźmiemy go, ale bez zobowiązania.

Nieco przygaszony Nikifor Lapis-Trubecki wrócił do „Gerasima i Mumu”. Napiernikow urzędował już przy biurku. Na ścianie wisiał duży portret Turgieniewa, w binoklach, w myśliwskich butach, z przewieszoną przez ramię dubeltówką. Obok Napiernikowa stał rywal Lapisa, poeta z terenu.

Zaczęła się stara piosenka o Gawrile, ale już w sosie myśliwskim. Utwór nosił tytuł: „Modlitwa kłusownika”

Gawriła czytał na zająca,

Z Gawriły ręki zając padł.

- Bardzo pięknie! - powiedział zacny Napiernikow. - Przeszłście w tym utworze samego Enticha. Ale trzeba wprowadzić pewne poprawki. Przede wszystkim trzeba wyrwać z korzeniami tę „modlitwę”

- I zająca - dorzucił rywal.

- Dlaczego zająca? - zdziwił się Napiernikow.

- Bo to nie sezon.

- Słyszycie towarzyszu Trubecki? Zająca też trzeba wyrzucić.

Po wprowadzeniu poprawek poemat nosił tytuł: „Nauczka dla kłusownika”. Zamiast zająców występowały w nim bekasy. Potem okazało się, że na bekasy także latem nie wolno polować. W ostatecznej swej postaci wiersz brzmiał następująco:

Gawriła czyhał raz na wróbla,
Z ręki Gawriły wróbel padł.

Po śniadaniu w stołówce Lapis znowu rozwinął działalność. Białe jego spodnie migały w mrokach korytarzy. Chodził po różnych redakcjach i oferował swego uniwersalnego Gawriłę.

W redakcji „Spółdzielczej fletni” Gawriła został przedstawiony pod tytułem „Fletnia Eola”.

Gawriła dzielny był sprzedawcą
I w sklepie raz sprzedawał flet.

Kmiotki z grubego czasopisma „Nie było nas, był las” kupili od Lapisa mały poemacik p.t. „Na skraju gaju”. Zaczynał się on tak:

Gawriła szedł raz skrajem gaju,
Gawriła bambus w gaju ciął.

Wreszcie na zakończenie dnia Gawriła zaczął wypiekać chleb. W tym stanie rzeczy znalazł się dla niego przytułek w redakcji „Pracownika piekarskiego”. Poemat nosił tym razem długi i smutny tytuł:

„O chlebie, jakości produkcji i ukochanej!” Poemat był zadedykowany jakiejś zagadkowej Chinie

Człek. Początek, jak w poprzednich wersjach, nosił charakter epicki:

Gawriła dzielny był piekarzem
I jako piekarz bułki piekł.

Po delikatnej dyskusji dedykacja została wykreślona.

Ale najsmutniejsze było to, że Lapis nigdzie nie dostał pieniędzy. Jedni obiecywali zapłacić we wtorek, inni w czwartek lub w piątek - za dwa tygodnie. W celu zaciągnięcia pożyczki trzeba było udać się do nieprzyjacielskiego obozu, to jest tam, gdzie Lapisa nigdy nie chciano drukować.

Lapis zszedł z czwartego piętra na pierwsze i przekroczył próg sekretariatu „Tokarki”. Na nieszczęście od razu natknął się na wszędobyłskiego Persickiego.

- A! - zawołał Persicki. - Kolega Lapsus!

- Kolego! - rzekł Nikifor Lapis znizając głos - pożyczcie trzy ruble. Redakcja „Gerasima i Mumu” jest mi winna kupę pieniędzy.

- Dam wam pół rubla. Proszę zaczekać! Zaraz wrócę.

Persicki wrócił w towarzystwie około dziesięciu współpracowników „Tokarki”.

Wywiązała się ogólna rozmowa.

- Jak tam interesy handlowe? - zapytał Persicki.

- Napisałem świetny wiersz!

- O Gawrile? Coś ludowego? „Gawriła orał od świtania, Gawriła kochał chłopski pług?”

- Ależ skąd? Gawriła to tylko zarobkowa partaninka - bronił się Lapis. - Napisałem wiersz o Kaukazie.

- A byliście kiedy na Kaukazie?
- Wybieram się tam za dwa tygodnie.
- A nie boicie się? Przecież tam są szakale?

- Nie mam się czego bać, kaukaskie szakale nie są jadowite!

Odpowiedź ta wzbudziła zainteresowanie wszystkich zebranych.

- A czy wiecie, kolego Lapsus - zapytał Persicki - jak wygląda szakal?
- Pewno że wiem. Dajcie mi święty spokój!

- Jeżeli wiecie, to powiedzcie.

- To jest... coś w rodzaju żmij...

- Słusznie. Tak, wy zawsze macie słuszość. Według was na przykład siodło dzikiej kozy podaje się na stół razem ze strzemionami.

- Nigdy nic takiego nie mówiłem - zawołał Trubecki.

- Nie mówiliście, tylko pisaliście. Napiernikow opowiadał mi, że chcieliście mu wtrzyknąć do „Gerasima i

Mumu” jakieś wierszydło, rzekomo z życia myśliwych. Powiedzcie uczciwie, kolego, dlaczego pisujecie o tym, czegoście nigdy w życiu nie widzieli i o czym nie macie zielonego pojęcia? Dlaczego w waszym wierszu „Kanton” peniuar występuje jako suknia balowa? Dlaczego?

- To są mieszczańskie przesady - powiedział Lapis z wyższością.

- A dlaczego w wierszu: „Wyścig o nagrodę Budiennego” dżokej zaciąga na koniu chomąto i wskazuje na kozioł? Czy widzieliście kiedy chomąto?

- Widziałem.

- To powiedzcie, jak wygląda?

- Odczepcie się ode mnie. Powariowaliście, czy co?

- A kozioł widzieliście? Byliście kiedy na wyścigach?

- Poeta nie jest obowiązany wszędzie być i wszystko widzieć - krzyczał Lapis. - Puszkina pisał tureckie wiersze, chociaż nigdy nie był w Turcji.

- Słusznie, przecież Erzerum znajduje się w tulskiej guberni.

Lapis nie zrozumiał tej złośliwości. I perorował dalej:

- Puszkina pisał na podstawie materiałów. Przeczytał historię buntu Pugaczowa, a potem ją napisał. A mnie Entich opowiedział wszystko o wyścigach.

Po tej brawurowej mowie obrończej, Persicki zaciągnął Lapisa przemocą do sąsiedniego pokoju.

Widzowie udali się za nimi. Wisiał tam na ścianie duży wycinek z gazety w żałobnej obwódce.

- Czy to wy pisaliście opowiadanie drukowane w „Mostku kapitańskim”?
- Ja.

- To jest, o ile się nie mylę, pierwszy wasz utwór prozą? Gratuluję! „Fale przetaczały się przez molo i spadały na dół gwałtownym lewarem...” Ale dogodziście „Kapitańskiemu mostkowi”!... „Mostek” długo wam to popamięta!

- O co chodzi?

- Chodzi o to, że... Czy wiecie, co to jest lewar?

- Rozumie się, że wiem... Odczepcie się wreszcie ode mnie...

- I jak wyobrażacie sobie ten lewar? Opowiedzcie własnymi słowami.

- No, taki, co to spada...

- Lewar spada! Słyszeliście wszyscy?! Lewar gwałtownie spada! Chwileczkę, kolego Lapsus, zaraz przyniosę wam pół rubla. Nie wypuszczajcie go stąd!

Ale i tym razem Lapsus nie dostał pół rubla. Persicki przyniósł z podręcznej biblioteki odpowiedni tom encyklopedii Brockhauza.

- Słuchajcie! Lewar (po niemiecku Daumkraft) jest to jeden z przyrządów służących do podnoszenia dużych ciężarów. Zwykły, prosty lewar, używany do podnoszenia pojazdów itp. składa się z ruchomego zębatego łańcucha, chwytanego przez koło zębate obracane za pomocą korby... I tak dalej. A następnie: „John Dickson w 1879 roku przy pomocy czterech robotników posiłkujących się hydraulicznymi lewarami podniósł i ustawił obelisk, znany pod nazwą „Iglicy Kleopatry”. I ten przyrząd posiada, waszym zdaniem, właściwość gwałtownego spadania? A więc Brockhaus i Efron przez pięćdziesiąt lat wprowadzali ludzkość w błąd? Dlaczego zajmujecie się partaniną, zamiast się kształcić? Proszę nam powiedzieć!

- Bo potrzebuję pieniędzy.

- Których nota bene nigdy nie macie. Bo przecież nieustannie uganiacie się za półrubłówkami.

- Kupiłem sobie meble i w ten sposób przekroczyłem budżet.

- I dużo kupiliście tych mebli? Przecież za tę waszą partaninę płacą wam tylko tyle, ile jest warta, to znaczy grosze.

- Ładne grosze. Żebyście wiedzieli, jakie piękne krzesło kupiłem na licytacji...

- Krzesło w kształcie żmii.

- Nie. Krzesło pałacowe. Ale stało się nieszczęście. Wracam wczoraj w nocy do domu...

- Od Chiny Człek? - zawołali chórem obecni.

- China?... Od dawna już z nią nie żyję. Wracalem z wieczoru Majakowskiego. Wchodzę do domu.

Okno otwarte. Od razu czułem, że coś się stało.

- No, no, no! - zawołał Persicki chowając twarz w dłoniach. - Domyślam się, towarzysze, że naszemu

Lapsusowi skradziono jego największe arcydzieło: „Gawriła dzielny stróżem był, Gawriła całą noc stróżował”.

- Pozwólcie mi dokończyć. Niesłuchane chuligaństwo. Jacyś hultaje wleźli do mojego mieszkania i rozpruli pokrycie krzesła. Może mi kto pożyczy pięć rubli na reperację?

- Na pokrycie kosztów reperacji napiszcie nową wersję Gawriły. Mogę wam nawet zaproponować początek. Zaraz, zaraz... Już się robi... Proszę: „Gawriła kupił sobie krzesło, lecz krzesło miało dużo wad”. Zannotujcie sobie szybko. Będziecie mogli korzystnie sprzedać to w „Głosie komody”... Oj,

Trubecki, Trubecki... Ale właściwie, kolego Lapsus, dlaczego nazywacie się Trubecki? Czy nie mogliście wymyślić sobie bardziej efektownego pseudonimu? Na przykład - Dołgoruki. Nikifor Dołgoruki. Albo

Nikifor Valois? Albo jeszcze lepiej: obywatel Nikifor Sumarokow-Elston? Jak dobrze pójdzie i uda się wam wkleić redakcji „Gerasima i Mumu” trzy wiersze na raz, będziecie mieli świetne rozwiązanie sytuacji. Jedną z tych bzdur podpiszcie nazwiskiem - Sumarokow, drugą Elston, a trzecią - Jusupow...

Oj, partaczu, partaczu!...

Rozdział XXX W teatrze Kolumba

Hipolit Matwiejewicz powoli przeistaczał się w lizusa. Kiedy spoglądał na Ostapa, oczy jego przybierały błękitną barwę żandarmskiego munduru.

W pokoju Iwanopulo panował taki upał, że rozeschnięte krzesła Worobianinowa trzaskały jak szczapy w kominku. Wielki kombinator wypoczywał z błękitną kamizelką pod głową.

Hipolit Matwiejewicz wyglądał przez okno. Przez ciasne i kręte uliczki wzdłuż miniaturowych moskiewskich ogródków sunęła herbowa karetą. W lśniącej, czarnej karoserii odbijali się jak w lustrze przechodnie: gwardyjski kawalerzysta w mosiężnym hełmie, miejskie damulki i pulchne białe obłóczki. Zaprzężone do karety konie, dzwoniąc podkowami, przemknęły obok Hipolita

Matwiejewicza. Worobianinow z rozczarowaniem odwrócił się od okna.

Pojazd ozdobiony był inicjałami Moskiewskiego Zarządu Miejskiego i służył do wywózki śmieci, a w jego budzie z desek nic się nie odbijało.

Na koźle siedział dziarski staruszek z siwą, puszystą brodą. Gdyby Hipolit Matwiejewicz wiedział, że staruszek ów to nikt inny tylko hrabia Aleksiej Bułanow, słynny niegdyś huzar-asceta, zaprosiłby go niewątpliwie do siebie, żeby uciąć z nim pogawędkę o dawnych, dobrych czasach.

Hrabia Aleksiej Bułanow był pogrążony w smutnych rozmyślaniach. Poganiając konie rozmyślał o raku biurokracji toczącym wydział asenizacyjny i sprawiającym, że hrabia nie mógł się od pół roku doczekać zastrzeżonego w umowie zbiorowej ochronnego fartucha.

- Panie Worobianinow - odezwał się nagle wielki kombinator - jak pana nazywano, kiedy był pan dzieckiem?

- A dlaczego pan o to pyta?

- Tak sobie. Nie wiem, jak się do pana zwracać. Worobianinow już mi się znudził. Hipolit

Matwiejewicz jest długi i mdły. A więc jak pana nazywano? Ipa?

- Kisa - odparł z uśmiechem Hipolit Matwiejewicz.

- Kongenialnie! A teraz, drogi Kisa, niech mi pan obejrzy plecy. Coś mnie boli między łopatkami.

Ostap ściągnął przez głowę koszulę typu „cowboy”, obnażając przed Kisą Worobianinowem barczyste, niezwykle zgrabne, aczkolwiek niezbyt czyste plecy zaściankowego Antinousa.

- Oho! - rzekł Hipolit Matwiejewicz. - Coś pięknego!

Na plecach wielkiego kombinatora mieniły się wszystkimi barwami tęczy wielce osobliwe w rysunku siniaki.

- Słowo daję, ósemka! - zawołał Worobianinow. - Pierwszy raz w życiu widzę taki siniak!

- A innej cyfry nie widać? - zapytał spokojnie Ostap.

- Jest jeszcze coś w rodzaju litery R.

- Więcej pytań nie mam. Wszystko jest jasne jak słońce. Przekłęte pióro! Widzi pan, Kisa, co ja cierpię i na co się narażam dla pańskich krzesel! Tę cyfrę odbiła mi na plecach wielka i wywrotna obsadka ze stalówką numer osiemdziesiąt sześć. Zwracam pańską uwagę, że obsadka ta zwała mi się na grzbiet w chwili, gdy zanurzałem rękę we wnętrznościach redaktorskiego krzesła. Staram się, jak mogę. A pan? Sprawę z Iznurenkowem tak pan spartolił, że z trudem udało mi się naprawić pański błąd. O licytacji wolę już nie wspominać! Też znalazł pan sobie czas na amory! Tokowanie w pańskim wieku to rzecz nader niebezpieczna! Powinien pan się bardziej szanować! Niech pan bierze przykład ze mnie. Zdobyłem krzesło wdówki; zdobyłem dwa krzesła Szczukinów; zrealizowałem krzesło

Iznurenkowa. A do redakcji i do Lapisa to niby kto wszedł? A pan zdobył zaledwie jedno jedyne krzesło i to przy wydatnym współudziale świątobliwego rywala, arcybiskupa Fiodora.

W ten sposób, spacerując na bosaka po pokoju, dyrektor techniczny udzielał nagany potulnemu Kisie.

Krzesło, które zniknęło na dziedzińcu ekspedycji towarowej dworca Październikowego, było nadal ciemną plamą na świetlanych projektach naszej spółki. Bo cztery krzesła w teatrze Kolumba nie były trudne do zdobycia. Ale teatr wybierał się wołżańskim holownikiem „Skriabin” na objazd i w dniu dzisiejszym zamykał sezon premierą „Ożenku”. Trzeba było wybierać między krzesłem, które zniknęło na placu Kałanczewskim, a wyjazdem z zespołem teatru na gościnne występy. Ostap skłaniał się ku ostatniemu.

- A może byśmy się tak rozłączyli? - zapytał nagle. - Ja pojedę z teatrem, a pan zostanie i zajmie się krzesłem na dworcu towarowym.

Na te słowa Kisa zaczął z takim przerażeniem mrugać siwymi rzęsami, że Ostap dał za wygraną.

- Z dwóch zajęć - rzekł - wybiera się zawsze tego, który ma grubszy comber. Pojedziemy razem. Ale czekają nas duże wydatki. Potrzebne będą pieniądze. Mnie zostało już tylko sześćdziesiąt rubli. A panu? Przepraszam, zapomniałem, że amory w pańskim wieku są bardzo kosztowne. A zatem, idziemy dziś do teatru na premierę „Ożenku”. Niech pan nie zapomni włożyć fraka. Jeżeli nasze krzesła nie zostały jeszcze sprzedane na pokrycie zaległych składek ubezpieczeniowych, jutro wyruszymy w podróż. Bacność,

panie Worobianinow. Zaczyna się ostatni akt komedii: „Skarby teściowej”. A niebawem zawołamy: finita la comedia! Niech pan tak nie sapie, drogi przyjacielu.

Widownia patrzy na nas. O, młodości moja! O, aromacie kulis! Ileż wspomnień! Ileż intryg! Ileż talentu wykazałem niegdyś na scenie w roli Hamleta! Jednym słowem - sesja trwa!

Przez oszczędność udali się do teatru na piechotę. Było jeszcze zupełnie widno, ale latarnie sączyły już cytrynowe światło. Przechodnie byli naocznymi świadkami agonii wiosny. Tumany kurzu zmiatały ją z placów, a gorący wiatr zapędzał w ślepe uliczki. Tam przygarniały ją staruszki, siedzące w ogródkach przy okrągłych stołach, i częstowały herbatą. Ale żywot wiosny był już skończony; wzbraniano jej dostępu do ludzi, chociaż tak bardzo pragnęła znaleźć się pod pomnikiem Puszkina, gdzie spacerowali właśnie młodzieńcy w pstrych nakryciach głowy, w spodniach-fujarkach, w krawatach typu „koń by się uśmieł” oraz w półbutach „Jimmy.”

Miedzy przybytkiem przemysłu piekarniczego a spółdzielnią „Komunard” (czyli między dawnym

Filipowem a dawnym Jelisiejewem) krążyły mocno upudrowane dziewczęta. Panienki te wymieniały soczyste epitety. A przechodnie zwalniali kroku nie tylko dlatego, że na Twerskiej robiło się coraz tłoczniej. Konie moskiewskie nie były lepiej wychowane od stargorodzkich i ze złośliwą zawziętością dudniły kopytami po drewnianym bruku. Obok nich przemykali bezszelestnie cykliści, powracający ze stadionu „Młodych pionierów”, gdzie właśnie odbył się pierwszy atrakcyjny mecz międzymiastowy.

Lodziarz toczył przed sobą zieloną, turkoczącą skrzynię i lekliwie zerkał na milicjanta; ale milicjant był właśnie uwięziony przy sygnalizacji świetlnej i choćby chciał, nie mógł mu zrobić nic złego.

Dwaj nasi przyjaciele przeciskali się przez zatłoczone ulice. Na każdym kroku czyhały na nich różne pokusy. W małych jadłodajniach smażyły się na oczach przechodniów karskie i kaukaskie szaszłyki z polędwicy. W świetliste niebo biły gorące aromaty. Z piwiarni, restauracyjek oraz z kina „Wielki niemowa” dolatywały dźwięki orkiestry smyczkowej. W pobliżu przystanku tramwajowego wydierał się uliczny głośnik.

Zbliżała się godzina spektaklu. Przyjaciele wkroczyli do gwarnej przedsionki teatru Kolumba.

Worobianinow podbiegł do kasy i przestudiował cennik.

- Szalenie drogo - powiedział. - Szesnaście rubli - trzy ruble.

- Nie znoszę - odparł Ostap - tego drobnomieszczaństwa i prowincjonalnej tępoty! Gdzie się pan pcha? Nie widzi pan, że to kasa?

- No właśnie! Przecież bez biletów nas nie wpuszczą!

- Cóż z pana za trąba, Kisa! W każdym przyzwoitym teatrze są dwa okienka. Do kasy zwracają się tylko zakochani oraz bogaci spadkobiercy. Reszta obywateli (stanowiąca, jak łatwo zauważyć, przytłaczającą większość) zwraca się bezpośrednio do okienka sekretariatu teatru.

Istotnie, przed kasą stało zaledwie pięć skromnie odzianych osób. Możliwe, że byli to bogaci spadkobiercy i zakochani. Za to przy okienku sekretariatu panował duży ruch. Stała tam malownicza kolejka. Młodzieńcy we wdętych marynarkach i w spodniach, o jakich się nie śniło mieszkańcom prowincji, wymachiwali karteczkami, które otrzymywali od znajomych reżyserów, aktorów, redaktorów, krawca teatralnego, kierownika

komisariatu milicji tudzież innych, ściśle związanych z teatrem osobistości, jak członkowie stowarzyszenia krytyków teatralnych i filmowych, towarzystwa

„Łzy nieszczęsnych matek”, rady programowej „eksperymentalnego ośrodka cyrkowego” i jakiegoś

„Fortynbrasa przy Umsłopogasie”. Aż ośmiu mężczyzn miało karteczki od Espera Eklerowicza.

Ostap wcisnął się do kolejki, rozepchnął fortynbrasowców i wołając: „Ja tylko chcę o coś zapytać.

Przecież widzicie, że nawet nie zdjąłem kaloszy!”, dotarł do okienka i wetknął w nie głowę.

Sekretarz harował jak tragarz. Na jego tłustym obliczu iskrzyły się jak brylanty kropelki potu. Co chwila odrywał go od pracy telefon, dzwoniący z zawziętością nie ustępującą zawziętości motorniczego tramwaju, który toruje sobie drogę przez Rynek Smoleński.

- Prędszej! - zawołał sekretarz do Ostapa. - Proszę o kartkę.
- Dwa miejsca - rzekł szeptem Ostap - na parterze.
- Dla kogo?
- Dla mnie.
- A kto wy jesteście, obywatelu, i z jakiego tytułu mam wam dać miejsca?
- Ejże, czyżbyście mnie nie znali, towarzyszu?
- Nie znam was.

Ale wejście nieznanego było tak szczere i wymowne, że ręka sekretarza sama wydała Ostapowi dwa miejsca w jedenastym rzędzie.

- Diabli go wiedzą, co za jeden! - rzekł sekretarz wzruszając ramionami. - Tylu się tutaj rozmaitych płacze. A może to ktoś z Ludowego Komisariatu Oświaty? Zdaje się, że go tam kiedyś widziałem. A może gdzieindziej? Ale gdzie?

I Jakub Menelajewicz, wydając machinalnie bezpłatne bilety uprzywilejowanym krytykom teatralnym i filmowym, gubił się w domysłach, gdzie i kiedy widział te szczere, jasne oczy.

I dopiero kiedy wszystkie bezpłatne bilety zostały wydane i kiedy w foyer przyszały światła, Jakub

Menelajewicz przypomniał sobie: te jasne, rozbijające oczy widział w 1922 roku w więzieniu, gdzie znalazł się z powodu jakiejś błałostki.

W jedenastym rzędzie, gdzie siedzieli nasi wspólnicy, rozległ się wybuch śmiechu, śmiechem tym

Ostap wyraził swój zachwyt dla uwertury, wykonanej przez orkiestrę na butelkach, irygatorach, saksofonach i ogromnych wojskowych bębnach. Zapiszczał flet i kurtyna, ziejąc na widownię falą chłodnego powietrza, rozsunała się.

Ku zdumieniu Worobianinowa, przywykłego do klasycznej interpretacji „Ożenku” Gogola,

Podkolesina na scenie nie było. Szukając go wzrokiem Hipolit Matwiejewicz ujrzał zwisające z sufitu dyktowe prostokąty pomalowane na wszystkie kolory tęczy. Na scenie

nie było drzwi ani spowitych w musliny okien. Pod różnobarwnymi prostokątami płaśły jakieś damulki w wielkich kapeluszach z czarnego kartonu. Wreszcie szcęk butelek w orkiestrze zwabił na scenę Podkolesina, który wjechał między płaśjące paniusie na grzbiecie Stiepana. Podkolesin miał na sobie szambelański mundur.

Rozpędził damulki, których wcale nie ma u Gogola, i ryknął:

- Stie-e-pan!

Rycząc tak, zeskoczył z grzbietu Stiepana i zastął w nader skomplikowanej pozie. W orkiestrze zagrzmiały bębny.

- Stie-pa-an! - powtórzył Podkolesin wykonując nowy, akrobatyczny skok.

Ale stojący obok niego, odziany w lamparcią skórę Stiepan, zbył jego wrzaski -milczeniem. Wtedy

Podkolesin zapytał tragicznym tonem:

- Dlaczego milczysz jak Liga Narodów?

- Spietrałem się Chamberlaina - odparł Stiepan drapiąc się w lamparcią skórę.

Widownia w mig zorientowała się, że Stiepan usunie w cień Podkolesina i stanie się główną postacią współczesnej przeróbki sztuki.

- Czy krawiec szyje mi surdut?

Skok. Jazgot irygatorów. Stiepan z wysiłkiem stanął na rękach i w tej pozycji powiedział:

- Szyje!

Orkiestra odegrała potpourri z „Czio-czio-san”. Przez cały ten czas Stiepan stał na rękach. Krew uderzyła mu do głowy.

- No i co? - odezwał się Podkolesin. - Czy krawiec nie pytał, na co twojemu panu takie dobre sukno?

Stiepan, który zdążył już znaleźć się w orkiestrze, gdzie przywarł do piersi dyrygenta, odpowiedział:

- Nie, nie pytał. Krawiec to nie poseł do angielskiego parlamentu.

- A może pytał, czy twój pan nie zamierza się ożenić?

- Nie, ale pytał, czy mój pan nie ma zamiaru płacić kontrybucji.

Potem na scenie zgasło światło i publiczność zaczęła tupać. Tupała tak długo, aż ze sceny rozległ się głos Podkolesina:

- Obywatele! Prosimy o spokój! światło zostało zgaszone specjalnie. Wymaga tego tok akcji i koncepcja inscenizatora.

Publiczność dała za wygraną. Do końca aktu akcja toczyła się w ciemnościach. Dudniły bębny. Przez scenę przemaszerował z pochodniami oddział wojska w mundurach hotelowych portierów. Potem przyjechał Koczkariew. Przyjechał prawdopodobnie na wielbłądzie, jak można było wywnioskować z następującego dialogu:

- Ach! Przestraszyłeś mnie! Dlaczego przyjechałeś na wielbłądzie?

- Więc mimo ciemności dostrzegłeś mego wielbłąda? To wiel-ki-błąd z twojej strony!

W przerwie wspólnicy przeczytali afisz:

OŻENEK

Tekst - N. W. Gogola

Wstawki wierszowane - M. Szerszelafamowa

Opracowanie literackie - I. Antyochijskiego

Ilustracja muzyczna - H. Iwanowa

Autor widowiska - Nik. Siestrin

Scenografia - Simbiewicz-Sindiewtch światła - Płaton Płaszczuk

Ilustracja muz. - Gałktn, Pałkin, Małkin, Czałkin i Zalkind

Charakteryzacja - pracownia Krult

Peruki - Foma Koczura

Heble z pracowni stolarskiej Fortynbrasa przy Umsłopogasie im. Baltazara

Tańce akrobatyczne - Żorżeta Tyraspolska

Prasa hydrauliczna pod kierunkiem monterów Miecznikowa

Afisz złożony, złamany i wydrukowany w szkole zawodowej KRULTA.

- Jak się panu podoba przedstawienie? - zapytał nieśmiało Hipolit Matwiejewicz.

- A panu?

- To bardzo interesujące, tylko Stiepan jest jakiś dziwny.

- A mnie się nie podoba - rzekł Ostap - zwłaszcza to, że meble pochodzą z jakiejś pracowni stolarskiej jakiegoś Wogopasa. Czy oni przypadkiem nie dali naszych krzesł do przeróbki?

Obawy te okazały się płonne. Na początku drugiego aktu Murzyni w cylindrach wnieśli na scenę wszystkie cztery krzesła Worobianinowa.

Scena konkurów wywołała na widowni ogromną sensację. W chwili, kiedy Agafia Tichonowna zaczęła zjeżdżać na scenę po drucie przeciągniętym nad całą widownią, straszliwa orkiestra H. Iwanowa podniosła taki harmider, że już od samego tego zgiełku Agafia Tichonowna powinna była spaść na głowy publiczności. Ale Agafia trzymała się znakomicie. Miała na sobie cieliste trykoty i melonik na głowie. Balansując zieloną parasolką z napisem: „Ja chcę Podkolesina”, Agafia stąpała po drucie, a siedząca na parterze publiczność mogła obserwować jej brudne podeszwy. Z drutu zeskoczyła wprost na krzesło. W tej samej chwili Murzyni, Podkolesin i Koczkariew w baletowych spódniczkach, oraz swatka w mundurze motorniczego, wykonali parę akrobacji. Ponieważ po tym wyczynie musieli kilkaminut odpocząć, więc znowu zgaszono światło na scenie.

Zalotnicy byli ogromnie zabawni, szczególnie Jajecznicza. Zamiast niego wnoszono na scenę patelniejajeczniczy. Marynarz miał na głowie maszt z żaglem.

Na próżno kupiec Starikow biadał, że gnębią go opłatami podatkowymi i domiarami. Nie przypadł

Agafii Tichonownie do gustu. Agafia wyszła za mąż za Stiepana. Oblubieńcy zaczęli pałaszować z petytem jajecznicę podaną przez Podkolesina, który przeistoczył się w lokaja. Koczkariew i Fiokła śpiewali kuplety o Chamberlainie i kontrybucji, którą angielski minister ściąga z Niemiec. Orkiestra odegrała na irygatorach pożegnalnego marsza. I kurtyna, unosząc falę chłodnego powietrza, zasunęła się.

- Przedstawienie udało się - rzekł Ostap. - Krzesła są nienaruszone. Ale nie mamy czasu do stracenia.

Jeśli Agafia Tichonowna będzie co dzień po nich skakała, długo nie wytrzymają.

Młodzi ludzie w modnych marynarkach, trącając się i wybuchając śmiechem, analizowali subtelności inscenizacji tudzież ilustracji muzycznej.

- No, Kisoczka - rzekł Ostap - musi pan zaraz iść lulupa. Bo skoro świt trzeba stanąć w kolejce po bilety. Teatr wyjeżdża o siódmej wieczorem pociągiem przyspieszonym do Niżnego. Kupi pan dwa bilety trzeciej klasy do Niżnego na kurskiej linii kolejowej. Trudno, tę jedną noc przesiedzimy.

Nazajutrz cały zespół teatru Kolumba siedział na dworcu Kurskim w bufecie. Simbiewicz-Sindiewicz po załatwieniu wysyłki dekoracji i rekwizytów posilał się przy bufetowym stoliku. Po wymoczeniu wąsów w piwie zwrócił się z pełnym niepokojem pytaniem do montera:

- Czy aby nie uszkodzą nam w drodze prasy hydraulicznej?

- Z tą prasą to rzeczywiście kłopot - odpowiedział Mieczników. - Pracuje pięć minut, a trzeba się z nią wozic przez całe lato.

- Az aparatem projekcyjnym do sztuki „Proszek ideologii” mniej miałeś kłopotu?

- Rozumie się, że mniej. Aparat projekcyjny był co prawda większy, ale nie taki delikatny.

Przy sąsiednim stoliku siedziała Agafia Tichonowna, młodziutka dziewczyna o łydkach jędrnych i błyszczących jak kręgle. Uwijała się koło niej ilustracja muzyczna w komplecie - Gałkin, Pałkin, Małkin,

Czałkin i Załkind.

- Wczoraj nie graliście mi w takt - skarżyła się Agafia Tichonowna. - Niewiele brakowało, a byłabym spadła z drutu.

Ilustracja muzyczna chórem odpowiedziała:

- Trudno! Pękły nam dwa irygatory.

- A teraz nigdzie nie można dostać zagranicznych irygatorów - żalił się Gałkin.

- Sprawdźcie w Państwowej Centrali Medycznej. Nie tylko irygatora, ale nawet termometru dostać tam nie można! - poparł go Pałkin.

- A czy wy grywacie także na termometrach? - zawołała z przerażeniem młoda aktorka.

- Nie, na termometrach nie grywamy - odpowiedział Załkind. - Ale gra na tych przeklętych irygatorach wpędza nas w chorobę i musimy mierzyć sobie temperaturę.

Autor widowiska i naczelnny reżyser Nik. Siestrin przechadzał się z żoną po peronie. Podkolesin i

Koczkariew gołnęli sobie po trzy głębsze i zalecali się na wyścigi do Żorżety Tyraspolskiej.

Wspólnicy, którzy stawili się na dwie godziny przed odejściem pociągu, zdążyli już odbyć pięć rejsów dokoła skweru przed dworcem.

Hipolitowi Matwiejewiczowi mąciło się w głowie. Pościg za krzesłami wchodził w rozstrzygające stadium. Na rozprażoną jezdnię kładły się wydłużone cienie. Na mokrych,

spoconych twarzach osiadał kurz. Zajeżdżały dorożki. Zalatywało benzyną. Pasażerowie wysiadali z taksówek. Podbiegali do nich.

Jermaki Timofiejewicze i zabierali walizki. Owalne blachy na ich piersiach połyskiwały w słońcu. Muzadalekich podróży chwytą ich w swoje szpony.

- Chodźmy już - rzekł Ostap.

Hipolit Matwiejewicz potulnie wyraził zgodę. I w tej samej chwili stanął oko w oko z mistrzem cechu rumniarzy Bezenczukiem.

- Bezenczuk! - zawołał zdumiony Worobianinow. - Skąd się tu wziąłeś?

Bezenczuk zdjął czapkę i osłupiał z radości.

- Pan Worobianinow! - zawołał. - Cześć i poważanie drogiemu klientowi.

- Jak tam interesy?

- Kiepsciuchno - odparł mistrz cechu trumniarzy.

- Dlaczego?

- Brak klienteli.

- Pewnie „Nimfa” ich odbija?

- Gdzie tam „Nimfie” do mnie. Zwyczajnie, ludzie nie chcą umierać. Po pańskiej teściowej jeden tylko

„Pierre i Constantin” kitę odwalił.

- Co ty gadasz? „Pierre i Constantin” umarł?

- Odwalił kitę, Hipolicie Matwiejewiczu. I to na posterunku. Golił naszego aptekarza Leopolda i odwalił kitę. Ludzie gadali, że mu wnętrzności popękały, ale mnie się widzi, że nieboszyk nawąchał się za dużo lekarstw, którymi śmierdział nasz aptekarz, i nie wytrzymał.

- No, no, no! - mrucał Hipolit Matwiejewicz. - No, no, no! A więc pochowałeś go?

- Wiadomo, że pochowałem. A kto go miał pochować? Przecież „Nimfa”, pieska jej niebieska, nie ma chwastów ani frędzli.

- Więc dałeś im radę?

- Dałem. Ale mnie za to sprali na kwaśne jabłko. Omal mnie na śmierć nie zatłukli. Dopiero milicja ujęła się za mną. Dwa dni leżałem w łóżku i leczyłem się spirytusem.

- Spirytusem? Nacieraleś się?

- Tak. Od wewnątrz.

- A skąd się tu wziąłeś?

- Przywiozłem towar.

- Jaki towar?

- Ano, mój. Znajomy konduktor pomógł mi go przewieźć na gapę w pocztowym wagonie. Po znajomości.

Hipolit Matwiejewicz dopiero teraz spostrzegł, że nieopodal Bezenczuka leży na ziemi piramida trumien. Niektóre były ozdobione frędzlami, inne - nie. Jedną z nich Hipolit Matwiejewicz poznał od razu: była to wielka dębowa, zakurzona trumna z wystawy sklepowej Bezenczuka.

- Osiem sztuk - rzekł z dumą Bezenczuk. - Jedna w drugą. Jak cukiereczki!

- Co komu tutaj po twoim towarze? Przecież tu jest pod dostatkiem miejscowych trumniarzy.

- A chrypa?

- Jaka chrypa?

- Epidemia. Prusis powiedział mi, że w Moskwie szaleje chrypa i że nie ma już w czym ludzi chować.

Wszystkie zapasy się wyczerpały. Więc przyjechałem podreperować interesy.

Ostap, który z zaciekawieniem przysłuchiwał się tej rozmowie, wtrącił się do niej nagle:

- Słuchaj, ojczulku, ta grypa to szaleje w Paryżu.

- W Paryżu?

- A tak! Jedź do Paryża. Tam się dopiero podreperujesz! Będziesz miał pewne trudności z wizą, ale nie przejmuj się. Jeśli przypadniesz Briandowi do serca, zrobisz karierę: dostaniesz nominację na lejbrtrumniarza przy paryskiej radzie miejskiej. A tu starczy miejscowych grabarzy.

Bezenczuk rozejrzał się bacznie. Rzeczywiście, mimo zapewnień Prusisa, na placu nie było widać żadnych zwłok, ludzie całkiem pewnie trzymali się na nogach, a niektórzy nawet śmieli się wesoło.

Pociąg wiozący współników, zespół teatru Kolumba oraz wielu innych pasażerów dawno już odszedł, a Bezenczuk wciąż jeszcze stał oniemiały obok swoich trumien. W zapadającym zmierzchu oczy jego gorzały żółtym, niesamowitym blaskiem.

Część trzecia Skarby madame Pietuchowej

Rozdział XXXI Czarodziejska noc na Wołdze

Wielki kombinator w towarzystwie przyjaciela i najbliższego współpracownika, Kisy Worobianinowa, stał w pobliżu pasażerskiej przystani Państwowej Żeglugi Rzecznej na Wołdze pod napisami: „Cumuj za pierścienie, uważaj na siatkę, nie ocieraj ściany”.

Nad przystanią łopotały chorągwie. Z kominów parowców walił karbowany jak włoska kapusta dym.

Właśnie odbywał się załadunek statku „Anton Rubinstein”. Ładowacze wbijali stalowe pazury w bele bawełny. Na brzegu stały ułożone w czworoboki żelazne garnki. Leżały stosy niegarbowanych skór, zwoje drutu, kłęby szpagatu do wiązania snopów, stały skrzynie z szybami, kamienie młyńskie, dwubarwne palczaste maszyny rolnicze, drewniane widły, obciążone płótnem koszyki z czereśniami i beczki do śledzi.

„Skriabina” nie było widać, co poważnie niepokoiło Hipolita Matwiejewicza.

- Czego się pan denerwuje? - zapytał Ostap. - Przypuśćmy, że „Skriabin” stoi na przystani. Ale jak się pan dostanie na pokład? Gdybyśmy nawet mieli pieniądze na bilety, to i tak nic z tego. Statek ten nie zabiera pasażerów.

Ostapowi udało się w pociągu nawiązać rozmowę z monterem Miecznikowem, opiekunem hydraulicznej prasy, i uzyskać od niego wszystkie niezbędne informacje. Statek „Skriabin”, wynajęty przez Ludowy Komisariat Finansów, miał odbyć podróż z Niżnego do Carycyna, zawijając po drodze do wszystkich portów i przeprowadzając losowanie pożyczki premiowej. W tym celu wyruszyła z

Moskwy cała ekipa: komisja losowania, sekretariat, dęta orkiestra, operator filmowy, korespondencistołecznych dzienników oraz zespół teatru Kolumba. Teatr miał na postojach wystawiać sztuki popularyzujące ideę pożyczki państwowej, w zamian za to komisja pokrywała koszty podróży całego zespołu aż do Stalingradu, skąd teatr zamierzał, już na własny koszt i ryzyko, wyruszyć w artystyczne tournée po Kaukazie i Krymie z przedstawieniami „Ożenku”.

„Skriabin” się spóźniał. Podano do wiadomości, że przybije do przystani dopiero pod wieczór po ukończeniu prac przygotowawczych na pokładzie. Wobec tego cała ekipa rozłożyła się obozem na abrzeżu.

Uroczę istotki z walizczkami i kocami w paskach siedziały na zwojach drutu, pilnując swoich

Underwoodów i nieufnie spoglądając na portowych tragarzy. Jakiś obywatel z granatową hiszpańską bródką ułożył się na młyńskim kamieniu. Na kolanach trzymał stos emaliowanych tabliczek. Na pierwszej z tych tabliczek można było odczytać napis:

WYDZIAŁ ROZRACHUNKOWY

Opodal stały jedne na drugich okazałe biurka i skromne stoły biurowe. Przed opieczętowaną kasą ogniotrwałą spacerował wartownik. Przedstawiciel redakcji „Tokarki” Persicki przez ośmiokrotnie powiększającą lornetkę Zeissa oglądał teren.

Do przystani zbliżał się, płynąc pod prąd, parowiec „Skriabin”. Na tarczach przymocowanych do burt widniały gigantyczne, malowane na dykie obligacje pożyczki państwowej.

Parowiec zaryczał jak mamut lub też jakieś inne zwierzę, które w epoce przedhistorycznej zastępowało syrenę okrętową.

Na finansowo-teatralnym biwaku zaczął się ruch. Urzędnicy wydziału pożyczkowego podążali spiesźnie ku przystani. W tumanie kurzu toczył się w kierunku statku okrągłutki Płaton Płaszczuk.

Gałkin, Pałkin, Małkin, Czałkin i Załkind wybiegli z restauracji „Tratwa”. Tragarze dźwigali ogniotrwałą kasę. Kierowniczka tańców akrobatycznych Żorżeta Tyraspolska gimnastycznym krokiem wbiegła na pomost. Simbiewicz-Sindiewicz, opiekujący się załadunkiem dekoracji, wyciągał co chwila ręce ku niebu lub ku stojącemu na mostku kapitanowi. Operator filmowy niósł wysoko nad głowami tłumu swój aparat i już na pomoście wystąpił z żądaniem przydzielenia mu czteroosobowej kajuty na laboratorium.

Korzystając z ogólnego zamieszania Hipolit Matwiejewicz zbliżył się do krzeseł i, nie panując nad sobą, zaczął odciągać jedno z nich na bok.

- Zostaw pan to krzesło! - wrzasnął na niego Ostap. - Czyś pan oszalał? Gwizdniemy jedno krzesło, a trzy pozostałe przepadną dla nas na zawsze. Pomyślałby pan lepiej, jak dostać się na pokład.

Na pomost weszli członkowie orkiestry opasani mosiężnymi trąbami i z obrzydzeniem patrzyli na saksofony, fleksotony, butelki od piwa tudzież irygatory, w które była uzbrojona ilustracja muzyczna.

Na ciężarówce przywieziono aparat do losowania. Była to nader skomplikowana maszyna, składająca się z sześciu wirujących cylindrów, połyskująca mosiądzem i szkłem. Zainstalowanie tej maszyny na dolnym pokładzie zajęło mnóstwo czasu.

Ruch i wymyślanie trwały do późnego wieczora.

W sali loteryjnej montowano estradę, przybijano plakaty i transparenty, ustawiano drewniane ławki dla widzów i podłączano przewody elektryczne do aparatu loteryjnego. Biurka umieszczono na rufie, a z kajuty maszynistek dolatywało stukanie maszyn do pisania przeplatane wybuchami śmiechu.

Blady mężczyzna z granatową hiszpanką chodził po całym statku i zawieszał na odpowiednich drzwiach emaliowane tabliczki.

WYDZIAŁ ROZRACHUNKOWY

WYDZIAŁ PERSONALNY

KANCELARIA OGÓLNA

HALA MASZYN

Pod większymi tabliczkami umieszczał tabliczki mniejsze:

NIE WCHODZIĆ BEZ WAŻNEGO POWODU

INTERESANTÓW SIĘ NIE PRZYJMUJE

OSOBOM OBCYM WSTĘP WZBRONION

PO INFORMACJE ZWRACAĆ SIĘ DO KANCELARII

Salon pierwszej klasy został przeznaczony na wystawę obligacji i banknotów. Wywołało to gorące oburzenie Gałkina, Pałkina, Małkina, Czałkina i Załkinda.

- A gdzie będziemy jadać? - denerwowali się. - A jak będzie padał deszcz?

- Oj - odezwał się Nik. Siestrin do swojego asystenta - nie wytrzymam!... Jak myślisz, Sierioża, czy nie można by obejść się bez ilustracji muzycznej?

- Nie ma mowy, Nikołaju Konstantynowiczu. Nasi aktorzy przyzwyczaili się już do akompaniamentu.

Po chwili wybuchła nowa awantura. Piątka ilustratorów muzycznych wywęszyła, że autor widowiska zabrał do swojej kajuty wszystkie cztery krzesła.

- Pięknie, ładnie! - mówili z ironią muzykanci - my będziemy robili próby siedząc na łózkach, a Nikołaj

Konstantynowicz będzie się rozpierał na czterech krzesłach ze swoją żoną Gustą, która nie ma nic wspólnego z naszym zespołem. A może my też mielibyśmy ochotę zabrać na statek swoje żony?!

Tymczasem wielki kombinator stał na brzegu i z wściekłością spoglądał na parowiec.

Nagle do uszu współników dobiegł nowy wybuch zgietku.

- Dlaczegoście mi o tym wcześniej nie powiedzieli? - krzyczał jeden z członków komisji.

- A skąd mogłem przewidzieć, że on zachoruje.

- Przecież to katastrofa! Jedźcie natychmiast do urzędu zatrudnienia i zażądajcie przydzielenia nam artysty malarza.

- To niemożliwe. Przecież już szósta. Urząd zatrudnienia jest od dawna nieczynny. A statek odchodzi za pół godziny.

- Wobec tego sami będziecie malować. Skoro wzięliście na siebie obowiązek udekorowania statku, radźcie sobie teraz jak się wam podoba.

Nie tracąc czasu Ostap wbiegł na pomost, roztrącając tragarzy, panienki i pospolitych gapiów.

Zatrzymano go przy wejściu na statek:

- Przepustka!

- Towarzyszu! - wrzasnął Ostap. - Hej, wy, towarzyszu grubasie! Szukacie malarza?!

Po upływie pięciu minut wielki kombinator siedział w białej kajucie otyłego kierownika administracyjnego pływającej loterii i omawiał z nim warunki współpracy.

- Mamy dla was, towarzyszu - mówił grubas - następujące zadania: wykonanie artystycznych plakatów, napisów oraz wykończenie transparentu. Nasz malarz zaczął go malować, ale nie skończył, bo zachorował. Zostawiliśmy go w tutejszym szpitalu. Chodzi nam także o nadzór ogólny nad stroną artystyczną naszej imprezy. Czy możecie się tego podjąć? Upprzedzam z góry, że będzie z tym sporo roboty.

- Owszem, mogę. Robiłem już podobne rzeczy.

- A czy możecie zaraz wyruszyć z nami w drogę?

- Nie będzie to łatwe, ale robi się.

Kierownikowi spadł kamień z serca. Grubas spoglądał na nowego malarza z dziecinną radością.

- Jakie proponujecie warunki? - zapytał beczelnie Ostap. - Proszę wziąć pod uwagę, że nie jestem strażą ogniową.

- Warunki akordowe według cennika urzędu zatrudnienia.

Ostap zmarszczył czoło, co kosztowało go dużo wysiłku.

- Prócz tego, oczywiście, bezpłatne wyżywienie - dodał skwapliwie grubas - i oddzielna kajuta.

- Niech będzie - powiedział z westchnieniem Ostap - zgadzam się. Ale mam ze sobą chłopca, pomocnika.

- Hm, to gorsza sprawa. Na chłopca nie mamy kredytów. Chyba, że weźmiecie go na swój koszt.

Mógłby mieszkać w waszej kajucie.

- Ano, trudno. Mój chłopczyzna jest obrotny i przyzwyczajony do spartańskich warunków.

Ostap otrzymał przepustkę dla siebie i dla obrotnego chłopca, wsadził do kieszeni klucz od kajuty i wyszedł na gwarny pokład. Każde dotknięcie klucza sprawiało mu wielką satysfakcję. Po raz pierwszy w swym burzliwym życiu był w posiadaniu czegoś podobnego. A więc miał już klucz i mieszkanie. Niemiał tylko jeszcze pieniędzy. Ale pieniądze znajdowały się w pobliżu - w krzesłach. Wielki kombinator sadził ręce do kieszeni i przechadzał się po pokładzie, nie zwracając uwagi na porzuconego na brzegu Worobianinowa.

Początkowo Hipolit Matwiejewicz dawał mu na migi znaki, a potem zaczął wołać cieniutkim głosikiem. Ale Bender udawał głuchego. Odwrócił się do głównego akcjonariusza plecami i z uwagą przyglądał się spuszczeniu pod pokład hydraulicznej prasy.

Przygotowania do odjazdu dobiegały końca. Agafia Tichonowna, a właściwie Mura, biegła stukającobcasami z kajuty na rufę, spoglądała w wodę, wymieniała głośne zachwyty z mistrzem gry na ałabajce i wносиła sporo zamieszania w szeregi statecznych funkcjonariuszy imprezy pożyczkowej.

Statek dał drugi sygnał. Pod wpływem przeraźliwych dźwięków syreny pierzchały obłoki, słońce spąsowiło i stoczyło się za linię horyzontu. W górnej części miasta zapłonęły lampy i latarnie. Na

Poczajowskim rynku dały się ochryple gramofony, usiłując zwabić zapóźnionych nabywców.

Ogłuszony tą kakofonią i osamotniony Hipolit Matwiejewicz coś tam wykrzykiwał, ale nikt go nie słyszał. Zgrzyt dźwigu zagłuszał wszystkie inne odgłosy.

Ostap Bender lubował się w efektach. W ostatniej chwili, tuż przed trzecim gwizdkiem, kiedy Hipolit

Matwiejewicz nie miał wątpliwości, że został porzucony na pastwę losu, Ostap raczył go zauważyć.

- Co pan tak stoi jak mumia egipska? Myślałem, że pan już dawno na pokładzie. Zaraz spuszcza pomost. Niech się pan pośpieszy! Proszę wypuścić tego obywatela! Oto przepustka.

Hipolit Matwiejewicz ze łzami w oczach wbiegł na pokład.

- Więc to jest ten wasz chłopiec? - zapytał podejrzliwie kierownik administracyjny.

- Oczywiście - powiedział Ostap. - Kto uważa, że to dziewczynka, niechaj pierwszy rzuci we mnie kamieniem!

Zasepiony grubas oddalił się.

- No, Kisa - rzekł Ostap - od jutra trzeba będzie zabrać się do roboty. Mam nadzieję, że potrafi pan rozrabiać farby. A teraz niech pan słucha: ja jestem malarzem, absolwentem Akademii Sztuk

Pięknych, a pan jest moim pomocnikiem. Jeśli to panu nie dogadza, proszę natychmiast opuścić pokład.

Spod rufy zaczęła kipieć czarno-zielona piana. Parowiec drgnął. Zadzźwięczały mosiężne talerze, flety, kornety, trombony, basy zagrały pięknego marsza. Miasto, kołyszając się i zataczając łuk, przeniosło się na lewy brzeg. Statek zawrócił z prądem i nie przestając dygotać szybko zanurzył się w nocnym roku. W tyle za statkiem kołysały się gwiazdy, latarnie i różnobarwne światła portowe. W ciągu minuty statek oddalił się tak bardzo, że światła miasta wydawały się zastygłym świetlnym pyłem, który unosi się w powietrzu po wybuchu rakiety.

Na pokładzie słychać było jeszcze stukanie maszyn do pisania, ale urok natury i Wołgi przewyciężył te dźwięki. Wszystkich pasażerów „Skriabina” ogarnęło upojenie. Członkowie komisji premiowej popijali w rozmarzeniu herbatę. Na dziobie statku, gdzie odbywało się pierwsze posiedzenie rady załadowej, panował nastrój liryczny. Tak rozkosznie powiewał ciepły wietrzyk, tak pieszczotliwie luskała woda za burtą, tak szybko przesuwali się po obu stronach statku ciemne zarysy brzegów, że przewodniczący rady załadowej, człowiek bardzo stateczny, otworzył usta, żeby wygłosić przemówienie na temat planu pracy w tak niezwykłych warunkach, i niespodziewanie dla wszystkich, jak też dla samego siebie zanucił:

Płynął statek matką

Wołgą Ukochaną rzeki

A wszyscy pozostali poważni uczestnicy zebrania podchwycili refren:

Rozkwitaa-ja bzy

W tym stanie rzeczy wniosek przewodniczącego nie został zaprotokołowany. Słychać było dźwięki pianina. Autor ilustracji muzycznej, H. Iwanow, wydobywał z instrumentu najtkliwsze tony. Mistrz gry na bałajce snuł się za Muroczką i, nie mogąc znaleźć właściwych słów na wyrażenie miłości, szeptał jej słowa pieśni:

Nie odchodź! Twymi całunkami płonę,

I wciąż mi nie dość jest, gdy Ciebie pieszczę.

W wąwozie chmury śpią nieprzebudzone,

Perłami gwiazd nieboskłon nie zgaś jeszcze.

Simbiowicz-Sindiewicz wsparty o poręcz spoglądał w otchłań niebios. W zestawieniu z tym widokiem scenograficzne ujęcie „Ożenku” wydało mu się obrzydliwym

paskudztwem. Scenograf spojrzął z drażą na swoje ręce, które odegrały poważną rolę w stworzeniu oprawy dekoracyjnej dla tej klasycznej komedii.

W szczytowym momencie powszechnego rozmarzenia zainstalowani na rufie Gałkin, Pałkin, Małkin,

Czałkin i Załkind uderzyli w swoje apteczne tudzież restauracyjne instrumenty i rozpoczęli próbę.

Nastrój natychmiast diabli wzięli. Agafia Tichonowna ziewnęła i, lekceważąc towarzystwo wzdychającego wirtuoza-bałałajkarza, poszła spać. W sercach członków rady zakładowej odezwała się znowu umowa zbiorowa i zabrali się do rezolucji. Simbiewicz-Sindiewicz po dojrzałym namyśle doszedł do wniosku, że oprawa dekoracyjna „Ożenku” nie jest taka znowu nieudana. W ciemnościach jakiś rozdrażniony głos zaczął wzywać Żorzetę Tyraspolską na naradę do kajuty reżysera. W adbrzeźnych wsiach szczekały psy. Powiało chłodem.

Ostap, leżąc na obitej skórą kanapie w kajucie pierwszej klasy, spoglądał w zadumie na koło ratunkowe w pokrowcu z zielonego żaglowego płótna i wypytywał Hipolita Matwiejewicza:

- Umie pan malować? Nie? Szkoda. Ja, niestety, też nie umiem.

Po krótkim namyśle ciągnął dalej:

- A zna się pan na liternictwie? Też nie. Fatalnie. Jesteśmy przecież malarzami. Przez dwa dnibędziemy mogli się jakoś wymigiwać, ale potem nas wyleją. Musimy w ciągu tych dwóch dni załatwić szystko, co tu mamy do załatwienia. Sytuacja nieco się skomplikowała. Mam wiadomości, że krzesła znajdują się w kajucie reżysera. Ale to nie jest jeszcze takie straszne. Najważniejsze, że dostaliśmy się na statek. Zanim nas stąd wykurzą musimy zbadać wszystkie krzesła. Dzisiaj już za późno. Reżyser śpi w swojej kajucie.

Rozdział XXXII Podejrzana para

Ludzie jeszcze spali, ale rzeka już pulsowała życiem jak za dnia. Płynęły po niej tratwy - ogromne czworoboki z bali, niosąc na sobie niewielkie chałupki. Mały, nerwowy holownik, którego nazwa

„Pogromca burz” wypisana była półkolisto na burcie, ciągnął za sobą gęsiego trzy barki-cysterny z naftą. Obok „Skriabina” przepłynął zmierzający w górę rzeki rączy statek pocztowy „Czerwona

Łotwa”. „Skriabin” przegonił konwój pogłębiarek i mierząc głębokość wody prądkowaną żerdzią, zaczął zakreślać łuk i obracać się pod prąd.

Pasażerowie statku budzili się ze snu. Z pokładu przerzucano na przystań „Barmino” linkę z ciężarkiem. Za pomocą owej linki pracownicy przystani wyciągnęli na brzeg gruby koniec liny do cumowania, śruby parowca zaczęły się obracać w przeciwną stronę. Połowa rzeki pokryła się ruchliwą pianą. „Skriabin” zadygotał od gwałtownych obrotów śrub i całym bokiem przywarł do przystani. Było jeszcze wcześniej, toteż postanowiono rozpocząć losowanie o godzinie dziesiątej.

Urządowanie na „Skriabinie” zaczynało się, podobnie jak na stałym lądzie, punktualnie o dziewiątej.

Nikt nie zmieniał tu swoich nawyków. Ten, kto na lądzie spóźniał się do biura, spóźniał się i tutaj, chociaż sypiał w lokalu biura. Pracownicy Ludowego Komisariatu

Finansów szybko oswoili się z koczowniczymi warunkami pracy. Woźni z takim samym spokojem zamiatali kajuty, z jakim zamiatali uprzednio pokoje w urzędzie moskiewskim. Woźne roznosiły herbatę i biegały z papierkami z kancelarii ogólnej do wydziału personalnego, nie dziwiąc się wcale temu, że wydział personalny mieści się na rufie, a kancelaria ogólna na dziobie. W kajucie rozrachunkowej liczydła szczękały jak kastaniety i zgrzytał arytmometr. Przed kapitańskim mostkiem ktoś komuś wymyślał.

Wielki kombinator, drepcząc na bosaka po rozprażonej podłodze górnego pokładu, uwijał się dokoła długiego, wąskiego pasa czerwonego płótna i malował na nim hasło, którego tekst uzgadniał co chwila z trzymaną w ręku karteczką:

„Wszyscy na losowanie! Każdy człowiek pracy winien być posiadaczem obligacji pożyczki państwowej”.

Wielki kombinator gorliwie przykładął się do pracy, ale na przeszkodzie stał mu wyraźny brak uzdolnień. Litery napisu zjeżdżały schodkami w dół i wydawało się, że kawał czerwonego płótna jest bezpowrotnie zmarnowany. Jednakże Ostap, przy pomocy chłopca Kisy, odwrócił płótno na drugą stronę i zabrał się ponownie do malowania. Teraz już pracował ostrożniej. Przed namalowaniem pierwszej litery, za pomocą ubielonego kredą sznurka oznaczył na płótnie dwie równoległe linie i dopiero potem, wymyślając pod nosem Bogu ducha winnemu Worobianinowowi, przystąpił do malowania tekstu.

Hipolit Matwiejewicz sumiennie wywiązywał się z obowiązków chłopca do pomocy. Biegał na dół po gorącą wodę, rozrabiał kłajster, kichając wsypywał farby do blaszanki i pokornie zaglądał w oczykapryśnemu artyście. Kiedy transparent był gotowy i wysuszony, wspólnicy znieśli go na dół i rzymocowali do burty.

Grubas, który zaangażował Ostapę, wybiegł na brzeg i stamtąd obejrzał owoc pracy nowego malarza.

Litery hasła były różnej grubości i pochylały się nieco na bok. Ale wobec przymusowej sytuacji nie można było wybredzać.

Dęta orkiestra zeszła na brzeg i zaczęła wygrywać dziarskie marsze. Dźwięki muzyki zwabiły armię dzieci z całego Barmina. Za dziećmi, z owocowych sadów pośpieszyły wieśniaczki oraz chłopci.

Orkiestra rżnęła od ucha dopóty, dopóki nie zeszli na brzeg członkowie komisji premiowej. Zaczął się wiec. Z ganku herbaciarni Korobkowa popłynęły pierwsze dźwięki... referatu o sytuacji międzynarodowej.

Zespół teatru Kolumba obserwował wiec z pokładu statku. Widać było stamtąd białe chustki wiejskich bab, stojących nieufnie w pewnej odległości od ganku, nieruchomą gromadę chłopów, przysłuchujących się słowom mówcy tudzież samego mówcę, który wymachiwał od czasu do czasu rękami. Potem rozległy się znów dźwięki muzyki. Orkiestra zrobiła w tył zwrot i nie przestając grać pomaszerowała w kierunku statku. Tłum ruszył za nią!

Aparat loteryjny wyrzucał mechanicznie różne kombinacje cyfr. Bębny wirowały. Ogłaszano numery wylosowanych obligacji. Mieszkańcy Barmina patrzyli i słuchali.

Ostap przybiegł na chwilę, przekonał się, że wszyscy pasażerowie statku znajdują się na sali, gdzie odbywało się losowanie, i śpiesznie wrócił na pokład.

- Panie Worobianinow - szepnął - mam dla pana pilne artystyczne zadanie. Stanie pan u wylotu korytarza pierwszej klasy i będzie pan tam stał. A jakby ktoś nadchodził, zacznie pan śpiewać.

Worobianinow zdumiał się.

- Co mam śpiewać?

- W żadnym wypadku nie „Boże caria chrani”. Raczej coś sentymentalnego: „Jabłoczko” albo „Kobieta zmienną jest”. Ale uprzedzam, że jeśli pan się spóźni ze swoją arią...! To nie jest teatr eksperymentalny! Tu można oberwać po łbie!

Wielki kombinator, człapiąc bosymi stopami, ubiegł na korytarz wyłożony mahoniową boazerią.

Postać jego ukazała się na chwilę w dużym lustrze umieszczonym na końcu korytarza. Ostap odczytał wywieszkę na drzwiach:

NIK. SIESTRIN

Reżyser teatru „Kolumba”

Odbicie Ostapa zniknęło z lustra, ale po chwili znów się w nim ukazało. Przebiegł przez korytarz, wyszedł na pokład, zamienił porozumiewawcze spojrzenie z Hipolitem Matwiejewiczem i powędrował z krzesłem na górę w kierunku budki sternika. W oszklonej budce nie było nikogo. Ostap zaniósł krzesło na rufę i oświadczył:

- Krzesło będzie tu stało aż do nocy. Wszystko już obmyśliłem. Prócz nas nikt tu nie przychodzi.

Przykryjemy je plakatami, a jak się ściemni - zapoznamy się z jego zawartością.

Po chwili krzesło, przykryte arkuszami dyktu i czerwonym płótnem, zniknęło z oczu.

Hipolita Matwiejewicza znowu ogarnęła gorączka złota.

- A dlaczego nie mamy zanieść krzesła do naszej kajuty? - zapytał niecierpliwie. - Moglibyśmy zajrzeć do niego od razu. Gdybyśmy znaleźli brylanty, drapnęlibyśmy na brzeg...

- A gdybyśmy nie znaleźli? Co wtedy? Co byśmy zrobili z tym krzesłem? Według pana powinniśmy je może odnieść obywatelowi Siestrinowi i powiedzieć uprzejmie: „Proszę nam darować, ukradliśmy wam krzeselko, ale, niestety, nic w nim nie znaleźliśmy, więc pozwalamy sobie zwrócić je w nieco uszkodzonym stanie”. Czy tak, pańskim zdaniem, należałoby postąpić?

Wielki kombinator jak zawsze miał słuszość. Hipolit Matwiejewicz ochłonął ze wstydu dopiero wtedy, kiedy na pokładzie rozległy się dźwięki uwertury, wykonywanej na irygatorach i bateriach butelek od piwa.

Losowanie było na dziś skończone. Widzowie rozlokowali się na zboczach i wbrew wszelkimprzewidywaniom, z zachwytem przyjmowali produkcje apteczno-murzyńskiego zespołu muzycznego.

Gatkin, Pałkin, Małkin, Człkin i Załkind spoglądali z dumą, jakby chcieli powiedzieć: „No, proszę! A wy twierdzicie, że szerokie masy nas nie rozumieją. Prawdziwa sztuka zawsze trafi do odbiorcy!”

Następnie zespół teatru Kolumba odegrał na prowizorycznej scenie wesoły wodewil ze śpiewami i ańcami, demonstrujący widzom, jak Wawiła wygrał pięćdziesiąt tysięcy i co z tego wynikło. Aktorzy, wyzwoleni z więzów narzucanego im przez Siestrina konstruktywizmu, grali z fantazją, tańczyli z temperamentem i śpiewali nader dźwięcznymi głosami. Publiczność była ogromnie zadowolona.

W drugim numerze programu wystąpił wirtuoz gry na bałałajce. Przysiań zakwitła uśmiechami.

„Barynia, barynia - wygrywał wirtuoz - sudarynia, barynia!”

Bałałajka poszła w ruch. Przenosiła się na plecy muzyka i stamtąd rozbrzmiewała piosenką: „Pan na brzuchu ma łańcuszek, lecz zegarka panu brak!” Wylatywała w górę i w locie wykonywała najwymyślniejsze wariacje.

Potem przyszła kolej na Żorżetę Tyraspolską. Wprowadziła na scenę stadko dziewcząt w sarafanach i koncert zakończył się ludowymi tańcami.

W czasie, kiedy „Skriabin” przygotowywał się do dalszej drogi, kiedy kapitan porozumiewał się przez obsługę maszyn, kiedy podsycano ogień w paleniskach dla nagrzania kotłów, dęta orkiestra po owine zeszła na brzeg i ku ogólnej radości zaczęła przygrywać do tańca. Potworzyły się malownicze, pełne ruchu grupy. Zachodzące słońce oświetlało je łagodnym morelowym blaskiem.

Była to idealna chwila do zdjęć filmowych. Istotnie, operator Połkan wyszedł poziewając z kajuty.

Worobianinow, który już się przyzwyczaił do nowego zawodu chłopca na posyłki, niósł za nim aparat filmowy. Połkan podszedł do burty i spojrzął na brzeg. Tańczono tam na trawie polkę-żołnierkę.

Chłopcy z taką siłą przytupywali bosymi nogami, jakby chcieli rozkruszyć naszą planetę. Dziewczęta fruwały w powietrzu. Widzowie rozmieścili się na pochyłościach zbocza. Francuski operator filmowy z grupy „Awangarda” znalazłby tu materiał do zdjęć na trzy doby. Ale Połkan prześliznął się tylko zczurzymi oczkami po wybrzeżu, odwrócił się do niego plecami, truchcikiem podbiegł do przewodniczącego komisji, ustawił go pod białą ścianą, wsunął mu do ręki książkę, poprosił go, żeby stał spokojnie, i długo płynnym ruchem kręcił korbką aparatu. A potem zaprowadził zmieszanego przewodniczącego na rufę i sfotografował go na tle zachodzącego słońca.

Ukończywszy te zdjęcia, Połkan dostojnie odszedł do swojej kajuty i zamknął się w niej.

Znowu zawyła syrena i znowu wystraszone słońce uciekło z nieba. Zapadła druga noc. Statek był gotów do drogi.

Ostap ze strachem myślał o jutrzejszym ranku. Kazano mu wyciąć z arkusza kartonu postać siewcy rozrzucającego obligacje. To artystyczne zadanie było ponad siły wielkiego kombinatora. Z literami dawał sobie jeszcze jako tako radę, ale artystyczne wykonanie postaci siewcy całkowicie przekraczało jego możliwości.

- Zwracam uwagę - uprzedzał grubas - że w Wasiukach zaczynamy losowanie w godzinach wieczornych i nie będziemy mogli się obejść bez transparentu.

- Zrobi się - oświadczył Ostap licząc bardziej na dzisiejszy wieczór niż na jutrzejszy ranek. -

Transparent będzie.

Noc była wietrzna i gwiazdna. Mieszkańcy pożyczkowej arki udali się na spoczynek.

Chrapały lwy z komisji. Spały jagnięta z sekretariatu, kozły z buchalterii, króliki z wydziału rozrachunkowego, hieny i szakale z ilustracji muzycznej i gołębnice - maszynistki.

Nie spała tylko nasza podejrzana para. O pierwszej w nocy wielki kombinator wyszedł ze swej kajuty.

Za nim sunął niemy cień wiernego Kisy. Wdrapali się na górny pokład i bezszelestnie zbliżyli się dozamaskowanego krzesła. Ostap ostrożnie odsunął arkusze dykty, odpruł obcęgami pokrycie i zanurzył ękę w siedzeniu krzesła.

Po górnym pokładzie hulał wiatr. Na niebie dyskretnie mrugały gwiazdy. Głęboko w dole pluskała czarna woda. Nie widać było brzegów. Hipolit Matwiejewicz dygotał z przejęcia.

- Są! - szepnął nagle zduszonym głosem Ostap.

*

List ojca Fiodora pisany w umeblowanych pokojach „Wartość” w Baku do żony zamieszkałej w owiatowym mieście N.

Droga i nieoceniona moja Katiu!

Z każdą godziną zbliżamy się do naszego szczęścia. Piszę do ciebie w hoteliku „Wartość” po załatwieniu wszystkich pilnych spraw. Miasto Baku jest bardzo duże. Są tu podobno w pobliżu szyby naftowe, ale jedzie się do nich elektryczną koleją, a jestem też pieniądzy.

Malownicze to miasto leży nad morzem Kaspijskim. Morze Kaspijskie jest rzeczywiście bardzo duże. Panują tu straszne upały. Noszę na jednym ramieniu palto, na drugim marynarkę i mimo to jest mi ogromnie gorąco. Ręce mi się pocą! Co chwila muszę się pokrzepiać herbatą.

A nie mam już prawie grosza. Ale to nic, kochanie ty moje. Wkrótce już będziemy mieli pieniędzy w bród. Najpierw sobie trochę pojeździmy, a potem osiadziemy na stałe w Samarze przy naszej fabryczce i będziemy popijali nalewkę. Ale - do rzeczy!

Baku pod względem położenia geograficznego i zaludnienia znacznie przewyższa Rostów. Jest jednak mniej ruchliwe niż Charków. Widuje się tu mnóstwo cudzoziemców. Zwłaszcza Ormian i Persów. Blisko stąd, matusiu, do Turcji. Byłem na targu i widziałem mnóstwo tureckich szali i innych przedmiotów. Chciałem ci kupić w prezencie mużmański kwef, niestety nie miałem pieniędzy. Ale pomyślałem sobie, że jak się wzbogacimy (a to jest już kwestia najbliższych dni), wtedy będziemy mogli kupić kwef.

Och, matusiu, zapomniałem ci napisać o dwóch strasznych wypadkach, jakie mi się w Baku zdarzyły: 1) kurtka twego brata piekarza wpadła mi do Morza Kaspijskiego i 2) na targu opluł mnie jednogarbny wielbłąd. Obydwa te wypadki bardzo mnie zdumiały. Dlaczego władze dopuszczają do takich wybryków w stosunku do przyjezdnych? przecież nie zrobiłem wielbłądowi nic złego, sprawiłem mu nawet przyjemność, bo połaskotałem go gałązką ponoźdzach! A marynarka? Wszyscy ją łowili i w końcu wyłowili, ale okazało się, że jest rześiakięta naftą. Nie mam pojęcia, jak to wytłumaczyć twemu bratu piekarzowi. Ale ty, moje złotko, trzymaj na razie język za zębami. Czy Jewstigniejew jeszcze się stołuje?

Przeczytałem ten list i widzę, że nie zdążyłem ci jeszcze napisać o interesach. Inżynier Bruns istotnie pracuje w „Aznafcie”. Ale nie ma go chwilowo w Baku. Wyjechał na urlop do Batumi.

W Batumi mieszka jego rodzina. Rozmawiałem z tutejszymi ludźmi. Mówią, że Bruns ma całe umeblowanie w Batumi. Mieszka tam w letniej willi na Zielonym Przylądku. Jest to takie tamtejsze letnisko (podobno dosyć drogie). Podróż stąd do Batumi kosztuje 15 rubli z kopiejkami. Przyślij mi telegraficznie dwadzieścia rubli. Zadepeszuję do ciebie z Batumi.

Rozповідаj po mieście, że nadal jestem u łóża chorej ciotki w Woroneżu.

Twój na wieki mąż Fiedia

Postscriptum: W czasie kiedy wyszedłem, żeby wrzucić ten list do skrzynki, skradziono mi z okoku palto twego brata piekarza. Co za nieszczęście! Dobrze przynajmniej, że teraz lato!

Bratu nic o tym nie mów.

Rozdział XXXIII Wygnanie z raju

Podczas kiedy jedni z bohaterów naszej powieści uważali, że czas wlece się zbyt wolno, a drudzy, że ucieka zbyt szybko, czas płynął całkiem normalnie. Po dusznym moskiewskim maju nastąpił duszny moskiewski czerwiec. W powiatowym miasteczku N. uszkodzony na wybojach samochód Państwowej

Fabryki nr 1 stał już od dwóch tygodni na rogu placu Staropańskiego i ulicy imienia towarzysza

Gubernialnego, okadzając od czasu do czasu całą okolicę kłębam smrodliwego dymu. Ze stargorodzkiej prokuratury wychodzili pojedynczo zawstydzeni członkowie tajnego stowarzyszenia

„Miecz i pług”, po podpisaniu zobowiązania, że nie wydała się poza obręb miasta. Wdowa

Gricacujewa (gorąca kobieta, szczyt marzeń poety) powróciła do swojego handlu artykułami kolonialnymi i została ukarana grzywną w wysokości piętnastu rubli za to, że zapomniała wywiesić na idocznym miejscu cennika na mydło, pieprz, farbkę i tym podobne artykuły, aczkolwiek dla kobiet o gorącym sercu taki brak pamięci jest rzeczą całkiem naturalną.

- Są! - powtórzył wzruszonym głosem Ostap. - Trzymaj pan!

Hipolit Matwiejewicz drżącymi rękami wziął od niego płaskie drewniane pudełeczko. Ostap nadal grzebał po ciemku we wnętrznościach krzesła. Na brzegu zabłysło światelko. Żłocista smuga padła na wodę i popłynęła za statkiem.

- Cóż u diabła?! - odezwał się Ostap. - Nic więcej nie ma!

- N-n-nie-m-m-możliwe - szepnął Hipolit Matwiejewicz.

- Niech się pan sam przekona!

Worobianinow wstrzymując oddech padł na kolana i zanurzył rękę po łokieć we wnętrzu krzesła.

Namacał sprężyny, ale oprócz nich nie było tam nic twardego. Z poruszonego włosa bił w nozdrza obrzydliwy suchy kurz.

- Nie ma? - zapytał Ostap.

- Nie ma.

Wtedy Ostap podniósł krzesło - i wyrzucił je daleko za burtę. Rozległ się ciężki plusk. Drżąc z zimna i niepokoju współnicy wrócili do kajuty.

- Tak - rzekł Bender - w każdym razie coś się tam znalazło!

Hipolit Matwiejewicz wyjął z kieszeni pudełeczko i spojrzał na nie osowiałym wzrokiem.

- Dawaj pan! Coś się pan tak zagapił?

Otworzyli pudełeczko. Na jego dnie leżała mosiężna, zzieleniała tabliczka z napisem:
TYM KRZESŁEM

MAJSTER

GAMBS zaczyna nową serię mebli

1865 r. Sankt-Petersburg.

Ostap przeczytał ten napis na głos.

- A gdzie brylanty? - spytał Hipolit Matwiejewicz.

- Nie jest pan zbyt domyślny, drogi łowco wyściełanych krzeseł. Brylantów, jak pan widzi, nie ma.

Wygląd Worobianinowa był żałosny. Pod nosem jeżyły mu się odrastające wąsy, a szkła binokli były pokryte mgiełką. Wydawało się, że Worobianinow z rozpaczny bije się uszami po policzkach.

Chłodny i trzeźwy głos wielkiego kombinatora wywarł jak zwykle swój magiczny wpływ.

Worobianinow stanął na baczność i zamilkł.

- Milcz, serce, milcz, Kisa! Będziemy się jeszcze kiedyś śmiali z głupiego ósmego krzesła, w którym znaleźliśmy tę idiotyczną blaszkę. Ale baczność! Są tu jeszcze trzy krzesła - dziewięćdziesiąt dziewięć szans na sto!

W ciągu nocy na policzku w najwyższym stopniu zrozpaczonego Hipolita Matwiejewicza wyrosła wielka wrzodzia. Jak gdyby wszystkie cierpienia i zawody, cała udręka pogoni za brylantami ebrała się w tej wrzodzie, grającej kolorami perłowej masy, dojrzałej wiśni tudzież farbki do prania.

- Czy to na znak żałoby? - zapytał Ostap.

Hipolit Matwiejewicz westchnął spazmatycznie i wysoki, nieco zgięty jak wędka, pomaszzerował po farby. Przystąpili do malowania transparentu. Wspólnicy pracowali na górnym pokładzie.

Był to trzeci dzień podróży.

Zaczął się od ostrego starcia między dętą orkiestrą a ilustracją muzyczną o miejsce na próby.

Po śniadaniu z dwóch stron jednocześnie pośpieszyli ku rufie pełni krzepy członkowie orkiestry z mosiężnymi trąbami oraz łamagi z irygatorami. Jako pierwszy dotarł na rufę Gałkin i usadowił się na ławce. Tuż po nim nadbiegł klarnet z dętej orkiestry.

- To miejsce jest zajęte - oświadczył groźnie Gałkin.

- Przez kogo? - zapytał złowieszco klarnet.

- Przeze mnie.

- I to już wszystko?

- Nie, jest jeszcze Pałkin, Małkin, Czałkin i Załkind.

- A Jołkina między wami nie ma? To jest nasze miejsce.

Z obydwu stron zaczęły nadciągać posiłki. Przybył helikon, najokazalszy instrument w całej orkiestrze, trzykrotnie opasany mosiężnym węzem tuby. Obok niego kołysała się waltornia przypominająca ucho. Przy niej stały w pełnej gotowości bojowej tromboney. Słońce odbijało się tysiącrotnie w tym bojowym rynsztunku. Ilustracja muzyczna prezentowała się znacznie skromniej. Połyskiwało tam tylko szkło butelek od piwa, lśniły wątlm blaskiem irygatory, a saksofon - oburzająca karykatura dętego instrumentu, licha imitacja trąby - wyglądał żałośnie i przypominał fajeczkę.

- Batalion wirtuozów gry na lewatywach - odezwał się zadziorny klarnet - pretenduje do tego miejsca.

- A wy... wy jesteście - odpowiedział Załkind, usiłując znaleźć jakiś dotkliwy epitet - wy jesteście muzycznymi konserwatystami! Nie przeszkadzajcie nam próbować!

- To wy nam przeszkadzacie! Im mniej prób odbywacie na waszych nocnikach, tym lepiej.

- Az gry na waszych samowarach - z próbami czy bez prób - i tak nic nie wychodzi.

Wobec niemożności porozumienia, obie strony pozostały na placu boju i każda z nich zaczęła wykonywać swój repertuar. Rozległy się dźwięki, które można porównać tylko do dźwięków wydawanych przez tramwaj, jadący wolno po tłuczonym szkłe. Dęta orkiestra grała marsza keksholmskiego pułku gwardii, a ilustracja muzyczna - murzyński taniec: „Antylopa u źródeł Zambezi”.

Dopiero osobista interwencja przewodniczącego komisji premiowej przerwała ten harmider.

O jedenastej arcydzieło naszych współników zostało ukończone. Ostap i Worobianinow, posuwając się tyłem, ruszyli z transparentem w kierunku kapitańskiego mostku. Przed nimi biegł wznosząc ręce ku niebu otyły administrator imprezy. Wspólnymi siłami przywiązano transparent do balustrady.

Transparent górował nad pokładem jak ekran. Elektrotechnik doprowadził do niego przewody elektryczne i zainstalował trzy żarówki. Wystarczyło przekręcić kontakt, żeby oświetlić transparent od dołu.

Z dzioba statku widać już było po prawej stronie światła miasta Wasiuki.

Kierownik administracyjny zwołał wszystkich pasażerów statku na uroczystość oświetlenia transparentu. Hipolit Matwiejewicz oraz wielki kombinator spoglądali na zebranych z góry, stojąc po obu bokach swego nie oświetlonego jeszcze arcydzieła.

Pasażerowie statku przeżywali bardzo gorąco wszystko, co się wiązało z ich wędrowną misją.

Maszynistki, woźni, urzędnicy, członkowie zespołu teatralnego i załoga statku zebrali się tłumnie na pokładzie pasażerskim i czekali z zadartymi do góry głowami.

- Jazda! - rzucił rozkaz kierownik administracyjny. Transparent rozbłysnął światłem. Ostap spojrział w dół na tłum widzów, na ich twarze tonące w różowej poświacie.

Widownia wybuchnęła śmiechem. Potem zapadła cisza. Z dołu rozległ się surowy głos:

- Gdzie jest kierownik?

W głosie tym było tyle stanowczości, że kierownik administracyjny, nie licząc schodków, stoczył się na dolny pokład.

Popatrzcie - rzekł surowy głos - i nacieszcie oczy owocami swej pracy!

- Zaraz nas stąd wyleją! - szepnął Ostap do Hipolita Matwiejewicza.

Istotnie, po krótkiej chwili grubas wpadł niby jastrząb na górny pokład.

- No i jak transparencik? - zapytał bezczelnie Ostap. - Ujdzie?

- Pakujcie manatki! - wrzasnął kierownik administracyjny.

- Przecież się nie pali.

- Pakujcie manatki i wynoście się na złamanie karku! Pójdziecie pod sąd! Z naszym naczelnikiem nie ma żartów.

- Wyrzucić ich! - odezwał się z dołu władczy głos.

- A co? Naprawdę transparent wam się nie podoba?

Ale dalsza zabawa w kotka i myszkę nie miała sensu. „Skriabin” zbliżał się już do Wasiuków i z pokładu widać było zdumione twarze zgromadzonych na wybrzeżu mieszkańców miasta.

Wspólnikom kategorycznie odmówiono wypłaty pieniędzy. Na pozbieranie manatków dano im pięć minut.

- Skandal! - powiedział Simbiewicz-Sindiewicz, kiedy wspólnicy opuszczali statek. - Mogli powierzyć mnie wykonanie transparentu. Zrobiłbym to tak, że niech się sam Meyerhold schowa.

Wspólnicy przystanęli na brzegu i spojrzeli na statek, gdzie na czarnym tle nieba jaśniał transparent.

- T-tak - rzekł Ostap - transparencik dość osobliwy. Marna robota.

Gdyby rozbrykany osioł machnął ogonem, to w porównaniu z transparentem Ostapa namalowałby prawdopodobnie arcydzieło zasługujące na miejsce w muzeum. Zamiast siewcy rozrzucającego obligacje, nieudolna ręka Ostapa namalowała tępy pień, na którym stała głowa cukru z cienkimi biczami zamiast rąk.

Statek na przystani płonął światłami i grzmiał muzyką, a przed wspólnikami na wysokim brzegu rozpościerał się mrok prowincjonalnej nocy, słychać było szczekanie psów i dalekie tony harmonii.

- Zróbmy bilans - rzekł z fantazją Ostap. - Pasywa: całkowite pustki w kieszeni; trzy krzesła odpływają w dół rzeki; nie mamy gdzie przenocować. Aktywa: wydany w 1926 roku przewodnik po Wołdze

(zmuszony byłem wypożyczyć go sobie z kajuty Simbiewicza). Trudno będzie przy bilansowaniu uniknąć ujemnego salda. Będziemy musieli przenocować na przystani.

Wspólnicy ulokowali się na ławkach w poczekalni. Przy świetle kopczącej naftowej latarni Ostap zajął się lekturą przewodnika.

„Na wysokim prawym brzegu - miasto Wasiuki. Wywozi się stąd drzewo, smołę, tytoń, tektury, rorogoże, a przywozi się przedmioty codziennego użytku dla całej okolicy, oddalonej o pięćdziesiąt kilometrów od linii kolejowej.

Miasto liczy 8000 mieszkańców, posiada państwową fabrykę tektury zatrudniającą 320 robotników oraz małą odlewnię żelaza, browar i garbarnię. Oprócz szkół ogólnokształcących jest w mieście technikum leśne?”

- Sytuacja jest znacznie poważniejsza niż przypuszczałem - rzekł Ostap. - Wyciśnięcie pieniędzy z mieszkańców Wasiuków wydaje mi się zadaniem prawie niewykonalnym.

A musimy przecież zdobyć chociaż trzydzieści rubli. Po pierwsze, trzeba z czegoś żyć, po drugie, musimy wyprzedzić balie z premią imprezą i spotkać się z zespołem teatru Kolumba na stałym lądzie, w Stalingradzie.

Hipolit Matwiejewicz zwinął się w kłębek jak stary wychudły kocur po ostrym starciu z młodym rywalem, namiętnym władcą dachów, strychów i okienek na poddaszu.

Ostap przechadzał się między ławkami, rozmyślając i kombinując. Około pierwszej w nocy wspaniały plan był już opracowany. Bender ułożył się obok współnika i zasnął.

Rozdział XXXIV Międzyplanetarny turniej szachowy

Od wczesnego rana po Wasiukach chodził wysoki, chudy starzec w binoklach w złotej oprawie, w brudnych, uwalanych farbami półbutach i rozlepił na ścianach ręcznie pisane afisze:

22 czerwca 1927 r. w lokalu klubu „Tekturowiec” odbędzie się odczyt na temat „GENIALNY DEBIUT” oraz

SEANS JEDNOCZESNEJ GRY W SZACHY NA

160 SZACHOWNICACH przeprowadzony przez arcymistrza O. Bendera.

Uczestnicy gry proszeni są o przybycie z własnymi szachownicami.

Opłata za grę - 50 kop.

Opłata za wstęp - 20 kop.

Początek punktualnie o 6-wieczorem.

Kierownictwo administracyjne:

K. Michelson

Sam arcymistrz także nie tracił czasu. Po wynajęciu za trzy ruble sali klubowej, udał się do sekcji szachowej, która nie wiedzieć czemu mieściła się na korytarzu w zarządzie stadniny.

W sekcji szachowej siedział jednooki mężczyzna i czytał powieść Spielhagena.

- Arcymistrz Bender! - przedstawił się Ostap siadając obok nieznanego. - Organizuję tu u was seans jednoczesnej gry.

Jedynie oko miejscowego szachisty wytrzeszczyło się do granic możliwości.

- Momencik, towarzyszu arcymistrzu! - zawołał. - Chwileczkę. Zaraz wrócę.

Jednooki wybiegł. Ostap rozejrzał się po siedzibie sekcji szachowej. Na ścianach wisały fotografie koni wyścigowych, a na stole leżała zakurzona księga buchalteryjna z napisem: „Wyniki działalności sekcji szachowej w Wasiukach w roku 1925”.

Jednooki wrócił z tuzinem obywateli w różnym wieku. Każdy z nich po kolei podchodził do arcymistrza i przedstawiał mu się wymieniając swoje nazwisko i ściskając mu dłoń.

- Bawię tutaj przejazdem. W drodze do Kazania - mówił Ostap mywanymi zdaniem. - Tak, tak. Seans dziś wieczorem. Liczę na was. Na razie, proszę wybaczyć, nie jestem w formie. Bardzo mnie zmęczył turniej w Karlsbadzie.

Miejscowi szachiści patrzyli na Ostapę z synowską miłością. Ostapę poniosło. Poczuł nagły przypływ sił i pomysłów szachowych.

- Nie macie pojęcia - mówił - jakie postępy poczyniono ostatnio w grze w szachy. A czy wiecie, że

Lasker dopuszcza się niesłychanych rzeczy. Niepodobna z nim grać. Zaczadza swoich kontrapartnerów dymem z cygar. Pali umyślnie najtańsze i najbardziej cuchnące cygara. Cały świat szachistów jest tym ogromnie zaniepokojony.

Następnie arcymistrz przeszedł na tematy lokalne.

- Dlaczego na prowincji odczuwa się taki brak polotu? Na przykład wasza sekcja szachowa. Nazywacie ją po prostu sekcją szachową. To banalne, moje panienki! Dlaczego nie nazwiecie jej jakoś ładniej i bardziej po szachowemu? Przyciągnęłoby to do was szerokie masy. Moglibyście, na przykład, nazwać waszą sekcję „Szachowy klub czterech koni”, „Czerwona końcówka” albo „Utrata jakości przy zysku na czasie”. Czy to nie ładnie? Czy nie pięknie brzmi?

Pomysł Ostapę bardzo się podobał.

- Rzeczywiście - powiedzieli szachiści - czemu nie nazwać naszej sekcji „Klubem czterech koni”?

Ponieważ zarząd sekcji akurat był w komplecie, Ostapę zorganizował pod swoim honorowym przewodnictwem krótkie posiedzenie, na którym zapadła jednogłośnie uchwała przemianowaniem sekcji na „Szachowy klub czterech koni”. Arcymistrz wykorzystując praktykę artystyczną na pokładzie

„Skriabina”, własnoręcznie wymalował na arkuszu tektury wywieszkę z czterema końmi i odpowiednim napisem.

Ten doniosły krok miał być zapowiedzią nowej szachowej ery w Wasiukach.

- Szachy! - mówił Ostapę. - Czy wiecie, co to są szachy? Przyczyniają się one nie tylko do rozwoju kultury, ale także do rozwoju gospodarki! Czy zdajecie sobie sprawę z tego, że wasz „Szachowy klub czterech koni” przy odpowiednim podejściu do zagadnienia może całkowicie przeobrazić miasto

Wasiuki?

Ostapę od wczoraj nie miał nic w ustach i zapewne dlatego był taki wymowny.

- Tak! - krzyczał. - Szachy są źródłem wszelkich bogactw! Jeżeli zrealizujecie moje projekty, wkrótce będziecie schodzili do przystani po marmurowych schodach! Wasiuki staną się centralnym ośrodkiem dziesięciu okolicznych guberni! Czy słyszeliście dawniej o mieście Semmering? Nie! A obecnie miasteczko to jest sławne i bogate tylko dzięki temu, że zorganizowano tam międzynarodowy turniej szachowy. I dlatego proponuję, żeby zorganizować w Wasiukach międzynarodowy turniej szachowy.

- Ale jak? - zawołali zebrani.

- To jest całkiem realny projekt - odparł arcymistrz. - Do zorganizowania międzynarodowego turnieju w Wasiukach wystarczą w zupełności moje osobiste stosunki i wasza inicjatywa. Pomyślcie, jak to pięknie brzmi: „Międzynarodowe rozgrywki szachowe w Wasiukach w 1927 roku”. Przyjazd José-

Raula Capablanci, Emanuela Laskera, Alechina, Nimcowicza, Retiego, Rubinsteina, Maroczyiego,

Tarrascha, Vidmara i doktora Grigoriewa jest zapewniony. Ponadto zapewniony jest również mój udział!

- Ale pieniądze! - jęknęli szachiści. - Przecież tym wszystkim sławom trzeba zapłacić! Trzeba mieć na to grube tysiące! Skąd je wziąć?

- Wszystko już przewidziałem - rzekł O. Bender. - Dochody z turnieju pokryją wszelkie koszty.

- Ale kto będzie mógł sobie pozwolić na piekielnie drogie bilety wstępu? Przecież mieszkańcy

Wasiuków...

- A kto mówi o mieszkańcach Wasiuków? Mieszkańcy Wasiuków nie będą nic płacili. Mieszkańcy

Wasiuków będą in-ka-so-wa-li pieniądze! To jest chyba jasne jak słońce. Przecież na turniej z udziałem tak znakomitych mistrzów zjadą się miłośnicy szachów z całego świata. Do Wasiuków przybędą setki tysięcy ludzi, setki tysięcy bogatych ludzi. Oczywiście żegluga rzeczna nie podoła transportowi tak ogromnej liczby pasażerów. Wobec tego, po pierwsze, Ludowy Komisariat

Komunikacji będzie zmuszony wybudować nową linię kolejową Moskwa-Wasiuki. Druga sprawa to budowa hoteli i drapaczy chmur dla pomieszczenia gości. Trzecie to podniesienie na wyższy poziom gospodarki rolnej w promieniu tysiąca kilometrów, bo przecież goście muszą być zaopatrzeni w jarzyny, owoce, kawior i cukierki czekoladowe. Punkt czwarty to pałac, w którym będą się odbywały rozgrywki szachowe. Punkt piąty - garaże dla zagranicznych samochodów. Ponadto trzeba wybudować w Wasiukach potężną radiostację, aby móc przekazywać na cały świat sensacyjne wyniki rozgrywek. To był punkt szósty. A teraz wróćmy do linii kolejowej Moskwa-Wasiuki. Nie będzie ona posiadała zapewne takiej przelotowości, aby mogła przetransportować do Wasiuków wszystkich entuzjastów turnieju. Z tego wynika, że trzeba wybudować port lotniczy „Wielkie Wasiuki”, który za pomocą samolotów pocztowych oraz sterowców będzie utrzymywał regularną komunikację zewszystkimi krańcami świata z Los Angeles i Melbourn łącznie.

Miejscomi szachiści byli oszołomieni tymi perspektywami. Rozstąpiły się i runęły zbutwiałe ściany arządu stadniny, a na ich miejscu zaczęły wyrastać pod niebo szklane ściany trzydziestodwupiętrowego pałacu szachowego. W każdej sali tego pałacu, w każdym pokoju, a nawet w każdej z licznych wind, mknących w górę z szybkością pocisków, siedzieli skupieni ludzie i grali w szachy na inkrustowanych malachitem szachownicach...

Na brzeg błękitnej Wołgi wiodły marmurowe schody. Na rzece stały parowce oceaniczne. Kolejka linowa przewoziła do miasta pyzatyh cudzoziemców, szachowe ladies, australijskich zwolenników indyjskiej obrony, Hindusów w białych turbanach, fanatyków partii hiszpańskiej, Niemców,

Francuzów, Nowozelandczyków, mieszkańców dorzecza Amazonki tudzież mieszkańców Moskwy,

Leningu, Kijowa, Odessy i Syberii, którzy z zazdrością patrzyli na mieszkańców Wasiuków.

Sznury samochodów ciągnęły ulicą między dwoma szeregami marmurowych hoteli. Nagle cały ruch zamarł. Z wytwornego hotelu „Pionek” wyszedł mistrz świata, José-Raul Capablanca y Graupera.

Otaczało go grono dam. Milicjant wystrojony w specjalny szachowy mundur (spodnie w szachownicę i wieże na patkach) uprzejmie zasalutował. Do mistrza majestatycznie zbliżył się jednooki przewodniczący „Klubu czterech koni” w Wasiukach.

Pogawędkę dwóch luminarzy, prowadzoną w języku angielskim, przerwało przybycie drogą powietrzną doktora Grigoriewa oraz Alechina, przyszłego mistrza świata.

Okrzyki powitalne wstrząsnęły miastem. José-Raul Capablanca y Graupera skrzywił się. Jednooki skinął ręką i do samolotu przystawiono marmurowe schodki. Zbiegł po nich doktor Grigoriew wymachując na powitanie nowym kapeluszem i komentując na gorąco przypuszczalny błąd, jaki może popełnić Capablanca w oczekującej go rozgrywce z Alechinem.

Nagle dostrzeżono czarny punkcik na horyzoncie. Punkcik ten szybko przybliżał się, rósł i przeistoczył się w wielki szmaragdowy spadochron. Na pierścieniu spadochronu wisiał jak duża rzodkiewka mężczyzna z walizką.

- To on! - zawołał jednooki. - Hura! Hura! Hura! Poznaję wielkiego szachistę-filozofa, doktora Laskera.

Tylko on jeden na całym świecie nosi takie zielone skarpetki.

José-Raul Capablanca y Graupera znowu się skrzywił. Laskerowi zwinnie podstawiono marmurowe schodki i dziarski ex-mistrz, zdmuchując z lewego rękawa pyłek, który tam osiadł w czasie przelotu nad Śląskiem, padł w objęcia jednookiego. Jednooki ujął Laskera wpół, przyprowadził do mistrza i rzekł:

- Pogódźcie się! Zaklinam w imieniu szerokich mas mieszkańców miasta Wasiuki! Pogódźcie się!

José-Raul westchnął głośno i rzekł ściskając mocno rękę starego weterana:

- Zawsze chyliłem czoło przed waszym pomysłem przesunięcia wieży w partii hiszpańskiej z c5 na c4.

- Hura! - zawołał jednooki. - Prosto i wspaniale! Słowa godne mistrza.

A cały nieprzebrany tłum podchwycił ten okrzyk:

- Hura! Wiwat! Banzaj! Prosto i wspaniale! Słowa godne mistrza!

Na dwanaście wasiukowskich dworców zajeżdżały ekspresy, przywożąc tłumy miłośników gry w szachy.

Niebo jarzyło się już świetlnymi reklamami, kiedy na ulice miasta wyprowadzono białego konia. Był to jedyny koń, jaki ocalał w Wasiukach po całkowitym zmechanizowaniu transportu i komunikacji. Został on specjalną uchwałą przemianowany na konia, aczkolwiek dotychczas uchodził za kobyłę.

Wielbiciele gry w szachy witali kroczącego przez ulice konia, wymachując palmowymi liśćmi i szachownicami.

- Możecie być zupełnie spokojni - rzekł Ostap. - Mój projekt zapewnia waszemu miastu niesłychany rozkwit sił wytwórczych. Bo pomyślcie, co będzie, kiedy turniej się skończy i goście się rozjadą.

Mieszkańcy Moskwy, znękani kryzysem mieszkaniowym, zaczęli się masowo przenosić do waszego wspaniałego miasta. Stolica zostanie automatycznie przeniesiona do Wasiuków. Zjedźcie tu rząd.

Wasiuki zostaną przemianowane i będą się nazywały New-Moskwa, a Moskwa będzie się nazywała

Stare Wasiuki. Mieszkańcy Leningradu i Charkowa będą zgrzytali zębami, ale nic na to nie poradzą.

New-Moskwa stanie się najbardziej modnym i eleganckim ośrodkiem Europy, a potem całego świata.

- Całego świata! - jęknęli oszołomieni mieszkańcy Wasiuków.

- Tak! A następnie całego wszechświata! Idea szachowa, dzięki której powiatowe miasteczko awansuje na stolicę kuli ziemskiej, stanie się nauką, prowadzącą w prostej linii do zrealizowania komunikacji międzyplanetarnej. Z Wasiuków popłyną pierwsze sygnały na Marsa, Jowisza i Neptuna.

Połączenie z Wenerą stanie się równie łatwe jak podróż z Rybińska do Jarosławia. I kto wie, czy za jakieś osiem lat nie zostanie zorganizowany w Wasiukach pierwszy w historii świata międzyplanetarny turniej szachowy!

Ostap otarł swoje szlachetne czoło. Był tak głodny, że z przyjemnością zjadłby pieczonego konia szachowego.

- Tak - wykrztusił jednooki wodząc nieprzytomnym wzrokiem po zakurzonej ławce. - Ale jak wprowadzić ten projekt w życie, na jakiej opierać go, że tak powiem, bazie?

Zebrani spojrzeli wyczekująco na arcymistrza.

- Powtarzam, że realizacja tego projektu zależy tylko od waszej dobrej woli. Całą stronę organizacyjną biorę, jako już rzekłem, na siebie. - Kosztów nie będzie żadnych z wyjątkiem wydatków na depesze.

Jednooki trącił swoich kolegów z zarządu.

- No - spytał - co wy na to?

- Robimy! Robimy! - wołali szachiści.

- A ile pieniędzy potrzeba na te depesze?

- Drobiazg - rzekł Ostap. - Sto rubli.

- Mamy w kasie tylko dwadzieścia jeden rubli i szesnaście kopiejek. To jest, oczywiście, grubo za mało...

Ale okazało się, że arcymistrz jest uступliwym organizatorem.

- Trudno - rzekł. - Dawajcie te dwadzieścia rubli.

- A starczy? - zapytał jednooki.

- Na pierwsze depesze starczy. A potem zaczęły napływać ofiary i nie będziemy wiedzieli, co robić z pieniędzmi.

Arcymistrz schował pieniądze do kieszeni zielonej marynarki, przypomniał zebranych o swoim odczycie i seansie jednoczesnej gry na 160 szachownicach, uprzejmie pożegnał się do wieczora i udał się do klubu fabrycznego na spotkanie z Hipolitem Matwiejewiczem.

- Umieram z głodu - powiedział łamiącym się głosem Worobianinow.

Siedział w okienku kasowym, ale nie zainkasował jeszcze ani kopiejki i nie mógł kupić nawet funta chleba. Przed nim stał zielony druciany koszyczek na pieniądze. W takich koszyczkach przechowuje się w niektórych domach noże i widelce.

- Panie Worobianinow - zawołał Ostap - niech pan zawiesi na półtorej godziny urządowanie. Idziemy do gospody ludowej na obiad. W drodze wprowadzę pana w tok naszych spraw. Musi się pan także ogolić i oczyścić. Wygląda pan jak włóczęga. Arcymistrz nie może mieć takich podejrzanych znajomych.

- Nie sprzedałem ani jednego biletu - zakomunikował Hipolit Matwiejewicz.

- Nic nie szkodzi. Wieczorem będzie tłok. Miasto wyasygnowało mi już dwadzieścia rubli na organizację międzynarodowego turnieju szachowego.

- Więc po co nam ten seans jednoczesnej gry? - szepnął kasjer. - Mogą nas poturbować. A mając dwadzieścia rubli, możemy zaraz wsiąść na statek. Właśnie nadszedł „Karol Liebknecht”. Dojechać spokojnie do Stalingradu i poczekać tam na przybycie teatru. A nuż uda nam się rozpruć pozostałe krzesła? Jesteśmy od razu bogaczami i świat stoi przed nami otworem.

- Z pustym żołądkiem nie należy gadać takich bredni. To źle wpływa na mózg. Może za dwadzieścia rubli dojechalibyśmy do Stalingradu... Ale skąd wziąć pieniądze na wyżywienie? Nikt, drogi towarzyszu marszałku, nie daje witamin za darmo. Natomiast od ekspansywnych mieszkańców

Wasiuków można będzie wypruć ze trzydzieści rubli za odczyt i seans.

- Pobiją nas! - powiedział z goryczą Worobianinow.

- Niewątpliwie, przedsięwzięcie jest ryzykowne. Mogą nam porachować gnaty. Mam zresztą pewien pomysł, który przynajmniej pana zabezpieczy. Ale o tym pomówimy później. Na razie zapoznajmy się z tutejszą kuchnią.

O szóstej wieczorem najedzony, ogolony i pachnący wodą kolońską arcymistrz wszedł do kasy fabrycznego klubu.

Najedzony i ogolony Worobianinow sprawnie sprzedawał bilety.

- No, jak tam? - zapytał szeptem arcymistrz.

- Wejściowych trzydzieści, a na grę dwadzieścia - odpowiedział administrator.

- Szesnaście rubli. Słabo, słabo!

- Ale niech pan spojrzy, jaka kolejka! Pobiją nas, jak amen w pacierzu.

- Niech pan teraz o tym nie myśli. Będzie czas narzekać, jak nas zaczną bić. A na razie niech pan nie traci ani chwili. Handel przede wszystkim!

Po upływie godziny w kasie było już trzydzieści pięć rubli. Publiczność na sali hałasowała i niecierpliwiła się.

- Zamykaj pan okienko i dawaj pan forse! - rzekł Ostap. - A teraz uwaga! Ma pan tu pięć rubli. Niechpan idzie na przystań, wynajmie na dwie godziny łódkę i czeka na mnie na brzegu poniżej spichrza.

Odbędziemy wieczorną przejażdżkę po rzece. A o mnie może pan być spokojny. Jestem dziś w formie.

Arcymistrz wszedł na salę. Miał doskonałe samopoczucie i wiedział, że pierwszy ruch e2 - e4 nie grozi u żadnymi komplikacjami. Co prawda dalsze ruchy widział już tylko przez gęstą mgłę, ale to go wcale nie martwiło. Miał w odwodzie pewien niespodziewany ruch, którym mógł uratować nawet najbardziej beznadziejną partię.

Arcymistrz został powitany oklaskami. Niewielka sala klubowa była udekorowana kolorowymi chorągiewkami.

Niedawno odbył się tu wieczór, zorganizowany przez „Towarzystwo ratownicze”, o czym świadczyło wiszące na ścianie następujące hasło:

AKCJA POMOCY DLA TONĄCYCH

SPOCZYWA W RĘKACH SAMYCH TONĄCYCH

Ostap złożył ukłon, wyciągnął przed siebie ręce, jakby chciał uciszyć niezasłużone oklaski, i wszedł na estradę.

- Towarzysze! - powiedział dźwięcznym głosem. - Towarzysze i bracia w grze w szachy! Tematem mojego odczytu będzie to, o czym miałem zaszczyt mówić z wielkim powodzeniem tydzień temu w

Niżnym-Nowogrodzie. Tematem moich odczytów jest twórcza koncepcja debiutu. Co to jest, towarzysze, debiut i co to jest, towarzysze, koncepcja? Debiut, towarzysze, to „quasi una fantasia”. A teraz co to jest koncepcja? Koncepcja, towarzysze, to myśl ludzka, przyobleczona w logiczny szachowy kształt. Nawet dysponując wątpliwymi siłami można całkowicie opanować szachownicę.

Wszystko zależy od indywidualności gracza. Weźmy, na przykład, tego blondynka z trzeciego rzędu.

Przypuśćmy, że gra dobrze...

Blondynek w trzecim rzędzie zarumienił się.

- A ten oto brunet gra gorzej.

Widzowie obejrzeli się, aby spojrzeć na bruneta.

- I cóż widzimy, towarzysze? Widzimy, że blondyn gra dobrze, a brunet gra źle. Żadne odczyty nie zmieniają tego stosunku sił, jeżeli każdy z tych graczy indywidualnie nie będzie się ćwiczył w grze w karty... to jest... chciałem powiedzieć: w szachy... A teraz, towarzysze, opowiem wam kilka pouczających anegdotek z szachowej praktyki naszych czcigodnych hypermodernistów: Capablanci,

Laskera i doktora Grigoriewa.

Ostap opowiedział słuchaczom kilka przedpotopowych dykteryjek szachowych, które czytał jako dziecko w „Niebieskim tygodniku”, i na tym zakończył swoje przemówienie.

Publiczność była nieco zaskoczona krótkością odczytu. A jednooki nie spuszczał swego jedyne go oka z butów arcymistrza.

Jednakże zbliżający się seans jednoczesnej gry zmylił czujność i nieufność jednookiego szachisty.

Wziął nawet udział w ustawianiu stolików. Do gry z arcymistrzem zasiadło zaledwie trzydziestu śmiałków. Byli oni w większości niezmiernie stremowani i nieustannie zaglądali do podręczników gry w szachy, żeby odświeżyć sobie w pamięci

skomplikowane zagrania, dzięki którym mieli nadzieję skapitulować przed arcymistrzem dopiero po dwudziestym drugim ruchu.

Ostap prześliznął się wzrokiem po szeregach otaczających go ze wszystkich stron „czarnych”, po zamkniętych drzwiach, i nieustraszenie przystąpił do dzieła. Podszedł do siedzącego przy pierwszej szachownicy jednookiego i przesunął królewskiego pionka z pola e2 na pole e4

Jednooki złapał się od razu oburzyć za głowę i zagłębił się w rozmyślaniach. Wśród widzów przebiegł szept:

- Arcymistrz zagrał e2-e4.

Ostap nie bałamucił swoich przeciwników różnorodnością debiutów i na pozostałych dwudziestu dziewięciu szachownicach przeprowadził ten sam zabieg: przesunął królewskiego pionka z e2 na e4.

Szachiści jeden po drugim chwyтали się za głowy i pogrążali się w gorączkowych rozważaniach. Kibice wodzili oczami za arcymistrzem. Jedyiny w mieście fotograf-amator wlażł na krzesło i już zamierzał zapalić magnezję, ale Ostap zaczął gwałtownie machać rękami i przerywając obchód szachownic zawołał:

- Proszę zabrać stąd fotografa! Przeszkadza mi w szachowym skupieniu!

„Po diabła zostawiać w tej podłej mieścinie swoją podobiznę! Nie lubię mieć do czynienia z milicją” - pomyślał.

Pełne oburzenia sykanie miejscowych szachistów zmusiło fotografa do rezygnacji ze swego zamiaru.

W nadmiarze gorliwości fotografa wyrzucono za drzwi.

Przy trzecim ruchu wyjaśniło się, że arcymistrz rozgrywa osiemnaście partii hiszpańskich. Na pozostałych dwunastu szachownicach czarne zastosowały przestarzałą wprawdzie, ale dosyć skuteczną obronę Philidora. Gdyby Ostap wiedział, że rozgrywa tak przemyślnie partie i napotyka na taką fachową obronę, byłby bardzo zdumiony. Albowiem wielki kombinator grał w szachy po raz drugi w życiu.

Początkowo miejscowi szachiści, a przede wszystkim jednooki, wpadli w panikę. Przebiegłość arcymistrza przekraczała najśmielsze oczekiwania.

Z niezwykłą swobodą, drwiąc najwidoczniej w duchu z zacofanych szachistów miasta Wasiuki, arcymistrz rzucał swym przeciwnikom na pastwę pionki i różne wpadające mu pod rękę figury. A spostonowanemu w czasie odczytu brunetowi złożył nawet w ofierze królową. Przerażony brunet chciał się natychmiast poddać i tylko najwyższym wysiłkiem woli zmusił się do dalszej gry.

W pięć minut później padł grom z jasnego nieba.

- Mat! - szepnął śmiertelnie przerażony brunet. - Dałem wam mata, towarzyszu arcymistrz.

Ostap przeanalizował sytuację, królową pogardliwie nazwał damką i uroczyście pogratulował brunetowi. Przez szeregi widzów przebiegł szmer.

„Najwyższy czas wiać!” - pomyślał Ostap przechadzając się spokojnie między stolikami i niedbale przesuwając figury.

- Towarzyszu arcymistrzu, przesunęliście nieprawidłowo konia - odezwał się obleśnie jednooki. - Koń tak nie chodzi.

- Przepraszam, bardzo przepraszam, pomyliłem się - odpowiedział arcymistrz. - Jestem trochę zmęczony, odczytem.

W ciągu najbliższych dziesięciu minut arcymistrz przegrał jeszcze dziesięć partii.

W lokalu klubowym rozbrzmiewały okrzyki zdumienia. Konflikt dojrzewał. Ostap przegrał piętnaście partii po kolei, a potem dalsze trzy. Na polu walki pozostał już tylko jednooki. Na początku partii porobił ze strachu mnóstwo błędów i obecnie z wielkim wysiłkiem zmierzał do spóźnionego zwycięstwa. Ostap niedostrzegalnie świsnął z szachownicy czarną wieżę i schował ją do kieszeni.

Dokoła grających zwarł się ciasny pierścień gapiów.

- Tu, na tym miejscu stała przed chwilą moja wieża! - zawołał nagle jednooki. - A teraz jej nie ma!

- Jak nie ma, to widać nie było! - odpowiedział szorstko Ostap.

- Jak to nie było? Pamiętam doskonale!

- Nie było i kwita!

- Więc co się z nią stało? Czyście ją zabrali?

- Zabrałem!

- Kiedy? Przy jakim ruchu?

- Co mi tu zawracacie głowę swoją wieżą? Jeśli chcecie się poddać, to powiedzcie otwarcie!

- O! Za pozwoleniem, towarzyszu! Ja mam wszystkie chody zapisane!

- A cóż to za buchalteria? - rzekł Ostap.

- To skandal! - wrzasnął jednooki. - Proszę mi oddać moją wieżę!

- Poddajcie się, poddajcie się, towarzyszu! Cóż to za jakieś figle-migle?

- Proszę mi oddać wieżę!

Na te słowa arcymistrz widząc, że dalsza zwłoka grozi katastrofą, chwycił w garść kilka figur i cisnął jednookiemu w twarz.

- Towarzysze! - wrzasnął jednooki. - Sami widzicie? Biją miłośnika szachów.

Szachiści miasta Wasiuki osłupieli.

Nie tracąc cennego czasu, Ostap cisnął szachownicą w lampę i wałąc w ciemnościach pięściami na lewo i na prawo, wybiegł na ulicę. Wasiukowscy szachiści, przewracając się jeden przez drugiego, rzucili się w pogoń.

Świecił księżyc. Ostap mknął przez wysrebrzoną ulicę, lekko jak anioł odbijając się od grzesznej ziemi.

Ponieważ przeistoczenie Wasiuków w stolicę wszechświata jeszcze się nie zrealizowało, Ostap zmuszony był biec między drewnianymi chałupami, a nie między pałacami.

Za nim pędzili miłośnicy gry w szachy.

- Trzymaj arcymistrza! - ryczał jednooki.

- Oszust! - krzyczała reszta pogoni.

- Frajerzy! - odcinał się arcymistrz zwiększając szybkość.

- Milicja! - wołali znieważeni szachiści.

Ostap dopadł schodów wiodących na przystań. Miał do przebycia czterysta stopni. Ale w połowie schodów czekali już na niego dwaj szachiści, którzy dotarli tu okrężną drogą, wprost po zboczu. Ostap obejrzał się. Z góry pędziła jak sfera gończych psów zwarta grupa rozjuszonych zwolenników obrony

Philidora. Odwrót był odcięty. Wobec tego Ostap ruszył naprzód.

- Ja wam zaraz, hycle, pokażę! - ryknął do czatujących szachistów i skoczył z góry prosto na nich.

Prerażeni śmiałkowie jęknęli, dali nura przez poręcze i pokoziołkowali w dół po zboczu. Droga była wolna.

- Łapać arcymistrza! - rozlegał się z góry wrzask pogoni.

Uczestnicy pościgu z hukiem, jak kręgle, toczyli się po drewnianych schodach.

Ostap znalazł się na brzegu rzeki i skręcił na prawo, szukając oczami łódki z wiernym administratorem.

Hipolit Matwiejewicz siedział idyllicznie w łódce. Ostap wskoczył na ławkę i zaczął gwałtownie odbijać od brzegu. Po chwili w kierunku łódki posypały się kamienie. Jeden z nich trafił w Hipolita

Matwiejewicza. Nieco powyżej wrzodzianki wyrósł mu siny guz. Hipolit Matwiejewicz schował głowę w ramiona i zaszlochał.

- Mazgaj! Mnie o mały włos głowy nie urwali, a jestem w doskonałym humorze. Jeżeli wziąć pod uwagę pięćdziesiąt rubli czystego zysku, jest to wcale niezłe honorarium za jednego głupiego guza.

Tymczasem uczestnicy pościgu, którzy dopiero teraz zrozumieli, że plan przeistoczenia Wasiuków w

New-Moskwę zawiódł i że arcymistrz ucieka z ich w pocie czoła zapracowanymi pieniędzmi, załadowali się do dużej łodzi i wrzeszcząc wniebogłosy wypłynęli na środek rzeki. Było ich trzydziestu.

Każdy pragnął wziąć osobisty udział w rozprawie z arcymistrzem. Na czele ekspedycji stał jednooki.

Jedyne jego oko świeciło w ciemnościach jak latarnia morska.

- Łapać arcymistrza! - rozlegały się krzyki z wypełnionej po brzegi łodzi.

- Chodu, Kisa! - rzekł Ostap. - Jeśli nas dogonią, nie rękę za całość pańskich binokli.

Obie łodzie płynęły z prądem. Dystans między nimi nieustannie się zmniejszał. Ostap gonił resztkami sił.

- Nie uciekniecie, dranie! - krzyczeli szachiści.

Ostap nie odpowiadał. Szkoda mu było czasu. Wiosła wymykały się z rąk. Wytryskały spod nich fontanny wody i zalewały łódkę.

- Jazda! - szeptał Ostap sam do siebie.

Hipolit Matwiejewicz miał duszę na ramieniu.

Uczestnicy pościgu triumfowali. Ich łódź zajeżdżała już wspólnikom drogę z lewej strony, usiłując zapędzić arcymistrza do brzegu. Opłakany los wspólników był

przesądzony. Radość na łodzi pościgowej była tak wielka, że wszyscy szachiści skupili się przy prawej burcie, żeby w chwili zrównania się z uciekającą łódką rzucić się gromadnie na nikczemnego arcymistrza.

- Niech pan uważa na binokle, Kisa! - krzyknął zrozpaczony Ostap puszczając wiosła.
- Zaraz się cznie!

- Panowie! - zapiał nagle kogucim głosem Hipolit Matwiejewicz. - Chyba nie będziecie nas bili?

- Jeszcze jak! - zawołali chórem szachiści szykując się do skoku na ściganą łódkę.

Ale w tej właśnie chwili zdarzył się nader przykry dla wszystkich uczciwych szachistów świata wypadek. Ich łódź nagle i niespodziewanie przechyliła się na prawy bok i prawą burtą zaczerpnęła wody.

- Ostrożnie! - pisał jednooki kapitan.

Ale było już za późno. Zbyt wielu szachistów skupiło się przy prawej burcie wasiukowskiego pancernika. Na skutek przemieszczenia punktu ciężkości, łódź przestała się kołysać i w całkowitej zgodności z prawami fizyki wywróciła się do góry dnem. Chóralny wrzask zakłócił spokój rzeki.

- Uaa! - jężeli przeciągle szachiści.

Trzydziestu miłośników gry w szachy znalazło się w wodzie. Jeden po drugim wypływali na powierzchnię i czepiali się przewróconej łodzi. Ostatni przybił do niej jednooki.

- Frajery! - krzyczał w ferworze Ostap. - Dlaczego nie bijecie arcymistrza? Jeśli się nie mylę, mieliście zamiar mnie obić?

Łódka Ostapa zatoczyła dokoła rozbitków efektowne koło.

- Sami rozumiecie, patałachy, że mógłbym was teraz wszystkich potopić. Ale daruję wam życie, żyjcie sobie na zdrowie! Tylko, na miłość boską, przestańcie grać w szachy! Przecież nie macie zielonego pojęcia o tej grze! Ech, frajery, frajery!... No, Hipolicie Matwiejewiczu, ruszamy w dalszą drogę, żegnajcie, jednoocy szachiści! Obawiam się, że Wasiuki nigdy nie staną się stolicą świata. Wątpię, aby mistrzowie szachów chcieli przyjechać do takich osłów jak wy, nawet gdybym osobiście ich o to prosił, żegnajcie, amatorzy silnych emocji szachowych! Niech żyje „Klub czterech koni”!

Rozdział inni

XXXV

Świt zastał współników w pobliżu Czeboksarów. Ostap drzemał przy sterze. Hipolit Matwiejewicz sennie przeciągał wiosła po wodzie. Obaj dygotali z zimna. Na wschodzie rozwijały się różowe pąki.

Binokle Hipolita Matwiejewicza stawały się coraz jaśniejsze. Owalne szkła zagrały światłem. Ukazał się w nich kolejno odbicie obu brzegów. We wklęsłym szkłe wygiął się stojący na lewym brzegu emafor. Niebieskie kopuły Czeboksarów płynęły jak okręty. Sad na wschodzie rozrastał się. Pąki przeistoczyły się w wulkany i zaczęły wyrzucać z siebie lawę w najpiękniejszych karmelkowych kolorach. Ptaki na lewym brzegu podniosły głośny jazgot. Złota oprawka binokli zapłonęła ogniem i oślepiła arcymistrza. Wzeszło słońce.

Ostap otworzył oczy i przeciągnął się tak gwałtownie, że aż kości mu zatrzęszczały i łódka się przechyliła.

- Dzień dobry, Kisa - odezwał się ziewając. - „Przychodzę, by powitać ciebie. By ci powiedzieć, że już słońce promiennym blaskiem świeci w niebie, i śle ci - jakieś tam, coś tam - gorące”.

- Przystań - zameldował Hipolit Matwiejewicz.

Ostap wyciągnął przewodnik i zajrzał.

- Według wszelkiego prawdopodobieństwa - Czeboksary. Tak, tak... - „Zwracamy uwagę na pięknie położone miasteczko Czeboksary”. Czy istotnie, Kisa, jest tak pięknie położone? „Czeboksary liczą obecnie 7702 mieszkańców”. Wie pan co? Może damy pokój pogoni za brylantami i powiększymy liczbę mieszkańców Czeboksarów do siedmiu tysięcy siedmiuset czterech. To byłoby efektowne.

Otworzymy ruletkę i będziemy mieli pewny kawałek chleba... Czytajmy dalej. „W mieście założonym w 1555 roku zachowało się kilka ciekawych cerkwi. Oprócz urzędów Republiki Czuwaszkiej znajduje się tu uniwersytet robotniczy, szkoła partyjna, technikum pedagogiczne, dwie szkoły drugiego stopnia, muzeum, towarzystwo naukowe i biblioteka. Na czeboksarskiej przystani oraz na targu spotyka się Czuwaszów i Czeremisów, wyróżniających się oryginalnym wyglądem...”

Ale zanim jeszcze zbliżyli się do przystani, gdzie można spotkać Czuwaszów i Czeremisów, przyjaciele spostrzegli przed sobą jakiś przedmiot płynący z prądem rzeki.

Krzeseł! - zawołał Ostap. - Administratorze! Płynie nasze krzesło!

Wspólnicy puścili się w pogoń za krzesłem. Krzesło kołysało się, obracało, zanurzało w wodzie i znów wypływało na powierzchnię, oddalając się od łódki wspólników. Woda bez przeszkód wlewała mu się do rozprutego bizucha.

Było to krzesło rozprute przez Ostapę na „Skriabinie” i płynące teraz spokojnie do Morza Kaspijskiego.

- Jak się masz, przyjacielu! - zawołał Ostap. - Dawnośmy się nie widzieli. Wie pan co, panie

Worobianinow? To krzesło przypomina mi nasze życie. My także płyniemy z prądem. Chcą nas utopić, a my wypływamy, chociaż to nikomu, zdaje się, nie sprawia przyjemności. Nikt nas nie lubi. Nikt się nami nie interesuje. Gdyby szachistom udało się wczoraj nas utopić, zostałby po nas tylko protokół oględzin zwłok: „Obydwa trupy leżały zwrócone nogami na południowy wschód, a głowami na północny zachód. Na ciałach stwierdzono rany szarpane, zadane prawdopodobnie jakimś tępyrnarzędziem”. Bo szachiści waliliby nas zapewne szachownicami. A jest to narzędzie bez wątpienia epe... „Jedne zwłoki są zwłokami pięćdziesięcioletniego mężczyzny, ubranego w podartą alpagową marynarkę, w zniszczone spodnie i stare buty. W kieszeni marynarki legitymacja na nazwisko Konrada

Karłowicza Michelsona...” Tak by napisali o panu, Kisa.

- A co napisaliby o panu? - zapytał urażony Worobianinow.

- Ach! O mnie napisaliby zupełnie inaczej. O mnie napisaliby tak: „Drugie zwłoki to ciało dwudziestosiedmioletniego mężczyzny, który kochał i cierpiał. Kochał pieniądze, a cierpiał z powodu ich braku. Twarz jego o wysokim czole okolonym kruczoczarnymi kędziorami zwrócona jest ku słońcu.

Jego rasowe nogi, czterdziesty drugi numer obuwia, skierowane są ku zorzy polarnej. Ciało spowite jest w niepokalanie białą szatę. Na piersi złota harfa inkrustowana masą perłową i nuty piosenki:

«Graj mi, cyganie». Przedwcześnie zmarły młodzieniec, jak wynika ze znalezionej w kieszeni fraka egitymacji, wydanej dnia 23. VIII. 24 r. przez rękodzielniczą spółdzielnię «Pegaz i Parnas» za nr

86/1562, zajmował się wypalaniem w drzewie". Pochowają mnie, Kisa, uroczyście, z orkiestrą i przemówieniami, a na moim grobie wyrują napis: „Tu spoczywa znany termotechnik i bojownik

Ostap-Sulejman-Berta-Maria-Bender-bej, którego ojciec był poddanym tureckim i zmarł nie zostawiając synowi Ostapowi Sulejmanowi żadnej spuścizny. Matka nieboszczyka była hrabiną i żyła z własnych funduszków".

Gawędząc beztrosko, wspólnicy przybili do Czeboksarów.

Wieczorem, po sprzedaniu łódki i powiększeniu w ten sposób kapitału o pięć rubli, przyjaciele wsiedli na statek „Uricki” i popłynęli w kierunku Stalingradu w nadziei, że zdążą wyprzedzić wolno płynący statek pożyczki premiowej i że w Stalingradzie spotkają się z zespołem teatru Kolumba.

„Skriabin” przybył do Stalingradu w pierwszych dniach lipca. Przyjaciele witali go ukryci za skrzyniami na przystani.

Przed wyładunkiem odbyło się na pokładzie ciągnięcie pożyczki. Rozlosowano największe wygrane.

Na krzesła trzeba było czekać aż cztery godziny. Najpierw opuścił statek zespół teatralny i funkcjonariusze pożyczkowi. Na czele kroczył rozpromieniony Persicki.

Ukryci na przystani wspólnicy słyszeli jego okrzyki:

- Tak! Wyjeżdżam natychmiast do Moskwy! Wysłałem już depezę! A wiecie, jakiej treści? „Triumfuję razem z wami!”, Niech zgadują, co to znaczy!

Następnie Persicki obejrzał ze wszystkich stron oczekujący samochód, pomacał nawet chłodnicę, wsiadł i odjechał żegnany z nieznanych bliżej powodów okrzykami: „Hura!”

Po wyładowaniu hydraulicznej prasy, zaczęto wynosić ze statku dekoracje i rekwizyty teatralne.

Krzesła wyniesiono kiedy się już ściemniło. Pracownicy teatru Kolumba załadowali się na pięć parokonnnych furgonów i pokrzykując wesoło, pojechali od razu na dworzec.

- Wygląda na to, że w Stalingradzie nie będą występować - rzekł Hipolit Matwiejewicz.

Ostap poważnie się tym zafrasował.

- Będziemy musieli pojechać z nimi - oświadczył. - Ale za co? W każdym razie chodźmy na dworzec, a tam się zobaczy.

Na dworcu okazało się, że teatr jedzie do Piatigorska przez Tichorecką i Mineralne Wody.

Wspólnikom starczyło pieniędzy tylko na jeden bilet.

- Umie pan jeździć na gapę? - zapytał Ostap Worobianinowa.

- Mogę spróbować - odpowiedział niepewnie Hipolit Matwiejewicz.

- A bodaj pana wszyscy diabli!... Niech pan już lepiej nie próbuje. Jeszcze tym razem daruję panu. Sam pojedę na gapę.

Dla Hipolita Matwiejewicza został nabyty bilet trzeciej klasy i w ten sposób były marszałek szlachty przyjechał do udekorowanej oleandrami w zielonych donicach stacji Mineralne Wody na północno-kaukaskiej linii kolejowej, gdzie unikając spotkania z członkami zespołu teatralnego, zaczął szukać

Ostapa.

Zespół teatralny dawno już nowiutkimi wagonikami kolejki dojazdowej odjechał do Piatigorska, a

Ostapa jak nie było, tak nie było. Przyjechał dopiero wieczorem i zastał Worobianinowa w stanie ostatecznej depresji.

- Gdzie się pan podziewał? - jęknął marszałek. - Ile ja się przez pana nacierpię!

- A więc pan tak cierpiał jadąc sobie wygodnie z biletem w kieszeni? A ja wcale nie cierpiałem? To nie mnie spędzono z buforów w Tichoreckiej? To nie ja musiałem siedzieć tam jak głupi trzy godziny i czekać na pociąg towarowy z pustymi butelkami od narzanu? Pan jest proszę, obywatelu marszałku!

Gdzie teatr?

- W Piatigorsku.

- Jedziemy. Zarobiłem coś niecoś w drodze. Czysty zysk wynosi trzy ruble. Nie jest to, oczywiście, majątek, ale na zaopatrzenie się w narzan i bilety kolejowe wystarczy.

Kolejka dojazdowa, brzęcząc jak wóz na żelaznych obręczach, w pięćdziesiąt minut dowiozła podróżnych do Piatigorska. Wspólnicy minęli Zmiejkę i Besztau i znaleźli się u podnóża Maszuka.

Rozdział XXXVI Widok na malachitowe bajoro

Był niedzielny wieczór. Wszystko wyglądało czyste i wymyte. Nawet Maszuk, porośnięty krzewami i zaroślami, robił wrażenie starannie uczesanego i rozsiewał woń górskiego węzetału.

Po miniaturowym peronie uwijało się mnóstwo różnorodnych par białych spodni; były wśród nich spodnie z rogózki, z drellichu, z żaglowego płótna lub z miękkiej flaneli. Ludzie chodzili tu w sandałach i w koszulkach typu „apasz”. Wspólnicy czuli się nieswojo w swoich ciężkich, ubłoconych buciorach, w grubych, zakurzonych spodniach, ciepłych kamizelkach i rozprażonych marynarkach. Pośród całego bogactwa kolorowych perkalikowych strojów, w których paradowały młode kuracjuszki, najjaśniejszy i najbardziej elegancki był kostium zawiadowcy stacji.

Albowiem ku zdumieniu wszystkich przyjezdnych zawiadowcą stacji była kobieta. Spod czerwonej czapki ozdobionej dwoma srebrnymi galonami wymykały się rude kędziory. Zawiadowczyni miała na sobie białą mundurową kurtkę i białą spódniczkę.

Nasi podróżni przyjrzeni się z aprobatą zawiadowczyni, przeczytali świeżo naklejony afisz o gościnnych występach teatru „Kolumba” w Piatigorsku, wypili dwie szklanki narzanu po 5 kopiejek i pojechali do miasta tramwajem linii „Dworzec- Kwietnik”. Wejście do „Kwietnika” kosztowało dziesięć kopiejek.

W „Kwietniku” było dużo muzyki, dużo rozbawionych ludzi i znikoma ilość kwiatów. W białej muszli orkiestra symfoniczna grała „Taniec komarów”. W galerii Lermontowa sprzedawano narzan. Narzan sprzedawano ponadto w kioskach i roznoszono między publicznością.

Nikt nie interesował się tutaj dwoma obłożonymi poszukiwaczami brylantów.

- Ech, Kisa - rzekł Ostap - jesteśmy przybłędami na tym bankiecie życia!

Pierwszą noc w uzdrowisku wspólnicy spędzili przy źródle narzanu.

Dopiero tutaj, w Piatigorsku, kiedy teatr Kolumba prezentował po raz trzeci zdumionym mieszkańcom miasta swój „Ożenek”, wspólnicy zdali sobie sprawę ze wszystkich trudności pogoni za skarbem. Zakraść się w nocy do teatru, jak sobie to uplanowali, okazało się niemożliwe, gdyż za kulisami nocowali Gałkin, Pałkin, Małkin, Czałkin i Załkind, którym skromne diety nie pozwalały na zamieszkanie w hotelu.

Dni mijały i nasi przyjaciele coraz bardziej podupadali na siłach, zmuszeni do nocowania na placu

Pojedyнку Lermontowa i do zarabiania na życie przenoszeniem z dworca ręcznego bagażu różnym średnio zamożnym turystom.

Szóstego dnia Ostapowi udało się zawrzeć znajomość z monterem Miecznikowem, opiekunem hydraulicznej prasy. Mieczników, który z braku gotówki opijał się do nieprzytomności narzanem ze źródła, doszedł wreszcie do takiego stanu upadku moralnego, że, jak to zdołał zaobserwować Ostap, sprzedawał na targu różne drobne przedmioty z teatralnej rekwizytorni. Do ostatecznego porozumienia doszło w czasie porannych ablucji przy źródle. Monter Mieczników nazwał Ostapa duszką i wyraził zgodę.

- Można - mówił - to się da zrobić, duszko. Ku obopólnej korzyści, duszko.

Ostap zorientował się od razu, że monter jest kuty na cztery nogi.

Zawierające umowę strony zaglądały sobie w oczy, ścisnęły się, klepały po plecach i śmiały się porozumiewawczo.

- Dostaniecie za ten cały interes dziesiątaka! - rzekł Ostap.

- Co ty, duszko! - zdziwił się monter. - Po co mi grasz na nerwach? Przecież ja już ledwo zipię od tego arzanu.

- A ile byś chciał?

- Musisz wybulić pół stowy. Przecież to majątek państwowy. A ja już ledwo zipię.

- Dobrze. Dam dwadzieścia. Zgoda? Widzę po oczach, że się pogodzimy.

- Zgoda jest to produkt braku wszelkich sprzeciwów.

- Dobrze gada, cwaniak - szepnął Ostap Hipolitowi Matwiejewiczowi do ucha. - Niech się pan uczy.

- No, a kiedy przyniesiecie te krzesła?

- Jak dostanę pieniądze.

- Można i tak - powiedział bez namysłu Ostap.

- Pieniądze z góry - oświadczył monter. - Rano pieniądze, a wieczorem krzesła, albo wieczorem pieniądze, a na drugi dzień rano krzesła.

- A może by tak dzisiaj krzesła, a jutro pieniądze? - próbował Ostap.

- Kiedy ja, duszko, już ledwie zipię. Takie warunki, to nie dla mnie.

- Ale ja - rzekł Ostap - dopiero jutro dostanę telegraficznie pieniądze.

- W takim razie jutro pogadamy - oświadczył uparty monter - a teraz, duszko, bawcie się dobrze przy źródle, a na mnie już pora. Mam kupę roboty z tą prasą. Simbiewicz dusi mnie za gardło. Sił mi już brak. Trudno żyć samym narzanem.

I Mieczników odszedł w słoneczną dal.

Ostap spojrział surowo na Hipolita Matwiejewicza.

- Czas, którym dysponujemy - rzekł - to pieniądź, którym nie dysponujemy. W ten sposób powinniśmy zrobić fortunę, Kisa. Mamy w zasięgu ręki sto pięćdziesiąt tysięcy rubli i zero-zero kopiejek. Możemy zdobyć ten skarb za głupie dwadzieścia rubli. W takich wypadkach nie wolno przebierać w środkach.

Musimy iść na całego. Albo rybka, albo pipka.

Ostap w zamyśleniu obszedł Worobianinowa dokoła.

- Niech pan ściąga marynarkę, panie marszałku, ale już! - odezwał się niespodziewanie.

Ostap wziął z rąk zdumionego Hipolita Matwiejewicza marynarkę, rzucił na ziemię i zaczął po niej deptać zabłoconymi butami.

- Co pan wyprawia? - wrzasnął Worobianinow. - Już piętnaście lat noszę tę marynarkę i wciąż wygląda jak nowa!

- Spokojnie! Zaraz przestanie wyglądać jak nowa! Niech pan da kapelusz! A teraz niech pan obleje spodnie narzanem i posypie je piaskiem, żywo!

Po upływie kilku minut Hipolit Matwiejewicz był już odrażająco brudny.

- Teraz pan dojrzał i posiadał wszelkie środki do zarabiania w uczciwy sposób pieniędzy.

- To co ja mam robić? - zapytał płaczliwie Worobianinow.

- Mam nadzieję, że umie pan mówić po francusku?

- Bardzo słabo. W granicach nauki gimnazjalnej.-

- Trudno. Będziemy musieli zmieścić się w tych granicach. Czy potrafi pan powiedzieć po francusku następujące zdanie: „Panowie, już sześć dni nic nie jadłem”?

- Mesje... - zaczął się jękać Hipolit Matwiejewicz. - Mesje... hm, hm... że ne... zaraz, zaraz... że ne manż pa... sześć... jak to będzie sześć?... ę, de, trua, katr, sęk... siz... siz żur. A więc że ne manż pa sizżur.

- Ach, Kisa, Kisa, jaki pan ma fatalny akcent! Ale od żebraka nie można za wiele wymagać, żebrak w uropejskiej Rosji nie może mówić po francusku jak Millerand. No, Kisula, a w jakich granicach zna pan język niemiecki?

- Na co mi to wszystko? - zawołał Hipolit Matwiejewicz.

- Na to - odrzekł z powagą Ostap - że uda się pan zaraz do „Kwietnika”, stanie pan na uboczu i będzie pan po francusku, po niemiecku i po rosyjsku prosił o wsparcie, powołując się na to, że jest pan byłym członkiem frakcji kadetów z carskiej dumy. Całkowity dochód przeznacza się na montera

Miecznikowa. Zrozumiano?

Hipolit Matwiejewicz przeobraził się nagle. Wypiął pierś jak most pałacowy w Leningradzie, oczy jego zaczęły ciskać błyskawice, a z nozdrzy, jak się wydawało Ostapowi, buchnął gęsty dym. Wąsy zaczęły się powoli podnosić do góry.

- No, no, no - rzekł niczym nie zrażony wielki kombinator - patrzcie i podziwiajcie! Przecież to nie człowiek, ale wprost konik-garbusek!

- Nigdy - oznajmił nagle Hipolit Matwiejewicz głosem brzuchomowcy. - Worobianinow nigdy jeszcze nie wyciągał ręki!

- No, to Worobianinow wyciągnie nogi, stary idioto! - zawołał Ostap. - Ale jak pan śmie mówić, że niewyciągał pan ręki?

- Nie wyciągałem!

- Widział kto taką bezczelność?! Przez trzy miesiące żyje na mój koszt, trzy miesiące żywię go i wychowuję, a ten darmożjad staje teraz w trzeciej pozycji i oświadcza, że on nigdy... No, dosyć tego dobrego, towarzyszu! Jedno z dwojga: albo idzie pan zaraz do „Kwietnika” i przynosi pan wieczorem dziesięć rubli, albo automatycznie wykreślam pana z listy akcjonariuszy-udziałowców! Niech się pan decyduje. Liczę do pięciu! Raz...

- Zgadzam się - bąknął marszałek.

- W takim razie niech pan zrobi próbę.

- Mesje, żene manż pa siz żur. Geben zi mir bitte etwas kopek auf dem sztiuk brot. Ofiarujcie co łaska byłemu posłowi do dumy.

- Jeszcze raz. Żałośniej!

Hipolit Matwiejewicz powtórzył jeszcze raz.

- Dobrze. Ma pan wrodzony talent do zebrani. Niech pan maszeruje. Spotkamy się przy źródle o północy. To nie ze względów romantycznych, tylko dlatego, że ludzie pod wieczór są hojniejsi.

- A co pan będzie przez ten czas robił? - zapytał Hipolit Matwiejewicz.

- Niech się pan o mnie nie martwi. Ja działam zawsze na najtrudniejszych odcinkach frontu.

Przyjaciele rozeszli się.

Ostap pobiegł do sklepiu z materiałami piśmiennymi, kupił za ostatnie dziesięć kopiejek kwitariusz i około godziny siedział na kamiennym słupku, numerując kwity i kładąc na każdym z nich swój podpis.

- Przede wszystkim porządek - mrucał. - Każda kopiejka społeczna musi być zapisana i policzona.

Następnie wielki kombinator pomaszerował wojskowym krokiem górską drogą, wiodącą między sanatoriami i domami wypoczynkowymi dookoła Maszuka aż do miejsca, gdzie odbył się pojedynek

Lermontowa z Martynowem.

Mijany w drodze przez autobusy i pojazdy konne, Ostap dotarł do Wyłomu.

Niewielka, wykuta w skale galeryjka wiodła do stożkowatego Wyłomu. Na końcu galeryjki był balkonik, z którego na dnie Wyłomu widać było malachitowe bajory napełnione cuchnącym płynem,

ów Wyłom zaliczany jest do osobliwości Piatigorska i co dzień zwiedza go spora ilość wycieczek tudzież pojedynczych turystów.

Ostap zorientował się w mig, że dla człowieka wyzwolonego z przesądów Wyłom może się stać źródłem dochodu.

„Zdumiewające - rozmyślał Ostap - że miasto nie wpadło dotychczas na pomysł pobierania opłaty za wstęp do Wyłomu. Jest to chyba jedyne miejsce, gdzie mieszkańcy Piatigorska wpuszczają turystów za darmo. Muszę zetrzeć tę hańbiącą plamę z dobrego imienia miasta i usunąć to karygodne niedopatrzanie!”

I Ostap postąpił tak, jak nakazywał mu rozsądek, zdrowy instynkt tudzież sytuacja życiowa.

Stanął przy wejściu do Wyłomu i machając kwitariuszem, wołał od czasu do czasu:

- Proszę nabywać bilety, obywatele! Dziesięć kopiejek! Dla dzieci i wojskowych wejście bezpłatne!

Studenci płacą połowę! Osoby nie należące do związków zawodowych - po trzydzieści kopiejek!

Ostap działał na pewniaka. Mieszkańcy Piatigorska nie odwiedzali Wyłomu, a nie ma nic łatwiejszego, jak wyłudzić od radzieckiego turysty dziesięć kopiejek za wstęp byle gdzie. Około piątej Ostap miał już sześć rubli. Przyczynili się do tego w głównej mierze ludzie nie należący do związków zawodowych, których w Piatigorsku było mnóstwo. Wszyscy ufnie płacili dziesięciokopiejkówki, a pewien rumiany turysta na widok Ostapa rzekł z satysfakcją do żony:

- A nie mówiłem ci wczoraj, Taniusza? Upierałaś się, że za wejście do Wyłomu się nie płaci. Jakby to mogło być? Prawda, towarzyszu?

- Absolutna prawda - przyznał Ostap.- - Jakby to mogło być, żeby nie płacić za wstęp? Członkowie związków zawodowych płacą dziesięć kopiejek, a nie należący do związku - trzydzieści!

Przed wieczorem zajechały dwie bryczki z wycieczką milicjantów z Charkowa. Ostap złąkł się i już chciał udawać niewinnego turystę, ale milicjanci tak pokornie otoczyli kołem wielkiego kombinatora, że nie było mowy o odwrocie. Wobec tego Ostap zawołał zdecydowanym głosem:

- Członkowie związków zawodowych płacą po dziesięć kopiejek, ponieważ jednak milicjanci mogą być podciągnięci pod kategorię studentów lub dzieci, należy się im pięćdziesiąt procent zniżki.

Milicjanci zapłacili po pięć kopiejek, pytając delikatnie, na jaki cel pobierana jest opłata.

- Na kapitalny remont Wyłomu - oświadczył beczelnie Ostap - żeby się zanadto nie wyłamywał.

W czasie kiedy wielki kombinator sprzedawał widok na malachitowe bajoro, Hipolit Matwiejewicz, zgarbiony i czerwony ze wstydu, stał pod akacją i nie patrząc na spacerowiczów mamrotał trzy wyuczone zdania:

- Mesje, że ne manż pa... Geben zi mir bitte... Co łaska dla byłego pośła do dumy...

I dawano mu co łaska. Nawet nie mało, ale bez entuzjazmu. W każdym razie przez wzgląd na iście paryską wymowę słowa „mange” i wzruszająco żałosne położenie byłego członka dumy,

Worobianinow zdołał zebrać miedziakami około trzech rubli.

Pod nogami spacerowiczów skrzypiał żwir. Orkiestra z niewielkimi przerwami grała Straussa, Brahmsa i Griega. Barwny i gwarny tłum defilował przed starym marszałkiem.

Nad głowami obywateli, popijających wino na werandzie kawiarni, unosił się niewidzialny cień Lermontowa. Pachniało wodą kolońską i oparami narzanu.

- Co łaska dla byłego członka dumy - mrucał marszałek.

- Czy naprawę byliście członkiem dumy? - zabrzmiało Hipolitowi Matwiejewiczowi tuż nad uchem. - I rzeczywiście bywaliście na posiedzeniach? Ach! Ach! Wysoka klasa!

Hipolit Matwiejewicz spojżał i zdrętwiał. Przed nim podskakiwał jak wróbelek pulchniutki Absalon

Władimirowicz Iznurenkow. Nie miał już na sobie dawnego brązowego garnituru, tylko białą marynareczkę i szare spodnie w filuterne prążki. Był niezwykle ożywiony i co chwila podskakiwał na dziesięć centymetrów w górę. Nie poznał Hipolita Matwiejewicza i w dalszym ciągu zasypywał go pytaniami:

- Czy rzeczywiście widywaliście Rodziankę? Czy Puryszkiewicz naprawdę był łusy? Ach! Ach! Co za temat! Wysoka klasa!

Nie przestając ani na chwilę podskakiwać, Iznurenkow wetknął zmieszanemu marszałkowi trzy rubledo ręki i oddał się. Ale długo jeszcze w „Kwietniku” widać było jego szybko przebijające pulchne udki i wydawało się, że z drzew syją się słowa:

Ach! Ach! „Dziewczę, nie śpiewaj przy mnie pieśni Gruzji, smutnego twego kraju!” Ach! Ach! „Daleki brzeg i życie inne te pieśni mi przypominają!... Ach! Ach! „Nazajutrz zaś wychodzi uśmiechnięta!”

Wysoka klasa!...

Hipolit Matwiejewicz stał nadal z oczami wbitymi w ziemię. I nie widział przez to wielu bardzo interesujących rzeczy.

W rozkosznym mroku piatigorskiej nocy przechadzała się po alejach parku Helutka Szczukina, wlokąc za sobą pokornego Ernesta Pawłowicza, z którym się pogodziła. Wyprawa „do wód” była ostatnim akordem nieubłaganej wojny z córką Vanderbildta. Dumna Amerykanka wybrała się bowiem ostatnio własnym jachtem w podróż rozrywkową na wyspy Hawajskie.

- No, no! - rozbrzmiewało w nocnej ciszy. - Pycha, Ernestula! Coś pięknego!

W oświetlonym bufecie siedział niebiański złodziejaszek Alchen ze swoją połowicą Saszchen. Policzki jej były nadal przyozdobione bokobrodami à la Mikołaj II. Alchen zjadał wstydlawie szaszłyk, popijając go kachetyńskim winem, a Saszchen, gładząc bokobrody, czekała na zamówionego jesiotra.

Po likwidacji Zakładu Opieki Społecznej nr 2 (wszystko zostało sprzedane łącznie z czapką kucharza i hasłem: „Starannie przeżuwać pokarm pomagasz społeczeństwu”) Alchen postanowił odpocząć i rozerwać się. Szczęście sprzyjało temu obławionemu hultajowi. Tego właśnie dnia Alchen wybierał się do Wyłomu, ale nie zdążył. I to go ocaliło. Ostap wydoiłby z tego wstydlawego kierownika co najmniej trzydzieści rubli.

Hipolit Matwiejewicz skierował się w drogę powrotną do źródła dopiero wówczas, kiedy członkowie orkiestry zaczęli składać pulpity, kiedy publiczność zaczęła się rozchodzić i kiedy w opustoszałych alejkach „Kwietnika” zostały już tylko wzdychające, na umór zakochane pary.

- Ile pan uzbierał? - zapytał Ostap, gdy przygarbiona postać marszałka ukazała się przy źródle.

- Siedem rubli dwadzieścia dziewięć kopiejek, w tym jeden banknot trzyrublowy, reszta - miedziaki i rochę srebra.

- Jak na pierwszy gościnny występ - doskonale! Dniówka wykwalifikowanego pracownika!

Rozpieszcza mnie pan, Kisa! Ale ciekaw jestem, co za osioł dał panu trzy ruble? A może wydawał pan resztę?

- Te trzy ruble dał mi Iznurenkow.

- Niemożliwe! Absalon? Patrzcie, gdzie się ta kulka przytoczyła! Rozmawiał pan z nim? Ach, nie poznał pana!

- Wypytywał mnie o dumę. I śmiał się.

- No widzi pan, marszałku, że nie tak źle być żebrakiem, zwłaszcza jeśli się ma jakie takie wykształcenie i źle ustawiony głos. A pan stawał dęba i udawał lorda-strażnika pieczęci. Ja też,

Kisoczka, nie zmarnowałem czasu. Piętnaście rubli jak jeden grosz. Wystarczy!

Nazajutrz rano monter zainkasował pieniądze, a wieczorem przyniósł dwa krzesła. Trzeciego krzesła w żaden sposób nie mógł zabrać, bo ilustracja muzyczna grała na nim w karty.

Przez ostrożność przyjaciele wdrapali się niemal na szczyt Maszuka.

W dole jasno i równomiernie płonęły światła Piatigorska. Poniżej Piatigorska nikłe światełka wskazywały położenie stancji Goriaczewodskiej. Na widnokręgu wychylał się z ząbca Kisłowodsk zaznaczony dwiema równoległymi kropkowanymi liniami świateł.

Ostap spojrział na rozgwieżdżone niebo i wyjął z kieszeni znane nam już obcegi.

Rozdział XXXVII Zielony Przylądek

Inżynier Bruns siedział na murowanej werandzie willi na Zielonym Przylądku, pod dużą palmą, której nakrochmalone liście rzucały ostre i wąskie cienie na wygolony kark inżyniera, na jego białą koszulę i na krzesło z kompletu mebli generałowej Popowej. Inżynier siedział na tym właśnie krześle i czekał na obiad. W pewnej chwili złożył pełne, wydętą wargi w trąbkę i zawołał głosem rozkapryszonego brzdąca:

- Mu-u-sik!

Odpowiedziała mu cisza.

Tropikalna roślinność łasiła się do inżyniera. Kaktusy wyciągały do niego swoje kolczaste rękawice.

Draceny podzwaniały liśćmi. Banany i palmy sagowe oganiały muchy z łysiny inżyniera. Pnące się po werandzie róże słały się do jego stóp.

Ale wszystko na próżno. Bruns był głodny. Spoglądał z rozdrażnieniem na lśniąca jak masa perłowazatokę, na daleki przylądek Batumi i krzyczał śpiewnie:

- Mu-u-u-usik! Mu-u-u-usik!

Dźwięk szybko zamierał w wilgotnym, tropikalnym powietrzu. Nie odpowiadał mu żaden odgłos.

Bruns wyobraził sobie dużą, przyrumienioną gęs z tłustą, chrupiącą skórą i przestając panować nad obą, zawył:

- Musik! Gdzie ta gęś?

- Andrzeju Michajłowiczu! - odpowiedział mu z pokoju kobiecy głos. - Nie zawracaj mi głowy!

Inżynier znowu wyciągnął nawykłe już do tego wargi w ryjek i natychmiast zawołał:

- Musik! Czy nie zlitujesz się nad swoim małym mężulkiem?

- Cicho bądź, obzartuszk! - padła odpowiedź z pokoju.

Ale inżynier nie dał za wygraną. Właśnie miał zamiar upomnieć się jeszcze raz o swoją gąskę, na którą czekał bezskutecznie od dwóch godzin, kiedy niespodziewany szelest skłonił go do obejrzenia się za siebie.

Z ciemnozielonych bambusowych zaroili wynurzyła się postać mężczyzny w obszarpanej granatowej koszuli, opasanej przetartym plecionym sznurem zakończonym grubymi chwastami, i wwyświeconych spodniach w paski. Pocziwą twarz nieznajomego porastała kosmata bródka. W ręku rzymał marynarkę.

Mężczyzna zbliżył się i zapytał grzecznie:

- Gdzie mógłbym znaleźć inżyniera Brunsa?

- Ja jestem inżynier Bruns - odpowiedział zaklinacz gęsi niespodziewanym basem. - Czym mogę służyć?

Nieznajomy mężczyzna bez słowa padł na kolana. Był to ojciec Fiodor.

- Czyście zwariowali, obywatelu?! - zawołał zrywając się inżynier. - Proszę natychmiast wstać!

- Nie wstanę - odpowiedział ojciec Fiodor wodząc wzrokiem za inżynierem i wpatrując się w niego rozjaśnionymi oczami.

- Proszę wstać!

- Nie wstanę!

I ojciec Fiodor zaczął ostrożnie, żeby go nie zabolalo, bić głową w żwir.

- Musik! Chodź tutaj! - zawołał przestraszony inżynier. - Patrz, co się tu dzieje! Proszę wstać! Błagam!

- Nie wstanę - powtórzył ojciec Fiodor.

Na werandę wbiegła Musik, orientująca się doskonale w intonacjach głosu męża.

Na widok damy, ojciec Fiodor zwinnie doczołgał się do niej, przypadł do jej nóg i zaskamlał:

- W tobie, mateńko, w tobie, dobrodziejko, w tobie moja ostatnia nadzieja!

Inżynier Bruns zaczerwienił się, chwycił petenta pod pachy i usiłował postawić go na nogi, ale sprytny ojciec Fiodor podkulił nogi pod siebie. Zdenerwowany Bruns zaciągnął osobliwego gościa w kąt i przemocą posadził go na krześle (wprawdzie roboty Gambsa, ale pochodzącym z salonu generałowej

Popowej, a nie z domu Worobianinowa).

- Nie śmiem - wybełkotał ojciec Fiodor kładąc sobie na kolana zalatującą naftą marynarkę piekarza - nie śmiem siedzieć w obecności tak wysoko postawionych osobistości.

I ojciec Fiodor spróbował znowu paść na kolana.

Inżynier z tragicznym okrzykiem przytrzymał go za ramiona.

- Musik - powiedział łapiąc z trudem powietrze - pogadaj z tym obywatelem. Tu musi być jakieś nieporozumienie.

Musik zabrała się energicznie do rzeczy.

- W moim domu - oświadczyła groźnie - nie ma mowy o żadnym padaniu na kolana!

- Dobrodziejko! - przymiła się ojciec Fiodor. - Mateńko!

- Jaka ja tam wasza mateńka!? O co wam chodzi?

Pop wyszeptał coś niezrozumiałego, ale bez wątpienia błagalnego. Dopiero po długich indagacjach udało się ustalić, że błaga jak o największą łaskę, aby mu sprzedać dwanaście krzeseł takich jak to, na którym w tej chwili siedzi.

Inżynier ze zdumieniem zdjął ręce z ramion ojca Fiodora, który natychmiast z tego skorzystał, kropnął się na kolana i zaczął jak żółw pełzać za inżynierem.

- Dlaczego - krzyczał inżynier uciekając przed długimi rękami ojca Fiodora - dlaczego mam wam sprzedać moje krzesła? Choćbyście sto razy padali na kolana, nic z tego nie rozumiem.

- Bo to są moje krzesła - wyjęczał ojciec Fiodor.

- Jak to wasze? Jakim cudem? Czyście zwariowali? Musik! Teraz już nie mam żadnych wątpliwości! To jest wyraźny wariat!

- Moje - powtarzał pokornie ojciec Fiodor.

- Więc ja je wam ukradłem? - zaperzył się inżynier. - Ukradłem? Słyszysz, Musik? To jakiś szantaż!

- Nic podobnego - szepnął ojciec Fiodor.

- Jeśli je wam ukradłem, proszę mnie zaskarżyć do sądu, ale wypraszam sobie urządzenie w moim domu wariackich scen! Widzisz, Musik, do czego dochodzi rozwyzdrzenie! Nie dadzą człowiekowi zjeśćspokojnie obiadu!

Nie, ojciec Fiodor nie zamierzał dochodzić swoich praw do krzeseł na drodze sądowej. Skąd znowu?

Wiedział również, że inżynier Bruns nie ukradł mu tych krzeseł. Broń Boże! Podobna myśl nie przyszła u nawet do głowy. Ale mimo to krzesła te przed rewolucją należały do ojca Fiodora i stanowią przedmiot bezgranicznej miłości jego konającej obecnie w Woroneżu małżonki. Wypełniając jej ostatnią wolę, a nie dla własnego widzimisię, ojciec Fiodor zdobył adres obywatela Bruns. Ojciec

Fiodor nie prosi o łaskę ani o jałmużnę. Nic podobnego. Posiada wystarczające środki (niewielką fabryczkę świec w Samarze) na osłodzenie ostatnich chwil życia swej małżonce przez odkupieniestarych krzeseł. Nie ma zamiaru szcędzić na to i gotów jest zapłacić za cały komplet dwadzieścia ubli.

- Co? - zawołał siny z oburzenia inżynier. - Dwadzieścia rubli? Za piękny salonowy komplet? Słyszysz,

Musik? Od razu mówiłem, że to wariat! Skończony wariat!

- Ja nie jestem wariat. Ja tylko wypełniam ostatnią wolę mojej małżonki...

- Do diabła - rzekł inżynier - znowu zaczyna się czołgać! Musik! Znowu się czołga!

- Wyznaczcie cenę - jęczał ojciec Fiodor ostrożnie waląc łbem w pień araukarii.

- Proszę mi nie niszczyć drzew! Musik, a może to nie wariat? Może to człowiek doprowadzony do skrajnej rozpacz przez chorobę żony? Może mu sprzedać te krzesła, żeby się odczepił? Bo gotów sobie naprawdę rozwalić łeb!

- A na czym będziemy siedzieli? - zapytała Musik.

- Kupimy sobie inne krzesła.

- Za dwadzieścia rubli?

- Za dwadzieścia rubli ja mu tych krzesel nie sprzedam... Nie sprzedam ich nawet za dwieście... Ale mogę sprzedać za dwieście pięćdziesiąt.

W odpowiedzi ojciec Fiodor z hukiem wyrzucił głowę w dracnę.

- No, Musik, mam już tego dość.

Inżynier podszedł energicznie do ojca Fiodora i zaczął mu dyktować warunki:

- Po pierwsze proszę się odsunąć na odległość trzech kroków od palmy; po drugie proszę natychmiast wstać; po trzecie mogę wam sprzedać krzesła za dwieście pięćdziesiąt rubli.

- Ja przecież nie z chęci zysku - zaintonował ojciec Fiodor - tylko wedle ostatniej woli chorej żony.

- Drogi obywatelu, moja żona jest także chora. Prawda, Musik, że nie jesteś w porządku z płucami?

Ale ja nie żądam na tej podstawie, żebyście mi... no... na przykład... sprzedali za trzydzieści kopiejek swoją marynarkę.

- Proszę ją wziąć darmo! - zawołał ojciec Fiodor.

Inżynier machnął ze zniecierpliwieniem ręką i rzekł oschle:

- Dość tych żartów! Nie mam zamiaru wdawać się w dalsze dyskusje. Ocenilem krzesła na dwieście pięćdziesiąt rubli i nie opuszczę ani grosza.

- Pięćdziesiąt - zaproponował ojciec Fiodor.

- Musik! - rzekł inżynier - zawołaj Bagrationa! Niech usunie stąd tego obywatela!

- Ja nie z chęci zysku...

- Bagration!

Przerażony ojciec Fiodor uciekł. Inżynier poszedł do jadalni i zabrał się do gąski. Ta ulubiona potrawa podzielała na niego kojąco.

W chwili, kiedy owinał bibułą kostkę i podniósł do różowych warg gęsią nóżkę, w oknie ukazało się błagalne oblicze ojca Fiodora.

- Ja nie z chęci zysku - powiedział łagodnie ojciec Fiodor. - Pięćdziesiąt pięć rubli.

Inżynier warknął nie odwracając się. Ojciec Fiodor zniknął.

Przez cały dzień postać ojca Fiodora ukazywała się w różnych zakątkach posiadłości inżyniera: to wyskakiwała z cienia kryptomerii, to przekradała się przez gaj mandarynkowy, to przebiegała przez podwórze i z łopotem zniknęła w stronie Ogrodu Botanicznego.

Inżynier przez cały dzień wzywał Musik na pomoc, skarżył się na wariata i na ból głowy. W zapadającym zmroku od czasu do czasu dawał się słyszeć głos ojca Fiodora:

- Sto trzydzieści rubli! - rozlegało się jak gdyby z nieba.

A po chwili głos dobiegał od strony willi Dumbasowa.

- Sto czterdzieści jeden - proponował ojciec Fiodor. - Nie z chęci zysku, obywatelu Bruns, tylko...

W końcu inżynier nie wytrzymał, stanął na środku werandy i wpatrując się w ciemności zaczął głośno skandować:

- Pal sześć! Dwieście rubli! Tylko dajcie mi wreszcie święty spokój!

Rozległ się szelest roztrząanych bambusów, cichy jęk i oddalające się kroki. Potem wszystko umilkło.

Gwiazdy pluskały się w wodach zatoki, świetliki ścigały ojca Fiodora, krążyły dokoła jego głowy i oświetlały ją zielonkawym, medycznym światłem.

- Ale świetna była gąska - rzekł inżynier wracając do pokoju.

Tymczasem ojciec Fiodor mknął wzdłuż morskiego wybrzeża ostatnim autobusem do Batumi. Lekki przypływ szeleścił jak kartki książki, wiatr zacinał po twarzy, a sygnały autobusowej syreny mieszały się z wyciem szakali.

Tego samego wieczora ojciec Fiodor wysłał do zamieszkałej w mieście N. żony swej, Katarzyny

Aleksandrownę, następującą depeszę:

ZNALAZŁEM TOWAR PRZYŚLIJ TELEGRAFICZNIE DWIEŚCIE TRZYDZIEŚCI
SPRZEDAJ CO CHCESZ

FIEDIA.

Przez następne dwa dni ojciec Fiodor krążył dokoła willi Bruns, kłaniał się z daleka pani Musik i od czasu do czasu zakłócał tropikalną ciszę okrzykiem:

- Ja nie z chęci zysku, tylko na życzenie małżonki!

Na trzeci dzień nadeszły pieniądze i desperacka depesza:

SPRZEDAŁAM WSZYSTKO ZOSTAŁAM BEZ GROSZA CAŁUJĘ I CZEKAM
JEWSTIGNIEJEW

STOŁUJE SIĘ NADAL KATIA.

Ojciec Fiodor przeliczył pieniądze, przeżegnał się, wynajął wóz i pojechał na Zielony Przylądek.

Pogoda była posępna. Wiatr nagał chmury od granicy tureckiej. Niebo zaciągało się coraz bardziej.

Zerwał się sztorm. Wydano zakaz kąpania się i wypływania łodziami na morze. Nad Batumi błyskało i grzmiało. Sztorm bił o brzegi.

Przed willą inżyniera Bruns ojciec Fiodor polecił woźnicy (Adżaryjczykowi w baszłyku) poczekać i udać się po meble.

- Przyniosłem pieniądze - rzekł ojciec Fiodor. - A może będzie coś taniej?

- Musik! - jęknął inżynier. - Nie wytrzymam!

- Dlaczego? Przecież przyniosłem pieniądze - uspokoił go ojciec Fiodor. - Dwieście rubli. Tyle, ile byłomówione.

- Musik! Przyjmij od niego pieniądze. Daj mu krzesła. Tylko niech się pośpieszy. Mam migrenę.

Cel życia ojca Fiodora został osiągnięty. Fabryczka świec w Samarze sama włąziła w ręce. Brylanty upały się do kieszeni jak pestki słonecznika.

Dwanaście krzesel - jedno po drugim - załadowano na wóz. Były one łudząco podobne do krzesel

Worobianinowa z tą tylko różnicą, że miały obicie z niebieskiego rypsu w różowe paseczki, a nie z kretonu w kwiatki.

Niecierpliwość pożerała ojca Fiodora. Za pazuchą tkwiła ukryta siekierka. Ojciec Fiodor usiadł obok woźnicy i oglądając się nieustannie na krzesła ruszył w drogę do Batumi.

Dziarskie konie wiozły ojca Fiodora i jego skarby w dół, do szosy. Mijając restauracyjkę „Finał”, gdzie po bambusowych stolikach i altankach hulał wiatr, mijając tunel kolejowy, który wchłaniał właśnie ostatnie cysterny z naftą, mijając fotografa pozbawionego w tym pochmurnym dniu swojej zwykłej klienteli, mijając szyld z napisem: „Batumski ogród botaniczny”, konie zjeżdżały powoli nad brzeg morza. W miejscu, gdzie droga biegła obok nadbrzeżnych skał, ojca Fiodora opryskała słona piana.

Fale morskie, bijąc w skały, wystrzelały w niebo gejzerami i powoli opadały.

Uderzenia i porywy sztormu wzmagaly napięcie i podniecenie ojca Fiodora. Konie walcząc z wiatrem zbliżały się powoli do Machindżauri. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, ryczały i pieniały się mętne, zielone wody. Aż do samego Batumi szumiła biała piana jak falbany halki, wyglądającej spod sukni nieporządnej damulki.

- Stój! - zawołał nagle Fiodor do woźnicy. - Stój, muzułmaninie!

Drżąc z emocji i potykając się o własne nogi, ojciec Fiodor zaczął wyładowywać krzesła na opustoszały brzeg. Niewzruszony Adżaryjczyk zainkasował swoje pięć rubli, śmignął konia batem i odjechał. Ojciec

Fiodor upewnił się, że dokoła nie ma żywego ducha, po czym zniósł krzesła z wysokiego, urwistego brzegu na niewielki, suchy jeszcze odcinek plaży i wyciągnął zza pazuchy siekierkę.

Przez chwilę wahał się. Nie wiedział, od którego krzesła zacząć. Potem jak lunatyk podszedł do trzeciego z kolei i z dziką pasją rąbnął siekierką w oparcie. Krzesło przewróciło się na wznak, nie doznając żadnych obrażeń.

- Więc to tak? - krzyknął ojciec Fiodor. - Czekaj, ja ci pokażę!

I rzucił się na krzesło jak na żywego przeciwnika. Po chwili krzesło było już poszatkwane niby kapusta. Ojciec Fiodor nie słyszał uderzeń siekiery w drzewo i sprężyny. W potężnym ryku sztormu, jak w wołoku, grzęzły wszystkie dźwięki.

- Aha, Aha! Aha! - przygadywał ojciec Fiodor rąbiąc na odlew.

Krzesła padały jedno po drugim. Roznamietnienie ojca Fiodora rośło. Rósł także sztorm. Niekiedy fale docierały aż do stóp ojca Fiodora.

Od Batumi aż po Synopę niósł się potężny szum. Morze szalało i wyładowywało swą wściekłość na każdym statku i łodzi. Do Noworosijska zbliżał się parowiec „Lenin”

wyrzucając ze swych dwóch kominów ciężkie kłęby dymu i zanurzając się po rufę w wodzie. Sztorm szalał na całym Morzu

Czarnym ciskając tysiąctonowe góry wody na brzegi Trapezundu, Jałty, Odessy i Konstancy. Za cichym

Bosforem i Dardanelami huczało Morze śródziemne. Za Cieśniną Gibraltarską o brzegi Europy uderzał

Atlantyk. Rozszalały żywioł opasywał całą kulę ziemską.

A na wybrzeżu batumskim stał ojciec Fiodor i w pocie czoła rąbał ostatnie krzesło. Po chwili wszystko było skończone. Ojca Fiodora ogarnęła rozpacz. Objął nieprzytomnym spojrzeniem spiętrzoną przed nim górę nóżek, oparł i sprężyn i cofnął się. Woda objęła go za nogi. Rzucił się naprzód i zmoczony wydostał się na szosę. Olbrzymia fala runęła na miejsce, gdzie przed chwilą stał ojciec Fiodor i porwała ze sobą porąbany komplet krzeseł generałowej Popowej. Ojciec Fiodor nie widział już tego.

Przygarbiony szedł szosą, przyciskając do piersi mokrą pięść.

Wszedł do Batumi nic nie widząc dokoła siebie. Położenie jego było straszliwe. Znajdował się w odległości pięciu tysięcy kilometrów od domu. O przebyciu tego dystansu z pięcioma rublami przy duszy nie mogło być mowy.

Ojciec Fiodor minął turecki bazar, gdzie dyskretnym szeptem ofiarowywano mu oryginalny puder

Coty'ego, jedwabne pończochy i kradziony tytoń suchumski, skierował się na dworzec i zniknął w tłumie tragarzy.

Rozdział XXXVIII Pod chmurami

W trzy dni po zawarciu przez naszych współników transakcji z monterem Miecznikowem teatr

Kolumba wyruszył pociągiem w drogę przez Machacz-Kała i Baku. Przez całe te trzy dni współnicy, którym dwa rozprute na Maszuku krzesła nie dały upragnionego wyniku, upominali się u

Miecznikowa o trzecie i ostatnie z teatralnych krzeseł. Ale monter, który ledwie zipał od narzanu, obrócił całe dwadzieścia rubli na zakup zwykłej wódki i doprowadził się do takiego stanu, że nie mógł o własnych siłach opuścić progów teatralnej rekwizytorni.

- Oto są skutki picia wód mineralnych! - rzekł Ostap na wiadomość o wyjeździe teatru. - A to kanciarz z tego montera! I miej tu zaufanie do ludzi teatru!

Ostap rozwinął teraz wyjątkowo ożywioną działalność, gdyż szanse na zdobycie skarbu znacznie się zwiększyły.

- Potrzeba nam pieniędzy na podróż do -Władykaukazu - rzekł Ostap. - Stamtąd pojedziemy samochodem Wojenną Drogą Gruzińską do Tyflisu. Czarujące widoki! Zachwycające krajobrazy!

Upajające górskie powietrze! A u kresu podróży - sto pięćdziesiąt tysięcy rubli zero-zero kopiejek. W tych warunkach warto kontynuować sesję!

Ale wyjazd z Mineralnych Wód nie był tak łatwy. Okazało się, że Worobianinow nie ma żadnych kwalifikacji do podróżowania na gapę i kiedy wszystkie próby w tym kierunku zawiodły, zmuszony był wystąpić w pobliżu „Kwietnika” w roli byłego

kuratora okręgu szkolnego. Dwanaście godzin tej ciężkiej i poniżającej pracy przyniosło zaledwie dwa ruble. Była to jednak kwota wystarczająca na koszty podróży do Władykaukazu.

W Bełanie wysadzono z pociągu jadącego na gapę Ostapa i wielki kombinator musiał biec trzy kilometry za pociągiem, wygrażając pięścią Bogu ducha winnemu Worobianinowowi.

Potem jednak Ostapowi udało się wskoczyć na stopień wspinającego się wolno na kaukaskie podgórze pociągu. Siedząc na stopniu, Ostap z zaciekawieniem przypatrywał się panoramie kaukaskiego łańcucha górskiego.

Była czwarta rano. Słońce rzucało ciemnoróżowy blask na górskie szczyty.

Góry nie przypadły Ostapowi do gustu.

- Za mocne efekty - powiedział. - Dziwaczne piękno! Szaleńczy pomysł! Absolutna bzdura!

Na władykaukaskim dworcu oczekiwał przyjezdnych duży, otwarty autobus Kaukaskiej Komunikacji

Samochodowej, którego grzeczna obsługa informowała:

- Osoby, wybierające się na wycieczkę Wojenną Drogą Gruzińską, mają prawo do bezpłatnego przejazdu do miasta.

- Dokąd pan idzie, Kisa? - rzekł Ostap. - Wsiadamy do autobusu. Mamy okazję do darmowego przejazdu.

Po przybyciu autobusu na stację K.K.S. Ostap nie poszedł jednak zamówić miejsca w autobusie turystycznym. Pogrążony w rozmowie z Hipolitem Matwiejewiczem, zachwycał się Górą Stołową przepasaną obłokiem, stwierdził, że góra istotnie przypomina stół, i szybko się oddalił.

Wspólnicy spędzili we Władykaukazie kilka dni. Wszelkie próby zdobycia pieniędzy na przejazd

Wojenną Drogą Gruzińską albo kończyły się całkowitym fiaskiem, albo przynosiły drobne kwoty, wystarczające zaledwie na jedzenie. Próby ściągania z obywateli opłat za widoki zawiodły. Kaukaski łańcuch górski był tak wysoki i tak widoczny, że trudno go było pokazywać za pieniądze. Niemal z każdego miejsca widać go było za darmo. Innych osobliwości we Władykaukazie nie było. Wprawdzie

Terek przepływał koło „Treka”36, ale tam już miasto pobierało opłatę za wstęp bez pomocy Ostapa.

Przeprowadzona przez Hipolita Matwiejewicza zbiórka datków przyniosła w ciągu dwóch dni trzynaście kopiejek.

- Dość tego - rzekł Ostap. - Mamy jedno wyjście: iść do Tyflisu na piechotę. Te dwieście wiorst przejdziemy w ciągu pięciu dni. Uszy do góry, ojczulku! Zachwycające górskie widoki! Świeże powietrze!... Potrzebne nam są tylko pieniądze na chleb i kiełbasę „dla znawców”. Niech pan robi, co pan chce, niech pan wzbogaci swój repertuar jakimś włoskim zdaniem, byleby pan zebrał do wieczora przynajmniej dwa ruble. A obiadu dzisiaj, drogi towarzyszu, nie będzie. Trudno!...

Nazajutrz rano wspólnicy przeszli mostek nad Terekiem, minęli koszary i zanurzyli się w zielonej dolinie, którą biegła Wojenna Droga Gruzińska.

- Mamy szczęście, Kisa - rzekł Ostap. - W nocy spadł deszcz. Nie będziemy musieli łykać kurzu. Niech pan wdycha czyste powietrze, marszałku. Niech pan śpiewa! Niech pan sobie przypomni wiersze o

Kaukazie. Słowem, niech się pan zachowuje, jak przystało!...

Ale Hipolit Matwiejewicz nie śpiewał ani nie przypominał sobie wierszy. Droga wiodła pod górę.

Spędzone pod gołym niebem noce dawały o sobie znać kluciem w boku i ociężałością w nogach, a kiełbasa „dla znawców” wywoływała nieustanną, dokuczliwą zgagę. Hipolit Matwiejewicz szedł lekko pochylony na bok, powłócząc lewą nogą i dźwigając pod pachą pięcioletni bochenek chleba zawinięty w gazetę.

Wiedział tylko jedno: że znowu trzeba wędrować. Wprawdzie tym razem do Tyflisu, wprawdzie tym razem najpiękniejszą drogą na świecie... Ale to nie robiło na nim najmniejszego wrażenia. Nie rozglądał się dokoła jak Ostap. Nie dostrzegał Tereka, który zaczynał już szumieć na dnie doliny. I tylko promieniejące w słońcu śnieżne szczyty gór coś mu niejasno przypominały: ni to blask brylantów, ni to obite brokatem luksusowe trumny mistrza Bezenczuka.

Za Bałtą droga weszła w wąwóz i zaczęła piąć się w górę wąskim szlakiem wykutym w mrocznych, urwistych skałach. Droga biegła serpentyną coraz wyżej i pod wieczór współnicy znaleźli się w Larsie, tysiąc metrów nad poziomem morza.

Przenocowali bezpłatnie w skromnym schronisku, a nawet udało im się do tego stopnia oczarować gospodarza i jego gości sztukami karcianymi, że dostali po szklance mleka.

„Trek” – welodrom.

Ranek był tak piękny, że nawet Hipolit Matwiejewicz, orzeźwiony górskim powietrzem, ruszył w drogę raźniejszym, niż poprzedniego dnia, krokiem. Zaraz za Larsem ukazała się majestatyczna ściana

Bocznego Łańcucha. Dolina Tereka przeistoczyła się w ciasny wąwóz. Krajobraz stawał się coraz posępniejszy i coraz więcej podpisów zdobiło skalne ściany. W miejscu, gdzie skały ścisnęły koryto

Tereka tak, że przerzucony nad nim most liczył zaledwie dziesięć sążni, ściany wąwozu były usiane podpisami. Na ten widok Ostap zapomniał o majestatycznej urodzie Dariańskiej Przełęczy i zawołał, usiłując przekrzyknąć szum Tereka:

- O! Wielcy ludzie! Patrz pan, marszałku! O, tam, nieco powyżej chmury i nieco poniżej orła! Widzi pan ten napis? „Kola i Mika, lipiec 1914 r.” Mocna rzecz! Niech pan zwróci uwagę na wysoki poziom artystyczny tego napisu. Każda z liter metrowej wysokości, namalowana olejną farbą! Co się dziś z wami dzieje, Kola i Mika? Wie pan co, Kisa? - ciągnął Ostap. - My także musimy się tu uwiecznić.

Zapędzimy Kolę i Mikę w kozi róg! Mam akurat przy sobie kredę. Słowo daję, wdrapię się na górę i napiszę: „Tu byli Kisa z Osia”.

Nie wiele myśląc Ostap złożył na balustradzie dzielącej szosę od przepaści, na której dnie płynął spieniony Terek, krążek kiełbasy „dla znawców” i zaczął wspinać się na skałę.

Hipolit Matwiejewicz początkowo obserwował wspinaczkę wielkiego kombinatora, ale wkrótce uwagę jego przyciągnęły ruiny zamku Tamary, sterczące na skale przypominającej kształtem koński ząb.

W tym właśnie czasie, w odległości dwóch wiorst od miejsca, gdzie zatrzymali się wspólnicy, do

Wąwozu Darialskiego od strony Tyflisu wszedł ojciec Fiodor. Maszerował miarowym, żołnierskim krokiem, patrząc przed siebie twardymi, diamentowymi oczami i podpierając się wysokim, zakrzywionym kosturem.

Ojciec Fiodor za ostatnie pieniądze dojechał do Tyflisu i stamtąd, o żebraczym chlebie, wędrował piechotą do domu. Na Krzyżowej Przełęczy (2345 metrów nad poziomem morza), dziobnął go orzeł.

Ojciec Fiodor zamierzył się kosturem na zuchwałego ptaka i powędrował dalej. Szedł zagubiony w chmurach i mrucał:

- Ja nie z chęci zysku, ale zgodnie z ostatnią wolą małżonki mojej!...

Odległość między wrogami zmniejszała się z każdą chwilą. Ojciec Fiodor minął ostry występ skalny i wpadł na starca w pozłacanych binoklach.

Wąwóz rozszepił się w oczach ojca Fiodora na kilka wąwozów. Tysiącletni szum Tereka zamarł na chwilę.

Ojciec Fiodor poznał Worobianinowa. Po straszliwym zawodzie w Batumi, kiedy runęły wszelkie nadzieje, ojca Fiodora ożywiła nagle nowa wiara w możliwość zdobycia skarbu. Chwycił Hipolita

Matwiejewicza za gardło i zaciskając palce wrzasnął ochrypłym głosem:

- Co zrobiłeś ze skarbami zamordowanej teściowej? Hipolit Matwiejewicz, który nie spodziewał się tego ataku, zaniemówił; tylko oczy wylazły mu z orbit i bez mała dotykały szkieł binokli.

- Mów! - krzyczał ojciec Fiodor. - Pokajaj się, grzeszniku!

Worobianinow uczuł, że się dusi.

Nagle ojciec Fiodor, który rozkoszował się już zwycięstwem, ujrzawszy skaczącego po skałach Bendera.

Dyrektor techniczny zjeżdżał na dół, krzycząc na całe gardło:

Rozpryskując się na skałę

Pienią się i kipią fale

Wielka trwoga poraziła serce ojca Fiodora. Wprawdzie trzymał nadal nieszczęsnego marszałka za gardło, ale kolana trzęsły mu się ze strachu.

- A to kto? - zawołał wesoło Ostap. - Konkurencyjna organizacja?

Ojciec Fiodor nie zwlekał już dłużej. Kierując się błogosławionym instynktem, złapał należącą do wspólników kielbasę oraz chleb i rzucił się do ucieczki.

- W łeb go, towarzyszu Bender! - krzyczał Hipolit Matwiejewicz leżąc na ziemi i z trudem odzyskując oddech.

- Trzymaj! Łapaj!

Ostap gwizdnął i wydał bojowy okrzyk.

- Bitwa pod piramidami - zawołał puszczając się w pogoń - czyli Bender na polowaniu! Dokąd pan ucieka, szanowny kliencie? Mogę panu zaoferować pierwszorzędnie wypatroszone krzesło!

Ojciec Fiodor nie mógł dłużej ścierpieć takiego naigrawania i zaczął się wdrapywać na stromo sterczącą skałę. Gnało go w górę podchodzące do gardła serce i tchórzom tylko znane świerzbienie w piętach. Nogi same odrywały się od granitu i niosły swego mocodawcę w górę.

- Trzymaj go! - wołał z dołu Ostap. .

- Porwał nasze zapasy! - wrzasnął Hipolit Matwiejewicz podbiegając do Ostapa.

- Stój! - zagrmiał Ostap. - Mówię ci, stój!

Ale to podwoiło tylko energię ojca Fiodora, który gonił już resztką sił. Zebrał się w sobie i w kilku susach dotarł do miejsca znajdującego się dziesięć sążni powyżej ostatniego napisu.

- Oddaj kielbasę! - wzywał go Ostap. - Oddaj, durniu, kielbasę! Oddaj, pókim dobry!

Ojciec Fiodor nic już nie słyszał. Znalazł się tam, gdzie nikomu dotychczas nie udało się wdrapać. I nagle ogarnęło go bolesne przerażenie. Uświadomił sobie, że w żaden sposób nie będzie mógł zejść na dół. Skała od strony szosy była zupełnie prostopadła, a powrót tą samą drogą, którą wszedł, był niemożliwy. Spojrzał w dół. Ujrzał tam szalejącego z wściekłości Ostapę. Na dnie wąwozu połyskiwały połączane binokle marszałka.

- Oddam kielbasę! - zawołał ojciec Fiodor. - Ale pomóżcie mi stąd zejść!

Odpowiedział mu szum Tereka i namiętne pohukiwania z zamku Tamary, w którym gnieździły się sowy.

- Zsądźcie mnie stąd! - wołał żałośnie ojciec Fiodor.

Miał możliwość obserwować wszelkie poruszenia wrogów. Widział, jak biegali pod skałą i - wnosząc z gestów - kleli nie przebierając w słowach.

Kiedy po upływie godziny ojciec Fiodor położył się na brzuchu i zwiesił głowę w dół, ujrzał, że Bender i

Worobianinow oddalają się w kierunku Krzyżowej Przełęczy.

Znienacka zapadła noc. Na stromym szczycie, tuż pod stropem niebios, w nieprzejranych ciemnościach i piekielnym hałasie nieszczęsny ojciec Fiodor dygotał ze strachu i zalewał się łzami. Nie pragnął już żadnych ziemskich dóbr. Jedyнным jego pragnieniem było znaleźć się na ziemi.

W nocy wydawał z siebie ryki tak potężne, że zagłuszał szum Tereku, a rankiem pokrzepił się chlebem oraz kielbasą „dla znawców” i chichotał jak szatan na widok przejeżdżających w dole samochodów.

Resztę dnia spędził na obserwowaniu gór i ciała niebieskiego - słońca. A następnej nocy ujrzał carycę

Tamarę. Caryca przyleciała do niego z zamku i rzekła zalotnie:

- Będziemy teraz sąsiadami.

- O pani! - zawołał z przejęciem ojciec Fiodor. - Ja nie z chęci zysku...

- Wiem, wiem - przerwała mu caryca - tylko zgodnie z ostatnią wolą...

- A skąd pani wie? - zdziwił się ojciec Fiodor.

- Wiem i kwita! Proszę mnie odwiedzić, sąsiedzie. Pogramy sobie w sześćdziesiąt sześć. Zgoda?

Roześmiała się i odleciała, a w nocnym niebie długo jeszcze rozbrzmiewał jej chichot.

Na trzeci dzień ojciec Fiodor zaczął wygłaszać kazania do ptaków. Nie wiadomo dlaczego usiłował skłonić je do przyjęcia protestantyzmu.

- Ptaki - przemawiał do nich dźwięcznym głosem. - Czyńcie spowiedź publiczną.

Czwartego dnia ojca Fiodora pokazywano już wycieczkowiczom.

- Na prawo zamek Tamary - mówili doświadczeni przewodnicy - a na lewo człowiek. Jak się tam dostał i czym się żywi - nie wiadomo.

- Cóż to za niezwykły naród! - mówili ze zdumieniem wycieczkowicze. - Dzieci gór!

Płynęły obłoki. Nad ojcem Fiodorem krążyły orły. Najśmielszy z nich porwał resztę kiełbasy „dla znawców” i jednym machnięciem skrzydła strącił w spienione wody Tereka półtora funta chleba.

Ojciec Fiodor pogroził mu palcem i uśmiechając się promiennie, szepnął:

Ptaszek boży lata

I beztrosko żyje –

Nie na długie lata

Gniazdko swoje wije.

Orzeł spojrzał zezem na ojca Fiodora, zawołał: „Kukuryku!” i odleciał. - Oj, orzełku, orzełku, ależ z ciebie kawał drania! Po upływie dziesięciu dni z Władykaukazu przybył oddział straży pożarnej z odpowiednimi przyrządami i ściągnął ojca Fiodora na dół.

W trakcie tej czynności ojciec Fiodor klaskał w dłonie i śpiewał zgrzytliwym głosem:

I będziesz ty królową świa-a-ta

I przy-y-jaciółką wieczną mą!

I groźny Kaukaz wielokrotnie powtórzył melodię A. Rubinsteina do słów M. J. Lermontowa.

- Ja nie z chęci zysku - rzekł ojciec Fiodor do strażaka - tylko...

Chichoczącego duchownego strażackim wozem odstawiono do szpitala dla umysłowo chorych.

Rozdział XXXIX Trzęsienie ziemi

Jak pan sądzi, marszałku - zapytał Ostap, kiedy wspólnicy zbliżali się do wioski Sioni - w jaki sposób można coś zarobić w tej nędznej dziurze, położonej na wysokości dwóch wiorst?

Hipolit Matwiejewicz milczał. Jedynym dostępnym dla niego zajęciem, aby zarobić na kawałek chleba, była żebranina, ale tutaj na górskich serpentynach i urwiskach nie było kogo prosić o jałmużnę.

Zresztą i tutaj istniało żebractwo, ale żebractwo szczególnego, „alpejskiego” gatunku: do każdego autobusu lub samochodu osobowego podbiegały dzieci z przydrożnych osiedli i wykonywały przed widownią na kółkach kilka pas naurskiej lezginki; następnie urządały pościg za autem, wołając:

- Dawaj forse! Dawaj forse!

Pasażerowie rzucali miedziaki i pojazd zniknął w kierunku Krzyżowej Przełęczy.

- Znakomity interes - rzekł Ostap - nie wymaga kapitału zakładowego. Dochody są niewielkie, ale w naszej sytuacji nie możemy grymasić.

W drugim dniu wędrówki, około godziny drugiej, Hipolit Matwiejewicz, pod kierownictwem artystycznym wielkiego kombinatora, wykonał przed lotnymi widzami swój pierwszy taniec. Taniec ten przypominał mazura, ale pasażerowie, oszołomieni dziłą urodą Kaukazu, uznali go za lezginkę i wynagrodzili wykonawcę trzema pięciokopiejkówkami. Przed następnym pojazdem, którym był autobus jadący z Tyflisu do Władykaukazu, tańczył i skakał sam wielki kombinator.

- Dawaj forse! Dawaj forse! - krzyczał groźnie.

Rozbawieni pasażerowie hojnie wynagrodzili jego płąsy. Ostap wygrzebał z pyłu drogi trzydzieści kopiejek. Ale siońska dzieciarnia zasypała swoich konkurentów gradem kamieni. Uciekając przed ostrzałem, wędrowcy spieszenie udali się do najbliższego aułu, gdzie roztrwonili zarobiony grosz na ser i placki.

I w ten sposób odbywała się podróż. Wspólnicy nocowali w góralskich chałupach. Na czwarty dzień zygzakowatą szosą zeszli w Dolinę Kajszaurską. Przygrzewało tu mocno słońce i porządnie przemarznęte na Krzyżowej Przełęczy kości wędrowców szybko odtajały.

Zniknęły dariałskie skały, ustąpił mrok i chłód przełęczy; przed wspólnikami rozpostarła się zielona, żyzna, uprawna dolina. Wędrowali teraz brzegiem Aragwy, schodzili w dolinę gęsto zaludnioną, obfitującą w trzodę i żywność. Można tu było to i owo wyżebrać, to i owo zarobić albo po prostu ukraść. Było to Zakaukazie.

Pokrzepieni na duchu wspólnicy przyspieszyli tempo marszu.

W Passanaurze, bogatym osiedlu posiadającym dwa hotele i kilka duchanów³⁷, przyjaciele wyżebrali parę placków i ułożyli się w krzakach naprzeciwko hotelu „Francja”; w hotelowym ogródku bawiły się dwa niedźwiadki na łańcuchach. Wspólnicy delectowali się ciepłem, smacznymi plackami i zasłużonym wypoczynkiem.

Duchan – gospoda kaukaska.

Spokój ich został niestety wkrótce zakłócony dźwiękiem klaksonów samochodowych, szelestem nowych opon po szosie i radosnymi okrzykami. Przyjaciele wyjrżeli z krzaków. Przed „Francją” zajechały trzy jednakowe, nowiutkie samochody. Samochody zatrzymały się bezszelestnie. Z pierwszego wyskoczył Persicki. Za nim wysiadł „Sąd i życie”, poprawiając pokryte kurzem włosy.

Potem ze wszystkich samochodów zaczęli wysiadać członkowie klubu automobilistów z redakcji

„Tokarki”

- Popas! - zawołał Persicki. - Gospodarzu! Piętnaście szaszłyków.

Po „Francji” zaczęły się snuć jakieś ospałe postacie; rozległo się beczenie barana, którego wleczono za nogi do kuchni.

- Nie poznaje pan tego młodego człowieka? - zapytał Ostap. - To reporter ze „Skriabina”, jeden z krytyków naszego transparentu. Ale trzeba przyznać, że zajechali tu z szykiem. Co to może znaczyć?

Ostap zbliżył się do pożeraczy szaszłyków i złożył Persicki emu wytworny ukłon.

- Bonjour! - rzekł reporter. - Gdzie to myśmy się już spotkali, drogi towarzyszu? Aha! Przypominam sobie. Jesteście malarzem ze „Skriabina”, prawda?

Ostap przycisnął rękę do serca i ponownie skłonił się z godnością.

- Zaraz, zaraz... - ciągnął odznaczający się niezawodną reporterską pamięcią Persicki. - A czy to nie wy wpadliście w Moskwie na placu Swierdłowskim pod dorożkę?

- Oczywiście, oczywiście! I wszystko, według Waszego trafnego określenia, skończyło się na strachu.

- Czy odbywacie obecnie podróż w celach artystycznych?

- Nie. W celach turystycznych.

- Pieszo?

- Pieszo. Znaczący twierdzą, że jazda samochodem Wojenną Drogą Gruzijną nie ma sensu.

- Nie zawsze, mój drogi, nie zawsze. Na przykład nasza podróż nie jest tak znów całkowicie pozbawiona sensu. Przede wszystkim podróżujemy własnymi samochodami, podkreślam - własnymi, kolektywnymi. Komunikacja bezpośrednia Moskwa-Tyflis. Benzyna kosztuje nas grosze. Jazda szybka i wygodna. Miękkie siedzenia. Europa!

- Jak doszliście do tego wszystkiego? - zapytał z zawiścią Ostap. - Wygraliście sto tysięcy?

- Sto nie sto, ale pięćdziesiąt.

- W baka?

- Nie. Na obligację, będącą w posiadaniu klubu automobilowego.

- I za te pieniądze kupiliście sobie samochody?

- Oczywiście.

- Ta-ak. A może potrzebny wam kierownik. Znam pewnego młodego człowieka. Nietrunkowy.

- Jaki kierownik?

- No, taki... Kierownictwo ogólne, fachowe porady, nauka pogładowa metodą zespołową... Co?

- Rozumiem. Ale taki kierownik nie jest nam potrzebny.

- Niepotrzebny?

- Niestety. Malarz także nie jest nam potrzebny.

- W takim razie dajcie mi dziesięć rubli.

- Awdotin - rzekł Persicki. - Bądź łaskaw wypłacić temu obywatelowi trzy ruble na mój rachunek.

Pokwitowania nie trzeba. Rozliczenie też nie będzie wymagane.

- Jest to kwota bardzo skromna - zauważył Ostap - ale przyjmuję. Rozumiem waszą ciężką sytuację, obywatelu redaktorze. Gdybyście wygrali sto tysięcy, to prawdopodobnie pożyczylibyście mi całe pięć rubli. Niestety, wygraliście tylko pięćdziesiąt tysięcy rubli zero-zero kopiejek. W każdym razie - dziękuję!

Bender grzecznie uchylił kapelusza. I Persicki grzecznie uchylił kapelusza. Bender złożył głęboki ukłon.

Persicki odpowiedział jeszcze głębszym ukłonem. Bender zaczął machać na pożegnanie ręką. Siedzący przy kierownicy Persicki skinął mu w odpowiedzi dłonią. Ale Persicki odjechał w promienną dal pięknym samochodem, w towarzystwie wesołych przyjaciół, a wielki kombinator został na pokrytej kurzem drodze w towarzystwie głupiego kompana.

- Widział pan ten szyk? - zapytał Ostap Hipolita Matwiejewicza.

- Czy to Kaukaska Komunikacja Samochodowa, czy prywatne przedsiębiorstwo „Motor” - zapytał rzeczowo Worobianinow, który w ciągu kilku dni podróży zapoznał się doskonale ze wszystkimi obsługującymi tę drogę środkami komunikacji. - Chciałem właśnie podejść do nich i zatańczyć.

- Widzę, że pan niedługo całkiem zgłupieje, mój biedny przyjacielu. Jaka tam Kaukaska Komunikacja

Samochodowa. Oni wygrali - słyszy pan, Kisa? - wy-gra-li pięćdziesiąt tysięcy rubli. Sam pan widział,

Kisula, jacy byli zadowoleni, a ile sobie kupili rozmaitego technicznego szmelcu! Jak tylko dostaniemy do rąk nasze pieniądze, z pewnością roztrwonimy je znacznie racjonalniej. Czy nie mam racji?

Marząc o tym, co sobie kupią, kiedy zdobędą skarb, przyjaciele opuścili Passanaur. Hipolit

Matwiejewicz marzył o nabyciu nowych skarpetek i o wyjeździe za granicę. Pragnienia Ostapa odznaczały się większym połosem. Rośli mu się gigantyczne pomysły. Wahał się między budową tamy na Błękitnym Nilu a uruchomieniem kasyna gry w Rydze z filiami we wszystkich ościennych państwach.

Na trzeci dzień przed południem wspólnicy minęli nieciekawe, pełne kurzu miejscowości: Ananur,

Duszet oraz Ciłkany i zbliżyli się do Mcchetu, dawnej stolicy Gruzji, gdzie rzeka Kura skręca w stronę

Tyflisu.

Wieczorem podróżni minęli ZAGES - Ziemo-Awczalską Elektrownię Wodną. Szkło, woda i elektryczność mieniły się wszystkimi barwami i odbijały się w bystrym nurcie Kury.

Wspólnicy zawarli tu przyjazne stosunki z miejscowym chłopem, który zawiózł ich swą arba38 do

Tyflisu. Przybyli tam o jedenastej wieczorem, a więc w porze, kiedy wieczorny chłód wywabia na ulice znużonych całodziennym upałem mieszkańców stolicy Gruzji.

- Wcale niebrzydka miejscina - rzekł Ostap, kiedy znaleźli się na prospekcie Szota Rustaweli. - Wie pan co, Kisa...

Arba – dwukołowy wóz, używany na Wschodzie.

Ale Ostap nie dokończył, tylko rzucił się w pogoń za jakimś przechodniem, dopędził go i wdał się z nim w ożywioną rozmowę.

Następnie szybko wrócił i trącił Hipolita Matwiejewicza w bok.

- Wie pan, kto to jest? - szepnął. - To „Odeska Spółdzielnia Piekarska - Moskiewskie Obarzanki”, czyli obywatel Kislarski. Podejźmy do niego. Jest pan znowu, choć to zakrawa na paradoks, gigantem myśli i ojcem rosyjskiej demokracji. Niech pan nie zapomina o wydymaniu policzków i poruszaniu wąsami, które już panu bardzo ładnie odrosły. Do diabła! Co za nadzwyczajny zbieg okoliczności! Co za szczęście! Jeśli nie naciągnę go za chwilę na pięćset rubli, niech mi pan napluje w gębę! Chodźmy!

Chodźmy!

Istotnie, w nieznaczej odległości stał w garniturze z czesuczy i w słomkowym kapeluszu siny ze strachu Kislarski.

- Zdaje się, że panowie się znają - szepnął Ostap. - Oto osoba stojąca blisko cara, gigant myśli i ojciec rosyjskiej demokracji. Proszę nie zwracać uwagi na jego strój. To ze względów konspiracyjnych. Niech pan nas zaraz zawiezie do jakiegoś zacisznego lokalu. Musimy pogadać.

Kislarski, który przyjechał na Kaukaz, żeby odetchnąć po stargorodzkich emocjach, był zupełnie zdruzgotany. Błagając coś bez sensu o zastoju w piekarniano-obarzankarskich interesach, Kislarski wsadził kompromitujących znajomych do pojazdu o posrebrzanych szprychach i stopniach i zawiózł ich do podnóża góry Dawida. Kolejką linową pojechali do restauracji znajdującej się na szczycie góry.

Tyflis jarzący się tysiącami świateł zapadał się pod nimi w otchłań. Spiskowcy wznosili się prosto ku gwiazdom.

Stoliki restauracyjne były ustawione na trawie. Na estradzie grała kaukaska orkiestra, a mała dziewczynka, zachęcana pełnymi zachwyty spojrzzeniami swoich rodziców, tańczyła między stolikami lezginę...

- Niech pan każe coś podać - rzekł Bender.

Doświadczony w tych sprawach Kislarski zamówił wino i solony ser gruziński.

- Przydałoby się też coś do zjedzenia - rzekł Ostap. - Gdyby pan wiedział, drogi panie Kislarski, co przeżyliśmy w ostatnich czasach, byłby pan pełen podziwu dla naszego męstwa.

„Znowu! - pomyślał z rozpaczą Kislarski. - Znowu zaczynają się te katusze. Dlaczego nie pojechałem na

Krym? Przecież miałem ochotę tam jechać. I Henrieta też doradzała mi Krym!”

Zamówił jednak posłusznie dwa szaszłyki i zwrócił ku Ostapowi usługą twarz.

A więc - rzekł Ostap rozglądając się na wszystkie strony i zniżając głos - mówmy krótko. Jesteśmy od dwóch miesięcy śledzeni i prawdopodobnie jutro w naszym konspiracyjnym lokalu zrobią na nas zasadzkę. Będziemy musieli się ostrzeliwać.

Kislarski zzieleniał.

- Bardzo jesteśmy radzi - ciągnął dalej Ostap - że w tak krytycznym momencie spotykamy niezłomnego bojownika sprawy ojczystej.

- Hm... tak! - wycedził butnie Hipolit Matwiejewicz, przypominając sobie, z jakim samozaparciem tańczył na głodniaka lezginkę w okolicach Sioni.

- Tak - szepnął Ostap. - Liczymy na to, że pomoże nam pan rozprawić się z naszymi prześladowcami.

Dam panu parabellum.

- Nie ma mowy - odparł energicznie Kislarski.

Wkrótce wyjaśniło się, że prezes giełdy w żaden sposób nie może wziąć udziału w jutrzejszej bitwie.

Bardzo mu przykro, ale nie może. Po prostu nie umie się bić. Dlatego właśnie mianowano go prezesem giełdy. Nie mogąc się przyczynić orężnie do ocalenia życia ojca rosyjskiej demokracji, gotów jest, jako stary oktiabrysta, przyjść z wydatną pomocą finansową.

- Widzę, że jest pan nieodrodnym synem swej ojczyzny! - rzekł uroczyście Ostap popijając aromatyczny szaszłyk słodkim Kipiani. - Za pięćset rubli można uratować giganta myśli.

- A czy... - zapytał załóżnik Kislarski - a czy nie dało by się uratować giganta myśli za dwieście rubli?

Ostap nie wytrzymał i kopnął pod stołem Hipolita Matwiejewicza.

- Uważam - odezwał się Hipolit Matwiejewicz - że wszelkie targi są tu nie na miejscu!

Dostał za to od Ostapa sówkę w bok, co miało oznaczać:

„Brawo, Kisa, brawo! Co to znaczy szkoła!”

Kislarski po raz pierwszy usłyszał głos giganta myśli. Zrobiło to na nim takie wrażenie, że natychmiast wręczył Ostapowi pięćset rubli. Następnie zapłacił rachunek i pożegnał się z przyjaciółmi, tłumacząc się gwałtownym bólem głowy. A po upływie pół godziny wysłał do Stargorodu następującą depeszę do żony:

JADĘ TWOJĄ RADĄ KRYM WSZELKI WYPADEK SZYKUJ SAKWOJAŻ

Po długotrwałym okresie ascezy Ostapowi Benderowi należała się natychmiastowa rekompensata.

Toteż wielki kombinator po odejściu Kislarskiego zalał się w wysokogórskiej restauracji na trupa i w drodze powrotnej o mało nie wypadł z wagonika kolejki linowej. Nazajutrz urzeczywistnił swoje dawne marzenie: kupił sobie wytworny szary garnitur w cętki. W garniturze tym było mu bardzo gorąco. Mimo to paradował w nim z dumą, oblewając się potem. Worobianinow zafundował sobie w sklepie z gotową konfekcją męską ubranie z białej piki i marynarską czapkę ze złotą oznaką jakiegoś nieznanego jacht-klubu. Hipolit Matwiejewicz wyglądał w tym stroju na admirała marynarki handlowej. Zaczął trzymać się prosto i stąpać energicznie.

- Ach! - mówił Bender - wysoka klasa! Gdybym był kobietą, dawałbym takiemu imponującemu mężczyźnie osiem procent zniżki od normalnej taryfy. Ach! Ach! Będąc w takiej formie, możemy zacząć się obracać w najlepszym towarzystwie! Czy umie się pan obracać, Kisa?

- Towarzyszu Bender - przywoływał go do porządku Worobianinow - co będzie z naszym krzesłem?

Trzeba się dowiedzieć, gdzie jest obecnie teatr.

- No-no! - odpowiedział Ostap tańcząc z krzesłem po ogromnym maurytańskim pokoju hotelu

„Orient” - Nie będzie pan mnie uczył rozumu. Jestem teraz zły. Mam pieniądze. Ale równocześnie jestem wspaniałomyślny. Daję panu dwadzieścia rubli i trzy dni na złupienie miasta! Idę w ślady

Suworowa!... Niech pan łupi miasto, Kisa! Niech pan szaleje!

I Ostap, kołysząc się w biodrach, zaczął śpiewać w szybkim tempie:

Wieczorny dzwon odezwał się,

Gdy pierwszy raz ujrzałem cię...

Przyjaciele pili na umór przez cały tydzień. Admiralski strój Worobianinowa pokrył się różnokolorowymi plamami od wina, a cętki na stroju Ostapa zlały się w jedną wielką, tęczową plamę.

- Servus! - rzekł ósmego ranka Ostap, któremu pod wpływem kaca strzeliło do głowy przeczytać

„Zorzę Wschodu” - Słuchaj pan, moczymordo, co ludzie trzeźwi piszą w gazetach! Słuchaj pan!

KRONIKA TEATRALNA

Wczoraj, dnia 3 września, moskiewski Teatr Kolumba zakończył gościnne występy w Tyflisie i udał się na gościnne występy do Jałty. Teatr zamierza występować na Krymie aż do początku zimowego sezonu w Moskwie.

- A co? Nie mówiłem panu? - rzekł Worobianinow.

- Co mi tam pańskie gadanie! - zgasił go Ostap.

Czuł się jednak nieswojo. Głupio mu było, że przegapił okazję, aby pogoń za skarbami zakończyć w

Tyflisie. I teraz trzeba będzie jechać na Półwysep Krymski. Ostap natychmiast wziął się do dzieła. Kupił bilety do Batumi i zamówił miejsca w drugiej klasie na statku „Pestel”, odpływającym z Batumi do

Odessy 7 września o godzinie 23 czasu moskiewskiego.

W nocy z dziesiątego na jedenasty września, kiedy „Pestel” nie zawijając z powodu sztormu do

Anapy, wypływał na pełne morze i wziął kurs wprost na Jałtę, Hipolit Matwiejewicz miał dziwny sen.

Śniło mu się, że w admiralskim stroju stał na balkonie swojego domu w Stargorodzie i zdawał sobie sprawę, że zgromadzony pod balkonem tłum czegoś od niego oczekuje. Olbrzymi żuraw spuścił mu do stóp wieprza w czarne łaty. Przyszedł stróż Tichon, złapał wieprza na tylne nogi i rzekł: - Ech, pieska ich niebieska. Alboż to „Nimfa” da porządne frędzle!

Hipolit Matwiejewicz poczuł w ręku kindżał. Uderzył nim wieprza w bok i z szerokiej rany zaczęły się sypać i skakać po cemencie brylanty. Skakały i stukały coraz głośniejsze. Wreszcie stuk ten stał się nieznośny i przerażający.

Silne uderzenie fali w okienko kajuty Hipolita Matwiejewicza przerwało ów sen.

Do Jałty przybyli w piękny, słoneczny poranek. Marszałek, który przyszedł już do siebie po morskiej chorobie, paradował w swym okazałym stroju na dziobie statku obok dzwonu ozdobionego ornamentem z cerkiewno-słowiańskich liter. Wesoła Jałta wystawiła wzdłuż brzegu swoje miniaturowe sklepiki i pływające restauracyjki. Na przystani stały bryczki z pluszowymi siedzeniami i daszkami z ażurowego płótna, samochody i autobusy „Krymkurso” oraz spółdzielni „Krymski kierowca”. Ceglaste dziewczęta kręciły otwartymi parasolkami i powiewały chusteczkami.

Przyjaciele jedni z pierwszych wysiedli na rozprażony nadbrzeżny bulwar. Na ich widok z tłumu gapiów na przystani wymknął się jakiś obywatel w garniturze z czesuczy i śpiesznym krokiem usiłował opuścić teren portowy. Ale było już za późno. Myśliwskie oko wielkiego kombinatora dostzegło już czesuczowego obywatela.

- Niech pan zaczeka, marszałku! - zawołał Ostap.

I pomknął tak chyżo, że dopadł czesuczowego jegomościa w odległości dziesięciu kroków od wyjścia.

Po chwili wrócił ze sturublówką.

- Nie chciał dać więcej. Nie nalegałem. Trzeba mu zostawić trochę grosza na powrót do domu.

Istotnie, Kislarski natychmiast drapnął samochodem do Sewastopola, a stamtąd trzecią klasą pojechał do Stargrodu.

Wspólnicy spędzili cały dzień w hotelu, siedząc nago na podłodze i co chwila biegając do łazienki pod tusz. Ale woda w łazience była letnia jak herbata. Nie było żadnego ratunku przed upałem. Wydawało się, że Jałta lada chwila roztopi się i spłynie do morza.

Około ósmej wieczorem wspólnicy, przeklinając wszystkie krzesła na świecie, wcisnęli na nogi gorące kamusze i udali się do teatru.

Szedł „Ożenek”. Zmordowany upałem Stiopa omdlewał stojąc na rękach. Agafia Tichonowna stąpała po drucie, trzymając w spotniałych dłoniach parasolkę z napisem: „Ja chcę Podkolesina”. Tymczasem jedynym jej pragnieniem zarówno w tej chwili jak i przez cały dzień było dostać szklankę wody z lodem. Publiczność także konała z pragnienia. I pewnie dlatego, a może też z winy Stiopy, który obżerał się gorącą jajecznicą, widowisko nie budziło zachwyty.

Wspólnicy natomiast byli zadowoleni, gdyż ich krzesło wraz z trzema nowymi, ślicznymi fotelikami w stylu rococo znajdowało się na scenie.

Przyjaciele ukryli się w jednej z łóż i cierpliwie czekali na koniec nieznośnie długiego spektaklu.

Wreszcie publiczność się rozeszła, aktorzy zaś rozbiegli się w poszukiwaniu ochłody. W teatrze zostali tylko dwaj udziałowcy spółki akcyjnej. Kto żyw wyległ na ulicę, aby nacieszyć się od dawna wyczekiwanym deszczem.

- Za mną, Kisa! - rzucił rozkaz Ostap. - W razie czego jesteśmy z prowincji i nie możemy znaleźć wyjścia z teatru.

Wspólnicy zakradli się na scenę i świecąc zapałkami, co zresztą nie uchroniło ich od zderzenia z prasą hydrauliczną, dokonali szczegółowej wizji lokalnej. Następnie wielki kombinator ruszył po schodach na górę do rekwizytorni.

- Chodź pan za mną! - zawołał.

Worobianinow pobiegł za nim, wymachując rękami.

- Widzi pan? - rzekł Ostap świecąc zapałką.

Z mroku wynurzył się kant krzesła roboty mistrza Gambsa i fragment parasolki z napisem: „... chcę...”

- Patrz pan! Oto nasza przyszłość, teraźniejszość i przeszłość. Niech pan świeci zapałkami, Kisa. Zaraz je tu zoperujemy.

I Ostap sięgnął do kieszeni po narzędzia.

- No - rzekł wyciągając rękę po krzesło - jeszcze jedna zapałka, marszałku!

Błysnęła zapałka i - o dziwo! - krzesło nagle samo uskoczyło w bok i w oczach zdumionych wspólników zapadło się pod podłogę.

- O mamó! - zawołał Hipolit Matwiejewicz, którego jakaś obca siła pchnęła na ścianę.

W tej chwili z brzękiem wyleciały wszystkie szyby i parasolka z napisem: „Ja chcę Podkolesina” porwana podmuchem wyfrunęła przez okno w kierunku morza. Ostap leżał na podłodze, nieszkodliwie przygnieciony dyktowymi dekoracjami.

Była godzina dwunasta minut czternaście. I był to pierwszy wstrząs wielkiego trzęsienia ziemi na

Krymie w roku 1927.

Wstrząs ten, który wyrządził na całym półwyspie olbrzymie szkody, wydarł z rąk wspólników upragniony skarb.

- Towarzyszu Bender! Co to jest? - krzyczał przerażony Hipolit Matwiejewicz.

Ostap był wściekły. Trzęsienie ziemi pokrzyżowało mu plany. Nic podobnego nigdy mu się jeszcze w życiu nie zdarzyło.

- Co to? - jęczał Worobianinow.

Z ulicy dobiegały krzyki, zgiełk i tumult.

- A to, że musimy natychmiast uciekać na ulicę, zanim nas przywalą mury. Prędej! Prędej! Dawaj pan łapę, ofermo!

Rzucili się do wyjścia. Ku ich zdumieniu, w drzwiach wiodących ze sceny na ulicę leżało całe i nietknięte krzesło roboty mistrza Gambsa. Hipolit Matwiejewicz z psim skowytem wczepił się w nie sztywnymi palcami.

- Dawaj pan obcęgi! - krzyknął do Ostapa.

- Patentowany idioto! - jęknął Ostap. - Za chwilę sufit zwali się nam na głowy, a ten tu zaczyna wariować! Jazda na ulicę!

- Obcęgi! - ryczał oszalały Hipolit Matwiejewicz.

- A mech pana diabli porwą razem z pańskim krzesłem! Mnie jeszcze życie miłe!

Z tymi słowy Ostap pobiegł ku drzwiom. Hipolit Matwiejewicz zaskowytał, złapał krzesło i podążył spieszenie za Ostapem.

W chwili, kiedy znaleźli się na środku uliczki, ziemia zakołysała się pod ich nogami, z dachu teatru posypały się dachówki, a w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowali się współnicy, leżały już szczątki prasy hydraulicznej.

- No, teraz może mi pan oddać krzesło - odezwał się spokojnie Bender. - Widzę, że już się panu przykryło je dźwigać.

- Nie oddam! - wrzasnął Hipolit Matwiejewicz.

- A to co takiego? Bunt na pokładzie? Dawaj pan krzesło. Słyszysz pan?

- To moje krzesło! - ryczał Worobianinow, zagłuszając dobiegające zewsząd jęki, szlochania i traski.

- W takim razie masz, stary kapciu, zapłatę!

I Ostap wyrznął Worobianinowa w kark swoją żelazną pięścią.

W tej samej chwili przez uliczkę przemknął oddział straży pożarnej z pochodniami. W migotliwym świetle Hipolit Matwiejewicz ujrzał na twarzy Bendera wyraz tak przerażający, że natychmiast spokorniał i oddał krzesło.

- W porządku - rzekł Ostap chwytając oddech. - Bunt został stłumiony. Niech pan teraz weźmie krzesło i niesie je za mną. Odpowiada pan za jego całość. Choćby nastąpiły sto razy silniejsze wstrząsy, krzesło musi pozostać nietknięte. Zrozumiano?

- Zrozumiano.

Wspólnicy przez całą noc krążyli po mieście w tłumie ogarniętych paniką ludzi, nie mogąc się zdecydować na wejście do żadnego budynku i czekając na dalsze wstrząsy.

O świcie, kiedy strach nieco ustąpił, Ostap wyszukał miejsce, gdzie nie było murów, które mogłyby się zawalić, ani ludzi, którzy mogliby wejść w paradę i zabrał się do rozpruwania krzesła.

Wyniki tego zabiegu były nowym wstrząsem dla obydwu współników. W krześle nic nie znaleźli.

Hipolit Matwiejewicz na skutek całonocnych przeżyć i tej porannej niespodzianki zaczął chichotać niesamowitym, szatańskim śmiechem.

Jakby w odpowiedzi na jego śmiech rozległ się trzeci podziemny wybuch, ziemia się otworzyła i pochłoneła oszczędzone przez żywioł, a nie oszczędzone przez ludzi krzesło, którego kwiatki uśmiechały się do wschodzącego słońca.

Hipolit Matwiejewicz padł na czworaki, zadarł sponiewieraną twarz ku zamglonej, purpurowej tarczy słonecznej i zawył. Na dźwięk tego głosu wielki kombinator runął na ziemię zemdłony. Kiedy się ocknął, ujrzał obok siebie porośniętą granatową szczecinę brodę Worobianinowa. Hipolit

Matwiejewicz był nieprzytomny.

- Ostatecznie - rzekł Ostap głosem człowieka, który wraca do zdrowia po ciężkim tyfusie - mamy sto szans na sto. Ostatnie krzesło (na dźwięk słowa „krzesło” Hipolit Matwiejewicz odzyskał przytomność) zniknęło na dworcu Październikowym. Ale tam nie mogło się przecież zapaść pod ziemię. A zatem...? Sesja trwa!

W pobliżu z hukiem sypały się na ziemię cegły. Na przystani wyła przeciągle syrena okrętowa.

Rozdział Skarb

W dżdżysty dzień pod koniec października Hipolit Matwiejewicz, bez marynarki, w księżycowej kamizelce usianej drobnymi srebrnymi gwiazdkami, pracował w pokoju Iwanopulo. Pracował na oknie, bo stołu w pokoju nadal nie było. Wielki kombinator otrzymał duże artystyczne zamówienie na szyldziki dla spółdzielni mieszkaniowych. Do roboty owych szyldzików według opracowanego szablonu Ostap zaprzął Worobianinowa, a sam przez cały niemal miesiąc, od czasu powrotu do

Moskwy, krążył w okolicy dworca Październikowego, poszukując z nieustępliwą gorliwością śladów ostatniego krzesła, w którym już niezawodnie znajdowały się brylanty madame Pietuchowej.

Hipolit Matwiejewicz ze zmarszczonym czołem malował szablonowe napisy na tabliczkach. W ciągu półrocznej pogoni za brylantami wyżył się wielu swoich nawyków.

Po nocach śniły mu się szczyty gór uwieńczone dziwnymi transparentami, widział we śnie

Iznurenkowa podrygującego brązowymi łydkami, widział wywracające się łodzie, tonących ludzi, spadające z nieba cegły i rozstępującą się ziemię, z której wydobywały się siarczane opary.

Ostap, który obcował stale z Hipolitem Matwiejewiczem, nie dostrzegał w nim żadnych zmian. A jednak Hipolit Matwiejewicz zmienił się ogromnie. Poruszał się teraz inaczej; wyraz jego oczu stał się jakiś dziki i niesamowity; odrastające wąsy straciły swój poziomy kierunek i sterczały niemal prostopadle jak wąsy starego kocura.

Hipolit Matwiejewicz zmienił się także wewnątrz. W usposobieniu jego zaczęły się pojawiać obce mu dawniej cechy: stanowczość i bezwzględność. Te nowe cechy rozwinęły się w nim na skutek trzech wydarzeń: cudownego ocalenia od ciężkich pięści szachistów z Wasiuków, pierwszego występu w roli żebraka w piatigorskim „Kwietniku” i trzęsienia ziemi, po którym Hipolit Matwiejewicz zachował w sercu utajoną nienawiść do swego współnika.

W ostatnich czasach dręczyły Hipolita Matwiejewicza straszliwe podejrzenia. Obawiał się, że Ostap sam rozpruje ostatnie krzesło, zagarnie skarby i wyjedzie, porzucając go na pastwę losu. Nie zdradzał się jednak ze swymi podejrzeniami, bo znał ciężką łapę Ostapa i jego bezwzględność.

Dzień w dzień, siedząc przy oknie i wyrównując za pomocą starej wyszczerbionej brzytwy wyschnięte litery, Hipolit Matwiejewicz oddawał się dręczącym rozmyślaniami. Co dzień drżał z obawy, że Ostap już nie wróci i że on, były marszałek szlachty, umrze głodową śmiercią pod mokrym moskiewskim parkanem.

Ale Ostap wracał co wieczór, aczkolwiek nie przynosił radosnych wieści. Jego energia i humor były niewyczerpane. Ani na chwilę nie opuszczała go nadzieja.

Na korytarzu rozległy się kroki, ktoś zawadził o kasę ogniotrwałą i drzwi z dykty otworzyły się tak lekko jak kartka książki na wietrze. Na progu stał wielki kombinator. Był cały mokry, a policzki jego gorzały rumieńcem jak dojrzłe jabłko. Z trudem łapał oddech.

- Hipolicie Matwiejewiczu! - zawołał. - Hipolicie Matwiejewiczu!

Worobianinow zdumiał się. Dyrektor techniczny nigdy jeszcze nie przemawiał do niego takim dziwnym tonem. Nagle zrozumiał...

- Jest? - zapytał stłumionym szeptem.

- A więc jest! Jest! Ach, Kisa, niech pana wszyscy diabli!

- Ciszej! Wszystko słyszał!

- Racja, racja, mogą usłyszeć - powiedział Ostap zdyszany szeptem. - Jest, Kisa, jest i, jeśli pan chce, mogę je panu zaraz zademonstrować. Stoi w świetlicy kolejarzy, w nowej świetlicy... Wczoraj było otwarcie... Jak je znalazłem? O, to było piekielnie trudne! Genialna kombinacja, znakomicie przeprowadzona od początku do końca! Antyczna przygoda!... Jednym słowem: wysoka klasa!

Nie czekając aż Hipolit Matwiejewicz włoży marynarkę, Ostap wybiegł na korytarz. Worobianinow dogonił go na schodach, zasypując pytaniami. Pędzili przez mokre ulice na plac Kałanczewski. Nawet nie przyszło im do głowy, że mogą pojechać tramwajem.

- Wygląda pan jak szewc! - mówił radośnie podniecony Ostap. - Kto się tak ubiera, Kisa? Musi pan mieć koniecznie sztywną koszulę, jedwabne skarpetki i oczywiście cylinder. W pańskiej twarzy jest coś dostojnego! Niech pan powie szczerze, czy pan naprawdę był marszałkiem szlachty?

Ostap pokazał marszałkowi krzesło, które stało w pokoju szachowym i wyglądało jak każde inne krzesło roboty Gamsa, chociaż kryło w sobie niezwykle skarby, i pociągnął Worobianinowa na korytarz. Nie było tam żywego ducha. Ostap podszedł do nieopatrzonego jeszcze na zimę okna i wyjął z zawiasów obie ramy okienne.

- Przez to okienko - rzekł - dostaniemy się z łatwością dzisiejszej nocy o dowolnej godzinie do lokalu klubu. Niech pan sobie dobrze zapamięta, Kisa: trzecie okno od głównego wejścia.

Przyjaciele długo jeszcze krążyli po klubie jako rzekomi przedstawiciele ukraińskiej organizacji oświatowej, podziwiając piękną świetlicę i pozostałe pokoje.

- Gdybym w Wasiukach siedział podczas rozgrywek na takim krześle - rzekł Ostap - nie przegrałbym żadnej partii. Mój entuzjazm nie dopuściłby do tego. Ale chodźmy już stąd, staruszk. Mam dwadzieścia pięć rubli żelaznego kapitału. Musimy napić się piwa i wypocząć przed nocną wizytą. Czy nie pogardzi pan piwem, marszałku? Furda! Od jutra będzie pan trąbił szampana, ile dusza zapagnie.

W drodze z piwiarni na Siwcowy Wrażek Bender był w znakomitym humorze i zaczepiał przechodniów. Obejmował z lekka podchmielonego Hipolita Matwiejewicza za ramiona i tkliwie do niego przemawiał:

- Jest pan niezwykle uroczym staruszkim, Kisa, ale nie dam panu więcej niż dziesięć procent. Jak babcię kocham, nie dam. Na co panu tyle pieniędzy?

- Jak to: na co? Jak to: na co? - pienił się Hipolit Matwiejewicz.

Ostap zanosił się serdecznym śmiechem i przytulał policzek do mokrego rękawa współnika.

- I co pan sobie za to kupi, Kisa? Przecież pan nie ma za grosz fantazji. Piętnaście tysięcy będzie dla pana po uszy... Przecież pan już jest stary, niedługo pan umrze. Pieniądze w ogóle nie są panu potrzebne... Wiesz co, Kisa, chyba nic panu nie dam. Po co mam pana rozpieszczać. Ale zaangażuję pana na sekretarza. Dobrze, Kisula? Czterdzieści rubli miesięcznie. Całodzienne utrzymanie. Cztery dni wolne od pracy... Ubranie służbowe, napiwki, ubezpieczenie społeczne?... Odpowiada panu ta propozycja?

Hipolit Matwiejewicz szarpnął się i ruszył szybko przodem. Te żarciki doprowadzały go do obłądu.

Ostap dogonił Worobianinowa przy drzwiach różowego domku.

- Czy pan się rzeczywiście na mnie obraził? - zapytał. - Przecież to żarty! Dostanie pan te swoje trzy procent. Uważam, że trzy procent zupełnie panu wystarczy, Kisa.

Hipolit Matwiejewicz wszedł z ponurą miną do pokoju.

- No, Kisa - żartował dalej Ostap - proszę się zgodzić na trzy procent. Radzę panu, niech się pan zgodzi! Na pańskim miejscu każdy by się zgodził. Nie będzie pan musiał kupować mieszkania, bo

Iwanopulo wyjechał na cały rok do Tweru. Ale najlepiej, żeby pan został moim kamerdynerem... żyć nie umierać!

Widząc, że nie uda mu się rozchmurzyć Hipolita Matwiejewicza, Ostap ziewnął serdecznie, przeciągnął się do samego sufitu, nabrał powietrza w swoją okazałą klatkę piersiową i rzekł:

- No, przyjacielu, niech pan szykuje kieszenie. Udamy się do klubu przed samym świtem. To najodpowiedniejsza pora. Dozorcy śpią i roją rozkoszne sny, za co wyrzucają ich często z posad bez odszkodowania. A na razie, kochaneczku, radzę się panu zdrzemnąć.

Ostap położył się na trzech krzesłach ściągniętych tu z trzech krańców Moskwy i mruknął zasypiając:

- A więc zostajemy przy kamerdynerze... Przyzwoita pensja... Utrzymanie... Napiwki... No, no, żartuję... Sesja trwa! Lody ruszyły, panowie przysięgli!

Były to ostatnie słowa wielkiego kombinatora. Zasnął spokojnie, głębokim krzepiącym snem, nie zakłóconym przez żadne widziadła.

Hipolit Matwiejewicz wyszedł na ulicę. Był zrozpaczony i wściekły. Księżyc wędrował po pagórkach obłoków. Mokra sztacheta otaczająca wille lśniła tłustym połyskiem. Gazowe latarnie w aureolach deszczu rzucały mgliste, niepewne światło. Z piwiarni „Orzeł” wyrzucono za drzwi jakiegoś pijaka.

Pijak zaczął się awanturować. Hipolit Matwiejewicz zmarszczył czoło i zdecydowanym krokiem zawrócił do domu. Miał jedno tylko pragnienie: skończyć z tym wszystkim jak najprędzej!

Wszedł do pokoju, spojrzał posępnie na śpiącego Ostapę, przetaił binokle i wziął z okna brzytwę. Na jej szczerbach łuszczyła się zaschnięta farba olejna. Worobianinow wsadził brzytwę do kieszeni i jeszcze raz przeszedł koło Ostapę. Nie patrzył na niego, ale słyszał jego oddech. Następnie wyszedł na korytarz. Było tu cicho i sennie. Widocznie wszyscy mieszkańcy już spali. W nieprzeniknionym mroku korytarza Hipolit Matwiejewicz uśmiechnął się nagle złośliwym szyderczym uśmiechem i poczuł, że skóra na czole jakoś mu się poruszyła. Aby skontrolować to dziwne uczucie, uśmiechnął się jeszcze raz. I nagle przypomniał sobie, że jego kolega gimnazjalny Pychtiejew-Kakujew umiał ruszać uszami.

Hipolit Matwiejewicz stanął u szczytu schodów i zaczął bacznie nasłuchiwać. Na schodach nie było nikogo. Z ulicy dobiegał wyraźny i miarowy stukot kopyt dorożkarskiego konia, przypominający monotony szcęk liczydeł. Marszałek kocim krokiem wrócił do pokoju, wyjął z kieszeni wiszącej na krześle marynarki Ostapę dwadzieścia pięć rubli oraz obcęgi, włożył na głowę brudną admirałską czapkę i znowu zaczął nasłuchiwać.

Ostap spał cicho. Nie chrapał. Jego krtani i płuca pracowały idealnie, wdychając i wydychając powietrze. Muskularna ręka zwisała do samej podłogi. Hipolit Matwiejewicz

czując silne pulsowanie w skroniach, powoli zakasał prawy rękaw powyżej łokcia, owinał obnażoną rękę wafelkowym ręcznikiem, cofnął się ku drzwiom, wyjął z kieszeni brzytwę, zmierzył wzrokiem odległość i przekreślił kontakt. Lampa zgasła, ale do pokoju, jak do akwarium, sączyło się niebieskawe światło ulicznej latarni.

- Tym lepiej - szepnął Hipolit Matwiejewicz.

Zbliżył się do wezgłowia, wysunął daleko przed siebie rękę z brzytwą, z całej siły wbił ukosem ostrze w gardło Ostapa, natychmiast wyciągnął brzytwę i odskoczył pod ścianę. Wielki kombinator wydał dźwięk, jaki wydaje muszla zlewu kiedy wsysa resztkę wody. Hipolit Matwiejewicz szczęśliwie uniknął splamienia się krwią. Nie odrywając pleców od ściany przysunął się do niebieskich drzwi i znów zerknął na Ostapa. Ciało wielkiego kombinatora drgnęło dwukrotnie i przesunęło się na oparcie krzesła. Blask ulicznej latarni oświetlił ciemną kałużę na podłodze.

„Co to za kałuża? - pomyślał Hipolit Matwiejewicz. - Aha, krew... Towarzysz Bender skonał!”

Worobianinow delikatnie odwinął zakrwawiony ręcznik i rzucił go na podłogę, następnie ostrożnie położył obok brzytwę i wyszedł, starannie zamykając drzwi.

Kiedy znalazł się na ulicy, zmarszczył brwi, mruknął: „A figę - sześć procent. Wszystkie brylanty są moje” i ruszył na plac Kałanczewski.

Zatrzymał się pod trzecim, licząc od frontowego wejścia, oknem klubu kolejarzy. Lustrzane szyby nowego budynku mieniły się perłście w blasku budzącego się poranka.

W wilgotnym powietrzu słysząc było przytłumione sapanie manewrujących parowozów. Hipolit

Matwiejewicz zręcznie wdrapał się na parapet, pchnął ramę okienną i bezszelestnie zeskoczył na korytarz.

W szarym blasku Hipolit Matwiejewicz bez trudu odnalazł pokój szachowy, zawadził głową o wiszący na ścianie portret Emanuela Laskera i podszedł do krzesła. Nie śpieszył się. Nie miał potrzeby się śpieszyć. Nikt go nie poganiał. Arcymistrz O. Bender spał snem wiekuistym w różowym domku na

Siewcowym Wrażku.

Hipolit Matwiejewicz usiadł na podłodze, objął krzesło swoimi żyłastymi nogami i ze spokojem dentysty zaczął wyrывать z krzesła mosiężne gwoźdźniki, nie pomijając żadnego. Wyrwał w ten sposób wszystkie sześćdziesiąt dwa gwoźdźniki. Angielski kreton leżał swobodnie na siedzeniu krzesła.

Wystarczyło tylko podnieść go, aby ujrzeć futerały, futeraliki i puzderka pełne drogocennych kamieni.

„Zaraz wsiadam w samochód - pomyślał Hipolit Matwiejewicz przypominając sobie nauki zdobyte w szkole wielkiego kombinatora - jadę na dworzec i do polskiej granicy. Za pierwszy z brzegu kamyczek przemycę mnie na tamtą stronę, a tam...”

I, aby przekonać się jak najprędzej, co będzie „tam”, Hipolit Matwiejewicz ściągnął z krzesła kreton.

Oczom jego ukazały się sprężyny, świetne angielskie sprężyny i doskonałe przedwojenne włosie, jakiego nigdzie się teraz nie dostanie. Ale nic więcej w krześle nie było. Hipolit Matwiejewicz machinalnie rozgrzebał wyściółkę i dobre pół godziny przesiedział, ściskając krzesło między kolanami i powtarzając z uporem:

- Dlaczego tu nic nie ma? To przecież niemożliwe! To niemożliwe!

Było już całkiem widno, kiedy Worobianinow, przez nikogo nie zauważony, niezdarnie i ociężale wyszedł przez okno na ulicę, pozostawiając w szachowym pokoju obcęgi oraz czapkę ze złotą oznaką nie istniejącego jacht-klubu.

- To niemożliwe! - powtarzał oddalając się. - To niemożliwe!

Zawrócił w stronę klubu i zaczął spacerować pod jego dużymi oknami, szepcząc bez przerwy:

- To niemożliwe! To niemożliwe! To niemożliwe!

Od czasu do czasu wydawał jakieś niezrozumiałe okrzyki i chwycił się za głowę, na której osiadła poranna mgła. Na wspomnienie przeżyć tej nocy potrzasał siwymi kosmykami włosów. Brylantowa gorączka zmożyła go i strawiła. W ciągu pięciu minut zamieniła go w zgrzybiałego starca.

- Przychodzą tu różni i podziwiają - usłyszał nagle Worobianinow tuż nad uchem.

Odwrocił się i zobaczył dozorcę w brezentowym płaszczu i ciepłych butach. Dozorca był bardzo stary i miał bardzo pocziwy wygląd.

- Przychodzą tu i podziwiają - powtórzył staruszek, któremu sprzyrzyła się widocznie całonocna samotność. - I wy także, towarzyszu, patrzycie i podziwiacie. Słusznie. Nasz klub jest rzeczywiście niezwykły.

Hipolit Matwiejewicz z miną męczennika spoglądał na rumianego staruszka.

- Tak - rzekł staruszek - to jest niezwykły klub. Drugiego takiego nie ma na całym świecie.

- A cóż w nim takiego nadzwyczajnego? - zapytał Hipolit Matwiejewicz zbierając myśli.

Staruszek spojrzał na Worobianinowa uradowanym wzrokiem. Widać było, że opowieść o niezwykłym klubie bardzo go pasjonuje i że lubi ją powtarzać.

- Stróżuję już tutaj - zaczął - dziesiąty rok, ale coś podobnego zdarzyło mi się po raz pierwszy.

Posłuchaj tylko, żołnierzyku. W tym miejscu stał dawniej zwykły kolejarski klub. Stróżowałem tu. Ale budynek był pod zdechłym psem. Ani rusz nie można go było ogrzać. Towarzysz Krasilnikow ciągle miał do mnie pretensje: „Na co ci tu wychodzi tyle drzewa?” A ja przecież nie zjadałem tego drzewa!

Towarzysz Krasilnikow stawał na głowie, ale nic nie pomagało. Bo to wilgoć, i zimno, i brak pomieszczenia dla orkiestry dętej; a przedstawienia teatralne - istna męka; artyści wprost zamarzali na scenie. Pięć lat trwały starania o kredyty na budowę nowego klubu, ale nic z tego nie wychodziło, bo Zarząd Związku Kolejarzy nie przyznawał kredytów. Aż tu na wiosnę towarzysz Krasilnikow kupił na scenę ładne, wyściełane krzesło...

Hipolit Matwiejewicz słuchał, całym ciałem opierając się na dozorcę. Był półprzytomny. A staruszek, zanosząc się radosnym śmiechem, opowiadał, jak razu pewnego wlaź na to krzesło, aby wykręcić żarówkę, i jak razem z owym krzesłem zwałił się na podłogę.

- Noga mi się omsknęła i rozdarłem pokrycie. Patrzę, a tu spod tego pokrycia sypią się jakieś szkiełka i białe paciorki na nitce.

- Paciorki! - odezwał się Hipolit Matwiejewicz.

- Paciorki! - pisał z zachwytem staruszek. - Patrzę, żołnierzyku, głębiej, a tam leżą jakieś pudełeczka.

Ale pudełeczek to nawet nie tknąłem. Poszedłem od razu do towarzysza Krasilnikowa i złożyłem meldunek. To samo powtórzyłem potem przed komisją, że tych pudełeczek nawet nie tknąłem. I dobrze, żołnierzyku, zrobiłem, bo w tych pudełeczkach były klejnoty, ukryte tam przez burżuazję...

- I gdzie są te klejnoty?! - krzyknął marszałek.

- Gdzie? Gdzie? - powtórzył przedrzeźniając go staruszek. - Tutaj, żołnierzyku. Trzeba umieć patrzeć.

O! Widzisz?!

- Gdzie? Gdzie?

- A tutaj! - zawołał rumiany dozorca, rad z wywołanego wrażenia. - Patrz! Przetrzyj okulary! Za te klejnoty wybudowano nasz klub, żołnierzyku! Przyjrzyj mu się dobrze! Centralne ogrzewanie, bufet, teatr, w kaloszach nie wpuszczają!...

Hipolit Matwiejewicz zeszytywniał i stojąc w miejscu wodził oczami po gzymsach budynku.

A więc to tu jest skarb madame Pietuchowej! Cały skarb! Wszystko co do grosza! Całe sto pięćdziesiąt tysięcy rubli, zero-zero kopiejek, jak mawiał Ostap Sulejman Berta Maria Bender.

Brylanty zamieniły się w konstrukcję z żelbetu i szkła. Z pereł powstały przestronne sale gimnastyczne. Z diademu - sala teatralna z obrotową sceną. Kolczyki z rubinów rozrosły się do rozmiarów wielkich żyrandoli. Złote w kształcie węży bransolety wysadzone szmaragdami przemieniły się w zasobną bibliotekę. A z bezcennej kolii powstał żłobek, pracownia szybowców, pokój szachowy i sala bilardowa.

Skarb ocalał, został zachowany w całości, a nawet pomnożony. Można go było dotknąć ręką, ale nie można go było zabrać. Bo służył teraz szerokim rzeszom.

Hipolit Matwiejewicz dotknął ręką granitowego muru. Chłód kamienia przeniknął mu do serca.

I Hipolit Matwiejewicz zaczął krzyczeć.

Ten szaleńczy, obłąkańczy, dziki krzyk, krzyk śmiertelnie ugodzonego zwierzęcia, wybiegł na środek placu, runął pod most i, wypierany zewsząd odgłosami budzącego się wielkiego miasta, zaczął przycichać, aż wreszcie umilkł zupełnie. Z mokrych dachów stoczył się na ulice Moskwy wspaniały, jesienny poranek. Miasto ruszyło w swoją codzienną drogę.



Złote ciele

Przełożyli: J. Brzechwa i T. Żeromski

Илья Ильф, Евгений Петров Золотой телёнок Москва 1956

Okładkę i ilustracje projektował Ignacy Witz

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1958 r. Nakład 10.000+250. Ark. wyd. 21,4. Ark. druk. 25,25

Papier druk. mat. V kl., 70 g, 61X86. Oddano do składania w czerwcu 1957 r. Druk ukończono w lutym 1958 r.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego w Warszawie Zam. 6062/A. B-72

Od autorów

Z racji naszego wspólnego przedsięwzięcia literackiego często spotykamy się z uzasadnionym, ale nader nudnym pytaniem: „Jak wy właściwie piszecie we dwójkę?”

Początkowo odpowiadaliśmy szczegółowo i dokładnie, przytaczaliśmy nawet zacięty spór, jaki stoczyliśmy między sobą o to, czy uśmiercić Ostapa Bendera, bohatera powieści „Dwanaście Krzesel”, czy darować mu życie. Nadmienialiśmy skwapliwie, że los tego bohatera został rozstrzygnięty drogą losowania. Wrzuciliśmy do cukierniczki dwie karteczki; na jednej z nich narysowana była drżąca ręką trupa czaszka i dwie piszczele. Wyciągnęliśmy trupa czaszkę i po upływie pół godziny wielki kombinator już nie żył. Został zarżnięty brzytwą.

Potem zaczęliśmy odpowiadać mniej szczegółowo i nie wspominaliśmy już o tym sporze. Z czasem przestaliśmy w ogóle wdawać się w szczegóły. A w końcu odpowiadaliśmy bez odrobiny fantazji:

- Jak piszemy we dwójkę? Po prostu: piszemy we dwójkę! Jak bracia Goncourt. Edmond biega po redakcjach, a Jules pilnuje rękopisu, żeby go ktoś ze znajomych nie świsnął.

Aż tu nagłe stereotypowość pytań została naruszona.

- Powiedźcie mi - zapytał jeden z tych surowych obywateli, którzy uznali władzę radziecką nieco później niż Anglia i odrobinę wcześniej niż Grecja - powiedźcie mi, dlaczego piszecie na wesoło? Cóż to za chichy-śmichy w okresie odbudowy? Czyście powariowali?

Następnie długo, z uporem przekonywał nas, że śmiech jest obecnie szkodliwy.

- Śmiech to grzech! - mówił. - Nie wolno się śmiać! Nawet uśmiewać się nie wolno! Kiedy patrzę na to nowe życie, na te przemiany, wcale nie mam ochoty śmiać się, mam ochotę się modlić!

- Przecież my nie żartujemy na serio - broniliśmy się. - Ostrze naszej satyry zwraca się właśnie przeciwko tym, którzy nie potrafią wczuć się w okres odbudowy.

- Satyra nie ma prawa być śmieszna - oświadczył surowy towarzysz; ujął pod rękę jakiegoś baptystę-chałupnika, którego wziął za stuprocentowego proletariusza i zaprowadził go do siebie.

Zrobił to w tym celu, aby go w nudny sposób opisać i umieścić w sześciotomowej powieści pod tytułem: „Precz z pasożytami!”

Wszystko, cośmy tu opowiedzieli, nie jest naszym wymysłem. Potrafilibyśmy wymyślić coś bardziej zabawnego.

Gdyby się taki obywatel-wazeliniarz dorwał do władzy, nawet mężczyznom pozasłaniałby twarze kwefami, a sam od rana wygrywałby na trąbie hymny i psalmy, uważając, że w ten właśnie sposób należy uczestniczyć w budowie socjalizmu.

Podczas pracy nad „Złotym cielęciem” mieliśmy nieustannie w pamięci oblicze surowego obywatela.

- A nuż ten rozdział wyjdzie nam na wesoło? Co na to powie surowy obywatel?

W końcu postanowiliśmy: a) starać się, żeby nasza powieść była w miarę możliwości jak najbardziej zabawna. b) jeżeli surowy obywatel będzie twierdził nadal, że satyra nie powinna być śmieszna, zwrócić się z prośbą do prokuratora, żeby na podstawie odnośnego artykułu u pociągnął wymienionego obywatela do odpowiedzialności za zawracanie głowy z włamaniem.

I. ILF i E. PIETROW

Część pierwsza Załoga „Antylopy”

Rozdział I

O tym, jak Panikowski naruszył konwencję

Przechodząc przez jezdnię, oglądaj się na wszystkie strony.

(Z przepisów ruchu ulicznego)

Dla pieszych należy mieć respekt. Piesi stanowią większą część ludzkości. I to w dodatku - lepszą. Piesi stworzyli świat. Oni wybudowali miasta, wzniesli wielopiętrowe budynki, przeprowadzili kanalizację i wodociągi, wybrukowali ulice i oświetlili je elektrycznymi latarniami. Oni upowszechnili na świecie kulturę, wynaleźli druk, wymyślili proch, przetrucili mosty przez rzeki, odcyfrowali egipskie hieroglify, wprowadzili maszynki do golenia, znieśli handel niewolnikami tudzież skonstatowali, że z ziarenek soi można przyrządzić sto czternaście smacznych i pożywnych potraw.

A kiedy już wszystko było gotowe, kiedy na naszej planecie zapanował jaki taki porządek i ład, zjawili się automobiliści

W tym miejscu należy zaznaczyć, że samochód także został wynaleziony przez pieszych. Ale automobiliści natychmiast o tym zapomnieli. I zaczęli gnębić skromnego, utalentowanego piechura.

Wynalezione przez pieszych ulice znalazły się we władzy automobilistów. Jezdnie zostały dwukrotnie poszerzone, a chodniki zwężone do rozmiarów monopolowej banderoли. I piesi zaczęli trwożliwie przemykać się pod ścianami domów.

Piesi mieszkańcy wielkiego miasta wiodą żywot męczenników. Wprowadzono dla nich coś w rodzaju getta komunikacyjnego. Wolno im przechodzić przez ulice tylko na skrzyżowaniach, to jest właśnie w tych punktach, gdzie panuje największy ruch i gdzie najłatwiej jest przerwać włosek, na którym wisi nieustannie życie pieszego.

W naszym rozległym kraju zwykły samochód, w przeświadczeniu pieszych służący do spokojnego przewożenia ludzi i towarów, przybrał groźny charakter bratobójczego pocisku. Sieje on popłoch w szeregach członków związków zawodowych tudzież ich

rodzin. Jeśli jakiemuś pieszemu nie uda się szczęśliwie umknąć spod srebrzystego nosa samochodu, milicja nakłada nań grzywnę za naruszenie przepisów ulicznego katechizmu.

Autorytet pieszych został w ogóle poważnie zachwiany. Piesi, którzy dali światu tak wybitnych ludzi, jak Horacy, Boyle, Mariotte, Łobaczewski, Gutenberg i Anatol France, muszą teraz stroić różne nader łupie miny, żeby tylko przypomnieć o swoim istnieniu. O Boże, Boże, którego w gruncie rzeczy nie a, do czegoś Ty, chociaż Cię nie ma, doprowadził pieszego?!

Oto idzie sobie taki piechur traktem syberyjskim z Władywostoku do Moskwy, dzierżąc w jednej ręce sztandar z napisem: „Przebudujemy warunki bytowe włókniarzy”, a drugą przytrzymując oparty na ramieniu kij, na którego końcu dyndają zapasowe sandały „Wujaszek Wania” i blaszany imbryk bez pokrywki. Jest to radziecki piechur-sportowiec; wyruszył z Władywostoku jako młodzieniaszek i u schyłku lat, u samych wrót Moskwy zostanie przejechany przez ciężki autobus, którego numeru oczywiście nikt nie zdążył zauważyć.

A oto drugi, ostatni europejski mohikanin pieszej komunikacji. Idzie naokoło świata, tocząc przed sobą beczkę. Wolałby iść bez beczki, ale wtedy nikt by nie zauważył, że jest on prawdziwym obieżyświatem, i nie pisano by o nim w gazetach. Musi więc całe życie pchać przed sobą tę przekłętą beczkę, na której w dodatku (o, hańbo! o wstydzie!) wymalowany jest wielki żółty napis, reklamujący niezrównane zalety oliwy samochodowej „Marzenie szofera”.

Oto jak został zdegradowany pieszy.

Jeszcze tylko w małych rosyjskich miasteczkach piechur cieszy się szacunkiem i poważaniem. Jest jeszcze panem ulicy, spaceruje beztrosko po jezdni i przechodzi przez nią w sposób najbardziej nieprawidłowy, pod zupełnie dowolnym kątem.

Obywatel w czapce z białym denkiem, jakie noszą przeważnie kierownicy podmiejskich ogródków rozrywkowych oraz konferansjerzy, należał bez wątpienia do większej i lepszej części ludzkości.

Wędrował przez ulice miasta Arbatowa na piechotę i z pobłażliwym zaciekawieniem rozglądał się na wszystkie strony. Niósł w ręku małą akuszerską torbę. Widać było, że miasto nie zdołało niczym zaimponować temu piechuruowi w artystycznej czapce.

Ujrzał tu około piętnastu niebieskich, seledynowych i blad różowych dzwonnicy i zwrócił uwagę na andetne amerykańskie złoto cerkiewnych kopuł. Nad urzędowym budynkiem łopotiała flaga.

Przed białą basztową bramą prowincjonalnego kremla dwie zgryźliwe stare baby rozmawiały po francusku, utyskiwały na radzieckie rządy i wspominały ukochane córeczki. Z cerkiewnej piwnicy wiało chłodem i załatywało kwaśnym fermentem. Widocznie przechowywano tam ziemniaki.

- Świątynia zbawienia na kartoflach - rzekł półgłosem piechur.

Przeszedł pod dyktowym łukiem, ozdobionym świeżym transparentem z napisem: „Witamy Piąty

Okręgowy Zjazd Kobiet i Dziewcząt!” i znalazł się u wylotu długiej alei, noszącej nazwę Bulwaru

Młodych Talentów.

- Nie - powiedział z rozgoryczeniem - to jednak nie jest Rio de Janeiro, to coś znacznie podlejszego.

Prawie wszystkie ławki Bulwaru Młodych Talentów były zajęte przez samotne dziewczęta, trzymające w rękach otwarte książki. Ażurowe cienie padały na kartki książek, na gołe łokcie, na rozczulające grzywki. Kiedy przyjezdny ukazał się w cienistej alei, na ławkach nastąpiło żywe poruszenie.

Dziewczęta, zasłaniając się książkami Gładkova, Elizy Orzeszkowej i Sejfuliny, rzuciły na przyjezdnego płochliwe spojrzenia. Przyjezdny predefiniował paradnym krokiem przed zbulwersowanymi czytelniczkami i skierował się ku budynkowi Komitetu Wykonawczego, który stanowił cel jego marszu.

W tej samej chwili zza rogu wyjechała dorożka. Obok niej, trzymając się zakurzonego, odrapanego błotnika i wymachując pękatą teczką z tłoczonym napisem „Musique”, szedł szybkim krokiem mężczyzna w długiej bluzie zwanej „tołstówką” i z zapalem perswadował coś pasażerowi dorożki.

Pasażer, starszy mężczyzna z obwisłym, jak banan, nosem, ścisnął między nogami walizkę i od czasu do czasu pokazywał swojemu rozmówcy figę. W ferworze kłótni jego inżynierska czapka z zielonym otokiem z kanapowego pluszu przekrzywiła się na bok. Obie wiodące spór strony powtarzały często ze szczególnym naciskiem słowo „pobory”.

Po chwili można już było rozróżnić także inne słowa.

- Będziecie za to pociągnięci do odpowiedzialności, towarzyszu Talmudowski! - zawołał długopoły, dpychając podsuwaną mu pod nos figę.

- A ja wam powiadam, że na takie warunki nie pójdzie żaden szanujący się specjalista - odpowiedział

Talmudowski, usiłując ponownie wetknąć figę pod nos swego rozmówcy.

- Wy znowu o poborach? Oskarżymy was o zdzierstwo!

- Gwiżdżę na pobory! Mogę pracować za darmo! - krzyczał inżynier w zapale, zakreślając figą przedziwne esy-floresy. - A jak mi przyjdzie ochota, pójdę na emeryturę. Przestańcie straszyć tym pańszczyźnianym przymusem. Wypisujecie na każdym kroku: „Wolność, równość i braterstwo”, a chcecie mnie przemocą skłonić do pracy w tej mysiej norze.

Tu inżynier Talmudowski szybko rozwarł pięść i zaczął wyliczać na palcach:

- Zamiast mieszkania - chlew, teatru nie ma, pobory... Dorożkarz! Na dworzec!

- Pm! - warknął długopoły, dał susa i złapał dorożkarskiego konia za uzdę. - Jako sekretarz sekcji inżynierów i techników... Konradzie Iwanowiczu! Przecież fabryka nie może zostać bez specjalistów...

Bójcie się Boga!... Społeczeństwo do tego nie dopuści, inżynierze Talmudowski... Mam w teczce protokół.

Sekretarz sekcji rozstawił nogi i zaczął śpiesznie rozwiązywać tasiemki swojej „Musique”.

Ta nierozwaga rozstrzygnęła spór. Talmudowski, widząc, że droga wolna, zerwał się z siedzenia i wrzasnął jak opętany:

- Jazda na dworzec!

- Dokąd? Dokąd? - wybełkotał sekretarz, puszczając się w pogoń za dorożką. - Jesteście dezerterem z frontu pracy!

Z teczki „Musique” wyfrunęły bibułki do papierosów z jakimiś atramentowymi „wysłuchano- uchwalono”.

Przyjezdny, który z zainteresowaniem obserwował ten incydent, postać jeszcze chwilę na opustoszałym placu i wyrzekł z głębokim przekonaniem:

- Nie, to nie jest Rio de Janeiro.

Po chwili pukał już do drzwi przewodniczącego Komitetu Wykonawczego.

- O co wam chodzi? - zapytał siedzący przy biurku obok drzwi sekretarz. - Po co pchacie się do przewodniczącego? W jakiej sprawie?

Ale przybysz musiał widocznie posiadać niezawodną umiejętność postępowania z sekretarzami państwowych, gospodarczych oraz społecznych instytucji i organizacji. Nie upierał się, że przybywa w pilnej sprawie urzędowej, tylko rzucił oschle:

- W sprawie osobistej.

I, nie zwracając uwagi na sekretarza, wsunął głowę w uchylone drzwi.

- Można?

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do biurka.

- Uszanowanie. Poznajecie mnie?

Przewodniczący, mężczyzna o dużej głowie i czarnych oczach, ubrany w granatową kurtkę i także spodnie, wpuszczone w buty na wysokich gumowych obcasach, spojrział z roztargnieniem na przybysza i oświadczył, że go nie poznaje.

- Doprawdy? Mnóstwo ludzi twierdzi, że jestem uderzająco podobny do mego ojca.

- Ja także jestem podobny do ojca - odparł ze zniecierpliwieniem przewodniczący. - Co was tu sprowadza, towarzyszu?

- Ojciec ojcu nie równy - zauważył smętnie przybysz. - Jestem synem lejtnanta Szmida.

Przewodniczący zmieszał się i wstał. W pamięci jego ożyła natychmiast piękna postać bladoliczego lejtnanta-rewolucjonisty w czarnej pelerynie zapiętej na mosiężne sprzączki w kształcie lwich paszczy.

Podczas gdy przewodniczący zbierał myśli, żeby zwrócić się do syna czarnomorskiego bohatera z jakimś stosownym do okoliczności pytaniem, przybysz wzrokiem wybrednego nabywcy taksował umeblowanie gabinetu.

Niegdyś, za carskich czasów, wszystkie urzędowe pomieszczenia były umeblowane według z góry ustalonego szablonu. Wprowadzono nawet pewien specjalny gatunek urzędowych mebli: płaskie, sięgające sufitu szafy, drewniane kanapki o trzycalowych politurowanych siedzeniach, biurka na grubych, bilardowych nogach i dębowe balustradki, odgradzające urząd od niespokojnego świata zewnętrznego. W czasie rewolucji ta rasa mebli niemal całkowicie wyginęła; zagubiono nawet sekret wyrobu takich mebli. Ludzie zapomnieli, w jaki sposób należy meblować gabinety urzędowych osobistości i w pomieszczeniach służbowych zaczęły się zjawiać sprzęty, używane dotychczas wyłącznie w mieszkaniach prywatnych: adwokackie sprężynowe kanapy z lustrzaną półeczką na siedem porcelanowych słoni, które jakoby przynoszą szczęście, oszklone gablotki, etażerki, rozkładane skórzane fotele dla reumatyków i błękitne japońskie wazony. W gabinecie przewodniczącego Arbatowskiego Komitetu Wykonawczego, oprócz zwykłego biurka, znajdowały się dwa pufy kryte popękany

różowym jedwabiem, szezłag w paski, atlasowy parawanik z Fudzi-Jamą i kwitnącymi wiśniami oraz tandetna szafa z lustrem.

- Szafa w stylu „Hej, słowianie!” - pomyślał przybysz. - Tu się człowiek nie obłowi. Nie, to nie Rio de

Janeiro.

- Bardzo ładnie z waszej strony, żeście do mnie wstąpili - rzekł w końcu przewodniczący. -

Przyjechaliście z Moskwy?

- Tak, jestem tu przejazdem - odparł gość, przyglądając się szezłagowi i utwierdzając się w przeświadczeniu, że finansowa sytuacja Komitetu Wykonawczego przedstawia się opłakanie. Wolał Komitety zaopatrzone w nowe szwedzkie meble z Leningradzkiej Centrali Przemysłu Drzewnego.

Przewodniczący miał ochotę zapytać syna słynnego lejtnanta o cel jego przyjazdu do Arbatowa, ale niespodziewanie dla samego siebie uśmiechnął się smętnie i powiedział:

- Mamy tutaj bardzo piękne cerkwie. Przyjeżdżały już komisje. Zamierzają je restaurować. Powiedzcie mi, proszę, czy zachowaliście w pamięci bunt na pancerniku „Oczakow”?

- O tyle o ile - odpowiedział przybysz. - W tym heroicznym okresie byłem jeszcze bardzo mały. Byłem niemowlęciem.

- Bardzo przepraszam, a jak wam na imię?

- Mikołaj... Mikołaj Szmidt.

- A po ojczulku?

„Masz babo placek!” - pomyślał przybysz, który sam nie znał imienia swego ojca.

- Ta-ak - powiedział, uchylając się od udzielenia bezpośredniej odpowiedzi - mało kto pamięta dziś imiona bohaterów. To skutki nepu. Nie ma już dziś tego entuzjazmu. Właściwie znalazłem się w waszym mieście zupełnie przypadkowo. Zdarzyła mi się w drodze pewna nieprzyjemność.

Znalazłem się bez grosza.

Przewodniczący ogromnie się ucieszył ze zmiany tematu. Było mu wstyd, że zapomniał, jakie imię nosił bohater z „Oczakowa”.

„Rzeczywiście - myślał, wpatrując się z czcią w żywą kopię heroicznej osobistości - człowiek zupełnie kołowacieje przy tej robocie. O bożym świecie zapomina”.

- Co wy mówicie? Bez grosza? Ciekawe!

- Mógłbym, oczywiście, zwrócić się do jakiejś prywatnej osoby - rzekł przybysz - każdy by mi dał, ale rozumiecie chyba, że to nie wypada z politycznego punktu widzenia. Czy syn rewolucjonisty powinien zwracać się z prośbą o pieniądze do przedstawiciela prywatnej inicjatywy, do jakiegoś nepmana?..

Przy ostatnich słowach coś w głosie syna lejtnanta Szmidta załkało. Przewodniczący bardzo się tym zaniepokoił. „A nuż to jest epileptyk - pomyślał. - Mogę mieć z nim kłopotów co niemiara”.

- Bardzo słusznie, że nie zwróciliście się do prywatnej inicjatywy - rzekł w końcu zafrasowany przewodniczący.

Wtedy syn czarnomorskiego bohatera ostrożnie i delikatnie przystąpił do rzeczy. Poprosił o pięćdziesiąt rubli. Przewodniczący, ograniczony ciasnymi ramami lokalnego budżetu, mógł mu zaofiarować tylko osiem rubli i trzy talony na obiady w spółdzielczej stołówce: „Były przyjaciel żołądka”.

Syn bohatera umieścił pieniądze i talony w głębokiej kieszeni zniszczonej (szarej w centki) marynarki i już zamierzał wstać z różowego pufu, kiedy za drzwiami rozległy się kroki i ostrzegawczy krzyk sekretarza.

Drzwi otworzyły się szybko i w progu stanął nowy interesant.

- Kto tu u was rządzi? - zapytał, dysząc ciężko i myszując chytrymi oczami po pokoju.

- Niby ja... - rzekł przewodniczący.

- Czołem - wrzasnął nowoprzybyły, wyciągając szeroką jak łopata dłoń. - Mam zaszczyt przedstawić się. Syn lejtnanta Szmida.

- Kto, proszę? - zapytał ojciec miasta wytrzeszczając oczy.

- Syn wielkiego, nieodżałowanego bohatera lejtnanta Szmida - powtórzył przybyły.

- Tu już przecież, towarzyszu, siedzi syn towarzysza Szmida, Mikołaj Szmida.

I zupełnie oszołomiony przewodniczący wskazał na pierwszego gościa, którego twarz przybrała nagle mętny wyraz.

W życiu dwóch wydrwigroszów nastąpił moment wielce drastyczny. W ręku skromnego i łatwowiernego przewodniczącego Komitetu Wykonawczego mógł lada chwila zabłysnąć długi i groźny miecz Nemezis. Los pozostawił przybyszom tylko sekundę czasu na wymyślenie jakiejś zbawczej koncepcji. W oczach drugiego syna lejtnanta Szmida odmalowało się przerażenie.

Jego postać w letniej koszulce „Paragwaj”, w marynarskich spodniach z klapą i w niebieskawych płóciennych pantoflach, jeszcze przed chwilą sztywna i kanciasta, zaczęła się rozpląwać, straciła swoje groźne kontury i przestała wzbudzać wszelki respekt. Na twarzy przewodniczącego ukazał się złowrogi uśmiech.

Ale w chwili, kiedy drugi syn lejtnanta był już przekonany, że wszystko stracone i że lada moment na jego rudą głowę spadnie obuchem srogi gniew przewodniczącego, z różowego pufu nadeszła odsiecz.

- Wasia! - zawołał, zrywając się, pierwszy syn lejtnanta Szmida. - Braciszku! Nie poznajesz Koli?

I pierwszy syn chwycił drugiego syna w objęcia.

- Poznaję! - krzyczał Odzyskując przytomność umysłu Wasia. - Poznaję, braciszku!

Szczśliwe spotkanie zostało uczczone tak gwałtownymi pocałunkami i tak potężnymi uściskami, że dragi syn czarnomorskiego rewolucjonisty wyszedł z nich pobladły z bólu. Brat Kola wymiętosił go z radości dosyć dotkliwie.

Ściskając się, obaj bracia zerkali ukradkiem na przewodniczącego, którego twarz nadal nie wróżyła nic dobrego. Wobec tego trzeba było koniecznie rozwinąć zbawienny pomysł, uzupełnić go drobnymi informacjami rodzinnymi i nowymi, przegapionymi przez Historię Partii szczegółami buntu marynarzy w 1905 roku. Trzymając się za ręce, bracia usadowili się na szesławgu i, nie odrywając tkliwych oczu od przewodniczącego, oddali się wspomnieniom.

- Co za spotkanie! - zawołał obłudnie pierwszy syn, zapraszając spojrzeniem przewodniczącego do wzięcia udziału w rodzinnej uroczystości.

- Tak - powiedział lodowatym tonem przewodniczący. - Zdarza się, zdarza.

Widząc, że przewodniczący jest jeszcze pełen wątpliwości, pierwszy syn pogładził brata po rudych włosach i zapytał serdecznie:

- Kiedy wróciłeś z Mariupola, gdzie byłeś, u babci?

- Tak, byłem - bąknął drugi syn lejtnanta - u babci.

- Czemu tak rzadko do mnie pisywałeś? Niepokoilem się o ciebie.

- Byłem zajęty - odpowiedział ponuro rudzielec.

I w obawie, że nieobliczalny brat zaraz się zainteresuje, czym był zajęty (a zajęty był przeważnie przesiadywaniem w domach poprawczych przeróżnych autonomicznych republik i okręgów), drugi syn lejtnanta Szmidta wydarł mu inicjatywę i sam zadał pytanie:

- A dlaczego ty nie pisałeś?

- Pisałem - odpowiedział braciszek, czując niespodziewanie przypływ dobrego humoru - pisałem listy polecone. Mam nawet kwity pocztowe.

Sięgnął do bocznej kieszeni, wyciągnął z niej mnóstwo zmiętych świstków, ale z niewiadomej przyczyny pokazał je nie bratu, tylko przewodniczącemu i to z daleka.

Może się to wydać dziwne, ale widok tych papierków uspokoił nieco przewodniczącego i wspomnienia braci potoczyły się teraz bystrym nurtem. Rudy otrząsał się już całkowicie z sytuacją i dosyć biegle, choć nieco schematycznie opowiedział treść popularnej broszury „Bunt na

Oczakowie”. Brat upiększał jego suchy referat tak malowniczymi szczegółami, że przewodniczący, który zaczął się już uspokajać, znowu czujnie nastawił uszu.

Ale w rezultacie bez przeszkód wypuścił braci z gabinetu. Kiedy bracia znaleźli się na ulicy, odetchnęli z prawdziwą ulgą.

Zatrzymali się za rogiem budynku Komitetu Wykonawczego.

- A propos wspomnień z dzieciństwa - odezwał się pierwszy syn - kiedy byłem dzieckiem, takich jak pan kładłem na miejscu trupem. Z procy.

- Za co? - zapytał wesoło drugi syn słynnego ojca.

- Takie już jest okrutne prawo życia. Albo, mówiąc zwięźle, życie narzuca nam swoje okrutne prawa.

Po co było wchodzić do gabinetu? Nie widział pan, że przewodniczący nie jest sam?

- Myślałem...

- Al Myślał pan? Więc pan jednak od czasu do czasu myśli? Jest pan zatem myślicielem. Jak się nazywasz, myślicielu? Spinoza? Jean Jacques Rousseau czy Marek Aureliusz?

Rudy, zgnębiony słusznymi zarzutami, milczał.

- No, sztama. Daruję panu życie. A teraz wypada dokonać wzajemnej prezentacji. Jesteśmy, bądź co bądź, braćmi, a pokrewieństwo zobowiązuje. Nazywam się Ostap Bender. A jakie jest pańskie rodowe nazwisko.

- Bałaganów - przedstawił się rudy. - Szura Bałaganów.

- O zawód nie pytam - rzekł z kurtuazją Bender - ale domyślam się. Prawdopodobnie coś intelektualnego. Ile razy staowało się w tym roku przed sądem?

- Dwa - odpowiedział szczerze Bałaganów.

- To nieładnie. Po co gubić swoją nieśmiertelną duszę? Człowiek nie powinien zadawać się z sądownictwem. To podłe zajęcie. Mam na myśli kradzieże. Nie mówiąc już o tym, że kradzież to grzech - przypuszczam, że mamusia zapoznała pana w latach dziecięcych z teorią, że kradzież to bezowocne trwonienie energii i sił.

Ostap długo jeszcze rozwijałby swoje poglądy na życie, gdyby Bałaganów nagle mu nie przerwał.

- Patrz pan - powiedział, ukazując palcem zieloną dal Bulwaru Młodych Talentów. - Widzi pan tego faceta w słomkowym kapeluszu?

- Widzę - rzekł lekceważąco Ostap. - I co z tego? Czy to gubernator wyspy Borneo?

- To Panikowski - odpowiedział Szura. - Syn lejtnanta Szmidta.

Aleją, w cieniu wspaniałych lip, kroczył nieco przegięty na bok niemłody już jegomość. Na głowie jego siedział na bakier sztywny słomkowy kapelusz z rondem w ząbki. Spodnie miał tak krótkie, że wyłaziły spod nich białe tasiemki kalessonów. Pod wąsem, jak ogieniek papierosa, połyskiwał złoty ząb.

- Co? Jeszcze jeden syn? - zapytał Ostap. - To zaczyna być zabawne.

Panikowski zbliżył się do budynku Komitetu Wykonawczego, w zadumie opisał krokami ósemkę przed wejściem, ujął oburącz rondo kapelusza, aby symetrycznie umieścić go na głowie, obciągnął marynarkę, ciężko westchnął i wszedł do środka

- Lejtnant miał trzech synów - odezwał się Bender. - Dwóch było mądrych, a trzeci głupi. Trzeba go przestrzec.

- Nie trzeba - rzekł Bałaganów - będzie na drugi raz wiedział, że nie wolno naruszać konwencji.

- A cóż to za konwencja?

- Powiem panu potem. Wlazł, wlazł!

- Jestem człowiekiem zazdrośnym - przyznał się Bender - ale jemu nie mam nic do pozazdroszczenia.

Pewno nigdy nie widział pan walki byków. Chodźmy. Popatrzmy.

Pogodzone dzieci lejtnanta Szmidta wyszły zza rogu i zbliżyły się do okna gabinetu przewodniczącego.

Przez zamgloną, brudną szybą widać było przewodniczącego, który siedział przy biurku i coś szybko pisał. Jak wszyscy piszący minął nader strapioną. Nagle uniósł głowę. Drzwi rozwarły się szeroko i do pokoju wkroczył Panikowski. Przyciskając kapelusz do wyświeconej marynarki, stanął przed biurkiem i długo poruszał grubymi wargami. Potem przewodniczący podskoczył na krześle i otworzył szeroko usta. Przyjaciele usłyszeli krzyk.

- Odwrót! - zawołał Ostap i pociągnął za sobą Bałaganowa. Pobiegli na bulwar i skryli się za drzewem.

- Proszę zdjąć kapelusz - odezwał się Ostap - obnażyć głowy. Zaraz nastąpi eksportacja zwłok.

Nie pomylił się. Nim ucichły gromkie echa głosu przewodniczącego, w drzwiach Komitetu

Wykonawczego ukazało się dwóch krzepkich funkcjonariuszy. Nieśli Panikowskiego. Jeden trzymał go za rękę, drugi za nogi.

Prochy nieboszczyka - komentował Ostap - zostały wyniesione na ramionach krewnych i przyjaciół.

Funkcjonariusze wynieśli trzecie, głupie dziecko lejtnanta Szmidta na ganek i zaczęli je powoli rozhuśtywać. Panikowski w milczeniu i pokorze spoglądał w błękit nieba.

- Po krótkim świeckim nabożeństwie żałobnym... - zaczął Ostap.

W tym momencie funkcjonariusze z należytym rozmachem wyrzucili Panikowskiego na ulicę.

- ...ciało zostało zwrócone ziemi - dokończył Bender.

Panikowski pacnął o ziemię jak żaba. Ale zerwał się szybko i jeszcze bardziej niż przedtem przegięty na bok z niewiarygodną szybkością pomknął przez Bulwar Młodych Talentów.

- No, a teraz opowiadaj pan - odezwał się Ostap - w jaki sposób ta gadzina naruszyła konwencję i co to była za konwencja?

Rozdział II Trzydziestu synów lejtnanta Szmidta

Pełen perypetii poranek skończył się. Bender i Bałaganów, bez uprzedniego porozumienia, zaczęli oddalać się pośpiesznie od budynku Komitetu Wykonawczego. Przez główną ulicą wieziono naszeroko rozsuniętym chłopskim wozie długą błękitną szynę. Na ulicy brzęczało i dźwięczało tak, jakby ożnica w rybackim brezentowym stroju ochronnym wiozł nie szynę, lecz ogłuszający muzyczny ton.

Słońce oświeślało wystawę sklepu z pomocami naukowymi, gdzie nad globusami, trupimi czaszkami i tekturą, mieniącą się zachęcającymi barwami wątroby pijaka, obejmowały się przyjaźnie dwa szkielety. W skromnym oknie wystawowym wytwórni stempli i pieczęci najwięcej miejsca zajmowały emaliowane tabliczki z napisami: „Zamknięte z powodu obiadu”, „Przerwa obiadowa od 14 do 15-ej”,

„Zamknięte z powodu przerwy obiadowej” lub zwięźlej: „Zamknięte”, „Sklep zamknięty”; na honorowym miejscu stała solidna tablica ze złotym napisem: „Zamknięte z powodu remanentu”.

Widocznie w mieście Arbatowie te lapidarne teksty cieszyły się największym wzięciem. Wszelkie inne przejawy życia wytwórni stempli i pieczęci kwitowała tylko jedną tabliczką z napisem: „Dyżurna pielęgniarza”.

Dalej mieściły się trzy, jeden obok drugiego, składy instrumentów dętych, mandolin i bałajek.

Połyskujące bezwstydnie mosiężne trąby porozstawiane były na wystawowych schodkach, wysłanych czerwonym angielskim płótnem. Szczególnie atrakcyjnie przedstawiał się helikon. Był tak olbrzymi i tak leniwie wygrzewał się na słońcu zwinięty w kłębek, że należałoby go właściwie przenieść wystawy sklepowej do Zoo i umieścić tani między słoniem a boa-dusicielem, żeby rodzice przyprowadzali do niego w dni

święteczne swoje dzieci i mówili: „To jest, moje dziecko, klatka helikona. Helikon teraz śpi. A jak się obudzi, z pewnością zacznie trąbić”. I żeby dzieci spoglądały na zdumiewającą trąbę wielkimi ślicznymi oczami.

Kiedy indziej Ostap Bender przyjrzałby się także olbrzymim, jak chałupy, bałajkom, pozwijanym w trąbki pod wpływem upału płytom gramofonowym i pionierskim bębenkom, które swoimi zadzierzystemi barwami przypominały, że kula - biedula, a bagnet - zuch, ale w obecnej chwili Ostap miał inne zainteresowania. Chciało mu się jeść.

- Stoi pan, oczywiście, na skraju przepaści finansowej? - zapytał Bałaganowa.

- Ma pan na myśli forse? - upewnił się Szura. - Forsy nie mam już od tygodnia.

- Wobec tego czeka cię smutny koniec, młodzieńcze - oświadczył pouczająco Ostap. - Przepaść finansowa jest najgłębszą z przepaści. Można w nią spadać przez całe życie. Ale grunt się nie przejmować. Zdołałem unieść w dziobie trzy talony obiadowe. Przewodniczący pokochał mnie od pierwszego wejścia.

Niestety, mlecznym braciom nie udało się skorzystać z wielkoduszności ojca miasta. Na drzwiach jadłodajni „Były przyjaciel żołądka” wisiała wielka kłódka pokryta ni to rdzą, ni to gryczaną kaszą.

- Widocznie - powiedział z goryczą Ostap - z powodu remanentu kotletów jadłodajnia została zamknięta raz na zawsze. Będziemy musieli wydać się na łup prywatnym knajpiarzom.

- Prywatni knajpiarze łupią gotówkę - zaznaczył ponuro Bałaganów.

- Nie chcę się nad panem znęcać. Przewodniczący obsypał mnie złotem w kwocie ośmiu rubli. Niech pan jednak, szanowny Szuro, zechce przyjąć do wiadomości, że nie mam zamiaru żywić pana napięknymi oczami. Za każdą witaminę, którą panu zafunduję, zażądam mnóstwa drobnych usług.

Okazało się jednak, że miasto jest pozbawione prywatnego sektora i bracia musieli zjeść obiad letnim ogródku spółdzielczym, gdzie specjalne afisze podawały do wiadomości obywateli ostatnią arbatowską innowację w dziedzinie zbiorowego żywienia:

PIWO SPRZEDAJE SIĘ

TYLKO CZŁONKOM ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH

- Zadowolimy się kwasem - rzekł Bałaganów.

- Zwłaszcza - dodał Ostap - że miejscowe kwasy produkowane są przez zespół prywatnych przedsiębiorców, sympatyzujących z władzą radziecką. A teraz proszą mi opowiedzieć, co przeskrobał ten hultaj Panikowski. Przepadam za opowieściami o drobnych kantach.

Najedzony Bałaganów spojrział z wdzięcznością na swego zbawcę i zaczął opowiadać. Opowiadanie jego ciągnęło się dwie godziny i zawierało niezwykle interesujące informacje.

We wszystkich dziedzinach ludzkiej działalności podaż i popyt na pracę regulowane są przez specjalne czynniki. Aktor pojedzie do Omska tylko wtedy, kiedy się upewni, że tam nie potrzebuje obawiać się konkurencji i że nie ma innych pretendentów do jego emploi nieczułego amanta lub „podano do stołu”. Kolejarzami opiekują się ich macierzyste organizacje zawodowe, umieszczając skwapliwie w gazetach ogłoszenia, że bezrobotni

dyspozytorzy bagażowi nie mogą liczyć na zatrudnienie w zasięgu syzrańsko-wiaziemskiej dyrekcji kolejowej lub że dyrekcja środkowo-azjatycka poszukuje czterech dróżniczek. Ekspert-towaroznawca umieszcza ogłoszenie w gazecie i cały kraj dowiaduje się, że jest na świecie ekspert-towaroznawca z dziesięcioletnim stażem, który ze względów rodzinnych skłonny jest przenieść się z Moskwy na prowincję.

Wszystko jest regulowane, płynie właściwym korytem i dociera do miejsca przeznaczenia w całkowitej zgodności z prawem i pod jego opieką.

Jedynie rynek pracy specjalnej kategorii wydrwigroszów, nazywających się dziećmi lejtnanta Szmida, znajdował się w stanie chaosu. Anarchia rządziła stowarzyszeniem dzieci bohatera. Dzieci te nie umiały wyciągnąć ze swego zawodu korzyści, jakie bez wątpienia mogły im przynieść przelotne znajomości z funkcjonariuszami urzędów, instytucji gospodarczych i organizacji społecznych, ludźmi w olbrzymiej większości zdumiewająco łatwowiernymi.

Po całym kraju, posługując się groźbą lub prośbą, włączą się rzekomi wnukowie Karola Marksa, nie istniejący siostrzeńcy Fryderyka Engelsa, bracia Łunaczarskiego, kuzyni Klary Zetkin albo, w braku czegoś lepszego, potomkowie słynnego anarchisty, księcia Kropotkina.

Od Mińska do Cieśniny Beringa i od Nachiczewanina na Araksie do Ziemi Franciszka Józefa włączą się, wchodzą do Komitetów Wykonawczych, wysiadają z pociągów i, pogrążeni w myślach, wsiadają do dorożek krewni wielkich ludzi. Spieszą się. Mają mnóstwo pilnych spraw.

W pewnym okresie podaż krewniaków przewyższyła jednak popyt i na tym specyficznym rynku nastąpił kryzys. Zaistniała konieczność wprowadzenia jakichś reform. Wnukowie Karola Marksa, pociotki Engelsa, Kropotkina i tym podobni zdołali jakoś stopniowo uzdrowić zasady działania, ale w niesfornym ugrupowaniu dzieci lejtnanta Szmida, podobnie jak w polskim sejmie, panowało wieczne warcholstwo. Albowiem były to dzieci dziwnie nieokrzesane, pazerne, knąbrne i przeszkadzały sobie wzajemnie w korzystaniu z dóbr doczesnych.

Szura Bałaganów, który uważał się za pierworodnego syna lejtnanta, był nie na żarty zaniepokojony sytuacją. Coraz częściej natykał się na członków macierzystego ugrupowania, którzy całkowicie zaszargali dobre imię rodziny na urodzajnych polach Ukrainy i w górskich uzdrowiskach Kaukazu, gdzie Szura rozwijał dotychczas beztróską i owocną działalność.

- A zatem przeląkł się pan rosnących trudności? - zapytał drwiąco Ostap.

Ale Bałaganów nie zwrócił uwagi na jego ironię. Popijając fioletowy kwas, ciągnął dalej opowieść.

Wyjście z tej fatalnej sytuacji mógł przynieść tylko walny zjazd. Bałaganów pracował przez całą zimę nad zwołaniem tego zjazdu. Prowadził ze znanymi mu osobiście konkurentami ożywioną korespondencję. Nieznanym przekazywał zaproszenia na zjazd za pośrednictwem spotykanych na zawodowym gruncie wnuków Marksa. Wreszcie wczesną wiosną 1928 roku niemal wszystkie znane dzieci lejtnanta Szmida zebrały się w Moskwie w knajpie koło Sucharewskiej Baszty. Kworum było liczne. Okazało się, że lejtnant Szmidt miał trzydziestu synów w wieku od osiemnastu do pięćdziesięciu dwóch lat i cztery głupie, leciwe i szpetne córki.

W krótkim zagajeniu Bałaganów wyraził nadzieję, że bracia znajdą wspólny język i opracują konwencję, regulującą wszystkie sporne kwestie.

Według projektu Bałaganowa należało podzielić cały Związek Radziecki, stosownie do liczby zgromadzonych, na trzydzieści cztery okręgi eksploatacyjne. Każdy z tych okręgów winien być oddany do długoterminowego użytkowania jednemu z dzieci. Żaden z członków stowarzyszenia nie będzie miał prawa naruszania granic i rozwijania działalności zarobkowej na obcym terytorium.

Nikt nie zaprotestował przeciwko nowym zasadom pracy z wyjątkiem Panikowskiego, który już wtedy oświadczył, że poradzi sobie bez konwencji. Za to przy podziale kraju rozegrały się dantejskie sceny.

Wysokie układające się strony zaczęły skakać sobie do oczu i przemawiać do siebie z szerokim zastosowaniem obelżywych epitetów.

Wszystko to miało miejsce przy podziale okręgów.

Nikt nie chciał wziąć żadnego z miast uniwersyteckich. Nikt nie reflektował na Moskwę, Leningrad i

Charków, miasta, które widziały już niejedno.

Bardzo niedobrą reputację miały też dalekie, piaszczyste j okręgi wschodnie. Zarzucano im nieznajomość historycznej postaci lejtnanta Szmidta.

- Nie ma frajerów! - krzychał piskliwie Panikowski. - Dajcie mi Wyż Środkowo-Rosyjski, to podpiszę konwencję.

- Co? Cały Wyż? - zawołał Bałaganów. - A może dać ci jeszcze na dokładkę Melitopol? Albo Bobrujsk?

Na słowo „Bobrujsk” zebrani jąknęli boleśnie. Każdy z nich gotów był wyjechać do Bobrujska choćby natychmiast Bobrujsk uważany był powszechnie za miejscowość bardzo piękną i wysoce kulturalną.

- Ostatecznie może być nie cały Wyż - nalegał zachłanny Panikowski - ale co najmniej połowa. Jestem obciążony rodziną. Nawet dwiema rodzinami.

Ale połowy też mu nie przyznano.

Po długotrwałym zamieszaniu postanowiono rozłusować okręgi. Pocięto arkusz papieru na trzydzieści cztery karteczki i na każdej z nich wypisano jakąś nazwę geograficzną. Zasobny Kursk i niepewny

Chersoń, słabo rozpracowany Minusinsk i prawie beznadziejny Aschabad, Kijów, Pietrozawodsk i

Czita - wszystkie republiki, wszystkie okręgi spoczywały w czyjejsz czapce z nausznikami i czekały na eksploatatorów.

Ciągnięciu losów towarzyszyły radosne okrzyki, głuche jęki i przekleństwa.

Nieszczęśliwa gwiazda Panikowskiego nie omieszkała wykazać swego fatalnego wpływu. Los przyznał

Panikowskiemu Zawołże. Podpisał konwencję, piniąc się z wściekłości.

- Pojadę tam - krzychał - ale uprzedzam: jeżeli mnie tam źle przyjmą, naruszę konwencję i przekroczę granicę!

Bałaganów, któremu przypadł w udziale złotodajny okręg arbatowski, zaniepokoił się i natychmiast oświadczył, że nie dopuści do naruszenia norm eksploatacyjnych.

W każdym razie sprawy zostały mniej więcej uporządkowane, po czym trzydziestu synów i cztery córki lejtnanta Szmidta wyjechało do pracy w swoich okręgach.

- Widział pan dzisiaj na własne oczy, jak ten gad naruszył konwencję - zakończył opowieść Szura

Bałaganów. - Od dawna już grasował po moim okręgu, ale do tej pory nie miałem okazji go przyłapać.

Wbrew oczekiwaniom opowiadającego, brzydki postępek Panikowskiego nie spotkał się ze strony

Ostapa z potępieniem. Bender rozparł się na krześle i gapił się przed siebie.

Na wysokim parkanie na tyłach restauracyjnego ogródka namalowane były drzewa, gęste i równe jak na obrazku w czytance szkolnej. Ogródek był pozbawiony prawdziwych drzew, ale cień od parkanu przynosił ożywczy chłód i całkowicie zadowalał obywateli. Widocznie wszyscy bez wyjątku obywatele byli członkami związków zawodowych, gdyż wszyscy pili piwo, i to bez żadnej zakąski.

Przed bramę ogródka, nieustannie prychając i kichając, zajechał zielony samochód, na którego rzwizkach widniał biały, półkolisty napis: „Hej, przewiozę!” Poniżej tego napisu umieszczona była taryfa przejazdów tym rozrywkowym samochodem. Godzina - trzy ruble. Za roгатki - według umowy.

Samochód był pusty.

Klienci ogródka zaczęli coś szeptać niespokojnie. Kierowca przez pięć minut błagalnym wzrokiem zerkał do ogródka, a następnie, straciwszy widocznie nadzieję na zdobycie pasażera, zawołał prowokacyjnie:

- Taksówka wolna! Proszę wsiadać!

Ale żaden z obywateli nie zdradził najmniejszej ochoty zajęcia miejsca w samochodzie „Hej, przewiozę!”. Propozycja kierowcy podziałała nawet na nich w jakiś dziwny sposób: spuścili głowy i starali się nie patrzeć w stronę samochodu. Kierowca pokiwał głową i powoli odjechał. Mieszkańcy

Arbatowa odprowadzali go smętnym wzrokiem. Po upływie pięciu minut zielony samochód przeleciał w zawrotnym pędzie koło ogródka, tym razem w przeciwnym kierunku. Kierowca podskakiwał na siedzeniu i wydawał jakieś niezrozumiałe okrzyki. Samochód był nadal pusty.

Ostap popatrzył za znikającym pojazdem i odezwał się nagle:

- Bałaganów, jest pan dęty frajer. Proszę się nie obrażać. Chcę w ten sposób zdefiniować pańską pozycję w świecie.

- Niech pana szlag trafi! - rzekł ordynarnie Bałaganów.

- A więc jednak pan się obraził? Zatem uważa pan, że pozycja syna lejtnanta Szmidta to nie jest frajerstwo?

- Przecież pan też jest synem lejtnanta Szmidta - zawołał Bałaganów.

- Frajer z pana - powtórzył Ostap. - I syn frajera. I pańskie dzieci będą frajerami. Naiwniaku! To, co zrobiłem dziś rano, nie było nawet epizodem w moim życiu, to tylko przypadkowy kaprys artysty.

Dżentelmen w pogoni za dziesięciorublowką! Nie leży w mojej naturze ryzykować przy takich mizernych szansach. Cóż to za zawód, pożał się Boże, syn lejtnanta Szmidta?

Można ten zawód uprawiać rok, dwa lata. A co potem? Potem pańskie rude kędziory opatrzą się ludziom i zaczną panu garbować skórę.

- Więc co mam robić? - zaniepokoił się Bałaganów. - Jak zdobywać kawałek powszedniego chleba?

- Trzeba myśleć - rzekł surowo Ostap. - Ja, na przykład, utrzymuję się z pomysłów. Nie wyciągam łapy po nędznego rubla z Komitetu Wykonawczego. Mam grubo większe apetyty. Pan, jak widzę, kocha pieniądze całkiem bezinteresownie. Jaka kwota mogłaby pana zadowolić?

- Pięć tysięcy - odpowiedział szybko Bałaganów.

- Miesięcznie?

- Rocznie.

- Wobec tego nie pasujemy do siebie. Ja potrzebuję pięćset tysięcy. I to od razu na rączkę, nie na żadne raty.

- Może jednak wzięłby pan na raty? - zapytał złośliwie Bałaganów.

Ostap popatrzył bacznie na swego rozmówcę i zupełnie poważnie odparł:

- Wzięłbym na raty. Ale potrzebne mi są od razu.

Bałaganów już miał ochotę zakpić i z tej odpowiedzi, ale spojrzał na Ostapę i dał spokój. Siedział przed nim mężczyzna o atletycznej budowie i wyrazistych, nadających się do wybijania na monetach, rysach twarzy. Na śniadej grdyce widniała biała blizna. Oczy błyszczały niebezpiecznym humorem.

Bałaganów zapragnął nagle stanąć na baczność, a nawet miał ochotę odchrząknąć, jak to robią ludzie na średnich stanowiskach w rozmowie z towarzyszami, którzy zajmują wyższe miejsce w hierarchii.

Odchrząknął więc i zapytał nieśmiało.

- A na co panu tyle pieniędzy... i to od razu?

- Właściwie potrzebują znacznie więcej - rzekł Ostap - pięćset tysięcy to moje minimum. Chcę wyjechać, towarzyszu Szuro, wyjechać bardzo daleko, do Rio de Janeiro.

- Ma pan tam krewnych? - zapytał Bałaganów.

- Czy wyglądam na człowieka, który w ogóle ma krewnych?

- Nie, ale...

- Nie mam krewnych, towarzyszu Szuro, jestem na świecie sam jak palec. Miałem niegdyś ojca, obywatela tureckiego, ale dawno już zmarł w straszliwych męczarniach. To zresztą nie ma nic do rzeczy. Od dziecka marzę o Rio de Janeiro. Pan oczywiście nie wie nawet o istnieniu takiego miasta.

Bałaganów z zażenowaniem pokręcił głową. Ze wszystkich światowych ośrodków kultury, oprócz

Moskwy, znał tylko Kijów, Melitopol i Żmerynkę. Na domiar był przekonany, że ziemia jest płaska.

Ostap rzucił na stół wyrwaną z książki kartkę.

- To wycinek z „Małej Encyklopedii Radzieckiej”. Oto co piszą o Rio de Janeiro: „1 360 000 mieszkańców”... tak... „w tym znaczny procent Mulatów... w rozległej zatoce Oceanu

Atlantyckiego...” Otóż właśnie! „Pod względem okazałości budynków i bogactw wystaw sklepowych główne ulice miasta nie ustępują największym stolicom świata”. Kapujesz, Szura? Nie ustępują!

Mulaci, zatoka, eksport kawy, a raczej powiedziałbym, dumping kawowy, charleston pod tytułem

„Moja dziewczeczka ma takie małe coś” i w ogóle... szkoda gadać! Sam pan rozumie, co to znaczy.

Półtora miliona ludzi, wszyscy bez wyjątku w białych portkach. Chcę stąd wyjechać. Między mną a władzą radziecką powstały w bieżącym Toku pewne poważne różnice zdań. Ona chce budować socjalizm, a ja nie chcę. Nudzi mnie budowanie socjalizmu. Teraz już pan wie, na co mi potrzeba tyle pieniędzy.

- Ale skąd pan wytrząśnie pięćset tysięcy? - zapytał szeptem Bałaganów.

- Skąd się da - odpowiedział Ostap. - Proszę mi tylko wskazać jakiegoś bogatego człowieka, a ja mu już zabiorę pieniądze.

- W jaki sposób? Zamorduje go pan? - zapytał jeszcze cichszym szeptem Bałaganów i zerknął na sąsiednie stoliki, przy których mieszkańcy Arbatowa wznosili jakieś toasty.

- Wie pan co? - powiedział Ostap. - Nie powinien pan być podpisywać tak zwanej sucharewskiej konwencji. Ten wysiłek umysłowy wyraźnie pana nadwerężył. Głupieje pan po prostu w oczach.

Proszę sobie zakonotować, że Ostap Bender nigdy nikogo nie mordował. Zdarzało się, że jego mordowano, ale on pozostał czysty wobec prawa. Nie jestem, oczywiście, aniołem. Nie mam skrzydeł. Ale szanuję kodeks karny. To moja słabość.

- Więc w jaki sposób zamierza pan odebrać komuś pieniądze?

- W jaki sposób? Odbieranie czy wyłudzenie pieniędzy przybiera stosownie do okoliczności przeróżne formy. Ja sam stosuję czterysta względnie uczciwych sposobów przywłaszczania sobie gotówki. A więc ze sposobami nie ma kłopotu. Kłopot polega na tym, że nie ma teraz bogatych ludzi. W tym tkwi cały tragizm mojej sytuacji. Inny na moim miejscu niewątpliwie dokonałby napadu na jakąś bezbronną instytucję państwową - ale jest to sprzeczne z moimi zasadami. Zna pan już mój kult dla kodeksu karnego. Okradanie państwa nie kalkuluje się. Wskaż mi pan jakąś bogatą jednostkę!

Niestety, takiej jednostki nie ma.

- Co pan mówi? - zawołał Bałaganów. - Są przecież bardzo bogaci ludzie.

- Zna pan takich? - zapytał szybko Ostap. - Może mi pan wymienić nazwisko i podać dokładny adres przynajmniej jednego radzieckiego milionera? A przecież oni istnieją, muszą istnieć! Jeżeli w kraju kursują jakieś banknoty, to muszą być także ludzie, którzy mają ich bardzo dużo. Ale jak ich znaleźć?

Ostap westchnął. Widocznie, rojenia o bogatej jednostce trapiły go od dawna.

- Jak to musi być przyjemnie - rzekł w rozmarzeniu - mieć do czynienia z legalnym milionerem w dobrze zorganizowanym państwie burżuazyjnym o starych kapitalistycznych tradycjach. Milioner jest tam osobą popularną. Jego adres jest powszechnie znany. Milioner taki mieszka sobie we własnym pałacyku w jakimś tam

Rio de Janeiro. Wali się do niego na przyjęcie i od razu, w przedpokoju, po wymianie pierwszych uprzejmości, zabiera mu się pieniądze. Robi się to, oczywiście, po dobroci i z całą galanterią: „Halo, sir, proszę się nie denerwować. Muszę panu sprawić trochę kłopotu. All right. Załatwione!” I po krzyku. To jest kultura! Czy może być coś prostszego?

Dżentelmen z dżentelmenem załatwia swój mały biznes. Nie ma nawet potrzeby strzelać w żyrandol.

A u nas... Boże, Boże, w jakim dziwnym żyjemy kraju! Wszystko tu jest utajone, wszystko ukrywa się i konspiruje. Nawet Ludowy Komisariat Finansów wraz ze swoim wszechpotężnym aparatem podatkowym nie jest w mocy odnaleźć radzieckiego milionera. A ów milioner siedzi może w tej chwili w tak zwanym letnim ogródku przy sąsiednim stoliku i popija piwo „Tip-top” za czterdzieści kopiejek.

Jakie to smutne!

- A zatem uważa pan - zapytał po krótkiej pauzie Bałaganów - że gdyby się znalazł taki utajony milioner, to...

- Proszę nie kończyć. Wiem, co pan chce powiedzieć. Nie, nie, nic podobnego. Nie będę usiłował dusić go poduszką ani nie będę go walił naganem po głowie. W ogóle nie zajdzie nic drastycznego.

Ach, gdybym tylko znalazł takiego faceta, urządziłbym wszystko tak, że sam przyniosłby mi pieniądze na talerzyku z niebieskim szlaczkiem.

- Tak, to byłoby pięknie - rzekł Bałaganów z ufnym uśmiechem - pięćset tysięcy na talerzyku z niebieskim szlaczkiem.

Wstał i zaczął spacerować dokoła stolika. Mlaskał żałośnie językiem, przystawał, otwierał usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nic nie mówił, siadał i znowu wstawał. Ostap obojętnie obserwował te ewolucje.

- Sam by przyniósł? - odezwał się nagle Bałaganów cienkim głosem. - Na talerzyku? A jeżeli nie przyniesie? Gdzie jest to Rio de Janeiro? Daleko? To niemożliwe, żeby wszyscy chodzili tam w białych portkach. Gwiżdż pan na to, Bender. Za pięćset tysięcy i u nas można żyć niezgorzej.

- Zapewne, zapewne - powiedział wesoło Ostap - żyć można. Ale nie warto ostrzyć sobie na próżno zębów. Nie ma pan przecież tych pięciuset tysięcy.

Na pogodnym, gładkim czole Bałaganowa ukazała się głęboka zmarszczka. Bałaganów popatrzył niepokojnie na Ostapę i oświadczył:

- Znam jednego takiego milionera.

Z twarzy Bendera zniknęło od razu wesołe ożywienie. Rysy jego stężały i stały się niemal posągowe.

- Bez cudów - rzekł - ja mużny udzielam tylko w soboty, nie warto zalewać.

- Słowo honoru, monsieur Bender...

- Słuchaj, Szura, jeśli postanowił pan przejść na język francuski, proszę nie nazywać mnie monsieur, tylko citoyen, czyli obywatel. A teraz dawaj pan adres tego milionera.

- Mieszka w Czernomorsku.

- Oczywiście, z góry wiedziałem, że tak będzie! Czernomorsk! Tam nawet w czasach przedwojennych człowiek posiadający dziesięć tysięcy uważany był za milionera. Wyobrażam sobie, jak to dziś wygląda... Nie, to są bzdury!

- Nic podobnego. Niech mi pan pozwoli dokończyć. To jest prawdziwy milioner. Otóż tak się złożyło, że siedziałem niedawno w tamtejszym areszcie śledczym...

W dziesięć minut później młeczni bracia opuścili spółdzielczy letni ogródek z wyszynkiem piwa. Wielki kombinator czuł się jak chirurg, którego czeka dokonanie bardzo poważnej operacji. Wszystko jest już przygotowane. W elektrycznych sterylizatorach gotuje się materiał opatrunkowy. Siostra w białym fartuchu porusza się bezszelestnie po kaflowej posadzce. Połyskuje porcelana i nikiel. Chory leży na stole operacyjnym, wpatrując się mętłym wzrokiem w sufit. W specjalnie ogrzanym powietrzu unosi się zapach niemieckiej gumy do żucia. Chirurg z rozcapierzonymi palcami podchodzi do stołu operacyjnego, bierze z rąk asystenta sterylizowany fiński nóż i mówi oschle do pacjenta: „Zdejmuj pan burnus!”

- U mnie już zawsze tak - rzekł Bender błyskając oczami - muszę podejmować milionowe operacje przy dotkliwym braku gotowizny. Cały mój kapitał zakładowy, obrotowy i rezerwowy liczy łącznie pięć rubli... A jak się nazywa ten pański zakonspirowany milioner?

- Korejko - odpowiedział Bałaganów.

- Prawda, Korejko. Bardzo ładne nazwisko. I zapewnia pan, że nikt nie wie o jego milionach?

- Nikt oprócz innie i Prużańskiego. Ale Prużański, jak już wspomniałem, będzie jeszcze trzy lata siedział w więzieniu. Gdyby pan wiedział, jak on rozpaczał, kiedy mnie zwalniano z więzienia. Widać połapał się, że nie powinien był mi opowiadać o tym Korejko.

- To, że zwierzył się panu ze swej tajemnicy, nie miało żadnego znaczenia. Nie dlatego rozpaczał. On prawdopodobnie przeczuł, że pan mnie opowie tę całą historię. A to jest dla biednego Prużańskiego niepowetowana strata. Kiedy Prużański wyjdzie z więzienia, Korejko będzie się już tylko pocieszał kretyńskim przysłowiem: „Ubóstwo nie hańbi”.

Ostap zdjął swoją letnią czapkę, pomachał nią w powietrzu i zapytał:

- Czy mam już siwe włosy?

Bałaganów wciągnął brzuch, rozstawił noski butów na szerokość kolby karabinowej i głosem prawoskrzydłowego zameldował:

- Nie ma pan!

- Nie mam? To będę miał. Czekają nas wielkie rozgrywki. Pan też osiwieje.

Bałaganów zachichotał nagle głupkowato:

- Jak pan to powiedział? Że sam przyniesie pieniądze na talerzyku z niebieskim szlaczkiem?

- Mnie na talerzyku, a panu na miseczce - rzekł Ostap.

- A co będzie z Rio de Janeiro? Ja także chcę chodzić w białych portkach.

- Rio de Janeiro to kryształowe marzenie mojego dzieciństwa - odpowiedział surowo wielki kombinator - proszę nie tykać go swoimi łapskami. A teraz do rzeczy. Wysłać oddziały liniowe do mojej dyspozycji. Oddziały te winny jak najszybszym marszem dotrzeć do Czernomorska.

Umundurowanie wartownicze. Trąb pan na wymarsz! Defiladę poprowadzę osobiście!

Rozdział III Twoja benzyna - nasze pomysły

Rok przed naruszeniem przez Panikowskiego konwencji i przed jego wkroczeniem na teren cudzego okręgu eksploatacyjnego, w mieście Arbatowie pojawił się pierwszy samochód. Założycielem fundamentów automobilizmu w Arbatowie był szofer nazwiskiem Kozlewicz.

Za kierownicą samochodu posadziło go silne postanowienie zaczęcia życia na nowo. Dawne życie

Adama Kozlewicza było grzeszne. Grzechy jego polegały na nieustannym wchodzeniu w konflikt z kodeksem karnym, w szczególności z artykułem 162 tego kodeksu, dotyczącym bezprawnego przywłaszczania sobie cudzego mienia (czyli kradzieży).

Artykuł ten zawiera wiele punktów, ale grzesznemu Adamowi obcy był punkt „a” (kradzież bez zastosowania środków technicznych). Było to dla niego zbyt prymitywne. Punkt „d”, przewidujący karę pozbawienia wolności na czas do lat pięciu, także mu nie odpowiadał. Adam nie lubił długo przesiadywać w więzieniu. A ponieważ od dzieciństwa odczuwał silny pociąg do techniki, oddał się całą duszą punktowi „c” (bezprawne przywłaszczenie cudzego mienia, dokonane przy zastosowaniu środków technicznych, ewentualnie w zмовie z innymi osobami, na dworcach, przystaniach, statkach, w wagonach i hotelach).

Ale Kozlewicz nie miał szczęścia. Nakrywano go nie tylko wtedy, kiedy stosował ulubione środki techniczne, ale i wtedy, kiedy się bez nich obywat. Nakrywano go na dworcach, przystaniach, statkach i w hotelach. Nakrywano go także w wagonach. Nakrywano go nawet wtedy, kiedy w przystępirozpaczy dobierał się do cudzego mienia w zмовie z innymi osobami.

Po odsiedzeniu łącznie trzech lat w więzieniu, Adam Kozlewicz doszedł do przekonania, że znacznie wygodniej zajmować się jawnym gromadzeniem własnego mienia, niż ukradkowym przywłaszczaniem sobie cudzego. Przekonanie to ukoіło jego buntowniczą naturę. Stał się wzorowym ięźniem, zaczął pisywać demaskatorskie wiersze do więziennej gazety „Słońce wschodzi i zachodzi” i gorliwie pracował w więziennych warsztatach mechanicznych. System penitencjarny podziałał nań dobroczynnie. Adam Kazimirowicz Kozlewicz, lat czterdzieści sześć, pochodzący z chłopskiej rodziny z b. powiatu częstochowskiego, kawaler, wielokrotnie karany, opuścił więzienie jako człowiek uczciwy.

Po dwóch latach pracy w jednym z moskiewskich garaży, kupił sobie okazyjnie samochód tak przestarzały, że obecność owego pojazdu na rynku można sobie wytłumaczyć tylko likwidacją muzeum samochodowego. Ów rzadki eksponat Kozlewicz nabył za sto dziewięćdziesiąt rubli. Z jakichś osobistych przyczyn samochód sprzedano łącznie ze sztuczną palmą w zielonej drewnianej donicy.

Trzeba było nabyć również palmę. Palma była jeszcze w nienajgorszym stanie, ale samochód przysporzył nabywcy mnóstwo kłopotów: trzeba było wyszukiwać na bazarach brakujące części, łątać siedzenia, wstawiać nową instalację elektryczną. Remont został uwieńczony pomalowaniem samochodu na zielony, jaszczurczy kolor. Marka wozu nie była znana, ale Adam Kazimirowicz twierdził, że jest to Laurent-Dietrich. A na dowód

przymocował do maski samochodu mosiężną tabliczkę z fabryczną marką Laurent-Dietrich.

Od tej chwili samochód był już gotów do wystąpienia w roli prywatnej taksówki, co stanowiło szczyt arzeń Kozlewicza.

Ale w dniu, w którym Adam Kozlewicz zdecydował się na wyprowadzenie swego dziecięcia na samochodową giełdę, miał miejsce fakt nader przykry dla wszystkich prywatnych kierowców. Do

Moskwy sprowadzono sto dwadzieścia małych, czarnych, przypominających browningi taksówek marki Renault. Kozlewicz nawet nie próbował z nimi konkurować. Oddał palmą na przechowanie do herbaciarni dorożkarskiej „Wersal” i wyjechał na prowincję.

Arbatow, całkowicie pozbawiony komunikacji samochodowej, przypadł mu do serca i Kozlewicz postanowił osiedlić się tu na stałe. Już wyobrażał sobie, jak owocnie, wesoło, a zwłaszcza uczciwie będzie pracował na niwie motoryzacji. Widział już w wyobraźni, jak wczesnym, mroźnym rankiem czeka przed dworcem na pociąg moskiewski. Opatulony w rudy kożuch, w lotniczych okularach zsuniętych na czoło, z życzliwym uśmiechem częstuje tragarzy papierosami. Za nim dygocą z zimna i ronią łzy skostniałi dorożkarze, obciążając grube, granatowe fartuchy. Wtem na stacji rozlega się dzwonek alarmowy. Jest to sygnał. Przyszedł pociąg. Pasażerowie wychodzą na plac przed dworcem, i uradowani zatrzymują się przed samochodem. Nie przypuszczali, że motoryzacja dotarła już na głuchą arbatowską prowincję. Kozlewicz trąbi i wiezie pasażerów do Domu Ludowego.

Zajęcia starczy na cały dzień, bo wszyscy pragną korzystać z usług mechanicznego pojazdu. Kozlewicz i jego wierny Laurent-Dietrich są nieodzownymi uczestnikami wszystkich miejscowych wesel, wycieczek i uroczystości. Ale najwięcej roboty jest latem. Co niedziela całe rodziny wyjeżdżają samochodem Kozlewicza za miasto. Słysząc radosny śmiech dzieci, wiatr trzepocze szalikami i wstążkami, kobiety gawędzą wesoło, a ojcowie rodzin spoglądają z szacunkiem na okryte skórą plecy kierowcy i wypytują go o rozwój motoryzacji w Stanach Zjednoczonych (mianowicie, czy toprawda, że Ford kupuje sobie co dzień nowy samochód?).

Tak wyobrażał sobie Kozlewicz nowe, rozkoszne życie w Arbatowie. Ale rzeczywistość szybko zburzyła zniesiony przez fantazję Adama Kazimirowicza zamek na lodzie z wszystkimi jego wieżyczkami, zwodzonymi mostami, proporczykami i chorągwią.

Na początek nawalił rozkład jazdy kolejowej. Pośpieszne i przyśpieszone pociągi nie zatrzymywały się na stacji Arbatow, zwalniały tylko bieg, żeby wyrzucić pilne przesyłki pocztowe. Pociągi osobowe przychodziły tylko dwa razy na tydzień. Przyjeżdżali nimi przeważnie skromni ludzie: więcej delegaci i szewcy z torbami, kopytami i podaniami. Pasażerowie ci, z zasady nie korzystali z samochodów.

Wycieczek i uroczystości nie urządzano, a na wesela Kozlewicza nie angażowano. Do ślubów, zgodnie z tradycją, najmowano w Arbatowie dorożkarzy, którzy na tę okazję wplatali w końskie grzywy papierowe róże i chryzantemy, co było bardzo w guście starszych gości weselnych.

Przejażdżki zamiejskie zdarzały się, owszem, dość często, ale były zupełnie inne niż to sobie wymarzył

Adam Kazimirowicz. Bez dzieci, bez powiewających szarf, bez wesołej paplaniny.

Zaraz w pierwszy wieczór nędznie oświetlony naftowymi latarniami, do Adama Kazimirowicza, który cały dzień stał bezowocnie na Placu Cerkiewno-Spółdzielczym,

podeszło czterech mężczyzn. Przez dłuższy czas wpatrywali się w milczeniu w samochód. Potem jeden z nich, garbus, zapytał niepewnie:

- Czy każdy ma prawo się przejechać?

- Każdy - odpowiedział Kozlewicz zdumiony skromnością mieszkańców Arbatowa. - Pięć rubli za godzinę.

Mężczyźni zaczęli się szeptem naradzać. Do kierownicy dobiegły dziwne westchnienia i słowa:

„Przejedziemy się po zebraniu, towarzysze. Czy warto? Po rublu dwadzieścia pięć na głowę, to wcale niedrogo. Co nam to szkodzi?...”

I pakowny samochód przyjął po raz pierwszy na swoje wyścigane łono mieszkańców Arbatowa.

Pasażerowie, oszołomieni szybkością jazdy, zapachem benzyny i szumem wiatru, przez kilka minut milczeli. Następnie, pod działaniem niejasnego przecucia, zaczęli cichutko podśpiewywać: „Szybko, ak fale, płyną dni życia”. Kozlewicz włączył trzeci bieg. Minęli posępne budynki hal targowych i samochód wyskoczył na zalaną księżycowym blaskiem szosę.

„Z dniem każdym bliższa mogiła i zgon” - zawodzili smętnie pasażerowie. Rozczulili się nad sobą i żal im było, że nigdy nie byli studentami. Refren odśpiewali już pełnym głosem:

„Po kieliszku, po malutkim, tirli-bum-bum, tirli-bum-bum”

- Stój!-wrzasnął nagle garbus.- Zawracaj! Roznosi mnie!

Pasażerowie zaopatrzyli się w mieście w sporą ilość butelek z białymi główkami tudzież w jakąś korpulentną obywatelkę. Rozbili w polu biwak, jedli, pili, a potem tańczyli bez muzyki polkę-kokietkę.

Znużony nocnymi przygodami Kozlewicz cały dzień drzemał przy kierownicy na postoju. A pod wieczór zjawiała się wczorajsza kompania, już pod gazem, ulokowała się w samochodzie i przez całą noc krążyła dokoła miasta. Trzeciego dnia powtórzyło się to samo. Nocne hulanki wesołej kompanii pod przewodem garbusa trwały okrągłe dwa tygodnie. Uroki motoryzacji dziwnie działały na klientów

Adama Kazimirowicza: twarze im obrzękły i bielity się w ciemności jak gieźła. Garbus ze zwisającym z ust kawałkiem kiełbasy robił wrażenie wilkołaka.

Pasażerowie stawali się coraz bardziej niespokojni, a od czasu do czasu w toku wesołej zabawy wybuchali płaczem. Pewnego razu przedsiębiorczy garbus podwiózł dorożką do samochodu worek ryżu. O świcie zawieźli ryż na wieś, wymienili go tam na samogon i tego dnia nie wrócili już do miasta.

Kompani pili bruderszaft z chłopami, siedząc na półkopakach, a w nocy rozpalili ogniska i nader rzewnie płakali.

Następnego dnia o świcie w spółdzielni kolejowej „Dróżnik”, gdzie garbus był kierownikiem, a jego weseli kumple - członkami zarządu i komisji sklepowej, przystąpiono do remanentu. Jakież było zdumienie członków komisji rewizyjnej, kiedy w magazynie nie znaleźli ani maki, ani pieprzu, ani mydła do prania, ani materiałów łokciowych, ani ryżu. Półki, lady, skrzynie i beczki - wszystko było puste. Tylko na środku magazynu stały gigantyczne buty myśliwskie (czterdziesty dziewiąty numer) na żółtych

tekturowych podeszwach, a w oszklonej gablocie połyskiwała automatyczna kasa „National”, której niklowany damski biust usiany był różnokolorowymi guziczkami.

Kozlewicz otrzymał wezwanie do sędziego śledczego; powołano go na świadka w sprawie spółdzielni

„Dróżnik”

Garbus i jego przyjaciele już się nie pokazywali i zielona taksówka trzy dni stała bezczynnie.

Następni pasażerowie, podobnie jak pierwsi, zjawiali się pod osłoną ciemności. Zaczynali także od niewinnej przejażdżki za miasto, ale zaledwie samochód przejechał pierwsze pół kilometra, ogarniała ich chęć napicia się wódki. Najwidoczniej mieszkańcy Arbatowa nie wyobrażali sobie, że można jeździć samochodem na trzeźwo i uważali taksówkę Kozlewicza za gniazdo rozpusty, w którym trzeba zachowywać się w sposób rozwiązły, wydawać nieprzystojne okrzyki i w ogóle marnować życie.

Dopiero wtedy Kozlewicz zrozumiał, dlaczego mężczyźni, przechodząc za dnia koło postoju, mrugali do siebie porozumiewawczo i uśmiechali się znacząco.

Słowem wszystko układało się inaczej, niż to sobie Adam Kozlewicz wyobrażał. Po nocach śmigał z zapalonymi reflektorami skrajem podmiejskich zagajników, słysząc za plecami pijackie kłótnie i wrzaski pasażerów, a za dnia, nieprzytomny z niewyspania, przesiadywał u sędziów śledczych i jako świadek składał zeznania. Mieszkańcy Arbatowa, z jakichś bliżej nie znanych powodów, marnowali sobie życie za pieniądze państwowe, społeczne oraz spółdzielcze. I Kozlewicz, wbrew swojej woli, anurzył się znowu w odmętach kodeksu karnego, w labiryncie Trzeciego Rozdziału, dotyczącego przestępstw urzędniczych.

Zaczęły się procesy sądowe. W każdym z nich Adam Kozlewicz występował jako główny świadek oskarżenia. Jego zgodne z prawdą zeznania były druzgocące dla oskarżonych; zapłakani i zasmarkani przyznawali się do wszystkiego. Adam Kozlewicz wykończył mnóstwo instytucji. Ostatnio ofiarą jego padła filia Okręgowego Przedsiębiorstwa Filmowego, nakręcająca w Arbatowie historyczny film

„Stieńka Razin i księżna”. Cała filia poszła do ciupy na sześć lat, a film, mogący zainteresować jedynie organa sprawiedliwości, został przekazany do muzeum dowodów rzeczowych, gdzie znajdowały się już buty myśliwskie ze spółdzielni „Dróżnik”

Po tym procesie nastąpił krach. Ludzie zaczęli bać się zielonego samochodu jak zarazy. Mieszkańcy

Arbatowa obchodzili z daleka Plac Cerkiewno-Spółdzielczy, na którym Kozlewicz wbił pomalowany w paski słupek z tabliczką: „Postój samochodów”. W ciągu kilku miesięcy Adam nie zarobił ani kopiejki i żył z pieniędzy zaoszczędzonych w okresie nocnych przejażdżek.

Próbował pójść na ustępstwa. Na drzwiczkach samochodu wymalował białą farbą zachęcający w jego przekonaniu napis: „Hej, przewiozę!” i obniżył cenę z pięciu rubli na trzy ruble za godzinę. Ale mieszkańcy miasta nadal trzymali się w rezerwie. Kierowca jeździł wolno po mieście, zatrzymywał się przed różnymi urzędowymi budynkami i krzyczał pod oknami:

- Śliczna pogoda! Może się przejedziemy?

Urzędowe osoby wychylały się z okien i przy akompaniamencie stukających maszyn do pisania odpowiadały:

- Sam się przejeżdżaj, zły duchu!

- Jaki ja tam zły duch? - wołał ze łzami w oczach Kozlewicz.

- Pewno, że zły duch - odpowiadali urzędnicy. - Twoje przejażdżki pachną wyjazdową sesją sądową.

- Bo trzeba jeździć za swoje! - krzyczał zapalczywie kierowca. - Za własne pieniądze.

Na te słowa osoby urzędowe robiły drwiące miny i zamykały okna. Przejażdżki samochodem za własne pieniądze wydawały im się zupełnym absurdem.

Właściciel „Hej, przewiozę!” pokłócił się z całym miastem. Nikomu się już nie kłaniał, stał się nerwowy i zły. Ilekroć ujrzał na ulicy jakiegoś radzieckiego funkcjonariusza w długiej kaukaskiej rubaszce z bufiastymi rękawami, podjeżdżał do niego z tyłu i wołał ze zjadliwym śmiechem:

- Kanciarze! Zobaczcie, zrobię was w pokazowy proces! Z artykułu sto dziewiątego!

Funkcjonariusz wzdrygał się, z obojętną miną poprawiał pasek ze srebrnymi wisiorami, jakimi ozdabia się zazwyczaj uprząż pociągowych koni, i udając, że okrzyki kierowcy nie odnoszą się do niego, przyspieszał kroku. Ale mściwy Kozlewicz jechał obok i dręczył go monotonnymi cytatami z kieszonkowego kodeksu karnego:

„Przywłaszczenie przez osobę urzędową pieniędzy, kosztowności lub innego mienia, pozostającego pod jego zarządem z tytułu funkcji urzędowych, karane jest...”

Funkcjonariusz rzucał się w popłochu do ucieczki, zadzierając wysoko zadek, spleśzczony od długiego wysiadkiwania na biurowych stołkach.

- „...pozbawieniem wolności - krzyczał za nim Kozlewicz - na okres trzech lat”

Ale wszystko to dawało kierowcy jedynie satysfakcję moralną. Jego sytuacja materialna była pod zdechłym psem. Oszczędności wyczerpały się. Trzeba było powziąć jakąś decyzję. Dłużej tak trwać nie mogło.

Pewnego dnia Adam Kazimirowicz siedział przy kierownicy pogrążony w swoich zmartwieniach i z wstrętem spoglądał na pasiasty słupek z tabliczką „Postój samochodów”- Dochodził powoli do przekonania, że uczciwe życie zawiodło, że jako mesjasz motoryzacji przybył do Arbatowa zbyt wcześnie i obywatele nie uwierzyli w niego. Był tak zajęty swymi gorzkimi rozmyślaniami, że nie zauważył nawet dwóch młodych mężczyzn, którzy już od dłuższego czasu przyglądali się jegopojazdowi.

- Oryginalna konstrukcja - odezwał się w końcu jeden z nich - przedświt automobilizmu. Widzisz,

Bałaganów, co można zrobić ze zwykłej singerowskiej maszyny do szycia? Po nieznacznej przeróbce wyszła doskonała kołchozowa snopowiązałka.

- Odwal się - warknął groźnie Kozlewicz.

- Jak to: „odwal się”? Po cóż więc ten reklamowy napis „Hej, przewiozę!” A może właśnie mam zamiar pojechać z przyjacielem gdzieś w interesach. Albo może mam ochotę „hej przejechać się”!

Na twarzy ofiary motoryzacji ukazał się pierwszy od czasu przybycia do Arbatowa uśmiech. Wyskoczył z samochodu i sprawnie zapuścił hałaśliwy motor.

- Proszę bardzo - rzekł. - Dokąd jedziemy?

- Na razie nigdzie - odpowiedział Bałaganów - nie mamy forsy. Trudna rada, towarzyszu kierowco.

Bryndza.

- To nic. Siadajcie! - zawołał Kozlewicz. - Przewiozą was za darmo. Nie będziecie pili? Nie będziecie tańczyli na golasa przy świetle księżycu? Hej! Przewiozę!

- Wypada skorzystać z zaproszenia - rzekł Ostap siadając obok kierowcy. - Widzą, że z pana poczciwy chłop. Ale skąd panu strzeliło do głowy, że będziemy tańczyć na golasa?

- Są tu tacy - odpowiedział kierowca, wyjeżdżając na główną ulicę - przestępcy państwowi.

Korciło go, żeby się przed kimś wyżalić. Najlepiej byłoby, oczywiście, podzielić się strapieniami z tkliwą, pooraną zmarszczkami mamą. Wzruszyłaby się i pocieszyła go. Ale starsza pani Kozlewicz dawno już umarła ze zmartwienia, na wieść, że jej syn zdobywa coraz większą popularność jako złodziej - recydywista. Wobec tego kierowca opowiedział nowym pasażerom całą historię upadku

Arbatowa, po którego ruinach toczył się teraz jego zielony samochód.

- Dokąd mam teraz pojechać? - zakończył żałośnie Kozlewicz. - Co z sobą począć?

Ostap odczekał chwilę, spojrzał znacząco na swego rudego kompana i rzekł:

- Wszystkie nieszczęścia wynikają z tego, że jest pan naiwnym poszukiwaczem prawdy, niewinnym jagnięciem, nieudanym baptystą. To przykre, że w środowisku szoferów istnieją tak dekadentkie nastroje. Ma pan samochód i nie wie pan, dokąd jechać? Nasza sytuacja jest gorsza. Nie mamy samochodu, ale za to wiemy, dokąd jechać. Może więc pojedziemy razem?

- Dokąd? - zapytał kierowca.

- Do Czernomorska - odpowiedział Ostap. - Mamy tam do załatwienia pewną drobną dyskretną sprawę. Dla pana też znajdzie się tam zajęcie. W Czernomorsku cenią zabytkowe wehikuły i chętnie z nich korzystają. Pojedziemy?

Początkowo Adam Kazimirowicz uśmiechał się tylko jak wdowa, której już nic na świecie nie może pocieszyć. Ale Bender nie żałował pięknych barw. Rozpostarł przed oszołomionym szoferem zdumiewające horyzonty i pomalował je na niebiesko i różowo.

- Opuszczając Arbatow nic pan nie straci prócz zapasowych łańcuchów. Głodować w drodze niebędziemy. Aprowizację biorę na siebie. Pańska benzyna, nasze pomysły.

Kozlewicz zatrzymał samochód i nadal nie przekonany, powiedział cierpko:

- Benzyny mam niedużo.

- Na pięćdziesiąt kilometrów wystarczy?

- Wystarczy na osiemdziesiąt.

- W takim razie wszystko w porządku. Mówiłem już, że dobrych pomysłów nigdy mi nie brak.

Dokładnie w odległości sześćdziesięciu kilometrów od Arbatowa będzie czekała na szosie duża elazna beczka z benzyną lotniczą. Odpowiada panu lotnicza benzyna?

- Odpowiada - odparł nieśmiało Kozlewicz.

Życie wydało mu się nagle łatwe i przyjemne. Miał ochotę wyruszyć w drogę do Czernomorska natychmiast.

- Beczkę tę otrzyma pan - dodał Ostap - całkowicie bezpłatnie. Nie dość na tym. Jeszcze będą prosili, żeby pan wziął tę benzynę.

- Jaką benzynę? - szepnął Bałaganów. - Co pan plecie?

Ostap popatrzył wyniosłe na pomarańczowe piegi rozsiane po twarzy mlecznego brata i odpowiedział, zniżając także głos do szeptu:

- Ludzi, którzy nie czytają gazet, należy moralnie zabijać na miejscu. Ja jednak daruję panu życie tylko dlatego, że zamierzam podjąć się pańskiej reedukacji.

Ostap nie wyjaśnił, jaki związek istnieje między czytaniem gazet z beczką benzyny, rzekomo leżącą naszoscie.

- Ogłaszam otwarcie wielkich wyścigów samochodowych na trasie Arbatow-Czernomorsk - powiedział uroczyście Ostap. - Komandorem wyścigu mianuję siebie. Kierowcą samochodu będzie... jak się pan nazywa? Adam Kozlewicz. Obywatelowi Bałaganowowi powierza się funkcję mechanika pokładowego. Ale, ale... Kozlewicz... Ten napis „Hej, przewiozę!” trzeba niezwłocznie zamalować.

Wszelkie znaki szczególne są zbędne.

Po upływie dwóch godzin samochód ze świeżą ciemnozieloną plamą na drzwiczkach wyjechał powoli z garażu i po raz ostatni przejechał ulicami Arbatowa. Oczy Kozlewicza promieniały nadzieją. Obok niego siedział Bałaganów. Starannie przecierał ściereczką mosiężne części i gorliwie wypełniał nie znane mu dotychczas obowiązki mechanika. Komandor wyścigu rozwalił się na wyrudziałym siedzeniu i z satysfakcją spoglądał na swoich nowych podwładnych.

- Panie Adamie! - zawołał, przekrzykując warkot silnika. - Jak się ta bryczka nazywa?

- Laurent-Dietrich - odpowiedział Kozlewicz.

- To nie jest nazwa. Samochód, podobnie jak okręt wojenny, powinien mieć jakąś indywidualną nazwę. Pański Laurent-Dietrich odznacza się wielką szybkością i piękną, szlachetną linią. Dlatego proponuję nadać mu nazwę: „Antylopa-Gnu”. Kto jest przeciw. Przyjęto jednogłośnie.

Zielona „Antylopa”, zgrzytając wszystkimi częściami składowymi, przecięła Bulwar Młodych Talentów i wpadła na rynek.

Tam oczom załogi „Antylopy” ukazał się dziwny widok. Z rynku w kierunku szosy biegł jakiś dziwny osobnik z białą gęsą pod pachą. Lewą ręką przytrzymywał na głowie sztywny słomkowy kapelusz. Za nim biegł z wraskiem tłum ludzi. Uciekający często oglądał się za siebie, a na jego przystojnej twarzy aktora malowało się przerażenie.

- To Panikowski! - zawołał Bałaganów.

- Drugie stadium kradzieży gęsi - stwierdził rzeczowo Ostap. - Trzecie stadium nastąpi po ujęciu sprawcy. Towarzyszy mu zazwyczaj dotkliwe pobicie.

Panikowski najwidoczniej czuł zbliżanie się trzeciego stadium, gdyż wyrывał ze wszystkich sił. Ze strachu nie wypuszczał gęsi, co wyraźnie drażniło pogoń.

- Artykuł sto szesnasty - zacytował z pamięci Kozlewicz. - Skryte, lecz ujawnione przywłaszczanie żywego inwentarza na szkodę ludności, trudniące się uprawą roli i hodowlą trzody.

Bałaganów zachichotał. Radowała go myśl, że gwałcieciel konwencji zostanie przykładnie ukarany.

Samochód przeciął wrzeszczący tłum i wypadł na szosę.

- Ratujcie! - zawołał Panikowski, kiedy samochód go dogonił.

- Panie Boże dopomóż! - odpowiedział Bałaganów wychylając się z samochodu.

Samochód spowił Panikowskiego chmurą malinowego kurzu.

- Zabierzcie mnie! - krzyczał z całych sił Panikowski, biegnąc obok samochodu.

Krzyki ścigających zlewały się w złowieszczy chór.

- A może zabierzemy tego hultaja? - zapytał Ostap.

- Nie - odpowiedział bezlitośnie Bałaganów - niech sobie zapamięta, że nie wolno naruszać konwencji.

Ale Ostap powziął już decyzję.

- Rzuć drób! - krzyknął do Panikowskiego i, zwracając się do kierowcy, dodał: - Zwolnij!

Panikowski niezwłocznie spełnił rozkaz. Gęś niechętnie podniosła się z ziemi, podrapała się dziobem i jak gdyby nigdy nic pomaszerowała z powrotem do miasta.

- Właż - zaproponował Ostap - pał cię diabli! Ale nie grzesz więcej, bo ci łapy utracę! Panikowski uczeplił się karoserii, podskoczył, padł brzuchem na drzwiczki, fiknął do samochodu kozła, jak kąpiący się do łódki, i upadł na dno, stukając mankietami.

- Gazu! - rzucił rozkaz Ostap. - Sesja trwa!

Bałaganów nacisnął gumową gruszkę i z mosiężnej trąbki wybiegły staromodne, skoczne, irytujące dźwięki:

Maczica piękny taniec. Ta-ra-ra...

Maczica piękny taniec. Ta-ra-ra...

I „Antylopa-Gnu” pognęła przez pola na poszukiwanie beczki z lotniczą benzyną.

Rozdział IV Zwykła walizeczka

Mężczyzna z gołą głową, w szarych płóciennych spodniach, w skórzanych sandałach, noszonych wzorem mnichów na boso, i w białej koszulce bez kołnierzyka, wyszedł z pochyloną głową z niziutkiej furtki domu nr 16. Kiedy znalazł się na chodniku, wyłożonym niebieskawymi kamiennymi płytami, przystanął i rzekł półgłosem:

- Dziś piątek, więc trzeba znowu iść na dworzec.

Po wypowiedzeniu tych słów mężczyzna w sandałach szybko się odwrócił. Wydało mu się, że za jego plecami stoi obywatel o wstrętnej gębie szpicla. Ale ulica Mała Styczna była zupełnie pusta.

Czerwcowy poranek zaczynał się właśnie kształtować. Gałązki akacji drżały i strącały na płaskie kamienie chłodną ołowianą rosę. Ptaszki szczebiotały jakieś zabawne ploteczki. W dole, na krańcu ulicy, za dachami domów, płonęło gęste, ciężkie morze. Młode psiaki, rozglądając się smutno i drapiąc pazurami, wspinały się na śmietniki. Godzina dozorców już minęła, godzina dostawczyń mleka jeszcze nie wybiła.

Była to pora między piątą a szóstą rano, kiedy dozorczy namachali się już do syta miotłami i rozeszli się do swoich dyżurek, kiedy w mieście jest czysto, widno i cicho jak w banku. W takiej chwili pragnie się płakać i wierzyć, że zsiadłe mleko jest naprawdę pożywniejsze i smaczniejsze od żytniówki. Ale otoczlegają się odległe grzmoty: to z podmiejskich pociągów wysiadają z bańkami dostawczynie mleka.

Za chwilę wtargną do miasta i na kuchennych schodach zaczną użerać się z gospodyniami. Potem każą się na chwilę robotnicy z chlebakami i znikną w bramach fabryk. Z kominów fabrycznych wzbijają się kłęby dymu, a potem na nocnych stolikach rozdzwoni się, podskakując z wściekłości, tysiące budzików (firmy „Paweł Buhre” - po cichu, a głośno - Zrzeszenie Mechaników Precyzyjnych) i radzieccy urzędnicy zaczną ziewać na potęgę, zsuwając się z wysokich, panińskich łóżeczek. Minie godzina mleczarek, nadejdzie godzina urzędników.

Ale na razie było wcześniej i urzędnicy spali jeszcze pod swoimi fikusami. Mężczyzna w sandałach przeszedł całe niemal miasto, nikogo po drodze nie spotykając. Szedł pod akacjami, które w

Czernomorsku wypełniały pewne funkcje społeczne: na jednych wisały granatowe skrzynki pocztowe z urzędowym herbem (koperta i błyskawica), a do innych przybite były blaszane miseczki z wodą dla psów.

Mężczyzna w sandałach przyszedł na Dworzec Nadmorski w chwili, kiedy wysypały się z niego mleczarki. Obijając się boleśnie o ich blaszane ramiona, skierował się do przechowalni ręcznego bagażu, gdzie przedstawił kwit. Bagażowy z przesadną dokładnością, spotykana wyłącznie na kolei, obejrzał kwit i natychmiast wydał okazicielowi walizkę. Wtedy okaziciel otworzył skózaną portmonetkę, z westchnieniem wyjął z niej dziesięć kopiejek i położył je na bagażowej ladzie, którą tworzyło sześć starych, wypolerowanych łokciami szyn.

Po wyjściu na plac przed dworcem mężczyzna w sandałach postawił walizkę na jezdni i starannie bejrzał ją ze wszystkich stron, a nawet sprawdził palcami metalowy zamek. Była to zwykła drewniana walizeczka oklejona fibłą.

W takich właśnie walizeczkach młodszy wiekiem pasażerowie wożą bawełniane skarpetki „Skocz”, dwie zmiany bielizny, siatkę na włosy, majteczki kąpielowe, broszurę „Zadania Komsomołu na wsi” i trzy potłuczone jajka na twardo. Oprócz tego w rogu takiej walizeczki leży brudna bielizna zawinięta w numer „Życia gospodarczego”. Starsi wiekiem pasażerowie wożą w walizkach tego typu garnitur, dodatkowe spodnie z materiału w kratkę znanego pod nazwą „Stulecie Odessy”, szelki, domowe pantofle z uszami, flakon potrójnej wody kolońskiej i biały marsylski pled. W rogu tych walizek również tkwi coś zawiniętego w „Życie gospodarcze”. Nie jest to tym razem brudna bielizna, tylko blada pieczona kura.

Mężczyzna w sandałach, zadowolony z pobieżnych oględzin, wziął walizkę i wszedł do białego tropikalnego wozu tramwajowego, który go zawiózł na przeciwległy kraniec miasta, na Dworzec

Wschodni. Tutaj poczynania jego były wręcz różne od poczyznań na Dworcu Nadmorskim, mianowicie oddał walizkę na przechowanie i otrzymał kwitek z rąk okazałego funkcjonariusza bagażowego.

Po dokonaniu tych dziwnych zabiegów właściciel walizki opuścił dworzec właśnie w chwili, kiedy na ulice wyroili się już najgorliwsi urzędnicy. Wmieszał się w ich bezładne szeregi i natychmiast strój jego stracił całą swoją oryginalność. Mężczyzna w sandałach był bowiem urzędnikiem, a niemal wszyscy urzędnicy w Czernomorsku ubierali się według nieobowiązującej, ale powszechnie przyjętej mody: nocna koszula z podwiniętymi powyżej łokci rękawami, lekkie płócienne spodnie i sandały lub płócienne pantofle. Nikt nie nosił kapelusza ani kaszketu. Tu i ówdzie mignęła czapka, znacznie częściej jednak spotykało się czarne, rozwichrzone czupryny, a najczęściej okrągłe jak dynia

ogorzałe na słońcu łysiny, na których miało się wielką ochotę napisać kopiowym ołówkiem jakieś słowo.

Instytucja, gdzie pracował osobnik w sandałach, nazywała się „Herkules” i mieściła się -w dawnym hotelu. Oszkłone obrotowe drzwi z mosiężnymi okrętowymi poręczami wepchnęły go do dużego hallu z różowego marmuru. W uziemionej windzie mieściło się biuro informacji. Wychylała się z niego roześmiana kobieca twarz. Nowoprzybyły przebiegł kilka kroków, zatrzymał się przed starym szwajcarem w czapce ze złotym zygzakiem na otoku i zapytał wesoło:

- No cóż, stary, czas już do krematorium?

- A czas, kochasiu - odpowiedział z radosnym uśmiechem szwajcar - do naszego radzieckiego krematorium.

Machnął rękami, a jego pocziwa twarz wyraziła gotowość rzucenia się choćby natychmiast w unicestwiający płomień.

W Czernomorsku zamierzano wybudować krematorium z odpowiednim pomieszczeniem na urny z prochami, tak zwane kolumbarium, i ten racjonalizatorski pomysł wydziału cmentarnego ogromnie awił mieszkańców miasta. Może śmieszyły ich nowe słowa: krematorium i kolumbarium, a może śmieszyła ich sama myśl, że człowieka można spalić jak szczapę drzewa, dość, że zaczepiali wszystkie staruszki i starców w tramwajach i na ulicach okrzykami: „Dokąd się tak pchasz, babciu? Pilno ci do krematorium?” albo: „Przepuście tego staruszka, bo mu się śpieszy do krematorium”. Ale co najdziwniejsze, pomysł palenia zwłok bardzo przypadł staruszkom do gustu i nader życzliwie przyjmowali wszelkie żarciki na ten temat. W ogóle rozmowy o śmierci, uznawane dotychczas za przykre i niestosowne, zaczęły się cieszyć w Czernomorsku takim samym zainteresowaniem, jakżydowskie i kaukaskie dowcipy.

Nowoprzybyły wszedł na schody, minął na półpiętrze nagą marmurową dziewczynę trzymającą podniesioną rękę elektryczną pochodnię, spojrzał niechętnym okiem na afisz z napisem: „W

«Herkulesie» zaczyna się czystka. Trzeba skończyć ze złą złą i kumoterstwem” i znalazł się na drugim piętrze. Pracował w wydziale rachuby. Do zaczęcia urzędowania brakowało jeszcze piętnaście minut, ale Sacharkow, Dreifus, Tezoimienicki, Muzykant, Czewarzewska, Kukuszkind,

Borysochlebski i Lapidus-junior siedzieli już przy swoich stołach i biurkach. Żaden z nich nie obawiał się czystki, o czym się wielokrotnie wzajemnie zapewniali, ale jakoś w ostatnich czasach zaczęli przychodzić do biura możliwie jak najwcześniej. Wykorzystując nieliczne minuty wolnego czasu, prowadzili ożywione rozmowy. Głosy ich dudniły w olbrzymiej sali, gdzie niegdyś mieściła się restauracja hotelowa. Świadczył o tym sufit ozdobiony dębowymi, rzeźbionymi kasetonami i ścienne alowidła, na których baraszkowały idiotycznie uśmiechnięte menady, najady i driady.

- Słyszeliście już ostatnią nowinę, towarzyszu Korejko? - zapytał wchodzącego Lapidus-junior. - Nie słyszeliście? Doprawdy? Będziecie wstrząśnięci!

- Co za nowina... Jak się macie, towarzysze! - rzekł Korejko. - Dzień dobry, Anno Wasiliwna!

- Nigdy nie zgadniecie - powiedział z satysfakcją Lapidus-junior. - Buchaltera Berlage zabrano do domu wariatów.

- Co wy mówicie? Berlage? Przecież to najnormalniejszy człowiek pod słońcem!

- Do wczoraj był istotnie jak najbardziej normalny, a od dziś jest jak najbardziej nienormalny - wtrącił się do rozmowy Borysochlebski. - To fakt. Dzwonił do mnie jego szwagier. Berlaga cierpi na bardzo poważną chorobę psychiczną, na rozstrój nerwu w pięcie.

- Dziwię się, że my wszyscy nie cierpimy jeszcze na rozstrój tego nerwu - odezwał się złowieszczo stary Kukuszkind, spoglądając na kolegów przez owalne okulary w nikłowej oprawie.

- Przestańcie krakać - rzekła Czewarzewska. - Niepoprawny pesymista.

- Szkoda jednak tego Berlagi - odezwał się Dreifus, obracając się na swym kręconym taborecie w stronę kolegów.

Koledzy w milczeniu zgodzili się ze stanowiskiem Dreifusa.

Tylko Lapidus-junior uśmiechnął się zagadkowo. Rozmowa zeszła na temat zachowania się ludzi umysłowo chorych; zaczęto mówić o maniakach, opowiedziano kilka dykteryjek o słynnych wariatach.

- Ja także - zawołał Sacharkow - miałem obłąkanego wujaszka, który uroił sobie, że jest jednocześnie

Abrahamem, Izaakiem i Jakubem! Wyobraźcie sobie, ile robił zamieszania!

- Dziwią się - powiedział blaszanym głosem Kukuszkind, przecierając powoli okulary połą marynarki - dziwią się, że każdemu z nas nie wydaje się jeszcze, że jest Abrahamem - staruszek zasapał -

Izaakiem...

- I Jakubem? - zapytał drwiąco Sacharkow.

- Tak! I Jakubem! - zapiszczał nagle Kukuszkind. - I Jakubem! Właśnie Jakubem. Żyjemy w takich nerwowych czasach... Kiedy pracowałem w kantorze bankierskim „Sikomorski i Cesarewicz”, nie zdarzały się tam żadne czystki.

Na słowo „czystki” Lapidus-junior drgnął, wziął Korejkę pod ramię i zaprowadził go do ogromnego okna, którego szybą stanowił wielobarwny witraż, przedstawiający dwóch gotyckich rycerzy.

- Ale nie wiecie jeszcze najciekawszej rzeczy o Berladze - powiedział szeptem. - Berlaga jest zdrowy jak byk.

- Jak to? Więc nie jest w domu wariatów?

- Owszem, jest w domu wariatów.

Lapidus uśmiechnął się przebiegle.

- W tym cały dowcip. Berlaga po prostu przestraszył się czystki i postanowił przeczekać niebezpieczny okres. Przyczaił się w domu wariatów. A teraz z pewnością ryczy i pąka ze śmiechu. A to spryciarz! Aż człowieka zazdrość bierze!

- Czyżby jego rodzice nie byli w porządku? Może to kupcy? Element obcy klasowo?

- I rodzice nie są w porządku i sam, między nami mówiąc, miał aptekę. Kto mógł wiedzieć, że będzie rewolucja? Każdy urządzał się, jak umiał. Jedni mieli apteki, a niektórzy nawet fabryki. Ja obojętnie widzę w tym nic złego. Kto mógł przewidzieć?

- Trzeba było przewidywać - powiedział oschle Korejko.

- Jestem tego samego zdania - zawołał skwapliwie Lapidus - dla takich ludzi nie ma miejsca w radzieckiej instytucji.

Spojrzał na Korejkę szeroko otwartymi oczami i odszedł do swego biurka.

Sala wypełniła się już urzędnikami. Powyjmowano z szuflad elastyczne, srebrzące się jak ślady metalowe linijki, liczydła, grube, poliniowane na czerwono i niebiesko księgi oraz mnóstwo innych drobnych przyborów biurowych. Tezoimienicki zerwał z kalendarza wczorajszą kartkę. Zaczął się nowy dzień pracy i jeden z urzędników wpił się już młodymi zębami w długą kanapkę z baranym pasztetem.

Korejko także usiadł przy swoim biurku. Oparł na nim ogorzałe łokcie i zaczął wpisywać jakieś dane do książki buchalteryjnej.

Aleksander Iwanowicz Korejko, jeden z najniższych rangą pracowników w „Herkulesie”, był mężczyzną w ostatnim stadium młodości - liczył lat trzydzieści osiem. Miał twarz lakowo-czerwonego koloru, żółte, pszeniczne brwi i jasne oczy. Jego angielskie wąsiki także przypominały barwą dojrzały kłós. Wyglądałby całkiem młodo, gdyby nie grube, kaprałskie zmarszczki, które żłobiły jego policzki i kark. W biurze Aleksander Iwanowicz sprawował się jak zawodowy żołnierz: nie mędrkował, był kamy, pracowity, staranny i tęp.

- On jest jakiś dziwnie skromny - mówił o nim kierownik rachuby - jakiś dziwnie uległy, jakiś nadmiernie gorliwy. Jak tylko ogłoszą pożyczkę, pierwszy pcha się z całomiesięczną pensją. I pierwszy podpisuje. A ta cała jego pensja to głupie czterdzieści sześć rubli. Ciekaw jestem, jak on może żyć za te pieniądze...

Aleksander Iwanowicz posiadał zdumiewającą umiejętność błyskawicznego mnożenia i dzielenia w pamięci wielkich trzy i czterocyfrowych liczb, co bynajmniej nie uchroniło go przed opinią osobnika ograniczonego.

- Słuchajcie, Aleksandrze Iwanowiczu - pytał sąsiad - ile będzie osiemset trzydzieści sześć pomnożone przez czterysta dwadzieścia trzy?

- Trzysta pięćdziesiąt trzy tysiące sześćset dwadzieścia osiem - odpowiadał po krótkim namyśle

Korejko.

Sąsiad nawet nie sprawdzał działania, gdyż wiedział, że tępawy Korejko nigdy się nie myli.

- Inny na jego miejscu zrobiłby karierę - mówił Sacharkow, Dreifus, Tezoimienicki, i Muzykant, i

Czewarzewska, i Borysochlebski, i Lapidus-junior, i stary głupiec Kukuszkind, a nawet zbiegły do domu wariatów buchalter Berlaga - a on tymczasem - guzik! Całe życie zmarnuje za te głupie czterdzieści sześć rubli miesięcznie!

Tymczasem koledzy Aleksandra Iwanowicza, a także kierownik rachuby towarzysz Arnikow, ba, nawet sama Serna Michajłowna, osobista sekretarka towarzysza Połychajewa, naczelnego dyrektora

„Herkulesa”, słowem wszyscy byliby bardzo zdziwieni, gdyby się dowiedzieli, że Aleksander

Iwanowicz Korejko, najpotulniejszy z urzędników, przed godziną zaledwie, z jakichś bliżej nieznanых powodów, transportował z jednego dworca na drugi walizkę, w której nie było ani spodni „Stulecie

Odessy”, ani bladej kury, ani broszurki „Zadania Komsomołu na wsi”, tylko dziesięć milionów rubli w obcej i krajowej walucie.

W 1915 roku Sasza Korejko był dwudziestotrzyletnim wałkonem zasługującym w pełni na nazwę emerytowanego gimnazysty. Szkoły realnej nie skończył, nigdzie nie pracował, wałęsał się po ulicach i był na utrzymaniu rodziców. Od służby wojskowej wykręcił go wujaszek, sekretarz komendanta okręgu wojskowego, co pozwalało mu bez strachu przysłuchiwać się okrzykom półobłąkanego gazeciarza:

- Ostatnie komunikaty! Nasi atakują! Chwała Bogu! Wielu zabitych i rannych! Chwała Bogu!

W owych czasach Sasza Korejko wyobrażał sobie przyszłość w sposób następujący: idzie po ulicy i nagle obok rynny, usianej cynkowymi gwiazdkami, tuż pod ścianą znajduje brunatny, skrzypiący jak siodło, skórzany portfel. W portfelu jest mnóstwo pieniędzy, dwa tysiące pięćset rubli... A potem już wszystko pójdzie jak z płatka.

Tak często wyobrażał sobie moment znalezienia tych pieniędzy, że nawet wiedział dokładnie, gdzie je znajdzie. Na ulicy Zwycięstwa pod Połtawą, w asfaltowym kąciku, utworzonym przez występ domu, pod gwiaździstą rynną. Tam obok przydeptanego niedopałka będzie leżał skórzany dobroczyńca, lekko przysypany zwiędłym kwieciem akacji. Sasza chodził co dzień na ulicę Zwycięstwa pod Połtawą, ale, ku wielkiemu zdumieniu, portfela nie znajdował. Rozgarniał śmieci i spoglądał bezmyślnie na przybitą obok frontowych drzwi emaliowaną tabliczkę z napisem „Inspektor podatkowy J. M.

Sołowiejski”. Następnie półprzytomny wracał do domu, rzucał się na czerwoną pluszową kanapę i z ogłuszającym biciem serca i pulsów marzył o bogactwie. Pulsy były szybko, nerwowo, niecierpliwie.

Rewolucja siedemnastego roku spędziła Korejkę z pluszowej kanapy. Sasza przeczuł, że teraz może stać się szczęśliwym spadkobiercą nieznanym bogaczy. Zorientował się, że na terenie całego kraju leży teraz nieprzebrane mnóstwo bezpieczeństwa złota, kosztowności, bezcennych mebli, obrazów, dywanów, futer i porcelany. Ale nie wolno przegapić odpowiedniego momentu i trzeba jak najprędzej dorwać się do tych skarbów.

Ale wtedy Sasza był jeszcze młody i głupi. Przywłaszczył sobie duże mieszkanie, którego właściciel rzezornie wyjechał francuskim statkiem do Konstantynopola, i jawnie w nim zamieszkał. Przez tydzień delectował się luksusem odziedziczonym po zbiegłym kupcu, pił znalezione w kredensie muszkatołowe wino, zagryzając je kartkowym śledziem, wynosił na targ różne drobiazgi i był ogromnie zdziwiony, kiedy go aresztowano.

Wyszedł z więzienia po pięciu miesiącach. Nie zrezygnował z zamiaru zostania bogaczem, ale zrozumiał, że można do tego dojść tylko ukradkiem, w mroku i powoli. Trzeba było przywdziać ochronną skórę, która zjawiała się Aleksandrowi Iwanowiczowi w postaci wysokich pomarańczowych butów, obszernych granatowych bryczesów i długiego frencza pracownika urzędu aprowizacyjnego.

W owych niespokojnych czasach wszystko, co było dziełem ludzkich rąk, zaczęło służyć gorzej niż przedtem: domy nie zabezpieczały przed zimnem, jedzenie nie syciło, światło elektryczne zapalało się tylko z okazji masowych obław na dezertów i bandytów, wodociągi dostarczały wodę tylko na niższe piętra, a tramwaje w ogóle nie kursowały. Wszystkie żywioły stały się okrutniejsze i niebezpieczniejsze: zimy były ostrzejsze niż dawniej, wiatry silniejsze, a przeziębienie, które przedtem kładło człowieka do łóżka na trzy dni, obecnie, w ciągu tych samych trzech dni, zabijało go.

Wykolejona młodzież bez zajęcia włączyła się gromadkami po ulicach i śpiewała piosenkę o pieniądzach, które straciły wartość:

Bufet, kelner, piwko, tak,

Lecz mi, psiakość, drobnych brak,

Proszę zmienić mi dziesięć milionów...

Aleksander Iwanowicz obserwował z niepokojem, jak pieniądze, które zdobywał przemyślnymi kombinacjami, stają się bezwartościowymi papierkami.

Tyfus zmiatał tysiące ludzi. Sasza handlował kradzionymi lekarstwami. Zarobił na tyfusie pięćset milionów, ale dewaluacja obniżyła w ciągu miesiąca ich wartość do pięciu milionów. Na cukrze zarobił miliard. Dewaluacja zredukowała ten miliard do zera.

Jednym z jego najbardziej w tym okresie udanych interesów była kradzież idącego nad Wołgę pociągu z artykułami spożywczymi. Korejko był komendantem tego pociągu. Pociąg odszedł z Połtawy do

Samary, ale do Samary nie doszedł, a do Połtawy nie wrócił. Przepadł w drodze bez śladu. A wraz z nim przepadł Aleksander Iwanowicz.

Rozdział V Podziemne królestwo

Pomarańczowe buty wypłynęły w Moskwie pod koniec 1922 roku. Nad butami królowała zielonkawa bekiesza na złocistym lisim futrze. Podniesiony barankowy kołnierz, przypominający od spodu pikowaną kołdrę, ochraniał przed mrozem zuchowatą gębę z sewastopolskimi baczkami. Na głowie

Aleksandra Iwanowicza tkwiła prześliczna karakułowa papacha.

Po Moskwie śmigały już wtedy nowe motory z kryształowymi reflektorami, a po ulicach spacerowali dorobkiewicz w fokowych czapkach i w paltach na cybetach. Wchodziły w modę gotyckie półbuty ze spiczastymi noskami oraz walizkowe teczki z paskami i rączkami. Słowo „obywatel” zaczynało wypierać dotychczas powszechnie używane słowo „towarzysz”, a jacyś młodzi ludzie, którzy się szybko połapali, w czym tkwi główny smak życia, tańczyli już w restauracjach one-steps „Dixy”, a nawet fokstrota „Kwiatek słońca”. Nad miastem niosły się okrzyki dorożkarzy, a w dużym budynku ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych krawiec Żurkiewicz dzień i noc szył fraki dla wyjeżdżających za granicę radzieckich dyplomatów.

Aleksander Iwanowicz stwierdził ze zdziwieniem, że jego strój, uchodzący na prowincji za ostatni krzyk elegancji i zamożności, tu, w Moskwie, jest już rażąco staromodny i rzuca niekorzystny cień na właściciela.

W dwa miesiące później na Bulwarze Sreteńskim powstał nowy zakład pod szyldem PRZEMYSŁOWA

WYTWÓRNIA PRODUKTÓW CHEMICZNYCH REWANŻ. Zakład dysponował dwoma pokojami. W pierwszym wisił portret Fryderyka Engelsa, twórcy podstaw socjalizmu, a pod nim z niewinnym uśmiechem siedział Korejko w szarym angielskim garniturze przetykanym czerwoną jedwabną nitką.

Znikły pomarańczowe buty i pospolite baczki. Policzki Aleksandra Iwanowicza były starannie wygolone. W tylnym pokoju mieściła się wytwórnia. Stały tam dwie dębowe beczki z manometrami i wodowskazami: jedna na dole, druga na antresoli. Beczki były połączone cienką gumową rurką, przez którą spływał z bulgotem jakiś płyn. Kiedy

wszystek płyn z górnego zbiornika znalazł się w zbiorniku dolnym, do lokalu wytwórni wchodził chłopiec w walonkach. Wzdychając zupełnie nie po dziecinności, chłopiec nabierał do wiadra płynu z dolnej beczki, wnosił go na antresolę i wlewał do górnej beczki. Po zakończeniu tego skomplikowanego procesu produkcyjnego chłopiec szedł rozgrzać się do biura, a w gumowej rurce znowu rozlegało się bulgotanie: ciecz odbywała swoją monotonną ędrówkę z górnego rezerwuaru do dolnego.

Aleksander Iwanowicz sam nie wiedział dokładnie, jakiego rodzaju chemikalia produkowane są w wytwórni „Rewanż”. Brak mu było czasu zastanawiać się nad chemikaliami. I tak miał za dużo roboty. Jeździł z banku do banku, zabiegając o pożyczki na rozszerzenie przedsiębiorstwa. W zreszeniach zawierał umowy na dostawę produktów chemicznych i otrzymywał surowce po sztywnych cenach. Pożyczki także otrzymywał. Mnóstwo czasu zajmowała mu sprzedaż przydziałowego surowca fabrykom państwowym po dziesięciokrotnie wyższej cenie. Mnóstwo energii pochłaniały też transakcje walutowe na czarnej giełdzie pod pomnikiem bohaterów spod

Plewny.

Po upływie roku banki i zreszenia zapragnęły dowiedzieć się, jaki wpływ na rozwój wytwórni

„Rewanż” wywarła udzielona jej pomoc finansowa i surowcowa oraz przekonać się, czy rzetelne przedsiębiorstwo prywatne nie potrzebuje jakiejś dodatkowej pomocy. Komisja, obwieszona uczonymi brodami, przybyła do wytwórni „Rewanż” trzema dorożkami. Przewodniczący komisji długo przypatrywał się w pustym biurze obojętnej twarzy Engelsa i stukał laską w drewnianą barierkę, przywołując kierowników i pracowników wytwórni. W końcu drzwi lokalu produkcyjnego otworzyły się i przed obliczem komisji stanął zapłakany chłopiec z wiadrem w ręku.

Z rozmowy z młodym przedstawicielem „Rewanżu” okazało się, że produkcja jest w pełnym toku, natomiast kierownik już od tygodnia się nie pokazuje. W lokalu produkcyjnym komisja zabawiła się długo. Ciecz, która tak mozolnie bulgotała w gumowej rurce, smakiem, barwą tudzież składem chemicznym przypominała zwykłą wodę, którą też w istocie rzeczy była. Po stwierdzeniu tego niewiarygodnego faktu przewodniczący komisji powiedział: „hm” i popatrzył na członków, którzy także powiedzieli: „hm”. Potem przewodniczący spojrzawszy z bolesnym uśmiechem na chłopca i zapytał:

- He masz lat?

- Skończyłem dwanaście - odpowiedział chłopiec.

I zaniósł się tak rozdzierającym płaczem, że członkowie komisji wybiegli w popłochu na ulicę, wsiedli do dorożek i odjechali bardzo zakłopotani.

Wszystkie operacje handlowe wytwórni „Rewanż” zostały wciągnięte do ksiąg bankowych i zreszeniowych na „Rachunek zysków i strat” i umieszczone w rubryce, gdzie nie ma mowy o żadnych zyskach, bowiem jest ona całkowicie poświęcona stratom.

W tym samym dniu, w którym komisja prowadziła doniosłą rozmowę z chłopcem w biurze przedsiębiorstwa „Rewanż”, Aleksander Iwanowicz Korejko wysiadł z wagonu sypialnego w niewielkiej, słynącej z winnic republice, odległej o trzy tysiące kilometrów od Moskwy.

Korejko otworzył okno w pokoju hotelowym i ujrzał miasteczko w oazie, z bambusowym wodociągiem, z mizerną glinianą twierdzą, miasteczko kipiące azjatyckim rozgwarem, odgrodzone rzędami topoli od piasków pustyni.

Nazajutrz dowiedział się, że republika przystąpiła do budowy elektrowni. Dowiedział się również, że brak jest ciągle na ten cel funduszków i że prace budowlane, od których zależy przyszłość republiki, mogą ulec zawieszeniu.

Dzielny prywatny przedsiębiorca postanowił przyjść republice z pomocą. Obuł znowu pomarańczowe buty, włożył mykę na głowę, wziął pod pachę wypchaną teczkę i udał się do zarządu budowy.

Nie spotkał się tam ze zbyt entuzjastycznym przyjęciem, ale zachowywał się z wielką godnością, o nic dla siebie nie prosił i w rozmowach kładł główny nacisk na to, że elektryfikacja zacofanych okęgów leży mu bardzo na sercu.

- Brak wam pieniędzy na budowę - mówił. - Ja wam te pieniądze zdobęde.

I zaproponował zorganizowanie przy budowie elektrowni pomocniczego przedsiębiorstwa dochodowego.

- Czy może być coś prostszego? Będziemy sprzedawali karty pocztowe z widokami budującej się elektrowni; przyniesie to nam środki finansowe, potrzebne na pokrycie kosztów budowy. Weźcie pod uwagę, że nie będziecie mieli żadnych rozchodów, tylko sam czysty dochód.

Aleksander Iwanowicz energicznie wymachiwał rękami, słowa jego brzmiały przekonywająco, projekt był trafny i korzystny. Po zawarciu umowy, na mocy której miał otrzymywać czwartą część zysków z widokówkowego przedsiębiorstwa, Korejko przystąpił do pracy.

Oczywiście na pierwsze wydatki potrzebne były pieniądze. Trzeba je było wziąć z kapitału przeznaczonego na budowę. Innych pieniędzy republika nie posiadała.

- To drobiazg! - pocieszał Korejko budowniczych. - Zobaczycie, od tej chwili będziecie już tylko inkasowali.

Aleksander Iwanowicz wybrał się konno do wąwozu, gdzie wznosiły się już betonowe równoległoboki przyszłej elektrowni, i jednym rzutem oka ocenił malowniczość porfirowych skał. Za nim przyjechali na linijce fotografowie. Obstawili budowę ze wszystkich stron szrudłowatymi statywami, dali nura pod czarne płachty i długo pstrykali. Kiedy wszystko zostało już utrwalone na kliszach, jeden z fotografów ściągnął z głowy płachtę i odezwał się roztropnie:

- Szkoda, że nie budują tej elektrowni bardziej na lewo, na tle klasztornych ruin; wyglądałaby tam znacznie bardziej malowniczo.

Postanowiono możliwie jak najszybciej wybudować własną drukarnię, aby rozpocząć wreszcie produkcję widokówek. Pieniądze, podobnie jak za pierwszym razem, wzięto z funduszków przeznaczonych na budowę elektrowni. Z tego powodu trzeba było zawiesić niektóre prace na budowie. Ale wszyscy pocieszali się tym, że dochody z nowego przedsiębiorstwa pozwolą nadrobić stracony czas.

Przystąpiono do budowy drukarni w tym samym wąwozie, w którym budowano elektrownię.

Niebawem w pobliżu betonowych równoległoboków elektrowni zaczęły wyrastać betonowe równoległoboki drukarni. Stopniowo beczki z cementem, żelazne pręty, cegła i żwir zostały przetransportowane z jednego końca wąwozu w drugi. Następnie przenieśli się też na nową budowę robotnicy, gdyż płacono tu wyższe stawki. Po upływie pół roku na wszystkich stacjach i przystankach kolejowych pojawili się kolporterzy w pasiastych spodniach. Sprzedawali pocztówki przedstawiające wspaniałe budowle na tle skał

winorodnej republiki. W ogródkach restauracyjnych, w teatrach kinach, na pokładzie statków i w uzdrowiskach dziewczęta-owieczki obracały oszklone bębny filantropijnej loterii. Każdy los na tej loterii wygrywał, a wszystkie wygrane - to były po prostu pocztówki z widokiem elektrycznego wąwozu.

Zapowiedzi Korejki spełniły się - ze wszystkich stron napływały dochody. Ale Aleksander Iwanowicz nie wypuszczał ich ze swoich rąk. Czwartą ich część, zgodnie z umową, zatrzymywał dla siebie: drugie dwadzieścia pięć procent inkasował do własnej kieszeni, powołując się na to, że jeszcze nie wszystkie placówki kolportażu wyliczyły się z wpływów, a resztę pieniędzy zużywał na rozbudowę filantropijnego kombinatu.

- Musimy być dobrymi gospodarzami - mówił łagodnie. - Kiedy we właściwy sposób rozbudujemy nasze przedsiębiorstwo, wtedy dopiero zaczną wpływać prawdziwe dochody.

W owym czasie koparka „Marion”, wycofana z terenu budowy elektrowni, wykopywała głębokie doły pod fundamenty nowego oddziału drukarni. Prace przy budowie elektrowni zamarły. Pracownicy opuścili teren budowy. Uwijali się po nim już tylko fotografowie wymachując czarnymi płachtami.

Interesy kwitły i Aleksander Iwanowicz, z twarzy którego ani na chwilę nie schodził uczciwy radziecki uśmiech, przystąpił do drukowania pocztówek z podobiznami artystów filmowych.

Pewnego wieczora, zgodnie z obyczajem, przyjechała rozklekotanym samochodem komisja kontroli.

Aleksander Iwanowicz, nie tracąc czasu, obrzucił pożegnalnym spojrzeniem popękane fundamenty elektrowni, okazały, imponujący budynek przedsiębiorstwa pomocniczego i dał drapaką.

- Hm! - rzekł przewodniczący, dłubiąc łaską w pęknięciach fundamentów. - A gdzież ta elektrownia?

Popatrzył na członków komisji, którzy z kolei także powiedzieli: „hm”. Elektrowni nie było.

Za to w budynku drukarni komisja zastała robotę w pełnym toku. Świeciły niebieskie żarówki, a płaskie maszyny drukarskie machały gorliwie skrzydłami. Trzy z tych maszyn drukowały czarno-białe widoczki wąwozu, a z czwartej, jak karty z rękawa szulera, wylatywały kolorowe pocztówki z wizerunkami Douglasa Fairbanka w czarnej masce na błyszczącej jak samowar twarzy, czarującej Lii de Putti oraz słynnego zucha o wyłupiastych oczach, znanego pod nazwiskiem Monty

Banksa.

Od owego pamiętnego wieczoru w wąwozie pod gołym niebem toczyły się przez czas dłuższy procesy pokazowe, ale Aleksander Iwanowicz powiększył swój kapitał o pół miliona rubli.

Jego nerwowe pulsy tętniły nadal niespokojnie i niecierpliwie. Korejko czuł, że właśnie teraz, kiedy stary system gospodarczy runął, a nowy stawia pierwsze kroki, można zbić wielki majątek. Ale równocześnie zdawał sobie sprawę z tego, że w Związku Radzieckim niepodobna wzbogacić się jawnie i oficjalnie. I z uśmiechem wyższości spoglądał na nielicznych nepmanów wykańczających się stopniowo pod szyldami: „Sklep materiałów łokciowych. B. A. Lejbiediew”, „Złotogłów i wszelkie utensylia dla cerkwi i świetlic” lub „H. Robinson i M. Piątek. Sklep kolonialny”.

Pod naporem przykręcanej wciąż śruby podatkowej chwieją się finansowe fundamenty Lejbiediewa i

Piątka i właściciele pseudo-spółdzielni „Dźwięki tamburina”, sprzedającej instrumenty muzyczne.

Korejko zorientował się, że obecnie możliwy jest tylko handel nielegalny, prowadzony w głębokiej konspiracji. Wszystkie kryzysy, wstrząsające nową gospodarką, przynosiły mu korzyści, wszystko, na czym państwo traciło, dawało mu dochody. Wciskał się w każdą towarową lukę i z każdej wyciągał swoje sto tysięcy. Handlował produktami spożywczymi, materiałami łokciowymi, cukrem, słowem

- wszystkim. I sam jeden był gospodarzem swoich milionów. Wprawdzie na różnych krańcach kraju pracowali na niego różni więksi i mniejsi kombinatory, ale żaden z nich nie wiedział, na kogo pracuje.

Korejko działał wyłącznie przez osoby podstawione. I tylko on jeden zdawał sobie sprawę z długości łańcuszka, przez którego ogniwa wędrowały do jego kieszeni pieniądze.

Punktualnie o dwunastej Aleksander Iwanowicz odsunął na bok księgę buchalteryjną i zabrał się do śniadania. Najpierw wyjął z szuflady oskrobaną surową rzepę i spożył ją z całą powagą. Następnie zjadł zimne jajko na miękko. Zimne jajko na miękko jest, jak wiadomo, bardzo niesmaczne i żaden rozsądny człowiek nie jada jajek w tej postaci. Ale Aleksander Iwanowicz nie jadał, Aleksander

Iwanowicz odżywiał się. Aleksander Iwanowicz kierował procesem fizjologicznym polegającym na wprowadzaniu do organizmu odpowiedniej ilości tłuszczów, węglowodanów tudzież witamin.

Wszyscy pracownicy „Herkulesa” pili do śniadania herbatę; Aleksander Iwanowicz wypijał szklankę gorącej wody z kostką cukru. Herbata działa pobudzająco na serce, a Korejko bardzo dbał o zdrowie.

Posiadacz dziesięciu milionów przypominał boksera, przygotowującego się do decydującego zwycięstwa. Bokser taki prowadzi specjalny tryb życia, stosuje dietę, nie pije i nie pali, unika zdenerwowania, gimnastykuje się i wcześniej chodzi spać - a wszystko w tym celu, żeby w oznaczanym dniu odnieść na jasno oświetlonym ringu wspaniały sukces. Aleksander Iwanowicz pragnął zachować młodość i pełnię sił do dnia, kiedy wróci to, co było dawniej, kiedy będzie mógł wyjść z gospodarczego podziemia i otworzyć bezkarnie swoją pospolitą walizeczką. A co do tego, że dawne czasy wrócą, Korejko nie miał najmniejszej wątpliwości. Konserwował się dla kapitalizmu.

Ażebym nikt nie zdekonspirował jego drugiego, prawdziwego życia, Korejko wiódł żywot biedaka, starając się wegetować w ramach czterdziestosześciorublowej pensji, którą otrzymywał za beznadziejnie nudną pracę w wydziale finansowym, ozdobionym menadami, driadami i najadami.

Rozdział VI „Antylopa-Gnu”

Zielona landara z czterema cwaniakami mknęła podskakując na wybojach po zakurzonej szosie.

Samochód podlegał tym samym żywiołowym siłom, jakie miotają pływakiem kąpiącym się w morzu podczas sztormu. Podrzucało nim na wybojach, wciągało w dziury, zarzucało go na prawo i lewo, spowijało kłębami kurzu, czerwonego w blaskach zachodu.

- Słuchaj no, obywatelu studencie - odezwał się Ostap do nowego pasażera, który ochłonał już z niedawnych emocji i siedział beztrząsowo obok komandora - jakim prawem naruszył pan konwencję sucharewską, ów szacowny pakt zatwierdzony przez trybunał Ligi Narodów?

Panikowski udał, że nie słyszy i wręcz odwrócił się w przeciwną stronę.

- W ogóle stosuje pan niedozwolone chwytaki - ciągnął dalej Ostap. - Niedawno byliśmy świadkami gorszącej sceny. Widzieliśmy, jak zmykał pan z ukradzioną gęsią przed pościgiem mieszkańców

Arbatowa.

- To są nędzne kreatury! - mruknął gniewnie Panikowski.

- Ach, tak? - rzekł Ostap. - A pan uważa się pewnie za lekarza chorób społecznych i dżentelmena? Jeśli jednak, jako prawdziwemu dżentelmanowi, przyjdzie panu ochota robić notatki na mankietach, będzie je pan musiał pisać kredą.

- Dlaczego? - zapytał z rozdrażnieniem nowy pasażer.

- Dlatego, że pańskie mankiety są zupełnie czarne. Czy to przypadkiem nie od brudu?

- Jest pan nędzna kreatura! - oświadczył kategorycznie Panikowski.

- Do kogo się tak przemawia? Do swego zbawcy? - zapytał ostro Ostap. - Adamie Kazimirowiczu, proszę zatrzymać na chwilę wóz. Dziękuję. Szura, bądź łaskaw przywrócić status quo.

Bałaganów nie wiedział wprawdzie, co to znaczy „status quo”, ale domyślił się z intonacji głosu

Ostapa. Uśmiechając się złośliwie, chwycił Panikowskiego pod pachy, wyciągnął go z samochodu i posadził na szosie.

- Wracaj do Arbatowa, obywatelu studencie - rzekł bezlitośnie Ostap - właściciele gęsi oczekują tam pana niecierpliwie. A chamów nam tu nie potrzeba. Sami jesteśmy chamy. Odjazd.

- Już więcej nie będę! - zawołał błagalnym głosem Panikowski. - Jestem strasznie narwany.

- Padnij na kolana! - rozkazał Ostap.

Panikowski ukląkł tak gwałtownie, jakby mu ktoś podciął nogi.

- W porządku! - rzekł Ostap. - Ta poza daje mi pełną satysfakcję. Przyjmujemy pana warunkowo, do pierwszego wypadku naruszenia dyscypliny. Równocześnie nakładamy na pana obowiązek oddawania nam wszelkich potrzebnych usług i posług.

„Antylopa-Gnu” ponownie przyjęła na swoje łono poskromionego chama i pomknęła dalej, kołyszając się jak karawan.

Po upływie pół godziny samochód skręcił na szosę nowozajcewską i, nie zwalniając biegu, wjechał między domy jakiejś wsi. Przed domem z okrągłaków, na którego dachu rosła krzywa i sękata antena radiowa, stał tłum ludzi. Z tłumu wystąpił energicznie mężczyzna z wklęsłą brodą. W rękę trzymał kartkę papieru.

- Towarzysze! - zawołał groźnym tonem. - Otwieram uroczysty wiec! Te oklaski, towarzysze, traktuję jako...

Widocznie mowę miał z góry przygotowaną i właśnie chciał zerknąć na kartkę, kiedy spostrzegł, że samochód nie zatrzymuje się, i machnął ręką na krasomówcze popisy.

- Frontem do samochodu, towarzysze! - zawołał z pośpiechem, patrząc na przejeżdżającego właśnie

Ostapa. - Rozwiniemy seryjną produkcję radzieckich samochodów. Żelazny rumak zastąpi chłopską szkapę.

I przekrzykując gwar tłum, rzucił za oddalającym się samochodem ostatnie z przygotowanych haseł:

- Samochód nie jest przedmiotem zbytku, tylko środkiem lokomocji!

Wszyscy „antylopowcy”, z wyjątkiem Ostapa, byli nieco zaniepokojeni tą owacją. Nic z niej nie rozumieli i wiercili się w samochodzie jak wróbelki w gniazdku. Panikowski, który z zasady nie lubił wszelkich większych skupisk uczciwych ludzi, przykucnął ze strachu na dnie samochodu i mieszkańcy wsi mogli oglądać tylko brudny wierzch jego słomkowego kapelusza. Ale Ostap wcale się nie spieszył.

Zdjął czapkę z białym denkiem i w odpowiedzi na owację, kłaniał się z godnością na prawo i lewo.

- Naprawiajcie drogi! - zawołał na pożegnanie. - Dziękujemy za przyjęcie!

I samochód znowu znalazł się na białej drodze, przecinającej rozległe, pogrążone w ciszy pole.

- Czy nie będą nas gonili? - zapytał niespokojnie Panikowski. - Po co takie zbiegowisko? Co się stało?

- Ci ludzie po prostu nigdy w życiu nie widzieli samochodu - rzekł Bałaganów.

- Wymiana opinii trwa dalej - oświadczył Bender. - Oddaję głos kierowcy. Jakie jest pańskie zdanie na ten temat, Adamie Kazimirowiczu?

Szofer pomyślał, postraszył dźwiękami maczicy psa, który wyskoczył znienacka na drogę, i wyraził przypuszczenie, że tłum zebrał się z okazji jakiegoś cerkiewnego święta.

- Na wsiach często obchodzi się tego rodzaju uroczystości - wyjaśnił kierowca „Antylopy”.

- Tak - rzekł Ostap. - Teraz dopiero widzę, że wpadłem w towarzystwo ludzi bez kultury - czyli łachudrów bez wyższego wykształcenia. Ach, dzieci, kochane dzieci lejtnanta Szmidta, dlaczego nie czytujecie gazet? Gazety trzeba koniecznie czytywać. Trafiają się tam często całkiem rozsądne, pożyteczne i doniosłe wiadomości.

Ostap wyjął z kieszeni „Izwestia” i przeczytał na głos załodze „Antylopy” wzmiankę o wyścigu samochodowym na trasie: Moskwa - Charków - Moskwa.

- Znajdujemy się obecnie - rzekł z dumą - na trasie wyścigu, wyprzedzając o jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów samochód, który prowadzi wyścig. Mam nadzieję, że domyślacie się, co chcę przez to powiedzieć?

Niższe szarże załogi „Antylopy” milczały. Panikowski rozpiął marynarkę i podrapał się w nagą pierś osłoniętą brudnym jedwabnym krawatem.

- Jeszcze nie kapujecie? Okazuje się, że w pewnych wypadkach nawet czytanie gazet na nic się nie przydaje. No, dobrze, wyłuszczę sprawę bardziej szczegółowo, choć nie leży to w moim zwyczaju. Po pierwsze: chłopci wzięli „Antylopę” za samochód prowadzący wyścig. Po drugie: nie będziemy prostowali tej pomyłki, przeciwnie, będziemy się

zwracali w drodze do wszelkich organizacji i poszczególnych osób z prośbą o przysługującą nam pomoc, podkreślając na każdym kroku, że jesteśmy właśnie tym prowadzącym samochodem. Po tuziecie... zresztą te pierwsze dwa punkty powinny wam wystarczyć. Domyślacie się już chyba, że spróbujemy utrzymać się przez jakiś czas na czele wyścigu, zbierając piankę i śmietankę z tej szlachetnej i kulturalnej imprezy.

Przemówienie wielkiego kombinatora wywarło olbrzymie wrażenie. Kozlewicz rzucał na komandora spojrzenia pełne czci i oddania. Bałaganów targał swoje rude kudły i zanosił się od śmiechu.

Panikowski, czując przedsmak wielu bezkarnych grand, wrzeszczał: „Hura!”

- No, dość tych wzruszeń! - rzekł Ostap. - W związku z zapadającym zmrokiem otwieram dzisiaj wieczór. Stop!

Samochód zatrzymał się i znużeni podróżni wysiedli. W dojrzewającym zbożu koniki polne wykuwały swoje skromne szczęście. Pasażerowie siedzieli już kręgiem na brzegu szosy, a w starej „Antylopie” wciąż jeszcze się gotowało: to znieścacka trzasnęło w karoserii, to z nagła brzęknęło coś w motorze.

Niedoświadczony Panikowski rozpałił ognisko tak wielkie, jak by płonęła cała wieś. Ogień z traskiem zaczął się gwałtownie rozszerzać. W czasie kiedy podróżni usiłovali zlokalizować pożar, Panikowski głową wtuloną w ramiona pobiegł na pole i wrócił z ciepłym, krzywym ogórkiem w garści. Ostap zrybkim ruchem wyrwał mu z ręki ogórek i rzekł:

- Jedzenie nie jest w życiu najważniejsze.

Po czym sam zjadł ogórek. Pożywili się kielbasą, którą zabrał z domu zapobiegliwy Kozlewicz, i ułożyli się do snu pod gołym niebem.

- Przygotuj się pan! - powiedział o świcie Ostap do Kozlewicza. - Pańskie zmotoryzowane koryto nie widziało jeszcze takiego dnia, jaki nas dziś czeka, i nigdy już nie zobaczy.

Bałaganów złapał cylindryczny kubek z napisem: „Arbatowski dom położniczy” i pobiegł do rzeczutki po wodę.

Adam Kazimirowicz podniósł maskę samochodu i pogwizdując, zaczął grzebać w mosiężnych wnętrznościach silnika.

Panikowski oparł się plecami o koło samochodu i bez zmrużenia oka wpatrywał się smętnie w żurawinowy skrawek wschodzącego słońca. W słonecznym blasku widać było pomarszczoną twarz

Panikowskiego z mnóstwem atrybutów starości w postaci worków pod oczami, nabrzmiałych żył i truskawkowych rumieńców. Tego rodzaju twarze miewają zazwyczaj ludzie, którzy przeżyli solidnie długie lata, mają dorosłe dzieci, piją na śniadanie zdrową kawę żołądźkową i podpisują się w gazetce ściennej w swoim zakładzie pracy pseudonimem „Antychryst”.

- Czy chciałby pan wiedzieć, panie Panikowski, jakiego rodzaju śmierć pana czeka? - odezwał się niespodziewanie Ostap.

Panikowski drgnął i odwrócił się.

- Umrze pan w sposób następujący: pewnego dnia po powrocie do pustego i zimnego pokoju w hotelu „Marseille” (będzie to w jakimś powiatowym mieście, do którego zapędzą pana zajęcia zawodowe) poczuje się pan źle i straci pan władzę w jednej

nodze. Będzie pan leżał głodny, nie ogolony, na drewnianym wyrku i nikt panu nie udzieli pomocy. Nikt się panem nie zaopiekuje. Przez egoizm nie miał pan dzieci, a żony pan porzucił. Będzie się pan męczył przez cały tydzień. Agonia będzie straszna. Będzie pan konał a konał, aż się to wszystkim znudzi. I jeszcze nim pan umrze, biurokrata zarządzający hotelem napisze już do wydziału gospodarki komunalnej o wydanie bezpłatnej trumny dla... Jak panu na imię?

- Michał Samuelewicz - odpowiedział wstrząśnięty Panikowski.

- ...o wydanie bezpłatnej trumny dla obywatela M. S. Panikowskiego. Ale proszę nie rozpaczć.

Pociągnie pan jeszcze ze dwa lata. A teraz do rzeczy. Musimy pomyśleć o kulturalno-propagandowej stronie naszej wyprawy.

Ostap wyjął z samochodu swoją akuszerską torbę i położył ją na trawie.

- To jest moja prawa ręka - rzekł wielki kombinator, poklepując torbę po wypchanych bokach. - Mam tu wszystko, co może się przydać eleganckiemu facetowi w moim wieku i z moją fantazją.

Bender przykucnął nad torbą, jak wędrowny chiński sztukmistrz nad swoim czarodziejskim workiem, i zaczął z niej wyciągać różne przedmioty. Najpierw wyjął czerwoną opaskę, na której złotymi literami wypisane było słowo: „organizator”. Potem spoczęła na trawie milicyjna czapka z herbem miasta

Kijowa, cztery talie kart o jednakowych koszulkach i paczka dokumentów z okrągłymi fioletowymi pieczęciami.

Cała załoga „Antylopy-Gnu” z nabożeństwem przyglądała się torbie. Wyłaniały się z niej przedmioty coraz osobliwsze.

- Ponieważ jesteście naiwniacy, nigdy nie zdołacie zrozumieć - mówił Ostap - dlaczego uczciwy radziecki pątnik w moim rodzaju nie może się obejść bez fartucha lekarskiego.

Okazało się, że prócz fartucha w torbie znajduje się też stetoskop.

- Nie jestem chirurgiem - wyjaśniał Ostap - jestem neuropatologiem i psychiatrą. Badam dusze moich pacjentów. Ale, diabli wiedzą czemu, nawijają mi się ciągle wyjątkowo głupie dusze.

Następnie ujrzały światło dzienne: elementarz dla głuchoniemych, pocztówki na cele dobroczynne, emaliowane odznaki i afisze przedstawiające Ostapę Bendera w szarawarach i turbanie. Afisz opiewał, co następuje:

PRZYJECHAŁ ARCYKAPŁAN

(słynny bramin-yoga z Bombaju) syn Krepysza ulubieniec Rabindranata Tagore

JOKAHAAN MARUSIDZE

(zasłużony artysta republik radzieckich)

Popisy w stylu Sherloka Holmesa.

Indyjski fakir. Niewidzialna kokoszka.

Pochodnie Atlantydy. Piekielny namiot.

Prorok Samuel odpowiada na pytania publiczności.

Materializacja duchów i rozdawnictwo słoń.

Bilety od 50 kop. do 2 rb.

Po afiszu ukazał się brudny, poplamiony turban.

- Tego rodzaju sztuką posługuję się bardzo rzadko - rzekł Ostap. - Wyobraźcie sobie, że na arcykapłana nabierają się najłatwiej takie czołowe jednostki, jak kierownicy klubów kolejarskich. Jest to praca łatwa, ale nieprzyjemna. Nie cierpię być ulubieńcem Rabindranata Tagore. A prorokowi

Samuelowi zadają stale te same pytania: „Dlaczego w sklepach nie ma masła?” albo: „Czy jesteście

Żydem?”

W końcu Ostap znalazł to, czego szukał: blaszane, lakierowane pudełko z farbami wodnymi w porcelanowych miseczkach i dwa pędzelki.

- Samochód, który prowadzi wyścig, musi być ozdobiony przynajmniej jednym transparentem - powiedział Ostap. I na wyjętym z tejże samej torby długim pasie żółtawego płótna namalował drukowanymi literami brązowy napis:

SAMOCODEM PO BEZDROŻACH I WYBOJACH!

Hasło to umieszczono na dwóch drążkach nad samochodem. Z chwilą kiedy samochód ruszył, transparent wydał się na wietrze i nabrał tak bojowego wyglądu, że nie mogło już być żadnych wątpliwości, iż samochód pokona nie tylko bezdroża i wyboje, ale może nawet przejawy biurokracji.

Pasażerowie „Antylopy” zakrzętnęli się koło swojego wyglądu. Bałaganów wdział na rudą głowę czapkę, którą zwykle nosił w kieszeni. Panikowski wyrócił mankiety na drugą stronę i wyciągnął je z rękawów na dwa centymetry. Kozlewicz troszczył się bardziej o wygląd samochodu, niż o swój własny. Przed wyruszeniem w drogę wypucował wóz i w pogiętych błotnikach „Antylopy” odbiło się słońce. Sam komandor uśmiechał się wesoło i pokpiwał z towarzyszy podróży.

- Na lewo od burty - wieś! zawołał Bałaganów, przykładając dłoń do czoła. - Czy robimy postój?

- Za nami jedzie pięć doskonałych samochodów - odparł Ostap. - Spotkanie z nimi nie leży w naszych zamierzeniach. Musimy czym prędzej zbierać śmietankę. Toteż najbliższy postój wyznaczam dopiero w Udojewie. Tam zresztą powinna na nas czekać beczka z benzyną. Gazu, Kazimirowiczu!

- A czy odpowiadać na owacje? - zauważył zakłopotany Bałaganów.

- Owszem, ukłonami i uśmiechami. Ale gęby nie otwierać, bo można palnąć jakieś głupstwo.

Wieś życzliwie przywitała wyścigowy samochód. Ale przysłowiowa gościnność miała tu dość osobliwy charakter. Najwidoczniej mieszkańcy wsi byli uprzedzeni, że ktoś będzie przejeżdżał, ale nie wiedzieli kto, ani po co. Dlatego też na wszelki wypadek wyciągnięto z lamusa wszystkie hasła i slogany wystawiane na widok publiczny we wsi w ciągu kilku ostatnich lat. Wzdłuż ulicy stały dzieci ze szkoły z przebrzmiałymi hasłami rozmaitego autoramentu: „Niech żyje Liga i jej założyciel, drogi towarzysz

Kierzencew”, „Burżuazja nas nie pokona, odpowiemy na ultimatum Curzona”. „Nie chcąc kłaść swych dzieci w grobki, organizujemy żłobki”. Oprócz tego wiejską ulicę zdobiło mnóstwo plakatów, na których cerkiewno-słowiańskim pismem widniało słowo: „Witajcie!”

Nasi podróżni szybko przemknęli między tymi dekoracjami. Tym razem już śmiało wymachiwali kapeluszami. Pasikowski nie wytrzymał i mimo zakazu, stanął w samochodzie i wrzasnął jakieś niezrozumiałe i mętne pod względem politycznym zdanie powitalne. Ale zdanie to utonęło w warkocie silnika i okrzykach tłumu.

- Hip-hip-hura! - zawołał Ostap.

Kozlewicz otworzył tłumik i samochód wypuścił smugę niebieskiego dymu, od którego wszystkie obszczekujące psy zaczęły kichać.

- Jak stoimy z benzyną? - zapytał Ostap. - Czy do Udojewa wystarczy? Zostało nam jeszcze trzydzieści kilometrów. Zaopatrzmy się tam we wszystko.

- Powinno wystarczyć - odpowiedział z powątpiewaniem Kozlewicz.

- Ostrzegam - rzekł Ostap, mierząc surowym spojrzeniem swoich podkomendnych - że nie będę tolerował wypadków maruderstwa. Nie może być mowy o jakimkolwiek naruszaniu prawa. Sam poprowadzę defiladę.

Panikowski i Bałaganów zmieszali się.

- Mieszkańcy Udojewa z własnej woli dadzą nam wszystko, co nam będzie potrzebne. Zaraz się o tym przekonacie. Przygotujcie miejsce na chleb i sól.

„Antylopa” przebyła trzydzieści kilometrów w ciągu półtorej godziny. Na ostatnim kilometrze

Kozlewicz robił, co mógł, dodawał gazu i rozpaczliwie potrząsał głową. Ale wszystkie jego wysiłki wspierane okrzykami Bałaganowa nie dały żadnego rezultatu. Projektowany przez Adama

Kazimirowicza wspaniały finisz nie udał się z powodu braku benzyny. I samochód utknął haniebnie na środku ulicy na sto metrów przed trybuną, przybraną girlandami z choiny na cześć dzielnych automobilistów.

Zebrani koło trybuny wybiegli z głośnym krzykiem na spotkanie przybywającego z pomroki wieków

Laurent-Dietricha. I oto kłujące ciernie sławy wbiły się w szlachetne czoła podróżnych. Wyciągnięto ich brutalnie z samochodu i zaczęto bujać ich i podzucać do góry z taką gwałtownością, jakby byli topielcami, których trzeba za wszelką cenę wydrzeć z objąć śmierci.

Kozlewicz został przy samochodzie, a wszystkich pozostałych zaciągnięto na trybunę, gdzie zgodnie z planem miał się odbyć błyskawiczny trzygodzinny wiec. Do Ostapa docisnął się jakiś młody mężczyzna o wyglądzie szofera i zapytał:

- A gdzie reszta samochodów?

- Zostały w tyle - odpowiedział pogodnie Ostap. - Opony, defekty, entuzjastyczne owacje. Wszystko to zatrzymuje w drodze.

- Jedziecie w komandorskim wozie? - nie dawał za wygraną kierowca-amator. - Czy Kleptunow jest z wami?

- Kleptunowa wycofałem z wyścigu - odpowiedział niecierpliwie Ostap.

- A profesor Piesocznikow? Jedzie Packardem, prawda?

- Prawda.

- A literatka Wiera Kruc? - dopytywał się półszofer. - Chciałbym ją zobaczyć. A także towarzysza

Nieżyńskiego. A może jedzie z wami?

- Dajcie mi spokój. Jestem zmęczony wyścigiem - rzekł Ostap.

- Jedziecie Studebackerem?

- Możecie uznać naszą maszynę za Studebackera - rzekł ze złością Ostap - ale dotychczas nazywała się

Laurent-Dietrich. Czy wam to wystarczy?

Ale szoferowi-amatorowi to nie wystarczyło.

- Przepraszam - zawołał z młodzieńczym natręctwem - przecież w wyścigu nie bierze udziału żaden

Laurent-Dietrich. Czytałem w gazecie, że jadą dwa Packardy, dwa Fiaty i jeden Studebacker.

- A idźcie do jasnej cholery ze swoim Studebackerem! - ryknął Ostap. - Któż to jest ten Studebacker?

Czy to wasz krewny? A może Studebacker to wasz papa? Czego się mnie czepiacie? Przecież mówię wyraźnie, że w ostatniej chwili na miejsce Studebackera do wyścigu stanął Laurent-Dietrich, a on mi tu zawraca gitarę Studebackerem!

Organizatorzy dawno już odepchnęli młodzieńca, a Ostap długo jeszcze wymachiwał rękami i warczał:

- Znacwa! Takich znawców trzeba tępić i mordować! Studebackera mu się zachciało!

Przewodniczący komitetu powitalnego uczestników wyścigu namotał w swoim przemówieniu tak długi łańcuch zdań podrzędnych, że przez pół godziny nie mógł się z niego wyplątać. Komandor wyścigu przetrwał ten okres w stanie gorączkowego niepokoju, obserwując z wyżyn trybuny podejrzaną ruchliwość Bałaganowa i Panikowskiego, którzy mader gorliwie uwijali się w tłumie.

Bender tak długo przewracał groźnie oczami, aż w końcu przygwoździł do ziemi niesforne dzieci lejtnanta Szmidta.

- Towarzysze - oświadczył Ostap Bender w odpowiedzi na powitalne przemówienie - jestem szczęśliwy, że dane mi było zakłócić dźwiękami syreny samochodowej patriarchalną ciszę miasta

Udojewa. Samochód, towarzysze, to nie przedmiot zbytku, to środek lokomocji. Żelazny rumak musi zastąpić chłopską szkapę. Uruchomimy seryjną produkcję radzieckich samochodów. Przejedziemy się samochodem po bezdrożach, zacołaniu i niedołęstwie. Skończyłem, towarzysze. Przekąsimy coś niecoś i wyruszymy w dalszą drogę.

W czasie kiedy skupiony nieruchomo koło trybuny tłum przysłuchiwał się słowom komandora,

Kozlewicz rozwinął żywą działalność. Napełnił bak benzyną, która, zgodnie z przewidywaniem Ostapa, była najwyższej jakości. Bez żadnych skrupułów załadował na wóz trzy duże karnistry paliwa, zmienił dętki i opony na wszystkich czterech kołach, zabrał nawet pompkę i lewar. W ten sposób ogołocił doszczętnie magazyn oraz warsztat bazy samochodowej w Udojewie.

„Antylopa” była zatem doskonale wyposażona na drogę do Czernomorska. Wprawdzie jej załozcie brak było pieniędzy, ale komandor zupełnie się tym nie przejmował. Automobiliści spożyli w

Udojewie obfity obiad.

- O pieniądze na drobne wydatki nie ma się co martwić - rzekł Ostap. - Pieniądze leżą na drodze. Jak będą nam potrzebne, to je podniesiemy.

Tysiąc lat i tysiąc kilometrów bitych traktów i szos oddzielało stary, założony w 794 roku Udojew od założonego w 1794 roku Czernomorska.

W ciągu tego tysiąca lat przez magistralę Udojew - Morze Czarne przewijali się najrozmaitsi ludzie.

Podróżowali po niej wędrowni przekupnie z towarami różnych bizantyjskich firm handlowych. Z szumiącego lasu wychodził na ich spotkanie Słowik-Rozbójnik, groźne chłopisko w karakułowej czapie. Zabierał towary i puszczał ich wolno. Tą drogą maszerowały na podboje oddziały wojowników, przejeżdżali wieśniacy, wędrowali z pieśnią na ustach pątnicy.

Każde stulecie wnosiło zmiany do życia kraju. Zmieniały się ubiory, udoskonalano broń, tłumiono bunt kartoflane. Ludzie nauczyli się golić brody. Uniósł się w przestworza pierwszy balon.

Wybudowano parę bliźniaków: parostatek i parowóz. Puszczono w ruch samochody.

A droga pozostała w takim samym stanie, w jakim była za czasów Słowika-Rozbójnika.

Wyboista, pokryta wulkanicznym błotem lub przysypana gryzącym jak proszek na pluskwy kurzem, biegła ta rodzima droga przez wioski i miasteczka, obok fabryk i kołchozów, jak tysiąckilometrowa zasadzka. Po obu jej stronach leżą na pożółkłej, wypalanej trawie szkielety wozów chłopskich i zajeżdżonych, zdychających samochodów.

Może jakiś zdeklasowany emigrant, sprzedając gazety na asfaltowanych bulwarach Paryża, wspomni z rozrzwinięciem rosyjską wieś i ujrzy oczyma wyobraźni następujące czarowne szczegóły rodzimego krajobrazu: księżyc odbity w kałuży, modlitewnie rozśpiewane świerszcze, podzwaniające puste wiadro, przywiązane do chłopskiej furki.

Ale księżyc ma już inne zadania. Księżyc może z powodzeniem odbijać się w asfalcie szosy. Syreny i klaksony samochodowe zastępują symfoniczne dźwięki chłopskiego wiadra. A świerszczy można będzie słuchać w specjalnych rezerwatach; będą tam zbudowane specjalne trybuny, na których obywatele, po uprzednim wysłuchaniu słowa wstęp nego wygłoszonego przez jakiegoś siwego świerszczologa, będą mogli rozkoszować się śpiewem tych umiłowanych stworzonek.

Rozdział VII Rozkoszny ciężar sławy

Komandor wyścigu, kierowca wozu, mechanik pokładowy oraz pomocnik do wszystkiego czuli się znakomicie. Ranek był chłodny. Po perłowym niebie snuło się mizerne słońce. W przydrożnej trawie wrzeszczała jakaś ptasia hołota.

Ptaszki drogowe - „pastuszki” - przechodziły powoli przez drogę tuż pod kołami samochodu. Nad stepem unosiły się takie krzepiące na duchu zapachy, że gdyby na miejscu Ostapa był jakiś chłopski pisarz-średniak z grupy „Stalowe wymię”, nie wytrzymałby, wysiadłby z samochodu, usiadłby na trawie i na gorąco zacząłby pisać na kartkach wydartych z podróznego notesu nową powieść, zaczynającą się od słów:

„Puściły latoś oziminy. Rozszczodziło się złote słonyszko i rozbryznęło promyczki na ten padół. Stary Romualdycz poniuchał swoją onuczkę i aż go zaćmiło...”

Ale Ostap i jego towarzysze podróży dalecy byli od poddawania się poetyckim nastrojom. Już od dwudziestu czterech godzin mknęli po szosach na czele wyścigu samochodowego. Witano ich muzyką i przemówieniami. Dzieciarnia biła na ich cześć w bębny. Dorośli podejmowali ich obiadami lub kolacjami, zaopatrywali ich w zapasowe części samochodowe, a w jednym z osiedli ofiarowano im chleb i sól na drewnianej rzeźbionej tacy, przykrytej ręcznikiem haftowanym w krzyżyki. Chleb i sól spoczywały teraz na dnie wozu między stopami Panikowskiego, który od czasu do czasu skubał po kawałku kołacza, aż w końcu wydłubał w nim mysią dziurę. Wtedy Ostap ze wstrętem wyrzucił chleb i sól na szosę. Załoga „Antylopy” spędziła noc w małej wiosce pod troskliwą opieką gościnnego wiejskiego aktywu. Nasi wyścigowcy wywieźli z tej wioski garniec ciepłego mleka i uroczę wspomnienie odurzającego zapachu siana, na którym spali.

- Mleko i siano! - rzekł Ostap, kiedy „Antylopa” opuszczała o świcie wioskę. - Czy może być coś lepszego? Człowiek sobie nieraz myśli: „Jeszcze się zdążę nasycić. Jeszcze będę miał w życiu pod dostatkiem mleka i siana.” A tymczasem to się już nigdy nie powtórzy. Otóż wiedzcie, przyjaciele, że to była najpiękniejsza noc w naszym życiu. A wyście tego nawet nie zauważyli.

Towarzysze podróży Bendera spoglądali na niego z zachwytem. Upajała ich perspektywa łatwego życia.

- Życie jest piękne! - rzekł Bałaganów. - Jedziemy, jesteście syści. A u kresu drogi może czeka na nas szczęście...

- Wierzy pan w to - zapytał Ostap - że szczęście czeka na nas? I pewnie jeszcze macha skrzydełkami z niecierpliwości? „Gdzie jest - woła szczęście - admirał Bałaganów? Czemu go tak długo nie widać?”

Zbikowałeś, Bałaganów! Szczęście na nikogo nie czeka. Szczęście szwędą się po świecie w długiej białej sukience i śpiewa dziecinną piosenkę: „Ach ta Ameryka! Tam się bawią i piją bez zagrychy!” Ale tę naiwną dziecinę trzeba osaczać, trzeba się jej podlizywać, trzeba się do niej mizdrzyć. Tobie,

Bałaganów, nie uda się romans z tą dzieciną. Jesteś nędzarz! Spójrz tylko na siebie! Człowiek tak ubrany nigdy nie dochrapie się szczęścia. Zresztą cała załoga „Antylopy” jest haniebnie obdarta. Nie mogę się nadziwić, że mimo to biorą nas za uczestników wyścigu samochodowego!

Ostap obejrzał ze współczuciem swoich towarzyszy podróży i ciągnął dalej:

- Kapelusz Panikowskiego doprowadza mnie do rozpacz. Panikowski ubrany jest w ogóle z wyzywającą elegancją. Ten drogocenny ząb, te tasiemki od kalesonów, ta włochata pierś pod krawatem. Trzeba ubierać się skromniej, panie Panikowski! Jesteś czcigodnym starcem. Powinieneś chodzić w czarnym surducie i filcowym kapeluszu. Bałaganów powinien nosić kraciastą kowbojską koszulę i skórzane buty ze sztylpami. Wyglądałby wtedy na studenta-sportowca. A w obecnym stanie wygląda na marynarza wylanego za pijaństwo. Nie mówię już o naszym szanownym kierowcy. Ciężkie doświadczenia, jakie nań zesłał los, uniemożliwiły mu przyodzianie się w sposób odpowiadający jego funkcjom. Ale czyż nie widzicie, jak znakomicie pasowałby do jego natchnionego, nieco ubabranego smarem oblicza skórzany kombinezon i czarna skórzana czapka? Tak, moje dziatki, musimy się odpowiednio wyekwipować.

- Nie ma forsy - rzekł odwracając się Kozlewicz.

- Kierowca ma słuszość - odpowiedział uprzejmie Ostap. - Gotówki istotnie nie posiadamy. Nie mamy tych małych metalowych krążków, za którymi wprost przepadam.

„Antylopa-Gnu” zaczęła zjeżdżać ze wzgórza. Po obu stronach samochodu rozpościerały się nadal rozległe pola. Na brzegu drogi siedziała duża ruda sowa z głową przechyloną na bok i głupkowato wytrzeszczała żółte, ślepe oczy. Spłoszona zgrzytem „Antylopy” rozpostarła skrzydła, wzbiła się nad samochód i poleciała za swoimi nudnymi sowimi interesami. Ponadto na drodze nie zaszło nic godnego uwagi.

- Patrzcie! - zawołał nagle Bałaganów. - Samochód!

Na wszelki wypadek Ostap polecił zdjąć transparent wzywający obywateli do przejechania się samochodem po przejawach zaniedbania. W czasie kiedy Panikowski wypełniał to polecenie,

„Antylopa” zbliżała się do niepokojącego samochodu.

Kryty szary Cadillac stał na skraju lekko przechylony na bok drogi. Krajobraz rosyjski odbity w jego grubych, lustrzanych szybach wyglądał znacznie piękniej i ciekawiej niż w naturze. Szofer, klęcząc obok samochodu, zdejmował oponę z przedniego koła. Nad szoferem pochylały się trzy znudzone czekaniem postacie w piaskowych podróżnych płaszczach.

- Czy macie jakiś defekt? - zapytał Ostap, uprzejmie uchylając czapki.

Szofer podniósł zafrasowaną twarz i bez słowa znowu pogрузzył się w pracy.

Pasażerowie „Antylopy” wysiedli ze swojej zielonej landary. Kozlewicz kilka razy obszedł dokoła wspaniałą maszynę, westchnął z zazdrości, przykucnął obok szofera i wdał się z nim w fachową pogawędkę. Bałaganów i Panikowski z dziecinną ciekawością przyglądali się pasażerom Cadillac'a.

Dwóch z tych pasażerów wyglądało wyraźnie na cudzoziemców. Trzeci, wnosząc z odurzającego zapachu kaloszy, jaki bił od jego gumowego płaszcza, musiał być rodakiem.

- Czy macie jakiś defekt? - zapytał ponownie Ostap, dotykając delikatnie gumowego ramienia rodaka i kierując jednocześnie pełne zadumy spojrzenie na cudzoziemców.

Rodak zaczął nerwowo opowiadać o pękniętej oponie, ale Ostap puszczał jego słowa mimo uszu. Na szosie, w odległości stu trzydziestu kilometrów od najbliższego miasta, w samym centrum

Europejskiej Rosji spacerowało dokoła swego samochodu dwóch okazałych cudzoziemskich frajerów.

Działo to silnie na wyobraźnię wielkiego kombinatora.

- Przepraszam - przerwał - czy ci dwaj obywatele nie są przypadkiem z Rio de Janeiro?

- Nie - odpowiedział rodak - z Chicago. A ja jestem tłumaczem z „Inturista”

- A cóż oni tu robią na tym bezdrożu, w szczerym polu, z dala od Moskwy, od baletu „Czerwony mak”, od antykwariatów i słynnego obrazu Repina „Iwan Groźny zabija syna”? Nie rozumiem, po coście ich tutaj przywieźli?

- Diabli ich wiedzą! - powiedział ze złością tłumacz. - Już trzeci dzień tłuczemy się po wsiach jak opętani. Już ledwo zipię. Dużo miałem do czynienia z cudzoziemcami, ale

takich, jak ci, jeszcze nie widziałem - tu machnął ręką w kierunku swoich rumianych towarzyszy podróży. - Wszyscy normalni turyści, jak to turyści, biegają po Moskwie i kupują drewniane kubki. A ci dwaj wyłamali się. Po wsiach zachciało się im jeździć!

- To bardzo pięknie z ich strony - rzekł Ostap. - Szerokie masy miliarderów zapoznają się z warunkami bytu nowej, radzieckiej wsi.

Obywatele miasta Chicago przyglądali się uważnie naprawie samochodu. Mieli na sobie srebrzyste kapelusze, sztywne kołnierzyki i czerwone matowe półbuty.

Tłumacz spojrzał z oburzeniem na Ostapę i zawołał:

- A jakże! Dużo ich obchodzi nowa wieś! Nie wieś im jest potrzebna, tylko wiejski samogon!

Na słowo „samogon”, które tłumacz wymówił z naciskiem, dżentelmeni obejrzeni się niespokojnie i zaczęli przysuwać się do rozmawiających.

- O! Widzicie! - powiedział tłumacz. - Na samo słowo już się trzęsą.

- Tak. W tym jest jakaś zagadka - rzekł Ostap - albo jakieś zwyrodnienie smaku. Nie rozumiem, jak można uganiać się za samogonem, kiedy w naszej ojczyźnie jest do wyboru mnóstwo szlachetnych napojów wyskokowych.

- Wszystko to jest znacznie prostsze, niż wam się wydaje - rzekł tłumacz. - Oni tu poszukują przepisu na pędzenie dobrego samogonu.

- Racja! - zawołał Ostap. - Przecież u nich jest prohibicja! Teraz wszystko rozumiem... No i co? Dostaliten przepis?... Ach, nie dostali? No, tak. Szkoda, że nie jeździcie trzema samochodami! Czy nie apujecie, że biorą was tu za przedstawicieli władz? Możecie tak jeździć bez końca i nie dostaniecie przepisu.

Tłumacz zaczął się żalić na cudzoziemców:

- Zamezczają mnie, żebym im zdradził tajemnicę pędzenia samogonu. A ja nie potrafię pędzić samogonu. Jestem z zawodu nauczycielem. Mam w Moskwie starą matkę na utrzymaniu.

- I chcielibyście czym prędzej wrócić do Moskwy, do mamy?

Tłumacz westchnął żałośnie.

- W takim razie sesja trwa - oświadczył Bender. - Ile dadzą wasi mocodawcy za taki przepis? Dadzą sto pięćdziesiąt?

- Dadzą nawet dwieście - szepnął tłumacz. - Ale czy macie taki przepis?

- Zaraz go wam podyktuję, to jest zaraz po otrzymaniu pieniędzy. Ale z czego oni chcą pędzić ten samogon? Bo ja znam przepisy pędzenia samogonu z kartofli, z pszenicy, z moreli, z jęczmienia, z morwy, z kaszy gryczanej. Samogon można pędzić nawet ze zwykłego stołka. Niektórzy bardzo sobie chwalą taką stołkówkę. Można też pędzić samogon z rodzynek lub ze śliwek. Niech sobie wybiorą jeden ze stu pięćdziesięciu znanych mi przepisów pędzenia samogonu.

Ostap został przedstawiony Amerykanom. Długo powiewały w powietrzu czapki przy wymianie uprzejmych ukłonów. Następnie przystąpiono do interesu.

Amerykanie wybrali sobie samogon z pszenicy ze względu na prosty system fabrykacji. Następnie długo zapisywali w notesach szczegóły produkcji. Potem Ostap - w charakterze bezpłatnej premii - zdradził amerykańskim podróżnym sekret konstrukcji

najlepszego gabinetowego aparatu do pędzenia samogonu, który można z łatwością ukryć przed okiem niepożądanych natrętów w szafeczce biurka.

Amerykanie zapewnili Ostapa, że przy obecnym stanie amerykańskiej techniki, skonstruowanie takiego aparatu nie sprawi im żadnego kłopotu. Ostap ze swojej strony zapewnił Amerykanów, że aparat jego konstrukcji produkuje dziennie wiadro znakomitego aromatycznego „pierwacza”.

- O! - zawołali Amerykanie.

Słyszeli już to słowo w pewnym czigodnym domu w Chicago. Wyrażano się tam o „pervatsch'u” w sposób niezwykle pochlebny. Ojciec tej rodziny przebywał w swoim czasie wraz z amerykańskim korpusem okupacyjnym w Archangielsku, pijał tam „pervatsch” i nie może dotychczas zapomnieć rozkosznych uczuć, jakich przy tym doznawał.

W ustach rozmarzonych turystów trywialne słowo „pierwacz” - brzmiało pieściwie i kusząco.

Amerykanie ochotco wypłacili dwieście rubli i długo ściskali dłoń Bendera. Panikowskiemu i

Bałaganowowi także udało się uścisnąć dłonie obywateli zaatlantyckiej republiki, gnębionych prohibicją. Uszczęśliwiony tłumacz cmoknął Ostapa w jędrny policzek i zaprosił go do siebie, zapewniając, że stara matka ogromnie się ucieszy. Nie podał tylko adresu.

Zaprzyjaźnieni podróżni ulokowali się w swoich samochodach. Kozlewicz odegrał na pożegnanie macizę i przy jej wesołych dźwiękach samochody rozjechały się w przeciwne strony.

- Teraz przekonaliście się, że wszystko odbyło się tak jak przewidywałem - rzekł Ostap, kiedy amerykański samochód zniknął w chmurze kurzu. - Jechaliśmy. Pieniądze leżały na drodze.

Podniosłem je. Nawet nie są zakurzone.

I zaszeleścił banknotami.

- Szczerze mówiąc, nie ma się czym chwalić. Kombinacja była bardzo prosta. Ale całą jej wartość stanowiła solidność i rzetelność, z jaką ją przeprowadziłem. Zarobiłem dwieście rubli. W ciągu pięciu minut. I nie tylko nie wszedłem w kolizję z prawem, ale wyświadczyłem ludziom przysługę.

Zaopatrzyłem załogę „Antylopy” w środki obiegowe. Spowodowałem powrót syna-tłumacza na łono starej matki. I wreszcie zaspokoilem gorące pragnienie obywateli kraju, z którym pozostajemy, bądź co bądź, w stosunkach handlowych.

Zbliżała się pora obiadowa. Ostap zagłębił się w studiowaniu trasy wyścigu, wydartej z czasopisma poświęconego automobilizmowi, i po chwili obwieścił, że zbliżają się do miasta Łuczańska.

- Niestety, jest to bardzo niewielkie miasto - rzekł Bender. - Im mniejsze miasto, tym dłuższe mowy powitalne. Wobec tego poprosimy gościnnych gospodarzy miasta, żeby nam dali na pierwsze danie obiad, a dopiero na drugie - przemówienia. W antrakcie zajmę się zaopatrzeniem załogi. Panikowski!

Zaczyna pan zaniedbywać swoje obowiązki. Proszę umieścić transparent na poprzednim miejscu.

Otrzaskany z uroczystymi finiszami Kozlewicz zręcznie osadził samochód przed samą trybuną. Tu

Bender ograniczył się do kilku powitalnych słów. Uzgodniono przesunięcie wiecu na godzinę drugą.

Po spożyciu bezpłatnego obiadu automobiliści udali się w świetnych humorach do sklepu z konfekcją.

Otaczał ich tłum gapiów. Pasażerowie „Antylopy” dźwigali z godnością słodki ciężar sławy.

Maszerowali środkiem ulicy, trzymając się za ręce i kołyszac się jak marynarze w egzotycznym porcie.

Rudy Bałaganów, o wyglądzie młodego bosmana, zaintonował marynarską piosenkę.

Sklep „Konfekcja damska, męska i dziecięca” mieścił się pod olbrzymim malowanym szyldem, zasłaniającym cały front dwupiętrowego budynku. Na szyldzie widniało kilkadziesiąt postaci: mężczyźni o żółtej cerze i cienkich wąsikach odziani w futra z odwiniętymi na zewnątrz połami, ukazującymi podbicie z tchórzy, damy z muframi, karłowate dzieci w marynarskich ubrankach, komsomołki w czerwonych chusteczkach i posępni urzędnicy zanurzeni aż po biodra w filcowych butach. Wszystkie te wspaniałości kompromitowała doszczętnie mała karteczka przylepiona na drzwiach sklepu:

PORTEK NIE MA

- Fe! Cóż za chamstwo! - rzekł Ostap, wchodząc do sklepu. - Od razu widać, że jesteśmy na głuchej prowincji. Czy nie można napisać tak jak w Moskwie: „Spodni nie ma”. Przyzwójcie, grzecznie -i zadowoleni obywatele wracają z niczym do domu.

Automobiliści krótko zabawili w sklepie. Dla Bałaganowa znalazła się kowbojska koszula w dużą anarkową kratę i kapelusz z dziurkami firmy Stetson. Kozlewicz musiał się zadowolić obiecaną czapką z chromowej skóry i takąż kurtką błyszczącą jak prasowany kawior. Najwięcej kłopotu było z

Panikowskim. Już na samym początku odpadł długi pastorski surdut i miękki kapelusz, który, zdaniem

Bendera, najlepiej odpowiadał powierzchowności nałogowego gwałciciela konwencji. Zamiast tego stroju sklep mógł służyć jedynie strojem strażackim, składającym się z kurtki ze złoconymi strażackimi pompami na galonach, z półwełnianych włochatych spodni i z czapki z niebieską obszywką.

Panikowski długo podrygiwał przed pofalowanym lustrem.

- Nie rozumiem, dlaczego nie podoba się panu strój strażaka? - dziwił się Ostap. - Wydaje mi się on znacznie stosowniejszy od noszonego przez pana stroju wygnanego monarchy. No, obróć się, synku!

Doskonale! Przyznam się, że pasuje do pana lepiej, niż projektowany przeze mnie surdut i kapelusz.

Wyszli na ulicę w nowych strojach.

- Mnie potrzebny jest smoking - rzekł Ostap - ale tutaj go nie dostaną. Trzeba z tym poczekać do lepszych czasów.

Ostap otworzył zgromadzenie w podniosłym tonie, wcale nie przeczuwając burzy zbierającej się nad głowami pasażerów „Antylopy”. Dowcipkował, opowiadał o zabawnych przygodach w podróży, sypał żydowskimi anegdotami, czym zaskarbił sobie sympatię liczного audytorium. Kończąc partię swego przemówienia poświęcił dojrziałemu już do rozwiązania problemowi automobilizmu.

- Samochód - zawołał grzmiącym głosem - to nie przedmiot zbytku, tylko...

W tym momencie spostrzegł, że jakiś mały chłopiec podbiegł do przewodniczącego komitetu powitalnego i wręczył mu depeszę.

Wymawiając słowa: „nie przedmiot zbytku, tylko środek lokomocji”, Ostap zerknął przez ramię przewodniczącego na blankiet depeszy. Słowa, które przeczytał, uderzyły go jak obuchem. Myślał, że mają do dyspozycji jeszcze cały jeden dzień. Przed oczami jego wyobraźni stanął natychmiast szereg wsi i miasteczek, gdzie „Antylopa” przywłaśczyła sobie cudze mienie.

Przewodniczący poruszał jeszcze wąsami, usiłując wnikać w treść depeszy, kiedy Ostap urwał w połowie słowa, zeskoczył z trybuny i zaczął przedzierać się przez tłum. Na skrzyżowaniu ulic zieleniła się „Antylopa”. Na szczęście wszyscy pasażerowie siedzieli w samochodzie, czekając na chwilę, kiedy Ostap poleci im znieść do samochodu dary otrzymane od przedstawicieli miasta.

Następowało to zazwyczaj zaraz po zakończeniu wiecu.

Wreszcie treść depeszy dotarła do świadomości przewodniczącego.

Rozejrzał się i spostrzegł zwiewającego komandora.

- To oszuści! - wrzasnął rozpaczliwie.

Całą noc śleczął nad powitalnym przemówieniem i teraz cierpiał z powodu urażonej ambicji autorskiej.

- Trzymać ich!

Okrzyk przewodniczącego dobiegł do uszu pasażerów „Antylopy”, wywołując wśród nich nerwowe poruszenie. Kozlewicz zapuścił motor i jednym susem znalazł się przy kierownicy. Samochód ruszył z kopyta nie czekając na Ostapę. Wystraszeni automobiliści nie zdali sobie nawet sprawy z tego, że opuścili swego komandora w niebezpieczeństwie.

- Stój! - krzyczał Ostap, mknąc niczym zając. - Jak was dogonię, to wszystkich porozpędzam!

- Stój! - krzyczał przewodniczący.

- Stój, ośle! - krzyczał Bałaganów do Kozlewicza. - Nie widzisz, że zgubiliśmy szefa?

Adam Kazimirowicz nacisnął hamulec, „Antylopa” zgrzytnęła i zatrzymała się. Komandor wskoczył do wozu z rozpaczliwym okrzykiem: „Gazu!”

Mimo różnorodnych uzdolnień i zimnej krwi Ostap nie lubił starć fizycznych. Oszołomiony Kozlewicz włączył od razu trzeci bieg, samochód szarpnął, otworzyły się drzwiczki i Bałaganów wypadł na jezdnię. Wszystko to stało się w mgnieniu oka. Zanim Kozlewicz zdołał znowu zahamować, na

Bałaganowa padł już cień naddiegającego tłumu. Ale w momencie, kiedy wyciągały się już po niego mściwe łapy, znalazła się przy nim cofająca się tylnym biegiem „Antylopa”, a żelazna ręka komandora chwyciła go za kołnierz kowbojskiej koszuli.

- Gazu! - ryknął Ostap.

I oto mieszkańcy Łuczańska przekonali się naocznie o przewadze komunikacji samochodowej nad komunikacją konną.

Samochód zabrzęczał wszystkimi częściami składowymi i pomknął na złamanie karku, wydzierając czterech oszustów z rąk sprawiedliwości.

Na przestrzeni pierwszego kilometra hultaje z trudem łapali oddech. Dbały o swoją urodę Bałaganów oglądał w kieszonkowym lusterku podrapaną w czasie upadku facjatę. Panikowski dygotał w swoim strażackim stroju z obawy przed zemstą komandora. Zemsta ta nie kazała długo na siebie czekać.

- To pan dał sygnał do odjazdu, zanim dobiegłem do wozu? - zapytał groźnie komandor.

- Jak babcię kocham... - zaczął Panikowski.

- Tylko bez wykrętów. Znam te sztuczki. A więc jest pan w dodatku tchórzem. Mam do czynienia ze złodziejem i tchórzem w jednej osobie. Doskonale! Degraduję pana. Dotychczas uważałem pana za komendanta straży ogniowej. Od tej chwili jest pan w moich oczach zwykłym rębaczem.

I Ostap majestatycznym ruchem zerwał złote pompy z czerwonych epoletów Panikowskiego.

Po tym zabiegu Ostap zapoznał swych towarzyszy podróży z treścią depeszy.

- Paskudna sprawa! Depesza nakazuje zatrzymać zielony samochód, wyprzedzający czołówkę wyścigu. Musimy jak najprędzej zjechać w boczną drogę. Dość tryumfów, laurów wienców i obiadków na śmietankowym maśle. Pomysł przestał grać. Możemy zboczyć jedynie na gniazdkową szosę, ale dzieli nas od niej jeszcze trzy godziny jazdy. A jestem, niestety, przekonany, że we wszystkich miejscowościach po drodze przygotowano już dla nas gorące przyjęcie, bo wszędzie ciągną się tutaj słupy i druty tego przekłętego telegrafu.

Komandor nie mylił się.

Najbliższym ludzkim osiedlem na trasie wyścigu było małe miasteczko. Pasażerowie „Antylopy” nigdy nie poznali jego nazwy, aczkolwiek znajomość jej przydałaby im się chociażby po to, aby ją od czasu do czasu przeklinać. Przed samym wjazdem do miasteczka leżała w poprzek drogi potężna belka.

„Antylopa” zawróciła i jak ślepe szczenię zaczęła szukać na wszystkie strony jakiegoś objazdu. Ale żadnego objazdu nie było.

- Jedziemy z powrotem! - rzekł Ostap, który nagle ogromnie spoważniał.

W tej samej chwili kombinatory usłyszeli jeszcze dość daleki szum motorów. Widocznie zbliżały się prawdziwe samochody wyścigowe. Ponieważ nie było odwrotu, „Antylopa” znowu ruszyła naprzód.

Kozlewicz zmarszczył czoło i całym pędem podjechał do belki. Zgromadzeni przy niej mieszkańcy miasteczka, w przewidywaniu katastrofy, rozpięchli się w popłochu na wszystkie strony. Ale Kozlewicz niespodziewanie zahamował i wolniutko wziął przeszkodę. Kiedy „Antylopa” mknęła przez ulicę miasteczka, mieszkańcy obrzucali jej pasażerów brzydkimi słowami, ale Ostap nawet nie odpowiadał.

„Antylopa” zbliżyła się do gniazdkowej szosy przy narastającym warkocie niewidocznych jeszcze samochodów wyścigowych. Ledwie załodze udało się zboczyć z przekłętej szosy i przy zapadających ciemnościach ukryć wóz za pagórką, rozległy się

wybuchy oraz kanonada motorów i w smugach światła ukazał się pierwszy wyścigowy automobil. Gagatki ukryły się w trawie tuż przy szosie - i pokornie, w milczeniu cała czwórka przyglądała się przejeżdżającej kolumnie aut.

Smugi oślepiającego światła ślizgały się po szosie. Samochody, mijając pognębionych pasażerów

„Antylopy”, miękko szumiały. Spod kół wzbijał się kurz. Wyły przeciągle klaksony. W powietrzu aż furczało. Po upływie minuty wszystko znikło i tylko w nocnych ciemnościach długo jeszcze kołysało się i migotało tylne rubinowe światelko ostatniego pojazdu.

Obok hultajów przemknęło prawdziwe życie, trąbiąc zwycięsko i połyskując lakierowanymi błotnikami.

Poszukiwaczom przygód pozostał tylko potężny ogon kurzu i dymu. Długo jeszcze siedzieli przy drodze kichając i otrzepując się z pyłu.

- Tak - rzekł Ostap - teraz dopiero przekonałem się, że samochód to rzeczywiście nie jest przedmiot zbytku, tylko środek lokomocji. Nie zazdrość ci, Bałaganów? Bo mnie zazdrość.

Rozdział VIII Kryzys genre'u

Koło godziny czwartej zmordowana „Antylopa” zatrzymała się na krawędzi urwiska. Przed nią w dole leżało jak na talerzu nieznane miasto. Było ono regularnie jak tort ponacinane ulicami. Unosiły się nad nim różnobarwne mgły poranne. Pasażerom „Antylopy”, którzy wysiedli z wozu, wydawało się, że słyszą leciutki chrobot i poświstywanie. Było to prawdopodobnie chrapanie mieszkańców miasta.

Sękaty las rozpościerał się wzdłuż drogi, która serpentynami wiodła do miasteczka.

- Rajska dolina - rzekł Ostap. - Takie miasta ograbia się najprzyjemniej wczesnym rankiem, kiedy upał jeszcze nie doskwiera. Mniej się wtedy człowiek męczy.

- A teraz właśnie jest wczesny ranek - zauważył Panikowski, przymilnie zaglądając komandorowi w oczy.

- Milczeń tam w szeregach! - huknął Ostap. - A to niepoprawny dziadyga! Nie zna się na żartach.

- Co zrobimy z „Antylopą”? - zapytał Kozlewicz.

- Tak - odpowiedział Ostap - w tym zielonym korycie nie możemy przecież wjechać do miasta. Zamkną nas. Będziemy musieli pójść za przykładem najbardziej ucywilizowanych krajów. Na przykład w Rio de

Janeiro kradzione samochody przemalowuje się na inny kolor. Robi się to z pobudek czysto humanitarnych, bo poprzedniemu właścicielowi mogłoby być przykro patrzeć, jak obcy ludzie rozbijają się jego wozem. „Antylopa” bardzo sobie zaszargała opinię. Musimy zerwać z jej niesławną przeszłością.

Po znalezieniu odpowiedniej kryjówki dla samochodu, postanowiono wkroczyć do miasta w szyku pieszym i nabyć potrzebne farby.

Ostap odbył krótki spacer wzdłuż urwiska i zauważył tam małą pochyloną chałupkę z okrągłaków, której maleńkie okienka rozświetlone były rzeczonym błękitem. Za chałupką stała szopa, którą mogłaby doskonale służyć za kryjówkę dla „Antylopy”.

W czasie kiedy wielki kombinator rozważał zagadnienie, pod jakim pretekstem wejść do chałupki – nawiązać przyjazne stosunki z jej mieszkańcami, drzwi chałupki otworzyły się i na ganek wybiegł jakiś stateczny jegomość w żołnierskich gaciach z czarnymi blaszanymi guzikami. Jego blade, arafinowe policzki ozdobione były okazałymi siwymi bokobrodami. Fizjonomia taka byłaby bardzo na miejscu w końcu ubiegłego stulecia. W owym czasie większość mężczyzn hodowała na twarzach takie urzędowe, wiernopoddańcze włosiane ozdoby. Ale obecnie, kiedy bokobrodom nie towarzyszył ani niebieski urzędowy mundur, ani cywilny order na wstążeczce z mory, ani galony ze złotymi gwiazdami tajnego radcy dworu, fizjonomia ta robiła wrażenie dość osobliwe.

- O, Boże - wymamrotał mieszkaniiec drewnianej chałupki, wyciągając ręce ku wschodzącemu słońcu.

- Boże, Boże! Wciąż te same sny! Wiecznie te same sny!

Wyrzuciwszy z siebie tę skargę, staruszek załkał i szurając nogami zaczął dreptać po ścieżce dokoła domu. Kogut, który właśnie w tej samej chwili zamierzał zapiąć po raz trzeci i wyszedł w tym celu na środek podwórka, rzucił się w popłochu do ucieczki; przebiegł nerwowo kilka kroków, zgubił przy tym piórko, ale opamiętał się szybko, wskoczył na płot i z tego bezpiecznego miejsca obwieścił światu narodzinę dnia. Jednakże w głosie jego można było wyczuć wzburzenie, wywołane niewłaściwym zachowaniem się właściciela chałupki.

- Śnią się i śnią się, cholery - dobiegł Ostapa głos staruszka.

Bender przyglądał się ze zdumieniem dziwnemu człowieczkowi z bokobrodami, jakie obecnie można oglądać tylko na ministerialnym obliczu portiera w konserwatorium.

W tym czasie niesamowity jegomość obszedł dokoła cały domek i zatrzymał się przed gankiem.

Zastanawiał się nad czymś przez chwilę, potem powiedział: „Pójdę spróbować jeszcze raz” i zniknął w drzwiach chatki.

- Lubię starych ludzi - szepnął Ostap - nigdy się człowiek z nimi nie nudzi. Trzeba będzie zaczekać na wyniki tajemniczej próby.

Oczekiwanie nie trwało zbyt długo. Po krótkiej chwili w chałupce rozległ się płaczliwy lament. Na ganku znowu ukazał się staruszek, wycofując się tyłem jak Borys Godunow w ostatnim akcie opery

Musorgskiego.

- Precz, precz ode mnie! - zawołał z szalapinowskimi intonacjami w głosie. - Ciągłe ten sam sen! A-a-a!

Odwrócił się i potykając się o własne nogi, ruszył w kierunku Ostapa. Wielki kombinator uznał, że nadszedł czas działania, wyszedł zza drzewa i chwycił posiadacza bokobrodów w swe potężne objęcia.

- Co to? Kto to? - krzyknął trwożliwie staruszek.

Ostap delikatnie, rozluźnił uścisk, chwycił staruszkę za rękę i potrząsnął nią z wylaniem.

- Serdecznie panu współczuję! - zawołał.

- Naprawdę? - zapytał właściciel chatki, czepiając się ramienia Bendera.

- Oczywiście! - odpowiedział Bender. - Ja także miewam często dziwne sny.

- A co się panu śni?
- Różne rzeczy.
- Ale jakie? Jakie? - nalegał staruszek.

- Różne. Taka mieszanka. To, co w gazetach nazywają: „Dla każdego coś innego” albo „Ciekawostki ze świata”. Przedwczoraj, na przykład, śnił mi się pogrzeb mikada, a wczoraj jubileusz suszczewskiej straży pożarnej.

- Boże! - zawołał staruszek. - Boże! Jaki pan szczęśliwy! Jaki szczęśliwy! A czy nie śnił się panu nigdy jakiś generał-gubernator albo, powiedzmy... minister?

Bender nie chciał mu sprawić zawodu.

- Owszem - odpowiedział wesoło. - Jak najbardziej! Generał-gubernator? Śnił mi się w zeszły piątek.

Przez całą noc. Przypominam sobie nawet, że obok niego stał policmajster we wzorzystych szarawarach.

- Ach, co za ulga! - rzekł staruszek. - A czy nie śnił się panu przyjazd najjaśniejszego pana do

Kostromy?

- Do Kostromy? Owszem, miałem taki sen. Zaraz sobie przypomnę, kiedy to było?... Ależ tak, trzeciego lutego bieżącego roku. Śnił mi się wtedy najjaśniejszy pan, a obok niego stał jeszcze hrabia

Fredericks, ten, wie pan, minister dworu.

- O mój Boże! - zawołał staruszek. - Ale po co my tu stoimy? Proszę, niech pan wstąpi do mnie.

Przepraszam za ciekawość, ale nie jest pan chyba socjalistą? Ani członkiem partii?

- Skądże znowu! - odpowiedział dobrodusznie Ostap. - Jaki tam członek partii? Jestem bezpartyjnym monarchistą. Carskim sługą i ojcem żołnierzy. Słowem: wzlećcie sokoły orłami, dość już bólu, dość już mąk...

- A może herbatki? Może herbatki? - bełkotał staruszek popychając Bendera ku drzwiom.

Okazało się, że chałupka składa się z sieni i jednej izby. Na ścianach wisiały portrety mężczyzn urzędowych surdutach. Panowie ci, sądząc z epoletów, byli niegdyś urzędnikami ministerstwa oświaty. Łóżko było w wielkim nieładzie i świadczyło o tym, że staruszek spędzał na nim najburzliwsze godziny swego życia.

- Czy od dawna wiecie już pan ten pustelniczy żywot? - zapytał Ostap.

- Od wiosny - odpowiedział staruszek. - Nazywam się Chworobiew. Łudziłem się, że zacznie się tu dla mnie nowe życie. A co się naprawdę zaczęło? Zaraz się pan dowie...

Fiodor Nikitycz Chworobiew był monarchistą i nienawidził radzieckiej władzy. Władza ta budziła w nim wstręt. Jako dawny kurator okręgu szkolnego zmuszony był sprawować obowiązki kierownika wydziału metodologiczno-pedagogicznego miejscowego Proletkultu. Wywoływało to w nim obrzydzenie.

Do samego końca swojej służbowej aktywności Chworobiew nie zdołał rozszyfrować i zrozumieć słowa „Proletkult” i dlatego tym żarliwiej gardził Proletkultem. Na sam widok członków miejscowego komitetu, pracowników oraz klientów tego

metodologiczno-pedagogicznego sektora, dostawał dreszczy. Znienawidził słowo „sektor”. Ach, ten nieszczęsny sektor! Fiodor Nikitycz lubujący się w rzeczach pięknych, a zatem i w geometrii, nigdy nie przypuszczał, że ten piękny termin matematyczny, oznaczający część figury geometrycznej, zostanie tak nieciekawie zbezczeszczony.

Wiele rzeczy w pracy zawodowej doprowadzało obecnie Chworobiewa do białej gorączki: posiedzenia, gazetki ściennie, pożyczki. Ale i poza pracą, w domu, jego buntownicza natura nie zaznawała upragnionego spokoju. Bo w domu były także gazetki ściennie, pożyczki, posiedzenia.

Znajomi rozmawiali wyłącznie o chamskich, zdaniem Chworobiewa, sprawach: o uposażeniach, które nazywali poborami, o miesięczniku poświęconym opiece nad dziećmi, o społecznej wymowie sztuki

„Pociąg pancerny”

Nigdzie nie było ucieczki przed radzieckim ustrojem. Kiedy rozgoryczony Chworobiew przechadzał się samotnie po ulicach miasta, na każdym kroku uszu jego dobiegały uprzykrzone zwroty:

- ...Postanowiliśmy więc wykluczyć go z aktywu...

- ...Przecież mówiłem, że na wasze RKK jest Izba Rozjemcza, Izba Rozjemcza!

I Chworobiew, spoglądając ze wstrętem na plakaty wzywające obywateli do wykonania zadań

„piatiletki” w ciągu czterech lat, powtarzał z rozdrażnieniem:

- Wykluczyć! Z aktywu! Izba Rozjemcza! W ciągu czterech lat! Chamskie rządy!

Kiedy sektor metodologiczno-pedagogiczny zaczął pracować bez przerwy niedzielnej i kiedy, zamiast uświęconej niedzieli, dniem wypoczynku Chworobiewa stawał się coraz to inny dzień powszedni, przejęty zgrozą staruszek wydeptał sobie emeryturę i osiedlił się daleko za miastem. Uczynił tak dlatego, żeby uciec od nowego ustroju, który wtargnął w jego życie i pozbawił go spokoju.

Od tego czasu samotny monarchista po całych dniach przesiadywał na krawędzi urwiska, spoglądał na miasto i starał się myśleć wyłącznie o rzeczach przyjemnych, a więc o nabożeństwach z okazji uroczystych imienin jakiejś wysoko postawionej osoby, o egzaminach gimnazjalnych i o krewnych, którzy pracowali niegdyś w ministerstwie oświaty. Ale, ku jego największemu zdumieniu, myśli ciągle przeskakiwały na nieprzyjemne radzieckie tematy.

- Co się teraz dzieje w tym przeklętym Proletkulcie? - zastanawiał się.

Zaraz po Proletkulcie przypominały mu się inne, jeszcze bardziej nienawistne momenty: pierwszomajowe i październikowe pochody, towarzyskie wieczory świetlicowe z referatami i piwem, półroczny preliminarz metodologicznego sektora.

„Władza radziecka pozbawiła mnie wszystkiego - myślał były kurator okręgu szkolnego - rangi, orderu, godności i oszczędności bankowych. Zatrula nawet moje myśli. Ale jest taka sfera, do której nie uda się bolszewikom wtargnąć; jest to sfera snów zsyłanych ludziom przez Boga. Noce będą mi przynosiły ukojenie. Będę widywał we snach to, co mi sprawia przyjemność”

Ale zaraz pierwszej nocy spędzonej na odludziu Bóg zesłał Fiodorowi Nikityczowi sen przerażający.

Śniło mu się, że siedzi na korytarzu swojego urzędu pod naftową lampą. Siedzi i wie, że lada chwila zostanie wykluczony z aktywu. Nagle otwierają się żelazne drzwi. Wybiegają z nich urzędnicy i wrzeszczą: „Trzeba obciążyć Chworobiewa!” Chworobiew chce uciec i nie może.

Fiodor Nikiticz obudził się. Pomodlił się i zwrócił Panu Bogu uwagę, że musiała zajść jakaś pomyłka w adresie, gdyż przypała mu w udziale sen, przeznaczony dla jakiegoś odpowiedzialnego, może nawet partyjnego towarzysza. Tymczasem Chworobiew miałby ochotę zobaczyć na początek dajmy na to cara opuszczającego po nabożeństwie Sobór Uspieński.

Uspokojony zasnął znowu, ale zamiast oblicza ubóstwianego monarchy, ujrzał natychmiast przewodniczącego miejscowego komitetu, towarzysza Surżikowa.

I od tej pory noc w noc z niezrównaną systematycznością nawiedzały Fiodora Nikiticza same bezspornie radzieckie sny. Śniły mu się: składki członkowskie, gazetki ścienne, sowchoz „Gigant”, uroczyste otwarcie pierwszej fabryki-kuchni, przewodniczący towarzystwa zwolenników palenia zwłok i wielkie radzieckie arterie miejskie.

Monarchista ryczał przez sen. Nie chciał oglądać zwolenników palenia zwłok. Chciał zobaczyć skrajnieprawicowego posła do Dumy Puryszkiewicza, patriarchę Tichona, prezydenta Jałty Dumbadzego albo rzynajmniej zwykłego inspektora państwowych gimnazjów. Ale życzenia jego nie spełniały się. Ustrój radziecki panował nawet w snach monarchisty.

- Ciągłe te same sny! - Skończył płaczliwym głosem Chworobiew. - Te same przekłete sny!

- Tak, to rzeczywiście nieprzyjemne - rzekł ze współczuciem Ostap - byt określa świadomość. Skoro pan mieszka w kraju radzieckim, to pańskie sny muszą być też radzieckie.

- Nie dadzą wprost odetchnąć - żalił się Chworobiew. - Nie żądam przecież tak wiele. Zgodzę się na byle co. Wyrzeknę się Puryszkiewicza. Niech już będzie Milukow. Bądź co bądź człowiek z wyższym wykształceniem i w głębi duszy monarchista. Ale i on się nie zjawia. Ciągłe tylko te radzieckie antychrysty!

- Pomogę panu - rzekł Ostap. - Leczyłem już różnych przyjaciół oraz znajomych metodą Freuda. Sen to głupstwo. Trzeba usunąć jego źródło. Podstawowym źródłem pańskich snów jest fakt istnienia władzy radzieckiej. Niestety, nie mogę jej na razie zlikwidować. Nie mam na to czasu. Jestem sportsmenem- turystą i muszę właśnie przeprowadzić drobny remont mego samochodu, i jeśli pan pozwoli, umieszczę go w pańskiej szopie. A co do tego źródła, to niech się pan nie martwi. Zlikwiduję je w drodze powrotnej. Jak tylko skończę raid.

Odurzony ciężkimi snami monarchista chętnie zgodził się, aby sympatyczny i życzliwy młodzieniec skorzystał z szopy. Narzucił palto na koszulę, włożył na bose nogi kalosze i wyszedł za Benderem na podwórze.

- A zatem mogę mieć nadzieję? - dopytywał się, drepzcząc za swym porannym gościem.

- Szkoda gadać - odpowiedział beztrosko komandor - jak tylko władza radziecka przestanie istnieć, od razu panu ulży. Przekona się pan.

Po upływie pół godziny „Antylopa” została zagarażowana w szopie i pozostawiona pod opieką

Kozlewicza i Panikowskiego. Bender w towarzystwie Bałaganowa udał się do miasta po farby.

Mleczni bracia maszerowali przez rozświetnione ulice do centrum miasta. Na gzymsach domów spacerowały szare gołębie. Spryskane wodą drewniane chodniki były czyste i wilgotne.

Człowiekowi, który ma czyste sumienie, przyjemnie jest wyjść w taki poranek na ulicę, postać chwilę przed bramą, wyjąć z kieszeni pudełko zapalek, na którym widnieje samolot z figą zamiast śmigła i napis: „Odpowiedź Curzonowi”, spojrzeć z satysfakcją na nową paczkę papierosów i zapalić, płosząc kadzidlany dymem pszczołę ze złotymi prążkami na brzuszku.

Nagle zaszedł braciom drogę jakiś mężczyzna, niosący składane stalugi i polerowaną skrzynkę z farbami. Miał tak wzburzony wyraz twarzy, jak by przed chwilą wyskoczył z płonącego domu, skąd udało mu się uratować tylko stalugi i skrzynkę.

- Przepraszam bardzo - odezwał się dźwięcznie - przed chwilą powinien był przechodzić tędy towarzysz Płotski-Pocełujew. Nie spotkaliście go? Nie przechodził tędy?

- My takich nigdy nie spotykamy - powiedział opryskliwie Bałaganów.

Artysta odsunął Bendera, powiedział „pardon” i oddalił się

- Płotski-Pocełujew? - mruczał gniewnie wielki kombinator, który nie jadł jeszcze śniadania. - Znałem osobiście akuszerkę nazwiskiem Meduza-Gorgoner i nie robiłem z tego powodu żadnego hałasu, nie biegałem po ulicach, wrzeszcząc: „Czy kto nie widział przypadkiem obywatelki Meduzy-Gorgoner, która podobno przed chwilą tędy przechodziła?” Ważna osoba! Płotski-Pocełujew!

Zanim Bender skończył swoją tyradę, zniecka wpadło na niego dwóch mężczyzn z czarnymi talugami i lakierowanymi kasetami do farb. Były to postacie krańcowo różne. Jeden z nich prawdopodobnie wyznawał pogląd, że prawdziwy artysta powinien być owłosiony i gdyby sądzić po obfitości zarostu, był on prawowitym następcą Henryka z Navarry na terenie ZSRR. Wąsy, kędziory i bródka nadzwyczajnie ożywiały jego płaską twarz. Drugi był kompletnie łysy, miał głowę gładką i lśniąco jak klosz do lampy.

- Czy nie widzieliście... - odezwał się zadyszany następca Henryka z Navarry.

- Towarzysza Płotskiego... - wtrącił zdyszany klosz.

- Pocełujewa? - dokończył kudłaty.

- Powinien był tędy przechodzić - dodał klosz w formie wyjaśnienia.

Bender odsunął na bok Bałaganowa, który otwierał już usta, żeby skłóc siarczyście natrętów, i z arogancką uprzejmością oświadczył:

- Nie widzieliśmy towarzysza Płotskiego, ale jeżeli wymieniony towarzysz rzeczywiście jest panom potrzebny, radzę się śpieszyć, bo poszukuje go już jakiś człowiek pracy, wyglądający na artystę-kanoniera.

Artyści, popychając się wzajemnie, pobiegli naprzód. W tej samej chwili zza rogu ulicy wyjechała dorożka. Siedział w niej jakiś grubas. Pod jego obszerną niebieską bluzą można się było domyślić wyduętego brzuszka. Ogólny wygląd pasażera przypominał starą reklamą pewnej patentowanej mikstury, zaczynającą się od słów: „Widok nagiego ciała, porośniętego włosami, robi odrażające wrażenie”. Nietrudno było zorientować się w profesji grubasa. Obejmował on stojące przed nim masywne stalugi, a u nóg dorożkarza spoczywało lakierowane pudło, niewątpliwie zawierające farby.

- Halo! - zawołał Ostap. - Szuka pan pewno Pociągajewa?

- Tak jest - potwierdził otyły malarz spoglądając smętnym wzrokiem na Ostapę.

- Niech się pan śpieszy! Niech się pan śpieszy! - krzyknął Ostap. - Już trzech kolegów po fachu pana ubiegło. A o co właściwie chodzi? Co się tu dzieje?

Ale koń, dudniąc kopytami po nierównym bruku, uwiózł już w dal czwartego reprezentanta sztuk plastycznych.

- Cóż to za kulturalne miasto! - rzekł Ostap. - Zauważyłeś, Bałaganów, że na czterech spotkanych przez nas mieszkańców, wszyscy czterej byli artystami. Ciekawe!

Kiedy bracia mleczni zatrzymali się przed sklepem z materiałami malarskimi, Bałaganów zapytał szeptem Ostapę:

- Czy panu nie wstyd?

- Czego? - zapytał Ostap.

- Tego, że zamierza pan płacić za farby żywą gotówką?

- Ach, o to chodzi? - rzekł Ostap. - Owszem, trochę mi wstyd. Sytuacja rzeczywiście kompromitująca.

Ale cóż robić? Nie pójdziemy przecież do Komitetu Wykonawczego, aby przydzielił nam farby do dekoracji ulicznych na „Dzień skowronka”. Dostalibyśmy ten przydział, ale stracilibyśmy na to cały dzień.

Suche farby w puszkach, szklanych słojach, workach, baryłkach i obszarpanych papierowych torbach mieniły się żywymi cyrkowymi barwami i nadawały sklepowi z przyborami malarskimi odświeżny wygląd.

Komandor i mechanik pokładowy zaczęli gorliwie wybierać farby.

- Kolor czarny jest zbyt żałobny - mówił Ostap. - Zielony także nam nie odpowiada: jest to kolor zawiedzionych nadziei. Fioletowy? Nie. W fioletowym samochodzie niech sobie jeździ naczelnik urzędu śledczego. Różowy jest niesmaczny, błękitny - banalny, czerwony zbyt wiernopoddający.

Trzeba będzie pomalować „Antylope” na żółto. Będzie nieco jaskrawa, ale ładna.

- Czy nie jesteście przypadkiem malarzami, towarzysze? - zapytał sprzedawca, którego broda była lekko przyprószone cynobrem.

- Tak jest - odpowiedział Ostap. - Jesteśmy batalistami i marynistami.

- W takim razie niepotrzebnieście tutaj przyszli - rzekł sprzedawca, sprzątając z lady torby i puszki.

- Dlaczego niepotrzebnie? A gdzie mamy iść? - zawołał Ostap.

- Naprzeciwno.

Sprzedawca odprowadził przyjaciół do drzwi i pokazał im szyld po przeciwnej stronie ulicy. Na szyldzie tym widniał brązowy koński łeb oraz czarny napis na niebieskim tle: „Owies i siano”.

- Rozumiem - rzekł Ostap - obrok dla bydła. Ale co to ma wspólnego z nami, artystami? Nie widzę tu żadnego związku.

Okazało się jednak, że związek był i to bardzo istotny. Ostap zorientował się w nim już na samym początku udzielonych przez sprzedawcę wyjaśnień.

Miasto miało od dawna słabość do sztuk plastycznych i czterej zamieszkali w nim artyści-malarze założyli tu ugrupowanie: „Dialektyczny stalugowiec”. Malowali portrety czołowych działaczy sprzedawali je do miejscowego muzeum sztuki. Z biegiem czasu liczba niesportretowanych działaczy znacznie się zmniejszyła, co wydatnie obniżyło zarobki dialektycznych stalugowców. Ale z tym można było dać sobie jeszcze radę. Lata udręki zaczęły się dopiero wtedy, kiedy do miasta zjechał nowy artysta malarz Teofan Muchin.

Pierwsze jego dzieło wywołało w mieście dużo hałasu. Był to portret kierownika przemysłu hotelowego. Teofan Muchin pobił wszystkich stalugowców na głowę. Portret dygnitarza hotelowego nie był malowany ani farbami olejnymi, ani akwarelami, ani węglem, ani temperą, ani pastelami, ani gwaszem, ani zwykłym ołówkiem. Portret dygnitarza zastał zrobiony z owsa. Kiedy twórca portretu

Muchin wiozł go dorożką do muzeum, koń dorożkarski oglądał się niespokojnie i rżał.

Z biegiem czasu Muchin zaczął się posługiwać także innymi roślinami z gatunku zbóż.

Szalone powodzenie zdobyły sobie portrety z prosa, pszenicy i maku, śmiałe szkice rzucane kukurydzą kaszą gryczaną, pejzaże z ryżu i martwe natury z jagieł.

Obecnie Muchin pracował nad portretem grupowym. Wielkie płótno, przedstawiało posiedzenie

Okręgowej Komisji Planowania. Obraz ten komponował Teofan z fasoli i grochu. Ale w głębi ducha pozostawał wierny oswowi, który stał się bezpośrednim sprawcą jego kariery i pogromcą dialektycznych stalugowców.

- Ależ to jasne, że powinno się malować owsem! - zawołał Ostap. - A te bałwany Rubens i Rafał pacykowali olejnymi farbami. My także jesteśmy osłami w typie Leonarda da Vinci. Prosimy o żółtą emalię.

Płacąc gadatliwemu sprzedawcy, Ostap zapytał:

- Ale, ale... Kto to jest Płotski-Pocełujew? Jesteśmy przyjezdni i nie orientujemy się w tutejszych stosunkach.

- Towarzysz Pocełujew to wybitny działacz stołeczny rodem z naszego miasta. Przyjechał ostatnio z

Moskwy na urlop.

- Rozumiem - rzekł Ostap. - Dziękuję za informację. Do zobaczenia.

Na ulicy mleczni bracia natknęli się na dialektycznych stalugowców. Wszyscy czterej stali z kwaśnymi minami na skrzyżowaniu ulic. Obok nich sterczały stalugi ustawione w kozły jak karabiny.

- No i cóż, wiarusy? - zapytał Ostap. - Nie złapaliście Płotskiego-Pocełujewa?

- Nie złapaliśmy - jęknęli artyści. - Wymknął nam się z rąk.

- Teofan zdmuchnął go wam sprzed nosa? - zapytał Ostap, wykazując biegłą znajomość przedmiotu.

- Już maluje, pacykarz - odpowiedział następca Henryka z Navarry. - Owszem. Wraca, powiada, do swojej dawnej metody. Skarży się na kryzys genre'u, kombinator!

- A gdzie mieści się atelier tego kombinatora? - spytał z zaciekawieniem Ostap. - Warto by może rzucić okiem na jego dzieła.

Malarze, którzy mieli dużo wolnego czasu, chętnie zaprowadzili Ostapę i Bałaganowa do Teofana

Muchina. Teofan pracował w swoim ogródku, pod gołym niebem. Obok niego siedział na stołku towarzysz Płotski. Był to widać człowiek bardzo skromny, bowiem z zapartym tchem wpatrywał się w artystę, który, jak ów siewca na banknotach, chwycił z kobiałki garści owsa i rzucał je na płótno.

Muchin był w złym humorze. Przeszkadzały mu wróble. Przyfruwały bezczelnie do obrazu i wydziobywały z niego najciekawsze fragmenty.

- Ile dostaniecie za ten obraz? - zapytał nieśmiało Płotski.

Teofan przerwał akcję siewną, popatrzył krytycznie na swoje dzieło i odpowiedział w zamyśleniu:

- Muzeum zapłaci mi za niego dwieście pięćdziesiąt rubli.

- To dość dużo.

- Teraz bardzo trudno o owies - odpowiedział śpiewnie Muchin. - A przy tym jest bardzo drogi.

- Jak tam oziminy? - zapytał Ostap wtykając głowę między sztachety ogródka. - Widzę, że kampania siewna rozwija się pomyślnie. Plan wykonany w stu procentach! Ale to wszystko fraszka w porównaniu z tym, co widziałem w Moskwie. Pewien artysta wykonał obraz z włosów. Wielkie płótno z mnóstwem postaci. Pod względem ideologicznym obraz był bez zarzutu, aczkolwiek artysta posługiwał się włosami bezpartyjnych, co nie było zupełnie po linii. Mimo to jednak obraz pod względem ideologicznym był, powtarzam, na sto dwa. Nosił tytuł: „Dziadek Pachom i traktor w nocy”.

Był to taki krnąbrny obraz, że nie wiedzieli, co z nim robić. Czasami włosy stawały na nim dęba. A pewnego pięknego dnia obraz doszczętnie osiwił i po dziadku Pachomie i jego traktorze śladu nie zostało. Ale artysta zdążył już podłapać za pomysł półtora tysiąca rubli. Więc niech się wam zanadto nie przewraca w głowie, towarzyszu Muchin. Owies wkrótce zacznie kiełkować, wasze obrazy zaczną się kłócić, a wy nigdy już nie zbierzecie planów.

Dialektyczni stalugowcy wybuchnęli złośliwym śmiechem. Ale Teofan nie dał się zbić z tropu.

- To brzmi paradoksalnie - odciął się i wrócił do akcji siewnej.

- Niech i tak będzie - zgodził się Ostap na pożegnanie - siejcie nadal wzniosłe i wieczyste dobra, a potem się okaże, co z tego wyniknie. Żegnajcie i wy, wiarusy. Porzućcie swoje olejne farby.

Zacznijcie układać mozaiki ze śrubek, muterek i gwoździ. Portret ze śrubek. Cóż to za wspianiały pomysł!

Załoga „Antylopy” przez cały dzień malowała swój wóz. Pod wieczór samochód był już nie do poznania i mienił się wszystkimi odcieniami żółtka na miętko.

O świcie następnego dnia przeobrażona „Antylopa” opuściła gościnną szopę i wzięła kurs na południe.

- Szkoda, że nie udało się nam pożegnać z gospodarzem. Ale spał tak słodko, że żal mi go było budzić.

Może śni mu się wreszcie sen, na który tak długo czekał: metropolita Dwułogij błogosławi urzędników ministerstwa oświaty w dniu trzechsetlecia dynastii Romanowów.

W tej samej chwili rozległ się z małej chałupki znany już dobrze Ostapowi płaczliwy lament.

- Wciąż ten sam sen! - rozpacział stary Chworobiew. - Boże! Boże!

- Pomyliłem się - rzekł Ostap. - Zamiast metropolity Dwułogija przyśniło mu się widocznie rozszerzane plenum grupy literackiej „Kuźnica i nowa wieś”. Pal go diabli! Interesy wzywają nas do Czernomorska!

Rozdział IX Nowy kryzys genre u

Czym też się ludzie nie zajmują na tym świecie! Obok wielkiego świata, gdzie istnieją wielcy ludzie i wielkie sprawy, egzystuje mały światek małych ludzi i małych spraw. Wielki świat wynalazł motor

Diesla, stworzył „Martwe dusze”, wybudował elektrownię wodną na Dnieprze i dokonał lotu dookoła świata. Mały światek wynalazł hałaśliwą zabawkę „ujdi-ujdi”, skomponował piosenkę „Cegiełeczki” i wymyślił spodnie, model „polpred”. Wielki świat kieruje się dążeniem do uszczęśliwienia ludzkości.

Malutki światek nie ma tak wysokich aspiracji. Obywatele tego światka dążą tylko do tego, żeby jako tako przebrnąć przez życie, nie doznając chłodu ni głodu.

Mali ludzie usiłują nadążyć za wielkimi. Rozumieją, że muszą postępować zgodnie z duchem epoki, bo tylko wtedy znajdą popyt na swój towar. W czasach radzieckich, kiedy wielki świat wznosi wspaniałe twierdze ideologiczne, w malutkim światku panuje znaczne ożywienie. Malutki światek usiłuje podbudować wszystkie swoje błahe wynalazeczki granitowymi fundamentami „komunistycznej” ideologii. Na piszczącym pęcherzu „ujdi-ujdi” ukazują się podobizny Chamberlaina nader przypominające karykatury umieszczone w „Izwestiach”. W popularnej piosence mądry ślusarz, który pragnie podbić serce pewnej komsomołki, wyrabia, a nawet przekracza normy produkcyjne na przestrzeni trzech strofek. I podczas gdy w wielkim świecie toczy się zażarta dyskusja na temat sposobów realizacji wielkich idei, w malutkim światku wszystko jest już gotowe: jest już krawat

„Marzenie przodownika pracy”, „tołstowka-gładkowka”, gipsowa figurka „Kołchoźnica w kąpielu” i damskie gumowe potniki „Miłość pracowitych pszczółek”.

Nowy duch powiał też w dziedzinie rebusów, szarad, logogryfów i obrazków, w których trzeba coś odnaleźć czy odgadnąć. Dawne szablony w tej dziedzinie wyszły z mody. Redaktorzy kącików rozrywkowych w gazetach i czasopismach przestali umieszczać w rubrykach pod nazwami „Łam sobie głowę” lub „Na wolną chwilę” materiały pozbawione wydźwięku ideologicznego. Toteż w czasie kiedy wielki kraj pulsował nowym życiem, kiedy budowano fabryki traktorów i organizowano olbrzymie gospodarstwa rolne, starszy Sinicki, z zawodu autor rebusów, siedział w swoim pokoju, wbiwszy oszklone oczy w sufit, i układał szaradę, której rozwiązaniem miało być modne słowo: industrializacja.

Sinicki miał wygląd krasnoludka. Takie krasnoludki widywało się zazwyczaj na szyldach sklepów z parasolami. Krasnoludki z szyldów mają na głowie czerwone czapeczki

i mrugają przyjaźnie do przechodniów, jakby ich namawiały, żeby natychmiast kupili jedwabną parasolkę lub łaskę ze srebrną rączką w kształcie psiego łba. Długa żółtawa broda Sinickiego spadała pod stół, wprost do kosza na śmieci.

- Industrializacja - szeptał żałośnie, poruszając bladymi, jak surowe kotlety, starczymi wargami.

I z zawodową wprawą podzielił to słowo na szaradowe części:

- Indus. Tri. Ali. Za.

Dotychczas wszystko szło jak po maśle. Sinicki miał już na końcu pióra doskonałą, wydźwiękową w treści, lekką w formie i trudną do odgadnięcia szaradę. Wszystko jednak rozbiło się o ostatnią sylabę - „cja”.

- Cóż to jest „cja”? - męczył się Staruszek. - Gdyby zamiast „cja” było „akcja”, wszystko byłoby w porządku. „Industrializacja”!

Po półgodzinnych rozmyślaniach, nie uwiecznionych żadnym pomysłem na ostatnią kapryśną sylabę,

Sinicki doszedł do przekonania, że zakończenie samo jakoś przyjdzie i zabrał się do roboty. Zaczął spisywać swój poemat na kartce wyrwanej z książki buchalteryjnej z napisem: „debet”.

Przez białe oszklone drzwi balkonu widać było kwitnące akacje, łatanie dachy domów i wyraźną niebieską linię morskiego horyzontu. Czarnomorskie południe prażyło miasto lepkiem upałem.

Staruszek po pewnym namyśle zanotował na kartce pierwszy dwuwiersz:

Pierwsze to rzeka; spójrz na Wschód;

Z jej nazwy poznasz nazwę kraju.

- Z jej nazwy poznasz nazwę kraju - powtórzył z zadowoleniem staruszek.

Bardzo mu się podobał ten pierwszy dwuwiersz, miał tylko zmartwienie ze znalezieniem odpowiednich rymów. Przeszedł się po pokoju, szarpiąc długą brodę. Aż zstąpiło na niegonactwienie:

Drugie to cytra; głosi lud,

Ze Pan Bóg mieszka w niej jak w raju.

Z „ali” i „za” dał sobie już z łatwością radę:

Trzecie na głowie turban ma

I strzeże czasem wrót seraju;

A czwarte w zdaniu mores zna:

Przymkiem jest, jak „pod” lub „dla”.

Znużony twórczym wysiłkiem Sinicki oparł się o poręcz krzesła i przymknął oczy. Miał już iedemdziesiąt lat. Przez pięćdziesiąt lat układał rebusy, szarady i zagadki. Ale nigdy jeszcze praca nie szła mu tak ciężko, jak obecnie. Nie nadążał za życiem, był politycznym analfabetą i jego młodszy rywal dystansowali go na każdym kroku. Przynosili do redakcji rozrywki umysłowe o tak niewątpliwym wydźwięku ideologicznym, że czytając je staruszek skręcał się z zazdrości. Jakże mógł marzyć o ułożeniu takiego, na przykład, zadania:

ARYTMOMOID

Były trzy stacje kolejowe: Worobiewo, Graczevo i Drozdowo. Na każdej z tych stacji zatrudniona była taka sama liczba pracowników. Na stacji Drozdowo było sześć razy mniej komsomolców niż na dwóch pozostałych. Na stacji Worobiewo było o dwunastu partyjnych więcej niż na stacji Graczevo. Ale na tej ostatniej było o sześciu bezpartyjnych więcej niż na pierwszych dwóch. Ilu na każdej z tych stacji było pracowników i jaki był tam procent partyjnych i komsomolców?

Po otrząśnięciu się z tych gorzkich rozmyślań staruszek znowu pochylił się nad kartką z napisem

„debet”, ale w tej samej chwili do pokoju weszła dziewczyna z mokrymi, krótkimi włosami, z czarnym kostiumem kąpielowym przerzuconym przez ramię.

Bez słowa wyszła na balkon, rozwiesiła mokry kostium na obłupanej poręczy i spojrzała na dół.

Ujrzała nędzne podwórko, na które patrzyła od wielu już lat, żałosne podwórko zawalone połamanymi skrzynkami, gdzie wałęsały się umorusane węglem koty i gdzie blacharz naprawiał hałaśliwie dziurawe wiadro. Na niższym piętrze lokatorki użalały się na swoje ciężkie życie.

Nie po raz pierwszy słyszała dziewczyna takie rozmowy, znała te wszystkie koty i miała wrażenie, że blacharz od wielu lat naprawia ciągle to samo wiadro. Zosia Sinicka wróciła do pokoju.

- Zachciało im się ideologii - usłyszała mruczenie dziadka. - Co ideologia ma wspólnego z rebusami?

Rebus to rebus...

Zosia rzuciła okiem na starcze hieroglify i zawołała:

- Dziadziu, coś ty tu powypisywał? Co to ma znaczyć? „Głosi lud, że Pan Bóg mieszka w niej jak w raju”.. Dlaczego Pan Bóg? Przecież sam mówiłeś, że redakcje nie przyjmują szarad, w których są cerkiewne wyrażenia.

Sinicki jęknął. Wołając ze zgrozą: „Co za Bóg? Żadnego Boga nie ma!”, drżącymi rękami umieścił na nosie okulary w białej oprawie i chwycił kartkę z szaradą.

- A jednak Bóg jest - odezwał się ze smutkiem. - Znalazł się... Znowu palnąłem głupstwo. A szkoda. Tak się ładnie rymowało: kraju-raju-seraju. I co teraz będzie, Zosieńko?

Zosia spokojnie popatrzyła na dziadka i poradziła mu, żeby wymyślił inną szaradę.

- Przecież i tale nie dasz sobie rady z końcówką „cja” - rzekła. - Pamiętasz, jak męczyłeś się ze słowem

„kinofikacja”?

- Pewnie, że pamiętam - ożywił się staruszek - czwarta sylaba w tej szaradzie brzmiała: „kac”, więc napisałem „Czwarte - dziwne wam się wyda - to znanego imię Żyda.” Nie przyjęli tej szarady.

Powiedzieli, że jest słaba i że się nie nadaje. Głupstwo strzeliłem.

Staruszek usadowił się znowu przy stole i zaczął układać duży rebus z wydźwiękiem ideologicznym.

Przede wszystkim narysował gęś, która trzyma w dziobie literę T, wielką i ciężką jak szubienica. Praca szła jak z płatka.

Zosia zabrała się do nakrywania stołu. Wyjmowała zastawę stołową z kredensu o lustrzanych szybkach i ustawiała ją na stole. Z kredensu wynurzyła się najpierw fajansowa waza z obtłuczonymi uszami, następnie talerze w kwiatki i bez kwiatków, poźółtkłe widelce i wreszcie kompotierka, chociaż kompot nie był wcale na obiad przewidziany.

Interesy Sinickich przedstawiały się opłakanie. Rebusy i szarady przynosiły więcej zmartwień niż pieniędzy. Ze stołownikami, stołującymi się po znajomości u starego autora rebusów, co stanowiło główne źródło utrzymania rodziny, także było ostatnio nietęgo. Podwysocki i Bomze wyjechali na urlop. Stulian ożenił się z jakąś Greczynką i zaczął jadać w domu, a Pobiruchina wylano z posady, więc zmartwienia stracił apetyt i zrezygnował z obiadów. Chodził teraz po mieście, zaczepiał znajomych powtarzał stale to samo, pełne ukrytego sarkazmu zdanie: „Słyszeliście ostatnią nowinę? Wylano mnie z posady!” Niektórzy ze znajomych mówili ze współczuciem: „Ładnych rzeczy narobili ten Marks i Engels!” Inni znajomi w ogóle nie odpowiadali, spoglądali na Pobiruchina spode łba i odchodzili wymachując teczkami. W końcu ze wszystkich stołowników został tylko jeden, a i ten już od tygodnia nie płacił, tłumacząc się wstrzymaniem poborów.

Zosia, wzruszając z niezadowolenia ramionami, wyszła do kuchni, a kiedy wróciła, przy obiadowym stole siedział już ostatni stołownik - Aleksander Iwanowicz Korejko.

W życiu pozaurzędowym Aleksander Iwanowicz nie robił wrażenia człowieka nieśmiałego i unizonego. Mimo to jednak wyraz niespokojnej czujności nigdy nie opuszczał jego twarzy. W tej chwili Korejko przyglądał się uważnie nowemu rebusowi Sinickiego. Między innymi zagadkowymi rysunkami był tam worek, z którego sypały się litery „T”, choinka, zza której wychylało się słońce, i wróbel siedzący na pięciolinii.

- To nie jest łatwy rebusik - mówił Sinicki, spacerując dokoła stołu. - Trzeba sobie dobrze nałamać nad nim głowę.

- Może tak, a może nie - odparł z uśmiechem Korejko. Trochę mi ta gęś przeszkadza. Po co ta gęś? -

Aha! Już wiem: „Orężnie walcz o swoje prawa!”

- Jak pan to zgadł, tak szybko? - zapytał rozzarowany staruszek. - Musi pan mieć specjalne zdolności.

Od razu widać, że jest pan rachmistrem pierwszej kategorii.

- Drugiej kategorii - poprawił Korejko. - Ale po co pan ułożył ten rebus? Do druku?

- Do druku.

- Szkoda fatygi - rzekł Korejko, spoglądając z zainteresowaniem na barszcz, po którym pływały złote medale tłuszczu. Barszcz ten miał w sobie coś z godności wielokrotnie odznaczonego podoficera. -

„Orężnie walcz o swoje prawa!” jest to hasło eserowców i nie nadaje się do druku.

- O mój Boże, mój Boże! - jęknął staruszek. - O królowo niebieska! Znowu trafiłem jak kulą w płot!

Słyszysz, Zosieńko? Znowu palnąłem głupstwo. Co ja teraz zrobię?

Oboje pocieszali go jak mogli. Staruszek zjadł obiad bez entuzjazmu, wstał od stołu, zebrał wszystkie opracowane w ciągu tygodnia zagadki, włożył słomkowy kapelusz, jaki wkłada się koniom od słońca, i rzekł:

- Idę do „Wiadomości młodzieżowych”, Zosińko. Martwię się nieco o mój algebroid. Ale trochę pieniędzy w każdym razie dostanę.

W komsomolskim czasopiśmie „Wiadomości młodzieżowe” często odrzucano staruszkowi jego prace.

Wytykano mu zacofanie, ale traktowano dość grzecznie i czasopismo to było jedynym źródłem, z którego wpływał do kieszeni staruszka wątlę, ale stały strumyczek pieniędzy. Sinicki wziął ze sobą szaradę zaczynającą się od słów: „Pierwsze na morskim leży dnie”, dwa logogryfy kołchozowe tudzież jeden algebroid, gdzie drogą nader skomplikowanego mnożenia i dzielenia dochodziło się do wniosku, że ustrój radziecki ma zdecydowaną przewagę nad wszystkimi innymi ustrojami.

Po wyjściu autora rebusów Aleksander Iwanowicz z powagą zaczął przyglądać się Zosi. Aleksander

Iwanowicz stołował się u Sinickich dlatego, że obiady były tu tanie i smaczne, a podstawową zasadą

Korejki było pamiętać nieustannie o tym, że jest skromnym urzędniczyną. Lubił pogawędzić o trudnych warunkach egzystencji w dużym mieście przy tak niskich uposażeniach. Ale od pewnego czasu cena i smak obiadów straciły dla niego to abstrakcyjne i demonstracyjne znaczenie, jakie im dotychczas narzucał. Teraz, gdyby od niego zażądano i gdyby mógł to zrobić otwarcie, z rozkoszą płaciłby za obiad nie sześćdziesiąt kopiejek, jak dotychczas, ale trzy, nawet pięć tysięcy rubli.

Aleksander Iwanowicz, ten dobrowolny męczennik, świadomie dręczący się finansową ascezą, odmawiający sobie wydania jednorazowo więcej niż pół rubla, a jednocześnie nieustannie rozdrażniony tym, że w obawie przed utratą milionów nie może sobie pozwolić na jawne oztrwonienie stu rubli, zakochał się z całą pasją, do jakiej zdolny jest człowiek silny, surowy i zgorączkowany przedłużającym się w nieskończoność oczekiwaniem.

Dzisiaj Aleksander Iwanowicz postanowił wreszcie wyznać Zosi miłość, ofiarować jej swoją rękę, której tętnił puls, drobniutki i wściekły jak chomik, tudzież swoje serce, ściśnięte baśniowymi obręczami.

- Tak - odezwał się w końcu - takie buty, panno Zosiu!

Po wygłoszeniu tego treściwego zdania obywatel Korejko wziął ze stołu popielniczkę, na której widniała przedrewolucyjna sentencja: „Mężu, nie sierz żony”, i zaczął się w nią uważnie wpatrywać.

W tym miejscu należy podać do wiadomości, że nie ma na świecie dziewczyny, która by przynajmniej na tydzień naprzód nie wiedziała o mających nastąpić oświadczeniach. Dlatego też Zosia ciężko westchnęła i stanęła przed lustrem. Miała ona tę sportową sylwetkę, jaką ostatnimi czasy osiągnęły wszystkie ładne dziewczęta. Upewniwszy się w tym, Zosia usiadła naprzeciwko Aleksandra

Iwanowicza i przygotowała się do wysłuchania go. Ale Aleksander Iwanowicz nic nie powiedział.

Bowiem znał tylko dwie role: urzędniczynę i zakonspirowanego milionera. Żadnej innej roli nie znał.

- Słyszał pan ostatnią nowinę? - zapytała Zosia. - Pobiruchin wyleciał z posady.

- U nas także zaczęła się czystka - odpowiedział Korejko. - Mnóstwo ludzi wyleci. Na przykład Lapidus- junior. A Lapidus-senior też dobry numer...

W tym momencie Korejko zorientował się, że zabrnął w rolę biednego urzędniczyny. I znowu ogarnęła go ciężka jak ołów melancholia.

- Tak, tak - powiedział - żyje człowiek na tym świecie jak palec nie zaznając nawet odrobiny szczęścia...

- Czego, czego nie zaznając? - ożywiła się Zosia.

- Miłości - odpowiedział zduszonym głosem Korejko.

Nie widząc żadnego zainteresowania ze strony Zosi, zaczął rozwijać swoją myśl.

Jest już stary. To znaczy jeszcze nie taki bardzo stary, ale już nie młody. Właściwie nawet nie to, że nie młody... ale bądź co bądź czas leci, życie mija. Latka płyną. I właśnie ten bieg czasu nasuwa człowiekowi różne myśli. Na przykład, myśl o małżeństwie. Niech sobie ktoś nie wyobraża, że on jest byle kto. Jest z gruntu dobrym i przyzwoitym człowiekiem. Trzeba mu okazać trochę dobroci. Wydaje mu się nawet, że można go pokochać. Nie jest lekkoduchem, jak inni, i nie lubi rzucać słów na wiatr.

Dlaczego jakaś dziewczyna nie miałaby wydać się za niego za męża?

Wyraziwszy w tak nieśmiałej formie swoje uczucia, Aleksander Iwanowicz surowo spojrzał na Zosię.

- Czy to możliwe, żeby Lapidusa-juniora wyrzucili z posady? - zapytała wnuczka autora rebusów.

I, nie czekając na odpowiedź, zaczęła mówić na poruszony uprzednio temat.

Rozumie, wszystko doskonale rozumie. Czas rzeczywiście leci bardzo szybko. Jeszcze niedawno miała dziewiętnaście lat, a teraz już ma dwadzieścia. A za rok będzie miała dwadzieścia jeden. Nigdy nie myślała, że Aleksander Iwanowicz jest byle kim. Przeciwnie, zawsze uważała, że Aleksander

Iwanowicz jest porządnym człowiekiem. Nawet lepszym od innych. I zasługuje na wszystko najlepsze.

Ale ona ma pewne swoje plany. Jakie? Sama jeszcze dobrze nie wie. W każdym razie chwilowo nie oże wyjść za męża. Zresztą, jakby wyglądało ich wspólne życie? Ona dopiero szuka jakiejś drogi. A on, mówiąc szczerze i otwarcie, zarabia zaledwie czterdzieści sześć rubli miesięcznie. A poza tym ona go jeszcze nie kocha, a to, bądź co bądź, jest dosyć ważne.

- Jakie tam czterdzieści sześć rubli! - wykrzyknął grzmiącym głosem Aleksander Iwanowicz, wstając z krzesła. - Ja mam... ja mam...

Ale tu urwał. Przeraził się. O mały włos nie przeszedł na rolę milionera, a to mogłoby się skończyć katastrofą. Strach, jaki go ogarnął, był tak potężny, że zaczął nawet bełkotać coś o tym, że pieniądze nie dają szczęścia. Ale w tej chwili za drzwiami rozległo się jakieś sapanie. Zosia wybiegła na korytarz.

W korytarzu stał dziadek w swoim dużym kapeluszu z błyszczącej słomy. Nie mógł się zdobyć na wejście do pokoju. Broda jego rozcapierzyła się ze zgrzyoty jak miotła.

- Dlaczego tak szybko? - zawołała Zosia. - Co się stało?

Staruszek podniósł na nią oczy pełne łez.

Przestraszona Zosia chwyciła go za chude ramiona i szybko wciągnęła do pokoju. Sinicki leżał przez pół godziny na kanapie i trząsał się jak w febrze.

Po długich namowach zaczął opowiadać.

Zaczął się jak najlepiej. Dotarł do redakcji „Wiadomości młodzieżowych” bez żadnych przeszkód.

Kierownik działu „Rozrywek umysłowych” przyjął go bardzo uprzejmie.

- Rękę mi podałeś, Zosieńko - westchnął starsuszek. - Siadajcie, powiada, towarzyszu Sinicki. I nagle zadał mi cios. Niestety, powiada, nasz dział ulega likwidacji. Przyjechał nowy redaktor i oświadczył, że naszym czytelnikom nie są potrzebne rozrywki umysłowe, natomiast potrzebny im jest, Zosieńko, stały dział szachowy. „Więc co teraz będzie?” - pytam. „A nic - powiada kierownik. - Po prostu wasz materiał nie pójdzie i tyle. Ale moją szaradę ogromnie chwalił. Wiersz, powiada, na miarę Puszkina, zwłaszcza to miejsce: „Pierwsze na morskim leży dnie, na morskim dnie jest drugie też”

Starsuszek długo jeszcze siedział na kanapie i skarżył się na przytłaczającą siłę radzieckiej ideologii.

- I znowu dramat! - zawołała Zosia.

Włożyła kapelusz i skierowała się do wyjścia. Aleksander Iwanowicz pośpieszył za nią, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie powinien tego robić.

Na ulicy Zosia wzięła Korejkę pod rękę.

- Mimo to pozostaniemy w przyjaźni. Prawda?

- Byłoby lepiej, gdyby pani wyszła za mnie za mąż - mruknął szczerze Korejko.

W pootwieranych na oścież pijalniach sztucznych wód mineralnych pełno było młodych ludzi z gołymi głowami, w białych koszulach z rękawami zawiniętymi powyżej łokci. Na półkach stały niebieskie syfony z metalowymi kranikami. Długie szklane cylindry z sokiem, umieszczone na obracanej podstawie, mieniły się apetycznymi barwami. Persowie o smutnych twarzach piekli orzechy na rozżarzonych węglach; apetyczny dym nęcił przechodniów.

- Poszłoby się do kina - odezwała się kapryśnie Zosia. - Zjadłoby się orzechów, napiłoby się wodysodowej z sokiem.

Dla Zosi Korejko gotów był na wszystko. Poszedłby nawet na pewne zdekonspirowanie się, mianowicie na przechulanie powiedzmy... pięciu rubli. Miał w tej chwili przy sobie, w płaskim metalowym pudełku od papierosów „Kaukaz”, dziesięć tysięcy rubli w banknotach, z których każdy wart był dwadzieścia pięć czerwonońców. Ale gdyby nawet Korejko oszalał i wyciągnął choćby jeden z tych banknotów, i tak nie mógłby go zmienić w żadnym kinematografie.

- Zatrzymują nam pensje - odezwał się z głęboką rozpaczą. - Wypłaty są bardzo nieregularne.

W tej właśnie chwili z tłumu spacerowiczów wyłonił się jakiś młodzieniec w przepięknych sandałach na bose nogi. Przywitał Zosię podniesieniem ręki.

- Cześć, cześć - powiedział - mam dwa bilety do kina. Idziemy? Ale już!

I młody człowiek w imponujących sandałach pociągnął Zosię do kina pod nazwą „Dokąd dążysz?”

(dawniej „Quo vadis?”)

Biuralista-milioner spędził tę noc poza domem. Błąkał się do rana po mieście, przyglądał się tępym wzrokiem zdjęciom nagich niemowląt w oszklonych gablotach zakładów fotograficznych, zdzierał podeszwy na wysypanych żwirem bulwarach i wpatrywał się w mroczną otchłań portu. Słychać tam było porozumiewawcze sygnały niewidocznych statków, gwizdki milicjantów i błyskało ruchome światło latarni morskiej.

- Przeklęty kraj! - mruczał Korejko. - Kraj, w którym milioner nie może zaprosić narzeczonej do kina.

Bo wydawało mu się, że Zosia jest jego narzeczoną.

Nad ranem błądy od niewyspania Aleksander Iwanowicz znalazł się na peryferiach miasta. Kiedy szedł ulicą Besarabską, usłyszał nagle dźwięki maczicy. Zatrzymał się zdumiony.

Ze wzgórza najeżdżał ku niemu żółty samochód. Przy kierownicy siedział zgarbiony, zmęczony kierowca w skórzanej kurtce. Obok niego drzemał ze zwieszoną głową barczysty młodzieniec, w kapeluszu a la Stetson. Na tylnym siedzeniu rozłożyło się jeszcze dwóch pasażerów: strażak w galowym mundurze i atletycznej budowy młodzian w marynarskiej czapce z białym denkiem.

- Witamy pierwszego mieszkańca Czernomorska! - zawołał Ostap, kiedy samochód, warcząc jak raktor, mijał Korejkę. - Czy ciepłe morskie kąpiele jeszcze są czynne? Czy teatr miejski gra? Czy

Czernomorsk jest już proklamowany jako wolne miasto?

Ale Ostap nie otrzymał odpowiedzi. Kozlewicz otworzył tłumik i „Antylopa” utopiła pierwszego mieszkańca Czernomorska w chmurze niebieskiego dymu.

- No - odezwał się Ostap do Bałaganowa - sesja trwa. Dawaj tu tego zakonspirowanego Rockefellera.

Zaraz go obłupię ze skóry. Książęta i żebracy to moja specjalność!

Część druga

Dwaj kombinatorzy

Rozdział X Depesza od braci Karamazow

Zakonspirowany milioner zaczął podejrzewać, że od pewnego czasu znajduje się pod czujną obserwacją. Początkowo nie było na to żadnych uchwytnych dowodów. Zniknęło tylko poczucie bezpieczeństwa i swobody. Ale później zaczęły występować zjawiska konkretniejsze i bardziej niepokojące.

Pewnego razu, kiedy Korejko szedł spokojnym miarowym krokiem do pracy, tuż przy wejściu do

„Herkulesa” zatrzymał go jakiś beczelny żebrak ze złotym zębem. Przydeptując wlokące się za

Aleksandrem Iwanowiczem tasiemki od kalesonów, żebrak złapał go za rękę i wyszeptał z naciskiem:

- Daj milion, daj milion, daj milion!

Po czym żebrak mlaskając grubym, wstrętnym językiem zaczął pleść niestworzone rzeczy. Był to zwykły żebrzący kretyn, jakich wielu spotyka się na ulicach południowych miast. Mimo to jednak

Korejko wszedł do wydziału rachuby z sercem pełnym niepokoju.

Od tego incydentu zaczęło się istne piekło.

Aleksandra Iwanowicza wyrwano ze snu o trzeciej w nocy. Przyszła depesza. Szczękając zębami z przejmującego rannego chłodu, milioner rozerwał blankiet i przeczytał:

HRABINA ZMIENIONĄ TWARZĄ BIEGNIE STRUMIENIA

- Jaka hrabina? - zapytał z obłędem w oczach Korejko, stojąc boso na korytarzu.

Ale nikt nie udzielił mu odpowiedzi. Listonosz odszedł. W ogródku przed domem namiętnie gruchały gołębie. Mieszkańcy domu spali. Aleksander Iwanowicz zaczął obracać w palcach szary blankiet.

Adres się zgadzał. Nazwisko także.

MAŁA STYCZNA 16 ALEKSANDER KOREJKO HRABINA ZMIENIONĄ TWARZĄ BIEGNIE

STRUMIENIA

Aleksander Iwanowicz nic nie zrozumiał, ale tak się zdenerwował, że spalił depeszę nad świecą.

O godzinie siedemnastej minut trzydzieści pięć tego samego dnia nadeszła druga depesza:

SESJA TRWA STOP MILION POCAŁUNKÓW

Aleksander Iwanowicz zbladł ze złości i podał depeszę na drobne kawałeczki. Ale tej samej nocytrzymał jeszcze dwie depesze terminowe:

Pierwsza:

ŁADUJ POMARAŃCZE BECZKI BRACIA KARAMAZOW

Druga:

LODY RUSZYŁY STOP DEFILADĘ POPROWADZĘ OSOBIŚCIE

Następnego dnia Aleksandrowi Iwanowiczowi zdarzył się w biurze nader przykry wypadek. Mnożąc pamięci, na prośbę Czewarzewskiej, dziewięćset osiemdziesiąt pięć przez trzynaście, pomylił się i podał błędny iloczyn, co zdarzyło mu się po raz pierwszy w życiu. Ale nie miał teraz głowy do zadań arytmetycznych- Wariackie depesze nie wychodziły mu z głowy.

- Beczki - szeptał, wpatrując się w starego Kukuszkinda. - Bracia Karamazow. Cóż to za jakaś granda!

Starał się pocieszyć myślą, że to może miłe dowcipy któregoś z przyjaciół, ale wersję tę trzeba było szybko odrzucić, bo Aleksander Iwanowicz nie miał żadnych przyjaciół. Co zaś do kolegów biurowych, byli to ludzie bardzo poważni i robili kawały tylko raz na rok - pierwszego kwietnia. Ale nawet w tym dniu wesołych żartów i zabawnych mistyfikacji operowali wciąż tym samym ponurym kawałem: wypisywali na maszynie rzekome zwolnienie z pracy zaadresowane do Kukuszkinda i kładli mu je na biurku. I za każdym

razem, na przestrzeni siedmiu lat, staruszek łapał się za serce, co niezmiennie wszystkich bawiło. Zresztą byli to biedacy, których nie stać na wysyłanie kosztownych depesz.

Po depeszy, w której nieznany osobnik zapowiadał, że właśnie on, a nie kto inny, będzie prowadził defiladę, nastąpiło odprężenie. Przez trzy dni nic nie zakłóciło spokoju Aleksandra Iwanowicza. Zaczął już utwierdzać się w przeświadczeniu, że wszystko, co go spotkało, nie miało z nim w gruncie rzeczy nic wspólnego - kiedy na jego imię, za zaliczeniem pocztowym, nadeszła gruba książka pod tytułem

„Kapitalistyczne rekiny”, mająca podtytuł „Biografie milionerów amerykańskich”

Kiedy indziej Korejko chętnie przeczytałby tak interesującą książkę, ale teraz ogarnęło go przerażenie.

Pierwsze zdanie w tekście książki było podkreślone niebieskim ołówkiem i głosiło:

Wszystkie obecne wielkie fortuny zostały zdobyte drogą nieuczciwą.

Aleksander Iwanowicz postanowił na wszelki wypadek zawiesić na jakiś czas odwiedziny na dworcu.

Był zupełnie wytrącony z równowagi.

- Głównym naszym celem - perorował Ostap, spacerując po obszernym pokoju w hotelu „Karlsbad” - jest wywołanie zamieszania w obozie nieprzyjacielskim. Nieprzyjaciół winien być wytrącony z równowagi. Nie jest to trudne do osiągnięcia. Ludzie najbardziej boją się tego, czego nie rozumieją.

Sam byłem niegdyś mistykiem i doszedłem w końcu do takiego stanu, że można mnie było nastraszyć zwykłym fińskim nożem. Tak, tak. Jak najwięcej niezrozumiałych pogroźek. Jestem pewien, że moja ostatnia depesza „myślami razem” wywarła na naszym kontrahencie wstrząsające wrażenie.

Wszystko to jest superfosfat, czyli przygotowanie gruntu. Niech się trochę podenerwuje. Trzeba oswoić klienta z myślą, że będzie musiał oddać pieniądze. Trzeba go rozbroić moralnie i sparaliżować w nim odruchy instynktu samozachowawczego.

Po wygłoszeniu tego przemówienia Ostap surowo popatrzył na swoich podkomendnych. Bałaganów,

Panikowski i Kozlewicz siedzieli pokornie na czerwonych pluszowych fotelach ozdobionych frędzlami i chwastami. Byli bardzo onieśmieleni. Oszło imiły ich szerokie horyzonty myślowe komandora, złociste lambrekiny, dywany mieniące się jaskrawymi chemicznymi barwami tudzież oleodruk

„Chrystus objawia się rzeszom”. Mieszkali oni wraz z „Antylopą” w zajeździe, a do hotelu przychodzili tylko po instrukcje.

- Panikowski - rzekł Ostap - miał pan rozkaz spotkać się dzisiaj z naszym pupilem i ponownie prosić go o milion rubli, uzupełniając tę prośbę wybuchami kretyńskiego śmiechu.

- Jak tylko mnie zobaczył, od razu przeszedł na drugą stronę ulicy - odpowiedział z dumą Panikowski.

- Dobrze. Wszystko rozwija się pomyślnie. Klient zaczyna histeryzować. Z bezgranicznego zdumienia wpada w bezpodstawny lęk. Jestem pewien, że po nocy zrywa się z łóżka i woła rozpaczliwie: „Mamo, mamo!” Już niewiele mu brakuje. Jeszcze kilka drobiazgów, ostatnie pociągnięcie pędzla i facet będzie gotów. Pójdzie z płaczem do kredensu, wyjmie talerzyk z niebieskim szlaczkiem...

Ostap mrugnął porozumiewawczo do Bałaganowa. Bałaganów mrugnął do Panikowskiego.

Panikowski mrugnął do Kozlewicza. A. pocziwy Kozlewicz, aczkolwiek nic nie rozumiał, zaczął także mrugać oczami.

Długo jeszcze trwało w numerze hotelu „Karlsbad” porozumiewawcze mruganie, któremu towarzyszyły wybuchy śmiechu, mlaskanie językami, a nawet podskakiwanie na pluszowych fotelach.

- No, dość tej zabawy - rzekł Ostap. - Na razie talerzyk z pieniędzmi jest jeszcze w rękach Korejki, jeśli ten cudowny talerzyk w ogóle istnieje.

Następnie Bender odesłał Panikowskiego i Kozlewicza do zajazdu z poleceniem, żeby „Antylopa” była w każdej chwili gotowa do drogi.

- No, Szura - odezwał się, kiedy został sam na sam z Bałaganowem - z depeszami damy na razie pokój.

Prace przygotowawcze możemy uznać za ukończone. Zaczyna się regularna walka. Pójdziemy teraz przyjrzeć się złotodajnemu cielaczkowi w czasie wypełniania obowiązków służbowych.

Trzymając się ażurowego cienia akacji, mleczni bracia minęli park, przeszli obok prostego jak świeca bicza wodnego tryskającego z fontanny, minęli kilka lustrzanych barów piwnych i zatrzymali się na rogu ulicy Meringa. Kwiaciarki o twarzach rumianych jak u marynarzy pławiły swój delikatny towar w emaliowanych miskach. Nagrzany przez słońce asfalt syczał pod stopami. Z błękitnej, kaflowej mleczarni wychodzili obywatele miasta ocierając białe kefirowe wąsy.

Błyszcząły ponętnie grube, kluchowate litery z połączanego drzewa, składające się na słowo

„Herkules”

Słońce tańczyło w lśniących szybach obrotowych drzwi.

Ostap i Bałaganów weszli do hallu i wmieszali się w tłum interesantów.

Rozdział XI „Herkules”

Nie dawały rezultatu nadludzkie wysiłki często zmieniających się dyrektorów „Herkulesa”, którzy chcieli za wszelką cenę wypędzić pokutującą w tej instytucji atmosferę hotelową; atmosfera ta nadal się utrzymywała. Mimo że kierownicy gospodarczy zamazywali stare napisy, wyłaziły one na wierzch na każdym kroku. To w wydziale handlowym wyskakiwało słowo „Gabinety”, to nagle, na matowej szybie oszklonych drzwi pokoju maszynistek, ukazywał się napis „Pokojowa”, to uwidoczniały się na ścianach złożone wskazujące palce z napisem po francusku „Dla dam”. Hotel nieustannie dawał o sobie znać.

Skromniejsi urzędnicy urzędowali w pokojach po rublu za dobę, gdzie w swoim czasie zatrzymywali się wiejscy popi, przyjeżdżający na zjazdy, albo drobni komiwojażerowie z warszawskimi wąsikami.

Jeszcze teraz pachniało tam potnikami i stały tam dotychczas różowe emaliowane umywalki. W pokojach nieco elegantszych, gdzie zatrzymywali się królowie bilardu i prowincjonalni aktorzy, ulokowali się kierownicy sekcji, ich zastępcy oraz administracja. Umieblowanie było tu nieco przyzwoitsze: stały szafy z lustrami, a podłogi pokryte były

brunatnym linoleum. W komfortowych numerach z łazienkami i alkowami gnieździła się dyrekcja. W białych wannach leżały sterty akt, a w rocznych alkowach wisały diagramy i wykresy ilustrujące strukturę „Herkulesa” oraz jego powiązania z terenem. Tutaj znalazły schronienie śmieszne pozłacane kanapki, dywany i nocne stoliki z marmurowymi blatami. W niektórych alkowach stały nawet niklowane łóżka z gałkami. Na łóżkach także leżały akta i wszelkie inne dokumenty. Było to bardzo wygodne, bo wszystkie papiery były zawsze pod ręką.

W jednym z tych pokoi, mianowicie w piątym, mieszkał w 1911 roku znakomity pisarz Leonid

Andrejew. Wszyscy pracownicy „Herkulesa” wiedzieli o tym i ów piąty numer cieszył się niestety złą sławą.

Ze wszystkimi wysokimi funkcjonariuszami, którzy ten właśnie numer obierali sobie na gabinet, zdarzały się jakieś nieszczęścia. Za ledwie numer piąty zdążył jako tako wejść w tok urzędowania, zdejmowano go ze stanowiska i przenoszono gdzie indziej. Dobrze jeszcze, jeśli bez nagany. Mogła być zresztą nie tylko nagana, ale jeszcze opublikowanie w prasie, a nawet dużo gorzej, o czym lepiej nie wspominać.

- Demoniczny numer - oświadczyły jednogłośnie wszystkie jego ofiary. - Ale kto mógł się spodziewać?

I na głowę pisarza, autora strasznej „Opowieści o siedmiu powieszonych”, sypały się najcięższe oskarżenia, jak gdyby to on był winien, że towarzysz Łapszyn dał w „Herkulesie” posady sześciu swoim braciom, że towarzysz Sprawczenko liczył na to, iż zapasy kory drzewnej „zrobią się same” i w ten sposób zawalił plan, albo że towarzysz Indokitajski przegrał w „polski banczek” 7384 ruble 03 kopiejki państwowych pieniędzy. Wprawdzie Indokitajski wił się jak piskorz i dowodził we wszystkich odnośnych instancjach, że te 03 kopiejki wydał na cele państwowe, że może wyliczyć się z tej sumy urzędowymi rachunkami, nic mu to nie pomogło. Duch zmarłego pisarza był nieubłagany i pewnego jesienno wieczoru Indokitajski musiał udać się do więzienia. Ten piąty numer był niewątpliwie pechowy.

Naczelną dyrektora „Herkulesa” towarzysz Połychajew urzędował w dawnej oranżerii hotelowej, a jego sekretarka Serna Michajłowna przemykała się co chwila między ocalałymi palmami i sykomorami. Tam też stał długi jak dworcowy peron, pokryty malinowym sukrem stół, przy którym odbywały się częste i nie kończące się posiedzenia zarządu. A od niedawna i w pokoju nr 262, gdzie niegdyś mieścił się mały bufet, zbierała się komisja mająca za zadanie przeprowadzenie czystki w

„Herkulesie”. W komisji tej zasiadało ośmiu niepozornych towarzyszy o szarych oczach. Schodzili się co dzień punktualnie i czytali jakieś urzędowe papierzyska.

Kiedy Ostap i Bałaganów wchodzili po schodach, rozległ się gwałtowny dzwonek i ze wszystkich pokoi jednocześnie wysypali się na korytarze pracownicy „Herkulesa”. Błyskawiczność tego manewru przypominała alarm na pokładzie statku. Nie był to jednak alarm, tylko przerwa śniadaniowa.

Niektórzy z pracowników pospieszyli do bufetu, aby zaopatrzyć się w kanapki z czerwonym awiorem. Inni jedząc chodzili po korytarzu.

Z wydziału planowania wyszedł urzędnik o bardzo pocziwym wyglądzie. Jego blada, łagodna twarz ozdobiona była niewielką okrągłą bródką. W ręku trzymał zimny kotlet, który co chwila podnosił do ust, za każdym razem uważnie go oglądając.

Zajęcie to usiłował zakłócić mu Bałaganów, który pragnął wiedzieć, gdzie mieści się wydział rachuby.

- Czy nie widzicie, towarzyszu, że jem śniadanie? - rzekł urzędnik i z oburzeniem odwrócił się plecami do Bałaganowa. I, nie zwracając już więcej uwagi na mlecznych braci, zajął się baczna obserwacją ostatniego kawałka kotleta. Obejrzał go dokładnie ze wszystkich stron, nawet powąchał na pożegnanie, następnie włożył go do ust, wypiął pierś, strzepnął z marynarki okruchy i podszedł powoli do innego urzędnika, który stał przy drzwiach swojego wydziału.

- Co słysząc? - zapytał po uprzednim obejrzeniu się za siebie. - Jak tam samopoczucie?

- Lepiej nie pytać, towarzyszu Bomze - odpowiedział tamten, i obejrzawszy się dodał: - Co to jest za życie? Żadnych warunków dla rozwoju indywidualności. W kółko to samo: pięciolatka w cztery lata, pięciolatka w trzy lata...

- Tak, tak - szepnął Bomze - czarna rozpacz! Zupełnie się z wami zgadzam. Nie ma żadnych warunków dla rozwoju indywidualności, żadnego bodźca, żadnych osobistych perspektyw. Moja żona, ot, zwykła kobieta, gospodyni, a powiada, że nie ma żadnego bodźca, żadnych osobistych perspektyw.

Bomze westchnął i podszedł do następnego urzędnika.

- Co słysząc? - zapytał z przygotowanym zawczasu bolesciwym uśmiechem. - Jak tam samopoczucie?

- Wróciłem dzisiaj z podróży służbowej - odpowiedział zapytany. Miałem szczęście być w sowchozie.

Coś nadzwyczajnego! Prawdziwa fabryka ziarna! Nie masz pojęcia, kochasiu, co to jest pięciolatka, co może zdziałać kolektyw!

- Właśnie przed chwilą mówiłem to samo! - zawołał z zapałem Bomze. - Tylko kolektyw! Pięciolatka w cztery lata, a nawet w trzy - oto jest bodziec, który... Weźcie, na przykład, moją żonę. Zwykła gospodyni, a jednak docenia rolę uprzemysłowienia. Niech to diabli porwą, w naszych oczach wyrasta nowe życie!

Odchodząc od swego rozmówcy z podziwem kręcił głową.

A po chwili trzymał już za rękaw potulnego Borysochlebskiego i mówił:

- Macie rację. Uważam to samo. Po co budować Magnitogorski, sowchozy, jakieś tam kombajny, kiedy ludzie nie mają osobistego życia, kiedy dławi się w zarodku każda indywidualność?

A po chwili jego monotonny bełkot słysząc było na klatce schodowej:

- Właśnie to samo mówiłem przed chwilą towarzyszowi Borysochlebskiemu. Nie wolno rozczulać się nad upośledzeniem indywidualności czy życia osobistego, kiedy w naszych oczach wyrastają fabryki ziarna, Magnitogorski, rozmaite kombajny, betoniarki, kiedy kolektyw...

Przepadający za wymianą poglądów Bomze zdołał w ciągu przerwy śniadaniowej pogawędzić w ten sposób z dziesięcioma co najmniej kolegami. Nastrój każdej z tych rozmów można było odgadnąć z wyrazu jego twarzy, na której gorycz z powodu zabijania indywidualności zamieniała się błyskawicznie w promienny uśmiech entuzjazmu. Ale bez względu na to, jakie uczucia miotają w danej chwili Bomzem, twarzy jego nie opuszczał ani na chwilę wyraz wrodzonej poczciwości.

Dlatego też wszyscy, począwszy od wyrobionych towarzyszy z miejscowego komitetu, a na niedojrzałym politycznie Kukuszkindzie kończąc, uważali Bomzego za człowieka uczciwego, a zwłaszcza za człowieka z zasadami. On sam zresztą był takiego zdania o sobie.

Nowy dzwonek, obwieszczający koniec alarmu, wezwał urzędników do numerów. Znowu zaczęła się praca.

Szczerze mówiąc słowa „znowu zaczęła się praca” nie miały ścisłego związku z istotnym zakresem działalności „Herkulesa”, polegającej na przeróżnych operacjach handlowych dotyczących drzewa i artykułów drzewnych. W ostatnim roku personel „Herkulesa” absolutnie przestał się interesować jakimiś tam nudnymi belkami, arkuszami dykty, eksportowymi cedrami i tym podobnymi nieciekawymi sprawami i oddał się całkowicie pasjonującemu zajęciu, mianowicie walce o lokal, o ulubiony hotel.

A wszystko zaczęło się od małego pisemka, które przyniósł ślamazarny goniec z wydziału komunalnego.

„Niniejszym poleca się - głosiło pisemko - zwolnić w ciągu tygodnia lokal byłego hotelu «Kair» i oddać go wraz z całym dawnym Inwentarzem do dyspozycji Zjednoczenia Hotelowego.

Jednocześnie przydziela się waszej instytucji lokal byłego towarzystwa akcyjnego «Puszka i bekon».

Podstawa: decyzja Rady Miejskiej z XII/1929 r.”

Pisemko to złożono wieczorem na biurku, przed obliczem siedzącego w elektrycznym cieniu palm i sykomor towarzysza Połychajewa.

- Co takiego? - zawołał nerwowo dyrektor „Herkulesa”. - Ośmielają się pisać do mnie: „poleca się”?!

Przecież ja podlegam tylko instancjom centralnym! Powariowali, czy co?

- Szkoda, że nie napisali: „nakazuje się”! - dołąła oliwy do ognia Serna Michajłowna. - Ćwoki!

- To chyba jakiś głupi żart - rzekł Połychajew z posępnym uśmiechem.

Natychmiast została podyktowana ostra i kategoryczna odpowiedź. Dyrektor „Herkulesa” stanowczo odmówił zwolnienia lokalu.

- Na drugi raz będą mieli nauczkę, że nie jestem ich nocnym stróżem i że nie wolno mi nic „polecać” - mruczał towarzysz Połychajew, wyjmując z kieszeni pieczętkę ze swym faksymile i z oburzenia odciskając podpis do góry nogami.

I znowu ślamazarny goniec, tym razem goniec z „Herkulesa”, powlókł się noga za nogą przez zalane słońcem ulice, zatrzymując się przy budkach z napojami chłodzącymi, wtrącając się do wszystkich ulicznych zajęć i rozpaczliwie wymachując urzędową książką zleceńową.

Przez cały następny tydzień pracownicy „Herkulesa” omawiali nową sytuację. Wszyscy byli zdania, że

Połychajew nie daruje takiego podważenia jego autorytetu.

- Nie znacie jeszcze Połychajewa - mówili bojowi pracownicy rachuby. - Jest kuty na cztery nogi. Nie da się byle czym zastraszyć.

Wkrótce potem towarzysz Bomże wyszedł z gabinetu dyrektora, trzymając w ręku listę wytypowanych pracowników. Wędrował z jednego wydziału do drugiego, pochylał się nad figurującym na liście kolegą i szeptał mu do ucha:

- Skromny bankieciak. Po trzy ruble na twarz. Pożegnanie Połychajewa.

- Co? - pytali przerażeni pracownicy. - Połychajew odchodzi? Dają mu dymę?

- Nic podobnego. Jedzie na tydzień do Moskwy w sprawie lokalu. Tylko proszę się nie spóźniać.

Punktualnie o ósmej, u mnie.

Pożegnalny bankieciak miał przebieg bardzo wesoły. Pracownicy z oddaniem patrzyli w oczy siedzącemu z angielką w rękę Połychajewowi, klaskali rytmicznie i śpiewali:

- Pij do dna, pij do dna, pijdodna! Pij do dna, pij do dna, pijdodna!

Śpiewali tak dopóty, dopóki kochany dyrektor nie opróżnił pokaźnej ilości angielek tudzież wysokich sewastopolskich stopek, co jego z kolei natchnęło do zaintonowania piosenki: „Na drodze wiodącej z

Kaługi, na wiorście czterdziestej i drugiej”... Ale nikt się nie dowiedział, co zaszło na tej „czterdziestej i drugiej” wiorście, bo Połychajew niespodziewanie przeszedł na inną piosenkę:

Jechał tramwaj numer osiem,

Komuś w tłoku umarłosię,

Ludzi kupa, stał więc trup.

Wyszli - upadł. Hopaj-siup!

Po wyjeździe Połychajewa wydajność pracy w „Herkulesie” nieco zmalała. Głupio pracować całą parą, kiedy nie wiadomo, czy się zostanie w tym samym lokalu, czy też przyjdzie z całym biurowym majdanem przenosić się do „Puszki i bekonu”. Ale jeszcze głupiej byłoby pracować pełną parą po powrocie Połychajewa. Połychajew wrócił „na tarczy”, jak się wyraził Bomże, lokal pozostał przy

„Herkulesie” i pracownicy całe godziny służbowe poświęcali na podkpiwanie z wydziału komunalnego.

Wystawiona do wiatru instytucja zwróciła się z prośbą, żeby wydano jej przynajmniej umywalki i pancerne łóżka, ale zachęcony sukcesem Połychajew nie raczył im nawet odpowiedzieć. Natenczas walka rozgorzała ze zdwojoną zaciekłością. Popłynęły skargi do Moskwy. Połychajew osobiście musiał odpierać stawiane mu zarzuty, przeto coraz częściej w mieszkaniu Bomżego rozlegało się bojowe

„pijdodna!” i coraz szersze rzesze pracowników zaciągały się w szeregi bojowników o lokal. W tym stanie rzeczy sprawy drzewa i artykułów drzewnych szły coraz bardziej w niepamięć. Kiedy

Połychajew znajdował przypadkiem na swoim biurku jakieś pisemko w sprawie eksportowych cedrów lub dykty, był tak zaskoczony, że w pierwszej chwili nie mógł się połapać, czego właściwie od niego chcą. Był teraz całkowicie pochłonięty przeprowadzaniem niezmiernie doniosłego posunięcia, mianowicie zwabiał do swojej instytucji dwóch szczególnie niebezpiecznych funkcjonariuszy wydziału komunalnego, obiecując im wyższe uposażenie.

- Ma pan szczęście - mówił Ostap do swego towarzysza. - Jest pan świadkiem osobliwego zdarzenia.

Ostap Bender tropi swoją ofiarę. Niech się pan uczy. Pospolita kryminalna płotka w rodzaju

Panikowskiego napisała by do Korejki list: „Połóż na podwórzu pod skrzynią ze śmieciami sześćset rubli, inaczej pożałujesz” - a pod tymi słowami narysowała by krzyż, trupa i czaszkę i świecę. Zosia

Złota Rączka, której walorów nie mam bynajmniej zamiaru kwestionować, uciekała by się w końcu do pospolitej kradzieży, co przyniosłoby jej półtora tysiąca rubli. Takie już są te kobiece sposoby. Weźmy wreszcie korneta Sawina. Aferzysta wysokiej klasy. Jak się to mówi: czysta robota! Cóż on by zrobił?

Przyjechał by do Korejki przebrany za bułgarskiego króla, zrobił by chryję na cały dom i zaprzepaścił by interes. Ja natomiast działam bez pośpiechu. Siedzimy już w Czernomorsku od tygodnia, a ja dopiero dzisiaj wybrałem się na pierwsze spotkanie... Aha, jesteśmy w dziale finansowym. Sala rachuby.

Drogi, asystencie, proszę mi pokazać pacjenta. Jest pan przecież specjalistą od Korejki.

Weszli do gwarnej, pełnej interesantów sali i Bałaganów zaprowadził Bendera w róg pokoju, gdzie za żółtą barierką siedzieli: Czewarzewska, Korejko, Kukuszkind i Dreifus. Bałaganów już wyciągał rękę, aby pokazać Ostapowi milionera, kiedy Bender syknął ze złością:

- Może jeszcze zacznie pan wrzeszczeć na całe gardło: „Patrzcie, to jest nasz bogacz! Łapać go!”

Spokój! Sam go rozpoznam w tej czwórce.

Ostap usiadł na chłodnym marmurowym parapecie okna i machając nogami jak dziecko zaczął głośno rozważać.

- Kobieta nie wchodzi w rachubę. Pozostaje ich trzech: czerstwy, jasnooki lizus; stary piernik w okularach w drucianej oprawie i tłusty kundel z dostojną miną. Piernika odrzucam z pogardą.

Oprócz waty, którą zatyka sobie owłosione uszy, z pewnością nie posiada żadnych kosztowności.

Pozostaje więc dwóch: kundel i lizus. Który z nich jest Korejko? Trzeba się nad tym zastanowić.

Ostap wyciągnął szyję i zaczął porównywać kandydatów. Kręcił przy tym głową tak szybko, jakby obserwował mecz tenisowy i śledził wzrokiem każdą piłkę.

- Wie pan co, asystencie - rzekł wreszcie - tłusty kundel bardziej mi pasuje do roli zakonspirowanego milionera niż jasnooki lizus. Proszę zwrócić uwagę na niespokojne błyski w oczach kundla. Nie może siedzieć na miejscu, ponosi go, pilno mu do domu nurzać łapy w pakietach czerwonońców. Tak, to on jest kolekcjonerem karatów i dolarów. Czy nie widzi pan, że ta tłusta gęba jest demokratyczną ombinacją twarzy Shylocka, Skąpego Rycerza tudzież Harpagona? A ten siwooki to bedłka, to płotka, to mały radziecki gryzoń. On też ma majątek - dwanaście rubli w kasie oszczędności. Szczytem jego conocnych marzeń jest włochate palto z ciętym kołnierzem. To nie Korejko, to myszka polna, która...

W tym miejscu pełne swady przemówienie wielkiego kombinatora zostało przerwane bojowym okrzykiem, który rozległ się z głębi sali rachuby i został wydany przez kogoś, kto bez wątpienia miał tuprawo krzyżeć:

- Towarzyszu Korejko! Gdzie są dane cyfrowe dotyczące zadłużenia wydziału komunalnego w naszej nstytucji? Towarzysz Połychajew żąda natychmiast tych danych.

Ostap trącił Bałaganowa nogą. Ale kundel w dalszym ciągu skrzypiał piórem. Twarz jego, nosząca wszystkie charakterystyczne cechy Shylocka, Harpagona i Skąpego Rycerza, ani drgnęła. Natomiast rumiany blondyn o siwych oczach, to zero, ta radziecka myszka marząca o palcie z cielećym kołnierzem, zaczęła zdradzać niezwykle ożywienie. Zaszurała szufladami swego biurka, chwyciła jakiś papierek i szybko pobiegła na wezwanie.

Wielki kombinator chrząknął i spojrzał badawczo na Bałaganowa. Szura roześmiał się.

- Tak - odezwał się Ostap po chwili milczenia. - Ten nam pieniędzy na spodeczku nie przyniesie. Chyba żebyś go bardzo o to prosił. Imponująca postać! A teraz - jazda na świeże powietrze. W mojej mózgownicy powstała zabawna kombinacja. Dziś wieczorem, z pomocą boską, po raz pierwszy pociągniemy pana Korejkę za wymię. I to pan go będzie ciągnął, Szura.

Rozdział XII Homer, Milton i Panikowski

Instrukcja była nader prosta:

1.2.3.4.Spotkać się z obywatelem Korejko przypadkiem na ulicy.

Pod żadnym pozorem nie uciekać się do bicia ani do innych środków fizycznej przemocy.

Zagarnąć wszystko, co się będzie znajdowało w kieszeniach wyżej wzmiankowanego obywatela.

Złożyć raport z przeprowadzonej akcji.

Mimo wyjątkowej prostoty i jasności wydanej przez wielkiego kombinatora instrukcji, Bałaganów i

Panikowski wdali się w zacieklą sprzeczka. Synowie lejtnanta siedzieli na zielonej ławce w parku miejskim i zerkali znacząco na frontowe drzwi „Herkulesa”. Byli tak pogrążeni w sprzeczce, że nie zwracali uwagi na to, iż wiatr, rozpryskując strażacki strumień fontanny, obryzguje ich kropelkami wody. Potrząsali głowami, spoglądali bezmyślnie na czyste niebo i nie przerywali kłótni.

Panikowski, który ze względu na upał pozbył się grubej kurtki i miał na sobie perkalową koszulkę z wykładanym kołnierzem, zachowywał się wyniośle. Był bardzo dumny z powierzonego mu zadania.

- Tylko kradzież! - mówił.

- Tylko grabież! - sprzeciwiał się Bałaganów, który także pysznił się zaufaniem komandora.

- Jest pan nędzną kreaturą - oświadczył Panikowski, spoglądając z pogardą na swego rozmówcę.

- A pan jest kaleką - zauważył Bałaganów. - Teraz ja tu jestem szefem.

- Niby kto tu jest szefem?

- Ja! Ja otrzymałem zadanie.

- Pan?

- Ja.

- Ty?

- A kto?

- A kto? Przecież nie ty?!

I rozmowa zboczyła na tory, nie mające nic wspólnego z otrzymaną instrukcją. Para łotrzyków tak się zaperzyła, że zaczęła wymachiwać rękami i wykrzykiwać na przemian: „A coś ty za jeden?” Takie poczynania poprzedzają zazwyczaj generalne mordobicie, w czasie którego zapaśnicy rzucają czapki o ziemię, używają przechodniów na świadków i rozmazują po swoich szczeciniastych gębach dziecięce łzy.

Ale do mordobicia nie doszło. Kiedy sytuacja dojrzała do zadania pierwszego ciosu, Panikowski nagle opuścił ręce i zgodził się uznać Bałaganowa za swego bezpośredniego zwierzchnika.

Prawdopodobnie przypomniał sobie, że nieraz już brał łanie zarówno od jednostek, jak i od całych zespołów, i że to jest bardzo bolesne. Bałaganów po ujęciu władzy w swoje ręce od razu zmiekkł.

- A dlaczego nie mielibyśmy go ograbić? - zapytał już znacznie łagodniej. - Czy to takie trudne?

Korejko idzie wieczorem po ulicy. Jest ciemno. Ja podchodzą z lewej strony. Pan podchodzi z prawej.

Ja trącam go w lewy bok, pan trąca go w prawy. Ten bałwan zatrzymuje się i powiada do mnie

„chuligan!” „Kto chuligan?” - pytam. Pan także pyta, kto tu chuligan i napiera na niego z prawej strony. Następnie ja walą go w mor... Nie, bić nie wolno!

- W tym właśnie sęk, że nie wolno bić - wzdycha obłudnie Panikowski. - Bender zabrania.

- O tym to ja też wiem... W takim razie łapią go za ręce, a pan tymczasem sprawdza, czy Korejko nie ma w kieszeniach czegoś zbytecznego. On, oczywiście, wrzeszczy: „Milicja!”, a ja go wtedy... Prawda, cholera, nie wolno bić! Wobec tego wracamy potem do domu. Co pan powie na ten plan?

Panikowski uchylił się od wyraźnej odpowiedzi. Wziął z rąk Bałaganowa rzeźbioną turystyczną laseczkę z procą zamiast rączki, narysował nią na piasku poziomą kreskę i rzekł:

- Uważaj pan. Po pierwsze - trzeba czekać do wieczora. Po drugie... Tu Panikowski od prawego końca poziomej kreski poprowadził ku górze falistą kreskę prostopadłą.

- Po drugie - Korejko może dziś wieczorem wcale nie wyjść z domu. A jeżeli nawet wyjdzie, to...

I Panikowski połączył obie kreski w ten sposób, że na piasku powstało coś na podobieństwo trójkąta, i dokończył:

- Kto go wie? Może przecież wyjść na spacer w licznym towarzystwie! Co pan wtedy zrobi?

Bałaganów popatrzył z szacunkiem na trójkąt. Argumenty Panikowskiego nie trafiły mu zbyt do przekonania, ale trójkąt miał w sobie jakąś tak przekonywającą beznadziejność, że Bałaganów zawahał się. Panikowski zauważył to i przestał upierać się przy swoim.

- Niech pan pojedzie do Kijowa! - odezwał się niespodziewanie. - Przekona się pan, że mam rację.

Stanowczo musi pan pojechać do Kijowa!

- Dlaczego do Kijowa? - mruknął Szura. - Po co?

- Niech pan jedzie do Kijowa i zapyta, co robił Panikowski przed rewolucją. Musi pan koniecznie o to zapytać!

- Odczep się pani - warknął niecierpliwie Bałaganów.

- A jednak radzę, żeby pan zapytał! - nalegał Panikowski. - Niech pan jedzie i zapyta! Powiedzą panu, że Panikowski był przed rewolucją niewidomym. Czy pan sądzi, że gdyby nie rewolucja, byłbym dzisiaj jednym z synów lejtnanta Szmidta? Byłem przecież bogatym człowiekiem. Miałem rodzinę i nikłowany samowar na stole. A co mi zapewniało chleb? Niebieskie okulary i laska.

Wyjął z kieszeni tekturowy futerał oklejony czarnym papierem w wyblakłe srebrne gwiazdki i pokazał

Bałaganowowi niebieskie okulary.

- Te oto okulary - powiedział z westchnieniem - żywiły mnie przez wiele lat. Wychodziłem w okularach, z laską, na Kreszczatik i prosiłem jakiegoś lepiej ubranego obywatela, żeby pomógł biednemu ślepcowi przejść na drugą stronę ulicy. Facet brał mnie pod rękę i prowadził. A kiedy się znalazł na drugiej stronie ulicy, nie miał już zegarka albo portfela, jeżeli przedtem posiadał któryś z tych przedmiotów.

- Dlaczego więc porzucił pan ten fach? - zapytał z ożywieniem Bałaganów.

- Rewolucja - odpowiedział były ślepiec. - Dawniej płaciłem posterunkowemu na rogu Kreszczatika i

Poprzecznej pięć rubli miesięcznie i nikt nie ważył się innie tknąć. Policjant pilnował nawet, żeby nikt nie mnie nie czepiał. To był wyjątkowo uczciwy człowiek. Nazywał się Nebaba. Siemion Wasiljewicz.

Spotkałem go niedawno. Jest krytykiem muzycznym. A teraz? Czy teraz można wejść w porozumienie z milicją? Nie znam gorszych ludzi od milicjantów. Jacyś tacy ideowi się zrobili, w kulturträgerów się pozamieniali. Przez nich na stare lata musiałem zostać aferzystą. Sądzą jednak, że przy tak wyjątkowej okazji można puścić w ruch moje stare okulary. To znacznie pewniejsze od grabieży.

W pięć minut później z publicznej ubikacji, dokoła której rósł pachnący tytoń oraz mięta, wyszedł ślepiec w niebieskich okularach. Wyciągając szyję i postukując turystyczną laseczką skierował się ku bramie parkowej. Krok w krok za nim szedł Bałaganów. Panikowski był zmieniony nie do poznania.

Wyprostowany stąpał ostrożnie po chodniku macając nogą grunt, posuwał się wzdłuż ścian domów, postukiwał laską o poręcze przy oknach wystawowych, wpadał na przechodniów, jakby ich rzeczywiście nie widział i powoli posuwał się naprzód. Wywiązywał się ze swej roli niewidomego tak sumiennie, że roztrącił długi ogon ludzi oczekujących na autobus. Bałaganów był pełen uznania dla dzielnego ślepca.

Panikowski buszował w ten sposób po ulicy aż do chwili, kiedy w drzwiach „Herkulesa” ukazał się

Korejko. W pierwszej chwili Bałaganów stracił głowę. Najpierw znalazł się zbyt blisko miejsca akcji, potem odskoczył zbyt daleko. W końcu jednak zajął odpowiedni punkt obserwacyjny obok kiosku z owocami. Ni stąd, ni zowąd poczuł w ustach tak ohydny niesmak, jakby przez pół godziny ssał osięźną klamkę. Ale kiedy zobaczył poczynania Panikowskiego, szybko odzyskał spokój.

Bałaganów zobaczył mianowicie, że ślepiec stanął twarzą w twarz z milionerem, zaczepił laską o jego nogę i wpadł na Korejkę. Potem najwidoczniej zamienili kilka słów, bo Korejko uśmiechnął się, ujął ślepca pod rękę i pomógł mu zejść na jezdnię. Dla większego efektu Panikowski walił co sił laską po bruku i zadzierał głowę, jakby go ktoś z tyłu ciągnął za uzdę. Dalsze poczynania ślepca odznaczały się taką precyzją i zręcznością, że Bałaganów poczuł coś w rodzaju zawiści.

Panikowski objął swego towarzysza wpół. Jego ręka ześliznęła się po lewym boku Korejki i na ułamek sekundy zawisła nad kieszenią biuralisty-milionera.

- No, no! - szeptał Bałaganów. - Jazda, stary, jazda!

Ale w tej samej chwili błysnęły szkła, rozległ się przeraźliwy sygnał samochodowy, zadrżała ziemia i wielki biały autobus ze zgrzytem zatrzymał się na środku jezdni. Równocześnie rozległy się dwa okrzyki:

- Idiota! Nie widzi autobusu! - darł się Panikowski, wyskakując spod kół i grożąc swemu przewodnikowi zerwanymi z nosa okularami.

- On wcale nie jest ślepy! - krzyczał zdumiony Korejko. - To oszust!

Nagle wszystko zniknęło w kłębach niebieskiego dymu; autobus odjechał, a kiedy opadła benzynowa kurtyna, Bałaganów ujrzał Panikowskiego w otoczeniu niewielkiej grupki przechodniów. Zanosilo się na jakąś awanturę. Bałaganów podszedł bliżej. Na twarzy Panikowskiego malował się głupkowaty uśmiech. Eks-ślepiec robił wrażenie człowieka, który nie wie, o co chodzi, ale jedno jego ucho było tak rubinowe, że świeciłoby chyba w ciemności i przy jego świetle można by wywoływać klisze fotograficzne.

Roztrącając nadbiegających ze wszech stron obywateli, Bałaganów rzucił się pędem do hotelu

„Karlsbad”

Wielki kombinator siedział przy bambusowym stoliku i pisał.

- Biją Panikowskiego! - zawołał Bałaganów, stając malowniczo w drzwiach.

- Już? - zapytał obojętnie Bender. - Trochę za prędko.

- Biją Panikowskiego! - powtórzył z rozpaczą rudy Szura. - Przed „Herkulesem!”

- Co tak ryczysz, jak biały niedźwiedź na pogodę? - rzekł surowo Ostap. - Dawno zaczęli go bić?

- Pięć minut temu.

- Trzeba było gadać tak od razu. A to głupi dziadyga! Chodźmy nacieszyć oczy. Szczegóły po drodze!

Kiedy wielki kombinator przybył na miejsce wypadku, Korejki już nie było, ale dokoła Panikowskiego kołysał się wielki tłum, który całkowicie zatarasował jezdnię.

Samochody, nie mogąc przedostać się przez ulicę, zawzięcie trąbiły. Z okien ambulatorium wyglądały sanitariuszki w białych fartuchach.

Uwijały się psy z wygiętymi jak szable ogonami. W miejskim parku przestała bić fontanna. Bender energicznie westchnął i wcisnął się w tłum.

- Pardon - mówił - jeszcze raz pardon! Przepraszam, madame, czy to nie pani zgubiła na rogu kartkę na powidła? Niech się pan śpieszy, kartka jeszcze tam leży. Hej, obywatele, przepuście ekspertów!

Te, obdartus, nie słyszysz, co się do ciebie mówi?

W ten sposób, stosując prośby i groźby, Ostap przedostał się w sam środek tłumu, gdzie Panikowski odbywał karę. Obecnie już i drugie ucho gwałciciela konwencji mogłoby służyć jako oświetlenie przy wszelkiego rodzaju zabiegach fotograficznych. Na widok komandora Panikowski smętnie zwiesił głowę.

- To ten? - spytał sucho Ostap i grzmotnął Panikowskiego pięścią w plecy.

- Właśnie ten - radośnie potwierdzili liczni miłośnicy prawdy. - Widzieliśmy na własne oczy.

Ostap wezwał obywateli do spokoju, wyjął z kieszeni notes, spojrzał na Panikowskiego i odezwał się wyniośle:

- Proszę świadków o podanie nazwisk i adresów. Proszę się zgłaszać kolejno.

Wydawałoby się, że obywatele, którzy wykazali taką gorliwość w ujęciu Panikowskiego, nie będą się ociągali z obciążeniem oszusta swymi zeznaniami. Jednakże na słowo „świadkowie” wszyscy miłośnicy prawdy odwrócili się na pięcie i zaczęli się wycofywać. W tłumie tworzyły się wyrwy i luki.

Tłum topniał w oczach.

- Gdzież są ci świadkowie? - powtórzył Ostap.

Powstała panika. Świadkowie zmykali rozpychając się łokciami i w ciągu minuty ulica wróciła do swego normalnego stanu. Samochody ruszyły z miejsca, okna ambulatorium zatrzęsły się, psy zaczęły bacznie obwąchiwać uliczne słupki, a w parku miejskim trysnęła na nowo fontanna.

Po stwierdzeniu, że ulica jest pusta oraz że Panikowskiemu nie grozi już żadne niebezpieczeństwo, wielki kombinator odezwał się pogardliwie:

- Stary łamaga! Wariat z mokrą głową! Znalazł się jeszcze jeden wielki ślepiec - Panikowski! Homer,

Milton i Panikowski! Ładna kompania. A Bałaganów to też marynarz z rozbitego okrętu! Biją

Panikowskiego, biją Panikowskiego! A sam... Chodźcie do parku. Zaraz wam odegram scenę przy fontannie.

Przy fontannie Bałaganów zwałił niezwłocznie całą winę na Panikowskiego. Skompromitowany ślepiec powoływał się na swoje stargane w latach niedoli nerwy i twierdził, że wszystkiemu winien jest Bałaganów, jak wiadomo nędzna kreatura. Bracia czym prędzej zaczęli wymachiwać sobie pod nosem rękami. Już słyhać było jednoczesne pytania: „A coś ty za jeden?”, już z oka Panikowskiego spłynęła ciężka łza, zwiastunka generalnego mordobicia, kiedy wielki kombinator zawołał „brek!” i jak sędzia na ringu rozdzielił przeciwników.

- Boks możecie uprawiać w dniach wolnych od pracy - rzekł. - Wspaniała para: Bałaganów w wadze koguciej i Panikowski w wadze kurzej. Panowie mistrzowie, tacy z was aktywiści jak i psiego ogona trąbka. To się źle skończy. Będę musiał was zwolnić, zwłaszcza że nie przedstawiacie sobą żadnych wartości społecznych.

Panikowski i Bałaganów zapomnieli o sprzeczce i zaczęli zaklinać się i zapewniać, że jeszcze dziś wieczorem za wszelką cenę obrewidują Korejkę. Bender tylko się uśmiechał.

- Zobacz pan - przechwalał się Bałaganów. - Napad na ulicy. Pod osłoną nocy. Prawda, Michale

Samuelewiczu?

- Najświętsze słowo honoru - poparł go Panikowski. - Już my z Szurą... może pan być spokojny. Jak

Panikowski mówi, to mur!

- To mnie właśnie martwi - rzekł Bender - zresztą... proszę bardzo... Jak pan to powiedział? Pod osłoną nocy? Niech będzie pod osłoną. Pomysł dosyć banalny, a wykonanie prawdopodobnie też pod zdechłym psem.

Po kilku godzinach czatowania na ulicy zbiegły się wreszcie wszystkie pożądane okoliczności: osłona nocy tudzież pacjent, opuszczający w towarzystwie młodej panny dom, w którym mieszkał stary autorrebusów. Co prawda panna nie była przewidziana w planie. Nie było innej rady, jak tylko iść w ślad za nią parką, która skierowała się w stronę morza.

Gorejący okruch księżyca wisiał nisko nad stygnącym brzegiem. Na skałach tkwiły czarne, bazaltowe, na wieki zastygłe w uścisku parki. Morze szemrało o miłości do grobowej deski, o szczęściu bez granic, o udrękach serca i tym podobnych nieaktualnych błahostkach. Gwiazdy porozumiewały się ze sobą alfabetem Morse'a, zapalając się i gasnąc na przemian. Świetlny tunel reflektora łączył brzegi zatoki.

Kiedy zgasł, na jego miejscu trwała długo czarna smuga.

- Ledwo idę - stękał Panikowski, wlokąc się po urwistym brzegu za Aleksandrem Iwanowiczem i jego damą serca. - Stary jestem. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa.

Wpadał w nory susłów i przewracał się, czepiając się rękami zeschniętych krowich placków. Tęskno mu było do zajazdu, do gospodarnego Kozlewicza, z którym tak przyjemnie piło się herbatkę, gawędząc o tym i owym.

Ale w chwili kiedy Panikowski był całkowicie zdecydowany wrócić do domu i pozostawić

Bałaganowowi doprowadzenie do pomyślnego końca wspólnie podjętej akcji, tuż przed nimi rozległ się głos:

- Ależ gorąco! Nie lubi pan kąpać się w nocy, Aleksandrze Iwanowiczu? Wobec tego niech pan tu na mnie zaczeka. Opluczę się tylko w wodzie i zaraz wracam.

Rozległ się szmer osypujących się z urwistego brzegu kamyczków, biała sukienka zniknęła i Korejko został sam.

- Prędeży! - szepnął Bałaganów, szarpiąc Panikowskiego za rękaw. - Ja zachodzę z lewej strony, a pan z prawej. Tylko żywo!

- Ja z lewej - odparł tchórzliwie gwałciciel konwencji.

- Dobrze, dobrze, pan z lewej. Ja go trącam w lewy bok, nie, w prawy, a pan napiera z lewej.

- Dlaczego z lewej?

- Do diabła! Z prawej! On mówi: „Chuligan!”, a pan pyta: „Kto chuligan?”

- Nie, pan pierwszy pyta.

- Dobrze. Powiem o tym wszystkim Benderowi. Jazda, jazda! A zatem pan z lewej...

I waleczni synowie lejtnanta, umierając ze strachu, podeszli do Aleksandra Iwanowicza.

Plan został zwichnięty już w pierwszych posunięciach. Bałaganów, zamiast w myśl planu zejść z prawej strony i trącić milionera w bok, zaczął dreptać w miejscu i ni stąd, ni zowąd odezwał się:

- Pozwoli pan przypalić papierosa?

- Nie palę - odpowiedział chłodno Korejko.

- Ach, tak? - bąknął Szura, oglądając się na Panikowskiego. - A która teraz godzina?

- Dwunasta.

- Dwunasta - powtórzył Bałaganów. - Hm... Kto by to pomyślał?...

- Ładny dziś wieczór - odezwał się przytylko Panikowski.

Nastąpiła pauza, wypełniona zaciekle chorem świerszczy.

Wyłynął księżyc i przy jego świetle można było zobaczyć dobrze rozwinięte bary Aleksandra

Iwanowicza. Panikowski nie wytrzymał nerwowo, zaszedł Korejkę od tyłu i pisnął przeraźliwie:

- Ręce do góry!

- Co, proszę? - zapytał ze zdziwieniem Korejko.

- Ręce do góry! - powtórzył Panikowski ze znacznie mniejszym przekonaniem.

W odpowiedzi otrzymał mocny i bardzo bolesny cios w kark, który zwałił go z nóg. Kiedy wstał,

Korejko trzymał się już za bary z Bałaganowem. Obaj ciężko sapali, jakby przenosili fortepian. Z dołu dobiegał rusałczany śmiech i plusk.

- Za co mnie pan bije? - dopytywał się Bałaganów. - Ja przecież tylko pytałem, która godzina.

- Ja ci pokażę, która godzina! - syczał Korejko, wkładając w swoje ciosy całą odwieczną nienawiść bogacza do grabieżcy.

Panikowski podpełznął na czworakach do walczących i zanurzył obie ręce w kieszeniach gryziopórka z

„Herkulesa”

Korejko wierzgnął nogą, ale było już za późno. Blaszone pudełko od papierosów „Kaukaz” przeniosło się z kieszeni Korejki do rąk Panikowskiego. Z drugiej kieszeni posypały się na ziemię jakieś papierki i legitymacje członkowskie.

- Chodu! - zawołał w ciemności Panikowski.

Bałaganów otrzymał jeszcze ostatnie uderzenie w kark.

Po chwili poturbowany i wzburzony Aleksander Iwanowicz ujrzał wysoko nad sobą dwie oświetlone blaskiem księżycą, błękitne postacie, które biegły po krawędzi wysokiego brzegu w stronę miasta.

Odświeżona, pachnąca jodem Zosia zastała Aleksandra Iwanowicza przy dziwnym zajęciu. Klęczał na trawie i przy świetle zapalek trzęsącymi się rękami zbierał jakieś papierki. Ale zanim Zosia zdążyła zapytać, co to znaczy, Korejko znalazł już kwit na walizkę, spoczywającą w przechowalni ręcznego bagażu między wiklinowym koszykiem z czereśniami, a brezentowym workiem na pościel.

- Niechcący upuściłem - powiedział uśmiechając się z wysiłkiem i starannie chowając kwit.

O pudełku od papierosów „Kaukaz”, zawierającym dziesięć tysięcy, którego nie zdążył schować do walizki, Korejko przypomniał sobie dopiero po powrocie do miasta.

W czasie kiedy na morskim brzegu rozgrywała się tytaniczna walka, Ostap Bender doszedł do przekonania, że zatrzymywanie się w hotelu na oczach całego miasta nie mieści się w ramach zamierzonego przedsięwzięcia i nadaje mu niepotrzebnie charakter oficjalny. Po przeczytaniu w czernomorskim dzienniku popołudniowym ogłoszenia: „Wyn. śl. pok. ze wsz. wyg. wid. n. m. kult. sam. m.” i po błyskawicznym zorientowaniu się, że ogłoszenie to znaczy: „Wynajmę śliczny pokój ze wszystkimi wygodami i z widokiem na morze kulturalnemu samotnemu mężczyźnie”, Ostap pomyślał:

„O ile się nie mylę, jestem teraz mężczyzną samotnym, gdyż nie tak dawno otrzymałem zawiadomienie ze starogrodzkiego urzędu stanu cywilnego, że małżeństwo moje z obywatelką

Gricacujewą zostało rozwiązane i że przysługuje mi prawo używania mego panieńskiego nazwiska O.

Bender. A zatem będę zmuszony wrócić do kawalerskiego życia. Jestem samotny i kulturalny. Mam więc wszelkie tytuły do wejścia w posiadanie wyżej wymienionego pokoju.

Wielki kombinator ubrał się w lekkie białe spodnie i udał się pod wskazany adres.

Rozdział XIII Wasisualij Łochankin i jego rola w rewolucji rosyjskiej

Punktualnie o godzinie szesnastej minut czterdzieści Wasisualij Łochankin ogłosił strajk głodowy.

Leżał na ceratowej kanapie, odwrócony tyłem do całego świata, a twarzą do wypukłego oparcia kanapy. Leżał w szelkach i w zielonych skarpetkach.

Po dwudziestominutowej głodówce w wyżej wymienionej pozycji Łochankin stęknął, przewrócił się na drugi bok i spojrzał na żonę. Jego zielone skarpetki zakresliły przy tym w powietrzu niewielki łuk.

Żona wrzucała do dużej podróżnej torby swój dobytek: ozdobne flakony, gumowy wałek do masażu, dwie sukienki z ogonami i jedną starą bez ogona, filcowy kapelusik ze szklanym półksiężycem, pomadki do ust w metalowych oprawkach i trykotowe majtki.

- Barbaro! - odezwał się Łochankin przez nos.

Żona milczała i tylko głośno oddychała.

- Barbaro! - powtórzył. - Czy naprawdę porzucasz mnie dla Ptiburdukowa?

- Tak - odpowiedziała żona. - Porzucam cię. Trudno, tak musi być.

- Ale dlaczego, dlaczego? - zapytał Łochankin z iście krowią namiętnością. Jego duże nozdrza rozdęły się boleśnie. Zadrżała farańska bródka.

- Dlatego, że go kocham.

- A ja?

- Wasisualij! Przecież wczoraj wszystko ci wyznałam. Nie kocham cię już.

- Ale ja! Przecież ja cię kocham, Barbaro!

- To twoja prywatna sprawa, Wasisualij. Odchodzą do Ptiburdukowa. Trudno.

- Nie! - zawołał Łochankin. - To niemożliwe! Nie może jeden człowiek porzucać drugiego, jeśli ten drugi go kocha!

- Może - odpowiedziała z rozdrażnieniem Barbara, przeglądając się w kieszonkowym lusterku. -

Zresztą, nie zwracaj mi głowy, Wasisualij!

- Wobec tego będę dalej głodował! - zawołał nieszczęśliwy małżonek. - Będę głodował dopóty, dopóki nie wrócisz. Dzień. Tydzień. Rok!

Łochankin znowu się odwrócił i wetknął gruby nos w śliską, zimną ceratę.

- Będę tak leżał w tych szelkach - zabrzmiał głos z kanapy - dopóki nie umrę. A wszystkiemu ty będziesz winna, ty i twój inżynier Ptiburdukow.

Żona zastanowiła się, nasunęła na białe ramię opadłe ramiączko i zawołała nagle:

- Nie waż się tak mówić o Ptiburdukowie! On jest więcej wart niż ty!

To już było ponad siły Łochankina. Zatrząsał się, jakby prąd elektryczny przebiegł wzdłuż jego ciała - od szelek aż do zielonych skarpetek.

- Nie jesteś kobietą, Barbaro - wyrzucił z siebie - jesteś samicą! Jesteś dziewczyną uliczną!

- A ty jesteś cymbał - odpowiedziała spokojnie żona.

- Ladaczniczo! - ciągnął dalej histerycznym tonem Łochankin. - Pogardzam tobą. Porzucasz mnie dla kochanka. Porzucasz mnie dla Ptiburdukowa. Odchodzisz ode mnie, nędzniczo, do tego nicponia

Ptiburdukowa. Porzucasz mnie dla takiego łajdaka. Chcesz się z nim łajdaczyć! Stara, wstrętna rozpustnico!

- Wasisualij! Przestań robić z siebie błazna - rzekła rozpustnica zamykając torbę. - Spójrz lepiej, jak wyglądasz. Mógłbyś się przynajmniej umyć. Idę. Żegnaj, Wasisualij! Zostawiam na stole twoje kartki na chleb.

Barbara wzięła torbę i ruszyła ku drzwiom. Widząc, że słowa nie poskutkowały, Łochankin szybko zerwał się z kanapy, podbiegł do stołu i z krzykiem: „Ratunku!” podał kartki na chleb. Barbara przeraziła się. Wyobraziła sobie męża wycieńzonego głodem, jak leży z zamierającym pulsem i zimnymi kończynami.

- Coś ty zarobił? - rzekła. - Zabraniam ci morzyć się głodem!

- A ja będę się morzył - oświadczył z uporem Łochankin.

- Przecież to nie ma sensu, Wasisualij! To jest przerost indywidualizmu!

- Tak. Jestem z tego dumny - odparł Łochankin. - Nie doceniasz znaczenia indywidualności i w ogóle inteligencji.

- Społeczeństwo cię potępił

- Niech potępia - zawołał stanowczo Łochankin i znowu kropnął się na kanapę.

Barbara bez słowa rzuciła torbę na ziemię, szybko ściągnęła z głowy słomkową budkę i mrucząc:

„Oszalały samiec”, „tyran”, „egoista” przygotowała szybko kanapkę z bakłażanowym kawiozem.

- Jedz! - powiedziała, przysuwając kanapkę do ponsowych warg męża. - Słyszysz, Łochankin? Zjedz to natychmiast! No!

- Zostaw mnie w spokoju - odpowiedział odsuwając rękę żony.

Korzystając z tego, że głodomór na chwilę otworzył usta, Barbara zręcznym ruchem wepchnęła kanapkę w otwór, który powstał między farańską bródką, a podgolonymi moskiewskimi wąsikami.

Ale głodomór błyskawicznym ruchem języka wypchnął pokarm na zewnątrz.

- Jedz, draniu! - zawołała z rozpaczą Barbara, wtykając mu kanapkę do ust. - Inteligent!

Ale Łochankin odwracał twarz i mruczał odmownie. Po upływie kilku minut, zdenerwowana, wysmarowana zielonym kawiozem Barbara dała za wygraną. Usiadła na swojej torbie i zaczęła płakać lodowatymi łzami.

Łochankin strzepnął z brody okruchy kanapki, rzucił na żonę ostrożne, ukradkowe spojrzenie i przycałił się na swej kanapie. Nie miał najmniejszej ochoty rozstawać się z Barbarą. Obok mnóstwa wad Barbara posiadała dwie bardzo istotne zalety: obfity biały biust i posadę. Natomiast Wasisualij nigdy nigdzie nie pracował. Posada przeszkadzałyby mu zastanawiać się nad rolą inteligencji rosyjskiej, do której się zaliczał. Rozmyślenia Łochankina sprowadzały się do następujących tematów:

„Wasisualij Łochankin i jego znaczenie”, „Łochankin i tragedia liberalizmu rosyjskiego”, „Łochankin i jego rola w rewolucji rosyjskiej”. Przyjemnie było o tym wszystkim rozmyślać, chodząc po pokojach filcowych papuciach kupionych za pieniądze Barbary, i patrzeć na ulubioną bibliotekę, gdzie erkiwnym złotem połyskiwały grzbiety encyklopedii Brockhousa. Wasisualij lubił wystawać długo przed biblioteką, przenosząc spojrzenie z jednego grzbietu na drugi. Stały tam pod rząd prześliczne okazy sztuki intrologatorskiej: Wielka Encyklopedia Medyczna, „Życie zwierząt”, pudowy tom:

„Mężczyzna i kobieta” oraz „Ziemia i ludzie” Elisee Reclus.

„W pobliżu tej skarbnicy myśli - mówił sobie Wasisualij - człowiek szlachetnieje i rozwija się duchowo”.

Po dojściu do takiego przeświadczenia Łochankin wzdychał z ulgą i wyciągał spod biblioteki

„Ojczyznę” z 1899 roku, oprawną w marmurek koloru wody z falami i pianą, oglądał zdjęcia z wojny boerskiej, ogłoszenie jakiejś nieznanej damy pod nagłówkiem: „W jaki sposób udało mi się powiększyć biust o sześć cali” i tym podobne interesujące drobiazgi.

Wraz z odejściem Barbary zniknęła by podstawa materialna, na której opierała się pomyślność jednego z największych umysłów ludzkości.

Wieczorem przyszedł Ptiburdukow. Długo nie mógł się zdecydować wejść do pokoju Łochankinów i kręcił się po kuchni między długimi płomieniami prymusów i przeciągniętymi we wszystkich kierunkach sznurami, gdzie wisiała wyschnięta jak pieprz bielizna z zaciekami farбки. W mieszkaniu zapanował ruch. Trzaskały drzwi, migały cienie, błyszczały oczy lokatorów, a w jakimś kącie zabrzmiało namiętne westchnienie: - Nareszcie przyszedł mężczyzna...

Ptiburdukow zdjął czapkę, szarpnął swoje inżynierskie wąsy i wszedł do Łochankinów.

- Waria - odezwał się błagalnym tonem - przecież umówiliśmy się...

- Zobacz, Saszuk! - zawołała Barbara, łapiąc go za rękę i ciągnąc w stronę kanapy. - Patrz! Leży tu ten samiec! Podły egoista! Ten despota ogłosił strajk głodowy dlatego, że chce go opuścić.

Na widok Ptiburdukowa głodomór zaczął od razu przemawiać pięciostopowym jambem.

- Ptiburdukow, pogardę mam dla ciebie - deklamował. - Nie tykaj niecną ręką żony mej. Tyś cham,

Ptiburdukow, i łajdaki Dlaczego żony mnie pozbawić chcesz?

- Towarzyszu Łochankin - odezwał się oszołomiony Ptiburdukow, szarpiąc wąsy.

- Idź precz, idź precz! Ja ciebie nienawidzę - ciągnął dalej Wasisualij, kołyszając się jak stary Żyd przy modlitwie - ty jesteś najwstrętniejsza z gnid. Ładny inżynier! Cham, sutener, kanalia, cynik, łajdak, drań!

- Jak panu nie wstyd, Wasisualij Andrieicz! - powiedział smutno Ptiburdukow. - To nie ma sensu.

Niech pan się zastanowi. Co pan wyprawia! W drugim roku pięciolatki...

- On mówi, że ja głupstwa plotę! On, który mi małżonkę skradł! Idź precz, Ptiburdukow, bo ci po pysku dam!

- To chory człowiek - rzekł Ptiburdukow, nie chcąc przekroczyć ram przyzwoitości.

Ale dla Barbary ramy te były za ciasne. Złapała ze stołu obeschniętą już nieco zieloną kanapkę i podeszła do głodomora. Łochankin bronił się z taką desperacją, jakby go co najmniej chciano ykastrować. Ptiburdukow odwrócił się do okna i przyglądał się białym świeczkom kwitnącego kasztana.

Za plecami słyszał rozzdzierające jęki Łochankina i okrzyki Barbary: „Jedz, potworze! Jedz, feudale!”

Następnego dnia Barbara, wykolejona przez nieprzewidziane komplikacje, nie poszła do biura. Stan głodującego uległ pogorszeniu.

- Już zaczęły się kurcze żołądka - oświadczył z zadowoleniem - tylko patrzeć szkorbutu na tle niedożywienia, zaczną mi wypadać włosy i zęby.

Ptiburdukow sprowadził brata, który był lekarzem wojskowym.

Drugi Ptiburdukow długo przykładł ucho do tułowia Łochankina i wsłuchiwał się w funkcje jego organów z takim skupieniem, jak kot, kiedy wsłuchuje się w poruszenia myszy, która zakradła się do cukierniczki. W czasie oględzin Wasisualij patrzył na swoją

włochatą jak jesionka pierś oczami pełnymi łez. Ogromnie się nad sobą litował. Ptiburdukow-drugi spojrział na Ptiburdukowa-pierwszego i zakomunikował, że chory nie potrzebuje zachowywać diety. Może jeść wszystko. A więc zupy, mięso, kompoty, a także chleb, jarzyny, owoce. Nawet ryby. Palić wolno, byle w miarę. Picie nie jest skazane, ale dla zaostrożenia apetytu przydałoby się wprowadzić od czasu do czasu do organizmu kieliszek dobrego portweinu. W sumie doktor nie rozeznał się w psychologicznym dramacie małżonków Łochankinów. Wyszedł, sapiąc dostojnie i stukając butami, a na pożegnanie oświadczył, że nie widzi podstaw zabraniać choremu kąpieli morskich oraz jazdy na rowerze.

Ale chory nie zamierzał wprowadzać do organizmu ani kompotu, ani ryb, ani kotletów, ani żadnych innych przysmaków. Nie poszedł też kąpać się w morzu, tylko leżał na kanapie i zasypywał swoje otoczenie obelżywymi jambami. Barbarze zrobiło się go żal. „Morzy się głodem przeze mnie - myślała z dumą. - Jak on mnie jednak kocha! Czy Saszuk zdolny jest do tak gorących uczuć?” I rzucała niespokojne spojrzenia na sytego Saszuka, którego wygląd wskazywał na to, że perypetie miłosne nie przeszkadzają mu wprowadzać regularnie do organizmu obiadów tudzież kolacji. A w pewnej chwili, kiedy Ptiburdukow wyszedł z pokoju, nazwała nawet Wasisualija „biedaczkiem”. Przy ustach głodomora znowu zjawiała się kanapka i znowu została odtrącona. „Jeszcze trochę wytrwałości - pomyślał Łochankin - i Ptiburdukow będzie się musiał obejść bez mojej Barbary”.

Wasisualij z satysfakcją przysłuchiwał się głosom dobiegającym z sąsiedniego pokoju.

- On umrze beze mnie - mówiła Barbara - będziemy musieli poczekać. Widzisz przecież, że nie mogę go teraz opuścić.

W nocy Barbara miała okropny sen. Wyschnięty na wiór przez nadmiar miłości Wasisualij ogryzał niklowane ostrogi przy butach wojskowego lekarza. To było straszne. Twarz lekarza wyrażała pokorną rezygnację, jaka maluje się na pysku krowy dojrzałej przez wiejskiego złodzieja. Ostrogi podzwaniały, zęby zgrzytały. Barbara obudziła się złana zimnym potem.

Żółte japońskie słońce z uporem godnym lepszej sprawy wysilało się, aby oświetlić taką błahostkę, jak rżnięty korek od buteleczki z wodą kolońską „Turandot”. Ceratowa kanapa była pusta. Barbara rozejrzała się po pokoju i zobaczyła Wasisualija. Stał przed otwartym kredensem, odwrócony plecami do łóżka, i głośno mlaskał. Z pośpiechu i łakomstwa aż zginał się wpół, przytupywał nogą w zielonej skarpetce i wydawał nosem świszczące i chlupiące dźwięki. Po opróżnieniu wysokiej puszkii konserw zdjął ostrożnie przykrywkę z garnka, zanurzył palce w zimnym barszczu i wyciągnął stamtąd kawałek mięsa. Gdyby Barbara przyłapała męża na czymś podobnym nawet w najpomyślniejszym okresie ich małżeńskiego pożycia, to Wasisualij nawet wtedy miałby za swoje. Teraz los jego był już przesądzony.

- Wasisualij! - zawołała strasznym grosem.

Głodomór ze strachu wypuścił z ręki mięso, które chlupnęło z powrotem do garnka, powodując wytrysk małej fontanny, w której skład wchodziła kapusta oraz gwiazdki z marchwi. Wasisualij z żalosnym skomleniem rzucił się na kanapę. Barbara ubierała się szybko, w głuchym milczeniu.

- Barbaro! - odezwał się przez nos Łochankin. - Czy naprawdę porzucasz mnie dla Ptiburdukowa?

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

- O, ładaczniczo! - zawołał niepewnym głosem Łochankin - gardzę, gardzę tobą, z Ptiburdukowem ty mnie zdradzać chcesz...

Ale było już za późno. Daremnie Wasisualij bredził o swojej miłości i głodowej śmierci. Barbara odeszła na zawsze, ciągnąc po ziemi podróżną torbę z kolorowymi majtkami, filcowym kapeluszem, ozdobnymi flakonami i tym podobnymi damskimi utensyliami.

W życiu Wasisualija Andriejewicza nastąpił okres dręczących rozmyślań i cierpień moralnych. Istnieją ludzie, którzy nie umieją cierpieć. Jakoś im to nie wychodzi. A jeżeli nawet cierpią, starają się to załatwić jak najprędzej i jak najmniej widocznie dla otoczenia. Ale Łochankin cierpiał jawnie, ostentacyjnie, podlewał swoje cierpienie szklankami herbaty i upijał się nim. Wielki ból dawał mu okazję do przemyślenia raz jeszcze roli rosyjskiej inteligencji oraz tragedii rosyjskiego liberalizmu.

„A może to było potrzebne - rozmyślał - może to jest próba, z której wyjdę oczyszczony duchowo?

Czy to nie jest po prostu los wszystkich wyrastających ponad tłum jednostek, ludzi o delikatnej strukturze, ludzi takich jak Galileusz, Milukow i A. F. Koni? Tak, tak, Barbara ma słuszość, to było konieczne !”

Jednakże depresja duchowa nie przeszkodziła mu dać do gazety ogłoszenia o pokoju do wynajęcia.

„To podtrzyma mnie finansowo w pierwszym okresie” - orzekł Wasisualij i znowu pogrążył się w mglistych rozważaniach o walce płci i o znaczeniu duszy jako źródła wszelkiego piękna.

Od tego zajęcia nie zdołały go oderwać nawet uporczywe napomnienia sąsiadów, żeby gasił światło w klozecie. Przeżywając wielki wstrząs psychiczny, Łochankin stale o tym zapominał, co wielce oburzało oszczędnych współlokatorów.

Skądinąd lokatorzy dużego uspołecznionego mieszkania numer trzy, w którym mieszkał także

Łochankin, uchodzili za ludzi bardzo niesfornych i znani byli w całej kamienicy z częstych awantur zwad. Mieszkanie to nazywano nawet „Wronim gniazdem”. Długotrwałe współżycie pod wspólnym dachem zahartowało tych ludzi i wszelka trwoga była im obca. Równowaga mieszkaniowa oparta była utaj na sojuszach między poszczególnymi lokatorami. Od czasu do czasu wszyscy lokatorzy

„Wroniego gniazda” jednoczyli się przeciw jednemu ze współlokatorów i wtedy marny był jego los.

Dośrodkowa siła pieniądza porywała go, wciągała do adwokackich kancelarii, niosła go jak wicher przez zadymione korytarze sądowe i wrzucała do sal sądów koleżeńskich i ludowych. Nieujarzmiony lokator długo jeszcze musiał obijać się w poszukiwaniu prawdy i sprawiedliwości po wszelakich instancjach, kończąc na samym wszechwładnym staroście-towarzyszu Kalininie. Taki lokator już do końca życia będzie się posługiwał różnymi terminami prawniczymi, których się nasłuchiwał w różnych sądowych instancjach, będzie mówił „karalny” zamiast „karygodny” i „działanie na szkodę” zamiast „przestępstwo”. A o sobie nie będzie mówił „towarzysz Żuków”, chociaż tak właśnie nazywał się od urodzenia, tylko „strona poszkodowana”. Ale najczęściej i ze szczególnym upodobaniem będzie używał wyrażenia „wszcząć dochodzenie”. I życie jego, które dotychczas też nie było mlekiem i miodem płynące, zamieni się w istne piekło.

Na dłuższy czas przed małżeńskim dramatem Łochankinów lotnik Sewriugow, mający nieszczęście zajmować pokój w lokalu numer trzy, wyleciał nagle na rozkaz Osoowiachimu za Krąg Polarny. Cały świat w podnieceniu śledził przebieg lotu Sewriugowa. Ekspedycja zagraniczna, która wyruszyła do bieguna północnego, zaginęła bez wieści i Sewriugow miał ją odszukać. Cały świat pokładał wielkie nadzieje w misji radzieckiego lotnika. Radiostacje wszystkich kontynentów pozostawały ze sobą w ścisłym kontakcie, meteorologowie ostrzegali dzielnego Sewriugowa przed burzami magnetycznymi, krótkofalówki swistem napełniały eter, a „Kurier Poranny”, polski dziennik zbliżony do ministerstwa spraw zagranicznych, domagał się już rozszerzenia terytorium państwowego Polski do granic z roku 1772. Sewriugow przez cały miesiąc latał nad pustynią lodową i warkot jego silnika rozbrzmiewał po całym świecie.

W końcu Sewriugow dokonał tego, co zupełnie zbiło z pantałyku dziennik zbliżony do polskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Znalazł zabłąkaną wśród gór lodowych ekspedycję, zdołał ustalić i podać do wiadomości miejsce jej pobytu, po czym sam nagle zaginął bez wieści. Na wiadomość o tym na całym świecie podniósł się wielki krzyk. Nazwisko Sewriugowa wymieniano w trzystu dwudziestu językach oraz narzeczach z językiem Indian łącznie, a portrety Sewriugowa odzianego w skóry zwierzęce ukazały się na wszystkich nie zadrukowanych dotychczas kawałkach papieru. W rozmowie z przedstawicielami prasy Gabriel d'Annunzio oświadczył, że zaraz po ukończeniu najnowszej powieści uda się samolotem na poszukiwanie dzielnego Rosjanina-Skomponowano nowego charlestona pod tytułem: „Ciepło mi z pieśczołką moją na biegunie”. A starzy moskiewscy hauturzyści: Usłyszkin-Werter, Leonid Trepietowski i Borys Ammiakow, stosujący od dawna dumpingliteracki i zarzucający rynek swoją produkcją po cenach niższych od kosztów własnych, pisali już roszurę pod tytułem: „Czy wam nie zimno?” Słowem planeta nasza przeżywała wielką sensację.

Ale jeszcze większą sensację przeżywał lokal numer 3 w domu pod numerem 8 w Cytrynowym

Zaułku, szerzej znany pod nazwą „Wroniego gniazda”

- Straciliśmy jednego z lokatorów - mówił radośnie emerytowany stróż Nikita Priachin, susząc nad prymusem filcowy but. - Zginął kochaneczek! A nie lataj, na drugi raz, nie lataj! Człowiek ma chodzić po ziemi, a nie latać. Chodzić ma, chodzić!

I obracał but nad syczącym płomieniem.

- Latał, latał, aż się dolatał - mruzczała babcia, której nikt nie znał z imienia ani z nazwiska. Mieszkała na antresoli nad kuchnią i aczkolwiek mieszkanie posiadało instalację elektryczną, posługiwała się na swojej górcie lampką naftową. Nie miała zaufania do elektryczności. - No i mamy wolny pokój, metraż!

Babcia pierwsza wypowiedziała to, co już od dawna mieli na końcu języka wszyscy mieszkańcy

„Wroniego gniazda”. Teraz wszyscy zaczęli mówić o pokoju zaginionego lotnika: i były księżę kaukaski, obecnie pracownik „Wschodu”, obywatel Gigieniszwili, i Dunia podnajmująca łóżko w pokoju ciotki Paszy, i sama ciocia Pasza, przekupka i nałogowa pijaczka, i Aleksander Dmitriewicz

Suchowiejko, dawny szambelan dworu jego cesarskiej mości, którego nazywano po prostu Mitriczem, i wszystkie pozostałe lokatorskie pionki z tytułarną główną lokatorką Lucją Francewną Pferd na czele.

- Towarzysze - odezwał się Mitricz poprawiając okulary w złotej oprawie, kiedy kuchnia napełniła się lokatorami - skoro nasz towarzysz zaginął, trzeba przydzielić komuś jego pokój. Ja, na przykład, od dawna mam prawo do dodatkowego metrażu.

- Na co mężczyźnie metraż? - zaprotestowała podnajemczyni łóżka Dunia. - Metraż potrzebny jest kobiecie. Mnie się już może drugi raz w życiu nie zdarzy, żeby jakiś mężczyzna przypadł nagle bez wieści.

I długo jeszcze przemawiała do zebranych, przytaczając różne argumenty na swoją korzyść i często powtarzając słowo: „mężczyzna”.

W każdym razie lokatorzy byli zgodni w tym punkcie, że pokój należy niezwłocznie zająć.

Tego samego dnia światem wstrząsnęła nowa sensacja. Dzielny Sewriugow odnalazł się. Niżej

Nowgorod, Quebec i Rejkjawić przejęły nadawane przez niego sygnały. Osiadł na osiemdziesiątym czwartym równoleżniku z uszkodzonym podwoziem samolotu. W eterze zakotłowało się od komunikatów: „Dzielny Rosjanin czuje się znakomicie”, „Sewriugow wysłał raport do prezydium

Osoawiachimu”, „Karol Lindberg uważa Sewriugowa za najlepszego lotnika świata”, „Siedem łamaczy lodów wyruszyło na pomoc Sewriugowowi i odnalezionej przez niego ekspedycji”. W przerwach między komunikatami gazety umieszczały fotografię jakichś pól i gór lodowych. Na każdym kroku rozbrzmiewały słowa: „Sewriugow, Nordkap, równoleżnik, Sewriugow, Ziemia Franciszka Józefa,

Spitsbergen, Kingsbey, futrzane buty, paliwo, Sewriugow”.

Przygnębienie, jakie w związku z tymi sensacjami spadło na „Wronie gniazdo”, przeistoczyło się szybko w absolutną pewność. Lodołamacze powoli, ale skutecznie, posuwały się naprzód, z trudem pokonując opór lodów północy.

- Zabrać mu pokój i tyle! - mówił Nikita Priachin. - On sobie tam spokojnie siedzi na lodzie, a tutaj taka

Dunia ma wszelkie prawa do metrażu. Poza tym w myśl przepisów prawnych żaden lokator nie może przebywać dłużej niż dwa miesiące poza miejscem swego zamieszkania.

- Jak wam nie wstyd, obywatelu Priachin! - gromiła go Barbara, wtedy jeszcze Łochankina, wymachując „Izwiestiami” - Przecież to bohater. Przecież on osiadł na osiemdziesiątym czwartym równoleżniku!

- A cóż to za równoleżnik? - odzywał się na to Mitricz. - Może taki równoleżnik w ogóle nie istnieje.

Skąd można wiedzieć? W gimnazjum o tym nie uczyli.

Mitricz mówił szczerą prawdę. Nie słyszał o równoleżnikach w gimnazjum, bo do gimnazjum nigdy nie chodził. Był w Korpusie Paziów.

- Jak pan może mówić coś podobnego - gorączkowała się Barbara, podsuwając szambelanowi gazetę pod nos. - Niech pan sobie przeczyta ten artykuł „Wśród lodowców i eisbergów”⁴⁰.

40

Eisberg - góra lodowa.

- Eisbergi! - mówił drwiąco Mitricz. - To co innego. To rozumie się samo przez się. Od dziesięciu lat nie ma dla nas życia. Wszędzie same Eisbergi, Weisbergi, Eisenbergi i inni Rabinowicze. Priachin ma rację.

Zabrać pokój i tyle! Zwłaszcza że Łucja Francewna potwierdza zgodność takiego rozwiązania z przepisami prawnymi.

- A rzeczy wyrzucić na schody! - zawołał tenorem były książę a obecny pracownik „Wschodu”, obywatel Gigieniszwili.

Barbarę zakrzyczano, wobec czego poszła poskarżyć się mężowi.

- A może tak być powinno - odpowiedział mąż podnosząc egipską bródkę - może przez usta prostego chłopca Mitricza przemawia wielka siermiężna prawda. Wmyśl się tylko w rolę rosyjskiej inteligencji w jej znaczenie.

W tym wielkim dniu, kiedy łamacze lodów dotarły wreszcie do namiotu Sewriugowa, obywatel

Gigieniszwili wyłamał zamek w drzwiach pokoju Sewriugowa i wyrzucił na korytarz cały dobytek ohatera łącznie z wiszącym na ścianie czerwonym śmigłem. Pokój zajęła Dunia, która niezwłocznie podnajęła sześć łóżek sublokatorom. Przez całą noc na podbitej przestrzeni życiowej odbywała się uczta. Nikita Priachin grał na harmonii, a szambelan Mitricz tańczył kozaka z pijaną cicią Paszą.

Gdyby Sewriugow był odrobinę mniej sławny i gdyby jego sława, zdobyta wspinałymi lotami nad

Arktyką, nie rozeszła się po całym świecie, nie ujrzałby już nigdy swojego pokoju, wessałaby go dośrodkowa siła pieniądza i aż do śmierci nie nazywałby się już „dzielnym Sewriugowem” ani

„Pogromcą lodów”, tylko „stroną poszkodowaną”. W tym jednak wypadku „Wronie gniazdo” poniosło całkowitą klęskę. Odebrano Duni pokój (Sewriugow przeniósł się zresztą wkrótce do nowego mieszkania), a przedsiębiorczy Gigieniszwili za akt samowoli przesiedział cztery miesiące w więzieniu wrócił stamtąd wściekły jak pies.

To on właśnie pierwszy zwrócił osieroconemu Łochankinowi uwagę na konieczność regularnego gaszenia światła przy opuszczaniu klozetu. Miał przy tym iście szatański wyraz oczu. Roztargniony

Łochankin nie docenił wagi tego dyplomatycznego posunięcia, podjętego przez obywatela

Gigieniszwili, i w ten sposób przegapił początek konfliktu, który doprowadził wkrótce do przerażającego i niespotykanego, nawet w burzliwych warunkach zagęszczonych mieszkań, wydarzenia.

A było to tak: Wasisualij w dalszym ciągu zostawiał światło w lokalu użyteczności publicznej. Bo jakże miał pamiętać o takich błahostkach, kiedy żona go porzuciła, kiedy nie miał grosza przy duszy i kiedy nie zostało jeszcze wyjaśnione doniosłe znaczenie rosyjskiej inteligencji? Czy mógł przypuszczać, że nikłe światółko ośmioświecowej żarówki wywoła takie wzburzenie umysłów i serc współlokatorów?

Najpierw udzielono mu wielu ostrzeżeń. Następnie doręczono mu pismo, zredagowane przez Mitricza i podpisane przez wszystkich lokatorów. Wreszcie przestano go ostrzegać, a także pisać listy.

Łochankin w dalszym ciągu nie doceniał wagi wydarzeń, ale zaczął niejasno czuć, że dokoła niego zaciska się jakaś złowroga obręcz.

We wtorek wieczorem przybiegła córeczka cici Paszy i wyrecytowała jednym tchem:

- Oni proszą po raz ostatni, żebyście gasili światło.

Ale tak się jakoś złożyło, że Wasisualij Andriejewicz znowu się zapomniał i żarówka nadal świeciła zbrodniczo poprzez pajęczyny i brud. W mieszkaniu rozległo się kolektywne westchnienie. Po upływie minuty w drzwiach pokoju Łochankina stanął obywatel Gigieniszwili. Miał na nogach niebieskiepłóciennne buty, a na głowie płaską czapkę z brązowego baranka.

- Idziemy - powiedział, kiwając palcem na Wasisualija.

Wziął go mocno za rękę, poprowadził przez ciemny korytarz - gdzie Wasisualij poczuł się jakoś niewyraźnie i nawet zaczął nieco wierzgać nogami - potem uderzeniem w plecy wypchnął go na środek kuchni. Łochankin uczepił się sznurów od bielizny, co pozwoliło mu odzyskać równowagę, i rozejrzał się z trwogą dokoła. Byli tu zebrani wszyscy lokatorzy mieszkania. Stała w milczeniu Łucja

Francewna Pferd. Fioletowe, chemiczne zmarszczki żłobiły władcze oblicze głównej odpowiedzialnej lokatorki. Obok niej siedziała na kuchni ponura i pijana jak bela ciocia Pasza. Z uśmiechem spoglądał na ogłupiałego Łochankina bosy Nikita Priachin. Z antresoli zwisała głowa niczyjej babci. Dunia dawała jakieś znaki Mitriczowi. Były szambelan dworu uśmiechał się, chowając coś za plecami,

- Co to? Zebranie lokatorów będzie? - zapytał niepewnym głosem Wasisualij Andriejewicz.

- Będzie, będzie - odpowiedział Nikita Priachin, zbliżając się do Łochankina - wszystko będzie. Kawa też będzie. Kładź się! - zawołał nagle, zionąc na Wasisualija ni to wódką, ni to terpentyną.

- Co to wszystko znaczy? - zapytał Wasisualij Andriejewicz i zaczął się trząść.

- Co tu z nim dużo gadać? - odezwał się obywatel Gigieniszwili, przykucnął i zaczął odpinać

Łochankinowi szelki.

- Na pomoc! - szepnął Wasisualij, spoglądając nieprzytomnie na Łucję Francewną.

- Trzeba było gasić światło! - odpowiedziała surowo obywatelka Pferd.

- Nie jesteśmy burżujami i nie możemy marnować na próżno prądu - dodał szambelan Mitricz, zanurzając coś w wiadrze z wodą.

- Ja nie jestem nic winien! - pisnął Łochankin, wyrrywając się z rąk eks-księcia.

- Nikt nie jest niczemu winien! - mruczał Nikita Priachin, przytrzymując szamocącego się lokatora.

- Przecież ja nic takiego nie zrobiłem!

- Nikt nic takiego nie zrobił.

- Jestem w stanie duchowej depresji.

- Wszyscy są w duchowej depresji.

- Nie ważcie się mnie tknąć. Jestem anemiczny.

- Wszyscy jesteśmy anemiczni.
- Żona mnie porzuciła - krzyczał Wasisualij.
- Wszystkich żony porzucają - odpowiedział Nikita Priachin.

- Jazda, jazda, Nikituszko! - odezwał się rzeczowo szambelan Mitricz, podnosząc do góry pęk mokrych, błyszczących różeg. - Jak zaczniemy się wdawać w rozmowy, to nie skończymy do rana.

Położono Wasisualija Andriejewicza twarzą do podłogi. Błysnęły mleczną bielą jego uda. Gigieniszwili zamachnął się z całej siły, aż różgi zaświszczały w powietrzu.

- O, mamó! - pisnął Wasisualij.

- Każdy ma mamę! - oświadczył pouczająco Nikita, przyciskając Łochankina kolanem.

Nagle Wasisualij zamilkł.

„A może tak trzeba - pomyślał wzdrugając się pod ciosami i przyglądając się ciemnym, pancernym paznokciom u nogi Nikity. - Może w tym właśnie jest odkupienie, oczyszczenie, wielka ofiara...”

I przez cały czas, kiedy mu łoili skórę, kiedy Dunia śmiała się wstydliwie, a babcia pokrzykiwała z antresoli: „Lu go, kochaneczka, lu go, nieboraczka!”, Wasisualij Andriejewicz rozmyślał w skupieniu o znaczeniu rosyjskiej inteligencji i o tym, że Galileusz także cierpiał niesprawiedliwie.

Jako ostatni ujął różgi Mitricz.

- Pozwólcie, że ja też spróbuję - rzekł, unosząc rękę. - Wlepię mu kilka różeg w południcę.

Ale Łochankinowi nie było sądzone dostać wnyki od szambelana, bo nagle ktoś zapukał do drzwi kuchennych. Dunia skoczyła otworzyć. (Drzwi frontowe „Wroniego gniazda” były od dawna zamknięte na amen, gdyż lokatorzy ani rusz nie mogli uzgodnić, kto pierwszy ma wyszorować schody.

Z tej samej przyczyny łazienka zabita była gwoździami).

- Wasisualij Andriejewicz, przyszedł do was jakiś nieznajomy mężczyzna - powiedziała Dunia jak gdyby nigdy nic.

Istotnie, w drzwiach stał jakiś nieznajomy mężczyzna w białych dżentelmeńskich spodniach.

Wasisualij Andriejewicz zerwał się szybko, poprawił na sobie garderobę i z wymuszonym uśmiechem zwrócił się w stronę wchodzącego Bendera.

- Czy nie przeszkadzam? - zapytał uprzejmie wielki kombinator, mrużąc oczy.

- Owszem... to jest... - bąknął Łochankin, szurając nóżkami - właśnie byłem troszkę, że tak powiem, zajęty... Ale... Chyba już jestem wolny?

I rozejrzał się pytająco, ale w kuchni nie było już nikogo oprócz cioci Paszy, która zasnęła w czasie egzekucji. Na podłodze leżały drobne gałązki różeg i biały płócienny guzik z dwoma dziurkami.

- Proszę do mojego pokoju - zaproponował Wasisualij.

- A może oderwałem pana od jakichś ważnych zajęć? - zapytał Ostap po wejściu do pierwszego pokoju Łochankina. - Nie? W porządku. Czy to pan ma „Śl. pok. ze wsz. wyg. wid. n. m. kult. sam. m.?”

Czy on jest naprawdę „śl.” i ma „wsz. wyg.?”

- Tak jest - zawołał z ożywieniem Wasisualij - prześliczny pokój, wszelkie wygody. I tanio. Pięćdziesiąt rubli miesięcznie.

- O cenę nie będę się targował - oświadczył uprzejmie Ostap. - Ale sąsiedzi...? Co to za jedni?

- Uroczy ludzie - odpowiedział Wasisualij - i w ogóle wszelkie wygody. I cena przystępna.

- Ale ci sąsiedzi wprowadzili tu, jeśli się nie mylę, kary cielesne?

- A może - kto wie - może tak trzeba? - rzekł z wewnętrznym przekonaniem Łochankin. - Może w tym właśnie kryje się wielka siermiężna prawda?

- Siermiężna? - powtórzył w zamyśleniu Bender. - A także samodziółowa, konopna i zgrzebna? Tak, tak. A z której klasy wyleli pana za niedostateczne postępy w nauce? Z szóstej?

- Z piątej - odpowiedział Łochankin.

- Pięknie. Zatem do fizyki Krajewicza pan nie dojechał? I od tego czasu prowadzi pan ściśle intelektualny tryb życia? Mnie to zresztą wcale nie przeszkadza. Jutro się tu sprowadzam.

- A zadatek? - zapytał były gimnazysta.

- To nie cerkiew, nie będzie pan nabity w butelkę - oświadczył miarodajnie wielki kombinator. - Z biegiem czasu będzie i zadatek!

Rozdział XIV Pierwsze spotkanie

Kiedy Ostap wrócił do hotelu „Karlsbad”, gdzie na każdym kroku, w westybulu, na klatce schodowej i na korytarzach czyhały odbicia jego postaci w niezliczonych lustrach, którymi dyrekcje hotelowe z przesadnym upodobaniem ozdabiają swoje wnętrza, i kiedy wszedł do swego pokoju, uderzył go panujący tu nieład. Czerwony pluszowy fotelik leżał do góry krzywymi nóżkami i obnażał swoją niezbyt ponętną, parcianą odwrotną stronę medalu. Aksamitna serweta obszyta galonem zsunęła się ze stołu. Nawet obraz „Chrystus objawia się rzeszom” przekrzywił się na bok, tracąc pod tym kątem widzenia znaczną część walorów wychowawczych, jakie zamknął w nim artysta. Z balkonu dmuchał świeży okrętowy wiatr, szeleszcząc rozrzuconymi na łóżku banknotami. Między banknotami leżało blaszane pudełko od papierosów „Kaukaz”. Na dywanie, trzymając się za bary i wierząc nogami, kotłowali się Panikowski i Bałaganów.

Wielki kombinator z obrzydzeniem przeszedł nad głowami zapaśników i stanął na balkonie. W dole, na bulwarze, słychać było gwar rozmów, skrzypienie żwiru pod stopami i wzbijające się nad czarne klony dźwięki orkiestry symfonicznej. W mrocznej głębi portu grzmiała żelazem i błyskała ogniem budowa chłodni. Za falochronem porykiwał niecierpliwie niewidoczny parowiec, upominając się zapewne o wpuszczenie go do portu.

Kiedy Ostap wrócił do pokoju, mleczni bracia siedzieli już naprzeciw siebie na podłodze, odpychali się wzajemnie rękami, jakby grali w łapki, i mrużeli: „A coś ty właściwie za jeden?”

- Nie udało się wam ustalić klucza podziału? - zapytał Bender, zasuwając portierą.

Panikowski i Bałaganów szybko się zerwali i zaczęli opowiadać. Każdy sobie przypisywał cały sukces, a błędy zwał na drugiego. Obaj, bez uprzedniego uzgodnienia, opuszczali wszelkie niepochlebne dla nich szczegóły, przytaczając natomiast mnóstwo szczegółików, przedstawiających w nader korzystnym świetle ich roztropność i odwagę.

- No, dosyć! - rzekł Ostap. - Nie wyważajcie otwartych drzwi. Mam już jasny obraz stoczonej przez was bitwy, jakbym był przy tym. Więc powiadacie, że był w towarzystwie panienki? To bardzo dobrze.

A zatem skromny urzędniczyna nosi w kieszeni jak gdyby nigdy nic... ile? Zdaje się, żeście już policzyli?

No, ile tam tego jest? Ho - ho! Dziesięć tysięcy! Pobory pana Korejko za dwadzieścia lat nienagannej pracy. Widowisko godne bogów, jak pisują nasi luminarze. Ale zdaje się, że wam przeszkodziłem?

Coście tu robili na podłodze? Dzieliliście pieniądze? Dzielcie je dalej, proszę bardzo. Chętnie popatrzę.

- Ja chciałem podzielić uczciwie, honorowo - rzekł Bałaganów, zbierając z łóżka banknoty - na równe części. Po dwa i pół tysiąca na głowę.

To rzekłszy podzielił banknoty na cztery kupki i usunął się skromnie na bok, mówiąc:

- Dla pana, dla mnie, dla niego i dla Kozlewicza.

- Bardzo ładnie - orzekł Ostap. - A teraz niech Panikowski podzieli, bo on, o ile się nie mylę, ma jakąś inną koncepcję.

Reprezentujący odmienną koncepcję Panikowski z wielkim zapałem zabrał się do roboty. Pochylony nad łóżkiem poruszał grubymi wargami, ślinił palce i bez końca przenosił i przenosił banknoty z jednego miejsca na drugie, jakby układał wielkiego królewskiego pasjansa. Po tych jego zabiegach na kołdrze uformowały się trzy kupki: jedna duża, składająca się z samych czystych, nowiutkich banknotów, druga, taka sama co do wielkości, ale złożona z banknotów nieco przybrukanych, wreszcie trzecia, bardzo mała i bardzo brudna.

- Dla pana i dla mnie po cztery tysiące - rzekł Panikowski do Bendera - a dla Bałaganowa dwa tysiące.

On nawet na te dwa tysiące nie zasłużył.

- A dla Kozlewicza? - zapytał Bałaganów, zaciskając z gniewu powieki.

- A niby za co dla Kozlewicza? - zapiszczał Panikowski. - To rozbój na równej drodze! Cóż to za jeden, ten Kozlewicz? Nie znam żadnego Kozlewicza!

- Czy to już wszystko? - zapytał wielki kombinator.

- Wszystko - odpowiedział Panikowski, nie spuszczając z oka kupki czystych banknotów. - Co to ma wspólnego z jakimś tam Kozlewiczem?

- Teraz ja dokonam podziału - oświadczył po gospodarsku Ostap.

Bez pośpiechu zebrał wszystkie trzy kupki w całość, umieścił je w blaszanym pudełku i wsadził do kieszeni swoich białych spodni.

- Cała ta suma - oświadczył - zostanie natychmiast zwrócona poszkodowanemu obywatelowi Korejko.

Czy odpowiada wam ten klucz podziału?

- Nie, nie odpowiada - wyrwało się Panikowskiemu.

- Niech pan nie żartuje, panie Bender - odezwał się z niezadowoleniem Bałaganów.
- Musimy się podzielić sprawiedliwie.

- Mowy nie ma - odpowiedział zimno Ostap. - A co do żartów, to o tak późnej porze żarty mi nie w głowie.

Panikowski klasnął w starcze, sinawe dłonie, spojrzał ze zgrozą na wielkiego kombinatora, odszedł w kąt pokoju i zastygł w milczeniu. Od czasu do czasu połykiwał tylko w kącie złoty ząb gwałciciela konwencji.

Twarz Bałaganowa oblała się nagle potem, jakby ją przypiekło ostre słońce.

- Więc nasza praca ma pójść na marne? - zapytał z gniewem. - Nie, to nie przejdzie. Żądam wyjaśnień!

- Panu, jako umiłowanemu synowi lejtnanta Szmidta - rzekł uprzejmie Ostap - mogą powtórzyć tylko to, co mówiłem już w Arbatowie. Szanują kodeks karny. Nie jestem rabusiem. Dążę do zdobycia pieniędzy z pobudek ideologicznych. Stosuję czterysta uczciwych sposobów przywłaszczania sobie gotówki. Nie ma wśród nich rabunku. Zresztą, to nie leży w mojej naturze, nie przyjechalśmy tu dla głupich dziesięciu tysięcy. Potrzeba mi co najmniej pięćset tysięcy rubli.

- Po cóż więc była ta cała wyprawa? - zapytał znacznie już spokojniej Bałaganów. - Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy.

- Innymi słowy chciałby pan wiedzieć, czy wasz czcigodny komandor miał jakiś konkretny cel w podejmowaniu wyżej wzmiankowanej operacji? Owszem, miał. Rzecz polega na tym...

W tym momencie złoty ząb w kącie zgasł. Panikowski zebrał się w sobie, pochylił głowę i z okrzykiem:

„A coś ty za jeden?” rzucił się na Ostapa. Wielki kombinator, nie zmieniając pozycji i nawet nie odwracając głowy, jednym ciosem kauczukowej pięści odesłał gwałciciela konwencji z powrotem do kąta i ciągnął dalej:

- Rzecz polega na tym, że to była próba. Okazało się, że urzędniczna zarabiająca czterdzieści rubli miesięcznie nosi w kieszeni dziesięć tysięcy rubli. Jest to zjawisko dość osobliwe, pozwalające liczyć na większego fuksa, jak mówią szulerzy i kombinatory wyścigowi. Pół miliona - to byłby niewątpliwie większy fuks. Zrealizujemy to w sposób następujący: zwrócę Korejce dziesięć tysięcy. Korejko je przyjmie. Chciałbym zobaczyć człowieka, który nie przyjąłby zwrotu swoich pieniędzy. Ale to go właśnie zgubi. Padnie ofiarą własnej chciwości. Bo skoro przyzna się do swego bogactwa, będę go miał w garści. Jako człowiek inteligentny, Korejko zda sobie sprawę z tego, że część jest mniejsza od całości i odda mi tę część z obawy przed utratą wszystkiego. I wtedy właśnie na scenie ukaże się talerzyk ze szlaczkiem...

- Bravo! - zawołał Bałaganów.

Panikowski w kącie zalewał się łzami.

- Oddajcie mi moje pieniądze - seplenił - jestem goły jak święty turecki. Przeszło rok nie byłem w łaźni. Jestem stary. Kobiety już na mnie nie lecą.

- Zwróć się pan do światowej Ligi Reform Seksualnych - rzekł Bender. - Może tam udzielią panu jakiejś zbawiennej rady.

- Nikt mnie nie kocha - szlochał dalej Panikowski.

- Niby dlaczego i za co miałyby pana ktoś kochać? Kobiety nie kochają takich jak pan. Kobiety kochają mężczyzn młodych, dobrze zbudowanych i wyrobionych ideologicznie. A pan już stoi nad grobem. I po pańskiej śmierci nikt nie napisze w gazecie: „Jeszcze jeden padł na posterunku”. Nie usiadzie na pańskiej mogile prześliczna wdowa o perskich oczach, ani dzieci nie zawołają przez łyż: „Czy słyszysz nas, tatusiu, tatusiu?!”

- Przestań pan! - zawołał wystraszony Panikowski. - Ja was wszystkich przeżyję. Nie znacie jeszcze

Panikowskiego. Panikowski wszystkich was sprzeda. Oddajcie mi moje pieniądze.

- Niech pan lepiej powie, czy będzie pan posłusznie spełniał moje rozkazy? Pytam o to po raz ostatni.

- Będę, będę - odpowiedział Panikowski, ocierając skąpe, starcze łzy.

Nad całym krajem rozpościerała się głęboka noc.

W porcie czarnomorskim przesuwały się potężne żurawie, zapuszczały stalowe pazury w głębokie czeluście zagranicznych statków i wynurzały się z powrotem, aby z kocią zręcznością i ostrożnością przenieść i złożyć w przystani sosnowe skrzynie ze sprzętem technicznym przeznaczonym dla

Traktorostroju. Z wysokich kominów zakładów krzemowych tryskały, jak ogony komet, różowe płomienie. Jarzyły się gwiazdozbiory Dnieprostroju, Magnitogorska i Stalingradu. Na północy weszła gwiazda Krasnopułtowska, a za nią rozbłysło mnóstwo innych gwiazd pierwszej wielkości. Świeciły fabryki, kombinaty, elektrownie, nowe budowy. Świeciła cała pięciolatka, zaćmiewając swym blaskiem stare niebo, które uprzykrzyło się już starożytnym Egipcjanom.

A młodzieniec, który zasiedział się z ukochaną w robotniczej świetlicy, zapalał szybko zelektryfikowaną mapę pięciolatki i szeptał:

- Spójrz na to czerwone światełko! Tam będzie Sibkombajn. Pojedziemy tam, dobrze?

A ukochana śmiała się cichutko, uwalniając ręce z jego dłoni.

Jako się rzekło, nad całym krajem rozpościerała się głęboka noc. Stękał przez sen monarchista

Chworobiew, któremu przyśniła się olbrzymia legitymacja związków zawodowych. W pociągu na górnej półce chrapał inżynier Talmudowski, jadący z Charkowa do Rostowa, gdzie znęciło go wyższe uposażenie. Na szerokiej atlantyckiej fali kołysali się amerykańscy dżentelmeni, wioząc do swej ojczyzny przepis na znakomity samogon z pszenicy. Na swej kanapie przewracał się z boku na bok

Wasisualij Łochankin, rozcierając ręką obolałe części ciała. Stary autor rebusów Sinicki na próżno wypalał światło, komponując dla czasopisma „Zagadnienia wodociągowe” obrazek-zagadkę: „Gdzie jest przewodniczący tego zebrania robotników i pracowników, którzy zgromadzili się celem dokonania wyboru rady zakładowej stacji pomp?” Sinicki starał się przy tym zachowywać jak najciszej, żeby nie zbudzić Zosi.

Połychajew leżał w łóżku z Serną Michajłowną. Wszyscy pozostali pracownicy „Herkulesa” spali niespokojnym snem w różnych dzielnicach miasta. Aleksander

Iwanowicz Korejko nie mógł zasnąć, bo dręczyły go myśli o bogactwie. Gdyby nie to jego bogactwo, spałby spokojnie. Co robił Bender, Bałaganów i Panikowski - już wiadomo. Tylko o Kozlewiczu, kierowcy i właścicielu „Antylopy-Gnu” nie będzie tu żadnej wzmianki, aczkolwiek właśnie zważyło się na niego nieszczęście nader niezwyklej politycznej natury.

Wczesnym rankiem Bender otworzył swój akuszerski sakwojaż, wyjął z niego milicyjną czapkę z herbem miasta Kijowa, wsunął ją do kieszeni i udał się w odwiedziny do Aleksandra Iwanowicza

Korejki. Na ulicy zaczepiał mleczarki, albowiem wybiła właśnie godzina tych obrotnych niewiast, poprzedzająca godzinę wymarszu urzędników, i nucił słowa piosenki: „Spieszę na pierwsze spotkanie twardy i zimny jak głaz”. Słowa te nie były zresztą zgodne z prawdą. Perspektywa pierwszego spotkania z gryzipiórkiem-milionerem działała na wielkiego kombinatora bardzo podniecająco. Ostap wszedł do domu przy ulicy Małej Stycznej nr 16, włożył na głowę urzędową czapkę i zapukał do drzwi.

Aleksander Iwanowicz stał na środku pokoju. Miał na sobie siatkową koszulkę bez rękawów i spodnie ubogiego urzędniczyny. Pokój umeblowany był z wzorową spartańską skromnością, jaka cechowała przed rewolucją wszelkie sierocińce i tym podobne instytucje dobroczynne pod protektorem cesarzowej Marii Fiodorowny. Stały tu tylko trzy meble: żelazne szpitalne łóżko, kuchenny stół z drzwiczkami zaopatrzonymi w drewniany skobel, na jaki zamyka się zwykle wiejskie wychodki, i obdrapane wiedeńskie krzesło. W kącie leżały hantle i dwa spore ciężarki używane na ogół przez atletów.

Na widok milicjanta Aleksander Iwanowicz zrobił kilka kroków w przód.

- Obywatel Korejko? - zapytał Ostap z promiennym uśmiechem.
- Tak jest - odpowiedział Aleksander Iwanowicz, również okazując radość z powodu odwiedzin przedstawiciela władzy.
- Aleksander Iwanowicz? - zapytał Ostap z jeszcze promienniejszym uśmiechem.
- Tak jest - potwierdził Korejko z jeszcze większą radością.

Wielkiemu kombinatorowi nie pozostało już nic innego, jak usiąść na wiedeńskim krześle i okrasić twarz wręcz nieziemskim uśmiechem. Po dokonaniu tych zabiegów Ostap spozrywał na Aleksandra

Iwanowicza. Ale gryzipiórek-milioner zebrał się w sobie i wyraził z kolei niemy zachwyt, entuzjazm i uwielbienie, a wszystko to z powodu niespodziewanego zetknięcia się z przedstawicielem władzy.

Narastanie uczuć i uśmiechów przypominało rękopis kompozytorski Franciszka Lista, gdzie na pierwszej stronie widzimy wskazówkę, żeby grać „szybko”, na drugiej - „bardzo szybko”, na trzeciej -

„znacznie szybciej”, na czwartej - „najszybciej jak tylko można” i mimo to na piątej - „jeszcze szybciej”.

Widząc, że Korejko znalazł się już na piątej stronie i że dalsze współzawodnictwo do niczego nie prowadzi, Ostap przystąpił do rzeczy.

- Przychodzę w sprawie służbowej - rzekł, przybierając poważny wyraz twarzy.

- Bardzo mi miło - oświadczył Aleksander Iwanowicz poważniejąc.
- Mamy dla was miłą niespodziankę.
- Bardzo jestem ciekaw.

Bender ze smętnym wyrazem twarzy sięgnął do kieszeni. Korejko obserwował jego ruchy z miną karawaniarską. Z kieszeni wynurzyło się blaszane pudełko Od papierosów „Kaukaz”. Ale Ostap nie usłyszał oczekiwanego okrzyku zdumienia i radości. Zakonspirowany milioner spoglądał na pudełko wzrokiem najzupełniej obojętnym. Ostap wyjął z pudełka pieniądze, przeliczył je starannie, podsunął paczkę przeliczonych banknotów Aleksandrowi Iwanowiczowi i rzekł:

- Dziesięć tysięcy co do grosza. Proszę napisać pokwitowanie.
- To jakaś pomyłka, towarzyszu - odezwał się bardzo cicho Korejko. - Jakie dziesięć tysięcy? Jakie pokwitowanie?
- Jak to? Przecież wczoraj was ograbiono.
- Nie, nikt mnie nie ograł.
- Jak to nie ograł? - zdenerwował się Ostap. - Wczoraj nad morzem. Zrabowano wam dziesięć tysięcy. Napastnicy zostali ujęci. Piszcie pokwitowanie.
- Ależ nikt mnie nie obrabował - rzekł Korejko, po którego twarzy przebiegł jasny promyk. - To jest oczywiste nieporozumienie.

Wielki kombinator, który jeszcze nie uzmysłowił sobie całego bezmiaru klęski, stracił zwykłe opanowanie i zaczął się zachowywać natrętnie, co zawsze później wspominał z głębokim zawstydzeniem. Upierał się przy swoim, złościł się, wtykał Aleksandrowi Iwanowiczowi pieniądze do ręki i w ogóle stracił twarz; jak mówią Chińczycy. Korejko wzruszał ramionami, uśmiechał się z uprzedającą grzecznością, ale pieniędzy nie chciał przyjąć.

- A zatem nikt was nie obrabował?
- Nie.
- Nie zabrano wam dziesięciu tysięcy?
- Rozumie się, że nie. A skąd ja bym wziął tyle pieniędzy?
- No, tak, to prawda - rzekł, opamiętując się, Ostap. - Skąd skromny urzędnik mógłby mieć taką kupę pieniędzy?... A więc wszystko u was w porządku?
- Tak jest - odpowiedział z czarującym uśmiechem milioner.
- I żołądek także w porządku? - zapytał Ostap z jeszcze przymilniejszym uśmiechem.
- W idealnym porządku. Jestem w ogóle zdrow jak koń.
- I nie dręczą was ciężkie sny?
- Nie, nie dręczą.

Nastąpiła seria uśmiechów wzorowana na utworach Lista: szybko, bardzo szybko, znacznie szybciej, najszybciej jak tylko można i wreszcie jeszcze szybciej. Nowi znajomi pożegnali się jak najserdeczniejsi przyjaciele.

- Proszę nie zapomnieć czapeczki - mówił Aleksander Iwanowicz. - Została na stole.
- Nie jadajcie na noc surowych pomidorów - doradzał Ostap - żeby wam przypadkiem nie zaszkodziły.

- Powodzenia - mówił Korejko, kłaniając się radośnie i szurając nogami.

- Do miłego zobaczenia - odpowiedział Ostap. - Miło mi było was poznać. Wszystko macie w porządku! Aż dziw, że dotąd jesteście na wolności.

I ze zbytecznym już uśmiechem na twarzy wielki kombinator wybiegł na ulicą. Uszedł spory kawał drogi nie pamiętając, że ma na głowie urzędową czapkę z godłem miasta Kijowa, co było zupełnie nie na miejscu w mieście; Czemomorsku. Dopiero kiedy znalazł się w tłumie czcigodnych starców, gawędzących w pobliżu krytej werandy jadłodajni społecznej nr 68, opamiętał się i zaczął spokojnie rozważać szanse.

W czasie kiedy Ostap przechodził się tam i z powrotem, pogrążony w rozmyślaniach, starcy oddawali się swoim codziennym zajęciom.

Byli to ludzie dziwni i zabawni na tle dzisiejszego życia. Niemal wszyscy nosili białe pikowe kamizelki i kapelusze słomkowe typu „canotier”. Niektórzy mieli nawet na głowach stare pociemniałe panamy.

Natomiast wszyscy bez wyjątku mieli na włochatych kurzych szyjach pożółkłe sztywne kołnierzyki.

Albowiem w tej oto jadłodajni nr 68, zajmującej lokal słynnej niegdyś kawiarni „Floryda”, zbierały się niedobitki przedwojennego handlowego Czernomorska: maklerzy, którzy utracili swoje kantory, komisjonerzy wędnący z braku komisyjnych zarobków, hurtownicy zbożowi, zdziwaczali buchalterzy i tym podobna zbieranina. Niegdyś schodzili się tutaj w celu zawierania transakcji. A obecnie ciągnęło ich na ten słoneczny róg ulicy wieloletnie przyzwyczajenie i starcza gadatliwość. Dzień w dzień czytali od deski do deski moskiewską „Prawdę”, gdyż zupełnie nie uznawali prasy lokalnej, i we wszystkich wydarzeniach na szerokim świecie dopatrywali się zapowiedzi ogłoszenia Czernomorska wolnym iastem. Niegdyś, sto lat temu, Czemomorsk był istotnie wolnym miastem-, żyło się tu wówczas dostatnio i beztrasko, a legendy o ówczesnym „porto-franco” dotychczas ozłacały róg ulicy koło kawiarni „Floryda”.

- Czytaliście panowie o konferencji rozbrojeniowej? - zwracała się jedna pikowa kamizelka do drugiej pikowej kamizelki. - Przemówienie hrabiego Bernstorfa!

- Bernstorf to tęga głowa! - odpowiadała zapytana kamizelka takim tonem, jakby wiedziała o tym na podstawie długoletniej znajomości z rzeczonym hrabią. - A czytał pan, jakie przemówienie wygłosił

Snowden na zgromadzeniu wyborców w Birmingham, w tej twierdzy konserwatystów?

- Nie ma co gadać! Snowden to tęga głowa! Panie Waliadis - zwróciła się pierwsza kamizelka do staruszka w panamie - co pan powie o Snowdenie?

- Jeżeli chcecie wiedzieć - odpowiadała panama - to Snowden nie pozwoli sobie dmuchać w kaszę. Jabym mu w każdym razie w kaszę dmuchać nie próbował.

I nie biorąc zupełnie pod uwagę, że prawdopodobnie nigdy nie będzie miał okazji do dmuchania

Snowdenowi w kaszę, Waliadis ciągnął dalej:

- Mówcie sobie zresztą, co chcecie, ale możecie mi wierzyć, że Chamberlain to także tęga głowa.

Pikowe kamizelki wzruszyły ramionami. Bynajmniej nie kwestionowały, że Chamberlain to tęga głowa. Ale najbardziej podtrzymywał ich na duchu Briand.

- Briand! - mówili z zapalem. - To jest dopiero głowa! Briand i jego projekt stworzenia Paneuropy...

- Jeśli pan chce wiedzieć, panie Funt - szeptał Waliadis - to powiem otwarcie, że wszystko jest na jak najlepszej drodze. Benesz wyraził już zgodę na stworzenie Paneuropy. Ale czy wiecie, panowie, pod jakim warunkiem!

Pikowe kamizelki zbiły się w zwartą gromadkę i wyciągnęły kurze szyje.

- Pod warunkiem, że Czernomorsk będzie ogłoszony wolnym miastem. Benesz to głowa. Czesi muszą komuś sprzedawać swoje narzędzia rolnicze. Otóż my je będziemy kupowali.

Na te słowa wszystkim starszkom zaświeciły się oczy. Już od lat marzyli o tym, żeby coś kupować i coś sprzedawać.

- Briand to głowa! - powtarzali wzdychając. - Benesz to także głowa!

Kiedy Ostap ocknął się z zadumy, spostrzegł, że jakiś nieznajomy starszek w pogniecionym słomkowym kapeluszu z czarną przepoconą wstążką trzyma go mocno za kłapy marynarki. Krawat zjechał starszkowi na bok i mosiężna spinka spogląda Ostapowi prosto w oczy.

- A ja panu mówię - krzychał starszek do ucha wielkiemu kombinatorowi - że MacDonald nie da się złapać na tę przynętę! Nie da się złapać na tę przynętę! Słyszysz pan?

Ostap odsunął na bok zacietrzewionego starszka i wydostał się z tłumu.

- Hoover to jest głowa! - słyszał za sobą. - I Hindenburg to też głowa!

Ale Ostap zdążył już podjąć decyzję. Przebiegł myślą wszystkie czterysta uczciwych sposobów przywłaszczania cudzych pieniędzy i chociaż były wśród nich takie perły, jak założenie towarzystwa akcyjnego, celem wydobywania z dna morskiego okrętu z ładunkiem złota, który zatonął w czasie wojny krymskiej, albo wielka maskarada karnawałowa na rzecz ofiar kapitalizmu lub wreszcie koncesja na sunięcie szyldów sklepowych, doszedł do przekonania, że żaden z nich nie da się w obecnej sytuacji zastosować. Wobec tego wymyślił sposób czterysta pierwszy.

„Skoro nie udało się zdobyć twierdzy szturmem - rozmyślał - trzeba przystąpić do regularnego oblężenia. Najważniejsze dane zostały ustalone. Nasz pupil ma forszę. A wnosząc z tego, że bez zmrużenia oka zrezygnował z dziesięciu tysięcy, można mieć pewność, że jest to forsa ogromna.

Ponieważ strony nie zgodziły się na polubowne załatwienie sporu, sesja trwa!”

Ostap kupił teczkę z żółtej tektury wiązaną na tasiemki i wrócił do domu.

- No i co? - zapytali chórem zniecierpliwieni kumple, Bałaganów i Panikowski.

Ostap podszedł bez słowa do bambusowego stolika, położył przed sobą teczkę i dużymi literami wykalgigrafował na niej napis:

„Sprawa Aleksandra Iwanowicza Korejki. Podjęta dnia 25 czerwca 1930 roku. Zakończona 193... roku”

Młeczni bracia spoglądali przez ramię Bendera na teczkę.

- Co tam jest? - zapytał zaciekawiony Panikowski.

- O! - rzekł Ostap. - Tam jest Wszystko: palmy, dziewczynki, błękitne ekspresy, lazurowe morze, biały żaglowiec, mało używany smoking, lokaj-Japończyk, własny stół

bilardowy, platynowe zęby, całe skarpetki, obiady na świeżym śmietankowym maśle i, co najważniejsze, drodzy przyjaciele, sława i władza, którą dają pieniądze.

I otworzył przed osłupiałymi pasażerami „Antylopy”... pustą teczkę.

Rozdział XV Rogi i kopyta

Żył na świecie pewien skromny przedstawiciel prywatnej inicjatywy. Był to człowiek dosyć zamożny; posiadał sklep galanteryjny naprzeciwko kina „Kapitol”. Sprzedawał spokojnie bieliznę, koronki, krawaty, guziki i inne drobne acz dochodowe towary. Pewnego wieczora wrócił do domu z boleśnie wykrzywioną twarzą. Bez słowa sięgnął do kredensu, wyjął pieczoną kurę i przechadzając się po pokoju zjadł ją calutką. Następnie znów otworzył kredens, wyjął krążek krakowskiej kiełbasy, około pół kilograma wagi, usiadł na krześle i patrząc szklanym wzrokiem w jeden punkt, spałaszował całą tę kiełbasę. Kiedy następnie sięgnął po jajka na twardo, żona zapytała go z niepokojem:

- Co się stało, Boria?

- Niestety! - odpowiedział pakując do ust twarde, gumowe jajko. - Wrzepili mi straszne podatki.

- Ale dlaczego tak dużo jesz?

- Muszę się trochę oderwać - odpowiedział kupczyk. - Jestem kompletnie zdruzgotany.

Przez całą noc kupczyk spacerował po mieszkaniu, gdzie między innymi stało osiem bielizniarek, i jadł.

Zjadł wszystko, co było w domu do zjedzenia. Był kompletnie zdruzgotany.

Nazajutrz odnajął połowę swojego sklepu sprzedawcy materiałów piśmiennych. Od tego dnia w jednym oknie wystawowym rozmieszczone były krawaty i szelki, a w drugim wisił na dwóch sznurkach olbrzymi żółty ołówek.

Potem przyszły czasy jeszcze gorsze. W sklepie zjawił się trzeci współlokator. Był to zegarmistrz.

Odsunął na bok ołówek i zajął połową okna wystawowego, umieszczając w nim zegar z brązu, wprawdzie pozbawiony jednej wskazówki, ale za to ozdobiony postacią Psyche. Naprzeciwko biednego kupca galanteryjnego, który bez przerwy uśmiechał się ironicznie, siedział teraz, oprócz zniechęconego ołówkarza, zegarmistrz z czarną lupą w oku.

Ale z biegiem czasu spotkały kupca galanteryjnego dwa dalsze nieszczęścia. Do sklepu przybył jeszcze majster wodociągowo-kanalizacyjny, który natychmiast zapalił jakąś maszynkę do lutowania, oraz zupełnie już niepočitalny kupiec, który ubrdał sobie, że właśnie w 1930 roku po narodzeniu

Chrystusa ludność Czernomorska rzuci się na jego towar w postaci sztywnych męskich kołnierzyków.

Na miejscu dawnego, dostojnego i statecznego szyldu galanteryjnego wisiły obecnie następujące ohydne tabliczki:

Sprzedaż

Naprawa wyrobów galanteryjnych

zegarów i zegarków

B. KULTURTRIGER

GLAZIUS-SZENKER

Materiały piśmienne dla urzędników i art. malarzy

LEW SOKOŁOWSKI

Wyłączna sprzedaż leningradzkich sztywnych kołnierzyków

KARL PAWIAJNEN

Reperacja rur wodociągowych zlewów i muszli klozetowych

M. N. FANATIUK

Klienci ze strachem wchodzili teraz do schludnego niegdyś sklepu. Pod zegarami, wśród których był też jeden zegar wieżowy, siedział zegarmistrz Glazius-Szenker w otoczeniu kółeczek, binokli i sprężynek. Dość często w sklepie rozlegało się ostre dzwonięcie budzików. W głębi lokalu tłoczyli się uczniowie zasięgający informacji w sprawie deficytowych zeszytów. Karl Pawiajnen strzygł nożyczkami swoje kołnierzyki, zabijając w ten sposób czas oczekiwania na klientelę. Zanim uprzejmy

B. Kulturtriger zdążył zapytać klientkę: „Czym mogę służyć?”, wodociągowiec Fanatiuk uderzał młotkiem w zardzewiałą rurę, a sadze z lampy spawalniczej osiadały na delikatnych wyrobach galanteryjnych.

W końcu ten osobliwy kombinat przedstawicieli prywatnej inicjatywy rozleciał się. Karl Pawiajnen załadował na dorożkę swój niezgodny z duchem epoki towar i zniknął we mgle. Po nim rozplynęli się w niebycie przedstawiciele przemysłu galanteryjnego i papierniczego, ścigani przez konnych egzekutorów podatkowych. Fanatiuk zapił się. Glazius-Szenker przeniósł się do spółdzielni zegarmistrzowskiej „Nowe czasy”. Zasunęły się z brzękiem żelazne karbowane żaluzje. Zniknął nawet interesujący szyld.

Niebawem jednak żaluzje znowu się podniosły i nad dawną arką przedstawicieli prywatnej inicjatywy ukazała się niewielka, ale gustowna tabliczka:

Czernomorski Oddział

Arbatowskiej Centrali

ZAOPATRZENIA

W ROGI I KOPYTA

Gdyby jakiś mieszkaniec Czernomorska zajrzał do sklepu, stwierdziłby, że lada i półki zniknęły, że podłoga jest starannie wyszorowana, że w lokalu stoją żółte jak jajecznicza kancelaryjne biurka, a na ścianach wiszą typowe wywieszki, podające godziny urzędowania i ostrzegające przed niehigienicznym podawaniem rąk. Lokal przegrodzony był barierą zabezpieczającą przed naporem klientów, których ma razie jeszcze nie było. Przy małym stoliku, na którym żółty samowar buchał parą i żalił się cienkim głosem na swój samowarowy los, siedział woźny ze złotym zębem. Wycierając szklanki do herbaty, podśpiewywał z rozdrażnieniem:

Co za czasy, pani droga,

Co za czasy, pani droga,

Ludzie już nie wierzą w Boga,

Ludzie już nie wierzą w Boga.

Po drugiej stronie bariery spacerował rudy młodzian. Od czasu do czasu podchodził do maszyny do pisania, uderzał grubym, sztywnym palcem w któryś klawisz i wybuchał śmiechem. W głębi lokalu, pod tabliczką „kierownik oddziału” siedział wielki kombinator opromieniony blaskiem przenośnej lampy.

Hotel „Karlsbad” dawno przestał być kwaterą pasażerów „Antylopy”, Wszyscy, z wyjątkiem

Kozlewicza, zamieszkali we „Wronim gnieździe” ku wielkiemu oburzeniu Wasisualija Łochankina.

Łochankin próbował nawet protestować, powołując się na to, że wynajmował pokój nie trzem, lecz jednemu, samotnemu, kulturalnemu mężczyźnie. „Mon Dieu, Wasisualij Andrieicz - odpowiadał beztrząsco Ostap na te protesty - dajcie pokój. Przecież widzicie, że tylko ja jeden jestem tu kulturalny, więc warunkom ogłoszenia stało się zadość”. Na dalsze gorzkie żale gospodarza Bender mówił pouczająco: „Mein Gott, Wasisualij! A może w tym właśnie kryje się wielka siemieżna prawda?” I

Wasisualij od razu się uspokajał, zwłaszcza że udało mu się wybłagać od Ostapa dwadzieścia rubli.

Panikowski i Bałaganów znakomicie zadomowili się we „Wronim gnieździe”: głosy ich brzmiały śmiało i harmonijnie w ogólnym chórze lokatorów. Panikowski zdążył już nawet zasłużyć na posądzenie, że po nocach podkrada naftę z cudzych prymusów, a Mitricz, który nieomieszkał zrobić Ostapowi zjadliwej uwagi na ten temat, został skarcony kułakiem w pierś.

Biuro zaopatrzenia w rogi i kopyta zostało uruchomione z licznych względów.

- Sprawa Korejki - mówił Ostap - może nam zająć sporo czasu. Ile? Bóg jeden raczy wiedzieć. A ponieważ Boga nie ma, więc nikt tego nie wie. Sytuacja jest bardzo kłopotliwa. Może to trwać jeszcze rok, a może tylko miesiąc. W każdym razie musimy się jakoś zalegalizować. Musimy włączyć się w szerokie rzesze przykładnych ludzi pracy. Wszystko to zapewni nam biuro. Od dawna czują pociąg do działalności administracyjnej. Jestem z powołania biurokratą i skrobipiórkiem. Będziemy dostarczali coś zabawnego, na przykład łyżeczki do herbaty, numery dla psów, wyroby szmuklerskie.

Albo rogi i kopyta. Świetny pomysł! Rogi i kopyta do wyrobu grzebieni i cygarniczek. To piękna gałąź rzemiosła! Mam w dodatku w mojej walizeczce różne śliczne blankiety i okrągłą pieczętkę.

Pieniądze, których zrzekł się Korejko i które skrupulatny Ostap zapisał na przychód, zostały złożone w banku na bieżący rachunek nowego przedsiębiorstwa. Panikowski znowu zgłaszał sprzeciwy i domagał się podziału. Za karę otrzymał uwłaczającą jego godności i niskopłatną posadę woźnego.

Bałaganów dostał odpowiedzialne stanowisko pełnomocnika do spraw kopyt z uposażeniem w wysokości dziewięćdziesięciu dwóch rubli. Kupiono na targu starą maszynę do pisania marki

„Adler”, w której brakowało czcionki „e”; zamiast niej trzeba było pisać „ę”. Dlatego też pierwsze urzędowe pismo, skierowane przez Ostapę do składu materiałów piśmiennych, brzmiało, jak następuje:

„Proszę wydać okazicielowi niniejszego piśmka, woźnemu tow. Panikowskiemu, dla oddziału czernomorskiego naszej instytucji materiałów piśmiennych na kwotę 150 rubli (słownie sto pięćdziesiąt) bezgotówkowo na rachunek Centrall Arbatowskiej.

Załączniki: bęz załączników”

- Ale się doczekałem dobrego pełnomocnika do spraw kopyt! - narzekał Ostap. - Na nikim nie można polegać! Kupił maszyną do pisania, na której można gągać i ęsiać. Zrobił ze mnie kierownika przedsiębiorstwa. Niech pana gęś kopnie, Szura!

Ale nawet ta obdarzona nosową wymową maszyna niezdolna była zepsuć dobrego humoru wielkiemu kombinatorowi, któremu bardzo odpowiadało nowe pole działania. Co godzina przybiegał do biura z nowymi zakupami. Przynosił tak skomplikowane maszyny i przybory kancelaryjne, że woźny i pełnomocnik nie mogli wyjść z podziwu. Były wśród nich dziurkacze, kopiały, kręcony taboret i kosztowny kałamarz z brązu złożony z kilku chałupiek na postumencie, każda do innego koloru atramentu. Arcydzieło to nosiło nazwę „Frontem do wsi” i kosztowało sto pięćdziesiąt rubli. Ale szczytem wszystkiego były metalowe kolejowe obciążki do dziurkowania biletów, które Ostap zdobył na dworcu. W końcu Bender przyniósł do biura rozłożyste rogi jelenie. Panikowski, zrzedząc i utyskując na swoje niskie pobory, zawiesił owe rogi nad biurkiem kierownika. Wszystko szło dobrze, nawet znakomicie. Jedno tylko zakłócało spokój i harmonię: tajemnicze zniknięcie samochodu wraz z jego dzielnym kierowcą - Adamem Kozlewiczem.

W trzecim dniu funkcjonowania biura zjawił się pierwszy interesant. Ku powszechnemu zdumieniu był nim listonosz. Przyniósł osiem listów, pogawędził chwilę z woźnym Panikowskim i wyszedł. Wśród listów były trzy pisemka wzywające przedstawiciela biura na różne narady i posiedzenia, przy czym we wszystkich trzech pisemkach było zaznaczone, że przybycie jest obowiązkowe. Pozostałe pisemka zawierały żądania jakichś bliżej nie znanych, ale najwidoczniej bardzo pewnych siebie instytucji i urzędów, domagające się przeróżnych sprawozdań, kosztorysów i preliminarzy, oczywiście w niezliczonej ilości egzemplarzy, które winny być dostarczone obowiązkowo, terminowo i pilnie.

- Co to ma znaczyć? - krzyczał Ostap. - Jeszcze trzy dni temu byłem wolnym górskim orłem i mogłem bujać na skrzydłach, gdzie mi się podobało, a teraz - proszę - obecność obowiązkowa! Okazuje się, że w tym obcym mieście jest mnóstwo ludzi, którzy nie mogą po prostu żyć bez Ostapa Bendera. Kto będzie prowadził korespondencję z tymi wszystkimi nieznajomymi przyjaciółmi? Trzeba zwiększyć budżet i liczbę etatów - Musimy zaangażować wykwalifikowaną urzędniczkę. Ktoś musi się zająć aktami firmy.

W dwie godziny później zważyło się na firmę nowe zmartwienie. Przyszedł chłop z ciężkim workiem.

- Kto tu przyjmuje rogi? - zapytał rzucając worek na ziemię.

Wielki kombinator krzywym okiem zerknął na natręta i jego towar. Były to małe, koślawe, brudne rogi. Ostap przyglądał się im z obrzydzeniem.

- To ma być przyzwoity towar? - zapytał ostrożnie.

- Przyjrzyjcie się, co to za różki! - zawołał chłop, podtykając Ostapowi pod nos żółty róg. - Pierwszy gatunek. Przepisowe rogi.

Trzeba było zakupić ten przepisowy towar. Chłop jeszcze długo potem popijał herbatę z Panikowskim i opowiadał o życiu na wsi, wywołując w Ostapie zrozumiałe rozdrażnienie człowieka, który wyrzucił w błoto piętnaście rubli.

- Jeśli Panikowski wpuści tu jeszcze chociaż jednego rogacza - odezwał się Ostap po odejściu klienta -

Panikowski straci posadę. Wyleję bez odszkodowania. No, dosyć tej państwowo-twórczej roboty.

Czas zająć się interesami.

Kierownik oddziału wywiesił w oszklonych drzwiach tabliczkę z napisem: „Przerwa obiadowa”, wyjął z szafy teczkę, która rzekomo zawierała lazuruwe morze oraz biały żaglowiec, i uderzając w nią dłoń, powiedział:

- Oto jest materiał dla naszego biura. Na razie w tej „sprawie” nie ma ani jednego załącznika, ale znajdziemy je, choćby przyszło wydelegować Panikowskiego lub Bałaganowa na pustynię Kara-Kum albo do jakiegoś Kremieńczuga po akta śledcze.

W tym momencie ktoś szarpnął za klamkę przy drzwiach. Za szybą dreptał jakiś staruszek w panamie pocerowanej białą nitką i w obszernej chesuczonej marynarce, spod której wyglądała pikowa kamizelka. Staruszek wyciągał kurzą szyję i przykładął do szyby duże ucho.

- Zamknięte, zamknięte! - zawołał niecierpliwie Ostap. - Skup kopyt na razie nieaktualny.

Jednakże staruszek w dalszym ciągu dawał rękami jakieś znaki.

Gdyby Ostap nie wpuścił posiadacza białej kamizelki, nurt akcji naszej powieści potoczyłby się w zupełnie innym kierunku i nigdy nie doszłoby do tych zdumiewających wydarzeń, w które zaplątany został wielki kombinator, i jego drażliwy woźny, i niefrasobliwy pełnomocnik do spraw kopyt, i wielu innych ludzi, a wśród nich pewien wschodni mędrzec, wnuczka starego autora rebusów, znakomity przedstawiciel prywatnej inicjatywy, dyrektor „Herkulesa” oraz liczni radzieccy tudzież zagraniczni obywatele.

Ale Ostap otworzył drzwi. Staruszek uśmiechając się boleśnie wszedł za barierę i osunął się na krzesło. Zamknął oczy i siedział tak około pięciu minut. Słychać było tylko urywane świsty, które wydobywały się od czasu do czasu z jego pobladłego nosa. Kiedy personel biura bliski był przekonania, że klient już nigdy w życiu nie przemówi, i zaczęli naradzać się szeptem, w jaki sposób najdyskretniej wynieść zwłoki na ulicę, staruszek uniósł brązowe powieki i odezwał się niskim głosem:

- Nazywam się Funt. Funt!

- Czy pan uważa, że to jest wystarczający powód, żeby wdzierać się do zamkniętego lokalu podczas przerwy obiadowej? - zapytał wesoło Bender.

- Pan sobie żartuje - powiedział na to staruszek - a ja się nazywam Funt. Mam dziewięćdziesiąt lat.

- Czego pan sobie życzy? - zapytał Ostap, zaczynając tracić cierpliwość.

Ale obywatel Funt znowu umilkł i milczał dosyć długo. W końcu odezwał się:

- Macie tu, panowie, biuro.

- Tak jest, mamy - rzekł Ostap. - To cóż z tego? Ale staruszek pogładził się tylko ręką po kolanie.

- Widzicie te spodnie? - odezwał się po dłuższej pauzie. - To spodnie wielkanocne. Dawniej kładłem je tylko na święta wielkanocne, a teraz noszę je na codzień.

Mimo iż Panikowski wyrznął starca w plecy, żeby słowa nie zatrzymywały mu się w krtani, Funt znowu umilkł. Poszczególne słowa wymawiał zresztą bardzo płynnie, lecz między zdaniami robił pauzy, które ciągnęły się czasem po kilka minut. Dla ludzi, którzy

nie byli do tego przyzwyczajeni, rozmowa z nim była nie do zniesienia. Ostap zamierzał już wziąć Funta za sztywny kołnierzyk i kolaniem wskazać mu drogę, kiedy staruszek znowu otworzył usta. Jednakże dalszy ciąg rozmowy przybrał tak interesujący obrót, że Ostap zmuszony był pogodzić się z tą oryginalną manierą obywatela Funta.

- Czy nie potrzebujecie prezesa? - spytał Funt.

- Jakiego prezesa?! - zawołał Bender.

- Oficjalnego. Czyli szefa firmy.

- Ja sam jestem szefem.

- I zamierza pan osobiście odsiadywać wyroki? Trzeba było tak od razu gadać. Niepotrzebnie od dwóch godzin zawracam sobie głowę.

Staruszek w wielkanocnych spodniach wyraźnie się zirytował, co bynajmniej nie wpłynęło na skrócenie pauz między zdaniami.

- Nazywam się Funt - powtórzył z rozculeniem. - Mam dziewięćdziesiąt lat. Całe życie siedziałem za innych. Taki już mój zawód. Zawodowo cierpię za bliźnich.

- Aha! Więc pan jest firmantem cudzych grzeszków?

- Tak jest - rzekł staruszek, kiwając dostojnie głową. - Jestem prezesem od siedzenia. Ciągłe siedzę.

Siedziałem za czasów Aleksandra II „Oswobodziciela”, za Aleksandra III „Niosącego Pokój”, za

Mikołaja II „Krwawego”.

I staruszek powoli wyliczał carów na palcach.

- Za Kiereńskiego także siedziałem. Co prawda w okresie wojującego komunizmu nie siedziałem, ale bo też za czasów wojującego komunizmu nikt nie robił żadnych interesów i wszelkie transakcje wzięły w łeb. Był to dla mnie okres bezrobocia- Za to ile się wysiedziałem za czasów nepu! Aż miło wspomnieć. To był najpiękniejszy okres mego życia! W ciągu czterech lat spędziłem na wolności najwyżej trzy miesiące. Wydałem w tym czasie za żonę wnuczkę, Golkondę Jewsiejewną, i dałem jej w posagu fortepian koncertowy, srebrnego ptaszka i osiemdziesiąt rubli złotymi dziesięciurublowkami. A teraz chodzę i nie poznaję naszego Czernomorska. Co się z tym wszystkim stało? Gdzie są prywatne kapitały? Gdzie jest nasze pierwsze towarzystwo kredytowe? Gdzie jest, zapytuję, nasze drugie towarzystwo wzajemnego kredytu? Gdzie jest nasz urząd powierniczy? Gdzie są towarzystwa akcyjne z anonimowym kapitałem? Gdzie się to wszystko podziało? Okropność!

To krótkie przemówienie trwało stosunkowo niedługo - pół godziny. Panikowski wzruszył się słowami

Funta. Odprowadził na bok Bałaganowa i szepnął z przejęciem:

- Od razu widać, że to człowiek z dawnych dobrych czasów. Niewielu już takich zostało na świecie, a wkrótce nie będzie już ani jednego.

I uprzejmie podał staruszkowi szklanekę herbaty z cukrem.

Ostap posadził „prezesa od siedzenia” za swym dyrektorskim biurkiem, polecił zamknąć biuro i zaczął cierpliwie indagować wiecznego więźnia, który swoje życie złożył w ofierze bliźnim.

Staruszek opowiadał z wielkim zapałem. Gdyby nie robił tak długich pauz między zdaniami, można by powiedzieć, że gadał jak najęty.

- A czy nie zna pan niejakiego Aleksandra Iwanowicza Korejki? - zapytał Ostap, zaglądając do teczki związanej na tasemkę.

- Nie, nie znam - odpowiedział staruszek. - Nie słyszałem tego nazwiska.

- A nie miał pan jakichś spraw z „Herkulesem”?

Na dźwięk słowa „Herkules” staruszek delikatnie drgnął. Ostap nie zauważył nawet tego drgnięcia, ale gdyby na jego miejscu znajdowała się którakolwiek pikowa kamizelka z kawiarni „Floryda”, na przykład Waliadis znający Funta od dawna, pomyślałby sobie od razu: „Funt jest straszliwie zdenerwowany. Wyłazi po prostu ze skóry”.

Jakżeby Funt mógł nie mieć spraw z „Herkulesem”? Przecież właśnie ostatnie cztery razy siedział w związku z tą firmą. Kilka prywatnych spółek akcyjnych żyło ze współpracy z „Herkulesem”. Na przykład firma „Intensywnik”. Funt został zaproszony na stanowisko prezesa tej firmy. „Intensywnik” otrzymał od „Herkulesa” dużą zaliczkę na obróbkę i dostawę jakichś tam produktów leśnych - „prezes od siedzenia” nie miał obowiązku wnikać w szczegóły zamówień. „Intensywnik” natychmiast zbankrutował. Ktoś capnął grubszy grosz, a Funt poszedł na pół roku do ciupy. Po bankructwie

„Intensywnika” powstała spółka „Pracowity cedr”, oczywiście pod prezesurą reprezentacyjnego

Funta. Rozumie się samo przez się, że spółka ta wzięła zaraz w „Herkulesie” zaliczkę na dostawę cedrów. No i rozumie się samo przez się, że zaraz potem nastąpiła nieoczekiwana plajta, na której ktoś się wzbogacił, a Funt poszedł odsiadywać swoją prezesowską pensję. Potem - „Spółka tartakowa” - „Herkules” - zaliczka - krach - ktoś się obłowił - ciupa. I znowu: zaliczka - „Herkules” -

„Południowy drwał” - ktoś tam trafił fuksa - a Funt znowu do mamra.

- Ale kto za każdym razem trafiał tego fuksa? - dopytywał się Ostap, krążąc dokoła staruszka. - Kto kierował tym wszystkim?

Staruszek siorbał w milczeniu herbatę i z trudem unosił ciężkie powieki.

- Bo ja wiem? - odezwał się w końcu z goryczą. - Przed Funtem wszystko ukrywali. Ja musiałem tylko odsiadywać, bo taki był mój zawód. Siedziałem za Aleksandra II, za Aleksandra III, za Mikołaja

Aleksandrowicza Romanowa, za Aleksandra Fiodorowicza Kiereńskiego. Siedziałem za nepu, przed nepem, podczas nepu i po nepie. A teraz jestem bezrobotny i chodzę w wielkanocnych spodniach.

Ostap długo jeszcze wyciągał staruszka na słówka. Działał jak poszukiwacz złota, który cierpliwie przepłukuje całe tony błota i piasku, żeby znaleźć na dnie kilka złotych ziarenek. Trącał Funta ramieniem, budził go, a nawet łaskotał pod pachami. W wyniku wszystkich tych zabiegów udało mu się wydobyć z Funta, że w jego przeświadczeniu za wszystkimi tymi zbankrutowanymi spółkami stał jeden i ten sam tajemniczy osobnik. Co zaś do „Herkulesa”, to wydojono z niego setki tysięcy rubli.

- W każdym razie - dodał zgrzybiały prezes od siedzenia - w każdym razie ten nieznany osobnik to musi być tęga głowa. Zna pan Waliadisa? Waliadis nie odważyłby się nadmuchać temu osobnikowi w kaszę.

- A Briandowi? - zapytał z uśmiechem Ostap, przypominając sobie zgromadzenie pikowych kamizelek przed lokalem dawnej kawiarni „Floryda” - Czy Waliadis odważyłby się nadmuchać Briandowi w kaszę! Jak pan sądzi?

- Za żadne skarby - odpowiedział Funt. - Briand to głowa!

Przez trzy minuty poruszał bezdźwięcznie wargami, a potem dodał:

- Hoover to głowa. I Hindenburg - głowa. Hoover i Hindenburg to dwie głowy.

Ostapa ogarnęło przerażenie. Najstarsza z pikowych kamizelek pogrążała się w trzęsawisku światowej polityki. Lada chwila mogła zacząć mówić o Pakcie Kelloga lub o dyktatorze hiszpańskim Primo de

Rivera i wtedy już żadna siła nie zdołałaby oderwać jej od tych wzniosłych tematów. W oczach starca ukazał się już kretyński płomień fanatyzmu, a nad pożółkłym sztywnym kołnierzykiem poruszyła się grdyka, zapowiadając narodziny nowego zdania, kiedy Bender wykręcił z lampy żarówkę i rzucił ją na podłogę. Żarówka pękła z hukiem wystrzału karabinowego. Tylko to zdołało wyrwać prezesa z kręgu spraw międzynarodowych. Ostap momentalnie wykorzystał sytuację.

- A może widywał się pan z którymś z pracowników „Herkulesa”? - zapytał. - Na przykład w sprawie zaliczki?

- Stykałem się jedynie z buchalterem „Herkulesa”, Berlagą. Pracował u nich na pensji. Ale nic poza tym nie wiem. Ukrywali przede mną wszystko. Byłem im potrzebny tylko do siedzenia. Siedziałem za caratu, siedziałem za socjalizmu, siedziałem za rządów atamańskich i za czasów okupacji francuskiej.

Briand - to jest głowa!

Nic więcej nie udało się ze staruszka wyciągnąć. Ale i to, co powiedział, dawało materiał do podjęcia poszukiwań.

„Czuję w tym wszystkim rączkę Korejki!” - pomyślał Ostap.

Kierownik Czernomorskiego Oddziału Arbatowskiej Centrali Zaopatrzenia w Rogi i Kopyta usiadł przy biurku i przeniósł przemówienia „prezesa od siedzenia” Funta na papier. Rozważania na temat stosunków między Waliadisem a Briandem opuścił.

Pierwszy akt konspiracyjnego śledztwa w sprawach zakonspirowanego milionera został zanumerowany, przedziurkowany i włączony do sprawy.

- No więc jak? Angażujecie prezesa? - zapytał staruszek, kładąc na głowę pocerowaną panamę. -

Widzę, że w waszym biurze taki prezes bardzo się przyda. Biorę niedrogo: sto dwadzieścia rubli miesięcznie na wolności, a dwieście czterdzieści w kryminale. Sto procent dodatku za szkodliwe dla zdrowia warunki pracy.

- Owszem, zaangażujemy sobie prezesa - oświadczył Ostap. - Proszą złożyć podanie na ręce pełnomocnika od kopyt.

Rozdział XVI „Jahrbuch für Psychoanalitik”

Urzędowanie w wydziale rachuby „Herkulesa” zaczęło się jak zwykle punktualnie o dziewiątej.

Już Kukuszkind podniósł połę marynarki, żeby przetrzeć szkła swoich okularów i przy tej okazji oświadczyć kolegom, że praca w kantorze bankowym „Sykomorski i

Cesarewicz” była bez porównania spokojniejsza niż w herkulesowskiej Sodomie; już Tezoimienicki obrócił się na swoim kręconym taborecie do ściany i wyciągnął rękę, żeby zerwać kartkę z kalendarza; już Lapidus-junior otworzył usta, żeby włożyć do nich kawałek chleba posmarowany forszmakiem ze śledzia - kiedy otworzyły się drzwi i w progu stanął buchalter Berлага we własnej osobie.

To niespodziewane wejście wywołało w sali rachuby ogromne zamieszanie. Tezoimienicki obrócił się na swoim wirującym talerzyku i po raz pierwszy chyba od trzech lat kartka z kalendarza nie została zerwana. Lapidus-junior zapomniał ugryźć kanapkę i na próżno poruszał szczękami. Dreifus,

Czewarzewska i Sacharkow zdumieli się bezgranicznie. Korejko podniósł i spuścił głowę. A stary

Kukuszkind szybko włożył na nos okulary, zapominając je przetrzeć, co mu się jeszcze nigdy w ciągu trzydziestu lat życia urzędniczego nie zdarzyło. Berлага, jak gdyby nigdy nic, usiadł przy swoim biurku i nie reagując na subtelny uśmiech Lapidusa-juniora, otworzył księgi.

- Jak zdrowko? - zapytał mimo to Lapidus. - Jak się miewa nerw w pięcie?

- Wszystko w porządku - odpowiedział Berлага, nie podnosząc głowy. - Wątpię nawet, czy człowiek w ogóle posiada taki nerw.

Aż do przerwy obiadowej cała rachuba wierciła się na swoich taboretach i poduszczkach trawiona nieposkromioną ciekawością. A kiedy zadzwieczał alarmowy dzwonek, kwiat buchalterii otoczył

Berlagę. Ale zbieg nie chciał odpowiadać na pytania. W końcu wziął na bok czterech najbardziej godnych zaufania kolegów i po upewnieniu się, że nikt niepowołany nie podsłuchuje, opowiedział im o swoich niezwykłych przeżyciach w domu wariatów. Przysięgli buchalter okraszał swoją opowieść mnóstwem soczystych wyrażen i okrzyków, które dla większej wiarygodności zostały tu opuszczone.

Opowiadanie buchaltera Berlagi o tym, co go spotkało w domu obłąkanych, zwierzone w wielkiej tajemnicy Borysochlebskiemu, Dreifusowi, Sacharkowowi i Lapidusowi juniorowi.

Jak wiadomo, buchalter Berлага schronił się do domu obłąkanych w obawie przed czystką. Liczył na to, że uda mu się przesiedzieć w tym zakładzie niebezpieczny okres i wrócić do „Herkulesa”, kiedy już burza minie i kiedy ośmiu szarookich towarzyszy przeniesie się do następnej instytucji.

Inicjatorem całej tej imprezy był szwagier Berlagi, który sprokurował gdzieś książczynę o różnych przejawach chorób umysłowych. Po dłuższej dyskusji wybrano manię wielkości.

- Nic nie musisz robić - tłumaczył szwagier - tylko wszem wobec i każdemu z osobna dowodzić, że jesteś Napoleonem, Emilem Zolą albo Mahometem, jeśli wolisz.

- Ja bym wolał być wicekrólem Indii. Czy to możliwe? - zapytał ufnie Berлага.

- Możliwe, możliwe. Dla wariata wszystko jest możliwe. A więc będziesz wicekrólem Indii?

Szwagier przemawiał tak autorytatywnie, jakby co najmniej był wiceordynatorem szpitala obłąkanych. W rzeczywistości szwagier Berlagi był skromnym agentem handlowym i zajmował się kolportażem luksusowych subskrybowanych wydawnictw książkowych Państwowego Instytutu

Wydańniczego, a z całej jego świetnej przeszłości handlowej pozostał mu tylko wiedeński melonik na białej jedwabnej podszewce.

Szwagier pobiegł do telefonu, żeby wezwać karetkę pogotowia, a nowy wicekról Indii zdjął marynarkę, podarł na sobie madapolamową koszulę i na wszelki wypadek wylał sobie na głowę buteleczkę najlepszego anilinowego atramentu. Następnie rzucił się na podłogę, a kiedy przybyli sanitariusze, zaczął wieszczec:

- Jestem skromnym wicekrólem Indii. Gdzie są moi wierni sahibowie, maharadżowie, abrekowie, kunakowie i słonie?

Słyszac to bredzenie szaleńca, szwagier z powątpiewaniem kręcił głową. W jego przekonaniu abrek i kunak nie podlegały władzy wicekróla Indii. Ale sanitariusze obtarli tylko mokrą ścierką twarz buchaltera umazaną atramentem i wspólnymi siłami wsadzili go do karetki. Trzasnęły lakierowane drzwiczki, zawyła alarmowa syrena pogotowia i samochód ruszył, aby zawieźć wicekróla Berlagę do jego nowych włości.

W drodze chory zawzięcie gestykulował i plótł trzy po trzy, myśląc z przerażeniem o pierwszym spotkaniu z prawdziwymi wariatami. Bał się, że wariaci mogą go obić, a może nawet zamordować.

Okazało się, że szpital przedstawia się zupełnie inaczej, niż go sobie Berlaga wyobrażał. W długiej widnej sali siedzieli na kanapach, leżeli na łózkach lub przechadzali się mężczyźni w niebieskich szlafrokach. Buchalter zauważył, że obłąkani prawie z sobą nie rozmawiają. Nie mają czasu na rozmowy. Rozmyślają. Nieustannie rozmyślają. Mają mnóstwo tematów do rozmyślenia i koniecznie muszą sobie przypomnieć coś najważniejszego, od czego zależy ich przyszły los i szczęście. Ale myśli się płaczą i to najważniejsze znika, merdnąwszy przed nimi ogonkiem. Trzeba więc zacząć myśleć od początku, żeby zrozumieć w końcu, co się właściwie stało i dlaczego wszystko teraz jest złe, kiedy dawniej wszystko było dobre.

Obok Berlagi przeszedł już kilka razy potargany i zatroskany szaleniec. Trzymał się za brodę i spacerował po prostej linii od okna do drzwi, od drzwi do okna, znowu do drzwi, i znowu do okna. A tyle myśli tłukło się w jego biednej głowie, że drugą rękę przykładął do czoła i przyspieszał kroku.

- Jestem wicekrólem Indii! - zawołał Berlaga, oglądając się na sanitariusza.

Szaleniec nawet nie spojrział w stronę buchaltera. Krzywiąc się boleśnie zaczął zbierać myśli, które się rozpiechły na dźwięk dzikiego okrzyku Berlagi. Natomiast do wicekróla zbliżył się jakiś niski idiota, objął go ufnie w pól i wypowiedział kilka słów w języku ptasim.

- Co? - zapytał wystraszony Berlaga.

- Ene, due, rabę, entlik, pentlik, żabe - odpowiedział rzeczowo nowy znajomy.

Berlaga wydał okrzyk przerażenia i co rycielej odskoczył od idioty, zbliżając się tym samym do mężczyzny z cytrynową łysiną. Ten spojrział trwożnie na buchaltera i szybko odwrócił się do ściany.

- Gdzie są moi maharadżowie? - zapytał go Berlaga, uważając za konieczne podtrzymywać swoją reputację wariata.

Wtedy inny chory, siedzący na łóżku w głębi pokoju, zerwał się na wychudłe, żółte jak cerkiewne świece nogi i wrzasnął rozpaczliwie:

- Puście mnie na swobodę! Na swobodę! W pampasy!

Jak się buchalter później dowiedział, ów stęskniony za pampasami jegomość był to stary nauczyciel geografii, którego podręcznik zapoznał niegdyś młodego Berlagę z wulkanami, przylądkami i przesmykami. Geograf zwariował zupełnie niespodziewanie: pewnego razu spojrzął na mapę świata i nie znalazł na niej Cieśniny Beringa. Stary nauczyciel przez cały dzień ślęczał nad ową mapą.

Wszystko było na swoim miejscu: Nowa Fundlandia, Kanał Sueski, Madagaskar, i wyspy Sandwiche ze stolicą Honolulu, nawet wulkan Popocatepetl, ale Cieśniny Beringa nie było, nie było i kwita. I wtedy właśnie staruszek zwariował⁴¹. Był to zacny wariat, nie robił nikomu nic złego, ale Berlaga ogromnie się go przestraszył. Krzyk geografa ranił mu serce.

- Na swobodę! - krzyczał dalej geograf, - W pampasy!

Nikt na świecie nie wiedział lepiej od niego, co to jest swoboda. Był geografem i znał niezmierzone przestrzenie, których istnienia nie podejrzewali nawet pospolici, zapatrzeni w swoje przyziemne

Według uzyskanych przez autorów informacji, na mapie, która doprowadziła biednego geografa do obłądu istotnie Cieśniny Beringa nie było. Brak tej cieśniny okazał się wynikiem brakoróbstwa w wydawnictwie „Książka i Biegun”. Winowajcy zostali przykładnie ukarani. Prezesa wydawnictwa zdjęto ze stanowiska i zdegradowano; pozostali winowajcy otrzymali nagany z ostrzeżeniem. sprawy ludzie. Geograf pragnął wydostać się na swobodę, żeby galopować przez zarośla na grzbiecie spienionego mustanga.

Na salę weszła młoda lekarka o smętnych niebieskich oczach i skierowała się w stronę Berlagi.

- Jak się pan czuje, kochaneczku? - zapytała, dotykając ciepłą ręką puls Berlagi. - Już lepiej, prawda?

- Jestem wicekrólem Indii! - zaraportował rumieniąc się Berlaga. - Proszę mi oddać ukochanego słonia!

- To jest tylko urojenie - powiedziała łagodnie lekarka. - Jest pan w szpitalu. Wyleczymy pana z tego.

- O mój słoni! - zawołał wyzywająco Berlaga.

- Proszę się uspokoić - powiedziała jeszcze łagodniej lekarka. - Nie jest pan wicekrólem. To tylko urojenie. Rozumie pan? Urojenie.

- Nie, to nie jest żadne urojenie - odparł Berlaga, który wiedział, że najważniejsze jest upieranie się przy swoim.

- A właśnie że urojenie!

- A właśnie że nie urojenie!

- Urojenie!

- Nie urojenie!

Buchalter widząc, że żelazo jest gorące, zaczął je kuć. Pchnął pocziwą lekarką i wydał z siebie przeciągły skowyt, który wytrącił z równowagi wszystkich chorych, a w szczególności małego idiotę.

Idiota usiadł na podłodze i śliniąc się rzekł:

- Un, deux, trois, quatre, mademoiselle Jourauvatre.

I Berlaga z satysfakcją usłyszał za sobą głos lekarki, która mówiła do sanitariusza:

- Trzeba będzie przenieść go do tamtych trzech, bo nam roztrzęsie całą salę.

Dwóch cierpliwych sanitariuszy zaprowadziło kłótliwego wicekróla do niewielkiej sali przeznaczonej dla niespokojnych chorych, gdzie leżały spokojnie trzy osoby. Dopiero tutaj buchalter dowiedział się, co to są prawdziwi wariaci. Na widok wchodzących chorzy zaczęli przejawiać ożywioną aktywność.

Otyły mężczyzna stoczył się z łóżka na podłogę, szybko stanął na czworakach, zadął wysoko opięty jak mandolina tyłek i zaczął gwałtownie ujadać, rozgrzebując podłogę tylnymi łapami obutymi w szpitalne pantofle. Drugi owinął się kołdrą i zaczął wrzeszczeć: „I ty, Brutusie, zaprzedałeś się bolszewikom?!” Osobnik ten wyobrażał sobie zapewne, że jest Gajusem Juliusem Cezarem. Chociaż niekiedy w jego skołowanej głowinie przeskakiwała nagle jakaś klepka i wtedy krzyczał: „Ja, Henryk

Juliusz Cymerman!”

- Proszę wyjść! Jestem rozebrana! - zawołał trzeci. - Proszę na mnie nie patrzeć. Wstydzę się. Jestem goła.

Wrzeszczał tak, mimo iż był ubrany i wąsaty.

Sanitariusze wyszli. Wicekróla Indii ogarnęło takie przerażenie, że nawet mu przez głowę nie przeszło upominać się o ukochanego słonia, maharadzów, wiernych sahibów oraz wątpliwych abreków i kunaków.

„No - pomyślał drętwiejąc ze strachu - ci mnie załatwią na poczekaniu!”

I zaczął gorzko żałować, że narobił tyle awantur w sali dla spokojnych wariatów. Jak przyjemnie byłoby teraz siedzieć u stóp zacnego nauczyciela geografii i słuchać miłego szeptu małego idioty:

„Ene, due, rabe, entlik, pentlik, żabe”. Tymczasem nic strasznego nie zaszło. Człowiek-pies szczeknął jeszcze kilka razy, po czym warcząc wlaźł do łóżka. Gajus Julius zrzucił z siebie kołdrę, ziewnął od ucha do ucha i przeciągnął się leniwie. Kobieta-wąsał zapaliła fajkę; przyjemny zapach dobrego tytoniu ukoił strwożone serce Berlagi.

- Jestem wicekrólem Indii! - oświadczył nieco ośmielony Berlaga.

- Stul pysk, durniu! - odpowiedział na to leniwie Gajus Julius i z rzymską bezpośredniością dodał: -

Zamorduję, jak mi Bóg miły! Flaki wypruję!

Te słowa najwaleczniejszego z wojowników i imperatorów przywołały przysięgłego buchaltera do porządku. Ukrył się pod kołdrą i rozmyślając żałośnie o swoim pełnym trosk życiu, zdrzemnął się.

Rano usłyszał przez sen dziwne słowa:

- Wpakowali nam na łeb wariata. Tak nam tu było dobrze we trójkę, a teraz masz!... Baw się z nim w ciuciubabkę! W dodatku ten przeklęty wicekról gotów jeszcze wszystkich nas zdemaskować.

Berlaga na podstawie brzmienia głosu zorientował się, że słowa te wypowiedział Gajus Julius Cezar.

Po chwili otworzył oczy i stwierdził, że człowiek-pies wpatruje się w niego z niepokojącym zainteresowaniem.

„Teraz koniec - pomyślał wicekról - zaraz mnie ugryzie!”

Ale człowiek-pies niespodziewanie klasnął w dłonie i zapytał ludzkim głosem:

- Panie kochany, czy pan nie jest przypadkiem synem Fomy Berlagi?

- Tak jest - odpowiedział buchalter, ale od razu opamiętał się i zawył: - Oddajcie nieszczęśliwemu wicekrólowi wiernego słonia!

- Spójrz pan na mnie - zaproponował człowiek-brytan. - Nie poznaje mnie pan?

- Michał Aleksandrowicz! - zawołał buchalter. - Co za spotkanie!

I wicekról ucałował się serdecznie z człowiekiem-psem. Rozległ się stuk bilardowych kul, Michał

Aleksandrowicz miał łzy w oczach, ponieważ panowie z wielkiego rozmachu gwałtownie zderzyli się głowami.

- A więc nie jest pan obłąkany? - zapytał Berlaga. - A dlaczego struga pan z siebie wariata?

- A pan dlaczego struga wariata? Patrzcie go! Słonia mu się zachciało! Muszę panu przy okazji powiedzieć, drogi panie Berlaga, że ten pomysł z wicekrólem zupełnie się nie nadaje dla szanującego się wariata.

- Mój szwagier zapewnił mnie, że to będzie dobre - powiedział zmartwiony Berlaga.

- Niech pan spojrz na mnie - rzekł Michał Aleksandrowicz. - Prowadzę grę wysokiej klasy. Jestem człowiekiem-psem. Jest to urojenie schizofreniczne połączone z psychozą maniakalno-depresyjną oraz, niech pan zwróci łaskawie uwagę, z obojętnym stosunkiem do wszelkich zjawisk. Czy pan sądzi, że mi to łatwo przyszło? Musiałem studiować materiały źródłowe. Czytał pan dzieło profesora

Bleulera „Autystyczne myślenie?”

- N-nie - odpowiedział Berlaga głosem wicekróla, którego pozbawiono Orderu Podwiązki i zdegradowano do stopnia ordynansa.

- Panowie! - zawołał Michał Aleksandrowicz. - Ten człowiek nie czytał Bleulera! Nie bójcie się, chodźcie tu bliżej. On jest taki sam wicekról, jak ja - pies.

Dwaj pozostali lokatorzy izby dla niebezpiecznych szaleńców zbliżyli się.

- Nie czytał pan Bleulera? - zapytał zdumiony Gajus Julius. - Jakież więc dzieła służyły panu do studiówprzygotowawczych?

- Pewnie abonował niemieckie czasopismo „Jahrbuch für Psychoanalytik und Psychopatologik” - ysunął hipotezę dwupłciowy wąsal.

Berlaga stał jak pod pręgierzem. A znawcy sypali jak z rękawa naukowymi terminami z zakresu teorii i praktyki psychoanalizy. Wszyscy wyrażali zgodny pogląd, że sprawa Berlagi źle się skończy i że naczelnny lekarz, który miał lada dzień wrócić z podróży służbowej, w ciągu pięciu minut zorientuje się, że to symulacja. Nie wspomnieli jednak ani słowem o tym, że bliski powrót wyżej wzmiankowanego oktora Titanuszkina w nich także budzi poważny niepokój.

- A nie można zmienić manii? - dopytywał się lękliwie Berlaga. - Może przeistoczyć się w Emila Zolę lub Mahometa?

- Za późno - rzekł Gajus Julius. - Już w historii pańskiej choroby zostało zanotowane, że jest pan wicekrólem, a obłąkany nie może zmieniać swoich manii jak skarpetek. Teraz

już do końca życia będzie pan musiał dźwigać swoje idiotyczne królewskie brzemię. My siedzimy tu już cały tydzień wiemy, jakie tu panują porządki.

W ciągu godziny Berlaga został wtajemniczony w najdrobniejsze szczegóły procesów chorobowych woich towarzyszy niedoli.

Obecność Michała Aleksandrowicza w domu obłąkanych miała dosyć proste, praktyczne uzasadnienie. Michał Aleksandrowicz był zamożnym nepmanem, który przypadkowo nie dopłacił czterdziestu trzech tysięcy podatku dochodowego. Groziła mu przymusowa przejażdżka na północ, a interesy stanowczo wymagały obecności Michała Aleksandrowicza w Czernomorsku. Duwanow - tak się nazywał mężczyzna podający się za kobietę - był drobnym kanciarzem i nie bez podstaw obawiał się kryminału. Natomiast Gajus Julius Cezar, który, jak opiewał dowód osobisty, był eks- przysięgłym plenipotentem i nazywał się I. N. Starochamski, przebywał tu na zupełnie innych zasadach.

Gajus Julius Starochamski ulokował się w domu obłąkanych ze względów ideologicznych.

- W Związku Radzieckim - mówił, drapując się w kołdrę - dom wariatów jest jedynym miejscem, gdzie normalny człowiek może jeszcze wytrzymać. Reszta to jakiś superdom wariatów. Nie, nie mogę wytrzymać z bolszewikami. Wolę już siedzieć tutaj z normalnymi wariatami. Ci przynajmniej nie budują socjalizmu. Poza tym dają tutaj jeść. A tam, w tym ich domu wariatów, trzeba pracować. A ja na ten ich socjalizm pracować nie będę. Tu wreszcie mam absolutną wolność osobistą. Wolność sumienia. Wolność słowa...

I nagle, na widok przechodzącego sanitariusza, Gajus Julius Starochamski wrzasnął piskliwie:

- Niech żyje zgromadzenie konstytucyjne! Wszyscy na forum! I ty, Brutusie, zaprzedałeś się aktywistom? - po czym zwrócił się do Berlaga: - Widzi pan? Wreszcie, co mi się podoba. A niechby pan spróbował zrobić to samo na ulicy!

Przez cały dzień i znaczną część nocy czterech chorych różnęło ze zmiennym powodzeniem w

„sześćdziesiąt sześć” bez dwudziestu i czterdziestu, a więc w grę wyrafinowaną, wymagającą przytomności umysłu, sprytu, pogody ducha oraz inteligencji.

Rano wrócił z podróży służbowej profesor Titanuszkin. Zbadał szybko wszystkich czterech i polecił wyrzucić ich niezwłocznie ze szpitala. Nie pomogło dzieło Bleulera ani obojętność połączona z psychozą maniakalno-depresyjną, ani „Jahrbuch für Psychoanalytik und Psychopatologik”. Profesor

Titanuszkin nie uznawał symulantów.

Wybiegli więc na ulicę, roztrącając łokciami przechodniów. Na czele pędził Gajus Julius. Za nim podążała kobieta-mężczyzna i człowiek-pies. A na końcu wlokł się zdetronizowany wicekról, przeklinając szwagra i zastanawiając się z przerażeniem nad tym, co teraz będzie.

Po zakończeniu tej pouczającej opowieści buchalter Berlaga popatrzył smętnie najpierw na

Borysochlebskiego, potem na Dreifusa, potem na Sacharkowa i w końcu na Lapidusa-juniora, których głowy, jak mu się wydało, kiwają się współczująco w mroku korytarza.

- Widzicie, do czego doprowadziły wasze fantazje - odezwał się nieubłagany Lapidus-junior. -

Chcieliście wykręcić się od jednej czystki, a naraziliście się na drugą. Będziecie teraz mieli za swoje.

Skoro wyleli was z domu wariatów, to na pewno wyleją was także z „Herkulesa”

Borysochlebski, Dreifus i Sacharkow nie powiedzieli nic, tylko powoli rozplłynęli się w mroku.

- Przyjaciele! - jęknął buchalter - gdzie jesteście?

Ale przyjaciele wieli już na złamanie karku, a ich sieroce spodnie po raz ostatni mignęły na schodach i zniknęły z oczu.

- Niedobrze, Berlaga - powiedział oziębłe Lapidus - niepotrzebnie wplątuje mnie pan w swoje brudne antyradzieckie machinacje. Adieu!

I wicekról Indii został sam.

Coś ty narobił, buchalterze Berlago? Gdzie był twój zdrowy rozsądek? Co powiedziałby twój ojczulek

Foma, gdyby wiedział, że jego syn został na starość wicekrólem? Widzisz, nieszczęsny, do czego doprowadziły cię podejrzone konszachty z panem Funtem, prezesem licznych spółek akcyjnych z anonimowym, podejrzanym kapitałem! Strach pomyśleć, co powiedziałby stary Foma o sprawkach swego ukochanego synka. Ale Foma leży już od dawna na drugim chrześcijańskim cmentarzu pod kamiennym serafinem z obtłuczonym skrzydłem i tylko mali ulicznicy, którzy kradną bez na cmentarzu, rzucą niekiedy obojętne spojrzenie na grobowy napis: „W Bogu spój! Bóg ci da go, ukochany F. Berlago”. A zresztą może by stary nic nie powiedział? Na pewno nic by nie powiedział, bo sam też nieraz w życiu ocierał się o kryminał. Doradziłby tylko synowi, żeby na przyszłość postępował ostrożniej i w sprawach poważnych nie polegał na szwagrze. Ale swoją drogą coś ty sobie narobił, buchalterze Berlago?!

Te bolesne rozmyślania eks-namiestnika Jezego V w Indiach zostały przerwane nawoływaniem dobiegającym ze schodów:

- Berlaga! Gdzież on może być? Ktoś tu o niego pyta. O! Jest! Tam, tam, obywatelu!

W korytarzu ukazał się pełnomocnik od kopyt- Wymachując po gwardyjsku łapami, Bałaganów zbliżył się do Berlaga i wręczył mu wezwanie:

„Do towarzysza Berlaga. Natychmiast po otrzymaniu niniejszego piśmka proszę się stawić cęłem wyjaśnienia pewnych okoliczności”.

Pisemko było ozdobione pieczątką Czernomorskiego Oddziału Arbatowskiej Centrali Zaopatrzenia w

Rogi i Kopyta oraz okrągłą nieczytelną pieczęcią. Zresztą Berlaga nie próbował jej nawet odcyfrować.

Zgięty pod brzemieniem walących się na niego nieszczęść, zapytał tylko cichutko:

- A czy mógłbym przedtem zatelefonować do domu?

- O żadnym telefonowaniu nie ma mowy - odpowiedział posępnie zarządzający kopytami.

W dwie godziny później ludzie stojący pod kinem „Kapitol” w oczekiwaniu na pierwszy seans i z nudów gapiący się na wszystkie strony, widzieli, jak z drzwi biura

zaopatrzenia w rogi wyszedł jakiś mężczyzna, zatoczył się, złapał się za serce i powlókł się wolno przed siebie. Był to buchalter Berlaga.

Początkowo stapał noga za nogą, potem stopniowo zaczął przyśpieszać kroku; a kiedy skręcił za róg ulicy, przeżegnał się i zaczął pędzić na złamanie karku. Po chwili siedział już przy biurku w sali rachuby nieprzytomnie spoglądał na „księgę główną”. Cyfry skakały mu przed oczami i wywijają koziołki.

Wielki kombinator zamknął teczkę ze „sprawą Korejki”, popatrzył na Funta, który siedział pod nową abliczką z napisem: „prezes zarządu”, i rzekł:

- Kiedy byłem bardzo młody, bardzo biedny i utrzymywałem się z tego, że demonstrowałem na jarmarku w Chersoniu otyłego, piersiastego mnicha, podając go za kobietę z brodą, czyli niezbadany fenomen natury, nawet wtedy nie stoczyłem się moralnie tak nisko, jak ten nikczemny Berlag.

- Tak, to nędzna kreatura - przyznał Panikowski, roznosząc herbatę. Wielką satysfakcję sprawiała mu myśl, że istnieją na świecie ludzie jeszcze mniej warci od niego.

- Berlaga to nie jest głowa - oświadczył „prezes od siedzenia” z właściwą mu flegmą.

- Mac Donald to jest głowa. A jego pomysł sojuszu klasowego na odcinku przemysłowym...

- Dosyć, dosyć - rzekł Bender. - Wyznamy specjalne posiedzenie, poświęcone zreferowaniu pańskich opinii o Mac-Donaldzie tudzież innych politykach obozu burżuazji. Teraz nie mam na to czasu. Berlaga to rzeczywiście nie jest głowa, ale uzyskaliśmy od niego pewne informacje o życiu i działalności samorzutnie plajtujących spółek akcyjnych.

Wielki kombinator poczuł nagły przypływ dobrego humoru. Wszystko szło jak z płatka. Nikt nie dostarczał już śmierzących rogów. Można było uznać działalność i rozwój czernomorskiego oddziału za całkowicie zadowalający, aczkolwiek poczta dostarczyła znowu kupę nowych pisemek, okólników i wezwań, a Panikowski już dwa razy chodził do urzędu pośrednictwa pracy po maszynistkę.

- Ale, ale! - zawołał nagle Ostap. - A co się dzieje z Kozlewiczem? Gdzie się podziewa „Antylopa”? Cóż to za instytucja bez samochodu? Muszę przecież jechać na posiedzenie. Wszyscy mnie ciągle zapraszają. Nie mogą beze mnie żyć. Gdzie jest Kozlewicz?

Panikowski spuścił oczy i powiedział z westchnieniem:

- Z Kozlewiczem jest niedobrze.

- Co to znaczy? Urznął się, czy co?

- Gorzej - odpowiedział Panikowski. - Baliśmy się panu o tym powiedzieć. Kozlewicza usiłowali księża.

Przy tych słowach woźny spojrzął na pełnomocnika od kopyt i obaj smętnie pokiwali głowami.

Rozdział XVII Powrót syna marnotrawnego

Wielki kombinator nie lubił księży. Z taką samą zresztą niechęcią odnosił się do rabinów, dalajlamów, popów, muezinów, szamanów i tym podobnych duszpasterzy.

- Sam też uciekam się niekiedy do oszustwa i szantażu - mówił. - Teraz, na przykład, jestem w trakcie wyłudzenia grubszej sumy od pewnego nieustępliwego obywatela. Ale nie posługuję się przy tych podejrzanym manipulacjach śpiewaniem psalmów ani grą na

organach, ani głupimi zaklęciami w języku łacińskim czy cerkiewno-słowiańskim. Uważam też za wskazane obywać się bez kadzidła i dzwoneczków loretańskich.

W czasie kiedy Bałaganów i Panikowski opowiadali jeden przez drugiego o fatalnych powikłaniach w życiu kierowcy „Antylopy”, w mężnym sercu Ostapa wzbierał gniew i zgroza.

Księża złowili duszę Adama Kozlewicza w zajęzdie, gdzie na zagnojonym podwórku, między parokonnymi niemieckimi furgonami i mołdawskimi platformami do przewozu owoców, garażowała

„Antylopa”. Ksiądz Kuszakowski przychodził do zajazdu na pouczające pogawędki z kolonistami wyznania katolickiego. Ujrzawszy „Antylopę” duszpasterz obszedł ją dokoła i pomacał opony.

Następnie wdał się w rozmowę z Kozlewiczem i dowiedział się, że Adam Kozlewicz jest wyznania rzymsko-katolickiego, ale już dwanaście lat nie był u spowiedzi. Ksiądz Kuszakowski powiedział wtedy: „Niedobrze, niedobrze, panie Kozlewicz” i oddalił się, unosząc oburącz czarną sutannę i skacząc przez pieniste, piwne kałuże.

Nazajutrz, skoro świt, w porze, kiedy furmani zabierali na targ do miasteczka pod nazwą Koszary podnieconych drobnych spekulantów, pakując po piętnaście osób na jedną furę, ksiądz Kuszakowski zjawił się znowu. Tym razem w towarzystwie drugiego księdza - Alojzego Moroszka. Podczas gdy

Kuszakowski witał się z Adamem Kazimirowiczem, ksiądz Moroszek obejrzał uważnie samochód i nie tylko pomacał opony, ale nawet nacisnął gruszkę trąbki, która odegrała macizę. Potem księża porozumieli się wzrokiem, podeszli z dwóch stron do Kozlewicza i wzięli go w obroty. Obrabiali go przez cały dzień. Ledwo umilkł Kuszakowski, głos zabierał Moroszek. Zanim Moroszek przerwał, żeby otrzeć pot, brał Adama w obroty Kuszakowski. Od czasu do czasu Kuszakowski wznosił żółty wskazujący palec ku niebu, a Moroszek przesuwiał w tym czasie ziarenka różańca. Albo znów

Kuszakowski przesuwiał ziarenka różańca, a Moroszek wskazywał palcem na niebo. Kilkakrotnie księża zaczęli cicho śpiewać po łacinie i już pod wieczór pierwszego dnia Adam Kozlewicz zaczął im wtórować. Słyszając to obaj księża zerknęli praktycznie na samochód.

Niebawem Panikowski zwrócił uwagę na pewne zmiany w zachowaniu właściciela „Antylopy”. Adam

Kazimirowicz zaczął wygłaszać jakieś mętne zdania o królestwie niebieskim. Bałaganów również to zauważył. Potem Kozlewicz zawieruszał się na długie godziny, w końcu zniknął na dobre.

- Dlaczego nie zameldowaliście mi o tym? - zdenerwował się wielki kombinator.

Panikowski i Bałaganów chcieli o tym zameldować, lecz obawiali się gniewu komandora. Mieli nadzieję, że Kozlewicz opamięta się i wróci. Ale teraz stracili nadzieję. Księża usidłali go bez reszty.

Nie dalej jak wczoraj pełnomocnik od kopyt i woźny spotkali przypadkiem Kozlewicza. Cekał w samochodzie przed kościołem. Nie zdążyli do niego podejść, bo z kościoła wyszedł ksiądz Alojzy

Moroszek z chłopcem w koronkowej komży.

- Całe to towarzystwo - rzekł Szura - wsiadło do naszej „Antylopy”, biedaczysko Kozlewicz zdjął czapkę, chłopiec zadzwonił dzwoneczkiem i pojechali. Aż żal było patrzeć na naszego Adama. Nie zobaczymy już „Antylopy”.

Wielki kombinator bez słowa włożył na głowę swoją kapitańską czapkę z lakierowanym daszkiem i skierował się ku wyjściu.

- Panie Funt - powiedział - zostanie pan w biurze. Nie przyjmować pod żadnym pozorem rogów ani kopyt. Jeśli nadejdzie poczta, niech ją pan wrzuci do kosza. Biuralistka zajmie się nią potem.

Zrozumiano?

Zanim „prezes od siedzenia” zdążył otworzyć usta, aby odpowiedzieć (a nastąpiło to dokładnie po upływie pięciu minut), osieroceni pasażerowie „Antylopy” byli już daleko. Na czele pochodu krokiem wielkoluda maszerował komandor. Od czasu do czasu odwracał głowę i mrużał; „Nie upilnowali mi nieboraka Kozlewicza! Niedołęgi. Wszystkich was po kątach porozstawiam! Mam już wyżej uszu tego czarnego i białego duchowieństwa!” Mechanik pokładowy kroczył w milczeniu z taką miną, jakby wszystkie te zarzuty nie odnosiły się do niego. Panikowski skakał jak małpa, usiłując rozniecić w sobie płomień nienawiści do uwodzicieli Kozlewicza, aczkolwiek w sercu jego tkwiła wielka, zimna żaba.

Panikowski bał się czarnych księży i przypisywał im tajemniczą czarnoksiężską moc.

W takim oto szyku cały oddział zaopatrzenia w rogi i kopyta zbliżył się do kościoła. Przed żelazną kratą, splecioną ze spirali i krzyży, stała pusta „Antylopa”. Kościół był olbrzymi. Wrzynał się w niebo, ostry i kłujący jak ość. Dławił w gardle. Polerowane czerwone cegły, strome dachy kryte dachówką, blaszane chorągiewki, spadziste podmurowania i piękne kamienne posągi kryjące się w niszach przed deszczem, słowem cały ten wyprężony na baczność gotyk przygniótł pasażerów „Antylopy”. Poczuli się bardzo mali. Ostap wsiadł do samochodu, pociągnął nosem i odezwał się z obrzydzeniem:

- Tfu! Ohyda! Nasza „Antylopa” prześmierdła już świecami, puszkami na ofiary dla kościoła i księżymi bučkami. Bez wątplenia przyjemniej jeździć po kweście samochodem niż dorożką. W dodatku za darmo! Ale nic z tego, drodzy ojczulkowie, nasze potrzeby są ważniejsze i pilniejsze.

Z tymi słowami Bender wszedł na cmentarz kościelny, przeszedł między dziećmi grającymi w klasy na porysowanym kredą asfalcie i po granitowych bankowych schodach dotarł do wrót świątyni. Na maszynowych, obitych kutym żelazem drzwiach widniały w kwadratowych wgłębieniach płaskorzeźby wyobrażające świętych, którzy posyłali sobie z daleka pocałunki, wskazywali palcami w różnych kierunkach lub zabijali czas lekturą grubych ksiąg, na których sumienny rzeźbiarz umieścił nawet łacińskie napisy. Wielki kombinator szarpnął za klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Z głębi świątyni dobiegały rzewne dźwięki fisharmonii.

- Tumanią ludzi! - zawołał Ostap, schodząc po schodach. - Właśnie odbywa się wielka mistyfikacja!

Przy słodkich dźwiękach mandoliny.

- A może dać temu pokój? - odezwał się Panikowski, mnąc w rękach kapelusz. - Bądź co bądź jest to dom boży. Nie wypada.

Ale Ostap, nie zwracając na niego uwagi, podszedł do „Antylopy” i zaczął dawać niecierpliwe sygnały.

I tak długo grał maczicę, aż za kościelnymi drzwiami rozległ się brzęk kluczy. Załoga „Antylopy” zadarła głowy. Drzwi rozwarły się na dwie strony i weseli święci w swych dębowych kwadracikach odjechali powoli w głąb. Z mrocznego portalu wynurzył się i stanął u szczytu schodów Adam

Kazimirowicz. Był bladej. Jego oklapłe szoferskie wąsy zwisały płaczliwie ku dołowi. W rękach trzymał modlitewnik. Prowadzili go pod ręce dwaj księża. Z lewej strony ksiądz Kuszakowski, a z prawej ksiądz

Alojzy Moroszek. Oczy księży błyszczą jak namaszczone olejami.

- Halo, Kozlewicz! - zawołał z dołu Ostap. - Jeszcze się panu nie sprzykrzyło?

- Jak się masz, Adamie Kazimirowiczu - zawołał beczelnie Panikowski, chowając się na wszelki wypadek za plecami komandora.

Bałaganów powitalnym gestem podniósł rękę i wykrzywił gębę, co miało prawdopodobnie znaczyć:

„Adamie, daj pokój głupim żartom!”

Ciało kierowcy „Antylopy” podało się naprzód, ale jego dusza, przynaglana z obu stron przeszywającymi spojrzeniami Kusakowskiego i Morosza, szarpnęła się do tyłu. Kozlewicz popatrzył tęsknie na przyjaciół i spuścił oczy.

I zaczął się wielki bój o nieśmiertelną duszę szofera.

- Hej, wy tam, cherubiny i serafiny! - rzekł Ostap, wyzywając wrogów na dysputę. - Boga nie ma!

- Owszem, jest - odparł ksiądz Alojzy Moroszek, zasłaniając Kozlewicza własną pierś.

- Cóż to za chuligańskie wybryki? - mruknął ksiądz Kusakowski.

- Boga nie ma, nie ma - ciągnął dalej wielki kombinator - i nigdy nie było. Jest to fakt medycznie stwierdzony.

- Uważam, że ta rozmowa jest nie na miejscu - oświadczył gniewnie Kusakowski.

- A przywłaszczenie samochodu jest na miejscu? - zawołał niedyplomatycznie Bałaganów. - Adamie!

Oni panu chcą po prostu zabrać „Antylopę”

Na te słowa szofer podniósł głowę i pytająco spojrzął na księży. Księża poruszyli się gwałtownie i szeleszcząc jedwabnymi sutannami, próbowali wciągnąć Kozlewicza z powrotem do kościoła. Ale

Kozlewicz zaczął im stawiać opór.

- A jak tam z tym Bogiem? - nie dawał za wygraną wielki kombinator.

Księża musieli podjąć dyskusję. Dzieci przestały skakać na jednej nodze i podeszły bliżej.

- Jak pan może twierdzić, że nie ma Boga - zaczął podniosłym tonem Alojzy Moroszek - kiedy wszystko, co żyje na świecie, zostało stworzone przez Niego...

- Wiem, wiem - odparł Ostap - sam jestem starym katolikiem i łacinnikiem. Puer, socer, vesper, gener, liber, miser, asper, tener.

Te łacińskie wyjątki, wykute przez Ostapę w trzeciej klasie prywatnego gimnazjum Iliada i siłą bezwładu tkwiące dotychczas w jego mózgowicy, wywarły magnetyczny wpływ na Kozlewicza.

Dusza jego przyłączyła się do ciała i wskutek tego zjednoczenia szofer ruszył energicznie naprzód.

- Synu mój - rzekł Kuszakowski, patrząc z nienawiścią na Ostapę; - synu mój, jesteś w błędzie.

Dokonane przez Boga cuda świadczą najlepiej...

- Przestań się ciskać, ojczulku - przerwał mu szorstko wielki kombinator. - Ja też robiłem cuda. Nie dalej jak cztery lata temu musiałem w pewnym miasteczku występować przez kilka dni w charakterze

Jezusa Chrystusa. I wszystko szło jak z płatka. Nakarmiłem nawet pięcioma bochenkami chleba kilka tysięcy wiernych. Nakarmić, to ich nakarmiłem, ale jaki przy tym był magiel!

Dysputa ciągnęła się dalej w tym samym osobliwym stylu. Niezbyt przekonujące, ale zabawne argumenty Ostapę działały na Kozlewicza w sposób dziwnie pokrzepiający. Na jego policzkach zakwitły rumieńce, a wąsy zaczęły stopniowo podnosić się do góry.

- Śmiało, śmiało! - rozlegały się podjudzające okrzyki spoza spirali i krzyżyków kraty, za którą zebrała się już spora gromadka gapiów. - Powiedz mu parę słów o papieżu i o wyprawie krzyżowej.

Ostap wypowiedział się także o papieżu. Napiętnował Aleksandra Borgię za jego wybryki, wspominał ni w pięć, ni w dziewięć o Serafinie z Sarowa i bardzo ostro zaatakował inkwizycję za prześladowanie

Galileusza. I tak się zagalopował, że potraktował Kuszakowskiego i Moroszka jako bezpośrednich sprawców wszystkich cierpień wielkiego włoskiego uczonego. Była to ostatnia kropla przepełniająca czarę. Kiedy Adam Kozlewicz usłyszał o okrutnej niedoli Galileusza, położył szybko modlitewnik na schodach i padł w szerokie jak wrota ramiona Bałaganowa. Panikowski podskoczył i zaczął gładzić marnotrawnego syna po chropowatych policzkach. Rozległy się soczyste pocałunki.

- Panie Kozlewicz! - jęknęli księża po polsku. - Dokąd pan idzie? Opamiętaj się pan!

Ale bohaterowie wyścigu samochodowego sadowili się już w aucie.

- No widzicie?! - zawołał Ostap do zdruzgotanych księży, zajmując komandorskie miejsce przy kierowcy. - A nie mówiłem wam, że Boga nie ma?! Jest to fakt naukowo stwierdzony. Bądźcie zdrowi, ojculkowie! Żegnajcie!

Wśród przyjaznych okrzyków gawiedzi „Antylopa” ruszyła i po chwili pasażerowie jej stracili z oczu blaszane chorągiewki i stromy dach kościoła kryty dachówką. Z radości zatrzymali się przed najbliższą piwiarnią.

- Dzięki wam, przyjaciele - mówił Kozlewicz, trzymając w ręku ciężki kufel. - Myślałem, że już nie ma dla mnie ratunku. Księża chcieli mnie koniecznie przekabacić. Szczególnie ten Kuszakowski. Nie macie pojęcia, co to za chytra sztuka! Kazał mi pościć, trzymał mnie o chlebie i wodzie. Twierdził, że inaczej nie dostanę się do nieba.

- Niebo! - zawołał Ostap. - A cóż to za atrakcja w dzisiejszych czasach? Teraz nawet aniołowie marzą przeniesieniu się na ziemię. Na ziemi jest przecież lepiej niż w niebie. Na ziemi można korzystać ze świadczeń socjalnych i z planetarium, gdzie ogląda się gwiazdy przy akompaniamencie antyreligijnej pogadanki.

Po ósmej kolejce Kozlewicz zamówił dziewczątą, podniósł wysoko kufel, oblizał sumiaste sarmackie wąsy i zapytał uroczyście:

- Jest Bóg, czy nie ma Boga?
- Nie ma - odpowiedział Ostap.
- Nie ma? No, to na zdrowie!

Od tej chwili przed każdą z dalszych kolejek powtarzał:

- Jest Bóg? Nie ma? No, to na zdrowie!

Panikowski pił na równi z innymi, ale na temat istnienia Boga nie wypowiadał się. Wolał w tej spornej kwestii nie zajmować stanowiska.

Wraz z powrotem marnotrawnego syna i „Antylopy” czernomorski oddział arbatowskiej centrali zaopatrzenia w rogi i kopyta wydatnie zyskał na reprezentacyjności. Przed drzwiami byłego kombinatu pięciu przedstawicieli prywatnej inicjatywy dyżurował teraz stale samochód. Daleko mu było co prawda do błękitnego Buicka lub wydłużonego Lincolna, daleko mu było nawet do krytego

Forda, ale bądź co bądź był to samochód, auto, ekwipaż, który, jak mawiał Ostap, przy wszystkich swoich słabych stronach potrafił jednak czasami posuwać się naprzód bez pomocy koni.

Ostap pracował z zapałem. Gdyby zapał ten skierowany był na skup rogów lub kopyt, wytwórnice cygarniczek i grzebieni zostałyby zaopatrzone w surowiec co najmniej do końca bieżącego stulecia budżetowego. Ale szef firmy zużywał energię na coś zupełnie innego.

Rezygnując z usług Funta i Berlagi, których informacje były bardzo interesujące, ale nie posuwały naprzód sprawę Korejki, Ostap postanowił, dla dobra przedsięwzięcia, zaprzyjaźnić się z Zosią Sinicką i między dwoma zdawkowymi pocałunkami, nocą, pod akacją przewentylować kwestię Aleksandra

Iwanowicza, a raczej kwestię jego finansów. Ale przeprowadzona przez pełnomocnika od kopyt długotrwała inwigilacja wykazała, że Zosia nie kocha Korejki, który, zdaniem Szury, na próżno smali do niej cholewki.

- Tam, gdzie nie ma miłości - mówił wzdychając Ostap - nie ma też zwierzeń natury finansowej.

Odłóżmy dziewczynę ad acta.

Podczas gdy Korejko z uśmiechem wspominał hultaja w milicyjnej czapce, który usiłował bezskutecznie dopuścić się na nim trzeciorzędnego szantażu, kierownik oddziału rozbijał się żółtym samochodem po mieście w poszukiwaniu ludzi, o których milioner-gryzpiórek dawno zapomniał, ale którzy o nim nie zapomnieli. Kilka razy Ostap telefonował do Moskwy i prowadził rozmowy z pewnym znajomym przedstawicielem prywatnej inicjatywy, który był kopalnią różnorodnych tajemnic handlowych. Przychodziły teraz do biura listy i depesze, które Ostap skwapliwie wyławiał z obfitej poczty, składającej się jak zwykle z zaproszeń i wezwań, z zapotrzebowań na rogi i z

wymówek z powodu nie dość energicznego skupu surowca. Niektóre z tych listów i depesz trafiały do teczek zawiązywanej na tasemki.

Pod koniec lipca Ostap wyruszył w podróż służbową na Kaukaz. Interesy wymagały obecności wielkiego kombinatora w pewnej niewielkiej, słynnej z winnic republice.

W dniu wyjazdu szefa zdarzył się w biurze niesłychany skandal. Panikowski, wysłany z trzydziestoma rublami na przystań po bilet, wrócił po upływie pół godziny pijany, bez biletu i bez pieniędzy. Nie umiał wykrztusić nic na swoje usprawiedliwienie, wywraçał tylko na zewnątrz puste kieszenie, które wisiały jak bilardowe łuz, i pękał ze śmiechu. Wszystko bawiło go do łez: gniew komandora i pełne wyrzutu spojrzenie Bałaganowa, i powierzony jego opiece samowar, i drzemający przy swoim biurku

Funt z nasuniętą na nos panamą. A kiedy Panikowski rzucił okiem na rogi jelenie, stanowiące chlubę i ozdobę lokalu, wstrząsnął nim taki atak śmiechu, że zwałił się na podłogę i zasnął z radosnym uśmiechem na fioletowych wargach.

- No, nareszcie jesteście typowym, klasycznym urzędem - rzekł Ostap. - Mamy już rodzimego defraudanta i zapijaczzonego woźnego, a te dwie charakterystyczne postaci przydają realności wszystkim naszym poczynaniom.

W czasie podróży Ostapa pod oknami biura zjawiał się kilkakrotnie Alojzy Moroszek i Kuszakowski. Na idok księży Kozlewicz chował się w najciemniejszy kąt lokalu. Księża uchylali drzwi, zaglądali do środka i wołali półgłosem:

- Panie Kozlewicz! Panie Kozlewicz! Czy słyszy pan głos Ojca Niebieskiego? Opamiętaj się pan!

Ksiądz Kuszakowski wskazywał przy tych słowach palcem na niebo, a ksiądz Moroszek przebierał paciorki różańca. Wtedy podchodził do nich Bałaganów i pokazywał im ognistą pięść. I księża oddalali się, żałośnie zerkając na „Antylope”.

Ostap wrócił po upływie dwóch tygodni. Na przystani witał go cały personel biura. Wielki kombinator rzyżownie i łaskawie spoglądał na swych podwładnych z wyżyn pokładu. Pachniał młodą baraninką oraz imeretyńskim winem.

W czemomorskim oddziale, oprócz biuralistki zaangażowanej jeszcze przed wyjazdem Ostapa, siedzieli dwaj młodzi ludzie w długich butach. Byli to studenci technikum hodowlanego przysłani tu na praktykę.

- Doskonale! - powiedział cierpko Ostap. - Kształcimy młode pokolenie. Tylko pamiętajcie, drodzy towarzysze, że u mnie trzeba pracować. Wiadomo wam, niewątpliwie, że rogi są to narośle pokryte sierścią lub zrogowaciałą skorupą, stanowiące uzupełnienie czerepu i spotykane najczęściej u ssaków.

- Teorię znamy - odpowiedzieli buńczucznie studenci - ale potrzebna nam jest praktyka.

Trzeba było pozbyć się studentów w sposób dość przebiegły i kosztowny. Wielki kombinator wysłał ich służbowo w stepy kałmuckie celem zorganizowania punktów skupu. Kosztowało to sześćset rubli, ale nie było innego wyjścia, gdyż studenci przeszkadzaliby w doprowadzeniu do końca tak pomyślnie rozwijającego się interesu.

Kiedy Panikowski dowiedział się, ile kosztowało wysłanie studentów, wziął na bok Bałaganowa i nerwowo zaczął mu szeptać do ucha:

- Mnie to się nie wysyła w podróż służbową. Ani nie daje mi się urlopu. Powinienem jechać do

Essentuki na kurację. Nie korzystam z wolnych dni, nie dostaję roboczego ubrania. Nie, Szura, tutejsze warunki zupełnie mi nie odpowiadają. Dowiedziałem się, że w „Herkulesie” płace są znacznie wyższe. Pójdę tam na woźnego. Daję uczciwe słowo honoru, że pójdę!

Wieczorem Ostap znowu wezwał do siebie Berlage.

- Na kolana! - zawołał głosem Mikołaja I na widok wchodzącego buchaltera.

Mimo to jednak rozmowa miała charakter przyjacielski i trwała dwie godziny. Po jej zakończeniu

Ostap zarządził, żeby „Antylopa” zajęła nazajutrz rano przed gmach „Herkulesa”.

Rozdział XVIII Na lądzie i na morzu

Towarzysz Skumbriewicz zjawił się na plaży z teczką w ręku.

Do teczki przymocowany był srebrny bilet wizytowy z zagiętym rogiem i z napisem, który opiewał, że

Jegor Skumbriewicz święcił już pięciolecie pracy w „Herkulesie”.

Skumbriewicz miał gładką, szlachetną i męską twarz Anglika z plakatu reklamującego mydło do golenia. Zatrzymał się na chwilę przy tablicy, gdzie była wypisywana kredą temperatura wody, a następnie, z trudem wyciągając nogi z gorącego piasku, zaczął szukać odpowiedniego legowiska.

Obóz amatorów morskiej kąpeli był gęsto zaludniony. Jego nietrwałe fortyfikacje wyrastały co rano i znikwały co wieczór, zostawiając na piasku miejskie odpadki w postaci zwiędłych skórek dyni, skorupki od jajek i strzępów gazet, które potem przez całą noc wiodą na opustoszałym wybrzeżu tajemnicze konszachty, porozumiewają się tajemniczym szelestem i fruwią u podnóża skał.

Skumbriewicz przeszedł między namiotami z ręczników kąpielowych, między parasolkami i parawanami z prześcieradeł rozpiętych na patykach, za którymi ukrywały się dziewczęta w strojach kąpielowych. Mężczyźni także byli w kostiumach kąpielowych. Ale nie wszyscy. Strój niektórych ograniczał się do figowych listków, które nota bene nie służyły bynajmniej do zasłaniania biblijnych części ciała, tylko zabezpieczały nosy czernomorskich dżentelmenów przed obłożeniem ze skóry.

Przystrojeni w ten sposób, mężczyźni z całą swobodą wylegiwali się na piasku. Od czasu do czasu któryś z nich włożył do wody zasłaniając ręką biblijne okolice, zanurzał się i szybko wracał do swojego dołka w piasku, żeby nie stracić ani jednego centymetra sześciennego słonecznej kąpeli zdrowotnej.

Braki w stroju tych dżentelmenów wynagradzał z nawiązką dżentelmen całkowicie odmiennej aparycji. Dżentelmen ten miał na sobie chromowe kamasze zapinane na guziki, wizytowe spodnie, szczerze zapiętą marynarkę, kołnierzyk, krawat, łańcuszek od zegarka i filcowy kapelusz. Sute wąsy i okienna wata w uszach uzupełniały wizerunek tej postaci. Obok niego sterczała wetknięta pionowo w piasek laska ze szklaną gałką.

Upał dawał mu się porządnie we znaki. Kołnierzyk napęczał od potu. Pod pachami dżentelmena było gorąco jak w piecu hutniczym; można by tam z powodzeniem wytapiać rudę. Mimo to dżentelmen leżał bez ruchu na plaży.

Na każdej plaży świata można spotkać przynajmniej jednego takiego jegomościa. Nikt nie wie, co to za jeden, po co tu przyszedł i dlaczego leży na piasku w pełnym

rynsztunku. Ale jest rzeczą powszechnie wiadomą, że każda plaża musi mieć jednego takiego osobnika. Może są to członkowie jakiegoś tajnego zrzeszenia durniów albo niedobitki potężnej niegdyś sekty Różokrzyżowców, albo zdziwaczali starzy kawalerowie, diabli ich wiedzą...

Jegor Skumbriewicz ulokował się w pobliżu członka zrzeszenia durniów i szybko się rozebrał. Nagi

Skumbriewicz był zupełnie niepodobny do Skumbriewicza ubranego. Rasowa głowa Anglika osadzona była na białym kobiecym tułowi o spadzistych ramionach i rozłożystej miednicy. Jegor podszedł do brzegu, zanurzył stopę w wodzie i pisnął. Potem zanurzył drugą stopę i znowu pisnął. Następnie wszedł głębiej do wody, zatkał wielkimi palcami uszy, wskazującymi przycisnął powieki, a średnimi nozdrza, wydał rozdzierający okrzyk i cztery razy pod rząd dał nurka. Dopiero po tych wstępnych zabiegach popłynął przed siebie, wyrzucając ręce nad wodę i przy każdym wyrzucie skręcając głowę na bok. Fale morskie poniosły na swych grzbietach Jegora Skumbriewicza, wzorowego pracownika

„Herkulesa” i zasłużonego działacza społecznego. Po upływie pięciu minut, kiedy zmęczony społecznik przewrócił się na wznak i kiedy na powierzchnię morza wynurzył się jego kulisty jak globus brzusek, na skalistym brzegu nad plażą rozległa się macziza „Antylopy”.

Z samochodu wysiadł Ostap Bender, Bałaganów i buchalter Berlaga, którego twarz wyrażała całkowite pogodzenie się z losem. Wszyscy trzej zeszli na plażę i zaczęli kogoś szukać, bezceremonialnie zaglądając w twarze plażujących.

- To jego spodnie - odezwał się w końcu Berlaga, zatrzymując się przy garderobie beztrósko pływającego Skumbriewicza. - Pewnie wypłynął w morze.

- Trudno! - zawołał wielki kombinator. - Nie myślę tracić czasu na czekanie. Widać sądzone nam działać nie tylko na lądzie, ale i na morzu.

Ostap zdjął ubranie i koszulę. Okazało się, że miał już na sobie kąpielowe spodniki. Wymachując rękami ruszył w stronę morza. Na piersi jego widniał niebieski tatuaż przedstawiający Napoleona w trójgraniastym kapeluszu na głowie, z kuflem piwa w przykrótkiej ręce.

- Bałaganów! - krzyknął Ostap już z wody. - Rozbierz i trzymaj w pogotowiu Berlagę. Może mi być potrzebny.

I wielki kombinator zaczął płynąć na boku, roztrzaskując miedzianym ramieniem fale i biorąc kurs na północo-północny wschód, gdzie wyłaniał się z fal brzusek Jegora Skumbriewicza barwy perłowej macicy.

Zanim Ostap zanurzył się w morskich odmętach, zmuszony był odwalić kawał roboty na kontynencie.

Główna nić śledztwa wiodła go pod złocony szyld „Herkulesa”, gdzie spędzał większą część czasu. W końcu przestały już na nim robić wrażenie pokoje biurowe z alkowami i umywalkami, posagii szwajcar w czapce ze złotym zygzakiem, który pasjonował się kwestią krematorium.

Z chaotycznych zeznań przerażonego Berlagi na pierwszy plan wysunęła się interesująca postać owarzysza Skumbriewicza. Urzędował on w dużym, dwuokiennym pokoju, gdzie niegdyś zatrzymywali się kapitanowie cudzoziemskich statków, pogromcy lwów lub bogaci studenci z Kijowa.

W pokoju tym często i uparcie dzwoniły telefony, czasami kolejno, a czasami obydwu na raz. Ale nikt nie podnosił słuchawki. Jeszcze częściej otwierały się drzwi do pokoju, wsuwała się krótko ostrzyżona, urzędowa głowa, wodziła roztargnionymi oczami po wszystkich kątach i znikwała, aby ustąpić miejsca jakiejś innej głowie, tym razem nie ostrzyżonej, lecz porośniętej ostrą szczeciną lub po prostu łysej i sinawej jak cebula. Ale i ta cebulasta głowa nie tkwiła długo w uchylonych drzwiach. Pokój był pusty.

Pewnego dnia drzwi otworzyły się chyba już po raz pięćdziesiąty i do pokoju zajrzał Bender. Podobnie jak wszyscy poprzednicy zwrócił głowę najpierw w lewo, następnie w prawo i podobnie jak inni przekonał się, że towarzysza Skumbriewicza nie ma w pokoju. Dając dobitny wyraz swemu niezadowoleniu, wielki kombinator zaczął chodzić po wszystkich wydziałach, sekcjach, sektorach i gabinetach, dopytując się o towarzysza Skumbriewicza. Wszędzie otrzymywał tę samą odpowiedź:

„Skumbriewicz był tu przed chwilą” lub „Skumbriewicz przed chwilą stąd wyszedł”.

Półodpowiedzialny pracownik Jegor Skumbriewicz należał do tego nader rozpowszechnionego typu urzędników, którzy „dopiero co tu byli” lub „właśnie przed chwilą wyszli”. Niejeden z takich urzędników w ciągu całego dnia urzędowania nie dociera ani na chwilę do swego gabinetu. Urzędnik taki punktualnie o dziesiątej wkracza do przedsionka swego urzędu i ożywiony najlepszymi chęciami stawia nogę na pierwszym stopniu schodów. Czekają go ważne i pilne sprawy. Wyznaczył w swoim gabinecie osiem brzemiennych audiencji, dwie konferencje w szerokim i jedną w ścisłym gronie współpracowników. Na jego biurku spoczywa stos korespondencji, wymagającej natychmiastowej odpowiedzi. W ogóle tyle jest do roboty, że nie starczyłoby doby. Wobec tego odpowiedzialny czy też półodpowiedzialny pracownik stawia śmiało nogą na pierwszym stopniu schodów. Ale postawić drugą nogą na drugim stopniu nie jest już tak łatwo. „Chwileczką, towarzyszu Parusinow - rozlega się gruchający głos - muszę przewentylować z wami pewien mały problemik.” Parusinow zostaje łagodnie ujęty pod rękę i odciągnięty w kąt przedsionka. Od tej chwili odpowiedzialny lub półodpowiedzialny funkcjonariusz jest stracony dla świata oraz ojczyzny i zaczyna przechodzić z rąk do rąk. Ledwo przewentyluje problemik i „wdrapie się” na trzeci stopień schodów, znów go ktoś przyłapie, zaciągnie pod okno, do mrocznego korytarza lub w inny ciemny kąt - gdzie flejtuch- kierownik gospodarczy ulokował jakieś puste skrzynki - i zacznie go o czymś przekonywać, czegoś od niego żądać, przy czymś się upierać lub błagać go o sprawdzenie czegoś w najbliższej wolnej chwili.

Mimo to koło godziny trzeciej po południu udaje mu się dobrnąć na półpiętro. A koło piątej dotarł już na drugie piętro. Ponieważ jednak gabinet jego mieści się na trzecim piętrze, a godziny urzędowania już się skończyły, zbiega śpiesznie na dół i opuszcza miejsce pracy, aby zdążyć na ważną konferencję na mieście. A tymczasem w gabinecie urywają się telefony, nawalają terminy audiencji i narad, korespondencja leży nie załatwiona, a uczestnicy dwóch „szerokich” i jednej „ścisłej” konferencji melancholijnie popijają herbatę i utyskują na tłok w tramwajach.

W wypadku Jegora Skumbriewicza cały ten typowy biurokratyczny bałagan był uwielokrotniony dzięki jego licznym obowiązkom społecznym, którym oddawał się z nadmierną gorliwością, umiejętnie wykorzystując powszechne załganie i „lipę”, jaka rozrosła się bujnie w „Herkulesie” pod nazwą obowiązków społecznych.

Pracownicy „Herkulesa” wysiadali po trzy godziny na przeróżnych zebraniach i wysłuchiwali zawstydzających bredni, wygłaszanych przez Skumbriewicza.

Każdy z nich miał ochotę złapać Jegora za pulchne łydki i wyrzucić go przez okno. Niektórzy chwilami podejrzewali, że wszelka działalność społeczna jest fikcją, nie istnieje i

nigdy nie istniała, chociaż z drugiej strony wiedzieli, że poza „Herkulesem” rozwija się jakieś realne i celowe życie społeczne. „A to bydlę! - myśleli, obracając w palcach ołówki i łyżeczki do herbaty - przekłety symulant!” Ale zdemaskowanie Skumbriewicza przerastało ich siły i możliwości. Jegor wygłaszał wzorowe przemówienia na temat społeczeństwa radzieckiego, organizacji społecznych, na temat pracy kulturalno-oświatowej, kursów dokształcających i kółek artystycznych. Niestety, wszystkie jego patetyczne słowa były bez pokrycia. Piętnaście zespołów politycznych i muzyczno-teatralnych już od dwóch lat opracowywało perspektywiczne plany swojej działalności; a spontaniczne organizacje i kółka, mające na celu przyczynianie się do rozwoju awiacji, nauk chemicznych, automobilizmu, konnej jazdy i turystyki oraz do zwalczania wielkomocarstwowego szowinizmu, istniały tylko w bujnej wyobraźni członków komitetu miejscowego. A kursy dokształcające, których stworzenie

Skumbriewicz poczytywał sobie za szczególną zasługę, nieustannie się reorganizowały, co jak wiadomo oznacza całkowitą bezczynność. Gdyby Skumbriewicz był człowiekiem uczciwym, przyznałby niewątpliwie, że cała ta działalność to czysta fantazja. Ale w komitecie miejscowym ubierano tę fantazję w szatę sprawozdań i w wyższych instancjach związkowych istnienie kółek szkolenia ideologicznego oraz zespołów artystycznych nie budziło najmniejszej wątpliwości. Kursy dokształcające wyobrażano tam sobie w postaci okazałego gmachu pełnego pulpitów, gdzie dziarski wykładowca wykreśla kredą na tablicy krzywą wzrostu bezrobocia w Stanach Zjednoczonych, a uświadamienie polityczne wasatych uczniów rośnie niemal w oczach. Z całego wulkanicznego pierścienia działalności społecznej, którym Skumbriewicz opasał „Herkulesa”, czynne były tylko dwa wietlane punkty: gazetka ścienna „Głos przewodniczącego”, ukazująca się raz na miesiąc i opracowywana wspólnymi siłami w godzinach urzędowych przez Skumbriewicza i Bomzego, oraz dyktowa tablica z napisem: „Lista tych, którzy przestali pić i wzywają innych do naśladownictwa”; pod napisem tym nie figurowało jednak ani jedno nazwisko.

Pościg za Skumbriewiczem po wszystkich piętrach „Herkulesa” doprowadzał Bendera do pasji. Wielki kombinator ani rusz nie mógł przyłapać zasłużonego społecznika. Skumbriewicz wyslizgiwał mu się z rąk. O, tutaj, w pokoju związku zawodowego Skumbriewicz rozmawiał przed chwilą przez telefon i słuchawka była jeszcze ciepła od jego ucha, a na lakierowanym mikrofonie telefonicznym widniała jeszcze mgiełka jego oddechu. O, tu, na oknie siedzi jeszcze obywatel, z którym Skumbriewicz przed chwilą rozmawiał. Raz nawet Ostap zobaczył sylwetkę Skumbriewicza w lustrze na schodach. Rzucił się naprzód, ale tafla lustzana natychmiast opustoszała i pozostało w niej tylko odbicie okna i płynącego po niebie obłoku.

- Święty Jacku z pierogami, zlituj się nad nami! - westchnął Ostap, sapiąc ze zmęczenia. - Cóż to za ohydna, zwyrodniała biurokracja! Nasz czernomorski oddział ma także swoje słabe strony, niedociągnięcia i przerosty, ale czegoś podobnego jak w „Herkulesie”... Prawda, Szura?

Pełnomocnik od kopyt westchnął jak pompa.

Znaleźli się znowu w przewiewnym korytarzu drugiego piętra, gdzie byli już w ciągu tego dnia co najmniej piętnaście razy. I znowu, po raz piętnasty, przeszli obok drewnianej kanapki stojącej przy drzwiach gabinetu Połychajewa.

Na kanapce już od rana siedział sprowadzony za ciężkie pieniądze z Niemiec niemiecki specjalista, inżynier Henryk Maria Sauze. Inżynier miał na sobie zwykły europejski garnitur i tylko ukraińska rubaszka wyszywana w zaporoskie wzory wskazywała na to, że inżynier przebywał w Rosji od trzech tygodni i zdążył już odwiedzić

sklep z wyrobami przemysłu ludowego. Siedział sztywno, z głową odchyloną na oparcie kanapki i z zamkniętymi oczami jak człowiek, którego mają zaraz ogolić. Mogło się wydawać, że drzemie. Ale mleczni bracia, którzy już wielokrotnie przechodzili koło niego w czasie poszukiwań Skumbriewicza, mieli czas zaobserwować, że kolor twarzy zamorskiego gościa ulegał nieustannym zmianom. Z chwilą rozpoczęcia urzędowania, kiedy inżynier dopiero co zajął stanowisko od drzwiami Połychajewa, twarz jego miała naturalną rumianą barwę. Ale potem z godziny na godzinę coraz bardziej czerwieniała, przybierając kolor laku. Prawdopodobnie towarzysz Połychajew osiągnął w tym czasie dopiero drugi stopień schodów. Po przerwie śniadaniowej zabarwienie twarzy inżyniera zaczęło się zmieniać w odwrotnym kierunku. Kolor lakowy przeistoczył się w jakieś plamy typowe przy szkarlatynie. Potem Henryk Maria zaczął blednąć, a w połowie dnia, kiedy dyrektor

„Herkulesa” dobrnął przypuszczalnie do drugiego piętra, twarz zagranicznego specjalisty była już biała jak krochmal.

- Co się z tym człowiekiem dzieje? - szepnął Ostap do Bałaganowa. - Cóż za gama przeżyć!

Zaledwie Ostap zdążył wypowiedzieć te słowa, Henryk Maria Sauze zerwał się z kanapki i spojrzał złowrogo na drzwi gabinetu Połychajewa, za którymi rozbrzmiewały bezskuteczne dzwonki telefoniczne. „Włóczyki!” - pisnął dyszkantem inżynier; dopadł wielkiego kombinatora i zaczął gogwałtownie trząść za ramiona.

- Genosse Polychajew! - krzyczał, podskakując przed Ostapem. - Genosse Polychajew!

Wyjmował z kieszonki zegarek, podtykał go Bałaganowowi pod nos, wzruszał ramionami i znowu odskakiwał do Bendera.

- Was machen Sie? - zapytał zaskoczony Ostap, wykazując pewną znajomość języka niemieckiego. -

Was wollen Sie od nieszczonego interesanta?

Ale Henryk Maria Sauze nie dawał za wygraną. Trzymając nadal lewą rękę na ramieniu Bendera, prawą ręką przyciągnął do siebie Bałaganowa i wygłosił do nich wielkie i namętne przemówienie, w czasie którego Ostap niecierpliwie rozglądał się na wszystkie strony w nadziei przyłapania

Skumbriewicza, a pełnomocnik od kopyt, zasłaniając ręką usta, walczył z natrętną czkawką i bezmyślnie spoglądał na półbuty cudzoziemca.

Inżynier Henryk Maria Sauze zaangażował się na rok pracy w ZSRR, a raczej, jak precyzował z właściwą mu dokładnością, w koncernie „Herkulesa”. „Miej się pan na baczności, panie Sauze - przestrzegał go znajomy doktor matematyki Bernard Herngross - bolszewicy za swoje pieniądze zmuszą pana do ciężkiej pracy”. Ale Sauze odparł, że pracy się nie boi i że od dawna już szuka pola, gdzie mógłby zastosować swoją wiedzę w dziedzinie mechanizacji przemysłu leśnego.

Kiedy Skumbriewicz zawiadomił Połychajewa o przyjeździe zagranicznego specja, dyrektor

„Herkulesa” poruszył się radośnie pod swoimi palmami.

- Przyjechał w samą porę. Jest nam niezmiernie potrzebny. Gdzie go pan podział?

- Jest w hotelu. Trzeba mu dać odsapnąć po podróży.

- Nie ma mowy o żadnym odsapywaniu! - krzyknął Połychajew. - Za dużo kosztuje nas pieniędzy. W obcej walucie! Niech się zamelduje u mnie jutro punktualnie o dziesiątej.

Pięć minut przed dziesiątą Henryk Maria Sauze w swoich kawowych spodniach wszedł do gabinetu

Połychajewa, uśmiechając się na myśl o szerokim polu działania. Dyrektora jeszcze nie było. Minęła godzina, minęły dwie godziny, a dyrektora w dalszym ciągu nie było. Henryk zaczął się niecierpliwie.

Oczekiwanie urozmaicał mu tylko Skumbriewicz, który od czasu do czasu odwiedzał go na korytarzu i zapytywał z niewinnym uśmiechem:

- Genosse Połychajewa jeszcze nie ma? Dziwne!

Po upływie następnych dwóch godzin Skumbriewicz przyłapał na korytarzu Bomzega, który jadł śniadanie i odezwał się do niego szeptem:

- Nie wiem doprawdy, co robić. Połychajew wezwał Niemca na dziesiątą rano i wyjechał do Moskwy w sprawie lokalowej. Wróci najwcześniej za tydzień. Pomóżcie mi, Adolfe Nikołajewiczu! Mam mnóstwo obowiązków. Ani rusz nie możemy zreorganizować kursów dokształcających. Pogadajcie trochę z tym Niemcem. Zajmijcie go jakoś. Przecież płacimy mu ciężkie pieniądze. W obcej walucie!

Bomze powąchał po raz ostatni swój codzienny kotlet, wsadził go do ust, strzepnął z marynarki okruchy i poszedł zawrzeć znajomość z gościem.

W ciągu tygodnia inżynier Sauze, oprowadzany przez usłużnego Bomzega, zwiedził trzy muzea, obejrzał balet „Śpiąca królewna” i spędził dziesięć godzin na uroczystym posiedzeniu zorganizowanym na jego cześć. Po posiedzeniu odbyła się część nieoficjalna, w czasie której czołowi pracownicy „Herkulesa” bawili się doskonale, wznosili w górę kieliszki oraz szklaneczki i krzyczeli do

Sauzego: „Pij do dna!”

Droga Tlili - pisał inżynier do swojej narzeczonej zamieszkałej w Akwizgranie - jestem już od dziesięciu dni w Czernomorsku, ale nie zacząłem jeszcze pracy w koncernie „Herkules”

Obawiam się, że potracą mi te dni z umownej sumy.

Jednakże piętnastego wypłacono Sauzemu półmiesięczną pensję.

- Czy nie uważa pan - zapytał Henryk swego nowego przyjaciela Bomzega - że płacą mi tu za nic.

Przecież ja tu nic nie robię.

- Niech się pan tym nie przejmuję, drogi kolego! - zawołał Adolf Nikołajewicz. - Zresztą, jeśli pan sobie życzy, możemy panu wstawić specjalne biurko do mojego gabinetu.

W jakiś czas potem Sauze, siedząc już przy swoim specjalnym biurku, pisał do narzeczonej:

Kochane Maleństwo! Pędzę dziwne i niezwykle życie. Absolutnie nic nie robię, ale pieniądze otrzymuję punktualnie w przewidzianych umową terminach. Bardzo mnie to wszystko dziwi.

Opowiedz o tym naszemu przyjacielowi, doktorowi Bernardowi Herngrossowi. Z pewnością bardzo go to zainteresuje.

Kiedy Połychajew wrócił z Moskwy i dowiedział się, że Sauze ma już własne biurko, ogromnie się tym ucieszył.

- No, to doskonale! - powiedział. - Niechaj Skumbriewicz wprowadzi Niemca w tok naszych spraw.

Ale Skumbriewicz, który właśnie z całym zapałem oddawał się organizowaniu wielkiego zespołu harmonistów-akordeonistów, powierzył Niemca opiece Adolfa Nikołajewicza. Bomzemu było to bardzo nie w smak. Niemiec przeszkadzał mu w spożywaniu kotletów, wtrącał się do nie swoich spraw i Bomze przekazał go do wydziału eksploatacji. Ponieważ jednak wydział ten był akurat w stadium reorganizacji, która polegała na ciągłym przesuwaniu biurk z jednego miejsca na drugie, spławiono Henryka Marię do wydziału rachuby. Tam Arnikow, Dreifus, Sacharkow, Korejko i

Borysochlebski, którzy nie znali języka niemieckiego, doszli do wniosku, że Sauze jest zagranicznym urystą z Argentyny i po całych dniach wprowadzali go w tajniki stosowanego w „Herkulesie” systemu buchalterii. Posługiwali się przy tym alfabetem dla głuchoniemych.

Po upływie miesiąca zrozpaczony Sauze przyłapał Skumbriewicza w bufecie i zaczął krzyczeć:

- Nie chcę dłużej brać pieniędzy za darmo! Dajcie mi jakąś pracę! Jeśli tak dalej pójdzie, poskarżę się waszemu szefowi.

Zakończenie przemówienia zagranicznego specjalisty zaniepokoiło Skumbriewicza. Wezwał do siebie

Bomzego.

- Czego się ten Niemiec wścieka? - zapytał. - Co on chce?

- Wiecie co? - rzekł Bomze. - Mnie się wydaje, że to jest zwyczajny warchoł. Słowo daję. Siedzi sobie wygodnie przy biurku, nic nie robi, bierze za to kupę pieniędzy i jeszcze mu źle.

- Tak, to jakaś wicherzy cielska natura, chociaż Niemiec - powiedział Skumbriewicz. - Trzeba będzie zastosować wobec niego jakieś represje. Pogadam o tym z Połychajewem. Już ten mu da bobu.

Tymczasem Henryk Maria postanowił sam dotrzeć do Połychajewa. Ale ponieważ dyrektor

„Herkulesa” był klasycznym reprezentantem owego typu urzędników, którzy „przed chwilą stąd wyszli” lub „dopiero co tu byli”, zamiar Sauzego skończył się na wielogodzinnym wysiadymaniu na drewnianej kanapce i na wybuchu, którego ofiarą padły Bogu ducha winne dzieci lejtnanta Szmidta.

- Biurokratismus! - krzyczał Niemiec, przechodząc w podnieceniu na trudny język rosyjski.

Ostap bez słowa wziął europejskiego gościa pod łokieć, zaprowadził go do wiszącej na ścianie skrzynki skarg i zażaleń i zaczął do niego przemawiać jak do głuchego:

- Tutaj! Kapuje pan? Do skrzynki! Schreiben, schrieb, geschrieben. Pisać. Kapuje pan? Ja piszę, ty piszesz, on pisze, ona, ono pisze. Kapuje pan? My, wy, oni, one piszą skargi i kładą je do tej skrzynki.

Kłaść! Czasownik - kłaść. My wy, oni, one składają tu skargi... I nikt ich nie wyjmuje. Wyjmować! Ja nie wyjmuję, ty nie wyjmujesz...

Ale w tym momencie wielki kombinator ujrzał na końcu korytarza rozłożyste biodra Skumbriewicza i przerywając lekcję gramatyki, rzucił się w pościg za nieuchwytnym społecznikiem.

- Niemcy, nie dajcie się! - zawołał zachęcająco do Niemca Bałaganów i puścił się za komandorem.

Ale ku oburzeniu Ostapa Skumbriewicz znowu zniknął, jakby się nagle zdematerializował.

- To już jest czysta mistyka - rzekł Ostap, kręcąc głową - przed chwilą był i już go nie ma.

Młeczni bracia w przystępie rozpaczyny zaczęli otwierać wszystkie drzwi po kolei. Ale nagle z trzeciego pokoju Bałaganów wyskoczył jak z przerębli. Usta miał newralgicznie wykrzywione.

- Ła-ła - wyjąkał pełnomocnik od kopyt, opierając się o ścianę - ła-ła-ła...

- Co ci się stało, syneczku? - zapytał Ostap. - Kto ci zrobił kuku?

- Tam, tam - wybełkotał Bałaganów, wyciągając przed siebie drżącą rękę.

Ostap otworzył drzwi i zobaczył czarną trumnę.

Trumna stała na biurku na środku pokoju. Ostap zdjął swoją kapitańską czapkę i na palcach podszedł do trumny. Bałaganów bojaźliwie obserwował każdy jego ruch. Po chwili Ostap skinął na Bałaganowa i pokazał mu duży biały napis na boku trumny.

- Widzisz ten napis, Szura? - rzekł. - „Śmierć biurokracji!” Nie ma się czego obawiać.

Była to prześliczna propagandowa trumienka, którą pracownicy „Herkulesa” podczas wszelkich uroczystości obnosili ze śpiewami po ulicach miasta. Zazwyczaj trumnę dźwigali: Skumbriewicz,

Bomze, Berłaga tudzież Połychajew, który miał demokratyczne zacięcie i bynajmniej nie wstydził się uczestniczyć wraz ze swymi podwładnymi w rozmaitych obchodach, pochodach i tym podobnych rozrywkach politycznych.

Skumbriewicz wysoko cenił tę trumnę i przywiązywał do niej olbrzymie znaczenie. Niekiedy wkładał fartuch i własnoręcznie przemalowywał trumnę oraz odświeżał wypisane na niej antybiurokratyczne hasła, a tymczasem w jego gabinecie rozpaczliwie dzwoniły telefony, a liczne głowy, wsuwając się przez uchylone drzwi, smętnie wodziły oczami po pustym pokoju.

Młecznym braciom nie udało się przyłapać Jegora. Szwajcar w czapce z zygakiem poinformował

Bendera, że towarzysz Skumbriewicz był tu przed chwilą i dopiero co wyszedł, a raczej pojechał na łażę wziąć kąpiel morską, która była dla niego, jak mawiał, nowym ładunkiem energii...

Ostap i Bałaganów zabrali ze sobą na wszelki wypadek Berłagę, obudzili śpiącego przy kierownicy

Kozlewicza i pojechali za miasto.

Czy po tym wszystkim można się dziwić, że zniecierpliwiony Ostap bez wahania rzucił się za

Skumbriewiczem w morskie odmęty, nie przejmując się bynajmniej, że poważną rozmowę o brudnych sprawkach spółki trzeba będzie przeprowadzić w Morzu Czarnym.

Bałaganów wypełnił ściśle rozkazy komandora. Rozebrał potulnego Berlagę, zaprowadził go na sam brzeg i obejmując go obiema rękami w pasie, czekał cierpliwie na dalsze instrukcje. Tymczasem na morzu toczyła się gorąca dyskusja. Ostap ryczał jak Posejdon. Ale słów jego nie można było zrozumieć. Skumbriewicz próbował wziąć kurs na brzeg, ale Ostap przeciął mu drogę i wpędził go na pełne morze. Potem głosy dyskutujących znacznie przybrały na sile i do brzegu zaczęły dolatywać poszczególne słowa i urywki zdań: „To bezczelność!”, „A kto brał? Ojciec święty?...” „Co ja mam z tym wspólnego?...”

Berlaga od dawna już przestępował z jednej bosej nogi na drugą, wyciskając na mokrym piasku indiańskie ślady. Wreszcie z morza dobiegł okrzyk:

- Dawać go tu!

Bałaganów spuścił na wodę buchaltera, który niespodziewanie zaczął szybko płynąć „po piasku”, bijąc wodę rękami i nogami. Na widok Berlagi Jegor Skumbriewicz ze strachu dał nurka.

Tymczasem pełnomocnik od kopyt wyciągnął się na piasku i zapalił papierosa. Czekał tak około dwudziestu minut. Pierwszy wrócił Berlaga. Przykucnął, wyciągnął z kieszeni spodni chustkę do nosa, wytarł twarz i rzekł:

- Skumbriewicz się przyznał. Nie wytrzymał konfrontacji.

- Więc wysypał, hultaj? - zapytał dobrodusznie Szura. Za pomocą wielkiego i wskazującego palca wyjął z ust niedopałek, mlasnął językiem i strzyknął przez zęby fontanną śliny, długą i szybkobieżną jak torpeda.

Podskakując na jednej nodze, a drugą celując w nogawkę, Berlaga usprawiedliwiał się smętnie:

- Nie zrobiłem tego dla interesu, ale w imię prawdy.

Jako drugi wylądował wielki kombinator. Rzucił się na brzuch, wtulił policzek w rozgrzany piasek i długo, badawczo przyglądał się wyłazącemu z wody sinemu Skumbriewiczowi. Potem wziął od

Bałaganowa teczkę i maczając ołówek w ustach, zaczął wpisywać do akt zdobyte z takim trudem nowe zeznania.

Jegor Skumbriewicz zmienił się nie do poznania. Pół godziny temu skoczył w morskie fale bojowy aktywista społeczny, człowiek, o którym nawet przewodniczący Komitetu Miejsowego towarzysz

Niderlandiuk mawiał: „Kto jak kto, ale Skumbriewicz nie zawiedzie”. I oto ten właśnie Skumbriewicz zawiódł! I jak jeszcze! Łagodna morska fala wyniosła na brzeg już nie osobliwe kobiece ciało ozdobione głową Anglika z plakatu reklamującego mydło do golenia, tylko jakiś bezkształtny bukłak napełniony gorzycą i chrzanem.

W czasie kiedy wielki kombinator bawił się w pirata, Henryk Maria Sauze dopadł w końcu dyrektora

Połychajewa, odbył z nim zasadniczą rozmowę i wyszedł z „Herkulesa” zupełnie oszołomiony. Z dziwnym uśmiechem na ustach poszedł do urzędu pocztowego i stojąc przy oszklonym pulpicie, napisał następujący list do swej zamieszkałej w Akwizgranie narzeczonej.

Ukochana! Spieszę zakomunikować Ci radosną nowinę. Mój szef Połychajew wysłał mnie nareszcie do zakładu produkcyjnego. Niepokoi mnie tylko, droga Tilli, to, że w koncernie

„Herkules” taką wyprawę nazywają „zadaniem komuś bobu”. Mój nowy przyjaciel Bomze poinformował mnie, że jadę tam za karę. Wyobrażasz sobie coś podobnego? Ciekaw jestem, czy nasz poczciwy doktor Bernard Herngross potrafi coś z tego zrozumieć.

Rozdział XIX Uniwersalna pieczęć

Nazajutrz koło dwunastej w południe rozeszła się po „Herkulesie” pogłoska, że dyrektor zamknął się z jakimś interesantem w swojej sali palmowej i od trzech godzin nie reaguje na pukanie Serny

Michajłowny ani na dzwonek telefonu wewnętrznego. Pracownicy „Herkulesa” gubili się w domysłach. Przyzwyczajeni byli do tego, że Połychajewa wodziło się po całych dniach pod rękę po korytarzach, że sadzało się go na parapecie okna lub wciągało do kąta pod schodami, gdzie rozstrzygane były wszystkie najważniejsze sprawy. Zrodziło się nawet podejrzenie, że dyrektor z kategorii pracowników, którzy „dopiero co wyszli” przeniósł się do wpływowej kategorii

„pustelników”, którzy zazwyczaj wślizgują się do swoich gabinetów wczesnym rankiem, zamykają się tam na klucz, wyłączają telefon i odgradzeni w ten sposób od świata redagują wszelkiego rodzaju sprawozdania.

A tu przecież urzędowanie szło, liczna korespondencja czekała na podpisy, odpowiedzi i akceptacje.

Serna Michajłowna z oznakami niezadowolenia podchodziła do drzwi Połychajewa i nasłuchiwała. W jej dużych uszach kołysały się przy tym lekkie kolczyki z perełkami.

- Wypadek bez precedensu - orzekła po głębokiej rozwadze sekretarka.
- Ale kto, kto u niego siedzi? - dopytywał się Bomze, woniejący wodą kolońską i kotлетem. - Może to jakaś inspekcja?
- Nie, mówię wam, że to zwykły interesant.
- I Połychajew siedzi z nim już trzy godziny?
- Wypadek bez precedensu - powtórzyła Serna Michajłowna.
- Jakie jest wyjście z tej sytuacji bez wyjścia? - zdenerwował się Bomze. - Muszę mieć koniecznie, akceptację Połychajewa. Przygotowałem wyczerpujący referat, z którego niezbieżnie wynika, że lokal dawnej „Puszki i bekonu” absolutnie nie nadaje się dla „Herkulesa”. Podpis Połychajewa jest niezbędny.

Serna Michajłowna była obleżona przez pracowników. Każdy z nich trzymał w ręku większy lub mniejszy papier lub paperek. Serna Michajłowna odczekała jeszcze godzinę, w czasie której za drzwiami słychać było nadal odgłosy toczącej się nieprzerwanie rozmowy, a następnie usiadła przyswym biurku i rzekła:

- Trudno, towarzysze. Dawajcie tu swoje pisma.

Wyjęła z szafy długą drewnianą podstawkę, na której wisało trzydzieści sześć pieczęci z pękatymi łuszczącymi główkami i zręcznie wyciągając z gniazdek odpowiednie pieczęć, zaczęła odciskać je na pismach niecierpiących zwłoki.

Dyrektor „Herkulesa” od dawna już nie podpisywał korespondencji własnoręcznie. W razie potrzeby wyjmował z kieszonki kamizelki pieczęć, chuchał na nią i odbijał u

spodu pisma faksymile swego podpisu. Ten zabieg sprawiał mu wielką przyjemność i natchnął go nawet myślą przeniesienia na gumowe pieczętki pewnych najbardziej typowych orzeczeń i decyzji.

W ten sposób zjawily się na świecie pierwsze kauczukowe sentencje:

⌘

⌘

⌘

⌘

Nie mam nic przeciwko temu. Połychajew.

Zgadzam się. Połychajew.

Świetny pomysł. Połychajew.

Wprowadzić w życie. Połychajew.

Po zastosowaniu i wypróbowaniu swego udoskonalenia w praktyce, dyrektor „Herkulesa” doszedł do przekonania, że upraszcza ono znakomicie jego pracę i zasługuje na znaczne rozszerzenie. Niebawem powstała nowa porcja pieczętek. Teksty ich zostały znacznie wzbogacone:

⌘

⌘

⌘

⌘

Ogłosić publiczną naganę. Połychajew.

Udzielić napomnienia. Połychajew.

Przenieść na prowincję. Połychajew.

Zwolnić bez odszkodowania. Połychajew.

Walka, prowadzona przez dyrektora „Herkulesa” z wydziałem komunalnym o lokal, zrodziła szereg dalszych standartowych tekstów:

⌘

⌘

⌘

⌘

⌘

⌘

⌘

Nie podlegam rozkazom wydziału komunalnego. Połychajew.

Czy oni tam powariowali? Połychajew.

Proszę mi nie przeszkadzać w pracy. Połychajew.

Nie jestem waszym nocnym stróżem. Połychajew.

Hotel należy do nas i basta! Połychajew.

Znam się na tych waszych sztuczkach. Połychajew.

Nie oddam łóżek ani umywalek. Połychajew.

Seria ta została zamówiona w trzech kompletach. Zanosiło się na długotrwałą walkę i przewidujący dyrektor nie bez podstaw obawiał się, że jeden komplet nie wystarczy.

Następnie zamówiono seryjką pieczętek na wewnętrzny użytek „Herkulesa”

7A

7A

7A

7A

Proszą się zwrócić do Serny Michajłowny. Połychajew.

Proszę mi nie zawracać głowy. Połychajew.

Co nagle to po diable. Połychajew.

Niech was wszyscy diabli porwą! Połychajew.

Twórcza inicjatywa dyrektora nie ograniczyła się, rzecz prosta, jedynie do spraw natury organizacyjnej. Jako człowiek o szerokich horyzontach, Połychajew nie mógł pominąć aktualnych zagadnień politycznych. Zamówił więc prześliczną uniwersalną pieczętkę, której tekst opracowywał w pocie czoła przez szereg dni. Była to dziwna gumowa kompozycja, którą Połychajew mógł stosować we wszelkich możliwych okolicznościach. Pozwalała ona reagować błyskawicznie na wszelkie niespodziewane wydarzenia, uwalniając jednocześnie mózgowicę od jakiegokolwiek wysiłku.

Pieczętka była ułożona tak pomysłowo, że wystarczyło wypełnić w odpowiedni sposób pozostawione w niej puste miejsce, żeby uzyskać stosowną do potrzeb chwili rezolucję:

Wodpowiedzia)b)c)d)e)f)g)h)i)j)k)na my, pracownicy „Herkulesa”, zareagujemy jak jeden mąż przez: podniesienie poziomu korespondencji służbowej, zwiększenie wydajności pracy, wzmożenie walki z biurokracją, bumelanctwem, kumoterstwem i wazeliniarstwem, likwidację przestojów i urlopów okolicznościowych, zmniejszenie wydatków na kalendarze i portrety, zwiększenie aktywności organizacji związkowych, wyrzeczenie się świąt Bożego Narodzenia, Wielkanocy, Trzech Króli, Zwiastowania,

Wniebowzięcia, Kurban-bajramu, Jom-kipuru, Ramazanu, Purymu tudzież innych świąt wyznaniowych, nieubłaganą walkę z marnotrawstwem, chuligaństwem, alkoholizmem, brakiem odpowiedzialności, brakiem kręgosłupa i brakiem uspołecznienia. gremialne zapisanie się do towarzystwa „Zwalczanie rutyniarstwa operowego”, gremialne wprowadzenie do gospodarstwa domowego oleju sojowego, gremialne wprowadzenie do pracy biurowej alfabetu łacińskiego, oraz przez wszystko inne, czego wymagają okoliczności.

Połychajew osobiście wypełniał wykropkowane miejsce w rezolucji, wypisując tekst stosowny do wyżej wymienionych okoliczności.

Z biegiem czasu Połychajew rozochocił się i zaczął coraz częściej posługiwać się swoją uniwersalną rezolucją. Doszło do tego, że zaczął odpowiadać nią na wybryki, intrygi, wyskoki i swawolę własnych współpracowników.

Na przykład:

W odpowiedzi na bezczelny wybrzyk buchaltera Kukuszkinda, który domaga się zapłaty za godziny nadliczbowe, zareagujemy... lub:

W odpowiedzi na nędzne intrygi i nieczne wystąpienia pracownika Borysochlebskiego, który zażądał przedterminowego urlopu, zareagujemy...

Na wszystko to trzeba było zareagować niezwłocznie podniesieniem, zwiększeniem, wzmożeniem, likwidacją, zmniejszeniem, rezygnacją, nieubłaganą walką, gremialnym zapisaniem się, gremialnym wprowadzeniem oraz wszystkim, czego wymagają okoliczności.

Dopiero po zmiążdżeniu w ten sposób Kukuszkinda lub Borysochlebskiego dyrektor puszczał w ruch następną pieczętkę ze zwięzłą dyspozycją:

⌘

Udzielić napomnienia. Połychajew. lub:

⌘

Ogłosić publiczną naganę. Połychajew.

Przy pierwszym zetknięciu z gumową rezolucją pracownicy „Herkulesa” załamali się psychicznie.

Przerażała ich obfitość punktów. Zwłaszcza niepokoił ich punkt o alfabecie łacińskim i o gremialnym zapisywaniu się do towarzystwa „Zwalczania rutyniarstwa operowego”. Skończyło się jednak na strachu. Wprawdzie Skumbriewicza poniosło i oprócz wymienionego wyżej towarzystwa zorganizował jeszcze kółko pod hasłem: „Precz z Chowańszczyzną”⁴², ale szczęśliwie na tym się wszystko skończyło.

W czasie kiedy za drzwiami trwał dalej dialog przypominający warkot wentylatora, Serna

Michajłowna pracowała jak maszyna. Podstawka do pieczętek, zawieszonych według wielkości, od najmniejszej: Zgadzam się. Połychajew do największej, uniwersalnej, przypominała pomysłowy instrument cyrkowy, na którym biały clown ze słońcem wymalowanym na zadku wygrywa pałeczkami serenadę Braga. Sekretarka wybierała możliwie najbardziej odpowiednią do treści pisma pieczętkę i odciskała ją na dokumencie. Najczęściej posługiwała się przezorną pieczętką o treści: Co nagle to po diable, z uwagi na to, że jest to ulubiona pieczętka dyrektora.

Praca szła jak z płatką. Guma znakomicie zastępowała człowieka. Gumowy Połychajew nie ustępował w niczym Połychajewowi z krwi i kości.

Lokal „Herkulesa” już opustoszał i bosonogie woźne krążyły po korytarzach z brudnymi wiadrami; wyszła już ostatnia maszynistka, która została w biurze o godzinę dłużej, żeby przepisać na własny użytek wiersz Jesienina: „Ja, chociaż obarczony poezji szorstkością, do ciebie jednej chcę mówić”

Chowańszczyzna – tytuł Opery Musorgskiego. z czułością”, już Serna Michajłowna znużona czekaniem wstała i przed wyjściem na ulicę chłodnymi palcami zaczęła masować sobie powieki, kiedy drzwi gabinetu Połychajewa zadrżały, rozwarły się wyszedł z nich ociężały Ostap Bender. Ostap rozmarzonym wzrokiem objął Sernę Michajłownę i oddalił się, wymachując żółtą teczką z tasiemkami. Za nim spod ożywczego cienia palm i sykomorów wynurzył się Połychajew. Serna spojrzała na swego dostojnego przyjaciela i bez słowa osunęła się na kwadratowy materacyk, łagodzący twardość jej krzesła. Jak to

dobrze, że pracownicy już się rozeszli i nie mogli w tej chwili widzieć swego zwierzchnika. W wąsach Połychajewa, jak ptaszek w gałązkach, tkwiła brylantowa łza. Połychajew zdumiewająco szybko mrugał oczami i tak energicznie tarł ręce, jakby chciał wykryć z nich iskrę metodą stosowaną przez dzikich mieszkańców Oceanii. Pobiegł za

Ostapem krygując się i uśmiechając się służalczo.

- I co z tego będzie? - bełkotał, zabiegając Ostapowi drogę to z jednej, to z drugiej strony. - Chyba nic mi nie grozi. Mój złocisty, mój srebrzysty, niech pan powie, że nic mi za to złego nie grozi! Czy mogę być spokojny?

Miał ochotę dodać, że ma żonę, dzieci, Sernę, dzieci z Serną i z jeszcze jedną niewiastą zamieszkałą w

Rostowie nad Donem, ale głos uwiązł mu w gardle i w rezultacie nic nie powiedział, tylko skomląc żałośnie dreptał za Ostapem aż do samego przedsionka. W opustoszałym budynku spotkali tylko dwóch ludzi. Na końcu korytarza stał Jegor Skumbriewicz. Na widok wielkiego kombinatora zakrył usta ręką i schował się w zagłębienie muru. Na półpiętrze, zza marmurowej dziewczycy dzierżącej elektryczną pochodnię, wyglądał buchalter Berlaga. Skłonił się Ostapowi uniżenie i powiedział: „Moje uszanowanie”, ale Ostap nie odpowiedział na ten hołd wicekróla. Tuż przy drzwiach wyjściowych

Połychajew chwycił Ostapa za rękaw i szepnął:

- Nic nie zataiłem. Słowo honoru. Czy mogę być zupełnie spokojny?

- Tylko polisa ubezpieczeniowa może człowiekowi zapewnić całkowity spokój - odpowiedział Ostap, nie zwalniając kroku. - Tak mówi każdy agent ubezpieczeń na życie. Ja osobiście nie mam już do was żadnych pretensji. Ale państwo zapewne niebawem wami się zajmie.

Rozdział XX Komandor tańczy tango

W małej pijalni sztucznych wód mineralnych, na której szyldzie widniały niebieskie syfony, siedział przy białym stoliku Bałaganów i Panikowski. Pełnomocnik od kopyt jadł rurkę z kremem bacząc pilnie, żeby krem nie wyłożył drugim końcem ciastka. Ten godny bogów przysmak popijał wodą selcerską z zielonym syropem noszącym nazwę „Świeże siano”. Woźny pił leczniczy kefir. Stało już przed nim sześć pustych buteleczek. Panikowski troskliwie wytrząsał z siódmej buteleczki gęsty płyn do szklanki.

Dzisiaj nowa urzędniczka wypłaciła im pobory według podpisanej przez Bendera listy, nic więc dziwnego, że przyjaciele beztrząsco delektowali się chłodem, który bił od włoskich kamiennych płyt bufetu, od pancерnej szafy-lodówki, gdzie przechowywano wilgotną bryndzę, od ciemnych balonów z gazowaną wodą i od marmurowej lady. Z lodówki wypadł kawałek lodu i topniał powoli na podłodze. Przyjemnie było na niego popatrzeć oczami udręczonymi widokiem rozprężonej ulicy o krótkich cieniach, po której snuli się znużeni upałem przechodnie i udręczone pragnieniem psy.

- Ładne miasto ten Czernomorsk! - rzekł oblizując się Panikowski. - Kefir doskonale robi na serce.

Oświadczenie to nie wiadomo czemu rozśmieszyło Bałaganowa. Lekkomysłnie ścisnął palcami rurkę.

Wyskoczyła z niej gruba kiełbaska kremu, którą pełnomocnik od kopyt z trudem złapał w locie.

- Wie pan co, Szura - ciągnął dalej Panikowski - jakoś straciłem zaufanie do Bendera. On ma dziwne posunięcia.

- No, no! - pogroził mu Bałaganów. - Nikt cię nie pyta o zdanie!

- Mówię całkiem poważnie. Bardzo cenię Ostapa Ibrahimowicza. To jest taki człowiek!... Nawet Funt - a pan wie, jak cenię Funta - powiedział o Benderze, że to jest głowa. Ale mówiąc między nami Funt jest osioł. Kompletny dureń! Nędzna, żalosna kreatura. A przeciw Benderowi absolutnie nic nie mam.

Ale coś mi się w nim nie podoba. Chcę z panem pomówić jak z rodzonym bratem.

Od czasu ostatniej rozmowy z podinspektorem urzędu śledczego nikt nie rozmawiał z Bałaganowem jak z rodzonym bratem. Toteż Szura z zadowoleniem przyjął słowa woźnego i lekkomyślnie pozwolił mu mówić dalej.

- Wie pan, Szura - szepnął Panikowski - bardzo cenię Bendera, ale muszę panu otwarcie powiedzieć, że Bender jest osioł. Słowo daję! Nędzna kreatura.

- No, no! - odezwał się ostrzegawczo Bałaganów.

- Dlaczego „no, no”! Zastanów się pan tylko, na co on trwoni nasze pieniądze. Zastanów się pan! Na co nam to idiotyczne biuro? Ile to kosztuje? Samemu Funtowi płacimy sto dwadzieścia rubli. A biuralistka? Teraz znowu przysłali jakichś dwóch nowych. Widziałem, jak brali dziś pensję.

Praktykanci! Po co nam to wszystko? Bender mówi, że dla zachowania pozorów legalności. Gwiżdżę na legalność, na którą trzeba bulić tyle forsy! A jelenie rogi za sześćdziesiąt pięć rubli! A kałamarz! A te wszystkie dziurkacze i zszywacze!

Panikowski rozpiął marynarkę i tandetny półkoszulek zapięty na szyi gwałciela konwencji podjechał w górę i zwinął się w trąbkę jak arkusz pergaminu. Ale Panikowski był w takim ferworze, że nie zwrócił na to uwagi.

- Tak, Szura. My dwaj otrzymujemy nędzne grosze, a on pławi się w zbytku. Po co na przykład jeździł na Kaukaz? Powiada, że służbowo. Nie wierzę. Panikowski nie jest obowiązany wierzyć we wszystko, co mu powiedzą. Chodziłem na przystań po bilet dla niego. Bilet pierwszej klasy, zwracam uwagę! Czy ten bawidamek nie może jeździć drugą klasą?

W ten sposób trwoni nasze dziesięć tysięcy rubli. Prowadzi międzymiastowe rozmowy telefoniczne, rozsyła po całym świecie błyskawiczne depesze. Czy pan wie, ile taka błyskawiczna depesza kosztuje?

Czterdzieści kopiejek słowo! A ja muszę odmawiać sobie kefiru, który mi jest potrzebny dla zdrowia.

Jestem przecież stary i chory. Co tu dużo gadać: Bender to nie jest głowa.

- Czy pan trochę nie przesadza? - odparł nieco niepewnie Bałaganów. - Przecież Bender wyprowadził ana na ludzi. Pomięta pan, jak pan wiał w Arbatowie z gęsią pod pachą? A teraz ma pan posadę, pobiera pan pensję, jest pan pełnoprawnym obywatelem.

- Nie chcę być pełnoprawnym obywatelem! - oświadczył gwałtownie Panikowski i zniżając głos dodał:

- Pański Bender to Skończony idiota. Wykombinował sobie jakieś kretyńskie śledztwo, kiedy cały ten skarb można dziś jeszcze zagarnąć gołymi rękami.

Tu pełnomocnik od kopyt, nie troszcząc się już o dobrą sławę szefa, przysunął się do swego kompana, a Panikowski, nieustannie obciążając niesforny półkoszulek, zwierzył się Bałaganowowi z dokonanego na własne ryzyko eksperymentu.

W dniu kiedy wielki kombinator z Bałaganowem uganiali się za Skumbriewiczem, Panikowskisamowolnie pozostawił biuro pod opieką starego Funta, zakradł się do pokoju Korejki i korzystając z nieobecności gospodarza, przeprowadził szczegółową rewizję. Pieniędzy oczywiście nie znalazł, ale wykrył coś znacznie cenniejszego, mianowicie gimnastyczne ciężarki, bardzo duże czarne ciężarki, po półtora puda⁴³ wagi każdy.

- Mówię panu jak rodzonemu bratu, Szura. Odkryłem tajemnicę tych ciężarków.

Panikowski przyłapał wreszcie ruchliwy języczek półkoszulka, przypiął go do guzika od spodni i spojrział triumfalnym wzrokiem na Bałaganowa.

- A cóż to może być za tajemnica? - rzekł rozczarowany pełnomocnik od kopyt. - Zwyczajne ciężarki do gimnastyki.

- Wie pan, Szura, jak pana szanują - zawołał Panikowski - ale jest pan skończony osioł. Te ciężarki są ze złota. Rozumie pan? Ze szczerego złota! I każdy waży półtora puda. Trzy pudy czystego, szczerego złota. Od razu to skapowałem. Coś mnie tknęło. Stałem przed tymi ciężarkami i śmiałem się jak szalony. A to cwaniak z tego Korejki! Odał sobie gimnastyczne ciężarki ze złota, pomalował je na czarno i myśli, że nikt się w tym nie połapie. Mówię panu jak rodzonemu bratu, Szura. Nie zdradziłbym przecież tej tajemnicy, gdybym mógł o własnych siłach wynieść stamtąd te ciężarki. Ale jestem stary i chory, a te ciężarki są ciężkie. Więc zapraszam pana do spółki jak rodzzonego brata. Ja nie jestem Bender, ja jestem uczciwy!

- A może one nie są ze złota? - zapytał ukochany syn lejtnanta, który ogromnie pragnął, żeby

Panikowski jak najprędzej rozproszył jego wątpliwości.

- A niby z czego by mogły być? - zapytał ironicznie gwałciiciel konwencji.

- Tak - powiedział Bałaganów, mrugając rudymi rzęsami - teraz wszystko już jest jasne. Patrzcie państwo, taki stary, a wykrył taką tajemnicę! Bender rzeczywiście goni w piętke, wypisuje jakieś papierki, odbywa jakieś podróże... Ale damy mu jego część, prawda?

- A to z jakiej racji? - sprzeciwił się Panikowski. - Podzielimy się tylko we dwójkę. I zaczniemy wreszcie żyć jak się patrzy. Wstawię sobie złote zęby i ożenię się, dam na to uczciwe słowo honoru, że się ożenię!

Postanowili niezwłocznie przywłaszczyć sobie złote ciężarki.

- Zapłać za kefir, Szura - rzekł Panikowski - potem się policzymy.

Spiskowcy wyszli z kiosku i zaczęli błądzić po mieście, oślepieni słońcem. Umierali z niecierpliwości.

Zatrzymywali się na mostach, opierali się brzuchami o balustradę i gapili się obojętnie na dół, na dachy domów, na zbiegające stromo ku przystani ulice, którymi ostrożnie jak konie zjeżdżały ciężarówki. Tłuste portowe wróble dziobały jezdnią. W bramach czatowały na nie brudne koty. Za dzawymi dachami, latarniami i antenami widać było błękitną wodę, szybko mknący mały kuter i żółty komin parowca z wymalowaną na nim dużą czerwoną literą.

Od czasu do czasu Panikowski zadzierał głowę i coś sobie obliczał. Przeliczał pudy na kilogramy, kilogramy na dawne „zołotniki” i za każdym razem wypadła mu suma tak zawrotna, że gwałcieciel konwencji lekko pogwizdywał z zachwyty.

Pud – ok. 16kg - zorg

O jedenastej wieczorem mleczni bracia, uginając się pod ciężarem dwóch wielkich gimnastycznych ciężarków, zmierzali w kierunku biura zaopatrzenia w rogi i kopyta. Panikowski dźwigał swój udziałoburącz przed sobą, wypinając brzuch i sapiąc radośnie. Od czasu do czasu zatrzymywał się, stawiał iężar na chodniku i mrucał: „Żenię się, uroczyste słowo honoru, żenię się!” Krzepki Bałaganów niósł swój ciężarek na ramieniu. Przy skręcaniu w boczne ulice Panikowski miał trudności, gdyż kula na zasadzie prawa bezwładu ciągnęła go naprzód. Wówczas Bałaganów łapał go wolną ręką za kołnierz i nadawał jego ciału właściwy kierunek.

Zatrzymali się przed drzwiami biura.

- Upiujemy sobie zaraz po kawałku - rzekł Panikowski - i jutro rano sprzedamy. Mam znajomego zegarmistrza, pana Biberhama. Zapłaci nam po kursie. Bo na czarnej giełdzie dają zawsze poniżej kursu.

W tym momencie spiskowcy spostrzegli światło wydobywające się poprzez zielone biurowe zasłony.

- Kto tam może jeszcze urzędować o tak późnej porze? - zdziwił się Bałaganów, nachylając się do ziuirki od klucza.

Przy biurku, w jaskrawym kręgu biurkowej lampy, siedział Ostap Bender i pisał.

- Pisarz! - rzekł Bałaganów wybuchając śmiechem i odstępując Panikowskiemu miejsce przy dziurce.

- Oczywiście - powiedział Panikowski napatrzywszy się do syta - znowu coś pisze. Ta nędzna kreatura bawi mnie i śmieszy. Ale gdzie będziemy piłować nasze złoto?

Po uzgodnieniu, że nazajutrz rano trzeba koniecznie sprzedać zegarmistrzowi dwa kawałki złota, mleczni bracia podnieśli z ziemi swoje ciężary i zniknęli w mroku.

Tymczasem wielki kombinator kończył życiorys Aleksandra Iwanowicza Korejki. Ze wszystkich pięciuchatek, składających się na przybór do pisania pod nazwą „Frontem do wsi”, były pozdejmowane aszki z brązu. Ostap maczał pióro w pierwszej lepszej chatce, wiercił się na krześle i szurał podstołem nogami.

Znużona twarz Ostapa przypominała twarz karciarza, któremu przez całą noc nie szła karta i nagle świcie chwycił passę. Przez całą noc prześladował go pech i nie mógł się utrzymać przy banku.

Zmieniał stoliki, starał się uciec od pecha i znaleźć szczęśliwe miejsce. Ale karta się uwzięła. Próbował także „filować”, to znaczy oglądał pierwszą kartę, po czym wolno wysuwał spoza niej drugą: następnie kładł karty na brzegu stołu i oglądał je spod spodu; wreszcie składał obie karty koszułkami na zewnątrz i otwierał je jak książkę - słowem uciekał się do wszelkich sztuczek, jakie stosują wszyscy gracze w baka. Ale to wszystko nie pomagało. Do rąk pchały się nieustannie walety ze sznurkowatymi wąsikami, damy wążające papierowe kwiaty i królowie ze stróżowskimi brodami. Nawijały się też często czarne i czerwone dziesiątki. Słowem prześladowały go karty, z których składał się tak zwany oficjalnie „baccarat”, a nieoficjalnie „bak” lub „fura”. I wreszcie w porze, kiedy żółkną i gasną żyrandole, kiedy pod napisami „zabrania się spać” chrapią i sapią na

krzesłach zgrani pechowcy w wymiętych kołnierzykach, przychodzi passa. Zaczyna bić banki, obrzydlę figury i dziesiątki znikają, a na ich miejsce włożą do rąk ósemki i dziewiątki. Gracz nie przenosi się już z miejsca na miejsce, nie filuje, nie podgląda kart. Czuje w ręku szczęśliwą talię. Kibice coraz gęściej skupiają się za jego plecami, klepią go po ramieniu i szepczą pokornie: „Wujaszku, daj trzy rubelki”. A on, dumny i błądy, zamasyście rzuca karty na stół i przy akompaniamencie okrzyków: „Przy dziewiątym stole zwalniają się miejsca” lub: „Kto na ochotnika postawi jeszcze pół rubla”, wypruwa flaki ze swoich partnerów. I od tej chwili zielony stół pokreślony białymi liniami i łukami wydaje mu się jasny i radosny jak boisko piłki nożnej.

Ostap nie miał już wątpliwości. W prowadzonej przez niego grze nastąpił przełom.

Wszystko dotychczas zagadkowe zaczęło się wyjaśniać. Mnóstwo ludzi ze sznurkowatymi wąsikami i królewskimi brodami, z którymi się Ostap zetknął i którzy pozostawili po sobie jakieś ślady w żółtej wiązanej na tasiemki teczce, usunęło się nagle w cień, a na pierwszy plan bezapelacyjnie wysunęła się jasnooka, wędliniasta gęba o pszenicznych brwiach i głębokich kaprańskich bruzdach na policzkach.

Ostap postawił kropkę, wysuszył życiorys suszką ze srebrnym niedźwiadkiem zamiast rączki i zaczął zszywać dokumenty. Lubił mieć akta w porządku. Po raz ostatni spojrzął z satysfakcją na równiutko ułożone zeznania, depesze i liczne raporty. W teczce spoczywały nawet fotografie i wyciągi z ksiąg buchalteryjnych. W teczce zawarte było całe życie Aleksandra Iwanowicza Korejki, a wraz z nim mieściły się w niej palmy, dziewczęta, błękitne morze, biały jacht, niebieskie ekspresy, lustrzany samochód i Rio de Janeiro, czarodziejskie miasto leżące w głębi zatoki, zamieszkałe przez pocziwych

Mulatów i odznaczające się tym, że olbrzymia większość jego mieszkańców chodzi w białych spodniach. Wielki kombinator znalazł wreszcie tego osobnika, o którym marzył przez całe życie.

- I nie ma nikogo, kto potrafiłby ocenić mój tytaniczny wysiłek - powiedział z goryczą Ostap, wstając i zawiązując pękatą teczkę. - Bałaganów jest bardzo miły, ale głupi. Panikowski to po prostu stary cymbał. A Kozlewicz - anioł bez skrzydeł. On do tej pory jest święcie przekonany, że my naprawdę dostarczamy rogów do wyrobu grzebieni. Gdzież są moi prawdziwi przyjaciele, moje żony, moje dzieci? Pozostała mi tylko ta jedna nadzieja, że czcigodny Aleksander Iwanowicz potrafi ocenić mój wielki trud i odpali mi te nędzne pięćset tysięcy rubli. Chociaż nie! Nie przyjmę już teraz mniej niż milion, bo nie chcę się narazić na lekceważenie ze strony chociażby takich Mulatów.

Ostap wyszedł zza biurka, wziął swoją imponującą teczkę i pogrążony w zadumie zaczął spacerować po pustym biurze, wymijając maszynę do pisania o zaszarganej dykcji, kolejowe obcęgi do przecinania biletów i zawadzając czupryną o jelenie rogi. Biała szrama na grdyce Ostapa zaróżowiła się. Ruchy wielkiego kombinatora stawały się coraz powolniejsze i płynniejsze, a stopy jego, obute w czerwone kamasze, nabyte okazyjnie od greckiego marynarza, zaczęły bezszelestnie ślizgać się po podłodze.

Niepostrzeżenie Ostap zaczął posuwać się bokiem. Prawą ręką tklawie tulił do piersi żółtą teczkę jak młodą dziewczynę, a lewą wyciągnął przed siebie. Nad miastem wyraźnie słychać było skrzypieniekoła Fortuny nasmarowanego kalafonią. Był to delikatny dźwięk muzyczny, który wkrótce zamienił się rozmarzające dźwięki skrzypiec. I oto wszystkie sprzęty, znajdujące się w Czernomorskim Oddziale

Arbatowskiej Centrali Zaopatrzenia w Rogi i Kopyta, rozśpiewały się dawno zapomnianą a chwytającą za serce melodią.

Zaczął samowar, z którego nagle wypadł na blachę spowity w płomienie mały węgielek. I samowar zaintonował:

Pod modrym niebem Argentyny,
Gdzie zmysły poją cud dziewczyny...

Wielki kombinator tańczył tango. Jego posągowa twarz odwrócona była profilem. Przyklękał na jedno kolano, prostował się szybko, okręcał się i drobniutko przebierając nogami sunął znowu naprzód. Przy nagłych obrotach dokoła niego fruwały niewidzialne poły fraka.

Tymczasem melodię przejęła już maszyna do pisania o zaszarganej wymowie:
Gdzie zmysły poją cud dziewczyny,
Rozkoszy zbierać idź daniny...

A niezdarne metalowe szczypce do przecinania biletów kolejowych, które niejedno już na świecie widziały, też przypomniały sobie dawne, bezpowrotnie minione czasy i westchnęły:

Rozkoszy zbierać idź daniny,
Śniąc tanga boski czar.

Ostap tańczył klasyczne prowincjonalne tango, jakie przed dwudziestu laty produkowano na wszystkich kabaretowych scenach, w czasach, kiedy buchalter Berlaga zaczął nosić swój pierwszy melonik, kiedy Skumbriewicz pracował w kancelarii policmajstra, kiedy Połychajew zdawał pierwsze urzędnicze egzaminy, kiedy prezes od siedzenia Funt był jeszcze dziarskim siedemdziesięcioletnim mężczyzną i przesiadywał wraz z innymi pikowymi kamizelkami w kawiarni „Floryda”, omawiając ostatnią niepokojącą sensację, mianowicie zamknięcie przejazdu przez Dardanele w związku z wybuchem wojny włosko-tureckiej. Pikowe kamizelki, w owych czasach jeszcze rumiane i gładkie, wydawały sądy o ówczesnych mężach stanu. „Enwer-bej - to głowa! Juan Szi-kaj to także głowa. A

Puryszkiewicz bądź co bądź też ma głowę na karku!” - mówili. I już wówczas twierdzili, że Briand to tęga głowa, bo Briand już wtedy był ministrem.

Ostap tańczył. Nad jego głową szumiały palmy i przelatywały różnobarwne ptaki. Okręty oceaniczne przybijały do portu w Rio de Janeiro. Sprytni brazylijscy kupcy uprawiali publicznie dumping kawą, a miejscowa młodzież spędzała czas przy kieliszku w wytwornych portowych lokalach.

- A defiladę to już ja sam poprowadzę! - zawołał wielki kombinator.

Następnie zgasił światło, wyszedł z biura i udał się najkrótszą drogą na Małą Styczną. Smugi reflektorów przesuwwały się po niebie jak ramiona cyrkla, zjeżdżały na dół, odcinały nagle róg domu i oświetlały jakiś balkon lub oszkloną werandę, przytapiając czułe parki na gorącym uczynku. Zza rogu ulicy wyjechały, podzwaniając gąsienicami, dwa małe czołgi w kapelusikach w kształcie grzybków.

Jakiś kawalerzysta pochylił się w siodle i pytał przechodnia o drogę na Stary Rynek. W jednym miejscu

Ostapowi zagroziła drogę artyleria. Ostap przedostał się na drugą stronę ulicy w przerwie między dwiema bateriami. W innym miejscu milicjanci śpiesznie przybijali do bramy domu tabliczkę z czarnym napisem: „Schron przeciwgazowy”

Ostap śpieszył się. Popędzał go rytm argentyńskiego tanga. Nie zwracając uwagi na to, co się dokoła niego dzieje, wszedł do domu Korejki i zapukał do znajomych drzwi.

- Kto tam? - odezwał się głos zakonspirowanego milionera.

- Depesza! - odpowiedział wielki kombinator, mrużąc oko.

Drzwi otworzyły się. Ostap wszedł zaczepiając teczką o framugę.

Pełnomocnik i woźny siedzieli o świcie hen za miastem w głębokim rowie i piłowali gimnastyczne ciężarki. Nosy ich były umorusane metalicznym pyłem. Obok Panikowskiego leżał na trawie półkoszulek. Panikowski zdjął go, żeby mu nie przeszkadzał w pracy. Przewidujący gwałcieł konwencji rozłożył pod ciężarkiem gazetę, żeby ani jeden pyłek cennego kruszcu nie zginął w trawie.

Od czasu do czasu mleczni bracia spoglądali na siebie porozumiewawczo i z nową energią zabierali się do piłowania. W porannej ciszy słychać było tylko poświstywanie susłów i zgrzyt rozgrzanych pilników.

- Co to może być? - odezwał się nagle Bałaganów przerywając robotę. - Piłuję już trzy godziny, a złota jak nie widać, tak nie widać!

Panikowski zbył to pytanie milczeniem. Wiedział już, co ma o tym myśleć i przez ostatnie pół godziny udawał tylko, że piłuje.

- No, popiłujmy jeszcze trochę! - zawołał energicznie rudowłosy Szura.

- Tak, trzeba jeszcze popiłować - zgodził się Panikowski, starając się odsunąć od siebie przerażającą godziną rozrachunku.

Zakrył twarz i przez palce patrzył na poruszające się miarowo rozłożyste plecy Bałaganowa.

- Nic nie rozumiem! - rzekł Szura patrząc na dwie połówki ciężarka jak na dwie połówki jabłka. -

Przecież to nie jest złoto.

- Piłuj dalej! Piłuj dalej! - szepnął Panikowski.

Ale Bałaganów, trzymając w każdej ręce po jednej żelaznej półkuli, zaczął się powoli zbliżać do właściciela konwencji.

- Proszę się do mnie nie zbliżać z tym żelazem! - pisnął Panikowski odskakując na bok. - Gardzę panem!

Ale Szura już się zamachnął, jęknął z wysiłku i cisnął w intryganta połówką ciężarka. Intrygant, słysząc świst pocisku, padł na ziemię.

Starcie pełnomocnika z woźnym nie trwało długo. Rozwścieczony Bałaganów najpierw z sadystyczną rozkoszą podeptał półkoszulek, a następnie zabrał się do jego właściciela. Zadając ciosy Szura dogadywał:

- Kto wymyślił te ciężarki? Kto roztrwonił urzędowe pieniądze? Kto obszcze kiwał Bendera?

Ponadto pierworodny syn lejtnanta wspomniął o naruszeniu konwencji sucharewskiej, popierając te wspominki kilkoma potężnymi kuksańcami.

- Zapłacisz mi za półkoszulek! - krzyczał Panikowski, zasłaniając się łokciami. - Tego półkoszulka nigdy panu nie wybaczę! Teraz takich półkoszulków już nigdzie nie można dostać!

Na zakończenie Bałaganów zabrał pokonanemu nędzną portmonetkę zawierającą trzydzieści osiem rubli.

- To za twój kefir, hultaju! - powiedział.

Wracali do miasta w fatalnych humorach.

Przodem szedł rozsierdzony Szura, a za nim, utykając na jedną nogę i głośno lamentując, włókł się

Panikowski.

- O, ja biedny, nieszczęsny starowina! - chlpał. - Zapłacisz mi za półkoszulek. Oddaj mi portmonetkę.

- To ty mi zapłacisz! - mówił Szura, nie oglądając się za siebie. - Opowiem wszystko Benderowi.

Aferzysta!

Rozdział XXI Koniec „Wroniego gniazda”

Barbara Ptiburdukowa była szczęśliwa. Siedząc przy okrągłym stole rozglądała się po swoim gospodarstwie. W pokoju Ptiburdukowów stała tak wielka ilość mebli, że nie było w nim niemal kawałka wolnego miejsca. Ale i ta nader ograniczona przestrzeń, jaka pozostała między meblami, wystarczała do szczęścia. Lampa rzucała światło na okno, za którym jak damska broszka połyskiwała mała zielona gałązka. Na stole leżało pieczywo, cukierki i marynowany sandacz w okrągłej blaszanej puszcze. Elektryczny imbryk skupił na swej wypukłej powierzchni całe ciepło małżeńskiego gniazdka.

Odbijało się w nim łóżko i białe firanki, i nocny stoliczek. Odbijał się w nim nawet sam Ptiburdukow, siedzący po drugiej stronie stołu w granatowej pidżamie z szamerunkiem. On także był szczęśliwy.

Wypuszczając przez wąsy dym z papierosa, wycinał laubzegą z dykty dziecinny wiejski wychodek.

Praca wymagała precyzji. Trzeba było wyciąć ściany, nałożyć na nie spadzisty dach, umieścić wewnątrz lilipucią deską z dziurą, oszklić okienko i przybić do drzwiczek miniaturowy haczyk.

Ptiburdukow pracował z zapałem; wycinanie laubzegą uważał za najmiłą formą wypoczynku.

Po ukończeniu roboty inżynier roześmiał się wesoło, poklepał żonę po pełnych ciepłych ramionach i przysunął sobie puszką z sandaczem. Ale w tej samej chwili rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi, lampa zaczęła mrugać, a imbryk zsunął się z drucianej podstawki.

- Któż to może być o tak późnej porze? - rzekł Ptiburdukow, otwierając drzwi.

Na schodach stał Wasisualij Łochankin. Zawinięty był aż po samą brodę w białą marsylską kołdrę, spod której wyłaziły jego owłosione nogi. Tulił do piersi grubą, pozłacaną jak ikona książkę

„Mężczyzna i kobieta”. W oczach miał obłęd.

- Proszę bardzo - rzekł oszołomiony inżynier, cofając się w głąb pokoju. - Barbaro, co to ma znaczyć?

- Przyszedłem, by pozostać tu na wieki - odpowiedział Łochankin grobowym jambem. - Musicie mi dać azyl oraz kąt.

- Jaki azyl? - zapytał oblewając się rumieńcem gniewu Ptiburdukow. - O co chodzi, Wasisualij

Andriejewicz? -

Barbara podbiegła do drzwi.

- Saszuk! Patrz! On jest nagi! - zawołała. - Co się stało, Wasisualij? No, wejdź, wejdź.

Łochankim przestąpił próg bosymi nogami i mrucząc: „Nieszczęście, nieszczęście” zaczął spacerować po pokoju. Rogiem kołdry strącił na podłogę misterne arcydzieło Ptiburdukowa. Inżynier wycofał się w kątek pokoju, czując, że zanosi się na coś niedobrego.

- Co za nieszczęście? - dopytywała się Barbara. - Dlaczego masz na sobie tylko kołdrę.

- Przyszedłem, by pozostać tu na wieki - powtórzył Łochankin baraním głosem.

Jego żółta jak pergamin pięta wystukiwała na lśniącej wyfroterowanej posadzce alarmujący werbel.

- Co ty za bzdury wygadujesz? - zirytowała się na byłego męża Barbara. - Maszeruj do domu i kładź się spać. Jazda stąd! Wracaj do domu!

- Ach, gdzie mój dom? - zawołał rozdygotany Wasisualij. - Legł w zgliszczach i ruinach! Straszliwy pożar strawił go do cna. Zdołałem wynieść z ognia tylko kołdrę i jedną z ukochanych moich książek. Lecz jeśli serca wasze są z kamienia, odejdę precz złorzecząc tudzież kląć.

Wasisualij zatoczył się tragicznie i ruszył ku drzwiom. Ale małżonkowie Ptiburdukow nie pozwolili mu odejść. Prosił go o przebaczenie, usprawiedliwiali się, że nie rozumieli od razu, o co chodzi, i zaczęli się gorliwie krzątać po mieszkaniu, wyjęli z szafy nowy garnitur Ptiburdukowa, bieliznę i obuwie.

W czasie kiedy Łochankin ubierał się, małżonkowie odbywali naradę w przedpokoju.

- Co i nim zrobić? - pytała szeptem Barbara. - Nie może przecież nocować z nami w jednym pokoju.

- Dziwię ci się, Barbaro - rzekł pocziwy inżynier - Łochankina spotkało nieszczęście, a ty myślisz tylko o własnej wygodzie.

Kiedy małżonkowie wrócili do pokoju, pogorzelec siedział przy stole i pałaszował marynowaną rybę wprost z puszek. Dwa tomy „Wytrzymałości materiałów” leżały na podłodze, a na ich miejscu stała na półce złożona książka Łochankina „Mężczyzna i kobieta”.

- Więc cały dom się spalił? - zapytał ze współczuciem Ptiburdukow. - Coś okropnego!

- A może właśnie dobrze się stało? - rzekł Wasisualij, dojadając resztki przeznaczonej dla gospodarza kolacji. - Może te płomienie dokonały we mnie przemiany?

Ale płomienie żadnej przemiany w nim nie dokonały.

Kiedy już wszystko zostało omówione, Ptiburdukowie zaczęli przygotowywać się do nocnego spoczynku. Dla Wasisualija rozłożono materac na tym kawałku wolnej przestrzeni; która jeszcze godzinę temu wystarczała Ptiburdukowom do szczęścia.

Zamknięto okno i zgaszono światło. Do pokoju wkroczyła noc. Przez jakieś dwadzieścia minut wszyscy troje leżeli w milczeniu, przewracając się od czasu do czasu z boku na bok i ciężko wzdychając. Potem z podłogi ozwał się przeciągły szept

Łochankina:

- Barbaro! Barbaro! Słuchaj, Barbaro!
- Czego chcesz? - zapytała z gniewem eks-żona.
- Dlaczego mnie opuściłeś, Barbaro?

Nie otrzymawszy odpowiedzi na to zasadnicze pytanie, Wasisualij jęknął:

- Samico ty! Niewiasto pełna zdrady! Niewierna, ja tobą gardzić muszę...

Inżynier leżał bez ruchu, dusił się z wściekłości i zaciskał pięści.

Pożar we „Wronim gnieździe” wybuchł o dwunastą w nocy, a więc w tym czasie, kiedy Ostap Bender tańczył tango w pustym lokalu biurowym, a mleczni bracia Bałaganów i Panikowski opuszczali miasto uginając się pod brzemieniem złotych ciężarków.

Głównym ogniwem długiego łańcucha wydarzeń, które doprowadziły do pożaru w mieszkaniu pod numerem trzecim, była niczyja babcia. Jak wiadomo paliła ona na swojej antresoli lampę naftową, gdyż nie miała zaufania do elektryczności. Po laniu, jakie spuszczone Wasisualijowi Andriejewiczowi, życie w mieszkaniu numer trzy płynęło monotonnie, i niespokojny duch szambelana Mitricza skazany był na przymusową bezczynność. Z tej bezczynności Mitricz zaczął się interesować niebezpiecznymi zwyczajami babci.

- To babsko spali nam kiedyś całą chałupę! - mamrotał. - Dla niej to drobiazg. A tymczasem mój fortepian wart jest co najmniej dwa tysiące rubli.

W tym stanie rzeczy Mitricz zaasekurował od ognia swoje ruchome mienie. Teraz mógł już żyć spokojnie i obojętnie przyglądał się babci, kiedy wносиła na górę dużą mętną butlę z naftą, trzymając ją w ramionach jak niemowlę. Obywatel Gigieniszwili był pierwszym z lokatorów „Wroniego gniazda”, który dowiedział się o przemyśle Mitricza i wytłumaczył je sobie po swojemu. Przydybał

Mitricza na korytarzu, złapał go za kłapy i warknął groźnie:

- Chcesz podpalić mieszkanie? Chcesz zagarnąć premię asekuracyjną? Niech ci się nie zdaje, że

Gigieniszwili jest frajer. Gigieniszwili wie, czym to pachnie.

Jeszcze tego samego dnia ognisty lokator ubezpieczył się również na dość pokaźną kwotę. Na wieść o tym w całym „Wronim gnieździe” zapanowała panika. Łucja Francówna Pferd wpadła do kuchni z obłędem w oczach.

- Ci hultaje nas podpalą. Nie wiem, co zamierzacie zrobić, ale ja natychmiast idę się ubezpieczyć.

Skoro musimy się spalić, niech mi przynajmniej wypłacą odszkodowanie. Nie chcę przez nich pójść z torbami.

Nazajutrz ubezpieczyła się także reszta lokatorów z wyjątkiem Łochankina i niczyjej babci. Łochankin studiował „Ojczyznę” i o niczym nie wiedział, a babcia nie wierzyła w asekurację, podobnie jak nie wierzyła w elektryczność. Nikita Priachin przyniósł do domu polisę ubezpieczeniową z fioletową obwódką i długo oglądał pod światło wodne znaki.

- Z tego wynika, że państwo idzie nam na rękę - odezwał się posępnie. - Państwo gwarantuje lokatorom pomoc. No, to dobrze! Wobec tego mamy rozwiązane ręce.

Schował polisę na piersi i poszedł do swego pokoju. Słowa jego wywołały taką panikę, że nikt we

„Wronim gnieździe” przez całą noc nie zmrużył oka. Dunia pakowała rzeczy w tobołki, a jej sublokatorzy przenieśli się na noc do znajomych. Za dnia wszyscy śledzili się nawzajem i ukradkiem wynosili z domu dobytek. Sytuacja była jasna. Dom był skazany. Musiał się spalić.

Istotnie, o dwunastej w nocy mieszkanie stanęło w płomieniach, podpalone jednocześnie w sześciu miejscach.

Jako ostatni uciekł z płonącego domu spowity w białą kołdrę Łochankin. Łochankin darł się na całe gardło: „Pożar! Pożar!”, chociaż nie mógł nikogo zaskoczyć tą nowiną. Wszyscy mieszkańcy

„Wroniego gniazda” od dawna byli już w pogotowiu. Pijany Priachin siedział na swoim kuferku z okutymi kantami. Patrzył bezmyślnie na rozbłyskujące okna i przygadywał: „Mamy rozwiązane ręce”. Gigieniszwili z obrzydzeniem obwąchiwał śmierdzące naftą ręce i wycierał je o spodnie. Przez łufcik wydarł się nagle ognisty język i sypiąc iskrami objął drewnianą framugę okna. Pierwsza szybka pękła i z brzękiem spadła na ziemię. Niczyja babcia wrzasnęła przeraźliwie.

- Ten dom uchował się czterdzieści lat - wyjaśniał statecznie Mitricz, spacerując wśród gromadki lokatorów. - To bardzo solidny dom. Przetrzymał wielokrotne zmiany ustroju. I teraz w ustroju radzieckim musiał spłonąć. To bardzo smutne zjawisko, obywateli!

Przedstawicielki płci niewieściej zbiły się w trwożne stadko i patrzyły w ogień jak urzeczone. Teraz już ze wszystkich okien armatnimi salwami wystrzelały płomienie. Od czasu do czasu pożar przycichał; wtedy pociemniały nagle dom jak gdyby cofał się w tył, niby laweta po wystrale. A potem znowu wypływały z okien czerwonożółte obłoki, efektownie oświetlając cały Cytrynowy Zaulek. Od płonącego domu buchał coraz większy żar. Nie można już było w jego pobliżu wytrzymać i całe towarzystwo przeniosło się na drugą stronę ulicy.

Tylko Nikita Priachin drzemał na swoim kuferku na środku jezdni. Nagle zerwał się z kuferka bosy i straszny.

- Bracia prawosławni! - wrzasnął szarpiąc na sobie koszulę. - Obywatele!

Przebiegł na drugą stronę ulicy, wcisnął się w tłum i wyrzucając z siebie niezrozumiałe słowa, zaczął pokazywać ręką w stronę płonącego domu. W tłumie powstał popłoch.

- Pewnie zapomnieli o dziecku - odezwała się jakaś niewiasta w słomkowym kapeluszu.

Ludzie tłumnie otoczyli Nikitę. Zaczął ich odpychać i wyrывать się w stronę płonącego domu.

- Leży na łóżku! - wrzeszczał jak opętany. - Puście mnie, puście!

Po twarzy spływały mu ogniste łzy. Zdzielił po łbie zagrządzającego mu drogę Gigieniszwili i wbiegł do bramy. Po chwili ukazał się znowu z drabiną w rękach.

- Zatrzymajcie go! - wołała niewiasta w słomkowym kapeluszu. - Zginie w płomieniach!

- Odczepcie się ode mnie! - krzyczał Nikita Priachin, przystawiając drabinę do ściany i odtrącając ludzi, którzy usiłovali chwycić go za nogi. - Nie pozwolę jej zginąć. Serce by mi pękło.

Wierząc nogami i wspinał się w górę ku oknu drugiego piętra, z którego buchał dym.

- Wracaj! - krzyczeli ludzie z dołu. - Po co się tam pchasz? Spalisz się!

- Leży na łóżku! - krzyczał Nikita. - Calutka gęś i ćwiartka żytniówki! Czy można je tak zostawić, bracia prawosławni?!

Z niebywałą zręcznością Priachin uczepił się parapetu i zniknął w oknie wessany powietrznym wirym.

Ostatnie jego słowa brzmiały: „Mamy rozwiązane ręce”. W zaułku zaległa cisza, którą przerwał dźwięk dzwonek i trąbek straży pożarnej. Na podwórze wbiegli strażacy w sztywnych brezentowych kurtkach, przepasanych szerokimi granatowymi pasami.

W chwilę potem, kiedy Nikita Priachin dokonał tego jedynego w swoim życiu heroicznego czynu, runęła na ziemię pierwsza belka stropowa. Następnie dach załamał się w środku i z trzaskiem zapadł się w płomień. Ku niebu buchnął ognisty snop iskier, jak gdyby z domu wystrelono rakietę na księżyc.

Taki był koniec lokalu pod numerem trzecim, zwanego powszechnie „Wronim gniazdem”.

Nagle rozległ się tętent kopyt. Przez Cytrynowy Zaułek przemknęła dorożka, w której siedział inżynier

Talmudowski.

Na jego kolanach spoczywała walizka gęsto oklejona nalepkami różnych hoteli. Inżynier, podskakując na siedzeniu, pochylał się ku dorożkarzowi i krzyczał:

- Na takich warunkach moja noga tu nie postanie! Jazda na dworzec!

Jego barczyste plecy, oświetlone łuną pożaru, zniknęły za rogiem ulicy.

Rozdział XXII A defiladę to już ja sam poprowadzę!

Umieram z nudów - rzekł Ostap. - Rozmawiam z panem dopiero dwie godziny, a mam już pana tak dość, jakbyśmy się znali od urodzenia. Na taki krnąbrny charakter może sobie pozwolić milioner w

Ameryce, ale w naszym kraju milioner musi być bardziej uступliwy.

- Wariat! - odpowiedział Aleksander Iwanowicz.

- Proszę się liczyć ze słowami - ostrzegł go Bender. - Jako syn obywatela tureckiego jestem potomkiem janczarów. Janczarowie nie wybaczą ani kobietom, ani dzieciom, ani zakonspirowanym radzieckim milionerom.

- Żegnam pana! - rzekł Korejko cierpkim tonem biurokraty. - Już trzecia w nocy. Chce mi się spać.

Muszę rano iść do biura.

- O, przepraszam, na śmierć o tym zapomniałem! - zawołał Ostap. - Nie wolno panu spóźnić się do biura. Mogliby pana zwolnić bez wymówienia i odszkodowania. A dwutygodniowe pobory to bądź co bądź dwadzieścia trzy ruble. Przy pańskim oszczędnym trybie życia można za to wegetować nawet pół roku.

- Nie pański interes! Proszę mi dać wreszcie spokój! Słyszysz pan? Proszę się stąd wynosić!

- Ta oszczędność doprowadzi pana do zguby. Oczywiście, nie może się pan przyznać do swoich ciężkich milionów. Ale i tą oszczędnością to pan doprawdy przesadza. Czy zastanowił się pan kiedy nad tym, jak się pan zachowa w dniu, kiedy wreszcie będzie panu wolno trwonić pieniądze?

Wstrzemięźliwość to rzecz niebezpieczna! Pewna moja znajoma, nauczycielka języka francuskiego

Ernestyna Josifowna Poincare, przez całe życie nie brała do ust alkoholu. Na pewnym przyjęciu namówiono ją do wypicia kieliszka koniaku. Tak jej to zasmakowało, że wypiała całą butelkę i zanim jeszcze ucza dobiegła końca, trafił ją szlag. W ten sposób ludzkość postradała jedną z wielu nauczycielek języka francuskiego. To samo może się zdarzyć z panem.

- Czego pan chce ode mnie, do stu diabłów?

- Tego, czego chciał mój przyjaciel z lat dziecięcych Kola Osten-Baken od mojej przyjaciółki z lat dziecięcych, uroczej Polki, Inki Zając. Mianowicie: miłości. Ja także chcę miłości. Chcę, obywatelu

Korejko, żeby mnie pan pokochał i ofiarował mi w dowód tej miłości milion rubli.

- Za drzwi! - powiedział półgłosem Korejko.

- Znowu pan zapomina, że jestem potomkiem janczarów.

Z tymi słowy Ostap wstał z krzesła. Rozmówcy stali teraz oko w oko. Twarz Korejki przypominała chmurę gradową, w oczach migotały mu białe obłoczki. Wielki kombinator uśmiechał się serdecznie, obnażając białe, zdrowe zęby. Przeciwnicy stanęli na tle lampy i na ścianie ukazały się dwa gigantyczne cienie.

- Mówiłem już tysiąc razy - rzekł Korejko, jak mógł najspokojniej - że nie mam i nie miałem żadnych milionów; Zrozumiano? Zrozumiano? No, to jazda za drzwi! Złożę na pana skargę.

- Żadnej skargi pan na mnie nie złoży - odpowiedział znacząco Ostap. - Mogę sobie stąd pójść, ale zanim zdążę wyjść na Małą Styczną, dogoni mnie pan i zacznie lizać moje janczarskie stopy, błagając, żebym wrócił.

- Ciekaw jestem, dlaczego?

- Bo tak być musi, bo w tym się kryje wielka siermiężna prawda, jak lubił mawiać mój przyjaciel

Wasisualij Łochankin. A oto ona!

Wielki kombinator położył na stole teczkę i zaczął powoli rozwiązywać tasiemki, mówiąc:

- Musimy się jednak z góry umówić. Wypraszam sobie wszelkie ekscesy. Nie będzie pan próbował mnie udusić, nie wyskoczy pan przez okno tudzież nie umrze pan na aneurizm serca. Gdyby panuprzyszło do głowy w jakiś raptowny sposób rozstać się z

życiem, wpakowałby mnie pan w nader łopotliwą sytuację. Cała moja długotrwała rzetelna praca poszłaby na marne. Porozmawiajmy spokojnie. Nie jest już dla mnie tajemnicą, że nie ma pan do mnie sentymentu. Nigdy nie dojdę z panem do tego, do czego doszedł Kola Osten-Baken z moją przyjaciółką z lat dziecięcych Inką Zajac.

Dlatego też nie będę wzdychał do pana nadaremnie i nie będę usiłował objąć pana wpół. Serenadę może pan uważać za skończoną. Ucichły bałabajki, gęśle i połączane harfy. Przychodzę do pana jak urysta do jurysty. Oto jest teczka ważąca trzy do czterech kilo. Teczka ta jest do sprzedania. Kosztuje milion rubli. Ten sam milion, którego przez skąpstwo nie chciał mi pan podarować. Obecnie może pan za niego nabyć tę teczkę.

Korejko pochylił się nad stołem i przeczytał: „Sprawa Aleksandra Iwanowicza Korejki. Wszczęta 25 czerwca 1930 r. Zakończona 10 sierpnia 1930 r.”

- Cóż to za brednie! - rzekł wzruszając ramionami. - O co panu chodzi? Najpierw upominał się pan o jakieś pieniądze, teraz wymyślił pan sobie coś innego. To wszystko nie trzyma się kupy.

- A zatem? Robimy transakcję? - upierał się wielki kombinator. - Cena bardzo przystępna. Zaledwie trzysta tysięcy rubli za kilogram sensacyjnych informacji z dziedziny nielegalnego handlu i spekulacji.

- Jakże pan może mieć informacje? - zapytał Korejko, sięgając po teczkę.

- Nader interesujące - odpowiedział Ostap, delikatnie odsuwając jego rękę. - Są to informacje o pańskim drugim prawdziwym życiu, jaskrawo różniącym się od pierwszego, herkulesowego, czterdziestosześciorublowego. Pierwsze pańskie życie jest powszechnie znane. Od dziesiątej rano do czwartej po południu pracuje pan dla dobra radzieckiej ojczyzny. Ale pańskie drugie życie, od czwartej po południu do dziesiątej rano, znam tylko ja jeden. Czy teraz zdaje pan sobie nareszcie sprawę z sytuacji?

Korejko nie odpowiedział. Cienie zagnieździły się w kaprałskich bruzdach jego twarzy.

- Nie - oświadczył stanowczo wielki kombinator - widzę, że nie pochodzi pan od małpy, jak wszyscy szanujący się ludzie, tylko od krowy. Mózg pański pracuje bardzo leniwie, niczym mózg parzystokopytnego ssaka. Mówię to jako specjalista od rogów i kopyt. Zaczniemy wobec tego jeszcze raz od początku. Według zebranych przeze mnie danych posiada pan siedem do ośmiu milionów. Ta teczka jest do sprzedania za milion. Jeśli jej pan ode mnie nie kupi, zaoferuję ją natychmiast gdzie indziej. Tam wprawdzie nie dadzą mi za nią ani grosza. Pan natomiast będzie zgubiony. Mówię to jako osoba prawna osobie prawnej. Pozostanę nadal ubogim poetą i poligamistą, ale do samej śmierci będę się pocieszał myślą, że uwolniłem społeczeństwo od wielkiego sknery.

- Pokaż pan te akta - odezwał się po namyśle Korejko.

- Wolnego! - odparł Ostap otwierając teczkę. - Defiladę to już ja sam poprowadzę! Już pana o tym uprzedziłem w swoim czasie telegraficznie. Defilada właśnie się zaczęła i jak to można z łatwością zauważyć, ja ją prowadzę.

Aleksander Iwanowicz zerknął na pierwszą stronę i uśmiechnął się kwaśno na widok naklejonej tam swojej własnej fotografii.

- Nie mogę zrozumieć, czego pan ode mnie chce. A oglądam to wyłącznie dla zaspokojenia ciekawości

- powiedział.

- Ja także zbierałem to wyłącznie celem zaspokojenia ciekawości - oświadczył wielki kombinator. -

Weźmy więc za punkt wyjścia to bardzo w gruncie rzeczy niewinne uczucie.

Panowie przysięgli! Aleksander Iwanowicz Korejko urodził się... Zresztą jego szczęśliwe dzieciństwo możemy pominąć milczeniem. W tym błękitnym okresie swego życia Sasza nie zajmował się jeszcze kombinacjami handlowymi. Potem następuje różowy okres lat chłopięcych. Możemy i tę stronę akt przepuścić. Zbliża się wiek młodzięczy, zaranie prawdziwego życia. Tu już warto się na chwilę zatrzymać. Dla zaspokojenia ciekawości. Jesteśmy na szóstej stronicy akt...

Ostap odwrócił szóstą stronicę, następnie streścił stronicę siódmą, ósmą i tak dalej aż do dwunastej włącznie.

- Tak więc, panowie przysięgli, zapoznaliście się tutaj z pierwszymi poważniejszymi wyczynami mego klienta, mianowicie: z pokątnym handlem kradzionymi lekarstwami w okresie głodu i epidemii tyfusu oraz z pracą w intendencji, w której wyniku przepadł bez wieści cały kolejowy transport żywności, przeznaczony dla głodującej ludności Powołża. Wszystkie te fakty, panowie przysięgli, interesują nas tylko gwoili ciekawości.

Ostap przemawiał nieznośnym stylem przedrewolucyjnego adwokata, który uczeplwszy się jakiegoś słówka czy powiedzonka, nie wypuszcza go już z gęby i powtarza do znudzenia w ciągu całego dziesięciodniowego przewodu sądowego.

- Ciekawe jest też przybycie mego klienta w roku 1922 do Moskwy...

Twarz Aleksandra Iwanowicza zachowała wyraz obojętności, ale ręce jego błędziły po stole jak ręce ślepca.

- Pozwólcie, panowie przysięgli, że zadam wam jedno pytanie. Oczywiście tylko dla zaspokojeniaciekawości. Jaki dochód mogą przynieść człowiekowi dwie beczki napełnione zwykłą wodą?

Dwanaście rubli? Trzy ruble? Osiem kopiejek? Nie, panowie przysięgli! Dwie takie beczki przyniosły

Aleksandrowi Iwanowiczowi czterysta tysięcy rubli w złocie. Co prawda beczki te nosiły bardzo fektowną nazwę: „Spółdzielcza wytwórnia produktów chemicznych «Rewanż»”. Jedźmy jednak dalej. Stronica czterdziesta druga - do pięćdziesiątej trzeciej. Akcja rozgrywa się w małej łatwowiej republice.

Błękitne niebo, wielbłądy, oazy i złota młodzież w haftowanych myckach. Mój klient wspomaga budowę elektrowni. Podkreślam - wspomaga. Przyjrzyjcie mu się dobrze, panowie przysięgli!

Porwany własną wymową Ostap zwrócił się ku Aleksandrowi Iwanowiczowi i wskazał na niego ręką.

Ale nie udało mu się zatoczyć dłonią efektownego łuku, jak to zazwyczaj robili adwokaci. Klient niespodziewanie pochwycił w locie jego rękę i zaczął ją wykręcać. Jednocześnie drugą ręką podsądny usiłował złapać adwokata za gardło. Przez pół minuty przeciwnicy mocowali się, drząc z wysiłku.

Koszula rozchyliła się na piersi Ostapa, obnażając na chwilę tatuaż. Napoleon w dalszym ciągu trzymał w ręku kufel piwa, ale był tak czerwony, jakby się już gruntownie ululał.

- Proszę nie wywierać na mnie nacisku moralnego! - rzekł Ostap, odpychając od siebie Korejkę i łapiąc oddech. - Utrudnia mi pan pracę.

- Szubrawiec! Szubrawiec! - szeptał Aleksander Iwanowicz. - Cóż za szubrawiec!

Usiadł na podłodze krzywiąc się z bólu, jaki mu zadał potomek janczarów.

- Sesja trwa! - odezwał się Ostap, jak gdyby nigdy nic. - I jak widzicie, panowie przysięgli, lody ruszyły!

Podsądny usiłował mnie zamordować. Oczywiście wyłącznie dla zaspokojenia dziecinnej ciekawości.

Chciał się po prostu przekonać, co mam w środku. Spieszę zaspokoić tę ciekawość. Mam w środku szlachetne i zdrowe serce, pierwszorzędne płuca i wątrobę bez śladu kamieni. Proszę te szczegóły zaprotokołować. A teraz bawmy się dalej, jak mawiał redaktor pewnego pisma humorystycznego otwierając kolejne posiedzenie i mierząc surowym spojrzeniem swoich współpracowników.

Zabawa zupełnie nie przypadła Aleksandrowi Iwanowiczowi do gustu. Podróż służbowa, z której

Ostap wrócił woniejący winem i baraniną, pozostawiła w aktach poważne ślady. Była wśród nich kopia zaocznego wyroku, odbite przez kalkę plany kombinatu na cele dobroczynne, wyciągi z

„Rachunku zysków i strat” oraz fotografie elektrycznego wawozu tudzież gwiazdorów filmowych.

- Wreszcie, panowie przysięgli, trzeci etap działalności mojego krewkiego klienta: skromna praca urzędnicza w „Herkulesie” na pożytek społeczeństwa oraz intensywna zakonspirowana działalność handlowa na pożytek własny. Wyłącznie gwoli zaspokojenia grzesznej ciekawości wymienimy tu spekulacje walutą, futrami, szlachetnymi kamieniami i tym podobnymi. artykułami pierwszej potrzeby. Wreszcie zatrzymamy się na chwilę przy długim szeregu złośliwie plajtujących przedsiębiorstw pod kwiecistymi, sugestywnie spółdzielczymi nazwami: „Przodownik”, „Pracowity cedr”, „Współpraca tracka” i „Południowy drwal”. Na czele tych wszystkich przedsiębiorstw nie stał bynajmniej pan Funt, niewolnik prywatnego kapitału, tylko mój przyjaciel, podsądny Aleksander

Korejko.

W tym miejscu wielki kombinator ponownie wskazał na Korejkę i zakreślił dawno już zamierzony efektowny łuk dłonią.

Następnie Ostap zwrócił się w pompadycznych słowach do wyimaginowanego sądu z prośbą o pozwolenie na zadanie podsądnemu kilku pytań, odczekał przez grzeczność dwie minuty i zapytał:

- Czy podsądny nie utrzymywał jakichś pozasłużbowych spekulacyjnych kontaktów z pracownikiem

„Herkulesa” Berlagą? Nie? Doskonale! A ze Skumbriewiczem? Także nie? Znakomicie! A z

Połychajewem?

Milioner-kancelista milczał.

- Więcej pytań nie mam. Uf!!! Zmęczyłem się i bardzo mi się chce jeść. Czy nie ma pan przypadkiem,

Aleksandrze Iwanowiczu, jakiegoś kotleta na zimno w zanadru? Nie? Zastanawiające ubóstwo, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę wysokość sumy, którą przy pomocy Połychajewa udało się panu wydoić z pocziwego „Herkulesa”. Oto własnoręczny raport Połychajewa, jedynego pracownika

„Herkulesa”, który wiedział, kto ukrywa się pod maską czterdziestosześciorublowego skrobipiórka.

Ale nawet on nie wiedział o panu wszystkiego. Wszystko wiem tylko ja. Tak, panowie przysięgli, mój klient ma poważnie obciążone sumienie. Zostało to dowiedzione. Pozwolę sobie jednak prosić o pobłażliwość dla niego, ale pod warunkiem, że oskarżony kupi ode mnie tę teczkę. Skończyłem.

Pod koniec przemówienia wielkiego kombinatora Aleksander Iwanowicz uspokoił się. Wsadził ręce w kieszenie lekkich spodni i podszedł do okna. Wczesny ranek rozdzwaniał się po mieście dzwonkami tramwajów.

Za ogrodzeniem widać było maszerujących osoawiachimowców, którzy dzierżyli karabiny, jakby to były motyki. Po parapecie z cynkowej blachy spacerowały gołębie stukając czerwonymi łapkami i co chwila podrywając się do lotu. Nawykły do drobnych oszczędności Aleksander Iwanowicz zgasił stojącą na stole lampę i odezwał się:

- Więc to pan przysyłał mi te idiotyczne depesze?

- Ja - odpowiedział Ostap. - „Ładuj pomarańcze beczki bracia Karamazow”. Nie uważa pan, że to dowcipne?

- Głupie.

- A zidiociały żebrak? - zapytał Ostap, czując że defilada się udała. - Dobry, co?

- Sztubacki kawał! I książka o milionerach także. A wtedy kiedy przyszedł pan do mnie w charakterze kijowskiego milicjanta, wziąłem pana za pospolitego kanciarza. Pomyliłem się, niestety. Gdyby pan był pospolitym wydrwigroszem, zjadłby pan diabła, zanim by mnie pan zdemaskował.

- Tak jest, pomylił się pan. Trafiła kosa na kamień - jak powiedziała uroczą Polka, Inka Zając, w miesiąc po ślubie z moim przyjacielem z lat dziecięcych Kolą Osten-Baken.

- Rozumiem jeszcze napad rabunkowy. Ale gimnastyczne ciężarki? Po co ukradł mi pan te ciężarki?

- Jakie ciężarki? Żadnych ciężarków panu nie kradłem.

- Po prostu wstydzi się pan przyznać. W ogóle narobił pan mnóstwo głupstw.

- Możliwe - zgodził się Ostap. - Nie jestem aniołem. Mam pewne wady. Ale ja tu gadu-gadu, a tam czekają na mnie moi murzyni. Bądź pan łaskaw wypłacić mi pieniądze.

- Racja, pieniądze - rzekł Korejko. - Z tymi pieniędzmi będą pewne trudności. Teczka jest dużo warta, szkoda gadać, i mogę ją kupić, ale obliczając moje dochody, nie wziął pan wcale pod uwagę moich rozchodów i strat. Milion to suma zupełnie niedorzeczna.

- Do widzenia - oświadczył chłodno Ostap. - Bądź pan łaskaw przez pół godziny nie opuszczać mieszkania. Przyjedzie tu po pana piękna okratowana karetka.

- W ten sposób nigdy nie dobijemy targu - zauważył z kupieckim uśmiechem Korejko.

- Być może - odpowiedział z westchnieniem Ostap - ale ja, uważa pan, nie jestem człowiekiem interesu. Jestem niezależnym artystą i filozofem sceptykiem.

- Za co więc żąda pan pieniędzy? Ja te pieniądze zarobiłem, a pan...

- Jeżeli chodzi o mnie, to nie tylko włożyłem dużo trudu w całą tę sprawę, ale poniosłem również straty. Po rozmowach z Berlagą, Skumbriewiczem i Połychajewem straciłem wiarę w ludzi. Czy wiara w ludzi nie jest warta milion rubli?

- Warta, warta - uspokoił go Aleksander Iwanowicz.

- A zatem idziemy do skarbcza? - rzekł Ostap. - Ciekaw jestem, gdzie przechowuje pan swoje kapitały?

Spodziewam się, że nie w komunalnej kasie oszczędności?

- Zaraz się pan o tym przekona. Chodźmy - rzekł Korejko.

- A może to gdzieś daleko? - zapytał Ostap. - Mogę służyć samochodem.

Ale milioner podziękował za samochód, oświadczył, że to niedaleko i że należy unikać zbytycznej pompy. Uprzejmie przepuścił Bendera naprzód i wyszedł za nim, zabierając ze stołu niewielką paczkę zawiniętą w gazetę. Schodząc po schodach Ostap nucił: „Pod modrym niebem Argentyny...”

Rozdział XXIII Serce szofera

Na ulicy Ostap ujął Aleksandra Iwanowicza pod rękę i obaj kombinatorzy skierowali się szybkim krokiem w stronę dworca.

- Jest pan lepszy, niż przypuszczałem - rzekł przyjaźnie Bender. - To bardzo ładnie z pańskiej strony. Z pieniędzmi należy się rozstawać bez bólu i lamentów.

- Dla takiego człowieka jak pan nawet miliona nie szkoda - odpowiedział biuralista, wsłuchując się bacznie w jakieś odgłosy.

Kiedy skręcili w ulicę Meringa, nad miastem rozległo się przeciągłe wycie syreny. Był to dźwięk falisty, zawodzący i żałosny. Gdy marynarze w mglistą noc usłyszą taki dźwięk, tracą humor i zaczynają myśleć o podwyżce płac, jako słusznej rekompensacie za niebezpieczne warunki pracy. Syrena wyła.

Przyłączyły się do niej lądowe gwizdki fabryczne i dalekie, jeszcze bardziej żałosne syreny okrętowe.

Przechodnie zaczęli nagle przyspieszać kroku, jakby uciekali przed ulewą. Uśmiechali się przy tym i spoglądali na niebo. Sprzedawczynie pestek, otyłe baby, biegły z wypiętymi brzuchami, a w wiklinowych koszykach podskakiwały w syrkim towarze szklane miarki. Jezdnię przebiegł na ukos

Adolf Nikołajewicz Bomze. Udało mu się szczęśliwie dopaść obrotowych drzwi „Herkulesa”. Ulicą przegalopował oddział konnej rezerwy milicyjnej na konikach różnej maści. Przemknął samochód

Czerwonego Krzyża. Ulica nagle opustoszała. Ostap zauważył, że od byłej kawiarni „Floryda” oderwało się stadko pikowych kamizelek. Staruszkowie, wymachując gazetami, panamami i sztywnymi słomkowymi kapeluszami, usiłowali przebiec na drugą stronę jezdni. Ale zanim dobiegli do rogu, rozległ się ogłuszający wystrzał armatni, pikowe kamizelki wtuliły głowy w ramiona, zatrzymały się i pędem ruszyły z powrotem pod kawiarnię, powiewając połamami czesuczowych marynarek.

Zachowanie pikowych kamizelek rozśmieszyło Ostapę. W czasie kiedy wielki kombinator przyglądał się zabawnym gestom i podskokom staruszków, Aleksander Iwanowicz zdążył rozwinąć zabraną z domu paczkę.

- Przezabawne pierniki! Typy iście operetkowe! - rzekł Ostap zwracając się do Korejki.

Ale Korejko zniknął. Na jego miejscu stała jakaś odrażająca maskara o szklanych oczach nurka i gumowym ryju, na którego końcu dyndał blaszany cylinder koloru khaki. Ostap podskoczył ze zdumienia.

- Cóż to za psie figle?! - zawołał groźnie, wyciągając rękę. - Obywatelu podsądny, przywołuję pana do porządku!

Ale w tej samej chwili nadbiegła grupa ludzi również w strojach przeciwigazowych i wśród wielu identycznych ryjów Ostap nie był już w stanie rozpoznać ryja Korejki. Ściskając mocno w rękę swoją teczkę, Ostap zaczął pilnie obserwować nogi maskar, ale w momencie, kiedy mu się wydawało, że poznaje sieroce spodnie Aleksandra Iwanowicza, ktoś ujął go nagle pod rękę, a jakiś bojowy głos zawołał:

- Jesteście zagazowani, towarzyszu!

- Kto jest zagazowany? - zawołał wyrывая się Ostap. - Proszę mnie puścić!

- Jesteście zatruci gazem, towarzyszu! - powtórzył radośnie sanitariusz. - Znajdujecie się w strefie zagazowanej. Nie widzieliście bomby gazowej?

Istotnie, na jezdni leżała skrzynka, z której buchał gęsty dym. Podejrzane spodnie były już daleko.

Mignęły po raz ostatni między dwiema smugami dymu i zniknęły. Ostap wyrwał się gwałtownie, ale trzymało go teraz aż sześć masek.

- Prócz tego jesteście ranni odłamkiem w rękę, towarzyszu. Nie złościć się, towarzyszu. Odwołuję się do waszego uświadomienia. Wiecie przecież, że mamy ćwiczenia przeciwlotnicze. Zaraz nałożymy wam opatrunek i przeniesiemy was do schronu.

Wielki kombinator ani rusz nie mógł pojąć, że wszelki opór jest daremny. Gracz, który złapał o świetle szczęśliwą passę i uprawia w zdumienie cały stół, ni stąd ni zowąd, w ciągu dziesięciu minut przegrał wszystko do jakiegoś przypadkowego smarkacza, który mimochodem zatrzymał się przy szczęśliwym stoliku. I oto gracz już nie siedzi błądy i triumfujący wśród stłoczonych dokoła niego kibiców, którzy proszą o kilka groszy na szczęście. I będzie musiał wracać do domu na piechotę.

Do Ostapa podbiegła komsomołka z czerwonym krzyżem na piersi. Wyjęła z brezentowej torby bandaże, watę i marszcząc brwi, żeby nie parsknąć śmiechem, obandażowała cały rękaw wielkiego kombinatora. Po dopełnieniu tego aktu miłosierdzia dziewczyna roześmiała się i pobiegła do następnego rannego, który pokornie złożył w jej dłonie swoją nogę. Ostapa zaczęto ciągnąć w stronę noszy. Rozegrała się tam nowa walka, w czasie której maskary miotają się w lewo i prawo, a starszy sanitariusz donośnym prelegenckim głosem przemawiał Ostapowi do sumienia tudzież innych cnót obywatelskich.

- Towarzysze! - bełkotał przymocowany pasami do noszy wielki kombinator. - Towarzysze, dajcie znać mojemu ojcu-nieboszczykowi, obywatelowi tureckiemu, że jego umiłowany syn, specjalista od kopyt i rogów, poległ śmiercią walecznych na polu chwały.

Ostatnie słowa poległego na polu chwały brzmiały:

- Śpijcie orły me bojowe! Zdechł, kanarek, zdechł...

Sanitariusze podźwignęli nosze. Ostap zamilkł i spoglądał w niebo, gdzie panował wielki ruch. Turlały się po nim zwarte, świetlane jak serca, kłębuszki dymu. Na dużej wysokości płynęły nierównym klinem przezroczyste, celuloidowe samoloty. Szło od nich dźwięczne brzęczenie, jak gdyby były powiązane ze sobą stalowymi linkami. W krótkich przerwach między salwami armatnimi słysząc było wycie syren.

Ostapa czekało jeszcze jedno upokorzenie. Niesiono go obok budynku „Herkulesa”. Wszystkie okna czteropiętrowego gmachu były obsadzone przez pracowników tej instytucji. Cały wydział rachuby zgromadził się przy parapetach. Lapidus-junior straszył Kukuszkina, udając, że chce go zepchnąć w dół. Na widok Ostapa Berlaga wytrzeszczył oczy i pokłonił się noszom. W oknie drugiego piętra, na tle palm, stał Połychajew obejmując wpół Skumbriewicza. Kiedy zobaczyli spętanego Ostapę, zamienili szeptem kilka słów i szybko zatrzasknęli okno.

Nosze zatrzymały się przed tablicą z napisem: „Schron przeciwgazowy nr 34”. Ostapę postawiono na nogi, ale kiedy znowu podjął próbę ucieczki, sanitariusz zmuszony był jeszcze raz odwołać się do jego uświadomienia.

Schron mieścił się w świetlicy. Była to długa i widna suterena z belkowanym sufitem, z którego zwisały na drutach modele samolotów bojowych i pasażerskich. W głębi świetlicy znajdowała się niewielka scena. Stała tam dekoracja przedstawiająca dwa niebieskie okna z księżycem i gwiazdami oraz brązowe drzwi. Pod ścianą ozdobioną napisem: „Nie chcemy wojny, ale jesteśmy gotowi do obrony” skupiły się pikowe kamizelki, zagarnięte całym stadkiem do schronu. Po scenie przechadzał się prelegent w zielonym frenczu, z niechęcią zerkając na drzwi, przez które wprowadzano coraz liczniejsze grupy zagazowanych, i z wojskową sumiennością wykladał:

- Gazy bojowe dzielą się na: duszące, łzawiące, żrące, parzące, cuchnące i tak dalej. Do gazów zawiąjących możemy zaliczyć: chloropikrynę, bromobenzol, bromoaceton, chloroacetofenon...

Ostap przeniósł ponure spojrzenie z prelegenta na słuchaczy. Jedni gapili się na mówcę, inni robili notatki, jeszcze inni studiowali budowę karabinu. W drugim rzędzie krzeseł siedziała samotna młoda dziewczyna o sportowej sylwetce i w zadumie patrzyła na sceniczny księżyc.

- Ładna dziewczucha! - stwierdził Ostap. - Szkoda, że nie mam czasu. O czym ona myśli? Przecież nie o bromobenzolu. Do licha! Jeszcze dziś rano mogłem wybrać się z taką dziewczuszką na jedną z wysp

Oceanii, na Fidżi czy jakieś tam inne Wyspy Towaryskie, albo po prostu do Rio de Janeiro.

Na myśl o utraconym Rio Ostap zaczął się miotać po schronie jak lew po klatce.

Pikowe kamizelki w liczbie około czterdziestu już otrząsnęły się z pierwszego wrażenia, poprawiły swoje sztuczne kołnierzyki i wdały się w burzliwą dyskusję na temat Paneuropy, konferencji morskiej trzech mocarstw tudzież gandyzmu.

- Słyszał pan - mówiła jedna kamizelka do drugiej - że Gandhi pojechał do Dandi?

- Gandhi to głowa! - westchnęła druga kamizelka. - Ale Dandi to też głowa!

Wybuchła sprzeczka. Jedne kamizelki utrzymywały, że Dandi to miasto, a tym samym nie może mieć głowy; drudzy z maniackim uporem twierdzili coś wręcz przeciwnego. Wreszcie pogodzili się co do jednego, że tylko patrzeć, jak Czernomorsk zostanie wolnym miastem.

Prelegent znowu się skrzywił, gdyż właśnie drzwi się otworzyły i do schronu wtargnęły z hałasem dwie nowe ofiary zagazowania: Bałaganów i Panikowski. Atak gazowy zaskoczył ich w czasie powrotu z nocnej wyprawy. Po całonocnym pitowaniu ciężarków byli umorusani jak kominiarze. Na widok komandora mleczni bracia spuścili oczy.

- Cóż to? Byliście na imieninach u archijereja? - zagadnął ponuro Ostap.

Obawiając się pytań na temat Korejki, zmarszczył groźnie brwi i przeszedł do ataku.

- No, orły-sokoły, coście znowu zmalowali?

- Jak babcię kocham, wszystkiemu winien Panikowski - zawołał Bałaganów kładąc rękę na sercu.

- Panikowski! - zawołał surowo komandor.

- Słowo uczciwego człowieka! - oświadczył gwałcielem konwencji. - Wie pan, panie Bender, jak pana szanuję! To pomysł Bałaganowa.

- Szura! - zawołał jeszcze groźniej Ostap.

- I pan mu wierzy? - rzekł z wyrzutem pełnomocnik od kopyt. - Jak pan może mnie posądzać, że bez pańskiego polecenia ukradłbym te ciężarki?

- Więc to wasza sprawa? Ale po coście je świsnęli? - zawołał Ostap.

- Panikowski twierdził, że są ze złota.

Ostap spojrział na Panikowskiego. Dopiero teraz zauważył, że Panikowski nie ma już na szyi tandetnego półkoszulka i że świeci gołym torsem. Wielki kombinator bez słowa osunął się na krzesło.

Wyprężył się, zatrzepotał rękami, z oczu pociekły mu łzy. I nagle schronem wstrząsnął wybuch śmiechu, przypominający grzmot wulkanu. Był to śmiech przerażający. Dźwięczał w nim cały daremny wysiłek ostatniej nocy, cały ból porażki w walce z Korejką, w sposób tak żałosny ośmieszony przez mlecznych braci. Pikowe kamizelki zadrżały, a prelegent jeszcze głośniejsze i dokładniej zaczął wyliczać bojowe gazy trujące.

Po ciele Ostapa przebiegały jeszcze sodowe bąbelki śmiechu, ale Ostap już znowu czuł się odświeżony i odmłodzony, jak człowiek, który przeszedł przez wszystkie fryzjerskie instancje: zażyłość z brzytwą, znajomość z nożycami, deszczyk wody kolońskiej tudzież przyczesanie brwi specjalną szczoteczką.

Lśniącą falą oceanu obmyła jego serce i na zapytanie Bałaganowa dotyczące sprawy Korejki odpowiedział, że wszystko idzie doskonale, jeśli nie brać pod uwagę niespodziewanej ucieczki milionera w niewiadomym kierunku.

Mleczni bracia, uszczęśliwieni, że sprawa z ciężarkami uszła im na sucho, nie zwrócili należytej uwagi na słowa Ostapa.

- Spójrz pan, panie Bender - odezwał się pełnomocnik od kopyt - widzi pan tę panienkę? To właśnie z nią Korejko chodził na spacer.

- A więc to jest Zosia Sinicka? Proszę, proszę - zawołał Ostap. - „Aż tu niespodzianie, na sali balowej...”

Ostap przecisnął się do sceny, grzecznie przeprosił prelegenta, dowiedział się od niego, że gazowa niewola potrwa jeszcze półtorej do dwóch godzin, podziękował i usiadł

obok Zosi. Po chwili dziewczyna nie patrzyła już na malowane okno. Wybuchając nazbyt głośnym śmiechem, wyrwała

Ostapowi z rąk swój grzebień. Wielkiemu kombinatorowi usta się nie zamykały.

Tymczasem wprowadzono do schronu inżyniera Talmudowskiego. Na próżno zasłaniał się swymi dwiema walizkami. Jego rumiane czoło było pokryte potem i błyszczało jak blin.

- Nic na to nie poradzą, towarzyszu! - mówił komendant schronu. - Ćwiczenia. Jesteście w strefie zagazowanej.

- Ale ja -przecież jechałem dorożką! - pieklił się inżynier. - Do-roż-ką! -Spieszą w sprawach służbowych na dworzec. Spóźniłem się już na nocny pociąg. Czy mam się spóźnić również na następny?

- Odwołują się do waszego uświadomienia społecznego, towarzyszu!

- A na co mi uświadomienie społeczne, kiedy jadą dorożką? - oburzał się Talmudowski.

Kładł na tą okoliczność taki nacisk, jakby jazda dorożką zabezpieczała przed działaniem gazów trujących i pozbawiała chloropikryną, bromoaceton i bromobenzol ich trujących właściwości. Nie wiadomo jak długo Talmudowski spierałby się jeszcze z przedstawicielami obrony przeciwniczej, gdyby nie to, że do schronu wszedł nowy zagazowany, a przy tym ranny obywatel, na co wskazywała obandażowana głowa. Na widok przybysza Talmudowski zamilkł i dał nura w tłum pikowych kamizelek. Ale zagazowany i obandażowany przybysz zdążył zauważyć okazałą postać inżyniera i ruszył wprost ku niemu.

- Nareszcie was przydybałem, inżynierze Talmudowski! - rzekł złowieszczo. - Jakim prawem opuściliście fabrykę?

Talmudowski rozejrzał się na wszystkie strony malutkimi świńskimi oczkami, a kiedy się przekonał, że nie ma którędy uciec, usadowił się na walizkach i zapalił papierosa.

- Przyjeżdżam do hotelu - mówił dalej grzmiącym głosem obandażowany - powiadają mi: „wybył”. Jak to, powiadam, wybył, kiedy dopiero wczoraj przybył i zobowiązał się pracować w fabryce przez cały rok? Wybył, powiadają, z walizkami do Kazania. Już myślałem, że wszystko diabli wzięli i że będziemy musieli na nowo szukać specjalisty. Ale udało mi się go przyłapać. Patrzcie go, siedzi i pali sobie papierosa! Jesteście szkodnikiem, inżynierze Talmudowski! Rujujecie nasze plany produkcyjne!

Inżynier zerwał się z walizek i z okrzykiem: „Wy sami rujujecie plany!” chwycił swego oskarżyciela wpół, zaprowadził go w kąt i zaczął brzęczeć do niego, jak wielka mucha. Po chwili z kąta zaczęły dobiegać urywki zdań: „Przy takim uposażeniu...” „Idźcie, poszukajcie!...” „A zwrot kosztów podróży?” Obandażowany spoglądał na inżyniera z głębokim wy-rzutem.

Już prelegent zakończył swój wykład, po uprzednim zademonstrowaniu, w jaki sposób należy posługiwać się maską przeciwgazową, już otwarto drzwi schronu i pikowe kamizelki, trzymając się jedna drugiej, popędziły do „Florydy”, już Talmudowski odepchnął swego prześladowcę, wybiegł na licę i gromkim głosem przywoływał dorożkę, a wielki kombinator wciąż jeszcze gawędził z Zosią.

- Pierwszorzędna femina! - rzekł z zazdrością Panikowski, wychodząc z Bałaganowem na ulicę. - Ach, gdyby te ciężarki były ze złota, słowo uczciwego człowieka, że zaraz bym się z nią ożenił!

Na wzmiankę o fatalnych ciężarkach Bałaganów dał Panikowskiemu bolesnego szturchańca w bok.

Zrobił to w samą porę, gdyż właśnie w drzwiach schronu ukazał się Ostap prowadząc „feminę” pod rączkę. Ostap długo żegnał się z Zosią, wpatrując się namiętnie w jej oczy. Zosia uśmiechnęła się po raz ostatni i odeszła.

- O czym pan z nią rozmawiał? - zapytał podejrzliwie Panikowski.

- O niczym! Plotłem trzy po trzy - odpowiedział Ostap. - A teraz moja złota kompanio, do roboty!

Trzeba odszukać podsądnego!

Panikowski został odkomenderowany do „Herkulesa”, Bałaganów do mieszkania Aleksandra

Iwanowicza, a Ostap zajął się dworcami kolejowymi. Ale milioner gryziپیۆرেক przepadł bez wieści. W

„Herkulesie” go nie było, do domu nie wrócił, a w czasie ataku gazowego odeszło z dworców osiem dalekobieżnych pociągów. Zresztą Ostap był na to przygotowany.

- Ostatecznie - powiedział niewesoło - nic się straszego nie stało. W Chinach odszukanie człowieka nastęca dość poważne trudności, bo Chiny mają czterysta milionów mieszkańców. Ale u nas to bagatelka. Nasz kraj liczy zaledwie sto sześćdziesiąt milionów, czyli ta sprawa u nas jest trzy razy łatwiejsza niż w Chinach. Trzeba tylko mieć pieniądze. A pieniędzy nam nie brak.

Jednakże w banku Ostap podjął zaledwie trzydzieści cztery ruble.

- To wszystko, co zostało z dziesięciu tysięcy - powiedział z niezrozumiałym smutkiem - mnie się zdawało, że mamy jeszcze na bieżącym rachunku sześć do siedmiu tysięcy rubli... Jak to się stało?

Wszystko układało się tak pięknie, zajmowaliśmy się rogami i kopytami, życie było upajające, kula ziemską obracała się specjalnie dla nas i nagle... Rozumiem! Inwestycje! Aparat zjadł cały kapitał.

Tu spojrział z wyrzutem na mlecznych braci. Panikowski wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć:

„Pan przecież wie, jak pana szanuję i cenię, ale zawsze mówiłem, że jest pan osioł!” Bałaganów z zakłopotaniem przygłądził kędziorę i zapytał:

- I co teraz zrobimy?

- Jak to co? - zawołał Ostap. - A oddział zaopatrzenia w rogi i kopyta? A inwentarz? Za sam przybór do pisania: „Frontem do wsi” każda nasza kochana instytucja z rozkoszą zapłaci sto rubli! A maszyna do pisania! A dziurkacz, a jelenie rogi, a biurka, a bariera, a samowar? Wszystko to można spieniężyć.

Wreszcie mamy w rezerwie złoty ząb Panikowskiego. Nie jest wprawdzie tak masywny jak ciężarki gimnastyczne, ale bądź co bądź to kawałek szczerego złota.

Przyjaciele zatrzymali się przed biurem. Przez otwarte drzwi słysząc było młode, lwie głosy studentów technikum budowlanego, którzy wrócili z podróży służbowej, senne mamrotanie Funta i jeszcze jakieś basy i barytony o wyraźnie agronomicznym brzmieniu.

- Przecież to pachnie kryminałem! - krzyczeli praktykanci. - Od początku mieliśmy podejrzenia. W ciągu całej kampanii zakupiono zaledwie dwanaście kilo wybrakowanych rogów.

- Pójdziecie do kryminału! - zagrzmieli basy i barytony. - Gdzie jest kierownik oddziału? Gdzie jest pełnomocnik od kopyt?

Bałaganów zadrżał.

- Biuro spaliło na panewce - szepnął Ostap - jesteśmy tu już zbyt tacy. My pójdziemy dalej zalaną słońcem drogą, a Funta zaprowadzą do domu z czerwonej cegły, w którego oknach dziwny kaprys architekta umieścił grube kraty.

Eks-kierownik oddziału nie pomylił się. Zanim upadłe anioły uszły kilkaset kroków, rozległ się za nimi turkot dorożki. W dorożce siedział Funt. Wyglądałby na zacnego dziadunia, jadącego po długich przygotowaniach w odwiedziny do swego żonatego wnuczka, gdyby nie milicjant, który stojąc na stopniu trzymał staruszka za kark.

Kiedy pojazd mijał naszych zbiegów, pasażerowie „Antylopy” usłyszeli niski, przytłumiony głos starowiny:

- Funt zawsze siedział. Siedział za Aleksandra II „Oswobodziciela”, za Aleksandra III „Miłującego pokój”, za Mikołaja II „Krwawego”, za Aleksandra Fiodorowicza Kiereńskiego...

I Funt wyliczał na palcach carów oraz adwokatów...

- Co teraz z nami będzie? - zapytał Bałaganów.

- Proszę nie zapominać, że żyjecie w tej samej epoce, w której żyje Ostap Bender - powiedział smętnie wielki kombinator. - Proszę pamiętać, że Ostap Bender posiada rewelacyjny sakwojaż, zawierający wszelkie przyrządy niezbędne do zdobycia pieniędzy na drobne wydatki. Idziemy do domu, do

Łochankina.

W Cytrynowym Zaułku czekała ich nowa przykra niespodzianka.

- Gdzie jest dom? - zawołał Ostap. - Przecież jeszcze wczoraj wieczorem stał tu dom!

Ale domu nie było, nie było „Wroniego gniazda”. Tylko po zwęglonych belkach chodził inspektor ubezpieczeniowy. Znalazł na podwórku bańkę od nafty, obwąchał ją i podejrzliwie pokiwał głową.

- A co teraz? - zapytał Bałaganów z podejrzliwym uśmiechem.

Wielki kombinator nie odpowiedział. Był zdruzgotany utratą sakwojaża. Spłonęła czarodziejska torba, w której był hinduski turban, afisz: „Przyjechał wróżbita”, fartuch lekarski, stetoskop... Cały majątek!

- Tak to los bawi się z człowiekiem w kotka i myszkę - rzekł w końcu wielki kombinator.

Cała trójka zawiedziona, przytłoczona nawałem katastrof, zaczęła błąkać się po ulicach. Kiedy ich ktoś potrącił, nie mieli nawet tyle siły, żeby go skłąć. Panikowski wtulił głowę w ramiona; Bałaganów czochrął swoje rude kędziory i żałośnie wzdychał; Bender szedł z tyłu ze spuszczoną głową i mruczał pod nosem: „Dwie dziurki w nosie i

skończyło się”. W takim nastroju dotarli do zajazdu. W głębi szopy żółciła się „Antylopa”. Kozlewicz siedział na werandzie restauracji i z radosnym sapaniem siorbał ze spodeczka gorącą herbatę. Oblicze jego było czerwone jak emaliowany garnek i rozpromienione.

- Adamie! - rzekł wielki kombinator, zatrzymując się przed kierowcą. - Straciliśmy wszystko. Jesteśmy nędzarzami. Przyjmij nas pod swoje skrzydła! Giniemy!

Kozlewicz wstał. Przed nim stał pokornie, z obnażoną głową, zrujnowany komandor. W jasnych polskich oczach Adama Kazimirowicza zabłyśły łzy. Kierowca zszedł ze schodków werandy i kolejno uściśkał wszystkich pasażerów „Antylopy”.

- Taksówka wolna! - rzekł połykając łzy. - Proszę wsiadać.

- Ale jeśli zajdzie potrzeba jechać daleko, bardzo daleko - powiedział Ostap - na koniec świata albo jeszcze dalej? Zastanów się, Adamie!

- Wszędzie, gdzie pan chce - odpowiedział wierny Kozlewicz. - Taksówka wolna!

Panikowski szlochał, tarł pięściami oczy i szeptał:

- Złote serce! Słowo uczciwego człowieka! Złote serce!

Rozdział XXIV Pogoda sprzyjała miłości

O wszystkim, co robił wielki kombinator po zagospodarowaniu się całej kompanii w zajęździe,

Panikowski wyrażał się nader krytycznie.

- Bender szaleje! - mówił do Bałaganowa. - On nas zgubi do reszty.

Istotnie, zamiast ostatnie trzydzieści cztery ruble obrócić na zakup niezbędnych artykułów żywnościowych, Bender udał się do kwaciarni i kupił za trzydzieści pięć rubli bukiet róż, olbrzymi jak klomb. Brakującego rubla pożyczył od Bałaganowa. W kwiaty wetknął karteczkę ze słowami: „Czy pani słyszy bicie mego serca?” i polecił Bałaganowowi zanieść bukiet do Zosi Sinickiej.

- Co pan wyprawia? - zapytał Bałaganów, wymachując bukietem. - Na co te zbytki?

- To nieuniknione, Szura, nieuniknione - odpowiedział Ostap. - Nie ma na to rady. Mam miękkie serce jak cielę. Zresztą trzydzieści pięć rubli to nieważne. Ważne są pobudki.

Następnie Ostap usadowił się w „Antylopie” i poprosił Kozlewicza, żeby go wywiózł gdzieś za miasto.

- Muszę trochę pomedytować w samotności o sprawach minionych i zastanowić się nad przyszłością.

Wierny Adam przez cały dzień woził wielkiego kombinatora po białych nadmorskich drogach wzdłuż domów wypoczynkowych i sanatoriów, gdzie kuracjusze człapali pantoflami, stukali młotkami w kule krokietowe lub grali w siatkówkę. Druty telegraficzne brzęczały jak struny wiolonczeli. Letnicy dźwigali w dywanowych torbach bakłażany i dynie. Młodzi ludzie, w chusteczkach do nosa na mokrych po kąpieli głowach, beczelnie przyglądali się przechodzącym kobietom i robili na ich temat uwagi; każdy z młodych mieszkańców Czernomorska miał w pogotowiu bogatą serią takich uwag.

Kiedy naprzeciw młodzieńców szły dwie kobiety, jeden z nich mówił półgłosem: „Ach, jaka śliczna ta z brzegu!” I obaj młodzieńcy pękali ze śmiechu. Bawiło ich

niesłuchanie, że kobiety nie będą wiedziały, do której z nich odnosił się komplement. A kiedy dowcipnisie spotykali na swej drodze samotną młodą kobietą, stawali nagle jak gromem rażeni i długo z podziwem kręcili głowami na znak zachwytu. Młoda kobieta rumieniała się i przebiegała na drugą stronę drogi, gubiąc sine bakłażany, co wywoływało szaloną wesołość uwodzicieli.

Ostap rozwalił się na twardym siedzeniu „Antylopy” i rozmyślał. Nie można było naciągnąć na forszę ani Połychajewa, ani Skumbriewicza, ponieważ obaj wyjechali na urlop. Zwariowany buchalter

Berlaga nie wchodził w rachubę, bo nie można było spodziewać się po nim większego udoju. A tymczasem plany Ostapa i jego gorące serce wymagały pobytu w Czernomorsku. Jak długo ten pobyt musiałby trwać, tego na razie Ostap nie mógł określić.

Nagle Ostap usłyszał znajomy zagrobowy głos i spojrzał na chodnik. Topolowym szpalerem kroczyło pod rękę niemłode już stadło. Małżonkowie niewątpliwie zdążali na plażę. Za nimi włókł się

Łochankin. Niósł damską parasolkę i koszyk, z którego wyzierał termos i prześcieradło kąpielowe.

- Barbaro! Słuchaj mnie, Barbaro! - deklamował Łochankin,

- Czego znowu chcesz, ty moje półtora nieszczęścia? - zapytała nie odwracając się Ptiburdukowa.

- Posiadać pragnę cię, Barbaro!

- Co za nudziarz! - stwierdził Ptiburdukow, również nie odwracając głowy.

Dziwny trójkąt zniknął w chmurze samochodowego kurzu.

Kiedy kurz osiadł, Bender ujrzał na tle morza i ukwieconego trawnika dużą oszkloną halę.

U podnóża szerokich schodów siedziały gipsowe lwy z umorusanymi mordami. Z atelier bił niepokojący zapach esencji gruszkowej. Ostap pociągnął nosem i polecił Kozlewiczowi, żeby się zatrzymał. Wysiadł z samochodu i znowu zaczął wciągać w płuca ożywczy aromat.

- Ze też mi to od razu nie wpadło do głowy! - mruknął, kręcąc się przy wejściu do atelier.

Zerknął na tablicę z napisem: „Pierwsza Czernomorska Wytwórnia Filmowa”, pogłodził gipsowego lwa po ciepłej grzywie, szepnął: „Golkonda”44, wszedł do „Antylopy” i szybko wrócił do zajazdu.

Całą noc przesiedział przy oknie, pisząc coś przy świetle naftowej lampy. Wiatr rozwiewał zapisane kartki papieru. Twórca wpatrywał się przez okno w niezbyt atrakcyjny krajobraz. Delikatne światło księżyca nie srebrzyło czarodziejskich pałaców. Zajazd sapał i chrapał przez sen. W mrocznych zakamarkach podwórza stukały kopytami niewidoczne konie. Groszowi spekulanci spali na wozach z głowami opartymi na swoim nędznym towarze. Jakiś koń błąkał się luzem po podwórku, ostrożnie omijał dyszle, włókł za sobą po ziemi uździenicę i wtykał pysk do wozów w poszukiwaniu owsa. W pewnej chwili koń zbliżył się do okna, przy którym siedział Ostap, oparł łeb na parapecie i smutnymi oczami patrzył na twórcę.

- Wynoś się, wynoś się, szkapo - rzekł do niego wielki kombinator. - To za mądre dla ciebie!

O świcie, kiedy zajazd zaczął się budzić, kiedy między wozami zjawił się mały chłopiec z wiaderkiem wody pokrzykując piskliwie: „Komu napoić konie?“, Ostap skończył swoje dzieło, wyjął z akt „Sprawy

Korejki” arkusz czystego papieru i wypisał na nim tytuł:

Golkonda – osada w Indiach, niegdyś siedziba słynnych szlifierni brylantów.

SZYJA

Film pełnometrażowy

Scenariusz O. Bendera

W Pierwszej Czernomorskiej Wytwórni Filmowej panował rozgardiasz, jaki widuje się tylko na końskich targach w chwili, kiedy wszyscy zajęci są łapaniem kieszonkowego złodzieja.

Przy wejściu stał strażnik. Od każdego z wchodzących żądał przepustki, ale jeśli ktoś nie miał przepustki, to także go wpuszczał. Ludzie w granatowych beretach wpadali na ludzi w roboczych kombinezonach, wbiegali na schody i natychmiast z nich zbiegali, krążyli w kółko po przedsionku, zatrzymywali się na chwilę, tocząc nieprzytomnym wzrokiem, i znowu wbiegali na schody z takim pośpiechem, jakby ich ktoś poganiał kijem. Przebiegali tu asystenci, konsultanci, eksperci, administratorzy, reżyserzy ze swymi asystentkami, elektrotechnicy, montażyści, redaktorzy, leciwe scenarzystki, dyrektorzy od przecinków i strażnicy wielkiej żelaznej pieczęci.

Ostap, który chodził po wytwórni normalnym krokiem, zorientował się w mig, że w ten sposób nigdy nie nawiąże kontaktu z tym wirującym światem. Nikt nie odpowiadał na jego pytania i nikt nie chciał zatrzymać się w pędzie.

- Trzeba będzie przyswoić sobie metody przeciwnika - pomyślał.

Ruszył przeto szybkim truchtem i natychmiast doznał wyraźnej ulgi. Udało mu się nawet zamienić dwa słowa z jakąś asystentką. Wobec tego wielki kombinator puścił się pędem i już po chwili zorientował się, że złapał właściwe tempo. Galopował teraz nos w nos z kierownikiem literackiej wytwórni.

- Scenariusz! - zawołał Ostap.

- Jaki? - zapytał w galopie kierownik literacki.

- Dobry! - odpowiedział Ostap, wysuwając się o pierś naprzód.

- Ale jaki? Niemy czy dźwiękowy?

- Niemy.

Lekko wyrzucając nogi w grubych skarpetkach, kierownik literacki wyprzedził Ostapę na zakręcie i krzyknął:

- Nie trzeba!

- Dlaczego nie trzeba? - zapytał wielki kombinator, sadząc wielkimi skokami.

- Dlatego, że nie trzeba. Niemy film już jest nieaktualny. Zajmijcie się dźwiękowcami.

Zatrzymali się na chwilę, spojrzeli na siebie osłupiałym wzrokiem i rozbiegli się w przeciwnie strony.

Po upływie pięciu minut Bender, wymachując rękopisem, biegł znowu w dobranym towarzystwie dwóch kłusujących konsultantów.

- Scenariusz! - zakomunikował Ostap, ciężko dysząc.

Konsultanci, zgodnie przebijając kończynami, obrócili się w stronę Ostapa:

- Jaki scenariusz?

- Dźwiękowy.

- Nie trzeba - odpowiedzieli konsultanci, przyspieszając kroku.

Wielki kombinator znowu wypadł z tempa i sromotnie podskoczył w miejscu.

- Dlaczego nie trzeba?

- Dlatego, że nie trzeba. Film dźwiękowy jest jeszcze nieaktualny,

W ciągu półgodzinnego sumiennego kłusowania Bender zdał sobie sprawę z drastyczności sytuacji, w jakiej znajdowała się Pierwsza Czernomorska Wytwórnia Filmowa. Drastyczność ta polegała na tym, że w związku z nastaniem ery filmów dźwiękowych nie produkowano już filmów niemych, ale jeszcze nie produkowano filmów dźwiękowych w związku z pewnymi trudnościami technicznymi, jakie się wyłoniły przy likwidacji filmu niemego.

W szczytowych godzinach pracy, kiedy galop asystentów, konsultantów, ekspertów, administratorów, reżyserów, asystentek, elektrotechników, scenarzystów i strażników wielkiej żelaznej pieczęci osiągnął zawrotne tempo słynnego w swoim czasie „Krepysza”, rozeszła się pogłoska, że gdzieś w jakimś pokoju siedzi jegomość, który organizuje terminowo kino dźwiękowe. Ostap w pełnym galopie wpadł do dużego gabinetu i stanął uderzony panującą tu ciszą. Przy biurku siedział bokiem niepokaźny jegomość z beduińską bródką, w binoklach w złotej oprawie na sznurku. Jegomość ów z wysiłkiem ściągał z nogi but.

- Czołem, towarzyszu! - zawołał głośno wielki kombinator.

Ale jegomość nie odpowiadał. Zdjął but i zaczął wytrząsać z niego piasek.

- Cześć! - odezwał się znowu Ostap. - Przyniosłem scenariusz!

Jegomość z beduińską bródką wzuł powoli but i zaczął go spokojnie zasznurowywać. Po uporaniu się z tą pracą wrócił do swoich papierów, przymrużył jedno oko i zaczął szybko kreślić na papierze jakieś drobne gryzmoły.

- Dlaczego mi nie odpowiadacie? - ryknął Bender tak głośno, że na biurku brzęknęła słuchawka telefoniczna.

Dopiero wtedy filmowiec podniósł głowę, spojrzął na Ostapa i rzekł:

- Proszę mówić głośniej. Jestem głuchy.

- Napiszcie na karteczce - doradził przebiegający przez gabinet konsultant w pstrej kamizelce. - On jest głuchy.

Ostap podszedł do biurka i napisał na kawałku papieru:

„Czy jesteście specjalistą od filmu dźwiękowego?”

- Tak - odpowiedział głuchy.

„Przyniosłem scenariusz dźwiękowy. Nazywa się: «Szyja». Dramat ludowy w sześciu częściach” - napisał szybko Ostap.

Głuchy spojrział na kartkę przez binokle w złotej oprawie i powiedział:

- Doskonale! Wciągniemy was do współpracy. Potrzebujemy nowych sił.

„Chętnie podejmę się współpracy. A co z zaliczką?” - napisał Bender.

- „Szyja!” - to jest właśnie coś dla nas! - rzekł głuchy. - Posiedźcie tutaj, zaraz wrócę. Tylko proszę się stąd nie ruszać. Za chwilę będę z powrotem.

Głuchy złapał scenariusz pełnometrażowego filmu „Szyja” i wysunął się z pokoju.

- Wciągniemy was do grupy dźwiękowej!” - zawołał znikając za drzwiami. - Zaraz wracam. Po czym

Ostap przesiedział w gabinecie półtorej godziny. Głuchy nie wracał. Dopiero kiedy Ostap wyszedł na schody i włączył się w tempo, dowiedział się, że głuchy już dawno odjechał samochodem i dziś już nie wróci. A właściwie nigdy nie wróci, bo przeniesiono go nagle do Humania, gdzie ma kierować pracą kulturalno-oświatową wśród tamtejszych furmanów. Najgorsze jednak było to, że głuchy zabrał ze sobą scenariusz pełnometrażowego filmu „Szyja”. Wielki kombinator wydostał się z kręgu galopujących, osunął się na ławkę i oparł głowę na ramieniu siedzącego tam szwajcara.

- Na przykład ja! - odezwał się nagle szwajcar, rozwijając widocznie nurtującą go od dawna myśl. -

Pomocnik reżysera Tierientiew powiedział mi, żebym zapuścił brodę. Będiesz, powiada, grał

Nabuchodonozora albo Baltazara w filmie, którego tytułu już nie pamiętam. Więc zapuściłem.

Widzisz to brodzisko? Jak u patriarchy! I co mam teraz robić z tą brodą? Pomocnik reżysera powiada: nie będziemy już kręcić niemych filmów, a w dźwiękowych grać nie możesz, bo masz nieprzyjemny głos. I siedzę z tą brodą, jak kozioł. Zgolić szkoda, a nosić wstyd. Co robić?

- A robią tu u was zdjęcia filmowe? - zapytał Ostap, chcąc zapoznać się bliżej z sytuacją.

- Jak mogą robić zdjęcia?! - zawołał brodaty szwajcar. - Nakręcili latoś niemy film z życia Rzymian i do tej pory jeszcze grozi im kryminal.

- A po co oni tak ganiają? - zapytał wielki kombinator, wskazując na schody.

- Nie wszyscy ganiają - odpowiedział szwajcar. - Towarzysz Suprugow nie gania. To jest człowiek do rzeczy. Właśnie wybieram się do niego w sprawie brody, żeby się dowiedzieć, jak mi za nią zapłaci: gotówką czy czekiem...

Na dźwięk słowa „czek” Ostap natychmiast udał się do Suprugowa. Szwajcar nie łgał. Suprugow nie skakał po piętrach, nie miał na głowie beretu, nie nosił nawet zagranicznych policyjnych bryczesów.

Wzrok przyjemnie na nim wypoczywał.

Przyjął wielkiego kombinatora bardzo oschle.

- Jestem zajęty - powiedział pawim głosem - mogę wam poświęcić tylko dwie minuty.

- Wystarczy - powiedział Ostap. - Mój scenariusz „Szyja”

- Zwięźlej! - rzucił Suprugow.

- Scenariusz „Szyja”..

- Mówcie krótko, o co wam chodzi?

- „Szyja”..

- Zwięźlej! Ile się wam należy?

- Pewien głuchy wziął ode mnie...

- Towarzyszu, jeśli nie powiecie natychmiast, ile się wam należy, wyproszę was za drzwi. Nie mam czasu!

- Dziewięćset rubli - bąknął wielki kombinator.

- Trzysta - oświadczył kategorycznie Suprugow. - Inkasujcie i wynoście się. I pamiętajcie, że zabraliście mi nadprogramowo półtorej minuty czasu.

Suprugow napisał zlecenie do buchalterii, wręczył je Ostapowi i niezwłocznie chwycił za słuchawkę telefoniczną.

Po wyjściu z buchalterii Ostap wsunął pieniądze do kieszeni i rzekł:

- Nabuchodonozor ma rację. Jedynym człowiekiem do rzeczy jest tutaj Suprugow-

A tymczasem bieranina po schodach, zamęt, piski i chichoty w Pierwszej Czernomorskiej Wytwórni

Filmowej osiągały swój punkt szczytowy. Asystentki szerzyły zęby. Pomocnicy reżysera prowadzili czarnego kozła zachwycając się jego fotogenicznością. Konsultanci, eksperci i strażnicy żelaznej pieczęci wpadali na siebie i zanosili się ochrypłym śmiechem. Przefrunęła woźna z miotłą. Wielkiemu kombinatorowi przywidziało się nawet, że jeden z asystentów-aspirantów w błękitnych spodniach wzbił się ponad tłum, okrążył żyrandol i przysiadł na gzymsie.

Nagle w przedsionku rozległo się bicie zegara.

Bammm! - dzwonił zegar.

Oszklone atelier zatrzęśło się od zgiełku i rumoru. Asystenci, konsultanci, eksperci i redaktorzy- montażyści staczali się wprost ze schodów. W drzwiach wejściowych powstał korek.

Bamm! Bamm! - dzwonił zegar.

Z kątów powoli wypełzała cisza. Zniknęli strażnicy wielkiej pieczęci, dyrektorzy od przecinków, administratorzy oraz asystentki. Po raz ostatni mignęła miotła woźnej.

Bamm! - wybił zegar po raz czwarty.

W atelier nie było już nikogo- I tylko w drzwiach, zaczepiony kieszenią o klamkę, szarpał się, kwilił żałośnie i rył kopytami marmurową podłogę asystent-aspirant w błękitnych portkach.

Dzień pracy twórczej był skończony.

Z rybackiej osady nadmorskiej dobiegało pianie koguta.

Kiedy kasa załogi „Antylopy” została podreperowana z funduszków filmowych, autorytet komandora nadwątlony przez uciezkę Korejki wydatnie się wzmacnił. Panikowskiemu wypłacono drobną sumką na kefir oraz obiecano mu złotą szczękę. Dla

Bałaganowa Ostap kupił marynarkę i na dodatkę skrzypiący jak siodło skórkowy portfel. Aczkolwiek portfel był pusty, Szura często wyjmował go z kieszeni i zaglądał do niego. Kozlewicz otrzymał pięćdziesiąt rubli na zakup benzyny.

Pasażerowie „Antylopy” wiedli niewinny, skromny, niemal wiejski żywot. Pomagali kierownikowi utrzymywać ład i porządek w zajezdzie oraz zapoznali się z cenami owsa, jęczmienia i śmietany.

Panikowski od czasu do czasu wychodził na podwórze, troskliwie otwierał pysk najbliższemu koniowi, zaglądał mu w zęby i mruczał: „Zdrowy ogier”, chociaż to była zdrowa kobyła.

Tylko komandor znikał gdzieś na całe godziny. Wracał do zajazdu pogodny i roztargniony. Siadał obok przyjaciół, którzy popijali herbatę na brudnej oszklonej werandzie, zakładał nogę na nogę i pytał przyjaciźnie:

- Czy życie naprawdę jest takie piękne, czy też tylko mnie się tak wydaje?
- Gdzie to się pan tak wałęsa? - pytał zawistnie gwałciciel konwencji.
- Staruszkule! Ta dziewczyna to kąsek nie dla ciebie - odpowiadał Ostap.

Na te słowa Bałaganów chichotał z aprobatą, a Kozlewicz uśmiechał się tylko pod szoferskim wąsem, bo już nieraz woził komandora i Zosię na przejażdżkę Szosą Nadbrzeżną.

Pogoda sprzyjała miłości. Pikowe kamizelki twierdziły, że takiego sierpnia nie było od czasów porto- franco. Noc rozpościerała czyste teleskopowe niebo, a dzień przytaczał do miasta ożywczą morską falę. Dozorcy sprzedawali w bramach pasiaste arbuzy, a nabywcy z całej siły nagniatli arbuzy i przykładali do nich ucho, żeby usłyszeć upragniony trzask. Wieczorem z boisk sportowych wracali do miasta spoceni i podnieceni piłkarze- Za piłkarzami biegły gromady wyrostków.

Chłopcy pokazywali sobie palcami słynnego bramkarza, a czasem nawet brali go na ramiona i nieśli w triumfalnym pochodzie.

Pewnego wieczoru komandor zawiadomił załogę „Antylopy”, że nazajutrz odbędzie się zbiorowa wycieczka za miasto, gdzie będą rozdane liczne upominki.

- Ze względu na: to, że nasz niewinny piknik zaszczyli swoją obecnością pewna panienka - rzekł Ostap

- prosiłbym panów ochotników, żeby umyli sobie gęby, oczyścili ubrania, a przede wszystkim powstrzymali się od używania ordynarnych wyrazów.

Panikowski ogromnie się zapalił, wyżebrał od komandora trzy ruble, pobiegł do łaźni, a potem przez całą noc czyścił się i skrobał, jak żołnierz przed paradą. Rano wstał pierwszy i poganiał Kozlewicza.

Przyjaciele spoglądali na Panikowskiego ze zdumieniem. Był gładko wygolony i przypudrowany tak, że wyglądał na emerytowanego konferansjera. Nieustannie obciągał na sobie marynarkę i z trudem poruszał szyją w kołnierzyku a la Oscar Wilde.

W czasie całej wycieczki Panikowski zachowywał się niezwykle dystyngowanie. Kiedy przedstawiano go Zosi, pochylił się w wytwornym ukłonie, ale tak się przy tym zawstydził, że nawet puder na jego policzkach zabarwił się na różowo. W samochodzie chował pod siebie lewą nogę, żeby ukryć podarty but, z którego wyglądał duży palec. Zosia była w białej sukience obszytej czerwoną tasiemką. Załoga

„Antylopy” bardzo jej się podobała. Śmieszył ją tłusciutki Szura Bałaganów, który przez całą drogę poczesywał grzebyczkiem kędziory a la Sobinow 45. Od czasu do czasu Szura podcierał nos palcem, ale zaraz potem wachlował się dystygowaniem .chusteczką do nosa. Adam Kazimirowicz wprowadzał

Zosię w tajniki sztuki szoferskiej, czym zaskarbił sobie jej sympatię. Panikowski trochę ją peszył.

Sądziła, że nie odzywa się do niej przez zarozumialstwo. Ale spojrzenie jej zatrzymywało się najczęściej na posagowym obliczu komandora.

O zachodzie słońca Ostap rozdał obiecane upominki. Kozlewicz dostał brelok w postaci kompasu, który doskonale pasował do jego cebulowatego srebrnego zegarka. Bałaganów otrzymał „Zbiorek wierszy do deklamacji” w skórzanej oprawie, a Panikowski różowy krawat w niebieskie kwiatki.

- A teraz, drodzy przyjaciele - rzekł Ostap, kiedy „Antylopa” wróciła do miasta - ja z panną Zosią pójde jeszcze na mały spacer, a wy wracajcie do zajazdu. Bye, bye.

Zajazd pogrążył się już we śnie; Bałaganów z Kozlewiczem chrapali na różne tony, a Panikowski w nowym krawacie błdził między wozami i załamywał dłonie w niemej udręce.

Sobinow - sławny tenor rosyjski.

- Co za femina! - szeptał. - Kocham ją! Kocham jak córkę!

Ostap siedział z Zosią na schodkach muzeum starożytności. Po placu spacerowała młodzież flirtując i śmiejąc się wesoło. Za szpalerem platanów widać było oświetlone okna międzynarodowego klubu marynarzy. Cudzoziemscy marynarze w miękkich czapczkach spacerowali dwójkami lub trójkami i wymieniali jakieś lakoniczne niezrozumiałe uwagi.

- Dlaczego pan mnie pokochał? - spytała Zosia, dotykając ręki Ostapa.

- Dlatego, że pani jest uroczą i niezwykłą - odpowiedział komandor - dlatego, że pani jest najlepszą dziewczyną na świecie.

Długo siedzieli w milczeniu, rozmyślając o swoim szczęściu w czarnym cieniu muzealnej kolumnady.

Było ciepło i ciemno, jak między złączonymi dłońmi.

- Czy pan pamięta, że opowiadałam panu o Korejce? - odezwała się nagle Zosia. - O tym, który mi się oświadczył?

- Tak - odpowiedział z roztargnieniem Ostap.

- To bardzo zabawny jegomość - ciągnęła Zosia. - Przypomina pan sobie, jak opowiadałam panu o jego nagłym wyjeździe?

- Owszem - odpowiedział już nieco baczniej Ostap. - To bardzo zabawny jegomość.

- Niech pan sobie wyobrazi, że dostałem dziś list od niego, bardzo zabawny list...

- Co takiego? - zawołał zakochany, zrywając się z miejsca.

- Jest pan zazdrosny? - zapytała zalotnie Zosia.

- T-tak, naturalnie. Cóż ten nędznik do pani napisał?

- To wcale nie jest nędznik. To po prostu bardzo biedny i nieszczęśliwy człowiek. Niech pan usiądzie, panie Ostapie. Dlaczego pan się zerwał? Zapewniam pana, że go nie kocham. A on prosi, żebym do niego przyjechała..

- Dokąd? Dokąd ma pani jechać? - krzyknął Ostap. - Gdzie on jest?

- O, tego panu nie powiem. Jaki z pana zazdrośnik! Gotów go pan jeszcze zabić.

- Ależ co znowu, panno Zosiu - rzekł uspokajająco komandor. - Po prostu dobrze wiedzieć, gdzie ludzie znajdują pracę.

- O, to bardzo daleko! Pisze mi, że znalazł bardzo dobrą posadę, a tutaj zarabiał grosze. Pracuje przy budowie wschodniej magistrali kolejowej.

- W jakiej miejscowości?

- Jest pan stanowczo zbyt ciekawy. Nie powinien pan być takim Otellem.

- Żartuje pani! Czy wyglądam na starego i głupiego Murzyna? Ciekaw jestem po prostu, na jakim odcinku wschodniej magistrali można teraz znaleźć pracę.

- Jeśli panu na tym zależy, to powiem. Korejko pracuje jako kontroler w północnym miasteczku na szynach - powiedziała Zosia. - Ale to się tylko tak nazywa: miasteczko. W rzeczywistości to jest pociąg.

Aleksander Iwanowicz bardzo interesująco opisał mi ten pociąg. Pociąg ten układa szyny. Rozumie pan? I po tych, przez siebie ułożonych szynach, posuwa się naprzód. A z południa zbliża się ku niemu drugie takie miasteczko. Niedługo się spotkają. Będzie to bardzo uroczyste spotkanie. Trasa prowadzi przez pustynię. Korejko wspomina o wielbłądach... Ciekawe, prawda?

- Ogromnie ciekawe - rzekł wielki kombinator, spacerując pod kolumnami. - Ale wie pani co, panno

Zosiu? Trzeba już iść. Późno. Chłodno. Chodźmy!

Pomógł Zosi wstać ze schodków, wyszedł na środek placu i zawahał się.

- Nie odprowadzi mnie pan do domu? - zapytała niespokojnie Zosia.

- Co? - rzekł Ostap. - Al odprowadzić? Kiedy widzi pani...

- Ach, tak? Do widzenia - rzekła z urazą Zosia. - I może pan już więcej do mnie nie przychodzić. Słyszysz pan?

Ale wielki kombinator już nic nie słyszał. Dopiero kiedy przebiegł spory kawałek drogi, przystanął.

- Uroczą i niezwykłą! - szepnął.

I rzucił się w pogoń za ukochaną. Jakiś czas biegł pod czarnymi drzewami. Potem znowu stanął, zdjął kapitańską czapkę i zaczął dreptać w miejscu.

- Nie, to nie jest Rio de Janeiro! - mruknął w końcu.

Zrobił jeszcze dwa niepewne kroki, znowu przystanął, nacisnął czapkę na oczy i już całkiem zdecydowanie ruszył w kierunku zajazdu.

Jeszcze tej samej nocy z bramy zajazdu wyjechała „Antylopa” z przygaszonymi światłami. Zaspany

Kozlewicz z trudem trzymał kierownicę. Bałaganów natychmiast zasnął w samochodzie, a Panikowski smętnie wodził oczami i trząsł się z zimna. Na jego policzkach widniały jeszcze ślady piknikowego pudru.

- Karnawał się skończył! - zawołał komandor, kiedy „Antylopa” przejeżdżała pod mostem kolejowym.

- Zaczynają się ciężkie dni powszednie.

A w pokoju starego autora rebusów uroczą i niezwykłą Zosia szlochała nad bukietem zwiędłych róż.

Rozdział XXV Trzy drogi

Z „Antylopą” było niedobrze. Stawała pod niewielkimi nawet górkami i bezwładnie staczała się z powrotem. W silniku słychać było jakieś nadprogramowe sapania i rżenia, jakby pod żółtą maską samochodu ktoś kogoś dusił. Samochód był przeciążony. Oprócz załogi dźwigał olbrzymie zapasy paliwa. W karnistrach i bańkach, które wypełniały całą wolną przestrzeń, bulgotała benzyna.

Kozlewicz kręcił głową, dodawał gazu i ze skrucą patrzył na Ostapę.

- Adamie - mówił komandor - jesteś naszym ojcem, a my twoimi dziećmi. Kurs na wschód! Ma pan znakomity przyrząd nawigacyjny, mianowicie kompas-brelok. Pilnuj pan kierunku!

„Antylopa” była już trzeci dzień w drodze, ale żaden z członków załogi z wyjątkiem Ostapę nie znał ostatecznego celu wyprawy. Panikowski spoglądał melancholijnie na kosmate łany kukurydzy i pytał nieśmiało:

- Dlaczego znowu gdzieś jedziemy? Po kiego diabła? Tak nam było dobrze w Czernomorsku.

Na wspomnienie „cudnej feminy” wzdychał spazmatycznie. W dodatku był głodny, a o jedzeniu nie było mowy, bo pieniądze już się wyczerpały.

- Odwagi - odpowiedział Ostapę. - Nie upadaj na ducha, staruszkule! U celu podróży czeka na ciebie złota szczeka, pulchna wdówka i cały basen kefiru. Bałaganowowi sprawią marynarskie ubranko i skierują go do szkoły podstawowej. Nauczy się tam czytać i pisać, co w jego wieku jest raczej konieczne. A Kozlewicz, nasz wiemy Adam, dostanie nowy samochód. Jaka marka panu odpowiada,

Adamie Kazimirowiczu? Studebacker, Lincoln, Royce czy Hispano-Suiza?

- Isetta-Frascini - odparł rumieniąc się Kozlewicz.

- Dobrze. Dostanie pan. Będzie się nazywała „Antylopa II” lub „Córka Antylopy”, jeśli pan woli. A narazie nie ma się co martwić. Aprowizację biorą na siebie. Wprawdzie spłonął mój sakwojaż, ale cała moja ogniotrwała pomysł. A jak już będzie z nami bardzo kiepsko, zatrzymamy się w jakimś przygodnym miasteczku i zorganizujemy tam hiszpańskie walki byków. Panikowski będzie pikadorem.

Już sam ten fakt obudzi niezdrawe zaciekawienie publiczności i zagwarantuje nam kasę.

Samochód jechał szerokim traktem, na którym widniały ślady traktorowych pazurów. Nagle kierowca zatrzymał pojazd.

- Gdzie mam dalej jechać? - zapytał. - Tu są trzy drogi do wyboru.

Pasażerowie wysiedli, rozprostowali zdrtwiałe nogi i podeszli do skrzyżowania dróg, gdzie sterczał koślawy kamienny słupek, a na nim siedziała tłusta wrona. Spłaszczone słońce zsuwało się za włochaty łan kukurydzy. Wąski cień Bałaganowa coraz bardziej wydłużał się ku horyzontowi. Właśnie zaczęło się ściemniać i gwiazda przewodnia sygnalizowała już nadchodzącą noc.

Załoga miała do wyboru trzy drogi: asfaltową, bitą i boczną. Asfalt złocił się jeszcze w blaskach zachodu, nad bitą szosą unosił się błękitny opar, natomiast boczna droga tonęła już w ciemnościach i gubiła się w polu tuż za słupkiem. Ostap huknął na wronę, która bardzo się wystraszyła, ale nie sfrunęła ze słupka.

Ostap przeszedł się tam i z powrotem i rzekł:

- Otwieram konferencję legendarnych rosyjskich bohaterów. Biorą w niej udział: Ilja Muromiec -

Ostap Bender, Dobrynia Nikiticz - Bałaganów i Alosza Popowicz - ceniony przez nas wszystkich Michaił

Panikowski.

Kozlewicz korzystając z postoju położył się pod „Antylopą” z francuskim kluczem i dlatego nie został zaliczony w poczet legendarnych bohaterów.

- Drogi Dobrynia - rozkazał Ostap - stań z łaski swojej z prawej strony. Panie Popowicz, niech pan zechce zająć miejsce z lewej strony. Przyłóżcie dłonie do czoła i wpatrujcie się w przestrzeń!

- Co to za głupie kawały? - oburzył się Alosza Popowicz. - Jestem głodny. Jedźmy dalej!

- Jak ci nie wstyd, Aloszenka! - rzekł Ostap - stań, jak przystało na legendarnego męża. I myśl! Spójrz, jak się zachowuje Dobrynia. Aż się prosi, żeby go uwiecznić w bylinach. A więc radźcie, bohaterowie, którą drogą jechać? Na której z nich leżą pieniądze na drobne wydatki? Kozlewicz, jak się domyślam, wybrałby asfalt, bo kierowca woli dobrą drogę. Ale Adam jest człowiekiem uczciwym i jako taki nie zna życia. Co witeziom po asfaltowej szosie? Na pewno prowadzi ona do jakiegoś zbożowego giganta.

Zgubimy się tam w warkocie motorów. I gotów nas rozjechać jakiś „katerpiler” lub kombajn. A śmierć pod kombajnem to bardzo smutny koniec. Nie, bohaterowie, nie pojedziemy tą drogą. Zastanówmy się teraz nad szosą. Kozlewicz zapewne nie pogardziłby także szosą. Ale wierźcie Ilji Muromcowi, że ta szosa też nie dla nas. Mogą nam zarzucać zacofanie, ale nie pojedziemy tą drogą. Przeczucie mówi mi, że spotkalibyśmy na niej gburowatych kołchoźników i tym podobnych wzorowych obywateli.

Zresztą, co nam z nich przyjdzie? Po ich upaństwowionych gruntach włączą się teraz różne brygady literatów oraz muzyków i zbierają materiał do rolniczych poematów i ogrodniczych kantat. Zatem pozostaje tylko boczna wiejska droga, obywatele bohaterowie! Spójrzcie na ten odwieczny baśniowy szlak, którym potoczy się nasza „Antylopa”! Tu ruski duch! Tu zapach Rusi! Tutaj krąży jeszcze dogasający żar-ptak, z którego ludzie naszej profesji potrafią wyskubać kilka złotych piórek. Tutaj siedzi jeszcze na swoich skrzyniach kułak Kaszczej, który myślał, że jest nieśmiertelny, a teraz widzi z przerażeniem, że zbliża się jego kres. Ale sądę, że nam uda się jeszcze coś od niego wyłudzić, zwłaszcza jeżeli przedstawimy się jako wędrowni mnisi. Z punktu widzenia techniki, droga ta jest rozpaczliwa. Ale innej drogi dla nas nie ma. Adamie! Jedziemy!

Kozlewicz ze smutną miną wjechał na ową boczną drogę, gdzie samochód natychmiast zaczął skakać, pochylać się na bok i trząść pasażerami, którzy przewracali się na siebie, kłęli i rozbijali sobie kolana i karnistry.

- Jeść mi się chce! - narzekał Panikowski. - Dajcie mi kawałek gęsi! Po co wyjechaliliśmy z

Czernomorska?

Samochód ze zgrzytem wyjeżdżał z głębokich kolein i natychmiast z powrotem w nie wpadał.

- Nie daj się, Adamie! - krzyczał Bender. - Jedź za wszelką cenę naprzód! Jeśli „Antylopa” dowiezie nas do Wschodniej Linii Kolejowej, dostanie w nagrodę złote opony z mieczami i wstęgami!

Kozlewicz nie słuchał. Piekielne wstrząsy wyrywały mu z rąk kierownicę. Panikowski nie mógł się uspokoić.

- Panie Bender - zawołał nagle - wie pan, jak pana szanuję, ale pan się na niczym nie zna. Pan nie wie na przykład, co to jest gęś. Ach, jak ja kocham tego ptaka! Słowo uczciwego człowieka, to jest rozkoszny, tuczony ptak! Gęś, panie Bender! Skrzydełko! Szyjka! Nóżka! Czy pan wie, w jaki sposób łapię gęsi? Kładę je jednym ciosem, jak toreador. Moje polowanie na gęsi to opera! Opera „Carmen”!

- Wiemy - rzekł Bender. - Podziwialiśmy już tę operę w Arbatowie. Nie radzę jej wznawiać.

Panikowski zamilkł, ale po chwili, kiedy nowy wstrząs samochodu rzucił go na Bendera, znowu rozległ się jego namiętny szept:

- Panie Bender! Gęś! Idzie sobie drogą. Ten cudowny ptak idzie drogą, a ja stoję i udaję, że mnie to nic a nic nie obchodzi. Gęś zbliża się. Zaraz zacznie na mnie syceć. Tym ptakom wydaje się, że są silniejsze od wszystkiego, co je otacza, i to jest właśnie ich słaba strona. Tak, panie Bender, na tym polega ich słabość!...

Teraz gwałciiciel konwencji już niemal śpiewał:

- Gęś zbliża się do mnie i syczy jak gramofon. Ale ja nie jestem podszyty tchórzem. Inny na moim miejscu wzięłby nogi za pas. A ja stoję i czekam. Gęś podchodzi i wyciąga szyję, białą gęsią szyję z żółtym dziobem. Chce mnie uszczypnąć. Zwracam panu uwagę, że daję mi to przewagę moralną. Bo ja jej nie atakuję. To ona mnie atakuje. I wtedy, powodowany instynktem samoobrony, chwytam jąza...

Ale Panikowski nie zdążył dokończyć, bo oto rozległ się przeraźliwy huk i wszyscy pasażerowie

„Antylopy” znaleźli się nagle na drodze w nader dziwacznych pozach. Z rowu sterczały nogi

Bałaganowa. Na brzuchu wielkiego kombinatora leżał kanister z benzyną. Panikowski jęczał rzygnięciony resorem. Kozlewicz zerwał się z ziemi i zatoczył się jak pijany.

„Antylopy” nie było. Na drodze leżała bezkształtna kupa żelastwa: tłoki, siedzenia, resory. Mosiężne rurki błyszczały w świetle księżyca. Karoseria stoczyła się do rowu i leżała obok półprzytomnego

Bałaganowa. Łańcuch ułożył się w koleinie, jak żmija. W śmiertelnej ciszy coś nagle zabrzęczało i z pobliskiego pagórka przyturlało się koło, odrzucane daleko siłą eksplozji. Koło zatoczyło łuk i legło pokornie u stóp Kozlewicza.

Dopiero wtedy kierowca zrozumiał, że wszystko przepadło. To był koniec „Antylopy”. Adam Kozlewicz usiadł na ziemi i objął głowę rękami. Po pewnym czasie komandor potrząsnął go za ramię i odezwał się zmienionym głosem:

- Adamie, ruszamy w drogę.

Kozlewicz wstał i znowu osunął się na ziemię.

- Musimy iść - powiedział Ostap. - „Antylopa” była wiernym wozem, ale przecież są jeszcze na świecie inne samochody. Wkrótce będzie pan sobie mógł wybrać taki, jaki się panu spodoba. Chodźmy.

Szkoda czasu. Musimy zdobyć jakiś nocleg, coś do jedzenia i pieniądze na bilety kolejowe. Mamy przed sobą daleką podróż. Chodź pan, chodź pan! Życie jest piękne mimo wszystkich komplikacji. A gdzie Panikowski? Gdzie ten gęsiokrad? Szura! Pomóż Kozlewiczowi!

Wzięli Adama pod rękę. Nieszczęsny kierowca czuł się jak kawalerzysta, pod którym, z jego winy, padł koń. Wydawało mu się, że teraz wszyscy piechurzy będą z niego kpili na funty.

Po katastrofie „Antylopy” życie najeżyło się nagle trudnościami. Wędrowcy musieli nocować w szczerym polu.

Ostap natychmiast mocno zasnął; Bałaganów i Kozlewicz także zapadli w sen; tylko Panikowski całą noc siedział przy ognisku i dygotał.

Skoro świt ruszyli w drogę, ale dopiero o czwartej po południu dotarli do pierwszej wsi. Panikowski przez cały czas zostawał w tyle. Utykał na nogę. Oczy świeciły mu z głodu jak u wilka. Bez przerwy narzekał na los i na komandora. Kiedy znaleźli się we wsi, Ostap zostawił załogę na Trzeciej Ulicy i polecił, aby nigdzie się nie rozłaziła, a sam udał się na Pierwszą Ulicę do Rady Gminnej. Wrócił stamtąd dosyć prędko.

- Wszystko załatwione - rzekł z zadowoleniem w głosie. - Zaraz dostaniemy kwaterę i obiad. Po obiedzie utniemy sobie drzemkę na sianie. Pamiętajcie? Mleko i siano! A wieczorem damy przedstawienie. Sprzedałem je z góry za piętnaście rubli. Pieniądze mam w kieszeni. Ty, Szura, będziesz musiał zadeklamować jakiś wiersz z książeczki, którą dostałeś ode mnie w prezencie, ja będę pokazywał antyreligijne sztuki karciane, a Panikowski... A co się dzieje z Panikowskim? Gdzie on się podziewa?

- Był tutaj przed chwilą - odpowiedział Kozlewicz.

Ale w tej samej chwili za płotem, pod którym toczyła się rozmowa, rozległo się przeraźliwe gęganie i pisk jakiejś baby, w powietrzu zakotłowało się białe pierze i na drogę wyskoczył Panikowski.

Widocznie doświadczonego toreadora zawiodła w tym wypadku ręka i kierowany instynktem samoobrony, popełnił jakiś błąd taktyczny. Za Panikowskim biegła gospodyni wymachując drągiem.

- Nędzna, nikczemna baba! - krzychał Panikowski, uciekając w pole.

- A to gamoń! - zawołał Ostap, nie ukrywając złości. Zerwał nam przedstawienie. Wiejmy, zanim odbiorą nam gotówkę.

Tymczasem rozjuszona gospodyni dogoniła Panikowskiego i z całej siły zdzieliła go kijem przez plecy.

Gwałcieciel konwencji upadł, ale natychmiast zerwał się i zaczął uciekać z niesamowitą szybkością.

Gospodyni, po zaspokojeniu żądzy zemsty, spokojnie zawróciła do domu. Przechodząc obok eks- pasażerów „Antylopy” pogroziła im kijem.

- Koniec naszej kariery artystycznej - rzekł Ostap, szybkim krokiem opuszczając wioskę. - Diabli wzięli wypoczynek i obiad.

Panikowskiego dogonili dopiero na trzecim kilometrze. Leżał w przydrożnym rowie i głośno zawodził.

Ze strachu, zmęczenia i bólu twarz mu pobladła i zniknęły z niej czerwone, starcze wypieki. Wyglądał tak żałośnie, że komandor zrezygnował na razie z rozprawy. - - Dostało się Aloszy Popowiczowi po nakomitym karku - odezwał się Ostap, mijając Panikowskiego.

Cała załoga „Antylopy” obrzuciła Panikowskiego pogardliwym spojrzeniem. Po czym Panikowski wstał i powłókł się za towarzyszami, pojękując i pomrukując:

- Zaczekajcie na mnie. Zwolnijcie! Jestem stary, chory. Ledwo idę!... Gęś! Udko! Szyjka! Femina!.

Jesteście nędzne, nikczemne kreatury!...

Ale koledzy już tak przywykli do ciągłych utyskiwań starca, że nie zwracali na nie uwagi. Głód gnał ich naprzód. Dawno już nie było im na świecie tak ciasno i niewygodnie. Wędrowka ciągnęła się w nieskończoność i Panikowski coraz wyraźniej pozostawał w tyle. Przyjaciele zeszli już dawno w wąską żółtą dolinę, a sylwetka gwałcieciela konwencji wciąż jeszcze czerniała na wzgórzu, na lazurowym tle zmierzającego nieba.

- Już nie do wytrzymania z tym dziadygą - odezwał się zgłodniały Bender. - Trzeba go będzie zwolnić ze stanowiska. Szura, sprowadź tu tego symulanta!

Szura niechętnie zawrócił, żeby spełnić polecenie komandora. W czasie kiedy piął się pod górę, sylwetka Panikowskiego nagle zniknęła.

- Musiało się coś stać - odezwał się po chwili Kozlewicz, patrząc na szczyt wzgórza, skąd Bałaganów dawał rękami jakieś znaki.

Szofer i komandor ruszyli pod górę.

Gwałcieciel konwencji leżał w poprzek drogi, bezwładnie jak kukła. Różowa wstążka krawata ukośnie przecinała mu pierś. Jedna jego ręka była podwinięta pod plecy. Oczy zuchwale patrzyły w niebo.

Panikowski nie żył.

- Udar serca - oświadczył Ostap, żeby coś powiedzieć. - Mogę postawić tę diagnozę nawet bez stetoskopu. Biedy stary!

Odwrócił się. Bałaganów w osłupieniu patrzył na nieboszczyka. Nagle twarz mu się wykrzywiła i ze ściśniętego gardła wybiegł szept:

- A ja go jeszcze pobiłem za te ciężarki. I w ogóle wciąż mu dokuczałem.

Kozlewicz przypomniał sobie rozbitą „Antylopę”, spojrział ze zgrozą na Panikowskiego i zaintonował łacińską pieśń żałobną.

- Daj pokój, Adamie! - rzekł wielki kombinator. - Z góry wiem, co pan zamierza zrobić. Po odśpiewaniu psalmu powie pan: „Bóg dał, Bóg wziął”, potem: „Wszyscy jesteśmy w ręku Boga”, a następnie jeszcze coś równie bezsensownego, jak. na przykład: „Jemu jest teraz lepiej niż nam”. Wszystko to nie ma sensu, Adamie Kozlewiczu. W tej chwili stoi przed nami bardzo konkretne zadanie: pogrzebać ciało w ziemi.

- Było już zupełnie ciemno, kiedy przyjaciele znaleźli wreszcie odpowiednie miejsce wiecznego spoczynku dla gwałciciela konwencji. Był to istny grobowiec wymyty deszczami, u stóp kamiennej, pionowo sterzącej płyty. Płyta owa musiała tu już stać od wielu lat. Może niegdyś widniał na niej napis: „Dobra emerytowanego majora Georgija Afanasiewicza Wołk-Lisickiego”, a może był to po prostu przydrożny kamień z czasów Potiomkina, ale to nie miało w tej chwili znaczenia. Ciało

Panikowskiego złożono w dole, „antylopowcy” ukopali kijami trochę ziemi i zasypali zwłoki. Następnie przyjaciele podparli ramionami rozchwianą z biegiem lat płytę i przykryli nią mogiłę.

Grobowiec był gotów. Przy świetle zapalki wielki kombinator wypisał na kamieniu kawałkiem cegły następujące epitafium:

Tu spoczywa

MICHAŁ SAMUELEWICZ PANIKOWSKI

Obywatel bez uprawnień

Ostap zdjął kapitańską czapkę i rzekł:

- Byłem często w stosunku do nieboszczyka bezwzględny. Ale, niestety, nieboszczyk nie był przyzwoitym człowiekiem. Udawał niewidomego, podawał się za syna lejtnanta Szmidta i kradł gęsi.

Robił, co mógł, aby żyć kosztem społeczeństwa. Ale społeczeństwo nie miało ochoty ponosić takich kosztów. Michał Samuelewicz nie mógł strawić tej sprzeczności poglądów, jako że miał bardzo kłótniwe usposobienie. I wobec tego musiał umrzeć. Amen!

Kozlewiczowi i Bałaganowowi nie trafiło do przekonania to pośmiertne wspomnienie. Uważali, że byłoby dużo stosowniej, gdyby wielki kombinator mówił o zasługach społecznych nieboszczyka, o jego współczuciu dla ubogich, o miłości dla dzieci i tysięcy innych zalet, jakie przypisuje się wszystkim naszym kochanym nieboszczykom. Bałaganów zbliżył się nawet do mogiły, żeby uzupełnić po tej linii przemówienie Ostapa, ale komandor nacisnął czapkę na głowę i szybkim krokiem ruszył w dalszą drogę.

Kiedy niedobitki załogi „Antylipy” minęły dolinę i znalazły się na szczycie następnego pagórka, oczom ich ukazała się mała stacyjka kolejowa.

- Znowu wracamy do cywilizowanego świata - rzekł Ostap. - Kto wie, czy na tej stacyjce nie ma bufetu i czy nie uda nam się tutaj pożywić. Przenocujemy w poczekalni na ławkach. A jutro rano ruszymy w dalszą drogę na wschód. Co wy na to?

Szofer i mechanik pokładowy milczeli.

- Cóż tak milczycie jak nowożeńcy?

- Wie pan, panie Bender - odezwał się w końcu Bałaganów - ja z panem nie pojadę. Niech się pan nie gniewa, ale straciłem wiarę. Nie wiem, dokąd mamy jechać i co nas tam czeka. Zostaję.

- Właśnie chciałem to samo powiedzieć - dodał Kozlewicz.

- Jak wam się podoba - odpowiedział na to Ostap z zadziwiającą obojętnością.

Bufetu na stacji nie było. W poczekalni oświetlonej naftową lampą drzemały na workach dwie baby.

Cały personel kolejowy wyległ na peron z desek i niespokojnie wpatrywał się w poranny mrok za semaforem.

- Na jaki pociąg czekacie? - zapytał Ostap.

- Specjalny - odpowiedział nerwowo naczelnik stacji, poprawiając czerwoną czapkę ze srebrnym galonem. - Ma dwie minuty spóźnienia. Przetrzymano go na poprzedniej stacji.

Nagle rozległo się głucho dudnienie, zadrzżały druty, w mroku błysnęły wilcze ślepie i krótki, lśniący pociąg wpadł z impetem na stacyjkę. Błysnęły szerokie okna pulmanów, przed samym nosem

„antylopowców” przesunęły się bukiety kwiatów i butelki wina w wagonie restauracyjnym; konduktorzy z latarkami w ręku wyskoczyli w biegu na peron i stacyjka napełniła się nagle wesołym gwarem mowy rosyjskiej i obcej. Wagony udekorowane były girlandami i transparentami głoszącymi:

„Pozdrawiamy bohaterskich budowniczych Wschodniej Magistrali Kolejowej”

Pociąg specjalny wiozł właśnie gości na uroczystość otwarcia nowego szlaku kolejowego.

Wielki kombinator zniknął na chwilą, ale zaraz wrócił i szepnął:

- Ja jadę! Wprawdzie jeszcze nie wiem jak, ale wiem, że jadę. Chcecie jechać ze mną? Pytam po raz ostatni.

- Nie - odpowiedział Bałaganów-

- Nie pojedę - rzekł Kozlewicz. - Nie mam siły.

- A co zrobicie?

- A cóż ja mogę robić? - odpowiedział Szura - znów będę synem lejtnanta Szmidta.

- A ja spróbuję zebrać do kupy „Antylope” - rzekł ze smutkiem Adam Kazimirowicz. - Pójdę do niej, obejrzę, zabiorę się do remontu.

Ostap chciał jeszcze coś powiedzieć, ale przeciągły gwizd zamknął mu usta. Objął Bałaganowa, pogłodził go po plecach, ucałował Kozlewicza, machnął ręką i pobiegł do pociągu, którego wagony właśnie stuknęły o siebie wskutek gwałtownego szarpnięcia parowozu. Ale nagle zawrócił, podbiegł do Kozlewicza i wsunął mu do ręki piętnaście rubli zainkasowane za przedstawienie, po czym wskoczył w biegu na stopień pociągu.

Kiedy obejrzał się za siebie, zobaczył w błękitnej mgle dwie malutkie postacie wspinające się po nasypie. Bałaganów wracał do niepewnego zawodu syna lejtnanta Szmidta. Kozlewicz szedł na poszukiwanie szczątków „Antylopy”.

Część trzecia

Osoba prywatna

Rozdział XXVI Pasażer pociągu specjalnego

Przy asfaltowym peronie Dworca Riazańskiego w Moskwie stał pociąg specjalny. Składał się z sześciu zaledwie wagonów: bagażowego, gdzie tym razem zamiast багаżu

umieszczono na łodzi zapasy żywności; restauracyjnego, z którego wyglądał ubrany na biało kucharz; reprezentacyjnej salonki oraz trzech wagonów osobowych, gdzie na miękkich siedzeniach okrytych ponurymi pokrowcami w pasy mieli się rozlokować członkowie delegacji robotniczych tudzież krajowi i zagraniczni korespondenci.

Celem podróży było miejsce, gdzie miało nastąpić połączenie szyn Wschodniej Magistrali Kolejowej, układanych z dwóch przeciwnych stron równocześnie.

Podróż miała trwać długo. Wydelegowani na urozystość przodownicy pracy umieszczali na siatkach podróżne koszyki zamykane na żelazny pręt i na kłódkę. Przedstawiciele prasy krajowej uwijali się po peronie, wymachując lakierowanymi walizkami z dykty.

Cudzoziemcy pilnowali bagażowych, którzy wnosili do wagonów ciężkie skórzane walizy, kufrы i pudła, usiane kolorowymi nalepkami różnych biur turystycznych i towarzystw okrętowych.

Pasażerowie zdążyli już zaopatrzyć się w książeczkę „Magistrala Wschodnia”, której okładka przedstawiała wielbłąda obwążującego szyny kolejowe. Książeczkę tę sprzedawano na peronie. Jej autor, dziennikarz Pałamidow, już kilka razy przeszedł obok wózka z książkami, patrząc z zazdrością na nabywców. Pałamidow uchodził za znawcę Magistrali i jechał tam już po raz trzeci.

Zbliżała się godzina odjazdu, ale sceny pożegnalne zupełnie nie przypominały odejścia normalnego pasażerskiego pociągu. Na peronie nie było ani jednej staruszki i nikt nie wystawiał za okno niemowlęcia, aby mogło jeszcze raz spojrzeć na dziadunia. Nie było też na peronie żadnego staruszka, w którego wyblakłych oczach maluje się zazwyczaj paniczny lęk przed kolejowymi przeciągami. A także nikt się nie całował. Delegację przodowników pracy odwiedzi na dworzec działacze związków zawodowych, którzy nie zdążyli jeszcze ustawić zagadnienia pożegnalnych pocałunków.

Korespondentów moskiewskich odprowadzali koledzy redakcyjni, zwykli w takich wypadkach poprzestawać na uściskach dłoni. A korespondenci zagraniczni, w łącznej liczbie trzydziestu osób, jechali na otwarcie Magistrali w pełnym składzie, z żonami i gramofonami, więc już nie miał ich kto odprowadzać.

Uczestnicy wyprawy, wobec tak podniosłej chwili, mówili głośniejszym głosem niż zwykle, sięgali niepotrzebnie po notesy i mieli pretensję do odprowadzających, że nie towarzyszą im w tak interesującej podróży.

Najbardziej hałasował dziennikarz Lavoisian. Był to człowiek o młodzieńczym sercu, chociaż przez jego kędziory, jak księżyc w dżungli, prześwitywała łysina.

- Aż przykro na was patrzeć! - wołał do odprowadzających. - Nie macie wyobrażenia, co to jest

Wschodnia Magistrala!

Gdyby nie to, że wojowniczy Lavoisian miał ręce zajęte potężną maszyną do pisania w ceratowym dorożkarskim pokrowcu, kto wie czy nie pobiłby któregoś z przyjaciół, tak był przejęty i zapalony do swoich dziennikarskich zadań. Najchętniej już w tej chwili wysłałby do swojej redakcji błyskawiczną depezę, tylko nie miał na razie o czym.

Członek redakcji organu związków zawodowych Uchudszański, który przybył na dworzec wcześniej od innych, wolnym krokiem przechadzał się po peronie. Pod pachą trzymał książkę Siemionowa-Tiań-

Szańskiego pod tytułem: „Turkiestan, wyczerpujące studium geograficzne, podręcznik oraz przewodnik dla Rosjan”, wydaną w 1903 roku. Uchudszański zatrzymywał się przy grupkach odjeżdżających oraz odprowadzających i zwracał się do nich z odcieniem ironii w głosie:

- Wyjeżdżacie? No, no!

Albo:

- Zostajecie? No, no!

W ten sposób dotarł do parowozu. Długo, z zadartą głową przyglądał się lokomotywie, a w końcu odezwał się do maszynisty:

- Pracujecie? No, no!

Następnie dziennikarz Uchudszański wszedł do przedziału, rozłożył ostatni numer organu związków zawodowych i zagłębił się w lekturze własnego artykułu: „Usprawnić pracę komisji sklepowych” opatrzonego podtytułem: „Komisje reorganizują się w sposób niezadowolający”. Artykuł zawierał sprawozdanie z jakiejś narady produkcyjnej, a stosunek autora do opisywanej narady można by streścić w jednym krótkim zdaniu: „Naradzacie się? No, no!” Uchudszański czytał aż do odjazdu.

Jeden z odprowadzających, jegomość z różowym pluszowym nosem i aksamitnymi skroniami, wygłosił proroctwo, które wszystkich napełniło trwogą.

- Znam takie wyprawy - oświadczył. - Sam brałem w nich udział. Mogę wam wszystko przepowiedzieć.

Jest was tu około setki. Będziecie w drodze co najmniej miesiąc. Dwóch spośród was zostanie przez gapiostwo na małej zapadłej stacyjce, bez pieniędzy i bez dokumentów! Dogonią pociąg dopiero po tygodniu, wygłodzeni i obdarci. Komuś nieuchronnie ukradną walizkę. Może Pałamidowowi, może

Lavoisianowi, a może Nawrockiemu. Poszkodowany, przez całą drogę będzie narzekał i zamęczał towarzyszy prośbą o pożyczanie pędzla do golenia. Będzie zwracał pędzel nie opłukany z mydła, a miseczkę do golenia gdzieś zgubi. Ktoś na pewno umrze, a najbliżsi koledzy zamiast jechać dalej, będą zmuszeni odwiedzić ukochane zwłoki do Moskwy. Taka podróż ze zwłokami jest bardzo nudna i niemiła. Poza tym w drodze będą jakieś nieporozumienia. To jest nieuniknione. Któryś z was, powiedzmy wyżej wymieniony Pałamidow lub Uchudszański, popełni jakiś czyn aspołeczny. Będziecie długo i z uporem wałkowali jego postępek, a on będzie się tłumaczył z płaczem i lamentem. Już ja to dobrze znam! Wyjeżdżacie w kapeluszach i czapkach, a wróćcie w myckach. Najgłupszy z was zafunduje sobie kompletny strój buharskiego Żyda: aksamitną czapkę obszytą futrem szakala i chałat z grubej pikowanej kołdry. Oczywiście co wieczór będziecie śpiewali w wagonie „Stieńkę Razina”, rycząc jak stado baranów: „I wyrzucił ją za burtę w ukochanej rzeki toń”. Ba, nawet cudzoziemcy będą śpiewali: „Wołga, Wołga, mat' radnaja”, „Wołga, Wołga notre chere mère” i tak dalej.

Levoisian był oburzony i zamierzył się na proroka maszyną do pisania:

- Mówicie to przez zazdrość! - zawołał. - A właśnie, że nie będziemy śpiewali.

- Będziecie, będziecie, moi mili. To jest nieuniknione. Już ja się na tym znam.

- Nie będziemy.

- Będziecie. I jeżeli jesteście ludźmi uczciwymi, to wkrótce zawiadomicie mnie o tym listownie.

Nagle rozległ się stłumiony okrzyk: to z dachu wagonu bagażowego spadł fotoreporter Mieńszow.

Wlaził tam, żeby utrwalić na taśmie moment odjazdu. Mieńszow poleżał chwilę na peronie oburącz trzymając nad głową aparat fotograficzny. Następnie wstał, sprawdził starannie migawkę i ponownie wdrapał się na dach.

- Spadliście? - zapytał Uchudszański, wychylając się z gazetą w rękę z okna.

- Co to za upadek? - odparł lekceważąco fotoreporter. - Trzeba było widzieć, jak leciałem po spiralnym torze w Parku Kultury!

- No, no! - powiedział na to przedstawiciel organu związków zawodowych i zniknął z okna.

Mieńszow wdrapał się na dach, przykleknął na jedno kolano i zabrał się do roboty. Z peronu przyglądał mu się z gorącym podziwem pisarz norweski, który umieścił już swój bagaż w przedziale i wyszedł się przespacerować. Miał jasne dziecięce włosy i okazały nordycki nos. Zręczność i odwaga

Mieńszowa tak mu za imponowała, że zapragnął koniecznie podzielić się z kimś swoim zachwytem.

Podszedł więc szybkim krokiem do starego przodownika pracy z Triechgorki, przytknął mu wskazujący palec do piersi i zawołał przesywającym głosem:

- Wy!!!

Następnie dotknął wskazującym palcem własnej piersi i równie przesywająco krzyknął:

- Ja!!!

Po wyczerpaniu w ten sposób całego zapasu rosyjskich słów Norweg uśmiechnął się uprzejmie i pobiegł do swego wagonu, bo właśnie rozległ się drugi dzwonek. Przodownik pracy także udał się do swego przedziału. Mieńszow zlaźł z dachu. Zaczęto kiwać sobie na pożegnanie głowami, wymieniać ostatnie uśmiechy, a przez peron przebiegł felietonista w czarnym palcie z aksamitnym kołnierzem.

Kiedy ostatni wagon pociągu przejeżdżał już pierwszą zwrotnicę, z bufetu wybiegli dwaj bracia- korespondenci: Lew Rubaszkin i Jan Skamiejkin. W zębach Skamiejkina tkwił jeszcze sznycel po wiedeńsku. Bracia, skacząc jak młode psiaki, przebiegli peron, zeskoczyli na szyny i dopiero tu, między tłustymi od smarów podkładami, zrozumieli, że już nie dogonią pociągu.

A pociąg, opuszczając budującą się Moskwę, intonował już swoją ogłuszającą pieśń. Dudnił kołami, rechotał szatańskim śmiechem pod mostami i dopiero kiedy się zanurzył w podmiejskich lasach, uspokoił się nieco i zwiększył tempo. Musiał przecież zatoczyć na powierzchni kuli ziemskiej olbrzymi - uk, musiał przebiec przez kilka stref klimatycznych, od kontynentalnego klimatu moskiewskiego do tropikalnych upałów pustynnych, musiał minąć mnóstwo większych i mniejszych miast, musiał wyprzedzić czas moskiewski o cztery godziny.

Pierwszego dnia podróży pod wieczór w wagonie korespondentów radzieckich zjawili się dwaj reprezentanci świata kapitalistycznego: przedstawiciel austriackiego organu postępowych - Heinrich oraz amerykański dziennikarz Hiram Burman. Przyszli nawiązać kontakt. Pan Heinrich był mężczyzną niedużego wzrostu. Mister Hiram miał na głowie miękki kapelusz z zadartym rondem. Obaj dość biegle i poprawnie mówili po

rosyjsku. Przez pewien czas goście oraz gospodarze stali w milczeniu na korytarzu i przyglądali się sobie z zainteresowaniem. Potem zaczęli rozmowę o Teatrze Artystycznym.

Heinrich ocenił ten teatr bardzo pochlebnie, a mister Burman oświadczył wymijająco, że on, jako syjonista, najbardziej interesuje się w ZSRR zagadnieniem żydowskim.

- Takiego zagadnienia u nas już nie ma - rzekł na to Pałamidow.
- Jak może go nie być? - zdziwił się Hiram.
- Nie ma go. Nie istnieje.

Mister Burman zdenerwował się. Przez całe życie pisywał artykuły na temat zagadnienia żydowskiego i żał by mu było rozstać się z tym problemem.

- A przecież w Rosji są Żydzi? - odezwał się ostrożnie.
- Są - odpowiedział Pałamidow.
- Wobec tego musi także być zagadnienie żydowskie.
- Nie. Żydzi są, a zagadnienia nie ma.

Atmosfera pełna napięcia, jaka się nagle wytworzyła na korytarzu, została rozładowana przez ukazanie się Uchudszańskiego, który z ręcznikiem przewieszonym przez ramię wędrował do toalety.

- Gawędzicie? - powiedział, zataczając się po korytarzu. - No, no!

Kiedy czysty i zadowolony z siebie wracał z kropelkami wody na skroniach do swego przedziału, dyskusja toczyła się już na całej długości korytarza. Wszyscy radzieccy dziennikarze wyszli ze swoich przedziałów, z sąsiedniego wagonu przyszło kilku przodowników pracy, a także przybyło jeszcze wóch cudzoziemców: korespondent włoski z faszystowskim znacznikiem w postaci topora w wiązce liktorskich różeg oraz niemiecki profesor-orientalista, jadący na uroczystość jako gość Woksu. Front sporu był bardzo rozległy i przebiegał od budowy socjalizmu w ZSRR, aż do wchodzących na

Zachodzie w modę męskich beretów. I na każdym punkcie, bez względu na jego wagę i charakter, powstawały zasadnicze różnice zdań.

- Spieracie się? No, no - powiedział Uchudszański, znikając w swoim przedziale.

W ogólnym gwarze można było uchwycić tylko poszczególne urywki zdań.

- Jeżeli tak - mówił pan Heinrich, łapiąc działacza robotniczego Suworowa za guzik - to dlaczego od trzynastu lat tylko gadacie? Dlaczego nie robicie światowej rewolucji, o której mówicie od świtu do nocy? Widocznie nie możecie tego dokonać. W takim razie przestańcie tyle gadać!

- Wcale nie zamierzamy robić u was rewolucji. Zrobicie to sami.
- Ja? Nie, ani myślę robić rewolucji.
- Wobec tego zrobią to inni, nie pytając was o pozwolenie.

Mister Hiram Burman stał oparty o ścianę wagonu obitą wytłaczaną skórą i obojętnie spoglądał na dyskutujących. Kwestia żydowska zaraz na początku rozmowy wpadła w jakąś szparę w dyskusji i zginęła w niej bezpowrotnie, a żaden inny temat nie był w stanie przykuć jego uwagi. Od grupy, w której niemiecki profesor wypowiadał się z aprobatą o radzieckich małżeństwach, stawiając je wyżej od małżeństw kościelnych, odłączył się radziecki dziennikarz pisujący wierszowane felietony i posługujący się

pseudonimem „Gargantua”. Podszedł do zadumanego Hirama i zaczął mu coś z zapalem tłumaczyć. Hiram słuchał, ale już po chwili zorientował się, że nic a nic nie rozumie.

Tymczasem Gargantua nieustannie poprawiał coś w ubraniu Hirama, przesuwając węzeł jego krawata, strzepywał z niego jakieś pyłki, zapinał i rozpinął guzik przy jego marynarce. Gargantua mówił głośno i na pozór dość wyraźnie, ale jakiś nieuchwytny defekt w wymowie zamieniał jego słowami niezrozumiałe bełkot. Niestety, Gargantua bardzo lubił mówić i po każdym zdaniu wymuszał na rozmówcy przyznanie mu racji.

- Nieprawdaż? - mówił, kiwając głową, jakby miał ochotę wydziobać swoim okazałym nosem jakieś apetyczne ziarenko. - Może nie mam racji?

Niestety, w przemówieniach Gargantui tylko te słowa były zrozumiałe. Reszta zlewała się w jakiś nieartykułowany bełkot. Mister Burman przez grzeczność potakiwał gadule, ale przy pierwszej okazji drapnął. Ponieważ wszyscy w podobny sposób przyznawali rację Gargantui, uważał się za człowieka, który każdego i w każdej kwestii potrafi przekonać.

- Nie umiecie z ludźmi rozmawiać - oświadczył Pałamidowowi. - A ja go przekonałem. Dowiodłem mu przed chwilą, i musiał mi przyznać rację, że kwestia żydowska wcale u nas nie istnieje. Może nie mam racji?

Pałamidow nic nie zrozumiał, kiwnął głową i zaczął przysłuchiwać się rozmowie niemieckiego orientalisty z konduktorem. Konduktor już dawno miał ochotę włączyć się do dyskusji, ale dopiero teraz znalazł odpowiedniego partnera. Najpierw zapytał o zawód, a także nazwisko oraz imię rozmówcy, następnie odstawił w kąt miotłę i płynnie rozpoczął:

- Nie słyszeliście jeszcze pewno, obywatelu profesorze, że w Azji Środkowej żyją zwierzęta zwane wielbłądami. Wielbłąd ma na grzbiecie takie dwa pagórki. Otóż miałem znajomego kolejarza...

Nazywał się towarzysz Dołżnostiuk i pracował w bagażowni... Musieliście o nim słyszeć... Otóż

Dołżnostiuk usiadł na takim wielbłądzie, między tymi pagórkami, i dzielił go batem. Wielbłąd tak się rozzłościł, że ścisnął go tymi pagórkami i omal go na śmierć nie udusił. Na szczęście Dołżnostiuk zdążył w ostatniej chwili zeskoczyć. O, bo to był dzielny kolejarz, na pewno słyszeliście o nim. A wielbłąd ze złości opluł mu mundur, świeżo odebrany z pralni...

Wieczne rozmowy dogasały. Zetknięcie się dwóch światów miało dość pomyślne zakończenie. Do rękoczynów szczęśliwie nie doszło. Koegzystencja dwóch krańcowo różnych ustrojów - kapitalistycznego i socjalistycznego - miała trwać w tym specjalnym pociągu co najmniej miesiąc.

Wróg światowej rewolucji, obywatel Heinrich, opowiedział jeszcze jakiś stary kolejowy dowcip, po czym wszyscy udali się do wagonu restauracyjnego na kolację, przechodząc po ruchomych pomostach między wagonami i mrużąc oczy w podmuchach gwałtownych przeciągów. Jednakże w wagonie restauracyjnym towarzystwo podzieliło się na grupy narodowościowe, które zaczęły się nawzajem bacznie obserwować. Zagranica, reprezentowana przez korespondentów najpoważniejszych dzienników i agencji telegraficznych całego świata, energicznie rzuciła się na żytniówkę i z bezbrzeżną pobłażliwością przyglądała się przodownikom pracy w buciorach z cholewami oraz radzieckim dziennikarzom, którzy przyszli na kolację po domowemu, w rannych pantoflach i bez krawatów.

Towarzystwo w wagonie restauracyjnym było bardzo mieszane: siedział tam nowojorski maniak, mister Burman, i młoda Kanadyjka, która przybyła zza oceanu na godziną przed odejściem pociągu specjalnego i pewnie tylko dlatego kręciła skołowaną głową nad kotлетem spoczywającym na odłącznym metalowym półmischku, i japoński dyplomata, i jakiś inny, znacznie młodszy Japończyk, i pan Heinrich, z niewiadomej przyczyny uśmiechający się nieustannie swymi żółtymi oczami, i młody dyplomata angielski o smukłej tenisowej sylwetce, i niemiecki orientalista, który niedawno ze świętą cierpliwością wysłuchiwał opowiadania konduktora o istnieniu osobliwego zwierzęcia z dwoma pagórkami na grzbiecie, i ekonomista amerykański, i jakiś Czech, i jakiś Polak, i czterech korespondentów amerykańskich, z których jeden był pastorem, zatrudnionym w redakcji organu stowarzyszenia młodzieży chrześcijańskiej, i stuprocentowa Amerykanka z zasłużonej pionierskiej rodziny, nosząca holenderskie nazwisko, która wstawiała się tym, że w ubiegłym roku spóźniła się w

Mineralnych Wodach na pociąg i przez pewien czas ukrywała się w celach reklamowych w dworcowym bufecie (wydarzenie to wywołało wielką sensacją w amerykańskiej prasie; przez trzy dni ukazywały się w prasie amerykańskiej artykuły pod atrakcyjnymi tytułami: „Panna z dobrej rodziny w szponach dzikich kaukaskich rozbójników” i „Okup lub śmierć”) tudzież wielu innych. Jedni odnosili się wrogo do wszystkiego co radzieckie, drudzy usiłowali jak najprędzej zgłębić tajniki zagadkowej psychiki Azjatów, jeszcze inni starali się rzetelnie wnikać we wszystko, co się działo w

Związku Radzieckim.

Reprezentanci Kraju Rad prowadzili przy stolikach ożywione rozmowy. Przodownicy pracy przynieśli do wagonu restauracyjnego własne zapasy żywności zawinięte w papier i popijali je herbatą ze szklanek umieszczonych w podstawkach z białego metalu pochodzącego z fabryk Kruppa. Zamożniejsi od nich dziennikarze pozamawiali sznycle, a Lavoisian, opanowany nagle słowiańską dumą, postanowił zaimponować cudzoziemcom i zamówił cynaderki saute. Nie zjadł ich wprawdzie, bo od najmłodszych lat nie znosił tej potrawy, ale miał dobre samopoczucie i mierzył cudzoziemców wyzywającym spojrzeniem. Skład pasażerów radzieckich przedstawiał się także dość różnorodnie. Był tam robotnik wydelegowany w tę podróż uchwałą walnego zebrania załogi i budowniczy

Stalingradzkiej Fabryki Traktorów, który dziesięć lat temu walczył w czerwonych szeregach z

Wranglem na tym samym polu, gdzie obecnie wznosi się kombinat traktorowy, i tkacz z Sierpuchowa, interesujący się Wschodnią Magistralą dlatego, że miała ona przyspieszyć dostawę bawełny do włókienniczych ośrodków kraju.

Siedzieli tu metalowcy z Leningradu, górnicy z Donbasu, maszynista z Ukrainy i przewodniczący delegacji w białej rosyjskiej rubaszce z wielką bucharską gwiazdą, którą otrzymał za walkę z emirem.

Jakżeby się zdziwił dyplomata o sylwetce tenisisty, gdyby się dowiedział, że niepozorny, skromny wierszokleta Gargantua był ośmiokrotnie brany do niewoli przez różnych hajdamackich atamanów, a raz nawet omal nie został rozstrzelany przez machnowców, o czym niechętnie opowiadał, gdyż wspomnienie chwili, kiedy z przestrzelonym ramieniem wygrzebywał się z masowej mogiły, sprawiało mu przykrość.

Przedstawiciel chrześcijańskiej młodzieży złapałby się pewnie za głowę na wiadomość, że wesoły

Pałamidow był niegdyś przewodniczącym trybunału wojennego, a Lavoisian, przebrany w celach reporterskich za kobietę, brał pewnego razu udział w zebraniu babtystek, o czym napisał później wielki antyreligijny reportaż; że ani jeden z obecnych tu obywateli radzieckich nie chrzci swoich dzieci i że wśród takich stworów znajduje się aż czterech pisarzy.

W wagonie restauracyjnym było bardzo różne towarzystwo.

Nazajutrz ziściły się słowa pluszowego proroka. Kiedy pociąg, stękając i dudniąc, mijał most syzrański na Wołodze, pasażerowie pociągu specjalnego ochrypłymi miejskimi głosami zaintonowali pieśń o wołżańskim herosie. Usiłowali przy tym nie patrzeć sobie w oczy. W sąsiednim wagonie cudzoziemcy, którzy nie byli jeszcze dobrze zorientowani, kiedy i co należy śpiewać, z uniesieniem wtórowali: „Hej, pełna, pełna kobiałeczka” z dość dziwnym zakończeniem: „Heej uchniem!”

Dziennikarze nie zawiadomili o tym listownie człowieka o pluszowym nosie, bo im było wstyd. Jeden tylko Uchudszański trzymał się. Nie brał udziału w chóralnym śpiewie, milczał i z mocno zaciśniętymi ustami udawał, że czyta „Wyczerpujące studium geograficzne”. Spotkała go za to sroga kara. Obłąd śpiewaczy zaatakował go w nocy, daleko za Samarą. Koło godziny dwunastej, kiedy wszyscy pasażerowie już spali, z przedziału Uchudszańskiego przeniknął na korytarz śpiew: „Jest na Wołodze skała, ech, rośnie na niej dziki mech”. Zwyczajom podróży stało się zadość.

A kiedy nawet Uchudszański już zasnął, uchyliły się drzwi wagonu, przez chwilę słyhać było wyrazisty stukot kół i do pustego korytarza wśliznął się ostrożnie Ostap Bender. Wahał się przez chwilę, po czym sennie machnął ręką i otworzył drzwi pierwszego z brzegu przedziału, gdzie przy świetle szafirowej nocnej lampki spał: Gargantua, Uchudszański i fotograf Mieńszow. Czwarte górne łóżko było wolne. Po uciążliwych wędrówkach, niepowetowanych stratach i dwugodzinnej jeździe na stopniu wagonu pod wielkim kombinatorem nogi się ugiwały. Niewiele myśląc wdrapał się na górę. I nagle oczom jego przedstawił się cudowny widok: na stoliku pod oknem leżała bielutka pieczona kura z zadartymi do góry nóżkami.

- Idę w haniebne ślady Panikowskiego - szepnął Ostap.

Z tymi słowy sięgnął po kurę i spałaszował ją bez chleba i soli. Kości wsunął pod twarde płócienny wałek. I zasnął uszczęśliwiony, wdychając niepowtarzalny zapach kolejowej farby.

Rozdział XXVII „Czy przyjmiecie do swego grona pachółka kapitalizmu?”

W nocy przyśniła się Ostapowi smutna, zamglona twarz Zosi, a potem Panikowski. Gwałciiciel konwencji miał na głowie dorożkarską czapkę z piórką i mówił załamując rękę: „Panie Bender!

Panie Bender! Nie ma pan pojęcia, co to jest kura, co to za cudowny, tłusty ptak!” Zdenerwowany

Ostap nie mógł zrozumieć, skąd się wzięła kura? „Przecież pańska specjalność to gęsi!?” Ale

Panikowski obstawał przy swoim: „Kura, kura, kura!”

Bender obudził się. Ujrzał nad głową sufit wagonu, wypukły jak wieko kuferka niczyjej babci. Tuż nad nosem wielkiego kombinatora kołysała się siatka bagażowa. W

przedziale było zupełnie widno. Przez opuszczone do połowy okno wpadał gorący wiatr orenburskiego stepu.

- Kura! - zawołał ktoś na dole. - Gdzie moja kura? Przecież nikogo prócz nas nie ma w przedziale!?

Nieprawdaż? Za pozwoleniem, a czyje to nogi?

Ostap zasłonił twarz ręką i natychmiast ze wstydem uświadomił sobie, że taki sam gest wykonywał

Panikowski, kiedy groziła mu jakaś kara. Odjął więc rękę od twarzy i ujrział dwie głowy, które wyrosły na poziomie jego pośladka.

- Śpicie? No, no! - odezwała się pierwsza głowa.

- Przyznajcie się, moi drodzy - powiedziała pobłażliwie druga głowa - że to wy zjedliście moją kurę.

Nieprawdaż? Może nie mam racji?

Fotoreporter Mieńszow siedział na dole z rękami zanurzonymi po łokcie w czarnym fotograficznym miechu i zmieniał klisze.

- Owszem - odpowiedział powściągliwie Ostap - zjadłem.

- Dziękuję! - wykrzyknął niespodziewanie Gargantua. - Już nie wiedziałem, co z nią robić! Upała!

Mogłaby się zepsuć. Nieprawdaż? A wyrzucić szkoda. Może nie mam racji?

- Oczywiście - odpowiedział oględnie Ostap. - Bardzo jestem rad, że mogłem wyświadczyć wam tę drobną przysługę.

- Az jakiego pisma jesteście? - zapytał fotoreporter, grzebiąc nadal w worku. - Przecież wsiedliście do pociągu nie w Moskwie?

- Jesteście, jak widzę, fotografem - rzekł Ostap, uchylając się od bezpośredniej odpowiedzi. - Znałem pewnego prowincjonalnego fotografa, który nawet konserwy otwierał przy czerwonym świetle w obawie, żeby się nie zepsuły.

Mieńszow roześmiał się. Dowcip nowego pasażera przypadł mu do gustu. I już tego ranka nikt nie zadał wielkiemu kombinatorowi żadnego drażliwego pytania. Ostap zeskoczył ze swego łóżka, potarł ręką policzki, na których w ciągu ostatnich trzech dni wyrosła gęsta bandycka szczecina, i skierował pytające spojrzenie na pocziwego Gargantue. Autor wierszowanych felietonów otworzył walizkę, wyjął przybory do golenia, wręczył je Ostapowi i długo mu coś tłumaczył, dziobiąc niewidoczne ziarna i domagając się potwierdzenia swoich nieartykułowanych wywodów.

Podczas gdy Ostap golił się, mył i doprowadzał do porządku garderobę, Mieńszow, omotany fotograficznymi rzemieniami, roznosił po całym wagonie nowinę, że do ich przedziału przybył nowy korespondent prowincjonalny, który w nocy dogonił pociąg samolotem i zjadł kurę Gargantui.

Opowieść o kurze wywołała żywe zainteresowanie. Niemal wszyscy korespondenci zabrali z domu zapasy żywności: siekane kotlety, bułki i jajka na twardo. Ale nikt tych prowiantów nie jadł, bawszy woleli korzystać z wagonu restauracyjnego.

Ledwie Ostap skończył toaletę, w przedziale zjawił się otyły literat w miękkiej chłopięcej kurtce, ołożył na stoliku dwanaście jajek na twardo i powiedział:

- Proszę. Oto jajka. Skoro istnieją na świecie jajka, ktoś je musi jeść.

Następnie literat wyjrzał przez okno, popatrzył na brodawkowaty step i rzekł z goryczą:

- Pustynia to coś całkiem bezsensownego. Ale istnieje. I z tym należy się liczyć.

Literat był filozofem. Wysłuchiwał dziękczynień Ostapa, potrząsnął głową i wrócił do swego przedziału, aby dokończyć zaczęte opowiadanie. Jako człowiek systematyczny, literat postanowił sobie, że co dzień napisze jedno opowiadanie i realizował tę decyzję z pilnością pierwszego ucznia. Natchnieniem była mu pewnie zasada, że skoro istnieje papier, ktoś musi na nim pisać.

Za przykładem literata poszli inni pasażerowie. Nawrocki przyniósł puszkę faszerowanego pieprzu tureckiego, Lavoisian - kotlety z przyklejonymi resztkami gazety, Sapiegin - śledzia, a Dniestrów - słoik marmolady z jabłek. Zgłaszali się także inni ofiarodawcy, ale Ostap przerwał przyjmowanie darów.

- Nie mogę, nie mogę, moi drodzy - mówił. - Jak się jednemu wyświadczy przysługę, to zaraz wszyscy się pchają.

Korespondenci bardzo się Ostapowi podobali. Skłonny był nawet pójść na ustępstwa, ale był już tak objedzony, że nie mógł się ruszać. Wdrapał się z trudem na swoje poślanie i przespał cały dzień.

Minęły już trzy dni podróży. Pasażerowie pociągu specjalnego śmiertelnie się nudzili. Do Magistrali było jeszcze daleko, nic godnego uwagi się nie działo, lecz mimo to wszyscy moskiewscy korespondenci, znużeni przymusową bezczynnością, obserwowali się podejrzliwie i badawczo. „Czy przypadkiem któryś nie dowiedział się czegoś ciekawego i nie wysłał do swojej redakcji błyskawicznej epeszy z sensacyjną wiadomością?”

W końcu Lavoisian nie wytrzymał i wysłał depeszę:

MINĘLIŚMY ORENBURG STOP KOMINA PAROWOZU WALI DYM STOP
NASTRÓJ ZNAKOMITY

STOP WAGONACH ROZMOWY WYŁĄCZNIE WSCHODNIEJ MAGISTRALI STOP
PRZYŚLIJCIE

TELEGRAFICZNIE INSTRUKCJE MORZE ARAJSKIE LAVOISIAN.

Tajemnica została wykryta i już na następnej stacji przed okienkiem telegrafu powstała długa kolejka.

Wszyscy korespondenci wysłali krótkie depesze, że nastrój znakomity i że z komina parowozu wali dym.

Dla korespondentów zagranicznych szerokie pole działania otworzyło się zaraz za Orenburgiem, kiedy mieli okazję ujrzeć pierwszego wielbłąda, pierwszą jurtę i pierwszego Kazacha w rogatej futrzanej czapie, z knutem w dłoni. Na małej stacyjce, gdzie pociąg zatrzymał się przypadkowo, co najmniej dwadzieścia obiektów fotograficznych wzięło na cel pysk wielbłąda. Zaczęła się egzotyka, okręty pustyni, miłujący wolność synowie stepów i tym podobne romantyczne obciążenia.

Amerykanka z dobrej rodziny wysiadła z wagonu w okrągłych ciemnych okularach. Przed słonecznym blaskiem chroniła ją dodatkowo zielona parasolka. Jakiś siwy Amerykanin filmował ją w tym ekwipunku małą ręczną kamerą filmową „Aimo”. Najpierw obok wielbłąda, potem przed wielbłądem, a w końcu na wielbłądzie, między dwoma pagórkami, o których z takim przejęciem opowiadał konduktor. Mały i wściekły Heinrich kręcił się w tłumie i powtarzał wszystkim po kolei:

- Uważajcie na nią, bo gotowa zostać przypadkiem na tej stacyjce i znów prasa amerykańska będzie miała okazję do sensacyjnych artykułów pod tytułem: „Odważna korespondentka w łapach rozszalałego wielbłąda”.

Japoński dyplomata stał o dwa kroki od Kazacha i obaj przyglądali się sobie w milczeniu. Mieli niemal identyczne, nieco spłaszczone twarze, sterczące wąsy, żółtą napiętą skórę i wąskie, zapuchnięte oczy.

Można by ich wziąć za bliźniaków, gdyby nie to, że Kazach był ubrany w baranią szubę przepasaną płóciennym pasem, a Japończyk - w szary angielski garnitur i gdyby nie to, że Kazach dopiero w ubiegłym roku nauczył się czytać, a Japończyk przed dwudziestu laty ukończył dwa uniwersytety - w Tokio i w Paryżu. Dyplomata cofnął się nieco, pochylił się nad wizjerem i pstryknął. Kazach roześmiał się, dosiadł swego kosmatego konika i ruszył w step.

Ale już na następnej stacji romantyczna przygoda wzbogaciła się o nowe elementy. Za budynkiem kolejowym stały czerwone, cylindryczne beczki z benzyną, żółcił się nowy drewniany budynek, a przed nim, ryjąc ziemię gąsienicami, defilowała kolumna traktorów. Na wysokim stosie podkładów kolejowych stała młoda traktorzystka w czarnych spodniach i w walonkach. Była to okazja do rewanzu dla korespondentów radzieckich. Z aparatami przy oczach zaczęli skradać się do dziewczyny.

Na czele skradał się Mieńszow. Swoją aluminiową kasętę trzymał w zębach i ruchami przypominał żołnierza idącego na zwiady. O ile jednak wielbłąd dawał się fotografować w pełnym poczuciu swoich praw do popularności, o tyle traktorzystka okazała znacznie większą skromność. Wytrzymała pierwszych pięć zdjęć, a potem zarumieniła się i uciekła. Fotografowie zajęli się przeto traktorami korzystając z tego, że na widnokręgu ukazała się karawana-wielbłądów. Wszystko to razem - wielbłądy i traktory - doskonale nadawało się do zdjęć pod tytułem: „Stare i nowe” lub „Kto wytrzymałszy”.

Ostap obudził się przed zachodem słońca. Pociąg jechał teraz stepem. Po korytarzu krążył Lavoisian namawiając kolegów do wydawania specjalnej podróźnej gazetki. Miał już nawet tytuł: „Pełną parą”.

- Co to za tytuł?! - odezwał się Ostap. - Widziałem gazetkę ścienną pewnego oddziału straży pożarnej.

Nosiła tytuł: „Z ognia w płomienie”. To przynajmniej był odpowiedni tytuł.

- Widzę, że jesteście rzemieślnikiem pióra - zgromił go Lavoisian - i nie chce się wam pisać dla organu nielicznej społeczności podróźnej.

Wielki kombinator nie zaprzeczył, że jest rzemieślnikiem pióra. Gotów był nawet w razie potrzeby wymienić nazwę pisma, które reprezentował w tym pociągu. Mianowicie: „Gazeta Czernomorska”.

Na szczęście takiej potrzeby nie było, gdyż pociąg specjalny nie był nawiedzany przez surowych onduktorów z nikłowymi szczypcami do przecinania biletów. Ale Lavoisian siedział już ze swoją maszyną do pisania w wagonie przodowników pracy, gdzie jego propozycja wywołała wielkie poruszenie. Staruszek z Triechgorki pisał już chemicznym ołówkiem wniosek o konieczności zorganizowania w pociągu wieczoru poświęconego wymianie doświadczeń oraz prasówki.

Poszukiwano też karykaturzysty i namawiano Nawrockiego, żeby przeprowadził ankietę celem wykazania, które z reprezentowanych w pociągu przedsiębiorstw najlepiej wykonało plan produkcyjno-finansowy.

Wieczorem w przedziale Gargantui, Miejszowa, Uchudszańskiego i Bendera zebrało się mnóstwo dziennikarzy. Siedzieli po sześciu na każdej kanapce. Z góry zwisały głowy i nogi. Przejmująco chłodna noc przyniosła wielką ulgę znużonym całodziennym upałem dziennikarzom, a rytmiczny stukot kół, trwający już trzeci dzień, nastrojał pojednawczo. Rozmawiano o Wschodniej Magistrali, wspomniano swoich redaktorów i sekretarzy redakcji, opowiadano o zabawnych chochlikach drukarskich i drwiono z Uchudszańskiego, który był znany z braku tak zwanej żyłki dziennikarskiej. Uchudszański, wysoko zadzierając głowę i odpowiadając z godnością:

- Kpicie sobie? No, no!

W momencie najwyższej wesołości w drzwiach przedziału stanął pan Heinrich.

- Czy przyjmiecie do swego grona pacholka kapitalizmu? - odezwał się z humorem.

Heinrich usadowił się na kolanach otyłego literata; literat stuknął i pomyślał ze stoicyzmem: „Skoro istnieją kolana, to ktoś musi na nich siedzieć. No i siedzi”

- A jak tam wasz socjalizm? - zapytał arogancko przedstawiciel organu postępowych.

Tak się jakoś utarło, że chociaż do wszystkich jadących w pociągu cudzoziemców zwracano się z kurtuazją dodając do nazwisk: „mister”, „herr” lub „signor”, korespondenta organu postępowych nazywano po prostu Heinrichem, uważano go za nudziarza i nie traktowano poważnie. Dlatego na postawione przez niego pytanie Pałamidow odpowiedział:

- Niech cię o to głowa nie boli, Heinrich. Czy znowu masz zamiar wymyślać na władzę radziecką? To staje się nudne i nieciekawe. Powtarzasz to samo, co słyszy się często od różnych wściekłych bab w kolejkach przed sklepami,

- Ależ mnie chodzi o co innego - odparł Heinrich. - Chcę wam opowiedzieć przypowieść biblijną o

Adamie i Ewie. Można?

- A gdzie nauczyliście się tak płynnie mówić po rosyjsku? - zapytał Heinricha Sapiegin.

- Nauczyłem się w Odessie, kiedy w 1918 roku, jako porucznik armii generała von Beltza, okupowałem to urocze miasto. Słyszeliście zapewne o von Beltzu?

- Nie tylko słyszeliśmy - odpowiedział Pałamidow - aleśmy go nawet widzieli, jak leżał z kulą w głowie w swoim złoconym gabinecie w pałacu dowódcy odeskiego okręgu wojennego. Palnął sobie w łeb na wieść, że w waszej ojczyźnie wybuchła rewolucja...

Na dźwięk słowa „rewolucja” Heinrich uśmiechnął się chłodno i rzekł:

- Generał dochował wierności przysiędze.

- A czemu ty nie odebrałeś sobie życia, Heinrich? - zapytał ktoś z górnej półki. - Jak to było u ciebie z tą przysięgą?

- Czy chcecie posłuchać biblijnej przypowieści? - zapytał z rozdrażnieniem przedstawiciel postępowej prasy.

Jeszcze przez pewien czas dręczono go pytaniami na temat przysięgi i dopiero kiedy poważnie obrażony zabierał się do odejścia, zgodzono się wysłuchać jego opowieści.

Opowieść pana Heinricha o Adamie i Ewie

- Otóż, panowie, był sobie w Moskwie pewien młody komsomolec, imieniem Adam. Była tamże młoda komsomołka, imieniem Ewa. Pewnego dnia ta para młodych

wybrała się na spacer do moskiewskiego raj, czyli do Parku Kultury. Nie wiem, o czym tam rozmawiali. U nas młodzież rozmawia przeważnie o miłości. Ale wasz Adam i wasza Ewa byli marksistami, więc prawdopodobnie rozmawiali o światowej rewolucji. W każdym razie tak się złożyło, że w czasie spaceru usiedli na trawie pod drzewem. Nie wiem, co to było za drzewo. Może drzewo wiadomości złego i dobrego. Ale marksści, jak wiadomo, nie uznają mistyki. Prawdopodobnie wzięli drzewo za zwykłą jarzębinę. W czasie rozmowy Ewa ułamała z drzewa gałązkę i ofiarowała ją Adamowi. W tej chwili zjawiła się przed nimi postać, którą pozbawieni wyobraźni marksści wzięli za stróża, aczkolwiek był to raczej anioł- stróż z ognistym mieczem w dłoni. Anioł, klnąc i zrzedząc pod nosem, zaprowadził Adama i Ewę do kancelarii celem sporządzenia protokołu za niszczenie dobra publicznego. To przyziemne wydarzenie ściągnęło młodych z wyżyn dyskusji politycznej na ziemię i nagle Adam spostrzegł, że ma przed sobą ponętą Ewę, a Ewa zauważyła, że pod postacią Adama stoi przed nią mężczyzna. I pokochali się. A po trzech latach mieli już dwóch synów.

W tym miejscu pan Heinrich niespodziewanie umilkł i zaczął wypychać do rękawów miękkie mankiety w paski.

- I co dalej? - zapytał Lavoisian.

- A to - odparł zaczepnie Heinrich - że jeden syn ma na imię Kain, a drugi - Abel, że po upływie wiadomego czasu Kain zabije Abla, Abraham spłodzi Izaaka, Izaak spłodzi Jakuba i cała historia biblijna zacznie się od początku i żaden marksizm nie zdoła temu przeszkodzić. Wszystko się powtarza. Powtórzy się potop, powtórzy się Noe ze swymi trzema synami i Cham znowu obrazi

Noego. Powstanie nowa wieża Babel, której budowa nigdy nie będzie skończona i tak dalej, i tak dalej. O żadnych zasadniczych zmianach na świecie nie może być mowy, więc na próżno pieklicie się o to nowe życie.

I Heinrich z zadowoleniem odchylił się w tył, wpijając swój chudy, śledziowaty grzbiet w otyłego, dobrodusznego literata.

- Wszystko to byłoby bardzo przekonujące - powiedział Pałamidow - gdyby było poparte jakimiś argumentami. Ale nie macie przecież żadnej argumentacji. Po prostu chcielibyście, żeby było właśnie tak, jak mówicie. Nie zamierzamy odbierać wam wiary w cuda. Módlcie się i wiercie.

- A czy macie jakieś dowody na to, że będzie inaczej? - zawołał przedstawiciel organu postępowych.

- Mamy! Jeden z nich zobaczycie pojutrze na Wschodniej Magistrali.

- Aha, zaczyna się - warknął Heinrich. - Budowa! Zakłady przemysłowe! Pięciolatka! Tylko nie usiłujcie imponować mi waszym żelastwem. Ważny jest duch. Wszystko się powtarza! Znowu będzie wojna trzydziestoletnia, i wojna stuletnia, i znowu będą palić na stosach ludzi, którzy ośmieli się twierdzić, że ziemia jest okrągła. I znowu oszukają biednego Jakuba, każą mu pracować siedem lat za darmo, a potem podsuną mu szpetną i kaprawą Leę zamiast dorodnej Racheli. Wszystko, wszystko się powtórzy. I Żyd Wieczny Tułacz znowu będzie się błąkał po świecie...

- Nie, Żyd Wieczny Tułacz już nigdy nie będzie się błąkał - odezwał się nagle wielki kombinator, spoglądając szelmowsko na towarzyszy podróży.

- Czy na to też możecie przedstawić dowody w ciągu dwóch dni? - zawołał Heinrich.

- Nawet natychmiast - odparł uprzejmie Ostap. - Jeśli państwo pozwolą, opowiem, co się stało z tak zwanym Żydem Wiecznym Tułaczem.

Towarzystwo chętnie przyjęło propozycję Ostapa. Wszyscy zaczęli się przygotowywać do wysłuchania opowieści nowego pasażera, a Uchudszański odezwał się nawet: „Chcecie opowiadać? No, no...”

Wielki kombinator zabrał głos.

Opowieść Ostapa Bendera o Żydzie Wiecznym Tułaczem

- Nie będę wam przypominał całej długiej i nudnej historii Żyda Wiecznego Tułacza, powiem tylko, że ten nieszczęsny starzec błąkał się po świecie około dwóch tysięcy lat nie zatrzymując się bynajmniej w hotelach, i zanudzał ludzi ciągłymi skargami na wysokie ceny biletów kolejowych, co zmuszało go do podróżowania piechotą. Widywano go w rozmaitych okolicznościach. Brał udział w historycznym posiedzeniu, kiedy to Kolumb w żaden sposób nie mógł się wyliczyć z kwot pobranych awansem na koszty odkrycia Ameryki. Jako młody jeszcze mężczyzna był świadkiem pożaru Rzymu. Przez sto pięćdziesiąt lat waleśał się po Indiach, drażniąc jogów swą niezwykłą ruchliwością i kłótliwym usposobieniem. Słowem, miałyby na pewno wiele ciekawych rzeczy do opowiedzenia, gdyby z końcem każdego stulecia spisywał pamiętniki. Niestety, Żyd Wieczny Tułacz był niepiśmienny i w dodatku miał złą pamięć.

Ostatnio starzec ten przebywał w cudownym mieście Rio de Janeiro, gdzie pił chłodzące napoje, spoglądał na transoceaniczne okręty i spacerował w białych spodniach pod palmami. Spodnie te nabył okazynie osiemset lat temu w Palestynie od jakiegoś rycerza walczącego o grób Chrystusa.

Zresztą, były jeszcze jak nowe. Nagle starca ogarnął dziwny niepokój. Zachciało mu się powędrować do Rosji, nad Dniepr. Widział już w życiu wiele rzek: Ren, Ganges, Missisipi, Jan-Tse, Niger i Wołgę.

Ale jeszcze nigdy nie był nad Dnieprem. I zapragnął rzucić okiem na tę szeroką rzekę.

Akurat w 1919 roku Żyd Wieczny Tułacz, w swoich rycerskich spodniach, nielegalnie przekroczył granicę rumuńską. Nie warto chyba wspominać o tym, że miał ukryte na brzuchu osiem par jedwabnych pończoch i flakon paryskich perfum, które dała mu pewna dama z Kiszyniowa z prośbą o doręczenie ich jej krewnym zamieszkałym w Kijowie. W owych burzliwych czasach przenoszenie kontrabandy na brzuchu nazywało się powszechnie „nosić kompres”. Z tym systemem zapoznał starca w Kiszyniowie. Kiedy Żyd Wieczny Tułacz, po wywiązaniu się ze swej misji, stanął na brzegu

Dniepru z potarganą zieloną brodą do samej ziemi, zbliżył się do niego mężczyzna w żółto-niebieskich ampasach oraz petlurowskich naramiennikach i zapytał groźnie:

- Żyd?

- Żyd - odpowiedział starzec.

- Chodź - rzekł osobnik z lampasami.

I zaprowadził go do atamana.

- Złapałem Żyda - zameldował popychając starca kolanem.

- Żyd? - zapytał ataman z radosnym zdziwieniem.

- Żyd - odpowiedział tułacz.

- No to pod ścianę z nim - zarządził łaskawie ataman.

- Przecież ja jestem Wieczny - zawołał starzec.

Przez dwa tysiące lat marzył o śmierci, a teraz nagle zapragnął żyć.

- Milcz, żydowska mordo - zawołał wesoło pyzaty ataman. - Jazda, chłopcy, palnijcie mu w łeb.

- Tak zginął Żyd Wieczny Tułacz. Skończyłem - rzekł Ostap.

- Przypuszczam, że pan, panie Heinrich, jako były oficer austriacki, wie coś niecoś o wybrykach pańskich przyjaciół-petlurowców - odezwał się Pałamidow.

Heinrich nie odpowiedział i wyszedł. Początkowo wszyscy przypuszczali, że się obraził, ale nazajutrz okazało się, że korespondent organu postępowych bez chwili zwłoki udał się do Hirama Burmana i sprzedał mu opowiadanie o Żydzie Wiecznym Tułaczem za czterdzieści dolarów. A Hiram na najbliższej stacji przekazał telegraficznie swojej redakcji opowiadanie Ostapa Bendera.

Rozdział XXVIII Siódme poty natchnienia

Rankiem czwartego dnia podróży pociąg skręcił ku wschodowi. Mknął teraz u podnóża ośnieżonych szczytów Himalajów, rzucając drżący cień na górskie stoki, podskakiwał na sztucznych nasypach i mostkach nad rurami odprowadzającymi wiosenne wody, minął miasteczko ukryte wśród topoli i długo kołował u stóp wysokiej śnieżnej góry. Nie mogąc za jednym zamachem wskoczyć na przełęcz, pociąg specjalny piął się pod górę skokami w prawo, to w lewo, cofał się, sapał, zawracał, ocierał się o zbocze swymi szaro-zielonymi wagonami, próbował przeróżnych forteli, aż w końcu dopiął swego, wydostał się na otwartą przestrzeń i mozolnie obracając kołami dotarł zwycięsko do stacji, skąd rozpoczynała się już Wschodnia Magistrala Kolejowa.

Na stacji, w oślepiającym słonecznym blasku, na tle aluminiowych gór stał parowóz koloru świeżejrawy. Był to dar pracowników nowej linii kolejowej.

Sprawa podarków z okazji różnych obchodów i rocznic rozwiązywana była u nas przez czas dłuższy niezbyt szczęśliwie. Składano w podarunku albo śmiesznie mały modelik parowozu, wielkości kota, albo dłużej długości słupa telegraficznego. Taka pracowita przewrotność kosztowała niemało trudu i pieniędzy. A potem miniaturowe parowozy kurzyły się na biurowych szafach, a gigantyczne dłuto, do przewozu którego potrzeba było dwóch platform, rdzewiało bezsensownie na dziedzińcu obdarowanej instytucji.

Ale parowóz serii OW, świeżo i szybkościowo wypuszczony z kapitalnego remontu, miał całkiem normalne wymiary, co pozwalało przypuszczać, że również dłuto, którego bez wątpienia używano przy budowie tego parowozu, także było normalnych rozmiarów. Piękny podarunek został niezwłocznie doczepiony do pociągu i „owieczka”, jak nazywano parowozy OW w strefie wyodrębnionej, udekorowana transparentem z napisem: „Na miejsce spotkania szyn”, pomknęła w kierunku południowego krańca Magistrali, w kierunku krańcowej stacji Gornoj.

Dokładnie dwa lata temu legła tu pierwsza czarno-granatowa szyna wyprodukowana na Uralu. Od tego czasu z walcowni Uralskich Zakładów Przemysłowych nieustannie wypływały ogniste sztaby szyn. Potrzeba ich było coraz więcej. Miasteczka na szynach dążące ku sobie z dwóch przeciwległych stron i układające tory ogłosiły współzawodnictwo i wzięły takie tempo, że dostawcy materiałów ledwie mogli nadążyć z produkcją.

Wieczór na stacji Gornoj oświetlonej różowymi i zielonymi rakietami był tak piękny, że starzy mieszkańcy tej miejscowości, gdyby takowi w ogóle istnieli, twierdziliby zapewne, że do końca życia nie zapomną tego wieczoru. Na szczęście stacja Gornoj nie posiadała starych mieszkańców. Jeszcze w roku 1928 nie tylko nie było tu mieszkańców, ale nawet domów i budynków kolejowych, nie mówiąc już o torach i drewnianej bramie tryumfalnej z transparentami i chorągiewkami, bramie, przed którą zatrzymał się pociąg specjalny.

Podczas gdy w świetle elektrycznych i naftowych latarni odbywał się wiec i tłum zgromadził się dokoła trybuny, fotoreporter Mieńszow z dwoma aparatami, statywem i maszynką do magnezji krążył dokoła bramy tryumfalnej. Fotograf uznał tę bramę za doskonały obiekt do zdjęć, ale pociąg stojący w odległości dwudziestu kroków od niej wyszedłby na zdjęciu zbyt mały. Gdyby zaś robić zdjęcia od strony pociągu, brama wyglądałaby zbyt niepozornie. W podobnych wypadkach Mahomet, wiedząc, że góra do niego nie przyjdzie, szedł do góry, ale Mieńszow zrobił coś, co mu się wydało najprostsze.

Poprosił o podstawienie pociągu bliżej bramy tonem tak beztróskim, jakby prosił pasażerów w tramwaju, żeby się trochę posunęli. Zażądał przy tym, żeby z komina parowozu walił gęsty sinydym. I w dodatku, żeby maszynista spoglądał nieustraszenie przez okienko w siną dal, trzymając dłoń ad oczami. Kolarze uznali życzenia fotografa za rozkaz i uczynili im zadość. Pociąg ze zgrzytem zbliżył się do bramy, z komina buchał zamówiony dym, a maszynista z butną miną wyglądał przez okienko. Wtedy Mieńszow zaaplikował taki nabój magnezji, że ziemia zadrżała i w promieniu stu kilometrów zawyły wszystkie psy. Po dokonaniu zdjęć fotograf sucho podziękował personelowi kolejowemu i wycofał się do swego przedziału.

Późnym wieczorem pociąg mknął już Wschodnią Magistralą. W chwili kiedy mieszkańcy pociągu specjalnego układali się do snu, fotograf Mieńszow wyszedł na korytarz i powiedział ponuro w przestrzeń:

- Osobliwy wypadek. Okazuje się, że do zdjęcia tej przeklętej bramy tryumfalnej użyłem kasety, w której nie było kliszy. I wobec tego zdjęcie nie wyszło.

- Nic straconego - pocieszył go Lavoisier. - Poproście maszynistę, żeby zawrócił. Najdalej za trzy godzinki znajdziemy się znowu w Gornoj i będziecie mogli powtórzyć zdjęcie. A uroczystość połączenia szyn Magistrali można o jeden dzień opóźnić.

- Teraz to już wszystko diabli wzięli - odpowiedział zmartwiony fotoreporter. - Zużyłem cały zapas magnezji, bo inaczej, to trzeba byłoby rzeczywiście wracać.

Jazda Magistralą Wschodnią sprawiała wielkiemu kombinatorowi ogromną przyjemność. Każda godzina zbliżała go do północnego ruchomego miasteczka, gdzie znajdował się Korejko. Ponadto cieszyło go towarzystwo pasażerów pociągu specjalnego. Byli to ludzie młodzi, pełni fantazji i wolni od biurokratycznego obłąd, który tak raził Ostapę u jego znajomych z „Herkulesa”. Do zupełnego szczęścia brakowało mu tylko pieniędzy. Ostap skonsumował już ofiarowane wiktuły, a na korzystanie z wagonu restauracyjnego potrzebna była gotówka. Początkowo, kiedy nowi przyjaciele wyciągali go na obiad, wymawiał się brakiem apetytu, ale wkrótce zorientował się, że dłużej tak żyć nie można. Zaczął obserwować Uchudszańskiego, który całe dni spędzał na korytarzu przy oknie, wpatrzony w słupy telegraficzne i w ptaszki sfruwające z drutów. Przy czym twarz Uchudszańskiego wykrzywiał lekki ironiczny uśmieszek. Felietonista zadzierał głowę i szeptał do ptaszków: „Fruwacie?

No, no...” Ostap posunął swoje zainteresowanie aż do przestudiowania artykułu Uchudszańskiego

„Usprawnić pracę komisji sklepowych”. Następnie Bender zmierzył osobliwego dziennikarza pogardliwym spojrzeniem, uśmiechnął się z przekąsem, jak myśliwy, który wpadł na trop, i zamknął się w przedziale.

Opuścił przedział dopiero po trzech godzinach, trzymając w ręku duży arkusz papieru poliniowany jak rejestr.

- Piszecie? - zapytał smętnie Uchudszański.

- Specjalnie dla was - odpowiedział wielki kombinator. - Zauważyłem, że cierpicie męki tworzenia.

Pisanie to istotnie rzecz trudna. Ja, jako wasz stary i zasłużony kolega po piórze, wiem coś o tym.

Dokonałem jednak pewnego wynalazku, dzięki któremu nie trzeba w siódmych potach czekać na rzyptyw natchnienia. Możecie się zapoznać z tym wynalazkiem.

Tu Ostap podał Uchudszańskiemu arkusz, na którym było wypisane, co następuje:

PORADNIK OKOLICZNOŚCIOWY

Nieoceniony podręcznik do pisania okolicznościowych artykułów i felietonów tudzież podniosłych wierszy i poematów.

Rzeczowniki:

1 Okrzyki

2 Ludzie pracy

3 Zapowiedź

4 Życie

5 Znicz

6 Błędy

7 Chorągiew (flaga)

8 Baal

9 Mołoch

10 Pacholek

11 Godzina

12 Wróg

13 Kopyto

14 Fala

15 Pył

16 Skok

17 Koń

18 Serca

19 Przeszłość

Przymiotniki:

- 1 Imperialistyczny
- 2 Kapitalistyczny
- 3 Historyczny

4 Ostatni

5 Przemysłowy

6 Stalowy

7 Żelazny

Czasowniki:

1 Jarzyć (się)

2 Zmiatać

3 Demaskować

4 Purpurzyć (się)

5 Świtać

Rozdział I

SŁOWNICZEK

10

Rosnąć

Szkalować

Zgrzytać

Grozić

Zrywać (się)

Wyszukane epitety:

1 Zacięty

2 Nieprzejednany

Inne części mowy:

1 Dziewiąty do -

2 Dwunasty

3 Niechaj!

4 Naprzód!

(Wykrzykniki, przyimki, spójniki, przecinki, wielokropki, znaki zapytania, cudzysłowy itp.)

UWAGA: Przecinki stawia się przed „że”, „który” i „jeżeli”. Wielokropki, wykrzykniki, cudzysłowy - gdzie się tylko da.

Rozdział II

CZĘŚĆ KONCEPCYJNA

(złożona przeważnie ze słów z rozdziału I)

§ 1

ARTYKUŁ WSTĘPNY

Dziewiąta fala

Wschodnia Magistrala, to żelazny koń, który stalowym kopytem zmiata pył przeszłości, popycha naprzód koło historii i demaskuje zacięte zgrzytanie zębów nieprzejednanego wroga, przeciw któremu zrywa się już dziewiąta fala i grozi mu godzina dwunasta, która będzie ostatnią dla pachołków imperialistycznego Molocha, tego Baala kapitalizmu, ale, bez względu na popełnione błędy, niechaj purpurą się i łopocą flagi, niechaj płonie znicz uprzemysłowienia przy wtórze entuzjastycznych okrzyków ludzi pracy, którym świta już zapowiedź nowego życia. Naprzód!

§ 2

FELIETON LITERACKI

Niechaj!

Naprzód!

Oto płonie wśród entuzjastycznych okrzyków ludzi pracy... Oto niesie zapowiedź nowego życia... Znicz!...

Uprzemysłowienie!... Niechaj nam zarzucają błędy! Niechaj! Ale za to jak łopocą, jak purpurą się flagi! Flagi...

Niechaj grozi Baal kapitalizmu! Niechaj grozi Moloch imperializmu! Niechaj!

Ale oto przeciw ich pachołkom zrywa się już: Ostatnia fala... Dziewiąta godzina... Dwunasty

Baal...

Niechaj szkalują! Niechaj zgrzytają! Niechaj się demaskuje zacięty, nieprzejednany wróg!

Oto jesteśmy świadkami historycznych zdarzeń.

Stalowe kopyto zmiata pył przeszłości!

Ten

„Żelazny koń”... To:

Wschodnia Magistrala! W górę serca!...

WIERSZ 3

OKOLICZNOŚCIOWY

a) Trzynasty Baal

W górę serca! W promieniach zórz,

Rozpromienia się świat.

Wróg swój koniec przeczuwa już,

Zgrzytnął, struchlał i zbladł.

Mknie po szynach stalowy koń

W szumie pyłu i flag,

Człowiek pracy podnosi dłoń,
Wszystko wzrusza go tak.

Fala zmiata miniony czas,

Baal czuje swój kres;

Zegar bije dwunasty raz.

Moloch spłonął i szczył.

b) Wariant wschodni

Płonie uriuk w promieniach zórz,

Promienieje kiszłak,

Przez aryki i kępy róż

Skacze młody iszak.

AZJATYCKIE OZDOBNIKI

1 Uriuk - morele

2 Aryk - kanał

3 Iszak - osioł

4 Płow - jedzenie

5 Baj - zły człowiek

10

Basmacz - zły człowiek

Szakal - zwierz

Kiszłak - wieś

Pijala - czarka

Medrese - szkoła duchowna

Iczigi - obuwie

Szejtan - diabeł

Arba - wóz

Szejtan-arba - Kolej Azjatycka

Twoja moja nie ponimaj - powiedzonko

Mala-mala - powiedzonko

DODATEK

Na podstawie materiału z rozdziału I można, posługując się metodą z rozdziału II, pisać również: powieści, nowele, poematy prozą, obrazki z życia, reportaże artystyczne, kroniki, popeje, sztuki teatralne, studia polityczne, gry i rozrywki umysłowe, słuchowiska radiowe itp.

Kiedy Uchudszański zapoznał się z tekstem dokumentu, jego mętne dotychczas oczy ożywiły się nagle. Wychowany na sprawozdaniach z zebrań i konferencji ujrział nagle olśniewające wyżyny kunsztu pisarskiego.

- Wszystko to gotów jestem sprzedać za głupie dwadzieścia pięć tugrików, to jest za dwadzieścia pięć mongolskich rubli - oświadczył niecierpliwie zgłodniały wielki kombinator.

- Nie mam mongolskich rubli - odpowiedział pracownik organu związków zawodowych, nie wypuszczając z rąk „Poradnika okolicznościowego”.

Ostap zgodził się zainkasować honorarium w zwykłych rublach, zaprosił Gargantę, którego nazywał już „kumem i dobroczyńcą”, i udał się wraz z nim do wagonu restauracyjnego. Przyniesiono mu połyskującą lodem i rtęcią karafkę wódki, sałatkę tudzież kotlet wielki i ciężki jak podkowa. Po wódce, która przypawiła go o lekki zawrót głowy, wielki kombinator zwierzył się kumowi i dobroczyńcy, że ma nadzieję spotkać w północnym wędrownym miasteczku pewnego jegomościa, który mu jest winien trochę gotówki. Wtedy zaprosi wszystkich korespondentów na bankiet. Gargantua odpowiedział na to długim i przekonującym przemówieniem, z którego jak zwykle nie można było zrozumieć ani słowa. Ostap wezwał bufetowego, zapytał go, czy ma na składzie szampana i w jakiej ilości, jakimi przysmakami dysponuje i w jakich ilościach, po czym wyjaśnił, że wszystkie te informacje potrzebne mu są dlatego, iż zamierza w najbliższych dniach wydać bankiet dla swych kolegów po piórze. Bufetowy zapewnił go, że zrobi wszystko, co w jego mocy.

- Zgodnie z prawem gościnności - dodał ni w pięć ni w dziewięć.

W miarę zbliżania się punktu połączenia szyn spotykano coraz liczniejszych przedstawicieli koczowniczych plemion. Schodzili z okolicznych gór w czapach przypominających chińskie pagody.

Pociąg specjalny z turkotem zanurzał się w porfirowych tunelach, przejechał przez nowy trójtorowy most, którego ostatnie przęsło stanęło dopiero poprzedniego dnia, i zaczął forsować słynną Przełęcz

Kryształową. Wsławili ją budowniczowie Magistrali, którzy prace, zaplanowane na osiem miesięcy, wykonali w trzy miesiące.

Pociąg powoli przystosowywał się do lokalnych warunków. Cudzoziemcy, którzy wyjechali z Moskwy w sztywnych, jakby z aptekarskiego fajansu zrobionych kołnierzykach, w mięsistych jedwabnych krawatach i wełnianych garniturach, zaczęli się powoli rozbierać. Upał dokuczał im coraz bardziej.

Tym, który pierwszy pomyślał o zmianie stroju, był jeden z Amerykanów. Pewnego razu, nieco zawstydzony, zjawił się na korytarzu w stroju dość osobliwym. Miał na sobie żółte półbuty na grubych podeszwach, pończochy, bufiaste spodnie, rogowe okulary i

rosyjską kosoworotkę haftowaną w krzyżyki. A im stawało się goręcej, tym mniej cudzoziemców dochowywało wiary europejskim strojom. Kosoworotki, apaszki, gejsze, fantazyjne bluzy wpuszczane i wypuszczane, odeskie sandały i treпки zupełnie przeobraziły przedstawicieli prasy kapitalistycznej, którzy uderzająco przypominali teraz starych urzędników radzieckich. Aż język świerbił, żeby zacząć ich wypytывать, czym zajmowali się przed rokiem 1917, czy nie są biurokratami lub reakcjonistami i czy nie mają krewnych za granicą.

Pracowita „owieczka”, udekorowana flagami i girlandami, późną nocą doprowadziła pociąg specjalny do stacji Szumiący Zdrój, gdzie miało nastąpić połączenie szyn. Operatorzy filmowi zapalili jupitery. W ich ostrym świetle stał kierownik budowy i ze wzruszeniem patrzył na pociąg. Wagony były ciemne.

Pasażerowie spali. Tylko w rządowej salonce wszystkie okna były oświetlone. Drzwi salonki szybko się otworzyły i wyskoczył z nich przedstawiciel rządu.

Kierownik budowy Magistrali zbliżył się, zasalutował i złożył raport, na który czekał cały kraj, mianowicie, że Wschodnia Magistrala łącząca w prostej linii Syberię z Azją Środkową została ukończona na rok przed terminem.

Kiedy formalności stało się zadość i raport został przyjęty, dwaj niemłodzi już i niełatwo ulegający sentymentom mężczyźni ucałowali się serdecznie.

Wszyscy radzieccy i zagraniczni korespondenci spali. Spał nawet Lavoisian, który tak się niecierpliwił, że wysłał depeszę o dymie walącym z komina parowozu, oraz młoda Kanadyjka, która na łeb na szyję leciała zza oceanu. Tylko Pałamidow biegał po świeżym nasypie w poszukiwaniu telegrafu. Obliczył sobie, że gdyby mu się udało niezwłocznie wysłać błyskawiczną depeszę, to wiadomość mogłaby się jeszcze ukazać w porannym wydaniu. Wreszcie na czarnym pustkowiu znalazł sklecony naprędce budynek pocztowy.

BLASKU GWIAZD - pisał, klnąc na fatalny ołówek - ZŁOŻONO RAPORT UKOŃCZENIU

MAGISTRALI STOP BYŁEM ŚWIADKIEM HISTORYCZNEGO POCAŁUNKU PRZEDSTAWICIELA

RZĄDU Z KIEROWNIKIEM BUDOWY PAŁAMIDOW

Redakcja zamieściła tylko pierwszą część depeszy; drugą skreśliła. Redaktor orzekł, że członkowi rządu nie wypada się z nikim całować.

Rozdział XXIX Szumiący Zdrój

Słońce weszło nad pagórkowatą pustynią o godzinie 5-ej 02 minuty 46 sekund. Ostap wstał o minutą później. Fotoreporter Mieńszow obwieszał się już torbami i futerałami. Czapkę włożył tyłem do przodu, żeby daszek nie przeszkadzał mu patrzeć w wizer. Dla fotografa zaczynał się wielki dzień.

Ostap także liczył, że będzie to wielki dzień w jego życiu i nie myjąc się nawet, wyskoczył z wagonu, zabierając ze sobą żółtą teczkę.

Pociągi, które przywiozły gości z Moskwy, Syberii i Azji Środkowej, potworzyły na stacji ulice i zaułki.

Co chwila przed trybunę zajeżdżał nowy pociąg. Parowozy syczały, a długi płócienny transparent z napisem: „Magistrala - pierworodne dziecko pięciolatki” znikał w kłębach białej pary.

Wszyscy jeszcze spali i tylko orzeźwiający wietrzyk łopotał flagami na pustej trybunie, kiedy Ostap ujrzał, że czysty, wyraźnie zarysowany widnokrąg został zmacony wybuchami kurzawy. Po chwili, zza wszystkich okolicznych wzgórz zaczęły się wynurzać rogate czapy. Tysiące jeźdźców, siedząc w drewnianych siodłach i cmokając na małe kosmate koniki, zmierzało ku drewnianej żerdzi, zatkniętej w tym właśnie punkcie, który przed dwoma laty został oznaczony jako miejsce spotkania torów.

Koczownicy zjeżdżali się całymi aułami. Jechali konno ojcowie rodzin; konno, po męsku jechały ich żony; konno, po troje na jednym koniku, jechały dzieci; nawet złe teściowe galopowały na swych wiernych konikach, obejmując nogami ich brzuchy. Grupy jeźdźców uwijały się w kurzu, przecinały udekorowane czerwonymi flagami pole, stawały w strzemionach i odwracając się bokiem, rozglądały się. ciekawie. A było co oglądać: pociągi, szyny, zuchowate twarze operatorów filmowych, stołówka, która wyrosła w szczerym polu jak spod ziemi i głośniki, z których rozbrzmiewał różny głos: „raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć”, sprawdzając funkcjonowanie instalacji.

Dwa ruchome miasteczka, dwa przedsiębiorstwa budowlane na kółkach, z magazynami, stołówkami, biurami, łaźniami i mieszkaniami dla pracowników, stały na wprost siebie przed trybuną, przedzielone jedynie dwudziestometrową przestrzenią, gdzie jeszcze nie było szyn. Na tym odcinku legnie ostatnia szyna i zostanie wkręcona ostatnia śruba. Na frontonie miasteczka południowego wisiał transparent z napisem: „Na Północ!”, a na frontonie miasteczka północnego napis: „Na Południe!”

Robotnicy z obu miasteczek zbili się w jedną gromadę. Spotykali się po raz pierwszy, ale znali się i myśleli o sobie od pierwszego dnia budowy, kiedy dzieliło ich jeszcze tysiąc pięćset kilometrów pustyni, gór, jezior i rzek. Współzawodnictwo przyspieszyło ich spotkanie o rok. W ostatnim miesiącu układano szyny biegiem. Zarówno Północ jak Południe usiłowały za wszelką cenę ubiec współzawodników i stanąć wcześniej w Szumiącym Źroju. Zwyciężyła Północ. A teraz kierownicy obu miasteczek, jeden w szarej „tołstowce”, a drugi w białej kosoworotce, prowadzili przyjazną pogawędkę, przy czym na twarzy kierownika Północy ukazywał się od czasu do czasu jadowity uśmieszek. Kierownik Północy usiłował przezwyciężyć go i rozplątywał się w komplementach dla

Południa, ale uśmieszek znowu unosił jego wypłowiałe na słońcu wąsy.

Ostap pobiegł do wagonów północnego miasteczka, ale miasteczko było zupełnie wyludnione.

Wszyscy jego mieszkańcy udali się na trybunę, przed którą zasiedli już członkowie orkiestry i grali uwerturę parząc sobie usta o rozprężone metalowe ustniki.

Dziennikarze radzieccy zajęli lewe skrzydło trybuny. Lavoisian przewieszony przez poręcz błagał

Mieńszowa, żeby go sfotografował w czasie wykonywania zawodowych zadań, ale Mieńszow nie chciał nawet o tym słyszeć. Fotografował właśnie przodowników pracy z Magistrali, w pojedynkę i w grupach, zmuszając ich do wymachiwania młotami lub do podpierania się łopatami. Cudzoziemcy siedzieli na prawym skrzydle. Przy wejściu na trybunę stali wojskowi i kontrolowali zaproszenia. Ostap zaproszenia nie miał. Kierownik pociągu wydawał je według listy, na której przedstawiciel „Gazety

Czernomorskiej” O. Bender nie figurował. Na próżno Gargantua kiwał na wielkiego kombinatora, zapraszając go na górę i krzycząc: „Może nie mam racji?”, Ostap odmownie potrząsnął głową i wodził oczami po trybunie, na której zgromadzili się bohaterowie budowy oraz goście.

W pierwszym rzędzie siedział spokojnie kontroler z północnego wędrownego miasteczka, Aleksander

Korejko. Dla zabezpieczenia się przed słońcem włożył na głowę trójganiasty kapelusz z gazety, spod którego wysunął jedno ucho, żeby lepiej słyszeć pierwszego mówcę, przeciskającego się właśnie do mikrofonu.

- Aleksandrze Iwanowiczu! - zawołał Ostap zwinąwszy dłonie w trąbkę.

Korejko spojrział na dół i wstał. Orkiestra zagrała „Międzynarodówkę”, ale bogacz-kontroler słuchał hymnu z najwyższym roztargnieniem. Zjawą w postaci wielkiego kombinatora, uwijającą się po odcinku przeznaczonym pod ostatnie szyny, mocno go zaniepokoiła. Rozejrzał się ponad głowami tłumu, zastanawiając się, w którą stronę uciec. Ale wokół rozpościerała się pustynia.

Około piętnastu tysięcy konnych jeźdźców kręciło się we wszystkie strony po terenach otaczających trybunę, przeprawiało się w bród przez rzeczkę tam i z powrotem i dopiero w chwili otwarcia wiecu ustawiło się szerokim półkolem za trybuną. A inni, bardziej nieśmiali lub bardziej hardzi, spędzili cały dzień na pobliskich wzgórzach, nie odważywszy się zbliżyć do szumiącego i hałaśliwego tłumu.

Budowniczy Magistrali świętowali swoje zwycięstwo gwarnie, wesoło, z okrzykami, muzyką oraz podrzucaniem do góry swoich ulubieńców i bohaterów współzawodnictwa. Na przygotowany tor z brzękiem padały szyny. Po chwili leżały na podkładach, a robotnicy, którzy ułożyli już tysiące kilometrów, odstępowali prawo do wbicia ostatnich haków swoim kierownikom.

- Zgodnie z prawem gościnności - powiedział bufetowy siedząc w towarzystwie kucharzy na dachu wagonu restauracyjnego.

Jeden z inżynierów, odznaczony orderem Czerwonego Sztandaru, zsunął na tył głowy duży filcowy kapelusz, chwycił potężny młot na długim kiju, skrzywił się jak do płaczu i walnął młotem prosto w ziemię. Przyjazny śmiech robotników, wśród których byli tacy siłacze, że wbijali haki jednym uderzeniem, akompaniował wysiłkom inżyniera. Jednakże miękkie uderzenia w ziemię zaczęły się przeplatać z uderzeniami dźwięczniejszymi, świadczącymi, że jednak od czasu do czasu młot trafiał w hak. W pobliżu inżyniera wymachiwali młotami członkowie rządu, sekretarz Krajowego Komitetu

Partii, kierownik Północy, kierownik Południa i goście. Ostatni hak, po półgodzinnych wysiłkach, wbił naczelnny kierownik budowy.

Zaczęły się przemówienia. Każde było wygłaszane dwukrotnie: po kazachsku i po rosyjsku.

- Towarzysze! - powiedział spawacz-przodownik pracy, starając się nie zerkać na przypięty przed chwilą do jego rubaszki order Czerwonego Sztandaru. - Co się zrobiło, to się zrobiło i nie ma o czym gadać. Zwracam się tylko do władz w imieniu całego naszego kolektywu z prośbą, żeby natychmiast skierowano nas na nową budowę. Bardzo dobrze nam się razem pracowało i w ostatnich miesiącach układaliśmy po pięć kilometrów szyn dziennie. Zobowiązujemy się utrzymać i podwyższyć tę normę. I, niech żyje rewolucja światowa! Chciałbym jeszcze dodać, towarzysze, że wśród dostarczanych nam szyn było dużo braków, które musieliśmy odrzucać. Przydałoby się poprawić jakość produkowanych szyn.

Korespondenci nie mogli się już żalić na brak wydarzeń. Notowali teksty przemówień, obejmowali wpół inżynierów i domagali się od nich informacji oraz danych

cyfrowych. Zrobiło się gorąco, duszno i ruchliwie. Wiec na pustyni zaczął dymić jak olbrzymie ognisko. Lavoisian po nagryzmoleniu każdych dziesięciu linijek biegł do telegrafu, wysyłał błyskawiczną depeszę i pędził z powrotem robić notatki.

Uchudszański nie notował i nie wysyłał żadnych depesz. Miał przecież w kieszeni „Poradnik okolicznościowy”, który umożliwia mu zredagowanie w ciągu pięciu minut przepięknej korespondencji z azjatyckimi ozdobnikami. Uchudszański był spokojny o swoją przyszłość i dlatego z wyraźniejszym, niż zwykle, ironicznym akcentem zwracał się do kolegów po piórze:

- Pocicie się?... No, no...

W loży korespondentów radzieckich zjawili się niespodziewanie Lew Rubaszkin i Jan Skamiejkin, którzy zostali na dworcu w Moskwie. Przylecieli samolotem, który wczesnym rankiem wylądował w odległości dziesięciu kilometrów od Szumiącego Zdroju, za wzgórzem, na lądowisku naturalnym, skąd bracia-korespondenci dopiero teraz zdolali dobrnąć na piechotę. Natychmiast po pierwszych powitaniach Lew Rubaszkin i Jan Skamiejkin wyciągnęli z kieszeni notesy i wzięli się ostro do odrabiania zaległości.

Aparaty fotograficzne cudzoziemców pstrykały bez ustanku. Gardła zasychały od przemówień i upału.

Zebrani coraz częściej zerkali na dół, na rzekę, na stołówkę, gdzie pasiaste cienie płóciennego dachu kładły się na długich bankietowych stołach, zastawionych zielonymi butelkami z narzanem. W pobliżu stołówki stały kioski z napojami, którymi skwapliwie raczyli się uczestnicy wiecu. Korejko umierał z pragnienia, ale trwał na posterunku pod papierowym dziecięcym nakryciem głowy. Wielki kombinator drażnił go z daleka butelką limoniady i żółtą teczką związaną na tasemki.

Na stoliku obok mikrofonu i karafki z wodą postawił ktoś małą dziewczynkę-pionierkę.

- Powiedz nam, dziecko - zwrócił się do niej wesoło kierownik budowy - co sądzisz o Wschodniej

Magistrali?

Nikt by się nie dziwił, gdyby dziewczynka tupnęła na to nóżką i zaczęła: „Towarzysze, pozwólcie mi podsumować wyniki tych osiągnięć, które...” i tak dalej, albowiem zdarzają się u nas wzorowe dzieci, które z rozpaczliwą skrupulatnością wygłaszają dwugodzinne przemówienia. Jednakże pionierka z

Szumiącego Zdroju od razu chwyciła byka za rogi swoimi wątlymi rączkami i zabawnym piskliwym głosikiem zawołała:

- Niech żyje pięciolatka!

Pałamidow podszedł do cudzoziemskiego profesora-ekonomisty z prośbą o wywiad.

- Jestem zachwycony - powiedział profesor - całe budownictwo w ZSRR jest imponujące. Jestem pewien, że plan pięcioletni zostanie uwieńczony powodzeniem. Będą o tym pisać.

Istotnie, po upływie półtora roku profesor wydał książkę, w której na dwustu stronach dowodził, że pięciolatka zostanie zrealizowana w przewidzianym terminie i że ZSRR stanie się dzięki niej jednym z najbardziej uprzemysłowionych krajów na świecie. A na stronie dwieście pierwszej profesor oświadczył, że właśnie dlatego Związek Radziecki należy niezwłocznie zniszczyć, gdyż grozi on zagładą krajom kapitalistycznym. Okazało się, że profesor był człowiekiem bardziej rzeczowym niż gadatliwy

Heinrich.

Zza wzgórza wzbił się srebrzysty samolot. Kazachowie rozpiechli się w popłochu. Olbrzymi cień samolotu przesunął się nad trybuną i pomknął przez pustynię. Kazachowie, krzycząc i wywijając knutami, pogalopowali za cieniem. Operatorzy filmowi zaczęli gorączkowo kręcić korbkami aparatów.

Powstał jeszcze większy rozgardiasz i kurz. Wiec się skończył.

- Umówmy się, towarzysze - rzekł Pałamidow, zdążając w towarzystwie kolegów po piórze do stołówki - że nie będziemy pisali żadnych banałów.

- Banały to okropność - zgodził się Lavoisian - nikt ich już nie trawi.

W drodze do stołówki korespondenci uchwalili jednogłośnie nie pisać o Uzun-Kułaku, co znaczy

Długie Ucho, co znowu z kolei znaczy - telegraf stepowy. Pisali już o tym wszyscy, którzy znaleźli się na Wschodzie i nie podobna już było tego czytać. Uchwalono też nie pisać felietonów pod tytułem:

„Legenda jeziora Issyk-Kul”. Dosyć już tych pseudoegzotycznych kawałków!

Na opustoszałej trybunie, wśród niedopałków, podartych papierów i naniesionego z pustyni piasku siedział samotnie Korejko, nie mogąc się zdecydować zejść na dół.

- Zejdź, Aleksandrze Iwanowiczu - krzyczał Ostap. - Nie znęcaj się tak nad sobą. Proponuję łyk orzeźwiającego narzanu. Co? Nie ma pan ochoty? To zlituj się przynajmniej na mną. Jestem głodny.

Przecież ja i tak stąd nie odejdę. A może pan chce, żebym zaśpiewał serenadę Schuberta: „Zstąp tu do mnie zwinną stópką?” Proszę bardzo, mogę zaśpiewać.

Ale Korejko nie chciał serenady. Zrozumiał, że i tak będzie musiał oddać pieniądze. Zaczął schodzić powoli na dół, zatrzymując się na każdym stopniu.

- Ma pan trójgraniasty kapelusz? - żartował Ostap. - A gdzie szary surdut polowy? Ogromnie się za panem stęskniłem. Witam, witam. A może buzi z dubeltówki? Albo lepiej od razu udamy się do pieczary Leichtweisa, gdzie przechowuje pan swoje tugriki.

- Najpierw jeść - rzekł Korejko, któremu język stanął kołkiem z pragnienia.

- Możemy zacząć od jedzenia. Tylko proszę tym razem bez głupich żartów. Zresztą o ucieczce szkoda marzyć. Za wzgórzami czatują moje zuchy - zełgał na wszelki wypadek Ostap.

Na wspomnienie o zuchach zrobiło mu się smutno.

Obiad dla budowniczych i gości miał charakter euro-azjatycki. Kazachowie usadowili się w kucki na dywanach, jak to czynią wszyscy na Wschodzie, a na Zachodzie tylko krawcy. Kazachowie zjadali pilaw na białych miseczkach i popijali limoniadą. Europejczycy zajęli miejsca przy stołach.

Budowniczowie Magistrali mieli w ciągu dwóch lat budowy niemało trosk, kłopotów i wzruszeń, ale zorganizowanie galowego obiadu na pustyni przysporzyło im też sporo kłopotu. Długo omawiano zarówno europejskie, jak i azjatyckie menu. Długotrwałą dyskusję wywołał problem napojów wysokowych. Przez kilka dni zarząd budowy przypominał Stany Zjednoczone przed wyborami prezydenta. Zwolennicy abstynencji stoczyli zażartą walkę ze zwolennikami alkoholu. W końcu organizacja partyjna wypowiedziała się przeciw trunkom. Potem zjawiono się nowe zagadnienie:

udzoziemcy, dyplomaci i goście z Moskwy. Jak ich ugościć? W tych swoich Londynach i New Yorkach przywykli do różnych smakołyków. W rezultacie sprowadzono z Taszkientu doświadczonego specjalistę Iwana Osipowicza, który był niegdyś maitre d'hotel'em w słynnej, restauracji Martianycza w Moskwie, a teraz, u schyłku życia, prowadził jadłodajnię na Kurzym Bazarze.

- Tylko nie skompromitujcie nas, Iwanie Osipowiczu - upominano go w zarządzie. - Będziemy mieli zagranicznych gości. Musicie urządzić to wszystko elegancko i z fasonem.

- A czy wy wiecie, dla jakich osobistości robiłem przyjęcia? - mruczał ze łzami w oczach staruszek. -

Dla samego księcia Wirtemberskiego! Możecie mi nawet nie zapłacić. A przyjęcie zrobię jak się patrzy.

Zrobię i umrę!

Iwan Osipowicz był ogromnie przejęty swoim zadaniem. Na wieść, że nie będzie napojów alkoholowych, omal się nie rozchorował, ale przecież nie mógł zawieść zaufania Europy. Kiedy poważnie okrojono przedstawiony przez niego kosztorys, staruszek dołożył sześćdziesiąt rubli z własnej kieszeni, mrużąc pod nosem: „Zrobię i umrę”. W dniu bankietu Iwan Osipowicz stawiał się do pracy w pachnącym naftaliną fraku. Kiedy więc zaczął się przeciągać, Iwan Osipowicz wpadał w coraz większe zdenerwowanie, spoglądał na słońce i pokrzykiwał na koczowników, którzy gwoili ciekawości usiłowali wjechać konno do stołówki. Staruszek opędył się od nich serwetką i mruzał:

- Wynoś się, Mamaj, nie widzisz, jakie tu urwanie głowy? O mój Boże, zwarzy mi się sos piquant, a consomé z profitrolkami jeszcze nie gotowe.

Zakąski stały już na stole. Wszystko było przygotowane elegancko i ze znanstwem. Nakrochmalone serwetki sztywno sterczały, krążki masła leżały na szklanych podstawkach na lodzie, śledzie trzymały w pyszczkach oliwki lub plasterki cebuli, stół był udekorowany kwiatami i nawet zwykły szary chleb wyglądał na nim bardzo apetycznie.

Na koniec zjawili się goście. Byli zakurzeni, czerwoni z gorąca i bardzo głodni. Żaden z nich nie przypominał księcia Wirtemberskiego. Iwana Osipowicza tknęło nagle złe przeczucie.

- Najmocniej szanownych gości przepraszam – odezwał się. - Jeszcze pięć minutek cierpliwości i obiad będzie gotów. Mam tylko skromną prośbę, żeby goście byli łaskawi chwilowo nic na stole nie ruszać. I frywolnie balansując wybiegł do kuchni, a kiedy wrócił z jakąś wykwintną rybą na półmisku, ujrzał przerażającą scenę łupienia stołu. Była ona w tak jaskrawej sprzeczności z przewidzianym przez Iwana

Osipowicza ceremoniałem bankietu, że stanął jak wryty. Anglik o tenisowej figurze opychał się najspokojniej w świecie chlebem z masłem, a pochylony nad stołem Heinrich wyciągał śledziowi z pyszczka oliwkę. Reszta gości, skwapliwie zaspokajając głód, wesoło dzieliła się wrażeniami.

- Co się tu dzieje? - zapytał staruszek złamanym głosem.

- A gdzie ta zupa, ojczulku? - zawołał Heinrich z pełnymi ustami.

Iwan Osipowicz nic nie odpowiedział. Machnął serwetką i wyszedł, aby przekazać swoje funkcje personelowi pomocniczemu.

Kiedy dwaj kombinatorzy zdążyli dotrzeć do stołu, jakiś otyły jegomość ze zwisającym jak banan nosem wygłaszał pierwsze z bankietowych przemówień. Ku wielkiemu zdumieniu Ostap poznał w nim inżyniera Talmudowskiego.

- Tak, jesteśmy bohaterami - krzyczał Talmudowski, trzymając w ręku szklanę narzanu. - Cześć nam, budowniczym Magistrali! Ale przyjrzyjcie się, obywatele, warunkom naszej pracy. Weźmy, na przykład, nasze uposażenia. Przyznaję, że uposażenia przy budowie Magistrali są wyższe niż gdzie indziej, ale nie mamy za to żadnych rozrywek kulturalnych. Nie ma teatru! Pustynia! Nie ma nawet kanalizacji! Nie, ja w takich warunkach dalej pracować nie mogę.

- Kto to jest? - pytali pracownicy budowy jeden drugiego. - Skąd on się tu wziął?

Tymczasem Talmudowski wyciągnął już spod stołu swoje walizy.

- Gwiżdżę na takie warunki - krzyczał kierując się ku wyjściu. - Co? Chcecie żebym zwrócił zaliczką?

Możecie dochodzić swoich pretensji na drodze sądowej, tylko na drodze sądowej!

I przepychając się z walizami między biesiadującymi, zamiast „przepraszam” powtarzał z uporem:

„tylko na drodze sądowej”.

A późnym wieczorem jechał już motorową drezyną z majstrami drogowymi, którzy udawali się służbowo na południowy kraniec Magistrali. Talmudowski siedział okrakiem na walizach i wyjaśniał majstrom, że uczciwy specjalista nie może pracować w takiej dziurze. Równocześnie wracał do domu aître d'hotel Iwan Osipowicz. Z rozpacy zapomniał zmienić frak. Był kompletnie pijany.

- Barbarzyńcy! - krzyczał, wychylając się z drezyny i wygrażając pięścią w kierunku Szumiącego Zdroju.

- Czy można usługiwać takim świntuchom? Urządzałem przyjęcia dla Antona Pawłowicza, dla księcia

Wirtemberskiego... Wróć do domu i umrę. Wtedy dopiero przypomną sobie o Iwanie Osipowiczu.

Trzeba przygotować bankiet na osiemdziesiąt cztery osoby, powiedzą. Ale nie będzie miał kto przygotować bankietu. Bo nie będzie już Iwana Osipowicza Trikartowa. Umarł. Przeniósł się na tamten świat, gdzie nie ma chorób ani smutków, ani trosk - jeno żywot wieczny amen, wieczne odpoczywanie...

A w czasie kiedy staruszek odprawiał po sobie modły żałobne, poły jego fraka furkotały na wietrze jak żagle.

Ostap nie dał Korejce dokończyć kompotu, wyciągnął go zza stołu i zażądał przystąpienia do rozrachunków. Po przystawionych schodkach kombinatory weszli do wagonu towarowego, gdzie mieściła się kancelaria północnego miasteczka i stało polowe łóżeczko kontrolera. Zamknęli się tam na sztabę.

Po obiedzie, kiedy pasażerowie pociągu specjalnego wypoczywali nabierając sił do wieczornej zabawy, felietonista Gargantua przyłapał braci-korespondentów na niedozwolonych praktykach. Lew

Rubaszkin i Jan Skamiejkin skradali się do baraku telegraficznego z dwoma kartkami papieru. Na jednej był tekst zwiezłej depeszy:

TERMINOWA MOSKWA TELEGRAF STEPOWY MYŚLNIK UZUN KUŁAK
CUDZYSŁÓW DŁUGIE

UCHO PRZECINEK PRZEKAZAŁ AUŁOM WIESC O POŁĄCZENIU MAGISTRALI RUBASZKIN.

Druga kartka była zapisana od góry do dołu. A oto jej tekst:

LEGENDA JEZIORA ISSYK-KUL

Stary kara-kołpak Uchum Buchejew opowiedział mi tą owianą urokiem legendy historię.

Dwieście tysięcy czterysta osiemdziesiąt pięć księżyców temu, młoda, szybkonoga jak dzejran

(górski baran) małżonka chana, piękna Sumburun, pokochała gorąco młodego nukera Aj-

Bułaka. Stary chan był zrozpaczony na wieść o zdradzie umiłowanej małżonki. Przez dwanaście księżyców zanosił gorące modły do nieba, a potem ze łzami w oczach wsadził umiłowaną do beczki, zaszpunktował ją, przywiązał do niej bryłę szczerego złota, wagi siedmiu dżasasynów (18 kilo), i wrzucił do górskiego jeziora. Od tego czasu jezioro nosi nazwę Issyk-

Kul, czyli Serce pięknej kobiety jest zdradliwe...

Jan Skamiejkin-Sarmacki (Tłok)

- Może nie miałem racji? - pytał Gargantua, pokazując odebrane braciom kartki papieru.

- Tak, to oburzające - odparł Pałamidow. - Jak śmiecie podawać tę legendę po tym wszystkim, co się na ten temat mówiło? A skąd macie pewność, że Issyk-Kul znaczy istotnie: „Serce pięknej kobiety jest zdradliwe”? Może wasz zmyślony kara-kołpak wprowadził was w błąd? A może nazwę jeziora należy tłumaczyć tak: „Nie wrzucajcie do jeziora pięknych kobiet, wrzucajcie tam raczej łatwowiernych korespondentów, ulegających zgubnemu wpływowi egzotyki”?

Literat w chłopięcej kurtce zarumienił się. Miał już bowiem w swoim notesie i Uzun-Kułak, i dwiesensacyjne legendy przyprawione egzotycznym sosem.

- Moim zdaniem - odezwał się - nie ma w tym nic złego. Skoro Uzun-Kułak istnieje, to ktoś powinien nim napisać.

- Ależ pisano już o nim sto tysięcy razy - zawołał Lavoisian.

- Uzun-Kułak istnieje - powiedział na to z westchnieniem literat - i z tym należy się liczyć.

Rozdział XXX Aleksander Ibn-Iwanowicz

W dusznym i ciemnym wagonie towarowym powietrze było gęste jak w starym trzewiku. Czuć było skórą i nogami. Korejko zapalił konduktorską latarkę i wlaż pod łóżko. Ostap, siedząc na pustej skrzynce po makaronie, przyglądał mu się w zamyśleniu. Obaj kombinatorzy byli wyczerpani walką i wydarzenie, którego Korejko tak się obawiał, a o którym Bender marzył przez długie lata, przyjęli z zadziwiającym spokojem. Mogłoby się nawet wydać, że rzecz dzieje się w sklepie spółdzielczym: klient prosi o nakrycie głowy, a sprzedawca rzuca na ladę włochatą czapkę koloru brukowca. Jest mu całkowicie obojętne, czy klient tę czapkę kupi czy nie. Klient także nie pali się do zakupu i tylko dla spokoju sumienia pyta: „A nie ma przypadkiem czegoś innego?”, na co oczywiście otrzymuje odpowiedź: „Bierzcie i nie grymacie, bo niedługo i tego nie będzie”. I obaj

spoglądają na siebie z doskonałą obojętnością. Korejko długo siedział pod łóżkiem, gdzie prawdopodobnie podnosił wieko walizki i grzebał w niej po omacku.

- Hej, tam, pod pokładem! - zawołał apatycznie Ostap. - Jakie to szczęście, że pan nie pali. Cóż by to była za udręka prosić takiego kutwę o papierosa. Za nic na świecie nie podałyby mi pan całejpapierošnicy w obawie, żebym zamiast jednego papierosa nie wziął kilku i długo grzebałyby pan kieszeni, żeby wyciągnąć jednego wymiętego papierosa. Nie ma pan za grosz fantazji. Co by panu szkodziło wyciągnąć całą walizkę.

- Jeszcze czego! - burknął Korejko sapiąc pod łóżkiem.

Porównanie z palaczem-kutwą bardzo go dotknęło. Bo właśnie wyciągał z walizy grube paczki banknotów. Nikłowy języczek zamka drapał go w obnażone do łokcia ręce. Dla większej swobody ruchów położył się pod łóżkiem na wznak i pracował jak górnik w sztolni. Z siennika prosił milionerowi w oczy kurz, pył i ości z kłosów.

„Och, jakie to przykre - rozmyślał Aleksander Iwanowicz - przykre i okropne. On mnie tu przecież może zakatrupić i zabrać mi wszystkie pieniądze. Nic łatwiejszego. Pokraje mnie w kawałki i roześle w paczkach do rozmaitych miast jako próbki bez wartości. A głowę zakisi w beczce z kapustą.”

Korejka wstrząsnął śmiertelny dreszcz. Przerażony wyjrzał spod łóżka. Bender drzemał na skrzynce i kiwał głową nad kolejową latarką.

„A może by tak jego... jako próbki bez wartości - pomyślał Aleksander Iwanowicz, w dalszym ciągu z desperacją wyciągając paczki banknotów - do rozmaitych miast?... Z napisem: «Ściśle poufne?»...”

Znów wyjrzał spod łóżka. Wielki kombinator przeciągnął się i ziewnął przeraźliwie jak dog. Potem wziął konduktorską latarkę i zaczął nią wymachiwać, wołając:

- Stacja Chacepietowka. Wysiądać, obywatele. Jesteśmy na miejscu. Ale, ale... może ma pan zamiar mnie zarżnąć? Oświadczam, że jestem temu przeciwny. Już mnie raz zarzynano. Znalazł się taki narwany staruszek z dobrej rodziny, były marszałek szlachty, obecnie funkcjonariusz urzędu stanu cywilnego, Kisa Worobianinow. Poszukiwaliśmy do spółki skarbu wartości stu pięćdziesięciu tysięcy rubli. Otóż przed samym zainkasowaniem tej sumy głupi marszałek przejechał mi brzytwą po gardle.

To było paskudne, obywatelu Korejko. Paskudne i bolesne. Chirurdzy z trudem ocalili moje młode życie, za co jestem im niewymownie wdzięczny.

W końcu Korejko wylazł spod łóżka, podsuwając Ostapowi pod nogi paczki banknotów. Każda paczka była starannie oklejona białym papierem i przewiązana sznurkiem.

- Dziewięćdziesiąt dziewięć paczek - powiedział ze smutkiem Korejko - po dziesięć tysięcy. W banknotach po dwadzieścia pięć czerwońców. Może pan nie liczyć. U mnie jak w banku.

- A gdzie setna paczka? - zapytał rozentuzjzmowany Ostap.

- Musiałem potraćić sobie te dziesięć tysięcy, które zostały mi zrabowane na brzegu morza.

- Istna granda. Przecież te pieniądze poszły na śledztwo. Nie bądź pan taki małostkowy.

Wzdychając ciężko Korejko wypłacił brakujące dziesięć tysięcy, w zamian za co otrzymał swój życiorys w żółtej teczce wiązanej na tasiemki. Życiorys ten spalił

natychmiast w żelaznym piecyku, którego komin był wypuszczony przez dziurę w dachu wagonu. W tym czasie Ostap wziął pierwszą z brzegu paczkę, przedał opaskę, przekonał się, że Korejko go nie oszukał i wsadził ją do kieszeni.

- A gdzie waluty? - zapytał. - Gdzie meksykańskie dolary, tureckie liry, funty, rupie, pesety, centavos, rumuńskie leje, łaty i złote? Wyplać mi pan choć część w walutach.

- Radzę brać, co dają - odpowiedział Korejko, siedząc przy piecu i patrząc na kurczące się w ogniudokumenty. - Radzę brać, bo wkrótce i tego nie będzie. Walut nie prowadzi.

- A więc jestem milionerem! - zawołał Ostap z radosnym zdziwieniem. - Spełniły się marzenia kretyna!

Nagle Ostap zasmucił się. Przygryzł go opłakany wygląd wagonu, wydało mu się dziwne, że świat nie mienił nagle swego oblicza i że wszystko dokoła wygląda tak, jak wyglądało przedtem. I aczkolwiek zdawał sobie sprawę, że w naszych surowych czasach nie może być mowy ani o tajemniczych pieczarach, ani o baryłkach pełnych złota, ani o lampie Alladyna, ogarnął go jakiś smutek, tak jak

Roalda Amundsena, kiedy przelatując sterowcem „Norge” nad Biegunem Północnym - który był celem całego jego życia - powiedział bez entuzjazmu do swoich towarzyszy: „A więc jesteśmy ma miejscu”. Pod nimi były lodowce, przepaści, zimno i pustka. Tajemnica została odkryta, cel osiągnięty.

Nic już w tej dziedzinie nie ma do roboty i trzeba pomyśleć o zmianie zawodu. Ale to tylko smutek chwilowy, bo przecież teraz oczekuje go sława, honory i hołdy, stoją szpalery uczennic w białych pelerynkach, płaczą staruszki, matki badaczy polarnych zjedzonych przez towarzyszy wyprawy, orkiestry grają hymny, wylatują w powietrze rakiety, a stary król przyciska odkrywcę do swych kłujących orderów i gwiazd.

Chwila słabości minęła. Ostap wrzucił paczki do woreczka, ofiarowanego mu usłudze przez

Aleksandra Iwanowicza, ujął go pod rękę i odsunął ciężkie drzwi wagonu towarowego.

Zabawa miała się ku końcowi. Rakiety zarzucały na niebo złociste wędki i wyławiały stamtąd czerwone i zielone rybki, zimne ognie oślepiały oczy, wirowały pirotechniczne słońca. Za budynkiem telegrafu na drewnianej scenie odbywało się widowisko dla ludności tubylczej. Niektórzy siedzieli na ławkach, inni oglądali widowisko z wyżyn swoich sioł. Konie często rżały. Pociąg specjalny był oświetlony od głowy do ogona.

- Racja! - zawołał Ostap. - Bankiet w restauracyjnym wagonie! Byłbym zapomniał! Chodź pan,

Korejko, zapraszam pana. Zapraszam wszystkich! Zgodnie z prawem gościnności! Koniacek z cytrynką, paszteciki z dziczyzny, frykando z szampinionami, stary węgrzyn, młody węgrzyn, szampan!...

- Frykando, frykando - powiedział ponuro Korejko. - A potem człowieka zamkną. Wolę się nie afiszować.

- Obiecuję panu rajska ucztę na białym obrusie - nie rezygnował Ostap. - Chodź pan, chodź pan. I skończ pan już raz z tą abstynencją i śpiesz się pan z wypiciem przewidzianej dla pana porcji alkoholu i ze zjedzeniem swoich dwudziestu tysięcy kotletów. Bo inni gotowi spałaszować pański życiowy przydział. Zainstaluję pana w pociągu specjalnym.

Jestem tam jak w domu. Już jutro znajdziemy się we względnie kulturalnych okolicach, a tam z naszymi milionami... Aleksandrze Iwanowiczu!...

Wielki kombinator miał w tej chwili ochotę wszystkich na świecie wyściskać i wyciąłować. Posępna mina Korejki psuła mu humor. Zaczął przemawiać Aleksandrowi Iwanowiczowi do rozumu. Zgadzał się z tym, że nie należy się zbytnio afiszować, ale po co od razu morzyć się głodem. Ostap nie umiałby nawet wytłumaczyć, dlaczego tak mu zależało na rozweseleniu ponurego kontrolera, ale skoro już zaangażował się w tym kierunku, nie mógł zawrócić z drogi. Pod koniec zaczął nawet grozić Korejce:

- Będzie pan tak siedział na swojej walizie, aż pewnego pięknego dnia przyjdzie kostucha i poderżnie panu kosa gardziołko. Chyba zdaje pan sobie sprawę, co to za przyjemność?! Chodź pan, Aleksandrze

Iwanowiczu, póki kotlety gorące. Nie bądź pan taki uparty.

Po stracie miliona Korejko zmiękł i stał się bardziej ustępliwy,

- A może by się rzeczywiście trochę przewietrzyć? - odezwał się niepewnie. - Może skoczyć do

Moskwy? Ale oczywiście bez pompy i bez fanfaronady.

- O żadnej fanfaronadzie nie ma mowy. Pojedziemy do Moskwy jako dwaj skromni lekarze- społecznicy, żeby obejrzeć Teatr Artystyczny i zobaczyć na własne oczy mumię w Muzeum Sztuk

Pięknych. Bierz pan walizę.

Milionerzy skierowali się w stronę pociągu; Ostap nonszalancko wymachiwał swoim workiem jak kadzielnicą. Aleksander Iwanowicz uśmiechał się głupkowato. Pasażerowie pociągu spacerowali po peronie w pobliżu swoich wagonów, ponieważ przyczepiano już parowóz. W ciemności migały białe spodnie korespondentów.

W przedziale, na łóżku Ostapa leżał pod prześcieradłem jakiś nieznany osobnik i czytał gazetę.

- Złazcie - odezwał się do niego przyjaźnie Ostap - przyszedł prawowity lokator.

- To jest moje miejsce, towarzyszu - odpowiedział nieznajomy. - Jestem Lew Rubaszkin.

- Lwie Rubaszkin, nie budźcie we mnie dzikiej bestii i wynoście się stąd.

Zdumione spojrzenie Aleksandra Iwanowicza podniecało Ostapa do walki.

- Co to ma znaczyć? - zapytał wyniośle korespondent. - Kim jesteście?

- Nie wasz zakichany interes I Powtarzam, wynoście się i kwita!

- Co to za pijackie wybryki? - wrzasnął Rubaszkin.

Ostap nie odpowiedział, tylko złapał korespondenta za bosą nogą. Wrzaski Rubaszkina ściągnęły do przedziału wszystkich mieszkańców wagonu. Korejko na wszelki wypadek wycofał się na pomost.

- Bijecie się? No, no... - powiedział Uchudszański.

Gargantua i otyły literat w chłopięcej kurtce trzymali za ręce Ostapa, który już zdążył wyrzucić

Rubaszkiną workiem w głowę.

- Niech pokaże bilet! - krzyczał wielki kombinator. - Niech pokaże miejscówkę!

Nagi Rubaszkin skakał z półki na półkę i żądał wezwania kierownika pociągu. Ostap, który stracił poczucie rzeczywistości, także upominał się o wkroczenie władz. Skandal skończył się bardzo nieprzyjemnie. Rubaszkin przedstawił bilet i miejscówkę, po czym zażądał tego samego od Bendera.

- A ja nie okażę dla zasady! - oświadczył wielki kombinator, opuszczając śpiesznie przedział. - Taką już mam zasadę!

- Pasażer na gapę! - wrzasnął Rubaszkin, wyskakując na golasa z przedziału. - Towarzyszu kierowniku, zwracam waszą uwagę, że w tym przedziale jechał pasażer na gapą.

- Gdzie on jest? - zawołał kierownik pociągu rozglądając się na wszystkie strony okiem myśliwego na tropie.

Aleksander Iwanowicz, który ukrył się za trybuną, przebijał wzrokiem ciemności, ale nic nie mógł zobaczyć. Koło pociągu uwijały się jakieś postacie, żarzyły się papierosy i rozlegały się okrzyki: „Proszę okazać bilet!” - „Odmawiam dla zasady!” - „Chuligan!” - „Może nie mam racji?” - „Nikt nie ma prawa jechać bez biletu”. Stuknęły bufory, tuż nad ziemią zasyczało powietrze wypuszczane z hamulców i oświetlone okna wagonów ruszyły z miejsca. Ostap jeszcze się piekłił, ale pasiaste kanapy, siatki bagażowe, konduktorzy z latarkami, bukietki kwiatów, umieszczone pod sufitem wiatraczki wentylatorów przesuwwały się już przed nim coraz szybciej i tonęły w mroku. Odjeżdżał bankiet z szampanem, z młodym i starym węgryzmem, uciekały w mrok paszteciki z dziczyzny, frykando, ponętne frykando, które Ostap tak gorąco zachwalał, opuściło Szumiący Źródło. Aleksander Iwanowicz zbliżył się do Ostapa.

- Ja tego nie puszczę płazem - warczał Ostap. - Porzucili na pustkowiu korespondenta prasy radzieckiej! Postawię na nogi całe społeczeństwo! Wyjeżdżamy pierwszym pośpiesznym pociągiem.

Zakupimy wszystkie miejsca w wagonie międzynarodowym.

- Jakim tam pośpiesznym? - powiedział Korejko. - Stąd żadne pociągi nie odchodzą. Według planu komunikacja kolejowa na tej linii będzie uruchomiona dopiero za dwa miesiące.

Ostap podniósł głowę. Ujrzał czarne abisyńskie niebo, dzikie gwiazdy i zrozumiał wszystko. Ale nieśmiała wzmianka Korejki o bankiecie dodała mu sił.

- Za wzgórzem stoi samolot, który przyleciał na uroczystość - Rzekł Bender. - Odlatuje dopiero o świcie. Zdażymy!

Milionerzy ruszyli przed siebie długim, wielbłądzim krokiem. Stopy grzęzły im w piasku. Płonęły ogniska koczowników. Worek i waliza były nie tyle ciężkie, ile niewygodne. W czasie kiedy wspinali się na wzgórze od strony Szumiącego Źdźroju, z przeciwległej strony wspinał się na wzgórze świt w szumie śmigieł. Bender i Korejko zbiegali ze wzgórza na złamanie karku w obawie, że samolot odleci bez nich.

Pod wysokimi jak dach domu skrzydłami samolotu kręciły się maleńkie postacie mechaników w skórzanych płaszczach. Trzy śmigła obracały się powoli, wentylując step. Za kwadratowymi szybami kabiny pasażerskiej kołysały się zasłonki z pluszowymi bąbelkami. Pilot, wsparty plecami o aluminiowe schodki, zjadał pasztecik popijając narzanem z butelki.

- Jesteśmy pasażerami! - zawołał zadyszany Ostap. - Prosimy o dwa bilety pierwszej klasy!

Nikt mu nie odpowiedział. Pilot rzucił butelką i zaczął wciągać rękawice z mankietami.

- Czy są wolne miejsca? - zapytał Ostap, łapiąc pilota za rękę.

- Nie zabieramy pasażerów - powiedział pilot, kładąc rękę na poręczy schodków. - To jest lot specjalny.

- Kupuję ten samolot! - zawołał szybko wielki kombinator. - Proszę mi go zapakować!

- Z drogi - zawołał mechanik, wchodząc za pilotem do kabiny.

Śmigła zaczęły się obracać tak szybko, że przestały być widoczne. Samolot, drżąc i kołyszając się, zaczął się odwracać pod wiatr. Gwałtowne podmuchy odepchnęły milionerów w stronę wzgórza. Ostapowi spadła z głowy kapitańska czapka i potoczyła się w kierunku Indii z taką szybkością, że przybycia jej do

Kalkuty należało spodziewać się najdalej za trzy godziny. Bez wątpienia czapka ta wtoczyłaby się na główną ulicę Kalkuty, budząc swoim zagadkowym przybyciem uwagę kół zbliżonych do Intelligence

Service, gdyby nie to, że samolot odleciał i podmuchy ustały. Samolot błysnął w powietrzu skrzydłami i rozpułnął się w słonecznym blasku. Ostap pobiegł po czapkę, która zawisała na gałązce saksaułu, i powiedział:

- Środki transportowe wymknęły nam się z ręki. Mieliśmy konflikt z komunikacją kolejową, a szlaki powietrzne zostały przed nami zamknięte. Przejsć czterysta kilometrów piechotą? Przyznam się, że nie budzi to we mnie szczególnego entuzjazmu. Pozostało nam tylko jedno: przyjąć islam i wyruszyć drogę na wielbłądach.

Korejko zbył milczeniem kwestię islamu, ale pomysł podróży na wielbłądach trafił mu do przekonania.

Kuszący widok wagonu restauracyjnego i samolotu obudził w nim pragnienie odbycia podróży ozrywkowej w charakterze lekarza-społecznika, oczywiście bez żadnej fanfaronady, ale i bez przesadnej skromności.

Auły, które przybyły na urozystość, nie opuściły jeszcze okolic szlaku kolejowego i kombinatorom udało się bez trudu nabyć wielbłądy. Dwa okręty pustyni kosztowały trzysta sześćdziesiąt rubli.

- Taniocha - szepnął Ostap. - A może kupilibyśmy pięćdziesiąt wielbłądów? Albo sto?

- To by już była fanfaronada - odpowiedział ponuro Aleksander Iwanowicz. - Po co nam sto wielbłądów? Wystarczą dwa.

Kazachowie pokrzykując usadowili wędrowców między garbami, pomogli im przywiązać walizę, worek i prowiant na drogę, to jest bukłak z kumysem i dwa barany. Wielbłądy podniosły się najpierw na tylne nogi, co zmusiło milionerów do złożenia głębokiego pokłonu, a następnie na przednie nogi, i ruszyły wzdłuż toru Wschodniej Magistrali. Uwiązane na sznurkach barany dreptały z tyłu, od czasu do czasu gubiły bobki i rozdzierająco beczały.

- Hej, szejku Korejko! - zawołał Ostap. - Aleksandrze Ibn-Iwanowiczu, przyznacie, że życie jest piękne.

Szejk nie odpowiedział. Przypadł mu w udziale bardzo ospały wielbłąd, którego musiał nieustannie grzmocić po łysym zadzie saksaułowym kijem.

Rozdział Bagdad

XXXI

Przez siedem dni wielbłądy niosły nowokreowanych szejków przez pustynię. W początkowym okresie podróży Ostap był w wyśmienitym humorze. Wszystko go bawiło: Aleksander Ibn-Iwanowiczkołyszający się między wielbłądzimi garbami, i oporny okręt pustyni, usiłujący uchylić się od swych bowiązków, i worek z milionem, którym wielki kombinator okładał od czasu do czasu niesforne barany. Siebie nazywał Ostap pułkownikiem Lawrence'm.

- Jestem emir-dynamit! - wołał bujając się na grzbiecie wielbłąda. - Jeżeli w ciągu dwóch dni nie otrzymamy przyzwoitej strawy, zbuntuję jakieś tubylcze plemiona. Słowo honoru! Uzurpuję sobie tytuł namiestnika proroka i ogłoszę świętą wojnę, czyli dżihad. Wypowiem wojnę, na przykład, Danii.

Jakim prawem Duńczycy popchnęli w objęcia śmierci swego księcia Hamleta? Przypuszczam, że w obecnej sytuacji międzynarodowej nawet Liga Narodów uzna ten powód do wojny za wystarczający. Za milion czerwonońców kupię karabin od Anglików, którzy bardzo lubią sprzedawać dzikim plemionom broń palną, i marsz-marsz na Danię. Niemcy nas przepuszczą na rachunek odszkodowań wojennych. Czy wyobraża pan sobie chwilę wkroczenia plemion koczowników do

Kopenhagi? A na czele ja - na białym wielbłądzie! Jaka szkoda, że Panikowski nie żyje. Dostałby duńską gąskę!

Ale po upływie kilku dni, kiedy kumys był już wypity, a z baranów zostały tylko powróśla, emir-dynamit stracił humor i mruczał melancholijnie: - W Arabii, w pustyni piaskami spalonej, trzy palmy wznosiły swe, jakieś tam, korony.

Obaj szejkowie wychudli, byli obdarci, zarośnięci i wyglądali na derwiszów z ubogiej parafii.

- Jeszcze trochę cierpliwości, Ibn-Korejko, a znajdziemy się w mieście nie gorszym od Bagdadu.

Płaskie dachy, tubylcze orkiestry, restauracyjki w stylu wschodnim, słodkie wina, legendarne kobiety, czterdzieści tysięcy różnów z szaszłykami karskimi, tureckimi, tatarskimi, mezopotamskimi, odeskimi, no i stacja kolejowa.

W ósmym dniu podróży wędrowcy dotarli do starego cmentarzyska. Jak okiem sięgnąć widniały tam zastygłe fale pagórkowatych grobowców. Zmarłych tu nie zakopywano. Układano ich na ziemi i wznoszono nad nimi półkoliste piramidy z kamieni. Nad spopielałym miastem umarłych świeciło palące słońce pustyni. Starożytny Wschód spoczywał tu w swoich rozprażonych grobowcach.

Kombinatorzy zacięli wielbłądy i niebawem znaleźli się w oazie. Dokoła miasta płonęły zielone pochodnie topoli i odbijały się w zalanych wodą kwadratowych półkach ryżowych. Tu i ówdzie stały syberyjskie wiązy, kształtem przypominające gigantyczne globusy na drewnianych nóżkach. Widać też było osiołki, dźwigające na grzbietach wiązki koniczyny oraz otyłych jeźdźców w długich chałatach.

Korejko i Bender przejeżdżali obok kramów, gdzie sprzedawano zieloną tabakę w proszku i cuchnące mydło w stożkach przypominające główki szrapneli. Rzemieślnicy z długimi muślinowymi brodami obrabiali arkusze miedzi, zwijając z nich miski i

wysmukłe dzbany. Szewcy suszyli na słońcu małe, ufarbowane skórki. Ciemnogrnatowe, żółte i błękitne kafelki meczetów świeciły szklanym połyskiem.

Milionerzy przepali resztę dnia i noc w hotelu, a rano wykąпали się w białej wannie, ogolili się i wyszli na miasto. Konieczność dźwigania ciężkiej walizy i worka mąciła pogodny nastrój szeków.

- Uważam za swój obowiązek - oświadczył Bender chętnie - zapoznać pana z uroczą piwniczką, która nazywa się: „Pod księżycem”. Byłem tu przed pięciu laty. Wygłaszałem odczyty na temat zwalczania sztucznych poronień. Cóż to za rozkoszna piwniczka! Półmrok, chłód, właściciel rodem z

Tyflisu, rodzajowa orkiestra, mrożona wódka, tancerki z tamburynami i cymbałkami. Spędzimy tam cały dzień. Przecież lekarze-społecznicy mogą mieć także swoje słabości. Ja stawiam! Złote cielę pokrywa wszystkie koszty!

I wielki kombinator potrząsnął swoim workiem.

Okazało się jednak, że piwniczka „Pod księżycem” już nie istnieje. Ku zdumieniu Ostapa nie było nawet uliczki, na której rozbrzmiewały tamburyna i cymbałki. Miejsce jej zajmowała szeroka europejska arteria, budująca się jednocześnie na całej swojej długości. Wszędzie stały rusztowania, w powietrzu unosił się alabastrowy kurz, a ciężarówki jeszcze bardziej nagrzewały i tak już rozprażone powietrze. Ostap rozejrzał się po fasadach z szarej cegły o podłużnych niskich oknach, trącił Korejkę i rzekł: - Znam jeszcze inny uroczy zakątek, prowadzony przez pewnego jegomościa z Baku - po czym zaprowadził go na drugi kraniec miasta. Ale po przybyciu na miejsce nie zastali już wierszowanego szyldu, skomponowanego osobiście przez perfumiarza z Baku:

Szanujesz siebie,

Szanujesz nas,

Szanujesz Kaukaz -

Odwiedź nas.

Zamiast tego szyldu szekowie ujrzeli tekturową tabliczkę z napisem po arabsku i po rosyjsku:

MIEJSKIE MUZEUM SZTUK PIĘKNYCH

- Wejdzmy - powiedział melancholijnie Ostap - przynajmniej trochę ochłoniemy. A zresztą zwiedzanie muzeów należy do programu zajęć podróżujących lekarzy-społeczników.

Weszli do dużego bielonego wapnem pokoju, złożyli na podłodze swoje miliony i długo ocierali rękawami spocone czoła. W muzeum było tylko osiem eksponatów: kiel mamuta podarowany młodemu muzeum przez miasto Taszkient, obraz olejny „Starcie z basmaczami”, dwa stroje emirów, złota rybka w akwarium, gablotka z szarańczami na szpilkach, porcelanowa figurka z fabryki

Kuzniecowa i wreszcie makieta obelisku, który zamierzano wznieść na głównym placu miasta. U stóp makiety leżał duży blaszany wieniec z wstęgami. Przywiozła go niedawno specjalna delegacja jednej z sąsiednich republik, ponieważ jednak obelisk istniał dopiero w projekcie (środki wyasygnowane na jego budowę poszły na budowę łaźni, co było inwestycją znacznie pilniejszą), delegacja, po wygłoszeniu odpowiedniego przemówienia, złożyła wieniec pod makieta.

Do milionerów podszedł od razu młodzieniec w bucharskiej dywanowej mycce na ogolonej głowie i zażenowany jak autor zapytał:

- Jak wam się tu podoba, towarzysze?

- Owszem, owszem - odpowiedział Ostap.

Młodzieniec był kierownikiem muzeum i zaczął natychmiast wyliczać trudności, z jakimi walczy ta instytucja. Brak kredytów. Taszkient wykręcił się jednym kłębem, a muzeum nie posiada personelu, który by mógł się zająć gromadzeniem lokalnych historycznych i artystycznych zabytków. Nie chcą przysłać żadnego fachowca.

- Gdybym miał trzysta rubli - zawołał młody kierownik - zrobiłbym z tego muzeum istny Luwr.

- Czy dobrze znacie miasto? - zapytał Ostap, mrugając porozumiewawczo w stronę Aleksandra

Iwanowicza. - Czy nie moglibyście wskazać nam, gdzie się mieszczą pewne jego osobliwości? Byłem tu niegdyś, ale widzę, że od tego czasu w mieście zaszły poważne zmiany.

Kierownik muzeum niezmiernie się ucieszył. Oświadczył, że pokaże im wszystko osobiście, zamknął muzeum na kłódkę i zaprowadził milionerów na tę samą ulicę, na której szukali niedawno piwniczki

„Pod księżycem”

- Aleja Socjalizmu - rzekł, z satysfakcją wciągając w płuca alabastrowy pył. - Ach, co za rozkoszne powietrze! A co tu będzie za rok! Asfalt. Autobusy. Instytut melioracyjny. Instytut tropikalny. Niech tylko Taszkient spróbuje nie przysłać nam pracowników naukowych... Oni tam mają całe stosy kości mamuta, a przysłali nam tylko jeden kieł, mimo iż wiedzą, że w naszej republice panuje masowy pęd do nauk przyrodniczych.

- No, proszę - odezwał się Korejko, patrząc z wyrzutem na Ostapę.

- W dodatku podejrzewam - szepnął miejscowy entuzjasta - że to wcale nie jest kieł mamuta, że wetknęli nam po prostu ordynarny kieł słonia.

- A jak się u was przedstawia sprawa takich... lokalików w stylu azjatyckim, takich z tamburynami i fletami? - zapytał zniecierpliwiony wielki kombinator.

- Zlikwidowane - odpowiedział spokojnie młodzieniec. - Dawno już należało usunąć tę zarazę, to źródło morowego powietrza. Właśnie na wiosnę rozprawiono się z ostatnią tego rodzaju spelunką.

Nazywała się „Pod księżycem”

- I właśnie z nią się rozprawiono? - jęknął Korejko.

- Słowo honoru! Uruchomiono za to kuchnię-fabrykę. Europejską jadłodajnię. Talerze myje się tam i suszy przy pomocy elektryczności. Krzywa zachorowań na żołądek wykazuje znaczny spadek.

- Co się tu dzieje? - krzyknął wielki kombinator, kryjąc twarz w dłoniach.

- Musicie to zobaczyć na własne oczy - powiedział, śmiejąc się wstydliwie, kierownik muzeum. -

Jedziemy na obiad do kuchni-fabryki.

Wsiadli do bryczki z płóciennym baldachimem z niebieską frędzlą i pojechali. W drodze uprzejmy przewodnik zmuszał nieustannie milionerów do wyglądanego spod baldachimu i pokazywał im budynki już wybudowane, budynki, które właśnie budowano, oraz place, na których miano wkrótce rozpocząć prace budowlane. Korejko spoglądał na Ostapę przeszywającym wzrokiem. Ostap odwracał się plecami i mówił:

- Jaki to uroczy wschodni rynek. Istny Bagdad!

- Siedemnastego bieżącego miesiąca przystępujemy do rozbiórki tego rynku - oświadczył młodzieniec. - Stanie tu szpital i Centralny Zarząd Spółdzielni.

- I nie żal wam tej egzotyki? Przecież to istny Bagdad!

- Tak, to jest bardzo ładne - westchnął Korejko.

Młodzieniec zdenerwował się.

- Wam się to wydaje ładne, bo jesteście przejazdem, ale my tu musimy żyć.

W dużej sali fabryki-kuchni, między kaflowymi ścianami a zwisającymi pod sufitem muchomorami ze wstążek, nasi wędrowcy zjedli krupnik i mizerne brunatne bitki. Ostap próbował zasięgnąć języka w sprawie wina, ale otrzymał surową odpowiedź, że niedawno w pobliżu miasta odkryto źródło wody mineralnej smaczniejszej od słynnego narzanu. Na dowód tego kierownik muzeum zamówił butelkę owej niezwykłej wody, którą wypito w grobowym milczeniu.

- A jak się u was przedstawia krzywa prostytucji? - zapytał z isierką nadziei w głosie Aleksander Ibn-

Iwanowicz.

- Spadła na łeb na szyję! - odpowiedział nieubłagany młodzieniec.

- Rety! Co się tu dzieje? - zawołał Ostap z nieszczerym śmiechem.

Tymczasem wielki kombinator naprawdę nie rozumiał, co się dzieje. Kiedy wstali od stołu, okazało się, że kierownik muzeum zapłacił już rachunek za wszystkich. I nie chciał za nic przyjąć od milionerów pieniędzy, zapewniając, że pojutrze dostaje pensję, a do tego czasu obejdzie się jakoś bez pieniędzy.

- A rozrywki? Jak tu się ludzie bawią? - wypyttywał Ostap już bez wielkich złudzeń. - Tamburyna, cymbałki?

- To wy nic nie wiecie, towarzysze? - zdziwił się kierownik muzeum. - W zeszłym tygodniu odbyło się u nas otwarcie Filharmonii Miejskiej. Wielki kwartet symfoniczny imienia Bebla i Paganiniego. Zaraz tam pojedziemy. Nie rozumiem, jak mogłem o tym zapomnieć.

Po zapłaceniu przez kierownika obiadu nie można było ze względów natury etycznej wykręcić się od zwiedzenia gmachu filharmonii. Wychodząc z tego gmachu Aleksander Ibn-Iwanowicz zawołał głośem dozorcę:

- Miejska fisharmonia!

Wielki kombinator zarumienił się.

W drodze do hotelu młodzieniec nagle kazał woźnicy stanąć, wysadził milionerów z pojazdu, wziął ich a ręce i tajemniczo stąpając na paluszkach, zaprowadził ich do niewielkiego kamienia otoczonego żelazną barierką.

- W tym miejscu będzie stał obelisk - powiedział z przejęciem. - Kolumna marksizmu.

Na pożegnanie młodzian poprosił milionerów, żeby jak najczęściej zechcieli odwiedzać jego miasto.

Dobroduszny Ostap przyrzekł mu, że przyjedzie z całą pewnością, gdyż nigdy jeszcze w życiu nie spędził tak zachwycającego dnia.

- Ja na dworzec - oświadczył Korejko, kiedy znalazł się z Benderem sam na sam.

- Proponuje pan pojechać zabawić się do jakiegoś innego miasta? - zapytał Ostap. - Sądzę, że w

Taszkencie można spędzić wesoło co najmniej trzy dni.

- Nie, ja mam już dość! - odpowiedział Aleksander Iwanowicz. - Pojadę na dworzec, oddam walizkę na przechowanie i wezmę tu skromną posadę w jakiejś instytucji. Zaczekam na powrót kapitalizmu.

Wtedy dopiero zacznę się bawić.

- Jak pan chce czekać, to proszę bardzo - odpowiedział Ostap dość szorstko - ja wyjeżdżam. Dzisiejszy dzień to zwykłe nieporozumienie. Sądzę jednak, że złote cielątko nie straciło jeszcze całkowicie władzy w naszym kraju.

Na placu przed dworcem milionerzy ujrzeli gromadkę korespondentów z pociągu specjalnego, którzy po uroczystościach kolejowych odbywali wycieczkę krajoznawczą po Środkowej Azji. Korespondenci otaczali zwartym kołem Uchudszańskiego. Posiadacz „Poradnika okolicznościowego” z dumą obracał się na wszystkie strony, demonstrując swoje zakupy. Miał na sobie atłasową czapkę lamowaną ogonem szakala i chałat z watowanej kołdry.

Przepowiednie pluszowego proroka spełniały się w dalszym ciągu.

Rozdział XXXII Wrota nieograniczonych możliwości

W jeden z tych smutnych a pogodnych dni jesiennych, kiedy ogrodnicy obcinają na moskiewskich skwerach kwiaty i rozdają je dzieciom, pierworodny syn lejtnanta Szmidta, Szura Bałaganów, spał naławce w poczekalni Dworca Riazańskiego. Leżał z głową opartą o drewnianą poręcz. Zmięta czapka była zsunięta na nos. Wszystko wskazywało na to, że mechanik pokładowy „Antylopy” i pełnomocnik od kopyt jest biedny i nieszczęśliwy. Na jego nie ogolonym policzku widniały przyklejone do szczeciny skorupki od jajka. Płóciennie pantofle dawno straciły swój pierwotny fason i barwę i przypominały mołdawskie łapcie. Pod wysokim stropem poczekalni fruwały jaskółki.

Przez wielkie i brudne szyby okien widać było bloki, semafony i tym podobne niezbędne w kolejowym gospodarstwie sprzęty. Przez salę przebiegli tragarze, a po nich zaczęli przechodzić przez poczekalnię pasażerowie jakiegoś przybyłego na dworzec pociągu. Jako ostatni wszedł do poczekalni pasażer w stroju nader starannym. Pod rozpiętym lekkim płaszczem miał na sobie garnitur w drobną, kalejdoskopową kratkę. Spodnie opadały wodospadem na lakierowane półbuty. Zagraniczny wygląd pasażera podkreślał miękki nieco przekrzywiony na bok kapelusz. Podróżny nie korzystał z usług bagażowego, tylko sam niósł walizkę. Szedł wolno przez opustoszałą poczekalnię i za chwilę opuściłby dworzec, gdyby nie to, że nagle spostrzegł żalostną postać Bałaganowa. Zmarszczył się, podszedł bliżej i przez dłuższą chwilę przyglądał się śpiącemu. Potem ostrożnie, dwoma palcami w rękawiczce uniósł zakrywającą twarz mechanika czapkę i uśmiechnął się.

- Proszę wstawać, panie hrabio, jest pan używany przez podziemie - odezwał się potrząsając

Bałaganowa za ramię.

Szura usiadł, przetarł twarz ręką i dopiero wtedy poznał pasażera.

- Komandor! - zawołał.

- Nie, nie - rzekł Bender, zasłaniając się dłonią - tylko bez żadnych czułości. Zważniałem.

Bałaganów z podziwem przyglądał się komandorowi, który ogromnie się zmienił. Zmieniał go nie tylko ubiór. Ostap zeszcupiał, spojrzenie miał nieco roztargnione, a twarz spaloną słońcem południa.

- Jaki opalony! - zawołał radośnie Bałaganów. - Jaki opalony...

- Tak, opaliłem się - odpowiedział Ostap z godnością. - Przyjrzyj się moim spodniom. Europa, co? A widziałeś już kiedy coś takiego? Na serdecznym palcu lewej ręki noszą pierścion z brylantem. Cztery karaty. A jak tam twoje sukcesy? Nadal jesteś jednym z synów?

- Tak jest - zająknął się Szura. - Idzie mi nieszczególnie.

W bufecie Ostap zamówił białe wino i biszkopty dla siebie, a piwo i kanapki dla mechanika.

- Powiedz mi, Szura, ale uczciwie, ile pieniędzy brakuje ci do szczęścia? Ale oblicz wszystko dokładnie.

- Sto rubli - odpowiedział Bałaganów, odrywając się z żalem od chleba z kiełbasą.

- Ależ nie, nie zrozumiałeś pytania. Nie chodzi mi o to, ile ci potrzeba w tej chwili, tylko w ogóle do szczęścia. Rozumiesz? Żebyś się czuł zupełnie szczęśliwy.

Bałaganów długo medytował uśmiechając się niepewnie, a w końcu oświadczył, że do pełnego szczęścia brak mu sześć tysięcy czterysta rubli i że gdyby posiadał tę sumę, czułby się zupełnie dobrze.

- Doskonale - rzekł Ostap - dostaniesz pięćdziesiąt tysięcy.

Otworzył kwadratowy sakwojaż i wręczył Bałaganowowi pięć białych, przewiązanych sznurkiem paczek. Mechanik pokładowy z punktu stracił apetyt. Przestał jeść, schował pieniądze i już nie wyjął rąk z kieszeni.

- Czyżby talerzyk? - zapytał z zachwytem.

- Tak jest, talerzyk - odpowiedział spokojnie Ostap. - Z niebieskim szlaczkiem. Podsądny przyniósł mi go w zębach. W dodatku musiał długo merdać ogonem, zanim zgodziłem się przyjąć. A teraz prowadzę defiladę! Czuję się znakomicie!

Ale ostatnie zdanie wypowiedział bez wielkiego przekonania.

Defilada, prawdę mówiąc, nie układała się zbyt pomyślnie i wielki kombinator skłamał twierdząc, że czuje się znakomicie. Byłby bliższy prawdy, gdyby powiedział, że czuje się dosyć głupio, ale nie chciał się do tego przyznać nawet przed samym sobą.

Od czasu kiedy Ostap rozstał się z Aleksandrem Iwanowiczem w przechowalni ręcznego bagażu, gdzie zakonspirowany milioner złożył swoją walizkę, upłynął miesiąc.

Już w pierwszym miesiącu, do którego Ostap przybył z miną zdobywcy, nie udało mu się zdobyć pokoju w hotelu.

- Płacę każdą sumę - oświadczył wyniośle wielki kombinator.

- Nic z tego, obywatelu - odpowiedział mu portier - do naszego miasta zjechał w pełnym składzie kongres gleboznawców celem zapoznania się z tutejszą stacją doświadczalną. Wszystkie hotele zarezerwowane są dla przedstawicieli nauki.

Na uprzejmej twarzy portiera odmalował się wyraz głębokiego szacunku dla uczestników kongresu.

Ostap miał ochotę krzyknąć, że on jest ważniejszy od całego kongresu, że jego jeszcze bardziej należy szanować i cenić, bo ma w worku milion, ale uznał za słuszne powściągnąć swój temperament i wyszedł na ulicę w fatalnym humorze.

Przez cały dzień tłukł się po mieście dorożką. W najlepszej miejscowej restauracji musiał czekać półtorej godziny, aż gleboznawcy, którzy jedli tam gremialnie obiad, zwolnią stoliki. W teatrze odbywało się w tym dniu zamknięte przedstawienie dla gleboznawców i przeciętnym śmiertelnikom biletów nie sprzedawano. Zresztą i tak nie wpuszczono by Ostapa na widownię z workiem, a wielki kombinator nie miał go gdzie zostawić. Wobec groźby spędzenia nocy - dla dobra nauki - na ulicy, milioner wsiadł wieczorem do pociągu, żeby się przespać w wagonie sypialnym.

Rano znalazł się w jednym z dużych miast nad Wołgą. Z drzew opadały żółte, przejryste liście. Od

Wołgi wiał wiatr. W żadnym hotelu nie było wolnego pokoju.

- Pokoje będą zajęte co najmniej przez miesiąc - informowali Ostapa portierzy z bródkami, bez bródek, z wąsami i bez wąsów - to znaczy do chwili uruchomienia trzeciego agregatu w

Elektrocentrali. Hotele są przepełnione specjalistami. Prócz tego odbywa się właśnie okręgowy zjazd

Komsomołu. Nic na to nie poradzimy.

W czasie kiedy wielki kombinator rozmawiał z portierami, po hotelowych schodach biegali tam i z powrotem inżynierowie, technicy, fachowcy zagraniczni i delegowani na zjazd komsomolcy.

Ostap znowu musiał spędzić cały dzień w dorożce czekając z niecierpliwością na pociąg pośpieszny, gdzie mógłby przynajmniej umyć się, odpocząć i przeczytać gazetę.

Wielki kombinator spędził piętnaście nocy w rozmaitych pociągach, przenosząc się z miasta do miasta nigdzie nie mogąc zdobyć pokoju w hotelu. W jednym mieście budowano piec hutnicze, w drugim - hłodnię, w trzecim - cynkownię. Wszędzie roiło się od przyjezdnych fachowców. W czwartym mieście Ostapowi wszedł w paradę zlot pionierów i w pokoju, gdzie milioner mógłby przyjemnie spędzić wieczór z jakąś przygodną towarzyszką, baraszkowały dzieciaki. Ostap przyzwyczał się do podróżowania, zaopatrzył się w walizkę do przechowywania miliona i wszelkie podróżne przybory.

Miał już nawet zamiar wybrać się w daleką i nudną podróż do Władywostoku, z uwagi na to, że droga tam i z powrotem zajmie mu trzy tygodnie, kiedy nagle poczuł, że jeśli natychmiast nie zamieszka jak człowiek, umrze na jakąś zagadkową kolejową chorobą. I zrobił to, co robił zawsze, kiedy był szczęśliwym posiadaczem pustych kieszeni. Zaczął podawać się za kogo innego i wysyłać do miast, które zamierzał odwiedzić, depesze z zapowiedzią, że przyjeżdża inżynier albo lekarz-społecznik, albo tenor, albo literat. Ku jego wielkiemu zdziwieniu dla wszystkich tych osób znajdowały się pokoje w hotelach i Ostap zdołał nieco odsapnąć po długotrwałym trzęsieniu się w pociągach.

Pewnego razu, żeby dostać pokój, zmuszony był podać się za syna lejtnanta Schmidta. Po tym wypadku wielki kombinator pogrążył się w niewesołych rozmyślaniach.

„Więc tak wygląda życie milionera? – myślał z goryczą. – A gdzie cześć? Gdzie poważanie? Gdzie sława? Gdzie władza?”

Nawet „Europa” w postaci garnituru, półbutów i kapelusza, którą Ostap pysznił się przed

Bałaganowem, została nabyta w komisie i przy wszystkich bezspornych zaletach miała tę wadę, że nie była własna, rodzona, że pochodziła z drugiej ręki. Ktoś już te rzeczy kiedyś nosił, może tylko jeden dzień, może tylko chwilę, ale bądź co bądź należały już one do kogoś obcego. Przykre było również to, że rząd zupełnie nie dba o milionerów, nie zwraca uwagi na ich katastrofalną sytuację i rozdziela obra doczesne według z góry przyjętego planu. W ogóle wszystko było nie tak, jak być powinno.

Zawiaadowca stacji nie salutował na widok Ostapa, chociaż dawniej w ten sposób okazywał szacunek byle kupcowi posiadającemu głupie pięćdziesiąt tysięcy rubli kapitału. Ojcowie miasta nie przyjeżdżali do hotelu, żeby mu się przedstawić. Prasa nie molestowała go o wywiady i miast fotografii milionera umieszczała na łamach pism podobizny jakichś przodowników pracy zarabiających sto dwadzieścia rubli miesięcznie.

Ostap co dzień przeliczał swój milion i ciągle był posiadaczem miliona bez jakichś tam drobnych.

Robił, co mógł, jadał po kilka obiadów dziennie, pił wysokogatunkowe wina, rozdawał hojne napiwki, kupił sobie pierścień, japoński wazon i futro na tchórzach. Futro i wazon podarował zresztą wkrótce numerowemu w hotelu, bo bardzo nie lubił dużego bagażu, a w każdej chwili mógł sobie przecież kupić mnóstwo innych futer i wazonów. Mimo wszystko w ciągu miesiąca zdołał roztrwonić zaledwie sześć tysięcy.

Nie, defilada bynajmniej nie przebiegała pomyślnie, chociaż wszystko było przygotowane jak należy.

Oddziały zostały w porę zmobilizowane i przybyły na oznaczane miejsce w przewidzianym terminie.

Grała orkiestra. Ale pułki nie na niego patrzyły, nie jemu krzyczały: „hura”, nie dla niego wymachiwał rękami kapelmistrz. Mimo to Ostap nie tracił nadziei. Liczył jeszcze na Moskwę.

- A co z Rio de Janeiro? - zapytał gorączkowo Bałaganów. - Pojedziemy.

- Pal diabli Rio de Janeiro - odpowiedział Ostap z niespodziewaną wściekłością. - Wszystko to bujda na resorach. Nie ma na świecie żadnego Rio de Janeiro, nie ma żadnej Ameryki, nie ma żadnej

Europy. Ostatnim miastem na kuli ziemskiej jest Szepietowka, o którą rozbijają się fale Oceanu

Atlantyckiego.

- A to ci heca! - westchnął Bałaganów.

- Pewien lekarz wszystko mi wytłumaczył - ciągnął dalej Ostap. - Zagranica to mit o życiu pozagrobowym. Kto się tam dostanie, już nigdy nie wraca.

- Istny cyrk! - zawołał Szura, który nie zrozumiał ani słowa. - No, ale ja sobie teraz przynajmniej użyję!

Biedny Panikowski! Pogwałcił co prawda konwencję, ale nie warto mu już tego wypominać. Aleby się staruszek teraz cieszył!

- Proponuję uczcić pamięć zmarłego przez powstanie - rzekł Bender.

Młeczni bracia stali przez minutę w milczeniu, wpatrzeni w połamane biszkopty i nie dojedzoną kanapkę.

Uciążliwe milczenie przerwał Bałaganów.

- A chce pan wiedzieć, co słychać u Kozlewicza? Istny cyrk!

Udało mu się jakoś zebrać do kupy „Antylopę” i pracuje w Czernomorsku. Napisał do mnie. Mam tu jego list...

Mechanik pokładowy wyciągnął list z czapki.

„Jak się masz, Szura! - pisał kierowca. - Co u ciebie słychać? Czy jesteś nadal synem I. Sch.? U mnie wszystko w porządku, tylko kruczo z pieniędzmi. Samochód po remoncie zaczął kaprysić i pracuje tylko godzinę dziennie. Resztę czasu zabierają mi ciągłe reperacje. Już mi się to wszystko sprzykrzyło.

Pasażerowie mają do mnie pretensję. Czy nie mógłbyś mi przesłać, drogi Szuro, przewodu olejowego?

Może być używany. Tu na targu nic takiego nie mogę dostać. Poszukaj na Smoleńskim Rynku, tam gdzie sprzedają stare zamki i klucze. A jeśli ci się źle powiedzi, przyjeżdżaj, damy sobie jakoś radę.

Mam postój na rogu ulicy Mehringa, przy giełdzie. Gdzie się podziewa O. B.? Pozostaję z szacunkiem.

Adam Kozlewicz. Byłbym zapomniał. Przychodził do mnie na postój ksiądz Kuszakowski i Moroszek.

Była awantura. A. K.”

- Będę mógł teraz kupić dla niego ten przewód - odezwał się Bałaganów.

- Nie warto - odpowiedział Ostap - kupię mu nowy samochód. Pojedziemy teraz do „Grand-Hotelu”.

Zamówiłem tam telegraficznie pokój dla dyrygenta orkiestry symfonicznej. Musi się pan ubrać, umyć i poddać kapitalnemu remontowi. Otwierają się przed panem wrota nieograniczonych możliwości,

Szura.

Wyszli na Plac Kałaneczewski. Na placu nie było taksówek, a do dorożki Ostap wsiąść nie chciał.

- To jest pojazd minionej epoki - powiedział - daleko się na nim nie zajedzie. W dodatku pod siedzeniem gnieźdzą się tam malutkie myszki.

Trzeba było wsiąść do tramwaju. Wagon był przepełniony. Był to jeden z tych zarażonych bakcylem kłótni wagonów, których wiele kursuje w stolicy. Pierwszą sprzeczkę wywołuje w nim w godzinach porannego tłoku jakaś kłótniwa staruszka.

Do sprzeczki tej dają się wciągać kolejno wszyscy pasażerowie wagonu, nawet ci, którzy wsiedli w pół godziny po wybuchu awantury. Jędzowata starucha dawno wysiadła i nikt już dobrze nie wie, od czego się zaczęło i o co poszło, ale kłótnia i

wzajemne pretensje trwają nadal i w awanturę angażują się coraz to nowe kadry pasażerów. W takim wagonie piekło trwa aż do późnych godzin nocnych.

Podnieceni pasażerowie błyskawicznie rozdzielili Bałaganowa i Ostapa i po krótkiej chwili młeczni bracia chwiali się już na dwóch przeciwległych końcach wagonu, przyciskani przez czyjeś biusty i koszyki. Ostap wisiał na skórzanym uchwycie i z trudem wyciągał z tłoku walizkę, którą nieustannie porywał prąd.

Nagle w miejscu, gdzie chwia się Bałaganów, rozległ się wrzask jakiejś kobiety, górując nad zwykłym tramwajowym zgiełkiem:

- Okradli mnie! Łapać złodzieja! O, to ten!

Wszyscy odwrócili głowy. Amatorzy awantur zaczęli się co siłą przepychać ku miejscu zajścia. Ostap ujrzał ogłupiałą twarz Bałaganowa. Zanim mechanik pokładowy uświadomił sobie, co się stało, trzymano go już mocno za rękę, w której ścisnął tandetną damską torebkę na cienkim mosiężnym łańcuszku.

- Bandyta! - krzyczała kobieta. - Tylko się obejrzałam, a ten...

Posiadacz pięćdziesięciu tysięcy rubli ukradł torebkę, w której była tylko szyldkretowa puderniczka, legitymacja związkowa oraz jeden rubel i siedemdziesiąt pięć kopiejek gotówką. Zatrzymano ramwaj. Amatorzy zajść zaczęli ciągnąć Bałaganowa ku wyjściu. Mijając Ostapa Szura wyszeptał z rozpaczą:

- Czego ode mnie chcą? Ja tylko tak, odruchowo...

- Ja ci pokażę odruchowo - zawołał amator zajść w binoklach, z teczką pod pachą i z satysfakcją grzmotnął mechanika w kark.

Ostap zobaczył przez okno, że do grupy pasażerów szybko podszedł milicjant i uprowadził ze sobą winowajcę.

Wielki kombinator odwrócił głowę w przeciwną stronę.

Rozdział XXXIII Gość z Indii

Na czworokątnym ślepych podwórku „Grand-Hotelu” słyszeć było hałasy kuchenne, syk pary i okrzyki:

„Dwie herbaty pod szesnastkę”, a na białych korytarzach było jasno i cicho jak w hali rozdzielczej elektrowni. W stu pięćdziesięciu pokojach hotelowych spał po powrocie z podróży kongres gleboznawców; trzydzieści pokoi zarezerwowano dla handlowców zagranicznych, którzy usiłowali rozstrzygnąć wreszcie newralgiczne zagadnienie, czy transakcje handlowe ze Związkiem Radzieckim mogą być korzystne; najlepszy czteropokojowy apartament zajmował słynny hinduski poeta i filozof, a w malutkim pokoiku, zarezerwowanym dla dyrygenta symfonicznej orkiestry, spał Ostap Bender.

Leżał na pluszowej kołdrze, całkowicie ubrany, i przyciskał do piersi walizkę z milionem. W ciągu nocy wielki kombinator zużył cały zapas znajdującego się w pokoiku tlenu, pozostałe tam pierwiastki chemiczne tylko przez uprzejmość można by nazwać azotem. W numerze czuć było skwaśniałym winem, starymi kotletami i różnymi innymi obrzydliwościami. Ostap jęknął i obrócił się na drugi bok.

Walizka upadła na podłogę. Ostap szybko otworzył oczy.

- Co to wczoraj było? - mruknął, krzywiąc się z niesmakiem. - Fanfaronada w sali restauracyjnej. Tfu!

Zachowałem się jak kupiec drugiej gildii. Czy nie obraziłem przypadkiem któregoś z uczestników zabawy? Jakiś idiota wykrzykiwał: „Zbudźcie się, gleboznawcy”, a potem płakał i przysięgał, że sam jest w głębi duszy gleboznawcą. I to ja byłem tym idiotą. Ale dlaczego, dlaczego?...

I zaczął sobie przypominać, że wczoraj postanowił zacząć nowe życie od wybudowania sobie prywatnej willi w stylu mauretańskim i cały ranek spędził na rozkosznych marzeniach. Widział już oczyma wyobraźni pałacyk z minaretami, szwajcara z posągowym obliczem, mały salonik, pokój bilardowy i niewielką salkę konferencyjną. W wydziale komunalnym poinformowano go, że zdobycie placu pod budowę nie nastęcza specjalnych trudności. Ale w biurze budowlanym wszystko się zawaliło. Z hukiem padł na ziemię posągowy szwajcar, runęły złoczone ściany sali konferencyjnej i przewróciły się minarety,

- Czy pan jest osobą prywatną? - zapytano milionera w biurze budowlanym.

- Tak jest - oświadczył Ostap - jak najbardziej prywatną.

- Żałujemy bardzo, ale budujemy tylko dla instytucji i organizacji.

- Spółdzielczych, społecznych i gospodarczych? - zapytał z goryczą Bender.

- Tak jest.

- A ja?

- Pan musi się budować sam.

- Ale skąd mam wziąć cegłę, belki, a wreszcie zawiasy?

- Trzeba się jakoś postarać. Chociaż to nie będzie łatwe. Wszystkie materiały budowlane są rozdzielane na zapotrzebowania przemysłu i spółdzielczości.

Najprawdopodobniej to właśnie popchnęło Ostapę do nocnej pijatyki.

Nie wstając z łóżka Ostap wyjął notes i zaczął sumować wydatki od chwili zdobycia miliona. Na pierwszej stroniczce notesu figurował pamiętny rachunek:

Wielbłąd -

180 r.

Baran -

30 r.

Kumys -

1 r. 75 k.

Razem -

211 r. 75 k.

Dalej też nie było lepiej. Futro, sos, bilet kolejowy, znowu sos, znowu bilet, trzy turbany na czarną godziną, dorożki, wazon i tym podobne drobiazgi. Jeśli nie liczyć pięćdziesięciu tysięcy dla

Bałaganowa, które zresztą nie przyniosły mu szczęścia, milion był prawie nie naruszony.

„Nie pozwalają robić kapitalnych inwestycji - denerwował się Ostap. - Nie pozwalają. A może za przykładem Łochankina zacząć prowadzić życie intelektualne? Ostatecznie zgromadziłem już sporo dóbr materialnych i warto może zająć się

gromadzeniem dóbr duchowych. Warto by na przykład jak najszybciej wyświetlić, jaki jest istotny sens życia”.

Przypomniawszy sobie, że w hotelowym przedsionku roi się przez cały dzień od dziewcząt, które pragną porozmawiać z filozofem hinduskim o duszy.

„Pójdę do Hindusa - postanowił - i dowiem się w końcu, o co na tym świecie chodzi”.

Nie wypuszczając z rąk walizki Ostop tak jak stał, w wygniecionym ubraniu, wszedł na pierwsze piętro i zapukał do pokoju mędrca. Drzwi otworzył mu tłumacz.

- Czy filozof przyjmuje? - zapytał Ostop.

- Zależy kogo - odpowiedział uprzejmie tłumacz. - Czy pan jest osobą prywatną?

- O, nie, nie - zawołał z przestrachem wielki kombinator - przychodzę w imieniu pewnej organizacji spółdzielczej.

- Czy przyszedł pan z całą grupą? Ile osób liczy grupa? Profesor nie może przyjmować każdego osobno. Woli rozmawiać...

- Z kolektywem? - podchwycił Ostop. - Mnie właśnie skierował tu pewien kolektyw celem wyjaśnienia dość zasadniczej sprawy, mianowicie sensu życia.

Tłumacz zniknął za drzwiami i po chwili wrócił. Odsunął portierę i powiedział uroczyście:

- Niechaj wejdzie organizacja spółdzielcza, pragnąca wiedzieć, na czym polega sens życia.

Na niewygodnym fotelu z rzeźbionym oparciem siedział wielki poeta i filozof w brązowej aksamitnej sutannie i aksamitnym kołpaku. Miał śniadą, sympatyczną twarz i czarne oczy podporucznika. Biała szeroka broda, przypominająca frakowy gors, opadała mu na pierś. U jego stóp siedziała stenografistka, a dwaj tłumacze, Hindus i Anglik, zajmowali miejsca po obu jego bokach.

Na widok Ostapa z walizką w ręku filozof niespokojnie poruszył się na fotelu i szepnął coś tłumaczowi.

Stenografistka zaczęła pośpiesznie notować, a tłumacz zwrócił się do wielkiego kombinatora:

- Nauczyciel pragnie się dowiedzieć, czy przybysz nie przyniósł ze sobą w walizce jakichś sag i pieśni i czy nie zamierza odczytywać ich na głos, gdyż przeczytano już nauczycielowi mnóstwo pieśni oraz sag i nauczyciel nie jest już w stanie tego słuchać.

- Proszę zapewnić nauczyciela, że nie przyniosłem ani jednej sagi - oświadczył z szacunkiem Ostop.

Czarnooki starzec zaniepokoił się jeszcze bardziej i mówiąc coś gorączkowo wskazywał palcem na walizkę.

- Nauczyciel zapytuje - zaczął tłumacz - czy przybysz nie nosi się z zamiarem zakwaterowania się w jego pokoju, gdyż nikt dotychczas nie przychodził na audiencję z walizką.

Dopiero kiedy Ostop zdołał uspokoić tłumacza, a tłumacz filozofa, napięcie ustąpiło i zaczęła się pogawędka.

- Przed udzieleniem odpowiedzi na pańskie zapytanie dotyczące sensu życia - rzekł tłumacz - nauczyciel pragnie powiedzieć kilka słów na temat oświaty ludowej w Indiach.

- Proszę zapewnić nauczyciela - oświadczył Ostap - że problem oświaty ludowej pasjonuje mnie od najmłodszych lat.

Filozof zamknął oczy i zaczął powoli mówić. Przez pierwszą godzinę mówił po angielsku, a przez drugą po bengalsku. Od czasu do czasu nucił coś łagodnym dźwięcznym głosem, a raz nawet wstał, zadarł sutannę i wykonał kilka tanecznych pas mających widocznie imitować zabawy uczniów w

Pendżabie. Potem usiadł i znowu zamknął oczy, a Ostap długo musiał słuchać przekładu jego słów.

Początkowo Ostap uprzejmie kiwał głową, później wyglądał sennym wzrokiem przez okno, w końcu zaczął bawić się drobnymi w kieszeni. Oglądał na wszystkie strony swój pierścionek, a nawet mrugał znacząco w stronę ładniutkiej stenografistki, która zaczęła jeszcze prędejsz poruszać ołówkiem.

- Ale co z tym sensem życia? - zapytał milioner wykorzystując krótką pauzę.

- Nauczyciel pragnie naprzód podzielić się z przybyszem obszernymi materiałami, jakie zebrał przy badaniu stanu oświaty ludowej w ZSRR - wyjaśnił tłumacz.

- Proszę oświadczyć nauczycielowi - odpowiedział Ostap - że przybysz nie zgłasza sprzeciwu.

I maszyna znowu poszła w ruch. Nauczyciel mówił, śpiewał pionierskie piosenki, pokazywał gazetkę ścienną - dar uczniów sto czterdziestej szóstej szkoły, a raz nawet zaszlochał. Tłumacze mówili na dwa głosy, stenografistka pisała, a Ostap czyścił sobie paznokcie.

W końcu Ostap głośno odchrząknął.

- Wiecie co, panowie - powiedział - możecie się już nie trudzić. Zaczynam coś niecoś rozumieć po bengalsku. Proszę mi zacząć tłumaczyć dopiero wtedy, kiedy będzie mowa o sensie życia.

Kiedy przekazano filozofowi życzenie Ostapa, czarnooki starzec poruszył się gwałtownie.

- Nauczyciel powiada - oświadczył tłumacz - że on sam przyjechał do waszego wielkiego kraju, żeby się dowiedzieć, na czym polega sens życia. Tylko tam, gdzie oświata ludowa stoi na tak wysokim poziomie jak u was, życie zaczyna nabierać sensu. Kolektyw...

- Do widzenia - zawołał szybko wielki kombinator - proszę powiedzieć nauczycielowi, że przybysz musi natychmiast wyjść.

Ale filozof śpiewał już rzewnym głosem „Marsza Budionnego”, którego nauczył się od dzieci radzieckich. I Ostap wyszedł bez pozwolenia.

- O, Kriszno! - wołał wielki kombinator biegając po swym pokoju. - O, Wisznu! Co się dzieje na tym świecie? Gdzie jest siemiężna prawda? A może ja jestem osioł, nic nie rozumiem i wiedłem życie bez sensu? Autentyczny Hindus wie wszystko o naszym wielkim kraju, a ja, jak operowy indyjski gość, powtarzam w kółko: „Nie zliczyć brylantów płomiennych w pieczarach kamiennych”. Obrzydliwość!

Tego dnia Ostap zjadł obiad bez wódki i po raz pierwszy zostawił walizkę w pokoju hotelowym. Potem długo siedział w oknie i przyglądał się ciekawie zwykłym przechodniom, wskakującym jak wiewiórki do autobusów.

W nocy wielki kombinator ocknął się nagle i usiadł na łóżku. Było cicho i tylko przez dziurkę od klucza dobiegały z restauracji echa melancholijnego bostona. - Jak mogłem o tym zapomnieć?! - zawołał z gniewem. Potem roześmiał się, zapalił światło i szybko napisał depeszę:

CZERNOMORSK ZOSIA SINICKA W ZWIĄZKU ZE ZROZUMIENIEM BŁĘDÓW
GOTÓW

PRZYLECIEĆ CZERNOMORSKA SKRZYDŁACH MIŁOŚCI PROSZĘ DEPEZOWAĆ
MOSKWA GRAND

HOTEL BENDER.

Zadzwoił i polecił wysłać depeszę jako błyskawiczną.

Zosia nie odpowiedziała. Wszystkie dalsze depesze, utrzymane w tym samym rozpaczliwym i lirycznym tonie, pozostały również bez odpowiedzi.

Rozdział XXXIV Sojusz z młodzieżą

Pociąg jechał do Czernomorska. Pierwszy pasażer zdjął marynarkę, powiesił ją na haczyku przy półce bagażowej, ściągnął buty, zadzierając pulchne stopy aż pod nos, i włożył pantofle z językami.

- Słyszeliście historyjkę o pewnym mierniczym z Woroneża, który, jak się okazało, był krewnym japońskiego mikada? - zapytał z uśmiechem.

Drugi i trzeci pasażer przysunęli się bliżej. Czwarty pasażer leżał już na górnym łóżku, pod szorstką malinową kołdrą, i z kwaśną miną oglądał jakieś ilustrowane czasopismo.

- Nie słyszeliście? Doprawdy? Historyjka ta była w swoim czasie bardzo głośna. Był to sobie zwykły mierniczy - żona, jeden pokój, sto dwadzieścia rubli pensji. Nazywał się Bigusow. Jegomość całkiem przeciętny, pospolity, a nawet, mówiąc między nami, zwyczajny cham. Wraca pewnego dnia z biura, a tu w jego pokoju siedzi jakiś Japończyk, w bardzo, między nami mówiąc, eleganckim garniturze, w okularach i w półbucikach z wężowej skóry. Ostatni krzyk mody. „Czy pan się nazywa Bigusow?” - pyta Japończyk. „Tak jest” - odpowiada Bigusow. „A jak panu na imię?” - „Tak a tak” - „Zgadza się” - powiada Japończyk - „niech pan będzie łaskaw wobec tego rozebrać się, bo muszę obejrzeć pańskie nagie ciało” - „Proszę bardzo” - powiada Bigusow. Ale, mówiąc między nami, Japończyk wcale nie interesował się jego nagim ciałem, tylko rzucił się od razu na znajem. Bo Bigusow miał na boku znajem. Japończyk przyjrzał się temu znamieniu przez szkło powiększające, zbłądł, i powiada:

„Kłaniam się nisko, obywatelu Bigusow. Proszę przyjąć tę oto paczkę i list.” Żona Bigusowa naturalnie zaraz otworzyła paczkę. A w paczce leżał, wyobraźcie sobie, we wiórkach, obosieczny miecz. „Na co mi miecz?” - zapytał mierniczy. „Proszę przeczytać list - usłyszał odpowiedź. - Tam jest wszystko napisane. Jest pan samurajem.” Teraz Bigusow także zbłądł. Trzeba wam wiedzieć, że Woroneż nie jest takim znowu wielkim miastem. Między nami mówiąc, jaki może być stosunek mieszkańców takiego miasta do samurajów? Raczej negatywny. Ale co było robić? Bigusow bierze list, odrywa czternaście woskowych pieczęci i czyta. I co wy na to? Okazało się, że akurat trzydzieści sześć lat temu przez woroneską gubernię przejeżdżał incognito pewien japoński książę. Książę ten, mówiąc między nami, uciał sobie naturalnie romansik z pewną tamtejszą panienką i zrobił jej incognito dziecko. Chciał się nawet z nią żenić, ale mikado przysłał mu szyfrowaną depeszą kategoryczny zakaz.

Księżę musiał wyjechać i zostało nieślubne dziecko. Dzieckiem tym był Bigusow. I oto po upływie tylu lat księżę znalazł się na łożu śmierci. Jak na złość nie miał ani jednego ślubnego dziecka i nie miał komu zostawić majątku. Co gorsza, groziło wygaśnięcie na nim słynnego rodu, co dla Japończyka jest strasliwym ciosem. Wtedy przypomniał sobie o Bigusowie. Miał chłop szczęście! Teraz jest już odobno w Japonii. Stary umarł, a Bigusow został księciem, krewnym mikada, a w dodatku, międzynami mówiąc, dostał milion jenów gotówką. Milion! Milion dla takiego cymbała!

- Gdybym tak ja miał milion rubli! - odezwał się drugi pasażer ściskając kolana. - Już ja bym im okazał, co się robi z milionem!

Z górnego łóżka wychyliła się głowa czwartego pasażera. Przyjrzał się uważnie człowiekowi, który tak dobrze wiedział, co się robi, kiedy się ma milion, i bez słowa wrócił do przerwanej lektury.

- Tak - odezwał się trzeci pasażer, otwierając kupioną na dworcu paczuszkę z dwoma sucharkami - w sprawach pieniężnych zdarzają się różne bardzo dziwne przypadki. Pewna moskiewska panienka miała wujka w Warszawie. Wujek ten umarł i zostawił jej milionowy spadek, o czym ona wcale nie wiedziała. Ale tam, za granicą, wywąchali coś w tej sprawie i po miesiącu zjawił się w Moskwie pewien bardzo przyzwoicie prezentujący się cudzoziemiec. Młodzieniec ten zamierzał ożenić się z panienką, zanim dojdzie do niej wiadomość o spadku. Panienka miała w Moskwie narzeczonego. Był to także bardzo przystojny młodzieniec. Pracował w Urzędzie Miar i Wag. Ona go bardzo kochała i nie miała ochoty wyjść za mąż za nikogo innego. A ten cudzoziemiec stawał po prostu na głowie, przysyłał jej kwiaty, cukierki i fildekosowe pończochy. Okazało się, że zagraniczny fatygant nie przyjechał na własną rękę, tylko z ramienia towarzystwa akcyjnego, które zostało założone specjalnie w celu eksploatacji tego spadku. Towarzystwo to miało nawet kapitał zakładowy w kwocie osiemnastu tysięcy złotych. Pełnomocnik tego towarzystwa miał za zadanie ożenić się za wszelką cenę z panienką i wywieźć ją za granicę. Bardzo romantyczna historia! Możecie sobie wyobrazić sytuację pełnomocnika. Cóż za odpowiedzialność. Wziął przecież zaliczkę! A nie może wywiązać się ze swego zadania przez tego radzieckiego narzeczonego. A tam, w Warszawie, koszmar! Akcjonariusze czekają, denerwują się, akcje spadają. I wszystko skończyło się krachem. Panienka wyszła za mąż za naszego, za radzieckiego i nigdy nie dowiedziała się o tym spadku.

- A to idiotka! - odezwał się drugi pasażer. - Gdyby tak mnie dali ten milion!

Z emocji wyrwał nawet z ręki sąsiada sucharek i schrupał go nerwowo.

Pasażer z górnego łóżka zakaszłał znacząco. Widocznie rozmowy przeszkadzały mu spać.

Na dole zaczęto rozmawiać półgłosem. Pasażerowie siedzieli teraz tuż koło siebie, głowa przy głowie, i mówili gorączkowym szeptem:

- Niedawno Międzynarodowy Czerwony Krzyż ogłosił w pismach, że poszukiwani są spadkobiercy amerykańskiego żołnierza Harry Kowalczuka, który poległ w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku na wojnie. Spadek wynosi milion... To jest... było tego mniej niż milion, ale narosły procenty... I oto w pewnej zapadłej wiosce na Wołyniu...

Malinowa kołdra na górnym łóżku poruszyła się niespokojnie. Ostap był wściekły. Zbrzydły mu już wagony, górne i dolne łóżka, cały ten trzęsący się świat kolejowych podróży. Chętnie dałby pół miliona, żeby móc spokojnie zasnąć, ale szepty na dole nie ucichały:

- ...Wyobraźcie sobie, że do pewnego urzędu przyszła staruszka i powiada: „Znalazłam w piwnicy garnek. Nie wiem, co w nim jest. Bądźcie tak dobrzy i zobaczcie”. Zaglądają do garnka, a w tym garnku pełno złotych indyjskich rupii, milion rupii...

- Cóż za kretynka. Miała komu się zwierzać... Gdyby mnie dali ten milion, już ja bym...

- Między nami mówiąc, pieniądz to wszystko...

- A w pewnej pieczarze pod Możejkiem...

Na górnym łóżku rozległ się jęk, rozdzierający jęk potępieńca.

Rozmówcy na chwilę zamilkli, ale urok niespodziewanych bogactw, sypiących się z kieszeni japońskich książąt, warszawskich wujaszków lub amerykańskich żołnierzy, był tak wielki, że zaczęli się znowu trącać w kolana i szeptać:

- A kiedy otworzyli skrzynię z relikwiami, znaleźli, między nami mówiąc, milion...

Rano zaspany Ostap usłyszał dźwięk odsuwanej rolety i głos:

- Milion, rozumiecie, cały milion!...

Tego już było za wiele. Wielki kombinator spojrział z wściekłością na dół. Ale wczorajszych pasażerów nie było już w przedziale. Wysiedli o świcie w Charkowie, zostawiając rozgrzebaną pościel, zatłuszczone papiery, resztki chleba i kotletów oraz sznurek. Stojący przy oknie nowy pasażer spojrzął obojętnie na Ostapę i ciągnął dalej, zwracając się do swoich towarzyszy podróży:

- Milion ton żelaza! Z końcem roku! Komisja uznała, że zjednoczenie może temu podołać. I co najzabawniejsze - Charków to zatwierdził.

Ostap nie znalazł w tym oświadczeniu nic zabawnego. Jednakże nowi pasażerowie wybuchnęli chóralnym śmiechem. Przy tej okazji na całej trójce pasażerów zaskrzypiały gumowe palta, których nie zdążyli jeszcze zdjąć.

- A jak tam Iwan Nikołajewicz Bubeszko? - zapytał ciekawie najmłodszy z pasażerów. - Pewno ryje nosem ziemię?

- Już nie ryje. Znalazł się w idiotycznym położeniu. To ci była heca! Z początku zaczął się awanturować. Wiecie przecież... Iwan Nikołajewicz jest zawzięty... Osiemset dwadzieścia pięć tysięcy ton i ani tony więcej. Tu dopiero zaczęło się na dobre. Zaniżanie możliwości produkcyjnych - fakt!

Równanie w dół - fakt! Powinien był od razu przyznać się do popełnionego błędu. No nie? Ale to ambitna sztuka. Szlachta. Mógł się przyznać i na tym koniec. Ale on zaczął manewrować. Żeby ratować swój autorytet! No i zaczął się kłops, istna dostojewszczyzna: „Z jednej strony przyznaję, a z drugiej podkreślam”. Cóż tam było do podkreślenia. Po prostu brak kręgosłupa! Musiał nasz

Bubeszko napisać drugie pismo.

Pasażerowie znowu wybuchnęli śmiechem.

- Ale i w tym piśmie nie wspomniał ani słowem o swoim oportunizmie. Zaczęła się pisanina. Dzień w dzień pisemko. Tylko dla niego specjalny wydział założyć: „Poprawki i zastrzeżenia”. A przecież sam rozumie, że się zaplątał, chciałby się z tego wygrzebać, ale tyle już namieszał, że nie da rady. Doszedł już do tego, że w ostatnim pisemku napisał: „Przyznaję się do popełnienia błędu, ale niniejsze pisemko uważam za niewystarczające”.

Ostap już dawno poszedł się myć, a nowi pasażerowie zaśmiewali się w dalszym ciągu. Kiedy wrócił, przedział był już uprzątnięty, górne łóżka spuszczone, a konduktor zniknął w głębi korytarza, przytrzymując brodą stertę kołder i prześcieradeł. Młodzi ludzie bez obawy przeciągów otworzyli okno i jesienny wiatr hulał po przedziale jak uwięziona w skrzyni morska fala.

Ostap położył na półce walizkę zawierającą milion i usiadł spoglądając przyjaźnie na nowych towarzyszy podróży, którzy żarliwie wchłaniali atmosferę międzynarodowego wagonu specjalnego: przeglądali się nieustannie w lustrze na drzwiach, podskakiwali na siedzeniu wypróbowując jego miękkość i elastyczność, podziwiali lśniąca mahoniową boazerię oraz naciskali różne guziczki. Od czasu do czasu jeden z nich wychodził na chwilę, a po powrocie szeptał coś tajemniczo towarzyszom.

W końcu w drzwiach przedziału stanęła młoda dziewczyna w męskim włochatym palcie i w gimnastycznych pantoflach z tasiemkami owiązanymi wokół łydek według starożytnej greckiej mody.

- Towarzysze - powiedziała kategorycznym tonem. - To jest świństwo z waszej strony. My także chcemy zakosztować luksusowych warunków podróży. Na najbliższej stacji zamieniamy się na miejsca.

Dotychczasowi towarzysze podróży Bendera usiłowali się bronić.

- Szkoda gadać - przerwała im dziewczyna. - Wszyscy mamy takie samo prawo jak wy. Ciągnęliśmy już losy. Wypadło na Tarasowa, Parowickiego i na mnie. Wynście się do trzeciej klasy.

Z dalszej rozmowy Ostap dowiedział się, że pociągiem tym wracała z letniej praktyki do Czernomorska liczna grupa studentów politechniki. Ponieważ nie starczyło dla wszystkich miejsc w trzeciej klasie, studenci musieli wykupić trzy bilety do wagonu sypialnego, rozdzielając nadwyżkę na wszystkich członków grupy.

W rezultacie dziewczyna została w przedziale, a trzech dotychczasowi pasażerowie wynieśli się jak niepyszni. Miejsca ich zajęli po chwili Tarasów i Parowicki. Niezwłocznie zaczęli podskakiwać w siedzeniach i naciskać guziczki. Dziewczyna huśtała się na siedzeniu razem z nimi. Ale po upływie pół godziny wkroczyła do przedziału poprzednia trójka. Przygnała ich tu tęsknota za utraconym rajem. Za nią ukazało się jeszcze dwóch wstydliwie uśmiechniętych studentów, a następnie jeszcze jeden student z wąsami. Wąsłowi jazda wagonem sypialnym należała się dopiero następnego dnia, ale nie mógł się tego doczekać. Przybycie jego przyjęte zostało burzą protestów, co z kolei zwabiło do przedziału konduktora.

- Co to ma znaczyć, obywatele? - zapytał urzędowym tonem. - Cała szajka w sypialnym wagonie?

Proszę, aby pasażerowie trzeciej klasy natychmiast wrócili do swego wagonu.

Szajka bardzo się spieszyła.

- To są nasi goście - odezwała się zakłopotana dziewczyna. - Przyszli nas tylko odwiedzić.

- Przepisy zabraniają - oświadczył konduktor. - Proszę opuścić przedział.

Wąsł skierował się ku wyjściu, ale w tej samej chwili nieoczekiwanie wystąpił z interwencją wielki kombinator.

- Dajcie pokój, ojczulku - zwrócił się do konduktora. - Nie należy linczować pasażerów, jeżeli nie jest to absolutnie konieczne. Nie należy też trzymać się kurczowo litery prawa. A gdzie gościnność?

Chodźmy na korytarz, opowiem panu, jak się takie rzeczy załatwia na Wschodzie.

Po krótkiej rozmowie z Ostapem na korytarzu konduktor tak się przejął duchem Wschodu, że nie tylko nie przepędzał już studentów, ale nawet przyniósł dziewięć szklanek herbaty i spory zapas herbatników. I nie żądał zapłaty.

- Według wschodniego obyczaju - rzekł Ostap do studentów - zgodnie z prawem gościnności, jak mawiał pewien pracownik sektora kulinarnego.

Poczęstunek zorganizowany był z takim wdziękiem i prostotą, że nie można go było nie przyjąć.

Zatrzeszczały rozdzierane opakowania herbatników. Ostap częstował herbatą i wkrótce był już w zażyłej przyjaźni ze wszystkimi ośmioma studentami i jedną studentką.

- Od dawna interesuję się żywo problemem powszechnej, równej i tajnej oświaty - mówił ze swadą - a niedawno dyskutowałem na ten temat z pewnym hinduskim filozofem. Jest to człowiek niezwykle mądry i każde jego słowo jest natychmiast utrwalane na płycie gramofonowej. A ponieważ staruszek pasjami lubi gadać, nagromadziło się osiemset wagonów tych płyt gramofonowych i teraz przerabiają je na guziki.

Po tej wielkiej improwizacji Ostap wziął do ręki herbatnik i rzekł:

- Tylko jeden mały krok dzieli herbatnik od kamienia szlifierskiego. W danym wypadku krok ten został dokonany.

Przyjaźń zacieśniana tego rodzaju żarcikami rozwijała się szybko i niebawem cała gromadka studentów śpiewała już pod batutą Ostapa czastuszki:

Piotr Wielikij

Grał w guziki,

Wierny koń

I śliska żmija –

Oto jego

Familija.

Pod wieczór Ostap znał już imiona wszystkich swoich kompanów, a z niektórymi był nawet na „ty”.

Ale wielu rzeczy, o których rozmawiali jego młodzi znajomi, nie rozumiał. Uświadomił sobie nagle, że jest już rozpaczliwie stary. Młodzież, w której towarzystwie się znalazł, była może nieco prymitywna, ale jakaś zadziwiająco szczerą, jakaś rozbijającą bezinteresowna. Ostap musiał przyznać w duchu, że w tym wieku, to znaczy, kiedy miał około dwudziestu lat, był znacznie bardziej rozgarnięty, ale też znacznie bardziej zepsuty. Nie umiał się już wtedy śmiać, umiał się tylko wyśmiewać. A ta młodzież co chwila wybuchała szczerym, serdecznym śmiechem.

„Z czego się ta puciołowata młódź tak cieszy? - pomyślał z nagłym rozdrażnieniem. - Słowo honoru, że zaczynam im zazdrościć”.

Chociaż Ostap był bez wątpienia głównym ośrodkiem zainteresowania całego towarzystwa, chociaż jego młodzi towarzysze podróży słuchali z zaciekawieniem jego płynnych i dowcipnych przemówień i odnosili się do niego bardzo przyjaźnie, nie wyczuwał w nich jednak ani bezkrytycznego kultu, jakim darzył go Bałaganów, ani tchórzliwej pokory typowej dla Panikowskiego, ani bałwochwalczego uwielbienia, jakie żywił dla niego Kozlewicz. Zachowanie studentów świadczyło o wyższości widza nad konferansjerem. Widz słucha obywatela we fraku, od czasu do czasu śmieje się, nawet bije brawo, potem wraca do domu i konferansjer już go więcej nie obchodzi. A konferansjer idzie po przedstawieniu do klubu artystycznego, siedzi melancholijnie nad kotлетem i żali się swemu koledze po fachu - komikowi z operetki, że publiczność go nie rozumie, a rząd nie docenia. Komik pije wódkę i też się skarży, że go nie rozumieją. A cóż tam jest do zrozumienia? Stare jak świat dowcipy i ograne, wyświechtane chwytły? A na doksztalcanie się jest już za późno. Więc nie ma się na co żalić.

Historia o zaniżającym plany Bubieszce została opowiedziana ponownie, tym razem specjalnie dla

Ostapa. Ostap wybrał się ze swymi nowymi przyjaciółmi do wagonu trzeciej klasy namówić studentkę

Lidę Pisarewską, żeby przyszła do nich z wizytą, i był tak wymowny, że wstydliva dziewczyna przyjęła zaprosiny i wzięła udział w ogólnej zabawie. Nagłe wzajemne zaufanie przybrało takie rozmiary, że pod wieczór wielki kombinator spacerując w towarzystwie dziewczyny w męskim palcie po peronie dużej węzłowej stacji, zaprowadził ją pod sam semafor i tam, w przystępie zdumiewającej szczerości, wypowiadał się przed nią w dość niewybrednych słowach ze swoich najszybszych tajemnic.

- Było to tak - mówił - świecił księżyc, król krajobrazu. Siedzieliśmy na schodkach Muzeum

Starożytności i nagle uświadomiłem sobie, że ją kocham. Ale tego Samego wieczoru zmuszony byłem wyjechać i wszystko diabli wzięli, bo ona, mam wrażenie, obraziła się. Nawet na pewno się obraziła.

- Musieliście wyjechać służbowo? - zapytała dziewczyna.

- Coś w tym rodzaju. Tak niezupełnie służbowo, ale w pewnym bardzo pilnym interesie. A teraz cierpię! Głupio i tragicznie cierpię!

- Nie widzę w tym nic strasznego - rzekła dziewczyna - trzeba tylko przestawić nadmiar energii na jakieś zadanie produkcyjne. Na przykład weźcie się do piłowania drzewa. Teraz panuje taki właśnie prąd.

Ostap obiecał się przestawić i chociaż nie wyobrażał sobie, w jaki sposób piłowanie drzewa zastąpi mu Zosię, odczuł jakąś głęboką ulgę. Wrócili do wagonu z bardzo tajemniczymi minami i kilka razy wychodzili potem we dwójkę na korytarz, żeby porozmawiać szeptem o uczuciu bez wzajemności i o nowych prądach panujących w tej dziedzinie.

W przedziale Ostap wychodził nadal ze skóry, żeby zaskarbić sobie powszechną sympatię. Udało mu się osiągnąć to, że studenci traktowali go jak równego sobie, a gruboskórny Parowicki klepnął go z całej siły w ramię i zawołał:

- Wstąp na naszą politechnikę. Zapewniam cię, że dostaniesz siedemdziesiąt pięć rubli stypendium.

Będziesz żył jak król. Mamy znakomitą stołówkę, w której co dzień dają mięso. A potem pojedziemy jako praktykanci na Ural.

- Kiedy ja ukończyłem już wydział humanistyczny - odpowiedział szybko wielki kombinator.

- A czym się teraz zajmujesz? - zapytał Parowicki.

- Pewnymi operacjami finansowymi.

- Pracujesz w banku?

Ostap popatrzył nagle ironicznie na studenta i oświadczył:

- Nie, nigdzie nie pracuję. Jestem milionerem.

Oczywiście takie oświadczenie do niczego Ostapa nie zobowiązywało i łatwo było je obrócić w żart, ale Parowicki roześmiał się tak wyzywająco, że Ostap poczuł się dotknięty. Ogarnęła go chęć zaimponowania towarzyszom podróży i wzbudzenia w nich podziwu.

- A ile macie tych milionów? - zapytała dziewczyna w gimnastycznych pantoflach, prowokując go do dowcipnej odpowiedzi.

- Jeden - odparł blednąc z dumy Ostap.

- Mało - oświadczył wąsaty.

- Mało, mało - zawołali chórem pozostali studenci.

- Mnie to wystarczy - oświadczył dostojnie Bender. Mówiąc to wziął walizkę, otworzył nikłowe zamki i wysypał zawartość walizki na ławkę. Paczki banknotów uformowały na ławce rozpełzającą się stertę.

Ostap wziął jedną z paczek, zgiał ją i opaska pękła z suchym trzaskiem.

- Każda z tych paczek zawiera dziesięć tysięcy. To mało? Milion bez paru groszy! A na każdym banknocie wszystkie niezbędne podpisy, obrazki i znaki wodne.

Wśród martwej ciszy Ostap zgarnął z powrotem pieniądze do walizki i królewskim, w jego mniemaniu, gestem rzucił walizkę na siatkę, usiadł, rozparł się wygodnie, szeroko rozstawił nogi i spojrzał na gromadkę studentów.

- Jak widzicie, nauki humanistyczne także mogą się na coś przydać - rzekł milioner, zachęcając studentów do żartobliwej rozmowy.

Ale studenci milczeli przyglądając się różnym guziczkom i haczykom na ozdobnych ścianach przedziału.

- Żyję sobie jak bóg albo jak półbóg - ciągnął dalej Ostap - co zresztą na jedno wychodzi.

Po krótkiej pauzie wielki kombinator poruszył się niespokojnie i zawołał jak najbardziej przyjacielskim tonem:

- Coście tak, do diabła, nosy na kwintę pospuszczali?

- No, pójdę do swego wagonu - odezwał się po namyśle wąsal - zobaczę, co tam słychać...

I szybko opuścił przedział.

- Zastanawiające, zdumiewające - mówił Ostap - wczoraj Tano nie znaleźliśmy się nawet, a dzisiaj czujemy się ze sobą tak, jak byśmy przeżyli dziesięć lat w przyjaźni. To chyba jakieś przyjazne fluidy...

- He jesteśmy winni za herbatę? - zapytał Parowicki. - Ileśmy wypili, towarzysze? Dziewięć czy dziesięć szklanek? Trzeba zapytać konduktora. Zaraz wrócę.

Za Parowickim wyszło jeszcze czterech studentów, pragnących widocznie pomóc mu w obrachunkach z konduktorem.

- A może byśmy coś zaśpiewali? - zaproponował Ostap. - Coś kolejowego. Na przykład: „Siergiej pop”.

Zgoda? Mam piękny bas.

Nie czekając na odpowiedź wielki kombinator zanucił: „Siwa gąska, siwa, po Kazance pływa”. W chwili kiedy wszyscy powinni byli podchwycić refren, Ostap wznosił ręce jak kapelmistrz i przytupnął nogą, ale chór nie podchwycił refrenu. Tylko Lida Pisarewska wstydliwie pisnęła: „Siergiej pop, Siergiej pop”, ale natychmiast urwała i wybiegła z przedziału.

Przyjaźń niknęła w oczach. Po krótkiej chwili w przedziale została już tylko pocziwa i pełna życzliwości dziewczyna w gimnastycznych pantoflach.

- Dokąd oni wszyscy uciekli? - zapytał Ostap.

- Rzeczywiście - szepnęła dziewczyna. - Trzeba zobaczyć.

Skoczyła zwinnie ku drzwiom, ale nieszczęsny milioner złapał ją za rękę.

- Ja tylko zażartowałem - jęknął - jestem człowiekiem pracy, dyrygentem orkiestry symfonicznej.

Jestem synem lejtnanta Schmidta. Ojciec mój był obywatelem tureckim. Przysięgam...

- Proszę mnie puścić - szepnęła dziewczyna.

Wielki kombinator został sam.

Wagon trząsł się i skrzypiał. Łyżeczki tańczyły w pustych szklankach, które całym stadkiem zsuwały się powoli na brzeg stolika. W drzwiach ukazał się konduktor, przytrzymując brodą stos kołder i prześcieradeł.

Rozdział XXXV Technik dentystyczny, którego kochały panie, kucharki, wdowy, a nawet jedna kobieta

W Czernomorsku brzęczały dachy, a po ulicach hulały przeciągi. Gwałtowny północno-wschodni wiatr porozwieszał na śmietnikach, na rynnach i gzymsach kamienic delikatne babie lato, które umierało tam wśród zbutwiałych klonowych liści i podartych biletów tramwajowych. Jesienne chryzantemy tonęły w miskach kwiaciarek. Łomotały zielone okiennice zamkniętych budek z kwasem. Gołębie ówiły: „umrę, umrę”. Wróble rozgrzewały się dymiącym nawozem. Mieszkańcy Czernomorska brnęli pod wiatr ze spuszczoneymi głowami, jak byki. Ale najgorzej działo się pikowym kamizelkom.

Wiatr zrywał im sztywne słomkowe kapelusze oraz panamy i toczył je po parkietowej jezdni w dół, ku bulwarowi. Starcy gonili je, klnąc i sapiąc. Ale prądy powietrzne popychały ich tak energicznie, że przeganiiali niekiedy swe nakrycia głowy i

zatrzymywali się dopiero u mokrych stóp brązowego posągu jakiegoś dostojnika z czasów Katarzyny, który zdobił środek placu.

„Antylopa” skrzypiała na postoju jak okręt. O ile dawniej samochód Kozlewicza wprawiał w radosne zdumienie, o tyle teraz budził litość: lewy tylny błotnik przywiązany był sznurkiem, znaczną część przedniej szyby zastępowała dykta, a na miejscu zaginionej w czasie katastrofy gumowej gruszki z

„macziczą” wisiał na sznurku mosiężny prezydialny dzwonek. Nawet kierownica, na której spoczywały zacne ręce Adama Kozlewicza, była nieco przekrzywiona. Na chodniku obok „Antylopy” stał wielki kombinator oparty o drzwiczki i mówił:

- Wprowadziłem pana w błąd, Adamie. Nie mogę podarować panu ani Isetta-Frascini, ani Lincolna, ani Buicka, ani nawet Forda. Nie mam prawa kupić nowego samochodu. Państwo nie uznaje takich jak ja nabywców. Jestem osobą prywatną. Na podstawie ogłoszenia w gazecie mam prawo nabyć jedynie takiego samego gruchota jak nasza „Antylopa”.

- Uważam - odparł Kozlewicz - że mój Laurent-Dietrich to jeszcze doskonały wóz. Żeby tylko zdobyć gdzieś używany przewód olejowy, nie potrzebuję żadnego Buicka.

- Przewód przywiozłem - rzekł Ostap. - Proszę. Ale to, niestety, jedyna pomoc, jaką mogę panu okazać w zakresie mechanizacji środków transportowych.

Przewód sprawił Kozlewiczowi ogromną radość. Długo obracał go w rękach i natychmiast zabrał się do zainstalowania go.

Ostap trącił lekko dzwonek, który wydał prezydialny dźwięk, i powiedział:

- Czy zna pan ostatnią sensację, Adamie? Każdy obywatel podlega ciśnieniu słupa powietrza o wadze dwustu czternastu kilogramów.

- I co z tego? - zapytał Kozlewicz.

- Jak to co? Jest to fakt naukowy. A fakt ten od pewnego czasu zaczął mi bardzo ciążyć. Pomyśl pan tylko: dwieście czternaście kilo! Ciężar ten dusi człowieka przez całą dobę, a zwłaszcza w nocy.

Kiepsko śpiam. Co?

- Nie, nic. Słucham - odpowiedział uprzejmie Kozlewicz.

- Źle się czuję, Adamie, mam za duże serce.

Kierowca „Antylopy” westchnął. Ostap mówił dalej:

- Wczoraj podeszła do mnie na ulicy jakaś staruszka i zaproponowała mi, żebym kupił wieczną igłę do prymusa. Nie kupiłem, Adamie. Na co mi wieczna igła? Nie mam zamiaru wiecznie żyć. Chcę umrzeć.

Wszelkie typowe objawy świadczą o tym, że jestem zakochany. Nie mam apetytu, cierpię na bezsenność i odczuwam obłędne pragnienie pisania wierszy. Posłuchajcie, co ułożyłem wczoraj w nocy przy chybottliwym świetle lampy elektrycznej:

Pamiętam chwilę tę cudowną,
Gdy niespodzianie cię ujrzałem,
Jak snów ulotność niewysłowną,
Jak piękna bóstwo doskonałe.

Prawda, że ładne? Z talentem? I dopiero o świącie, kiedy postawiłem ostatnią kropkę, przypomniałem sobie, że ten wiersz napisał już przede mną Puszkina. Taki cios ze strony klasyka! Cóż pan na to?

- Mów pan dalej, mów pan - rzekł ze współczuciem Kozlewicz.

- Tak wygląda moje obecne życie - ciągnął Ostap z drzeniem w głosie. - Moja zewnętrzna powłoka zameldowana w hotelu „Kair”, a dusza cierpi i nie wyrwa się nawet do Rio de Janeiro. A w dodatku ciśnie ten słup powietrza.

- A był pan już u niej? - zapytał prostolinijny Kozlewicz. - Mam na myśli panną Zosią.

- Nie pójdę do niej - odparł Ostap. - Nie pozwala mi na to moja dumna skromność. Obudzili się we mnie przodkowie janczarowie. Wysłałem do tej niewdzięcznicy depesz za trzysta pięćdziesiąt rubli i nie dostałem odpowiedzi nawet za pół rubla. Ja, ja technik dentystyczny, którego kochały panie, kucharki, wdowy, a nawet jedna kobieta. Nie, Adamie, nie pójdę do niej. Do widzenia!

Wielki kombinator udał się do hotelu, wyciągnął spod łóżka walizkę z milionem, stojącą obok zabłoconych butów, przez jakiś czas przyglądał się jej tępym wzrokiem, a następnie wziął ją za rączkę i wyszedł na ulicę. Wiatr złapał Ostapę za bary i pchnął go w kierunku nadmorskiego bulwaru. Było tu zupełnie pusto i nikt nie siedział na żadnej z białych ławek, na których latem wycięto scyzorykami mnóstwo miłosnych napisów. Z przystani omijając latarnię morską wypływał właśnie niski statek towarowy o grubych prostych masztach.

- Dosyć - odezwał się Ostap - pal diabli złote cielę. Niech go sobie weźmie, kto chce. Niech trwoni miliony i puszcza je z wiatrem.

Rozejrzał się i widząc, że nikogo w pobliżu nie ma, rzucił walizkę na żwir.

- Proszę bardzo - powiedział zwracając się do czarnych klonów i składając głęboki ukłon.

A potem nie oglądając się za siebie ruszył aleją. Początkowo szedł powoli, potem wsadził ręce do kieszeni, bo zaczęły mu nagle zawadzać, i przyśpieszył kroku, żeby przezwyciężyć wahanie. Zmusił się do skręcenia w boczną ulicą i do zanucenia jakiejś piosenki, ale już po chwili popędził z powrotem.

Walizka leżała w tym samym miejscu, ale z przeciwległej strony zbliżał się już do niej z wyciągniętymi rękami jakiś obywatel w średnim wieku o pospolitej powierzchowności.

- A ty tu czego? - zawołał z daleka Ostap. - Ja ci pokażę cudze walizki zabierać. Ani na sekundę nie można nic na ulicy zostawić. Skandal!

Obywatel wzruszył ramionami i skapitulował, a Bender ruszył w dalszą drogę dźwigając znowu swoje złote cielę.

„Co tu robić? - medytował. - Jak się pozbyć tego przekłętą skarbu, który przysporzył mi tyle udręki?

Może go spalić?”

Pomysł ten trafił wielkiemu kombinatorowi do przekonania.

„Akurat w pokoju hotelowym mam kominek. Spalę skarb w kominku. To będzie wspaniałe! Gest

Kleopatry! W ogień! Paczka za paczką. Po co się z nimi męczyć? Chociaż nie, to nie ma sensu. Palić pieniądze to błazeństwo, fanfaronada! A co ja mogę za nie dostać, oprócz żarcia w prywatnych knajpach? Głupia sytuacja! Kierownik muzeum obiecuje za trzysta rubli urządzić Luwr, a pierwszy lepszy zespół jakichś wioślarzy lub stowarzyszenie autorów dramatycznych może za milion rubli wybudować drapacz lub półdrapacz chmur z płaskim dachem przeznaczonym do odczytów pod gołym niebem. Ale Ostap Bender, potomek janczarów, nic nie może zrobić! Klasa-hegemon paraliżuje jednostkę-milionera”

Zastanawiając się nad tym, co począć z milionem, wielki kombinator krążył po ulicach, siadał na cementowej balustradzie i patrzył z wściekłością na płynący za falochronem statek.

„Nie, z pożaru trzeba będzie zrezygnować. Palenie pieniędzy świadczy o tchórzostwie i braku fantazji.

Trzeba wymyślić coś efektowniejszego. A może ufundować stypendium imienia Bałaganowa dla zaocznych studentów radiotechniki? Albo kupić pięćdziesiąt tysięcy srebrnych łyżeczek, kazać z nich odląć pomnik Panikowskiego na koniu i ustawić ten posąg na jego grobie? Albo ozdobić „Antylopę” inkrustacją z masy perłowej? A może...”

Olśniony genialnym pomysłem wielki kombinator zeskoczył z balustrady. Nie tracąc ani chwili opuścił bulwar i z trudem pokonując napór frontalnych i bocznych wiatrów, skierował się do urzędu pocztowego. Tam na jego prośbę obszyto walizkę płótnem i przewiązano na krzyż sznurem. W ten sposób powstała zwykła paczka. Urząd pocztowy przyjmuje dziennie tysiące takich paczek.

Obywatele przesyłają w nich swoim krewnym słoninę, konfitury lub jabłka.

Ostap wziął chemiczny ołówek i z rozmachem napisał:

Ludowy Komisarz Finansów. Moskwa.

Wartościowa

I paczka, rzucona ręką krzepkiego pocztowca, upadła na stos innych tobołków, tłumoków i skrzynek.

Wsuwając do kieszeni kwit, Ostap widział, jak ospały staruszek z białymi błyskawicami na guzikach wywiózł jego milion na wózku wraz z innymi paczkami do sąsiedniej sali.

- Sesja trwa - rzekł wielki kombinator - ale tym razem bez udziału delegata pomyślonych agrariuszy, O.

Bendera.

Długo jeszcze stał w bramie urzędu pocztowego, to pochwalając swój postępek, to bolejąc nad nim.

Wiatr zaczął mu się wdzierać pod płaszcz. Ostap odczuł chłód i przypomniał sobie z żalem, że nie kupił jednak drugiego futra.

Tuż przed nim zatrzymała się na chwilę młoda kobieta. Spojrzała na świecącą tarczę pocztowego zegara i poszła dalej. Miała na sobie włochate paletko krótsze od sukienki oraz granatowy beret z pomponem. Prawą ręką przytrzymała targaną wiatrem połę paletka. Serce komandora drgnęło, jeszcze zanim poznał Zosię. Zaczął iść za nią po mokrych płytach chodnika, mimo woli trzymając się w pewnej odległości. Od czasu do czasu przechodnie zaślaniai mu Zosię i wtedy Ostap schodził na jezdnię, zerkał na dziewczynę z boku i obmyślał usprawiedliwiające argumenty.

Na rogu Zosia zatrzymała się przed kioskiem z galanterią i zaczęła oglądać kołyszące się na sznurku brązowe męskie skarpetki. Ostap zaczął przechadzać się w pobliżu.

Na samym skraju chodnika stało dwóch mężczyzn z teczkami i prowadziło ożywioną rozmowę. Obaj byli w jesionkach, spod których wyglądały białe letnie spodnie.

- W samą porę wyniósł się pan z „Herkulesa”, Iwanie Pawłowiczu - mówił jeden z nich przyciskając teczkę do piersi - szaleje tam teraz czystka jak po tyfusie.

- Całe miasto o tym mówi - westchnął drugi.

- Wczoraj wyrzucali Skumbriewicza - powiedział z sadystyczną satysfakcją pierwszy - nie można się było docisnąć. Z początku odbywało się wszystko bardzo kulturalnie. Skumbriewicz opowiedział swój życiorys tak efektownie, że wszyscy bili mu brawo. „Urodziłem się - powiedział - między młotem i kowadłem”. Chciał przez to zasugerować, że rodzice jego byli kowalami. Aż tu nagle ktoś z publiczności zapytał: „A nie przypominacie sobie przypadkiem pewnego przedsiębiorstwa handlowego pod firmą: Skumbriewicz i syn, wyroby żelazne? Czy nie jesteście tym właśnie

Skumbriewiczem?” A ten dureń odpowiada: „Nie, ja nie jestem Skumbriewicz, ja jestem syn”.

Możecie sobie wyobrazić, co teraz z nim będzie. Pierwsza kategoria murowana!

- Tak, towarzyszu Weintorg, to bardzo przykre. A kto jest dzisiaj na tapecie?

- O, dzisiaj jest wielki dzień. Dzisiaj staje przed komisją Berлага, ten sam, który zadekował się w domu obłąkanych. A potem sam Połychajew i ta żmija Serna Michajłowna, jego morganatyczna żona.

Nikomui w „Herkulesie” odetchnąć nie pozwoliła. Pójdę tam dzisiaj dwie godziny wcześniej, bo potemi się nie docisnę. Poza tym Bomze...

Ale Zosia szła dalej i Ostap nie dowiedział się, jaki los spotkał Adolfa Nikołajewicza Bomzego. Niewiele o to zresztą obchodziło. Miał już gotowe pierwsze zdanie rozmowy. Szybko dogonił dziewczynę.

- Zosiu - powiedział - przyjechałem i nic już tego faktu nie zmieni.

Zdanie to zostało wypowiedziane z niesłychanym zuchwalstwem. Dziewczyna zachnęła się i wielki kombinator pojął, że zaczął z niewłaściwego tonu. Wobec tego zmienił intonację i zaczął mówić szybko i dużo, skarżąc się na okoliczności, które sprawiły, że młodość minęła mu zupełnie inaczej, niż tego pragnął w młodzieńczych marzeniach i okazało się, iż życie jest ponure i niskie jak klucz basowy.

- Czy pani wie, panno Zosiu - powiedział w końcu - że każdego człowieka, nie wyłączając partyjnych, uciska słup powietrza wagi dwieście czternaście kilo? Nie zauważyła pani tego?

Zosia nie odpowiedziała.

Przechodzili właśnie koło kina „Kapitol”. Ostap zerknął na drugą stronę ulicy, gdzie latem mieściło się założone przez niego biuro i wydał stłumiony okrzyk. Na szerokość całego budynku wisiał tam okazały szyld:

PAŃSTWOWE PRZEDSIĘBIORSTWO ROGÓW I KOPYT

Przez wszystkie okna widać było maszyny do pisania i portrety mężów stanu. Przy drzwiach wejściowych stał ze zwycięskim uśmiechem zuchowaty woźny, przy którym Panikowski musiałby się schować. Przez otwartą bramę z napisem: „Baza” wjeżdżały

trzytonowe ciężarówki, załadowane po rzęgi kopytami i rogami. Z tego wszystkiego można było wywnioskować, że stworzona przez Ostapa instytucja odnalazła właściwą drogę.

- Klasa-hegemon zagarnia dla siebie wszystko - odezwał się smętnie Ostap - nawet mój lekkomyślny pomysł wykorzystała dla swoich celów. A mnie odepchnęła. Słyszysz pani? Jestem odepchnięty i nieszczęśliwy.

- Melancholijny amant! - odezwała się Zosia, po raz pierwszy spoglądając na Ostapa.

- Tak - odpowiedział Ostap - jestem typowym Eugeniuszem Onieginem oraz rycerzem pozbawionym przez władzę radziecką należnego mu dziedzictwa.

- Ładny mi rycerz...

- Niech się pani nie gniewa, Zosiu. Niech pani weźmie pod uwagę słup ciśnienia atmosferycznego.

Wydaje mi się nawet, że ten słup przygniata mnie znacznie mocniej niż innych obywateli. A to wszystko przez miłość do pani. Prócz tego nie jestem członkiem żadnego związku zawodowego, co także działa na moją niekorzyść.

- Ponadto łże pan znacznie więcej niż inni obywatele.

- To jest łgarstwo? To prawo fizyczne. A może istotnie nie ma żadnego słupa? Może to tylko moja fantazja?

Zosia przystanęła i zaczęła ściągać z prawej ręki rękawiczkę.

- Mam trzydzieści trzy lata, jestem w wieku Jezusa Chrystusa - rzekł szybko Ostap. - I cóż zdołałem przez te lata zdziałać? Nie stworzyłem filozofii, rozpuściłem uczniów, zmarłego Panikowskiego nie wskrzesiłem z martwych, i tylko pani...

- No, to do widzenia - rzekła Zosia - śpieszę się do stołówki.

- Ja także zamierzam zjeść obiad - oświadczył wielki kombinator, rzuciwszy okiem na tablicę z napisem: „Szkolno-wzorowy kombinat zbiorowego żywienia przy Czernomorskiej Państwowej

Akademii Sztuk Plastycznych”. - Zjem jakieś akademicko-wzorowe danie. Może mi ulży.

- Tylko członkowie związków zawodowych mają prawo korzystać z tej stołówki - uprzedziła Zosia.

- Wobec tego posiedzę tylko koło pani.

Zeszli po trzech schodkach na dół. W głębi naukowo-wzorcowego kombinatu siedział w cieniu zielonej palmy czarnooki młody człowiek i z powagą studiował kartę obiadową.

- Peryklesie - zawołała do niego z daleka Zosia - kupiłam ci skarpetki z podwójną piętą. Poznajcie się.

To jest Femidi.

- Femidi - powiedział młody człowiek, ściskając serdecznie rękę Ostapa.

- Bender-Zadunajski - odpowiedział szorstko wielki kombinator, który zorientował się od razu, że spóźnił się na ucztę miłości i że skarpetki z podwójną piętą to nie tylko produkt jakiejś spółdzielni pseudo-inwalidów, ale zarazem symbol szczęśliwego związku małżeńskiego pobłogosławionego przez

Urząd Stanu Cywilnego.

- Co? To pan jeszcze nazywa się do tego Zadunajski? - zapytała żartobliwie Zosia.

- Tak jest, Zadunajski. Przecież pani także nazywa się nie tylko Sinicka, sądząc po tych skarpetkach...

- Nazywam się Sinicka-Femidi.

- Od dwudziestu siedmiu dni - oświadczył młody człowiek zacierając ręce.

- Bardzo mi się pani mąż podoba - powiedział rycerz, wyzuty z dziedzictwa.

- Mnie też się podoba - odpowiedziała zapalczywie Zosia.

W czasie kiedy młodzi małżonkowie jedli barszcz marynarski podnosząc wysoko łyżki i patrząc sobie w oczy, Ostap z kwaśną miną przyglądał się rozwieszonym na ścianach plakatom. Na jednym z nich widniał napis: Nie prowadźcie rozmów przy jedzeniu. Zakłóca to regularne wydzielanie soków żołądkowych. Napis na drugim plakacie zredagowany był wierszem: Limoniada - fakt wszystkim znany

- zawiera węglowodany. Ostap nie miał tu już nic więcej do roboty. Powinien był odejść, ale powstrzymywała go od tego tylko jakaś niewczesna wstydliwość.

- W tym barszczu marynarskim - odezwał się - pływają zapewne resztki rozbitych okrętów.

Małżonkowie Femidi roześmieli się uprzejmie.

- A pan właściwie po jakiej linii pracuje? - zapytał Ostap nowożeńca.

- Jestem sekretarzem kolektywu artystów kolejowych - odpowiedział Femidi.

Wielki kombinator podniósł się z miejsca.

- Ach, jest pan przedstawicielem kolektywu! Mogłem się właściwie tego spodziewać. Nie będę pana dłużej męczył rozmową. Mogłoby to zakłócić panu wydzielanie soków żołądkowych tak niezbędnych dla zdrowia.

Wyszedł bez pożegnania zawadzając po drodze o stoliki.

- Sprzątnęli mi dziewczynę - mruknął na ulicy. - Sprzątnęli mi -ją sprzed samego nosa. Femidi!

Nemezidi! Sprzątnął ją milionerowi-chałupnikowi przedstawiciel kolektywu...

Nagle Bender uświadomił sobie i przerażającą wyrazistością, że nie posiada już żadnego miliona. Na tę myśl zaczął biec przed siebie roztrącając rękami przechodniów ruchem pływaka, który chce pobić rekord świata.

- Znalazł się apostoł Paweł! - szeptał, przeskakując przez klomby plantacji miejskich.

- Wielki jałmużnik! Bałwani Kretyn! Jeżeli moja paczka została już wysłana - powieszę się. Takich tołstojowców trzeba zabijać!

Pośliznąwszy się dwukrotnie po kamiennej posadzce urzędu pocztowego wielki kombinator znalazł się pod okienkiem. Stała tam niewielka milcząca i ponura kolejka. Ostap z rozpędu już wsuwał głowę do okienka, kiedy obywatel zajmujący pierwsze miejsce w kolejce rozstawił nerwowo kanciaste łokcie i odsunął intruza. Drugi obywatel w kolejce także automatycznie podniósł łokcie i wielki kombinator znalazł się jeszcze dalej od upragnionego okienka. W absolutnej ciszy łokcie pozostałych obywateli unosiły się i rozsuwały tak długo, aż natręt znalazł się na przynależnym mu z prawa miejscu, to jest na końcu kolejki.

- Ja tylko... - zaczął Ostap.

Ale nie dokończył. Było to bezcelowe. Szara, kamienna kolejka była niezłomna jak grecka falanga.

Każdy pilnował tu swego miejsca i gotów był umrzeć w obronie swoich praw.

Dopiero po upływie czterdziestu pięciu minut Ostap zdołał wsunąć głowę w okienko i zażądać kategorycznie zwrotu swojej paczki. Pocztowiec oddał mu apatycznie okazany kwit.

- Nadanych paczek nie zwracamy, towarzyszu.

- Czyżby moja paczka została już wysłana? - zapytał drżącym głosem wielki kombinator. - Nadałem ją zaledwie godzinę temu.

- Nie zwracamy nadanych paczek, towarzyszu - powtórzył pocztowiec.

- Ale to jest przecież moja paczka - powiedział uprzejmie Ostap - chciejcie zrozumieć. Moja! Nadałem ją, a teraz chcę ją wycofać. Zapomniałem, uważacie, włożyć do niej słoik konfitur. Konfitur z rajszych jabłuszek. Proszę was gorąco. Wujaszek będzie się bardzo gniewał. Proszę was...

- Nie zwracamy nadanych paczek, towarzyszu.

Ostap rozejrzał się szukając pomocy. Ale za jego plecami stała milcząca i surowa kolejka znająca wszystkie przepisy pocztowe, między innymi przepis głoszący, że nadanych paczek poczta nie zwraca.

- Muszę włożyć do paczki słoik - wyszeptał Ostap - rajske jabłuszka...

- Wyślijcie słoik w następnej paczce, towarzyszu. Wujkowi będzie to zupełnie obojętne - rzekł pojednawczo pocztowiec.

- Nie znacie mojego wujaszka! - zawołał gorąco Ostap. - A ja jestem ubogim studentem i nie mam już ani grosza. Odwołuję się do waszych uczuć obywatelskich.

- Drogi towarzyszu - odpowiedział płaczliwie pocztowiec - gdzie ja teraz znajdę waszą paczkę? Takich paczek leży tam już trzy tony.

Ale wielki kombinator zasypał go takim gradem chaotycznych zaklęć i próśb, że pocztowiec uległ i wyszedł do sąsiedniej sali, żeby odszukać paczkę ubogiego studenta. W milczącej dotychczas kolejce podniósł się wrzask. Wszyscy stojący w niej obywatele zaczęli wymyślać Ostapowi za nieznajomość pocztowych przepisów, a jedna z obywaterek nawet uszczypnęła go ze złości.

- Ale niech mi się to nigdy więcej nie powtórzy! - powiedział surowo pocztowiec, kładąc przed

Benderem jego paczkę.

- Nie powtórzy się! Daję wam na to najświętsze studenckie słowo - oświadczył komandor.

Dachy podzwaniały na wietrze, chwiały się latarnie, po ziemi sunęły cienie, a deszcz przecinał smugi reflektorów samochodowych.

- Dosyć już tych historycznych wybryków - rzekł radośnie Bender - dosyć rozterek wewnętrznych i pastwienia się nad samym sobą. Już czas zacząć pracowite burżuazyjne życie. W drogę do Rio de

Janeiro! Kupię tam sobie plantację i sprowadzę Bałaganowa w charakterze małpy. Niech zrywa dla mnie banany!

Rozdział XXXVI Kawaler Orderu Złotego Runa

Brzegiem Dniestru, pod osłoną nocy, posuwała się niesamowita postać. Była olbrzymia i nieforemnie gruba. Miała na sobie szczelnie opięty brezentowy płaszcz z podniesionym kapturem. Posuwała się wzdłuż nadbrzeżnych szuwarów stąpając na palcach, jak w sypialni. Od czasu do czasu przystawała i wdychała. Wówczas pod płaszczem rozlegał się metaliczny brzęk, a w powietrzu rozbrzmiewał dźwięk wysoki i niezwykle delikatny. W pewnej chwili dziwna ta postać potknęła się o mokry korzeń i upadła na brzuch. Rozległ się przy tym szcęk; tak donośny, jakby rycerska zbroja runęła na drewnianą posadzkę. Dziwna postać długo leżała na ziemi, wpatrując się w nocne ciemności.

Sumiała marcowa noc. Z drzew kapąły starannie odmierzone aptekarskie krople.

- Przeklęty półmisek! - szepnęła postać.

Podniosła się i już bez przeszkód dotarła nad brzeg Dniestru. Uniosła połę płaszcza, zsunęła się po spadzistym brzegu i z trudem utrzymując równowagę na rozmokłym lodzie, zaczęła biec w kierunku

Rumunii.

Wielki kombinator przygotowywał się do tego przez całą zimę. Skupował dolary z portretami prezydentów w siwych lokach, złote zegarki i papierośnice, obrączki, brylanty tudzież inne precjoza.

W tej chwili dźwigał na sobie siedemnaście masywnych papierośnic z orłami, monogramami i grawerowanymi napisami:

Dyrektorowi Banku Rosyjsko-Karpackiego, naszemu dobroczyńcy Jewsiejowi Rudolfowiczowi

Połufabrikantowi w dniu Jego srebrnych godów od wdzięcznych pracowników.

Tajnemu radcy M. I. Swiatotackiemu po zakończeniu inspekcji senatorskiej od urzędników Zarządu

Miejskiego w Czernomorsku.

Ale najcięższa ze wszystkich była papierośnica z dedykacją: Panu Komisarzowi Policji od wdzięcznych

Żydów stanu kupieckiego. Pod tym napisem umieszczono przebite strzałą płonące serce z emalii, co oczywiście było symbolem miłości, jaką żywili Żydzi stanu kupieckiego dla pana komisarza.

W kieszeniach tkwiły wiązki nanizanych na sznurek obrączek, pierścionków i bransoletek. Na plecach w trzech rzędach wisały na mocnym szpagacie dwadzieścia cztery złote zegarki. Niektóre z nich tykały denerwująco i Bender miał wrażenie, że po plecach łążą mu jakieś insekty. Były wśród nich zegarki-podarunki, o czym świadczył taki na przykład napis na kopercie: Kochanemu synowi

Sieriożeńce Kastraki w dniu zdania egzaminu dojrzałości. Nad słowem „dojrzałości” ktoś wydrapał szpilką słowo „płciowej”. Prawdopodobnie dopisek ten był dziełem przyjaciół młodego Kastraki, takich samych wąłkoni jak on. Ostap długo się wahał, czy

kupić ten nieprzyzwoity zegarek, ale w końcu zdecydował się, gdyż postanowił ulokować w kosztownościach cały swój milion.

Zima przeszła mu na uciążliwych zajęciach. Udało mu się ulokować w brylantach zaledwie czterysta tysięcy, a tylko za pięćdziesiąt tysięcy zdołał zakupić obcych walut, w tym sporo wątpliwej wartości waluty polskiej i bałkańskiej. Za resztę trzeba było nabyć przedmioty ciężkie i nieporęczne. Najwięcej kłopotu przyczyniał mu złoty półmisek, który niósł na brzuchu. Półmisek ten był duży i owalny jak tarcza afrykańskiego wodza i ważył dwadzieścia funtów. Potężny kark komandora ugiął się pod ciężarem cerkiewnego krzyża z napisem: W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, który to krzyż kupił od byłego subdiakona katedry, obywatela Samoobłożeńskiego. Nad krzyżem na wspaniałej wstędze wisiał order Złotego Runa - szczerozłoty baranek.

Ostap nabył ten order od pewnego zwareowanego staruszka, który może nawet był niegdyś księciem, a może tylko kamerdynerem jakiegoś księcia. Staruszek targował się z Ostapem do upadłego, podkreślając fakt, że tylko niewielu ludzi na świecie, i to przeważnie z rodzin panujących, posiada ten order.

- Złote Runo - mruczał staruszek - przyznaje się tylko za wyjątkowe zasługi.

- Ja właśnie mam wyjątkowe zasługi - powiedział Ostap - a zresztą kupuję tego złotego baranka tylko na łom.

Komandor blagował. Order bardzo mu się podobał i postanowił zachować go dla siebie w charakterze orderu Złotego Cielęcia.

Poganiany strachem i ciągłą obawą pościgu, Bender dobiegł do środka rzeki i zatrzymał się. Jego złoty skarbiec - półmisek, bransoletki, krzyż - ciążył mu straszliwie. Zegarki łaskotały go w plecy. Poły płaszcz nasiąkły wodą i ważyły parę pudów. Ostap z jękiem ściągnął płaszcz, rzucił go na łód i ruszył w dalszą drogę. Szedł teraz w futrze, wielkim, niezwykłym futrze, stanowiącym jedną najcenniejszych pozycji w jego majątku. Ostap budował to futro przez cztery miesiące, tak jest, budował je tak, jak się buduje dom. Rysował plany, zwoził materiały. Było to futro dubeltowe: miało podbicie z niezwykle cennych srebrnych lisów, pokryte było autentycznymi kotami morskimi i posiadało wspaniałą sobolową kołnierz. Tak, było to futro zdumiewające, superfutro z szynszylowymi kieszeniami, które były napełnione medalami za ratowanie tonących, krzyżykami i złotymi mostkami, reprezentującymi ostatni krzyk techniki dentystycznej. Na głowie wielkiego kombinatora tkwiła wysoka czapka. Właściwie nie tyle czapka, co bobrowa tiara.

Cały ten niezwykły ekwipunek miał zapewnić komandorowi przyjemne, beztrudne życie na wybrzeżu ciepłego oceanu, w wymarzonej od dzieciństwa miejscie, wśród balkonowych palm i fikusów, w Rio de Janeiro.

O godzinie trzeciej w nocy nieustępliwy potomek janczarów stanął na zagranicznym brzegu rzeki. Tu także było cicho i ciemno, tu także królowała wiosna, tu także kapały z drzew krople. Wielki kombinator roześmiał się.

- Teraz kilka drobnych formalności z rumuńskimi bojarami - i droga wolna. Myślę, że dwa lub trzy medale za ratowanie tonących zdołają osłodzić ich szare pograniczne życie.

Odwrócił się w stronę radziecką, wyciągnął w mrok i mgłą grubą futrzaną ręką i rzekł:

- Wszystko należy załatwić formalnie! Punkt piąty - pożegnanie z ojczyzną! Bądź zdrow, wspaniały kraju! Nie lubią być pierwszym uczniem i otrzymywać stopnie za sprawowanie, pilność i uwagę.

Jestem osobą prywatną i nie mam obowiązku interesować się dołami, rowami i wieżami. Nie pasjonuje mnie problem socjalistycznego przeistoczenia człowieka w anioła i ciułacza drobnych oszczędności. Interesuje mnie natomiast palące zagadnienie troski o milionera-chałupnika.

Niestety, pożegnanie z ojczyzną według formalnego wzoru numer pięć zostało zakłócone pojawieniem się kilku uzbrojonych postaci, w których Bender rozpoznał przedstawicieli rumuńskiej straży granicznej. Wielki kombinator złożył dostoyny ukłon i wygłosił wykute na pamięć zdanie:

- Trajasku Romania Mare!

Po czym spojrzał wyczekująco na ledwo widoczne w mroku twarze pograniczników. Wydało mu się, że dostrzega na nich życzliwe uśmiechy.

- Niech żyje wielka Rumunia! - powtórzył Ostap po rosyjsku. - Jestem starym profesorem. Uciekłem moskiewskiej Czerezwyczajki. Ledwo mi się udało wyrwać z jej szponów. Pozdrawiam w waszych osobach...

Jeden z pograniczników zbliżył się do Ostapa i bez słowa ściągnął mu z głowy futrzaną tiarę. Ostap wyciągnął rękę po swoje cenne nakrycie głowy, ale pogranicznik, również bez słowa, odepchnął wyciągniętą rękę.

- No, no - odezwał się dobrodusznie komandor. - No, no, ręce przy sobie. Bo poskarżę się na was w

Sfatul-Cerii, w Wielkim Hurułdanie.

Na te słowa drugi pogranicznik ze zręcznością wytrawnego kochanka zaczął rozpinać obszerne, bezcenne futro Ostapa. Komandor szarpnął się. Przy tym gwałtownym ruchu z kieszeni futra wypadła masywna damska bransoletka.

- O, bransoletka! - zawołał oficer straży granicznej, ubrany w krótką kurtkę z psim kołnierzem i dużymi metalowymi guzikami.

- Bransoletka! - wrzasnęli pozostali strażnicy i rzucili się na Ostapa.

Wielki kombinator zaplatał się w futro, upadł i poczuł, że wyciągają mu ze spodni drogocenny półmisek. Kiedy wstał, ujrzał, jak oficer z pożądlivym uśmiechem waży półmisek w rękach. Ostap rzucił się na niego i wyrwał oficerowi swój skarb. Ale w tej samej chwili otrzymał ogłuszający cios między oczy. Wypadki rozwijały się teraz z bitewną szybkością. Wielkiemu kombinatorowi ogromnie zawadzało futro, więc przez pewien czas prowadził walkę klęcząc i obrzucając napastników medalami za ratowanie tonących. Potem nagle doznał wyraźnej ulgi, która pozwoliła mu zadać nieprzyjacielowi szereg miażdżących ciosów. Okazało się, że nieprzyjaciel zdołał ściągnąć z niego futro wartości stu tysięcy rubli.

- Ach, więc to takie panują tutaj stosunki! - zawył Ostap, rozglądając się dzikim wzrokiem dokoła siebie.

W następnym etapie bitwy Ostap stał oparty plecami o drzewo i walił napastników lśniącym półmiskiem po łbach. Był też moment, w którym usiłowano zerwać mu z szyi order Złotego Runa, a komandor ruszał głową jak koń. Był wreszcie moment, kiedy stał, wznosząc oburącz archijerejski krzyż z napisem: W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, i krzyczał histerycznie:

- Wyzyskiwacze ludzi pracy! Krwio pijcy! Sługusy kapitalizmu! Pijawki!

Z ust ciekła mu różowa piana. Ostap walczył o swój milion jak gladiator. Strząsał z siebie napastników i podnosił się z ziemi, tocząc dokoła nieprzytomnym wzrokiem.

Opamiętał się dopiero na lodzie z pokrwawioną gębą, w jednym bucie na nodze, bez futra, bez pamiątkowych papierosnic, bez kolekcji zegarków, bez półmiska, bez walut, bez krzyża, bez brylantów, bez miliona. Na wysokim brzegu stał oficer w psim kołnierzu i spoglądał z góry na Ostapę.

- Przeklęta Siguranca! - zawołał Ostap podnosząc bosą nogę, - Pasożyty!

Oficer wyjął pistolet i powoli odciągnął kurek. Wielki kombinator zrozumiał, że wywiad jest skończony. Pochylił się i pobiegł w stronę radzieckiego brzegu.

Nad rzeką unosiła się biała mgła przypominająca kłęby dymu z papierosów. Bender rozluźnił zaciśnięte palce i ujrzał na dłoni płaski mosiężny guzik, pukiel twardych, czarnych włosów i cudem ocalony z pogromu order Złotego Runa. Wielki kombinator popatrzył tępym wzrokiem na te trofea oraz na resztki swojej fortuny i ruszył w dalszą drogę, zapadając się w lodowe szczeliny i pojękując z bólu.

Nagle rozległ się huk potężny jak wystrzał armatni; aż skorupa lodowa zakołysała się groźnie. Powiał ciepły wiatr. Bender spojrzał pod nogi i zobaczył w lodzie długą zieloną szczelinę. Płat lodu, na którym stał, przechylił się i zaczął ukosem pogrążyć się w wodzie.

- Lody ruszyły! - zawołał z przerażeniem wielki kombinator. - Lody ruszyły, panowie przysięgli!

Zaczął skakać z kry na krę, usiłując jak najprędzej dotrzeć do kraju, z którym przed godziną żegnał się z takim lekceważeniem. Mgła powoli i dostojnie unosiła się w górę odsłaniając rzekę.

Po pewnym czasie na brzeg radziecki wgramolił się dziwaczny osobnik bez czapki, w jednym bucie, i rzucił głośno w przestrzeń:

- Owacje są zbyt uczte! Nie udało mi się zostać hrabią Monte Christo. Będą musiał przekwalifikować się na administratora domu!



Zegary i ludzie

Przekład.: Janina i Jan Brzechwowie

KSIĄŻKA i WIEDZA 1961

Okładkę projektował J. Flisak

Redaktor H. Ruszkiewicz

Redaktor techn. K. Kolasiński

„Książka i Wiedza”, Warszawa, kwiecień 1961 r. Wyd. I. Nakład 10 000+260 egz. Obj. ark. wyd. 14,3 Obj. ark. druk. 19,25(15,5) Papier druk., mat. kl. V, 65 g, 82X104 cm Oddano do składu 28. XII 1960 r. Podpisano do druku 28 III 1961 r. Druk ukończono w kwietniu 1961 r. Łódzka Drukarnia Dziełowa, Łódź, ul. Piotrkowska 86.

Zam. nr 606/A/60. L-11 Cena zł 20.-

Felietony

Zalecona kokarda

Wyobraźcie sobie morze, wzburzone Morze Czarne. Teraz, w okresie przedurlopowym, nietrudno wywołać w pamięci uroczy obraz tego wielkiego zbiornika wody, I wyobraźcie sobie plażę. Ciepły i czysty szlachetny piasek. Jeśli wam bardzo zależy, wyobraźcie sobie również słońce i w ogóle cały zachwycający krajobraz kaukasko-krymskiego wybrzeża letniskowego.

Dwoje czarujących ludzi pracy leżało na plaży. Posłużymy się stylem telegraficznym. Byli młodzi przecinek, byli piękni kropka. Jeszcze krócej. Byli w wieku, kiedy pisuje się wiersze bez rymów i kocha się bez pamięci. Ona była diabelnie ładna w kostiumie kąpielowym. I on, do licha, też nie ułomek w kąpielówkach na lśniącem ciele.

Poznali się właśnie tu, na plaży. I kto wie, co w tym wypadku odegrało większą rolę - urok zbiornika wody czy słoneczny, że się tak wyrazimy, blask, czy też coś zgoła innego. Zresztą, jak już powiedzieliśmy, oboje byli bardzo ładni. Wobec dzisiejszych zachwyków nad malarstwem klasycznym, takie ciała zasługują ze wszelkich miar na szacunek, a nawet na poparcie. Zwłaszcza że będąc klasyczne w formie, są całkowicie radzieckie w treści.

Jeszcze krócej. Około drugiej po południu on rzekł:

- Może to głupie, co powiem, ale kocham panią.

Odparła, że to wcale nie takie głupie.

Następnie on coś jeszcze powiedział, ona też coś tam powiedziała. A brzmiało to szczerze i tkliwie.

Nad zbiornikiem krążyły mewy. Życie stało przed nimi. Było ono i tak diabelnie dobre, a wkrótce

(mam na myśli twoje rejestry, szanowny „Zagsie”) powinno stać się jeszcze lepsze.

Zakochani szybko zaczęli się ubierać.

On włożył spodnie, ciężkie moskiewskie portki, ponure jak rury kanalizacyjne, pomarańczowe miękkie pantofle wykonane z odpadów, ciemnopopielatą nie brudzącą się koszulę tudzież szorstką ciasną marynarkę. Marynarka była za wąska w ramionach, a kieszenie sterczały tak, jakby w każdej z nich była cegła.

Szczęście jaśniało na twarzy dziewczyny, kiedy odwróciła się do ukochanego. Ale ukochany zniknął bez śladu. Przed nią stał krzywonogi pokraka o zapadłej piersi i szerokich damskich biodrach. Na plecach miał pokaźny garb. Ręce ściśnięte pod pachami bezsilnie zwisały wzdłuż osobliwego korpusu.

Na jego obliczu malowało się przerażenie. Zobaczył bowiem ukochaną.

Miała na sobie gotową sukienkę z jakiegoś tam domu odzieżowego. Suknia wznosiła się na brzuchu.

Talia była umieszczona z takim wyrachowaniem, żeby tułów wydawał się jak najdłuższy, a nogi jak najkrótsze I cel ten został osiągnięty.

Suknia była w kolorze, który dzieci bawiące się w „kolory” nazywają „bordowym”. Nie był to kolor bordo, szlachetny kolor wina Bordeaux. Był to kolor nieokreślony. W każdym razie widmo słoneczne tej barwy nie zawiera.

Na nogach miała dziewczyna pończochy ze sztucznego jedwabiu, z których sterczały drzewne włókna, a bawełniane wykończenie zaczynało się tuż pod kolanami.

W tym roku wydarzyło się wielkie nieszczęście. Jakiś dyrektor od krawców wydał odgórne zalecenie, aby suknie miały kokardy. I oto między brzuchem a biustem dziewczyny tkwiła owa zalecona kokarda.

Oby jej lepiej nie było! Ona to robiła z dziewczyny paniusię, teściową z farsy, nasuwała wątpliwości co do budowy, co do wieku i kazała podejrzewać kłótniwy charakter.

„Jak mogłem zakochać się w takiej poczwarze?” - pomyślał chłopak.

„Jak mogła podobać mi się taka pokraka?” - pomyślała dziewczyna.

- Do widzenia - powiedział oschle.

- Do widzenia - odparła lodowatym tonem.

I już nigdy więcej się nie spotkali.

Przeraźliwie smutna historia, prawda?

Otóż my właśnie przedstawiamy rachunek za złamane serca, za brutalne podcinanie kiełkujących uczuć. Ale nie tylko za to. Rachunek jest duży. Zaczniemy według kolejności. Chwilowo odłożymy na bok cukierkowe hasło: „Odbiorco i sprzedawco, darzcie się wzajemną uprzejmością”. Otóż nie będziemy się darzyli wzajemną uprzejmością.

A zatem - sklep z konfekcją. Łady, za ładami sprzedawcy, przed ładami masa odbiorcza, a na półkach i wieszakach - masa towarowa.

Najobficie reprezentowane są nakrycia głowy, czyli czapki. Zwykłe czapki płócienne, czapkikarakułowe, czapki watowane, czapki na ślicznej różowej podszewce. Gdyby było można, robiono by czapki z kamienia. Ale temu zadaniu podołałby chyba tylko Michał Anioł, wielki rzeźbiarz włoskiego

Odrodzenia. Teraz takich rzeczy nie potrafią. Niestety, wszystkie czapki mają jeden fason. Ale nie będziemy się czepiać, zwłaszcza że w tym morzu czapek połyskują kusząco miękkie kapelusze, szare filcowe kapelusze z bladoliliową wstążką. Nie będziemy się czepiać. To dla przejezdnych dyplomatów tudzież snobów.

Są w sprzedaży męskie ubrania. Fason jeden. Opisaliśmy go już na początku. A jakie kolory? O, wybór kolorów jest ogromny. Czarny, czarno-szary, szaro-czarny, czarno-bury, buro-czarny, ołowiany, łupkowy, żuźłowy, kolor żeliwny, kolor koksowy, torfowy,

ziemisty, śmieciowy, wytłoczynowy tudzież kolor, który niegdyś nosił nazwę „sen zbójcy”. W ogóle, jak sami pojmujecie, kolor jeden i ten sam, po prostu żałoba na skromny pogrzeb.

Plaszcze i kurtki (oficjalna nazwa brzmi: towar na wacie), oprócz wymienionych cech, odznaczają się jeszcze tym, że pojawiają się w sklepach wyłącznie w tej porze roku, kiedy „noce takie są upalne, a słowiki spać nie dają”.

Istnieją poza tym typowo rosyjskie baranie kozuchy. Zazwyczaj w tego rodzaju kozuchach starszyzna gminna stawiała przed carem w rocznicę cudownego ocalenia rodziny carskiej na stacji Borki. Wszyscy byli brodaci, pyzaci i obwieszeni grubymi medalami.

Ale jedźmy dalej. Dalej są koszule z pikowanymi gorsami, przypinanymi kołnierzykami i dziurkami na metalowe fidrygałki, mające rzekomo przytrzymywać krawat.

W przeciwieństwie do odzieży wierzchniej, która jest zawsze w ciemnych kolorach i widokiem swoim budzi bezbieżny stepowy smutek, wszystko, co znajduje się pod spodem, kłuje w oczy jaskrawymi barwami i według mniemania swoich twórców powinno budzić zachwyt. Kalesony - fioletowe, szelki zielone, podwiązki czerwone, skarpetki błękitne.

I oto stoi masa naprzeciw masy. Masa odbiorcza naprzeciw masy towarowej; między nimi lada, a za ladą sprzedawcy z minami niewiniątek.

- A cóż my mamy z tym wspólnego? Przecież my nie tkamy materiałów, nie szujemy odzieży, my jesteśmy tylko punktem sprzedaży, najniższym ogniwem sieci handlowej!

To bardzo źle, kiedy sklep nazywa się punktem. Z tego na pewno wyniknie jakaś krecha.

Nagle na całą ulicę rozbrzyska elektryczny apel do przechodniów: „Uczcie się kultury handlu!” Z jakiej racji przechodnie mają się uczyć kultury handlu? Mało im własnych kłopotów? To wy macie się uczyć kultury handlu, a nie przechodnie. Przechodnie mają kupować! I zapewniamy was, że robią to bardzo kulturalnie. Wymagania ich są słuszne - chcą odzieży dobrej, ładnej, a nawet, wyobraźcie sobie, eleganckiej. Nie mdlejcie, proszę, nie uważajcie tego za wybryk. Tacy już oni są, ludzie pracy.

Dorabiają się i na lato chcą mieć białe spodnie.

Nie będziemy się czepiać biednych punktów. One nie tkają materiałów, nie szyją odzieży. Tka, szyje i wykańcza państwowy przemysł odzieżowy. To tam narodziła się sztuka ubierania ludzi w standardowe koksowe ubrania. To stamtąd płyną obficie dyrektywy dotyczące kokardek, jakie noszą stare ciotki.

Parę lat temu, kiedy jeszcze nie produkowano u nas samochodów, kiedy dopiero zastanawiano się, jakie samochody produkować, znaleźli się zacoferani wielbicielowie słowiaństwa, którzy oświadczyli, że w naszym kraju, z jego malowniczymi polnymi drogami, z jego urzekającymi, bezkresnymi rozłogami, z pełnym poezji łuczywem i wonnymi onucami samochód jest zbyt ciężki. Przydałoby się natomiast coś bardziej swojskiego, na przykład auto-fura. Chłop z czymś takim będzie miał wygodę. Umości się w niej, zatnie motor i będzie sobie zasuwał po wertepach. Maszyna bzdyrknie, kichnie, prychnie i pojedzie pomalutku, bo i tak śpieszyć się nie ma do czego.

Nawet już skonstruowano jeden egzemplarz takiej fury spalinowej. Fura była jak fura, tylko w środku coś tam cicho i żałośnie chrząkało. Albo rozrabiało, psia jucha!

Słowem, jak to się mówi po literacku - zasuwało. Szybkość była wprost oszałamiająca, siedem kilometrów na godzinę. Czy warto wspominać, że ten podziwu godny przedmiot został wymyślony i wykonany w tym samym czasie, kiedy świat rozporządzał już Rolls-Royce'ami, Packardami i Fordami? Na szczęście brać słowiańska zybko dostała po nosie. A niektórzy nawet po łbie. I oczywiście wyprodukowali to, co należało wyprodukować - szybki i silny współczesny pojazd. Automobil, a nie auto-furę.

A czemu to przemysł odzieżowy wciąż jeszcze produkuje auto-fury? Zamiast marynarek - rymanarki, zamiast spodni - portki, a zamiast damskich sukien - krepdeszynowe worki z odgórnie zadysponowanymi kokardami.

Gdyby nagle Moskiewskie Zakłady Samochodowe wyprodukowały samochód kierując się gustem pracowników przemysłu kurtkowego, to pojazd byłby pośmiewiskiem ogółu, wytykano by go palcami i dzieciarnia biegłaby za nim z chichotem... Takie by to było przestarzałe, złe i brzydkie.

Na cały Związek Radziecki są dwa niewydarzone modele płaszczy, trzy nędzne fasony męskich garniturów i cztery koszmarnie modele damskich sukien. Szyje się wyłącznie te modele i nie ma przed nimi ucieczki. Wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety muszą ubierać się według tej monotonnej mody.

Państwowy przemysł odzieżowy znakomicie zna się na modzie. Gdzieś, kiedyś roztaczał blaski księżę

Walii, pierwszy dżentelmen świata, jak się o nim wyrażają w „Timesie”. Od niego rozeszły się na cały świat fasony spodni i marynarek. On sam dawno już został królem i na tym stanowisku zmarł, czyli wyciągnął kopytko, a moda przez niego ustanowiona, jak światło dawno wygasłej gwiazdy, dopiero teraz dotarła do naszych resortowych krojczych.

Świeższych wzorów uzyskać nie zdołali. Zresztą nawet o to zbytnio nie zabiegali. Byli zajęci racjonalizacją odzieży, szyli marynarki bez klap i bez podszewki, robili oszczędności na guzikach, skracali spodnie - słowem, produkowali auto-furę, rzekomo dla wygody człowieka radzieckiego.

Zatwierdzony w kancelarii krój ustala się co najmniej na pięć lat. Inaczej nie można. Trudno uporać się z tym nader skomplikowanym modelem. Pomyślcie tylko, co za ilość szczegółów: kieszenie, rękawy, dziurki, plecy - okropność! Radziecki przemysł samochodowy i lotniczy jest na tyle sprytny, że co rok wypuszcza nowe, coraz doskonalsze modele. Jakoś im się to udaje. Widocznie proces produkcyjny jest mniej skomplikowany, mniej części składowych, jakieś półtora tysiąca na jedną maszynę. Nie wymaga też zbytniej dokładności, zaledwie do tysięcznej części milimetra. Co tam blok cylindra, magneto czy skrzynka biegów! Ale plecy i kłapy? Spróbujcie sami. Tu, niestety, poważnych omyłek nie da się uniknąć!

I naturalnie, w kółko, od początku naszyto owego towaru na wacie gdzieś pod „kwiecień pachnący akacją”. Leżą więc stosy ciepłych palt z futrzanymi kołnierzami i nie wiadomo, co z nimi robić.

Bo, prawdę mówiąc, co tu robić, skoro masy odbiorcze nie chcą chodzić latem w towarze na wacie? Z drugiej znowu strony towar na wacie mogą zjeść mole, ordynarne, złe wychowane mole, które nie chcą brać pod uwagę głupoty i bezmyślności odzieżowych dyrektorów.

Przydałoby się wywieźć ten towar w zimne kraje, hen tam, gdzie panują trzaskające mrozy, do

Jakucka, na Kamczatkę. Ale nim się wybiorą, nim dowiozą, tam już też zacznie się wiosna, zaczną pękać na drzewach idiotyczne pączki. Do licha z tym klimatycznym bałaganem, z tą niedoskonałością globu ziemskiego! Okrutnie ciężkie zadanie ma przemysł odzieżowy w walce ze ślepyimi siłami przyrody. Nie może sobie dać rady. Wprost załamuje się w decydującym starciu. O, tak, tak, dużo łatwiej budować turbogeneratory, krekingi, blumingi i piece hutnicze! To jasne!

I oczywiście jeszcze raz na nowo i w kółko nie przygotowali się do lata, nie wzięli pod uwagę tej koszarnej pory roku. O wszystkim pamiętali - o rozdaniu urlopów (już na jesieni wśród strasznej wrzawy dzielili czerwiec - lipiec przyszłego roku, przezornie zachowując sierpień - wrzesień dla odpo- i zaodpo-wiedzialnych pracowników); pamiętali o posiedzeniach, o amatorskich kółkach gry na bałatajce, o jubileuszach i odprawach, o wieczorkach towarzyskich - tylko o lecie zapomnieli.

Zapomnieli o jasnej, lekkiej, urozmaiconej odzieży dla masy nabywczey.

Do czego to podobne, towarzysze? Czy to śpi Rada Zakładowa? Czy Ludowy Komisariat? Ktoś tu przecież śpi! Może jedni i drudzy?

Kiedy się to wreszcie skończy? Rachunek jest pokaźny. W tym samym czasie, kiedy we wszystkich dziedzinach przemysłu, w gospodarce rolnej, w nauce, w kulturze, na wszystkich odcinkach życia kraj nasz odnosi zdumiewające sukcesy i pokazuje światu, do czego zdolny jest proletariatus, w dziedzinie odzieży nie widać dążenia do osiągnięcia poziomu odpowiadającego przynajmniej wymaganiom chwili obecnej. A przecież należałoby także pomyśleć o jutrze. Brzask tego wspaniałego jutra już dziś opromienia nasze życie. A tymczasem nie widać prawdziwego, a nie tylko pozornego dążenia do osiągnięcia odpowiedniego poziomu.

Niechaj marynarki nie będą ciasne w plecach - człowiek wzdraga się je nosić. Niechaj kokardy nie będą wymyślane w kancelariach - takie kancelaryjne wynalazki nie dodadzą dziewczynie urody.

Trzeba pamiętać, że skoro życie jest słoneczne, to kolor odzieży nie może być deszczowy. Pozwólcie nam nosić w lecie dobrze uszyte białe spodnie. To jest wygodne. Masa odbiorcza zasługuje na taką masę towarową.

Myśmy się tu martwili i niepokoiili o los towaru na wacie. Nie wiedzieliśmy, jakie wyjdzie znajdzie przemysł odzieżowy. Otóż jest wyjście, już się znalazło. Okazało się, że nie muszą pchać się z paltami do Jakucka. Urządzili się dużo prościej. Za trzydzieści milionów rubli zakupili naftaliny. Teraz towar na wacie może spokojnie leżeć pod wielomilionową warstwą ochronną naftaliny do przyszłego, 1935 roku. A mole będą smutnie krążyły nad niedostępnyimi składnicami i z obrzydzeniem będą wdychały zabójczą woń zamrożonych kapitałów.

Jędza na miotle

Trudno jest zdobyć serce kobiety. Ale czego się nie robi dla osiągnięcia tego celu. Za rękę się ją bierze i przemawia się głębokim głosem, i patrzy się jej głęboko w oczy.

Ale nic nie pomaga. Nie kocha. Nie ma zaufania. I trzeba wszystko zaczynać od początku. Słowo daję, galernicza praca w księżycową, gwiazdną noc.

Z Moskwy przyjechał do Odessy młody lekarz na wypoczynek.

Kiedy po raz pierwszy w życiu miał dwa tygodnie urlopu, spostrzegł raptem, że świat jest piękny, żeludzkosć jest piękna, zwłaszcza jej żeńska połowa. I zrozumiał, że jeśli teraz nie poczyni decydujących kroków, to już nigdy w życiu nie będzie szczęśliwy, umrze jako zatwardziały stary kawaler w pokoju, gdzie pod łóżkiem będą się poniewierały stare skarpetki i puste butelki.

W kilka dni później młody lekarz spacerował z pewną panienką po nader nierównym terenie nadbrzegiem morza.

Ze wszech sił starał się jej przypodobać. Oczywiście przemawiał głębokim, namiętnym głosem, czywiście plótł niestworzone bzdury, posunął się nawet do kłamstwa, że jest czeluskinowcem i bliskim przyjacielem Ottona Juliewicza Szmidta. Zaofiarował jej swoją rękę, pokój w Moskwie, serce, oddzielną kuchnię i centralne ogrzewanie. Dziewczyna pomyślała i zgodziła się.

Tu opuszczamy osiem stron artystycznego opisu jazdy z ukochaną w wagonie trzeciej klasy.

(Podajemy tylko aforyzm: lepiej z ukochaną w trzeciej klasie, niż samemu w przedziale pociągu międzynarodowego).

A w Moskwie kupili bukiet bzu i udali się do „Zagsu” przypieczętować swoje szczęście.

A co to jest „Zags” - wiadomo. Niezbyt czysto. Niezbyt jasno. Nawet trudno powiedzieć, żeby było wesoło, jako że śluby, zgony i urodzenia rejestruje się w tym samym pokoju.

Kiedy promiennie uśmiechnięty doktor wszedł ze swoją doktorową do „Zagsu”, na wstępie ujrzał na ścianie ostrzegawczy plakat:

POCŁUNKI PRZENOSZĄ INFEKCJĘ

Prócz tego widniała na ścianie wywieszka z adresem zakładu pogrzebowego i uroczy obrazek, na którym w tysiącokrotnym powiększeniu były przedstawione krętki blade, dziarskie gonokoki tudzież laseczники Kocha. Rozkoszny przybytek dla młodożeńców! I W kącie stała brudna jak ścierka sztuczna palma w zielonym cebryku. To była aktualna zdobycz. Rzec można - zazielenianie resortów. O tego rodzaju akcjach gazeta wieczorna pisze z nie ukrywaniem zachwytem:

„Suchum w Moskwie, «Zagsy» przybrały strojną szatę”

Urzędnik „Zagsu” obejrzał dokumenty młodej pary i niespodziewanie odesłał ich z kwitkiem.

- Nie można was wciągnąć do rejestrów.
- Dlaczego nie można? - zaniepokoił się doktor.
- Dlatego nie można, że paszport pańskiej obywatelki jest wydany w Odessie. A my rejestrujemy tylko na podstawie paszportów moskiewskich.
- Więc co mam zrobić?
- Nie wiem, obywatelu. My nie rejestrujemy na podstawie paszportów z innych miejscowości.
- To znaczy, że nie wolno mi zakochać się w dziewczynie z innego miasta?
- Proszę nie krzyżeć. Gdyby wszyscy chcieli krzyżeć...

- Ja wcale nie krzyczę, ale z tego wynika, że mam prawo żenić się tylko z mieszkanką Moskwy. Czy mogą istnieć takie ograniczenia w sprawach miłości?

- My nie zajmujemy się sprawami miłości, obywatelu. My rejestrujemy związki małżeńskie.

- A co wam do tego, kto mi się podoba? Cóż to, założyliście tu rozdzielnik szczęścia rodzinnego?

Regulujecie odruchy serc?

- Jeśli idzie o regulowanie odruchów, to radzę się uciszyć, obywatelu.

- Depczecie kwiat uczuć! - ryknął doktor.

- A pan zachowuje się jak chuligan!

- A ja wam powiadam, że depczecie kwiat!

- A pan zakłóca spokój!

- Ja zakłócam spokój? To znaczy, że miłość już nie jest wielkim uczuciem, tylko po prostu zakłóceniem spokoju? Dobrze. Chodź, Lusiu, idziemy stąd.

Znalazszy się na ulicy, niefortunny kandydat na męża długo nie mógł się uspokoić.

- Czy to są ludzie? Czy ludzie tak postępują? To jędze na miotle! I co my teraz pocniemy?

Doktor był tak zdenerwowany, że dziewczynie żal się go zrobiło.

-Wiesz co - powiedziała - ty mnie kochasz i ja ciebie Kocham. Ty nie jesteś hipokryta i ja nie jestem hipokrytka. Będziemy żyli tak.

Istotnie, jak się zastanowić, to z ukochanym raj można mieć nawet w szafasie.

Zaczęli żyć „tak”

Ale, proszę towarzyszy, raj można mieć w szafasie tylko w tym wypadku, kiedy ukochana jest zameldowana w szafasie i wciągnięta do szafasowych ksiąg w szafasowym urzędzie. W przeciwnym wypadku może dojść do różnych nieprzyjemności.

Ukochanej nie chcieli zameldować w domu, ponieważ nie miała moskiewskiego paszportu. A moskiewski paszport mogła otrzymać dopiero jako żona doktora. Żoną doktora faktycznie była. Ale

„Zags” mógł ją uznać za żonę tylko na podstawie moskiewskiego paszportu. A moskiewskiego paszportu nie mogła otrzymać, ponieważ małżeństwo nie było zarejestrowane w „Zagsie”. A mieszkać w Moskwie bez zameldowania nie wolno. A...

Tym sposobem raj w szafasie już nazajutrz przeobraził się w piekło. Lusiu płakała i wzdrygała się przy każdym pukaniu do drzwi. A nuż zjawi się lada chwila wąsaty dozorca i wyprosi ją z szafasu! Doktor przestał chodzić do ambulatorium. Najlepszy przyjaciel Ottona Juliewicza Szmidta przedstawiał sobą żalosny widok. Był zarośnięty, oczy mu błyszczały jak u wilka. O, gdzieżcie ciepła, księżycowa nocy czarnomorska i pierwsze chwile szczęścia?!

Wreszcie chwycił Lusie za rękę i zaprowadził ją do komisariatu milicji.

- Oto ona! - oznajmił wskazując na żonę.

- O co chodzi? - spytał dyżurny milicjant poprawiając na głowie wołokowy kask.

- Ukochana istota.

- No to co?

- Ubóstwiam tę osobę i proszę o zameldowanie jej w moim mieszkaniu.

Tu rozegrała się dramatyczna scena, która nie wniosła nic nowego poza tym, co nam już wiadomo.

- Jakich jeszcze żądacie dowodów? - wychodził z siebie doktor. - Kocham ją nad życie. Przysięgam, że żyć bez niej nie mogę. Jeśli chcecie, to mogę ją natychmiast pocałować.

Młoda para patrząc przymilnie na dyżurnego pocałowała się drżącymi wargami. W komisariacie milicji zaległa cisza. Dyżurny wstydliwie odwrócił się i powiedział:

- A może wasze małżeństwo to fikcja? Może po prostu obywatelka chciałaby zamieszkać w Moskwie.

- A jeśli nie fikcja? - jęknął „szczęśliwy” małżonek. - Czyście o tym pomyśleli? Za rozbicie szyby ściągacie grzywnę. A mnie kto zapłaci za złamane życie?

W ogóle doktor wziął wysoki ton i trzymał go dopóty, dopóki nie okazało się, że szczęście można jeszcze uratować, że jest jeszcze wyjście. Wystarczy pojechać do rodzinnego miasta ukochanej, do

Odessy, zaledwie tysiąc czterysta dwanaście kilometrów, i wszystko da się załatwić. Odeski „Zage” na podstawie moskiewskiego paszportu wciągnie do swoich rejestrów zapłaty doktora i występna miłość przybierze wreszcie legalną formę.

Cóż robić, miłość zawsze wymaga ofiar! Trzeba było zdobyć się na ofiary, pożyczyć pieniędzy na bilety i poprosić o dodatkowy urlop celem uregulowania spraw rodzinnych.

Ale doktor nie wiedział jeszcze najgorszego. Nie wiedział, że Jędza siedzi nie tylko w „Zagsie”, że Jędza już czatuje na niego na dworcu.

Tu opuszczamy szesnaście stron dramatycznego opisu, w jaki sposób młode stadło spóźniło się na pociąg. Co tu właściwie opisywać? Powszechnie wiadomo, że w Moskwie nic łatwiejszego, jak wszędzie się spóźnić.

Doktor posadził swoją nieszczęsną Lusię na walizce i pobiegł przestemplować bilety. Ale ten numernie przeszedł. Ludowy Komisariat Komunikacji, który pilnie strzeże interesów kolei, zniósł rolongowanie biletów.

- I co teraz będzie? - jęknął doktor.

- Bilety są nieważne - oświadczyła Jędza. - Taki jest przepis. Kto się spóźnia na pociąg, traci bilet.

- A czy myśmy się naumyślnie spóźnili?

- A kto to wie? Naumyślnie czy nienaumyślnie, to nas nie obchodzi.

- Ale przecież zawsze, jak kolej koleją, można było przestemplować bilety!

- A teraz przepisy się zmieniły, obywatelu.

- Zresztą nie mam więcej pieniędzy. Wobec tego nie mogę pojechać.

Jędza taktownie milczała.

I oto człowiek, który złośliwie przeszkadzał w pracy wielu czcigodnym urzędom, chwiejnym krokiem odszedł, usiadł obok swojej Lusi i przebiegł myślami wszystkie swoje postęпки.

„Co ja właściwie złego zrobiłem? Pojechałem na urlop, spotkałem miłą dziewczynę, pokochałem ją z całego serca, ona mnie też pokochała, chciałem się z nią ożenić. Ale, jak widzicie, nic z tego. Przepisy stają na przeszkodzie!”

Jeśli istnieje przepis, który utrudnia życie obywatelowi radzieckiemu, przepis bezmyślny, który wydaje się potrzebny i ważny tylko na urzędowym biurku, który jest w zgodzie z kałamarzem, ale nie z żywym, człowiekiem, można być pewnym, że ten przepis wydała jędra, osoba patrząca na życie jednostronnie, nie znająca jego głębi, jego problemów.

Jeśli za okienkiem urzędu siedzi człowiek i wypełnia zły i głupi przepis, a wiedząc o tym tłumaczy się, że jest tylko bogu ducha winnym urzędnikiem, to sam też jest jędrą. U nas nie ma i nie może być bogu ducha winnych urzędników. Jeśli ktoś widzi, że jakiś przepis utrudnia i obrzydza życie, pierwszy powinien postawić wniosek, ażeby ten przepis zmieniono, rozpatrzono ponownie, ulepszono.

A doktor? Co się dzieje z miłym, pocziwym doktorem? Kto to wie? Prawdopodobnie biega po informacje do jakiejś jędry, żeby wreszcie zakończyć formalnie swoje przedłużające się zaręczyny. A może już nawet nie biega, może zmęczył się i machnął na wszystko ręką. Miłość też ma swoje granice.

Mogło się również zdarzyć, że wierna Lusja uciekła z jakimś pełnomocnikiem handlowym do Syzrania lub Aktiubinska, gdzie łatwiej wziąć ślub.

W każdym razie doktor popełnił błąd na samym początku.

Zanim oświadczył wybranej: „kocham cię”, powinien był kategorycznie i rzeczowo zażądać: „Pokaż mi swoje dokumenty, obywatelko!”

Lekceważący stosunek do żołądka

Na brzegu rzeki N. malowniczo rozłożyło się miasto N. Zresztą nie będziemy robić tajemnic...

Powiemy po prostu. Na brzegu rzeki Wołgi malowniczo rozpościera się miasto Jarosław. Ale to jeszcze pół biedy.

Chodzi o to, że na jednej z jego ulic malowniczo zainstalowała się spółdzielcza jadłodajnia, która wywiesiła na ścianie wielki plakat:

POŻYWIENIE TO ŹRÓDŁO SIŁ ŻYWOTNYCH CZŁOWIEKA

Oczywiście zasadniczych sprzeciwów co do tej koncepcji nie może być. Nawet sam Marks nie potrafiłby przytoczyć żadnych argumentów przeciwko temu oczywistemu twierdzeniu. Tymczasem poszczególni mieszkańcy Jarosławia, po bytności w owej jadłodajni, z tępym uporem utrzymują, że ożywienie prowadzi do poniechania funkcji życiowych. Stąd wniosek, że wszystko zależy od jakości posiłku... Tego, niestety, nie uwzględnił kierownik jarosławskiej jadłodajni, który zbyt wiele wagi przypisuje stronie teoretyczno-ideologicznej swojej pracy, zgoła zapominając o czysto praktycznej stronie swoich obowiązków. Zapomina mianowicie o tym, że obiad powinien być jadalny.

Kierownik innej jadłodajni, człowiek zażywny i z filozoficznym zacięciem, nigdy nie zapomni umieścić wywieszki: „Myj ręce przed jedzeniem”, zapominając równocześnie o

zainstalowaniu umywalki. Czyż on ma czas pamiętać o takich drobiazgach? On, człowiek głęboko myślący, o szerokich horyzontach!

To dziwne, ale tacy właśnie ludzie są kierownikami zakładów zbiorowego żywienia, wielkich kuchni- fabryk oraz potężnych kombinatów gastronomicznych.

Oni nigdy nie mówią „jedzenie”, mówią „stawa”. Nie mówią „nakarmić”, tylko „zaspokoić konsumenta”. U nich dania nie są „przyrządzane”, tylko „racjonalnie zestawiane”. Natomiast za główne swoje zadanie uważają wyposażenie zakładu w pokaźną ilość plakatów i tablic.

I oto przed oczami przerażonego konsumenta ukazują się surowe zalecenia prozą i wierszem:

WSZELKIE POTRAWY WPROWADZAJ DO ORGANIZMU w stanie gorącym

NIE PROWADŹ ROZMÓW PRZY KONSUMOWANIU to szkodzi prawidłowemu wydzielaniu soków żołądkowych

Napoje owocowe dostarczają nam węglowodanów

UPRASZA SIĘ O NIEWYCIERANIE RĄK W OBRUSY

A obrusów ani śladu. Stoły nakryte lepką, brudną ceratą. Noże i widelce przymocowane łańcuchami do nogi od stołu (żeby ich kto nie ukradł). A na widok sloganu o sokach żołądkowych nie tylko nie ma się ochoty wprowadzać do organizmu żadnych potraw w stanie gorącym, ale wprost przeciwnie. Co zaś do „węglowodanów”, to aczkolwiek powszechnie wiadomo, że węglowodany są niezbędnym składnikiem pożywienia, słowo to w dziwny sposób kojarzy się z wodociągiem, a zaraz potem z kanalizacją. W tym stanie rzeczy napojów owocowych także nie ma się ochoty wprowadzać do organizmu. Ma się ochotę uciec czym prędzej, wyrwać się na świeże powietrze, popatrzeć w słońce, którego na szczęście jeszcze nie zdołano opatrzyć napisem:

NIE PODNOŚ NA SŁOŃCE OCZU,

DOPÓKI NIE ZROBISZ ANALIZY MOCZU

W porze obiadowej kierownik-myśliciel pisze referat sprawozdawczy, w którym dokładnie wylicza, ile kalorii zawiera podawana konsumentowi zupa rybna, ile witaminy A przypada na poszczególnego konsumenta i jaki jest stosunek liczbowy wszystkich tych danych do takich samych danych za pierwszy kwartał ubiegłego roku budżetowego.

A w tym samym czasie poszczególny konsument spogląda na zimny kotlet i żałośnie wzdycha:

„Dlaczego te kalorie są takie nieapetyczne? A witaminy takie niestrawne?”

Poszczególny konsument zastanawia się nad wieloma rzeczami i dochodzi do smutnych wniosków.

„Dlaczego żołądek jest traktowany z takim lekceważeniem? Dlaczego jest zwyczaj, że garnitur szyje się według miary? Dlaczego wyrabia się obuwie różnej wielkości, od najmniejszego do największego?

Nawet kołnierzyki do koszul - i te przystosowuje się do grubości szyi odbiorcy! A jedzenie jest nieurozmaicane i wyraźnie obliczone na jakiś abstrakcyjny, pozbawiony własnej indywidualności żołądek”.

Miałoby się ochotę podkreślić słuszość żalów na zubożenie menu. Sądząc po tym, jak często ludzie jedzą, można śmiało i bez obawy twierdzić, że sprawa wprowadzania pożywienia do organizmu ma dla nich wielką wagę.

Jada się wszędzie. W domu, na ulicy, w pracy, w teatrze, w kinie, na stadionach i na statkach, w pociągach i na dworcach, a obecnie będzie się również jadać w powietrzu. Dotychczas w powietrzu nie jadano, bo nie było odpowiednich pomieszczeń, ale teraz, kiedy buduje się czterdziestoosobowe giganty zaopatrzone w bufety, zaczniemy również zaspokajać głód na wysokości trzech tysięcy metrów nad poziomem morza. Słowem, człowiek je, gdzie się da, podświadomie czując, że słuszne jest twierdzenie kierownika jadłodajni w Jarosławiu, iż pożywanie jest źródłem sił żywotnych człowieka.

Tym sposobem wracamy znów do przekłętą zagadnienia, jakie powinno być to źródło. Jest na to tylko jedna odpowiedź. Pożywanie nie może być jedynie mechanicznym połączeniem kalorii, witamin, krochmalu i związków alkalicznych. Potrawa musi być smaczna, gorąca albo też zimna, ależnie od tego, w jakiej postaci wprowadzanie jej do organizmu sprawia człowiekowi przyjemność.

Tymczasem w kinach, w teatrach, w kawiarniach i bufetach biurowych lemoniadę podaje się o temperaturze możliwie najwyższej, natomiast herbatę odpowiednio zimną. Na dworcach sprawa przedstawia się jeszcze gorzej. Tam nie obawiają się, że odbiorca zacznie grymasić. Przeważnie spieszy się na pociąg i z tego powodu jest płochliwy jak owca. Toteż podsuwa mu się byle co. Podaje mu się herbatę bez spodeczka, a on parząc sobie palce, z żalosnym skowytą niesie szklankę do stolika. Zresztą i tak tej herbaty nie pije. Gardło ściska mu żal. Pełnymi łez oczami patrzy na żonę, która stoi pomiędzy dwoma kontrolerami i śle mężowi pożegnalne spojrzenia. Zgodnie z kolejowymi przepisami do bufetu wpuszcza się wyłącznie pasażerów na pociągi dalekobieżne po uprzednim okazaniu biletu lub miejscówki. Odprowadzający nie są wpuszczani. Stoi zatem żona za drzwiami i przełyka łzy, wielkie jak pigułki. To jest zwyczajne okrucieństwo. Ale tam, gdzie sprawa dotyczy zagadnienia wprowadzania pożywienia do organizmu, tam wstrętny biurokrata przeobraża się w lamparta.

Niepostrzeżenie jakoś wyrobiła się nie pisana i nie zatwierdzona przez żadne państwowe czy społeczne instytucje zasada, na podstawie której zwykły sztyld zakładu gastronomicznego odgrywa niespodziewanie potężną rolę.

Jeśli sztyld opiewa „Restauracja”, to na pewno w lokalu jest czysto, są obrusy i serwetki, solniczki i kwiaty przewiązane różowymi wstążeczkami z rafii. Jest pięć lub sześć dań do wyboru, grzeczna obsługa. Na ścianie wisi napis: „Żądajcie gorących pasztecików” albo: „Umyj ręce przed jedzeniem – pierwsze drzwi na prawo”. Poza tym na estradzie, pośród strzępiastych palm, duży trzyosobowy zespół symfoniczny gra „Marsza Tureckiego” Mozarta.

Jeśli sztyld głosi „Jadłodajnia”, to lokal jest brudny, wysoko pod sufitem tli się słaba żarówka, jadłospis składa się z dwóch dań obliczonych na ów abstrakcyjny, pozbawiony własnej indywidualności żołądek. Każdy gość traktowany jest jak oszust i z obrażającym uporem żąda się od niego zapłaty z góry. Na ścianach wiszą kolorowe plansze przedstawiające pasożyty jelitowe albo oczy chorych na jaglicę. Roi się tu od wielkich much, jakie zwykle siadają na mięsie. Orkiestry nie ma - muzyka uważana jest tu za antyspołeczny wybryk.

I można być pewnym, że tutejszy kierownik interesuje się głównie filozoficznymi przesłankami swojej pracy, całkowicie zapominając o spółdzielczej dewizie, która głosi, że pożywanie to podstawowe źródło sił żywotnych człowieka.

Palone - a nie spalone

Spokojnie i wspaniale żyła sobie w swoim mieszkaniu przeciętna przedrewolucyjna babcia. Drzwi mieszkania były obite wojłokiem oraz lśniąco zieloną ceratą. Poza tym na drzwiach wisiała duża firmowa blacha zaopatrzona w godło i napis: „«Palone - a nie spalone». Ubezpieczono od ognia wtowarzystwie «Salamandra»... Bowiem niczego na świecie babcia tak się nie bała, jak tego, że jej eble mogą spłonąć. Babcia ogromnie ceniła swoje meble.

Królował tu przede wszystkim kredens, wielki dębowy kredens z lustrzanymi świetlikami, ze strzelistymi wieżyczkami i basztami, z wnękami i płaskorzeźbami wyobrażającymi ubitą dziczyznę, kiście winogron oraz kwiecie lilii. Podstawa kredensu była obliczona na tak nieprawdopodobny ciężar, że można by na niej bez obawy ustawić, dajmy na to, pomnik Skobieleva na koniu. Kredens ów przypominał sobór wojskowy, jakie zwykle stawiano przy korpusach kadetów i szkołach wojskowych, i był ozdobiony kolorowymi szybkami z kostropatego szkła. Potężny był ten kredens, a równocześnie jego półki i szuflady były tak małe, że mieścił się tam tylko serwis do herbaty. Pozostałe naczynia stały na wierzchu, na kredensie, za wieżyczkami oraz basztami, i obrastały kurzem.

Ogromny stół przykryty był odświętną aksamitną serwetą z pomponami. W ogóle u babci wszystko było z pomponami. Firanki - z pomponami, portiery - z pomponami, pufy - z pomponami. Te kolorowe pluszowe kulki doprowadzały koty do wściekłości. Nieustannie miały je na oku, trącały je pazurami i rozhuśtywały. Stół był równie wspaniały i bezużyteczny jak kredens. W żaden sposób nie można było przy nim usiąść. Kolana wciąż obijały się o jakieś ostre dębowe ozdoby i śmiałek, który usiłował wykorzystać stół zgodnie z jego przeznaczeniem, natychmiast odskakiwał, zawzięcie rozcierając stłuczone miejsce.

Był tam jeszcze mały bambusowy stoliczek - krucha konstrukcja, przeznaczony pod rodzinny album w grubej pluszowej oprawie z brązowymi klamrami, wielkości spichrzowych zaworów. Ale wystarczyło przesunąć album choć na milimetr w prawo lub w lewo od geometrycznego środka, by naruszona została równowaga, i stolik przewracał się na aksamitną kozetkę.

Babcia była zachwycona tą kozetką. Zachwycona przede wszystkim pięknem jej kształtu, tak zwaną harmonią linii. Dziwny to był przedmiot! Nie nadawał się do leżenia, bo był nieco za krótki. Ale nie nadawał się również do siedzenia. Tutaj na przeszkodzie stała głównie piękna forma i harmonia linii.

Mistrz przeznaczył ją do pozycji półleżącej, nie biorąc absolutnie pod uwagę, że taka niedbale arystokratyczna pozycja ciała jest możliwa tylko w romansach z życia wielkoświatowego, ale na codzień się nie nadaje. Tym sposobem na kozetce przeważnie wylegiwał się kot, i to tylko w tych rzadkich momentach, kiedy pomponiki się nie dyndały.

Wszędzie stały długie, wąskie, wysmukłe wazoniki do kwiatów, o grubych szklanych stopkach.

Przypominały ludzką kość goleniową, a w każdym z nich mieścił się tylko jeden kwiatek. Kwiatki były z bibułki. Wisiały obrazki nieznanych domorośłych akwarelistów

w ramach w kształcie kółratunkowych, w ramach z muszelek, z pałeczek bambusu albo z listewek w złote listeczki. Na. hwiejnych etażerkach mogły stać tylko porcelanowe słonie: mały, mniejszy, jeszcze mniejszy...

Dziwne to były meble! Mało, że człowiek nie miał z nich pożytku, to jeszcze w dodatku uprawiały go w stan zależności i upokorzenia. W ich rzeźbionych występach, zakamarkach, wypukłościach i zagłębieniach gromadziły się cholerne ilości kurzu i pajęczyny.

Trzeba było nieustannie o te meble dbać, upominać gości, żeby na nich nie siadali. A poza tym trzeba je było ubezpieczać od ognia. O pożar przecież nietrudno!

- Nigdy nie będę mieszkał tak jak babcia! - wykrzykiwał któryś z wnuków uderzywszy się dotkliwie o duży stół, albo wywracając mały stolik. - Jak dorosnę, sprawię zupełnie inne meble, proste i wygodne, a to świństwo bodajby już raz ogień pochłonał!

Meble rzeczywiście pochłonał ogień. Zdarzyło się to, czego babcia bała się najwięcej.

W osiemnastym i dziewiętnastym, a nawet jeszcze w dwudziestym roku wnuk grał się przy babcinych meblach. Z rozkoszą odrąbywał od stołu lwie łapy i beztrosko rzucał je w „burżukę”

Specjalnie chwalił sobie kredens, który dostarczył opału na całą zimę. Wszystko się przydało: baszty, wieżyczki, wszelkie bekasy, a zwłaszcza paropudowa podstawa. Spłonęły w piecyku bambusowestoliki, etażerki pod siedem słoni, które rzekomo przynoszą szczęście, bzdurne półeczki z laki zdobione metaloplastyką i wszelakie drobiazgi, które wnuk krótko nazywał „gangreną” albo

„zarazą”

Od tej pory minęły lata, wnuk dorósł, stał się młodzieńcem, a potem całkiem już dojrziałym człowiekiem, rozporządzał mieszkaniem w nowym domu i wreszcie postanowił nabyć meble, takie, o jakich marzył w dzieciństwie - proste, wygodne meble.

Poszedł do magazynu meblowego i stanął przed ogromną wystawą z meblami, która najwidoczniej, zdaniem kierownictwa tej instytucji, miała wyobrażać idealne wyposażenie mieszkania lojalnego radzieckiego obywatela.

Gdyby wnuk w swoim czasie nie był spalił własnoręcznie babcinych mebli, myślałby, że to właśnie onestoją za lustrzaną szybą magazynu.

Królował tu przede wszystkim kredens, zwalisty kredens z wycinanymi na filągach schyłkowymi obiecykami główkami, z tandetnymi zamkami i cienkimi mosiężnymi ozdóbkami. Oczywiście były też świetliki, wnęki i kolumienki. A na samej górze, gdzie człowiek nie mógłby sięgnąć nawet z krzesła, było umieszczone, nie wiadomo po co, faliste lustro z Sucharewki⁴⁷. Na wprost kredensu stało łóżko, skomplikowana konstrukcja z grubych metalowych rur, nader wymyślnie powyginanych,

Na Sucharewce mieścił się bazar, gdzie sprzedawano starzyznę i tandetę. – Przyp. tłum. pomalowanych na karelską brzozę i ukoronowanych nikłowymi gałkami (babcia byłaby zachwycona - ona tak lubiła wszelkiego rodzaju kulki!).

Łóżko było nakryte pikowaną kapą. Kapa była z różowego atłasu, w kolorze uda spłoszonej nimfy. Ta kapa od razu zamieniała łóżko, tę surową budowlę z deficytowego metalu, w jakieś łożo rozkoszy.

Była tu również kanapka przystosowana do arystokratycznej półleżącej pozycji, w czym niewątpliwie można by się dopatrzeć specjalnej troski o użytkownika. Była także adwokacka kanapa „raj pluskiew” z mnóstwem dogodnych szczelin i zakładek, z chwiejną półeczką, na której leżał tomik Karola Marksa

(znamię czasu!) i etażerka na kurzych nóżkach, i stół, pod który nie sposób wcisnąć kolana.

Gdyby babcia żyła, to by z piskiem radości zamieszkała na tej wystawie. Tak tu było dobrze i przedrewolucyjnie. Wszystko jak dawniej. Tylko ten Marks! Ale Marksa można wtłoczyć w pluszową oprawę z brązowymi zasuwami i pokazywać gościom zamiast albumu rodzinnych fotografii.

- Widzicie?! To jest Marks! Tu jest jeszcze młody, nawet nie ma wąsów. A tu już w bardziej dojrzałym wieku.

- Patrzcie no, nawet całkiem przyzwoicie się ubierał. A cóż to za staruszek?

- To jeden z jego znajomych. Nazywał się Engels.

- Owszem, też przyzwoity jegomość.

I oto spokojnie i wspaniale toczyłoby się życie babci za witryną magazynu meblowego.

Nasz przemysł meblowy ze zdumiewającym uporem pracuje dla przedpotopowych staruszek. Z niepojętą systematycznością wypuszcza na rynek meble w tym beznadziejnym, nieokreślonym, drobnomieszczańskim stylu, który można by nazwać „bankierskim empirem” - przedmioty wielkie, niewygodne i szalenie drogie.

Pośród istniejących na świecie tysięcy modeli szaf przemysł drzewny upodobał sobie najbardziej żalosną, tzw. „szafę-słowiankę”. Odwiedzający sklepy „radzieccy Słowianie”, jak Drewlanie, Polanie,

Krywiczanie i Dregowicze, a także przedstawiciele radzieckich mniejszości narodowych, jak: Połowcy,

Pieczynowie, Chazarowie i jasnoocy Czudowie, na wstępie potulnie pytają:

- A innych szaf nie ma?

- Innych się nie robi - obojętnie odpowiada meblowy wитеż. - A czy ta zła? Typ „Hej, Słowianie”! I tak musicie ją kupić. Wyboru przecież nie ma.

Istotnie, wyboru nie ma. Konsument zmuszony jest oszpecić nowe mieszkanie potwornymi meblami.

Kupuje więc pokraczne parawaniki, które nic nie zasłaniają, natomiast co chwila się przewracają.

Wieżie dorożką do domu szpetną, rozsyhającą się już w drodze komódkę z blaszanymi antabkami.

Produkowane są wyłącznie kancelaryjne, beznadziejnie jednakowe stoły albo filigranowe damskie stoliczki w sam raz odpowiednie dla manicurzystek. Zwyczajnych półek na książki nie można dostać.

Takowych się nie wyrabia. Są natomiast półeczki przeznaczone na przedmioty, które mają ozdabiać mieszkanie.

Oto dla przykładu owe dzieła sztuki:

1. Gipsowa figurka „Traktorzystka w kąpeli” (za czasów babci ten przedmiot nosił nazwę „Rozkosz o brzasku”).

2. Pyzaty niemiecki pastuszek pociągnięty spłowiętymi farbami. Gips.

3.4.5. Kędzierzawy młodzieniec z miną chuligana grający na harmonii. Gips.

Popielniczka z figurkami: a) myśliwy polujący na kaczki; b) c) łeb pies konia.
w biegu
}

lane żelazo

Przybór do pisania, potężny agregat wykonany w uralskim kamieniu, granicie, kryształach, miedzi, niklu i wysokogatunkowej stali. Nosi nazwę „My, kowale, młodzi duchem”. Znakomity podarunek dla ustępującego zwierzchnika. Cena 625 rubli 75 kopiejek.

Kiedy rozlegają się nieśmiałe głosy protestu, wtedy dyrektorzy zjednoczenia drzewnego oraz komendanci od figurek i przyborów do pisania beczelnie wykrzykują:

- Nie znacie konsumenta! Nie znacie potrzeb rynku! Rynek tego żąda!

A krzyczą tak dlatego, że przywykli pracować dla przeciętnej przedrewolucyjnej babci, przedstawicielki sucharewskich gustów i mód.

I siłą tej inercji najgorszego gatunku nowy człowiek musi mieszkać wśród na nowo wyprodukowanych mebli i ozdóbek babci.

Dla pełni szczęścia

Żeby osiągnąć pełnię szczęścia, członek związków zawodowych - ten sam, o którego potrzeby duchowe troszczą się tak liczne i tak liczebne organizacje -; chciałby od czasu do czasu pójść do klubu:

Jak powstaje nowy klub?

O, to nie takie proste!

Ogłasza się konkurs. I podczas gdy młodzi i starzy architekci przy świetle silnych lamp kreślą swoje krzywe i robią obliczenia, społeczeństwo denerwuje się. Najbardziej gorączkują się lekarze. Domagają się, aby nowy klub był wzorem urządzeń sanitarnych i higienicznych.

- Pamiętajcie - ostrzegają lekarze - że każdy członek klubu obok obowiązków społecznych ma również obowiązki fizyczne - wdycha tlen, a wydycha azot i różne acetyleny. Lokal musi być przestronny, pełen światła i powietrza.

Konsultanci z Wszechzwiązkowej Rady Kultury Fizycznej domagają się, żeby była sala gimnastyczna, również pełna światła i powietrza.

Zwolennicy automobilizmu pilnują, żeby nie zapomniano o interesach kółka automobilistów, które wymaga dla swoich prac pomieszczenia, oczywiście pełnego

światła i powietrza. Gorączkują się członkowie Ochotniczej Obrony Przeciwołotniczej, Moprowcy, Przyjaciele Dzieci, przedstawiciele

Proletariackiego Ruchu Turystycznego oraz Żywienia Zbiorowego (lokal, światło, powietrze).

Spółdzielnia szatniarzy występuje ze specjalną deklaracją. Dość już traktowania szatni niby stajni.

Szatnia winna mieć luksusowe pomieszczenie, pełne światła i powietrza, winna być wyposażona w automatyczne urządzenie do zdejmowania kaloszy, do utrzymywania porządku w kolejce, a także elektryczny licznik do wykazywania ilości zaginionych palt.

Gwoździem wszystkiego jest wzmianka w gazecie wieczornej - wzmianka optymistyczna, pełna światła, powietrza i młodzieńczego zapału. Nosi ona tytuł:

W TOALECIE - JAK W DOMU!

Wzmianka zaczyna się od akademickich napaści na carskie rządy. Po wyczerpaniu tego wciąż aktualnego tematu wieczornik dowodzi, że ludzkość spędza znaczną część swego życia w ubikacjach.

Toteż należy zwrócić na nie szczególną uwagę; należy doprowadzić do tego, żeby każdy korzystający z ubikacji w nowym klubie wyniósł stamtąd choćby niewielki ładunek kulturalny.

W ogóle - zamieszanie, co się zowie. Architekci wychodzą z siebie, żeby sprostać życzeniom ogółu.

Ale oto projekt już wybrany, klub wybudowany, flaga wciągnięta, przebrzmiały powitalne mowy i kierownik obejmuje zarząd nowego klubu.

Szkoda słów, klub jak się patrzy! Lśnią jasne ściany, w grubych szybach odbijają się popiersia, w kątach szeleszczą liście palm, a dębowa sala widowiskowa czyściejsza, do licha, od wszystkich filii moskiewskiego teatru. Doskonała jest też cyrkulacja prądów powietrznych. Znajdą się oczywiście drobne usterki, ale w zasadzie społeczeństwo dopięło swego - klub jest piękny.

Surowy dzień powszedni zaczyna się od tego, że główne wejście zabija się na głucho deskami i dla ewności oplata się drutem kolczastym. Dlaczego tak się robi, nikt nie wie, ale to się robi zawsze.

Odtąd do klubu wchodzi się przez małe drzwiczki od podwórza. Podwórze, rzecz prosta, ciemne i pełne wilczych dołów. Główne wejście, razem z kolumnami, granitowymi schodami i statuą robotnika - nieprawdopodobnie rozwiniętej klatce piersiowej, okazuje się niepotrzebne.

Ale to jeszcze nie jest największe nieszczęście.

Zaczynają się przeprowadzki. Okazuje się, że nie ma pokoju dla kółka fotograficznego. To znaczy, pokój jest, ale pełen światła i powietrza, a fotografikom niestety potrzebny jest na laboratorium pokój wręcz odmiennego typu.

I tu kierownik z zapalem rozpoczyna swoją działalność od reorganizacji zamiast od organizacji. Zresztą już się do tego przyzwyczaił w starym lokalu.

Wspaniałe okno pokoju fotografów zamurówuje się, instaluje się rubinowe oświetlenie, po czym członkowie kółka zamykają się na klucz, żeby jak najprędzej przystąpić do ulubionych zajęć - wywoływać klisze, kąpać je w wanienkach i smutnie uśmiechać się na widok okropnych efektów rocesu negatywnego. Zresztą członkowie

natychmiast dowiadują się, że na razie z kąpeli w wanienkach nic nie będzie - pieniądze asygnowane na zakup aparatu fotograficznego zostały już rozchodowane na zamurowanie okna i otoczenie głównego wejścia zasiekami z drutu kolczastego.

W trzy dni później kierownik przypadkiem wchodzi do laboratorium fotograficznego. Tu jego oczom przedstawia się straszliwy widok. W świetle czerwonych lamp członkowie kółka rzną w karty, w oko.

A co mieli robić? Gdyby siedzieli w tym ciemnym pokoju bez zajęcia, to by ze strachu dostali bzika.

Przepędzają ich. Zwolnione pomieszczenie otrzymuje kółko kroju i szycia, które to czynności przede wszystkim wymagają światła i powietrza. Okno odmurowuje się. Pokój napełnia się gruzem, a po całym klubie fruwa wapno i czerwony ceglany pył. Światło już jest, ale powietrze, niestety, mniej czyste. Robi się brudno. Bywalcy klubu bez skrupułów rzucają teraz na podłogę niedopałki i ogryzki jabłek. Co to szkodzi, skoro podłoga i tak już zawalana gliną i tynkiem.

Kierownik niezwłocznie wszczyna akcję porządkową. Ale w związku z tym nie zwiększa ilości szczotek, ścierek i odkurzaczy, tylko ilość plakatów, haseł i apeli. Zjawiają się liczne sentencje prozą i wierszem.

Nie robi się od tego czystiej, natomiast robi się ponuro.

Tymczasem wychodzi na jaw, że sekretarz klubu sprzeniewierzył bilety tramwajowe. W związku z tym wypadkiem zdejmuje się kolczaste zasieki i na jeden dzień otwiera się główne wejście. Nad łajdakiem odbywa się sąd. Robi się jeszcze bardziej ponuro. W dodatku reorganizacja nie może się w żaden sposób zakończyć.

Cała rzecz w tym, że personel zarządu klubu nie może sobie dobrać odpowiedniego pomieszczenia.

Nieustannie przenoszą biurka z piętra na piętro. Ilekroć członek związków zawodowych przyjdzie do klubu, zastaje na podeście schodów popiersie Maksyma Gorkiego. Gdzieś je nieśli, ale nie donieśli.

Stukają młoty i w pokojach pełnych światła i powietrza wyrastają chybotliwe przepierzenia z dykty.

Powstaje konieczność wybicia nowych otworów. Wybijają je. Równocześnie likwiduje się stare drzwi.

Z zamysłów społeczeństwa, z pracy lekarzy, architektów i budowniczych nie ma śladu. Nowy klub przypomina stary klub, tylko w dziesięciokrotnym powiększeniu. Nowy bałagan jest podobny do starego bałaganu.

Rzuca się w oczy potężny wzrost ilości plakatów. Kierownik klubu z męstwem gladiatora odcina się od wszelkich problemów, zadań i w ogóle od życia do niczego nie zobowiązującymi wywieszkami:

SZANUJMY PRACĘ SPRZĄTACZEK!

Wszyscy na zjazd głuchoniemych!

CZEŚĆ DLA KIEROWNICTWA!

Twórzmy wysoce artystyczne sztuki teatralne!

ORGANIZUJMY BUDOWNICTWO DROGOWE NA

ODLEGŁYCH TERENACH!

Ażeby na żadnym odcinku nie pozostać w tyle, żeby już wszystko zaakcentować i wszystkim się wykazać, wywieszono jeszcze jeden plakat niezwykle politycznej treści:

Więcej uwagi dla wszelkiego rodzaju zagadnień!

W cieniu tego plakatu życie jest łatwe i beztrudne. Nikt już nie może się przykleić. A jednak nie wiadomo dlaczego członkowie klubu nie są zachwyceni.

Młódzież sarka, a tak zwani starzy zaczynają uczęszczać do MChATU i coraz mniej uwagi poświęcają wszelkiego rodzaju zagadnieniom.

Praca jakoś się nie klei, nie postępuje naprzód. Żaden z członków klubu nie tworzy wysoce artystycznych sztuk teatralnych; w zjeździe głuchoniemych biorą udział sami głuchoniemi, a nie ogół obywateli, jak tego żądał kierownik klubu; budownictwo drogowe na odległych terenach rozwija się samo przez się, żywiołowo, bez uzgodnienia z kierownictwem klubu, pracę sprzątarek może by nawet szanowano, tylko że jej (pracy) nie widać. Pozostaje cześć dla kierownictwa. No cóż, członkowie klubu nie mają nic przeciwko temu, aczkolwiek chcieliby wiedzieć, o jakie kierownictwo chodzi. Ale pytać nie wypada, przeto ich uczucia dla kierownictwa pozostają platoniczne, beznamienne, coś w rodzaju miłości między Petrarką i Laurą.

Po osiągnięciu tak oszałamiających rezultatów kierownik zabiera się do pisania kwartalnego referatu sprawozdawczego. Jest to rzeczywiście kunsztowne dzieło sztuki na pograniczu fantastyki.

Przeprowadzono wieczorów masowych - 34.

Akcją objęto 48 675 osób.

Zorganizowano wspólnych zabaw tanecznych - 4.

Akcją objęto 9 121 osób.

Przeprowadzono masowych akcji - 18.

Akcją objęto 165 000 osób.

Przeprowadzono masowych akcji kulturalnych - 60.

Akcją objęto 10 000 osób.

Przeprowadzono masowych akcji amatorskich - 27.

Akcją objęto 6 001 osób.

Przeprowadzono masowych prac świetlicowych - 16.

Akcją objęto 386 osób.

Omówiono zagadnień - 325.

Objęto plakatami - 264 000.

Uchwalono rezolucji - 143.

Zorganizowano masowych protestów - 3.

Plan zadań klubowych został wypełniony w 99,07 %.

Gdyby do tego sprawozdania dodać jeszcze jeden punkt:

„Zwolniono kierowników klubu, bezwstydnymi oszustami - 1 (jednego)” - to by nie było ono takie złe.

I wtedy referat sprawozdawczy, owo dzieło sztuki na pograniczu fantastyki, przybrały tak dla nas pożądaną formę realizmu socjalistycznego.

Człowiek z gęsią

Pewien obywatel chciał kupić żarówkę elektryczną. W sklepie były różne żarówki: pięćdziesięcio-, dwudziestopięcio- i piętnastoświecowe. A obywatelowi koniecznie zachciało się stuświecowej. Taką już miał kapryśną i wybredną naturę.

Na pozór wypadek ten nie odznacza się niczym nadzwyczajnym. Ale zdarzyło się, że rozgoryczony obywatel spotkał na ulicy swojego starego kolegę.

Kolega był rudy, wesoły, świeżo wygolony i trzymał pod pachą wielką bitą gęś. (Tu opuszczamy opis długo trwającego przywitania i uścisków, podczas których gęś parokrotnie upadała na chodnik, a rudy szybko podnosił ją za mrożoną siną nóżkę).

- Słuchaj, Misza! - wykrzyknął nagle obywatel. - Gdzie można kupić stuświecową żarówkę?

- Naturalnie nigdzie - zagadkowo odparł rudy.

- Więc co robić?

- Bardzo proste. Dostać przez kumoterstwo.

Niefortunny nabywca nie zrozumiał wesołego kumpla. Po raz pierwszy słyszał to dziwne wyrażenie.

W zamyśleniu powtórzył je na głos i długo jeszcze zakłopotany dreptałby w miejscu po trotuarze tamując ruch uliczny, gdyby rudy nie huknął na niego wymachując gęsią:

- No co? Jeszcze nie rozumiesz? Przecież mówię wyraźnie - przez kumoterstwo. Nie słyszałeś?

I wielokrotnie powtarzając to niewybredne cwaniackie słowo, Misza podtykał koledze gęś pod sam nos. Kolega cofał głowę i lekliwie zasłaniał oczy.

- Patrz! - porywco krzyczał rudy. - Tę gęś dostałem po kumotersku. Za trzydzieści kopiejek. Sam smalec wart pięćdziesiąt rubli. A palto? Popatrz! Eksportowe marengo. Dwanaście rubli. Teraz sama podszewka na bazarze... Ale poczekaj...

Położył gęś na ziemi i nie spuszczając jej z oczu rozpiął palto, żeby zademonstrować garnitur.

Garniturek istotnie nielichy. Takie garnitury śnią się elegantom w długie zimowe moce.

- Ile kosztował, twoim zdaniem?

- Ze sześćset rubli? - niepewnie powiedział poszukiwacz żarówki.

- A dwadzieścia dwa nie wystarczy? Szyte na miarę! Kumoterstwo na skalę światową!

Ten tajemniczy termin, który zrodził się w melinach i był używany wyłącznie w poufnych rozmowach między złodziejami i paserami, wypłynął teraz na światło dzienne. A wesoły rudy koleżka dalej podrygiwał i nie posiadał się z uciechy. Wreszcie nachylił się do ucha rozmówcy i oglądając się szepnął:

- Musisz to zrozumieć! Kumoterstwo - rzecz wielka!

Poszukiwacz żarówki też się obejrzał. Ale już przyswoił sobie nowe słowo i nieśmiało zapytał:

- A co to właściwie znaczy... po kumotersku?

Po kumotersku, to znaczy po znajomości. Potrzebna ci żarówka? Zaraz... Kogo ja tam mam w elektryczności? Ach, szkoda! Bieszenski na urlopie. Ale, było nie było, chodźmy. Może się coś dostanie.

Pod wieczór poszukiwacz stuświecowej żarówki wrócił do domu. Ze znaczącym uśmiechem postawił na stole czarny eksportowy patefon i puszeczkę miodu. Wesoły kolega miał rację. Bieszenski jeszcze nie wrócił z urlopu. Szczęściem, na ulicy nastęrczył się dyrektor Zjednoczenia „Membrana” i zapobiegliwy Misza natychmiast wydebił od niego bon na patefon po sztywnej cenie trzydziestoprocentową zniżką, tak że do płacenia prawie nic nie zostało. Co się tyczy puszek miodu, to brotny przyjaciel tak sprytnie wyłuskał ją z jednej z miejskich składnic towarowych, że poszukiwacz żarówki nawet nie zdążył zauważyć, co to była za składnica.

Cały wieczór zajadał miód, słuchał muzyki z płyt i w dzikim wrzasku wokalnego zespołu estradowego roilo mu się dziwne, niemal bajeczne życie na cudzy rachunek, bez wystawiania w kolejkach, a nawet z prawem wysyłania prywatnych telegramów z adnotacją „akcja siewna”

Nazajutrz, na świeży umysł, zaczął przypominać sobie i wpisywać do notesu nazwiska i telefony różnych swoich znajomych. Okazało się, że ma wielu przydatnych znajomych, a mianowicie: kasjerów kolejowych - 1, portierów w domach towarowych - 3, pracowników sektora gospodarczego - 2, pracowników sektora finansowego - 1, prezesów spółdzielni mieszkaniowych - 1.

A on, głupiec, pijał z nimi herbatę, grał w karty, a nawet w fanty, mieszkał pod jednym dachem, przyjmował ich u siebie, bywał u nich i nigdy żadnego z nich o nic nie prosił. To było jakieś niepojęte zaćmienie umysłu.

Teraz dopiero zrozumiał, co trzeba robić. Trzeba prosić.

Prosić o wszystko: o bezpłatny bilet do Soczi, o konserwy po sztywnej cenie, o biurko na rachunek pierwszej lepszej instytucji, o zniżkę na coś, o pierwszeństwo do czegoś, słowem - prosić o wszystko.

Po roku ów jegomość szukający niegdyś żarówki obejrzał się wstecz na przebytą drogę. To była droga człowieka z ręką nieustannie wyciągniętą po jałmużnę.

Teraz często bez najmniejszej potrzeby jeździł pociągami w przedziale pierwszej klasy, a na statkach często korzystał z bezpłatnego wyżywienia.

Po ciemnym błysku w oczach i po umiejętności trzymania w ryzach konduktorów poznawał wśród pasażerów tych, którzy podobnie jak on kierowali się w życiu kumoterstwem.

Jeśli ci osobnicy jechali z żonami, to miało się wrażenie, że ożenili się także przez protekcję, na talony i poza kolejką - takie mieli żony dorodne, jak na eksport, ładniejsze od innych.

Kiedy ci ludzie prowadzą między sobą rozmowy, ma się wrażenie, że nieustannie odmieniają tę tajemniczą deklinację:

Ja - tobie, ty - mnie, on, ona, ono - mnie, tobie, jemu, my - wam, wy - nam.

Oni, one - nam, wam, im.

Teraz wyrażenie „kumoterstwo” stało się zrozumiałe. Oznacza ono po prostu ożywioną działalność pewnej liczby osobników, którzy wprawdzie nie uważają się za aniołów, ale uchodzą za energicznych i obrotnych facetów. Zdradza ich jednak wyrażenie „kumoterstwo”. Wyszło ono, że się tak wyrazimy, że świata złodziei oficjalnych i przyjęło się w świecie złodziei nieoficjalnych, rozwlekających majątek narodowy po kieszeniach kurtek i marynarek. Są to jeszcze bardziej bezczelni i zuchwalsi rabusie mienia społecznego aniżeli ci, którzy nocą na jakimś dworcu towarowym rozbijają wagony, za co grozi im odpowiedzialność karna.

„Kumoterstwo” mieści w sobie wszystkie przestępstwa przewidziane w kodeksie karnym: grabież składnicy towarowej z włamaniem za pomocą bonu; bandytyzm budowlany przez protekcję; zagarnięcie cudzego mieszkania w biały dzień i z pominięciem wszelkiej kolejności.

Rudzi cwaniacy nie zawsze spacerują z gęsą pod pachą.

Niekiedy wyłapują cudze wagony z gipsem, z mandarynkami, z mrożonym sandaczem lub taboretkami. Łżą jak najęci. Okazuje się, że wszystko jest im potrzebne.

- Dziś złapałem pięć tysięcy sztuk cegły! Niebotyczne kumoterstwo! Po sztywnej cenie! A na rynku wiesz, ile cegła kosztuje? Niech leży! Przyda się kiedyś. Zamierzamy w ciągu najbliższych dwóch lat zacząć budować sobie stajenki Augiasza.

W rzeczy samej są u nas takie stajenki wybudowane po kumotersku, wbrew planowaniu, wbrew wyraźnym zakazom władz, wybudowane tylko dlatego, że jakiś nader energiczny osobnik krętymi drogami, ze szkodą państwa, ze szkodą dla budownictwa mieszkaniowego na rzecz robotników, uczonych i specjalistów, wyrwał skądś materiał budowlany na swoje gniazdko: cement, dachówkę, muszle klozetowe, ramy okienne, klepkę podłogową, kuchenki gazowe i cenny kabel telefoniczny.

Wyrwał z planu, wprowadził zamieszanie, zdeorganizował pracę, zniweczył czyjeś wspaniałe poczynania, wgryzł się jak robak w zdrowy i silny radziecki organizm.

Towarzysze, jeszcze jedna ważna nowina! Tylko pamiętajcie - to sekret! Nikomu ani słówka!

Są u nas również pisarze przez kumoterstwo (niewielu, ale są)!

Kompozytorzy przez kumoterstwo (zdarzają się)!

Malarze

Poeci przez kumoterstwo (znajdzie się pewienodsetek)!

Dramaturdzy

Reżyserzy filmowi

To sprawa bardzo delikatna. I bardzo skomplikowana. W sztuce wszystko jest bardzo skomplikowane.

I wielka to sztuka wskoczyć do literatury lub muzyki poza kolejką.

Wszyscy ci ludzie, a więc beztroski zdobywca z wyciągniętą ręką i szkodnik budowlany z łomem w łoni odbijający wagon z drzewem budowlanym z Magnitogorska, jak również ideologiczny kieszonkowiec z cudzą chwałą na zafrasowanym czole - wszyscy ci „kumkumowicze” są przekonani, że na zasadzie kumoterstwa można wszystko załatwić, że nie ma takiej przeszkody, której by nie dało

się wziąć przy pomocy kumoterstwa, że na zasadzie protekcji, na zasadzie talonu można wśliznąć się nawet do budowy socjalizmu. Ale to się im nie uda. Tak przez nich cenione „kumoterstwo” doprowadzi ich za te same kratki, zza których wyszło to złodziejskie, cyniczne, antyradzieckie wyrażenie.

Rozbawiona jednostka

Cofnijmy się do lata.

W bieżącym roku budżetowym był taki rozkoszny czas. Był taki czarowny okres - czerwiec, lipiec, sierpień, kiedy na moskiewskich bulwarach koszone trawę, w powietrzu unosił się puch topolowy, a na czystym wieczornym niebie raz po raz śmigały jaskółki.

Ale, niestety, jakże fatalnie został wykorzystany ów poetyczny okres!

W jednym z parków stołecznych, gdzie drzewa rzucają wspaniały cień na chrzęszczący żwir alei, przez całe lato wisiał ogromny plakat:

„Wszyscy do walki o zdrowy spacer”

Ale nikt tu nie spacerował. Na próżno drzewa rzucały cień, bowiem żadna proletariacka stopa nie odcisnęła się na doborowym żwirze alei.

Tu się nie spacerowało. Tu się natomiast walczyło. Walczyło się o zdrowy spacer!

Walka o tę nader pożyteczną, ale widać jeszcze niedostatecznie opanowaną formę odpoczynku przedstawiała się następująco: Rano ideolodzy zagadnienia odpoczynkowego zbierali się w baraku z dykty, szczególnie zamykali okna i do samego wieczora radzili, jak należy spacerować. Oczywiście palili przy tym mnóstwo papierosów. A skoro tylko na polanie zjawiała się nieśmiała postać jakiegoś spacerowicza, natychmiast wciągano go do prezydium zgromadzenia jako przedstawiciela spacerujących mas.

I od tej chwili osobnik ten już nie spacerował. Włączał się do walki.

Na temat zdrowego spaceru odbywały się nużące, zaciekle debaty.

- Towarzysze, najwyższy czas odrzucić szkodliwe i obce nam teoryjki o tym, że spacerować można tak sobie, po prostu. Trzeba wreszcie przemyśleć ten spacerowo-twórczy proces, którego znaczenie usiłuje umniejszyć pewna grupa wulgaryzatorów, nadając mu miano przechadzki. Tak sobie, po prostu, spacerują krowy (śmiech), psy (głośny śmiech), koty (ogólny śmiech). My musimy, naszym obowiązkiem jest dać ładunek każdej jednostce spacerującej. Ta jednostka winna nie tylko spacerować, towarzysze, lecz winna, towarzysze, wykonywać wielką spacerową robotę (głos z sali:

„Słusznie!”). Podjęto pewne próby w tym kierunku. Na przykład projekt towarzysza Goriłło. Co proponuje towarzysz Goriłło? Towarzysz Goriłło proponuje umieścić na plecach każdej spacero-jednostki artystycznie wykonany plakat na jakiś aktualny temat - propagowanie Towarzystwa

Przyjaciół Dzieci lub Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Na przykład: „Podczas gdy ty spacerujesz, oże ci spłonąć mieszkanie. Ubezpiecz co rychlej swoje mienie ruchome w Państwowym Zakładzie

Ubezpieczeń”. I tym podobne. Ale, towarzysze, jak doprowadzić do tego, aby spacero-jednostka ani na chwilę nie traciła z oczu haseł i aby oddziaływanie takowych było, że

tak powiem, nieustanne i stuprocentowe? Tego towarzysz Goriłło bynajmniej nie uwzględnił. Komara zobaczył, a słonia nie zauważył (śmiech)! A to jest sprawa do przeprowadzenia. Trzeba, by spacerujący szli gęsiego, jeden za drugim, wtedy każdy z nich będzie miał przed oczami jakiś plakat. Na taki zdrowy odpoczynek można poświęcić dwie, trzy godziny. (Głos z sali: „Czy to nie za dużo?”). Tak, towarzysze, dwie, trzy godziny. A jak zajdzie potrzeba, to i cztery, i pięć godzin, towarzysze. Następnie, po krótkiej, pięciominutowej przerwie poświęconej uświadomieniu politycznemu, wywiązuje się ogólna wesoła zabawa pod nazwą „Dyl-Niesowizdrzał”. Każda spacero-jednostka otrzymuje artystycznie wykonany kosz do śmieci i poręczny haczyk. Organizator zabawy przygrywa na harmonii, wszyscy rozchodzą się po parku, patrzą pod nogi i gdy tylko ktoś zauważy jakąś szmatę, stary kalosz lub butelkę od wódki, natychmiast chwytając haczykiem ten pożyteczny przedmiot i wrzuca go do artystycznie wykonanego kosza. Równocześnie wykrzykuje początek jakiegoś aktualnego hasła, a pozostali kończą chórem.

Poza tym szczęściarz ów ma prawo uczestniczyć w zabawie tanecznej pod nazwą „Niewolnicykapitału”. (Głos z sali: A jeśli tańczący nie będą patrzyli pod nogi?). Spokojna głowa, towarzysze

(śmiech)! Będą patrzyli pod nogi. Według zasad zabawy każdemu z uczestników zawieszona ma szyi niewielki agit-ciężarek o wadze dwudziestu kilogramów. W ten sposób, wolens-niewolens, będzie patrzył pod nogi, a zabawa nie straci nic ze swojego, że tak powiem, zdrowego powabu. Tak się przedstawia w ogólnych zarysach plan towarzysza Goriłło.

- Ja, towarzysze, chciałbym dodać kilka słów w związku z projektem towarzysza Goriłło. Czy tego rodzaju spacer nie jest zbyt bezcelowy? Czy nie za dużo w tym wszystkim zwykłego pustowania, śmieszkowania, błazenkowania? Trochę powagi, towarzysze! Dla dojrzałego człowieka pracy, którego właśnie pragniemy ściągnąć do parku, wszystko to jest zbyt frywolne. Człowiek taki pragnąłby po pracy czegoś więcej. Jego funkcje spacerowe winny upływać w atmosferze pracy. On, towarzysze, rozwinął się wszerz i w głąb. Trzeba mu dać warunki zbliżone do jego pracy zawodowej. Oto, dla przykładu, miła letnia rozrywka. Trzeba w naszym parku wykopać szyb głębokości trzydziestu metrów i spuścić tam w balii starego górnika. Wyobraźcie sobie jego radość, gdy na dnie szybu znajdzie podziemną poradnię polityczną, gdzie w każdej chwili może otrzymać niezbędne informacje w sprawie przynależności do związku zawodowego. Jest propozycja, żeby na dnie szybu sprzedawać wody mineralne. Ja jestem temu przeciwny, towarzysze. To jest z gruntu fałszywe założenie, to odciągnie dojrzałą jednostkę od poradni. Lepiej zamiast wody mineralnej sprzedawać naszą broszurę:

„Uświadamiamy ogół co do zasad zdrowego spaceru”.

A oto rezultaty. Państwo dało do dyspozycji piękny zadrzewiony teren, wyasygnowało fundusze i powiedziało: „Spacerujcie! Oddychajcie świeżym powietrzem! Bawcie się!” A tymczasem zamiast tego wszystkiego (spaceru, odpoczynku, zabawy) zaczęto mozolnie zastanawiać się, jak spacerować?

Z kim spacerować? W jaki sposób oddychać świeżym powietrzem? Jaką obrać metodę rozrywki?

Zrobiła się z tego straszliwie ponura historia. Wytworzył się nastrój tak cmentarny, że świeże powietrze, czyli tak zwany ożywczy zefirek, nie przechodzi przez gardło spacero-jednostce.

Może ktoś nie wierzyć w to, co tu zostało opowiedziane, może uważać to za głupi wymysł, żądać poparcia faktami, może domagać się konfrontacji z żywym towarzyszem Goriłło i jego niesamowitym projektem kulturalnego wypoczynku.

A tymczasem wszystko to jest niezwykle bliskie rzeczywistości. W każdym parku można napotkać ślady tytanicznej walki o zdrowy spacer, przy równoczesnym uderzającym braku tej formy wypoczynku.

Na przykład wspaniały pomysł zorganizowania Centralnego Parku Kultury i Odpoczynku dla moskiewskich mas pracujących. Doskonały teren wyznaczony na ten park. Ogromne sumy przewidziane na jego utrzymanie.

Ale czemu na innych poczynaniach parku leży piętno nieśmiałości, przesadnej ostrożności, a przede wszystkim - zwyczajnej wagonowej nudy?

Zamiast podziwiać wysiłki ogromnego sztabu pracowników, którzy niewątpliwie dążą nieustannie do stworzenia z parku istnego Magnitostroju w dziedzinie wypoczynku, trzeba sobie wprost powiedzieć, że w parku panuje drugorzędny gatunek kultury i drugorzędny gatunek wypoczynku.

A jeśli chodzi o rozrywki, to w tym wypadku nie można nawet mówić o gatunku, jako że ich w ogóle nie ma.

- Jak to nie ma? - spytał cały ogromny personel. - A nasz kochany kręty tor, ozdoba i duma naszego sektora rozrywkowego? O co wam jeszcze chodzi? A tak popularna karuzela? A... a...

Ale za tym „a” nie ma już żadnego „b”, bo w ogóle nic więcej nie ma. W największym i najpiękniejszym parku naszego kraju, przez który przewijają się setki tysięcy ludzi, są raptem dwie atrakcje: odpustowa karuzela i kręty tor - sensacja dziewiętnastego wieku. Zresztą, jeśli się dobrze przyjrzeć, to nie jest on taki znów kręty i w ogóle nic nadzwyczajnego. W budowie jego widoczna jest ta sama ostrożność, która cechuje wszystkie urządzenia parku. Spirale zjazdu mają taką pochyłość, że zamiast tak miłej młodzieńczemu sercu zawrotnej przejażdżki na dywaniku (w XIX wieku to nosiło miano silnych wrażeń), żadna rozrywka jednostka, stękając i odpychając się nogami od burty, pełźnie w dół i przybywa na metę w siódmych potach. Dopiero zasadnicza rozmowa z kierownikiem zjazdu daje owe silne wrażenia, które powinien przynieść zjazd.

Obecnie w parku mniej jest atrakcji, niż było w roku otwarcia. Co się na przykład stało z „diabelskim pokojem”? To jest, nie diabelskim (diabła nie ma, administracja parku z miejsca to uwzględniła - nie ma boga, to nie ma i diabła), lecz z „pokojem tajemnic”? Pokój ten nie był niczym nadzwyczajnym, nie był żadnym szczytowym osiągnięciem ludzkiej wynalazczości. Jednakże słyhać tu było śmiechy i wesołe chichoty odwiedzających. Wszyscy się tu bawili. Cóż, kiedy został zlikwidowany.

Dlaczego więc skasowano ów diabelski, przepraszam, tajemniczy pokój?

Wyobrażenia podsuwa straszliwe szczegóły.

Można podejrzewać, że niepokój, jaki ta atrakcja siała w sercach pracowników działu rozrywkowego, był kolosalny.

Co to za pokój? Ściany się kręca, ludzie się śmieją, do czego to podobne! Absolutnie pusta, bezsensowna rozrywka. Trzeba temu pokojowi nadać jakiś ciężar gatunkowy.

Nadano. W jaki sposób nadaje się u nas ciężar gatunkowy? Zawiesza się na ścianach slogany i sprawa załatwiona. Ale wtedy wyłoniła się nowa, nieprzewidziana okoliczność.

Ciężar gatunkowy nie dociera do odbiorcy. A nie dociera dlatego, że przecież ściany się kręcą i nie można odczytać napisów.

Nie ma innej rady, towarzysze! Trzeba zatrzymać ściany.

- W takim razie nie będzie już atrakcji!

- Dlaczego? Będzie piękna, prawdziwie radziecka atrakcja. Rozrywko-jednostka płaci 10 kopiejek i ma prawo spędzić w pokoju pięć minut czytając plakaty i rozszerzając w ten sposób swój światopogląd.

- Ale przecież w tym nie będzie nic tajemniczego, a tym bardziej pociągającego.

- I słusznie. Nie trzeba nam żadnych tajemnic. A rozrywkę trzeba nazwać nie żadną pospolitą nazwą w rodzaju „Pokój cudów”, a po prostu, po naszymu, „Pokój Nr 1”. Bardzo ponętna nazwa. Zobaczycie, że będzie dobrze. Od razu ucichną te głupie, bezideowe chichoty.

Czy to było tak, czy trochę inaczej - nieważne. Cel zastał osiągnięty. „Pokój tajemnic” przestał istnieć, a równocześnie zamilkł śmiech, który rozbrzmiewał w parku.

Administracja parku używa się we wszelkiego rodzaju sloganach, tablicach, wykresach, wezwaniach oraz obwieszczeniach. Ale owe kartonowe i dyktowe metody pracy są nader wątpliwe. Zwłaszcza że w samym centrum parku umieszczono wielki neon.

ZAMIENIMY PARK

W KUŹNIĘ WYKONANIA

UCHWAŁ ZJAZDU ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH

Zamienimy park w kuźnię!

Czy może być coś bardziej ponurego od takiej perspektywy? Jakież to smutne! Jakie trzeba mieć spalone pojęcie o wypoczynku, aby móc go sobie wyobrażać w formie kuźni. Choćby to nawet była kuźnia wykonania uchwał.

Ten i ów z pracowników parku postawi się ostro:

- A wy co? Jesteście przeciwni wprowadzaniu w życie uchwał!

Nie, my jesteśmy jak najbardziej za wprowadzaniem uchwał. Natomiast protestujemy przeciwko zamienieniu parku w kuźnię hasel itp. biurowych akcesoriów.

A najlepiej byłoby zamiast wzywać do wprowadzania w życie uchwał, po prostu je wprowadzać.

Uczynić park prawdziwym miejscem wytchnienia dla mas proletariackich, zamiast robić z niego podstawową czteroklasową szkołkę dla dzieci nielicznych łodziarzy, na którą park obecnie wygląda.

Toteż nie można się dziwić, że kto żyw kieruje się nad rzekę, na której jeszcze nie zdążono ustawić kartonowej tamy z napisem:

ZAMIENIMY RZEKĘ

W NIEWZRUSZONĄ GRANITOWĄ TWIERDZĘ

ZDROWEGO WYPOCZYNKU

Tymczasem, bez względu na wysiłki ideologów wypoczynku, w parku, na przekór lewemu przegięciu, rozlega się radosny śmiech. Ale to nie jest zasługa parku.

Spacerujący śmieją się sami przez się. Są młodzi. Mają po siedemnaście lat. Młodzi zawsze się śmieją.

Jednakże jeśli nie położymy kresu tej walce o „zamienienie parku w kuźnię”, nie zlikwidujemy zacieklej draki na temat metod „walki o zdrowy spacer”, to wkrótce przestaną się śmiać nawet ci siedemnastoletni.

Nad tą sprawą trzeba zastanowić się właśnie zimą, żeby uniknąć tych samych błędów w lecie przyszłego roku.

Obojętność

Przedmiotem niniejszej opowieści będzie wydarzenie o świcie.

Sprawa przedstawia się następująco:

Dwoje młodych ludzi zakochało się w sobie, pobrało się, czyli mówiąc górnolotnie - połączyło się węzłem małżeńskim. Warto nadmienić, że wesela to dość częste zjawisko w naszym kraju. Stale i wciąż obserwujemy fakt, że ludzie wstępują w związki małżeńskie i przyjacielska wymiana zdań, a także brzęk kieliszków rozbrzmiewają do późna w noc.

W literaturze pięknej fakt ten z niewiadomego powodu jest pomijany milczeniem. Przyszły badacz nigdy, być może, nie dowie się, jak wyglądały miłosne oświadczyzny w roku 1932. Czy odbywało się to tak, jak za czasów carskich („szepty, przyspieszony oddech, słowicze trele”), czy też zgoła inaczej, bez słowików i w ogóle bez udziału ptactwa. Nie ma wzmianki o miłości ani w superproblemowych powieściach napisanych, widać, specjalnie dla potomności, jako że współcześni czytać ich nie mogą, ani w utworach estradowych preparowanych zespołowo-laboratoryjną metodą Państwowego

Przedsiębiorstwa Rozrywkowego.

Wzmianka o miłości każe nam wrócić do wydarzenia o świcie.

W rodzinie pewnego artysty spodziewano się dziecka. Poród zaczął się nieco wcześniej, niż przewidywali ginekolodzy. To się zdarza prawie zawsze. Zaczął się w najbardziej niedogodnym czasie, nad ranem. To także często się zdarza. Sprawa szybko posuwała się naprzód. Bóle występowały co dziesięć minut. Należało niezwłocznie zawieźć położnicę do kliniki. Przede wszystkim nasunęła się myśl o taksówce.

Ale w mieszkaniu artysty nie było telefonu. Artysta mógłby zacząć swój życiorys od pełnego wymowy zdania: „Urodziłem się w roku 1901. Do dnia dzisiejszego telefonu nie posiadam”. Ta spartańska zwięzłość pozwala nam opuścić długie opisy tego, jak artysta składał podania do Urzędu Telefonów, jak prosił znajomych o protekcję, używał podstępów, ale nic nie wskórał.

W tym stanie rzeczy artysta o świcie wdarł się do cudzego mieszkania i dopadł telefonu. Dużo czytał o nocnych taksówkach, które przyjeżdżają na każde wezwanie, a numer garażu - 42-21 - znał na pamięć już od trzech miesięcy. Był przewidujący. Wszystko wziął pod uwagę.

Ale w garażu spokojnie oznajmiono, że taksówek nie ma. Nocne już skończyły pracę, a dzienne jeszcze jej nie zaczęły.

- Ale moja żona, poród...

- Od dziewiątej, obywatelu.

A była siódma.

Pogotowie w takich wypadkach nie przyjeżdża.

O tym artysta także wiedział. Wszystko wiedział. Niemniej jednak miał fatalne samopoczucie. Wybiegł na ulicę.

O tak wczesnej porze stolica, naturalnie, żadnych środków transportu dostarczyć nie mogła.

Tramwaje dopiero wyjeżdżały z remiz (zresztą w tym wypadku tramwaj i tak absolutnie się nienadawał), a dorożkarzy po prostu nie było. Prawdopodobnie tłoczyli się wszyscy gdzieś w okolicy wórców i wymachując łapskami straszili przyjezdnych opowieściami o cenach owsa.

Artysta stracił głowę.

I oto nagle - radość niezmierna¹, szczęście nieopisane - samochód, a w nim dwóch dzielnych szoferów. Życzliwie wysłuchali bełkotu artysty i zgodzili się zawieźć jego żonę do zakładu ołożniczego.

Z wielką ostrożnością sprowadzono położnicę z trzeciego piętra i umieszczono w samochodzie.

Artysta był uszczęśliwiony. Mimo woli przychodziły mu na myśl różne banalne powiedzenia w rodzaju: „Są jeszcze ludzie na świecie”. „Lepiej mieć przyjaciół stos niżli złota pełny trzos” i całkiem już bez sensu: „Cierpliwością i pracą ludzie się bogacą”. Samochód ruszył. Teraz wszystko powinno być pójść jak z płatka. Tymczasem poszło jak z kamienia.

Samochód ujechał dziesięć metrów i stanął. Motor zamilkł.

Co za przekłety pech! Do kliniki było zaledwie pięć minut jazdy. Ale po minach szoferów, którzy zaczęli się irytować, było widoczne, że stracili władzę nad motorem, że nieprędko go uruchomią. A tymczasem kobietę bóle chwytają już co dwie minuty. Lekkomysłowością byłoby czekać w tych warunkach. Artysta wyskoczył z samochodu i pobiegł przed siebie. Od Bramy Kropotkińskiej pędził aż do Arbatu. Dorożek nigdzie nie spotkał, ale przez Arbat samochody przejeżdżały dość często.

Co wam tu opowiadać, towarzysze, przyjaciele, bracia? Artysta zatrzymał przeszło pięćdziesiąt samochodów, ale nikt nie chciał okazać mu pomocy. Wypadek tak smutny i żalospny, że nie wymaga ani podkreślenia, ani wyodrębnienia kursywą. Nikt z przejeżdżających wtedy przez Arbat nie zgodził się zboczyć na kilka minut z kursu, żeby przyjść z pomocą kobiecie rodzącej na ulicy.

Początkowo artysta był nieśmiały. Biegł po jezdni obok samochodu i w biegu opowiadał o swoim kłopotcie, ale nikt go nawet nie słuchał, nikt się nie zatrzymał, chociaż widać było, że petent jest czymś ogromnie zdenerwowany.

Wtedy zaczął poczynać sobie energiczniej. Przecież czas upływał. Wybiegł na jezdnię i zagroził drogę zielonemu Fordowi. Siedział w nim jakiś raczej przeciętny człowiek o dość pocziwym wyrazie twarzy.

Wysłuchał artystę i powiedział:

- Nie mam do tego prawa. Jakżebym mógł wieść prywatną osobę? Wypalać państwową benzynę dla osoby prywatnej!

Artysta zaczął coś bąkać o pieniądzach. Człowiek o pocziwym wyrazie twarzy obraził się i odjechał.

Przejeżdżała ulicą jakaś rozklekotana taksówka.

Szofer usiłował wyminąć biegnącego naprzeciw artystę, ale ten wskoczył na stopień i cała rozmowa, jaka nastąpiła, odbywała się w czasie jazdy.

W taksówce znajdowało się wesołe towarzystwo. Była ich tam spora paczka - czterech młodzieńców i dziewczyna na tylnym siedzeniu (jeden siedział na kolanach), a piąty obok szofera (ten okazał się potem najgorszym łajdakiem). Faceci mieli na głowach grube jak walonki miękkie kapelusze.

Dziewczyna, trzpiotka-szczebiotka, raz po raz, nie zaciągając się, puszczała dym z papierosa. Było im bardzo wesoło, ale jak tylko usłyszeli prośbę artysty, natychmiast spowaźnieli i zaczęli odpowiadać nieprzyjemnym tramwajowym tonem. Ale trudno było pozbyć się natarczywego petenta.

- Co wam szkodzi - mówił. - Przecież nie spieszycie się zbytnio! A tu taki wypadek.

- Jak to, co nam szkodzi? - odpowiadano z samochodu. - Dlaczego nam się nie spieszy?

- Przecież nie jedziecie na dworzec. Bardzo proszę!

- Każdy tylko prosi, a myśmy dwie godziny szukali taksówki.

- Na dziesięć minut! Za dziesięć minut będziecie mieli samochód z powrotem.

Faceci z uporem twierdzili, że w żaden sposób nie mogą i nie ma o czym mówić.

- Pomyślcie, przecież ona w każdej chwili może urodzić.

- On nas bierze za frajerów, słowo daję. Cóż, u licha! Już nawet w taksówkach zaczynają się czepiać!

- Właściwie mam prawo żądać od was ustąpienia mi taksówki! - naciskał artysta.

- To już bezczelność - zauważyła trzpiotka-szczebiotka.

Wtedy odwrócił się milczący dotąd piąty pasażer, ten, który siedział obok szofera. Trząśnięcie z irytacji.

- Chuligan! - ryknął na całą ulicę. - Jazda ze stopnia, pókim dobry! On tu będzie żądał, łobuz!

I wychylił się z samochodu, aby w biegu zepchnąć artystę ze stopnia.

Taksówka skręciła na Smoleński Rynek grożąc zawiezieniem artysty diabli wiedzą dokąd, wobec czego usiał zeskoczyć na jezdnię.

Ach, jaką miał ochotę bić, kłąć bubków najgorszymi słowami! Ale nie było czasu.

Artysta spostrzegł samochód, który zatrzymał się przy chodniku. Jakiś szczęśliwy ojciec pomagał wysiadać żonie i dwojgu dzieciom. Artysta rzucił się w jego stronę.

Trzeba dodać, że z natury artysta nie był człowiekiem nieśmiałym, przeciwnie, raczej impulsywnym.

Umiał mówić przekonująco i wzruszająco. Teraz bez żadnych skrpułów zaczął przemawiać tak zwanym tragicznym głosem, który wyciska łzy w teatrze i którym tak wstyd posługiwać się w życiu.

- Pan jest ojcem - mówił - pan mnie zrozumie. Przecież pan też ma małe dzieci. Pan jest szczęśliwy.

Niech mi pan pomoże!

W teatrze taki szczęśliwy ojciec zalałby się łzami. Ale tu nie było kurtyny z białą mewą, nie byłosiwowłosych bileterów, przeto odpowiedział:

- Nie mam czasu, towarzyszu, spóźnię się do biura.

- Zaklinam - błagał artysta. - Zaklinam na wszystkie świętości...

- Ja doskonale rozumiem, towarzyszu, ale nie mam ani chwili czasu. Proszę mi pozwolić wsiąść do samochodu.

- Dobrze - powiedział nieszczęsny artysta, przechodząc nie wiedząc czemu na szept. - A jeśli człowiek tonie, to co pan wtedy robi?

- Towarzyszu, ja jestem tak zapracowany, że od dwóch lat nie byłem w kinie, jeszcze nawet „Drogi przez życie” nie widziałem, a pan mi tu... dosłownie nie mam chwili czasu.

Artysta znów został sam. Znowu biegał, składał ręce i bełkotał:

- Zaklinam na wszystkie świętości!

Znowu wskakiwał na stopnie samochodów, prosił, proponował zapłatą, tłumaczył, groził, płakał i wyobrażacie sobie - bez skutku. Okazało się, że wszyscy mają niezmiennie ważne, nie cierpiące zwłoki sprawy. Samochody przejeżdżały jeden za drugim i nie było takiej siły, która by je mogła sprowadzić z wytyczonej trasy.

Lenin, pochłonięty wielkimi, niesłychanej wagi sprawami, zawsze znalazł czas, by się dowiedzieć, jak żyją nie tylko jego najbliżsi towarzysze, ale nawet ludzie, których widział przelotnie wiele lat temu - czy im czego nie brak, czy są zdrowi, czy nie mają jakichś trudności w pracy lub w życiu prywatnym.

A wśród tych pięćdziesięciu osób, które niewątpliwie uważają się za wartościowych członków socjalistycznego społeczeństwa, ani jedna nie znalazła czasu, a nawet dobrej woli, aby spełnić podstawowy obowiązek członka tego społeczeństwa i obywatela Związku Radzieckiego - pośpieszyć z pomocą bliźniemu.

To nie jest żadna pisarska fantazja, lecz historia, która zdarzyła się w tym roku w Moskwie.

Jaka szkoda, że numery samochodów pozostały nieznane, że nie można już odnaleźć wszystkich tych szaleńczo zapracowanych ludzi, zebrać ich w sali kolumnowej Domu Związków i sądzić publicznie, w świetle reflektorów, z mikrofonami, z piorunującym przemówieniem prokuratora, sądzić ich jako zaciekłych wrogów socjalistycznego społeczeństwa, za wielkie przestępstwo - obojętność⁴⁸.

Ach, ta obojętność! Natykamy się na nią znienacka co krok. Przysłania ją entuzjazm twórczy, jakim tchnie nasza radziecka ojczyzna. Obojętność tonie w obfitej oceanicznej fali socjalistycznego budownictwa. Obojętność - to zjawisko drobne, ale wstrętne! Dokuczliwe!

Był dom, szczęśliwy dom. Siedemdziesiąt dwa mieszkania, siedemdziesiąt dwie drzwi wejściowych zamykanych na siedemdziesiąt dwa amerykańskie zamki. Rano mieszkańcy wychodzili do pracy, wieczorem wracali. Latem wyjeżdżali na lotnisko, jesienią wracali.

Nic nie wróżyło nieszczęścia. O kradzieży nikt nawet nie pomyślał. Kronika przestępcza została w dziennikach skasowana, widocznie z racji niestosowności tematyki kryminalnej. Być może, że jakiś tam urząd statystyczny wykreśla raz na rok krzywą kradzieży, wskazującą na wzrost lub spadek kasiarstwa i pajęczarstwa, ale przeciętny obywatel zupełnie się w tym nie orientuje. Nie orientowali się w tym również mieszkańcy szczęśliwego domu złożonego z siedemdziesięciu dwóch mieszkań zamykanych na siedemdziesiąt dwa amerykańskie zamki, produkowane przez jakąś prowincjonalną spółdzielnię rzemieślniczą. Wychodząc do pracy mieszkańcy bez obawy opuszczali mieszkania.

Naprzód zostało okradzione mieszkanie numer osiem. Złodziej wyniósł wszystko prócz mebli i gazomierza. Następnie zostało okradzione mieszkanie numer sześćdziesiąt trzy. Złodzieje zabrali z niego nawet licznik. W dodatku ci barbarzyńcy połamali wypielęgnowany fikus. Cały dom zadygotał z przerażenia. Zaczęto na gwałt sprawdzać pseudoamerykańskie zamki wyrabiane w pracowitej spółdzielni. Wtedy sprawa została wyjaśniona. Zamki można otwierać nie tylko kluczem, ale również

A oto zakończenie historii. Artysta znalazł w końcu samochód. Nieważne, który to był z kolei - pięćdziesiąty drugi czy pięćdziesiąty trzeci. Ważne jest to, że pasażer nie kazał się prosić, tylko natychmiast zgodził się pośpieszyć z pomocą, chociaż jechał w sprawie dosyć ważnej. Finał był zgoła nieoczekiwany. Artysta nie zastał już na miejscu ani unieruchomionego samochodu, ani żony. Nie znalazł jej również w klinice położniczej.

Dopiero kiedy wrócił do domu, okazało się, że żona nie mogła już dłużej czekać, zawlokła się na trzecie piętro do swego mieszkania, gdzie niezwłocznie urodziła. Dziecko przyjmowały przerażone sąsiadki. Pewnie odcięty zwykłymi nożyczkami, których w popłochu nawet nie zdezynfekowały spirytusem. Obawiano się zakażenia krwi, śmierci matki lub dziecka. Ale w tym wypadku los okazał się łaskawy. Wszystko skończyło się pomyślnie, z jednym zastrzeżeniem: spodziewano się chłopca, a urodziła się dziewczynka. Ale to już nie ma większego znaczenia społecznego. szpilką do włosów, scyzorykiem, rondówką, stalówką zwykłą, wykałaczką, paznokciem, zapalką, igłą do prymusa, rogiem legitymacji, spinką do kołnierzyka, pilnikiem do paznokci, kluczykiem od budzika, skorupką od jajka tudzież wieloma przedmiotami pierwszej potrzeby. Pod wieczór ustalono, że wystarczy mocniej pchnąć drzwi, aby się otworzyły.

Trzeba było zainstalować siedemdziesiąty trzeci zamek. Był to żywy zamek - pięćdziesięcioośmioletni obywatel-dozorca imieniem Jewdochim Kolonnycz. Główne wejście zabito na mur. Teraz stary

Kolonnycz siedzi przy drzwiach i zagląda w twarz każdemu, kto wychodzi z domu z pakunkiem.

Kolonnyczowi trzeba płacić pensję. Robi się specjalną składkę, aby zakupić dla Kolonnycza obszerny kożuch na zimowy sen. A mimo to cały dom wciąż drży ze strachu. Wszyscy lokatorzy przeklinają ową kwitnącą spółdzielnię, która wypuściła na rynek swój cudacki wyrób.

A przecież spółdzielnia zdaje sobie sprawę, że jej produkt otwiera się nie tylko rondówką, ale nawet zwykłą stalówką i w ogóle pierwszą lepszą blaszką. Zdają sobie z tego sprawę również sprzedawcy. A także dyrektorzy wydziału handlowego. A pomimo to kwitnie ożywiony handel tym bezużytecznym, urojonym zamkiem - produktem absolutnej obojętności.

A czyja to obojętna łapa zarzuciła księgarnie w Jałcie wyłącznie dziełami z zakresu medycyny, tak że na całym wspaniałym krymskim wybrzeżu strawa duchowa składa się wyłącznie z przynębiającego wykładu podstaw histologii, szczegółowego studium na temat reumatyzmu stawowego, skrofuiów, wrzodu żołądka oraz świerzbu?

Albo na przykład w tramwaju przecinającym plac Swierdłowa zdumionym oczom prezacnego i wielce szanownego obywatela ukazuje się kartonowy plakat z ojcowskim upomnieniem:

Jak ubijesz wieprzka, bratku,
Skórę ściągnij na ostatku,
Do spółdzielni z nią się zgłoś,
A otrzymasz za nią coś.

W tym celnym kupiecie spreparowanym zespołowo-laboratoryjną metodą Przedsiębiorstwa

Rozrywkowego wam, pasażerowie moskiewskich tramwajów, proponuje się oddawać świńskie skóry.

Dobrze, rozejrzyjmy się. W wagonie jest dwadzieścia osiem miejsc siedzących, sześć miejsc na tylnym pomoście, rozmowa z motorniczym jest zabroniona, ale posuwajcie się ku przodowi, tam całkiem luźno - czyli w sumie dwieście czterdzieści pięć osób w najprzedziwniejszych pozach. Ciekawe, która z tych osób może sobie pozwolić na zabicie wieprzka.

Może ten w galowej tołstowce pogrążony w lekturze Rabis'u? A może ten malarz z pędzlem okręconym w gazetę? Albo te dwie dziewczynki przerażone rozpychającymi się energicznie jegomościami i paniusiami? A może ci jegomoście i te kobieciny, co właśnie rozpoczynają odwieczną kłótnię na temat tego, kto chodzi w kapeluszu, kto jest „idiota”, a kto „sam jest idiota”.

Towarzysze, bracia, przyjaciele! Czy pasażer moskiewskiego tramwaju wygląda na posiadacza wieprzka lub właściciela prosiaka? Czy to obwieszczenie nie odnosi się raczej do wsi? Czyja to obojętna łapa zarzuciła nim rojną stolicę?

To wciąż ten sam człowiek, z tego samego powiatu, obojętny na wszystko na świecie, przerażony na samą myśl o tym, że mógłby zużyć pół litra państwowej benzyny, aby przyjść z pomocą kobiecie rodzącej na ulicy. Jego dychawiczne sapanie daje się słyszeć na równi ze zdrowym oddechem ludzi budujących nowe życie.

W ten sposób ujawnia się nagle łańcuch ponurych typów pracujących tylko na pokaz, krucha warstewka obywateli związanych z kolektywem wyłącznie siatką - siatką płac.

Człowiek z wiadomego powiatu jest przebiegły. Jeśli go zapytać, dlaczego jest taki obojętny wobec całego świata, natychmiast poprze swoją obojętność twardymi zasadami ideologii. Powie obłudnym głosem:

- Zamki, noworodki i tym podobne bzdury - to są wszystko drobiazgi. Trzeba patrzeć dalej, głębiej, szerzej, bardziej zasadniczo. Ja kocham klasę robotniczą jako całość, a nie każdego jej przedstawiciela z osobna. Interes poszczególnej jednostki nie zaważy na szali historii.

Oto maska człowieka z kruchej warstewki. W rzeczywistości kocha on tylko siebie (tudzież najbliższą rodzinę, nie dalej niż do drugiego pokolenia).

Z jego odzianej w tołstówkę powierzchowności i podejrzenie nowiutkich dokumentów wynika, że to budowniczy socjalizmu (choćby zaraz do fotografa!), a wewnątrz - mieszczańska dusza, sobek i egoista.

Bezduśny pień

Czyście zauważyli dziwną cechę, osobliwość często spotykaną w stosunkach między ludźmi zmuszonymi do załatwienia jakiejś sprawy a pewnymi ponurymi osobnikami, którzy ich obsługują?

Ktoś potrzebuje, dajmy na to, zapisać się na wizytę do ambulatorium. Mieszka na jednym końcu miasta, ambulatorium znajduje się na drugim. Człowiek ten telefonuje. Odpowiadają mu opryskliwie, że telefonicznie zapisów się nie przyjmuje. Trzeba zgłosić się osobiście. Dlaczego osobiście? Dlatego, że... i koniec. Słuchawka odłożona.

I oto człowiek ten drałuje na drugi koniec miasta tylko po to, żeby podać swoje nazwisko, dowiedzieć się o datę przyjęcia i natychmiast wracać. A telefon, wielki wynalazek XIX wieku, stworzony właśnie dla ułatwienia ludziom życia, pozostaje nie wykorzystany, bezużyteczny.

Dziwne i zdumiewające zjawisko!

Jakże często spotyka się osoby urzędowe, które jako styl swojej pracy obrały opryskliwość i pozbawioną wszelkich podstaw surowość!

Oto co zdarzyło się kilka dni temu.

Pewna kobieta miała sztuczne poronienie. Po powrocie do domu nagle poczuła się źle, dostała ilnego krwotoku. Był to przypadek bardzo niebezpieczny, wymagający natychmiastowej operacji.

Kobietę przewieziono do szpitala.

Ale tutaj, zamiast oddać ją natychmiast w ręce chirurga, posadzono ją w poczekalni i kazano czekać w kolejce bynajmniej nie do stołu operacyjnego, tylko do stołu kancelaryjnego, gdzie wypełnia się kwestionariusze. Nadaremnie zwracano uwagę dyżurnemu, że z chorej uchodzi krew, że ankietę można wypełnić później, że nie pora teraz na szczegóły ewidencyjne.

Nic nie pomogło.

Dyżurny nie odstąpił od przyjętej formy, zapisywał interesantów w kolejności, nie zastanawiając się, że ostatnie ogniwo tego żywego łańcucha jest już na pół żywe. Kiedy przyszła kolej na nieszczęsną kobietę, wtedy także nie odstąpiono od reguły. Sprawdzano dokumenty, wypełniano poszczególne rubryki - wiek, wykształcenie, narodowość (narodowość jest niesłychanie ważna w takim momencie, zwłaszcza w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich!).

Kiedy wreszcie zabrano kobietę na salę operacyjną, cała ławka, na której siedziała, i podłoga dokoła uły zbroczone krwią. Czy dobrze postąpiono?

Reasumując: kiedy trzeba było wybierać między człowiekiem a formą, wybrano formę, strywalizowano ją i wypaczono jej sens. Bo rzeczywiście, jak można bez zwłoki operować kobietę, skoro nie wiadomo, gdzie ona pracuje: w zjednoczeniu czy w zrzeszeniu, albo ilu ma krewnych, w jakim są wieku i do jakiej płci mają zaszczyt należeć.

O ile można by usprawiedliwić taką chorobliwą ciekawość w stosunku do człowieka z niegroźnym opniem na placu, o tyle nie można pojąć, jak mógł ów dyżurny zmuszać kobietę, której życie znajdowało się w niebezpieczeństwie, do udziału w jego statystycznych wyczynach.

Kto wyhodował ten bezduszny pień? Jak mogły przyjąć się w zakładach leczniczych takie bezduszne obyczaje, mające jakiś sens jedynie przy przesłuchaniu w wydziale śledczym? W szpitalnych regulaminach wewnętrznych, poza wszystkimi przepisami, rozumie się, sama przez się, rzecz najważniejsza - serdeczny stosunek do człowieka. To jest właściwy sens wszelkich przepisów w radzieckim rozumieniu!

Żeby skończyć z dziedziną medycyny, warto powiedzieć kilka cierpkich słów o zakładach położniczych.

Chętnie chciałoby się wierzyć, że w tych zakładach jest nienagannie czysto, że pracowite sprzątaczkі pilnie uganiają się za każdym pyłkiem, że pracują tam lekarze-wirtuozi, że niedoświadczonym praktykantom nie pozwala się przyjmować porodów bez nadzoru, że bielizna pościelowa jest olśniewająco biała, że położnice dostają smaczne i zdrowe posiłki i że naprawdę nie ma potrzeby przynosić im żywności z domu, że Ludowy Komisariat Zdrowia przeprowadza od czasu do czasu inspekcje w zakładach położniczych i bezpośrednio interesuje się wszystkimi szczegółami dotyczącymi tych placówek.

Tymczasem istnieją co do tego zastrzeżenia.

W poczekalniach zakładów położniczych tłoczą się szczęśliwi ojcowie. Twarze mają blade i znękanе.

Zdenerwowani i niespokojni biegną za każdym człowiekiem w białym kitlu. Ci dziwacy chcą wiedzieć, jak się miewa ukochana żona, czy noworodek zaczął już ssać, czy matce lub dziecku nie grozi jakieś niebezpieczeństwo.

Ale człowiek w białym kitlu przeważnie nie daje na to odpowiedzi. Najbliższa rodzina nie może uzyskać żadnych informacji, a już mowy nie ma o jakichkolwiek odwiedzinach. Sprawa jest ostawiona z dotkliwą surowością. Żadnych jakichś tam uczuciowych fanaberii! Stosunek do świeżoupieczonego ojca jest bezwzględny i obojętny, jak gdyby nie był mężem i ojcem. „Gdyby zaszły jakieś komplikacje u pacjentki, wtedy zawiadomimy, a skoro nie zawiadamiamy, to znaczy, że wszystko jest w porządku”.

Jakie to niepojęte, niewiarogodne, przykre!

W rodzinie zdarzyło się coś ważnego. Przyszło na świat dziecko. Ojciec tego dziecka to nie jakaś tam jednostka statystyczna, tylko żywy, nie pozbawiony uczuć człowiek. Może nawet jego pytania wydają się naiwne i natrętne, ale trzeba na nie dać odpowiedzi. Przecież jest on w najwyższym stopniu zdenerwowany, niemal chory z niepokoju. Trzeba go uspokoić, przemówić do niego, wytłumaczyć mu.

Czy tak trudno wydobyć z siebie proste, ludzkie zdanie:

- Wszystko w porządku, towarzyszu. Żona kazała pana pozdrowić. Czuje się doskonale. Temperatura trzydzieści sześć i osiem. Poród? Nie, wcale nie był ciężki, taki sobie, średni. Ale za to chłopak się udał nad podziw, pierwsza klasa! Ssie, aż miło.

Zareczamy, że na zielonym obliczu rodzica rozleje się tkliwy uśmiech. A jeśli w dodatku, dla dodania otuchy, poklepać go po ramieniu, to wyskoczy z poczekalni nieprzytomny z radości i zachłystując się, będzie przekonywał wszystkich znajomych, że takich genialnych ginekologów, jak w Zakładzie

Położniczym Nr 68 w Krzywosobaczym Zaułku, nie ma nigdzie na świecie.

Takie to proste, takie łatwe! Odrobinę serca, tego serca, które w danym wypadku jest pojęciem abstrakcyjnym i nienaukowym. Trudno, nienaukowym, ale potrzebnym.

Zauważyliście pewnie, że jeśli urzędowy pień może wykorzystać swoje stanowisko, aby utrudnić wam życie lub zrobić przykrość, to robi to niemal zawsze. W dodatku zupełnie nie wiadomo dlaczego, gdyż interes powierzonych mu spraw wymaga czegoś wręcz przeciwnego, mianowicie - żeby był grzeczny, uprzejmy, a nawet miły.

Zbudowano wielki nowy dom. Budowano go długo, starannie, zainstalowano w mieszkaniach wszelkie nowoczesne udogodnienia, nie zapomniano też o wyglądzie zewnętrznym, ozdobiono fasadę niezliczoną ilością kolumn i płaskorzeźb. Fotografie owego domu zamieszczano w gazetach. Oddanie go do użytku nastąpiło z wielką pompą. Dom istotnie był wspaniały.

Kiedy ostatnia ciężarówka wywiozła z podwórza resztę gruzu, budynek przejął Zarząd Budynków.

Przejął i natychmiast zabił brudnymi deskami szerokie, oszklone główne wejście i przylepił klejem z mąki obwieszczenie, na którym przeraźliwymi fioletowymi kulfonami było wypisane:

„Front zamknięty. Wejście od podwórza”

W tych ponurych gryzmołach czuło się gorliwość kretyna, który kaligrafował te słowa z wysuniętym grubym językiem i z głową podpartą kułakiem.

Czy warto było budować piękne wejście z mrożonymi szybami, aby napisać na nim, że wejścia tędy nie ma i że do domu trzeba iść przez podwórze? A podwórko, jak podwórko. Ogół go nie widzi, ani fotografii podwojek w gazetach się nie umieszcza. Toteż lokatorzy będą przez parę lat potykać się o wyrzucony przez kogoś kubeł po wapnie, wpadać w dziury i walić głową o niski strop kuchennych schodów.

Takich Zarządów jest więcej. Zabijanie drzwi przechodzi wprost w manię. To samo robi się często w teatrach, w domach towarowych, a także w urzędach, gdzie przewijają się tysiące ludzi, to znaczy właśnie tam, gdzie drzwi są jak najbardziej potrzebne i gdzie przeczorny architekt starał się umieścić ich jak najwięcej.

Ludzie tego pokroju mają jeszcze jedno ulubione zajęcie. Mianowicie - stawianie parkanów.

Bóg raczy wiedzieć, kiedy w danym miejscu będzie się tam coś budowało, ale parkan już stoi, zagarniając część chodnika i spychając przechodniów na jezdnię pod koła samochodów.

Z miłości do budownictwa przechodzień zgodzi się na wszelkie niewygodny. Ale jeśli za płotem czasem nawet po upływie roku nic się jeszcze nie buduje, jeśli dopiero toczą się tytaniczne walki o teren między Spółdzielnią Mieszkaniową Barytonów a Związkiem Głuchoniemych, to przechodniowi robi się przykro. Zwłaszcza że w odpowiedzi na swoje skargi słyszy ordynarne i głupie frazesy, które stały się znamię wszystkich głuchych pni, uważających się za dygnitarzy:

- Nie szkodzi, i tak przejdziecie!
- Jak postawili płot, to znaczy, że jest potrzebny!
- Patrzcie go, jaki to wygodnicki! Wygód mu się zachciewa!

Jeśli otrzymujecie jakieś wezwanie lub zawiadomienie, to bez względu na jego treść, choćby to było zaproszenie na dyskusję o architekturze, albo wręcz na wieczorek taneczny,

możecie być pewni, że na końcu znajdziecie dopisek: „Obecność obowiązkowa. Za nieprzybycie grozi to, tamto i owo”.

Oczywiście „to, tamto i owo” nie jest takie straszne, dajmy na to, nie zaproszą was więcej na tańce, ale mimo wszystko nieprzyjemnie to czytać. Słyszysz się od razu głos zwierzchnika, widzi się surowo zmarszczone brwi i świdrujące oczy.

Pień przejawia surowość tam, gdzie wystarczyłaby zwykła rzeczowość, bezwzględność tam, gdzie potrzebna jest wyrozumiałość, i lekceważenie tam, gdzie potrzebne jest poszanowanie dla obywatela socjalistycznego państwa. Najłatwiej potraktować petenta jak osobnika podejrzanego, omotać go jaknajwiększą ilością wszelkich możliwych formalności i odpowiedzialność za swoją złą pracę zrzucić na niego. Że niby petent jest niezdyscyplinowany, me chce się trzymać przepisów i w ogóle utrudnia pracę.

Spotykamy się z tym nie tylko w życiu codziennym, ale również w sztuce.

Kiedy reżyser robi zły film, gdzie wycackani przez dwudziestu konsultantów pozytywni bohaterowie spełniają wyważone na aptekarskiej wadze pozytywne uczynki; gdzie beznamiętni, nierzeczywiści młodzieńcy obojętnie likwidują jakiś tam sabotaż i niemrawo osiągają przepisowe zwycięstwo, a publiczność z uporem na ten film nie chce chodzić, wtedy zarówno reżyser, jak dyrekcja podnoszą ielki krzyk.

- Widzicie ich, nie chcą chodźć na ideologiczne filmy! A dlaczego? Dlatego, że nasza publiczność jest niewyrobiona, wrogo nastawiona i absolutnie nie zna się na sztuce. Ona by wolała Monti Banksa!

Normalna historia - z punktu widzenia filmowców widz jest podejrzanym. „My jesteśmy w porządku, my jesteśmy utalentowani, tylko widz jest zły, mieszczański i nie na poziomie”.

A tymczasem, jeśli chodzi o „Czapajewa”, to nie wiadomo skąd wzięła się znakomita publiczność.

Miliony widzów całkowicie dojrzałych, wyrobionych ideologicznie, znakomicie znających się na sztuce, rewolucyjnych w duszy i radzieckich we wszystkich swoich poczynaniach.

A to są przecież ci sami ludzie, którzy protestują przeciwko bezdusznym pniom wypaczającym radzieckie prawa i tradycje, protestują przeciwko ich złośliwym, wstrętnym i dokuczliwym ukąszeniom.

Poczucie miary

Im bardziej kraj nasz zbliża się do urzeczywistnienia owego marzenia, które od wieków nie dawało ludzkości spokoju, im wyraźniej zarysowują się wspaniałe kształty nowego społeczeństwa, im lepiej zaczynamy pojmować, jakie osiągnęliśmy wyżyny, jakie przezwyciężyliśmy przeszkody, jak bliskie są olśniewające szczyty socjalizmu, tym większe są wymagania ludzi wobec siebie samych, tym bardziej zaostrza się ich wzrok i słuch, tym bardziej odpowiedzialna staje się praca każdego poszczególnego człowieka - od sprzątaczk metro, która ugania się za każdym pyłkiem kurzu, aż do dyrektora zakładów metalurgicznych, kierującego dziesiątkami tysięcy robotników i setkami inżynierów. I

tym bardziej nieznosne staje się każde uchybienie, tym bardziej drażni każda niedoręczność.

Tak, na przykład, jest nie do zniesienia, niemal fizyczne cierpienie sprawia widok idioty i jego kretyńskich poczyną. Tego rodzaju uczucie jest niewątpliwie powszechnie znane.

Jeśli uważnie spojrzeć na większość tak zwanych bzdurnych spraw, z którymi spotykamy się w życiu codziennym lub o których czytamy w prasie, to widzi się nader delikatną, prawie nieuchwytną zbieżność między nimi. Wszystkie są wywołane tą samą przyczyną - brakiem poczucia miary.

Dajmy na to towarzysz Iks, na ogół niezły człowiek i pracownik, popełnił czyn do pewnego stopnia niespołeczny. Czyn ten polegał na tym, że na wieczornicy w swoim zakładzie pracy Iks trochę za dużo wypił, nadział palto tyłem do przodu i położył się na środku sali, przeszkadzając swoim kolegom tudzież ich rodzinom tańczyć wschodnie i zachodnie tańce. Iksa usunięto z sali.

Nazajutrz w gazetce ściennej pojawiła się wzmianka słusznie potępiająca towarzysza Iksa za nieodpowiednie zachowanie się i używająca go do zaniechania na przyszłość tego rodzaju wybryków.

Iks był szczerze zmartwiony i bardzo żałował tego, co zaszło.

Tymczasem tego samego dnia zwołano nadzwyczajne zebranie, na którym Iksa z całą surowością napiętnowano. Jeden z mówców posunął się do tego, że nazwał postępек Iksa odchyleniem. Jakim odchyleniem i w którą stronę - tego wyraźnie nie określił.

W każdym razie jakaś tam komisja kulturalna na wszelki wypadek odebrała Iksowi skierowanie na wczasy, którego nie zdążył jeszcze wykorzystać.

Dyrektor zakładu pracy również wyciągnął konsekwencje w stosunku do sromotnie skompromitowanego pracownika i zwolnił go ze stanowiska.

Żona opuściła napiętnowanego Iksa, zabrała dzieci i wyjechała do rodziców, zaś administracja domu zaczęła pobierać od niego komorne w takiej wysokości, jak od osób uprawiających wolne zawody.

Następnie zjawił się monter i bez słowa zabrał aparat telefoniczny. Już sąsiedzi zaczęli napomyskać o tym, że należałoby wysiedlić z domu wroga ludu, a im oddać zwolnioną powierzchnię mieszkalną, gdy nagle z prokuratury rozległ się głos rozsądku:

- Czyście powariowali, towarzysze? Czy można w ten sposób postępować z człowiekiem?

I zaczął się wielki odwrót. Wszyscy przegięli pałkę w drugą stronę.

Głos rozległ się o godzinie dziesiątej minut czterdzieści pięć, a już o jedenastej zjawił się monter, bez słowa zawiesił telefon na poprzednim miejscu i jeszcze dodał zapasowe gniazdko, którego przedtem nie było. Następnie zjawiła się żona wiodąc przed sobą dzieci. Miała taką minę, jakby tylko na chwilę wyszła po zakupy. Tego samego dnia Iksa przyjęto z powrotem do pracy, zapłacono mu za przymusowy przestój i nie wiedzieć dlaczego dodano jeszcze premię w postaci pary kamaszy. W zamian za stracone skierowanie Iks otrzymał inne, bezpłatne, na dwa miesiące. Rada Zakładowa - urządziła na cześć Iksa bankiet, podczas którego wychwalano na wszelkie możliwe sposoby jego wieloletnią pożyteczną działalność, a także nienaganne sprawowanie się. Co do gazetki ściennej, to jej redaktor dostał surową naganę za to, że oczernił towarzysza Iksa.

W ten sposób zaczęła się nowa bzdura i znowu ucierpiał niewinny człowiek. Przecież gazetka ścienna miała rację, kiedy potępiła Iksa za nieodpowiedzialny wybryk. Tymczasem w bezmyślnym pędzie do naprawienia błędu, z wielkim hałasem zrobiono nowe przegięcie.

Cała ta historia jest zmyślona i żartobliwa, ale czy tak bardzo nieprawdopodobna? Czy nie zdarzają się takie historie, które przez brak poczucia miary prowadzą do nieprawdopodobnych idiotyzmów?

Osiemnasta szkoła średnia w Irkucku przygotowywała się do udziału w pochodzie pierwszomajowym.

Był tam stary nauczyciel Tkaczenko, znany jako najlepszy pedagog i działacz społeczny. Tkaczenko był trzykrotnie nagrodzony za wzorowe prowadzenie kółka modelarzy szybowcowych. Całym sercem i z wielką pieczołowitością przygotowywał uczniów do pierwszomajowych uroczystości. Sam zaprojektował i wykonał gigantyczny globus z papieru, który zamierzano wypuścić nad placem defilady.

Wszystko zapowiadało się jak najlepiej. Tkaczenko siedł w kolumnie w otoczeniu uczniów i kolegów- nauczycieli. Wszyscy byli weseli, nieśli globus, śpiewali a starali się maszerować w nogę. Szczęśliwy to był dzień.

Nagle do kolumny drobnym kłusem podbiegł instruktor grupy, Sieldiszczew. Był błady i już z daleka machał rękami. Widocznie zamierzał oznajmić jakąś nadzwyczajną instrukcję. Śpiew ucichł, globus przestał się obracać i cała szkoła stanęła w miejscu.

Instruktor skierował się wprost do nauczyciela Tkaczenko i z całą stanowczością kazał mu opuścić kolumnę.

- Na osobiste polecenie towarzysza Basowa, kierownika Krajowego Wydziału Oświaty Ludowej - oznajmił instruktor.

- Ale dlaczego?

- Dlatego, że jesteście w zimowej odzieży.

- Przecież dziś jest zimno.

- Proszę wykonać rozkaz, towarzyszu.

- Ale to jest, bądź co bądź, Irkuck, a nie Jałta.

- Proszę wykonać rozkaz, towarzyszu!

- Przecież ja jestem człowiek starszy, stan zdrowia nie pozwala mi chodzić w koszulce i w białych spodniach.

- Proszę wykonać rozkaz, towarzyszu!

- Kolumna ruszyła, a poważny nauczyciel został.

W mgnieniu oka, z poważnego członka kolektywu stał się jednostką podejrzaną, czymś w rodzaju prywatnego przedsiębiorcy albo zdemaskowanego wewnętrznego emigranta. Ze smutkiem patrzył na oddalający się globus, który jeszcze wczoraj osobiście kleił. Pomyślał chwilę i ruszył do domu.

Idiotyzm tego incydentu jest dostatecznie wyraźny; Nie wymaga żadnych dodatkowych komentarzy.

O wiele bardziej interesujące są przyczyny, które do tego rodzaju historii doprowadziły.

Niewątpliwie każdy pragnie, ażeby defilada pierwszomajowa miała jak najbardziej odświętny wygląd, żeby wszyscy uczestnicy byli ubrani na jasno. Ale każde dobre zamierzenie można zepsuć i zniweczyć.

Kierownik Krajowego Wydziału Oświaty Ludowej w pełni tego dopiął znieważając i hańbiąc zasłużonego pedagoga. Wolał ładny wygląd niż zdrowy rozsądek.

Całe szczęście, że Basów nie kieruje oświatą na wyspie Dikson. Tam musiałby rozpędzić cały pochód pierwszomajowy. Bowiem, jak donosi korespondent „Prawdy” na wyspie Dikson obchodzono uroczystości pierwszomajowe w jelenich szubach i w futrzanych butach. Tego by Basow absolutnie nie zniósł. Radosne święto pracy i wiosny -- a tu jakieś futra! W- trykotowych koszulkach, towarzysze!

W krótkich spodenkach! W sandałkach! Co to za porządki?!

Bardzo groźnie przedstawia się w Irkucku sytuacja oświaty ludowej, skoro kieruje nią człowiek niezrównoważony i wyraźnie pozbawiony poczucia miary.

Basow na pewno będzie się tłumaczył tym, że otrzymał polecenie, aby szkoły wystąpiły w letniej odzieży. No cóż, takie rozsądne rozporządzenie mogło mieć miejsce. Ale każde polecenie jest wydawane w tym przeświadczeniu, że będzie je wykonywał człowiek z głową na karku.

Nie można przecież każdego polecenia, rozporządzenia czy instrukcji opatrywać tysiącem komentarzy, aby ludzie w rodzaju Basowa nie narobili głupstw.

Wtedy bowiem, zwyczajne zarządzenie, zakazujące, dajmy na to, przewozu tramwajami żywych prosiąt, musiałyby wyglądać następująco:

1.a)a)b)c)d)e)f)Zabrania się pod karą grzywny przewozić w wozach tramwajowych żywe prosięta.

Jednakże przy ściąganiu grzywny nie należy właścicieli prosiąt: szarpać za klapy, nazywać łobuzami, wyrzucać w biegu z tramwaju pod koła przejeżdżającej ciężarówki, nie należy przyrównywać ich do złośliwych chuliganów, bandytów i defraudantów, niniejszego rozporządzenia nie należy w żadnym wypadku stosować do obywateli, którzy przewożą niemowlęta lub dzieci do lat trzech, nie należy rozciągać niniejszego zakazu na osoby w ogóle prosiąt nie posiadające, a także na młodzież szkolną, śpiewającą na ulicach pieśni rewolucyjne.

I tak dalej. Pisać można w nieskończoność, gdyż nie jest się w stanie przewidzieć wszystkiego, do czego jest zdolny rozjuszony biurokrata.

Istnieje taka niesłychanie pożyteczna rzecz, jak agro-minimum. Otóż Rejonowy Komitet Wykonawczy w miejscowości Kant w Kirgiskiej SRR nawet do całkiem prostego i skądinąd słusznego zarządzenia wydanego po tej linii potrafił wnieść nutę hysterii. W punkcie trzecim rozdziału ósmego czytamy:

„Przeprowadzić akcję wytępienia wróbli oraz gawronów, poczynając od likwidacji gniazd”

Punkt ten właściwie niczym nie grozi ludności okręgu Kant. Natomiast punkt dziewiąty tegoż rozdziału już budzi niepokój:

„Osoby winne naruszenia niniejszego zarządzenia podlegają odpowiedzialności w trybie administracyjnym w postaci: grzywny do stu rubli lub pracy przymusowej na okres do jednego miesiąca, a w wypadkach szczególnie złośliwych mogą być pociągnięte do odpowiedzialności karnej na podstawie dekretu Rządu z dnia 7 sierpnia 1932 r., mówiącego o grabieży dobra społecznego”

Przepraszam! Za nietępienie wróbli grozi taka sama odpowiedzialność jak za grabież dobra społecznego?

Cóż to za brednia! W takim razie równie dobrze za nieniszczenie wróbli oraz ich gniazd można stosować takie kary, jak za napad bandycki, za kradzież z włamaniem lub za podrabianie pieniędzy.

Dekret z dnia 7 sierpnia jest dekretem nader poważnym, ale absolutnie nie dotyczy pospolitych wróbli, tylko ptaszków całkiem innego pokroju. Czy nawet ten historyczny dekret trzeba opatrzyć specjalnymi komentarzami w rodzaju tramwajowego przepisu o prosiętach, aby władze w Kant mogły go należycie rozumieć?

Zapytacie, jaka jest zbieżność pomiędzy historią nauczyciela Tkaczenko a sprawą tępienia wróbli? Jaki związek mają obie te sprawy ze sprawą studenta Swieranowskiego skazanego za kłótnię w tramwaju na dwa lata więzienia, lub z wypadkiem w szkole im. Sidorenki, gdzie w trosce o moralność młodzieży szkolnej (zagadnienie ważne i aktualne) posunięto się do zupełnej bredni: zaczęto przesłuchiwać wszystkich po kolei uczniów „na okoliczność ustalenia niewinności”?

Otóż jest zbieżność. We wszystkich tych sprawach działali ludzie pozbawieni poczucia miary, sprowadzający każdą rzecz do absurdu.

Uroczystość Pierwszego Maja - to wspaniała uroczystość.

Dekret z dnia 7 sierpnia - to niesłuchanie ważny akt prawny.

Walka z chuligaństwem - ogromnie aktualny problem.

Troska o moralność młodzieży szkolnej - to najważniejsze zadanie pedagoga.

A co z tego zrobili ludzie?

W trosce o piękny wygląd uroczystości skrzywdzili nauczyciela. Ustawę o trwonieniu dobra społecznego usiłują stosować w idiotyczny sposób. Walkę z chuligaństwem dyskredytują przez niesprawiedliwy wyrok. A w trosce o moralność posunęli się do niemoralnego, obrzydliwego czynu.

A wszystko to wypływa bynajmniej nie z nadmiaru gorliwości, nie z zapału do pracy, lecz z chęci wykręcenia się za wszelką cenę od pracy, uniknięcia żelaznej konieczności zastanawiania się nad tym, co się robi.

Pod pozorami energicznej działalności kryje się tu głęboka bierność, szczególnie niezdolna obecnie, w okresie wspaniałego rozkwitu wszelkich produkcyjnych oraz intelektualnych sił naszego kraju.

Starcy

„W wielkiej rozterce zwraca się do was człowiek stary i od dawna ciężko chory.

Moje obawy są na tyle słuszne, że lepiej im z góry zapobiec.

Już dziesiąty rok jestem udziałowcem spółdzielni mieszkaniowej im. Dzierżyńskiego
- ul. Sadowa-

Ziemia 37/1. Wpłaciłem dwa tysiące sto pięćdziesiąt rubli, czyli o tysiąc rubli więcej, niż wynosi pełny udział.

Jestem pracownikiem transportu od 1900 roku. Za czasów władzy radzieckiej przeszło dziesięć lat byłem naczelnikiem eksploatacji i naczelnikiem dróg, w tym cztery lata na drogach frontu. Obecnie doszedłem do stanu całkowitego inwalidztwa. Stan mego zdrowia pogarsza się wskutek bardzo złych warunków życiowych - na dziewiętnastu metrach kwadratowych 6 osób prawie sobie obcych. Z racji mojego stażu oraz ilości udziałów posiadam wszelkie przywileje. Upřednia praca jeszcze moje prawa umacnia.

Obecnie spółdzielnia rozdziela mieszkania. Wprawdzie obiecują mi, że dostanę, ale mówią to jakoś niekonkretnie, czysto formalnie, tak że tracę wszelką nadzieję. Ze względu na stan zdrowia) nie mam siły wciąż jeździć i upominać się o swoje bezsporne prawa. Ludzie młodszy już teraz otrzymują mieszkania.

Pomyślcie! Dziesięć lat czekać zdając sobie sprawę, że w nowych warunkach mieszkaniowych pożyję jeszcze pięć, sześć lat, do chwili, kiedy mój trzynastoletni syn stanie na nogi - i nie dostać!

Cierpię na dwa rodzaje astmy, prawie nie mogę chodzić. Żeby się lepiej zabezpieczyć, proszę o mieszkanie dwuizbowe zamiast trzyizbowego, ale koniecznie osobne.

Sądzę, że obok mojego czysto osobistego zainteresowania, sprawa ta posiada szersze znaczenie społeczne.

Pozostaję z nadzieją

B.I. Grigorowicz”

Oto list człowieka, któremu dzieje się krzywda tylko dlatego, że jest stary i chory.

Należy przypuszczać, że zarząd spółdzielni będzie tym poruszony, a nawet wstrząśnięty i z godnością wykrzyknie:

- Przyjaciele! Po co tyle hałasu? Czy my byśmy nie dali mieszkania? Dalibyśmy! Niepotrzebnie się ten

Grigorowicz denerwuje i ucieka się do takich potężnych środków jak prasa!

A nam się wydaje, że Grigorowicz, pomimo utraty zdolności do pracy, nie stracił jeszcze zdolności orientowania się w sytuacji. Zresztą dziesięć lat bezpłodnego przebywania w zgranych szeregach spółdzielni mieszkaniowej wiele go nauczyło. Staruszek nabył wielkiego doświadczenia i doskonale się orientuje, jak na ogół wygląda rozdział mieszkań.

Zwyczaj jest taki: naprzód, pod osłoną nocy, do nowego domu sprowadza się prezes zarządu; administrator i nocni dozorczy pośpiesznie wnoszą jego rzeczy. Za prezesem, oczywiście, wprowadza się jego zastępcę, po czym, naturalnie, pozostali członkowie zarządu: ci mkną szybkimi ciężarówkami, z których na wszystkie strony sterczą materace i fikusy. O świcie, użerając się między sobą, wprowadzają się członkowie komisji rewizyjnej, ci główni bojownicy o sprawiedliwość. I zwykle nad ranem dom, w którym jeszcze nie wszędzie są szyby i podłogi, jest już zamieszkały. W tym stanie rzeczy można biegać, dochodzić sprawiedliwości, prawować się. Nic już nie pomoże - na wszystko za późno!

Mówcie, co chcecie, ale środki zapobiegawcze towarzysza Grigorowicza mają swój sens.

Cała sprawa byłaby dla niego znacznie łatwiejsza, gdyby pracował nadal jako naczelnik dróg. Ale obecnie jest to schorowany starzec, ledwie chodzi, nie może krzyczyć i żądać, nie jest w stanie nawet przychodzić i upominać się o swoje bezsporne prawa. A jeśli człowiek nie przychodzi i nie robi awantur, to czy warto zwracać na niego uwagę?

Czy warto martwić się o to, jak spędzi ostatnie lata życia, czy spędzi je w błogim spokoju, w radosnej świadomości, że jego życie nie poszło na marne, że jest otoczony troskliwością i szacunkiem społeczeństwa?

Niestety, nie widać w tym wypadku szacunku dla starości.

A oto druga historia, istny wieloaktowy dramat.

Osoby:

Doktor Berdiczewski - przodownik pracy, emeryt, wiek 76 lat.

Jego żona - 75 lat.

Martiniuk - sekretarz Rejonowego Komitetu Wykonawczego, człowiek krzepki, energiczny, tryskający drowiem, pełen młodzieńczej werwy.

Miejsce akcji - Bierdiańsk.

Czas akcji - niestety, czasy dzisiejsze.

Doktor Berdiczewski przez pięćdziesiąt jeden lat leczył ludzi; od czterdziestu dwóch lat mieszka w

Bierdiańsku; od trzydziestu lat zajmuje mieszkanie przy ulicy Republiki. Aby zapewnić staruszkowi spokój, Rejonowy Komitet Wykonawczy niezmiennie odpierał wszelkie zamachy na jego przestrzeń mieszkalną. Wreszcie jednak w zeszłym roku, na podstawie orzeczenia sądu doktorowi z pięcioizbowego mieszkania odebrano trzy izby i do tych trzech izb z hukiem i stukiem wprowadził się -

Martiniuk. Czy warto wspominać o tym, że meble doktora, trzydzieści lat nie ruszane z miejsca, na żądanie komornika musiały być usunięte w ciągu dwudziestu czterech godzin? Bezradni staruszkowie porozwozili meble po znajomych, powynosili na strych, poupychali w łazience. W zamieszaniu wiele przedmiotów ucierpiało.

Po zajęciu mieszkania dzielny Martiniuk na wstępie zabronił pomocnicy doktora przechodzić przez korytarz prowadzący na kuchenne schody. Z tego powodu trzeba było trzymać opał u znajomych na sąsiedniej ulicy i codziennie nosić go kubłami. Martiniuk odgrodził sobie część wspólnego korytarza i dopiero po długich molestowaniach zainstalował małe, wąskie drzwiczki, które jako dobry gospodarz zawsze trzyma zamknięte. A tymczasem, żeby się dostać do ubikacji, trzeba przejść przez te drzwiczki.

Za każdym razem trzeba stukać. Czasami nawet długo. Czasami w ogóle nikt nie otwiera. Pewnego razu zastukał do tych drzwiczek jeden z gości doktora.

- Kto tam? - spytano.
- Gość doktora, który musi skorzystać z ubikacji - brzmiała lakoniczna odpowiedź.
- Nie pozwalam! - brzmiała równie lakoniczna decyzja.

Czy można w ten sposób znęcać się nad starymi ludźmi, zatruwać im życie, zabierać im pokoje, instalować jakieś głupie drzwiczki? Czyż taki osobnik jak Martiniuk może reprezentować władzę radziecką w Bierdiańsku? Przecież to niedorzeczność!

Zastanówcie się tylko! Stary, zasłużony człowiek, od pół wieku leczący ludzi, człowiek, którym miasto

Bierdiańsk może się tylko szczycić, nagle u schyłku życia staje przed zamkniętymi przez Martiniuka drzwiczkami, musi słuchać zuchwałego żądania w rodzaju: „w ciągu dwudziestu czterech godzin!” i staje się niepożądaną osobą w swoim własnym mieszkaniu.

Dziwny to sposób uczczenia pięćdziesięcioletniej działalności przodownika pracy!

Oczywiście doktor chodził do tak zwanych instancji, skarżył się, prosił. Ale co może zdziałać taki siedemdziesięciosześcioletni starzec! Wiele nie wskóra. A w takich sprawach jak odzyskanie praw kwaterunkowych potrzebna jest atletyczna budowa, zdrowe serce, wspaniałe płuca i dwa lata czasu.

Tam gdzie człowiek młody mógłby w krótkim czasie uzyskać sprawiedliwość, tam stary człowiek musi ustąpić.

Nikt się za doktorem nie ujął. Ale nie tylko dlatego, że nie dość głośno się skarżył. Istnieje jeszcze inna okoliczność, trzeba przyznać, bardzo przykra. Kiedy doktor był w pełni sił i przydatności, wtedy się o niego troszczono. A teraz zestarzał się i bezpośredniego pożytku już nie przynosi, natomiast o tym, ile korzyści dało jego długie, pracowite życie, szybko zapomniano. I oto stary człowiek nie ma szczęśliwej starości, na którą zasłużył.

A przecież właśnie u nas istnieją takie przepisy, takie prawa socjalne dla starych ludzi, jakich nie ma nigdzie. Ale jak się je realizuje? Ludowy Komisariat Ubezpieczeń Społecznych uważa naturalnie, że spełnia swój obowiązek, skoro punktualnie wypłaca doktorowi Berdiczewskiemu rentę. Ale sprawa polega nie tylko na wypłacaniu renty. Funkcje Ludowego Komisariatu Ubezpieczeń Społecznych są daleko szersze. Formy tej pomocy powinny być bardzo różnorodne. Co na przykład Komisariat

Ubezpieczeń Społecznych wie o tysiącach starych mężczyzn i kobiet, o tych wszystkich rencistach niższych rangą od doktora Berdiczewskiego, o tych, co mieszkają we wspólnych mieszkaniach? Czy im tam wygodnie? Czy nie krzywdzą ich administracje domów, czy sąsiedzi, a niekiedy nawet członkowie rodziny, nie zatruwają im życia?

Można zgodzić się z tym, że nasza literatura piękna nie zawsze nadąża za życiem. Zdarzają się jednak pojedyncze sukcesy w tej dziedzinie. Czy Ludowy Komisariat Ubezpieczeń Społecznych zwrócił uwagę, że w felietonach prasowych występuje coraz częściej, może szablonowy, ale bardzo wzruszający typ skrzywdzonej staruszki? Znamienne, że nie jest to typ pioniera ani instruktora sportowego, ani piekarza, ani ślusarza, ani śpiewaka, ani szwaczki, tylko właśnie staruszki. Ścisłe literackie uogólnienie powstałe na tle typowości zjawiska. Możecie być pewni, że gdyby w literaturze zaczął występować typ skrzywdzonego, dajmy ma to, tokarza-metalowca, to Ludowy Komisariat Przemysłu Ciężkiego natychmiast zainteresowałby się źródłem tego literackiego zjawiska. A Ludowy Komisariat

Ubezpieczeń Społecznych i Centralna Rada Związków Zawodowych siedzą cicho jak gdyby nigdy nic, jak gdyby skrzywdzona staruszka albo jakiś tam obijający progi starzec nie mieli z nim nic wspólnego.

Nie, towarzysze, opieka nad starymi ludźmi należy do waszego resortu. A nawet więcej - do naszego wspólnego resortu! Całe społeczeństwo radzieckie powinno opiekować się starymi ludźmi!

W społeczeństwie kapitalistycznym starość jest czymś strasznym. Miliony ludzi żyją tam z tą okropną świadomością, że kiedy przyjdzie starość i zabraknie im sił do pracy, nie znajdą żadnego oparcia, nikt nie będzie miał obowiązku im pomóc. Tam każdy żyje dla siebie. Jeśli ktoś nie uciula sobie pieniędzy na starość, to zginie. Kawałek suchego chleba w przytułku dla starców - to gorsze niż śmierć. Toteż miliony tych ludzi, dopingowanych perspektywą samotności, nędzy i opuszczenia, kiedy będą niedołężni, odmawiają sobie wszystkiego i ciułają pieniądze. Tylko kapitał może im zapewnić spokojną starość.

U nas jest inaczej. Obywatel radziecki nie powinien mieć tego rodzaju zmartwień. U nas starość nie jest zmorą.

Ale ta starość skrupulatnie zabezpieczona prawem radzieckim potrzebuje nie tylko oparcia materialnego, lecz także należytego szacunku ze strony młodszych obywateli.

Przyjdzie tu znowu wymienić dwie organizacje, których nazwy coraz częściej powtarzają się w ostatnich miesiącach - Ludowy Komisarjat Oświaty i Komsomoł.

Czy młodzież szkolna, pionierzy i komsomolcy są wychowywani w duchu szacunku dla starych ludzi?

Czy w programach szkolnych istnieje tego rodzaju zadanie wychowawcze? W każdym razie ulubiony żarcik dorastającego pokolenia: „Tobie, stary, czas już do krematorium”, wcale o tym nie świadczy.

Moc drobnych względów - poczynając od uprzejmego ustąpienia miejsca w metro, a kończąc na przeprowadzeniu przez ruchliwą ulicę - umilą życie starym ludziom.

Szacunek dla starości powinien być wpajany w młodzież równie starannie, jak wiadomości z dziedziny matematyki i geografii.

A zatem, towarzysze, szanujemy starość! Przecież my też będziemy kiedyś starzy!

Zegary i ludzie

Zaraz pierwszego dnia po powrocie z Ameryki spotkaliśmy dość znanego działacza na polu gospodarczym. Był to facet do rzeczy. Ani myślał prowadzić jałowych rozmówek, pytać, ile pięter mają nowojorskie drapacze, czy pogoda sprzyjała nam w podróży i czy bardzo kołysało na oceanie.

Nic z tych rzeczy, tylko, jak to się mówi, od razu złapał byka za rogi.

- Do licha, to wyście teraz Amerykanie. Na pewno widzieliście mnóstwo ciekawych i pożytecznych rzeczy z naszej branży.

Jego branża to był handel, więc odrzekliśmy, że istotnie w dziedzinie handlu coś niecoś się widziało.

Wtedy działacz wyciągnął z teczeki elegancki notesik i wykrzyknął:

- Musicie bezwarunkowo podzielić się z nami swoimi wrażeniami!

Odpowiedzieliśmy, że zamierzamy napisać o Ameryce całą książkę i tam zagadnienia handlu...

- Ech, zanim wy tę książkę napiszecie! A nam to jest teraz potrzebne. My jesteśmy ludzie operatywni.

A zatem, przyjaciele, zapisuję - jutro punkt siódma, albo jeszcze lepiej, punkt ósma zbiorę u siebie dziesięć, albo lepiej dwanaście osób spośród pracowników naszego resortu, kierowników domów towarowych itp., i w towarzyskiej atmosferze opowiecie nam o handlu w Ameryce.

Zgodziliśmy się. Zapisał nasze telefony i adresy.

Jutro punktualnie o siódmej trzydzieści przyjedzie po was samochód. O'kay? Zgoda?

Poczuliśmy się nieco zawstydzeni. Bo, prawdę mówiąc, zamierzaliśmy jeszcze ze trzy dni poproźnować, odpoczywać. Właśnie nazajutrz wybieraliśmy się do znajomych na wieczór, aby trochę pogadać, popłotkować. Trzeba było wszystko odłożyć. Obowiązek przede wszystkim. Nasz handlowiec ma rację.

Po uzyskaniu zgody nasz jankes zniknął - czynny, energiczny, pełen zapału do pracy.

Nazajutrz punktualnie o siódmej trzydzieści samochód nie przyjechał. Nie przyjechał również punkt

ósma. Nie było go także punkt ósma trzydzieści. Jakiś czas czekaliśmy w przedpokoju, w futrach i w czapkach, potem wyszliśmy na ulicę. Może szofer pomylił adres, czy co u licha? Pospacerowaliśmy po ulicy z pół godziny i w strachu wróciliśmy pędem do domu. A nuż w tym czasie, kiedyśmy spacerowali po ulicy, był do nas telefon! Ale nie, domownicy oświadczyli, że żadnego telefonu nie było. Co prawda, punkt jedenastej ktoś telefonował i pytał o jakąś Benuessę Aleksandrownę. Ale to była oczywiście pomyłka. Ktoś pomylił numer telefonu.

Od tego czasu upłynął rok. Zdążyliśmy już napisać, a także wydać grubą książkę o Ameryce, a nasz znajomy z Ludowego Komisariatu Handlu Wewnętrznego do tej pory nie przysłał po nas samochodu i nawet nie zatelefonował.

Za mało w nas poczucia; obowiązku, towarzysze, jeszcze wciąż za mało! Dlaczego niedotrzymywanie słowa, nieustannie, dziesiątki razy dziennie, nie jest u nas uważane za przestępstwo? Nie przyjechał, nie zatelefonował, kazał ludziom czekać trzy godziny, drobiazg, nie o to chodzi! Powiada, że w ważnych sprawach nikogo nie zawiedzie. W ważnych sprawach to on jest jak granit! Oj, nie bardzo chce się wierzyć w ten granit! Człowiek, który nie dotrzymuje słowa w sprawach drobnych, niewątpliwie zdolny jest nie dotrzymać go w sprawie ważnej, może nawet niechcący, po prostu z nawyku.

Z kolei opowiemy kilka „drobiazgów” o pewnym zakładzie przemysłowym, który odwiedziliśmy niedawno. Nie wymieniamy (nazwy tego zakładu, podobnie jak nie wymieniliśmy nazwiska jankesa z

Ludowego Komisariatu Handlu Wewnętrznego, ponieważ zarówno jankes jest na pewno dobrym pracownikiem i niewątpliwym zapalcem, jak i ów zakład jest doskonały, ludzie wytěżają tam wszystkie siły, żeby uczynić go jeszcze doskonalszym.

Weszliśmy do biura przepustek. Nad okienkiem wisiał wielki zegar. Zegar wskazywał kwadrans po dwunastej, chociaż była dopiero za kwadrans jedenasta. Ten najprostszy agregat nie działał i z miejsca pozbawił nas pięknej metafory (którą pieczołowicie z góry obmyśliliśmy), że zakład działa z dokładnością mechanizmu zegarowego. Zmartwieni tym literackim zawodem udaliśmy się do biura zakładowego.

No cóż, zegar - to drobnostka.

Przyjął nas naczelný inżynier. Aczkolwiek dzień pracy zaczął się niedawno, inżynier miał wygląd tak zmęczony, jakby dopiero co przyjechał z Władystoku po spędzeniu dziesięciu dni i nocy w drodze, na twardej ławce, w wagonie bez miejscówek. Szczęki mu drżały nerwowo i natychmiast w swoim gabinecie zażył jakieś lekarstwo. Na, ścianie wisiała szklana tabliczka: „Proszę nie palić i nie pytać o pozwolenie”. To był błagalny jęk o litość! Widocznie, korzystając z łagodności naczelnego inżyniera, nie tylko palono w jego obecności, ale nawet nie pytano o pozwolenie, żeby go na próżno nie denerwować.

Zainteresowała nas tuba telefoniczna na metalowej rozciąganej harmonii, która stała na biurku.

- To jest telefon dyspozycyjny - wyjaśnił naczelnny inżynier. - Bardzo wygodna rzecz. Głos dyspozytora słyszę za pośrednictwem radia, a tubę przyciągam w ten oto sposób do samych ust, tak że nie muszę trzymać słuchawki, ręce mam wolne.

Tu się zresztą wyjaśniło, że to przemysłne urządzenie nie jest inżynierowi właściwie potrzebne, gdyż rozmowy z dyspozytorem prowadzi nader rzadko. Ponadto przyrząd jest zepsuty, a kontakt z dyspozytorem utrzymuje się przez zwykły telefon, ze zwykłą słuchawką, którą po prostu trzeba trzymać w ręku, bez posługiwania się radiem i tymi podobnymi wynalazkami niespokojnego XX wieku. Ale to ostatecznie tylko drobiazgi i nie warto się nad nimi rozwodzić.

W ciągu dwudziestu minut naczelnny inżynier bardzo jasno i dokładnie opowiedział nam o pracy i reorganizacji zakładu. Mogliśmy od razu iść zwiedzać hale fabryczne, ale wtedy okazało się, że nie ma tego człowieka, który podjął się nas oprowadzać. Zanim znaleziono zastępcę, upłynęło jeszcze czterdzieści minut. Przez te czterdzieści minut mogliśmy już nie zabierać czasu naczelnemu inżynierowi i poczekać gdziekolwiek, w korytarzu na kanapce. Ale on przez grzeczność zatrzymywał nas u siebie.

Co tam, stracone czterdzieści minut to przecież głupstwo, drobnostka.

Mimo wszystko wyszliśmy na korytarz. Był to normalny biurowy ciemnawy korytarz. Kręciły się po nim beczynn timer liczne sprzątaczkimer w ogromnych walonkach i zawadiacko nasadzonych beretach, spod których wyglądały kokieterijne grzywki. Długo krążyły obok nas groźne i uzbrojone w szczotki.

Korytarz był niby to czysty, a równocześnie brudny. Trudno to określić. Była to czystość prowincjonalnego hotelu pośpiesznie przygotowana na przyjazd prezesa Obwodowego Komitetu

Wykonawczego, pozory czystości, a właściwie brud zasmarowany olejną farbą.

Na ścianach korytarza wisało mnóstwo czarnych szklanych tabliczek, a na nich złotymi literami było wypisane: „Szanujcie pracę sprzątarek”. Szyby w oknach były mimo to brudne, a lokal źle przewietrzony.

Zresztą, brudne szyby to nieważne.

Unosząc w sercu gorące uczucia szacunku dla sprzątarek, poszliśmy zwiedzać zakład.

Mimo iż zakład znajdował się w stanie przebudowy, co pociąga za sobą zrozumiałe utrudnienia w pracy, sprawiał wspaniałe, niezatarte wrażenie. W jego wielkich jasnych halach, wyposażonych w ultranowoczesny sprzęt techniczny, zapomnieliśmy o zepsutym zegarze i o urzędowej formule:

„Szanujcie pracę sprzątarek, dbajcie o czystość”. Zobaczyliśmy owoce wielkiego zwycięstwa.

Ale to, co robiło największe wrażenie, to nie były maszyny, tylko ludzie. Po zakładach Forda w

Dirborne, gdzie technika unicestwia człowieka, gdzie robotnicy przykuci do warsztatu lub taśmy robią wrażenie ludzi bardzo nieszczęśliwych, trafiliśmy jakby na inną planetę. Zobaczyliśmy młodych robotników, zdrowych, wesołych, pochłoniętych swoją pracą, zdyscyplinowanych, życzliwie usposobionych do swoich zwierzchników. Oczywiście tę różnicę uświadamialiśmy sobie już przedtem, ale jakoś abstrakcyjnie. A teraz, pod świeżym jeszcze wrażeniem tego, co widzieliśmy w Ameryce, ten kontrast był zachwycający, napawał niezaprzeczoną wiarą, że wszystko przezwyciężymy, że wszystko będzie dobrze i że nie może być inaczej.

Uczucie optymizmu wywołane wizytą w zakładzie pozwala nam całkiem otwarcie wrócić do tych zastrzeżeń, które nie opuszczały nas w biurze przepustek, w gabinetach i korytarzach biur - że w pracy wciąż jeszcze wykazujemy za mało sprawności, za mało precyzji.

Raptem w jakiejś hali załamało się wspaniałe tempo pracy. Co się stało? Zabrakło jakiejś części. Małe zatrzymanie, drobiazg, jak się to mówi, jakieś tam dwie minuty. Ale na to, aby odzyskać stracone tempo, trzeba na nowo się rozpędzać, chwytać rytm, walczyć o niego. A na to traci się już nie dwie, ale piętnaście minut.

Nie trzeba być specjalistą, aby zrozumieć, jak wielkie szkody przynosi zakładowi nieustanne wałęsanie się ludzi po halach i terenach fabrycznych. Tyle tam ludzi spacerowało, iż początkowo sądziliśmy, że to przychodzi zmiana. Ale spędziliśmy w zakładzie kilka godzin i przez cały ten czas po szerokiej magistrali fabrycznej płynął ludzki strumień. Spacerowali jak po Twerskim Bulwarze w świąteczny dzień. Co to za ludzie? Co oni tu robią? Jeśli przyszli do pracy, to dlaczego spacerują, a jeśli przyszli naspacer, dlaczego ich tu wpuszczono?

Czy wszystkie te zjawiska, że zegar źle chodzi, że naczelnny inżynier musi zażywać lekarstwa, że telefon wyspoczynny nie działa i tym podobne, nie są wywołane tą samą przyczyną? Teraz widzimy, że tak zwane drobiazgi razem połączone i wzajem się dopełniające urastają do rozmiarów poważnego zjawiska, przez które kraj nasz odczuwa brak dostatecznej ilości maszyn, tysięcy ton węgla, dziesiątków filmów, setek tysięcy książek.

A więc, zdawałoby się, że jest to zwykły artykuł na zwykły temat. I nazwać by go można zwyczajnie, jak to już nie raz robiliśmy: „Uwaga na drobiazgi!” Ale tu chodzi o rzecz bez porównania ważniejszą - o kształtowanie charakteru.

Dlaczego człowiek, któremu powierzono odpowiedzialne zadanie, który uważa, że pracuje ze wszystkich sił, bez wytchnienia, bez odpoczynku, z zakasаныmi rękawami (dosłownie tak pracuje), dlaczego taki człowiek:

—

—

—

—

—

— nie ma czasu na spotkanie się z kimś w sprawach zawodowych; jest nieuchwytny w swoim biurze; zawsze i wszędzie, się spóźnia, nawet z wizytą przychodzi z sześciogodzinnym opóźnieniem; dwa lata zbiera się napisać list do matki; nieustannie gubi adresy, pokwitowania, zawiadomienia; numery telefonów zapisuje na pudełku od papierosów, które to pudełko po dwóch godzinach wyrzuca?

Ten człowiek wcale nie zdaje sobie sprawy, że w drobiazgach oszukuje mnóstwo ludzi i wprowadza poważne zamieszanie w życie kraju. Taki już charakter tego pracowitego człowieka! A przecież on siebie naprawdę nie oszczędza. Tylko taki już ma nie zrównoważony, nieopanowany charakter.

Ten charakter wymaga uporczywej pracy, trzeba w nim rozwinąć cechy szczególnie ważne w społeczeństwie socjalistycznym - dokładność, akuratność, pedanterię.

Nie trzeba obawiać się tego określenia. Pedanteria nie ma nic wspólnego z formalistycznym podejściem do rzeczy - to przede wszystkim umiejętność, wiedza, ufność we własne siły, praca bezdzierania się i bez hysterii.

Potrzeba nam pedantów. Rozsądnych pedantów, bo nie ma nic gorszego od głupiego pedanta, który a cel życia może postawić sobie zbieranie starych, do niczego nieprzydatnych kwitów i zawiadomień.

Nam jest potrzebne pedantyczne respektowanie radzieckich ustaw, pedantyczne respektowanie konstytucji. Należy stosować się do niej z taką samą ścisłością, z jaką została sformułowana.

Dlatego też nasi wspaniali ludzie powinni posługiwać się zegarami, które chodzą, rozmawiać przez telefony, które działają, a co najważniejsze - powinni dotrzymywać słowa, nawet gdyby było dane w mikroskopijnej sprawie.

Pod samowarem

Za sztachetkami restauracji dworcowej w Soczi, dwa kroki od parowozu, od rana do wieczora gra orkiestra. Jest to artystyczny zespół pod dyktando specjalnie zaproszonego maestro.

Grane są przeważnie płache melodyjki, na przykład: „Pod samowarem siedzą z moją Maszą, a z a oknami dawno zapadł mrok”

Przypuszczalnie dzieje się to nie tyle dla przyjemności kuracjuszy, ile dla zagłuszenia krzyków pasażerów, którzy ucierpieli na skutek pewnych niedociągnięć transportu kolejowego.

A więc taki obrazek: peron, słońce i pociąg gotowy do odjazdu w dalszą drogę. Wiatr morski szumi w przydworcowych zaroślach.

Pasażer, w drodze do wagonu, przechodzi obok kwiatowych klombów, obok artystycznego zespołu i uśmiecha się z zakłopotaniem. Jeszcze niedawno do pasażera odnoszono się z niechęcią, starano się go nie dostrzegać, a teraz nagle taki postęp.

Pasażer podaje konduktorowi bilet i wtedy okazuje się, że uwidoczniane w bilecie miejsce od dawna jest przeznaczone dla kierownika pociągu i że kasa miejska nie miała prawa go sprzedać.

Pasażer zaczyna się denerwować. Konduktor jest opanowany.

Ale jak teraz dostać się do pociągu?

Konduktor tego nie wie. Powiada, że to nie jego rzecz. Jego rzecz wpuszczać pasażerów z przepisowymi biletami.

Zawiadowca stacji współczuje pasażerowi, ale przecież to także nie jego rzecz. Jego rzecz - pełnić dyżur na stacji.

Pasażer i osiem osób odprowadzających, które chodzą za nim z rękami rozpostartymi do pożegnalnego uścisku i z wargami wysuniętymi do pocałunków, z wielkim trudem znajdują kierownika pociągu.

Kierownik pociągu okazuje się człowiekiem czarującym. Gotów jest zrobić wszystko. Ale bilety - to nie jego rzecz. On nie może odpowiadać za nieprzepisowe czynności kasy miejskiej.

W ten sposób, w momencie kiedy rozlega się drugi dzwonek, okazuje się, że na całej stacji nie ma ani jednego człowieka, do którego należy załatwienie pasażera.

Pociąg rusza, nieszczęśnik zostaje na peronie z twarzą wykrzywioną gniewem, osoby asystujące doprowadzają ręce i wargi „do normalnego” stanu, a zespół artystyczny ze zwielokrotnioną siłą i we wściekłym tempie gra „Pieśń indyjskiego gościa” przerobioną na fokstrotą.

W restauracji dworcowej w Kijowie orkiestra również gra „Pod samowarem siedzę z moją Maszą”.

W takt tych radosnych dźwięków między palmami ochlapanymi wapnem snują się brudni kelnerzy.

Na stolikach leżą obrusy z nielicznymi śladami dawnej czystości. W cieniu uschniętych kwiatów stoją mokre szklanki z wyszczerbionymi brzegami.

Dworce moskiewskie posunęły się jeszcze dalej.

Wielkie ogłoszenia w gazetach zapowiadają wszem wobec, że na dworcu do czwartej rano gra jazz i że specjalnością restauracji dworcowej są „pelmenie” 49.

Pelmenie – pierożki z mięsem.

I nie jest to wcale gołosłowna reklama. Wszystko się zgadza. Stoją tam palmy, podaje się rozmiękłe pelmenie i kilku osobników w kurtkach i ukraińskich rubaszkach, ściskając w rękach teczki, usiłuje po pijanemu tańczyć rumbę, a członkowie orkiestry niespodziewanie wstają, kładą instrumenty na krzesłach i przeokropnymi głosami zaczynają śpiewać:

„Masza szklanką mi podaje,

A mnie serce w piersiach taje”.

Ohydne zapachy dochodzą z kuchni, swąd kotletów unosi się nad peronem i staje się całkiem jasne, że ktoś czegoś nie zrozumiał i wszystko pokręcił; że specjalnością dworca nie powinny być w żadnym wypadku pelmenie pod wódkę, tylko całkiem coś innego, bardziej kolejowego; że w gazecie zamiast rozkładu tańców, należy podawać raczej rozkład pociągów. Byłoby to o wiele pożyteczniejsze dla pasażerów.

Nie mamy zamiaru podjudzać do walki z pełnieniami, palmami i tańcami.

Pelmenie to wspaniała potrawa. Ale na brudnym obrusie traci się na nie apetyt, wprost nie przechodzą przez gardło. Palma jest dobra na swoim miejscu. A chyba nie ma nic gorszego od zakurzonych restauracyjnych tropików, od takiej palmy w potłuczonej donicy, rozpościerającej liście nad niejadalnym kolejowym barszczem lub dewolajem. Jeśli w dodatku pociąg spóźnia się o parę godzin, wtedy w oczach pasażera taka palma staje się rośliną wyłącznie dekoracyjną, zawierającą w sobie wszystkie elementy mydlenia oczu. Co do fokstrot, to też nie taka prosta sprawa. Skoro już gra jazz, warto by potańczyć. Ale pójść tańczyć i zostawić walizki przy stoliku - niebezpiecznie, bo ukradną, a znów tańczyć z bagażem w rękach - ciężko. Można nająć bagażowego, żeby tańczył obok, ale na to nie każdego stać.

Wielu złych kierowników i zarządzających z uporem maniaka narzuca radzieckiemu człowiekowi swój wątpliwy gust, swoje szynkarskie wyobrażenie o pięknie, komforcie i odpoczynku.

W dużych szynkach zawsze była grająca szafa, potworny muzyczny instrument do ujarzmiania psychiki zacofanych mas dorożkarskich, która od rana do nocy grzmiała gromkim walcem „Fale

Dunaju”

W „Kaukaskiej Riwierze”, jednym z najlepszych hoteli uzdrowiskowych nad Morzem Czarnym, rolę grającej szafy przejął radiofonizowany gramofon. Bez przerwy dudnią fokstroty. Ale nie to jest przykre, że fokstroty, tylko to, że bez przerwy. Jedynie ucieczka na plażę może wybawić kuracjusza od metalicznego wrzasku.

A teraz taki obrazek: ærarie, kuracjusze leżą w cieniu markizy, owiewa ich chłodny wietrzyk, czytają książki lub cicho rozmawiają o swoich reumatyzmach, o Maciście, o tym i owym.

Aż tu nagle ukazuje się roznegliżowana postać w białym milicyjnym kasku, z miedzianym puzonem pod pachą. Za nim wchodzi dwudziestu dziewięciu półnagich milicjantów w płóciennych sandałkach.

Niosą kornety, waltornie, trombony, flety, helikony, czynele oraz turecki bęben.

Kuracjusze jeszcze nie pojmują, co się święci, a tymczasem milicjanci rozstawiają pulpity.

Nastąpcie się tam, obywatele - grzecznie prosi kapelmistrz.

Co macie zamiar tutaj robić? - z przerażeniem pytają chorzy.

Zamiast odpowiedzi dyrygent wykrzykuje: „Trzy, cztery”, daje znak ręką i mocne, tryumfalne dźwięki

„Pod samowarem siedzę z moją Maszą” płyną nad umęczonym wybrzeżem.

Trzy razy w tygodniu wzmocniona orkiestra milicji w Soczi daje dziennie koncerty, żeby kąpiącym się nie było przypadkiem nudno. A że na plaży grać jest za gorąco, orkiestra chroni się w cieniu ærarii. A kuracjusze, ciężko wzdychając, uciekają z tej ostatniej cichej przystani. Goni ich głucho dudnienie bębna i kanibalski brzęk czyneli.

Kierownicy i zarządzający wymyślają niestworzone rzeczy, żeby się tylko wykręcić od wciąż rosnących wymagań konsumenta, czytelnika, nabywcy, widza, pasażera.

Ktoś od kogoś słyszał, że gdzieś tam na świecie są błękitne ekspresy, które słyną z szybkości, wygody i komfortu.

Puszczono taki rodzimy ekspres na trasie Kijów - Moskwa.

Błękitny to on jest, nie da się zaprzeczyć! Wszystkie wagony z bagażowym włącznie rzetelnie pomalowane są błękitną farbą.

I na tym kończy się podobieństwo. Bo, po pierwsze, to nie jest ekspres: osiemset kilometrów robi w dwanaście godzin. Następnie, miękkie wagony wykonane są tandetniej niż takie same wagony w normalnych pociągach. Wagon restauracyjny jest brudny, a jedzenie niesmaczne. Ale za to w każdym przedziale stoi na stoliku wielki dzban przywiedłego kwiecia, a na oknach dyndają szorstkie rypsowe firanki. Chętnie ustawiono by tam jeszcze palmy, ale nie wystarczyło miejsca.

Dobre i to, że nie ma jazzu, że nie słyszy się trzasku fleksatonu. U nas ogromnie pokochano jazz, pokochano go spóźnioną, niezdrową miłością.

W ogóle weszło u nas w zwyczaj, żeby umiejętną i sprawną obsługę zastępować palmami i muzyką.

Palmy i muzyka mają zastąpić wszystko: czystość, wygodę, grzeczność, dobre jedzenie, duży wybór towarów i odpoczynek. Uważane są za środek uniwersalny.

W niektórych wypadkach do kwiatów i skrzypek dodaje się jeszcze portiera z brodą á la Aleksander III.

To też jest piękna rzecz! Można powiedzieć - wieczna, nieprzemijająca uroda, coś w rodzaju Akropolu w Atenach lub rzymskiego Forum. Stoi taki brodacz w drzwiach hotelu, a w pokojach dzwonki nie działają już drugi rok.

Łatwiej podsunąć ludziom pod nos doniczkę z fuksją, niż sprawnie, szybko i spokojnie podać mu na gorącym talerzu smaczny posiłek.

Łatwiej ogłuszyć człowieka knajackimi piosenkami przerobionymi na fokstrota, niż osiągnąć prawdziwą, autentyczną, olśniewającą czystość na dworcach i prawdziwą wygodę w pociągach.

A przyczyną wszystkich tych braków nie jest bieda, tylko głupota, a także brak dobrych chęci do wypełniania swoich obowiązków.

Na froncie koperwasu

W mieszkaniu istne piekło. Wszystkie meble wysunięte na środek pokoju i okryte gazetami. Podłogi zachłapane wapnem. Zatroškany pan domu chodzi po mieszkaniu potykając się o pogieęte wiadra z koperwasem. Dzieci, umazane farbami, krzyczą i hałasują.

- Co się tu dzieje? - pyta gość.

- Co się dzieje? - odpowiada grobowym głosem właściciel mieszkania. - To się dzieje, że jesteśmy zgubieni. Straceni. To już koniec!

Ale widać, że jeszcze nie jest tak źle. Jeszcze duch kołacze się w piersi cierpiętника, który nagle wznosi ręce ku pełnemu płam sufitowi i zaczyna lamentować rozdzierającym głosem:

Ach, po co, po co zdecydowałem się na ten straszliwy krok. A tak nam było dobrze. Tak normalnie płynęło nasze życie rodzinne. Pamiętasz, Lena, jeszcze niedawno, jakieś dwa tygodnie temu...

Pijaliśmy wieczorami herbatę. Siadywałem sobie w tym fotelu. Nasze grzeczne, czyściutkie dzieciaczki spokojnie bawiły się w przedpokoju. A teraz...

- Ale co się tu właściwie stało?

Malarze! - powiada właściciel mieszkania i błędnym wzrokiem wodzi po pokoju.

Na dźwięk tego słowa żona zaczyna płakać; w korytarzu słychać jakiś rumor i zaraz potem radosne piski młodego pokolenia. Przewróciła się drabina.

- Widzisz - mówi żona przez łzy - trzeba było zgodzić tego cichego staruszka, co to malował drzwi u

Kirsanowów. On by to wszystko zrobił w dwa dni.

- Cichy staruszek? - krzyczy pan domu. - Ten potwór?

I tu zaczyna się taka awantura, że gość czym prędzej żegna się i wychodzi. Teraz już wie, co się stało.

Stało się to, co przytrafia się wszystkim tym oryginałom, którzy postanawiają przeprowadzić w mieszkaniu niewielki, mówiąc językiem tak zwanym oficjalnym, bieżący remont.

Gdzie ukrywają się malarze, gdzie ich szukać, do kogo się zwrócić? Nic nie wiadomo. W takim wypadku rozpytuje się znajomych albo tropi się malarzy na ulicy. Przy odrobinie szczęścia już na trzeci, czwarty dzień dobrze zorganizowanej akcji (wskazane jest rozesłać wszystkich członków rodziny po całym mieście) udaje się przytapać przedstawiciela branży malarskiej z wiadrem i pędzlem i przy pomocy obietnic tudzież niewybrednych pochlebstw przyprowadzić go do domu.

Osobnik ten wolno i ze znużeniem ogląda obiekt pracy i po długich wzdychaniach oświadcza:

- Ano, tu potrzeba koperwasu. Bez koperwasu nie da rady. Koperwas ma swoje znaczenie. To się zawsze opłaca. Jak nie dać koperwasu, kolor nie wyjdzie dobrze. Ale można nie dawać koperwasu.

- Więc jak właściwie będzie lepiej? - pyta pokornie najemca. - Z koperwasem czy bez koperwasu?

To już sprawa właściciela. Jeden woli z koperwasem, a drugi bez koperwasu.

- No to na wszelki wypadek niech będzie z koperwasem. Jeden pokój chciałbym pomalować na kolor żółty, ale taki wesoły, kanarkowy, taki słoneczny.

- Znaczy się ugrem - z namysłem powiada malarz. - Może być; Weźmiem ugru i pomalujem. Znaczy się, zwyczajnie wziąć ugru i pomalować. Ugrem. Zrobi się, jak należy.

Umawiają się, że drugi pokój będzie pomalowany na seledyn. Przy tym malarz wygłasza niezrozumiałe przemówienie o jakimś strontium, które też ma swoje znaczenie i zawsze się opłaca.

Umawianie się trwa dwie godziny. W kółko powtarza się to samo. Malarz z zadartą głową długo patrzy w sufit, jakby czekał, że stamtąd spadnie deszcz, cmoka i pojednawczo macha ręką.

- Zdaje się, że to już wszystko - nerwowo powiada najemca. - Ale ile to wyniesie?

I tu zaczyna się istny MChAT. Malarz robi półgodzinną pauzę a la Kaczałow50. Właścicielowi mieszkania serce podchodzi do gardła.

Kartki żywnościowe skasowane - powiada wreszcie malarz.

- To doskonale - ożywia się właściciel mieszkania. - Więc jaka będzie cena?

- Ano, zrobimy, jak należy. Ale koperwas będzie pański.

- Dlaczego koperwas ma być mój? Skąd ja wezmę koperwasu?

- To już nie nasza sprawa.

I wszystko zaczyna się od początku. Malarz znów chodzi z pokoju do pokoju, wzdycha, jęczy, stęka, drapie się. W rezultacie okazuje się, że on może wszystko dostarczyć - zarówno przekłuty koperwas, jak ugier i biel, a nawet owo zagadkowe strontium.

Teraz wymienia cenę. Trzysta rubli. Cena całkowicie abstrakcyjna, nierzeczywista, idiotyczna i krzywdząca. Toczy się długotrwały jarmarczny, azjatycki targ. W międzyczasie okazuje się, że malarz oże pracować tylko wieczorami.

Właściciel mieszkania na wszystko się zgadza. Wieczorami - niech będzie wieczorami, dwieście pięćdziesiąt rubli - niech już będzie dwieście pięćdziesiąt. Tylko żeby jak najszybciej. Obrzydły mu już brudne ściany, dziury, mole i cały ten bałagan.

W nocy cała rodzina zabiera się do roboty. Wysuwają wszystkie meble na środek pokoju, zdejmują ze ścian obrazy i portrety przodków, zwijają pościel w toboły. Jutro punktualnie o szóstej wieczorem ma przyjść malarz.

Ale nie zjawia się ani o szóstej, ani o siódmej, ani o dziesiątej. W ogóle nie przychodzi. Tej nocy cała rodzina śpi na tobołach.

Natomiast nazajutrz malarz zjawia się o właściwej porze i przyprowadza jeszcze trzech pomocników - dwóch starych i chłopca. Chłopiec, tak samo jak pozostali, jest w zachłapanych kredą butach i w grubym waciaku. On również jęczy, wzdycha i niejasno wypowiada się na temat zbawczego działania koperwasu.

Cały ten roboczy kolektyw zdejmuje kurtki i rozsiada się na przewróconych skrzynkach i wiadrach pośrodku pokoju. Majstrowie popijają herbatę i spoglądają na sufit. Potem cicho a składnie zawodzą pieśń:

Hej, wy sługi, wierne sługi,

Hejże, wierne sługi me.

W tej starej zbójeckiej pieśni brzmi stepowa buńczuczność i melancholia. I od razu wydaje się, że nie ma żadnego Dnieprogesu, że nic nie zaszło, że nie ma metro ani lotnictwa, ani wspaniałych kołchozów, że w mieszkaniu rozgrywa się istna Chowańszczyzna. Słowem - osiemnasty, a może nawet szesnasty wiek.

Kiedy już napili się herbaty i naśpiewali do syta, majstrowie wkładają z powrotem kurtki, potem je zdejmują i jeszcze raz wkładają. Następnie biorą od właściciela mieszkania dwadzieścia pięć rubli na

50

Kczałow - znany aktor dramatyczny. zakup ugru i wychodzą. A chłopiec zostaje i smaruje ściany koperwasem. Przyczym natychmiast rozbija szybę w bibliotece i wypala jakimś niewytłumaczonym sposobem malinowe sukno na biurku.

- Czyś ty zwariował!? - krzyczy właściciel.

- Koperwas nie lubi koloru - mruczy przerażone dziecko. - Ale on ma swoje znaczenie, daje podkład.

- Przecież to obłąd! - powiada właściciel.

I ma rację. Zaczyna się obłąd.

Malarze nie pokazują się więcej w przewróconym do góry nogami mieszkaniu. Widocznie zadowolili się otrzymanym zadatkiem.

Trzy dni nieszczęsna rodzina żyje nadzieją. Potem znajomi polecają pewnego kryształowego staruszka nazwiskiem Wawiłycz.

Przychodzi ów kryształowy staruszek, z rozbijającą ślamazarnością ogląda pokoje i podejmuje się wykonać robotę, ze swoim pokostem i ugrem, za jedne dwanaście rubli. Ale okazuje się, że poczciwy staruszek jest pijany jak bela i w tym stanie rzeczy nie jest odpowiedzialny za to, co mówi. Z trudem go się pozbywają.

Najprościej byłoby postawić meble z powrotem na swoje miejsce i zacząć żyć normalnie, tak jak przedtem. Ale to się już nie da zrobić. Ściany i sufity są wysmarowane jakimś świństwem.

Sprowadzają jeszcze jednego majstra. Ten również szczegółowo wypytuje się o wszystko, wszystko drobiazgowo omawia, wreszcie na zakończenie oznajmia, że mógłby zacząć robotę dopiero za miesiąc, ponieważ wyjeżdża na święta na wieś.

Po co właściwie przychodził i tracił cały wieczór na rozmowy i drapanie się za pazuchą - trudno pojąć.

W kuchni właścicielka mieszkania zalewa się łzami.

- Żleście zrobili - mówią bezlitośni znajomi. - Wtedy, kiedy przyszli ci trzej z chłopcem, trzeba ich było zamknąć na klucz i nie wypuścić z mieszkania, póki nie skończą roboty.

- Ba, gdybym ja wiedział! - krzyczy ofiara. - Gdybym wiedział. Już ja bym im...

Na pocieszenie opowiadają mu różne historyjki o zdunach, o cieślach, o hydraulikach, o przewoźnikach mebli, o całej tej podziemnej kaście na poły chałupników, na poły spekulantów wyposażonych w siekiery, obcęgi i pędzle malarskie.

Cały styl ich pracy, sposoby umawiania się, wszystkie rozmowy żywcem zachowały się z czasów Rusi bojarskiej.

A mogły się zachować tylko dlatego, że nikt u nas właściwie nie zajmuje się remontami mieszkań.

Istnieją przedsiębiorstwa, które budują po sto domów równocześnie, które wznoszą całe miasta, ale nie ma żadnego przedsiębiorstwa, w którym można by zamówić pobielenie sufitu, zmycie i pomalowanie ścian, naprawę parkietu, nową szybę w odpowiednim rozmiarze, drzwi lub zasuwę; nie ma takiego przedsiębiorstwa, gdzie można by wybrać sobie farbę czy tapetę, gdzie można znaleźć specjalistów gwarantujących jakość pracy i terminowe jej wykonanie.

Takie przedsiębiorstwo powinno być w pewnym stopniu składem materiałów budowlanych. Praca tego rodzaju przedsiębiorstw będzie bardzo rentowna i przez te parę miesięcy dzielących nas od wiosny, tego pogodnego i wonnego sezonu wszelkich remontów i napraw, trzeba zorganizować jak najwięcej takich instytucji.

Zastanówcie się tylko! Obecnie łatwiej zamówić wizytę u któregoś z najznakomitszych w świecie specjalistów chorób serca niż zgodzić malarza. Profesor przyjmie pacjenta w terminie dwutygodniowym, dokładnie w oznaczonym dniu i godzinie, a za malarzem można uganiać się miesiącami. A dzieje się tak wcale nie dlatego, że profesorów-kardiologów jest dużo, a malarz jeden edyny, tylko dlatego, że pomoc lekarska jest u nas zorganizowana, a pomoc budowlana w ogóle nie istnieje.

Cała ta opowieść jest oparta na wielkiej ilości faktów sprawdzonych drogą wywiadów i dochodzeń.

A teraz pozwólcie w ramach porządku dziennego zebrania, że tak się wyrazimy, poruszyć sprawę osobistą. Zresztą posiada ona również znaczenie społeczne, ilustruje bowiem rozpaczliwe położenie na froncie koperwasu.

Żyliśmy sobie cicho, spokojnie, pisaliśmy powieści, opowiadania i sztuki. Nagle ubiegłej wiosny przychodzi pismo od macierzystej organizacji, czyli od Związku Pisarzy.

„Czy nie chcielibyście przeprowadzić remontu w swoim mieszkaniu? Remont będzie przeprowadzony, oczywiście, na wasz koszt, ale, oczywiście, pod naszym nadzorem, z najlepszych materiałów i w murowanym terminie.”

Bardzo nam było miło przeczytać taki dokument. Odłożyliśmy na jakiś czas pisanie powieści, powiadań i sztuk, pobiegliśmy do Związku i wyraziliśmy swoje uznanie oraz zgodę na przeprowadzenie remontu. Najbardziej cieszyła nas świadomość, że ktoś się o nas troszczy, ktoś nad nami czuwa.

I rzeczywiście. Po kilku dniach zjawił się młody człowiek z miarką, przeprowadził wszelkiego rodzaju pomiary, coś mnożył, dzielił i dodawał, a na zakończenie oznajmił, że wkrótce będzie zrobiony kosztorys i potem zaczną się roboty remontowe.

Po czym bardzo szybko upłynęły trzy miesiące, ale nikt się nie zjawił, żeby remontować mieszkanie.

Nadeszła jesień. Puszkina na przykład lubił jesień. Ale oczywiście nie uważał jej za najbardziej odpowiednią porę do przeprowadzania remontu w swoim domu we wsi Michajłowska. Znowu odłożyliśmy pisanie powieści i pobiegliśmy do Związku. W międzyczasie przybyło tam sporo nowych dyktowych przepierzeń i biurków, ale mimo to znaleźliśmy odpowiedniego urzędnika.

Długo patrzył na nas nieprzytomnym wzrokiem, wreszcie powiedział:

- A więc prosicie o przeprowadzenie remontu?

- Ależ nie. My bynajmniej nie prosimy. Wyście nam go sami proponowali.

- Ach, myśmy proponowali? Tak, tak, zgadza się. Ale ten pomysł upadł mechanicznie. Myśmy się z tego wycofali, towarzysze.

- A dlaczego nas o tym nie zawiadomiono? Czekaliśmy przecież całe lato.

- Nie, nie, towarzysze, ten pomysł upadł.

Jak upadł, to trudno. Wprawdzie przykro zostać na zimę w brudnym mieszkaniu, ale przynajmniej nikt nam nie smarował ścian koperwasem, nie wypalał sukna na biurku, więc można mieszkać.

Aż tu nagle, niedawno, przychodzi nowe pismo od tejże macierzystej organizacji, ale już nie wiosenne, raczej zimowe, surowe i właściwie beczelne.

„Niniejszym zawiadamiamy, że za sporządzony kosztorys remontu należy się pięćdziesiąt siedem rubli, tyle a tyle kopiejek. W razie niezapłacenia sprawa będzie skierowana do sądu.”

Ładna historia. Pomysł upadł, my jednak mamy za niego płacić. W tym stanie rzeczy nawet ponury

Wawilycz może się okazać kryształowym staruszkiem. Ha, trudno, jak sąd, to sąd. Ciekawe będzie to spotkanie przed obliczem prawa.

Hotel dzienny

Jest ważne i pilne zadanie.

To nieistotne, jak ono będzie rozpatrywane. Czy w trybie rozważań, czy w trybie wysuniętego problemu, czy wreszcie w trybie dyskusji. To nie ma znaczenia. Można to załatwić, jak komu wygodniej. Rozważać w trybie propozycji, jak również proponować w trybie rozważań. Najważniejsze, aby w trybie wysuniętego problemu osiągnąć jakieś rezultaty.

Mowa o czystości.

Spóźniliście się, powiedzą ludzie kompetentni, którym powierzono to palące zagadnienie. Po linii czystości już widać postęp, już rozstawiono drogowskazy, już wprowadzono w życie poważne przedsięwzięcia, jak na przykład wszechrosyjska konferencja dozorców lub też przymusowe oględziny sanitarne, wprowadzone w co piękniejszych południowych miastach naszego Związku.

Konferencja istotnie miała miejsce. Istotnie zebrała się nieprzebrana ilość dozorców, był stół przykryty suknem, karafka z wodą, dzwonek, wygłaszano przemówienia, były też dyskusje, a nawet przyjechał z Samary jakiś znamienity dozorca, który demonstrował wszystkim pozostałym dozorcóm, jak należy zamiatać ulice. I orkiestra grała, i niektóre gazety zamieszczały w związku z tym entuzjastyczne wzmianki.

Czy to nie bzdura, towarzysze?

Do tego, żeby zamiatać ulice, potrzebne są dwie rzeczy - miotła i chęć do pracy. A wyjazdy, protokoły i przemówienia - to tylko pusta gadanina i bezcelne mydlenie oczu. Pieniądze wydatkowane na konferencje i złoty korzystniej byłoby zużyć na zakup sprzętu do oczyszczania ulic.

O akcji sanitarnej już pisaliśmy.

Człowieka, który przyjechał na przykład do Charkowa, nie wpuszcza się do hotelu, dopóki nie przedstawi zaświadczenia, że poddał się oględzinom sanitarnym.

A nikt nie ma ochoty na te oględziny. Już same lokale, gdzie się te oględziny odbywają, są wyjątkowo nieapetyczne, brudne i niewygodne. Toteż przyjezdni starają się ich unikać. Wynajmują zastępców.

Nawet powstał już mowy zawód. Za pięć rubli podstawiona osoba kaszle i pluje, poddaje się za was oględzinom sanitarnym i ciepłą wodą melancholijnie rozmazuje brud na swoim sinym ciele. To bardzo niebezpieczny zawód. Ludziom, którzy go uprawiają, powinno się oprócz pieniędzy dawać jeszcze dodatkowo mleko i od czasu do czasu posyłać ich do łaźni.

Co to wszystko oznacza?

To wymaga dokładnej definicji.

Zarówno rozgadana konferencja pracowników miotły, jak i przymusowe zgrzebło dla przyjezdnych - to tylko jeden z objawów pewnego smutnego i szeroko rozpowszechnionego zjawiska - „wybujałej pryncypialności” bez oznak jakichkolwiek rezultatów.

Po prostu szablon, za pomocą którego pierwszy lepszy wałkoń wykręca się od swoich obowiązków, zachowując równocześnie opinię znakomitego organizatora i tak zwanego dzielnego faceta.

Jest, dajmy na to, zadanie następujące:

Zamiatajmy ulice.

Zamiast niezwłocznie wykonać powyższy nakaz, dzielny facet robi dokoła niego wielkie zamieszanie.

Rzuca hasło:

„Czas przystąpić do walki o zamiatanie ulic!”

Prowadzi się walkę, ale ulic się nie zmiata. Następne hasło posuwa sprawę jeszcze dalej:

„Wszyscy do akcji organizacji walki o zamiatanie ulic!”

Czas upływa, dzielny facet nie zasypia gruszek w popiele i na nie zamiecionych ulicach ukazują się nowe wezwania:

„Wszyscy do wypełnienia planu organizacji akcji walki o zamiatanie ulic!”

Aż wreszcie na ostatnim etapie pierwotne zadanie całkowicie odpada i zostaje tylko zapamiętałe, rzykliwe miotanie się:

„Hańba burzycielom akcji o walkę o wykonanie planu organizacji kampanii o walkę!”

Teraz wszystko jest jasne. Zadanie nie wypełnione. Ale pozory rozpaczliwej aktywności - zachowane.

A dzielny facet wyjeżdża do Jałty podreperować nadszarpnięte zdrowie.

A teraz taka propozycja:

To nie jest naturalnie plan uniwersalny, który pozwoli za jednym zamachem uporać się z pozostawionym nam w spadku brudem, ale jest to propozycja bardzo istotna.

Czy chcielibyście, żeby było tak:

Mieszkaniec Moskwy idzie ulicą... Albo: idzie ulicą niekoniecznie mieszkaniec Moskwy, tylko ktoś, kto przyjechał do Moskwy na jeden dzień.

Jest zmęczony, nie ogolony, brudny. Ubranie na nim zmięte i nieświeże, obuwie zakurzone. W ręku ma ciężką paczkę lub walizkę.

Jest ponury, ponieważ zdaje sobie sprawę z beznadziejności swego położenia. Trzeba by zużyć mac energii i stracić mnóstwo czasu, żeby się doprowadzić do porządku. Naprzód fryzjer. Potem na drugi koniec miasta do łaźni. Potem jeszcze jeden specjalny zabieg - oczyszczenie obuwia. A o wyprasowaniu ubrania w ogóle nie ma mowy. To jest wieloletnie, nieiszczalne marzenie kawalera, podróżnego czy po prostu bardzo zajętego człowieka.

A więc idzie ulicą smutnie rozmyślając o swoim nieorganizowanym życiu i nagle na Trubnym placu czy na placu Swierdłowa, czy na Smoleńskim Rynku widzi coś w rodzaju wejścia do metro.

Czyste kamienne schody prowadzą w dół. Nad nimi szyld: „Hotel dzienny”

Mieszkaniec Moskwy schodzi na dół i znajduje się w przedsionku, którego ściany wyłożone są lśniącymi mlecznymi kaflami. Za kontuarem siedzi kasjerka w białym wykrochmalonym fartuchu. Pod sufitem płoną silne błękitne lampy. Panuje tu szpitalna czystość i czuje się przyjemne ciepło.

Obok kasy wisi za szkłem cennik. Przy czytaniu go klient błogo się uśmiecha.

Wybiera kilka potrzebnych mu zabiegów, płaci, dostaje kwitki i wychodzi na korytarz. Taką samą olśniewającą czystość i nawet, do licha, pachnie wodą kolońską, chociaż na drzwiach z prawej strony wyraźnie namalowane są dwa zera.

Klient wręcza kwitki śnieżnobiałej posługaczce, a ona otwiera przed nim drzwi do świata rozkoszy. To jest świat gorącej wody, gąbek, ogrzanych włochatych prześcieradeł, brzytw, żelazek do prasowania, słowem świat zdrowia i higieny.

Przede wszystkim wpuszczają klienta do łazienki. Tam z grubych kranów z szumem leje się woda.

Prześcieradła, ręczniki i miękki płaszcz kąpielowy grzeją się na specjalnym ogrzewaczu. Klient składa swoje ubranie i obuwie do wysuwanej szuflady, która natychmiast znika w ścianie.

Następnie wchodzi do wanny. Nie będziemy opisywali, jak się odbywa kąpiel, ten niezbędny dla każdego człowieka zabieg. Trochę fantazji - a czytelnik sam sobie wyobrazi, jakie to przyjemne i pożyteczne.

Następnie klient udaje się do fryzjera. W czasie strzyżenia i golenia niepokoi się o swoje ubranie.

Jakoś dziwnie tajemniczo zniknęło w tej ścianie. Czy go przypadkiem nie ukradziono?

Nie, nie ukradziono go. Podczas gdy klient był w łazience i u fryzjera, ubranie zostało oczyszczone i odprasowane. Nawet guzik, który już dwa tygodnie wisiał na jednej nitce, przyszyli, spryciarze.

A obuwie? Obuwie też wyglansowane. I wyobraźcie sobie, że nawet sznurowadeł nie usmarowali pastą. Nawet kapelusz wyczyszczony. O wszystkim pamiętali.

Jeśli klient czuje się zmęczony całą tą procedurą, udaje się do specjalnego pokoju, gdzie w miękkich fotelach można odpocząć, przejrzeć świeże gazety i pisma.

Ale po co odpoczywać? Mieszkaniec Moskwy lub przyjezdny jest obecnie pełen sił i energii. Teraz, nie wstępując do domu, może pójść prosto do teatru, do Galerii Tretiakowskiej lub oświadczyć się dziewczynie (za takiego czyścioszka każda chętnie wyjdzie za męż!), albo udać się na roboczą naradę.

W takim stanie wszędzie można się bez wstydu pokazać. I do takiego stanu można się szybko doprowadzić na każdym placu miasta i o dowolnej porze. „Hotele dzienne” są czynne od siódmej rano do północy, bez przerwy obiadowej i bez remanentu gąbek oraz muszli klozetowych.

Pomysł „hotelu dziennych” nie jest nowy. Jednakże w Europie istnieją one tylko we Włoszech. Ta sprawa stoi tam wcale nieźle. Ale my powinniśmy i możemy urządzić nasze „hotele dzienne” jeszcze lepiej niż włoskie. W naszych bujnie rozwijających się miastach, gdzie zostało jeszcze mnóstwo starych, źle wyposażonych i pozbawionych wygod domów, takie „hotele dzienne”, gdyby rzetelnie podejść do sprawy, mogłoby spełniać olbrzymią kulturalną rolę.

Powinno się je zakładać wszędzie: na placach większych miast i przy wielkich zakładach pracy. Winny one być wzorowe pod względem czystości, porządku i sprawnej obsługi. Tylko w takich warunkach nie będzie im groziło niebezpieczeństwo, że zmieniają się w punkty kontroli sanitarnej, których wszyscysłusznie unikają.

Wszystko to jest całkowicie realne i możliwe do osiągnięcia w krótkim czasie. Trzeba tylko chcieć.

Sprawa ta musi być oczywiście przeprowadzona w skali ogólnokrajowej. Mogłoby to być, dajmy na to, zjednoczenie pod nazwą „Hotel dzienny”. Nie wiemy, w gestii którego z Ludowych Komisariatów winno się znajdować owo zjednoczenie - Ludowego Komisariatu Zdrowia czy Ludowego

Komisariatu Gospodarki Rolnej. Być może, że w tym wypadku przydałby się wysiłek obydwu resortów. Natomiast wiemy, że ludzie radzieccy pragną być olśniewająco czysti i że nasz rząd wszelkimi siłami pragnie im w tym pomóc.

A oto jeszcze jedna uwaga. Ale to już na wypadek, gdyby nasz skromny pomysł znalazł oddźwięk i gdyby przystąpiono do budowy „dziennych hoteli”.

Już wiadomo, co powinno być w tych hotelach. Ale równie ważne jest to, czego tam być nie powinno.

Nie powinna tam grać muzyka.

Nie powinno być oddziału Kasy Oszczędności.

Nie powinno być sprzedaży biletów teatralnych.

Niepotrzebny jest tam kiosk z wyrobami ludowymi.

Niepotrzebny jest głośnik radiowy wrzaskliwie reklamujący nową placówkę.

Niepotrzebne są tam kwiaty, malachitowe kolumny tudzież płaskorzeźby przedstawiające kolejne fazy kąpieli. Główną rolę powinien odgrywać proces kąpieli, a wszystko inne winno być mu podporządkowane.

Żadnych zbytecznych, żadnych ubocznych rzeczy, żadnego odciągania uwagi od głównego celu.

Marmurowe posadzki, gładkie kaflowe ściany, gorąca woda, ostra brzytwa w fachowych rękach, higroskopijnie czysta bielizna, grzeczne obejście i sprawna obsługa.

Byłoby straszne, gdyby w gazecie wieczornej pojawiło się takie ogłoszenie:

HOTEL DZIENNY

„LERMONTOW” czynny od siódmej rano do trzeciej w nocy

GRA ZESPÓŁ JAZZOWY

Tańce w płaszczach kąpielowych

WYSTĘPY POETÓW

SPRZEDAŻ BILETÓW NA WYŚCIGI KONNE

PORADY PRAWNE raz

SPRZEDAŻ PIWA Z LODU

To byłaby tylko jeszcze jedna ilustracja do szablonu, za pomocą którego ludzie uchylają się od wykonania powierzonych im zadań.

Uczciwe serce kibica

Każdy chwali rodzaj sportu, który go osobiście pasjonuje.

Jeśli tenisiście zaproponować, żeby zagrał w siatkówkę, ten uśmiecha się z wyższością i poprawia kant swoich białych spodni. Wyraźnie widać, że siatkówka jest według niego zajęciem ordynarnym, pospolitym i zgoła niegodnym szanującego się sportowca klasy niezawodowej.

Gracze w „gorodki” uwijają się na swoich kwadratach, mruczą dziwne niedźwiedzie słowa „tyka” i

„liapa”, rzucają okute miedzią kije i w uniesieniu klepią się po płaskich łydkach. Wygląd ich nie jest ani trochę sportowy. Długie czarne spodnie, ociężały chód upodabniają ich raczej do gburowatych szyprów z małych portów. Całym sercem oddani są grze w „gorodki”. Śmiać im się chce, kiedy widzą kort tenisowy, nad którym fruwa lekka biała piłeczka. Jak można zajmować się takimi bzdurami!

Lekkoatleta, robiąc skok o tyczce, wznosi się na wysokość trzeciego piętra i oczywista rzecz, że z tego ptasiego lotu zarówno tenis, siatkówka, jak i „gorodki” wydają mu się zajęciem w sam raz dla pigmejów.

Mistrzowie wiosła mkną po rzece w wytwornych ósemkach. Brody mają przyciśnięte do zgiętych gołych kolan; ich płuca wdychają najlepszy gatunek ozonu - ozon rzeczny. Kiedy spojrzą na brzeg, gdzie w tumanach kurzu biegną sprinterzy, gdzie grubasy w pocie czoła podnoszą dwudziestopudowe zderzaki buforów połączone żelazną sztangą - wtedy jeszcze mocniej naciskają na wiosła i pomykają w siną dal. To są ludzie wody - członkowie związku zawodowego i korsarze do szpiku kości.

A gdzieś na podmiejskich terenach poważni jegomoście z bródkami składają teczki na zielonych ławkach i machają młotkami krokietowymi; „zostają rozbójnikami” i łapią się za serce, kiedy wypolerowana kula utknie w „maśle”. Ta gra jest już na wymarcu, ale wciąż jeszcze ma swoich zwolenników, ostatnich wiernych wyznawców idei krokietowej.

Tak więc każdy chwali ten rodzaj sportu, który go osobiście pasjonuje.

Oto na ogromnym boisku za amfiteatrem stadionu „Dynamo” rozlega się wzruszający, przenikliwy, czterotonowy gwizdek sędziowski, zwiastujący początek wielkiego meczu piłki nożnej.

I od razu wszystko się zmienia.

Gdzieżeś, dumny tenisisto? Tenisista zapomniał swoich niemal chamberlainowskich manierach, o ulubionych białych spodniach z nienagannym kantem, wisi u poręczy tramwaju. W tym momencie to już nie jest tenisista, to tygrys. Okazuje się, że pod zewnętrzną powłoką tenisisty bije uczciwe piłkarskie serce. To wielbiciel piłki nożnej. Czym prędzej na trybuny, w tłum innych kibiców, w gąszcz głośnych sporów na temat kwalifikacji walczących drużyn!

Cóż to za ciżba wali ulicą ciężkim kłusem piechoty? To byli zwolennicy gry w „gorodki”. Na opuszczonym przez nich placu leżą osierocone bohaterskie dębowe kije. Ale w tym wzruszającym dniu mają w nosie „gorodki”. Futbol! Tylko futbol!

Grubasy żonglujące zderzakami buforów podnoszą cały tramwaj, byle tylko prędzej dostać się na trybuny. Ciągną też ze sobą żony i przez drogę tłumaczą im zasadniczą różnicę pomiędzy off-sidem a insidem.

- Inside, uważasz, może być prawy lub lewy, a off-side, uważasz, może być słuszny lub niesłuszny.

A tymczasem żona wolałaby iść do kina. Trudno jej przyswoić sobie te wszystkie subtelności. Ale futbol robi swoje i już po godzinie ta sama kobieta będzie wrzeszczała nieludzkim głosem:

- Granda! Sędzia kalosz!

A może nawet to delikatne stworzenie włoży dwa palce w różowe usteczka i zagwiżdże po indiańsku na znak protestu.

W ogóle kibice, wszyscy bez wyjątku i zawsze, uważają, że sędzia wydaje niesłuszne decyzje, że bezwstydnie faworyzuje jedną ze stron i że na boisku panuje niesamowity bałagan. Gdyby on, kibic, sędziował, wtedy dopiero byłby porządek.

A na asfaltowej drodze prowadzącej na stadion tłum wciąż rośnie. Pędzą chłopcy, ci najzagorzalsi, najwierniejsi miłośnicy piłki nożnej; wytrzeszczają oczy i częstują się wzajemnie radosnymi kuksańcami.

Z przystani wodnych wybiegają pływacy wciągając po drodze spodnie. Z błyskawiczną szybkością dają nura do autobusu, jak do wody. Chwytają się rączek u sufitu i kiwają się razem z autobusem, a na ich rzęsach jeszcze długo wiszą cudowne, spęczniałe krople wody.

Stateczni jegomoście z bródkami zapomnieli o angielskich rozkoszach krokietu i z podniecenia aż podskakują na trybunach. Co prawda, mało się znają na piłce nożnej (nie ten wiek, a młodość spędzili na preferansie po ćwierć kopiejki), ale okazuje się, że nie obcy im jest duch czasu, oni też się denerwują i szkaradnymi miejskimi głosami wrzeszczą: Corner! Corner! Podczas gdy o cornerze w ogóle nie może być mowy, a sędzia wyznacza karny strzał z jedenastu metrów. Straszna chwila dla uświadomionego kibica!

Gra rozpoczęta i sędzia zręcznie uchyła się przed szybką i ciężką piłką. Gracze kłębią się to pod jedną, to pod drugą bramką. Bramkarze nerwowo tańczą przed siatką.

Trybuny żyją pełnią życia.

Już z góry wiadomo, z jakiego powodu na trybunach wybuchnie śmiech.

Przed wszystkim piłka trafi w fotografa właśnie w tym momencie, kiedy z kasetą w zębach będzie się czołgał ku bramce, żeby utrwalić na kliszy tak zwany krytyczny moment. Powalony uderzeniem fotograf przewróci się na plecy i odruchowo zrobi zdjęcie czyściutkiego nieba. To się zdarza na każdym meczu i to jest doprawdy bardzo śmieszne.

Następnie kilkadziesiąt tysięcy ludzi zaczyna się śmiać, bo na boisku niespodziewanie zjawia się pies.

Jakiś czas pędzi przed piłką, aż nagle (okropność!) gra zaczyna się podobać nawet jemu. Naprzód zawzięcie i radośnie ujada na graczy, po czym przewraca się na wznak, żeby go pogłaskać. Ale w końcu psina oberwie swoją porcję. Trafia weń piłka i pies, koziołkując co najmniej dwadzieścia pięć razy, z żalosnym skowytym umyka z boiska.

Po raz trzeci trybuny śmieją się z pewnego super-kibica, który zapomina się do tego stopnia, że zrywa się z miejsca i krzyczy: „Wania, gol!” A ponieważ Wania mydli zamiast golić i piłka odbija się o pręt siatki, superkibic wybucha płaczem. Łzy ciekną mu po szerokich policzkach i kapią z długich wąsów.

Niczego się już nie wstydzi. Jest tak wstrząśnięty fuszerką Wani, że nie widzi, iż stał się pośmiewiskiem dwudziestu tysięcy ludzi.

Zostało jeszcze tylko piętnaście minut do końca meczu. Napięcie sięga zenitu. Bramki są bez przerwy takowane, nie zawsze z sensem. Drużyny wzięły wściekłe tempo. Na trybunach wrzenie.

Kibice już nie chichoczą ani nie płaczą. Nie spuszczają z oczu piłki. Teraz można by opróżnić im kieszenie, zdjąć im buty, a nawet spodnie. Nic nie zauważą.

Ale oto umoralniający wpływ piłki nożnej. Żaden kieszonkowiec nie poświęci tych paru ostatnich pełnych napięcia minut, żeby oddać się pracy zawodowej. Być może, iż przyszedł specjalnie po to, żeby sięgnąć do cudzej kieszeni, ale gra tak go zafascynowała, że przegapił najdogodniejszy moment.

Trybuna piłki nożnej godzi delikatnego tenisistę z potężnym graczem w „gorodki”; pływacy ocierają się o ciężkoatletów, wszystkich jednoczy duch futbolowej solidarności.

Jeśli chodzi o ludzi, którzy kulturą fizyczną raczej się nie zajmują, to uczęszczanie na mecze piłki nożnej nieprawdopodobnie wzmacnia ich organizm.

Przysięgły kibic piłki nożnej ma za sobą wszystkie ćwiczenia na odznakę „zdolny do pracy i obrony”.

Zahartowany kibic jest całkowicie przygotowany do udziału w międzynarodowej spartakiadzie w charakterze uczestnika. Ustanowił bowiem szereg światowych rekordów w następujących dyscyplinach: a)

bieg za tramwajem po wyboistej drodze, b)

skok bez tyczki na przedni pomost wozu przyczepnego, c)

siedemnaście rund boksu przy wejściu na stadion, d)

podnoszenie ciężarów (przeniesienie na rękach żony i dzieci ponad tłumem), e)

pływanie w ramach przysposobienia wojskowego (dwie godziny spędzone na ulewnym deszczu bez parasola).

I tylko jednej rzeczy kibic nie potrafi - grać w piłkę nożną.

Ale pomimo to bardzo ją lubi.

Miłośnicy piłki nożnej

Dla wszystkich obywateli lato już się skończyło. Obywatele już chodzą w kaloszach, z rezygnacją oczekują grypy, często podchodzą do kaloryferów i obmacują je zziębniętymi palcami. Ale dla miłośników piłki nożnej lato jest jeszcze w pełni. Siedzą ciasno na stadionie z gazetą na głowie, a po ich policzkach cieką grube krople. Nie wiadomo, czy to deszcz, czy też łzy zachwyty dla wysokiej klasy gry.

Kilka razy do roku zdarzają się takie wspaniałe i dziwne, wręcz niewiarogodne dni, kiedy w Moskwie nie odbywa się żadne posiedzenie. W te dni nie zadzwięczy dzwonek przewodniczącego, nikt nie poprosi o głos w sprawie porządku dziennego, nie zabrzmi grobowy głos referenta.

Nikogo nie ma. Wszyscy poszli na stadion „Dynamo” na mecz piłki nożnej.

Starzy i młodzi miłośnicy sportu, wielbiele piłki nożnej, zewsząd ściągają na Strastny plac, skądwiedzie prosta droga na stadion „Dynamo”. Stąd już wielotysięczny tłum wali zwartą ławą.

Właśnie tu, na tej drodze utworzonej z ulicy Twerskiej, szosy Leningradzkiej i „pokazowego kilometra” zdarzył się pierwszy i jedyny w świecie wypadek, kiedy piesi zgnietli samochód.

Powtarzamy. Nie samochód zgniół pieszych, tylko piesi zgnietli samochód.

Dramat rozegrał się na „pokazowym kilometrze”. Niecierpliwi zwolennicy piłki nożnej, na widok hropowatych szarych bastionów „Dynamo” mających poprzez zarośla parku Pietrowskiego, rozwinęli niedozwoloną szybkość i w mgnieniu oka stratowali spokojnie przejeżdżający Fordzik, model „A”. Ford piszczał jak królik. Ale nic nie pomogło. Przeszło po nim pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Po czym nadawał się już tylko na złom.

Pewna staruszka, która przyjechała z Możajska w dniu meczu, na próżno przez osiem godzin czekała na tejże drodze na tramwaj, po czym wyjechała z powrotem do Możajska, nie rozumiejąc, co zaszło.

Sytuacja normalnych obywateli w takim dniu jest okropna. Wszystkie środki komunikacji są zajęte przez kibiców, którzy wymachują rękami, głośno wypowiadają domysły na temat mającego się odbyć spotkania, zajmują wagony, chodniki, jezdnie, atakują pojedyncze taksówki i błagają szofera, aby ich zawiózł na stadion, błagają jak żebracy, ze łzami w oczach.

W każdym razie szczęśliwi posiadacze biletów (zwykle załatwia to organizacja widowni) docierają na stadion. Tu już czekają na nich nieprzebrane tłumy. To niezorganizowani widzowie, którzy biletów nie dostali i nie dostaną. Przyszli w nadziei na cud.

Prosty rachunek: któremuś z pięćdziesięciu tysięcy kibiców zachoruje żona lub przyjaciel. „Zdarzają się takie wypadki” - marzy niezorganizowany widz. I ten „któryś” będzie sprzedawał bilet. Albo nagle jakiś pomyłony facet przepchnie się do samego wejścia na północną trybunę i rozmyśli się; nagle odechce mu się iść na mecz. I też będzie sprzedawał bilet.

Niestety, niezorganizowany widz na próżno przymilnie zagłąda w oczy zorganizowanemu widzowi i zepcze:

- Może jest bilecik do odstąpienia?

Wszystko nadaremno. Żony i przyjaciele w takim dniu nie chorują, a pomyłonych facetów w ogóle nie ma.

Opowiadają zresztą, że kiedyś jakiś ekscentryk zaproponował wolny bilet na okrągłą trybunę. Ledwie to oznajmił, zniknął w tłumie niezorganizowanych widzów. Przez chwilę trwał ciężki tumult i zamieszanie, a kiedy ludzie zaczęli się rozchodzić z rozognionymi policzkami, na miejscu wypadku znaleziono tylko dwa guziki od marynarki i garstkę proszku. I nikt do tej pory nie wie, co się stało z lekkomyślnym właścicielem biletu.

Na pół godziny przed rozpoczęciem meczu, kiedy widzowie idą ławicą jak śledzie, a samochody z całej

Moskwy ustawiają się w długą, wesołą wstęgę, wytwórnia filmowa wysyła grupę operatorów, która szybko nakręca sceny mające wyobrazić ruch uliczny w Nowym Jorku. Jest im to potrzebne do filmu

„Rekiny kapitału”

Betonowe stoki stadionu są wypełnione po brzegi. Na północnej trybunie widzowie rozwijają paczuszki i w podnieceniu posilają się (nie zdążyli zjeść obiadu). Na słonecznej, południowej trybunie ludzie robią z gazet błazeńskie, śmieszne trójkąty i rożki na głowę dla ochrony przed słońcem.

Wreszcie odzywa się czterotonowy gwizdek sędziego. Wszyscy mimo woli wzdychają z ulgą. Palacze awczasu zapalają papierosy, żeby się potem nie rozpraszać, a niepalący kładą do ust miętowe drażetki „Pektus” i nerwowo mlaskają językami.

Dla miłośnika piłki nożnej mecz toczy się z oburzającą szybkością. Spotkanie trwa wprawdzie półtorejgodziny, ale kibicowi zdaje się, że został oszukany, że mecz trwał zaledwie kilka minut. I w dodatku rzez te kilka minut sędzia był wyraźnie po stronie jednej z drużyn. Kibicowi zawsze się zdaje, że sędzia faworyzuje jedną ze stron i niesprawiedliwie sędziuje, że piątka atakująca nie dość szybko się uwija, a lewe skrzydło jest w ogóle do chrzanu; całkiem się rozkleili, gola strzelili z off-sidu i w ogóle, gdyby on, kibic, znalazł się na boisku, wszystko odbyłoby się o wiele ciekawiej, uczciwiej i lepiej.

Ale pomimo wszystko miłośnik piłki nożnej to dobry i porządny człowiek. Jest młody. Przejmuje się, entuzjazmuje, cierpi, wysoko ceni dobrą grę drużyny, dobre podanie piłki i celny strzał do bramki. Nie lubi fuszerów i tak zwanych indywidualistów, którzy „odbijają się”, grają sami dla siebie i psują cudowną harmonię piłki nożnej.

Żadna impreza widowiskowa nie może pochwalić się tak wielkim zainteresowaniem mas pracujących, jak stadion sportowy w dniu wielkiego międzynarodowego meczu. Świat pracy zajmuje w tym wypadku dziewięć dziesiątych miejsc.

Pod koniec drugiej rundy zaczyna zmierzchać. Nad boiskiem przelatuje ciężki pocztowy samolot. Jego skrzydła jeszcze błyszczą w słońcu, a na trybunach już całkiem wyraźnie widać błyski zapalek. W tym przełomowym momencie, kiedy na odegranie się zostało zaledwie kilka cennych sekund i gra jest u szczytu, wstaje z miejsca jakiś bubek w białej zamszowej czapce i depcząc innym po nogach, kieruje się do wyjścia. Wyobraża sobie, że wsiądzie do pustego tramwaju! Za jego przykładem ujawnia się pozostała garstka bubków asystujących na meczu. Jest ich w sumie około trzech tysięcy. Wszyscy zrywają się z miejsc i jak szaleni biegną do wyjścia. Dla tych pożałowania godnych osobników tramwaj jest ważniejszy niż piłka nożna. Wszyscy patrzą na nich z pogardą jak na łamistrajków.

W tym czasie, kiedy oni, użerając się między sobą, walczą o miejsce na końcowym przystanku tramwajowym, pozostała masa widzów przeżywa ostatnie niepowtarzalne kombinacje spotkaniapiłkarskiego.

Jeszcze chwilę po ostatnim finałowym gwizdku wszyscy siedzą nieruchomo, wstają bez pośpiechu i z owagą wychodzą na szosę wzbijając obłoki kurzu. Tu, na „pokazowym kilometrze”, omawia się grę i wydaje się ostateczne opinie na temat tego lub innego gracza.

Wtedy smutno być osamotnionym. Chciałoby się porozmawiać, ale nie ma z kim. Samotnik z żalonym uśmiechem podbiega do poszczególnych grup i usiłuje wmieszać się do rozmowy. Alewszyscy są zajęci wymianą zdań i nowy rozmówca spotyka się z chłodnym przyjęciem. Żle jest być samotnionym.

Na ostatnim wielkim meczu pewien entuzjasta piłki nożnej miał bardzo przykre przejście. Przyszedł na stadion w dużym towarzystwie, ale przy wyjściu zgubił się w tłoku z przyjaciółmi. I znalazł się w okropnym położeniu - nie miał z kim podzielić się wrażeniami.

Miotał się w tłumie obcych, obojętnych pleców i nie wiedział, co począć. Wrażenia go rozsadały. Nie mógł znieść tego dłużej i postanowił wysłać do kogoś depeszę. Ale do kogo?

W rezultacie miał miejsce fakt następujący: w nocy, w miejscowości Syzrań, listonosz obudził spokojnego urzędnika, wuja pomienionego entuzjasty, i wręczył mu telegram. Prowincjonalny wujaszek długo dreptał bosymi nogami po zimnej podłodze i usiłował rozszyfrować zagadkową treść depeszy:

„Gratuluje wyniku dwa do trzech korzyść Zbornej kropka wyróżnił się lewoskrzydłowy drużyny tureckiej Rebi przecinek z wielkim taktem sędziował Kemal Rifat przecinek powinszuj ciotce”

Wujaszek nie spał do rana. Ciotka płakała, chociaż też nie rozumiała, o co chodzi.

W złotej oprawie

Kiedy przez radio miano nadawać „Piękną Helenę”, aksamitny głos kierownika audycji muzycznych oznajmił:

- Uwaga, towarzysze, podajemy osoby działające:

1.2.3.4.5.6.Helena - kobieta, która pod ładną powierzchownością ukrywa całkowitą pustkę duchową.

Menelaos - pod postacią króla zręcznie ukrywa zgniłe instynkty drobnego posiadacza i wielkiego feudała.

Parys - pod powierzchownością pięknego młodziana ukrywa wyrachowanie.

Agamemnon - pod postacią bohatera ukrywa tchórzostwo.

Trzy boginie - głupi mit.

Ajaksowie - dwaj bracia renegaci.

Dziwny to był zaiste spis osób działających. Pod każdą z nich coś tam się ukrywało.

Radiosłuchacze nadstawili uszu. A kierownik audycji muzycznych ciągnął dalej:

- Muzykę do operetki skomponował Offenbach, który pod nikomu niepotrzebną powierzchowną melodycznością usiłuje ukryć całkowitą pustkę duchową tudzież drapieżne instynkty wielkiego posiadacza i drobnego feudała.

Oburzeni słuchacze już gotowi byli rzucić się z drągami na tych wszystkich obłudników, którzy o mały włos nie wśliznęli się do radzieckiego programu radiowego, a równocześnie wyrazić wdzięczność kierownikowi audycji muzycznych, że w samą porę zdemaskował tych wszystkich menelajów, parysów i ajaksów, kiedy ten sam aksamitny głos oznajmił:

- A zatem posłuchajcie operetki „Piękna Helena”. Za chwilę bez dalszej zapowiedzi połączymy się z salą teatru.

I rzeczywiście, po chwili bez dalszej zapowiedzi połączono się z salą teatru. Rozległa się muzyka, według zapowiedzi spikera: a) nikomu niepotrzebna, b) pozbawiona głębszej treści, c) coś tam ukrywająca.

Zdziwienie pocziwego radiosłuchacza nie miało granic.

W ogóle konsument dóbr artystycznych natrafia na poważne trudności.

Kiedy przechodzi od radia do książki, także naraża się na różne nieprzyjemności. Gdy już nacieszy się do syta kolorową obwolutą, złotą oprawą i napisem: „Przyczynki do życia teatralnego i społecznego - wspomnienia kapitana piechoty i aktora-amatora, A. M. Snop-Nieniemieckiego”, czytelnik otwiera książkę i od razu natrafia na obszerny wstęp.

Tu dowiaduje się, że A. M. Nieniemiecki: a) nigdy nie odznaczał się głębią talentu; b) zawsze ślizgał się po powierzchni; c) napisał wspomnienia niedbale, błahe-i zgoła podejrzane co do autentyczności; d)e)f) że właściwie wspomnienia napisał wcale nie Snop-, tylko nędzny dziennikarzyna Tantałów - nieuk i blagier; że istnienie Snop-Nieniemieckiego jest w ogóle wątpliwe (może taki Snop wcale nie istniał) i wreszcie że pomimo wszystko książka jest bardzo interesująca, gdyż daje jasny i przejrzysty obraz obyczajowy przedrewolucyjnych sfer aktorskich, które oscylowały między potężnym feudalizmem a drobnymi posiadaczami.

Potem następuje piękna grawiura na palmowym drzewie przedstawiająca dwóch całujących się centaurów, a po centaurach osiemset stron tekstu, podejrzanego co do autentyczności, ale coś tam jednak obrazującego.

Zdetonowany czytelnik odsuwa książkę i mruczy:

- Nagadali, nagadali i masz, babo, placek - znowu połączyli z salą bez dalszej zapowiedzi!

Stopniowo powstała kasta autorów wstępów, dotychczas jeszcze nie zorganizowana w związek zawodowy, która przygotowuje dwa standardowe rodzaje wstępów.

Pierwszy rodzaj potępia utwór w miarę możliwości z pianą na ustach, w postscriptum jednakże poleca dziełko uwadze radzieckiego czytelnika.

Druga kategoria z grubsza charakteryzuje autora teatralnych lub innych wspomnień jako marksistę i, ustawivszy jakąś tam elżbietańską staruszkę na bazie ideologicznej, również poleca jej dzieło uwadze czytelnika.

Do tej dziwnej kasty przyłączają się dzielni kierownicy audycji i konferansjerzy, demaskując przed seansem tajemnicze sztuczki prestidigitatorów, kapłanów tudzież fakirow.

A konsument strawy artystycznej podejrzliwie patrzy na książkę. Snop-Nieniemiecki został zdemaskowany i już nie budzi zainteresowania, a w elżbietańską staruszkę dziarsko kroczącą pod sztandarem marksizmu trudno uwierzyć.

Konsument z westchnieniem odkłada książkę na półkę. Niech stoi. Bądź co bądź - złota oprawa.

Pod skrzydłem literatury pięknej

Jak powstawał Robinson

W redakcji ilustrowanego trzytygodnika „Trybuna Przygodowca” dawał się odczuć brak artystycznych utworów zdolnych przyciągnąć uwagę młodzieżowego czytelnika.

Trafiały się, owszem, różne utwory, ale niezupełnie odpowiednie. Za dużo w nich było mdlącej powagi. Prawdę mówiąc, działały one raczej przygnębiająco na młodego czytelnika. Nie przyciągały jego uwagi. A redaktor właśnie pragnął ją przyciągnąć.

W rezultacie postanowił zamówić powieść w odcinkach.

Redakcyjny szybkobiegacz pomknął z wezwaniem do pisarza Mołdawancewa i już następnego dnia

Mołdawancew siedział na kupieckiej kanapie w gabinecie redaktora.

- Musi to być coś zajmującego, świeżego, pełnego ciekawych przygód - tłumaczył redaktor. - Słowem, coś w rodzaju radzieckiego Robinsona Kruzoe. Tak, żeby czytelnik nie mógł się oderwać.

- Niech będzie Robinson - krótko odparł pisarz.
- Ale nie taki zwyczajny Robinson, tylko Robinson radziecki.
- Pewnie, że nie rumuński.

Pisarz nie był rozmowny. Od razu widziało się, że to człowiek czynu.

Istotnie, powieść była gotowa na umówiony termin. Mołdawancew niewiele odbiegł od znakomitego wzoru. Jak Robinson - to Robinson.

Na okręcie, który ulega rozbiciu, znajduje się radziecki młodzieniec. Fala wyrzuca go na bezludną wyspę. Jest sam, bezbronny w obliczu wszechmocnej przyrody. Zewsząd czyha nań niebezpieczeństwo, dzikie zwierzęta, liany, zbliża się pora deszczowa... Ale pełen energii radziecki

Robinson przełamuje wszystkie trudności na pozór nie do pokonania. Po trzech latach radziecka ekspedycja odnajduje go w znakomitej formie. Uporał się z przyrodą, zbudował chatynkę, otoczył ją zielonym pierścieniem ogrodów, założył hodowlę królików, z małych ogonów uszył sobie tołstówkę i nauczył papugę budzić go co rano słowami: „Uwaga! Wyskocz z łóżka, wyskocz z łóżka! Zaczynamy poranną gimnastykę!”

- Doskonale - powiedział redaktor - a jeśli chodzi o króliki, to wprost znakomicie. Bardzo na czasie.

Ale, wiecie, idea przewodnia utworu nie jest dla mnie dość jasna.

- Walka człowieka z przyrodą - jak zwykle zwięźle odparł Mołdawancew.
- Tak, ale tu nie ma nic radzieckiego.
- A papuga? Przecież ona zastępuje radio. Nadajnik zastępczy.
- Papuga - zgoda. Jak również zielony pierścień ogrodów. Ale nie czuje się tu radzieckich urządzeń społecznych. Gdzie jest na przykład Rada Miejskowa? Gdzie kierownicza rola związków zawodowych?

Mołdawancew nagle się zdenerwował. Skoro tylko wyczuł, że powieść może nie być przyjęta, jego małowówność natychmiast znikła. Stał się bardzo wymowny.

- Skąd tu Rada Miejskowa? Przecież to bezludna wyspa;

- Tak, oczywiście, bezludna. Ale Rada powinna być. Nie jestem mistrzem słowa, ale na pańskim miejscu bym ją wprowadził. Jako element radziecki.

Ale przecież cała treść opiera się na tym, że wyspa jest bezludna...

Tu Mołdawancew przypadkiem spojrzął w oczy redaktora i zająknął się. Te oczy były takie wiosenne, taka w nich była marcową przejrzystość i błękit, że postanowił ustąpić.

- Właściwie to słuszna uwaga - rzekł podnosząc palec w górę. - Oczywiście. Że też od razu na to nie wpadłem. Ratuja się dwie osoby: Robinson i przewodniczący Rady.

- I jeszcze dwóch członków - chłodno dorzucił redaktor.

- Ojej - jęknął Mołdawancew.

- Nie ma żadnego „ojej”. Dwóch członków i jedna aktywistka, inkasentka składek.

- Po co inkasentka? Od kogo będzie zbierała składki?

- Od Robinsona.

- Składki od Robinsona może zbierać przewodniczący. Korona mu z głowy nie spadnie.

- O przepraszam, to jest błędne podejście, towarzyszu Mołdawancew. I absolutnie niedopuszczalne.

Przewodniczący Rady nie może rozmieniać się na drobne i uganiać się za składkami. My z tym walczymy. On powinien zajmować się poważną pracą kierowniczą.

- No to niech już będzie ta inkasentka - poddał się Mołdawancew. - Nawet dobrze się składa. Potem wyjdzie za mąż za przewodniczącego, albo może za Robinsona. Będzie się nawet lepiej czytało.

- To nie ma sensu. Chce się pan stoczyć na pozycje powieści bulwarowej, w niezdrowy erotyzm? Ona powinna zbierać składki i trzymać je w ogniotrwałej kasie!

Mołdawancew niespokojnie poruszył się na kanapie.

- Przepraszam, a skąd na bezludnej wyspie kasa ogniotrwała?

Redaktor zamyślił się głęboko.

- Zaraz, zaraz - powiedział - tam w pierwszym rozdziale jest takie wspaniałe miejsce. Wraz z

Robinsonem i członkami Rady fala wyrzuca na brzeg różne przedmioty...

- Siekierę, karabin, busolę, beczkę rumu i butelkę ze środkiem przeciwszkorbutowym - uroczyście wyliczył autor.

- Rum trzeba wykreślić - szybko zawyrokował redaktor. - A następnie, co to za środek przeciwszkorbutowy? Komu to potrzebne? Lepiej niech będzie butelka atramentu. I koniecznie kasa ogniotrwała.

- Też pomysł z tą kasą! Składki można doskonale przechowywać w dziupli baobabu. Kto je będzie kradł?

- Kto? A Robinson? A przewodniczący Rady? A członkowie? A komisja społeczna?

- Czyżby ona, też się uratowała? - z przestachem spytał Mołdawancew.

- Owszem. Ona też się uratowała.

Zapadło milczenie.

- A może fale wyrzuciły również na brzeg stół konferencyjny? - ironicznie spytał autor.

O-czy-wiś-cie! Trzeba ludziom zapewnić warunki pracy. A więc karafka z wodą, dzwonek, sukno. Co do sukna to już wszystko jedno jakie fale wyrzucą. Może być czerwone, może być zielone. Nie mam zamiaru krępować wyobraźni artystycznej. Ale przede wszystkim, kochasiu, trzeba pokazać masy, szerokie masy ludzi pracy.

- Fale nie mogą wyrzucić szerokich mas - upierał się Mołdawancew. - To byłoby niezgodne z założeniem. Też pomyśl! Fale wyrzucają na brzeg kilkadziesiąt tysięcy ludzi! Koń by się uśmieł!

- Właściwie odrobina zdrowego, rześkiego, optymistycznego śmiechu nigdy nie zawadzi - wtrącił redaktor.

- Nie! Tego fale zrobić nie mogą!

- Jakie fale? - zdziwił się nagle redaktor.

- A w jaki sposób szerokie masy dostaną się na wyspę? Przecież to jest wyspa bezludna!

- A dlaczego bezludna? Coś pan tu kręci. Sprawa jest całkiem jasna. Mamy wyspę, a może nawet lepiej - półwysp. To będzie bezpieczniej. I tam ma miejsce szereg wspaniałych, świeżych, ajmujących przygód. Rozwija się szkolenie zawodowe, chociaż nie zawsze dostatecznie się rozwija.

Aktywistka wykrywa szereg uchybień, dajmy na to, w dziedzinie uiszczania składek. Pomagają jej szerokie masy. I skruszony przewodniczący. Na końcu można pokazać walne zebranie, co może wypaść wyjątkowo efektownie w literackim ujęciu. I to wszystko.

- A Robinson? - szepnął Mołdawancew.

- Właśnie. Dobrze, że mi pan przypomniał. Robinson mnie trochę niepokoi. Trzeba go całkiem usunąć.

Bezsensowna, niczym nie usprawiedliwiona postać niedołągi.

- Teraz już wszystko jest jasne - powiedział Mołdawancew grobowym głosem. - Na jutro będzie gotowe.

- No to powodzenia. Niech pan tworzy. Jeszcze jedno - tam, na początku pana powieści, rozbija się statek. To jest niepotrzebne. Lepiej tego uniknąć. Będzie o wiele ciekawiej. Nieprawdaż? No to w porządku. Do widzenia.

Kiedy redaktor został sam, roześmiał się radośnie.

- Nareszcie - powiedział - będę miał prawdziwie przygodowy utwór i w dodatku na wysokim poziomie artystycznym.

Gdy odchodzą kapitanowie

Każdy klient chce się ładnie prezentować.

Od krawca żąda, aby spodnie układały się w szerokie, miękkie fałdy. Od fryzjera domaga się takiego rozplanowania fryzury, jakby łysina w ogóle w naturze nie istniała. Od pisarza spodziewa się prawdy życiowej w ramach zdrowego optymizmu.

Taki jest klient.

Koniecznienie chce ładnie wyglądać. Stara się o to.

- Kto ujmie cukrownictwo w formę literacką? - pyta w zadumie dyrektor przemysłu cukrowniczego. -

Jest powieść o cemencie, o żelazie piszą bez przerwy, nawet o sandaczach jest jakaś sztuka w ramach zdrowego optymizmu, natomiast o cukrownictwie, prócz fachowych broszur, nie ma ani słowa. Czas najwyższy zainteresować pisarzy problemami cukrownictwa.

Sekretarz dostaje polecenie przygotowania zagadnienia i zmobilizowania ogółu pisarzy w ciągu dwudziestu czterech godzin (czasami w ciągu dwudziestu ośmiu).

Sądzę, że należy pójść po linii towarzyskiego zebrania) z kolacją. Forma - jak zwykle. Drogi towarzyszu... to, owo... wasza obecność niezbędna - oświadcza sekretarz.

Postanawiają przeto iść po wyżej wspomnianej linii, zwłaszcza że cukier mają własny, a pozostałe elementy kolacji można zdobyć drogą wymiany naturalnej z innymi przedsiębiorstwami.

Na poczekaniu sporządza się listę zaproszonych.

A więc: Aleksiej Tołstoj, Gładkow, Sejfullina, teraz na L... który tam z „Sot'sarancuków”... aha,

Leonow. A dalej Olesza, on to potrafi! Dwóch ważniejszych pisarzy proletariackich - Fadiejew i

Afinogenow, na wypadek gdyby chodziło o utwór dramatyczny. Dla hecy można też zaprosić

Zoszczenkę, niech napisze coś w rodzaju „Arystokratki”, ale w aspekcie buraków cukrowych.

Przydałby się jeszcze jakiś krytyk. Tamci piszą, a on ich od razu na miejscu krytykuje.

- I ustawia ideologicznie.

- Tak, ustawienie jest konieczne. Trzeba zaprosić jakiegoś krytyka. Obecność obowiązkowa.

I oto człapie woźna z brezentową książką doręczeń. Słońce grzeje ją w podstrzyżony kark. Wiosna na dworze. I w ogóle wszystko cudownie.

Jeszcze trochę, a tajemniczy proces cukrowniczy będzie wreszcie uwieczniony w literaturze pięknej.

Ale nie ma pełnego szczęścia na tej ziemi. Wieczorem okazuje się, że zdarzył się akt poważnego, niczym nie wytłumaczonego sabotażu.

Stoi długi stół, na nim talerze, mielone kotlety, dworcowe karafki tudzież kanapki nielegalnie zdobyte drogą wymiany naturalnej, a także ciastka.

Wszystko jest. Tylko pisarzy nie ma. Nie przyszli. Nikczemnie zawiedli. Zdezerterowali z cukrowniczego frontu.

Sekretarz zwija się pod karcącym wzrokiem zwierzchnika. Lśni obeschnięty ser na kanapkach. Fatalna sytuacja.

- Któż tak załatwia sprawę? - odzywa się nagle naczelny dyrektor. - Kto tak mobilizuje aktyw twórczy?

Ile osób zaprosiliście? Trzydzieści? I nikt nie przyszedł? To znaczy, że trzeba zaprosić trzysta. Wtedy przyjdzie dziesięć osób. W sam raz tyle, ile nam potrzeba. A kanapki można skropić wodą. Będą jak. Świeże.

- Przepraszam, ale skąd wziąć trzysta osób? Czy jest aż tak wielu tych... mistrzów pióra?

- Ho, ho! Nie wiecie chyba, co się dzieje! Sam tylko miejscowy oddział pisarzy może wystawić trzy tysiące szabel! A Wszechrosyjski Związek Dramatyczny? A małe formy? To istna Złota Horda! Najazd

Batu-chana. A Dom Twórczości Amatorskiej imienia Krupskiej? To niewyczerpane źródło energii twórczej! Oni wam wszystko pięknie odmalują. Zwróćcie się wprost do Domu Hercena i rąbcie zaproszenia według alfabetu. A o kanapki nie ma zmartwienia. Będą jak świeże.

Tak też zrobili. Sztuka wymaga ofiar.

Tym razem w przytulnej sali konferencyjnej przemysłu cukrowniczego stawiło się sporo osób. Co prawda, Aleksiej Tołstoj, Fadiejew i wielu innych znowu podle zawiedli, ale zawsze ktoś przyszedł.

Wybitnych nazwisk nie widać, ale jest jakiś czerstwy jegomość w mundurze kapitana ze złotymi naszywkami. Pozostali również budzą zaufanie. Wprawdzie to nie są jeszcze znakomitości, ale jest wśród nich jeden w binoklach, pisarz, jak widać, typu Czechowa.

W każdym bądź razie można zaczynać dyskusję.

- Wy tu sobie siedzicie i nic, u licha, nie robicie - odzywa się nagle czerstwy jegomość w mundurze kapitana - a tymczasem dzieją się rzeczy wielkiej wagi. Meyerhold stacza się w drobnomieszczańskie błoto! Jako człowiek żywy, z krwi i kości, nie mogę przejść nad tym do porządku dziennego!

Mówi długo i przekonująco. Głównie o Meyerholdzie. Oklaskują go.

- A cukrownictwo? - nieśmiało zapytuje sekretarz.

- Jakie, do licha, cukrownictwo? - irytuje się pisarz. - Kiedy według mnie najważniejsza jest w tej chwili marynizacja literatury.

I wychodzi zły, krępy i sympatyczny.

Niepostrzeżenie wymykają się również inni. Zostaje tylko trzech, między nimi pisarz w binoklach, typu

Czechowa.

Jest ich mało, ale to skarb, nie ludzie.

Na wszystko się zgadzają. Tak. Cukrownictwem ogromnie się interesują. Tak. Już dawno marzyli, żeby się włączyć. Mało tego. Pragną natychmiast i niezwłocznie przystąpić do strony praktycznej zagadnienia.

Na przykład: a) dokąd jechać (najchętniej na południe), b) ile za to dostaną (specyfika zagadnienia, jak sami rozumiecie!),) czy można pobrać honorarium w naturze (cukier, syrop, melasa).

To są wspaniali, dzielni ludzie. Ci dopiero napiszą! Dziwne tylko, na co im potrzebny cukier? Zresztą, może chcą dokładnie przestudiować, dajmy na to przedmiot produkcji. To ciekawe. Niech studiują!

Pisarz typu Czechowa żąda dodatkowo pary butów, ciepłych kałesonów i pięciuset sztuk papierosów

„Nord”. To już sprawa trudniejsza, ale gospodarczy obiecuje, że się postara.

To są naprawdę czarujący ludzie - Ż. N. Podprugin, Al. Błagostowiennyj oraz Samuil December

(November).

Śmiejąc się cicho opuszczają salę bankietową. I podczas gdy poczciwi cukrownicy dzielą się wrażeniami, wychwalają literaturę i rozmawiają o ideałach, Podprugin, Błagostowiennyj i December

(November) jadą tramwajem. Trzymają się za rzemyki u sufitu i wołają do siebie:

- Miód, malina!

- Dobrze koryto!

- Ba! Nie tylko koryto, ale wręcz legowisko tłustych fok. Tylko chodzić z harpunem i ogłuszać.

- Ależ głupstwo strzeliłem! Można było wydebić jeszcze palto „raglan” na futrze. Eh, zgapiłem się!

Osiół ze mnie! Daliby bez gadania!

- Z połowami głębinowymi już się załatwiłem. Teraz załatwię się z kryształem. Powieść może nosić tytuł „Bohaterowie rafinady”.

Wszyscy trzej śmieją się srebrzystym, rusańczanym śmiechem. Oni na wszystkim się znają. To są ludzie interesu, kłusownicy i łowcy tłustych fok.

Niech się inni gorączkują, mówią o światopoglądach, o metodach i metaforach, nawet o znakach przestankowych. Łowca fok tym się nie przejmuje. Uczestniczy w kolejnej wspólnej kolacji w kolejnym przedsiębiorstwie i z pełnym godności uśmiechem miesza łyżeczką herbatę. Niechaj literaccy kapitanowie mówią wzniosłe słowa. To rozparzeni inteligenci.

Łowca fok dobrze ich zna. Pogadają i pójdą. A on zostanie. Zostanie i od razu przystąpi do strony praktycznej zagadnienia. Tym razem już nie daruje „raglanu” na futrze i wielu innych rzeczy.

Ani December (November), ani Z. N. Podprugin, ani Al. Błagostowiennyj na drugi raz nie spudłują.

Na jesieni roznoszą swój literacki towar po różnych przedsiębiorstwach. Najobficiej reprezentowaną jest forma szkicu („Bohaterowie kanalizacji”, „W walce o butkę”, „Stalowe koryto”, „Socjalistyczna warta”). Ale zdarzają się i większe płótna: „Miłość w szybie” (romans przedstawiający coś antracytowego albo i nieantracytowego); „Zbawienna soja” (utwór dramatyczny w pięciu aktach).

Własność instytutu soi); „Wesołe kolumbarium” (mała forma na zamówienie aneksu cmentarza).

Dobre i spokojne życie wiodą łowcy fok. Drukują swój towar w takich niedostępnych dla ogółu miejscach, w takich zakonspirowanych biuletynach, tygodnikach i sprawozdaniach bilansowych, że nikt nigdy nie dotrze do „Wesołego kolumbarium” lub też „Stalowego koryta”.

Jednakże łowcy fok mają swój słaby punkt. Ta achillesowa pięta widoczna jest przez dziuraweskarpetki. Pewnego dnia rozchodzi się hiobowa wieść, że miejscowy oddział pisarzy będzie usuwał szyszków tych członków, którzy nie wykazali się drukowaną pozycją. A więc skończą się zaproszenia na wspólne kolacje i będzie krucho.

Przeto łowca fok zbiera wszystkie swoje mniejsze i większe opusy, skleja do kupy, nadaje jakiś wspólny, niezbyt wymyślny tytuł i dorożką wiezie rękopis do Państwowego Wydawnictwa

Literackiego.

Dokoła rękopisu zaczyna się ruch. Czytają go, przenoszą z pokoju do pokoju, pocą się nad nim.

- Co z tym fantem robić?

- Eh - powiada zniechęcony redaktor. - Isbachowi daleko do Balzaka, a ten Podprugin to już z pewnością nie Balzak.

- W takim razie odrzucimy?

- Przeciwnie. Wydrukujemy. Porusza najbardziej aktualne tematy. Język drewniany, postacie schematyczne, ale nastrój optymistyczny. Książka bierze. A przy tym na końcu wyraźnie napisane:

„Bój to będzie ostatni”

- A „krwawy skończy się trud” też jest?

- A jakże.

- No to trzeba drukować. Książeczka, rzecz można, ponura brednia, ale przynajmniej nie będzie z nią kłopotów. Nikt się nie przycepi.

To fatalna pomyłka.

Skoro tylko książka łowcy fok ukazuje się w druku i literatura produkcyjna wychodzi na światło dzienne, powstaje straszliwy krzyk.

Krytyka nie przebiera w słowach. Nazywa autora piratem, oszustem, szczurem, który zagnieździł się w literackim spichrzu, hochsztaplerem. Redaktor zostaje usunięty ze stanowiska i wysłany do

Kołogrzywu celem czuwania nad poziomem kulturalnym miejscowych bednarzy. „Wesołe kolumbarium” zostaje wycofane ze sprzedaży i spalone w stołówce Domu Hercena (wskutek czego kotlety ciągle jeszcze mają przeohydny smak).

Sprawa nabiera rozgłosu.

Tego samego dnia blady i wystraszony łowca fok chwyta walizkę, żonę oraz pewną młodą osóbkę i wyjeżdża do Suuk-Su. Wraca dopiero po trzech miesiącach, wypoczęty, ogorzały na południowym skwarze, w pełni sił twórczych. Jego sprawa już poszła w zapomnienie.

Jeszcze tego samego wieczoru udaje się na wspólną wieczerzę wydaną w sali konferencyjnej

Moskiewskiej Centrali Przemysłu Ludowego.

Życie toczy się dalej.

Klientów nie brak. Wszyscy chcą, aby ich przedstawić w ramach zdrowego optymizmu.

Wszyscy chcą się ładnie prezentować.

Wieki kancelaryjny gościniec

Niedawno w świecie literackim miało miejsce niezwykle ważne wydarzenie.

Ależ nie! Wcale nie to, o którym myślicie.

To było co innego. Fakt, jeśli wam to bardziej odpowiada. Ale fakt dość znamienity. Tymczasem nikt nie zwrócił na niego uwagi. W ogóle jesteśmy dziwnie obojętni, wielu rzeczy nie dostrzegamy, godzimy się ze stanem faktycznym.

W Państwowym Wydawnictwie Literackim, diabli wiedzą, ile miesięcy, wisiała nad kasą drukowana wywieszka:

LOKUJ NADWYŻKI NA KSIAŻECZCE

A NIE W KNAJPIE!

I w porządku. Pisarze nie czuli się tym dotknięci, chociaż aluzja była więcej niż przejrzysta. Jeśli jeszcze wziąć pod uwagę, że owa kasa wypłaca honoraria tylko literatom, a także to, że PWL jest bodaj jedynym wydawcą literatury pięknej, to okazuje się, że wszyscy beletryści, poeci i krytycy w komplecie stoją pod zarzutem bezprzymiotnego opilstwa. Mimo to nikt nie zaprotestował. Każdy przeczytał, nie zastanowił się, nie wziął do serca tej obraźliwej aluzji, nie przejął się i pobiegł dalej załatwiać swoje sprawy, dajmy na to - do „Redakcji Poezji” (też osobliwa nazwa, ale nikt nie protestuje. Utarła się).

Ale wróćmy do tego wydarzenia.

Do urzędu literatury - istnieją bowiem takie urzędy - przyszedł pisarz Aleksiej Samoobłożenski, który zdobył popularność dzięki swojej powieści z życia sprzedawców lodów pt. „Pnie i wyboje”. W rękę trzymał arkusz papieru, na którym z wojskową zwięzłością było napisane:

RAPORT

Z powodu nawału pracy społecznej nie miałem możliwości zmobilizować się do napisania dawno zamierzonej powieści w dwóch tomach, której wydanie pragnę zsynchronizować z uruchomieniem pierwszej linii moskiewskiej kolei podziemnej.

Niniejszym proszę o udzielenie mi czteromiesięcznego urlopu twórczego.

Uzasadnienie: konieczność wykonania wyżej wspomnianego dzieła.

Załączniki: bez załączników.

Podpis: Aleksiej Samoobłożenski.

Dokument ten pokazał swoim kolegom – pisarzom, którzy plotkowali siedząc w korytarzu na parapetach okien.

W tym wypadku także nikt się nie zdziwił, nikt nie zapytał, dlaczego pismo nosi nagłówek „raport” i co a z tym wszystkim wspólnego kolej podziemna!. A zwłaszcza nikt nie zastanowił się nad dziwnym i nienaturalnym faktem, że pisarz prosi o urlop celem wypełnienia podstawowych obowiązków pisarza.

Przecież listonosz nie idzie na urlop po to, żeby roznieść po mieszkaniach listy i depesze. Konduktor kolejowy również robi, co do niego należy, bez specjalnej uchwały.

Tymczasem postępowanie Samoobłożenskigo wydało się wszystkim całkiem naturalne. Ktoś nawet zauważył:

- Dobrze zreferowane, Alosza. Zwłaszcza na temat kolei podziemnej. Bardzo przekonywająco. Na pewno dostaniesz urlop.

- Na pewno dostanę – cieszył się Samoobłożenski. – Będę mógł pisać. Podmiot, orzeczenie, jakiś pomysł, jakaś przenośnia... Cudownie!

- Ale komu ty właściwie zamierzasz złożyć ten raport?

- Komukolwiek. Bez różnicy. Tu, w Domu Hercena, w Związku Pisarzy.

- A nie zapomnij złożyć odpisu w Spółdzielni Mieszkaniowej „Pisarz radziecki”. Uważaj, Aloszeńka! Ty sobie pojedziesz na urlop twórczy, a tu ci mieszkanie sprzed nosa ucieknie.

Tak, tak – zaniepokoił się Samoobłożenski. – Jeden odpis do spółdzielni, drugi do stołówki.

Nagle odezwał się jakiś sceptyk:

- A dlaczego niby masz składać raport w Związku Pisarzy? Co ma do tego Związek? Powiedzą ci ajwyżej: „Pisz, proszę bardzo. Twoja sprawa. My żadnych urlopów nie udzielamy. Pisarze nie są u nas na posadach”. W ten sposób odpisy nie będą już potrzebne.

Samoobłożenski ogromnie się przeraził.

- W takim razie gdzie mam to złożyć? Może w Państwowym Wydawnictwie? Może w Ludowym

Komisariacie Oświaty?

- Po prostu usiądź przy biurku i pisz na zdrowie!

- Co to, to nie! Ja nie mogę tak po prostu usiąść przy biurku. To miałoby jakiś indywidualistyczny, jakiś antyspołeczny wydźwięk. To tchnie anarchizmem i bezplanowością. Chyba zwrócę się o urlop do

Centralnego Urzędu Literatury.

- Trudno ci radzić. To przecież nie leży w ich kompetencji, ale mogą odmówić. Do Centralnego Urzędu lepiej z tym się nie zwracać.

- To może do Encyklopedii Literackiej? Bądź co bądź solidna firma. Wkrótce ma wyjść tom na „S” z moim nazwiskiem. Nie będą śmieli mi odmówić. A kopie będę mógł złożyć w Wielkiej Encyklopedii

Radzieckiej, w Małej Encyklopedii, w Encyklopedii Technicznej, w Encyklopedii Medycznej. I może na wszelki wypadek jedną kopię złożyć u prokuratora? Co?

- Owszem, niezły pomysł.

I biedny Samoobłożenski oddalił się korytarzem pełnym benzynowego odoru zup, fasoli z wieprzowiną, starych pałt i kancelaryjnego atramentu.

W jaki sposób Samoobłożenski doszedł do takiego dziwnego stanu?

Co go skłoniło do sporządzenia tego tragicznego dokumentu?

Stało się to trzy lata temu. Był jeszcze młody i naiwny. Pisał wtedy „Pnie i wyboje”. Pewnego dnia, zdaje się, że w poszukiwaniu ognia do papierosa, nieopatrznie wszedł do jednego z pokojów w Domu

Hercena. Zastał tam czterech mężczyzn. Ognia uprządku mu nie dali, natomiast uśmiechając się złowieszczo wybrali go na wiceprezesa komisji powołanej do ustalenia jednolitego wzoru legitymacji członkowskiej dla pisarzy.

Samoobłożenski nie znał jeszcze zasady, że do pokoju, gdzie zebrało się więcej niż czterech pisarzy, nie wolno wchodzić, bo zaraz zostanie się do czegoś wybranym. Nowo mianowany wiceprezes zaczął chodzić od pokoju do pokoju w poszukiwaniu ognia do papierosa i pod wieczór był już w piętnastu różnych komisjach. Do niektórych wybierano go jednogłośnie, do innych również jednogłośnie - dokooptowywano. (Oto przykład, moi drodzy, szkodliwości palenia papierosów! Nie należy palić, moi drodzy!).

Odtąd zaczęło się dla Aleksieja Samoobłożenskigo nowe życie, nie tyle szczęśliwe, ile burzliwe. Stał się znany, o wiele bardziej znany, niż kiedy napisał powieść. Jego nazwisko nieustannie powtarzało się w gazetach. Brał udział w licznych posiedzeniach i uczestniczył w podejmowaniu ważkich decyzji.

Natomiast przestał pisać. Jego maszyna do pisania pokryła się rdzą, a ryza papieru, którą mu przydzielono na potrzeby twórczości literackiej, niepostrzeżenie wyczerpała się na protokoły z posiedzeń.

Najpiękniejsze lata młodości upłynęły mu na formułowaniu wszelkiego rodzaju: „wysłuchano -postanowiono”. „Wysłuchano wniosku o przemalowanie płotu na praktyczny zielony kolor.

Postanowiono przemalować płot na praktyczny zielony kolor, a sprawę pokostu zlecić do załatwienia tow. Samoobłożenskiemu oraz tow. Seksopilszczykowowi z sekcji filmowej”. „Wysłuchano wniosku o organizowanie międzymiastowej wymiany doświadczeń między pisarzami a chałupnikami z Taldom.

Postanowiono wymianę zorganizować, a przygotowanie jej powierzyć tow. Samoobłożenskiemu”.

Rezultatem trzyletniej chlubnej działalności Samoobłożenskigo był ów na pozór niewiarogodny raport i prośba o urlop twórczy.

Urlop otrzymał. Na raporcie zjawiała się czyjaś decyzja. Może ulitował się prokurator, a może zgodę wyraziła administracja domu (według miejsca zamieszkania).

Krótko mówiąc pisarz Aleksiej Samoobłożenski usiadł wreszcie do biurka. Wszystko było pięknie.

Przed nim stał napełniony kałamarz, leżała nowa ryza papieru. Wierna przyjaciółka, wyremontowana maszyna do pisania, lśniła białymi klawiszami i rowerowym dzwonkiem.

Natchnienie przyszło nie od razu. Powieść w dwóch tomach nie od razu zarysowała się na papierze.

Tytuł - „Pierwsza miłość”. Przekreślono. „Druga młodość”. Przekreślono. „Trzeci dzwonek”.

Przekreślono. „Czwarte piętro”. Przekreślono. „Piąte koło”. To już coś. A więc - „Piąte koło”.

W tym miejscu utknął na dwa dni. Nie spłynęła ani jedna kropla atramentu. Powieść w dwóch tomach nie kleiła się. Pisarz nie tylko nie mógł trafić na odpowiedni ton, ale w ogóle na żaden ton nie mógł trafić. Po prostu nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Zapomniał, jak to się robi.

- A może byś poszedł na posiedzenie jakiejś komisji, Aloszeńka, rozerwałbyś się trochę - poradziła żona.

- Posiedzenie komisji? Tak, tak. To może być dobre. To jest pomysł! Nasuwa się jakaś nowa forma, jakiś nowy wyraz w literaturze.

Pisarz przypomniał sobie. Tak, tak, arkusze przebitki, fioletowy druk, zielony płot, pokost, dźwięczna wymiana zdań z drobnymi rzemieślnikami.

Teraz już ręka sama poprowadziła dawno zamyślonych bohaterów po szerokim kancelaryjnym gościńcu utworzonym przez uczestników wszelkiego rodzaju posiedzeń.

Piąte koło

Powieść w dwóch tomach. Wysunięto wniosek:

1.2.3. Był wiosenny wieczór, kiedy młody osodomilec Mikołaj Kandyba wyszedł z jasno oświetlonego klubu papierników.

Hanka już czekała na niego na ławeczce, tak samo jak ostatnim razem, tak samo jak wiele razy przedtem, odkąd się do siebie zbliżyli.

Chociaż Kandyba wiedział, że między nimi wszystko jest skończone, a także wiedział, że Hanka o tym wie i wiedzą o tym wszyscy członkowie ochotniczej milicji, gdzie on i Hanka dawniej razem pracowali, to jednak ta świadomość wcale nie dodała mu sił, ażeby uczciwie, po komsomolsku, powiedzieć jej o tym, że aczkolwiek nie chce robić jej przykrości, to jednak może i powinien zrobić jej przykrość, pomimo że osodomilski kolektyw uważa, że nie powinien i nie może postąpić tak, jak postąpić nie należy. tomach

Postanowiono:

1.2.3. Przyjąć do wiadomości.

Wyznaczyć komisję celem zbadania stosunków łączących tow. Kandybę z tow. Hanką.

Wysunięty problem opracować do końca na następnym posiedzeniu.

Oto została odkryta nowa błyskotliwa forma. Teraz praca szła jak z płatka. Dwutomowa powieść rosła w oczach.

Osodomilec – ochotniczo współpracujący z milicją.

Jeszcze przed upływem terminu urlopu twórczego Aleksiej Somoobłozenski dostarczył rękopis do wydawnictwa. Dla większego efektu rękopis był odbity na bibułę.

W dwa tygodnie później zgłosił się po odpowiedź.

- Doskonale - powiedział kierownik wydawnictwa. - Pańska dwutomowa powieść to wspaniały dokument twórczy, świadczący o tym, że może pan objąć u nas stanowisko kierownika kancelarii. Co za styl! Jaka forma! Zgoda? Zwłaszcza że wciąż jeszcze mamy trudności z papierem.

Pod naciskiem żony Samoobłożenski zgodził się.

Obecnie pracuje i cieszy się opinią dobrego urzędnika. Co prawda, w sporządzanych przez niego pismach daje się czasami odczuć niepotrzebna pisarska lekkość, zbyt duża skłonność do przenośni, ale jego zwierzchnictwo jest przekonane, że mu to z czasem całkowicie przejdzie.

Oddajcie mu kursywę

Kiedy zniesiono literę jał, nauczyciel państwowego gimnazjum w Oczakowie X. F. Kantorski dostał pomieszenia zmysłów. Podpałił dwupiętrowy budynek towarzystwa dobroczynnego

„Kropla mleka” i zbiegł w stepy. Ujęto go dopiero po trzech dniach przy pomocy oddziału straży pożarnej tudzież roty byłych wychowanków pomienionego gimnazjum. Warto nadmienić, że kiedy obywatela Kantorskiego prowadzono przez miasto, wykrzykiwał na głos:

„swjozdy, sjodła, cwjoł, priobry.oł...”

(Z kroniki byłej guberni chersońskiej)

W ogólnym rozgardiaszu początkowo nic nie można było zrozumieć.

Pisarze mówili wszyscy równocześnie.

Całkiem możliwe, że leli wodę na czyjś młyn, ale czyj to był młyn, tego nikt nie umiał powiedzieć, ponieważ RAPP już się rozwiązał i nie było z kim tej żywotnej kwestii przedyskutować.

W rezultacie okazało się, że mowa była głównie o krytykach. I trzeba wyraźnie stwierdzić, że poglądy istrzów słowa odznaczały się do pewnego stopnia stronniczością. Wypowiadali się na przykład w tym sensie, że krytyków należałoby wieszać na kwitnących akacjach. To było bardzo poetyczne, ale zarazem nieco okrutne. Niektórzy wymyślali jeszcze gorsze tortury. Proponowali schwytać znanego młodego krytyka i odebrać mu „instrument” literacki (cudzysłów, wielokropek, sic, wykrzyknik tudzież

„kursywa moja”).

Bardzo, ale to bardzo ostre padały słowa. I oczywiście niesprawiedliwe.

Krytycy są potrzebni. Bez nich nie byłoby pełni szczęścia.

Niechaj tylko nie będą pierwszymi uczniami, kujonami, którym z gorliwości aż oczy na wierzch wyłazą.

Któż nie pamięta gimnazjalistów w granatowych czapkach z białą wypustką i srebrnym znaczkiem! Na użęj pauzie, kiedy uczniowie bawili się w „skok- -skok-skakuna”, w „uszki” lub oddawali się lekturze powieści broszurowej „Ethel King - kobieta detektyw”, taki prymus siedział na parapecie okna i żałośnie mamrotał:

Bjeło sjeryj bjednyj bjes

Ubjęzał bjeđniaga w ljes,
Ljeszim po ljesu on bjeżał
Rjed'koi z chrjenom poobjedał
I za gorkij tot objed
Dał objet ne djełať bjed.

Zarówno treść, jak i forma tego wierszyka nie przemawiają za tym, że napisał go Aleksander

Siergiejewicz Puszkina. Wiersz ten jakoś nie budził zachwytu. Nie dął od niego wicher natchnienia.

Natomiast zawierał pierwiastki czarodziejskie. Wierszyk składał się wyłącznie ze słów zawierających literę ja. Był to utwór czysto pedagogiczny, mający w formie popularnoartystycznej wbijać w głowy uczniów owo niezbędne ja.

Kujon nigdy nie usiłował zagłębić istoty gramatyki. Nie zastanawiał się, dlaczego nagle bies lata po esie i obżera się chrzanem. Jedno tylko wiedział, że trzeba odpowiadać bez zająknięcia. Wtedy nic mu nie grozi. Ani rodzice nie będą wzywani, ani w dzienniku nie będzie na jego temat złych i dyskwalifikujących uwag.

A najważniejsze, że nie trzeba myśleć. Wyrecytował to, co wykuł, dostał piątkę i miał spokój.

Nazajutrz znów to samo. Pojutrze - w kółko to samo.

Wygodnie być prymusem, takim pierwszym uczniem z krytyki w literackim progimnazjum.

Autor całą noc siedzi przy biurku. Herbata lodowacieje w szklance. Żaden pomysł nie przychodzi. Styl jest jakiś mglisty, podczas kiedy pragnęłoby się, żeby był klarowny. W ogóle - mnóstwo trudności.

W tym samym czasie, kiedy autor denerwuje się i miota, tuż obok za przepierzeniem, w domu literatury, krytyk-prymus monotonnie mruży swoje wierszydła.

Strzeżcie się, dziatki, humanizmu,

Strzeżcie się też egocentryzmu,

I formalizmu, i schematyzmu

Wystzegajcie się jak ognia.

Okropny jest, dziatki, technicyzm,

Groźna jest też biologia,

Gdyż kryje w sobie mistycyzm,

Trąci groźną lefowszczyzną,

Feudalizmem, mechanizmem,

Podejrzany remarkizmem,

Podejrzany reumatyzmem,

Który się ujawnia co dnia.

Unikajcie skoków na boki,

Dobrze odmierzajcie kroki.

Jeden krok naprzód,

Dwa kroki wstecz,

To jest najważniejsza rzecz.

Zniszczymy „Nowy Świat”.

Autor płacze - krytyk rad.

I tak dalej.

Po wykuciu takiego wiersza wzorowy uczeń bez dalszych rozmyślań i wątpliwości przystępuje dopisania artykułu krytycznego. Technikę już opanował. Zna wszystkie słowa z jał. Ma już podstawy do rtykułu.

Reszta - to drobiazgi. Właśnie dla tych drobiazgów zarezerwowany jest tytuł.

Na tytuł artykułu używa się tak zwanej formy powątpiewania. Jeśli recenzowana książka nosi tytuł

„Było dwóch towarzyszy” - artykuł pierwszego ucznia będzie zatytułowany: „Czy rzeczywiście było dwóch towarzyszy?”

Dzieło nosi tytuł „Tragiczna noc”. Recenzja - „Czy naprawdę tragiczna noc?”

To jest dobre. I wygodne. Autor od razu wydaje się podejrzany. Po tytule artykułu od razu widać, że pisał go pierwszy uczeń, a nie jakiś tam drugi. Nie ma się czym kępować. Ta forma jest wygodna.

„Czy naprawdę lista dobrych uczynków?”

„Czy rzeczywiście spadkobierca?” lub „Czyj spadkobierca?”

„Czyżby ostatni z U.D.G.?”

„Czyżby Sewastopol?”

Dlaczego krytyk ma nieustanne wątpliwości? Czy myśli, że autor będzie usiłował podstawić czytelnikowi Symferopol lub Sierpuchow zamiast Sewastopola?

Ależ nie, on w ogóle nie myśli. Po prostu ma gotową formułę i nie chce mu się zmieniać jej dla byle kogo. Szkoda fatygi.

Zaczynając artykuł, pierwszy uczeń nigdy nie napisze „autor wyraził” lub „autor przedstawił”. Ma w tym wypadku zdanie ostrożniejsze: „autor usiłuje wyrazić”, „autor zamierzał przedstawić”.

Nawyk ten jest tak silny, że nawet o Szekspirze zaczęto pisać: „W dramacie «Otello» autor usiłował odmalować uczucie zazdrości”. Notabene artykuł nosi tytuł „Czy rzeczywiście Maur?” I czytelnik jest zdezorientowany. Może to rzeczywiście wcale nie był Maur, tylko Żyd? Szejlok! Ale dlaczego w takim razie Desdemona? Nic nie można zrozumieć!

Jeśli pisarz napisał, broń Boże, coś wesołego, coś z dziedziny satyry i humoru, to niezwłocznie wpina mu się w blade uszy dwa krytyczne kolczyki - w dziedzinie satyry: „Autor nie osiągnął poziomu prawdziwej satyry, pisze w próżnię”; w dziedzinie humoru: „Bezzębne szczerzenie zębów”. Poza tym autora pomawia się o płaski empiryzm. A to jest nader przykre, towarzysze, taki płaski empiryzm! Coś w rodzaju liszaja świeżbiącego.

Pierwszy uczeń nie lubi zwłaszcza utworów, gdzie bohater wyznaje miłość, żeni się itp. Wtedy stawia zagadnienie na ostrzu noża: Czy należy w obecnych czasach poruszać ten problem w literaturze pięknej? Miłość w ogóle nie istnieje. Przepraszam! A skąd w takim razie biorą się dzieci? Bzdura!

Dojrzałego radzieckiego czytelnika bez trudu można przekonać, że dzieci przynosi bocian.

Pod ciosami pierwszego ucznia pisarz pochyla się coraz niżej. A kujon mrucząc (żeby przypadkiem nie zapomnieć) „Okropny jest, dziatki, technicyzm, groźna jest też biologia”, zabiera się do najtrudniejszego zabiegu (coś w rodzaju trepanacji czaszki) - do obnażania oblicza pisarza. Tu jest bezlitosny i nie przebiera w słowach. Formuła zdecydowanie wymaga porównań. Wybiera się do tego celu najgorsze. Pisarza radzieckiego nazywa się agentem brytyjskiego imperializmu, utożsamia się go z P. N. Milukowem, ogłasza się drukiem, że jest on obiektywnym Bułach-Bułachowiczem, Poincare lub

Mazepą, czasami porównuje się go nawet z dorożkarzem Komarowem.

Wszystkie te ciężkie oskarżenia składa się kursywą i nieuchronnie (taka już tradycja) opatruje się uwagą: „Kursywa moja”.

Kursywa moja! Kursywa moja! Moja! Moja!

To jest jego kursywa. Kursywa pierwszego ucznia.

Tym uporczywym roszczeniom należałoby wreszcie uczynić zadość.

- Nie męczcie ucznia. Oddacie mu, co jego. Niechaj zabiera swoją kursywę i niech się trochę nad nią zastanowi. Niech kujon wreszcie oprzytomnieje.

Ich bin od stóp do głów

Popołniono błąd graniczący z głupotą lub czymś podobnym.

Do programu cyrkowego sprowadzono z Niemiec atrakcję w postaci nieustraszonego kapitana

Mazuccio z gadającą suką Brunhildą (zwróćcie uwagę, że cyrkowi kapitanowie zawsze są nieustraszeni).

Psa zaangażował dyrektor finansowy, nietaktowny, zacofany prostak. A załoga cyrku przegapia to karygodne posunięcie.

Oprzytomnieli dopiero wtedy, kiedy kapitan Mazuccio wysiadł na Białorusko-Bałtyckim Dworcu.

Tragarz wziął na wózek klatkę z czarnym pudlem ostrzyżonym a la Ludwik XIV i kufer, który zawierał kapitańską pelerynę na białej podszevence z satyny liberti tudzież lśniący cylinder.

Tego samego dnia rada artystyczna oglądała psa podczas próby.

Nieustraszony kapitan co chwila zdejmował cylinder i kłaniał się. Po czym zadawał Brunhildzie pytania.

- Wiewiel? - pytał.

- Tausend - nieustraszenie odpowiadał pies.

Kapitan głąskał pudła po czarnych karakułowych kudłach i z uznaniem wzdychał: „Dobry piesek, dobry!”

Potem pies z dłuższymi przystankami wymówił słowa: „aber”, „unser” i „bruder”. Następnie suka wyciągnęła się bokiem na piasku i po długim namyśle powiedziała:

- Ich sterbe.

Należy zaznaczyć, że w tym miejscu zwykle rozlegały się oklaski. Pies był do nich przyzwyczajony i wraz ze swoim właścicielem kłaniał się publiczności. Ale rada artystyczna zachowała surowe milczenie.

Kapitan Mazuccio rozejrzał się z niepokojem i przystąpił do ostatniego, najpoważniejszego punktu programu. Wziął do ręki skrzypce, Brunhilda przysiadła na tylnych łapach, odczekała kilka taktów, po czym niepewnie, głośno i niewyraźnie zaśpiewała:

- Ich bin von Kopf bis Fuss auf Liebe eingestellt...

- Co, co ich bin? - zapytał przewodniczący rady artystycznej.

- Ich bin von Kopf bis Fuss - mruknął dyrektor finansowy.

- Proszę mi to przetłumaczyć.

- Jam jest od stóp do głów stworzona do miłości,

- Do miłości? - powtórzył przewodniczący błędąc. - Takiego psa trzeba przepędzić na cztery wiatry.

Ten numer jest niedopuszczalny.

Teraz z kolei zbladł dyrektor finansowy.

- Dlaczego? Z jakiej racji przepędzić? Znakomity gadający pies w swoim repertuarze. Europejski sukces. Czy to coś złego?

- Właśnie to jest złe, że w swoim arcyburżuazyjnym, mieszczańskim, pozbawionym wartości wychowawczych repertuarze.

- Tak, ale myśmy już zaangażowali u niego dewizy. Poza tym pies razem ze swoim Boccaccio mieszka w „Metropolu” i obżera się kawiozem. Kapitan twierdzi, że suka bez kawioru nie może występować.

Za to też państwo płaci.

- Krótko mówiąc - dobitnie oświadczył przewodniczący - w tej formie numer iść nie może. Trzeba dać psu nasz, zgodny z duchem czasu, do czegoś mobilizujący repertuar, a nie ten... rozkładowy. Trzeba się tylko zastanowić! „Ich sterbe”, „Ich liebe”. To są przecież zagadnienia miłości i śmierci! Sztuka dla sztuki. Humanizm! Stąd już tylko jeden krok do bezkrytycznej akceptacji spuścizny klasyków. Nie, nie, ten numer musi być przerobiony od podstaw.

- Jako dyrektor finansowy - ponuro przemówił dyrektor finansowy - do ideologii się nie wtrącam, ale jako wieloletni pracownik na froncie sztuki cyrkowej pozwolę sobie zauważyć: nie należy zarzynać kury, która znosi złote jaja.

Ale propozycja napisania nowego repertuaru dla psa już została oddana pod głosowanie.

Jednogłośnie postanowiono zamówić takowy (repertuar) u miejscowej uniwersalnej brygady małych form w składzie Usyszki-Wertera i jego trzech braci: Usyszki-Wagrunki, Usyszki-Owicza oraz

Usyszki-dziadka Murziłki.

Kapitana, który nic nie rozumiał, odprowadzono do „Metropolu” i kazano mu chwilowo odpocząć.

Szósta uniwersalna nie okazała najmniejszego zdziwienia wobec propozycji napisania repertuaru dla psa. Bracia w takt pokiwali głowami i nawet nie porozumieli się wzrokiem. A miny mieli takie, jakby całe życie pisywali dla psów, kotów tudzież tresowanych karaluchów. W ogóle byli zahartowani w literackich bojach i potrafili pisać z cyrkową ideologią - jak najbardziej surową i purytańską.

Pracowity ród Uszyszków niezwłocznie zabrał się do dzieła.

- Może wykorzystamy to, cośmy pisali dla kobiety-pajaka? - zaproponował Murziłka. - Przyjechał iedyś taki popisowy numer z Saratowa, który musieliśmy przerabiać w ramach upolitycznienia cyrku.

Pamiętacie? Kobieta-pajak uosabiała kapitał finansowy zarzucający macki na kolonie i dominia. To był dobry numer!

- Nie, przecież słyszeliście. Oni nie chcą pustego śmiechowania. Psa trzeba rozwiązać w ramach bohatera doby obecnej! - oświadczył Owicz. - Przede wszystkim trzeba pisać wierszem.

- A pies potrafi mówić wierszem?

- Co nas to obchodzi. Niech się przekwalifikuje. Będzie miał na to cały tydzień czasu.

- Koniecznie wierszem. Bohaterskie kuplety o blumingach albo tych... jak one się nazywają... wrzecioniarkach. A refren może być lżejszy, wybitnie dla psa, z akcentem humoru. Na przykład... zaraz... zaraz... Ta-ra, ta-ra, ta-ra... Aha... dobrze:

Niech wre w kopalniach pracy szął

Hau-hau!

Hau-hau!

Hau-hau!

- Głupiś, Buka - krzyknął Werter. - Rada artystyczna akurat zgodzi się, żeby pies mówił „hau-hau”. Onido tego nie dopuszczą. Pies nie może zasłaniać żywego człowieka.

No to się przerobi... tu-ru tu-ru, tu-ru... Tak. Gotowe.

Niech wre w kopalniach pracy szął.

Milicja wodna jest na schwał!

- A czy to nie za płytkie dla psa?

- Głupia uwaga. Milicja wodna jest do ratowania tonących. Tam gdzie płytko, to jej nie ma.

- Wiecie co, w ogóle nie piszmy wierszem. Wiersze zawsze prowadzą do błędów, do wulgaryzacji.

Ograniczają rozmiar, rytm. Chcesz wyrazić jakąś słuszną myśl, a tu przeszkadza cezura albo rymu ci rakuje.

- Może napisać dla psa coś prozą? Monolog? Felieton?

- Nie warto. W tym kryją się niebezpieczeństwa. A to tego nie wyrazisz, a to tamtego nie odmalujesz.

Trzeba całkiem z innej beczki.

Repertuar dla gadającej suki Brunhildy był gotów na oznaczony termin.

Pod mroczną kopułą cyrku zebrali się wszyscy: rada artystyczna w pełnym komplecie, lekko opuchnięty Mazuccio, co należy złożyć na karb nieumiarkowanego spożycia, kawioru, i Brunhilda kompletnie wytrącona z równowagi wskutek beczynności.

Werter reżyserował i dawał wskazówki.

Konferansjer zapowiada występ gadającego psa. Na arenę wnoszą mały stoliczek nakryty sukrem. Na nim karafka i dzwonek. Wychodzi Brunhilda. Oczywiście nie ma mowy o tych wszystkich burżuazyjnych sztuczkach, jak dzwoneczki, kokardy, loki... Skromna tołstowka i brezentowa teczka.

Strój przeciętnego obywatela. Brunhilda czyta niewielki, na dwanaście stron maszynopisu, twórczy dokument...

Werter już rozdziałował różową japę, żeby zapowiedzieć przemówienie Brunhildy, kiedy nagle kapitan

Mazuccio ruszył ku niemu.

- Wiewiel? - zapytał. - Ile stron?

- Dwanaście maszynopisu - odparł dziadek Murziłka.

- Aber, ich sterbe! - jęknął kapitan. - Umieram! Przecież to jest tylko pies. Hund, że tak powiem,

Dwanaście stron maszynopisu - to przekracza jego możliwości. Ja wniosę skargę.

- Chyba w formie samokrytyki? - z ironią zauważył przewodniczący. - Teraz widzę wyraźnie, że tego psa trzeba przepędzić. Na cztery wiatry!

- Bruder - błagalnym głosem odezwał się Mazuccio. - To jest przecież młoda hund. Ona jeszcze wszystkiego nie potrafi. Ona chce. Ale nie potrafi.

- Nie ma o czym mówić - oświadczył przewodniczący - obejdzie się bez psa. Będzie o jeden numer mniej. Wolens. - nie-wolens, ja wasi uwolens.

Teraz pobił z kolei nieustraszonego kapitana. Zawołał Brunhildę i opuścił cyrk. Idąc machał rękami i mrucał: „Przecież to jest tylko hund. Ona nie może tyle naraz”.

O gadającym psie zaginał wszelki słuch.

Są tacy, którzy twierdzą, że pies zszedł na psy. Zapomniał wyuczonych słów „unser”, „bruder”, i

„aber”, że zamienił się w zwykłego kundla i teraz nazywa się Połkan.

Ale to są domorośli mazgaje, sceptycy podwórzowi.

Inni jednak twierdzą coś wręcz przeciwnego. Że według najświeższych wiadomości Brunhilda jest w dobrym zdrowiu i jej występy cieszą się wielkim powodzeniem. Mówią nawet, że oprócz dawnych słów nauczyła się kilku nowych. Nie jest to wprawdzie dwanaście stron maszynopisu, ale zawsze coś niecoś.

Blade dziecię wieku

Poeta Andrzej Bezdziety, a według paszportu - obywatel Iwan Nikołajewicz Oszejnikow, uważał listopad za najszczęśliwszy miesiąc w roku.

Działo się to bynajmniej nie dlatego, że Andrzej Bezdziety akurat w tym miesiącu się urodził i wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę. Ani też dlatego, że ta pora roku obfitująca w mgły i deszcze przynosiła mu na swych mokrych dłoniach dary natchnienia.

Andrzej Bezdziety był to po prostu człek bez czci i wiary i wcale nie cały listopad miał w poszanowaniu, ale tylko dzień siódmego listopada. Do tego dnia przygotowywał się parę miesięcy naprzód.

- Tłusta data - mawiał Bezdziety.

Był to bowiem dzień, kiedy nawet gazeta „Emisyjno-bilansowa”, zwykle upstrzona cyframi i prognozami finansowymi, drukowała wiersze.

Popyt na wiersze tudzież inne literackie płody w przededniu rocznicy Rewolucji Październikowej bywał tak wielki, że kupowano każdy towar, byle tylko tematycznie wiązał się z nadchodzącą uroczystością. A niegodziwy Andrzej Bezdziety w całej rozciągłości to wyzyskiwał. Był to dzień wielkiej hossy na literackiej giełdzie.

„Notuje się wzmożony popyt na epos. Romantyka idzie w górę. Rymy takie, jak «spiżowy - październikowy» z dwudziestu kopiejek skoczyły na półtora rubla. Liryka słabo notowana”

Ale Bezdziety liryką nie handlował.

A więc już od lipca pichcił epopeję, wiersze romantyczne tudzież inne literackie dyrdymałki.

Pewnego październikowego dnia Andrzej wyszedł z domu uginając się, jak listonosz, pod ciężarem stu sześćdziesięciu rocznicowych opusów. Poprzedniego dnia zrobił zestawienie. Okazało się, że co najmniej dziesięć redakcji zostanie mimo wszystko bez towaru.

Obładowane październikowymi poematami, kantatami, odami, gratulacyjnymi epigramatami, wierszowanymi życzeniami, chorałami, psalmami tudzież troparionami, blade dziecię wieku weszło do pierwszej z wynotowanych redakcji, do redakcji pisma dziecięcego pod nazwą „Wiadomości pacholece”. Nie tracąc cennego czasu poeta wkroczył do gabinetu redaktorki, zręcznym ruchem zmiótł z biurka wykroje koszulek i śliniaczków dla, niemowląt, po czym głośno odczytał:

Posłuchajcie, droga dziatwo,

Krótkie jeszcze macie życie,

Ale już rocznicę łatwo

Na paluszkach obliczycie.

Palców pięć i palców pięć,

Każdy, kto ma liczyć chęć,

Doda do nich tylko trzy. –

Już rocznica w słońcu lśni.

- Niezły chwycik - zachwalał Andrzej. - Prócz tematyki rocznicowej jeszcze wierszowana arytmetyka.

Redaktorze wierszyk spodobał się. Spodobał się także kierownicze działu „Korowodów i pogadanek przy ognisku”. I oto już kasa otwierała się z łoskotem, kiedy redaktorka odezwała się nieśmiało:

- Zdaje się, towarzyszu Bezdziety, że tu zachodzi jakaś pomyłka. Pięć i pięć to jest w rzeczy samej dziesięć, ale jeśli do tych dziesięciu dodać „tylko trzy”, jak sam pan pisze, to będzie razem trzynaście.

A teraz jest dwunasta, a nie trzynasta rocznica Rewolucji Październikowej.

Andrzej Bezdziety zachwiał się. Miał wrażenie, że jabłka kolanowe napełniły mu się wrzątkiem.

Albowiem wszystkie sto sześćdziesiąt rocznicowych troparionów opierało się na cyfrze trzynaście.

- Jak to dwunasta? - spytał ochryłym głosem. - Dwunasta była w zeszłym roku!

- W zeszłym roku była jedenasta rocznica - odparła kierowniczka „Korowodów” mentorskim tonem. -

Przecież w zeszłym roku nasza redakcja drukowała tatki wierszyk pańskiego pióra:

Palców cztery, palców sześć,

Dziesięć palców razem weź.

Do nich dodaj jeden, i Już rocznica w słońcu lśni.

- Zgadza się - powiedział Bezdziety ugodzony w samo serce.

Kasa z łoskotem zamknęła się przed jego nieprzytomnymi oczami.

Calutką noc blade dziecię wieku przesiedziało przy biurku. Przed nim leżało sto sześćdziesiąt opusów.

- Ale jak... - mrucał Andrzej - jak to się mogło stać? Co teraz będzie?

Sytuacja wyglądała doprawdy okropnie.

Dziewięćdziesiąt pięć utworów traktowało o burżujach, dla których trzynasta rocznica miała się stać zaiste feralną cyfrą. W pozostałych sześćdziesięciu pięciu chorągach Andrzej Bezdziety wyśmiewał szkodników i emigrantów podkreślając z naciskiem, że ta trzynastka będzie dla nich niechybnie fatalną trzynastką.

Chwycik przepadł. Droga do przeróbek była odcięta, a na pisanie nowych peanów nie było już czasu.

Udało mu się napisać zaledwie jeden nowy utwór wierszem. Była tam mowa o dwunastej godzinie rewolucji, która właśnie wybiła. To były szczyty, na które zdobyła się żalosna wyobraźnia Andreja.

I Andrzej Bezdziety, podobnie jak ów urzędnik, jeden z bohaterów Czechowa, położył się na ceratowej kanapie i umarł. Z wierszami pośpieszył się o rok, ale ze śmiercią spóźnił się o kilka lat.

Powinien był umrzeć pomiędzy piątą a szóstą rocznicą rewolucji.

W zasadzie nie jestem pisarzem

Wybaczcie, że zakłócimy uroczystość.

Wybaczcie, że na wspaniałe imieniny radzieckiej satyry przychodzimy nie w odświętnej tołstowce wypuszczonej na sztuczkowe spodnie, nie z życzeniami wszelkiej pomyślności wypisanymi rondem na arkusiku brystolu. Wybaczcie, że zjawiamy się w roboczych sandałkach, w wyblakłej niebieskiej trykotowej koszulce i w przepięknych szortach przerobionych z kałesonów.

Oczywiście, najłatwiej byłoby zadowolić się burzliwymi oklaskami przechodzącymi w owację.

Wybaczcie jednak, że w chór ogólnych pochwał wniesiemy ulubioną nutę satyry.

Sprawa przedstawia się następująco. Niedawno do pewnej redakcji zgłosił się na oko dość przeciętny obywatel i zaproponował współpracę.

- W zasadzie nie jestem pisarzem - powiedział. - Jestem inteligentem pracującym, byłem gimnazystą, obecnie urzędnikiem. Ale ożeniłem się, uważa pan, i teraz, rzecz jasna, potrzebne mi mieszkanie.

Żeby kupić mieszkanie, muszę się podreperować finansowo. Z tych względów postanowiłem wziąć na siebie trud pracy literackiej i zacząć coś niecoś tworzyć.

- To się zdarza - zauważył redaktor. - Właśnie Goethe w ten sam sposób zaczynał swoją literacką karierę. Potrzebował pieniędzy na udział w spółdzielni mieszkaniowej „Weimarski lokator”. A pieniędzy nie miał. Musiał napisać „Fausta”.

Przybyły nie tylko nie zrozumiał uszczypliwości zawartej w tej odpowiedzi, ale przeciwnie, bardzo się ucieszył.

- No właśnie - powiedział. - Toteż i ja napisałem kilka humoresek, aforyzmów i anegdotek, żeby się finansowo podreperować.

Redaktor przeczytał utwory byłego gimnazysty i ocenił je jako bardzo złe. Ale dzielny gimnazysta i tymrazem nie okazał zmieszania.

- Ja wiem, że to jest złe.

- Po cóż więc do nas z tym przychodzić?

- A czemu nie miałbym przyjść? Przecież w waszym czasopiśmie jest pewien procent złych utworów?

- Jest.

- Otóż ja, właśnie postanowiłem zostać dostawcą tego procentu.

Po tym szczerym wyznaniu byłego gimnazystę wyproszono za drzwi. A incydent z procentami poszedł zapomnienie i nikt o nim więcej nie wspominał.

Tymczasem teraz, przy okazji jubileuszowej dekad, warto by o nim przypomnieć, gdyż ów procent złych utworów musi być niemały, skoro ktoś postanowił wybudować zań mieszkanie.

Nie wiadomo, jak do tego doszło, ale w satyryczno-humorystycznym gospodarstwie zbyt wcześnie pojawiły się tradycje. To niedobrze! Ktoś już nader zżęcznie poszufladkował

wszystkie zjawiska życiowe i opracował krótkie szablony, według których należy te zjawiska chłostać.

Do wesołej rodziny satyryczno-humorystycznej niepostrzeżenie wśliznął się łotr-chałturtreger. On się na wszystkim zna. I wszystko potrafi. O wszystkim może pisać. Posiada cały asortyment literackich wytrychów.

Istniał niegdyś na kolejach wzruszający zwyczaj. Na dworcach wywieszano (en face i z profilu) podobizny znanych złodziei kolejowych. W ten sposób pasażer z góry wiedział, z kim może się spotkać na ciernistej kolejowej drodze. Przez całą drogę pasażer nie wypuszczał z rąk walizki i z trwogą studiował profile i enfasy współpasażerów. Albowiem był ostrzeżony.

W tym samym stopniu, co o pasażera, należałoby zatroszczyć się o czytelnika. Trzeba go ostrzec.

Właśnie w tym celu dajemy tutaj literacką fotografię (en face i z profilu) takiego dostawcy humorystycznego próchna i satyrycznego śmiecia.

Praca jego jest nieskomplikowana. Posiada niezawodny warsztat-automat, który regularnie wyrzuca felietony, wiersze i drobiazgi, wszystkie w tym samym rodzaju i gatunku.

A. RYMOWANY FELIETON NA TEMATY WEWNĘTRZNE

Fraszka o spółdzielczych gamoniach i systemie wag

Nieustannie obserwujemy, że w niektórych wypadkach poszczególni kierownicy sklepów spółdzielczych, wbrew instrukcjom rejonowych organizacji planujących i mimo wielokrotnych

Interwencji społecznych i sklepowych komisji, pozwalają sobie na lekceważące traktowanie poszczególnych konsumentów, czego wyrazem jest nieumieszczanie cennika detalicznego na widocznym miejscu oraz rzucanie odważnikami w głowy poszczególnych członków- udziałowców, którzy jeszcze przed terminem wpłacili całkowity udział. Najwyższy czas ukrócić to karygodne nastawienie spotykane jeszcze wśród poszczególnych spółdzielczych gamoniów.

- Słońce zaszło.

- W ciążą?

Znasz gamoniów? Poznasz ich ty,

Gdy spółdzielczy zwiedzisz sklep.

Nie na to są stworzone gwichty,

Żeby gwichtami walić w łeb.

B. DROBIAZGI (ŻARTY)

(Z prasy)

- Grad wybił zboże.

- Za co?

- Dlaczego masz podartą marynarkę?

Zawadziłeś o gwóźdź?

- Nie, kupiłem w spółdzielni.

C. AFORYZMY I MYŚLI

Jak papież mówi „a”, to Liga Narodów powie „b”.

Nie każdy dyrektor ma służbowy samochód.

Mieć stosunek z osobistą sekretarką, to wcale nie znaczy mieć dobry stosunek do podwładnych.

Jaka jest różnica między służbowym koniem a służbowym samochodem? Nie ma żadnej. Tak jeden, jak i drugi w poszczególnych wypadkach często zawożą poszczególnych kierowników na ławę oskarżonych.

To jest wszystko, na co stać właściciela literackich wytrychów. Oto jego myśli, dowcipy, satyra na spółdzielczość, jego wyobrażenie o zagadnieniach międzynarodowych.

Na nic więcej go nie stać. Chyba jeszcze tylko na tak zwane humorystyczne nazwiska. Jest ich sześć.

Dudoczkin (urzędnik państwowy), Obirakin (małorolny kułak), Dobywałkin (zły spółdzielca),

Pomadoczkina (biedna, zaszcza maszynistka), Kancelarkin (biurokrata i głupiec), Nikiszyn (postać pozytywna, zjawia się na końcu felietonu).

Chyba profil już się dostatecznie zarysował. Również en face jest dość wyraźne. Czytelnik został ostrzeżony.

A teraz, kiedy w chór pochwał została wniesiona nuta rodzimej satyry, można już włożyć sztuczne spodnie, oblec się w uroczystą tołstówkę i aksamitnym głosem odczytać serdeczne życzenia wykaligrafowane rondem na arkusiku brystolu.

Drepczą po mieście staruszki

Autorzy zmuszeni są ujawnić wobec społeczeństwa pewne intymne strony swego życia.

Pragną mianowicie opowiedzieć, jakiego rodzaju list otrzymali kilka dni temu.

Istnieje powszechne mniemanie, że pisarze są zarzucani miłosnymi bilecikami od nieznanomych wielbicieli. „Ujrzałam pana wczoraj na stopniu tramwaju i odtąd moje serce należy do pana. Proszę czekać na mnie dziś o piątej w spółdzielni nr 68. Jako znak rozpoznawczy będę trzymała w ręku rybę

(sandacza). Ida R.”

Być może, że Zoszczenko jako ognisty brunet dostaje tego rodzaju czułe liściki, ale my nie mamy tyle szczęścia. Do nas przychodzą całkiem inne listy - zaproszenie na koleżeńską herbatkę z dyskusją albo rachunki za elektryczność; zdarzają się też zaproszenia na dyskusyjną kanapkę, urządzaną przez wydawnictwo „Problemy i rozrywki” z okazji głośnego czytania przez pisarza Chamentyckiego jego nowej powieści. Zdarzają się również listy od czytelników z propozycjami tematów literackich albo z prośbą o wytłumaczenie im sensu życia.

A całkiem niedawno wdrapała się do nas na piąte piętro, w charakterze gońca, mała, drobna starowinka, z czerwonym noskiem i oczami załzawionymi od wspinania się tak wysoko, i z niskimukłonem wręczyła nam list.

Tym razem to także nie był liścik miłosny od pracującej nieznajomej piękności. Nawet nie zaproszenie a herbatkę połączoną z bełkotem na tematy literackie.

List był o wiele donioślejszej natury. Porywał, wzywał gdzieś hen, w sine dale.

„Szanowny towarzyszu, przesyłamy Wam plan (schematyczny) styczniowego zbioru

«Wiosna» (dodatek do czasopisma «Sztuka amatorska»).

Liczymy, towarzyszu, na Wasz udział. Wieś oczekuje wysokogatunkowego repertuaru. Usilnie prosimy o łaskawą współpracę.

W pokoju na piątym piętrze zrobiło się cicho. Można powiedzieć - zapachniało czarnoziemem; w całej okazałości stanął przed nami problem zdecydowanego zwrotu do wsi, która słusznie spodziewa się wysokogatunkowego repertuaru. Słowem, obudziło się w nas pragnienie włączenia się do tej akcji.

Już rysowały się przed autorami liczne obrazy ich przyszłej działalności. Jadą na wieś, studiują życie i postęp, obserwują przemiany światopoglądów, zapełniają notatniki materiałami, słowem, wiedzą żywot Flauberta czy też Turgieniewa. Wreszcie, po upływie roku lub dwóch lat, dzieło jest napisane i oddane do zbioru „Wiosna” (dodatek do czasopisma „Sztuka amatorska”). Oto jak wyobrażali sobie autorzy swoją działalność po zapoznaniu się z tematyką wiejską.

Ale załączony do listu plan od razu rozwalił cudowny zamek na lodzie, skonstruowany metodą realizmu socjalistycznego.

Okazało się, że nigdzie nie trzeba jechać, że literatura wcale nie jest rzeczą tak skomplikowaną, jak dotychczas przypuszczali, że Flaubert i Turgieniew to byli farsowi durnie i robili całkiem nie to, co należy. Okazało się, że wszystko jest znacznie prostsze.

Wynikało to jasno z planu, który był wykładnikiem potrzeb i życzeń redakcji:

1.O ścisłe terminy siewów (monolog)

2.Siła pociągowa. Mniejsze obciążenie w zimie, mobilizacja pasz (scenka).

3.Traktory. Remont we właściwym czasie, części zapasowe, paliwo, smary (rewia).

4.Nasiona, ziarno, ziemniaki itd. (sztuka). Żywnienie zbiorowe, rezerwa produktów do siewu.

.

(kuplety).

Na stworzenie całej tej proletariacko-kołchozowej literatury wyznaczono rekordowy termin - piętnaście dni. Trzeba będzie się naginać, wtłaczać się w te ciasne tamy. Wieś czeka, trzeba się pośpieszyć.

- Zdążymy?

- Oczywiście. Redakcja uważa ten termin za wystarczający. Oni wiedzą lepiej. Oni są przecież bliżej ziemi.

- Co tu wybrać? Mnie na przykład pociąga punkt czwarty. Sztuka. „Nasiona, ziarno, ziemniaki itd.”

Wspaniały temat.

- Nie sądzę. Czegoś tu brak. Ziarno! Ziemniaki! Jaki tu może być konflikt?

- A „itd.”? Takie „itd.” to już jest dużo. Na tym można coś zbudować. Jeśli nie sztukę, to chociażby fragment dramaturgiczny.

- O, przepraszam, redakcja nie życzy sobie żadnego fragmentu. Ona ten temat widzi w postaci sztuki.

A my musimy się z nimi liczyć. Oni przecież są bliżej ziemi.

- Tak, oni są bliżej, to prawda.

- A na przykład punkt drugi. Typowa sztuka. „Siła pociągowa”. W tym czuje się coś dramatycznego.

„Mniej obciążenia w zimie, mobilizacja pasz”. Istny MChAT! Mæterlinck! Pięć aktów z apoteozą soi!

- Czuć - to się czuje. Ale oni proszą o scenkę, a nie o dramat. Przecież oni wiedzą, co jest potrzebne wsi. Oni są bliżej ziemi.

- Tak. Marny los! Oni są bliżej. A my dalej.

- Może napiszemy rewię do punktu trzeciego? Tytuł - jak w okólniku - „Traktory”. Nawet akty już ustawione, nie trzeba się nad niczym głowić. Akt pierwszy - „Remont we właściwym czasie”. Akt drugi

- „Części zapasowe”. Akt trzeci - „Smary i paliwo”.

- A nie lepiej zrobić z tego pantomimę? Wtedy nie trzeba dialogów, nie narazimy się na wstyd. Co?

Słowo daję, zrobmy pantomimę!

Niepostrzeżenie dla samych siebie, autorzy (jeszcze pół godziny temu szlachetni i uczciwi ludzie) zaczęli mówić wstrętnym językiem szmirusów. A w chwilę później, chichocząc z uciechy, że pracę można będzie odwalić w pół godziny zamiast w piętnaście dni, rzucili się na punkt czwarty, łaskawie zaproponowany przez redakcję „Sztuki amatorskiej”.

„Zbiorowe żywienie, rezerwa produktów do siewu (kuplety).”

Naszykował Maciek rezerwy

Maciek rezerwy

Maciek rezerwy

Koń jego będzie syty bez przerwy

Syty bez przerwy

Koń!

- Teraz potrzebny typ negatywny.

- Słusznie. Naprzód pozytywny, potem negatywny.

- A może odwrotnie? Naprzód negatywny, a polem pozytywny?

- Wszystko jedno. Jeśli zechcą, to sobie przedstawiają. Oni są bliżej ziemi.

Nie przygotował się Roch do siewu,

Nie podwiózł w porę paszy do chlewu.

Wywrócił, gamoń, cały wóz z ziarnem

I wszystko ziarno poszło na marne.

Praca szła jak z płatka. Teraz nawet sztuka „Nasiona, ziarno, ziemniaki” nie przedstawiała się tak mgliście, jak przedtem. A „Siła pociągowa” wprost zachęcała do jednoaktówki.

Autorzy w oczach zamieniali się w kupę śmiecia.

Już wysokogatunkowy repertuar dla wsi był prawie gotowy, kiedy nagle spojrzeli na siebie z osłupieniem i jak na komendę podarli w kawałki kuplety o siewie. Po czym zgodnie pochylili się nad szatańskim planem i zaczęli go uważnie studiować.

Nie! To wprost nie do wiary! Oficjalna instytucja pismem urzędowym odbitym na powielaczu proponuje terminowe spreparowanie szmiry, bo coś innego można napisać w rekordowym tempie na temat „Roczny plan produkcyjny. Narady produkcyjne między kołchozami - realny dokument walki o urodzaje, płodozmiany i odpowiednie rozmieszczenie siły roboczej”.

Śmiało można powiedzieć, że w tym stanie rzeczy list przestaje być prywatną sprawą autorów. Staje się czymś daleko poważniejszym. To sygnał klęski w literaturze!

Po całym mieście drepczą staruszki z książkami doręczeń. Wdrapują się na piętra i z niskim ukłonem wręczają literatom urzędowe okólniki, których zadaniem jest spowodować rozkwit rodzimej sztuki.

Któż nam zaręczy, że za chybottliwymi, dyktowymi ściankami swojego gabinetu nie siedzi już jakiś kierownik-mistrz wagi średniej, i nie pisze oburzającego obwieszczenia:

„Uwaga, pisarzu! Komsomoł oczekuje wysokogatunkowego repertuaru. Podejmuj tematykę młodzieżową! Termin składania prac - dwadzieścia cztery godziny!

Plan:

1. Za wielomilionowy Komsomoł (balet).
2. Problem członkostwa i składek (opera).
3. Przyswojenie spuścizny kulturalnej (kuplety).
4. Zarys układu wzajemnych stosunków między obwodowymi i rejonowymi komitetami

Komsomołu (skecz dziesięciominutowy).

I oto kuplet, w którym zorganizowany Loszka przyswoił sobie spuściznę, a niedowarzony w kotle

Mot'ka takowej nie przyswoił, będzie wykonany w trybie alarmowym - to jest w trzy minuty zamiast w dwadzieścia cztery godziny, gdyż w ten sposób szmira staje się nie tylko legalna, ale wręcz pożądana i gorąco witana.

Drepczą po mieście staruszki, ze stękaniem wdrapują się na piętra. Drzwi przed nimi otwierają się szeroko. Pióra i maszyny do pisania już są w pogotowiu i odurzające urzędowe róże rozkwitają w ogrodach literatury radzieckiej.

Czara szczęścia

I do życia się garną,
I honorów łakną.

Wierszyk

Na to, żeby mieć jubileusz, wystarczy mocno tego pragnąć. Przydałyby się jeszcze jakieś utwory, powieści, opusy. Ale można się bez nich obejść. To nie jest najważniejsze. Najważniejsze jest - gorąco pragnąć.

To zresztą całkiem naturalne. Mijają lata, wychodzą książki. Człowiek chciałby, jak to się mówi, obejrzeć się wstecz na przebytą drogę, wejść w porozumienie z czytelnikiem, uzalić się nad młodością, która upłynęła w znoju i trudzie. Życie przeszło i chciałoby się wiedzieć, czy przeszło w dobre ręce. Oto usprawiedliwienie jubileuszu. To jest słuszne i zrozumiałe.

A jeśli tego wszystkiego nie było (pracy i lat), wtedy wystarczy gorąco pragnąć. I będzie jubileusz.

Zmontuje się. Przecież ludzie nie zwierzęta, nie zrobią bliźniemu przykrości. Przyślą telegramy wedle zwyczaju („złożony ciężką niemocą przesyłam gorące...”), wynajmą przyzwoitą salę i podkreślą wszystko, co trzeba.

Za dużo tych jubileuszów. Zdziebko przeholowano. Przełała się czara szczęścia. Zbyt wielkie masy jubilatów wciągnięto do akcji jubileuszowej. Roznamiętnionego pisarza trudno teraz wtłoczyć w normalne ramki.

Urzędy są przepełnione nieposkromionymi poszukiwaczami jubileuszów.

- Dzień dobry. Jestem pisarzem.
- Tak.
- Bez przerwy piszę.
- Tak!
- Pisuję różne artystyczne utwory.
- Tak?
- Właśnie. Zobaczę coś godnego uwagi i zaraz opisuję. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie opisać.
- Hm-m.
- Tak się przyzwyczaiłem, że inaczej nie potrafię. Bez przerwy coś tworzę, już tyle lat...
- Ta-ak!
- A czas leci. Dwadzieścia lat pracy twórczej - to nie żart. W każdym razie okrągła data.
- Aha.
- Przydałyby się jakaś podnieta, jakiś bodziec, bo to już i natchnienia nie ma w dostatecznej ilości...
- Tak?
- Właśnie. Tak to wygląda.
- Ta-a-ak.
- No, skoczę teraz do Wydziału Sztuki, potem do Komisariatu Oświaty, a potem do Encyklopedii Literackiej. Zbliża się moja litera. Do widzenia.

- Do widzenia. O co mu właściwie chodziło, Fiodorze Iwanowiczu? Nie rozumiem, co on chciał?
- Przyszedł prosić o jubileusz.
- Aha! To dlatego tak się wił. Jest tam jeszcze kto? Proszę wpuścić.
- Dzień dobry. Czy nie przeszkadzam?
- Proszę bardzo. Pan jest pisarzem, prawda?
- Tak. Bez przerwy tworzę.
- Pisz pan różne artystyczne dzieła?
- Tak jest.
- Opisuje pan?
- Oczywiście. Co zobaczę - to opiszę. Jak tylko coś zobaczę, to zaraz opiszę.
- A czas leci?
- Oj, leci. Leci jak strzała.
- Dwadzieścia lat zajmuje się pan pracą twórczą?
- Niestety, zaledwie piętnaście. Ale to jest bądź co bądź okrągła data, nieprawdaż?
- Niewątpliwie. Ale na jubileusz za mało.
- Mało?
- Zdziebko przymało.
- A gdyby tak dodać pracę w urzędach państwowych?
- Hm-m-m.
- Wtedy dałoby się dociągnąć do osiemnastu.
- To też za mało.
- W takim razie przepraszam. Oczywiście nie śmiem... Ale przydałby się jakiś bodziec.
- Tak. Każdemu by się przydał. Do widzenia. Wydział Sztuki na lewo. Fiodorze Iwanowiczu, podpiszcie towarzyszowi przepustkę. Jest tam jeszcze kto?
- Jakiś chłopiec.
- Pionier?
- Nie, niezorganizowany.
- Dajcie go. Jak się masz, chłopcze. O co ci chodzi?
- Dzień dobry. Jestem pisarzem.
- Ty jesteś pisarzem? A ileż ty masz lat?
- Piętnaście.
- Bujasz, chłopcze, masz najwyżej dwanaście.
- Piętnaście, słowo daję. Tylko tak młodo wyglądam. Ale już jestem stary, sterany wiekiem.
- Sprytny chłopak! A czas leci jak strzała, prawda?
- Oj, leci, leci.

- I co z tego?

- Społeczeństwo jest zaniepokojone. Chciałoby uczcić datę. Bądź co bądź już dziesięć lat tkwimy w literaturze. Przydałby mi się jubileusz. Lokal już wyszukałem - kino „Czary”.

- Jaki jubileusz, chłopcze? Sam powiadasz, że masz piętnaście lat. Od kiedy pisujesz? Od piątego roku życia?

- Od czwartego. Ja jestem cudowne dziecko. Tak jak Jascha Heifetz. Tylko że on na skrzypcach, a ja w dziedzinie pióra. Pieśni i myśli!

- No, jazda, jazda, wracaj do mamy!

- Nie mogę wrócić do mamy. Napisałem na nią pamflet. Potrzebny mi jubileusz. Zróbcie mi jubileusz!

- Fe, chłopcze, wstyd płakać. Za duży jesteś na to. Fiodorze Iwanowiczu, trzeba go odprowadzić do żłobka. Dużo tam jeszcze czeka?

- Dwóch muzyków, szesnastu aktorów i osiemdziesięciu jeden pisa...

- Nie, nie, nie! Już dosyć. Niech się zwrócą do swoich administracji domów. Tam mają wszystkie dane.

Niech im urządzają jubileusze.

Doszło do tego, że w redakcjach czasopism zaczęto obawiać się nie tyle maniaków z najnowszym modelem perpetuum mobile w zanadru, ile ludzi, którzy z uporem domagają się umieszczenia w prasie ich portretów, życiorysów tudzież listy zasług zarówno ściśle pisarskich, jak i obywatelskich

(wierny członek związku zawodowego; posiwiaty na walnych zebraniach członek spółdzielni; niezmordowany aktywista i bojownik). Niektórzy przywożą nawet swoje popiersia odlane po kumotersku z przetapianego żelaza. W redakcji popiersia te fotografują, ale wymigują się od reprodukowania ich w prasie.

Jubileuszu jako takiego nie będziemy opisywali. Któż nie zna bowiem tego dziwaczego obrządku przypominającego po części mszę żałobną, a po części wesele w środowisku inteligencji. Szczęście, jeśli jubilat jest człowiekiem wesołym w rodzaju Wasyla Kamińskiego i fakt uwieńczenia go laurem, ku ogólnemu zadowoleniu, traktuje jako dobry żart. Ale niektórzy tę jubileuszową pompę biorą na serio, przez co stają się nieznośni na całą resztę życia. Resztę, prawdę powiedziawszy, niemałą, zwłaszcza jeśli jubileusz obchodzi cudowne dziecko, albo autor, który ma na sumieniu zaledwie jeden esej, a właściwie nawet nie esej, tylko podanie do Komitetu Miejskiego (inaczej nie przyjmują na członka).

Bywają jubileusze z wystawą dorobku, ale zdarzają się też bez wystawy (jeśli dorobek nie istnieje). Ale ten żalosny szczegół nie zakłóca uroczystości. Dorobek dorobkiem, a jubileusz jubileuszem.

Jeśli nie ma żadnego dorobku, wtedy jubileusz przybiera dla solenizanta nieco przykry charakter.

Jubilata nazywa się nie zauważonym pracownikiem, pożyteczną śrubką w wielkiej maszynie, mówi się, że w swoim czasie rokował nadzieję, że nie zawadziłoby, żeby je nadal rokował - słowem, poniża się go nieprawdopodobnie. Ale jubilat tego pokroju znieśie wszystko. Jeśli nie można być niczym lepszym, dobrze być chociaż śrubką. Śrubce to wystarczy.

Jubileuszowe katusze trwają nadal. Czara szczęścia „rośnie, rozszerza się i krzepnie” Jubileuszowi grozi, że zamieni się w staroświecki benefis na całą lub na pół kasy, z upominkiem w postaci srebrnej cygarniczki lub platerowanej podstawki do szklanki firmy braci Fraget.

Ale czy wtedy przyjemnie będzie, towarzysze, usłyszeć takie rozmowy:

- W tym roku kończę lata na pełny benefis z cennymi upominkami.
- Wam, powieściopisarzom, dobrze się powodzi. Bo autorom esejów przyznają zaledwie ćwierć benefisu i talon na kalosze.

I co, przyjemnie będzie?

Dzieci trzeba kochać

Wieczór i wiatr. Przed każdą bramą żegnają się zakochani. Żegnają się nieprawdopodobnie długo, czule, bez słów. Jest wiosna. Gdy zakochani wreszcie się rozstają, ona wraca do swojego nędznego pokoiku (tak się już przyjęło wedle literackiej tradycji), on zaś poprawia na głowie czapkę z lakierowanym daszkiem i udaje się do domu, a jego usta prawem zabawnego bezwładu wciąż jeszcze złożone są jak do pocałunku (to już coś nowego! Rozkład formy powieściowej, jak powiada Olesza).

Na mokrych ogrodowych ławkach, gdzie scyzorykiem wycięte są serca przebite strzałami wielkości lotniczych pocisków, siedzą znieruchomiałe parki. Jest ich mnóstwo! Siedzą na schodach muzeów, na brzegach chodników, w poczekalniach tramwajowych. W ciszy, po całym mieście rozlega się miarowe cmokanie, tak jakby niezliczeni dorożkarze poganiali swoje konie.

W tych wiosennych chwilach szczególnie przykro jest myśleć o literaturze dla dzieci.

Co czeka dzieci, które, jak wolno przypuszczać, przychodzą na świat w konsekwencji takich oto legalnych skądinąd poczyznań obywateli?

Co one będą czytały? Jak zaczną poznawać świat? Co zaofiaruje im miłujące dzieci Wydawnictwo

Literatury Dziecięcej?

Obecnie ojciec bierze na kolana dziecko w wieku przedszkolnym (niechaj się dowiedzą beżenni redaktorzy i autorzy, że dziecko w wieku przedszkolnym to jest jeszcze bardzo małe dziecko) i powiada:

- Słuchaj, szkrabie, kupiłem ci książeczkę o strażakach. Ciekawe, co? Ogień, pochodnie, kaski.

Posłuchaj.

I sepleniąc, zaczyna z przejęciem:

- „Pożarnictwo w ZSRR całkowicie różni się od pożarnictwa w Rosji carskiej...” Ech, zdaje się, że wcale nie to kupiłem. Ale dlaczego w sklepie powiedzieli, że to dla pięciolatek?

Rodzic z osłupieniem wpatruje się w okładkę. Myśli, że znajdzie tam nazwę Wydawnictwa Naukowo-

Technicznego, firmy solidnej, znanej z wydawnictw specjalnych. Ale nie. „Młoda Gwardia”. Zresztą po ilustracjach widać, że to książka dla dzieci. Strażacy narysowani w postaci jakichś pałeczek, a z okien płonącego budynku wydobywają się żółte płomienie w kształcie dyni.

Tymczasem dziecko czeka. Chce poznać świat.

Z dziwnym uśmiechem ojciec odkłada książeczkę i szybko zaczyna deklamować stare, wypróbowane na przestrzeni wieków porzekadło:

Miałababuleńkakozłarogatego...

Słyszac to dziecie śmieje się jakimś niezdrowym biologicznym śmiechem i macha pulchnymi rączy nami (nie gniewajcie się za pulchne rączyny - tradycja literacka).

Ojciec czuje, że zabrnął w ślepą uliczkę, że to nie jest słuszna metoda wychowawcza. Zaczyna poprawiać bajeczkę systemem chałupniczym.

- Widzisz, szkrabie, ta babuleńka to nie jest taka zwyczajna babuleńka. To jest kołchoźnica. A koziołeczek też nie jest zwyczajny, tylko uspołeczniony.

Jednak w głębi duszy ojciec wie, że koziołeczek jest przedrewolucyjny, może nawet z epoletami. Ale co ma robić? Nie może przecież czytać synkowi ciężko strawnego wykładu o pożarnictwie.

- Teraz o kotku - niespodziewanie żąda dziecko.

Ojciec popada w obłęd. Jaki kotek? Co można powiedzieć o kotku? Kotek uspołeczniony? To lewactwo. Zwykły kotek? Bezcelowo. Bezsensownie. Niepedagogicznie.

Trudna sprawa. Diabelnie trudna!

Albo nagle wpada człowiekowi w ręce barwnie ilustrowana książeczka, gdzie wielką dziecięcą czcionką jest wydrukowane:

Dzieci się nie łobuzujcie,

Tylko traktor uszanujcie.

Traktor się na wroga pcha,

I obrabia ha, ha, ha.

Ha, ha, ha –

Oto sztuka!

Cha, cha, cha!

Na pozór wszystko w porządku. Tematyka współczesna. Apel o szacunek dla mechanizmów („traktor uszanujcie”). Ukazanie stosunku sił na wsi („traktor się na wroga pcha”). Nowa terminologia (obrabia ha zamiast morgi). Jest nawet element inspirowanego dziecięcego humoru („oto, sztuka, cha, cha, cha”). Nie można się do niczego przyczepić.

A jednak wstyd czytać to dziecku na głos. A jeśli się nawet przeczyta, to dziecko z całego utworu zapamięta tylko „cha, cha, cha” i przez parę dni będzie zamęczało nas tym szatańskim śmiechem.

Technika poetycka niewątpliwie posunęła się naprzód. Na przykład rymowanie „pcha” i „ha”. Dawniej bywało gorzej.

Był niegdyś w Odessie cenzor Siergiej Płaksin, który równocześnie zabawiał się poezją. Drukował swoje wiersze w galowe dni w piśmie „Wiadomości Odeskie” i na prawach cenzora pisał całkiem po prostu:

Powiedz mi, kochana matko,
Co to jest za dzień wesoły?
Czemu włożył mundur tatko,
I nie poszedł brat do szkoły?

Rymował sobie tatkę i matkę. Któż mógł mu zabronić tej swawoli pióra, skoro autorem był sam cenzor, redaktorem - przedstawiciel samodzielnego korpusu żandarmerii, czytelnicy rekrutowali się wyłącznie spośród stójkowych, a wierszyk był poświęcony uczczeniu trzechsetnej rocznicy dynastii

Romanowów.

A jak się zachować czytając wydaną w roku 1931 książeczkę dla dzieci, gdzie autor rymuje „mosty” i „koszty”, „dąży” i „zdąży”? To jeszcze gorzej niż „tatko” i „matko”. To już po prostu bandycki napad na dzieci, podpadający pod punkt drugi artykułu 184 kodeksu karnego, napad połączony z fizycznym lub psychicznym gwałtem.

Bo to jest gwałt psychiczny. Natomiast „ha, ha, ha” - wręcz fizyczny.

Komu podsuwa się wszystkie te artystyczne dzieła? Dzieciom czy dorosłym? Początkowo zdaje się, że dzieciom, potem okazuje się, że dorosłym. A przecież w naszych wydawnictwach dzieci nie pracują.

Możemy być spokojni, że kierownik „Korowodów przy ognisku” to nie pacholę, nie dziecko. Również kierowniczka czasopisma młodzieżowego „Ścigany-prześcigany” (dawniej berek - oberek) także nie osesek.

Więc jak się to dzieje? Niewątpliwie, kiedy wydawano dziecięcą pożywkę - „Pożarnictwo w ZSRR wyraźnie różni się od...”, to zatroszczono się o wszystko: żeby tam nie było mistyki, żeby tam nie było biologii użytej w oderwaniu od innych czynników, żeby tam nie było nagiego technicyzmu, dekadentyzmu i wulgaryzacji. Uwzględniono wszystko prócz wieku czytelnika.

W rezultacie otrzymano utwór, który można czytać chyba tylko na kongresie teoretyków pożarnictwa, a i to starzy brandmajstrzy pokiwiają okopconymi głowami i powiedzą:

- Nastawienie słuszne, ale trochę za mądre. My, strażacy, wolelibyśmy nieco prościej.

Czasami jednak kierownik „Korowodów przy ognisku” przypomina sobie, z kim właściwie ma do czynienia. Być może, ustąpił w tramwaju miejsca kobiecie z dzieckiem i sam się tym rozczulił, a może po prostu otrzymał papierek z pieczętką, zawierający wskazania, upomnienia, a może nawet propozycje. Słowem, przypomina sobie o dzieciach.

I wtedy zaczyna się gromkie „cha, cha, cha” rzekomo na tematy współczesne. Na łeb na szyję zaczyna wtedy galopować zarówno nagi technicyzm, jak i fetyszyzacja przedmiotów, tudzież przeklęta biologia użyta w oderwaniu.

Tymczasem na bulwarach, które są głównymi dziecięcymi magistralami, paplą i śmieją się mali czytelnicy. Jest ich mnóstwo i ciągle ich przybywa (czas by już ustawić dla

nich specjalne sygnały świetlne). Kopia w piasku kanały, jeżdżą na wielbłądzie, na którego boku widnieje napis

„Zjednoczenie Estrady i Cyrku”, bawią się w urząd i skaczą przez sznurek.

Dzieci są dobre. Nie trzeba ich krzywdzić.

Użyjemy sformułowań bardzo ostrożnych:

Poszczególni autorzy poszczególnych książek wydawanych w sporadycznych wypadkach przez poszczególne wydawnictwa! Kochajcie dzieci! Szanujcie je! Wprawdzie są one małe, ale mimo to zasługują na dobre traktowanie. Kochajcie je, nie bójcie się, to nie jest biologia.

Sawonaryło

Dziwna rozmowa odbywała się w jednym z dyktowych pomieszczeń Wydawnictwa Graficznego.

REDAKTOR: Drogi Konstantynie Pawłowiczu. Oglądałem pański plakat... Chwileczkę, tylko zamknę drzwi na klucz, żeby nas nikt nie słyszał.

MALARZ: (uśmiecha się boleśnie)

REDAKTOR: Wie pan, Konstantynie Pawłowiczu, nigdy bym się po panu tego nie spodziewał. Co pan tu narysował? Niech pan sam zobaczy.

MALARZ: Dlaczego? Wszystko zgodnie z tematem: „Więcej uwagi dla zbiorowego żywienia”. W wielkiej stołówce kelnerka roznosi obiady. Może pomyliłem podpisy (przestraszony, deklamuje) „W domu prymus, brud i smród - tu przysmaków różnych w bród. W domu pluskwy i stonogi - a tu barszczyk i pierogi”.

REDAKTOR: Ależ nie... To w porządku. Ale to - co to takiego?

MALARZ: Kelnerka.

REDAKTOR: Ale to! To! (pokazuje palcem)

MALARZ: Bluzka.

REDAKTOR (sprawdza, czy drzwi dobrze zamknięte): Tylko bez wykrętów. A co pod bluzą?

MALARZ: Piersi.

REDAKTOR: Otóż to właśnie. Dobrze, że od razu zauważyłem. Te piersi trzeba zlikwidować.

MALARZ: Nie rozumiem. Dlaczego?

REDAKTOR (wstydliwie): Za duże. Powiedziałbym - wręcz ogromne.

MALARZ: Wcale nie są duże. Drobne, klasyczne piersi. Afrodyta Anadiomena. Na przykład u Canovy

„Odpoczywająca Wenus”... Zresztą niech pan weźmie słynną pracę niemieckiego profesora

Anderfackta „Brüste und Büste”, gdzie na podstawie cyfr jest dowiedzione, że kobiety naszych czasów mają piersi o wiele większe niż kobiety antyczne. A ja namalowałem pierś kobiety antycznej.

REDAKTOR: No i co z tego, że teraz mają większe? Nie wolno zdawać się na pastwę żywiołu. Piersi należy organizować. Należy pamiętać, że ten plakat będą oglądały kobiety i dzieci. A nawet dorośli mężczyźni.

MALARZ: To śmieszne. Przecież moja kelnerka jest ubrana. Zresztą piersi ma całkiem małe. Jeśli przetransponować je na rozmiar stóp, to będzie najwyżej trzydziesty trzeci numer.

REDAKTOR: To znaczy, że potrzebny jest rozmiar dziecięcy, numer dwudziesty ósmy. W ogóle po co ta dyskusja? Sprawa jest jasna. Piersi to rzecz nieprzyzwoita.

MALARZ (zrezygnowany): Zatem jakiej wielkości powinny być według pana piersi kelnerki?

REDAKTOR: Jak najmniejsze.

MALARZ: Ale chciałbym wiedzieć dokładnie.

REDAKTOR (marząco): Najlepiej, żeby ich wcale nie było.

MALARZ: To może namalować mężczyznę?

REDAKTOR: Nie, prawdziwego, stuprocentowego mężczyzny nie należy umieszczać. Przecież mamy agitować za wciągnięciem kobiet do produkcji.

MALARZ (radośnie): To może staruszkę?

REDAKTOR: Wolałbym jednak dziewczynę. Ale bez tych... szczegółów. Sam pan przyzna, że to jest bądź co bądź dwuznaczne.

MALARZ: A biodra? Biodra mogą być?

REDAKTOR: Co pan, Konstancyne Pawłowiczu. Biodra w żadnym wypadku. Pan gotów jeszcze wymalować naramienniki. Lampasy! A zatem uzgodnione?

MALARZ (wychodząc): Jak widać - uzgodnione. Skoro nie można inaczej. Do widzenia.

REDAKTOR: Serwus, przyjacielu. Chwileczkę. Czy pan jest żonaty?

MALARZ: Tak.

REDAKTOR: Wstyd. Nieładnie. Ale trudno. Do widzenia.

MALARZ wrócił do domu, żeby zasmarować gwaszem klasyczne piersi kelnerki.

I zamalował.

Cnota (hipokryzja plus pruderia ze stanu Massachusetts plus zajęcza tchórzliwość) tryumfowała.

Kinematografia przestała angażować do pracy ładne dziewczęta. Reżyser wije się przed aktorką, nie wie, jak się wykręcić, baka:

- Nie można pani odmówić zdolności... Nawet talentu. Ale pani ma pewne... wady fizyczne. Taka pani jest zgrabna jak kijowska topola. Taka jakaś, z przeproszeniem, urodziwa. Do pioruna! „W muzyce można by ją nazwać capriccio, w rzeźbie - posążek renesansowy”. Słowem, w tym stanie nie ma mowy. Co powie społeczeństwo, kiedy coś takiego zobaczy na ekranie?

- Pan jest niesprawiedliwy, Lucyferze Markowiczu - mówi aktorka. - W tym roku (przecież sam pan wie, że mnie nigdzie nie angażują) już dużo korzystniej wyglądam. Niech pan spojrzy, jakie mam zmarszczki. Nawet trochę posiwiałam.

- Co tam zmarszczki - mówi z dezaprobatą reżyser. - Żeby pani miała worki pod oczami! Albo zapadnięte usta - to co innego. A jakie są pani usta? Wiśniowy sad! „Ujrzymy niebo w diamentach” - można powiedzieć. Proszę się uśmiechnąć. No, oczywiście! Zęby w komplecie! Perły! Gallux! W żadnym razie nie mogę pani zaangażować. A co to za chód! Co za gracia! Powiew wiosny! Aż przykro patrzeć!

Aktorka załkała.

- Za co mnie tak los każe? Że mam talent i nie jestem pokraką!

- Zdarza się w najlepszej rodzinie - sucho zauważył reżyser. - Co ja mam z panią zrobić? Niech no pani spróbuje się przygarbić. Więcej, jeszcze więcej. Jeszcze. Już więcej pani nie może? Gdzie jest asystent? Towarzyszu Szatański, proszę zawiesić jej na szyi dwie, trzy podkowy. Nie, nie te z filmu

„Szlifowane śrubki”, tylko prawdziwe, z żelaza. No co, kochasiu, już pani lepiej chodzić? No to dobrze.

Jedno oko trzeba będzie zawiązać czarną opaską. Zbyt symetrycznie są rozstawione. W tym stanie będę mógł pani dać jakiś epizodzik. Dlaczego pani płacze? Ech, któż zrozumie serce kobiety!

Music-hall został zdobyty przez hipokrytów na koniach brawurową szarżą, która niewątpliwie przejdzie do światowej historii kawalerii.

W zdobytym budynku zademonstrowano ścinanie łoży.

Baletowi złożonemu z trzydziestu dziewcząt wydano:

30 par chaplinowskich kapci

30

30 par wąsów

30

30 pastorskich surdutów

30

30 par spodni

30

Spodnie wydano specjalnie jak najszersze, żeby broń boże nie uwydatniały się czarujące linie nóg.

Zorganizowani widzowie bardzo się dziwili. Program zapowiadał trzydzieści girls, a tymczasem pokazano trzydzieści nieszczęsnych istot niewiadomej płci i wieku.

W czasie tańca ze sceny dolatywały zduszone szlochy figurantek. Ale widzowie myśleli, że to są sztuczki Kasjana Golejzowskiego - poszukiwania, subtelności, wzloty.

Ale to wcale nie były sztuczki Golejzowskiego.

Zawsze to robili, i robią nadal, mali, domorośli savonarole. Oni poprawiają nawet wielkiego mistrza

Maupassanta. Usuwają z jego dzieł artystyczne szczegóły, które wydają się im niemoralne, są przerażeni, kiedy bohater powieści żeni się. Odgłos pocałunku jest dla nich gorszy niż wybuch pocisku.

Ach, jak oni się wszystkiego boją! Jak im źle i ciężko żyć na świecie!

Savonarola? Żeby chociaż Sawonaryło!

Ale nie! To po prostu stara, głupia guwernantka, ta sama, która nigdy nie wychodziła na ulicę, żeby nie spotkać mężczyzny. Bo mężczyzna - to coś nieprzyzwoitego.

- Co w nim jest nieprzyzwoitego? - pytano. - Przecież chodzi ubrany.

- Tak, ale pod spodem jest goły! - odpowiadała guwernantka. - Szkoda waszej fatygi, nie dam się przekonać!

Głową do nieba sięgać

- Co nazywamy sławą, towarzysze?

Sławą, towarzysze, nazywamy jaskrawą łatę jaką widzimy na wyszarzanym odzieniu śpiewaka.

Ze spuścizny klasyków

Z pewnych zapowiedzi można było wnosić, że nadciąga burza. Mówiąc stylem literatury wojennej - w powietrzu pachniało prochem (zrobimy ustępstwo dla zawadiaki Wiszniewskiego - pachniało bezdymnym prochem). Natomiast mówiąc już całkiem ściśle - pachniało skandalem. W ogóle ta sprawa nie mogła dobrze się skończyć. Ofiara dojrzała. Wszyscy o tym wiedzieli, ale nikt nie chciał pierwszy wznieść nad nią ognistego miecza zdrowej krytyki.

Zdarzył się, co prawda, fakt. Incydent. Na jakiejś koleżeńskiej herbatce jakiś pisarz wykrzyknął jakąś opinię. Ale nikt nie zwrócił na to uwagi, udawano, że nic nie zaszło. Zresztą, ów heretyk niezwłocznie po tym zasnął złożywszy głowę na ramieniu amfitriona z komitetu organizacyjnego.

Tymczasem sława pisarza Ołowiańskiego rosła. Dziewczęta w parku szeptały jego nazwisko. Wydawcy także byli w nim zakochani.

A czy może być coś bardziej upajającego niż pierwsza miłość wydawcy? Nie może być nic bardziej upajającego, wielce szanowne panie. W tym mieści się wszystko - wydania masowe i wydania niemasowe, wydania arcytanie i odwrotnie - arcydrogie, w ekstra okładce i w specjalnym tekturowym futerale zapinanym na guziki z masy perłowej i z monogramem. Słowem - nie życie, lecz nieustający tłusty czwartek. Krytycy nie mieli Ołowiańskiemu nic do zarzucenia. Wszystko im się podobało w jego utworach, o czym mówili często, nudno i głośno.

Ołowiański był u szczytu sławy. Głową do nieba sięgał. I kto wie, jak długo jeszcze trwałby jego pobyt na wyżynach, gdyby nie pomruki z literackich kuluarów.

Trzeba wyjaśnić, co to są kuluarowe opinie. Kuluary mogą być wszędzie. Na ulicy, w domu, w redakcjach - wszędzie tam, gdzie się spotykają i rozmawiają pisarze.

Lubimy szkolne szablony i wciąż uważamy, że kuluarowe pogawędki to coś złego, mieszczańskiego, że to zaraz plotki i oszczerstwa, że jeśli ma się coś do powiedzenia, to trzeba koniecznie wygłosić przemówienie, koniecznie długie, koniecznie z mównicy i

koniecznie z wprowadzeniem poprawek do stenogramu. („Szanowny towarzyszu redaktorze. Pewien – pożałuj się boże – krytyk znalazł czas, by wyciągnąć z mojego nie skorygowanego stenogra... to jest oburza... ja protestu...”). To jest nudne. I niesłuszne. Nie trzeba z każdym słowem pchać się na podium ani wozic dorożką przenośnej mównicy, żeby ją w odpowiedniej chwili podstawić pisarzowi, który pragnie zabrać głos w jakiejś sprawie.

Tak pompatycznie zachowywali się tylko rzymscy konsulowie. Pisarzom radzieckim taka pompa nie przystoi. Zwłaszcza że w rozmowach kularowych nie ma żadnej literackiej nielegalności. Kuluary są sprawiedliwe i surowe. W pogoni za prawdą kuluary często wyprzedzają mównicę. Podczas gdy na mównicy ciągnie się w nieskończoność jubileuszowa Walpurgia z okazji czyjejś tam sześćioletniej pracy na pięknej niwie literatury, w kuluarach wszystko już wiadomo – że jubileusz nie był potrzebny, że praca diabła warta, że najwyższy czas, aby jubilat zaczął się uczyć języka, który, podobnie jak i treść, pozostawia wiele do życzenia.

Trzeba słuchać głosu kuluarów. W kuluarach wieją silne wiatry. Tu poddawani są próbie pisarze, podobnie jak samoloty w aerodynamicznej komorze. Tu ocenia się ich styl, ideowość, zdolności. Jeśli tu pęd powietrza urwie komuś skrzydło, nic już nie pomoże – taki pisarz nie będzie latał. Trzeba mu zmienić konstrukcję. Nie wytrzymał próby. Żyć będzie, ale śpiewać – nigdy, jak powiada lud.

A więc dziewczęta w parku z uczuciem recytowały utwory Ołowiańskiego. Aż tu w kuluarach literackich zjawił się bladły i przerażony facet.

- Co się z tobą dzieje, młody stylisto? - spytali pisarze.
- Całą noc czytałem Ołowiańskiego.
- No i co?
- Nędza.
- Niemożliwe. Nie można wam zaufać. Wy tam w swoim chederze imienia Marcela Prousta uważacie, że wszyscy źle piszą.
- Ależ zaręczam wam, że to słabizna. Po prostu nędza. Ubóstwo.
- To niemożliwe. Przecież Ołowiański to znakomity pisarz. Wszyscy go chwalą i głaszczą.
- A czytaliście go? No to przeczytajcie. Wtedy pogadamy.

Wzięli się do czytania. Ołowiańskiego. Przedtem nie czytali, wierzyli na słowo, że w jego dziełach wszystko jest w porządku. Diabli nadali tego młodego stylistę z chederu imienia Prousta.

Ołowiańskiego wciągnęło w aerodynamiczną próbną komorę. I od razu pękła siła jego treści, zachwiały się wiązania kompozycji, rozsypały się na wszystkie strony części składowe, detale, metafory i cudzysłowy. I wszyscy zobaczyli, że ten aparat nie może latać.

Mównica jeszcze z rozpędu piała serenady pod balkonem prozaika, ale wkrótce, zdenerwowana, zamilkła. Zamilkły też kobzy i mandoliny krytyków i w ciszy, która zapadła, ogół literatów usłyszał wyraźnie cienki, mrozący krew w żyłach świst. To leciała pierwsza jaskółka. Niosła w dziobie artykuł, w którym twórczość Ołowiańskiego została poddana wszechstronnej i nader przykłej analizie. Za jaskółką z przeraźliwym warkotem nadlatywały trzymotorowe kondory krytyków. Każdy kondor trzymał w dziobie artykuł, a wszystkie te artykuły były słuszne i nieprzyjemne, że aż strach.

Ołowiański zadrzał. Przywykł już do sławy i całkiem zapomniał o istnieniu szczerych, prostolinijnych kuluarów. Nie mógł pojąć, co się dzieje. Jeszcze parę dni temu kondory i jaskółki miłośnicie krążyły nad jego głową i zrzucały na nią eksportowe tulipany, a nawet całe wieńce. Ach, ten laurowy zapach sławy, zapach rosołu i marynowanych śledzi!

Chór pochwał zamilkł tak niespodziewanie, że Ołowiański miał ochotę krzyknąć „ratunku”, miał ochotę biec na skargę do milicji, walczyć o swoje miękkie posłanko na Parnasie.

„To chyba jakaś pomyłka - myślał zdruzgotany autor. - To jest bezprawie. Ja ich zaskarżę do sądu”

Nie wiadomo dlaczego Ołowiański był przekonany, że przeciwko niemu została uknuta jakaś tajemnicza intriga. Zwracał się do organizacji oraz do poszczególnych osób z prośbą o udzielenie mu prawnej pomocy, w ogóle usiłował odrestaurować swoją sławę drogą znajomości.

- Do czego to podobne! - mówił z oburzeniem. - To skandal! Dziś powiedzieli, że napisałem przeciętną książkę, a jutro diabli wiedzą, do kogo się dobiorą. Takich krytyków trzeba po prostu usuwać.

- Skąd usuwać? - dziwiła się poszczególna osoba.

- Czy ja wiem... Z zajmowanych stanowisk.

- Ale to jest przecież tak zwana swobodna myśl krytyczna... Co ja mogę na to poradzić, że się komuś coś nie podoba?

- Pan wszystko może. Słowo daję. Telefon to mi pan w dwa dni założył, a jakiegoś tam krytyka nie może pan usunąć? Niech go pan usunie. Bardzo proszę!

- A może ta pańska książka rzeczywiście... nie całkiem?

- Ależ na pewno całkiem. Dziewczęta w parku szeptały moje nazwisko.

- Dziewczęta łatwo oszukać. One szeptały już różne nazwiska, które przedwcześnie weszły do szkolnych programów! Zresztą teraz w szkołach jest surowo. System pięciostopniowy. Chce czy nie chce, będzie szeptała.

- Możliwe, ale może by jednak zastosować jakieś represje? Choćby niewielkie. Co? Dla porządku.

- Nie, towarzyszu - ze smutkiem oświadczyła poszczególna osoba. - Już raczej każę panu założyć jeszcze jeden telefon.

- A może jednak mimo wszystko represje?

- Nie, raczej telefon.

Znajomi zaczęli się odwracać od Ołowiańskiego. Kondory krytyków przeszły na loty koszące i siekły go długachnymi i złośliwymi artykułami.

Aż wreszcie na jakiejś dyskusji zaczęto Ołowiańskiego dobijać w następującym trybie porządkowym: prelegentowi na obrzucenie autora kamieniami i cytatami - pół godziny, zabierającym głos w dyskusji na obsmarowanie autora błotem i pomyjami - po pięć minut na osobę.

Zaczął się przegięcie.

Cóż wobec tego, towarzysze, możemy nazwać sławą?

Nie bądźmy przesadni, towarzysze. Sławą, towarzysze, nazwiemy jaskrawą, że się tak wyrazimy, łatę na wyszarzanym odzieniu śpiewaka, towarzysze. I to byłoby wszystko.

Tak powiedział, że tak powiemy, Puszkina.

I to jest wszystko na temat sławy. Nie bądźmy przesadni.

Miłość powinna być wzajemna

Na wiosnę miło jest porozmawiać o osiągnięciach. Drzewa, pączki, mimozy w spółdzielczych kioskach

- wszystko to usposabia przychylnie. W takie dni nie ma się ochoty robić przykrości współbraciom po piórze i atramencie. Raczej chciałoby się ich chwalić, wystawiać i obnosić na tarczy po całym mieście.

Tymczasem zmuszeni jesteśmy mówić o brakach. A dzień taki cudowny. Przykro, towarzysze. Wiosna

- wiosną, a złych książek ukazało się co niemiara - grubych, nie do przebrnięcia powieści, imieninowych wierszyków, a także cherlawych opowiadań. Cherlawych zarówno w formie, jak i w treści.

Czym to wytłumaczyć?

Oto niektóre spostrzeżenia.

Do wydawnictwa wchodzi zwyczajny młody człowiek ze skoroszytem w rękach. Potulnie czeka na swoją kolejkę, po czym z czarującym uśmiechem wchodzi do gabinetu redaktora.

- Miesiąc temu pozwoliłem sobie podrzucić tutaj moją powieść.

- Pod jakim tytułem?

- „Gniazda i siodła”

- Tak... „Gniazda i siodła”. Czytałem... Czytałem, czytałem. To nam nie odpowiada.

- Nie odpowiada?

- Niestety. Bardzo nędznie napisane. Trudno wprost uwierzyć, że autor tego utworu jest pisarzem.

- O, przepraszam, towarzyszu. Ale ja jestem pisarzem. Proszę bardzo. Oto wszystkie dowody.

Legitymacja członkowska miejscowego Oddziału Pisarzy. Następnie paszport. Proszę, wyraźnie napisane: „Zawód - pisarz”

- Ależ nie o to chodzi. Nie tego rodzaju mam wątpliwości. Rzecz polega na tym, że taką książkę mógł napisać tylko niedoświadczony, niewykwalifikowany pisarz.

- Jak to niewykwalifikowany? Przy ostatniej weryfikacji nie zostałem skreślony. Proszę, tu jest adnotacja: „Przedłużano do 1 sierpnia 1934 roku”. Teraz mamy kwiecień, czyli że zaświadczenie jeszcze jest ważne.

- To nie ma nic do rzeczy. Ale proszę się zastanowić, czy można w ten sposób ujmować temat?

Przecież to jest naiwne, nieciekawe, niefachowe.

- A rozdzielnik?

- Jaki rozdzielnik?

- Figuruję w rozdzielniku. Proszę, tu jest wykaz. Widzi pan? A pan mówi, że to niefachowe.

- Nie rozumiem, co ma do tego wykaz?

- Nie rozumie pan? To bardzo smutne. Jeżeli jestem w rozdzielniku pisarzy, to znaczy, że jestem dobrym pisarzem. Chyba jasne?

- Możliwe, możliwe. Ale to nie gra roli. Czy można w ten sposób pisać? Zaraz w pierwszym zdaniu pisze pan: „Otrogin doznawał ku sprzątacze Oldze wielkie, prawdziwe, wszechpochłaniające uczucie”. Co to za język? Przecież to jest nie do przyjęcia!

- Co do języka, to już proszę wybaczyć. Właśnie jeśli chodzi o język, to nie może być żadnych zastrzeżeń. Wszystkich besztali za język, nawet Panfierowa. Zbierałem wszystkie wycinki. A o mnie nikt nawet nie wspomniął. Czyli że mój język jest w porządku.

- Niepotrzebnie zabieracie mi czas, towarzyszu. My nie możemy wydawać książki, gdzie na każdej stronie spotyka się tego rodzaju porównania. „Tramwaj był ustrojony flagami jak dziewczęta na jarmarku”. A więc pańskim zdaniem dziewczęta na jarmarkach są ubrane we flagi. Zupełna brednia!

- To jest nieuzasadniony zarzut, towarzyszu. Mam protokół zebrania kółka literackiego przy klinice ocznej, gdzie czytałem moją powieść. Oto protokół... Chwileczkę, zaraz go znajdę. Jest! „Książka

«Gniazda i siodła» cieszy żywością i bogactwem obrazów, jak również napisana jest bogatym i pięknym językiem”. Sześć podpisów. Proszę bardzo. Pieczętka. A więc i na tym odcinku wszystko jest w największym porządku.

- No to do widzenia.

- Nie, wcale nie do widzenia. Mam tu jeszcze jedno pisemko.

- Nie chcę już oglądać żadnych pisemek. Proszę mi dać spokój.

- To jest bilecik. Osobiście do pana.

- Nieważne.

- Od Jaguara Siemionycza.

- Od Jaguara Siemionycza? Niech pan pokaże. Proszę spocząć. Tak, tak. Aha. M-m, tak. Możliwe.

Możliwe, że się pomyliłem. Dobrze, dam jeszcze te pańskie „Gniazda” Tygrysińskiemu. Niech poczyta, niech się zorientuje. A w ogóle, proszę zgłosić się jutro. Maria Stiepanowna przygotowuje tymczasem umowę. A jutro podpiszemy. W tych pańskich „Siodłach” jest jedno doskonałe miejsce: kiedy Otrogin robi Oldze wyrzuty z powodu jej zaciekłości ideowej. Znakomite miejsce. Ukłony dla Jaguara.

„Gniazda i Siodła” zostają wydane w nakładzie dziesięciu tysięcy, w sztywnej oprawie, z portretem autora i z długim wykazem błędów drukarskich. Autor chodzi po mieście i podziwia swoje dzieło na wystawach, a równocześnie na zebraniu w wydawnictwie pieni się mówca:

- Trzeba, towarzysze, podjąć, zaostrzyć, wysunąć, szeroko przedyskutować i z całą powagą rozpatrzyć zagadnienie naszej produkcji książek. Ta produkcja, towarzysze, pozostaje w tyle, kuleje, nie nadąża, nie stoi na poziomie...

Mówca jeszcze nie skończył, a już w innym wydawnictwie, przed innym redaktorem stoi inny autor.

Inny autor jest ubrany w futro z raglanowymi rękawami, w zębach trzyma wielką galalitową cygarniczkę, na nogach ma wysokie wojskowe buty aż po pachwiny. To nie jest człowiek cichy ani potulny. To jest człowiek energiczny, pewny siebie, pełen optymizmu, wybraniec losu. O takich podsądnych marzą początkujący prokuratorzy.

Nie nosi przy sobie żadnych zaświadczeń ani dowodów. To nie jest biurokrata ani petent, ani żalosna staruszka z felietonu, która ucierpiała wskutek samowoli miejscowych władz. To jest sprężynowy zamszowy lew, który rozpycha łokciami niemrawych i marzycielskich hipopotamów i hałaśliwie przedziera się do wodopoju.

Jego metody twórcze są zadziwiająco proste, niczym proza Meriméeego.

Na pisanie zdobywa się tylko raz w życiu. Jest autorem jednego jedyne go utworu. To nie jest Goethe ani Lope de Vega, ani Cervantes, nie warto się w ogóle na ten temat rozpisywać. Sprawa przedstawia się dużo groźniej. Rękopis jest mu potrzebny tak, jak kasiarzowi potrzebny jest aparat acetylenowy do rozpruwania kas pancernych.

To, co napisał, można by nazwać bredzeniem tysej kobyły. Ale tym faktem autor nie czuje się bynajmniej skrępowany.

Bezczelnie proponuje wydawnictwu, żeby zawarło z nim umowę. Wydawnictwo brutalnie odmawia.

Wtedy on bezczelnie zapytuje, czy wydawnictwo nie potrzebuje papieru. W drodze kumoterstwa.

Wydawnictwo nieśmiało odpowiada, że oczywiście potrzebuje. Wtedy on grzecznie pyta, czy wydawnictwo nie wydałoby jego książki. Wydawnictwo bezczelnie odpowiada, że naturalnie wyda.

Książka wychodzi bardzo szybko, w rekordowym tempie. Teraz wszystko jest już w porządku. Aparat acetylenowy spełnił swoje zadanie. Kasa jest otwarta. Pozostaje tylko wyjąć z niej zawartość.

Autor składa wydaną książkę w miejscowym Oddziale Pisarzy, wypełnia ankietę („karany nie był, zcarskiej armii zdezerterował, dawniej zajmował się akwizycją ogłoszeniową - słowem, zawsze cierpiał a prawdę”), zostaje przyjęty do Związku, otrzymuje kartki żywnościowe. A w ogóle oddaje się bez reszty ofiarnej pracy dla poprawy bytu pisarzy. Nie tylko nie jest Cervantesem, ale nawet nie jest Don

Kichotem i nie posiada żadnych w tym kierunku skłonności. Pierwsze mieszkanie wybudowane dla pisarzy zagarnia dla siebie. Mając wydaną książkę, legitymację związkową, specjalne kartki żywnościowe, a nawet samochód, posiada wszelkie znamiona jednostki literackiej na wysokim poziomie artystycznym.

Taką jednostkę, wyposażoną w najnowsze zdobycze techniki, niezwykle trudno jest przyłapać. Sama milicja nie wystarczy. Potrzebna jest kombinowana akcja wszystkich organów wymiaru sprawiedliwości z udziałem straży pożarnej, lotnictwa bojowego, reflektorów tudzież aparatów podsłuchowych.

A mówca w wydawnictwie wciąż jeszcze tkwi nad karafką, zwilża gardło wodą i lamentuje:

- Cóż my mamy, towarzysze, w dziedzinie jakości produkcji książek? W dziedzinie jakości produkcji książek, towarzysze, mamy wyraźne niedociągnięcia. A dlaczego, towarzysze, mamy wyraźne niedociągnięcia w dziedzinie jakości produkcji książek? Diabli wiedzą, dlaczego w dziedzinie jakości produkcji książek mamy wyraźne niedociągnięcia!

W tym momencie wnoszą herbatę w szklaneczkach do piwa ustawionych po sześć sztuk na głębokich talerzach. Zagadnienie jakości produkcji książek odkłada się aż do następnego posiedzenia.

Tymczasem wcale nie trzeba marnować metrów kubicznych wody ani zastawiać szklaneczkami z herbatą głębokich talerzy, żeby zrozumieć sedno sprawy. Złych utworów zawsze było więcej niż dobrych. Do wydawnictw zawsze obok rzeczy wartościowych ludzie przynosili, przynoszą i będą przynosić wszelkiego rodzaju bzdury i brednie. To rzecz normalna i nie ma w tym nic groźnego.

Trzeba tylko pokierować sprawą w ten sposób, żeby zły rękopis nie przeobrażał się w książkę. To jest bowiązek redaktorów.

A redaktorzy często bywają małoduszni, czasami mało inteligentni, czasami pozbawieni kwalifikacji, niekiedy czytają uwagi nie odnoszące się do danego utworu, niekiedy budzi się w nich duch handlowy

- wszystko niekiedy się zdarza.

I oto równocześnie ze świeżym głosem rozwijającej się literatury radzieckiej słysząc głuchy bełkot nieudolności, grafomaństwa, karierowiczostwa i nieuctwa.

A w sprawach literatury trzeba wykazywać podbiegunowe męstwo!

Nie należy stosować ulgowej taryfy po znajomości, nie należy zmniejszać wymagań, nie należy robić ustępstw, nie trzeba też okazywać autorowi zbyt wielkiego szacunku za wysługę lat nie popartą wybitnymi osiągnięciami.

Czytelnika nic nie obchodzi kuchnia literacka. Kiedy w jego ręce dostaje się zła książka, co mu za różnica, czyje grupowe interesy odegrały rolę w rozgrywce i kto tę książkę z niepojętą skwapliwością włączył do lektury szkolnej. Czytelnik z obrzydzeniem przewraca kartki jakichś tam „Gniazd” czy też

„Siodeł”, krzywi się na nienaturalne perypetie schematyczno-szablonowego Otrogina i na ostatniej karcie znajduje dopisek: „Redaktor odpowiedzialny Z. Tygrysiński”. Ponieważ bilecik Jaguara

Siemionycza nie jest dołączony do książki, przeto czytelnik nigdy nie będzie w stanie pojąć subtelnych psychologicznych pobudek, które skłoniły towarzysza Tygrysińskiego do wydania „Siodeł”. I niechaj redaktorzy takich książek nie mają złudzeń! Czytelnik rzadko kiedy uważa ich za odpowiedzialnych, ponieważ w istocie żadnej odpowiedzialności, niestety, nie ponoszą.

Takie oto niemiłe rzeczy trzeba mówić w tym radosnym wiosennym okresie bieżącego roku budżetowego. Nie jest to miłe zajęcie psuć sobie stosunki z poszczególnymi współbraćmi i robić im przykre aluzje. O ileż przyjemniej siedzieć we dwójkę przy jednym stoliku i pisać zabawną powieść.

Ach, cóż to za przyjemność! Okno otwarte, południowy wietrzyk, kałamarz pełen atramentu... A jeszcze przyjemniej pojechać z pobratymcami całą paczką gdzieś dalej, do Kachetii, do Buchary, do

Borżomu, rozejrzeć się tam nieco, nawiązać kontakt z miejscowym społeczeństwem i podjąć jakieś zobowiązanie. Oczywiście zobowiązanie niezbyt wiążące - na przykład: że

się napisze książkę o życiu borżomców, albo że się weźmie udział we współzawodnictwie, które ma za cel przedstawienie wzorowej gospodarki w oazie Buchara. Potem wrócić do Moskwy i udzielić wywiadu dla „Gazety

Literackiej”, mimochodem wspominając o własnych osiągnięciach.

Ale jak się kłócić, to już kłócić się poważnie.

Oprócz zjawiających się na półkach księgarskich dych (książek w rodzaju „Siodeł” czy „Gniazd”, jeszcze więcej szkody sztuce radzieckiej wyrządza fakt, że wiele dobrych książek, które mogłyby się ukazać i mogłyby być napisane - nie zostało napisanych i nie ukazało się, gdyż na przeszkodzie stanęły bezcelowe, komiwojażerskie rozjazdy po kraju i pompatyczne zebrania z wymianą literackich zobowiązań.

Podróż nigdy nie może przeszkodzić pisarzowi w pracy. W dodatku nie ma drugiego takiego miejsca na świecie, gdzie by z taką ojcowską troskliwością starano się dać pisarzowi możliwość obejrzenia, poznania i zrozumienia wszelkich spraw, jak to się dzieje u nas.

Ale ta opieka i środki bynajmniej nie są po to, aby ludzie całymi grupami jeździli do miejscowości odległych o kilka tysięcy kilometrów na uroczyste i nudne posiedzenia.

Jakże często pieniądze przeznaczone na rozszerzanie pisarskich horyzontów rozchodzą się na formułowanie rezolucji tej treści: że potrzebna nam jest wielka literatura, że potrzebny nam jest bogaty język, że potrzebni nam są mądrzy pisarze. Jakże często po sformułowaniu takiej rezolucji Brygada mknie z powrotem w mniemaniu, że pokonała jeszcze jedną barierę dzielącą ją od Szekspira.

Żeby osiągnąć poziom literacki godny naszych czasów, bynajmniej nie ma potrzeby otaczać się dyktowymi przegrodami, sztabem urzędników, sekcjami, tudzież ludźmi typu sierżantów, w butach z cholewami, którzy energicznie rozdają bilety kolejowe i pieniądze na koszty podróży.

Obecnie, przed zjazdem pisarzy, Komitet Organizacyjny ma okazję oczyścić literackie podwórko, wyrzucić z szeregów pisarzy ludzi nie mających ze sztuką nic wspólnego.

Dla ludzi przypadkowych w literaturze pisanie powieści jest rzeczą uciążliwą, nudną i kłopotliwą. O wiele łatwiej jest podróżować. Zamiast oddawać się pracy pisarskiej, można się wypowiadać. To jest łatwiejsze. A przy tym stwarza pozory społecznej i literackiej aktywności. Nazwisko takiego pisarza nieustannie powtarza się w prasie literackiej. Taki pisarz zabiera głos przy każdej sposobności, zawsze ma w pogotowiu kilka wyświechtanych do połysku zdań o literaturze dla dzieci, o wyrobach ludowych, o nowej moralności, o ostatnim plenum Komitetu Organizacyjnego, o więzi sztuki z nauką, o drobnomieszczaństwie, użyteczności kolei żelaznej, o walce z wściekliwością lub o działalności na niwie kobiecej.

Wszystkie te wypowiedzi z reguły cechuje brak znajomości przedmiotu. W ogóle na wszystkie poruszane tematy wypowiedzi są mętne. Mówi się o sobie o swojej miłości do władzy radzieckiej.

Co tu ukrywać, towarzysze! Wszyscy kochamy władzę radziecką. Ale miłość do władzy radzieckiej - to nie jest zawód. Trzeba prócz tego pracować. Miłość do władzy radzieckiej to jeszcze nie wszystko.

Trzeba postarać się o to, żeby ona też was pokochała. Miłość musi być wzajemna.

Ładnie by się spisali Kamanin i Mołotow, gdyby zamiast ratować czeluskinowców, siedzieli sobie w ciepłej jurcie przy stole nakrytym zielonym suknem, z podręczną

karafeczką i z dzwoneczkiem, i wysyłali zapewnienia o swoich najgorętszych uczuciach w stosunku do komisji rządowej, wszystkich jej członków oraz przewodniczącego.

Trzeba latać, towarzysze, a nie pełzać! Tę myśl dawno już wyraził Aleksiej Maksymowicz 52. To trudne, bardzo trudne, ale bez tego ani rusz.

W przeciwnym wypadku miłość nie będzie wzajemna.

Bujne życie

Periodyki bywają grube i cienkie.

Ale tylko w teorii. W istocie cienkich już dawno nie ma. Zlikwidowały się. Abonentom obiecano zwrócić pieniądze, ale nie zwrócono. (Przyznacie, że to byłoby nie po gospodarsku tak rozrzucać pieniądze na prawo i na lewo).

Przeto zostały grube. Między nimi są mniej grube i bardziej grube. Im cieńszy jest taki gruby periodyk, tym liczniejsze jest jego kolegium redakcyjne. W najcieńszym z grubych ilość członków kolegium

Maksym Gorki. redakcyjnego dochodzi do dwudziestu osób. Gdyby tych ludzi zebrać razem, to otrzymalibyśmy imponującą manifestację, rzec można - bojowy przegląd sił literatury!

Ale spróbujcie ich zebrać! To jest absolutne niepodobieństwo. Większość z nich nawet nie wie, że są członkami, a reszta z literaturą nie ma nic wspólnego, literatury nie lubi i jest zajęta pracą administracyjną oraz związkową. Mimo to kolegia redakcyjne wciąż się rozrastają i wkrótce zamiast wyklętych zebrań trzeba będzie stosować bardziej udoskonalone sposoby zbierania ludzi do kupy:

„Połączona konferencja członków kolegium redakcyjnego czasopisma «Życie jest wszędzie»... albo

„Powszechny zlot członków i kandydatów kolegium redakcyjnego pisma «Krytyk na widenie»...».

Zebrania mogą się odbywać w małej sali Teatru Wielkiego lub w sali Konserwatorium, ale już nie w małej, tylko w tej większej, tam gdzie wiszą portrety różnorodnych kompozytorów w jarmułkach i w perukach.

O cóż więc chodzi? Po co istnieją kolegia redakcyjne, które właściwie nic nie robią i, mówiąc otwarcie, nie są wcale potrzebne ludziom pracy?

Kolegia redakcyjne zamieniają się w wielkie urzędy, ponieważ tworzy się je na tej zasadzie, żeby nikogo nie pominąć. Kolegium kształtuje się w tych samych warunkach, w jakich powstaje każde prezydium literackie.

Do kolegium muszą obowiązkowo wejść:

1. Jeden pisarz czołowy (jeszcze lepiej dwóch lub trzech czołowych. Oczywiście najlepiej byłoby mieć siedmiu czołowych, ale skąd ich wziąć, kiedy nie ma?)
2. Trzech krytyków pierwszorzędnych.
3. Jeden krytyk podrzędny.
4. Jeden krytyk zrzedny (żeby się nie obraził).

5. Odsetek kobiet.

6. Odsetek pisarzy narodowościowych.

7. Odsetek bratnich pisarzy.

8. Odsetek pisarzy wojennych.

9. Odsetek bezpartyjnych talentów.

10. Odsetek byłych rappowców (żeby się nie obrazili).

11. Przedstawiciel Komitetu Organizacyjnego (żeby miał na oku byłych rappowców, gdyby chcieli utworzyć klikę).

12. Jeden pisarz niedawno strącony z piedestału (który jest równocześnie zamaskowaną wtyczką byłych rappowców - żeby miał na oku przedstawicieli Komitetu Organizacyjnego).

13. Odsetek pisarzy dzieciennych.

14. Jeden przodujący poeta z dwoma zausznikami.

15. Jeden były wewnątrzrappowski przygodny towarzysz.

A dalej to już same brednie, bzdury i obłąd.

16. Towarzysz Oszejnikow (nadzór budowlany),

17. Towarzysz Mizernik (dystrybucja książki).

18. Towarzysz Klemanson (wodociągi i kanalizacja).

Cały ten zestaw jest tak precyzyjnie obmyślony, z taką wnikliwością wzięte są pod uwagę interesy całej literatury i najdrobniejsze subtelności tych interesów, że zdawałoby się, iż praca kolegów redakcyjnych powinna wydawać wspaniałe owoce. Ale wszystkie te wysiłki idą na marne. Żadne nadzwyczajne owoce nie dojrzewają.

Członkowie kolegium redakcyjnego nie mają najmniejszego zamiaru zbierać się. Tak się przyzwyczaili do tej wieloletniej fikcji, że ani im w głowie traktować poważnie swoje obowiązki.

Ale jeśli ich do kolegium nie zaprosić, wtedy są szalenie oburzeni, podejmują różne kroki, wyrzekają, nieomal płaczą. Są tak drażliwi na swoim punkcie, jak artyści letniej sceny.

Żeby się ich pozbyć i nie wdawać się w zbyteczne dyskusje, wciąga się ich na rozmaite listy. W ten sposób we wszystkich grubych periodykach istnieje niemal jedno i to samo literackie kierownictwo z niewielkimi odmianami; zamiast jednego zrędnego krytyka, bywa czasami dwóch; czasami odsetek pisarzy dzieciennych bywa niedostateczny, dajmy na to, zamiast półtora procent, jest tylko pół procent

(co pozwala pisarzom dzieciennym podnieść gwałt, że pisarze dorośli w porozumieniu z wojennymi usiłują ich tępić), a czasami znów zostanie przeoczony towarzysz Klemanson (wodociągi i kanalizacja), który w ten sposób, zamiast w dwunastu, figuruje zaledwie w ośmiu kolegiach redakcyjnych.

Wieczorem blady Klemanson (wodociągi i kanalizacja) siedzi z żoną przy herbacie i mówi zduszonym głosem:

- Mam wrogów. To jest robota Mizernika.

I długo opowiada żonie o świństwach, do których jest zdolny Mizemifik (dystrybucja książki).

Jeśli dodać do tego, że redaktor odpowiedzialny z zasady nie jest ani pisarzem dorosłym, ani dziecinny, ani wojennym, and kobiecym, że nie pisuje wierszy, że nie pisuje artykułów krytycznych, nigdy nie przychodzi do redakcji, a w domu zdejmuje z widełek słuchawkę telefoniczną, żeby w żaden sposób nie można się było do niego dodzwonić, że jego stosunek do sztuki jest w ogóle negatywny - to w całej rozciągłości powstaje, jak to się mówi, pytanie - kto właściwie robi pismo? Bo jednakże pismo wychodzi. Raz na cztery miesiące, ale przecież wychodzi.

Pismo robi młody człowiek, początkujący pracownik techniczny.

W pierwszym roku swojej pracy jest jeszcze bardzo skromny, patrzy na pisarzy szeroko otwartymi oczami, chodzi w kowbojce rozchylonej na piersi, a nogawki u spodni spina rowerowymi spinaczami.

Jeszcze pachnie od niego popołudniowym kursem przyzakładowym. Z szacunkiem wymawia słowa: szpalty, borgis, ramka, szmuctytut, kolumna.

W początkach drugiego roku na jego szyi zjawia się krawat pochodzenia ciuchowego, pisarze zaczynają częstować go papierosami, podczas gdy on dzwięcznym głosem krzyczy w słuchawkę telefonu:

- Dajcie Gładkova na interlinii, ile razy mam powtarzać! Nikulina zostawić w rezerwie. Nie mieści się.

Nie szkodzi. Nie dowie się. Wyjechał do Kisłowodzka. Tak, i nie zapomnijcie umieścić Oszejnikowa w spisie współpracowników. I koniecznie dajcie inicjały - M.I. Bo się obrazi.

Początkowo młody człowiek rządzi stroną czysto techniczną, ale w trzecim roku musi już sam zapraszać autorów, czytać rękopisy i dawać odpowiedzi, bo nikt inny tego nie robi i pismo automatycznie przestanie wychodzić. To jeszcze nie byłoby takie złe. Ale wtedy młody człowiek straci posadę. A to już gorsza sprawa.

Podczas gdy strącony z piedestału intrugant przystępuje do pozbawionego wszelkich zasad bloku z dwoma podrzędnymi krytykami i odsetkiem kobiet przeciwko zrzednemu krytykowi sprzymierzonemu z byłym wewnątrzrappowskim przygodnym towarzyszem i z odsetkiem bezpartyjnych talentów; podczas gdy Klemanson (wodociągi i kanalizacja) pod płaszczykiem nazwisk czołowych pisarzy cichaczem wykańcza Mizernika (dystrybucja książki) tudzież Oszejnikowa (nadzór budowlany), młody entuzjasta zawodu drukarskiego obejmuje w redakcji pełnię władzy.

Teraz chodzi w liliowym garniturze. Młodymi zębami gryzie wiśniową fajeczkę i ryczy jak tygrys:

- Słabe! Nie pójdzie! Za rozwlekę. Trzeba brać przykład z Gabryłowicza. Postać Perłowskiego jest nieprzekonywająca. Nam jest potrzebny realizm socjalistyczny, a to jest późny romantyzm. A, oczywiście, proszę wpaść. Tylko nie w piątek. W piątki wyjeżdżam na lotnisko.

I to już chyba wszystko.

Jest jeszcze jeden pomysł, ale chyba zbyt ekscentryczny, zaskakujący, wręcz nieprzyzwoity.

Mianowicie: czy takie grube pismo nie powinno mieć redaktora? Prawdziwego dorosłego redaktora, takiego, co to przychodzi do redakcji rano, a wychodzi wieczorem,

który pracuje tak, jak pracują tysiące dyrektorów przedsiębiorstw. Niech czyta rękopisy, niech siedzi z ołówkiem w dłoni, niech urzęduje, omawia z autorami ich utwory, niech, do pioruna, ubóstwia literaturę, niech bez niej żyć nie może, niechaj zalewa się łzami radości, kiedy odkryje nowy talent, niech szuka tych talentów. I wreszcie - niech będzie redaktorem odpowiedzialnym.

Przecież ostatecznie pisarz nie wymaga tak wiele.

Sztuka dla resortu sztuki

Wielki obóz dramaturgów

„Przyłączył się tedy do wielkiego obozu dramaturgów, którzy rozbili namioty na środku pasażu imienia Teatru Artystycznego”

(z „Kroniki Związku Autorów Dramatycznych”)

Ilość zgłoszeń na złotodajne dramatyczne działki powiększa się z każdym dniem. Można to bez trudu zauważyć czytając kronikę teatralną w prasie.

„Pachom Głyba ukończył dla jednego z moskiewskich teatrów nową sztukę na temat walki z biurokracją w aspekcie „walki z opieszaństwem”

„Wiera Pidżakowa pracuje nad sztuką «Lekka kawaleria». Sztuka ma być wkrótce ukończona i złożona w jednym z moskiewskich teatrów”

„M. I. Cztoli przerobił na sceną powieść historyczną «Owies». Sztuka w najbliższej przyszłości będzie grana w jednym z moskiewskich teatrów”

Ale czy będzie grana?

Kto wie?

Ileż to już lat czytamy o nowych sztukach Pachoma Głyby, Wieri Pidżakowej i M. Cztolego?

Dowiadujemy się, że sztuki te zostały napisane, przedyskutowane i przyjęte. Ale gdzie jest ów „jeden z moskiewskich teatrów”, gdzie ta „Lekka kawaleria”, gdzie historyczny epos „Owies”, z jakiej sceny rozbrzmiewają wstrząsające dialogi, które wyrwały się spod pióra towarzysza Głyby?

Nie ma takich scen, nie ma „jednego z moskiewskich teatrów” i w ogóle nic nie ma.

Jest ogromny obóz dramaturgów, którzy rozbili namioty u bram wielkich i małych moskiewskich teatrów. A w tym obozie jest jeszcze więcej pechowców niż w jakimkolwiek obozie poszukiwaczy złota nad brzegami Jukonu na Alasce.

Pod słowem „dramaturg” rozumiemy każdego człowieka, który napisał utwór wyposażony w uwagi:

„wchodzi”, „wychodzi”, „śmieje się”, „strzela do siebie”

Prymitywny typ dramaturga to obywatel, który nigdy sztuk nie pisywał, który ma wstręt do teatru i literatury. Na drogę dramaturgii pchnęła go ciężka sytuacja życiowa.

Po dłuższej rozmowie z żoną obywatel dochodzi do wniosku, że z samej gaży trudno wyżyć. A tu akurat trzeba wpłacić poważny udział w spółdzielni mieszkaniowej.

-: Przecież nie będę kradł, do licha!

I tenże obywatel, który słyszał od znajomych, że teraz dobrze płacą za sztuki, nie traci czasu i w dwa

(wieczory pisze pięcioaktową sztukę (prawdę mówiąc, zamierzał napisać ją w czterech aktach, ale ponieważ w ostatniej chwili okazało się, że honorarium autorskie jest zależne od ilości aktów, dopisał piąty).

W kapeluszu na bakier i wesoło pogwizdując prymitywny typ dramaturga idzie ulicą Twerską w dół, skręca w pasaż Teatru Artystycznego i staje jak wryty.

Przed wejściem do teatru malowniczo rozpościerają się namioty dramaturgów. Słychać skrzypienie piór i ochryple głosy:

Koniec zgłoszeń! Wolnych działek nie ma!

Ten sam smutny obraz obserwuje świeżo upieczony dramaturg u bram pozostałych teatrów.

Prymitywny typ dramaturga już gotów jest podnieść lament, że go tępią, kiedy nagle i niespodziewanie dla autora okazuje się, że jego sztuka jest do niczego. Dowiaduje się o tym od pewnego znajomego z baletu młodzieżowego.

- Czyś pan zwariował! - mówi znajomy. - Pańska sztuka w czytaniu zajmuje dwie doby. Poza tym w trzecim akcie występują duchy zmarłych. Daj pan sobie z tym spokój.

Dramaturdzy drugiego, bardziej przedsiębiorczego typu, znajdują się pod wrażeniem legendy o pewnym krawcu, który rzekomo miał opowiadać:

- Nicowałem kiedyś marynarkę dla pewnego hrabiego. Hrabia nosił ją czternaście lat i jeszcze zostawił w spadku synowi, także hrabiemu. I marynarka wciąż była jak nowa.

Dramaturdzy drugiego typu przenicowują literackie marynarki w nadziei, że będą jak nowe.

Przerabiają na sceną powieści, szkice, wiersze, felietony, a nawet ogłoszenia z gazet.

Kieszonka takiej nicowanej marynarki zwykle przechodzi z lewej strony na prawą. Wszyscy są zmieszani, ale starają się nie okazywać tego po sobie i udają, iż wierzą, że marynarka jest całkiem nowa. Te przeróbki jednakże nie utrzymują się długo na scenie.

Trzeci, najbardziej doskonały typ dramaturga to - dramaturg uznany. W jego mieszkaniu wiszą afisze teatralne i pachnie laurowymi liśćmi. To gotuje się rosół.

Jeszcze nie zdążył napisać trzech scen, a już rozlegają się pochlebne dzwonki telefonu.

Tak jest - powiada uznany dramaturg. - Dziś wieczorem kończę. Tragedia! Dlaczego niedobrze? A

Szekspir? Chcecie rozpracować ją w planie monumentalnego neorealizmu? Znakomicie. Tak, macie pierwszeństwo. Tylko nikomu ani słówka.

Tak jest - odpowiada dramaturg w pięć minut później reżyserowi innego teatru. - Skąd ta wiadomość? Owszem, piszę, wkrótce kończę. Tragedia! Naturalnie, macie pierwszeństwo. Tylko proszę tego nie rozgłaszać. Ustawicie ją w planie ekspozycji żywego człowieka? To jest właśnie to, o czym marzę. Tak. Bardzo się cieszę!

Kiedy już obiecał jeszcze nie napisaną sztukę ośmiu teatrom, przebiegły dramaturg siada przy biurku i zaczyna pisać w tak powolnym tempie, że ośmiu reżyserów dostaje szału.

Spacerują pod oknami dramaturga, nasylają na niego znajomych i obrywają telefon.

Tak jest - niezmiennie odpowiada dramaturg. - Macie pierwszeństwo. Proszę się nie denerwować, na otwarcie będzie gotowa. Tak, tak, w planie tragedii jednostki z uwypukleniem roli głównej bohaterki.

Ale oto nadchodzi dzień zapłaty. Autor rozlokowuje reżyserów po pokojach i trzęsie się ze strachu, żeby się ze sobą nie spotkali, a sam z błędnym uśmiechem na ustach biegnie do dziewiątego teatru i powierza mu swoją tragedię celem wystawienia jej w planie monumentalnej ekspozycji żywego człowieka z uwypukleniem psychologii postaci drugorzędnych.

Uznany dramaturg nie zostaje obity tylko dlatego, że bicie grozi następstwami natury prawnej.

W takim to trybie mija całe życie poszukiwaczy złota znad Jukonu.

Półpietuchowszczyzna

Od czasu do czasu, ale nie rzadziej niż raz na miesiąc, rozlega się rozpaczliwy lament w kołach teatralnych.

- Trzeba uzdrowić radziecką estradę!
- Czas już z tym skończyć!
- Precz!

Wszyscy wiedzą, do kogo się to „precz” odnosi i z czym „czas już skończyć”

- Czas już, czas! - wołają dyrektorzy i reżyserzy teatrów małych form.
- Och, czas najwyższy! - wzdychają aktorzy tychże teatrów.
- Precz, precz, jak najprędzej! - jęczy Departament Sztuki.

Postanawiają niezwłocznie, pilnie, w rekordowym terminie przystąpić do uzdrowienia radzieckiej estrady i oswobodzić ją od półpietuchowszczyzny.

Wszyscy doskonale wiedzą, co to jest półpietuchowszczyzna.

Zakała radzieckiej estrady - szmirus Półpietuchow, zarzucił rynek okropnymi powieściami („Płoną hutnicze piece w słotny dzień, a ty odjeżdżasz sobie landem, hen!”), skeczami („Urzędnik pod kanapą”), wiejskimi czastuszkami (Ten mój chłopak, to ci gapa, włożył se na akację, a ja lecę do spółdzielni kupić obligację), rewiami („Powiedz - A!”), operetkami („Na falach samokrytyki”) itp. itp.

Oczywiście, pisał nie tylko Sandro Półpietuchow, pisali także: Borys Ammiakow, Louvrié, Leonid

Kegelban, Leonid Trepietowski tudzież Artur Iwanow.

Ale to wszystko była szkoła Sandro i całą produkcję wyżej wymienionych osób nazwano półpietuchowszczyzną.

Istotnie, ta półpietuchowszczyzna była nędzna i obrzydliwa. Preraźliwe były te powieścidlą, rewie, czastuszki, operetki tudzież skecze.

Kołom teatralnym można tylko owej chęci uzdrowienia estrady pogratulować.

Uzdrowienie estrady zwykle zaczyna się od zwołania wielkiego walnego zebrania osób zainteresowanych.

Zaprasza się ośmuset sześćdziesięciu dwóch pisarzy, dziewięćdziesięciu poetów, pięciuset jeden krytyków, około półtora tysiąca kompozytorów, dyrektorów teatrów tudzież młodych talentów.

Czy to nie za dużo? - pyta z niepokojem osoba odpowiedzialna.

Gdzie tam za dużo! Raptem około trzech tysięcy osób. Czyli że może przyjdzie sześć osób. I więcej nam nie potrzeba. Stworzymy zwarty zespół dramatyczny, rozbijemy go na podzespoły, i do roboty!

Istotnie, w oznaczonym dniu i godzinie, w gmachu cyrku, gdzie unosi się zapach tresowanych osiołków i uczonych koni, w kancelarii na piętrze zaczyna się wielka narada.

Pierwszy przychodzi młodociany Artur Iwanow w palcie z bobrowym kołnierzem. Za nim wpadają obydwaj Leonidzi, z których jeden jest Trepietowski, a drugi Kegelban. Tuż za Louvrié i Borysem

Ammiakowem zjawia się Sandro Półpietuchow we własnej osobie.

Minę ma zdecydowaną i nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jest absolutnie zdecydowany na bezlitosną walkę z półpietuchowszczyzną.

-- A zatem, towarzysze - mówi osoba odpowiedzialna - niestety, wiele spośród zaproszonych osób nie przyszło, ale sądzę, że możemy otworzyć zebranie. Czy nie ma sprzeciwów?

- Jazda, jazda - powiada Ammiakow. - Szkoda czasu. Trzeba wreszcie przystąpić do uzdrawiania.

- Ja też tak sądzę - stęka przewodniczący. - Dotychczas nasza praca odbywała się w niewłaściwym planie. Pozostawaliśmy w tyle, utykaliśmy...

Ze słów przewodniczącego wynika, że w teatrze już nastąpiło zróżnicowanie, a estrada nadal bezbożnie pozostaje w tyle. Dotychczas rewie pisywał Louvrié do spółki z Arturem Iwanowem, Leonid

Trepietowski pracował z Borysem Ammiakowem, a Sandro Półpietuchow przy pomocy Leonida

Kegelbana.

- Musicie się przestawić - woła przewodniczący. - Jak Louvrie zacznie pisać z Trepietowskim, jak

Sandro weźmie sobie do pomocy Iwanowa, a Kegelban - Ammiakowa, to estrada na pewno zostanie uzdrowiona.

Wszyscy zgadzają się z przewodniczącym. Po tygodniu do estrady napływają uzdrowione utwory: powieść („Z landa patrzyłaś w lewo, no i miałaś rację, bo tam właśnie budują nową hydrostację”), skecz („Radio w cudzym łóżku”), kołchozowe czastuszki („Ten mój chłopak to półgłówek, niewątpliwym faktem to, nie chce wstąpić do kołchozu, nie chce wsiąść, na traktor”), rewia („Nie zawracaj kontrafałdy”), operetka („Foks na biegunie”) itp.

I na miesiąc mają spokój.

Uważają, że estrada została uzdrowiona.

Tak się utarło

Cyrk z nieprawdopodobnym uporem trzyma się starych tradycji. Pod tym względem można go porównać tylko z angielskim parlamentem.

Od setek lat speaker w parlamencie ma na głowie perukę z lokami i siedzi na worku z wełną. Tak się utarło! Podobnie konferansjer w cyrku po dziś dzień wychodzi na arenę w żakiecie i wygłasza swoją kwestię nienaturalnym, zakatarzonym głosem. Taki jest zwyczaj!

Kiedy król angielski przyjeżdża do parlamentu, trzykrotnie puka w drzwi i prosi, by mu pozwolono wejść, a członkowie Izby Gmin udają, że są bardzo zajęci i nie mają czasu na rozmowy z królem. To też jest utarty zwyczaj. Błazen w cyrku po skończeniu numeru efektownie na czworakach opuszcza arenę, strzelając przeraźliwie z tej części ciała, która w danym momencie jest najbardziej wyeksponowana.

To również należy do zwyczaju!

Zadawanie pytań pracownikom cyrkowym, dlaczego coś odbywa się tak, a nie inaczej, nie ma najmniejszego sensu.

Jest tak, jak powinno być. A dlaczego powinno tak być? Bardzo proste! Bo tak się utarło. Ale dlaczego tak się utarło, tego już nikt nie wie. I płynie tradycyjne cyrkowe życie. O zmierzchu przy wejściu zapalają się elektryczne lampki i oświetlają ogromny plakat. Widnieje na nim blady przystojniak z czarnymi wąsikami, z biczem w zwichniętej ręce. Wspaniałe konie z grzywami jak rusałki tańczą przed nim na tylnych nogach. To się nazywa „Tableau 30 koni”.

Kiedy przy dźwiękach tuszu przed oczami widzów jawi się końskie tableau, każdy, kto umie liczyć, może bez trudu stwierdzić, że koni jest tylko osiem.

Ale w tym nie ma żadnego oszustwa. Po prostu tak się utarło. Na afiszu pisze się trzydzieści, a na arenę wychodzi osiem. I gdyby nagle zjawіło się trzydzieści koni, byłoby to niewątpliwie naruszenie tradycji.

Zgodnie z tą cyrkową arytmetyką czterdzieści podstarzałych lwów nazywa się „100 lwów 100”, a piętnaście krokodyli reklamuje się jako „60 krokodyli kajmanów i aligatorów z Nilu”.

Jeśli afisz głosi: „Cud psychotechniki! 48 tresowanych papug”, to z góry wiadomo, że będzie jedna jedyna tresowana papuga, która umie mówić dwa słowa - „kocham” oraz „inspektor podatkowy”.

Pozostałe cztery papugi będą siedziały na metalowej etażerze ozdobionej błyszczącymi kulkami i od czasu do czasu będą fikały koziołki wyłącznie dla własnej przyjemności.

Podczas przerwy konferansjer z emfazą oznajmia publiczności, że kto ma ochotę, może pójść do stajni obejrzeć zwierzęta. Wejście dwadzieścia kopiejek. Dzieci bezpłatnie.

Dlaczego ludzie mają płacić dodatkowo dwadzieścia kopiejek, skoro już wykupili pełny bilet - nie wiadomo. Dyrekcja również nie wie. Te dwie dychy właściwie nie mają dla niej większego znaczenia.

Ale tradycja! Muszą brać za wstęp. Ale od dzieci, na przykład, nie biorą. W tradycji cyrku leży przyjazny stosunek do dzieci.

W cyrku istnieje pewna ranga zapożyczona z marynarki wojennej. Mowa tu o kapitanie. Oczywiście nie każdy może zwać się kapitanem. Akrobaci, żonglerzy, kłowni, wołytyżerzy lub wrotkarze nigdy nie są kapitanami.

O, kapitan to nie byle co! Kapitan - to poskramiacz lwów, tygrysów lub krokodyli. Ale to jeszcze nie jest ten główny kapitan.

Główny kapitan demonstruje lot śmierci.

Już od samego początku przedstawienia widzowie spozzegają jakieś nowe, dotychczas nie znane przygotowania; jakieś szyny zawieszone pod kopułą, jakieś okratowane wieżyczki i jakiś tajemniczy przedmiot owinięty w brezent, który zwykle wisi nad orkiestrą.

W antraktach kapitan spaceruje po balkonie w różowym płaszczu kąpielowym i własnoręcznie bada wytrzymałość lin oraz pozostałych przyrządów. Kapitan nikomu nie ufa. Kapitan liczy tylko na siebie.

Całą godzinę trwają przygotowania do jego występu. Stukają młotki, to znów rozlega się warkot jakiegoś motoru, wreszcie ukazuje się żona kapitańska, jego bracia tudzież dalsi krewni. Motory warczą coraz silniej, zapalają się wszystkie światła i kapitan mężnie wkracza na arenę.

Ma na sobie skórzany kombinezon, na głowie pilotkę i wielkie motocyklowe okulary. Teraz następuje scena pożegnania. Tak się uтарыło!

Kapitan całuje żonę. Żona tłumii szloch i gestami (bo po rosyjsku mówić nie umie) daje do zrozumienia, że nie zgadza się na ten śmiertelny występ. Ona przeczuwa, że dziś stanie się nieszczęście. Kapitan ściska ręce braciom i krewniakom. Bracia kręcą głowami. Och, gdyby umieli mówić po rosyjsku! Wtedy zakrzyknęliby chórem, że kapitańska trzeba powstrzymać od tego szaleńczego kroku. Nawet konferansjer przykładą chusteczkę do oczu. Co wieczór patrzy na ten lot śmierci, a mimo to nie może powstrzymać łez.

Ale kapitan jest nieubłagany. Skinieniem dłoni żegna publiczność, odpycha żonę i wsiada do swego aparatu.

Dyrekcja teatru do spółki z rodziną kapitańską napędza widzom tyle strachu, że wiele osób ucieka z cyrku, żeby nie być świadkami zguby najślawniejszego z kapitańskich.

Numer trwa sześć sekund i przez porównanie z przygotowaniami i wstrząsającą sceną pożegnania wcale nie przedstawia się tak strasznie. Lot, owszem, trudny i niebezpieczny, ale można by się obejść bez straszenia publiczności. Tylko że to byłoby wbrew cyrkowej tradycji.

Najślabszym punktem cyrkowej twierdzy okazała się konferansjerka. Pod naciskiem rad artystyczno- - politycznych, prasy tudzież rady zakładowej tradycja się załamała. Do repertuaru wdarła się współczesność. Muzykalni satyrycy dostroili się do wymagań chwili.

Ale to się skończyło bardzo źle. Jedna zła tradycja została zastąpiona przez drugą. Cyrkowi dostały się chłapy ze stołu satyry i humoru, który i tak nie obfituje w smaczne kąski.

Jeśli program głosi, że „autorzy-humoryści i piosenkarze-satyrycy wystąpią w repertuarze współczesnym”, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że refren będzie stary

jak świat, czyli tak zwany „chwytliwy” dla publiczności, a kuplety troszkę ideologicznie dokręcone.

Wszystko to dzieje się według ustalonego porządku.

Naprzód wyjeżdża pianino na kółkach, po czym w pajątach i w mące wychodzą pieśniarz e-satyrycy i zaczynają gromić liczne niedociągnięcia.

Satyryk pierwszy

Liga Narodów, rzecz to znana,

Chce, byśmy byli rozbrojeni.

Satyryk drugi

A Briandowi, proszę pana

Armata sterczy wciąż z kieszeni.

Publiczność smętnie słucha. Wtedy satyrycy prezentują drugi kuplet, dotyczący bezpośrednio sytuacji wewnętrznej.

Satyryk pierwszy

Dziś w naszej Kasie Oszczędności

Widziałem mnóstwo publiczności.

Satyryk drugi

A jak do Meyerholda pobiec raczysz,

Tam publiczności na lekarstwo nie zobaczysz.

W cyrku bardzo lubią demaskować Meyerholda. Tam zawsze śpiewają na jego temat przykre rzeczy.

Spląciwszy dług współczesności i zasłużony się bądź co bądź ojczyźnie, satyrycy zaczynają głośno i radośnie śpiewać akompaniując sobie na wołowych pęcherzach.

Satyryk pierwszy

Choć miały nogi grubsze od polan,

Nosiły suknie ledwo do kolan.

Satyryk drugi

Teraz jest inna moda na nogi,

Suknie się nosi aż do podłogi.

Z powodu tego kupletu pieśniarze-satyrycy mieli poważny konflikt z zespołem cyrku. Zespół żądał usunięcia tych wierszyków jako pozbawionych nastawienia ideowego. Ale satyrycy padli na kolana i ze łzami oświadczyli, że bez kupletów o sprycie naszych pań nie podejmują się rozśmieszyć widza i za żadne skarby nie wyjdą na arenę. Tacy to już ludzie z tych satyryków. Musiano się zgodzić w trybie eksperymentu.

Wśród zakulisowych historyjek wielkim powodzeniem cieszy się następująca anegdota. Do znakomitego śpiewaka operowego ktoś powiedział:

- Przecież ty jesteś formalnym kretynem!

- A głos? - odparł śpiewak.

I wszystkim ręce opadły. Oponować nie było można. Głos istotnie miał znakomity.

Toteż kiedy kierownikom cyrkowym mówi się:

- Co wy się tak słabo podciągacie? Przecież to istny skandal!

Odpowiadają:

- A dochody?

I co słabsi duchem ludzie opuszczają ręce.

Dochody rzeczywiście są ogromne.

Facet w futbolówkach

Człowiek przeciskający się przez biurowy korytarz nie wyglądał na zwykłego klienta. Nie miał zalęknionego spojrzenia, a także strój jego nie był zwyczajny. Palto z żółtym skórzanym kołnierzem, karakułowa czapka i szaroniebieskie futbolówki, co prawda bez gwoździ.

Z wyższością odepchnął sekretarzy i bez meldowania wszedł do gabinetu szefa biura. Wszedł akurat w momencie, kiedy odbywała się robocza narada.

Wszyscy z dezaprobatą zwrócili ku niemu głowy, a szef biura mruknął coś gniewnie, może: „fora stąd”, a może „proszę spocząć”.

- Czy nie przeszkadzam? - spytał osobnik w futbolówkach.

- Mamy naradę - ostro zauważył szef.

- W takim razie mogę wyjść.

- Doskonale. Niech pan wyjdzie.

Facet poprawił na głowie karakułową czapkę i ze złowieszczym uśmiechem ciągnął:

- A więc wychodzę, ale całą odpowiedzialność to już weźcie, panowie, na siebie, jeśli łaska. Całą odpowiedzialność składam na wasze głowy.

Słowa te nieznajomy wypowiedział tak uroczyście, jak gdyby zamierzał włożyć na głowę szefa biura laszany żałobny wieniec ze wstęgami z mory.

Dyrektor przestraszył się. Nie znosił wszelkiej odpowiedzialności, toteż z pośpiechem zapytał:

- A o co chodzi? Siadajcie, towarzyszu.

Osobnik wybrał sobie co wygodniejsze krzesło i zaczął:

- Jak, panowie, sądzicie? Czy należy prowadzić propagandę techniki wśród szerokich mas?

- Należy.

- A może nie należy? Proszę powiedzieć otwarcie. To ja sobie pójde.

- Jak to nie należy! Przecież od początku się z panem zgodziłem.

- Nie - powiedział nieznajomy. - Widzę, że pan jest przeciw propagandzie techniki. Niby wypowiada się pan za, a w istocie... Stanowczo będę zmuszony obciążyć pana odpowiedzialnością.

Zamyślił się i dodał:

- A także całe obecne zgromadzenie. Idę sobie.

W tej chwili wszystkim zebranym w gabinecie wyraźnie ukazał się straszny cmentarny wieniec. Tak im było dobrze, siedzieli sobie spokojnie, wymieniali poglądy, popijali herbatę, nikomu nie robili krzywdy, aż tu nagle zjawił się ten okropny nieznajomy.

- Słowo daję - powiedział szef - że my całym sercem...

- Całym sercem - Skwapliwie przytaknęli członkowie narady.

Ale nieznajomy ze skórzanym kołnierzem długo jeszcze grymasił i robił ceregiele.

- Trzeba zorganizować teatr propagandy technicznej. Rozumiecie? - oświadczył wreszcie.

- Nikt nic nie rozumiał, ale przybyły szybko wszystko wyjaśnił.

Będzie to teatr oparty na całkowicie nowych zasadach. Sztuka już jest. To znaczy, nie ma jej jeszcze, ale wkrótce będzie. Wspaniała sztuka o maszynach. Píše ją on sam, człowiek w futbolówkach.

Aktorów nie będzie. Dekoracji również nie będzie. W ogóle nic nie będzie, więc absolutnie nie ma się czego obawiać. Potrzebny jest tylko lokal i trochę pieniędzy, jakieś trzydzieści tysięcy. Całą odpowiedzialność bierze na siebie on, człowiek w karakułowej czapce. (Westchnienie ulgi).

- Jedno mnie tylko martwi - rzekł szef. - Skąd wziąć lokal i trzydzieści tysięcy?

- A jednak widzę, że będę musiał sobie pójść - sucho zauważył nieznajomy. - Nie mogę mieć nic wspólnego z ludźmi, którzy bagatelizują jedno z najważniejszych zagadnień, jakim jest propaganda techniki. A cała odpowiedzialność spadnie...

Wszyscy rzucili się za nieznajomym bełkocąc coś bez ładu i składu. Od razu znalazł się lokal i trzydzieści tysięcy, i dodatkowo jeszcze cztery tysiące tytułem zaliczki dla artelu szatniarzy przyszłego teatru. W panice zapomnieli nawet zapytać nieznajomego o nazwisko. Przez dłuższy czas sądzili, że nazwisko jego brzmi Lutikow, ale potem okazało się, że nie żaden Lutikow, tylko Kopernik, ale nie ten, tylko jakiś inny.

Lutikow-Kopernik przez trzy miesiące przychodził do szefa, siadał na jego biurku i machając nogami obutymi już nie w futbolówki, tylko z sztyblety na kauczukowej podeszwie, żądał pieniędzy.

- Wkrótce wystąpimy z premierą - mówił. - To będzie coś wspaniałego! Dekoracji nie ma, w ogóle nic nie ma. Widowisko idzie bez suflera.

- Jak to bez suflera? - zbolałym głosem spytał szef.

- O, nie, Jakubie, ty nie doceniasz propagandy techniki - odpowiedział Kopernik. - Ty ją bagatelizujesz.

- A jaki jest tytuł sztuki?

- Wcale nie ma tytułu. Na tym właśnie polega cały dowcip. Nie będzie tytułu, nie będzie rekwizytów, w ogóle nic a nic nie będzie. To będzie coś niezwykłego! Pierwszy tego rodzaju teatr na świecie!

Powinieneś być dumny, Jakubie. Ludzie teatru będą cię na rękach nosili. Sam Litowski zwróci na ciebie uwagę.

- A odpowiedzialność?

- Całą odpowiedzialność biorę na siebie.

Termin premiery nieco się odwlekał, jednakże po upływie siedmiu miesięcy od chwili podjęcia walki o nowe podejście do zagadnienia propagandy techniki Lutikow-Kopernik zapowiedział premierę.

Osobiście zjawił się z zaproszeniami. Tym razem miał na sobie różowe palto z kangurowym kołnierzem i nie wiadomo z jakiego powodu w rękach trzymał walizeczkę.

Widowisko zaczynało się punktualnie o ósmej wieczorem.

Kurtyny nie było. Rekwizytów nie było. Dekoracji nie było. Aktorów nie było. Na pustej, brudnej scenie stał drewniany kołowrotek.

- Zaraz zaczynamy - oznajmił Lutikow. - Siedźcie spokojnie, ja tu za chwilę wrócę.

Po kilku minutach gapienia się na kołowrotek szef biura przymknął oczy i przypomniał sobie, że taki sam przedmiot widział niedawno w operze „Faust”, muzyka Gounoda. Przy takim właśnie kołowrotku siedziała Małgorzata, a w pobliżu pętał się Faust. Teraz przy kołowrotku nie było nikogo.

Nagle na scenę wyszła jakaś staruszka w okularach i powiedziała:

- Otóż, moi drodzy, w czasach feudalizmu posługiwano się takim oto kołowrotkiem i on to właśnie stanowi prototyp dzisiejszego warsztatu tkackiego. Teraz, moi kochani, przejdziemy do foyer i obejrzymy szkic tego pierwowzoru dzisiejszej techniki.

Kaszląc i wycierając nosy cała instytucja wyszła na korytarz i zatrzymała się przed szkicami przedstawiającymi ręczną maszynę do szycia. A staruszka zamiast dalej objaśniać, podeszła do szefa i zalewając się łzami oświadczyła, że dotychczas miała tylko nieustanne próby, ale jeszcze niewypłacono jej ani grosza gaży.

- A gdzie jest Lutikow? - zapytał stropiony szef.

Wszyscy rzucili się do szukania organizatora niesamowitego teatru. Szef instytucji nagle przypomniał sobie, że w ostatnich dniach Lutikow nie rozstawał się z walizeczką, i aż zachwiał się z przerażenia.

- Może poszukać go między dekoracjami? - spytał sekretarz.

- Akurat! Przecież dekoracji nie ma!

A tymczasem Lutikow-Kopernik stał już przed szefem jakiegoś wydziału zdrowia i mówił:

- Trzeba medycynę zbliżyć do mas! Poprzez teatr! Niech pan posłucha. Aktorów nie ma. Suflera nie ma. Szatni nie ma. Teatr infekcji i farmakologii! Można go krótko nazwać „Tyfus”. Potrzebny jest tylko lokal i trochę gotówki. Co? W takim razie idę. Ale odpowiedzialność...

Kierownik słuchał i wytrzeszczał pocziwe oczy.

Zachciało im się gadania

Nagle zaczęto mówić o korku.

Korek!

W ostatnim czasie to zwyczajne i, rzecz można, podrzędne słowo stało się ogromnie ważne.

Odmieniano je we wszystkich sześciu przypadkach, wymawiano wszędzie, gdzie tylko się dało, i bardzo często ni w pięć, ni w dziewięć.

W jaki sposób to mizerne skądinąd słowo wysunęło się na pierwszy plan i zrobiło tak zawrotną karierę?

Zaczęło się całkiem po prostu. Ukazała się notatka w gazecie:

Miliony na śmietniku

Tytuł poważny, ale nie taki znów nowy. W gazetach często zdarzają się takie nagłówki: „Miliony rdzewieją”, „Miliony pod nogami”, „Miliony na wiatr”. Notatka „Miliony na śmietniku”, bez dziennikarskiej wytworności i silenia się na elegancję, poruszała prościutką sprawę - raz wykorzystany korek nie powinien marnować się, można go powtórnie zużytkować i w ten sposób miliony unikną smutnego losu poniewierania się na śmietnikach.

Propozycja spotkała się z ogólnym aplauzem. Pewien wybitny spec gospodarczy wypowiedział się w tym sensie, że istotnie warto by zbierać korek. Wszyscy byli tego samego zdania.

Wtedy właśnie należało rozpocząć zbiórkę korka. Rzeczowo, bez niepotrzebnego szumu i zamieszania wyciągnąć miliony ze śmietnika i zwrócić je przemysłowi.

Tymczasem wyszło coś zgoła innego.

Naprzód odezwała się instytucja filmowa. Oni tam bacznie śledzą prasę i każdy problem chcą zaraz ujmować w formę artystyczną. Zaraz też została opublikowana wiadomość, że scenarzysta Muruzi przystąpił do pracy nad scenariuszem (tytuł jeszcze nie ustalony), w którym zagadnienie zbiórki korka będzie ujęte w świetle przeobrażenia psychiki zacofanego prywatnego handlarza starzyzną. Po dwóch dniach ukazała się nowa wiadomość. Mianowicie, że Muruzi już ukończył scenariusz (tytuł tymczasowy - „Na ostatniej rubieży”), że została stworzona zwarta grupa operacyjna i że orientacyjny kosztorys opiewa na dziewięćdziesiąt cztery tysiące rubli.

Zrobił się wielki szum.

W rubryce „Nad czym pracuje pisarz” można było przeczytać, że pisarz Walery Mołokowicz kończy powieść, w której ujmuje zagadnienie zbiórki korka już nie w świetle przeobrażenia psychiki jakiegoś tam nędznego handlarza starzyzną, ale o wiele szerzej i głębiej - w aspekcie przełamania indywidualistycznych skłonności drobnego chałupnika, podświadomie ciężącego w stronę artelu.

Mołokowicz już czytał niektóre rozdziały swojej nowej powieści na rejonowym zlocie administratorów domów. Administratorzy uznali, że powieść zasługuje na baczny uwagę, ale nie zawadziłoby, żeby autor jeszcze bardziej pogłębił swój światopogląd. Autor obiecał podciągnąć swój światopogląd w terminie dziesięciodniowym.

Korek istotnie ogarniał coraz szersze dziedziny życia.

Dziwne kołysania eteru wskazywały na to, że koła radiowe także nie zasypiają gruszek w popiele.

Koncerty poranne zostały odwołane. Miejsce ich zajęły oratoria. Chór i orkiestra zgodnie grzmiały:

Kraj stale na imporcie traci,

Aż ludu płyną gorzkie łzy.

Byliśmy w korek niebogaci,
Bogaci w korek będziemy my!

Na wszelki wypadek odwołano również koncertyienne, żeby czarująca muzyka Szopena nie odciągała uwagi słuchaczy od oratoriów.

Oliwy do ognia dołał artykuł wydrukowany w gazecie, jak się potem okazało, wskutek niedopatrzienia redakcji.

Artykuł był śmiały. Odsłaniał nieprawdopodobnie szerokie horyzonty. Już nie było mowy o zwykłym wykorzystaniu starego korka. Nawarżono całkiem nowej kaszy. Autor artykułu twierdził, że zwykły korek służy nie tylko do zatykania butelek, gąsiorów i beczek, że to nie tylko materiał używany na pasy ratunkowe, płyty izolacyjne i tropikalne nakrycia głowy, ale że to jest coś o wiele bardziej ważkiego i doniosłego. Wyłonił się problem nie tylko praktyczny, ale zasadniczy, mianowicie zastosowanie metody materialistyczno-dialektycznej w zbiorce korka. Autor piętnował pracowników, którzy dotychczas nie zastosowali tej metody w walce o korek. W liczbie przykładów niedialektycznego podejścia do korka został wymieniony scenariusz filmowy napisany przez gorliwego Muruziego.

Muruzi struchlał i film zaczęto przerabiać w toku produkcji. Przy tej okazji powiększono kosztorys

(orientacyjnie sto sześćdziesiąt trzy tysiące rubli).

Humoryści puścili w obieg stary kalambur na temat korka do butelki i korka tramwajowego.

W ogóle gadania było co niemiara. Oczyma wyobraźni już widziało się wielkie, przewiewne składy napełnione wonnym korkiem, kiedy nagle zdarzyła się rzecz okropna.

Żył sobie na świecie chłopiec, uroczy chłopiec z niebieskimi oczami. Nazywał się Kotia.

Kotia przeczytał pierwszą wzmiankę „Miliony na śmietniku” i podczas gdy w eterze brzmiały oratoria, kiedy Mołokowicz podciągał swój światopogląd, a ktoś inny prowadził tytaniczną walkę o wprowadzenie metody dialektycznej w korkowe przedsięwzięcie - roztropany chłopczyzna zbierał korek. Zebrał czterysta sześćdziesiąt osiem sztuk korków dużych i trzysta sześćdziesiąt pięć korków małego kalibru.

Ale nie miał komu przekazać tego cennego surowca. Problem korka zdołano podnieść na takie wyżyny pryncypializmu, że zapomniano o uruchomieniu składów.

Nikt nie chciał zajmować się taką błahostką. Wszyscy chcieli tylko gadać, zabierać głos w tej tak doniosłej materii, poszukiwać metod, zgłębiać zagadnienie do dna.

Pewne oprzytomnienie wniosła dopiero nowa notatka. Co prawda, tytuł był taki sam: „Miliony na śmietniku”, ale treść zgoła inna. Chodziło mianowicie o owe „orientacyjne” ruble wydatkowane na artystyczny film o przełomie w duszy prywatnego handlarza starzyzną, na wielokrotne Wprawianie w ruch fal eteru frazą muzyczną „Bogaci korkiem będziemy my”, na druk mobilizującej powieści

Waleriana Mołokowicza, słowem - na wszystko z wyjątkiem korka.

Ale w związku z tą wzmianką nie wiadomo czemu żadne dzieło artystyczne jakoś nie powstało.

Sekret produkcji

Zaczyna się to w ten sposób.

Stary chałturtreger Mnogopolski otrzymuje list napisany na wąskim skrawku przebitki. List zawiera prośbę, aby w oznaczonym terminie zgłosił się do przedsiębiorstwa filmowego celem przeprowadzenia rozmów wstępnych.

W przeczuciu, że za skrawkiem przebitki kryje się całkiem inne papierki, znacznie większej wartości, zaopatrzone w znaki wodne, literat niezwłocznie zjawia się w odpowiednim gabinecie, gdzie już oczekuje go zamyślane kolegium złożone z dziewięciu osób.

W gabinecie jest tylko jedno krzesło, na którym siedzi kierownik działu scenariuszy. Pozostali kierownicy usadowili się na grzejnikach centralnego ogrzewania. W pokoju jest brudno, a na stole z niewiadomych przyczyn stoi wypchany jednooki puchacz.

W wytwórniach filmowych zawsze widuje się takie dziwaczne przedmioty: a to niedźwiedź z rzeźbioną tacą na wyciągniętych łapach, a to znów automat, który wyrzuca peronówki, a to popiersie

Mazepy.

Kolegium oznajmia Mnogopolskiemu, że czas już, aby przystąpił do Współpracy z filmem i napisał scenariusz. Mnogopolski odpowiada, że już dawno pragnął przystąpić do współpracy i wejść, jak się to mówi, w bezpośredni kontakt. Wobec całkowitej zgodności w dziedzinie zagadnień twórczych, strony z uśmiechem przystępują do podpisania umowy.

- Zaliczkę może pan otrzymać już dziś - dobrotliwie powiada dyrektor działu scenariuszy - ale naprzód musi nam pan napisać krótki szkic.

- To gorsza sprawa - krzywi się Mnogopolski - jeszcze nie mam konkretnego pomysłu.

- To niech pan chociażby w przybliżeniu naszkicuje temat.

- Temat też jeszcze mi się nie nasunął...

- W takim razie niech pan napisze cokolwiek.

- Jak to cokolwiek?

- Ot, byle co, po prostu, żeby tylko był papierek, jakaś podkładka.

Mnogopolski opiera się biczem o stół i zwinnie kreśli krótką notatkę, w której często powtarzają się słowa „w planie” tudzież „w przekroju”.

Jednooki puchacz smutnie spogląda na chałturtregera. On wie, jak się to wszystko skończy.

W pierwszym miesiącu sumienie jeszcze nie dokucza Mnogopolskiemu. Przez następne cztery miesiące również nie przystępuje do współpracy ani nie wchodzi w bezpośredni kontakt z filmem.

Dopiero kiedy na cienkiej przebitce otrzymuje wezwanie do złożenia scenariusza w ciągu dwudziestu czterech godzin albo zwrócenia zadatku w tym samym terminie, Mnogopolski widzi, że nie ma wyjścia. Ale trzyma się. Nawet zajęcie ruchomości nie jest w stanie skłonić go do wypełnienia umowy.

Liczy na cud. Ale cud się nie zdarza. Zamiast cudu przyjeżdżają tragarze po meble i stukając buciorami po schodach, idą do mieszkania literata.

Teraz Mnogopolski nie może już dłużej zwlekać. Zamyka drzwi na klucz i podczas gdy tragarze dobijają się i grożą milicją, pisze z nieprawdopodobną szybkością:

JEJ BETONIARKA scenariusz w 8 aktach

1. Z diafragmy: Rury i koła.

2. Zbliżenie: Koło rozpędowe.

3. Zbliżenie: Z migających szprych koła wyłania się twarz młodej przodownicy pracy

-
Awdotiuszki.

4. Napis: „Na tle wciąż pogłębiającego się kryzysu kapitalizmu kwitnie i wypełnia się treścią produkcyjną krasawica Durnia”.

Pisanie idzie Mnogopolskiemu łatwo i szybko, jako że bodźca dodają mu krzyki i groźby tragarzy pod drzwiami. W chwili gdy przy pomocy milicji drzwi zostają wyważone, scenariusz „Jej betoniarka” jest gotowy.

Na kolegium filmowym scenariusz wywiera dwójakie wrażenie. Właściwie scenariusz im się podoba, ale raczej spodziewali się czegoś innego. Sami nie wiedzą, czego się właściwie spodziewali, w każdym razie spodziewali się czegoś więcej.

Kierownicy działów melancholijnie pomrukują, wiją się, nie mogą się zdecydować. W każdym razie fakt, że mają przed sobą rękopis, papierek, dowód rzeczowy, jest dla nich bądź co bądź okolicznością pocieszającą.

- W każdym razie mamy się na czym oprzeć - mówi kierownik działu scenariuszy usiłując nie patrzeć na mądrego puchacza. - Ale koniecznie trzeba tu będzie coś dodać.

- No cóż, jak trzeba, to trzeba - z gotowością odpowiada Mnogopolski. - Ale właściwie co?

- Cokolwiek. Żeby było widać, że się nad scenariuszem pracowało, ulepszało go, przerabiało.

- Tu na przykład - rozlega się obojętny głos z parapetu okna - niedostatecznie odzwierciedlony jest problem likwidacji szamanizmu w Stepach Kałmyckich.

- Szamanizmu? - mruczy Mnogopolski, porządnie nastraszone przez tragarzy. - U minie akcją toczy się między innymi w Centralnym Okręgu Rolniczym, ale zagadnienie szamanizmu można będzie wstawić.

To się robi.

Poza tym proszą literata, żeby wstawił także zagadnienie wiosennych połowów ryb tudzież podziału ogródków przy domach i żeby przewentylował problem wciągnięcia samotnych starych robotników do aktywu świetlicowego.

- Mogą być starzy - zgadza się Mnogopolski. - Mogą być samotni.

Na widok tego scenariusza spreparowanego w planie poematu produkcyjnego tudzież w przekroju skoncentrowania powszechnej uwagi na zagadnieniu walki z szamanami i kapłanami w Stepach

Kałmyckich reżyser robi się zielony. Omdlewającą ręką odpycha utwór.

- Tak nie można, kochasiu - szepcze mu szef produkcji. - Scenariusz zapłacony. Trzeba go realizować.

- Ależ to jest napisane w planie zupełnej maligny - bełkocze reżyser.

W ostateczności zgadza się jednak robić film. W każdym razie dokument usprawiedliwiający jest.

Kazali mu realizować, to realizuje. Poza tym nęci go okazja wyjazdu w Stepy Kałmyckie celem wyszukania ciekawych egzotycznych typów.

Po roku w małej salce pokazowej zamyśłone kolegium przyjmuje film. Kiedy zapala się światło i pada na wykrywane przerażeniem twarze, naczelny, dyrektor wytwórni surowo oznajmia:

- Film trzeba ratować. W tej postaci w żadnym wypadku nie może być wyświetlany.

- Ja sądzę, że tutaj trzeba by coś niecoś dodać - odzywa się młody człowiek, którego widzą tu po raz pierwszy i o którym nikt nic nie wie.

Kolegium z nadzieją spogląda na młodego człowieka.

- Oczywiście, trzeba go przerobić - ciągnie nieznajomy. - Przede wszystkim trzeba całkowicie usunąć motyw betoniarki. Dunia powinna zająć się sprawami soi. Soja jest obecnie na czasie i film niewątpliwie na tym zyska. Następnie, dlaczego aktywista Fiedosiecz nie wychował szamana w nowym duchu? Co to za kwestia?

- Nie tak prędko da się go wychować - mruczy reżyser.

- A oczyszczający ogień rewolucji? Panowie o nim zapomnieli? - uroczyście zapytuje młody człowiek.

Wobec tak nieodpartego argumentu ratowanie filmu powierzają temuż młodemu człowiekowi.

Ratowanie trwa długo, bardzo długo i nie wiadomo dlaczego pociąga za sobą wyprawę na Kaukaską

Riwierę.

Po następnym przeglądzie (film nosi teraz tytuł „Oblicze pustyni”) członkowie kolegium boją się spojrzeć sobie w oczy. Jedno jest pewne - że film trzeba znowu ratować. Paradoksalność wypadków rozwijających się w filmie jest tak kolosalna, że postanawiają potraktować film w planie groteskowej rewii- -składanki ze wstawkami animowanymi i humorystycznymi napisami wierszem.

- Właśnie akurat otrzymałem okólnik o konieczności rozwijania radzieckiej komedii - krzyczy dyrektor jakiegoś tam działu.

Wszyscy z miejsca się uspokajają. Wszystko w porządku, papierek jest, może być komedia.

Sprowadza się z Kijowa dwóch humorystów, którzy szybko zmieniają charakter sojowo- produkcyjnego eposu. Wszystko, co dzieje się w filmie, jest podane w planie snu, który przyśnił się pijanemu do nieprzytomności Fiedosieczowi.

Wreszcie, po męczących zmaganiach, krnąbrny film zostaje skierowany do eksploatacji. Upycha się go w jakimś letniskowym kinie w cichej nadziei, że prasa tam go nie odgrzebie.

Długo jeszcze kolegium siedzi w smutnej zadumie.

Dlaczego film wypadł tak źle? Przecież niczego nie żalowali, uwzględnili wszystkie problemy, poruszyli wszystkie co do jednego zagadnienia. A jednak czegoś tu brak. Na czym to polega?

Piąty problem

Są tematy nieśmiertelne, wieczne, nieustannie nurtujące ludzkość.

Na przykład wynajęcie letniska, albo zamiana klitki bez wygod w Czerkizowie na samodzielne trzypokojowe mieszkanie z gazem w okręgu „A” (koniecznie z telefonem), albo dajmy na to, problem wzajemnych stosunków pomiędzy głową rodziny a szwagierką, albo wreszcie zakup palnika do prymusa.

W żaden sposób nie można tych wszystkich ważnych problemów rozwiązać. Letnika całym sercem ciągnie do Kłajmy, jak najbliższej linii kolei elektrycznej, a przedsiębiorstwo wczasów gwałtem wysyła go nad rzekę Pachrę do wiejskiej chałupy, gdzie dojazd jest trudniejszy niż do Charkowa. Nieszczęsny właściciel klitki ani rusz nie może dogadać się z posiadaczem samodzielnego mieszkania w okręgu

„A”, chociaż pertraktacje prowadzone są z niestabnym uporem za pośrednictwem „Wieczoru

Moskiewskiego”. Co zaś do szwagierki, to różnice zdań obojga płci są w tym wypadku tak ogromne, że nawet poszczególni przedstawiciele Wszechzwiązkowego Stowarzyszenia Pisarzy Proletariackich nie są w stanie ich pogodzić. A palnik do prymusa to w ogóle głupia fantazja gospodyni domowej, której spółdzielczość daje grzeczną, ale bardzo zimną odprawę.

Kilka lat temu do problemu letniska, komórki, szwagierki tudzież palnika doszedł nowy nie do rozwiązania problem - kronika filmowa.

Był to problem nader osobliwy. Wokół niego powstało sporo zamieszania. Ale nigdy nie budził zastrzeżeń. Przeciwnie, trudno znaleźć problem, co do którego istniałaby tak rzadko spotykana jednomysłność.

Wszyscy byli za kroniką.

„Czas najwyższy” - pisała prasa.

- Ach, kronika filmowa! - wzdychali prezesi przedsiębiorstwa filmowego.

- Życie oddam za kronikę! - obiecywał dyrektor przedsiębiorstwa.

Konsultanci również byli za, i to nawet bez zastrzeżeń, co trzeba przyznać, stanowiło ofiarę z ich strony.

Co do operatorów - to szkoda gadać. Rwali się do czynu.

Widzowie znaleźli się ponad wszelkie pochwały. Żądali kroniki, tupali nogami, gwizdali, pisali do redakcji gazet, wysyłali delegacje.

W pewnej chwili zdawało się, że w rezultacie wszystkich tych poczynań krajowi grozi zalew kroniki filmowej. Wprost obawiano się, że kronika wyprze wszystkie pozostałe rodzaje sztuki filmowej.

Okazało się jednak, że wszystkie pozostałe rodzaje nadal znakomicie prosperowały. Afisze bez przerwy zapowiadały nowe fabularne szlagiery z minaretami, niedźwiedziami godami, bojańskimi córami tudzież kulawymi barami.

Ale kroniki nie było. A lata mijały.

Zaczęto szukać wroga kroniki. Rozlegały się głosy, że warto by dać komuś po nosie. W zamieszaniu dostało się po nosie pewnemu współpracownikowi filmu we wzorzystej zagranicznej kamizelce, który akurat przypadkiem przechodził przez korytarz Zjednoczenia Filmowego. Ale wtedy okazało się, że popełniono straszną pomyłkę, że mężczyzna w kamizelce jest całym sercem za kroniką, na dowód czego przedstawił piętnaście własnych artykułów i jeszcze większą ilość protokołów na przebitce.

Wtedy rzucono się na administrację kin. Obwiniano ją o to, że kierując się szkodliwym handlowym wyrachowaniem, utracą sprawę wprowadzenia na ekrany kroniki filmowej.

Ale administratorzy kin jeszcze tego samego dnia dowiedli, że właśnie oni są głównymi bojownikami o kronikę, a nawet inicjatorami całej tej imprezy.

- Nic nie rozumiem - oznajmił nowy prezes zarządu. - Zarówno ja, jak i mój poprzednik byliśmy zawsze gorącymi zwolennikami kroniki. A kroniki jak nie ma, tak nie ma.

- A ja przecież obiecałem oddać życie za kronikę - dziwił się dyrektor wytwórni - i masz ci los!

Co prawda, to nie był ten sam dyrektor, tylko piąty z kolei, ale w dniu objęcia stanowiska obiecał, że odda życie.

- Po linii kroniki - ze smutkiem mówili konsultanci - jesteście ogromnie zapóźnieni. Ale to nie nasza wina. Myśleliśmy zawsze byli za.

I przywieźli na trzech dorożkach takie stosy dowodów rzeczowych, że zarząd jęknął i w popłochu przeniósł ich do wyższej kategorii w siatce płac.

Nawet ci poszczególni pracownicy kinematografii, którzy zostali na pewien czas izolowani od społeczeństwa przez organy sądowe za różne kanty, nawet oni ze swoich miejsc zamieszkania, zaopatrzonych na wszelki wypadek w kraty, przysyłały listy.

„Co było, to było. Ale czego nie było, to nie było. My zawsze bez zastrzeżeń popieraliśmy kronikę”

Wszystko to wyglądało tak dziwnie i niezrozumiale, że na pewien czas zaniechano wszelkich rozmów o kronice. Od czasu do czasu na ekranie migały nagle jakieś odcinki kroniki. A potem i to się skończyło.

Ponieważ wszyscy byli za, więc okazało się, że nie ma z kim walczyć i można przejść do następnych spraw. Zostały tylko entuzjastyczne referaty tudzież protokoły na przebitce.

Obecnie znowu w prasie filmowej rozległ się trzeźwy głos:

- No i gdzież jest ta kronika filmowa, towarzysze?

I już z góry wiadomo, co będzie. Zacznie się ruch, posypią się obietnice, ujawni się całkowita jednomyślność, a rezultat będzie taki, że kroniki nikt na oczy nie zobaczy.

Tymczasem sprawę należałoby postawić w ten sposób: przerwać wszelkie dyskusje o kronice i zacząć ją robić. Jest to być może propozycja dziwna, odbiegająca od przyjętych zwyczajów i na pierwszy rzut oka może nawet nieco osobliwa.

Ale nie ma innego sposobu.

Jeśli natomiast nadal stosować się będzie system przelewania z pustego w próżne, to kronika nadal zostanie to sferze „wieczystych problemów” w rodzaju wynajmu letniska czy też zamiany złego mieszkania na dobre, ze zwrotem jakiegoś podejrzanego zadłużenia i ze zgodą na wszelkie możliwe kombinacje.

Narodziny anioła

Zadanie było poważne. Należało opracować scenariusz do filmu o tematyce produkcyjnej. Trudno, bardzo trudno pisać scenariusz na taki temat. Ale największa trudność polegała na tym, że bohater koniecznie musiał być postacią pozytywną.

Nad scenariuszem pracowało osiem osób: Patuszynski, Uczetow i Samodzwowski, dwóch Popowów,

Anna-Luiza Koszkin, Siemion Agentow i Goleniszczew-Kutuzow II.

Celem zwiększenia skuteczności poczyni do grupy scenarzystów przydzielono dwa specjalne szwadrony konsultantów.

Pułkami dowodził Goleniszczew-Kutuzow II. On był najważniejszy i on otworzył posiedzenie.

- Po linii najmniejszego oporu wszystko u nas idzie pomyślnie. Typy negatywne udają się nam całkiem dobrze. Najwyższy czas jednak stworzyć pozytywnego bohatera naszych czasów.

- Słusznie - zauważył Samodzwowski - typ pozytywny to nie to samo, co negatywny.

Wszyscy z zapałem zaczęli mówić o tym, jak łatwo tworzyć postacie negatywne.

- A taśma się kręci, kręci... - rzekła z westchnieniem Anna-Luiza Koszkin.

- Bohater pozytywny powinien być z brodą - ni w pięć ni w dziewięć rzucił jeden z konsultantów. - To będzie bardziej przekonujące.

Patuszynski i Uczetow podnieśli straszny krzyk. Absolutnie nie mogli zrozumieć, co ma do tego broda.

Ich zdaniem broda wcale nie jest przekonująca. Po co broda? Czy to nie trąci pozostałościami Rusi przed Piotrem Wielkim? Obaj scenarzyści wrzeszczeli, jakby ich kto ze skóry obdzierał.

- A zresztą, niech będzie z brodą. Broda jest w pewnym sensie wyrazem sojuszu z wsią - niespodziewanie oznajmił Patuszynski.

Wobec takiej postawy Patuszynskiego Uczetow zamilkł.

- A więc z brodą - podsumował przewodniczący. - Jedźmy dalej.

Ale dalej pojechać się nie udało. Posypały się protesty. Mówiono, że przecież film ma być do pewnego stopnia młodzieżowy. Czy to będzie właściwe, żeby główna postać miała brodę? Znowu podniósł się krzyk. Jedni utrzymywali, że będzie właściwe, drudzy - że nie będzie. Ktoś zauważył, że piętnastoletni młodzieniec z brodą bynajmniej nie należy do rzadkości. Zaczęto opowiadać o dziwach natury, o dwugłowych cielec, a nawet o rusałkach. Ktoś zapewniał, że na własne oczy widział kobietę z brodą.

- A gdybyśmy wprowadzili kobietę z brodą jako główną pozytywną postać naszego filmu? - powiedział w zadumie Siemion Agentów. - Oczywiście nie w planie eposu bohaterskiego, ale raczej w przekroju komedii obyczajowej. Co wy na to, towarzysze?

- Trzeba to przemyśleć - oświadczyli bracia Popow (Borys i Gleb).

Tu zabrał głos dwunastoletni konsultant-cudowne dziecko, uczeń Akademii Sztuk Przestrzennych w

Moskwie.

- Kobieta z brodą może mieć miejsce - oznajmił. - Trzeba tylko unikać błazenady, żeby nie było tak, jak z Charlie Chaplinem.

- Nie bój się, chłopcze - roztropnie oznajmił Goleniszczew-Kutuzow. - Nie będzie tak, jak z Chaplinem.

Za to mogę ręczyć.

- Czyście oszaleli?! - krzyknęła nagle Koszkin. - Kto wam zatwierdzi kobietę z brodą? Komisjarepertuarowa w żadnym wypadku na to się nie zgodzi. Komisja repertuarowa z niewiadomych rzeczy nie lubi żadnych fenomenów.

- Do rzeczy, do rzeczy, towarzysze! - powiedział przewodniczący. - Jaka w końcu ma być ta pozytywna postać?

Wszyscy pogrążyli się w ciężkiej zadumie. Konsultanci bezdźwięcznie poruszali wargami. Scenarzyści w roztargnieniu rysowali w notatnikach postacie karzełków i kobiet z brodami.

- Wiecie co - zdecydowanie oznajmił Samodzwoński. - Znalazłem wyjście. Przecież w końcu typ pozytywny stanowi przeciwieństwo negatywnego. To są jakby dwa przeciwne bieguny. Toteż będziemy podchodzić do typu pozytywnego od strony typu negatywnego. Na przykład. Typ negatywny pije. Pozytywny - nie pije. Negatywny jest bumelantem, pozytywny - przodownikiem pracy...

Nowe podejście Samodzwońskiego wywarło duże wrażenie.

- A zatem - ciągnął - negatywny pali, pozytywny - nie pali, negatywny ma odpychającą powierzchowność, pozytywny jest pociągający. Jeden jada obiady, drugi nie jada...

- Jak to? Wcale nie jada obiadów?

- Owszem, jada. Ale, powiedzmy, nie jada mięsa. Pozytywny powinien być jaroszem.

- Za pozwoleniem. Skoro jest jaroszem, to znaczy, że jest tołstojowcem.

- Nie czeplajcie się, towarzysze - jęknął Samodzwoński. - Dajcie skończyć. Oczywiście, że może jadać mięso, ale gdzieś za kulisami, nie na ekranie, żeby uniknąć fizjologizmu i wszystkich tych iologicznych procesów.

- Słusznie - oświadczył konsultant-cudowne dziecko. - Najważniejsze, żeby nie wyszło tak, jak u

Dowżenki albo u Pudowkina.

- Nie denerwuj się, chłopcze - roztropnie zauważył Goleniszczew. - Nie wyjdzie tak, jak u Dowżenki.

Ani tak, jak u Pudowkina. Ale czy nasz pozytywny bohater dość ma już cech dodatnich?

- Za mało, za mało! - krzyknęli konsultanci - Trzeba mu jeszcze dołożyć.

Po długich debatach trzeba było obdarzyć bohatera dodatkowymi zaletami: a) powinien być członkiem wszystkich stowarzyszeń dobrowolnych, których działalność warto by w filmie pokazać; b) jest samotny, bowiem życie rodzinne mogłoby sprowadzić go z właściwej drogi; c) czy uczęszcza na zebrania Rady Zakładowej? - oczywiście; d) broda naturalnie utrzymuje się (sojusz z wsią); e) rano pracuje. A wieczorem? - Uczy się. A w nocy? - Czyta gazety, co daje mu możliwość rozszerzania swoich horyzontów. A w drodze z pracy do domu? - Walczy ze złą kooperacją; f) czy walczy też z innymi bolączkami życia? - Tak. - Ale w jaki sposób to pokazać? - Drobiazg. Do tego służą napisy.

- Teraz możemy już chyba zaczynać? - energicznie pyta Samodzwonki. - Postać dostatecznie sprecyzowana. Coś niecoś można będzie dodać w toku pracy. Anno Martynowna, proszę przygotować papier i ołówek. A zatem...

Na arkuszu zjawia się pierwsze zdanie.

1. Przerazliwie mobilizująco wyje syrena fabryczna...

2. Z lokalu komórki towarzystwa „Przyjaciół Dzieci” wychodzi Nikanorow trzymając pod pachą

„Anty-Dühringa”

Według wszelkiego prawdopodobieństwa film jest już gotowy i wkrótce ujrzemy na ekranie rycy pozytywnego bohatera. Brak mu tylko skrzydeł, żeby mógł stać się wzorowym aniołem, który gra na cymbałkach w rajskich ogrodach.

Opowiadania

Rozmowy przy stole

Rodzina składała się z trzech osób - ojca, matki i syna. Ojciec - stary bolszewik, matka - stara gospodyni domowa, a syn stary pionier z krótko ostrzyżonymi włosami i dwunastoletnim doświadczeniem życiowym.

Zdawałoby się, że wszystko jest w porządku.

Tymczasem codziennie przy śniadaniu miały miejsce rodzinne sprzeczki.

Rozmowę przeważnie zaczynał ojciec.

- Co tam słyszeć w waszej klasie? - pytał.

- Nie w żadnej klasie, tylko w grupie - odpowiadał syn. - Ile razy mam tacie powtarzać, że klasa to jest pojęcie feudalno-reakcyjne?

- No, dobrze, niech już będzie grupa. Czego się w tej grupie uczycie?

- Nie uczymy się, tylko przerabiamy. Czas już chyba, żeby tata to wiedział.

- Dobrze. Więc coście tam przerabiali?

- Przerabialiśmy zagadnienie wpływu lassalszczyzny na początki reformizmu.

- Co takiego? Lassalszczyzny? A czy było też jakieś wypracowanie?

- Było.

- No to jesteście zuchy! A co to za wypracowanie? Bardzo trudne?

- Nie bardzo. Zagadnienie filozofii materialistycznej w świetle zadań wysuniętych na drugim zjeździe

Komakademii wespół z plenum rolników-marksistów.

Ojciec odsunął szklankę z herbatą, przetarł okulary połą marynarki i uważnie przyjrzał się synowi. Na oko wszystko w porządku. Chłopak jak każdy inny.

- A czego się teraz ucz... to znaczy, co teraz przerabiacie z rosyjskiego?

- Ostatnio recytowaliśmy kolektywnie poemat: „Dzwoń, srebrny głosie, o końskim włosie”.

- Coś o koniach? - z nadzieją zapytał ojciec. - „Czemu rżysz, mój koniu siwy, czemuś spuścił łeb pocziwy?”

- O końskim włosiu - sucho powtórzył syn - tata nigdy nie słyszał?

Hejże, chłopcy, hej na błonie,

Zapolujmy dziś na konie.

Niechaj dźwięczy pieśni głos.

Rwijmy cenny koński włos!

- Po raz pierwszy słyszę... hm...m...m... taki dziwny poemat - rzekł ojciec. - Kto to napisał?

- Arkady Parowoj.

- To pewnie któryś z uczniów? Może z waszej grupy?

- Jaki tam uczeń!... Czy tacie nie wstyd? Jesteś starym bolszewikiem i nie znasz Parowoja. To jest znakomity poeta. Niedawno pisaliśmy nawet wypracowanie: „Wpływ twórczości Parowoja na literaturę zachodnią”.

- A czy nie wydaje ci się - ostrożnie badał ojciec - że twórczość tego towarzysza Parowoja ma za mało poetyckiego wyrazu?

- Dlaczego za mało? Całkiem wyraźnie wysunięty jest problem zbioru końskiego włosia, który koniowi absolutnie do niczego nie jest potrzebny, i wykorzystania go w przemyśle materacowym.

- Włosie nie jest koniowi potrzebne?

- Absolutnie niepotrzebne.

- A czy nie macie przypadkiem zamiaru zbierać końskich uszu? - krzyknął ojciec podniesionym głosem.

- Jedzcie, jedzcie - pojednawczo powiedziała matka. - Wciąż się tylko sprzecacie.

Ojciec długo fukał, wzruszał ramionami i coś tam z irytacją burczał pod nosem. Po chwili z nowymi siłami natarł na niezwykle dziecko.

- A jak wygląda wasz odpoczynek? Jakie mieliście ostatnio rozrywki?

- Nie mieliśmy żadnych rozrywek. Nie było czasu.

- A coście robili?

- Walczyliśmy.

Ojciec ożywił się.

- O, to mi się podoba. Pamiętam, że w dzieciństwie sam się tym również pasjonowałem. Bras roulee, tour de tete, chwyt głowy w par terre. To bardzo pożyteczna rzecz taka francuska walka.

- Dlaczego francuska?

- A jaka?

- Zwyczajna walka. Pryncypialna.

- A z kim wyście walczyli? - zapytał ojciec złamanym głosem.

- Z lebidiewszczyzną.

- Co to za jakaś lebidiewszczyzną? Co to za Liebidiew?

- To jeden chłopak z naszej szkoły.

- Pewnie jakiś nieznosny chłopak? Urwis, co?

- Okropny chłopak! Powtórzył szereg deborowskich błędów w ocenie machizmu, machajewszczyzny i mechanicyzmu.

- Przecież to koszmar!

- Pewnie, że koszmar. Już dwa tygodnie wyłącznie tym się zajmujemy. Walczymy z całych sił. Wczoraj nawet mieliśmy masówkę polityczną...

- Ojciec złapał się za głowę.

- Ileż on ma lat?

- Kto? Liebidiew? Już nie jest taki młody. Ma osiem lat.

- I wy walczycie z ośmioletnim chłopcem?

- A co mamy, twoim zdaniem, robić? Kierować się oportunizmem? Tuszować problem?

Ojciec drżącymi rękami chwycił teczkę i wywracając po drodze krzesło, wybiegł z domu. Niezłomny chłopak uśmiechnął się pobłażliwie i krzyknął za ojcem:

- I to ma być stary bolszewik!

Pewnego dnia biedny ojciec rozwinął gazetę i wydał Okrzyk tryumfu. Matka drgnęła. Syn patrzył zmieszany w filiżankę. Czytał już uchwałę KC dotyczącą szkół. Uszy miał różowe i przezroczyście jak królik.

- I cóż ty na to, Mikołaju Sitnikow, uczniu klasy czwartej? - odezwał się ojciec z zagadkowym uśmiechem.

Syn milczał.

- Coście wczoraj kolektywnie przerabiali?

Syn dalej milczał.

- Wypleniliście wreszcie tę lebidiewszczyzną młodzi, nieprzejednani ortodoksi?

Milczenie.

- Czy biedny chłopiec przyznał się wreszcie do swoich superdeborowskich błędów?
W której on jest klasie?

- W grupie zerowej.

- Nie w żadnej grupie zerowej, tylko we wstępnej klasie! - huknął ojciec. - Powinieneś już wiedzieć.

Syn milczał.

- Czytałem wczoraj, że tego waszego Arkadego, jak mu tam, Parowoza, nie przyjęto do Związku

Pisarzy. Jak to on napisał? „Hejże, chłopcze, nie dłub w nosie, lecz wyrrywaj końskie włosie!”

- „Rwijcie cenny koński włos!” - żałośnie szepnął chłopiec.

- Tak, tak. Słowem: „Leć koński głosie po srebrnej rosie”. Ja wszystko dobrze pamiętam. Czy to nadal wywiera wpływ na literaturę światową? Odpowiedz!

- N-nie wiem.

- Nie wiesz? Nie jedz, kiedy rozmawiasz z ojcem! Kto napisał „Martwe dusze”? Także nie wiesz?

Gogol, Gogol napisał!

- Całkowicie rozkładowy, reakcyjnie nastawiony drobny mistyk... - radośnie wyrecytował chłopak.

- Dwójka z minusem! - powiedział mściwie ojciec. - Trzeba czytać Gogola, uczyć się Gogola, a przerabiacz będziesz w Komakademii za dziesięć lat. A teraz, Mikołaju Sitnikow, opowiedz mi, co wiesz o Nowym Jorku?

- Tu wyraźniej niż gdzie indziej występują kapitalistyczne sprzeczności... - wyśpiewał Kola.

- To sam wiem. Powiedz mi lepiej, nad jakim oceanem leży Nowy Jork?

Syn milczał.

- Ile ma ludności?

- Nie wiem.

- Gdzie przepływa rzeka Orinoko?

- Nie wiem.

- Kto to była Katarzyna II?

- Wytwór.

- Co za wytwór?

- Zaraz sobie przypomnę. Myśmy to przerabiali... Już wiem! Wytwór epoki narastającego wpływu, kapitału...

- Powiedz mi lepiej, kim ona była? Jakie stanowisko zajmowała?

- Tego nie przerabialiśmy.

- Ach, tak! A jakie są cechy podzielności przez trzy?

- Jedzcie - powiedziała pojednawczo matka. - Wciąż się tylko sprzecacie.

- O, nie! Niech on mi powie, co to jest półwysep - irytował się ojciec. - Niech mi powie, co to jest

Kuro-siwo. Niech powie, wytworem czego był Henryk Ptasznik!

Nieprzeciętny chłopiec zerwał się z miejsca, drżącymi rękami wepchnął do kieszeni procę i wybiegł z domu.

- Nieuk! - krzyknął za nim uszczęśliwiony ojciec. - Wszystko to powtórzę dyrektorowi!

Nareszcie ojciec wziął odwet na synu.

Szeroki gest

Przy ogromnym dębowym biurku, którego boki zdobiły płaskorzeźby w postaci bekasów i winnych gron, siedział szef przedsiębiorstwa Siemion Siemionowicz. Przed nim stał kierownik gospodarczy w kawaleryjskich bryczesach z żółtymi lejami. Kierownicy gospodarczy z niewiadomych przyczyn lubią blekać swoje cywilne kształty w na wpół wojskową odzież, jak gdyby działalność ich polegała nie na spokojnym przeliczaniu żarówek i przybijaniu inwentarzowych blaszek z numerami do szaf i stołów, lecz na nieustannej dżigitowce i ścinaniu łoży.

- A więc, towarzyszu Koszaci - z zapałem mówił Siemion Siemionowicz - kupi pan siomigi, a jeszcze lepiej łososia, i oczywiście szynki, kiełbasy, sera i jakichś droższych konserw.

- Może szprotów?

- Z panem zawsze to samo, towarzyszu Koszaci! Szproty! A może jeszcze faszerowane kabaczki albo fasola z wieprzowiną? Kombinat gumowy na ostatnim bankiecie podał konserwy z wątróbek miętusa, a pan tu ze szprotami wyjeżdża! Żadne szproty, tylko kraby. Niech pan notuje. Dwadzieścia puszek krabów.

Gospodarczy chciał coś odpowiedzieć, nawet już otworzył usta, ale w rezultacie nic nie powiedział, tylko zabrał się do notowania.

- Kraby - powtórzył Siemion Siemionowicz - i pięć kilo ziarnistego kawioru.

- Czy to nie za dużo? Ostatnim razem kupiliśmy trzy kilo i wystarczyło.

- Według pana wystarczyło, a według mnie nie wystarczyło. Dobrze widziałem.

- Czterdzieści rubli kilo - powiedział markotnie kierownik gospodarczy.

- I cóż z tego wynika?

- Z tego wynika, że sam kawior będzie kosztował dwieście rubli.

- Dawno już chciałem panu powiedzieć, towarzyszu Koszaci, że pan nie ma gestu. Jak bankiet, to bankiet! Przekąski, gorące dania, nawet dwa gorące dania, plombir, owoce...

- Po co aż na taką skalę? - bąknął Koszaci. - Oczywiście nie przeczę, że wykonaliśmy plan miesięczny.

Bardzo ładnie. Można dać herbatę, piwo, kanapki z czerwonym kawiozem. Czy to źle? W dodatku w zeszłym tygodniu był bankiet z okazji pięćdziesięciolecia dyrektora.

- Mimo wszystko nie rozumiem was, towarzyszu Koszaci. Proszę mi wybaczyć, ale z was jest chorobliwie skąpy człowiek. Czy my jesteśmy sklepikiem spożywczym? Czy jakąś prywatną inicjatywą?

Gospodarczy spuścił oczy, pobity tymi argumentami.

- Następnie - ciągnął Siemion Siemionowicz - mógłby pan wreszcie kupić jakąś przyzwoitą zastawę, bo już podajecie diabli wiedzą na czym. Talerze - każdy inny, kieliszki - zbieranina. Ostatnim razem musieliśmy pić wino z filiżanek. Chyba rozumie pan, do czego zmierzam?

- Rozumiem.

- Skoro pan rozumie, to proszę iść do komisju i kupić wszystko, co należy. Dłużej tak być nie może.

- W komisji jest bardzo drogo, Siemionie Siemionowiczu. Przecież mamy ograniczony budżet.

- Na budżecie znam się lepiej od pana. Nie jesteśmy złodziejami ani defraudantami, nikt łososia w rękawie do domu nie wynosi. Dlaczego jednak mamy z siebie robić nędzarzy? Nasze przedsiębiorstwa strat nie przynoszą. Jeśli urządzamy koleżeńską kolację, niech to będzie porządna kolacja. Trzeba wynająć orkiestrę, zaprosić artystów, a nie jakąś tambowską kapelę, jak ona się tam zwie...

- Zespół lirników - odparł gospodarczy zdławionym głosem.

- Właśnie, właśnie, obejdzcie się bez tych mandolinistów. Trzeba zaprosić dobrego śpiewaka, niech nam zaśpiewa coś przyzwoitego. „Zaśnij, oczęta swe zmruż, światła pogasił już stróż”

- Przecież taki artysta trzy skóry z nas zedrze - ze łzami w głosie - powiedział Koszaci.

- Co z pana za człowiek, słowo daję! Czy on z pana te skóry będzie zdierał? W dodatku nie trzy, tylko dwie. A w naszym milionowym budżecie to nie odgrywa żadnej roli.

- Dla takiego artysty trzeba będzie wynająć taksówkę - szepnął zafrasowany gospodarczy.

Siemion Siemionowicz uważnie spojrział na swego rozmówcę i z przekonaniem powiedział:

- Proszę mi wybaczyć, towarzyszu Koszaci, ale pan jest po prostu sknera. Najzwyczajniejsze skąpiradło. Taki, z przeproszeniem, pospolity typ, uwieczniony w literaturze. Taki Pluszkin! Harpagon!

Tak, tak, niech pan nie oponuje. Pan ma taki przykry zwyczaj, żeby zawsze oponować. Pluszkin i basta! Nawet mój zastępca skarżył się na pańskie bezmyślne, mieszczańskie skąpstwo. Dotychczas nie może się pan zdobyć na to, żeby kupić do jego gabinetu jakieś przyzwoite urządzenie.

- On ma bardzo porządnie umeblowany gabinet - ponuro odparł Koszaci. - Jest w nim wszystko, co potrzebne do pracy: krzesła szwedzkich - sześć, biurek - jedno, mały dodatkowy stolik, karafka, popielniczka z brązu z psem, nowiutka, ładna ceratowa kanapa.

- Ceratowa! - jęknął Siemion Siemionowicz. - Jutro kupi mu pan meble kryte skórą. Słyszysz pan? W komisji!

- Skórzany komplet kosztuje piętnaście tysięcy, Siemionie Siemionowiczu.

- Znowu te pieniądze! Aż przykro słuchać. Czy my jesteśmy nędzarze? Trzeba żyć na szerokiej stopie, towarzyszu Koszaci. Trzeba mieć socjalistyczny rozmach, towarzyszu Koszaci. Zrozumiał pan?

Gospodarczy schował do kieszeni zwijaną miarkę, którą obracał w dłoni, i chrzącąc skózanymi lejami wyszedł z gabinetu.

Wieczorem Siemion Siemionowicz siedział przy herbacie i ze znudzoną miną słuchał słów żony, która coś notowała na karteczce i z ożywieniem mówiła:

- Będzie bardzo przyzwoicie i niedrogo. Cztery butelki wina, litr wódki, dwie puszki anchois, trzydzieści deka łososa i trochę szynki. Zrobię także wiosenną sałatkę ze świeżym ogórkiem i kilogram parówek na gorąco.

- Winszuję.

- Zdaje się, że coś mówiłeś.

Powiedziałem - winszuję.

- Czy masz jakieś zastrzeżenia? - zaniepokoiła się żona.

- I owszem, mam - sucho odparł Siemion Siemionowicz. - Na przykład mam zastrzeżenia co do ogórków. Jedna sztuka kosztuje rubla i piętnaście kopiejek.

- Ale przecież na całą sałatkę wystarczą dwa ogórki.

- Tak, tak. Ogóreczki, łosoś, anchois. Czy wiesz, ile to wszystko będzie kosztowało?

- Doprawdy, Siemion, nie mogę cię zrozumieć. Przecież to są moje imieniny, przyjdą goście... Już dwa lata nikogo nie przyjmowaliśmy, a sami wciąż gdzieś chodzimy. To nie wypada.

- Dlaczego nie wypada?

- Po prostu to jest niegrzecznie.

- No już dobrze - powiedział Siemion Siemionowicz znużony. - Pokaż mi ten spis. To wszystko skreślamy. Zostaje... właściwie nic już nie zostaje. Ale wiesz co, Katia? Kup, po prostu, flaszke wódki i piętnaście deka śledzia. I dość.

- Nie, Siemion, tak nie można.

- A właśnie że można. Każdy ci powie, że śledź to jest klasyczna zakąska. Nawet w literaturze gdzieś o tym pisali. Sam czytałem.

- Ależ to byłby skandal.

- No już dobrze. W takim razie dołóż jeszcze pudełko szprotów. Ale nie kupuj leningradzkich, tylko tulskie. Co prawda, tulskie są tańsze, ale o wiele bardziej pożywne.

- Można by myśleć, że jesteśmy nędzarami! - krzyknęła żona.

- Powinniśmy organizować nasze życie na zasadach jak najdalej posuniętej oszczędności i racjonalnego rozchodowania każdej kopiejki - z powagą odparł Siemion Siemionowicz.

- Zarabiasz tysiąc rubli miesięcznie. Dlaczego mamy udawać nędzarzy?

- Nie jestem złodziejem ani defraudantem, moja Katiu, i nie mam obowiązku karmić za moje ciężko zarobione pieniądze bandy żarłocznych znajomych.

- Jesteś bezwstydy!

- Zostawiam ten wypad bez odpowiedzi. Mam ustalony budżet i nie wolno mi wyjść poza jego ramy.

Rozumiesz, nie wolno!

- Skąd się u niego wzięło takie sknerstwo? - mruknęła żona odwracając się do ściany.

- Ublizaj mi, ublizaj - powiedział Siemion Siemionowicz - ale uprzedzam cię, że dyscypliny finansowej będę przestrzegał z całą konsekwencją, choćbyś nie wiem co gadała.

- Właśnie, że będę gadała! - krzyknęła żona. - Kola już od miesiąca chodzi w dziurawych butach.

- Co to ma za związek z Kolą?

- Taki ma związek, że to jest nasze dziecko.

- No już dobrze, nie krzycz! Kupi się buty temu piratowi. Jak przyjdzie czas. A czego ci jeszcze brakuje?

Mów prędko. Może trzeba kupić fortepian albo harfę?

- Harfy nie potrzeba, natomiast potrzebny mi jest stołek do kuchni.

- Stołek! - ryknął Siemion Siemionowicz. - Dlaczego tylko stołek? Co tam stołek! Kupmy od razu do kuchni komplet mebli pokrytych skórą! Kosztuję zaledwie piętnaście tysięcy. O, nie, Katieńka, muszę zaprowadzić w tym domu porządek!

Długo jeszcze perswadował żonie, że czas już skończyć z bezmyślnymi wydatkami, ucztami i tym podobnym nieposkromionym trwonieniem i wyrzucaniem w błoto socjalistycznego grosza.

Po czym spokojnie zasnął.

Leń

Punktualnie o dziesiątej rano niewielki pokój wydziału planowania zapełnił się pracownikami. Ucichł brzęk blaszanej pokrywki zdjętej z „Underwooda” i postawionej na parapecie okna, trzasnęły szuflady biurka i rozpoczął się dzień pracy.

Jakub Iwanowicz Dubinin przyszedł ostatni.

- Cześć! - powiedział wesoło. - Dzień dobry, Fiodorze Nikołajewiczu, dzień dobry, Ludmiło Filipowma.

Wszystkim ogólne dzień dobry.

Ale kiedy odwrócił się do swojego biurka i zobaczył na nim stos teczek, od razu mina mu zrzędła.

Jakiś czas siedział i w osłupieniu spoglądał na papiery, po czym ocknął się i rozłożył „Prawdę”.

- Oho! - wykrzyknął po chwili. - Znowu Niemcy? „Ere Nouvelle” pisze...

Wydział trwał w milczeniu.

Dubinin wiedział naturalnie, że powinien zająć się planowaniem, ale jakaś nieodparta siła kazała mu odwrócić stronę i zagłębić się w lekturze długiego artykułu na tematy medyczne.

-- Patrzcie no, co się dzieje, towarzysze! - wykrzyknął znenacka, wysoko podnosząc brwi. - Czytaliście dzisiaj „Prawdę”?

Pilni pracownicy podnieśli na niego nieprzytomny wzrok, a Ludmiła Filipowna na chwilę przerwała nawet pisanie na maszynie.

- Porody będą bezbolesne! Ciekawe, co?

Był tak przejęty, jakby sam wielokrotnie rodził i cierpiał przy tym straszliwe bóle.

Znów zastukała maszyna, a Jakub Iwanowicz na nowo zagłębił się w lekturze. Czytał sumiennie, wszystko po kolei, nie opuszczając ani jednej szpalty i mrużąc:

- A siewy, owszem. Sieją, sieją, zasiewają. Jakoś W tym roku nie sieją w błoto. A może sieją, tylko nie piszą? Co tam dalej? Aha! Znowu chuligani. Ja bym się z nimi nie cackał, słowo daję. Profesor Piccard przyjechał do Warszawy. Nigdy w życiu nie poleciałbym do stratosfery. Żeby mi nie wiem co dawali...

Te-ek. W Teatrze Wielkim dzisiaj „Sadko”, bilety z nadrukiem „Gród Kitioż” ważne są na dwudziestego

ósmego. Co tam dalej? Koncert Beaty Małkin... Wieczór humoru i satyry z udziałem wybitnych sił...

Kolegium partyjne wzywa towarzysza Nikitina do pokoju numer pięćset dziewięćdziesiąt dziewięć...

Tak, tak... Telefony redakcyjne... Kierownik drukarni dwadzieścia dwa tysiące sześćset dwadzieścia cztery...

Dubinin z zakłopotaniem spojrzął na zegarek. Była dopiero jedenasta.

- A gdzie „Izwestia”? - krzyknął energicznie. - Proszę o „Izwestia”. Fiodorze Nikołajewiczu, gdzie są

„Izwestia”? Ta przekłeta roznosicielka zawsze je gdzieś wetknie.

- Dzisiaj nie ma „Izwestii” - obojętnie odparł Fiodor Nikołajewicz.

- Jak to nie ma?

- W dni poświęcone „Izwestia” nigdy nie wychodzą.

Jakub Iwanowicz aż zbladł, kiedy zrozumiał, że już nic więcej do czytania nie ma. Ze zmartwienia splótł palce, aż zatrzęszczały w stawach, i przez kwadrans siedział w zupełnym bezruchu. Potem zebrał siły i zaczął majstrować tekturową oprawkę do swojego paszportu. Długo i starannie coś przycinał, kleił, potem, z wysuniętym językiem, wykaligrafował: „J. I. Dubinin”.

Około pierwsze j po południu ta gigantyczna praca została ukończona. Zbliżała się fatalna chwila, kiedy mimo wszystko trzeba będzie zabrać się do planowania. Jakub Iwanowicz odwrócił się od biurka z takim wstrętem, jak kot, któremu pijany żartowniś podsuwa pod nos dymiącego papierosa. Aż prychnął z obrzydzenia.

Za oknem wiosenny wiatr kołysał nagie gałązki.

- Dziś słonecznie, ale wiatr - oznajmił Jakub Iwanowicz chcąc nawiązać rozmowę.

- Proszę nam nie przeszkadzać w pracy - powiedziała Ludmiła Filipowna.

- Zdaje mi się, że ja tu wszystkim przeszkadzam - rzekł obrażony Dubinin. - Cóż, mogę sobie pójść.

I poszedł do ubikacji, gdzie spędził czterdzieści minut na rozmyślaniach o niekoleżeńskim i obojętnym ustosunkowaniu się do niego pracowników wydziału planowania, o profesorze Piccard i o tym, że bilety na „Gród Kitioż” ważne są na dwudziestego ósmego.

„Do diabła --myślał - ludzie chodzą sobie do teatrów. Mają dużo wolnego czasu, to mogą się włączyć”

Dubinin wrócił do wydziału ponury i obrażony.

- Był tu do pana interesant - powiedziała Ludmiła Filipowna. - W sprawie zaplanowania opakowań do szkła. Czeka na korytarzu.

- Sam wiem - opryskliwie odparł Jakub Iwanowicz. - Zaraz to załatwię. Człowiekowi, za przeproszeniem, do ubikacji wyjść nie wolno.

Ale w tym momencie wezwano go do naczelnika.

- Towarzyszu Dubinin - z gniewem powiedział zwierzchnik - okazuje się, że dzisiaj znowu spóźnił się pan do pracy. Co z tego wynika? Raczej bumelowanie niż planowanie. Czy nie rozumie pan, że te dziesięć minut są ukradzione państwu? Jestem zmuszany udzielić panu nagany w raporcie. Dłużej pana nie zatrzymuję, towarzyszu Dubinin. Może pan odejść.

„«Nie zatrzymuję pana...» - z rozgoryczeniem myślał Jakub Iwanowicz idąc wolno przez korytarz. -

«Bumelowanie!» Patrzcie go, jaki dowcipniś! Człowiek pracuje jak wół, a ten... przeklęty biurokrata!

Stójkowy w cywilu!”

- O, nie, ja tego płazem nie puszczę - krzyczał w wydziale zagłuszając stuk maszyny. - Tak, spóźniłem się dziesięć minut. Rzeczywiście, dziesięć minut się spóźniłem. No to co? Czy to go upoważnia do traktowania mnie jak bydlaka? „Nie zatrzymuję pana!...” Niechby spróbował mnie zatrzymać, gbur!

„Może pan odejść!” Co to za ton?! No to pójdę! Pójdę na skargę!

Łapał kolegów za kłapy, przysiadał się do ich biurek i palił papierosa za papierosem. Potem usiadł na swoim miejscu i zabrał się do pisania wyjaśnienia.

„Wyjaśnienie” - napisał pośrodku arkusza, u góry.

Pobiegł do sąsiedniego wydziału, przyniósł stamtąd czerwony atrament i fioletowy nagłówek podkreślił piękną czerwoną linią.

- Towarzyszu Dubinin - spytał nieśmiało Fiodor Nikołajewicz. - Czy przygotował pan szkic planu dla

Zakładów Południowych?

- Proszę mi nie przeszkadzać w pracy! - huknął Jakub Iwanowicz. - Znieważono minie, mieszano iz błotem! I nawet wytłumaczyć mi się nie wolno? Odbiera mi się nawet to ostatnie ludzkie prawo, prawo apelacji!

Przestraszony Fiodor Nikołajewicz pochylił głowę i skulił się za swoim biurkiem.

- Ja im pokażę - groził Dubinin zabierając się do pisania wyjaśnienia.

„Dwudziestego piątego bieżącego miesiąca zostałem wezwany do gabinetu towarzysza

Pytłasińskiego, który dopuścił się wobec mnie niesłychanego...”

Pisał z takim rozmachem, że atrament rozpryskiwał się po całym biurku. Podkreślał swoje zasługi w dziedzinie planowania. Właśnie planowania, a nie bumelowania.

„Oczywiście, każdemu wolno żartować, ale sięgnijmy do niezaprzeczalnych faktów. Inkryminowane mi dziesięciominutowe spóźnienie zostało spowodowane korkiem tramwajowym, jaki miał miejsce na placu imienia Swierdłowa...”

- Czy towarzysz Dubinin już wrócił? - rozległ się głos. - Już dwie godziny czekam na niego.

- O co chodzi? - spytał Dubinin patrząc na interesanta wzrokiem męczennika.

Przychodzę w sprawie opakowań do szkła, towarzyszu.

- Czy pan ślepy? - spytał Dubinin przyszywającym szeptem. - Nie widzi pan, że człowiek jest zajęty?

Piszę niesłychanie ważny raport, a pan się tu pcha ze swoim opakowaniem! Ludzie nie mają za grosz sumienia ani poczucia taktu, słowo daję!

Odwrócił się od interesanta i pisał dalej:

„Dziesięciominutowe spóźnienie wywołane, jak już wyjaśniałem, korkiem tramwajowym, jaki miał miejsce na placu Swierdłowa, w żadnym wypadku nie może być wystarczającym powodem do chuligańskiego wystąpienia towarzysza Pytłasińskiego, a co za tymi idzie...”

O wpół do piątej Dubinin wstał od biurka.

- No i proszę - powiedział - musiałem pół godziny dłużej siedzieć w tym przeklętym biurze, które z człowieka wszystkie soki wysysa. Harujesz jak dziki osioł i nikt ci za to nawet dobrego słowa nie powie.

Dokończenie wyjaśnienia i ostateczną jego redakcję postanowił odłożyć na dzień następny.

Kolumb przybija do brzegu

- Ziemia, ziemia! - radośnie wykrzyknął majtek siedzący na czubku masztu.

Ciężka, pełna niebezpieczeństw i niepewności podróż Krzysztofa Kolumba dobiegała końca. Na horyzoncie widniała ziemia. Drżącymi rękami chwycił Kolumb lunetę.

- Widzę wielki łańcuch górski - powiedział do towarzyszy podróży. - Ale to dziwne! Tam są przebite okna. Pierwszy raz w życiu widzę góry z oknami.

- Piroga z tubylcami! - rozległ się krzyk.

Odkrywczy nowych ziem rzucili się do burty, machając kapeluszami zdobnymi w strusie pióra i wlokąc po ziemi długie peleryny.

Dwaj tubylcy w dziwnych zielonych strojach wdrapali się na statek i w milczeniu wręczyli Kolumbowi wielki arkusz papieru.

- Pragnę odkryć waszą ziemię - dumnie oznajmił Kolumb. - W imieniu hiszpańskiej królowej Izabeli ogłaszam tę ziemię jako przynależną...

- Nie szkodzi. Przede wszystkim proszę wypełnić ankietę - obojętnie powiedział tubylec. - Imię i nazwisko należy pisać drukowanymi literami, dalej narodowość, stan cywilny, oświadczenie, że nie ma pan jaglicy i nie zamierza pan obalić rządu amerykańskiego, następnie - że jest pan przy zdrowych zmysłach.

Kolumb chwycił za szpadę, ale ponieważ był przy zdrowych zmysłach, natychmiast się zmytygował.

- Nie trzeba rozdrażniać tubylców - powiedział do towarzyszy podróży. - Tubylcy są jak dzieci. Często miewają bardzo dziwne zwyczaje. Wiem o tym z doświadczenia.

- Czy posiada pan bilet powrotny oraz pięćset dolarów? - spytał tubylec.

- A co to są dolary? - ze zdziwieniem spytał wielki żeglarz.

- Przed chwilą napisał pan w ankiecie, że jest pan przy zdrowych zmysłach, a teraz pyta pan, co to są dolary? Co pan zamierza tu robić?

- Zamierzam odkryć Amerykę.

- A czy ma pan zapewnione publicity?

- Publicity? Pierwszy raz w życiu słyszę to słowo.

Tubylec długo i przenikliwie patrzył na Kolumba, wreszcie powiedział:

- Pan naprawdę nie wie, co to jest publicity?

- N-nie wiem.

- I pan zamierza odkryć Amerykę? Nie chciałbym być na pańskim miejscu, mister Kolumb.

- Jak to? Więc pan sądzi, że nie uda mi się odkryć tej bogatej i urodzajnej krainy? - zapytał z niepokojem wielki Genuńczyk.

Ale tubylec już odszedł mruczając pod nosem:

- Bez publicity nie ma prosperity.

Tymczasem karawele już wchodziły do portu. Jesień na tej szerokości geograficznej bywa piękna.

Świeciło słońce i mewy krążyły nad rufą. Wzruszony do głębi Kolumb zszedł na nową ziemię trzymając w jednej ręce skromny węzełek z paciorkami, które zamierzał korzystnie wymienić na złoto i kość słoniową, a w drugiej wielki hiszpański sztandar. A tymczasem, gdzie spojrzał, nigdzie nie widać było ziemi, trawy ani drzew, do których przywykł w starej spokojnej Europie. Dokoła był kamień, asfalt, beton i stal.

Obok niego przebiegali tłumnie tubylcy z ołówkami, notesami i aparatami fotograficznymi. Otoczyli znakomitego zapaśnika, dżentelmena z rozpląszczonymi uszami i nieprawdopodobnie grubym karkiem, który wysiadł z sąsiedniego statku. Na Kolumba nikt nie zwracał uwagi. Zbliżyły się do niego dwie tubylcze kobiety z umalowanymi twarzami.

- Co to za dziwak z chorągwią? - spytała jedna.

- Pewnie reklama jakiejś hiszpańskiej restauracji - odparła druga.

I pobiegly oglądać znakomitego dżentelmena z rozpląszczonymi uszami.

Kolumbowi nie udało się zatknąć flagi w amerykańską ziemię. W tym celu bowiem trzeba by wiercić otwór świdrem pneumatycznym. Kolumb dłużej szpadą w jezdnio tak długo, aż się szpada w końcu złamała. Teraz musiał paradować po ulicach z ciężką, haftowaną złotem chorągwią. Na szczęście nie potrzebował już dźwigać paciorków. Odebrano mu je na komorze celnej z powodu nieuiszczenia opłaty.

Setki tysięcy tubylców uganiało się za swoimi sprawami, dawali nura pod ziemię, jedli, pili, handlowali i nawet nie podejrzewali, że zostali odkryci.

A Kolumb myślał z goryczą:

„No proszę. Starłem się, zabiegałem o pieniądze na wyprawę, przepłynąłem burzliwy ocean, narażałem życie i nikt na mnie nie zwraca uwagi”.

Zaczeplił jakiegoś tubylca o pocziwym wyglądzie i z dumą oznajmił:

- Jestem Krzysztof Kolumb.
- Jak, proszę?
- Krzysztof Kolumb.
- Proszę przeliterować - zażądał zniecierpliwiony tubylec.

Kolumb przeliterował.

- Coś mi to przypomina - zauważył tubylec. - Sklep z ręcznymi narzędziami mechanicznymi, o ile się nie mylę.

- Odkryłem Amerykę - z godnością oświadczył Kolumb.

- Co pan mówi? Dawno?

- Przed chwilą. Jakies pięć minut temu.

- To bardzo interesujące. A o co panu właściwie chodzi, mister Kolumb?

- Sądzę, że mam prawo do jakiejś takiej popularności - skromnie odparł wielki żeglarz.

- A czy pana ktoś witał w porcie?

- Nikt mnie nie witał. Przecież tubylcy nie wiedzieli, że zamierzam ich odkryć.

- Trzeba było kablować. Któż tak robi? Jeśli pan ma zamiar odkryć nową ziemię, trzeba naprzód zadepeszować, przygotować kilka wesołych dowcipów na piśmie i rozdać je reporterom, przygotować parę tuzinów fotografii. Inaczej nic z tego nie wyjdzie. Musi być publicity.

- Już po raz drugi słyszę to dziwne słowo „publicity”. Co to jest? Może to jakieś praktyki religijne, jakieś pogańskie obrzędy?

Tubylec ze współczuciem spojrział na przybysza.

- Nie bądź pan dzieckiem, mister Kolumb. Publicity, to publicity! W każdym razie postaram się coś dla pana zrobić. Żal mi pana.

Zaprowadził Kolumba do hotelu i ulokował go na trzydziestym piątym piętrze. Po czym wyszedł, ale wychodząc obiecał, że postara się coś dla niego zrobić.

W pół godziny później otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł pocziwy tubylec w towarzystwie dwóch innych tubylców. Jeden z nich bez przerwy coś żuł, a drugi rozstawił statyw, umocował na nim aparat fotograficzny i powiedział:

- Proszę się roześmiać! Roześmiać się! Co? Pan nie rozumie? Proszę zrobić tak: „cha! cha! cha!” - i fotograf energicznie wyszczerzył zęby i zarżał jak koń.

Krzysztof Kolumb nie wytrzymał nerwowo i parsknął śmiechem. Błysnęła magnezja, aparat pstryknął, a fotograf powiedział „dziękuję”.

Teraz wziął Kolumba w obroty drugi tubylec. Wyjął ołówek i spytał, ani na chwilę nie przestając żuć:

- Pańskie nazwisko?

- Kolumb.

- Proszę literować. Ka, O, El, U, Em, Be? Doskonale. Grunt to nie przekreślić nazwiska. Jak dawno odkrył pan Amerykę, mister Kolman? Dzisiaj? Ślicznie. Jak się panu Ameryka podoba?

- Właściwie jeszcze nie wyrobiłem sobie zdania o tej żyznej krainie.

Reporter zamyślił się głęboko.

- Tak. Wobec tego niech pan wymieni, mister Kolman, cztery rzeczy, które się panu (najbardziej w

Nowym Jorku podobają.

- Trudno mi tak od razu...

Reporter na nowo pogрузił się w ciężkiej zadumie. Przywykł do wywiadów z bokserami i gwiazdami filmowymi, toteż trudno mu było nawiązać kontakt z takim mało wyrobionym, tępy m facetem jak

Kolumb. Wreszcie wysilił się i wycisnął z siebie następne, błyskotliwe pytanie:

- W takim razie, mister Kolumb, niech pan wymieni dwie rzeczy, które się panu nie podobają.

Kolumb westchnął przeraźliwie. Jeszcze nigdy nie był w tak kłopotliwym położeniu. Otarł pot z czoła i nieśmiało spytał zaprzyjaźnionego z nim tubylca:

- A może by się obeszło bez publicity?

- Czy pan oszalał? - odparł błędąc pocziwy tubylec. - To, że pan odkrył Amerykę, nie jest ważne.

Ważne jest, żeby Ameryka odkryła pana.

Reporter zrobił gigantyczny wysiłek umysłowy, w rezultacie którego padło frywolne pytanie: „Jak się panu podobają Amerykanki?”

Nie doczekawszy się odpowiedzi reporter zaczął coś szybko notować. Od czasu do czasu wyjmował z ust zapalonego papierosa i wkładał go za ucho. W oswobodzone w ten sposób usta kładł ołówek i w natchnieniu patrzył na sufit. Po czym pisał dalej. Wreszcie powiedział „o'kay”, poklepał zmieszanego

Kolumba po aksamitnym, zahaftowanym galonami ramieniu, potrząsnął jego ręką i wyszedł.

- Teraz wszystko w porządku - oświadczył pocziwy tubylec. - Chodźmy się przejść po mieście. Skoro pan już odkrył tę krainę, to warto ją obejrzeć. Tylko z tą chorągwią nie wpuszczą pana na Broadway, musi ją pan zostawić w hotelu.

Na zakończenie spaceru po Broadwayu wstąpili do kabaretu (po trzydzieści pięć centów od osoby), skąd wielki a skromny Krzysztof wyskoczył jak oparzony.

Biegł ulicami zawadzając o przechodniów rozwianymi połami płaszcza i w głos odmawiając modlitwy.

Kiedy dotarł do hotelu, natychmiast rzucił się na łóżko i przy akompaniamencie piekielnego zgiełku kolei napowietrznej zapadł w ciężki sen.

Nazajutrz rano przybiegł opiekun Kolumba i już z daleka radośnie wymachiwał gazetą. Na osiemdziesiątej piątej stronie żeglarz z przerażeniem ujrzał swoją wyszczerzoną fizjonomię. Pod spodem przeczytał, że Amerykanki podobają mu się szalenie, że uważa je za najelegantsze kobiety świata, że jest bliskim przyjacielem etiopskiego negusa Selassi i że zamierza wygłaszać odczyty z dziedziny geografii w Harvard University.

Szlachetny Genuńczyk już otwierał usta, aby przysiąc, że nigdy nic podobnego nie mówił, gdy oto zjawili się nowi goście.

Nie tracąc czasu na uprzejmości, od razu przystąpili do sprawy. Publicity zaczęło wykazywać swoje magiczne działanie: Kolumba zaproszono do Hollywood.

- Widzi pan, mister Kolumb - tłumaczyli mu nowi goście - chcielibyśmy, żeby pan zagrał główną rolę w filmie historycznym „Amerigo Vespucci”. Autentyczny Krzysztof Kolumb w roli Ameriga Vespucci - to może być bardzo interesujące. Publiczność na taki film będzie chodziła. Cały dowcip polega na tym, że dialog toczy się w żargonie Broadwayu. Rozumie pan? Nie rozumie pan? To my panu zaraz wszystko dokładnie wytłumaczymy. Scenariusz mamy. Scenariusz jest napisany według powieści Aleksandra

Dumasa pt. „Hrabia Monte Christo”, ale to nieważne, myśmy tam wprowadzili motyw odkrycia

Ameryki.

Kolumb zachwiał się i bezdźwięcznie poruszył wargami. Prawdopodobnie szeptał modlitwy. Ale tubylcy z Hollywood dzielnie kontynuowali:

- A zatem, mister Kolumb, pan gra rolę Ameriga Vespucci, w którym kocha się bez pamięci królowa hiszpańska. On znów jest śmiertelnie zakochany w rosyjskiej księżnej Griszy. Ale kardynał Richelieu przekupuje Vasco da Gamę i przy pomocy lady Hamilton doprowadza do tego, że wysyłają pana do

Ameryki. Jego szatański plan jest prosty i jasny. Na morzu napadają na pana piraci. Pan walczy jak lew. Scena na trzysta metrów. Pan oczywiście nie umie grać, ale to nie jest ważne.

- A co jest ważne? - jęknął Kolumb.

- Ważne jest publicity. Teraz publiczność już pana poznała i będzie dla niej bardzo interesujące oglądać, jak taki szanowny i poważny człowiek walczy z piratami. Film kończy się w ten sposób, że pan odkrywa Amerykę. Ale to nieważne. Najważniejsza jest walka z piratami. Halabardy, siekiery, katapulty, znicze olimpijskie, jatagany i w ogóle. Średniowiecznych rekwizytów mamy w Hollywood pod dostatkiem. Tylko będzie się pan musiał ogolić. Broda i wąsy wykluczone! Publiczność widziała już tyle bród i wąsów w filmach o tematyce rosyjskiej, że już tego więcej nie wytrzyma. Czyli: naprzód goli pan brodę, po czym podpisujemy kontrakt na sześć tygodni. Zgoda?

- O'kay! - odparł Kolumb drżąc na całym ciele.

Późnym wieczorem Kolumb siedział i pisał list do hiszpańskiej królowej:

„Zjeździłem wiele mórz, ale nigdzie nie spotkałem tak oryginalnych tubylców. Są to ludzie, którzy absolutnie nie znoszą ciszy. Aby móc do syta upajać się hałasem, zawiesili nad miastem, na metalowych słupach, sieć szyn, po których we dnie i w nocy mkną metalowe pudła i wywołują tak ulubiony przez tubylców piekielny zgiełk.

Nie udało mi się dokładnie zbadać, czy uprawiają ludożerstwo. W każdym razie jadają psy na gorąco⁵³. Na własne oczy widziałem mnóstwo sklepów, których właściciele zachęcają przechodniów do spożywania psów na gorąco i zachwalają ich wyborny smak.

Wszyscy ludzie pachną tutaj dziwnymi wonnościami, które w języku tubylczym noszą nazwę

«benzyny». Wszystkie ulice przesiąknięte są tą wonią, bardzo przykrą dla europejskiego nosa. Nawet tutejsze dziewczęta pachną benzyną.

Stwierdziłem również, że tubylcy są poganami. Mają mnóstwo bogów, których imiona wypisane są ognistymi zgłoskami na ich domostwach. Najbardziej jednak hołdują bogini «Coca-cola», bogini

«Drugist Soda», bogini Coifeterii i wielkiemu bogu wonności benzynowych - Fordowi. Jest on tutaj czymś w rodzaju Zeusa.

Tubylcy są tu ogromnie żarłocznymi. Bez przerwy coś żują.

Niestety, cywilizacja jeszcze ich nie dotknęła. W porównaniu ze wściekłym tempem współczesnego życia w Hiszpanii, Amerykanie są niesłychanie powolni. Chodzenie pieszo wydaje im się zbyt szybkim sposobem poruszania się. Aby zwolnić ten proces, wprowadzili ogromną ilość tak zwanych samochodów. Obecnie poruszają się z szybkością żółwia i bardzo im to odpowiada.

Uderzyły mnie pewne obrzędy, które co wieczór odbywają się w miejscowości, zwanej Broadway.

Wielka ilość tubylców zbiera się w dużej chałupie, zwanej kabaretem. Kilka tubylczych kobiet wychodzi kolejno na podwyższenie i przy barbarzyńskim zgiełku tam-tamów oraz saksofonów kobiety

Hot-dog te powoli rozbierają się. Obecni klaszczą w dłonie jak dzieci. Kiedy kobieta jest już niemal zupełnie naga, a tubylcy obecni na sali rozpaleni wprost do czerwoności, wtedy następuje rzecz całkowicie niezrozumiała w tym dziwnym obrzędzie. Ni z tego ni z owego zasuwają kurtynę i wszyscy wracają do swoich domostw.

Mam zamiar kontynuować obserwacje nad tą wspaniałą krainą, a także zapuścić się w głąb lądu.

Życiu mojemu nie zagraża tutaj żadne niebezpieczeństwo. Tubylcy są bardzo mili, życzliwi i dobrze traktują cudzoziemców”

Zagwarantowane miejsce

Będzie to opowieść o żalostnej historii, jaka przytrafiła się Posidietkinowi.

Przyczyną nieszczęścia nie była wcale głupota Posidietkina. Przeciwnie, raczej rozsądek.

W ogóle jeszcze raz potwierdziło się to, co już niejednokrotnie wynikało z dziejów narodów, a także poszczególnych jednostek, że: mądrymu biada!

Sprawa dotyczy podróży koleją.

Wszystkie wysiłki Posidiełkina sprowadzały się do tego, żeby trzynastego września wyjechać z

Moskwy i po dwudniowej podróży przybyć do Jejska, miejscowości uzdrowiskowej nad Morzem

Azowskim. Wszystko układało się pomyślnie: urlop, delegacja, sprawy rodzinne. Tylko ten pociąg. Do wyjazdu zostały już zaledwie dwa miesiące, a biletu jeszcze nie było.

„Czas już poczynić decydujące kroki - postanowił Posidiełkin. - Do kasy miejskiej chodzić nie ma sensu. Na dworzec też nie pójdę. Szkoda fatygi, tam się biletu nie dostanie. Tam podobno w kasach sprzedają raczej perski proszek i karty do gry, ale nie bilety. Nie, nie, bilet trzeba zdobyć inną drogą”.

Ta „inna droga” zajęła wyżej wspomniane dwa miesiące.

- Jeśli ma pan dla mnie odrobinę sympatii - mówił Posidiełkin do wszystkich znajomych po kolei - niech mi się pan postara o bilet do Jejska. Miejsce leżące. W trzeciej klasie.

- A stojące nie łaska? - beztrząsco odpowiadali znajomi.

- Nie żartujcie - prosił strapiiony Posidiełkin. - Muszę jechać do Jejska, na kurację, a wy co?... Tylko nie zapomnijcie. Na trzynastego września. Na pewno macie znajomych, którzy wszystko mogą. Ależ nie chodzi o to, żebyście tylko obiecali - proszę, zapiszcie w notesie. Jeśli macie dla mnie choć trochę sympatii!

Ale wszystkie te posunięcia nie zmniejszały niepokoju, nie dawały, że się tak wyrazimy, pełnej gwarancji. Posidiełkin obawiał się konkurencji. W każdym przechodniu dopatrywał się przyszłego pasażera. Rzeczywiście, niemal każdy przechodzień nerwowo oglądał się za siebie, jakby tylko na chwilę wyszedł z kolejki po bilety kolejowe.

„Marna sprawa - myślał Posidiełkin - trzeba działać energicznie. Trzeba opracować system”.

Posidiełkin poświęcił cały wieczór na przygotowanie schematu. Gdyby go teraz nakryto, to niewątpliwie wzięto by go za przywódcę jakiejś podziemnej organizacji, która przygotowuje się do wysadzenia mostu kolejowego lub do obrabowania jakiejś spółdzielni.

Na arkusiku papieru widniały kółeczka, kwadraciki, linie kropkowane, litery, cyfry i nazwiska. Na podstawie tego schematu można było poznać życie i działalność co najmniej setki osób: kim są, gdzie mieszkają, gdzie pracują, jaki mają charakter, jakie słabości, z kim są w przyjaźni, kogo nie lubią.

Nazwiska partyjnych były oznaczone krzyżykami. Bezpartyjni mieli przy nazwisku kółeczka. Poza tym w dokumencie figurowały tego rodzaju osobliwe charakterystyki:

„Brunielewski. Na pewno może”.

„Nikiforów. Może, ale pewno nie będzie chciał”.

„Malcew-Palcew. Będzie chciał, ale pewno nie będzie mógł”.

„Bumagin. Nie chce i nie może”.

„Koszkowładielcew. Może, ale to świnią”

A wszystko zmierzało do jednego - dostać miejsce leżące w trzeciej klasie,

„Gdzieś przecież musi chwycić - marzył Posidiełkin. - Najważniejsze - nie dać im chwili spokoju.

Przecież to wszystko renegaci i oszuści. Obiecują, a potem nie załatwiają”

Im bliższy był dzień wyjazdu, tym bardziej rozpaczliwa stawała się działalność Posidiełkina. Niemal zagrażała spokojowi miasta. Ludzie zaczęli ukrywać się przed Posidiełkinem, a on tropił ich bez wytchnienia. Gonił ich szybkobieżnymi windami, obciążał zarówno obsługiwane przez ludzi, jak automatyczne stacje telefonów niezliczoną ilością połączeń.

- Czy mogę prosić towarzysza Malcewa? Tak, Palcewa. Tak, tak, Malcewa-Palcewa. Kto mówi? Proszę powiedzieć, że Lola. Towarzysz Malcew? Moje uszanowanie, towarzyszu Malcew. Nie, to nie Lola. To ja, Posidiełkin. Towarzyszu Malcew, czy pamięta pan o swojej obietnicy? Tak właśnie, do Jejska, leżące. Jak to szkoda czasu? Zaraz jadę do pana taksówką! Nie trzeba? A pan mi naprawdę nie zrobi zawodu? No, to najmocniej przepraszam.

Na widok upatrzonej osoby Posidiełkin z narażeniem życia rzucał się w największy ruch uliczny.

Zgrzytały hamulce samochodów, a twarze kierowców powlekały się bladością.

- Więc nie zapomni pan? - upewniał się Posidiełkin stojąc na środku jezdni. - Do Jejska, jedno leżące, trzeciej klasy.

Kiedy milicjant prowadził Posidiełkina do komisariatu za naruszenie przepisów ruchu drogowego, udało mu się wydobyć od milicjanta przyrzeczenie, że postara mu się o bilet.

- Milicja wszystko może - wmawiał w niego płaczliwym głosem.

Nazwisko milicjanta wraz z odpowiednim kółeczkiem i krótką charakterystyką („Może, ale niepewny”) nałaziło się w osobliwym schemacie.

Na tydzień przed wyjazdem Posidiełkina zjawił się u niego jakiś całkiem mu nie znany obywatel i wręczył mu bilet do Jejska. Radość Posidiełkina nie miała granic. Objął i gorąco uściskał obywatela, aczkolwiek w żaden sposób nie mógł go sobie przypomnieć (tyle osób prosił o bilet, że było absolutną niemożliwością wszystkich ich zapamiętać).

Tego samego dnia przyjechał na motocyklu goniec od Malcewa-Palcewa i także przywiózł bilet do

Jejska. Posidiełkin podziękował, ale kiedy zwracał pieniądze, minę miał nieco rzadką.

„Jeden bilet będę musiał komuś na dworcu odstąpić” - pomyślał.

Ach, niepotrzebnie, niepotrzebnie Posidiełkin wątpił w ludzką uczynność!

Schemat działał niezawodnie, jak dobrze naoliwiony mauzer, i wypuszczał serię za serią.

Na dzień przed odjazdem Posidiełkin był w posiadaniu trzydziestu ośmiu biletów (trzeciej klasy, miejsce leżące). Wydał na bilety wszystkie pieniądze przeznaczone na urlop plus sześćdziesiąt siedem kopiejek bonami do spółdzielni.

Co za granda! Nikt nie okazał się oszustem ani renegatem!

A biletów wciąż przybywało. Posidiełkin zaczął się ukrywać, ale go odnajdywano. Ilość biletów wzrosła do czterdziestu czterech.

Na godzinę przed odjazdem pociągu Posidiełkin stał na peronie dworca i nieśmiałym głosem żebraka bez kwalifikacji błagał przechodniów:

- Może pan kupić bilet do Jejska? Miejscowość uzdrowskowa. Nie pożałuje pan.

Ale nie było chętnych. Wszyscy doskonale wiedzieli, że na dworcu biletu się nie dostanie i że trzeba to załatwić przez znajomych. W ostatniej chwili zajeżdżał służbowy samochód, z którego wysiedli:

Brunielewski, Bumagin oraz Koszkowładielcew. Przywieźli bilety.

Posidiełkin nudził się w podróży.

Był sam jeden w całym wagonie.

A najważniejsze, że przyczyną nieszczęścia nie była wcale głupota Posidiełkina. Przeciwnie, raczej rozsądek. Po prostu miał zbyt wpływowych znajomych. Tylko nie wiadomo dlaczego zapomina się o pięknej zasadzie, żeby bilety kupować w kasie.

Tu ładuje się okręt

Kiedy wschodzi księżyc, z zarośli wychodzą szakale.

Stanley: „Jak odnalazłem. Livingstona”

Codziennie zbierała się lotna narada i codziennie Samiecki zjawiał się na niej ostatni.

Kiedy z nieśmiałym uśmiechem przepychał się w stronę wolnego krzesła, zebrani przeważnie omawiali już trzeci z kolei punkt porządku dziennego. Ale nikt nie rzucał na spóźnionego potępiających spojrzeń, nikt do Samieckiego nie miał pretensji.

- To jest nasz aktywista - mówili dyrektorzy wydziałów, ich zastępcy tudzież wierni sekretarze. -

Działacz społeczny!

Z lotnej narady Samiecki wychodził wcześniej niż pozostali. Skradał się ku drzwiom na palcach. Jego sztyblety błyszczały. Na twarzy malowała się troska.

Nikt go nie zatrzymywał. Tylko wierni sekretarze szeptali Swoim dyrektorom:

- Samiecki poszedł robić gazetkę ścienną. Już trzeci dzień kleją w suterenie z Jaguarem Pietrowiczem.

- Bardzo, bardzo aktywny pracownik! - z roztargnieniem mówili dyrektorzy.

Tymczasem zatroskany Samiecki schodził do suterenu.

Wywalczył tutaj pokój pomiędzy kuchnią a siedzibą Rady Zakładowej specjalnie na działalność społeczną. Z tego powodu trzeba było przenieść archiwum, a ponieważ nie można było znaleźć dlań innego locum, archiwum umieszczono na korytarzu, a pracownika archiwum, staruszkę

Pczełowzwodowa, po prostu zwolniono, żeby się nie pętał pod nogami.

- Jak tam nasza gazetka? - pytał Samiecki wchodząc do pokoju.

Jaguar Pietrowicz i dwie panienki klęczeli na podłodze i kleili gazetkę ścienną wielkości artyleryjskiej tarczy strzelniczej.

- Okazała gazetka - oświadczył Jaguar Pietrowicz podnosząc bladą, obrzękłą twarz.
- Gazeciszczę jak się patrzy - pochwalił Samiecki przyglądając się pracy.
- My już pójdziemy - mówiły dziewczęta - bo nam urągają, że przez tę gazetkę całkiem opuściliśmy, się w pracy.
- Kto wam urąga? - oburzał się Samiecki. - Ja to traktuję jako nieuzasadnioną napaść. Już my ich ustawimy. Poruszymy to zagadnienie.

Po kilku minutach na trzecim piętrze słychać było głos Samieckiego,

- Traktuję ten oburzający fakt nie jako wycieczkę Osobistą przeciwko mnie, ale jako nieuzasadniony atak przeciwko całemu radzieckiemu społeczeństwu oraz prasie. Co takiego? W godzinach służbowych należy zajmować się pracą? A zatem działalność społeczna, waszym zdaniem, nie jest pracą? Towarzysze, tego nie można traktować inaczej niż jako antyspołeczne wystąpienie!

Ze wszystkich pięter zbiegali się pracownicy i interesanci.

Koniec był taki, że towarzysz, który pozwolił sobie na tego rodzaju wystąpienie, płaczącym głosem zapewniał wszystkich, że nie tylko nie jest przeciwny, ale sam zawsze gotów do usług. Mimo to sprawiedliwy Samiecki w następnym numerze gazetki ściennej umieszczał karykaturę, gdzie mściwoda był przedstawiony w ohydnej postaci - z wielką głową na psim tułowi i napisem wychodzącym z ust: „Hau- -hau-hau!”

Taka pryncypialna nieustępliwość jeszcze bardziej umacniała opinię, że Samiecki to tęgi społecznik.

Wprawdzie wszystkich dziwiło, że Samiecki wychodził z biura punktualnie o czwartej, ale przytaczał argument, z którym trudno było się nie zgodzić.

- Nie jestem z żelaza, towarzysze - mówił z gorzkim uśmiechem, który jednakże świadczył, że Samiecki jest z żelaza. - Samiecki też musi czasami odpocząć.

Z domu wypoczynkowego, gdzie zmęczony aktywista spędzał urlop, przychodziły zawsze wzruszające pocztówki:

„Jak tam nasza gazetuchna? Tęsknię za nią niewymownie. Zająłbym się tutaj pracą społeczną, ale lekarze kategorycznie mi zabraniają. Całym sercem pragnę już wracać”

Ale mimo tych szlachetnych porywów serca ciało Samieckiego co rok, regularnie, opóźniało się z urlopu o dwa tygodnie.

Za to po powrocie Samiecki z nowym zapałem wciągał ludzi do pracy społecznej.

Teraz nikomu nie pozwolił przejść spokojnie. Wprost łapał ludzi za ręce.

- Wy, towarzyszu, macie za mało obowiązków. Trzeba was trochę obciążyć. Co? Macie obowiązki partyjne, naukę i seminarium w fabryce? Otóż to właśnie! Od partyjnych więcej się wymaga. Prosimy, prosimy do kółka gry na bałajce. Już dawno trzeba je wzmocnić, tam jest bardzo słaba frekwencja.

Obciążanie kolegów biurowych obowiązkami społecznymi było ulubionym zajęciem Samieckiego.

Jest taka towarzyska zabawa pod nazwą „Ładujemy okręt”. Gra się w nią tylko w momentach śmiertelnej nudy, kiedy już absolutnie nie ma czym zabawić gości.

- No to jazda, ładujemy okręt! Na jaką literę? Wczoraj ładowaliśmy na „M”. Dzisiaj będziemy ładować na „L”. Wszyscy mówią po kolei, tylko nie namyślać się.

I zaczyna się bałagan.

- Ładujemy okręt lampami - oznajmia gospodarz.

- Lambrekinami - podchwytuje pierwszy gość.

- Lisami!

- Liliputami!

- Laubzegami!

- Lokomotywami!

- Likierami!

- Lapończykami!

- Liszajami!

- Lemieszami!

Na początku załadunek idzie sprawnie, potem wybór słów staje się coraz mniejszy, uczestnicy zaczynają mieć kłopoty. Praca posuwa się wolniej, a słowa przychodzą na myśl coraz dziksze. W końcu okręt **trzeba ładować:**

- Lumpenproletariuszami!

- Limitrofami!

- Lezginkami!

- Lawendami!

Ktoś usiłuje nawet załadować okręt **Liwszycami**. I na tym kończy się zabawa. Wynika idiotyczny spór, czy **można ładować okręt imionami własnymi?**

Samiecki napotykał trudności podobnego rodzaju.

Zorganizował wszelkie **możliwe na naszej planecie** kółka amatorskie. Obok normalnych, w rodzaju kółka **kształcenia zawodowego**, śpiewów chóralnych, czy też polityki zagranicznej, figurowały nadto w sprawozdaniach:

Kółko wychowania matki radzieckiej.

Kółko wstępnego przeszkolenia **niemowlęcia** radzieckiego.

Kółko - „Zbadajmy praktycznie Arktykę”.

Kółko krytyków baletowych.

Po osiągnięciu takich **wyżyn społecznych** Samiecki natężył się i niespodziewanie zrobił jeszcze jeden krok **ku słońcu**. Zorganizował nocne dyżury pod wezwaniem „Pogotowie dla starych pracowników celem likwidacji analfabetyzmu zawodowego. Czynne od dwunastej w nocy do szóstej rano”.

Te obłąkane dyżury odbywały się w tej samej suterenie, gdzie zwykle montowano gazetkę ścienną.

Tutaj dyżurowały po **nocach** wyraźnie **pobladłe i zmizerowane** dziewczęta oraz Jaguar Pietrowicz, który całkiem opadł z sił. Policzki miał już doszczętnie zapadnięte.

Do nocnej poradni nikt **nie przychodził**. Było tam zimno i ponuro.

Mimo to niestrudzony Samiecki usiłował jeszcze bardziej naładować okręt. Wymyślił sobie kieszonkową gazetkę ścienną, którą pieśczośliwie nazwał „gazetuchna-zapazuchna”.

- Moim obowiązkiem jest rozprowadzić gazetkę wśród wszystkich pracowników. Toteż musi ona mieć format biletu wizytowego. Każdy otrzyma taką gazetkę. Wyjmie gazetkę z kieszeni od kamizelki, przeczyta, zareaguje i pójdzie dalej. Wyobraźcie sobie te rezultaty!...

Trudność polegała na tym, żeby na małym skrawku papieru zmieścić cały materiał: artykuł o sytuacji międzynarodowej, sprawy wewnątrzinstytucyjne i karykaturę jednego z pracowników, który pozwolił sobie na nieuzasadnione wystąpienie, słowem - wszystko.

Sytuację mógł uratować tylko główny buchalter, który potrafił pisać drobnym maczkiem.

Ale główny buchalter odmówił, tłumacząc się tym, że jest zajęty sporządzaniem bilansu rocznego.

- To się jeszcze okaże - powiedział Samiecki. - Ja to traktuję jako nieuzasadnione wystąpienie.

Ale okazało się, że Samiecki przeładował okręt.

- Czym on się właściwie zajmuje? - padło zniecierpliwione pytanie na jednej z roboczych narad.

- Jak to czym? Aktywista społeczny. Wszyscy; o tym wiedzą.

- Dobrze, ale jaką on funkcję pełni?

- Zorganizował przecież to... jakże tam, nocne kolumbarium, pogotowie ratunkowe. To jest taki nasz związkowy Sklifasowski... Albo chociażby takie... wstępne przeszkolenie odesków. Nawet

„Wieczornik” o tym wspominał.

- Ale funkcja! Jaką on pełni funkcję?

Na to pytanie nikt jednak nie umiał odpowiedzieć.

Zbadano listę płac, gdzie krótko i niejasno było napisane: „Samiecki - 360 rubli”

- Niewyraźnie, bardzo niewyraźnie - powiedział dyrektor. - Oczywiście Sklifasowskim, ale państwu to nie odpowiada. Odmawiam dalszych wypłat.

I oto spełnił się los Samieckiego.

Przeładował swój okręt. I okręt poszedł na dno,

Kuracja Trikartowa

Im wspanialej świeci słońce, im bardziej przejmująco śpiewają ptaki, tym gorzej czują się urzędnicy.

Młoda trawka wyrasta przez noc na wysokość cala, słupek rtęci w termometrze idzie w górę tak szybko, jakby chciał osiągnąć pierwszego piętra, a urzędnicy czują się coraz gorzej.

Chcieliby kurować się, wszystko jedno na co i wszystko jedno w jaki sposób, byleby w sanatorium i w miarę możliwości na południu.

Michał Aleksandrowicz Trikartow, starszy już, ale jeszcze rześki człowiek, również uległ w bardzo silnym stopniu tej kuracyjnej epidemii.

- Wszyscy się leczą - wykrzykiwał obejmując obiema rękami swój pulchny tors - a ja muszę ginąć. Ja też chcę się leczyć!

- A co panu dolega? - pytali ze współczuciem koledzy biurowi.

- A skąd ja mam wiedzieć! - jęczał Michał. - Może kolit, może katar, może wada serca! Nie jestem lekarzem, ale czuję się źle.

I Michał pobiegł do profesora. Uważał, że można się leczyć tylko u profesorów.

Profesor długo przykładając ucho do obnażonego Trikartowa i wsłuchiwał się w pracę poszczególnych jego organów z taką uwagą, z jaką kot wsłuchuje się w poruszenia myszy.

W czasie badania tchórzliwy Michał Aleksandrowicz Spoglądał ze łzami w oczach na swój włochaty, jak demisezonowe palto, tors.

- I co? - szepnął wreszcie wpatrując się w plecy profesora, który właśnie mył ręce.

Chciał zapytać: „Czy jest jakaś nadzieja?” Ale wargi mu zadrżały i nic na temat nadziei nie powiedział.

- Jest pan absolutnie zdrow - oświadczył profesor.

- Mam wadę serca! - wyzywająco powiedział Trikartow.

Profesor rozgniewał się.

- A czy pan wie, co to jest wada serca?

Trikartow zapłacił za wizytę siedem rubli, więc także się rozgniewał.

- Wiem - powiedział. - Wada serca jest wtedy, kiedy serce bije. W dodatku mam jeszcze kolit, katar i erwicę.

- Głupstwa pan plecie - odparł profesor.

Mimo to Trikartow postanowił się leczyć. Najpierw usiłował leczyć się na koszt państwa. Ale państwo nie miało na to ochoty.

Wtedy Michał doszedł do wniosku, że w komisjach lekarskich zasiadają sami wydrwigrosze, którzy, podobnie jak profesor, zajmują się prywatną praktyką. Dowiedział się od znajomych, że Kisłowodsk słynie z doskonałych zabiegów, i opłacił miejsce w jednym z tamtejszych sanatoriów.

Pogoda dopisywała. Trikartow zamieszkał wśród róż. Miał piękny pokój. Ale to go nie cieszyło.

Pożerała go zazdrość.

W sanatorium od świtu zaczynało się pracowite życie. Część kuracjuszy, jak stado antylop, udawała się do źródła, gdzie opijali się narzanem. Innych prowadzono pod ręce do błotnych kąpiel. Niektórych dręczono natryskami Charcota. Byli nawet tacy, których zawijano we włochate prześcieradła i kazano im się pocić. Z każdym coś robili, tylko Trikartow był zupełnie zaniedbany. I bardzo cierpiał z tego powodu.

Pewnego razu zobaczył coś, co przekraczało jego wytrzymałość nerwową.

W czasie spaceru ujrzał na terenie parku pawilonik. Tam, na środku pokoju, siedział na podwyższeniu jakiś mężczyzna. Z jego włosów raźnie sypały się niebieskie iskry elektryczne. Warczały jakieś aparaty.

- A dlaczego mnie tego nie stosują? - spytał Trikartow sanitariusza. - Ja też chcę takie iskry. Trikartow jestem.

- Nie mam pana na liście - odparł obojętnie sanitariusz.

Trikartow wykombinował sobie, że jest to jakiś bardzo kosztowny zabieg, który specjalnie został przed nim ukryty w parku.

Wieczorem na tarasie, wobec kuracjuszy i gości, zrobił wielką awanturę naczelnemu lekarzowi.

- Proszę mi wyznaczyć kurację! - krzyczał Michał Aleksandrowicz przyskakując do lekarza. - Dlaczego ja nie mam żadnych zabiegów? Zapłaciłem za to! Co to za kuźnia zdrowia?

- Jest pan zdrowy, żadne zabiegi nie są panu potrzebne - tłumaczył stropiony lekarz.
- Niech pan dużo odpoczywa i nie denerwuje się.

Ale Trikartow całą noc nie spał i postanowił leczyć się na własną rękę. O świcie, lękliwie rozglądając się dokoła, pomknął do źródła i napił się do syta narzanu.

„Ja im pokażę - myślał wracając do sanatorium. - Już czuję się dużo lepiej!”

W ciągu dnia biegał po starannie utrzymanych alejkach i krzyczał:

- Gdzie jest to górskie słońce?

Nie mogąc doczekać się słońca, Michał Aleksandrowicz dobrał się do elektrycznego pawilonu.

Przyłożył do piersi cynową płytkę z kablami i włączył prąd. Do wieczora drżał od tajonej radości, bowiem smak miedzi w ustach nie opuszczał go i pozwalał wierzyć w szybkie wyzdrowienie.

Nocą, przy świetle księżyca, znowu zakradł się do źródła i wypił szesnaście kubków wody mineralnej.

- Ja im pokażę! - szeptał włączając przez okno do pokoju.

Resztę nocy spędzili nader pożytecznie. Wydobył spod łóżka wykradzioną fioletową lampę, wyciągnął się na pościeli i do rana naświetlał się grobowymi promieniami.

Zdrowie Michała uległo znacznej poprawie, ale nie wiadomo dlaczego stracił apetyt. Natraski

Charcota, kąpiele mineralne i błotne musiał brać w tajemnicy i przeważnie nocami.

- Źle pan wygląda - powiedział mu pewnego dnia lekarz. - Trzeba jeść więcej jajek.

„Znamy się na tym - pomyślał doświadczony Michał. - Chce mi wtrynić jajka, bo tanie, a kosztowne górskie słońce już miesiąc przede mną ukrywa”

Przed samym wyjazdem Trikartow zdołał dorwać się do wymarzonego słońca, ale rozkoszował się nim zaledwie godzinę. Spłoszyła go pielęgnarka.

W drodze do Moskwy na stacji Skotowata Trikartow nagle załabiał. Trzeba było wezwać lekarza, który skonstatował wadę serca, katar żołądka i ogólne zatrucie nieznanymi gazami.

Kiedy Trikartow stanął znów przed kolegami biurowymi, wyglądał przerażająco.

Co się z panem dzieje? - pytali przyjaciele.

Wykończyli minie, psia mać - odparł Michał. - Żalowali mi lampy kwarcowej, skąpili górskiego słońca.

Chowają dla dygnitarzy. Też mi kuźnica zdrowia!

Zwyczajny iks

Nikt na świecie nie znał się tak na niesprawiedliwości losu, jak Witali Kapitułow.

Mimo stosunkowo młodego wieku Witali zaczynał łysieć. Już w tym fakcie dopatrywał się niesprawiedliwości w odniesieniu do swojej osoby.

- U nas to już tak zawsze - mówił z gorzkim uśmiechem. - Nie umieją dbać o człowieka. Kulturalną jednostkę doprowadzają do łysiny. Gdybym prowadził Spokojne życie, czy musiałbym wyłysieć?

Skądże! Miałbym wspaniałą czuprynę.

Słowa te nikogo nie dziwiły. Wszyscy przywykli do tego, że Witali nieustannie żalił się na otoczenie.

Rano, po dziesięciogodzinnym, mocnym śnie, Witali mówił do żony:

- Aż dziw, jak u nas nie umieją szanować człowieka, nie potrafią otoczyć go troskliwością. Nie potrafią i nie chcą.

- Przestań już, (przestań - odpowiadała żona.

- I ty jesteś taka jak wszyscy... Nie pozwolisz mi rozwinąć ani dokończyć myśli. Wczoraj u

Ogorodnikowów do jedenastej w nocy rznęli na harmonii i zmęczyli mnie na śmierć. Naturalnie, póki człowiek żyje, nikt się nim nie przejmuje. Dopiero kiedy umrę, zrozumieją, jaką stratę ponieśli. Jakiej to kulturalnej jednostki nie potrafili uszanować!...

- Nie mów tak, Witali - wzdychała żona. - Tak nie można.

- Umrę, umrę - upierał się Kapitułow - i wtedy ci sami Ogorodnikowowie będą mówili: „Nie dbaliśmy o Kapitułowa, zamęczaliśmy go naszą harmonią, biada nam!” Ty także powiesz: „Nie upilnowałam męża, biada mi!”

Żona płakała i przysięgała, że będzie dbała o męża, ale Witali nie wierzył.

- Ludzie to zwierzęta - mówił Kapitułow. - I ty także. Teraz przestraszyłaś się odpowiedzialności i owijasz mi szyję swoim szalikiem, ale wczoraj to nie owijałaś, nie chciałaś mnie uchronić przed atarem. No cóż, tacy już są ludzie! Przeziębnię się i umrę. Taki będzie koniec. Dopiero w krematorium zrozumieją, co się właściwie stało. Jaką to potęgę pakują do pieca. No, to idę! Tylko proszę cię, nie płacz, nie rozstrajaj mojego systemu nerwowego.

Rozpychając się łokciami na wszystkie strony Kapitułow wdzierał się na pomost tramwaju. Opierał się ciężkim szewiotowym zadem o młodą obywatelkę, która zdążyła zająć siedzące miejsce, i sucho rzucił:

- Cóż to za zdziczenie! Istne średniowiecze. I takie tortury muszę znosić codziennie.

Uwaga wywoływała normalny efekt. Pasażerowie milkli i wszystkie twarze zwracały się w stronę

Witalego.

- Ludzie to zwierzęta - ciągnął Kapitułow z ubolewaniem. - Pewnego pięknego dnia wysiądę z tramwaju i umrę. Albo, po prostu, umrę w tramwaju. Kim ja dla was jestem w tej chwili, obywatelu?

Pasażerem, zwykłym iksem, którego zmusza się, aby godzinami stał w zatłoczonym przejściu. Nie umieją u nas dbać o ludzi, o ten żywy materiał do wykonania pięciolatki w cztery lata, albo nawet w trzy i pół roku. Dopiero kiedy padnę martwy tu, w przejściu, wtedy opróżni się co najmniej pół wagonu. Że niby kładź się, obywatelu. Wtedy znajdzie się miejsce. A teraz stój ostatkiem sił.

Wtedy przeważnie młoda obywatelka oblewała się rumieńcem i szybko zrywała się z miejsca.

- Proszę, niech pan siada.

- Owszem, usiądę - z godnością oświadczał Kapitułow. - Dzięki, młoda przyjaciółko.

Zdobywszy w ten sposób miejsce, Kapitułow niezwłocznie rozkładał „Izwestia” i czytał nekrologi, wykrzykując od czasu do czasu na cały tramwaj:

- O, proszę! Jeszcze jeden spłonął podczas pracy. „Rada Zakładowa i Zarząd z głębokim żalem zawiadamiają o przedwczesnym zgonie...” Nie dbali, nie pilnowali. Teraz nekrolog nie pomoże!

Po przybyciu na miejsce pracy Kapitułow smętnie witał kolegów, siadał na swoim miejscu i z głębokim westchnieniem podnosił żaluzje szwedzkiego biurka.

- Dziś nasz Witale bledszy niż zwykle - szeptali między sobą urzędnicy. - Trzeba na niego uważać.

- Rzeczywiście, u nas tak po chamsku traktują ludzi, że wprost trudno się nadziwić.

- Witale wczoraj użalał się przede mną. Tyle pracy, powiada, na mnie zwalili, że już długo nie pociągnę.

Żal mi się zrobiło człowieka, więc wziąłem jego robotę i zrobiłem za niego.

- Żeby on nam przypadkiem nie umarł. Bo to potem nieprzyjemności co niemiara. Powiedzą, że się zlekceważyło, że się nie dopilnowało. Okropne rzeczy.

Kapitułow zdrzemnął się nad czystą księgą buchalteryjną.

- Cicho! - szeptali urzędnicy. - Nie trzeba mu przeszkadzać. Pewnie znowu całą noc nie spał. Sąsiedzi dokuczali mu harmonią. Właśnie wczoraj się skarżył... Rzeczywiście, ludzie to istne zwierzęta.

Pod koniec dnia pracy Witale patrzył na kalendarz i mówił z przekąsem:

- U nas to tak zawsze. Gdzie nam dogonić i przegonić przy takim stosunku do ludzi? Nie potrafiamy u nas szanować człowieka. Patrzcie, znowu piętnasty. Trzeba odrywać się od pracy, lecieć do kasy, stać w kolejce po pensję i siły tracić. Dopiero jak umrę, zrozumieją, kogo stracili, jakiej kulturalnej jednostki nie potrafili uszanować.

1930

Poprzeczka nad literą „T”

W smakowym kombinacie „Barszcz i Kasza” nikt nigdy nie dowiedział się o doniosłych faktach, jakie miały miejsce w ścianach tego szanownego spożywczego przedsiębiorstwa.

Szef „Barszczu i Kaszy”, towarzysz Amatorski, który te fakty spowodował, zachował wszystko w najgłębszej tajemnicy. Bowiem gdyby jakiś niedobry organ kontrolny zważał to, co miało miejsce,

Amatorski nie byłby już szefem przedsiębiorstwa.

Amatorski miał jak najlepsze zamiary. Chciał za jednym posunięciem poznać kwalifikacje swoich podwładnych, wytypować zdolnych, a głupich i leniwych przenieść na niższy stopień drabiny służbowej.

Ale jak w takiej masie pracowników odróżnić zdolnych od niezdolnych? Wszyscy siedzą, wszyscy piszą, wszyscy noszą tołstowki koloru mysiego.

Pewnego razu przechadzając się po parku „Terrarium” towarzysz Amatorski zatrzymał się przed stolikiem, gdzie pod tabliczką z napisem: „Grafolog I. M. Koszkin-Erywański, demaskator cudów i zabobonów”, siedział kędzierzawy młody człowiek w okularach z niebieskimi szklami i na podstawie pisma określał zdolności obywateli.

Po chwili wahania towarzysz Amatorski napisał na świstku papieru swoim normalnym charakterem pisma:

„Do tow. Koszk.-Erywańskiego. Do zaopiniowania”

Kiedy grafolog otrzymał karteczkę, oczy błysnęły mu za niebieskimi szklami. Odcyfrowanie charakteru

Amatorskiego było dla grafologa fraszką.

Po pięciu minutach szef „Barszczu i Kaszy” czytał o sobie, co następuje:

„Jest pan niewątpliwie dyrektorem resortu, a raczej nawet szefem wielkiej instytucji. Właściwości pańskiego charakteru pisma pozwalają przypuszczać, że posiada pan niezwykle zdolności organizacyjne i prowadzi pan swoje przedsiębiorstwo drogą rozkwitu. Czeką pana wielka przyszłość”

- Jak to trafnie napisane! - szepnął towarzysz Amatorski. - Co za znajomość ludzi! Na wylot człowieka przejrzy, bestia! Taki jest mi potrzebny. On mi pomoże określić kwalifikacje barszczokaszowców!

Amatorski zaprosił I. M. Koszkin-Erywańskiego do swojego biura i zasadził go do roboty. Na podstawie pisma Koszkin miał określić, który pracownik do czego się nadaje. Koszty (po pół rubla za charakterystykę) zostały zaliczone na poczet wydatków na racjonalizację.

Trzy dni i trzy noce I. M. Koszkin-Erywański ślęczał nad pismem nic nie podejrzewających pracowników. Po zakończeniu tej gigantycznej pracy rozwarł przed towarzyszem Amatorskim księgę przeznaczeń.

Wszystko stało się jasne dla szefa „Barszczu i Kaszy”

Pocziwy Koszkin-Erywański nikogo nie „wkopał”. Większość pracowników, według określenia demaskatora cudów i zabobonów, byli to ludzie o miernych zdolnościach, ale pracowici i solidni.

Zaledwie nieliczni budzili pewne obawy („Zdolności do malarstwa”, „Skłonności poetyckie”, „Przyszył dowódca”).

Tylko jeden skromny pracownik, Kipiatkiewicz, otrzymał kapitalną opinię. Według określenia

Erywańskiego była to jednostka wybitna.

„Trudno sobie wprost wyobrazić, na jakie szczyty może się wspiąć dany osobnik. Charakteryzuje go jasny, przewidyjący umysł, umysł czysto administracyjny. Oryginalne pochylenie pisma świadczy o bezinteresowności. Poprzeczka nad literą «T» wskazuje na niezwykłą pracowitość, a zakrętas towarzyszący literze «W» świadczy o woli zwycięstwa. Należy spodziewać się dla tego osobnika poważnych awansów służbowych” - pisał Erywański swoim kaligraficznym pismem.

Kiedy Koszkin-Erywański opuszczał gościnne progi BiK, na schodach dopadł go Kipiatkiewicz i zapytał:

- No i jak tam?

- Napisałem tak, że paluszki lizać - odparł Koszkin.

Kipiatkiewicz wyjął portmonetkę i uczciwie wypłacił demaskatorowi cudów i zabobonów umówione pięć rubli.

Wkrótce potem Kipiatkiewicz został wezwany przed oblicze Amatorskiego.

Kipiatkiewicz wesoło biegł do gabinetu szefa, słusznie spodziewając się awansu, wyróżnienia i nagrody.

Z gabinetu wyszedł zataczając się. Z niezrozumiałych bowiem przyczyn Amatorski zbeształ go i groził zwolnieniem z pracy, jeśli się nie poprawi.

Kiedy Amatorski przeczytał o genialnym osobniku z niezwykłą poprzeczką nad literą „T”, bardzo się ucieszył. Nareszcie odkrył węża, który zaczął się w łonie przedsiębiorstwa i mógł z czasem zająć miejsce Amatorskiego.

„Teraz mogę spokojnie jechać na urlop - powiedział do siebie Amatorski. - Przydusiłem gadzinę!”

1930

Na włos od śmierci

Nie jest obecnie przyjęte pracować w pojedynkę. Wielu nareszcie przekonało się, że rozum to rzecz dobra, a dwa rozumy - jeszcze lepsza. Toteż kiedy redakcji poważnego miesięcznika „Neuropatolog- chałupnik” potrzebny był artystyczny reportaż ze szpitala psychiatrycznego, posłano tam nie jednego, ale równocześnie dwóch dziennikarzy - Prisiagina i Diewoczkiną. Sekretarz „Neurochałupnika”, spoglądając kolejno to na ruchliwego Prisiagina, to na okrągły jak globus brzuch Diewoczkiną, upominał:

- Pamiętajcie, że nie jest to pierwsza lepsza instytucja, gdzie można bezkarnie wszystkich zanudzać. W szpitalu imienia Tytanuszkiną trzeba się mieć na baczności. Chorzy, jak sami rozumiecie, to ludzie trochę nerwowi, po prostu wariaci. Jest wśród nich wielu furiatów, którzy nader łatwo wpadają w stan rozdrażnienia. Nie sprzeciwiajcie się im, a wszystko pójdzie gładko.

Diewoczkin i Prisiagin omówili z sekretarzem ramy artystyczne reportażu i niezwłocznie wyruszyli wypełnić zadanie.

Na okrągłym jak talerz placu na peryferiach miasta para reportażystów zapytała milicjanta o dalszą drogę.

- Prosto i w pierwszą uliczkę na lewo. Stoją tam tylko dwa wielkie, szare budynki. Jeden - to szpital psychiatryczny, a drugi - biura instytucji „Siłostan”. Tam zapytacie.

- Przyznam się, że mam stracha - oznajmił Prisiagin, kiedy dwaj przyjaciele zbliżali się do szarej bramy.

- A nuż się na nas rzucą.

- Nie rzucą się - roztropnie odparł Diewoczkin. - Tylko nie zadawaj im pytań na temat przeżyć wewnętrznych. Ja już nieraz bywałem w domach wariatów. To nic strasznego, zwłaszcza że przepisy w tego rodzaju zakładach są obecnie bardzo łagodne. Umysłowo chorzy mają prawo zajmować się pracą według upodobania. Będę ci wszystko objaśniał.

W tym momencie na kamienny ganek pierwszego z szarych budynków wybiegł z krzykiem jakiś niesłychanie wzburzony obywatel. Szorstkim rękawem marynarki ocierał pot z twarzy.

- Przepraszam, czy to zakład dla umysłowo chorych? - spytał Diewoczkin.

- Co? - krzyknął obywatel. - Tutaj? Oczywiście, że dom wariatów.

I odszedł wymachując teczką i burząc coś pod nosem.

Przyjaciele nerwowo pokaszując weszli do wyłożonego cementowymi płytami holu. Portier w błazeńskiej czapce ze złotym otokiem z powagą opowiadał jakiejś kobiecie z tacą, najwidoczniej pielęgniarce:

- Ten nowy to furia! Jak dziś od dziewiątej rano zaczął się awanturować, to nijak nie można sobie z nim poradzić. Wariat i tyle. Patrikijew już z nim próbował i tak, i owak, ale wszystko na nic. Wciąż swoje powtarza. „Wszystkich, powiada, rozpedzę. Jestem naczelnym czy nie jestem?”

- Zaniósłam mu herbatę - żałośnie powiedziała pielęgniarka. - Nie chce pić. Wciąż tylko pisze. Smarujecie swoje gryzmoły.

- Pewno jakiś niebezpieczny egzemplarz - szepnął doświadczony Diewoczkin do Prisiagina.

- Może lepiej wracajmy - mruknął tchórzliwy Prisiagin.

Diewoczkin z pogardą spojrzął na kolegę i zwrócił się do portiera:

- Gdzie tu można dostać przepustkę na zwiedzenie zakładu?

- Jaką przepustkę? - opryskliwie odparł złoty otok. - Do nas wstęp wolny.

- Jak widzisz - perorował Diewoczkin, kiedy przyjaciele wchodzili po schodach na górę - system eżenia jest całkowicie nowy. Na zewnątrz nic nie przypomina zakładu dla umysłowo chorych. Wstęp wolny. Lekarze nie noszą kitli. Chorzy również nie chodzą w szlafrokach. Szlafrok przynębia chorego, wywołuje w nim depresję.

W pierwszym z brzegu pokoju reportażysty ujrzeli wariata w starszym wieku. Siedział przy ogromnym stole i zapamiętale przerzucał gałki okutych blachą liczydeł. Nucił przy tym na jakąś cerkiewną nutę dziwne słowa: „Dostaniemy awans, awans, awans”.

- Tego lepiej nie zaczepiać - powiedział ostrożny Prisiagin. - Rąbnie cię liczydłami w łeb i co mu zrobisz?

- Tchórz z ciebie, Wasia. Gdyby to był furia, to by mu nie dali liczydeł. To po prostu jakiś schizofrenik

- powiedział Diewoczin.

Ale kiedy spostrzegł, że w tym samym pokoju popielnica jest przykuta łańcuchem do ściany, zbladł i z daleka ominął chorego.

- Diabli ich wiedzą! Może oni rzucają w siebie tymi popielnicami.

- Mają dużo swobody. Dlatego popielnica musi być przykuta.

Potrącając się wzajemnie w drzwiach, przyjaciele szybko wybiegli na długi korytarz. Chorzy spacerowali tam parami i zjadali ogromne kanapki.

- Ci są raczej spokojni - z ulgą powiedział Prisiagin. - Chodź, posłuchamy, o czym oni rozmawiają.

- Wątpię, czy to będzie coś ciekawego - autorytatywnie mówił Diewoczin. - Jakieś zaburzenia nerwu pęcinowego albo lekka psychostenia.

Jednakże, kiedy do ucha Diewoczina doleciało zdanie: „On ze mnie żyły wypruwa”, reportażysta czujnie nadstawił ucha.

- Wszystkie żyły - mówił jeden chory do drugiego. - Przyczepił się do mnie. Chciałby mnie zgładzić ze świata. Ale dlaczego - nie wiadomo. Tak mi to już dokuczyło, tak bym chciał uciec z tego domu wariatów, gdzieś na południe, na południowe wybrzeże...

- Przeciwko mnie uknuli jakąś intrygę - ochryple przerwał drugi. - Małorosyjski chce mnie zagryźć. Co dzień rano słyszę na korytarzu moje nazwisko. To nie bez kozery. Ale jeszcze zobaczymy, kto komu da radę! Łotr!

- Zwróć uwagę - szepnął Diewoczin. - Typowa mania prześladowcza.

- To okropność! - jęknął Prisiagin. - Takie otoczenie działa na mnie przygnębiająco.

- Jeszcze będą gorsze rzeczy! - powiedział nieustraszony Diewoczin.

- Wejdźmy do tej sali numer szesnaście. Zdaje się, że tam jest tylko jeden wariat. Gdyby się nawet na nas rzucił, to damy sobie z nim radę.

W ogromnej sali, pod napisem „Proszę nie zadawać zbędnych pytań”, siedział jakiś mężczyzna z obłędem w oczach, w długiej niebieskiej tołstowce, z kieszeni której wystawały jakieś niklowane faramuszk.

- Panowie do kogo? - z rozdrażnieniem krzyknął chory.

- Chcielibyśmy zapytać... - zaczął nieśmiało Diewoczin.

- Przestań - szepnął Prisiagin kurczowo ściskając przyjaciela za rękę. - Nie widzisz, że jemu nie wolno zadawać niepotrzebnych pytań?

- Dlaczego nie odpowiadacie? - spytał chory łagodniejszym tonem. - Przecież was nie ugryzę.

„Nic nie wiadomo - pomyślał Diewoczin. - Sądzę, że raczej ugryziesz”

- Kogo szukacie, do licha? - wrzasnął umyślowo chory. - Jeśli szefa kancelarii, to ja nim jestem.

Patrikijew - szef kancelarii. Słucham. Siadajcie, bardzo mi przyjemnie.

- Ua-ua-ua-ua! - zaszczekał zębami Prisiagin oglądając się na drzwi.

- Na litość boską, niech pan się tylko nie denerwuje - zaczął Diewoczkin. - Tak, tak, jest pan szefem kancelarii, tylko błagam, niech pan będzie spokojny.

Jednakże chory wpadał w coraz większe rozdrażnienie. Twarz mu poczerwieniała, gdy mówił:

- Jeśli się przychodzi do człowieka zapracowanego...

- Uciekajmy! - krzyknął Prisiagin.

Ale w tym momencie z sąsiedniej sali, na której drzwiach widniała tabliczka: „M. F. Imieniński”, rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk.

Drzwi się otworzyły i wybiegł z nich nowy chory.

- Ile razy mam powtarzać, żeby nie dawać byle komu samochodu! Teraz muszę jechać, a samochodu nie ma! - krzyczał do chorego nazwiskiem Patrikijew.

- Uciekajmy! - powtórzył Prisiagin, ciągnąc za sobą Diewoczkin.

Za nimi gonił opętańczy krzyk:

- Muszę jechać na lotnisko, a samochodu nie ma!

Reportażysty pędem zbiegli po schodach do holu i półzywi przycupnęli na ławce.

- No, no, no! - powiedział Prisiagin. - Żebyś mnie zabił, nie pójdę więcej do domu wariatów. Byliśmy już na włos od śmierci.

- Ja to wszystko wiedziałem - odparł dzielny Diewoczkin - Ale nie chciałem ci mówić, żeby cię nie przestraszyć.

Zegar w holu wybił czwartą. Natychmiast z góry, jak stado bizonów, runęli chorzy z teczkami. Pchając się jeden przez drugiego pobiegli do szatni.

Diewoczkin i Prisiagin w trwodze przytulili się do ściany. Kiedy chorzy wybiegli na ulicę, Diewoczkin odetchnął z ulgą i powiedział:

- Poszli na spacer. Wspaniały system. Wzorowy porządek.

Na ulicy przyjaciele zobaczyli szyld, na który przy wejściu nie zwrócili uwagi.

SIŁOSTAN

Zjednoczenie Aparatów Pomiarowych

Wobec tego że było późno, a reportaż z zakładu psychiatrycznego musiał być napisany jeszcze tego samego dnia, przyjaciele ucziwie opisali wszystko, co widzieli. Reportaż nosił tytuł: „W świecie umysłowo chorych”.

Reportaż został wydrukowany w „Neurochałupniku” i cieszył się dużym powodzeniem.

„Co za przyjemność czytać reportaż, gdzie tak wyczerpująco i prawdziwie (przedstawione są obyczaje i ekscesy umysłowo chorych” - pisał do redakcji wybitny psychiatra, doktor Tytanuszkina.

1930